

AUTOM - SONT WIZYSTICH STRACHOW -

Tom Pamcy



Niedzwiedz i Smok

WYDAWNICTWO ŁOAMSKI I DILLINSKI

١
١١١١

TOM CLANCY

NIEDŹWIEDŹ I SMOK

(THE BEAR AND THE DRAGON)

Tłumaczyli:

Andrzej Zieliński i Andrzej Kamiński

Wydanie oryginalne: 2000

Wydanie polskie: 2003

PODZIĘKOWANIA

Jak zawsze, pomogli mi przyjaciele:

Roland z Kolorado, dzięki za lekcje angielskiego – niech się dzieciaki dobrze sprawują; Harry, chłopak z innego świata, dzięki za niespodziewane informacje; John G., moja brama do świata technologii;

Charles, doskonały nauczyciel i równie dobry żołnierz.

Historia ciepło wypowiada się o mądrych,

ale podziwia dzielnych.

Edmund Morris

Prolog

Biały Mercedes

Wszyscy jak zwykle śpieszyli się do pracy i transformacja od marksizmu-leninizmu do chaotycznego kapitalizmu niewiele tu zmieniła – no, może teraz było trochę gorzej. Po szerokich ulicach Moskwy trudniej się teraz jeździło, bo prawie każdy mógł tu mieć samochód, a milicjanci nie pilnowali już środkowych pasów ruchu na szerokich prospektach, żeby członkowie Biura Politycznego i Komitetu Centralnego mogli korzystać z tych swoich prywatnych dróg, jak niegdyś carscy książęta w swoich trojkach. Teraz były to pasy do skrętu w lewo i dla tych w ZIL-ach, i tych w prywatnych samochodach. W przypadku Siergieja Nikołajewicza Gołowki był to biały Mercedes 600, wielka limuzyna klasy S, z dwunastoma cylindrami niemieckiej mocy pod maską. Niewiele było takich samochodów w Moskwie; prawdę mówiąc, jego Mercedes był ekstrawagancją, której powinien był się wstydzić... ale się nie wstydził. Może i nie było już w tym mieście nomenklatury, ale stanowisko wciąż wiązało się z przywilejami, a on był przewodniczącym SWR1.

Jego mieszkanie też było wielkie, na najwyższym piętrze wieżowca przy Kutuzowskim Prospekcie. Był to dość nowy budynek, całkiem nieźle wykończony i wyposażony, aż po niemiecki sprzęt gospodarstwa domowego, który to luksus od dawna przysługiwał wysokim przedstawicielom władz.

Nie prowadził sam. Miał od tego zwalistego Anatolija, byłego oficera Specnazu, który nosił pistolet pod kurtką i który prowadził Mercedesa ostro, agresywnie, a przy tym pielęgnował go z wielką pieczołowitością. Szyby w oknach były pokryte warstwą ciemnego 1 *Służba Wniesznoj Razwiedki - wywiad rosyjski (przyp. tłum.)* plastiku, uniemożliwiającą przypadkowym gapiom zajrzenie do środka i były to okna grube, wykonane z poliwęglanowej żywicy i obliczone na zatrzymanie wszystkiego, aż po pocisk kalibru 12,7 mm, a przynajmniej tak szesnaście miesięcy temu zapewniał Gołowkę przedstawiciel handlowy koncernu. Opancerzenie sprawiało, że samochód był o prawie tonę cięższy od normalnego Mercedesa 600S, ale na silniku i zawieszeniu zdawało się to nie wywierać większego wrażenia. To rosyjskie ulice miały w końcu zniszczyć ten samochód.

Układanie równej nawierzchni było sztuką, której jego kraj jeszcze nie opanował, pomyślał

Gołowko, przewracając strony swej porannej gazety. Była to amerykańska „International Herald Tribune”, jak zwykle dobre źródło informacji, jako że wydawały ją wspólnie „The Washington Post” i „The New York Times”, dwie z najlepszych służb wywiadowczych na świecie, choć trochę zbyt aroganckie, jak na gust profesjonalistów, takich jak Siergiej Nikołajewicz i jego ludzie.

Wstąpił do wywiadu, kiedy ta służba znana była jeszcze jako KGB, Komitet Bezpieczeństwa Państwowego. Uważał, że była to najlepsza tego rodzaju organizacja, jaką kiedykolwiek widział świat, nawet jeśli ostatecznie uległa rozpadowi. Gołowko westchnął.

Gdyby Związek Radziecki nie upadł na początku lat 90., jako przewodniczący byłby teraz pełnoprawnym członkiem Biura Politycznego, miałby prawdziwą władzę w jednym z dwóch supermocarstw, byłby człowiekiem, pod którego wzrokiem drzeliby najsilniejsi, ale... Nie, co to ma za sens? – spytał się w myślach. To wszystko było iluzją, dziwną u kogoś, dla kogo powinna się

liczyć tylko obiektywna prawda. Ta odwieczna, okrutna dychotomia. KGB

zawsze zabiegał o sprawdzone fakty, ale potem informował o nich ludzi zaślepionych mrzonkami, a ci naginali prawdę na potrzeby swoich mrzonek. A kiedy prawda wyszła w końcu na jaw, mrzonki nagle wyparowały jak obłoczek pary na wietrze i rzeczywistość wdarła się jak powodziowa fala z rzeki, na której wiosną puściły lody. I wtedy ci wspaniali towarzysze z Biura Politycznego, którzy poświęcili życie w pogoni za mrzonką, przekonali się, że ich teorie były ledwie cieniutkimi trzciniami, podczas gdy rzeczywistość machała sierpem i bynajmniej nie robiła tego w interesie komunizmu.

Ale z Gołowką było inaczej. Jako specjalista od faktów, mógł nadal uprawiać swą profesję, ponieważ rząd wciąż ich potrzebował. Jego władza była teraz nawet większa niż kiedyś, ponieważ – dobrze znając otaczający świat i wiedząc tak wiele o niejednej z jego ważniejszych osobistości – jak nikt inny mógł doradzać swemu prezydentowi; miał więc coś do powiedzenia w sprawach polityki zagranicznej, obrony i w sprawach wewnętrznych. Te ostatnie były teraz najtrudniejsze, nie to, co kiedyś. Były też teraz najbardziej niebezpieczne.

Dziwne.

Kiedyś wystarczyło wypowiedzieć (częściej krzyknąć)

słowa

„Służba

Bezpieczeństwa!” a obywatele radzieccy zamierali w pół kroku, bo KGB budził największą grozę spośród wszystkich instytucji poprzedniego reżimu, dysponując władzą, o której *Sicherheitsdienst*2 Reinhardta Heydricha mogła tylko marzyć, władzą, pozwalającą 2 *Służba bezpieczeństwa w hitlerowskich Niemczech (przyp. tłum.)* aresztować, uwięzić i zabić kogo tylko chciano, bez konieczności tłumaczenia się komukolwiek. Ale to także należało już do przeszłości. Teraz KGB był podzielony i część zajmująca się bezpieczeństwem wewnętrznym była cieniem dawnej siebie, podczas gdy SWR

– kiedyś Pierwszy Zarząd Główny – wciąż zbierała informacje, choć nie miała już tej potęgi, jaka wiązała się z egzekwowaniem woli – niekoniecznie prawa – komunistycznego reżimu.

Ale i tak mój obecny zakres obowiązków wciąż jest ogromny, pomyślał Gołowko, składając gazetę.

Byli zaledwie o kilometr od placu Dzierżyńskiego. Ten plac też nie był już taki, jak kiedyś. Zniknął pomnik Żelaznego Feliksa. Kiedyś na sam jego widok ciarki przechodziły po plecach tym, którzy wiedzieli, kim był człowiek, którego pomnik z brązu stał samotnie na placu, ale dziś i to było już tylko wyblakłym wspomnieniem. Za to budynek, przed którym kiedyś stał ten pomnik, nie zmienił się. Mieściła się w nim kiedyś reprezentacyjna siedziba towarzystwa ubezpieczeniowego Rossija, a potem był znany jako Łubianka – przerażająca nazwa nawet w przerażającym kraju, rządzonym przez Józefa Wissarionowicza Stalina – z piwnicami pełnymi cel i pomieszczeń, w których prowadzono przesłuchania. Większość tych funkcji przeniesiono z biegiem lat do Lefortowa, więzienia na

wschodzie Moskwy, w miarę jak rozrastała się biurokracja KGB – podobnie jak wszystkie biurokracje – wypełniając ogromny budynek niczym nadymający się balon, zajmując każdy pokój i każdy kąt, aż sekretarki i archiwiści zajęli (przebudowane) pomieszczenia, w których kiedyś Kamieniew i Ordżonikidze byli torturowani na oczach Jagody i Berii. Ale Gołowko nie wierzył w duchy.

Cóż, rozpoczynał się nowy dzień. Narada sztabu o 8.45, a potem rutynowe odprawy i dyskusje, obiad o 14.15 i, przy odrobinie szczęścia, będzie już z powrotem w samochodzie, w drodze do domu parę minut po szóstej, żeby przebrać się na przyjęcie w ambasadzie francuskiej. Cieszył się już na jedzenie i wino, chociaż nie na konwersację.

Jego uwagę zwrócił inny samochód. Był bliźniakiem jego własnego wozu, wielki Mercedes klasy S, tak samo biały, z szybami tak samo przyciemnionymi amerykańskim plastikiem. Jechał dość szybko w ten słoneczny poranek. Anatolij zwolnił i ustawił się za wywrotką, jedną z tysięcy tych wielkich, brzydkich ciężarówek, wszechobecnych na ulicach Moskwy, jakby były tu dominującą formą życia. Ta przed nimi miała skrzynię wyładowaną narzędziami, a nie ziemią. Sto metrów dalej inna ciężarówka jechała powoli, jakby kierowca nie był pewien, czy jedzie właściwą trasą. Gołowko przeciągnął się na siedzeniu. Nie bardzo mógł zobaczyć, co dzieje się na ulicy przed ciężarówką. Tęsknił już do pierwszej filiżanki cejlońskiej herbaty na swoim biurku, w tym samym gabinecie, w którym kiedyś Beria...

...ta ciężarówka dalej z przodu. Na skrzyni ładunkowej leżał jakiś mężczyzna. Teraz wstał, a w rękach trzymał...

– Anatolij! – powiedział Gołowko ostrym tonem, ale jego kierowca nie mógł zobaczyć, co dzieje się przed ciężarówką, za którą jechali.

...to był granatnik przeciwpancerny RPG, wąska rura z bulwiastym zakończeniem.

Celownik był podniesiony, ciężarówka stanęła, mężczyzna na skrzyni przyklęknął na kolano, odwrócił się i wymierzył broń w drugiego Mercedesa...

...tamten kierowca zobaczył to i próbował zjechać na bok, ale drogę miał zablokowaną przez inne pojazdy i...

...nie było to specjalnie widowiskowe, zaledwie mały obłok dymu z tylnego końca wyrzutni, ale bulwa na drugim końcu wyskoczyła z rury, wbiła się w maskę tego drugiego białego Mercedesa i eksplodowała.

Uderzyła tuż pod przednią szybą. Eksplozji nie towarzyszyła kula ognia, tak ulubiona przez reżyserów filmów akcji. Był tylko niezbyt jaskrawy błysk i szary dym, za to huk poniósł się po placu, a w bagażniku samochodu wyrwana została wielka dziura o poszarpanych krawędziach, co znaczyło, że wszyscy ludzie w tym pojeździe byli już martwi.

Gołowko wiedział o tym, nie musiał się nawet zastanawiać. Potem zapaliła się benzyna i samochód stanął w płomieniach, wraz z kilkoma metrami kwadratowymi asfaltu. Mercedes zatrzymał się prawie natychmiast, z oponami po lewej stronie posiekanymi przez eksplozję.

Kierowca ciężarówki przed Mercedesem Gołowki z całej siły wcisnął pedał hamulca, Anatolij odbił w prawo. Usłyszał już huk, ale jeszcze nie...

– O, cholera! – Teraz Anatolij zobaczył, co się stało i przystąpił do działania.

Przyśpieszył ostro, odjeżdżając w prawo i zawzięcie kręcił kierownicą, wypatrując luk między samochodami. Większość pojazdów w polu widzenia zatrzymała się; kierowca Gołowki przemykał między samochodami i w ciągu niecałej minuty dotarł do bramy wjazdowej moskiewskiej centrali. Na plac wybiegali właśnie stamtąd uzbrojeni strażnicy, wraz z posiłkami z wartowni tuż za bramą, niewidocznej z zewnątrz. Dowódca tej grupy, porucznik, zobaczył i rozpoznał samochód Gołowki, machnięciem ręki dał Anatolijowi znać, żeby wjeżdżał i rozkazał dwóm ze swoich ludzi, żeby towarzyszyli Mercedesowi do wejścia.

Czas przyjazdu był teraz jedynym rutynowym aspektem rozpoczynającego się dnia. Gołowko wysiadł, a dwaj młodzi żołnierze wzięli go między siebie, stając tak blisko, że dotykali jego ciężkiej jesionki. Anatolij też wysiadł, z pistoletem w rękę i z rozpiętą kurtką, z niepokojem w oczach spoglądając do tyłu, za bramę. Szybko odwrócił głowę.

– Zabierzcie go do środka! – Na ten rozkaz obaj szeregowi wzięli Gołowkę pod ręce i poprowadzili przez podwójne mosiężne drzwi, za którymi zbierali się już inni żołnierze z ochrony.

– Tędy, towarzyszu przewodniczący – powiedział jakiś kapitan, wziął Siergieja Nikołajewicza pod ramię i poprowadził do windy dla kierownictwa. Chwilę później Gołowko chwiejnym krokiem wszedł do swojego gabinetu, dopiero teraz zaczynając pojmować to, co zobaczył zaledwie kilka minut wcześniej. Oczywiście podszedł do okna, żeby wyjrzeć na dół.

Trzech milicjantów biegło na miejsce zamachu. Chwilę potem pojawił się radiowóz, torując sobie drogę między stojącymi pojazdami. Kilku kierowców wysiadło i pobiegło do płonącego samochodu, prawdopodobnie w nadziei, że uda im się pomóc. Dzielni ludzie, pomyślał Gołowko, ale próżny ich trud. Widział teraz wszystko lepiej, nawet z odległości trzystu metrów. Dach Mercedesa był nienaturalnie rozdęty, przedniej szyby nie było.

Spoglądał na dymiący wrak, który jeszcze parę minut temu był luksusowym, potwornie drogim samochodem, zanim został zniszczony przez jedną z najtańszych broni, jaką kiedykolwiek dysponowała Armia Radziecka. Ktokolwiek był w środku, został natychmiast porozrywany na strzępy przez kawałki metalu, lecące z prędkością prawie dziesięciu tysięcy metrów na sekundę. Czy tamci w ogóle zorientowali się, co się stało? Raczej nie. Może kierowca zdążył coś zobaczyć i zdziwić się, ale właściciel samochodu na tylnym siedzeniu prawdopodobnie był pochłonięty lekturą porannej gazety i zginął bez ostrzeżenia.

W tym momencie pod Gołowką ugięły się nogi. To mógł być on... mógł się nieoczekiwanie dowiedzieć, czy istnieje życie pozagrobowe, poznać jedną z tych wielkich tajemnic życia, którą dotąd

nieczęsto zaprzętał sobie myśli...

Ale kto właściwie był celem tego zamachu? Jako przewodniczący SWR, Gołowko nie wierzył w przypadki, a w Moskwie nie było przecież aż tylu białych Mercedesów 600 S.

– Towarzyszu przewodniczący? – odezwał się Anatolij spod drzwi gabinetu.

– Tak, Anatoliju Iwanowiczu?

– Dobrze się czujecie?

– Lepiej niż tamten – odpowiedział Gołowko, odchodząc od okna. Musiał usiąść. Na miękkich nogach podszedł do swego obrotowego fotela. Usiadł, oparł się obu dłońmi o biurko i spojrzał na dębowy blat ze stertami papierów do przeczytania – zupełnie zwyczajny widok, tyle że ten dzień wcale nie był zwyczajny. Uniósł wzrok.

Anatolij Iwanowicz Szelepin nie był człowiekiem bojaźliwym. W Specnazie dosłużył się stopnia kapitana, zanim jeden z łowców talentów z KGB nie wypatrzył go, oferując miejsce w VIII Zarządzie „Wartowniczym”. Anatolij z oferty skorzystał, a zaraz potem KGB się rozpadł. Szelepin był kierowcą i ochroniarzem Gołowki od lat, należał do jego oficjalnej rodziny, jak najstarszy syn, i był oddany swojemu szefowi. Skończył trzydzieści trzy lata, był

wysoki, inteligentny, miał jasne włosy i niebieskie oczy, teraz znacznie większe niż zwykle, ponieważ – choć sporą część życia poświęcił na naukę, jak posługiwać się przemocą i radzić sobie w warunkach przemocy – po raz pierwszy zetknął się z nią dzisiaj z bliska. Anatolij nieraz zastanawiał się, co człowiek może czuć, zabijając, ale przez całą swoją karierę nigdy nie myślał o tym, że to on może stracić życie, a już na pewno nie w zasadzce, i to w zasadzce zorganizowanej tak blisko jego miejsca pracy. Siedząc przy swoim biurku w przedpokoju gabinetu Gołowki, był w zasadzie głównie jego osobistym sekretarzem. Ochronianie kogoś, kogo nikt nie śmiałby zaatakować, z czasem stało się dla niego rutynowym zajęciem, co zresztą było zupełnie normalne. Ale teraz ten jego wygodny świat rozleciał się na kawałki, tak samo, jak świat jego szefa.

Jak się tego można było spodziewać, Gołowko pierwszy zaczął myśleć racjonalnie.

– Anatolij?

– Tak, towarzyszu przewodniczący?

– Musimy się dowiedzieć, kto tam zginął, a potem ustalić, czy to nie mieliśmy być my.

Zadzwoń na komendę główną milicji i dowiedz się, co robią.

– Natychmiast. – Przystojna młoda twarz znikła za drzwiami.

Gołowko odetchnął głęboko, wstał i jeszcze raz wyjrzał przez okno. Pojawił się wóz straży pożarnej.

Strażacy polewali wrak samochodu, żeby stłumić pojawiające się tu i tam płomienie. Czekala też karetka pogotowia, ale Siergiej Nikołajewicz wiedział, że to tylko strata czasu. Przede wszystkim należało teraz dowiedzieć się, jaki był numer rejestracyjny tego samochodu i ustalić właściciela, a następnie, na podstawie tych informacji, określić, czy nieszczęśnik zginął zamiast Gołowki, czy też może miał własnych wrogów. Gołowko nie otrząsnął się jeszcze z szoku. Pomyślał, że gniew przyjdzie może później i ruszył do swej prywatnej łazienki, poczuwszy nagle, że zaraz zsiąka się w spodnie. Wyglądało to na odrażający przejaw słabości, ale Gołowko nie zaznał dotąd prawdziwego strachu i, podobnie jak wielu ludzi, miał skłonność do traktowania wydarzeń w kategoriach filmowych. Aktorzy byli dzielni i stanowczy, nieważne, że ich słowa pochodziły ze scenariusza, a zachowania były wyreżyserowane. Tyle że w niczym nie przypominało to dzisiejszych wydarzeń, kiedy śmierć zajrzała w oczy bez ostrzeżenia.

Komu może zależeć na mojej śmierci? – zastanawiał się, spuszczać wodę.

Budynek ambasady amerykańskiej, znajdujący się kilka kilometrów dalej, miał płaski dach, na którym poustawiano najróżniejsze anteny radiowe, podłączone do mniej lub bardziej skomplikowanych radioodbiorników, do których z kolei podłączone były magnetofony, których szpule obracały się powoli, żeby efektywniej wykorzystywać taśmy. W

pomieszczeniu z radioodbiornikami było kilkunastu ludzi, wojskowych i cywilów. Wszyscy biegle znali rosyjski i pracowali dla ABN, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego z siedzibą w Fort Meade w stanie Maryland, między Baltimore a Waszyngtonem. Było jeszcze dość wcześnie, ale ci ludzie zawsze przychodzili do pracy przed rosyjskimi osobistościami oficjalnymi, których łączność monitorowali. Jednym z wielu urządzeń w tym pomieszczeniu był odbiornik, podobny do tych, których Amerykanie używają do nasłuchu na częstotliwościach policyjnych. Miejscowi gliniarze korzystali z tych samych pasm częstotliwości i z radiotelefonów dokładnie tego samego typu, co ich amerykańscy koledzy w latach 70. Nasłuch był dziecinnie łatwy, ponieważ łączność ta nie była szyfrowana. Słuchali więc, bo zdarzało się czasem, że jakaś gruba ryba miała wypadek drogowy, ale głównie chodziło o to, żeby trzymać rękę na pulsie Moskwy, miasta, w którym przestępczość była coraz większym problemem. Lepiej, żeby personel ambasady wiedział, których dzielnic i jakich miejsc w rosyjskiej stolicy należy unikać.

– Eksplozja? – odezwał się sierżant, siedzący przy odbiorniku. – Pani porucznik, milicja melduje o eksplozji tuż obok moskiewskiej centrali SWR.

– Jakiego rodzaju eksplozja?

– Wygląda na to, że jakiś samochód wyleciał w powietrze. Na miejscu jest teraz straż pożarna i pogotowie... – Sierżant nałożył słuchawki. – Okay, biały Mercedes, numer rejestracyjny... – Sięgnął po notes i zapisał. – Troje ludzi zabitych, kierowca i dwoje pasażerów... O, cholera!

– Co takiego, Reins?

– Siergiej Gołowko... – Sierżant Reins siedział z przymkniętymi oczami, przyciskając ręką słuchawkę do ucha. – Czy on nie jeździ białym Mercedesem?

– O, cholera! – zaklęła z kolei porucznik Wilson. Gołowko był jednym z tych ludzi, których jej ludzie mieli na oku. – Jest wśród tych, którzy zginęli?

– Jeszcze nie wiem... Jakiś nowy głos... Kapitan w komendzie, właśnie powiedział, że udaje się na miejsce. Wygląda na to, że są bardzo podekscytowani, pani porucznik. W eterze aż gęsto.

Porucznik Susan Wilson kołysała się na swoim obrotowym krześle. Zgłosić to, czy nie?

W końcu nie zastrzelą jej przecież za zgłoszenie czegoś przełożonym, prawda? – Gdzie jest szef placówki?

– W drodze na lotnisko, pani porucznik. Leci dziś do Petersburga, pamięta pani?

– W porządku. – Odwróciła się do swojego biurka i podniosła słuchawkę bezpiecznego telefonu STU-6, zapewniającego łączność z Fort Meade. Jej plastikowy klucz szyfrujący znajdował się w odpowiednim gnieździe, a aparat był już połączony i zsynchronizowany z takim samym telefonem w centrali ABN. Zgłosiła się, naciskając klawisz #.

– Centrum obserwacyjne – odezwał się głos z drugiego końca świata.

– Tu placówka moskiewska. Mamy sygnał, że Siergiej Gołowko mógł właśnie zostać zamordowany.

– Przewodniczący SWR?

– Potwierdzam. Samochód, podobny do jego wozu, eksplodował na placu Dzierżyńskiego, w porze, kiedy Gołowko przyjeżdża zwykle do pracy.

– Na ile to wiarygodne? – spytał męski głos w słuchawce. Prawdopodobnie należał do jakiegoś oficera, pełniącego dyżur od jedenastej do siódmej. Pewnie z Sił Powietrznych.

Lotnicy zawsze dopytywali się, czy to, co im się przekazuje, jest „wiarygodne”.

– Prowadzimy nasłuch na częstotliwości policyjnej, to znaczy na częstotliwości moskiewskiej milicji. W eterze aż gęsto, mój operator mówi, że wydają się bardzo podekscytowani.

– W porządku, możecie nam to przesłać?

– Potwierdzam – odpowiedziała porucznik Wilson.

– Więc czekamy. Dzięki za sygnał, teraz my się tym zajmiemy.

– W porządku, placówka moskiewska bez odbioru – usłyszał major Bob Teeters. Od niedawna pracował w ABN. Przedtem był niezłym pilotem, z 2.100 godzinami za sterami C-5

i C-17, ale doznał kontuzji lewego łokcia w wypadku motocyklowym i pewna sztywność w stawie położyła kres lotniczej karierze, ku jego wielkiej irytacji. Teraz odrodził się jako szpieg, co było może trochę bardziej interesujące w sensie intelektualnym, ale przecież nie mogło zastąpić latania. Machnął ręką na bosmana, dając mu znak, żeby przejął połączenie z Moskwą. Marynarz nałożył słuchawki i uruchomił edytor tekstów w swoim komputerze.

Doskonale znał rosyjski i wiedział, do czego służy komputer. Pisał po angielsku, tłumacząc nasłuch łączności radiowej rosyjskiej milicji, a tekst pojawiał się również na monitorze majora Teetersa.

– *Mam numer rejestracyjny, właśnie sprawdzam.*

– *Dobrze, pośpiesz się.*

– *Robię, co mogę, towarzyszu. (W tle słychać stukanie w klawiaturę. Czy Rusczy mają już komputery do takich zadań?)*

– *Mam, biały Mercedes, zarejestrowany na C.E. Awsyjenkę. (Nie jestem pewien pisowni) Prospekt Protopopowa 677, nr mieszkania 18A.*

– *On? Znam to nazwisko!*

No to się ciesz, pomyślał major Teeters, temu Awsyjence to już wszystko jedno. Dobra, co dalej? Dowódcą tej zmiany był znowu marynarz, wiceadmirał Tom Porter. Pewnie pił

właśnie kawę w swoim gabinecie w głównym budynku, oglądając telewizję. Czas dać mu coś do roboty. Teeters zadzwonił pod właściwy numer.

– Admirał Porter.

– Sir, tu major Teeters z centrum obserwacyjnego. W Moskwie coś się dzieje.

– Co takiego, majorze? – spytał zmęczony głos.

– Ci z placówki moskiewskiej przypuszczali początkowo, że ktoś mógł zabić przewodniczącego Gołówkę z KG... chciałem powiedzieć, z SWR.

– I co dalej, majorze? – Głos w słuchawce był teraz trochę zaniepokojony.

– Okazało się, że to prawdopodobnie nie on, sir. Jakiś Awsyjenko... – Teeters przeliterował nazwisko. – Dostajemy nasłuch łączności radiowej ich milicji. Nie sprawdziłem jeszcze, kim jest ten

Awsyjenko.

– Coś jeszcze?

– Sir, w tej chwili to już wszystko.

Oficer operacyjny CIA Tom Barlow, trzeciorzędny szpieg w obecnym układzie, postanowił nie ruszać się z ambasady. Nie chciał osobiście jechać na plac Dzierżyńskiego, ale przynajmniej zadzwonił do przyjaciela z moskiewskiego biura CNN.

– Mike Evans.

– Mike, tu Jimmy – powiedział Tom Barlow. Nie po raz pierwszy przedstawiał się przez telefon w ten sposób. Tamten wiedział, o co chodzi.

– Plac Dzierżyńskiego. Zamordowano kogoś w Mercedesie. Sprawa wygląda paskudnie i dość spektakularnie.

– Okay – odparł reporter, robiąc krótką notatkę. – Bierzemy się za to.

Barlow spojrział na zegarek. Ósma pięćdziesiąt dwie czasu miejscowego. Evans był

bardzo sprawnym reporterem, pracującym dla bardzo sprawnego serwisu informacyjnego.

Barlow uznał, że ekipa CNN powinna być na miejscu za jakieś dwadzieścia minut. Ich wóz transmisyjny miał łączność satelitarną z centralą CNN w Atlancie, a specjaliści z Departamentu Obrony w Fort Belvoir w Wirginii przechwytywali ten sygnał i rozprowadzali do zainteresowanych za pośrednictwem satelitów rządowych. Próba zamachu na przewodniczącego Gołówkę musiała zainteresować mnóstwo ludzi. Barlow włączył komputer Compaq, który miał na biurku, i otworzył plik z nazwiskami interesujących CIA Rosjan.

Kopie tego pliku znajdowały się w wielu komputerach w Langley w stanie Wirginia i na klawiaturze jednego z nich na szóstym piętrze w Starej Centrali czyjeś palce wystukały właśnie A-W-S-Y-J-E-N-K-O...

Komputer zareagował, wyświetlając na monitorze komunikat: *Zakończono przeszukiwanie pliku. Nazwiska nie znaleziono.*

Mężczyzna przy komputerze wydał pomruk niezadowolenia. A więc to nazwisko pisało się jakoś inaczej.

– Dlaczego to nazwisko wydaje mi się znajome? – spytał. – W komputerze go nie ma.

– Czekaj – powiedziała koleżanka, pochylając się nad klawiaturą, żeby wprowadzić inną pisownię. – Spróbuj tak... – Znów nic. Spróbowali więc jeszcze inaczej.

– Bingo! Dzięki, Beverly – powiedział oficer dyżurny. – O, tak, wiemy, kim jest ten facet.

Rasputin. Podła kreatura. No i popatrz, jak skończył – zachichotał oficer.

– Rasputin? – spytał Gołowko. – Ta prymitywna świnia? – Pozwolił sobie na blady uśmiech. – Ale komu mogło zależeć na jego śmierci? – Skierował to pytanie do swojego szefa ochrony, który – jeśli w ogóle było to możliwe – traktował całą sprawę jeszcze bardziej serio niż przewodniczący. Jego zadanie – ochrona przewodniczącego – zrobiło się właśnie znacznie bardziej skomplikowane. Na początek musiał powiedzieć Siergiejowi Nikołajewiczowi, że koniec z jeżdżeniem białym Mercedese. Ten wóz za bardzo rzucał się w oczy. Następnie należało spytać uzbrojonych strażników na dachu budynku; dlaczego nie zauważyli na skrzyni ładunkowej wywrotki faceta z RPG, w odległości zaledwie trzystu metrów od budynku, którego mieli strzec! Żadnego ostrzeżenia przez radio, dopóki Mercedes Grigorija Filipowicza Awsiejenki nie wyleciał w powietrze. Poprzysiągł sobie, że nie daruje.

– Kiedy on odszedł ze służby? – spytał Gołowko.

– W dziewięćdziesiątym trzecim, towarzyszu przewodniczący – odpowiedział major Anatolij Iwanowicz Szelepin, który zdążył to właśnie ustalić.

Pierwsza wielka fala redukcji, pomyślał Gołowko, ale wydawało się, że ten alfons nieźle sobie poradził, przechodząc do prywatnego biznesu. Na tyle dobrze, że jeździł Mercedese 600... i na tyle dobrze, żeby zginąć z ręki wrogów, których sobie narobił po drodze... chyba że nieświadomie oddał swe życie za kogoś innego. Trzeba to koniecznie ustalić. Przewodniczący odzyskał już panowanie nad sobą, przynajmniej na tyle, że zaczął myśleć. Gołowko był zbyt inteligentny, żeby pytać: „Dlaczego ktoś chciałby pozbawić mnie życia?”. Aż za dobrze znał

odpowiedź. Ludzie na takich stanowiskach jak on, robili sobie wrogów, czasem śmiertelnych wrogów... z których jednak większość była zbyt mądra, żeby podjąć taką próbę. Na tym szczeblu wendetta była czymś bardzo niebezpiecznym i dlatego nigdy do niej nie dochodziło.

Świat międzynarodowego wywiadu był nadzwyczaj senny i ucywilizowany. To prawda, że ludzie wciąż ginęli. Każdy, przyłapany na szpiegowaniu dla obcego rządu przeciw Mateczce Rosji, popadał w straszliwe tarapaty, także pod rządami nowego reżimu – zdrada stanu wciąż była zdradą stanu – ale zabijało się takich... Jak to określają Amerykanie? Z mocy prawa.

Tak, właśnie tak. Ci Amerykanie i ich prawnicy. Jeśli ci ostatni coś zaaprobowali, to znaczy, że było to cywilizowane.

– Kto jeszcze był w tym samochodzie? – spytał Gołowko.

- Kierowca, były milicjant. Mamy nazwisko. I chyba jedna z jego kobiet, ale jeszcze jej nie zidentyfikowaliśmy.
- Co wiemy o rozkładzie dnia Awsiejenki? Dlaczego był dziś rano tam, gdzie był?
- Jeszcze tego nie wiemy, towarzyszu – odpowiedział major Szelepin. – Milicja nad tym pracuje.
- Kto prowadzi sprawę?
- Podpułkownik Szablikow, towarzyszu przewodniczący.
- Jefim Konstantynowicz... tak, znam go. Jest dobry – powiedział Gołowko z aprobatą. –
Przypuszczam, że będzie potrzebował trochę czasu, co?
- Bo to wymaga czasu – zgodził się Szelepin.

Więcej czasu, niż trzeba go było, żeby wykończyć Rasputina, pomyślał Gołowko.

Dziwne jest to życie. Wydaje się wieczne, a okazuje się czymś tak ulotnym. A ci, którzy je stracili, nie mogą przecież powiedzieć nam, co dalej, prawda? Chyba że ktoś wierzył w duchy, czy w Boga, albo w życie pozagrobowe; w wychowaniu Gołowki rzeczy te jakoś zostały pominięte. A więc mamy jeszcze jedną wielką tajemnicę, powiedział do siebie szef rosyjskich służb wywiadowczych, który raz pierwszy w życiu zetknął się z tą problematyką tak blisko. Było to niepokojące, ale okazało się, że nie tak przerażające, jak mógłby to sobie wyobrażać. Przewodniczący zastanawiał się, czy mógłby to nazwać odwagą. Nigdy przedtem nie zastanawiał się, czy jest odważny, z tego prostego powodu, że nigdy nie stanął w obliczu bezpośredniego fizycznego zagrożenia. Nie, nie unikał go. Ale aż do dziś nigdy nie było ono tak blisko. I kiedy minął gniew, Gołowko był nie tyle zdezorientowany, co zaciekawiony.

Dlaczego to się stało? Kto to zrobił? Musiał znaleźć odpowiedzi na te pytania, jeśli nie chciał, żeby miało się to powtórzyć. Wystarczy, że raz wykazał się odwagą.

Doktor Benjamin Goodley dotarł do Langley o godzinie 5.40, pięć minut wcześniej niż zwykle. Praca pozostawiała mu niewiele czasu na życie towarzyskie i doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego uważał, że to nie fair. W końcu nie był przecież za stary, żeby znaleźć sobie żonę, był przystojny, miał przed sobą świetne perspektywy, zarówno w sensie zawodowym, jak i w biznesie. No, może nie w biznesie, pomyślał Goodley, parkując samochód w miejscu dla VIP-ów pod betonowym zadaszeniem koło budynku Starej Centrali.

Jeździł Fordem Explorerem, ponieważ ten wóz dobrze się sprawował na śniegu, a śnieg powinien wkrótce spaść. Zima w końcu nadchodziła, a w Dystrykcie Columbia bywała zupełnie nieprzewidywalna, zwłaszcza teraz, kiedy niektórzy z tych zwariowanych ekologów utrzymywali, że globalne ocieplenie spowoduje wyjątkowo mroźną zimę w tym roku. Nie mógł pojąć logiki tego

rozumowania. Pomyślał, że może warto pogadać z prezydenckim doradcą do spraw naukowych. Ten nowy był całkiem niezły i nawet potrafił się posługiwać jednosylabowymi słowami.

Goodley przeszedł przez punkt kontrolny przy drzwiach i skierował się do windy. O 5.50 wszedł do centrum operacyjnego.

– Cześć, Ben – przywitał go jeden z obecnych.

– Dzień dobry, Charlie. Dzieje się coś ciekawego?

– Mamy coś, co ci się spodoba, Ben – obiecał Charlie Roberts. – Wielki dzień w Mateczce Rosji.

– O? – Goodley zmrużył oczy. Parę rzeczy w Rosji bardzo go niepokoiło, podobnie jak jego szefa. – Co się tam stało?

– Nic wielkiego. Ktoś chciał tylko sprzątnąć Siergieja Nikołajewicza.

Goodley gwałtownie uniósł głowę. – Co takiego?

– To, co powiedziałem, Ben. Walnęli z RPG, ale pomylili samochody i wykończyli kogoś innego, kogo znamy – no, znaliśmy – poprawił się Roberts.

– Zaczynij od początku.

– Peggy, kaseta – rozkazał Roberts swemu oficerowi dyżurnemu, machnąwszy ręką w teatralnym geście.

– O rety! – odezwał się Goodley po pierwszych pięciu sekundach. – No więc kto to był?

– Nie uwierzysz. Grigorij Filipowicz Awsiejenko.

– Nie znam tego nazwiska – przyznał Goodley.

– Proszę. – Peggy podała mu papierową teczkę. – To z czasów, kiedy facet był w KGB.

Uroczy typ – dodała z pogardą.

– Rasputin? – spytał Goodley, spoglądając na pierwszą stronę. – A, tak, coś o nim słyszałem.

– Założę się, że i szef też coś słyszał.

– Będę to wiedział za dwie godziny – odparł Goodley. – Co mówi placówka moskiewska?

– Szef placówki jest w Petersburgu na konferencji handlowej; to część jego przykrywki.

To, co mamy, dostaliśmy od jego zastępcy. Na podstawie dotychczasowych informacji można przyjąć, że albo Awsiejenko mocno się naraził rosyjskiej mafii, albo celem zamachu był

Gołowko, lecz tamci pomylili samochody. Jedno albo drugie. – Wyjaśnienie zostało zakończone wzruszeniem ramion.

– Komu mogłoby zależeć na zlikwidowaniu Gołowki?

– Może tamtejszej mafii? Strzelano z RPG, a przecież nie można tej broni kupić tak po prostu w sklepie z narzędziami, prawda? To by oznaczało, że zamachu dokonał

prawdopodobnie ktoś ze świata przestępczego – ale kto miał być celem? Awsiejenko z pewnością narobił sobie poważnych wrogów, ale i Gołowko musi mieć wrogów albo rywali.

– Znow wzruszyła ramionami. – Można sobie wybrać.

– Szef woli lepsze informacje – ostrzegł Goodley.

– Ja też, Ben – odparła Peggy Hunter. – Ale to wszystko, co mam, a w tej chwili nawet ci cholerni Ruscy nie mają więcej.

– Nie dałoby się jakoś zajrzeć im przez ramię? Dobrze byłoby wiedzieć, jak przebiega śledztwo.

– Attaché prawny Mike Reilly jest podobno w dość zażyłych stosunkach z tamtejszymi gliniarzami. Sporej grupie załatwił przyjęcie na podyplomowe kursy policyjne w Akademii FBI w Quantico.

– To może załatwimy z FBI, żeby kazali mu powęszyć?

Pani Hunter znow wzruszyła ramionami. – Nie zaszkodzi. W najgorszym wypadku odmówią, a wtedy będziemy po prostu w tym samym punkcie, co teraz, prawda?

Goodley skinął głową. – W porządku, będę doradzał, żeby to zrobić. – Wstał i ruszył do drzwi. – No, przynajmniej szef nie będzie dziś narzekał, jaki nudny jest ten świat. – Zabrał ze sobą kasetę wideo z nagraniem CNN i udał się do samochodu.

Zaczynało świtać. Ruch na George Washington Parkway robił się coraz większy za sprawą ambitnych typów, udających się wcześniej do pracy. Prawdopodobnie to ludzie z Pentagonu, a przynajmniej większość, pomyślał Goodley, przejeżdżając przez Key Bridge koło Wyspy Roosevelta. Potomak był spokojny, gładki niemal jak polany oliwą, albo jak woda za stawidłem młyna. Wskaźnik na desce rozdzielczej informował, że temperatura na zewnątrz wynosiła niecałe siedem stopni. Prognoza pogody na ten dzień zapowiadała około piętnastu stopni, niewielkie zachmurzenie i łagodne wiatry. W sumie całkiem przyjemny dzień, jak na późną jesień, tyle że Goodley zdawał sobie sprawę, że cały ten dzień, przyjemny czy nie, przesiedzi w biurze.

Zajeżdżając przed bramę spostrzegł, że w Białym Domu dzień też rozpoczynał się wcześniej. Śmigłowiec Blackhawk właśnie startował, kiedy Goodley wjechał na zarezerwowane dla siebie miejsce parkingowe. Przy Bramie Zachodniej uformowała się już kolumna samochodowa, Na ten

widok spojrzął na zegarek. Nie, nie był spóźniony. Wsiadł z samochodu, zgarnawszy papiery i kasetę, i pośpieszył do środka.

– Dzień dobry, panie Goodley – pozdrowił go uzbrojony strażnik.

– Cześć, Chuck. – Chociaż był tu stałym bywalcem, musiał przejść przez wykrywacz metali. Papiery i kasetę strażnik sprawdził osobiście. Jakbym próbował wnieść tu broń, pomyślał, trochę zirytowany, ale zaraz mu przeszło. Cóż, parę razy było tu dość groźnie. Tych ludzi wyszkolono, żeby nie ufali nikomu.

Po codziennej kontroli bezpieczeństwa skierował się na lewo, wbiegł po schodach, a potem znów na lewo do swojego gabinetu, gdzie jakaś dobra dusza – nie wiedział, czy to ktoś z personelu, czy może jeden z agentów Tajnej Służby – zadbała już, żeby z ekspresu do kawy wydobywał się zapach Gloria Jean's French Hazelnut. Nalał sobie filiżankę i usiadł przy biurku, żeby uporządkować papiery i myśli. Zdążył wypić pół filiżanki, zanim uporządkował

jedno i drugie, i ruszył na trzydziestometrowy spacer. Szef już tam był.

– Dzień dobry, Ben.

– Dzień dobry, panie prezydencie – odpowiedział doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

– No, dobra, co nowego na świecie? – spytał prezydent.

– Niewykluczone, że ktoś próbował dziś rano dokonać zamachu na Siergieja Gołowkę.

– O? – Prezydent Ryan uniósł wzrok znad filiżanki z kawą. Goodley przedstawił pokrótce sytuację, po czym wsunął kasetę do magnetowidu w Gabinetcie Ovalnym i nacisnął klawisz PLAY.

– O rany! – powiedział Ryan, patrząc na stertę złomu, która jeszcze niedawno była luksusowym samochodem. – Kto zginął?

– Niejaki Grigorij Filipowicz Awsiejenko, lat pięćdziesiąt dwa...

– Znam to nazwisko, ale skąd?

– Lepiej znano go jako Rasputina. Prowadził kiedyś Szkołę Wróbelków w KGB. Ryan szerzej otworzył oczy. – A, to ten skurwysyn! Okay, co o nim wiemy?

– Został zredukowany w 1993, czy coś koło tego, i najwyraźniej ustawił się w tym samym biznesie. Zdaje się, że zbił trochę forsy, przynajmniej sądząc po samochodzie. W

chwili zamachu była z nim jakaś młoda kobieta, no i kierowca. Wszyscy zginęli.

Ryan skinął głową. W czasach Związku Radzieckiego w Szkole Wróbelków Rosjanie przez całe lata

kształcili młode kobiety na prostytutki w służbie ojczyzny, zarówno w kraju, jak i za granicą, bo od niepamiętnych czasów mężczyznom z pewną słabością do kobiet w łóżku często rozwiązywały się języki. KGB zdobył tą metodą niemało tajemnic, a Wróbelki były też pomocne w werbowaniu współpracowników pośród cudzoziemców. Kiedy więc zamknięto mu jego oficjalne biuro, Rasputin – nazywany tak przez Rosjan z racji umiejętności naginania kobiet do swej woli – po prostu robił dalej swoje, tyle że w nowych warunkach wolnego rynku.

– To znaczy, że Awsiejenko mógł mieć w swoim biznesie wrogów, którym tak załazł za skórę, że postanowili go zlikwidować i wcale nie musiał to być zamach na Gołowkę?

– Słusznie, panie prezydencie. Taka możliwość istnieje, ale nie mamy żadnych informacji, żeby ją potwierdzić, albo wykluczyć.

– Jak je zdobędziemy?

– Attaché prawny naszej ambasady ma dobre stosunki z rosyjską milicją – podsunął doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

– W porządku, zadzwoń do Dana Murraya z FBI. Niech jego człowiek powęszy –

powiedział Ryan. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Gołowki osobiście – znali się od ponad dziesięciu lat, chociaż podczas jednego z ich pierwszych spotkań pistolet Gołowki był

wymierzony prosto w twarz Jacka na jednym z pasów startowych moskiewskiego lotniska Szeremietiewo – ale postanowił tego nie robić. Uznał, że nie powinien od razu okazywać aż takiego zainteresowania. Później, jeśli nadarzy się okazja, będzie mógł go spytać o to zajście.

– Włącz w to także Eda i MP z CIA.

– Oczywiście. – Goodley zrobił notatkę.

– Co jeszcze?

Goodley przewrócił kartkę. – Indonezja przeprowadza jakieś ćwiczenia marynarki wojennej, które trochę zainteresowały Australijczyków... – Ben kontynuował poranną odprawę przez następne dwadzieścia minut, zajmując się głównie sprawami politycznymi, a nie wojskowymi, bo w ostatnich latach właśnie polityka zaczęła mieć dominujące znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego. Nawet międzynarodowy handel bronią skurczył się do tego stopnia, że całkiem sporo krajów traktowało swe narodowe siły zbrojne jako coś w rodzaju wizytówki, a nie jako poważny instrument rządzenia.

– A więc świat jest dziś w dobrej formie? – podsumował prezydent.

– Na to wygląda, sir, z wyjątkiem tego incydentu w Moskwie.

Kiedy doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego odszedł, Ryan spojrział na swój rozkład dnia. Jak zwykle miał bardzo mało wolnego czasu. Z rozkładu wynikało, że praktycznie jedyne chwile,

kiedy pozostanie w gabinecie sam, będzie musiał poświęcić na zapoznanie się z dokumentami na następne spotkania, z których wiele zaplanowano z wielotygodniowym wyprzedzeniem. Zdjął okulary do czytania – nienawidził ich – i przetarł

oczy, przeczuwając już poranny ból głowy, który miał nadejść za jakieś pół godziny. Jeszcze raz rzucił okiem na kartkę z rozkładem dnia, upewniając się, że nie ma na niej pozycji lżejszego kalibru. Żadnych spotkań ze skautami z Wyoming, czy z jakąś Miss Piękności z Imperial Valley w Kalifornii, nic, na co można by się cieszyć. Tylko praca i praca.

Niech to szlag trafi, pomyślał.

Prezydentura okazała się serią zazębiających się sprzeczności. Najpotężniejszy człowiek świata mógł robić użytek ze swej władzy praktycznie tylko w nadzwyczajnych okolicznościach, przy czym oczekiwano do niego, że będzie się starał takich okoliczności unikać. W rzeczywistości prezydentura polegała na negocjacjach, przede wszystkim z Kongresem; Ryan był do tego nieprzygotowany, dopóki szef jego kancelarii Arnold van Damm nie zaaplikował mu przyśpieszonego szkolenia. Na szczęście mnóstwo negocjacji Arnie prowadził osobiście, po czym przychodził do Gabinetu Owального powiedzieć prezydentowi, jaka jest jego (Ryana) decyzja i/lub opinie w jakiejś konkretnej sprawie, aby on (van Damm) mógł następnie wydać komunikat lub złożyć oświadczenie w sali prasowej.

Ryan przypuszczał, że w taki sam sposób prawnicy traktowali większość swoich klientów, dbając o ich interesy najlepiej, jak umieją, ale nie mówiąc im, na czym te interesy polegają, dopóki decyzje nie zapadły. Arnie powtarzał wszem i wobec, że prezydenta należy chronić przed wszelkimi bezpośrednimi negocjacjami, zwłaszcza z Kongresem. A Jack musiał

przyznać, że miał do czynienia z niespecjalnie wrogo nastawionym Kongresem. Co musieli przeżywać prezydenci, którzy nie mieli takiego szczęścia? I nie po raz pierwszy zadał sobie pytanie, co on tu, do diabła, robi?

Kampania wyborcza była wyekstrahowaną formą piekła, bez względu na fakt, że – jak to podkreślał Arnie – dla Ryana był to po prostu spacer. Nigdy mniej niż pięć przemówień dziennie, częściej aż dziewięć, za każdym razem w innym miejscu i do różnych grup – ale zawsze to samo przemówienie, zapisane w punktach na kartkach, które trzymał w kieszeni i tylko nieznacznie dostosowywane do warunków lokalnych przez pracujący w gorączkowym pośpiechu personel na pokładzie prezydenckiego samolotu, usiłujący nie pogubić się w rozkładzie dnia. Fascynujące, że nigdy nie przyłapał ich na pomyłce. Chcąc wprowadzić jakieś zróżnicowanie, prezydent zmieniał kolejność kartek, ale mniej więcej po trzech dniach zaczęło to tracić sens.

Tak, jeśli istniało piekło na Ziemi, to kampania polityczna była jego najbardziej namacalną formą. Słuchanie siebie samego, powtarzającego w kółko to samo sprawiało, że umysł zaczynał się buntować i człowiek odczuwał pragnienie wprowadzenia przypadkowych, zwariowanych zmian, które mogłyby go rozbawić. Ale coś takiego wywarłoby złe wrażenie na publiczności, a to było niedopuszczalne, ponieważ kandydat na prezydenta miał być automatem doskonałym, a nie omylnym człowiekiem.

Miało to i swoją dobrą stronę. Przez dziesięć tygodni na finiszu kampanii Ryan dosłownie płał się w morzu uwielbienia. Ogłuszające wiwaty tłumów na parkingu w miejscowości Xenia w Ohio, w centrum handlowym, w Madison Square Garden w Nowym Jorku, czy też w Honolulu, Fargo, albo w Los Angeles – wszędzie było tak samo. Ogromne tłumy zwykłych ludzi, dla których John Patrick Ryan był i nie był jednym z nich... niby swój, coś w tym rodzaju – ale zarazem jakiś inny. Od swego pierwszego oficjalnego przemówienia w Indianapolis, wkrótce po objęciu prezydentury w tak dramatycznych okolicznościach, zdał

sobie sprawę, jak silnym narkotykiem jest taka admiracja i rzeczywiście, doświadczając jej potem regularnie, doznawał podobnego uniesienia, jak to, które mogłaby zapewnić jakaś zabroniona używka. A wraz z tym przyszło pragnienie, żeby być dla tych ludzi kimś doskonałym, mówić do nich, jak należy sprawiać szczere wrażenie – a był wobec nich szczery, tylko że o wiele łatwiej byłoby to zrobić raz, czy dwa razy, a nie trzysta jedenaście, jak się okazało na zakończenie kampanii.

Dziennikarze wszędzie zadawali te same pytania, notowali albo nagrywali te same odpowiedzi i drukowali je jako coś nowego we wszystkich lokalnych gazetach. W każdym mieście i miasteczku media chwaliły Ryana, a jednocześnie martwiły się głośno, że tak naprawdę te wybory wcale nie są wyborami, z wyjątkiem wyborów do Kongresu, a tam Ryan narobił zamieszania, udzielając poparcia zarówno demokratom, jak i republikanom, co umocniło jego niezależny status, a tym samym stworzyło groźbę narażenia się wszystkim.

Uwielbienie nie było oczywiście powszechne. Byli tacy, którzy protestowali, którzy wypowiadali się w komentarzowych programach telewizyjnych, wytykając mu jego przeszłość zawodową, krytykując drastyczne działania, jakie podjął, żeby powstrzymać wywołaną przez terrorystów epidemię wirusa Ebola, która w tamtym ponurym okresie stworzyła tak wielkie zagrożenie dla narodu – „Tak, udało się w tym konkretnym przypadku, ale...” – a zwłaszcza krytykując jego politykę, która, co Jack podkreślał w swoich przemówieniach, wcale nie była polityką; lecz zwyczajnym zdrowym rozsądkiem.

Przez cały ten czas Arnie był zesańcem niebios, zawczasu przygotowując odpowiedzi na wszelkie możliwe obiekcje. Ktoś powiedział: „Ryan jest bogaty”. „Mój ojciec był

policjantem” – brzmiała odpowiedź. „Zapracowałem na każdego centa, jakiego posiadam, a tak nawiasem mówiąc (w tym momencie należało się ujmująco uśmiechnąć) moja żona zarabia teraz o wiele więcej ode mnie”.

Ryan nie ma pojęcia o polityce. „Polityka jest jedną z tych dziedzin, o której każdy wie, czym jest, ale nikt nie potrafi sprawić, żeby funkcjonowała prawidłowo. Cóż, ja może i nie wiem, czym jest polityka, ale sprawię, żeby funkcjonowała!”

Ryan ma w garści Sąd Najwyższy. „Prawnikiem też nie jestem, przykro mi” – powiedział

na dorocznym zjeździe Amerykańskiego Stowarzyszenia Adwokatury. „Ale znam różnicę między dobrem a złem i sędziowie Sądu Najwyższego też ją znają”.

Mając do dyspozycji strategiczne rady Arnie'ego i teksty, przygotowane przez Callie Weston, Ryan odparowywał każdy groźny cios i kontratakował, udzielając własnych odpowiedzi, zwykle bez złości i z humorem, ale też bez ogródek, z niezłomnym wewnętrznym przekonaniem kogoś, kto nie musi już zbyt wiele udowadniać. Dzięki dobrym korepetytorom i niezliczonym godzinom, poświęconym na przygotowania, potrafił się w sumie zaprezentować jako Jack Ryan, zwyczajny facet.

Ciekawe, że najzręczniejszego posunięcia politycznego dokonał bez jakiegokolwiek pomocy z zewnątrz.

– Dzień dobry, Jack – powiedział wiceprezydent, otwierając drzwi bez pukania.

– Cześć, Robby. – Ryan uniósł wzrok znad biurka i uśmiechnął się. Przemknęło mu przez głowę, że Robby wciąż wygląda trochę dziwnie w garniturze. Niektórzy ludzie byli urodzeni do noszenia munduru i Robert Jefferson Jackson do nich należał. Teraz w klapie każdego cywilnego garnituru, jaki posiadał, miał wpięte złote skrzydła lotnictwa Marynarki.

– Kłopoty w Moskwie – powiedział Ryan, po czym w ciągu kilku sekund naświetlił sytuację.

– Trochę to niepokojące – skomentował Robby.

– Niech Ben cię w to wprowadzi ze szczegółami. Co masz dziś w planie? – spytał prezydent.

– NDSB. – To był ich prywatny szyfr: Nowy Dzień Stare Bzdury. – Za dwadzieścia minut, po drugiej stronie ulicy, mam posiedzenie Rady do spraw Przestrzeni Kosmicznej. A wieczorem muszę lecieć do Missisipi, jutro mam tam wygłosić przemówienie na uniwersytecie stanowym.

– Będiesz pilotował? – spytał Ryan.

– Hej, Jack, jedyną dobrą stroną tej cholernej roboty jest to, że znów mogę latać. –

Jackson nie spoczął, dopóki nie zdobył licencji na VC-20B, którym najczęściej latał po kraju w ramach obowiązków oficjalnych. Maszyna miała oznaczenie kodowe Air Force Dwa.

Bardzo dobrze to wyglądało w mediach, a jednocześnie było najlepszą terapią dla pilota myśliwskiego, który tęsknił do latania. Za to wojskowa załoga Air Force Dwa musiała być nieźle poirytowana. – Cała reszta jest do dupy – dodał z przymrużeniem oka.

– To był jedyny sposób, żeby ci załatwić podwyżkę, Robby. I przyzwoity dach nad głową

– przypomniał Ryan przyjacielowi.

– Zapomniałeś o dodatku za latanie – odparł emerytowany wiceadmirał Marynarki USA R. J. Jackson. Zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił głowę. – Co ten zamach mówi o sytuacji w Rosji?

Jack wzruszył ramionami. – Nic dobrego. Wydaje się, że wciąż nie potrafia zapanować nad sytuacją.

– Chyba tak – zgodził się wiceprezydent: – Problem w tym, jak, u diabła, możemy im pomóc?

– Nie znalazłem jeszcze sposobu – przyznał Jack. – A sami też mamy dość problemów gospodarczych na horyzoncie. Spójrz tylko, co się dzieje w Azji.

– Będę się musiał podciągnąć z tej cholernej ekonomii – przyznał Robby.

– Pogadaj z George’em Winstonem – podsunął Ryan. – To wcale nie takie trudne, ale musisz się nauczyć nowego języka. Punkty bazowe, pochodne i tak dalej. George zna się na tym całkiem dobrze.

Jackson skinął głową. – Przyjąłem do wiadomości, sir.

– Sir? Upadłeś na głowę, Rob?

– Cały czas jesteś Naczelnym Dowódcą Sił Zbrojnych, o wielki panie – powiedział mu Robby z kpiącym uśmiechem i akcentem znad dolnej Missisipi. – Moja być tylko twój zastępca, co oznacza, że moja dostawać całą brudną robotę.

– Potraktuj to jako zajęcia na koledżu, Robby i dziękuj Bogu, że możesz się tego uczyć w takich komfortowych warunkach. Mnie nie było tak lekko...

– Pamiętam, Jack. Nie zapominaj, że byłem tu jako J-33. Zupełnie nieźle sobie radziłeś.

Jak sądzisz, dlaczego się zgodziłem, żebyś mi złamał karierę?

– Chcesz mi powiedzieć, że nie skusił cię piękny dom i służbowy kierowca?

Wiceprezydent pokręcił głową. – I nie to, że jestem pierwszym czarnym na tym stanowisku. –

Po prostu nie mogłem odmówić, skoro prosił sam prezydent, nawet, jeśli to taki palant, jak ty.

Cześć, stary.

– Zobaczymy się na lunchu, Robby – zawołał za nim Jack.

– Panie prezydencie, dyrektor Foley na trzeciej linii – obwieścił interkom.

Jack podniósł słuchawkę bezpiecznego telefonu i wcisnął odpowiedni guzik. – Dzień dobry, Ed.

– Cześć, Jack, mamy trochę nowych wiadomości z Moskwy.

– Jak je zdobyliśmy? – spytał od razu Ryan, żeby móc jakoś zakwalifikować informacje, które miał za chwilę otrzymać.

– Nasłuch – odpowiedział dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej. Oznaczało to, że informacje powinny być wiarygodne. Informacjom wywiadowczym, uzyskiwanym z nasłuchu ufało się najbardziej, ponieważ ludzie rzadko się okłamują, rozmawiając przez radio, czy przez telefon. – Wydaje się, że nadali tej sprawie bardzo wysoki priorytet.

Milicjanci rozmawiają bardzo swobodnie, porozumiewając się przez radio.

– W porządku, co masz?

3 Szef Wydziału Operacyjnego Kolegium Szefów Sztabów Sił Zbrojnych USA (przyp. tłum.)

– Są skłonni przypuszczać, że był to rzeczywiście zamach na Rasputina. Facet działał na dużą skalę, robił wielkie pieniądze na swoich... pracownikach – powiedział Ed Foley, starając się to ująć delikatnie. – Próbował rozszerzać działalność na inne dziedziny. Może naraził się komuś, komu się lepiej nie narażać.

– Tak myślisz? – spytał Mike Reilly.

– Michaile Iwanowiczu, nie jestem pewien, co o tym myśleć. Podobnie jak was, nie nauczono mnie wierzyć w przypadki – odpowiedział porucznik Oleg Prowałow z moskiewskiej milicji. Siedzieli w barze, przeznaczonym głównie dla cudzoziemców, o czym dobitnie świadczyła jakość podawanej tu wódki.

Reilly nie był w Moskwie pełnym nowicjuszem. Przebywał tu od czternastu miesięcy, a przedtem był zastępcą szefa nowojorskiego oddziału FBI, ale nie do spraw kontrwywiadu.

Reilly był ekspertem w sprawach przestępczości zorganizowanej; spędził piętnaście lat na atakowaniu Pięciu Rodzin nowojorskiej mafii, która w FBI nazywano raczej LCN – La Cosa Nostra. Rosjanie wiedzieli o tym i Reilly nawiązał dobre stosunki z tutejszymi gliniarzami, zwłaszcza po tym, kiedy udało mu się załatwić kilku wyższym oficerom milicji udział w programie Akademii FBI, który był czymś w rodzaju doktoratu dla wyższych rangą glin i cieszył się wielkim szacunkiem w policji amerykańskiej.

– Mieliście kiedyś takie zabójstwo w Ameryce?

Reilly pokręcił głową. – Nie, nigdy. Zwykłą broń można u nas dostać bez większych trudności, ale broń przeciwpancerna, to co innego. Poza tym, użycie takiej broni oznacza automatyczne przejęcie sprawy przez FBI, a nasi przestępcy zdążyli się już nauczyć, że lepiej trzymać się od nas jak najdalej.

No, zdarzają się cwaniacy, którzy podkładają bomby w samochodach – przyznał – ale tylko po to, żeby zabić konkretnych ludzi. Taki zamach, jak ten w Moskwie byłby zbyt spektakularny, jak na ich gust. Ale powiedz mi, co to za facet, ten Awsiejenko?

Prowałow prychnął i zaczął z siebie wyrzucać słowa, nie próbując ukryć pogardy. –

Alfons. Polował na kobiety, kazał im rozkładać nogi, a potem zabierał im pieniądze. Nie będę po nim nosił żałoby, Miszka. Mało kto będzie go żałował, ale przypuszczam, że próżnia, jaka powstała po jego śmierci, zostanie wypełniona w ciągu kilku dni.

– Ale myślisz, że to był zamach na niego, a nie na Siergieja Gołowkę?

– Na Gołowkę? Przecież atak na niego byłby szaleństwem. Na szefa tak ważnego organu państwowego? Nie sądzę, żeby którykolwiek z naszych przestępców odważył się na coś takiego.

Być może, pomyślał Reilly, ale nie rozpoczyna się dużego śledztwa od przyjmowania jakichkolwiek założeń, Olegu Grigorijewiczu. Nie mógł tego, niestety, powiedzieć głośno.

Byli przyjaciółmi, ale Prowałowa łatwo było urazić, bo wiedział, że rosyjska milicja nie może się równać z amerykańskim FBI. Przekonał się o tym w Quantico. Działał teraz rutynowo, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Jego ludzie rozmawiali ze znanymi milicji współpracownikami Awsiejenki, żeby się dowiedzieć, czy Rasputin mówił coś o jakichś wrogach, kłótniach, walkach, wypytywali informatorów, chcąc ustalić, czy w podziemiu przestępczym Moskwy ktoś o tym słyszał.

Reilly wiedział, że Rosjanom potrzebna jest pomoc w zakresie zbierania i oceny materiału dowodowego. Do tej pory nie znaleźli nawet tamtej wywrotki. Cóż, takich pojazdów było w mieście kilka tysięcy i ten konkretny mógł zostać skradziony, a właściciel lub kierowca nie musiał nawet wiedzieć, że zginęła mu wywrotka. Ponieważ z zeznań świadków wynikało, że strzał był skierowany w dół, raczej nie należało się spodziewać na skrzyni wywrotki śladów, po których można by ją zidentyfikować, ale przecież ta wywrotka była im potrzebna, żeby zebrać z niej włosy i włókna tkanin. Oczywiście nikt nie zapamiętał

numeru rejestracyjnego, nie zgłosił się też – przynajmniej na razie – nikt, kto byłby tam w chwili zamachu z kamerą wideo. Czasem ktoś taki zgłaszał się dopiero dzień, czy dwa dni później. Prowadząc duże śledztwo, liczyło się na jakiś przełom; zwykle źródłem przełomowych informacji był ktoś, kto nie potrafił trzymać języka za zębami. Prowadzenie śledztwa przeciw ludziom, którzy potrafili milczeć, było ciężkim kawałkiem chleba. Na szczęście nie wszyscy przestępcy byli tak ostrożni, ale Reilly zdążył się już przekonać, że tych cwanych też było w Moskwie niemało.

Były dwie kategorie cwaniaków. Pierwszą stanowili oficerowie KGB, zwolnieni w wyniku serii wielkich redukcji; sytuacja była tu podobna do tego, co stało się w amerykańskich siłach zbrojnych po Wietnamie. Ci potencjalni przestępcy byli szczególnie groźni, ponieważ mieli za sobą prawdziwie profesjonalny trening i doświadczenie w tajnych operacjach, wiedzieli, jak werbować i wykorzystywać innych, potrafili być niewidzialni. Tacy ludzie, pomyślał Reilly, byli górami w rozgrywce z Federalnym Biurem Śledczym, mimo wszelkich wysiłków Wydziału Kontrwywiadu Zagranicznego FBI.

Drugą kategorią były pozostałości upadłego reżimu komunistycznego. Mówiono o nich *tolkaczi* – to słowo znaczyło „popychaczy” – i w poprzednim systemie ekonomicznym tacy ludzie byli smarem, dzięki któremu sprawy w ogóle mogły iść naprzód. Mieli rozległe układy, które wykorzystywali do załatwiania spraw, trochę jak partyzanci, korzystający ze znanych tylko sobie ścieżek w dżungli do przerzucania towarów z miejsca na miejsce. Po upadku komunizmu ich umiejętności stały się szczególnie cenne, ponieważ wciąż nikt tu nie rozumiał

kapitalizmu, a możliwość załatwiania spraw stała się bardziej pożądana niż kiedykolwiek – i płacono teraz za nią o wiele więcej. Talent szedł, jak zwykle, tam, gdzie były pieniądze, a w kraju, który wciąż jeszcze uczył się, co znaczą rządy prawa, dla ludzi z takimi umiejętnościami naturalne było łamanie istniejących praw, najpierw w służbie tych, którym potrzebne były ich usługi, a potem, prawie zaraz potem, na własny rachunek. Byli *tolkaczi* stanowili najzamożniejszą grupę w swoim kraju. Z bogactwem przyszła władza. Z władzą przyszła korupcja, a z korupcją przestępczość, do tego stopnia, że FBI było w Moskwie niemal tak samo aktywne, jak CIA. I było to uzasadnione.

Sojusz między byłymi funkcjonariuszami KGB a byłymi „popychaczami” stworzył najpotężniejsze i najnowocześniejsze imperium przestępcze w historii ludzkości.

Reilly musiał przyznać, że ów Rasputin – dosłownie „rozpustny” – mógł być częścią tego imperium i że jego śmierć mogła mieć z tym jakiś związek. Albo i nie. Śledztwo zapowiadało się bardzo interesująco.

– Cóż, Olegu Grigorijewiczu, jeśli będzie wam potrzebna moja pomoc, zrobię, co w mojej mocy – obiecał agent FBI.

– Dziękuję, Misza.

I tak się rozstali, każdy pochłonięty własnymi myślami.

Rozdział 1

Echa wystrzału

– No więc, kim byli jego wrogowie? – spytał podpułkownik Szablikow.

– Grigorij Filipowicz miał ich wielu. Zupełnie nie liczył się ze słowami. Obraził tylu ludzi, że...

– Nie o to chodzi – przerwał Szablikow. – Nie rozwalono go w taki sposób za to, że zranił uczucia jakiegoś przestępcy!

– Zaczął myśleć o imporcie narkotyków – powiedział informator.

– O? Powiedz nam coś więcej.

– Grisza miał kontakty z Kolumbijczykami. Spotkał się z nimi w Szwajcarii trzy miesiące temu i chciał ich nakłonić, żeby dostarczali mu narkotyki przez port w Odessie. Słyszałem, że podobno organizował kanał przerzutu z Odessy do Moskwy.

– A jak zamierzał im płacić? – spytał pułkownik milicji. Rosyjska waluta była w końcu praktycznie bezwartościowa.

– W twardej walucie. Grisza zarabiał mnóstwo dewiz na swoich klientach z Zachodu i na niektórych z Rosji. Wiedział, czego takim ludziom brakuje do szczęścia i potrafił im to zapewnić, za odpowiednią opłatą.

Rasputin, pomyślał pułkownik. Nie ulegało kwestii, że Awsiejenko rzeczywiście był

rozpustnikiem. Żeby sprzedawać ciała rosyjskich dziewczyn – a czasem i chłopców, według informacji Szablikowa – i zarabiać na tym dość twardej waluty, żeby kupić wielką niemiecką limuzynę (za gotówkę, jego ludzie już to sprawdzili) i zaplanować import narkotyków. W

handlu narkotykami też obowiązywała zasada płacenia gotówką z góry, co oznaczało, że również narkotyki zamierzał sprzedawać za twardą walutę, ponieważ Kolumbijczyków ruble zapewne niezbyt interesowały.

Śmierć Awsiejenki nie była stratą dla kraju. Ten, kto go zabił, powinien dostać jakąś nagrodę... tylko że próżnię z pewnością wypełni ktoś nowy, przejmie kontrolę nad organizacją tego alfonsa... i może się okazać, że będzie sprytniejszy. Wśród przestępców dokonywał się darwinowski proces selekcji naturalnej. Milicja łapała niektórych z nich, nawet wielu, ale łapała tylko głupków, podczas gdy ci sprytni po prostu stawali się jeszcze sprytniejsi i miało się wrażenie, że milicja zawsze pozostaje w tyle, ponieważ inicjatywa zawsze należała do tych, którzy łamali prawo.

– Kto jeszcze importuje narkotyki?

– Nie wiem. Krążą, oczywiście, plotki, znam kilku ulicznych dealerów, ale kto faktycznie to organizuje, tego nie wiem.

– Więc się dowiedz – rozkazał Szablikow lodowatym tonem. – Nie powinno to przekraczać twoich możliwości.

– Zrobię, co będę mógł – obiecał informator.

– I zrobisz to szybko, Pawle Pietrowiczu. I dowiesz się, kto przejmuje imperium Rasputina.

– Tak jest, towarzyszu podpułkowniku – powiedział posłusznie informator, kiwając potakująco głową.

Pozycja wysokiego rangą funkcjonariusza milicji daje władzę, pomyślał Szablikow.

Prawdziwą władzę nad ludźmi, z której można korzystać. Było to źródłem satysfakcji. W tym wypadku powiedział przestępca średniego kalibru, co ten ma dla niego zrobić i wiedział, że zostanie

to zrobione, bo informator nie chciał zostać aresztowany i stracić źródła dochodów.

Drugą stroną medalu była jakaś ochrona. Dopóki przestępca nie przekroczył granicy tego, co ten glina uważał za dopuszczalne, nie musiał się obawiać wymiaru sprawiedliwości.

Podpułkownik Jefim Konstantynowicz Szablikow z moskiewskiej milicji nie miał

wątpliwości, że na świecie było tak samo. Jakże inaczej milicja mogłaby zbierać potrzebne informacje o ludziach, którzy posunęli się za daleko? Żadna służba policyjna na świecie nie miała czasu, żeby badać wszystko, więc wykorzystywanie przestępców przeciw przestępcom było najłatwiejszą i najtańszą metodą zbierania informacji.

Należało tylko pamiętać, że informatorzy to przestępcy, a więc pod wieloma względami niewiarygodni, skłonni do mijania się z prawdą, do przesady, do zmyślania rzeczy, które, jak sądzili, ich panowie chcieli usłyszeć. Szablikow wiedział więc, że musi ostrożnie podchodzić do tego, co powiedział ów informator.

Ze swej strony, Paweł Pietrowicz Klusow też miał wątpliwości, współpracując z tym skorumpowanym pułkownikiem. Szablikow nie pochodził z KGB, rozpoczął karierę w milicji, więc nie był aż tak cwany, jak to sobie wyobrażał, za to bardziej przywykły do łapówek i nieformalnych układów z tymi, których ścigał. Prawdopodobnie to w ten sposób dosłużył się całkiem wysokiego stopnia. Wiedział, jak zdobywać informacje, wchodząc w układy z takimi, jak on, Klusow. Informator zastanawiał się, czy pułkownik ma gdzieś konto dewizowe: Dobrze byłoby się dowiedzieć, gdzie mieszka, jaki ma prywatny samochód, on sam, albo jego żona. Ale Klusow zamierzał zrobić, co mu kazano, ponieważ jego własna

„komercyjna” działalność kwitła pod ochroną Szablikowa. A później tego wieczora pójdzie się napić z Iriną Aganowną, potem może weźmie ją do łóżka i przy okazji dowie się, jak bardzo opłakiwały Awsiejenkę jego byłe... pracownice.

– Tak, towarzyszu podpułkowniku – zgodził się Klusow. – Będzie, jak mówicie. Spróbuję skontaktować się z wami ponownie jutro.

– Nie spróbujesz, Pasza, zrobisz to – powiedział Szablikow tonem dyrektora szkoły, żądającego odrobienia pracy domowej od dziecka, które nie przykłada się do nauki.

– Operacja już się rozpoczęła – powiedział Zhang premierowi.

– Mam nadzieję, że tym razem pójdzie lepiej niż w dwóch poprzednich wypadkach –

odparł premier oschłym tonem. Ryzyko, związane z tą operacją, było nieporównywalnie większe. W obu poprzednich wypadkach – kiedy Japończycy próbowali drastycznie zmienić układ sił w rejonie Pacyfiku, a Irańczycy usiłowali stworzyć nowe państwo na gruzach Związku Radzieckiego – Chińska

Republika Ludowa nie podejmowała żadnych bezpośrednich działań, a tylko... zachęcała, za kulisami. Ale obecne przedsięwzięcie było inne. Cóż, trudno byłoby się spodziewać, że rzeczy wielkie nie będą wiele kosztować, prawda?

– Miałem... mieliśmy pecha.

– Może i tak. – Zdawkowe skinięcie głowy, towarzyszące przekładaniu papierów na biurku.

Zhang Han San poczuł ciarki na plecach. Premier Chińskiej Republiki Ludowej był znany ze swej chłodnej obojętności, ale zawsze traktował swego ministra bez teki z pewną dozą serdeczności. Zhang był jednym z tych nielicznych, z których rad premier zwykle korzystał.

Tak, jak i z rady, udzielonej dzisiaj, choć premier podszedł do niej tak beznamiętnie.

– Nie ujawniliśmy niczego i niczego nie straciliśmy – kontynuował Zhang.

Premier nie uniósł głowy. – Oprócz tego, że w Tajpej jest teraz ambasador amerykański.

– A w dodatku mówiło się o dwustronnym traktacie obronnym, którego jedynym celem było umieszczenie amerykańskich sił morskich między obu krajami. Regularne wizyty okrętów w portach, może nawet stała baza (niewątpliwie wybudowana w całości za tajwańskie pieniądze), której jedynym celem – jak będą zapewniać Amerykanie, udając niewinność –

będzie zastąpienie bazy Subic Bay na Filipinach. Gospodarka Tajwanu wręcz eksplodowała po odnowieniu pełnych stosunków dyplomatycznych ze Stanami Zjednoczonymi, dzięki ogromnemu napływowi nowych kapitałów inwestycyjnych z całego świata. Znaczna część tych pieniędzy mogłaby – i powinna – trafić do ChRL, gdyby nie ten zwrot Amerykanów.

Ale amerykański prezydent Ryan przeprowadził to całkowicie na własną rękę, jak twierdziły służby wywiadowcze, wbrew politycznym i dyplomatycznym radom w Waszyngtonie, chociaż podobno amerykański sekretarz stanu Adler poparł tę głupią decyzję Ryana.

Zhang czuł coraz większe ciarki, przechodzące mu po plecach. Oba jego plany zostały zrealizowane prawie dokładnie tak, jak powinny, czyż nie? W obu wypadkach jego kraj nie ryzykował niczym poważnym – no, prawda, że ostatnim razem stracili parę samolotów myśliwskich, ale te maszyny i tak regularnie się rozbiły. Zwłaszcza w wypadku Tajwanu Chińska Republika Ludowa postąpiła odpowiedzialnie, zezwalając sekretarzowi stanu Adlerowi na wahadłową dyplomację bezpośrednio między Pekinem a jego zbuntowaną prowincją po drugiej stronie Cieśniny Tajwańskiej, co było jakby legitymizacją reżimu w Tajpej – oczywiście nie leżało to w intencjach ChRL, było raczej uprzejmością, mającą pomóc Amerykaninowi w jego pokojowych staraniach i tym samym przedstawić Pekin jako bardziej racjonalnego partnera – więc dlaczego Ryan zrobił to, co zrobił? Odgadł intencje Zhanga? Istniała taka możliwość, ale bardziej prawdopodobny był przeciek, jakiś informator, szpieg, zagnieżdżony blisko samych szczytów władzy politycznej w Chińskiej Republice Ludowej. Kontrwywiad sprawdzał tę ewentualność. Niewielu ludzi wiedziało o planach zrodzonych w umyśle Zhanga i znało treść dokumentów, wychodzących z jego biura.

Wszyscy oni mieli zostać przesłuchani, a technicy sprawdzali nie tylko linie telefoniczne Zhanga, ale nawet ściany jego gabinetu. Zhang zastanawiał się, czy popełnił jakiś błąd i dochodził do wniosku, że na pewno nie. Nawet jeśli premier zdawał się być innego zdania...

Następnie Zhang przeanalizował swą pozycję w Biurze Politycznym. Mogłaby być lepsza.

Zbyt wielu z nich uważało go za awanturnika, mającego nadmierny wpływ na niewłaściwą osobę. Coś takiego łatwo się mówiło, ale szeptem; członkowie biura Politycznego byliby zachwyceni, mogąc dyskutować sukcesy jego polityki i tylko trochę mniej zachwyceni, odwracając się od niego, gdyby sprawy potoczyły się nie tak, jak powinny. Cóż, to było ryzyko, związane z dotarciem na szczyty władzy politycznej w takim kraju jak Chiny.

– Nawet gdybyśmy chcieli zmiażdżyć Tajwan, a nie zdecydowalibyśmy się na użycie broni atomowej, stworzenie środków, umożliwiających osiągnięcie tego celu zajęłoby lata i pochłonęło ogromne środki. Ryzyko byłoby przy tym olbrzymie, a korzyści niewielkie.

Lepiej, żeby sukcesy gospodarcze Chińskiej Republiki Ludowej sprawiły, że tamci przyjdą żebrać o przyjęcie ich z powrotem do domu rodzinnego. Nie są w końcu mocarnym wrogiem.

Są jedynie drobnym utrapieniem na arenie światowej. – Ale z jakiegoś powodu byli szczególnym utrapieniem dla tego premiera, pomyślał Zhang, jakby jakąś alergią, powodującą ciągłe podrażnienie jego delikatnej skóry.

– Straciliśmy twarz, Zhang. To chyba dosyć.

– Twarz, to jeszcze nie krew, Xu, ani nie bogactwo.

– Tamci mają bogactw aż nadto – zwrócił uwagę premier, wciąż nie patrząc na swego gościa. I była to prawda. Mała wyspa Tajwan była niezmiernie bogata dzięki przedsiębiorczości i pracowitości swych chińskich mieszkańców, którzy handlowali niemal wszystkim i niemal ze wszystkimi, a przywrócenie stosunków dyplomatycznych ze Stanami Zjednoczonymi przyczyniło się do jeszcze większych sukcesów handlowych i poprawy pozycji Tajwanu na arenie międzynarodowej. Zhang wiedział, że choćby najusilniej próbował, choćby tego najusilniej pragnął, nie może zlekceważyć żadnego z tych aspektów.

Co poszło nie tak, jak powinno? Nie po raz pierwszy zadawał sobie to pytanie. Czyż jego plany nie były wspaniale wyrafinowane? Czy jego kraj choć raz otwarcie zagroził Syberii?

Nie. Czy najwyższe dowództwo Armii Ludowo-Wyzwoleńczej wiedziało, jakie są jego plany? Cóż, musiał przyznać, że niektórzy wiedzieli, ale tylko najbardziej zaufani ludzie w wydziale operacyjnym i kilku dowódców polowych – tych, którzy musieliby realizować te plany, gdyby przyszedł na to czas. Ale tacy ludzie potrafili dochować tajemnicy, a gdyby się przed kimś wygadali... nie, to niemożliwe, wiedzieli, co spotyka w tym kraju ludzi, rozmawiających o sprawach, o których lepiej nie rozmawiać i wiedzieli, że na ich poziomie dostępu do tajnych informacji nawet ściany mają uszy. Nikomu nawet

nie wspomnieli o projektach tych planów, po prostu wprowadzili pewne modyfikacje natury technicznej, do czego wyżsi oficerowie zawsze mieli skłonności. Może więc jacyś zwykli pracownicy biurowi zdołali przeanalizować te plany? Nie, to także było niezmiernie mało prawdopodobne. Stan bezpieczeństwa w siłach zbrojnych był doskonały. Żołnierze, od szeregowych po generałów, nie mieli większej swobody niż maszyna, zamocowana do posadzki w hali fabrycznej, a kiedy osiągali najwyższe stopnie, tracali już zdolność samodzielnego myślenia, może z wyjątkiem spraw natury technicznej, na przykład, jakiego rodzaju most przerzucić nad konkretną rzeką. Nie, dla Zhanga równie dobrze mogliby być maszynami i można im było ufać, jak maszynom.

Wróćmy jednak do głównego problemu: dlaczego ten Ryan przywrócił stosunki dyplomatyczne z „Republiką Chińską”? Domyślił się czegoś odnośnie inicjatyw Japonii i Iranu? Tamten incydent z samolotem pasażerskim na pewno wyglądał na wypadek, jak to zostało zaaranżowane, a potem ChRL zaprosiła amerykańską flotę, żeby przybyła w tamten region i „strzegła pokoju”, jak to chętnie określał Waszyngton, jakby pokój był czymś, co dla bezpieczeństwa można zamknąć w metalowej szkatule. W rzeczywistości było dokładnie odwrotnie. To wojna była bestią, którą trzymało się w klatce i wypuszczało, kiedy czasy były odpowiednie.

Czy prezydent Ryan odgadł, że ChRL zamierzała przystąpić do rozczłonkowania byłego Związku Radzieckiego, a następnie postanowił ukarać Chińską Republikę Ludową, uznając tych renegatów na Tajwanie? Było to możliwe. Niektórzy uważali Ryana za niezwykle wnikliwego analityka, jak na amerykańską osobistość polityczną... W końcu był kiedyś oficerem wywiadu i to prawdopodobnie dobrym, pomyślał Zhang. Niedocenianie przeciwnika zawsze było poważnym błędem, o czym Japończycy i Irańczycy przekonali się ku swemu wielkiemu ubolewaniu. Ten Ryan umiejętnie zareagował na oba plany Zhanga, a jednocześnie ani słowem nie dał ChRL do zrozumienia, że coś mu się nie podoba. Nie było żadnych amerykańskich ćwiczeń wojskowych, wymierzonych choćby pośrednio przeciw Chińskiej Republice Ludowej, żadnych przecieków do amerykańskich mediów, a i chińscy oficerowie wywiadu, operujący z ambasady w Waszyngtonie też niczego nie odkryli. A więc znów był w punkcie wyjścia: Dlaczego Ryan zdecydował się na coś takiego? Zhang po prostu nie wiedział. Dla człowieka na tym szczeblu władzy było to wielce irytujące. Możliwe, że premier zada mu wkrótce jakieś pytanie, więc Zhang powinien znać odpowiedź. Na razie jednak szef jego rządu ostentacyjnie przekładał papiery na biurku, dając mu znać, że jest niezadowolony, ale na razie nie będzie z tego wyciągał konsekwencji.

W sekretariacie, oddzielnym od gabinetu Zhanga grubymi drzwiami z litego drewna, Li Ming przeżywała własne rozterki. Krzesło, na którym siedziała, pochodziło z Japonii i musiało dużo kosztować, tyle, ile wykwalifikowany robotnik zarabiał u ciągu kilku miesięcy.

Czterech, może pięciu. Na pewno więcej niż nowy rower, który bardzo by się jej przydał.

Jako absolwentka uniwersyteckiego wydziału lingwistyki mówiła po angielsku i po francusku na tyle dobrze, żeby móc się porozumieć w każdym mieście na świecie. W

rezultacie zajmowała się wszelkiego rodzaju dokumentami dyplomatycznymi i

wywiadowczymi dla swego szefa, którego umiejętności językowe były znacznie skromniejsze. Wygodne krzesło było wyrazem wdzięczności szefa za to, jak organizowała mu pracę. I jeszcze za coś.

Rozdział 2

Martwa bogini

To tutaj się to wszystko rozegrało, pomyślał Chester Nomuri. Wielki plac Tiananmen,

„Plac Niebiańskiego Spokoju”, z grubymi murami po prawej stronie był jak... jak co? Po zastanowieniu się Chester doszedł do wniosku, że nie zna niczego, z czym mógłby go porównać. Jeśli gdzieś na świecie było miejsce, podobne do tego, to dotąd go nie odwiedził, ani nawet o takim nie słyszał.

Tutaj płyty chodnikowe zdawały się ociekać krwią. Prawie czuł jej zapach w nozdrzach, chociaż minęło już ponad dziesięć lat, od kiedy studenci, niewiele młodszy niż on sam, zgromadzili się tutaj tłumnie, żeby zaprotestować przeciw rządowi. Protestowali nie tyle przeciw ustrojowi, co przeciw korupcji na najwyższych szczeblach, a to jak można się było spodziewać – stanowiło wielką obrazę dla skorumpowanych. Cóż, tak to już zwykle bywa.

Ukazywanie ludziom u władzy ich prawdziwej natury było zawsze ryzykowne, czy to na Wschodzie, czy na Zachodzie, ale tutaj było to niebezpieczniejsze niż gdziekolwiek indziej, z racji długiej historii brutalnej przemocy. Tu się jej wręcz oczekiwało...

A jednak, kiedy spróbowali po raz pierwszy, żołnierze, którzy otrzymali rozkaz przywrócenia porządku, odmówili. I to dopiero musiało przestraszyć przywódców w ich luksusowych, wygodnych gabinetach, bo kiedy organa państwa odmawiają wykonywania poleceń państwa, jest to znakiem, że rozpoczęło się coś, zwanego Rewolucją (i to tu, gdzie dokonała się już Rewolucja, czczona jak świętość dokładnie w tym miejscu). Odwołano więc tych żołnierzy i zastąpiono innymi, ściągniętymi z odleglejszych miejsc, młodymi (no, w końcu wszyscy żołnierze są młodzi, pomyślał Nomuri). Ci nowi nie byli jeszcze skażeni słowami i myślami swych rówieśników, demonstrujących na Placu, jeszcze z nimi nie sympatyzowali, jeszcze nie byli gotowi zadać sobie pytania, dlaczego rząd, który dał im mundury i broń do ręki, życzył sobie, żeby zadawali tym ludziom ból i ranili ich, zamiast słuchać tego, co mieli do powiedzenia... i dlatego zadziałali jak bezduszne automaty, zgodnie z tym, do czego ich wyćwiczono.

Zaledwie kilka metrów dalej żołnierze Armii Ludowo-Wyzwoleńczej w mundurach z zielonego sukna szli defiladowym krokiem, jak zwykle z twarzami bez wyrazu, przypominającymi figury woskowe. Chester pomyślał, że wyglądają nie całkiem jak ludzie.

Zaprzagnął przyjrzeć się bliżej ich dziwnym twarzom, sprawdzić, czy przypadkiem nie są pokryte makijażem, ale odwrócił się i pokręcił głową. Nie po to przyleciał do Chin samolotem japońskich linii lotniczych JAL. Samo przekonanie szefów w Nippon Electric Company, że to jego należy wysłać na tę placówkę, nie było łatwe. Prawdziwą męką była praca na dwóch posadach – przedstawiciela NEC i agenta wywiadu CIA. Żeby sobie poradzić z tym drugim zajęciem, musiał też poradzić sobie z pierwszym, a żeby to osiągnąć, musiał udawać prawdziwego japońskiego pracownika, takiego, który wszystko podporządkowuje sprawom firmy. No, przynajmniej pobierał dwie pensje, a ta japońska była w dodatku całkiem niezła.

Zwłaszcza przy obecnym kursie wymiany.

Nomuri uważał, że cały ten układ był oznaką wielkiego zaufania do jego możliwości –

zorganizował w Japonii umiarkowaną wydajną sieć agentów, którzy teraz współpracowali z innymi oficerami prowadzącymi z CIA – ale także oznaką desperacji. Agencji wyjątkowo nie szło tworzenie siatki szpiegowskiej w Chińskiej Republice Ludowej. Ci z Langley zwerbowali wielu Amerykanów chińskiego pochodzenia... i jeden z nich siedział teraz w więzieniu federalnym za poważne złamanie zasady lojalności. Było faktem, że niektórym agencjom federalnym pozwalano na dyskryminację rasową i dziś chińskie pochodzenie było w centrali CIA czymś bardzo podejrzanym. Cóż, nic na to nie mógł poradzić, podobnie jak nie mógł udawać Chińczyka. Dla niektórych Europejczyków, zaślepionych rasizmem, wszyscy skośnoocy wyglądali jednakowo, ale tu, w Pekinie, Nomuri – który z pochodzenia był stuprocentowym Japończykiem (choć odmianny południowokaliifornijskiej) – wyróżniał

się tak samo, jak wyróżniałby się Michael Jordan. Dla oficera wywiadu, nie posiadającego przykrywki dyplomatycznej, nie było to specjalnie pocieszające, zwłaszcza że chińskie Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego było bardzo aktywne i miało wielkie wpływy.

MBP było w tym mieście pod każdym względem równie potężne, jak radziecki KGB w Moskwie, i prawdopodobnie równie bezwzględne. Przyszło mu na myśl, że w Chinach od tysięcy lat torturowało się przestępców i innych, którzy popadli w niełaskę... i że jego narodowość niewiele mogłaby mu pomóc. Chińczycy robili interesy z Japończykami, bo było to wygodne – należałoby raczej powiedzieć: potrzebne – ale oba kraje na pewno nie pały do siebie miłością. W czasie drugiej wojny światowej Japończycy zabili więcej Chińczyków niż Hitler Żydów. Nigdzie na świecie nie przywiązywano do tego wielkiej wagi, ale Chiny były tu, oczywiście, wyjątkiem, co tylko potęgowało rasową-etniczną antypatię, sięgającą korzeniami co najmniej do Kubilaj Chana.

Za bardzo przyzwyczał się do możliwości wtapiania się w środowisko. Nomuri wstąpił

do CIA, żeby służyć swemu krajowi i – jak wtedy myślał – żeby dobrze się zabawić. Potem przekonał się, jak morderczym biznesem jest wywiad. Przyszło mu zakradać się do miejsc, w których nie powinien bywać, zdobywać informacje, do których nie powinien mieć dostępu, i przekazywać je ludziom, którzy nie powinni ich poznać. Pozostał w tym biznesie nie tylko dlatego, że chciał służyć swemu krajowi, chodziło także o dreszczyk emocji, ekscytującą świadomość, że wiedział o czymś, o czym inni nie wiedzieli, o zwyciężanie w grze, prowadzonej przeciw ludziom, którzy byli w niej zawodowcami i znajdowali się na własnym terytorium.

Tylko że w Japonii niczym się nie wyróżniał. Tu, w Pekinie, było inaczej. Był kilka centymetrów wyższy od przeciętnego Chińczyka – to z racji sposobu odżywiania się w dzieciństwie – i lepiej ubrany, w stylu zachodnim. Z ubraniem mógłby sobie poradzić, ale z twarzą już nie. Chet pomyślał, że na początek musiałby zmienić uczesanie. W ten sposób przynajmniej nie wyróżniałby się od tyłu, co mogłoby pomóc w zgubieniu śledzących go ludzi z MBP. Miał do dyspozycji samochód, za który płaciła NEC, ale mógłby przesiąść się na rower, oczywiście produkcji chińskiej, a nie jakiś drogi model europejski. Gdyby go o to zapytano, odpowiedziałby, że to dla utrzymania kondycji – a poza tym, czyż to nie świetny socjalistyczny rower? Ale takie pytania byłyby zadawane i zwrócono by na niego uwagę.

Nomuri zdał sobie sprawę, że w Japonii popadł w wygodną rutynę, kierując swoją siatką.

Tam wiedział, że potrafiłby zniknąć w jakimś doskonale znanym mu miejscu, takim jak łaźnia parowa, rozmawiać o kobietach, o sporcie i o wielu innych sprawach, ale rzadko o pracy. W

Japonii każda operacja biznesowa od pewnego szczebla była tajna i nawet z najbliższymi przyjaciółmi, z którymi mówiło się o wadach własnej żony, Japończyk nie rozmawiałby o tym, co działo się w jego miejscu pracy, chyba że były to rzeczy powszechnie znane. Dobrze służyło to bezpieczeństwu operacyjnemu, pomyślał.

Rozglądając się dookoła, jak każdy inny turysta, zastanawiał się, jak poradzi sobie z tymi sprawami tutaj. Przede wszystkim jednak czuł na sobie spojrzenia obcych ludzi, kiedy przechodził na drugą stronę ogromnego placu. Jak tu było, kiedy na plac wjechały czołgi?

Zatrzymał się na chwilę, usiłując sobie przypomnieć... Tak, to było dokładnie w tym miejscu... facet z aktówką i plastikową torbą na zakupy, który powstrzymał kompanię czołgów, po prostu nie ruszając się z miejsca... bo nawet szeregowy, prowadzący chiński czołg Typ 80, nie był na tyle bezwzględny, żeby faceta rozjechać, obojętne, co jego dowódca mógł wykrzykiwać przez interkom ze swego stanowiska w wieży. Tak, to się rozgrywało właśnie tutaj. Oczywiście później, chyba po tygodniu, facet z aktówką został aresztowany przez MBP, jak dowiedziała się CIA ze swoich źródeł. Zabrano go i przesłuchiowano, żeby ustalić, kto namówił go do tak głupiej politycznej demonstracji przeciw rządowi i przeciw siłom zbrojnym jego kraju. Trochę to pewnie trwało, pomyślał oficer CIA, rozglądając się dookoła z miejsca, w którym tamten dzielny człowiek zrobił to, co zrobił... ponieważ ci z MBP raczej nie wierzyli, że ten człowiek działał w pojedynkę i na własną rękę... działanie na własną rękę nie było czymś, do czego zachęcałby komunistyczny reżim, więc było zupełnie obce dla tych, którzy egzekwowali wolę Państwa wobec tych, którzy złamali prawo tego Państwa. Facet z aktówką, kimkolwiek był, już dawno nie żył – wynikało to jednoznacznie z informacji, przekazanych przez źródła CIA. Ktoś z MBP powiedział coś na ten temat, z wyraźną satysfakcją, do kogoś, kto miał jakieś odległe związki z Ameryką. Dostał kulę w tył

głowy, a rodzinę – źródła CIA przypuszczały, że była to żona i nowo narodzony syn –

obciążono rachunkiem za pistoletowy nabój, potrzebny do wykonania wyroku śmierci na mężu-ojcu-kontrrewolucjoniście-wrogu i państwa. Taka była sprawiedliwość w Chińskiej Republice Ludowej.

Jak oni tu mówili na cudzoziemców? Barbarzyńcy. Oczywiście, jakżeby inaczej, pomyślał Nomuri. Przekonanie, że jest się pępkiem świata było tu tak samo żywe, jak na berlińskiej Kurfuerstendamm w czasach Hitlera. Wszędzie na świecie rasizm był taki sam.

Głupi. Chester Nomuri pomyślał, że akurat tej lekcji jego kraj udzielił reszcie świata, chociaż Ameryka sama nie wyciągnęła z niej jeszcze wniosków.

Dziwka, i to bardzo droga, pomyślał Mike Reilly ze swego miejsca za szybą. Włosy miała zrobione na nienaturalny blond przez któryś z drogich zakładów fryzjerskich w Moskwie –

znów tam powinna wkrótce pójść, bo widać już było ciemnobrązowe odrosty – ale pasowało to do jej twarzy i oczu, które miały barwę niebieską w odcieniu, jakiego nie widział u żadnej innej kobiety. Pomyślał, że to pewnie kolor oczu sprawia, że klienci do niej wracają; raczej nie było to ich spojrzenie. Jej ciało mogłoby służyć Fidiaszowi z Aten jako model do posągu bogini, obfite krągłości wszędzie tam, gdzie trzeba, nogi cieńsze, niż odpowiadało to gustowi przeciętnych Rosjan, ale takie, które świetnie wyglądałyby na rogu Hollywood i Vine, gdyby jeszcze warto się tam było pokazywać...

...ale spojrzenie tych ślicznych oczu mogło przyprawić maratończyka o zawał serca. Co prostytutka miała w sobie, że robiła coś takiego z kobietami? Reilly pokręcił głową. Nie miał

zbyt wiele do czynienia z tą kategorią przestępstw – było to głównie sprawą lokalnych gliniarzy – a już na pewno nie dość, żeby zrozumieć przedstawicielki najstarszego zawodu świata. Spojrzenie jej oczu budziło strach. Sądził, podobnie jak większość mężczyzn, że tylko mężczyźni bywają drapieżnikami. Jednak kobieta, na którą patrzył, obalała tę tezę zupełnie.

Nazywała się Tania Bogdanowa. Powiedziała, że skończyła właśnie dwadzieścia trzy lata.

Miała buzię anioła i ciało gwiazdy filmowej. To jej serca i duszy agent FBI nie był pewien.

Może po prostu miała, jak wielu ambitnych przedstawicieli przestępczego półświatka, poukładane w głowie inaczej niż normalni ludzie. Może w młodości była molestowana seksualnie. Teraz, w wieku zaledwie dwudziestu trzech lat, młodość miała już dawno za sobą, sądząc po spojrzeniu, jakim obrzucała prowadzącego przesłuchanie. Reilly zajrzał do teczki z jej aktami, dostarczonej z komendy głównej milicji. Było tam tylko jedno zdjęcie, czarno-białe, ukazujące ją na dalszym planie z jakimś facetem. Na tej fotografii miała twarz ożywioną, młodą, wyglądała równie pociągająco, jak młoda Ingrid Bergman musiała być pociągająca dla Bogarta w „Casablance”. Reilly uznał, że Tania potrafi grać. Jeśli kobieta, na którą patrzył, była prawdziwą Tanią, a prawdopodobnie tak właśnie było, to ta na zdjęciu była aktorską rolą, iluzją – cudowną, bez dwóch zdań, ale potencjalnie bardzo niebezpieczną dla każdego, kto dał się jej zwieść. Dziewczyna po drugiej stronie weneckiego lustra mogłaby wydłubać facetowi oczy pilniczkiem do paznokci, zjeść je na surowo i spokojnie pójść na następne spotkanie do „Four Seasons”, nowego moskiewskiego hotelu i centrum konferencyjnego.

– Kim byli jego wrogowie, Taniu? – spytał milicjant, prowadzący przesłuchanie.

– A kim byli jego przyjaciele? – odpowiedziała pytaniem na pytanie, wyraźnie znudzona.

– Nie miał żadnych. Za to wrogów miał wielu. – Wysławiała się elegancko, niemal wytwornie. Podobno po angielsku też mówiła doskonale. Cóż, z pewnością było jej to potrzebne w kontaktach z klientami... Prawdopodobnie znajomość angielskiego warta była paru dolców więcej, albo euro, tej mile widzianej twardej waluty. Jeśli klient płacił

banknotami euro, udzielała rabatu, z pewnością uśmiechając się kokieteryjnie, kiedy mu o tym mówiła. Przedtem, czy potem? – zastanawiał się Reilly. Nigdy za to nie płacił, ale patrząc na Tanię rozumiał, dlaczego niektórzy mężczyźni to robili...

– Ile ona bierze? – spytał szeptem Prowałowa.

– Za dużo, jak na moje możliwości – mruknął porucznik. – Jakieś sześćset euro, a za cały wieczór może i więcej. Dziwne, ale nie złapała dotąd żadnej choroby. Ma pokazną kolekcję kondomów w torebce: amerykańskich, francuskich i japońskich.

– Co robiła przedtem? Tańczyła w balecie, czy coś takiego? – spytał agent FBI, wypowiadając się pośrednio na temat jej wdzięku.

Prowałow zachichotał rozbawiony. – Nie, ma na to za duże cycki i jest za wysoka. Sądzę, że waży jakieś pięćdziesiąt pięć kilo. Za dużo dla tych małych ciot w teatrze Bolszoi, żeby ją podnieść, czy podrzucić. Mogłaby zostać modelką w naszej rozwijającej się branży projektowania mody, ale nic z tych rzeczy. Skoro już pytasz, wychowała się w całkiem zwyczajnych warunkach. Jej ojciec, już nie żyje, był robotnikiem w fabryce, a matka, też już nie żyje, pracowała jako ekspedientka. Oboje zmarli na schorzenia związane z nadużywaniem alkoholu. Nasza Tania pije bardzo umiarkowanie. Kształciła się w państwowych szkołach i była przeciętną uczennicą. Żadnego rodzeństwa, jest całkiem sama na świecie, i to już od dłuższego czasu. Pracowała u Rasputina od prawie czterech lat. Wątpię, czy ze Szkoły Wróbelków kiedykolwiek wyszła druga równie wytworna dziwka. Sam Grigorij Filipowicz wielokrotnie korzystał z jej usług, ale nie jesteśmy pewni, czy chodziło o seks, czy też brał ją po prostu jako damę do towarzystwa, a przyznasz, że Tania byłaby ozdobą u ramienia każdego mężczyzny, prawda? Ale jeśli nawet coś do niej czuł, to, jak sam widzisz, bez wzajemności.

– Ma kogoś bliskiego?

Prowałow pokręcił głową. – Nikogo, o kim byśmy wiedzieli, nawet żadnej bliskiej przyjaciółki.

Reilly zorientował się, że przesłuchanie było całkiem rutynowe i nudne, jak łowienie karpia w stawie hodowlanym, jedno z dwudziestu siedmiu, przeprowadzonych do tej pory w sprawie śmierci G. F. Awsiejenki; wszyscy zdawali się zapominać, że w tamtym samochodzie były jeszcze dwie istoty ludzkie, ale cóż, one prawdopodobnie nie były celem zamachu.

Śledztwo nie posuwało się naprzód. Koniecznie potrzebna im była tamta wywrotka, jakieś dowody rzeczowe. Jak większość agentów FBI, Reilly miał zaufanie do rzeczy konkretnych, do czegoś, co można wziąć do ręki, a potem podać sędziemu, albo przysięgłym i wykazać, że był to zarówno dowód przestępstwa, jak i dowód na to, kto je popełnił. Naoczni świadkowie często okazywali się kłamcami; w najlepszym wypadku obrońcy bez trudu potrafili im zamącić w głowach i dlatego ani gliniarze, ani przysięgli raczej nie wierzyli świadkom. Za to na ciężarówce mogły być osmalenia po strzale z RPG, może i odciski palców na natłuszczonym papierze, w który Rosjanie zawijali broń, a może jeszcze coś innego –

najlepszy byłby niedopałek papierosa, wypalonego przez kierowcę, albo tego, który strzelał, bo FBI mogła przeprowadzić analizę DNA resztek śliny. Była to jedna z nowych sztuczek Biura – identyfikację z prawdopodobieństwem sześciuset milionów do jednego trudno było zakwestionować, nawet tym, którzy mogli sobie pozwolić na doskonale opłacanych adwokatów. Jednym z projektów Reilly'ego było sprowadzenie technologii analizy DNA dla rosyjskiej milicji, ale Rosjanie musieliby zapłacić za sprzęt laboratoryjny, a to stanowiłoby problem – odnosiło się wrażenie, że nie mieli

pieniędzy na nic ważnego. Wszystko, czym w tej chwili dysponowali, to fragment głowicy RPG – fascynujące, że tyle z niej pozostało po wystrzale i detonacji – z numerem seryjnym, który właśnie sprawdzano, chociaż było wątpliwe, czy taka informacja dokądkolwiek ich zaprowadzi. Ale sprawdzało się wszystko, bo nie można było wiedzieć, co jest przydatne, a co nie, dopóki nie dotarło się do mety, czyli zwykle przed stół sędziowski, mając po prawej stronie ławę dwunastu przysięgłych. Od strony proceduralnej wyglądało to w Rosji trochę inaczej, ale Reilly usiłował przekazać rosyjskim gliniarzom, którym doradzał, że celem każdego śledztwa jest wyrok skazujący.

Zaczynali to pojmować, większość z oporami, nieliczni szybciej i zaczynali też rozumieć, że kopanie podejrzanego w jądra nie jest najlepszą techniką przesłuchiwania. Mieli wprowadzić w Rosji konstytucję, ale z jej poszanowaniem nie było najlepiej, a zmiana tego stanu rzeczy musiała potrwać, idea rządów prawa była w tym kraju równie obca, jak Marsjanie.

Problem w tym, pomyślał Reilly, że ani on sam, ani nikt inny nie wiedział, ile czasu pozostało Rosjanom na dogonienie reszty świata. Było tu wiele rzeczy godnych podziwu, zwłaszcza w dziedzinie sztuki. Dzięki statusowi dyplomatycznemu, Reilly i jego żona często dostawali bezpłatne bilety na koncerty (które lubił) i na przedstawienia baletowe (które uwielbiała jego żona) i były to wciąż wydarzenia kulturalne światowej klasy... ale reszta kraju nigdy nie zbliżyła się do tego poziomu. Niektórzy w ambasadzie i niektórzy starsi ludzie z CIA, którzy byli tu przed upadkiem ZSRR, mówili, że zaszły tu niewiarygodne zmiany na lepsze. Ale jeśli to prawda, pomyślał Reilly, to, co tu się działo przedtem, musiało być naprawdę nie do zniesienia, chociaż Bolszoi był pewnie taki sam, nawet w tamtych czasach.

– To już wszystko? – spytała Tania Bogdanowa w pokoju przesłuchań.

– Tak, dziękujemy pani za przybycie. Być może wezwiemy panią jeszcze.

– Zadzwońcie na ten numer – powiedziała, podając wizytówkę. – To mój telefon komórkowy. – Komórki były w Moskwie jednym z tych zachodnich udogodnień, dostępnych dla ludzi z pieniędzmi i Tania najwidoczniej się do nich zaliczała.

Przesłuchanie prowadził młody sierżant milicji. Wstał i uprzejmie otworzył jej drzwi, okazując Bogdanowej grzeczność, jakiej nauczyła się oczekiwać od mężczyzn. W wypadku facetów z Zachodu sprawiały to walory jej ciała. W wypadku Rosjan – jej ubranie, świadczące o zamożności. Reilly obserwował jej oczy, kiedy wychodziła z pokoju. Ich wyraz był taki, jak u dziecka, które spodziewało się, że zostanie przyłapane na robieniu czegoś niegrzecznego, ale nie zostało. Ależ ojciec jest głupi – zdawał się mówić jej uśmiech.

Wydawał się tak nie na miejscu na tej anielskiej buzi, ale był tam, Reilly widział go wyraźnie, siedząc po drugiej stronie lustra.

– Oleg?

– Tak, Misza? – Prowałow odwrócił się do niego.

- Stary, ona nie ma czystych rąk. Jest w coś wplątana – powiedział Reilly po angielsku, wiedząc, że Prowałow go zrozumie.
- Zgadzam się, Misza, ale nie mam podstaw, żeby ją zatrzymać, prawda?
- Raczej nie. Ale warto by mieć ją na oku.
- Gdyby mnie było na to stać, miałbym ją nie tylko na oku, Michale Iwanowiczu. Reilly zachichotał rozbawiony. – Nie musisz mi tego mówić.
- Ale jej serce jest bryłą lodu.
- To fakt – przyznał agent FBI. A gra, w której uczestniczyła, była w najlepszym wypadku paskudna, a w najgorszym – mordercza.
- No więc, co mamy? – spytał Ed Foley kilka godzin później. Z okien widać było Waszyngton na drugim brzegu rzeki.
- Na razie zupełnie nic – odpowiedziała mężowi Mary Pat.
- Jack chce, żeby informować go o tej sprawie na bieżąco.
- Cóż, powiedz prezydentowi, że robimy, co w naszej mocy i że wszystko, czym w tej chwili dysponujemy pochodzi od naszego attaché prawnego. Jest w bliskich stosunkach z miejscowymi glinami, ale zdaje się, że oni też gównie wiedzą. Może ktoś próbował zabić Siergieja Nikołajewicza, ale attaché jest zdania, że celem zamachu był Rasputin.
- Przypuszczam, że miał niemało wrogów – zgodził się dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej.
- Dziękuję wam – powiedział wiceprezydent na zakończenie swego wystąpienia na Uniwersytecie Missisipi, nazywanym potocznie Ole Miss. Sala była wypełniona po brzegi.

Przybył tu, żeby ogłosić, że osiem nowych niszczycieli zostanie zbudowanych w wielkiej stoczni Litton na wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej, co oznaczało miejsca pracy i pieniądze dla stanu Missisipi. Nic dziwnego, że gubernator, zawsze troszczący się o jedno i drugie, bił teraz brawo na stojąco, jakby futboliści Uniwersytetu Missisipi wyeliminowali właśnie Teksas z rozgrywek Cotton Bowl. Sport traktowano tu bardzo serio. I politykę też, pomyślał Robby, tłumiąc przekleństwo, jakie miał chęć rzucić na swą tandetną profesję, która tak bardzo przypominała średniowieczne frymarczenie na wiejskim targowisku: „Trzy dobre świny za krowę, ale dorzucisz dzban piwa...”. W taki sposób rządziło się krajem? Uśmiechnął się, kręcąc głową. Cóż, w Marynarce też uprawiano politykę, a on potrafił się wznieść na te wyżyny, ale dokonał tego, będąc świetnym oficerem Marynarki i, do kurwy nędzy, najlepszym pilotem myśliwskim, jaki kiedykolwiek wystartował z lotniskowca. Wiedział, oczywiście, że każdy pilot myśliwski, czekający za sterami, aż ruszy

katapulta, myślał o sobie dokładnie tak samo... tyle że jego samoocena była absolutnie trafna.

Jak zwykle musiał uścisnąć wiele rąk, schodząc z podium, prowadzony przez swoich ochroniarzy z Tajnej Służby w tych niemożliwych ciemnych okularach. Zszedł po schodkach i tylnymi drzwiami wyszedł do swego samochodu, gdzie czekał już inny oddział uzbrojonych mężczyzn, rozglądających się czujnie dookoła. Jak strzelcy w 8-17 nad Schweinfurtem podczas drugiej wojny światowej, pomyślał wiceprezydent.

– Tomcat odjeżdża – powiedział do mikrofonu szef ochrony, kiedy samochód i uszył.

Robby sięgnął po teczkę z papierami. Wjechali na autostradę, prowadzącą do lotniska. –

Dzieje się coś ważnego w Waszyngtonie?

– Nic, o czym by mi powiedziano – odpowiedział agent Tajnej Służby. Jackson skinął

głową. Był w dobrych rękach. Uznał, że szef ochrony jest w stopniu kapitana, a jego ludzie, to podporucznicy lub porucznicy i tak też ich traktował. Byli podwładnymi, ale dobrymi, świetnie wyszkolonymi zawodowcami, którzy zasługiwali na uśmiech i skinienie głową, kiedy robili wszystko, jak trzeba, czyli prawie zawsze. Pomyślał, że większość z nich byłaby dobrymi pilotami, a pozostali – prawdopodobnie dobrymi marines. Samochód zajechał

wreszcie pod VC-20B. Maszyna stała w odizolowanym kącie lotniska, otoczona przez ludzi ze służby bezpieczeństwa. Kierowca zatrzymał limuzynę zaledwie kilka metrów od schodków do samolotu.

– Będzie pan powoził w drodze do domu, sir? – spytał szef ochrony, podejrzewając, jaka będzie odpowiedź.

– Nic mnie od tego nie powstrzyma, Sam – odpowiedział wiceprezydent z uśmiechem.

Nie był z tego zadowolony kapitan Sił Powietrznych, oddelegowany jako drugi pilot tego samolotu. Nie był też zachwycony podpułkownik, który miał być dowódcą tego zmodyfikowanego Gulfstreama III. Wiceprezydent lubił osobiście pilotować, więc pułkownikowi pozostawała obsługa radia i monitorowanie przyrządów. Gulfstream prawie przez cały czas leciał oczywiście na autopilocie, ale Jackson zdecydowanie zaanektował dla siebie funkcję dowódcy, a nie bardzo można mu było odmówić. Pał sześć, pomyślał

pułkownik, wiceprezydent był niezłym gawędziarzem i oczywiście pilotem, jak na wymoczka z Marynarki.

– Z prawej czysto – powiedział Jackson kilka minut później.

– Z lewej czysto – odparł drugi pilot, otrzymawszy potwierdzenie od obsługi naziemnej.

– Uruchamiam pierwszy – powiedział następnie Jackson, a po trzydziestu sekundach dodał: –

Uruchamiam drugi.

Wskaźniki ustawiły się w zielonych polach. – Żadnych problemów, sir – zameldował

podpułkownik. Gulfstream był wyposażony w silniki Rolls-Royce Spey, takie same, jak te, których używano kiedyś w brytyjskich wersjach myśliwców F-4 Phantom, ale trochę bardziej niezawodne.

– Wieża, tu Air Force Dwa, gotów do kołowania.

– Air Force Dwa, tu wieża, zgoda na kołowanie trójką.

– Roger, wieża, Air Force Dwa kołuje trójką.

Jackson zwolnił hamulce i maszyna zaczęła się toczyć. Silniki pracowały na minimalnym ciągu, ale i tak pożerały ogromne ilości paliwa. Na lotniskowcu, pomyślał Jackson, drogę pokazywała pilotowi obsługa w żółtych kamizelkach. Tutaj trzeba było korzystać z planu lotniska – przypiętego do kolumny sterowniczej – żeby się dostać na właściwe miejsce, cały czas rozglądając się dookoła, czy jakiś idiota w Cessnie 172 nie zatarasuje drogi, zupełnie jak na parkingu przed supermarketem. Dotarli wreszcie na koniec pasa startowego i zawrócili, żeby go mieć przed sobą.

– Wieża, tu Pik, gotów do wystrzelenia. – Samo mu się to jakoś wyrwało.

Kontroler na wieży wybuchnął śmiechem. – Air Force Dwa, to nie jest lotniskowiec

„Enterprise” i nie mamy tu katapulty startowej, ale ma pan zgodę na start, sir.

Można było sobie wyobrazić, że Jackson uśmiechał się szeroko, kiedy odpowiedział: –

Roger, wieża, Air Force Dwa startuje.

– Pańskim znakiem wywoławczym naprawdę był Pik4? – spytał pułkownik, kiedy maszyna ruszyła po pasie.

– Mój pierwszy dowódca mi to przykleił, kiedy byłem jeszcze nieoszlifowanym diamentem. Jakoś się utrzymało. – Wiceprezydent pokręcił głową. – Jezu, wydaje się, to było tak dawno temu.

– V jeden5, sir – powiedział następnie podpułkownik, a chwilę potem zameldował: – VR6.

Jackson ściągnął na siebie kolumnę sterowniczą i samolot oderwał się od pasa. Pułkownik na rozkaz schował podwozie, a Jackson jak zwykle delikatnie pokręcił sterami w prawo i w lewo, machając skrzydłami, żeby się upewnić, że samolot będzie robił to, co on mu każe.

Robił i w ciągu trzech minut Gulfstream leciał już na autopilocie, zaprogramowanym do skrętu, wznoszenia i wyrównania na dwunastu tysiącach metrów.

4 *W slangu czarnuch (przyp. red.)*

5 *Prędkość, po osiągnięciu której nie jest możliwe wstrzymanie startu (przyp. tłum.)* 6 *Prędkość, przy której odrywa się od pasa przednia goleń samolotu (przyp. tłum.)*

– Nudne to, prawda?

– W tym wypadku to synonim bezpieczeństwa, sir – odpowiedział oficer Sił

Powietrznych.

Pieprzony woźnica, pomyślał Jackson. Żaden pilot myśliwski nie powiedziałby głośno czegoś takiego. Od kiedy to latanie miało być... Cóż, Robby musiał przyznać sam przed sobą, że zawsze zapinał pasy bezpieczeństwa w samochodzie, zanim uruchomił silnik i nigdy nie robił nic nieostrożnego, nawet za sterami myśliwca. Ale miał za złe, że ten samolot, podobnie jak prawie wszystkie nowoczesne maszyny, sam wykonywał tak wielką część pracy, do której wykonywania on, Robby, był wyszkolony. Mógł nawet automatycznie wylądować...

Marynarka też miała takie systemy na swoich samolotach, stacjonujących na lotniskowcach, ale żaden przyzwoity pilot Marynarki nigdy z tego nie korzystał, chyba że na wyraźny rozkaz, czego Hubertowi Jeffersonowi Jacksonowi udało się uniknąć. Tę podróż zapiszą mu w dzienniku pokładowym jako czas dowodzenia samolotem, chociaż w rzeczywistości wcale tak nie było. To mikroczip sprawował dowództwo, a faktyczną funkcją pilota było podjęcie właściwych działań, gdyby coś się zepsuło. Ale nic się nigdy nie psuło, nawet te cholerne silniki. Kiedyś silniki turboodrzutowe trzeba było wymieniać po zaledwie dziewięciu, dziesięciu godzinach pracy. Dziś silniki Spey, w które wyposażano Gulfstreamy, wytrzymywały dwanaście tysięcy godzin. Był nawet taki, który miał już trzydzieści tysięcy i ci z Rolls-Royce'a chcieli go dostać z powrotem, oferując bezpłatną wymianę na nowy, ponieważ ich inżynierowie chcieli go rozebrać na kawałki, żeby się dowiedzieć, co też udało im się zrobić tak dobrze, ale właściciel odmówił, czego zresztą można się było spodziewać.

Patrząc na kolorowy monitor udaru pogodowego, Jackson wiedział, że reszta konstrukcji Gulfstreama jest równie niezawodna, a elektronika – najnowocześniejsza. Monitor był w tej chwili czysty i przyjaźnie czarny, co oznaczało dobre warunki atmosferyczne przez całą drogę do Andrews. Nie wynaleziono dotąd przyrządu, wykrywającego turbulencje, ale tutaj, na wysokości przelotowej dwunastu tysięcy metrów, zdarzały się one bardzo rzadko, zresztą, Jackson nie był szczególnie podatny na chorobę lokomocyjną, a rękę z nawyku trzymał w odległości kilku centymetrów od wolantu na wypadek, gdyby wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Czasem miał nadzieję, że coś się wydarzy, bo wreszcie miałby okazję pokazać, jakim dobrym był pilotem... ale nigdy do czegoś takiego nie doszło. Pilotaż stał się zbyt rutynowy od czasu jego pierwszych godzin za sterami F-4N Phantom i zdobywania szlifów na F-14A Tomcat. Ale może to i lepiej. Na pewno lepiej.

– Panie wiceprezydencie? – Był to kobiecy głos sierżant Sił Powietrznych, zajmującej się łącznością na pokładzie VC-20. Robby odwrócił się i zobaczył ją z papierami w ręku.

– Tak, sierżancie?

– Pilna wiadomość, prosto z drukarki. – Wyciągnęła rękę i Robby wziął od niej kartki.

– Pułkowniku, pański samolot – powiedział do podpułkownika w lewym fotelu.

– Przejmuję – potwierdził pułkownik, a Robby zaczął czytać.

Zawsze to samo, chociaż za każdym razem coś innego. Na obwołucie widniało zwyczajowe ostrzeżenie, że materiał jest poufny. Kiedyś na Jacksonie robiło wrażenie, że za pokazanie kartki papieru niewłaściwej osobie może trafić do więzienia federalnego Leavenworth – faktycznie było to wtedy więzienie Marynarki w Portsmouth w stanie New Hampshire, obecnie już nieczynne – ale teraz, jako wysoki rangą przedstawiciel rządu, wiedział, że mógłby pokazać niemal wszystko reporterowi z „The Washington Post” i włos by mu z głowy nie spadł. Chodziło nie tyle o to, że stał ponad prawem, co o to, że był jednym z ludzi, którzy decydowali, co znaczy prawo. W materiale, który trzymał w ręku, tajny i drażliwy był fakt, że CIA gównem wiedziała o zamachu, którego celem mógł być szef rosyjskich szpiegów... co znaczyło, że nikt w Waszyngtonie nic nie wiedział na ten temat...

Rozdział 3

Problemy bogactwa

Sprawa dotyczyła handlu, co nie było ulubioną dziedziną prezydenta, ale z drugiej strony, na tym szczeblu wszystkie sprawy, nawet te, o których, jak sądził, wiedział cokolwiek, nabierały tylu nowych podtekstów, że w najlepszym wypadku stawały się mętne, a w najgorszym – niepojęte.

– George? – zwrócił się Ryan do sekretarza skarbu George’a Winstona.

– Panie prezy...

– Do cholery, George! – Prezydent omal nie rozlał kawy.

– Okay – powiedział potulnie sekretarz skarbu. – Trudno mi się przestawić... Jack. – Ryan zaczynał mieć dość tego grzecznościowego zwracania się do niego jako do prezydenta.

Wprowadził zasadę, że tutaj, w Gabinetcie Ovalnym, ma na imię Jack, przynajmniej dla najbliższych współpracowników, do których Winston należał. W końcu – zażartował Ryan kilka razy – jest całkiem możliwe, że kiedy już wyprowadzi się z Białego Domu, to on będzie pracował dla Kupca – jak sekretarza skarbu oficjalnie ochrzciła Tajna Służba – na Wall Street w Nowym Jorku. Po odejściu z urzędu prezydenta – o co Jack co wieczór się modlił, a przynajmniej tak głośno plotki – będzie się musiał rozejrzeć za jakąś pracą zarobkową, a giełda bardzo go pociągała. Winston wiedział, że Ryan miał do tego smykałkę. Jego ostatnim sukcesem w tej dziedzinie była pewna kalifornijska firma, Silicon Alchemy, po prostu jedna z wielu firm komputerowych, ale jedyna, którą zainteresował się Ryan. Tak umiejętnie wprowadził tę firmę na giełdę, że jego własne akcje SALC – taki był symbol Silicon Alchemy na wielkiej tablicy – były obecnie warte nieco ponad osiemdziesiąt milionów dolarów, co czyniło z Ryana zdecydowanie najbogatszego prezydenta w historii Stanów Zjednoczonych.

Było to coś, czego doskonale zaznajomiony z arkanami polityki szef kancelarii Białego Domu Arnie van Damm nie rozgłaszał mediom, które każdemu bogatemu przyczepiały etykietką rozbójnika, czyniąc oczywiście wyjątek dla właścicieli gazet i stacji telewizyjnych; ci, jakżeby inaczej, byli wzorem cnót obywatelskich. O roli Ryana w debiucie giełdowym SALC

wiedzano więc niewiele, nawet w ekskluzywnym środowisku rekinów Wall Street, co było dość niezwykle. Gdyby Ryan zdecydował się kiedyś wrócić na Wall Street, jego prestiż pozwoliłby mu zarabiać pieniądze bez najmniejszego wysiłku. Winston chętnie przyznawał, że Ryan uczciwie sobie na to zapracował, nieważne, co o tym sądziły te cholerne media.

– Coś w Chinach? – spytał Jack.

– Tak, szefie – potwierdził Winston, kiwając potakująco głową. „Szefa” Ryan jeszcze tolerował, a poza tym Tajna Służba – podlegała kierowanemu przez Winstona Departamentowi Skarbu – posługiwała się tym pojęciem na określenie człowieka, którego poprzysięgła chronić. – Mają mały problem niedoboru gotówki i szukają możliwości odkucia się na nas.

– Jak mały? – spytał prezydent.

– Wygląda na to, że w skali rocznej chodzi o jakieś, hm, siedemdziesiąt miliardów, czy coś w tym rodzaju.

– To już duże pieniądze.

George Winston skinął głową. – Od miliarda w górę wszystkie sprawy stają się poważne, a tutaj mówimy o około sześciu miliardach miesięcznie.

– Na co oni wydają takie pieniądze?

– Nie jesteśmy całkiem pewni, ale w znacznej mierze musi to być coś związanego z siłami zbrojnymi. Francuski przemysł zbrojeniowy jest z nimi w ścisłych kontaktach, od kiedy Brytyjczycy zablokowali ten kontrakt na silniki odrzutowe Rolls-Royce'a.

Prezydent skinął głową i zajrzał do papierów. – Tak, Basil nakłonił premiera, żeby się z tego wycofali. – Chodziło o sir Basila Charlestona, szefa brytyjskiej. Secret Intelligence Service, nazywanej czasem (błędnie) MI-6. Basil był starym przyjacielem Ryana, jeszcze z czasu jego pracy w CIA. – To było bardzo przyzwoite z jego strony.

– Cóż, nasi przyjaciele w Paryżu wydają się myśleć inaczej.

– Jak zwykle – zgodził się Ryan. W stosunkach z Francuzami dawało się zauważyć pewną dziwną dychotomię. W niektórych sprawach byli nie tylko sojusznikami, lecz wręcz braćmi krwi, ale w innych nie zachowywali się nawet jak zwykli wspólnicy, a Ryan nie potrafił znaleźć żadnego logicznego wyjaśnienia tego rozdźwięku. Cóż, pomyślał prezydent, od tego mam Departament Stanu... – Więc sądzisz, że ChRL znów rozbudowuje siły zbrojne?

– I to na dużą skalę, chociaż raczej nie marynarkę wojenną, co poprawia trochę nastrój chłopcom na Tajwanie.

Tajwan był jedną z inicjatyw prezydenta Ryana w dziedzinie polityki zagranicznej po zakończeniu działań wojennych z nieistniejącą już Zjednoczoną Republiką Islamską, obecnie podzieloną ponownie na Iran i Irak, które przynajmniej utrzymywały teraz pokojowe stosunki. Prawdziwy powód dyplomatycznego uznania Tajwanu nigdy nie został podany do wiadomości publicznej. Dla Ryana i jego sekretarza stanu Scotta Adlera było całkiem jasne, że Chińska Republika Ludowa maczała palce w drugiej wojnie nad Zatoką Perską, a prawdopodobnie także w poprzedzającym ją konflikcie z Japonią. Dlaczego? Cóż, zdaniem niektórych ludzi z CIA, Chiny pożyły bogactw naturalnych Syberii Wschodniej; sugerowała to przechwycona w ten, czy inny sposób poczta elektroniczna japońskich przemysłowców, którzy prowadzili kraj ku nie całkiem jawnej konfrontacji z Ameryką.

Syberię określali mianem „Północnego Obszaru Surowcowego”, nawiązując do czasów, kiedy wcześniejsze pokolenia japońskich strategów określały Azję Południową jako „Południowy Obszar Surowcowy”. Tamto było częścią innego konfliktu, który przeszedł do historii jako druga wojna światowa. Tak czy inaczej, Ryan i Adler zgodnie uznali, że na kolaborację ChRL

z wrogami Ameryki należało zareagować, a poza tym, Republika Chińska na Tajwanie była demokracją, z władzami wybieranymi przez naród tego wyspiarskiego kraju, a to Ameryka powinna uszanować.

– Wiesz, byłoby lepiej, gdyby zaczęli pracować nad swą marynarką wojenną i grozić Tajwanowi, jesteśmy lepiej przygotowani na zapobieżenie czemuś takiemu niż...

– Naprawdę tak sądzisz? – spytał sekretarz skarbu, przerywając prezydentowi.

– Rosjanie tak sądzą – potwierdził Ryan.

– Skoro tak, to dlaczego sprzedają Chińczykom tyle sprzętu wojskowego? –

zaprotestował Winston. – Przecież to nie ma sensu!

– George, nie ma żadnego przepisu, nakazującego światu racjonalność. – Był to jeden z ulubionych aforyzmów Ryana. – To jedna z rzeczy, których się uczysz w wywiadzie. Zgadnij, kto w 1938 roku był największym partnerem handlowym Niemiec?

Sekretarz skarbu zrozumiał, że został pokonany. – Francja?

– Właśnie. – Ryan skinął głową. – A potem, w 1940 i 1941 Niemcy prowadzili ożywiony handel z Rosjanami. Nie najlepiej się to skończyło, nie sądzisz?

– A mnie zawsze mówiono, że handel łagodzi obyczaje – mruknął sekretarz skarbu.

– Może tak i jest w stosunkach między ludźmi, ale pamiętaj, że władze polityczne kierują się nie tyle zasadami, co interesami – przynajmniej te prymitywne władze, które nie poszły jeszcze po rozum do głowy...

– Takie jak w ChRL?

Ryan znów skinął głową. – Tak, George, jak te małe sukinsyny w Pekinie. Rządzą państwem z miliardem obywateli, ale robią to, jakby byli nowym wcieleniem Kaliguli. Nikt im nigdy nie powiedział, że mają obowiązek dbać o interesy narodu, którym rządzą; no, może nie do końca jest to prawda – przyznał Ryan wspaniałomyślnie. – Mają ten swój wielki, doskonały model teoretyczny, obwieszczony przez Karola Marksa, udoskonalony przez Lenina, a potem zastosowany w ich kraju przez małego, tłustego pedofila imieniem Mao.

– O, był zboczeńcem?

– Tak. – Ryan uniósł wzrok. – W Langley mamy informacje na ten temat. Mao lubił

dziewice, im młodsze, tym lepiej. Może podobało mu się, kiedy widział strach w ich dziecięcych, niewinnych oczach – jeden z naszych psychiatrów był tego zdania, wiesz, chodziło o gwałcenie, nie tyle o seks, co o władzę. Cóż, sądzą, że mogło być gorzej; przynajmniej były to dziewczyny – zauważył Jack oschle – a ich kultura zawsze była w tych sprawach nieco liberalniejsza od naszej. –

Pokręcił głową. – Powinieneś się zapoznać z materiałami, które dostają, kiedy tylko jakiś zagraniczny dygnitarz przybywa do nas z wizytą.

Czegóż tam nie ma na temat ich upodobań i zwyczajów.

Winston zachichotał. – Myślisz, że naprawdę chciałbym to wiedzieć?

Ryan skrzywił się. – Raczej nie. Czasami wolałbym nie dostawać tych materiałów.

Przyjmujesz ich tutaj, w tym gabinecie, są czarujący, rzeczowi, a przecież przez cały czas patrzysz na nich podejrzliwie, szukając rogów i kopyt. – Mogło to być denerwujące, ale dominowało przekonanie, że – podobnie jak w pokerze z wielkimi stawkami – im więcej się wiedziało o facecie po drugiej stronie stolika, tym lepiej, nawet jeśli czasem człowiek miał się chęć porzygać podczas ceremonii powitalnej na Południowym Trawniku Białego Domu. Cóż, taki już los prezydenta, pomyślał Ryan. A ludzie walczyli jak lwy, żeby wprowadzić się do Białego Domu. I znów będą walczyć, kiedy odejdę, pomyślał prezydent. I co z tego, Jack?

Czy twoim obowiązkiem jest chronić kraj przed takimi szczurami, które pałają żądzą przebywania tam, gdzie przechowywany jest naprawdę dobry ser? Ryan znów pokręcił głową.

Tyle wątpliwości. Nie, nie trapiły go bez przerwy, ale systematycznie robiły się coraz większe. Jakie to dziwne – pamiętał i rozumiał każdy najmniejszy krok, który prowadził go do tego urzędu, a przecież po kilka razy na godzinę zadawał sobie pytanie, jak to się, do cholery, stało, że się tutaj znalazł... i jak, do cholery, zdoła się stąd wydostać. Cóż, nie miał

nic na swoje usprawiedliwienie. Wystartował przecież w wyborach prezydenckich, jeśli można to było nazwać wyborami – nawiasem mówiąc, Arnie van Damm uważał, że nie – a było można, ponieważ spełnił wymogi konstytucyjne. W tej kwestii zgodni byli prawie wszyscy teoretycy prawa w tym kraju, a w wielkich sieciach telewizyjnych dyskutowano na ten temat do znudzenia. Jack pomyślał, że nieczęsto oglądał wtedy telewizję. Ale tak naprawdę wszystko sprowadzało się do jednego: ci, z którymi miał do czynienia jako prezydent, bardzo często byli ludźmi, których nigdy nie zaprosiłby do domu, i nie miało to nic wspólnego z brakiem dobrych manier, czy uroku osobistego; przeciwnie, tego ostatniego zwykle roztaczali aż nadto. Arnie już na wstępie powiedział mu, że aby zostać politykiem, trzeba przede wszystkim posiadać umiejętność okazywania uprzejmości ludziom, którymi się pogardzało, a potem robienia z nimi interesów, jakby byli najbliższymi przyjaciółmi.

– No więc, co wiemy o Chińczykach? – spytał Winston. – Mam na myśli tych współczesnych.

– Niewiele. Pracujemy nad tym. CIA ma jeszcze wiele do zrobienia, ale coś już mamy.

Cały czas dostajemy materiały z nasłuchu. Ich sieć telefoniczna nie przedstawia dla nas większych trudności, a telefonów komórkowych używają o wiele za często, nie szyfrując tej formy łączności. Wiesz, George, niektórzy z nich odznaczają się godną uwagi witalnością, ale nie dotarło do nas nic szczególnie skandalicznego. Całkiem sporo z nich ma sekretarki, bardzo blisko związane ze swymi szefami.

Sekretarz skarbu zachichotał. – No, to akurat zdarza się niemal wszędzie, nie tylko w Pekinie.

– Nawet na Wall Street? – spytał Jack, teatralnie unosząc brwi.

– Nie mogę tego powiedzieć z całą pewnością, sir, ale czasem dochodzą do mnie takie plotki. – Winston uśmiechnął się na tę dygresję.

Zdarzyło się i tutaj, w tym gabinecie, pomyślał Jack. Oczywiście dywan już dawno wymieniono, i wszystkie meble, z wyjątkiem prezydenckiego biurka. Jednym z problemów, związanych ze sprawowaniem tego urzędu, był bagaż, pozostawiony przez poprzedników.

Mówiono, że opinia publiczna ma krótką pamięć, ale przecież nie było to prawdą. Nie dla kogoś, kto słyszał szepty, po których następowały chichoty, znaczące spojrzenia, a czasem gesty, sprawiające, że ten, za którego plecami chichotano, czuł się zbrukany. I cóż można było na to poradzić? Pozostawało tylko dalej robić swoje najlepiej, jak się potrafiło, a i wtedy można było co najwyżej mieć nadzieję, że ludzie pomyślą sobie, że jest się na tyle sprytnym, żeby nie dać się przyłapać. „Przecież oni wszyscy to robią, prawda?”. Jednym z problemów, związanych z życiem w wolnym kraju było to, że każdy poza tym pałacem-więzieniem mógł

myśleć i mówić, co mu się podobało. A w odróżnieniu od zwykłych obywateli, Ryan nie miał

nawet prawa zdzielić w łeb jakiegoś przygłupa, który powiedział coś na temat jego charakteru, ale nie potrafił tego udowodnić. Wydawało się to nie fair, ale było podyktowane pragmatyzmem – w przeciwnym wypadku Ryan musiałby odwiedzać mnóstwo barów i obijać wiele pysków, niewiele z tego mając. A wysłanie policji, czy piechoty morskiej, żeby zajęli się takimi sprawami, raczej nie mieściłoby się w kategorii właściwego wykorzystania prezydenckich uprawnień.

Jack wiedział, że jest zdecydowanie zbyt wrażliwy, by sprawować ten urząd. Zawodowi politycy byli z reguły tak gruboskórni, że skóra nosorożca wyglądała przy nich jak płatki różane, ponieważ liczyli się z tym, że będą obrzucani błotem i kamieniami, czasem słusznie, czasem nie. Gruba skóra trochę łagodziła ból, aż w końcu ludzie przestawali rzucać, a przynajmniej tak głosiła teoria. Może nawet czasem się sprawdzała. Albo może ci dranie nie mieli sumienia. Jedno, albo drugie.

Ale Ryan miał sumienie. Tego wyboru dokonał już dawno. W końcu codziennie trzeba było spojrzeć w lustro, zwykle przy goleniu, i niełatwo byłoby się pogodzić z tym, że nijak nie da się lubić twarzy, którą się tam widziało.

– No, dobra, George, wracajmy do ChRL – polecił prezydent.

– Zamierzają rozkręcić handel, oczywiście tylko w jedną stronę. Zniechęcają swoich obywateli do kupowania amerykańskich towarów, ale sprzedają, co się tylko da. Pewnie łącznie z tymi młodymi dziewczycami Mao.

– Czym dysponujemy, żeby to udowodnić?

– Jack, przywiązuję wielką wagę do wyników, a poza tym mam w różnych branżach przyjaciół, którzy nadstawiają ucha i rozmawiają z ludźmi przy drinkach. To, czego się dowiadują, często trafia do mnie. Wiesz, wielu Chińczyków ma taką dziwną cechę fizjologiczną: jeden drink do dla nich tyle, co dla nas cztery czy pięć, a drugi drink, to jak obciążenie całej butelki Jacka Danielsa, a mimo to nie brakuje głupków, którzy za wszelką cenę próbują dotrzymać tempa. Może jest to podyktowane jakimiś zasadami gościnności. Tak czy inaczej, rozmowy stają się w takich sytuacjach, no, wiesz, swobodniejsze. Sprawa jest znana nie od dziś, ale ostatnio Mark Gant trochę to zaaranżował. Menedżerowie wysokiego szczebla, bywający w pewnych specjalnych miejscach... w końcu Tajna Służba należy teraz do mnie i przecież do ich obowiązków należy również zwalczanie niektórych rodzajów przestępczości gospodarczej, prawda? A wielu moich starych przyjaciół wie, kim teraz jestem i czym się zajmuję. Bardzo fajnie współpracują i dostają od nich mnóstwo przydatnych informacji, które przekazuję głównie moim ludziom po drugiej stronie ulicy.

– Jestem pod wrażeniem, George. Podrzucasz to do CIA?

– Chyba mógłbym, ale obawiałem się, że będą wkurzeni wkroczeniem na ich teren i tak dalej.

Słyszac to, Ryan przewrócił oczami. – Ed Foley na pewno nie. To prawdziwy zawodowiec, a biurokratyczna machina w Langley jeszcze go nie wciągnęła w swoje tryby.

Zaproś go do swojego gabinetu na lunch. Nie będzie miał nic przeciw temu, co robisz. To samo odnosi się do Mary Pat. MP kieruje wydziałem operacyjnym. To prawdziwa kowbojka i też zależy jej na wynikach.

– Przyjąłem do wiadomości. Wiesz, Jack, to fascynujące, ile ludzie mówią i co mówią, kiedy się zadba o odpowiednie warunki.

– Jak zrobiłeś te wszystkie pieniądze na Wall Street, George? – spytał Ryan.

– Głównie dzięki temu, że wiedziałem trochę więcej niż inni faceci – odpowiedział

Winston.

– Ze mną było tak samo. No, dobra, co powinniśmy zrobić, jeśli nasi chińscy przyjaciele serio się wezmą za to, co podejrzewamy?

– Jack... Nie, w tym wypadku stosowne będzie: panie prezydencie, finansujemy chińską ekspansję przemysłową już od dobrych kilku lat. Sprzedają nam swoje towary, my płacimy gotówką, a oni przeznaczają te pieniądze na realizację własnych celów na międzynarodowych rynkach finansowych, albo kupują potrzebne im towary od innych krajów, przy czym często są to towary, które równie łatwo mogliby kupić od nas, chociaż amerykańscy producenci liczą sobie może pół procenta drożej. Teoretycznie rzecz biorąc, handel polega na tym, że wymieniasz coś swojego na coś, co posiada druga strona... wiesz, jak dzieciaki, zamieniające się na znaczki... ale tamci nie prowadzą gry według tych reguł. Stosują też dumping, żeby tylko dostać dolary, sprzedają tutaj część swoich towarów po cenach niższych od tych, za które sprzedają je swoim obywatelom. Formalnie rzecz biorąc, jest to naruszenie kilku przepisów federalnych. Okay – Winston wzruszył ramionami – egzekwujemy te

przepisy nieco selektywnie, ale one istnieją i mają moc prawną. Dorzucimy do tego Ustawę o Reformie Handlu, którą uchwaliliśmy kilka lat temu w reakcji na zagrania Japońców...

– Pamiętam, George. Zapoczątkowało to małą wojenkę, w której zginęło trochę ludzi –

zauważył oschle prezydent. Co gorsza, prawdopodobnie zapoczątkowało też proces, którego rezultatem była obecność Ryana w tym gabinecie.

Sekretarz skarbu skinął głową. – Prawda, ale prawo pozostaje prawem. Nie był to jakiś edykt o banicji, mający zastosowanie wyłącznie wobec Japonii. Jack, jeśli zastosujemy wobec Chin takie same przepisy, jakie oni stosują wobec nas, ich rachunki dewizowe bardzo się skurczą. Czy to coś złego? Nie, jeśli wziąć pod uwagę, jak wielki jest nasz deficyt w handlu z Chinami. Wiesz, Jack, jeśli zaczną produkować samochody, postępując tak samo, jak we wszystkich innych dziedzinach, nasz deficyt handlowy bardzo szybko mógłby się stać naprawdę poważnym problemem. Poza tym, szczerze mówiąc, mam już dość tego, że musimy finansować ich rozwój gospodarczy, który oni realizują, kupując maszyny i urządzenia w Japonii i Europie. Chcą handlować ze Stanami Zjednoczonymi? Proszę bardzo, ale niech to będzie handel. Potrafimy zwyciężyć w każdej uczciwej wojnie handlowej z dowolnym krajem, ponieważ amerykańscy robotnicy potrafią produkować równie dobrze, jak ktokolwiek inny na świecie i lepiej niż większość innych. Ale jeśli pozwolimy się oszukiwać, zostaniemy oszukani, Jack i wcale mi się to nie podoba, tak samo, jak nie podoba mi się, kiedy ktoś oszukuje przy kartach. Tyle że tutaj, stary, stawki są naprawdę cholernie wysokie.

– Rozumiem, George, ale przecież nie chcemy im przystawiać pistoletu do głowy, prawda? Tego się nie robi w stosunkach z innym państwem, zwłaszcza wielkim państwem, chyba że ma się ku temu poważne powody. Nasza gospodarka ma się całkiem dobrze, prawda? Możemy sobie pozwolić na trochę wspaniałomyślności.

– Być może, Jack. Myślałem raczej o jakiejś przyjacielskiej zachęcie, a nie o sięganiu po broń. Tę zawsze mamy na podorędziu, naszą najcięższą armatą jest klauzula najwyższego uprzywilejowania i oni o tym wiedzą, a my wiemy, że oni wiedzą. KNU możemy użyć wobec każdego kraju, a tak się składa, że koncepcję, leżącą u podstaw tej zasady, uważam za na wskroś racjonalną. KNU jest bardzo pomocne jako kij, którym można pogrozić innym krajom, ale wobec ChRL nigdy tego nie próbowaliśmy. Dlaczego?

Prezydent wzruszył ramionami, wyraźnie zakłopotany. – Ponieważ nie miałem jeszcze okazji, żeby to zrobić, a przede mną zbyt wielu ludzi w tym mieście było wręcz gotowych całować Chińczyków w tę ich kolektywną dupę.

– Ma się potem niesmak w ustach, prawda, panie prezydencie?

– Owszem – zgodził się Jack. – No, dobra, omów to ze Scottem Adlerem. To jemu podlegają wszyscy ambasadorowie.

– Kogo mamy w Pekinie?

– Carla Hitcha. To zawodowy dyplomata, sporo po pięćdziesiątce, podobno bardzo dobry, a Pekin

jest jego placówką pożegnalną.

– Zapłata za te wszystkie lata wiernej służby?

Ryan skinął głową. – Chyba coś w tym rodzaju, ale nie jestem pewien. Nie miałem nic wspólnego z biurokracją w Departamencie Stanu. – Nie dodał głośno, że CIA była pod tym względem wystarczająco paskudna.

Bart Mancuso doszedł do wniosku, że ten gabinet jest znacznie przyjemniejszy. No i dystynkcje na ramionach jego białego munduru były teraz trochę cięższe, z czterema gwiazdkami zamiast dwóch, które nosił jako COMSUBPAC – Dowódca Sił Podwodnych na Pacyfiku. Ale tamte czasy już minęły. Jego były szef, admirał Dave Seaton, awansował na szefa Operacji Morskich, a potem prezydent (albo ktoś z jego najbliższego otoczenia) uznał, że to Mancuso powinien zostać następnym C1NCPAC – Głównodowodzącym Siłami Zbrojnymi USA na Pacyfiku. I oto pracował teraz w tym samym gabinecie, który kiedyś zajmował Chester Nimitz, a potem inni dobrzy – a niektórzy nawet świetni – oficerowie Marynarki. To była daleka droga od akademika dla podchorążych pierwszego rocznika Akademii Marynarki Annapolis, zwłaszcza, że dowodził dotychczas tylko jednym okrętem, USS „Dallas”, chociaż był to pamiętny rejs, z dwiema operacjami, o których do dziś nikomu nie wolno mu było opowiedzieć. A to, że służył kiedyś, choć niedługo, na jednym okręcie z obecnym prezydentem, prawdopodobnie niespecjalnie zaszkodziło jego karierze.

Nowa funkcja wiązała się z luksusową służbową rezydencją, całkiem sporym oddziałem marynarzy, którzy opiekowali się nim i żoną – chłopcy byli już na studiach – służbowymi samochodami z kierowcami, a także z uzbrojonymi ochroniarzami, ponieważ, o dziwo, zdarzali się ludzie, którzy nie darzyli admirałów szczególną sympatią. Jako dowódca połowy Marynarki, Mancuso podlegał teraz bezpośrednio sekretarzowi obrony Anthonyemu Bretano, który z kolei podlegał bezpośrednio prezydentowi Jackowi Ryanowi. Nowa funkcja niosła też ze sobą wiele nowych przywilejów. Miał teraz bezpośredni dostęp do informacji wywiadowczych, łącznie z tymi najświętszymi ze świętych – do źródeł i metod – czyli do wiedzy, skąd informacje pochodziły i jak zostały zdobyte, ponieważ jako główny amerykański dowódca wojskowy na jednej czwartej powierzchni globu ziemskiego musiał to wszystko wiedzieć, żeby móc doradzać sekretarzowi obrony, który z kolei powiadamiał

prezydenta o opiniach, zamiarach i pragnieniach swego dowódcy na Pacyfiku.

Mancuso, który właśnie zakończył swoją pierwszą poranną odprawę wywiadowczą, pomyślał, że Pacyfik wydaje się być w porządku. Oczywiście nie zawsze tak było, także ostatnio, kiedy stoczył całkiem sporą batalię – „wojna” była słowem, które popadło w wielką niełaskę w cywilizowanych dysputach – z Japończykami. Stracił wtedy dwa ze swych atomowych okrętów podwodnych – zostały zniszczone podstępnie i zdradziecko, jak uważał

Mancuso, chociaż bardziej obiektywny obserwator mógłby określić taktykę, zastosowaną przez wroga, jako przemyślną i skuteczną.

Poprzednio Mancuso był informowany o lokalizacji i działaniach swoich okrętów podwodnych, ale teraz otrzymywał również informacje o swoich lotniskowcach, niszczycielach, krążownikach i jednostkach zaopatrzeniowych, a także o siłach piechoty morskiej, a nawet o formacjach sił lądowych i powietrznych, które podlegały mu jako głównodowodzącemu teatru działań. Wszystko to oznaczało, że poranna odprawa przeciągnęła się do trzeciej filiżanki kawy, po której Mancuso spojrział tęsknym wzrokiem na drzwi toalety dla dowództwa, znajdującej się o kilka metrów od jego biurka. Do licha, jego zastępca ds. wywiadu, nazywany J-2, był jednogwiazdkowym generałem Armii, odkomenderowanym tu czasowo w ramach „integracji” i Mancuso musiał ucziwie przyznać, że radził sobie całkiem dobrze. Generał Mike Laht, oprócz wykonywania innych obowiązków, wykładał jeszcze nauki polityczne w West Point. Konieczność brania pod uwagę czynników politycznych była czymś nowym w karierze Mancuso, ale wiązała się ze zwiększonym obszarem dowodzenia. CINCPAC zaliczył oczywiście po drodze swoją

„integracyjną” turę i był teoretycznie zaznajomiony z możliwościami i orientacją bratnich rodzajów wojsk, ale wszelka pewność siebie, jaką zdobył w tej tematyce, stopniała w konfrontacji z odpowiedzialnością dowódcy za wykorzystanie takich sił w profesjonalny sposób. Cóż, miał podporządkowanych sobie dowódców tych rodzajów wojsk, którzy mieli mu służyć radą, ale jego zadaniem było wiedzieć więcej, niż tylko jak zadawać pytania. Dla Mancuso oznaczało to konieczność pobrudzenia sobie munduru i zapoznania się ze stroną praktyczną, ponieważ młodzi żołnierze, odkomenderowani do jego teatru działań, płaciliby krwią, gdyby on nie wywiązał się ze swego zadania.

Ekipę zorganizowano w ramach wspólnego przedsięwzięcia z udziałem Atlantic Richfield Company, British Petroleum i największej rosyjskiej firmy, zajmującej się poszukiwaniem ropy naftowej. Ta ostatnia miała największe doświadczenie, ale najslabsze podstawy naukowe i posługiwała się najbardziej prymitywnymi metodami. Nie znaczyło to jednak, że rosyjscy poszukiwacze ropy byli głupi. Na pewno nie. Dwaj z nich byli zdolnymi geologami, których wiedza teoretyczna wywierała duże wrażenie na ich amerykańskich i brytyjskich kolegach.

Co więcej, w korzyściach, jakie dawał nowoczesny sprzęt zorientowali się równie szybko, jak inżynierowie, którzy projektowali te urządzenia.

Wiedziano od wielu lat, że ta część Syberii Wschodniej była geologicznym bliźniakiem regionu North Slope na Alasce i w północnej Kanadzie, który okazał się wielkim zagłębieniem naftowym, czekającym na eksploatację. W wypadku Syberii Wschodniej trudność polegała na dostarczeniu tam odpowiedniego sprzętu, żeby się przekonać, czy podobieństwo było więcej niż zewnętrzne.

Problemy z transportem sprzętu były koszmarnie. Potężne ciężarówki z płytami wibracyjnymi⁷, o wiele za ciężkie, żeby przewozić je samolotami, dostarczono pociągiem z portu we Władywostoku do południowo-wschodniej części Syberii. Miesiąc zajął im potem przejazd trasą, biegnącą na

północ od Magdagaczi, przez Aim i Ust Maja, aż do Kazachie, gdzie były potrzebne.

Ale to, co tam zastali, wprawiło ich w osłupienie. Od Kazachie nad rzeką Jana aż po miejscowość Kołymskaja nad Kołymą rozciągało się pole naftowe, mogące rywalizować z zasobami ropy nad Zatoką Perską. Posługując się ciężkim sprzętem i pojazdami do badań sejsmicznych, wyposażonymi w przenośne komputery, zlokalizowano serię zaskakująco wielu idealnych formacji podziemnych, zwanych fałdami kopulastymi, niektóre na głębokości zaledwie sześciuset metrów, tylko kilkadziesiąt metrów pod wieczną zmarzliną, a przewiercenie się przez nią było mniej więcej tak samo trudne, jak pokrojenie tortu weselnego kawaleryjską szablą. Zasobów tego pola nie można było oszacować bez przeprowadzenia próbných odwiertów – potrzebne będzie ponad sto, z uwagi na same rozmiary pola, pomyślał

główny inżynier amerykański – ale już teraz można było powiedzieć, że nikt nie widział dotąd równie obiecującego i tak wielkiego złoża roponośnego. Problemów z jego eksploatacją będzie, oczywiście, niemało. Z wyjątkiem Antarktydy, nie było na Ziemi miejsca, w którym klimat byłby równie surowy. Dostarczenie tu sprzętu wydobywczego musiało pochłonąć lata wieloetapowych wysiłków, konieczne było wybudowanie lotnisk, prawdopodobnie również portów dla frachtowców, bo tylko one mogły transportować – i to tylko w ciągu kilku letnich miesięcy – materiały i urządzenia, potrzebne do budowy rurociągu, niezbędnego, żeby ropę dostarczyć na rynek. Amerykanie przypuszczali, że rurociąg zostanie doprowadzony do Władywostoku. Tam Rosjanie mogliby sprzedawać ropę, a supertankowce transportowałyby ją przez Pacyfik, może do Japonii, może do Ameryki albo jeszcze gdzie indziej, gdzie potrzebowano ropy, czyli prawie wszędzie. Odbiorcy płaciliby twardą walutą. Potrzeba było wielu lat, żeby Rosja zdołała zbudować całą infrastrukturę, niezbędną, by jej własny przemysł

i konsumenci mogli korzystać z tej ropy, ale mogło się zdarzyć i tak, że środki, uzyskane ze sprzedaży ropy syberyjskiej zostaną przeznaczone na zakup ropy z innych źródeł, umożliwiających znacznie łatwiejszy transport do rosyjskich portów, a stamtąd do istniejących w Rosji rurociągów. Różnica kosztów sprzedaży i kupna, przeciwstawiona budowie monstrualnego i monstrualnie drogiego rurociągu z tego zagłębia do uprzemysłowionych rejonów Rosji, była w każdym wypadku pomijana, a decyzje tego rodzaju podejmowano zwykle kierując się względami politycznymi, a nie ekonomicznymi.

7 Thumper trucks, vibroseis trucks, „tańczące słonie” - wielkie pojazdy, wyposażone w płyty, które, uderzając w ziemię, wywołują fale sejsmiczne, rejestrowane następnie przez seismografy lub geofony. Komputerowa analiza zebranych w ten sposób danych umożliwia dokładne poznanie układu formacji skalnych pod powierzchnią ziemi (przyp. tłum.)

Dokładnie o tej samej porze i zaledwie tysiąc kilometrów dalej, inna ekipa geologów znajdowała się na wschodnim krańcu pasma górskiego Sajana. Ludzie z któregoś z koczowniczych plemion w tym rejonie, utrzymujących się od stuleci z hodowli reniferów, przynieśli do siedziby władz jakieś żółte,

połyskujące skały. Co najmniej od trzydziestu wieków mało kto na świecie nie zdawał sobie sprawy, co znaczą takie skały, więc na miejsce wysłano ekipę badawczą z moskiewskiego Uniwersytetu Łomonosowa, który wciąż był

najbardziej prestiżową uczelnią w kraju. Ci specjaliści mogli skorzystać z transportu lotniczego, ponieważ ich sprzęt był o wiele lżejszy, a ostatnie kilkaset kilometrów pokonali konno; cóż za wspaniały anachronizm w wypadku ekipy naukowców, o wiele bardziej przywykłych do jeżdżenia wygodnym moskiewskim metrem.

Po przybyciu na miejsce natknęli się na mężczyznę po osiemdziesiątce, który żył

samotnie, miał swoje stado i sztucer do odpędzania wilków. Ten obywatel żył samotnie od czasu śmierci żony przed dwudziestu laty i został zupełnie zapomniany przez kolejne rządy swego kraju. O jego istnieniu wiedziało tylko paru sklepikarzy w zapadłej wsi trzydzieści kilometrów na południe. Stan umysłu tego człowieka odzwierciedlał jego długoletnią izolację.

Każdego roku udawało mu się ustrzelić trzy, czasem cztery wilki; jak każdy myśliwy i pasterz zachowywał ich skóry, ale była pewna różnica. Najpierw obciążał je kamieniami i wkładał do rzeczki, która przepływała koło jego chaty.

W literaturze dobrze znana jest opowieść o Jazonie, Argonautach i ich bohaterskiej wyprawie po Złote Runo. Jeszcze do niedawna nie wiadano, że legenda o Złotym Runie miała całkiem realne podstawy; narody Azji Mniejszej umieszczały owcze skóry w strumieniach, żeby łapać w nie złoty pył, wymywany z wyżej położonych złóż. Białe włókna wełny zmieniały się w coś, co wyglądało niemal magicznie.

Nie inaczej było i tutaj. Wilcze futra, które geologowie zobaczyli wiszące na ścianach chaty starego żołnierza, na pierwszy rzut oka wyglądały jak rzeźby renesansowych mistrzów, albo nawet artystów z czasów egipskich faraonów, tak równo były pokryte złotem. A potem naukowcy ustalili, że każde takie futro ważyło dobre sześćdziesiąt kilogramów, a w sumie było ich trzydzieści cztery! Kiedy usiedli ze starym przy niezbędnej butelce dobrej wódki, dowiedzieli się, że nazywa się Paweł Pietrowicz Fomin, że walczył przeciw faszystom w wielkiej wojnie ojczyźnianej jako strzelec wyborowy i, co było szczególnie godne uwagi, że dwukrotnie otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego za mistrzostwo strzeleckie, jakim wykazał się głównie w bitwach o Kijów i Berlin. Wdzięczna ojczyzna pozwoliła mu powrócić na ziemię ojców – okazało się, że był potomkiem przedsiębiorczych Rosjan, którzy przybyli na Syberię na początku dziewiętnastego wieku – po czym został zapomniany przez biurokratów, których tak naprawdę mało obchodziło, skąd się bierze mięso reniferów, stanowiące pożywienie dla miejscowej ludności, i kim jest ten człowiek, odbierający emeryturę, żeby kupić amunicję do swego starego sztucera. Paweł Pietrowicz zdawał sobie sprawę z wartości złota, które znalazł, ale nigdy nie próbował go sprzedawać, ponieważ był

całkiem zadowolony ze swego samotniczego życia. Złote złożo, znajdujące się o kilka kilometrów w górę strumienia od miejsca, w którym wilki „po raz ostatni szły się kąpać” –

jak to nazywał Paweł Pietrowicz, mrugając i pociągając łyk wódki – okazało się godne uwagi, zapewne w takim samym stopniu, jak to w Afryce Południowej, odkryte w połowie dziewiętnastego wieku, a przecież tamto okazało się najbogatszą kopalnią złota w historii świata. Tutejszego złota nie znaleziono wcześniej z kilku powodów, głównie związanych z okrutnym syberyjskim klimatem, który, po pierwsze, uniemożliwiał szczegółowe zbadanie tych ziem, a po drugie sprawiał, że tutejsze strumienie przez tyle miesięcy w roku były skute lodem, przez co złotonośne piaski w ich korytach nigdy nie zostały zauważone.

Obie ekipy – ta szukająca ropy i ta, która miała zbadać złotonośne skały – wyruszyły w teren, wyposażone w telefony satelitarne, żeby móc szybko zameldować, co znalazły.

Przypadek zrzucił, że obie zrobiły to tego samego dnia.

Satelitarny system łącznościowy Iridium, z którego korzystały, był wielkim przełomem w telekomunikacji globalnej. Za pomocą przenośnego urządzenia można się było łączyć z konstelacją dedykowanych satelitów łącznościowych, krążących na małej wysokości i przekazujących sygnały z prędkością światła (czyli prawie natychmiast, ale nie całkiem) do konwencjonalnych satelitów łącznościowych, a stamtąd na Ziemię.

Zadaniem systemu Iridium było ułatwienie łączności w skali globalnej. Nie zaprojektowano go jednak jako systemu, zabezpieczonego przed nasłuchem. Były i na to sposoby, ale wszystkie wymagały od indywidualnych użytkowników zastosowania własnych środków bezpieczeństwa. W handlu były dostępne 128-bitowe systemy szyfrowania, wyjątkowo trudne do złamania nawet przez najwyżej rozwinięte kraje i ich tajne służby... a przynajmniej tak sądzili sprzedawcy. Ale, rzecz ciekawa, mato kto zawracał tym sobie głowę.

To lenistwo bardzo ułatwiało życie Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Był tam system komputerowy Echelon, zaprogramowany do prowadzenia nasłuchu każdej rozmowy w eterze i zwracania uwagi na pewne słowa kluczowe. Większość tych słów stanowiły rzeczowniki, mające związek z bezpieczeństwem narodowym, ale od zakończenia zimnej wojny ABN i inne agencje przywiązywały większą wagę do spraw ekonomicznych, więc przybyły takie słowa kluczowe, jak „ropa”, „złoże”, „kopalnia”, „złoto” i podobne, wszystkie w trzydziestu ośmiu językach. Kiedy któreś z tych słów wpadło w elektroniczne ucho systemu Echelon, dalszy ciąg rozmowy był nagrywany i transkrybowany, a w razie potrzeby także tłumaczony, wszystko komputerowo. W żadnym wypadku nie był to system doskonały, a niuanse językowe wciąż okazywały się trudnym problemem dla programu komputerowego – nie mówiąc o skłonności wielu ludzi do mamrotania w słuchawkę – ale w razie wpadki komputera, oryginalne nagranie rozmowy przesłuchiwał jeden z lingwistów, których niemało zatrudniała Agencja Bezpieczeństwa Narodowego.

Meldunki o ropie naftowej i złocie nadeszły w odstępie zaledwie pięciu godzin i szybko powędrowały drogą służbową, by jako PILNE SIW (Specjalne Informacje Wywiadowcze) trafić z samego rana na biurko prezydenta za pośrednictwem jego doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego doktora Benjamin Goodleya. Przedtem informacje te zostały jeszcze przeanalizowane przez ekipę z Wydziału Nauki i Techniki CIA, przy znacznej pomocy ekspertów z Instytutu Nafty w Waszyngtonie; niektórzy członkowie tego instytutu od dawna utrzymywali serdeczne stosunki z różnymi agendami rządowymi. We wstępnej ocenie –

dopilnowano, żeby tak właśnie to przedstawiono: wstępna, co miało zapobiec oskarżeniu kogoś za popełnienie pomyłki, gdyby ocena miała się kiedyś okazać błędna – użyto kilku starannie dobranych superlatyw.

– Jasna cholera! – zawołał prezydent o 8.10. – Ben, powiedz mi, ile tam tego naprawdę jest?

– Nie ufa pan naszym geniuszom technicznym? – spytał doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

– Ben, kiedy pracowałem po drugiej stronie rzeki, ani razu nie przyłapałem ich na pomyłce w tego rodzaju sprawach, ale niech mnie diabli, jeśli nie przyłapałem ich na niedocenianiu tego i owego. – Ryan zamyślił się przez chwilę. – Jezu, jeśli nawet to zaniżone dane, implikacje będą ogromne.

– Panie prezydencie – Goodley nie należał do najbliższego otoczenia Ryana – mamy do czynienia z miliardami, nikt nie wie dokładnie z iloma, ale jest to co najmniej dwieście miliardów dolarów w ciągu najbliższych pięciu do siedmiu lat. To już pieniądze, z których Rosjanie mogą zrobić użytek.

– A prognoza maksymalna?

Goodley odchylił się na krześle i odetchnął głęboko. – Musiałbym sprawdzić. Bilion, czyli tysiąc miliardów. Tak może wyglądać wariant optymistyczny. To na razie czysta spekulacja, ale faceci z Instytutu Nafty, z których pomocy korzysta CIA, na widok tych danych chórem wołali podobno: „Jasna cholera!”.

– Dobra wiadomość dla Rosjan – powiedział Jack, wertując SIW.

– Rzeczywiście, sir.

– Najwyższy czas, żeby wreszcie dopisało im szczęście – pomyślał głośno prezydent. –

Dobra, przekaż kopię tego wszystkiego George’owi Winstonowi. Niech się zastanowi, jakie to będzie miało znaczenie dla naszych przyjaciół w Moskwie.

– Zamierzałem zadzwonić do paru ludzi z Atlantic Richfield. Uczestniczyli w tych badaniach. Sądzę, że podzielą się rezultatami. Ich szefem jest Sam Sherman. Zna go pan?

Ryan pokręcił głową. – Znam nazwisko, ale nigdy się nie spotkaliśmy. Sądzisz, że należałoby to zmienić?

– Jeśli zależy panu na rzetelnych informacjach, to spotkanie z Shermanem na pewno nie zaszkodzi.

Ryan skinął głową. – W porządku, może poproszę Ellen, żeby mnie z nim umówiła. –

Ellen Sumter, jego osobista sekretarka, siedziała pięć metrów dalej, za rzeźbionymi drzwiami.

– Co jeszcze?

– Rosjanie wciąż poszukują sprawców zamachu na tego alfonsa w Moskwie, ale nie mam w tej sprawie nic nowego do zameldowania.

– Dobrze byłoby wiedzieć o wszystkim, co się dzieje na świecie, nieprawdaż?

– Nie jest tak źle, sir – powiedział Goodley swemu szefowi.

– Słusznie. – Ryan rzucił raport SIW na biurko. – Coś jeszcze?

Goodley pokręcił głową. – Na dziś to już wszystko, panie prezydencie.

Ryan uśmiechnął się do niego.

Rozdział 4

Szarpanie za kłamkę

Nieważne, w jakim jest się mieście, czy kraju, powiedział do siebie Mike Reilly, policyjna robota jest wszędzie taka sama. Rozmawia się ze świadkami, rozmawia się z ludźmi zamieszanymi w sprawę, rozmawia się z ofiarą.

No, tym razem nie będzie rozmowy z ofiarą. Grisza Awsiejenko już nigdy z nikim nie porozmawia. Przydzielony do tej sprawy patolog powiedział, że nie widział takich jatek od czasu, kiedy jako żołnierz służył w Afganistanie. Zadaniem RPG było wybijanie dziur w pojazdach opancerzonych i w betonowych bunkrach, co było znacznie trudniejsze niż zniszczenie samochodu pasażerskiego, nawet tak solidnego, jak ten z placu Dzierżyńskiego.

W efekcie ciała ludzi, znajdujących się w tym samochodzie zostały zmasakrowane tak, że trudno je było zidentyfikować. Okazało się, że w połowie szczęki zachowało się wystarczająco

wiele

leczonych

zębów,

że

można

było

stwierdzić

z

dużym

prawdopodobieństwem, iż ofiarą był rzeczywiście Grigorij Filipowicz Awsiejenko. Grupa krwi też się zgadzała, a ostateczną pewność miała dać analiza DNA. Z ciała nie pozostało tyle, żeby mógł je zidentyfikować ktoś z bliskich – na przykład twarzy w ogóle nie było, podobnie jak lewego przedramienia, na którym znajdował się tatuaż. Śmierć była natychmiastowa, zameldował patolog, kiedy zbadane szczątki ludzkie zostały zapakowane do plastikowego pojemnika, który z kolei znalazł się w dębowej skrzynce. Miały zostać skremowane, prawdopodobnie – moskiewska milicja musiała się upewnić, czy zmarły nie miał jakiejś rodziny, a jeśli tak, to jakie były dyspozycje w sprawie zwłok. Porucznik Prowałow zakładał, że wybór padnie na kremację. W jakimś sensie była to metoda szybka i czysta, a przy tym o wiele łatwiej – nie mówiąc o kosztach – było znaleźć miejsce ostatniego spoczynku dla niewielkiej szkatułki czy urny niż dla pełnowymiarowej trumny ze zwłokami w środku.

Prowałow wziął raport patologa z powrotem od swego amerykańskiego kolegi. Nie oczekiwał po tej ekspertyzie niczego szczególnie interesującego, ale jedną z rzeczy, których nauczył się w kontaktach z amerykańskim FBI, było to, że wszystko należało wnikliwie sprawdzić, bo próba przewidzenia, co może przynieść przełom w śledztwie przypominała wytypowanie wyników dziesięciu meczów piłkarskich na dwa tygodnie przed rozpoczęciem sezonu. Procesy myślowe przestępców były często tak chaotyczne, że wszelkie prognozowanie nie miało sensu.

A przecież prawdziwe trudności mieli dopiero przed sobą. Ekspertyza patologiczna kierowcy była w zasadzie bezużyteczna. Jediną przydatną do czegoś informacją była grupa krwi (można ją będzie porównać z danymi w jego kartotece wojskowej, o ile kiedykolwiek uda się ją znaleźć), ponieważ ciało zostało tak zmasakrowane, że nie zachowało się nic, co umożliwiłoby identyfikację, żaden znak szczególny, chociaż, jak na ironię, dokumenty w jego portfelu przetrwały, więc prawdopodobnie wiedzieli już, kto to był. Tak samo było z kobietą w tym samochodzie. Jej torebka, leżąca na siedzeniu obok właścicielki, była prawie nieuszkodzona, zachowały się i dokumenty... w odróżnieniu od jej twarzy i górnej części tułowia. Reilly popatrzył na zdjęcia tych dwojga; zakładał, że to właśnie ci ludzie. Kierowca był zupełnie przeciętny, może tylko trochę sprawniejszy fizycznie, jak na tutejsze standardy.

Kobieta – jedna z kosztownych dziwerek tego alfonsa, odnotowana w kartotekach policyjnych –

była wspaniała, warta castingu w Hollywood i na pewno wystarczająco ładna, żeby się dostać na rozkładówkę „Playboya”. No, teraz już nie.

– I co, Miszka, zajmowałeś się tyłoma zbrodniami, że nie robi to już na tobie wrażenia? –

spytał Prowałow.

– Uczciwie? – spytał Reilly, po czym pokręcił głową. – Nie, wcale nie mamy do czynienia z tak wieloma zabójstwami, zajmujemy się tylko tymi, które zostały popełnione na terenach federalnych, w

rezerwatach Indian czy w bazach wojskowych. Za to miałem do czynienia z paroma porwaniami i mogę cię zapewnić, że nie da się do tego przywyknąć. –

Zwłaszcza że, pomyślał Reilly, nie mówiąc tego głośno, porwania dla okupu już się w Ameryce prawie nie zdarzały. Teraz dzieci były porywane jako obiekty seksualne i najczęściej zabijane w ciągu pięciu godzin, często zanim jeszcze FBI zdążyła zareagować na prośbę lokalnej policji o pomoc. Ze wszystkich zbrodni, z którymi Reilly miał do czynienia, te były zdecydowanie najgorsze, z gatunku takich, po których człowiek idzie do najbliższego baru, popularnego wśród ludzi z FBI – każdy oddział terenowy Biura miał taki bar – i pije o kilka kieliszków za dużo, siedząc w milczeniu wśród równie ponurych i milczących kolegów, przysięgając tylko czasem, że dopadnie tego sukinsyna, choćby nie wiem co. I najczęściej ci dranie zostawali aresztowani, postawieni w stan oskarżenia, a potem skazani, i ci, którzy mieli szczęście, szli do celi śmierci. Ci, których skazano w stanach, w których zniesiono karę śmierci, szli do zwyczajnych więzień i szybko dowiadywali się, co zwyczajni kryminaliści sądzą o pedofilach. – Ale rozumiem, o co ci chodzi, Olegu Grigorijewiczu. To jedna z tych rzeczy, które trudno wytłumaczyć zwykłym ludziom. – Morderca pozbawiał ofiarę nie tylko życia, lecz także godności i było to takie smutne. A zdjęcia z miejsca zbrodni były szczególnie makabryczne. Ta Maria Iwanowna Sablin była kiedyś piękna, ale teraz to piękno zachowało się już tylko we wspomnieniach, i to głównie we wspomnieniach mężczyzn, którzy ostatnio wykupili sobie prawo do dysponowania jej ciałem. Reilly zastanawiał się, kto oplakuje zmarłą dziwkę. Na pewno nie klienci, tacy idą po prostu do innej, nie zwracając sobie głowy. Koleżanki po fachu też chyba nie, a rodzina zapamięta ją zapewne nie jako dziecko, które dorosło i zeszło na złą drogę, lecz jako piękną, ale zepsutą kobietę, zawodowo udającą uniesienie, chociaż nie czuła przy tym więcej niż lekarz medycyny sądowej, który robił jej sekcję na stalowym stole w miejskiej kostnicy. Reilly zastanawiał się, czy prostytutki nie były w rzeczywistości patologami seksu. Niektórzy nazywali prostytutkę zbrodnią bez ofiar. Szkoda, że nie mogą spojrzeć na te zdjęcia i przekonać się, co może się zdarzyć, kiedy kobiety sprzedają swe ciała...

– Coś jeszcze, Oleg? – spytał Reilly.

– W dalszym ciągu przesłuchujemy tych, którzy coś wiedzieli o zmarłym. – I wzruszenie ramion.

– Naraził się ludziom, którym lepiej się nie narażać – powiedział informator i wzruszył

ramionami, pokazując, jak absurdalnie oczywista była odpowiedź na zadane mu właśnie pytanie. Jak inaczej człowiek o pozycji Awsiejenki mógł zginąć w tak spektakularny sposób?

– Co to za ludzie? – spytał milicjant. Nie oczekiwał sensownej odpowiedzi, ale cóż, musiał o to spytać, bo nigdy nie wiadomo, jaka może być odpowiedź.

– Jego byli koledzy z KGB – podsunął informator.

– O?

– A kto inny mógłby go zabić w taki sposób? Któraś z jego dziewczyn posłużyłaby się nożem. Rywal

z tego środowiska użyłby pistoletu, albo większego noża, ale RPG... bądźcie poważni, skąd wziąć coś takiego?

Oczywiście, nie on pierwszy głośno wyraził tę myśl, ale miejscowa milicja musiała wziąć pod uwagę, że wszelkiego rodzaju broń, ciężka i lekka, przedostawała się na czarny rynek w ten czy inny sposób z arsenałów Armii Radzieckiej.

– Masz dla nas jakieś nazwiska? – spytał sierżant milicji.

– Nazwiska nie znam, ale znam twarz. Facet jest wysoki, potężnie zbudowany, i wygląda na żołnierza, rudawe włosy, jasna karnacja, trochę piegów z młodości, zielone oczy. –

Informator przerwał na chwilę. – Przyjaciele wołają na niego Chłopczyk, bo ma taki młodzieńczy wygląd. Pracował kiedyś w aparacie bezpieczeństwa, ale nie jako szpieg i nie jako łapacz szpiegów. Zajmował się tam czymś innym, ale nie bardzo wiem, czym.

Słyszac to, sierżant zaczął robić dokładniejsze, bardziej czytelne notatki, mocniej przyciskając ołówek do żółtej kartki.

– I ten człowiek miał coś za złe Awsiejence?

– Tak słyszałem.

– A co to było?

– Tego nie wiem, ale Grigorij Filipowicz obraźliwie odnosił się do mężczyzn. Oczywiście z kobietami świetnie się potrafił obchodzić. Miał do tego prawdziwy talent, ale ten talent nie przenosił się na kontakty z mężczyznami. Wielu uważało go za *żopnika*, ale, oczywiście, on wcale taki nie był. Co wieczór pokazywał się z inną kobietą i nigdy nie były to brzydkie kobiety, ale z jakiegoś powodu nie umiał się dogadać z mężczyznami, nawet z tymi z KGB, gdzie, jak mówił, był kiedyś wielką szyszką.

– Aha – mruknął milicjant, znowu znudzony. Przestępcy uwielbiali szpan. Słyszał to już wszystko tysiące razy.

– Naprawdę. Grigorij Filipowicz mówił, że dostarczał kochanki najróżniejszym cudzoziemcom, w tym nawet paru ministrom i że te dziewczyny wciąż dostarczają cennych informacji Mateczce Rosji. Ja w to wierzę – zapewnił informator, znowu dorzucając swoje trzy grosze. – Wiele bym dał za tydzień z jednym z tych aniołów.

A kto by nie dał, pomyślał milicjant i ziewnął. – No więc, czym Awsiejenko naraził się tak potężnym ludziom? – powtórzył pytanie.

– Już mówiłem, że nie wiem. Pogadajcie z Chłopczykiem, może on będzie wiedział.

– Mówi się, że Grigorij zaczynał importować narkotyki – powiedział następnie milicjant, zarzucając kolejną wędkę i zastanawiając się, jaka też ryba może się czaić w mętnej wodzie.

Informator skinął głową. – To prawda. Tak mówiono. Ale nigdy nie zetknąłem się z żadnym dowodem, który by to potwierdzał.

– A kto mógł widzieć takie dowody?

Jeszcze jedno wzruszenie ramion. – Tego nie wiem. Może któraś z jego dziewczyn?

Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak on zamierzał rozprowadzać to, co chciał importować.

Wykorzystanie do tego dziewczyn byłoby, oczywiście, logiczne, ale niebezpieczne dla nich...

i dla niego, bo jego dziwki nie pozostałyby wobec niego lojalne, mając w perspektywie wyjazd do łagru. Cóż więc pozostaje w takiej sytuacji? – spytał retorycznie informator. –

Musiałby stworzyć całkiem nową organizację, a takie przedsięwzięcie też byłoby ryzykowne, prawda? Sądzę, że myślał o sprowadzaniu narkotyków i zarobieniu na tym mnóstwa pieniędzy, ale Grigorij nie był człowiekiem, który pragnąłby pójść do więzienia, więc sądzę, że tylko się nad tym zastanawiał i może trochę rozmawiał, ale niewiele. Nie sądzą, żeby podjął już ostateczną decyzję. Nie sądzą, żeby faktycznie sprowadził cokolwiek, zanim spotkał go koniec.

– A rywale, którzy mieli podobne pomysły?

– Nie muszę wam mówić, że są ludzie, którzy mogą załatwić kokainę i inne narkotyki.

Sierżant uniósł wzrok. Prawdę mówiąc, wcale nie wiedział tego na pewno. Słyszał

pogłoski i plotki, ale nie dysponował konkretnymi informacjami od ludzi, którym mógłby zaufać (na tyle, na ile w ogóle gliniarz może zaufać informatorowi). Narkotyki były jedną z tych rzeczy, o których głośno było na ulicach Moskwy, ale on, jak większość moskiewskich *Po rosyjsku wulgarne określenie aktywnego partnera w związku homoseksualnym (przyp. tłum.)* glin, oczekiwał raczej, że pojawią się najpierw w którymś z wielkich miast portowych, z

„tradycjami” zorganizowanej przestępczości, sięgającymi jeszcze czasów carskich. Jeśli w Moskwie powstał zorganizowany handel narkotykami, to był zjawiskiem tak nowym i tak niewielkim, że sierżant jeszcze się z nim nie zetknął. Postanowił popytać kolegów, czy problem narkotyków nie pojawił się gdzieś poza Moskwą.

– A cóż to za ludzie? – spytał sierżant. Jeśli w Moskwie powstawała siatka narkotykowa, równie dobrze mógł się czegoś o niej dowiedzieć.

Do obowiązków Nomuriego w Nippon Electric Company należała sprzedaż nowoczesnych komputerów biurowych i urządzeń peryferyjnych. Oznaczało to poszukiwanie klientów we władzach

ChRL, bo wysocy rangą biurokraci koniecznie musieli mieć wszystko co najnowocześniejsze i najlepsze, od samochodów po kochanki, a za wszystko płaciło państwo. Ono z kolei ściągало pieniądze od swego narodu, który biurokraci reprezentowali i chronili, jak umieli najlepiej. Podobnie, jak w wielu innych wypadkach, ChRL mogłaby kupować komputery marek amerykańskich, ale zdecydowała się zakupić trochę tańsze (i mniej wydajne) maszyny japońskie, tak samo jak przedkładała europejskie Airbusey nad amerykańskie Boeingi – tą kartą Chińczycy zagrali kilka lat temu, żeby dać nauczkę Amerykanom. Waszyngton poczuł się urażony, ale na krótko i szybko zapomniał o całej sprawie, co wydawało się być charakterystyczne dla amerykańskiego podejścia do takich kwestii, w odróżnieniu od Chińczyków, którzy nigdy niczego nie zapominali.

Kiedy prezydent Ryan ogłosił przywrócenie oficjalnego uznania rządu Republiki Chińskiej na Tajwanie, w korytarzach władzy w Pekinie zatrzęsło się, jak podczas wielkiego trzęsienia ziemi. Nomuri nie był tu wystarczająco długo, żeby na własne oczy zobaczyć tę zimną wściekłość, jaką wywołało amerykańskie posunięcie, ale i wstrząsy wtórne były wystarczająco silne, o czym przekonywał się raz po raz, od kiedy przybył do Pekinu.

Zadawano mu czasem pytania tak bezpośrednie i natarczywe, że chwilami zastanawiał się, czy przypadkiem nie został zdemaskowany jako „nielegalny” agent terenowy CIA w stolicy Chińskiej Republiki Ludowej, całkowicie pozbawiony dyplomatycznego parasola ochronnego. Ale nie o to chodziło. Pytania były powracającym echem politycznej furii.

Paradoksalnie, same władze chińskie próbowały nie dać się tej furii zaślepić, ponieważ musiały robić interesy ze Stanami Zjednoczonymi, swym największym obecnie partnerem handlowym i źródłem ogromnych ilości pieniędzy, potrzebnych rządowi w Pekinie na coś, czego ustalenie było zadaniem Nomuriego. I oto był tutaj, w sekretariacie jednej z najwyższych rangą osobistości tego kraju.

– Dzień dobry – powiedział z uśmiechem, kłaniając się sekretarce. Wiedział, że pracowała dla ministra Fang Gana, którego gabinet znajdował się za drzwiami. Była nadspodziewanie dobrze ubrana, jak na sekretarkę w kraju, w którym moda ograniczała się do koloru guzików na mundurku Mao, który był takim samym uniformem dla cywilnych urzędników, jak mundury z szarozielonej wełny dla żołnierzy Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

– Dzień dobry – odpowiedziała mu ta młoda dama. – Jesteś Nomuri?

– Tak, a ty...?

– Lian Ming – przedstawiła się sekretarka.

Ciekawe imię, pomyślał Chester. W dialekcie mandaryńskim lian oznaczało „pełną wdzięku wierzbę”. Była niska, jak większość Chinek, miała nieco kwadratową twarz i ciemne oczy. Najmniej pociągające były jej włosy, krótko obcięte i uczesane w sposób nasuwający najgorsze skojarzenia z Ameryką lat 50., a i to tylko z dziećmi biedoty w miasteczkach przyczep kempingowych w Appalachach. W sumie twarz Lian była klasycznie chińska, co tutaj było cechą bardzo pożądaną. Dobrze przynajmniej, że jej wzrok zdradzał inteligencję i wykształcenie.

– Przyszedłeś tu rozmawiać o komputerach i drukarkach – powiedziała obojętnym tonem, świadczącym, że przejęła od swego szefa trochę poczucia własnej ważności i centralnego miejsca we wszechświecie.

– Tak. Sądzę, że zwłaszcza nasza nowa drukarka mozaikowa bardzo się wam spodoba.

– A to dlaczego? – spytała Ming.

– Mówisz po angielsku? – spytał Nomuri w tym języku.

– Oczywiście – odpowiedziała Ming, również po angielsku.

– Więc łatwo mi to będzie wyjaśnić. Jeśli tekst w dialekcie mandaryńskim zapiszesz alfabetem łacińskim, mam na myśli zapis fonetyczny, ta drukarka automatycznie przetworzy go na chińskie znaki. Tak to wygląda – powiedział, podając sekretarce kartkę, którą wyjął z plastikowej obwoluty. – Pracujemy też nad systemem z drukarką laserową, dzięki której wydruk będzie wyglądał jeszcze lepiej.

– Ojej – westchnęła sekretarka. Jakość znaków była doskonała, z pewnością równie dobra, jak tych, które sekretarki mozolnie wystukiwały na monstrualnych rozmiarów maszynie do pisania, używanej do dokumentów oficjalnych, bo inaczej musiałyby je kaligrafować ręcznie, a potem powielić na jednej z japońskich kopiarek marki Canon. Cały ten proces był czasochłonny, uciążliwy i zniechęcający przez personel sekretariatu. – A co z formami fleksyjnymi?

Nieźle pytanie, przyznał Nomuri. Chiński był językiem tonalnym. Ton, w jakim wypowiedane było dane słowo, określał jego faktyczne znaczenie pośród nawet czterech możliwych i był jednym z czynników, decydujących o użyciu konkretnego chińskiego ideogramu.

– Czy znaki pojawiają się również na ekranie? – spytała sekretarka.

– Mogą, wystarczy kliknąć myszką – zapewnił ją Nomuri. – Pewną trudność może stanowić fakt, że trzeba myśleć równocześnie w dwóch językach – ostrzegł ją z uśmiechem.

Ming roześmiała się. – Och, tutaj jest tak zawsze.

Jej zębom przydałby się dobry ortodonta, pomyślał Nomuri, ale nie było ich zbyt wielu w Pekinie, podobnie jak przedstawiciele innych burżuazyjnych specjalności medycznych, takich jak chirurgia plastyczna. Tak czy inaczej, rozśmieszył ją, a to już było coś.

– Byłabyś zainteresowana prezentacją naszych nowych możliwości? – spytał agent terenowy CIA.

– Jasne, dlaczego nie. – Wydawała się trochę rozczarowana, że Nomuri nie może zrobić tego od razu.

– Doskonale, tylko że będę potrzebował przepustki, żeby wnieść sprzęt do tego gmachu.

Wiesz, wasi wartownicy.

Jak mogłam o tym zapomnieć? Dostrzegł to pytanie w jej oczach. Widział, że ganiła się w duchu za to niedopatrzenie. Postanowił kuć żelazo, póki gorące.

– Masz uprawnienia, żeby wydać mi zgodę, czy też musisz to skonsultować z kimś wyższym rangą? – Poczucie własnej ważności było piętą achillesową wielu komunistycznych biurokratów.

Pełen satysfakcji uśmiech. – Och, sama mogę wydać taką zgodę. Nomuri też się uśmiechnął. – Doskonale. Mogę tu być ze sprzętem, powiedzmy o dziesiątej rano.

– Dobrze. Ktoś będzie na ciebie czekał przy głównym wejściu.

– Dziękuję, towarzyszeko Ming – powiedział Nomuri, składając najlepszy ze swych oficjalnych ukłonów młodej sekretarce... i prawdopodobnie kochance ministra, pomyślał

agent terenowy. Była obiecująca, ale trzeba będzie postępować ostrożnie, z uwagi na nią i na mnie, pomyślał, czekając na windę. To dlatego Langley płaciło mu tak dużo, nie licząc bardzo przyzwoitej pensji z Nippon Electric Company, którą mógł zatrzymywać dla siebie.

Potrzebował jej, żeby się tu utrzymać. Już dla Chińczyków koszty utrzymania były tu wysokie, a cudzoziemcy mieli jeszcze gorzej, ponieważ dla nich wszystko było – musiało być

– specjalne. Artykuły spożywcze, które kupował w specjalnym sklepie były droższe, ale Nomuri nie miał nic przeciwko temu, ponieważ prawie na pewno były też zdrowsze.

Nomuri nazywał Chiny Krajem Dziesięciu Metrów. Wszystko wyglądało tu nieźle, nawet imponująco, dopóki człowiek nie zbliżył się na odległość dziesięciu metrów. Widać było wtedy, że poszczególne części jakby nie całkiem do siebie pasują. Przekonał się, że jedną z najbardziej kłopotliwych rzeczy może być jeżdżenie windą. Mając na sobie zachodnie ubranie (Chińczycy uważali Japonię za kraj Zachodu, co pewnie rozbawiłoby wielu ludzi, zarówno w Japonii i na Zachodzie), od razu zwracał na siebie uwagę jako qwai, zamorski diabeł, jeszcze zanim ludzie przyjrzeni się jego twarzy. A kiedy już się przyjrzeni, zmieniał się wyraz ich twarzy. Na jednych malowała się ciekawość, na innych nieskrywana wrogość, ponieważ Chińczycy nie byli tacy, jak Japończycy, nie uczono ich skrywania uczuć, a może po prostu mieli to w nosie, pomyślał agent CIA pod maską swej pokerowej twarzy. Nauczył się skrywania uczuć podczas pobytu w Tokio i opanował tę sztukę bardzo dobrze, co tłumaczyło, dlaczego zdobył dobrą pracę w NEC i dlaczego nigdy nie został zdemaskowany jako agent.

Winda jechała bez wstrząsów i szarpnięć, ale czuł, że coś jest z nią nie w porządku. Może to jeszcze jeden przykład niezbyt pasujących części, pomyślał. W Japonii nie miewał tego uczucia. Mimo swych wszystkich wad, Japończycy na pewno byli kompetentnymi inżynierami. To samo na pewno odnosiło się do Tajwańczyków, ale Tajwan, podobnie jak Japonia, miał ustrój kapitalistyczny, który nagradzał za osiągnięcia i przyzwoicie płacił

robotnikom za dobrą pracę. W ChRL dopiero uczono się, jak to robić. Eksportowali bardzo dużo, ale do tej pory były to albo nieskomplikowane artykuły (na przykład tenisówki), albo wyroby, produkowane w warunkach ścisłego przestrzegania standardów, ustanowionych gdzie indziej, a potem niewolniczo skopiowanych w Chinach (jak urządzenia elektroniczne).

Oczywiście zaczynało się to już zmieniać. Chińczycy byli równie zdolni, jak inne narody i nawet komunizm nie był w stanie tłumić tego w nieskończoność. Tylko że przemysłowcy, którzy zaczęli stawiać na innowacje i oferowali światu naprawdę nowe wyroby, byli traktowani przez swych władców w najlepszym wypadku jak szczególnie pracowici chłopci.

Nie było to przyjemne dla tych zdolnych ludzi, którzy czasem zastanawiali się przy kieliszku, dlaczego oni, ci, którzy tworzyli i pomnażali bogactwo swego kraju, byli traktowani jak...

szczególnie pracowici chłopci przez tych, którzy uważali się za panów tego kraju i jego kultury. Nomuri wyszedł z budynku i ruszył do swego samochodu, zastanawiając się, jak długo to może przetrwać.

Wiedział, że cała sfera polityki i gospodarki była tu schizofreniczna. Prędzej, czy później przemysłowcy powstaną i zażądają prawa głosu w kierowaniu sprawami politycznymi swego kraju. Prawdopodobnie... z pewnością... już tu o tym szeptano. Ale jeśli tak, to do szepczących z pewnością dotarło ostrzeżenie, że najwyższe drzewo pierwsze pada pod siekierą drwala, studnia z najlepszą wodą pierwsza zostaje opróżniona do sucha, a tego, który krzyczy najgłośniejszym głosem, pierwszego się ucisza. Więc może menedżerowie chińskiego przemysłu postanowili przeczekać, a kiedy się spotykali, rozglądali się dookoła, zastanawiając się, który z nich odważy się pierwszy podjąć ryzyko i, być może, zdobędzie sławę i uznanie, zostanie zapamiętany przez potomnych jako bohater... lub też, co bardziej prawdopodobne, jego rodzina zostanie obciążona kosztami naboju 7,62x39, niezbędnego, żeby przenieść go do następnego życia, które Budda obiecywał, a którego istnieniu rząd pogardliwie zaprzeczał.

– A więc jeszcze nie podali tego do publicznej wiadomości. Trochę to dziwne – pomyślał głośno Ryan.

– Rzeczywiście – zgodził się Ben Goodley, kiwając potakująco głową.

– Ale dlaczego? Nic ci nie przychodzi do głowy?

– Nie, sir... Chyba że ktoś chce na czymś zarobić, ale jak konkretnie...? – Szuler wzruszył ramionami.

– Kupić akcje Atlantic Richfield? Albo któregoś z producentów maszyn górniczych...

– Albo po prostu zarezerwować sobie prawo do zakupu wybranych terenów we Wschodniej Syberii – podsunął George Winston. – Oczywiście szacowni słudzy narodu nigdy nie zrobiliby czegoś takiego. – Prezydent roześmiał się tak gwałtownie, że musiał odstawić filiżankę z kawą.

– Na pewno nie w tej administracji – oświadczył. Ekipa Ryana była tak atrakcyjna dla mediów, między innymi dlatego, że znalazło się w niej tak wielu plutokratów większego czy mniejszego kalibru. Nie byli to zwyczajni „ludzie pracy”. Miało się wrażenie, że – w opinii mediów – pieniądze pojawiały się w rękach tych ludzi w jakiś cudowny sposób... albo w wyniku jakiejś działalności przestępczej, o której nikt nie mówił głośno i która nie została wykryta. Natomiast nigdy w wyniku pracy. Przekonanie, że bogactwa nie można się dorobić pracą było jednym z najdziwniejszych politycznych uprzedzeń. Pochodzenie bogactwa musiało być inne; nigdy nie precyzowano jakie, ale zawsze sugerowano, że jest podejrzan.

– Tak, Jack – powiedział Winston i też się roześmiał. – Mamy dość, żeby móc sobie pozwolić na uczciwość. A poza tym, na cholerę komu złożę ropy naftowej, czy kopalnia złota?

– A, właśnie, jest coś nowego na temat wielkości tych zasobów?

Goodley pokręcił głową. – Nie, sir, ale wstępne informacje zaczynają się potwierdzać. W obu wypadkach złoża są wielkie. Głównie ropy, ale złota też.

– To ich złoto będzie miało pewien wpływ na rynki – zauważył sekretarz skarbu. W

zależności od tego, jak szybko złączą je sprzedawać. Może się okazać, że będziemy musieli zamknąć nasze kopalnie w Północnej i Południowej Dakocie.

– Dlaczego? – spytał Goodley.

– Jeśli te rosyjskie zasoby są rzeczywiście tak duże, jak sugerują to pierwsze dane, koszty wydobycia będą tam o około dwudziestu pięciu procent mniejsze niż u nas, mimo tamtejszych warunków klimatycznych. Nieunikniony spadek światowych cen złota sprawi, że eksploatacja w Dakocie stanie się nieopłacalna. – Winston wzruszył ramionami. – Zamkną ją po prostu i zaczekają, aż cena znów podskoczy. Prawdopodobnie po pierwszym okresie podniecenia nasi rosyjscy przyjaciele ograniczą wydobycie, żeby móc zarabiać w bardziej, hm, uporządkowany sposób. Prawdopodobnie inni producenci, przede wszystkim z Afryki Południowej, zaoferują im doradztwo w kwestii bardziej efektywnej eksploatacji tego znaleziska. Jeśli ktoś jest nowy w tym biznesie, to zwykle słucha rad starych wyg. Rosjanie od dawna koordynują produkcję diamentów z ludźmi z De Beers, zaczęło się to jeszcze w czasach Związku Radzieckiego.

Biznes to biznes, nawet dla komuchów. No więc, zamierza pan zaoferować pomoc naszym przyjacielom w Moskwie? – spytał Miecznika.

Ryan pokręcił głową. – Na razie nie mogę. Nie mogą się dowiedzieć, że my wiemy.

Siergiej Nikołajewicz zacząłby się zastanawiać, skąd wiemy i prawdopodobnie uznałby, że dzięki SIGINT9, a tę metodę zbierania informacji próbujemy utrzymać w tajemnicy. –

9 Signal Intelligence - informacje o charakterze wywiadowczym, pozyskiwane z nasłuchu (przyp. tłum.) Prawdopodobnie tylko tracimy czas, pomyślał Ryan, ale cóż, ta gra miała swoje reguły i wszyscy się ich trzymali. Gołowko mógł się domyślać, że chodzi o Sigint, ale nie mógł być tego pewny. Prezydent przyznał w duchu, że chyba nigdy nie przestanie myśleć jak szpieg.

Dochowywanie i strzeżenie tajemnic było jedną z tych rzeczy, które przychodziły mu tak łatwo; trochę zbyt łatwo, jak go często ostrzegał Arnie van Damm. Nowoczesna demokratyczna władza powinna być bardziej otwarta, jak rozsunięte zasłony w oknie do sypialni, żeby ludzie mogli zaglądać do środka, kiedy przyjdzie im na to ochota. Ryan nijak nie potrafił docenić wartości tej koncepcji. To on decydował, co ludziom wolno wiedzieć i kiedy. Trzymał się tego, nawet kiedy wiedział, że nie ma racji, z tego prostego powodu, że takiego pojmowania służby państwowej nauczył się pewnego admirała nazwiskiem Greer.

Trudno było zerwać ze starymi nawykami.

– Zadzwoń do Sama Shermana z Atlantic Richfield – zaproponował Winston. – Jeśli mi o tym powie, to znaczy, że sprawa wyszła już na jaw, a przynajmniej, że słyhać już o tym wystarczająco dużo.

– Możemy mu ufać?

Winston skinął głową. – Sam przestrzega reguł gry. Nie możemy od niego żądać, żeby robił w konia własny zarząd, ale wie, której fladze salutować, Jack.

– W porządku, George, niech to będzie dyskretne zapytanie.

– Tak jest, panie prezydencie.

– Do ciężkiej cholery, George!

– Jack, kiedy ty się, do diabła, rozluźnisz na tym pieprzonym urzędzie? – spytał

prezydenta sekretarz skarbu.

– W dniu, kiedy wyprowadzę się z tego cholernego muzeum i znów stanę się wolnym człowiekiem – odpowiedział Ryan, przyznając mu rację skinieniem głowy. Musiał się nauczyć zachowywania nieco dystansu do urzędu prezydenckiego. Jemu samemu, a zwłaszcza krajowi nie wyjdzie na dobre, jeśli będzie się wściekał na całą tę celebry, związaną z pozycją prezydenta. W dodatku dawał powód do kpinek takim ludziom, jak sekretarz skarbu, a George Winston był jednym z tych, którzy to uwielbiali... może dlatego, że im samym pozwalało się to odprężyć, pomyślał Ryan. Jak wygłupy na przyjęciu, czy coś w tym rodzaju. – George, dlaczego sądzisz, że powinienem się rozluźnić?

– Dlatego, Jack, że masz tu być efektywny, a to, że jesteś przez cały czas spięty, nie czyni cię bardziej efektywnym. Odpręż się, stary, a może nawet przekonasz się, że ta robota ma swoje dobre strony.

– Ciekawe, jakie?

– Do licha. – Winston wzruszył ramionami i wymownie spojrzął w stronę sekretariatu. –

Pełno tam fajnych stażystek.

– Dość już tu tego było – mruknął Ryan zirytowany, ale zaraz zdołał się trochę rozluźnić i nawet uśmiechnąć. – Poza tym, moja żona jest chirurgiem. Gdybym popełnił ten drobny błąd, mógłbym się obudzić bez czegoś ważnego.

– No tak, to by chyba było niedobrze dla kraju, gdyby prezydentowi obcięto kutasa.

Ludzie mogliby stracić do nas szacunek. – Winston wstał. – Muszę wracać na drugą stronę ulicy i przyjrzeć się paru modelom ekonomicznym.

– Gospodarka ma się dobrze? – spytał prezydent.

– Nie narzekam i Mark Grant też nie. Więc oby tylko prezes Banku Rezerw Federalnych nie manipulował przy stopie procentowej, czego się zresztą nie spodziewam. Inflacja nie rośnie i nigdzie nie widzę oznak, że miałyby się to zmienić.

– Ben?

Goodley wertował notatki, jakby o czymś zapomniał. – Ach, tak. Uwierzycie, że Watykan mianował nuncjusza papieskiego w Chińskiej Republice Ludowej?

– O? A co to dokładnie znaczy? – spytał Winston, zatrzymując się w połowie drogi do drzwi.

– Nuncjusz jest w istocie ambasadorem. Ludzie zapominają, że Watykan jest suwerennym państwem, ze wszystkimi atrybutami państwowości. Obejmuje to również przedstawicielstwa dyplomatyczne. Nuncjusz jest właśnie ambasadorem... no i szpiegiem.

– Naprawdę? – zdziwił się Winston.

– George, Watykan ma najstarszą służbę wywiadowczą na świecie. To się zaczęło wieki temu. Tak, nuncjusz zbiera informacje i przekazuje je do centrali, ponieważ ludzie mówią mu o różnych sprawach, w końcu do księdza można przecież mieć zaufanie, prawda? Są tak dobrzy w zbieraniu informacji, że od czasu do czasu podejmujemy próby złamania szyfrów, którymi zabezpieczają swą łączność. W latach trzydziestych zrezygnował z tego powodu ze stanowiska główny kryptoanalityk Departamentu Stanu – poinformował Ryan swego sekretarza skarbu, stając się na chwilę ponownie nauczycielem historii.

– Wciąż jeszcze to robimy? – Winston skierował to pytanie do Goodleya, doradcy prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego. Goodley spojrzął najpierw na Ryana, a ten skinął

głową. – Tak, sir. Ci z Fort Meade wciąż rzucają okiem na ich łączność. Szyfry Watykanu są trochę przestarzałe, więc nasze komputery potrafią je złamać.

– A nasze szyfry?

– Obecny standard nazywa się Tapdance. Jest całkowicie losowy, więc teoretycznie nie do złamania... chyba że ktoś spieprzy sprawę i powtórnie użyje tej samej sekwencji, ale przy około sześciuset czterdziestu siedmiu milionach transpozycji na codziennej płycie CD-ROM, nie jest to zbyt prawdopodobne.

– A co z telefonami?

– STU? – spytał Goodley.

Odpowiedzią było skinienie głową.

– To skomputeryzowany system, z 256-kilobitowym kluczem szyfrującym, generowanym komputerowo. Można taki szyfr złamać, ale potrzebny jest do tego superkomputer, właściwy algorytm i co najmniej kilka tygodni, przy czym im krótsza wiadomość, tym trudniej ją odszyfrować, a nie odwrotnie. Faceci z Fort Meade zabawiają się używaniem równań fizyki kwantowej do łamania szyfrów i mają nawet pewne sukcesy, ale jeśli potrzebne są panu wyjaśnienia, będzie się pan musiał zwrócić do kogoś innego. Ja nawet nie udawałem, że słucham – przyznał George. – Zdecydowanie mnie to przerasta i tak na prawdę w ogóle nie wiem, na czym to polega.

– Tak, pogadaj o tym z Gantem, przecież to twój przyjaciel – zasugerował Ryan. – Zdaje się, że całkiem dobrze zna się na komputerach. Właściwie mógłbyś go poinformować o tych znaleziskach w Rosji. Może potrafi opracować komputerowe modele ich wpływu na gospodarkę rosyjską.

– Tylko pod warunkiem, że wszyscy będą się trzymać reguł – powiedział Winston ostrzegawczym tonem. – Jack, jeśli nie uporają się z korupcją, która zżera ich gospodarkę od kilku lat, w ogóle niczego nie da się przewidzieć.

– Nie możemy do tego dopuścić, towarzyszu prezydencie – powiedział Siergiej Nikołajewicz, opróżniwszy do połowy szklaneczkę wódki. Była to wciąż najlepsza wódka na świecie, czego niestety nie dało się powiedzieć o żadnym innym rosyjskim produkcie.

Zmarszczył gniewnie czoło na myśl, jak nisko upadł jego kraj.

– Co proponujecie, Siergieju Nikołajewiczu?

– Towarzyszu prezydencie, te dwa znaleziska są prawdziwym darem Niebios. Jeśli wykorzystamy je właściwie, możemy dokonać transformacji naszej gospodarki, a przynajmniej na dobre rozpocząć ten proces. Wpływy w twardej walucie będą olbrzymie i możemy wykorzystać te pieniądze do

odbudowania naszej infrastruktury w takim stopniu, że transformacja gospodarki stanie się możliwa. Ale pod warunkiem – uniósł palec w ostrzegawczym geście – że nie pozwolimy, by paru złodziei zawłaszczyło te pieniądze i zdeponowało w którymś z banków w Genewie, czy w Lichtensteinie. Tam na nic się nam one nie przydadzą, towarzyszu prezydencie.

Gołowko nie dodał, że nieliczne grono dobrze ustawionych ludzi będzie z tego miało znaczne korzyści. Nie dodał też, że on sam będzie jednym z nich i prezydent też. Takiej okazji po prostu nie można było zaprzepaścić. Ci, których na to stać, mogą sobie pozwolić na prawość i niech szlag trafi prasę, pomyślał oficer wywiadu. Czy dziennikarze kiedykolwiek zrobili coś dla tego kraju, albo jakiegokolwiek innego? Ujawniali jedynie rzetelną pracę jednych i nieuczciwą innych, a sami niewiele robili; poza tym, byli tak samo przekupni, jak wszyscy inni, prawda?

– A więc, kto otrzyma koncesje na eksploatację tych zasobów? – spytał prezydent Rosji.

– Jeśli chodzi o ropę, to nasze własne przedsiębiorstwo wydobywcze i amerykańska firma Atlantic Richfield. Amerykanie mają największe doświadczenie w wydobywaniu ropy w takich warunkach naturalnych i nasi ludzie muszą się od nich wiele nauczyć. Sugerowałbym zapisanie w umowie wynagrodzenia za usługi, hojnego wynagrodzenia, ale nie procentowego udziału w samym złożu. Kontrakt na badania geologiczne byłby podobny: sowite wynagrodzenie, ale żadnego udziału w znalezionej ropie.

– A złoto?

– Tu sprawa jest jeszcze prostsza. Odkrycia dokonaliśmy bez udziału cudzoziemców. Coś się będzie, oczywiście, należało towarzyszowi Fominowi, ale to stary człowiek, bez spadkobierców i, jak się wydaje, prowadzący bardzo skromny tryb życia. Z raportów wynika, że przyzwoicie ogrzana chata i nowa dubeltówka powinny uczynić z niego bardzo szczęśliwego człowieka.

– A jaka jest wartość tego znaleziska?

– Co najmniej siedemdziesiąt miliardów. I musimy tylko kupić trochę specjalistycznego sprzętu, którego najlepszym producentem jest amerykańska firma Caterpillar.

– Czy to konieczne, Siergiej?

– Towarzyszu prezydencie, Amerykanie są naszymi przyjaciółmi, w pewnym sensie, i utrzymanie dobrych stosunków z ich prezydentem na pewno nam nie zaszkodzi. Poza tym, ich ciężki sprzęt naprawdę jest najlepszy na świecie.

– Lepszy od japońskiego?

– W tym wypadku tak, ale też jest trochę droższy – odpowiedział Gołowko i pomyślał, że wszyscy ludzie są tacy sami, i że, bez względu na wychowanie, w każdym wydaje się siedzieć kapitalista, który szuka sposobów na zmniejszenie kosztów i zwiększenie zysków, nierzadko tracąc z oczu całościowy obraz sytuacji. Ale cóż, w końcu od tego był tutaj on, Gołowko, czyż nie tak?

– A kto będzie chciał tych pieniędzy?

Rozbawiony chichot, nieczęsto słyszany w tym gabinecie: – Towarzyszu prezydencie, każdy chce mieć pieniądze. Patrząc realistycznie, nasze siły zbrojne będą pierwsze w kolejce.

– Oczywiście – zgodził się prezydent Rosji i westchnął z rezygnacją. – Zawsze tak jest.

Aha, pojawiło się coś nowego w sprawie tego zamachu na twój samochód? – spytał, unosząc wzrok znad papierów:

Gołowko pokręcił głową. – Nie, nie ma żadnego znaczącego postępu. W tej chwili panuje przekonanie, że celem zamachu był faktycznie ten Awsiejenko, a z samochodem, to zbieg okoliczności. Milicja cały czas prowadzi śledztwo.

– Informuj mnie na bieżąco, dobrze?

– Oczywiście, towarzyszu prezydencie.

Rozdział 5

Na pierwszych stronach

Sam Sherman był jednym z tych, po których widać upływ czasu i który nie zrobił nic, żeby temu zapobiec. Zapalony gracz w golfa, po każdym uderzeniu podążał za piłką na wózku elektrycznym. Był o wiele za tęgi, żeby przejść w ciągu dnia więcej niż kilkaset metrów. A szkoda, bo kiedyś, dawno, dawno temu, Sam był obrońcą w drużynie Princeton Tigers. Cóż, pomyślał Winston, mięśnie zmieniają się w tłuszcz, jeśli się ich nie używa. Ale otyłość w najmniejszym stopniu nie rzutowała na bystrość umysłu Sama. Skończył szkołę średnią jako piąty w swojej klasie, w której nie roіło się od głupków, wybrawszy podwójną specjalizację – geologię i biznes. Potem były studia na Harvardzie, zakończone stopniem magistra zarządzania i doktorat z geologii na Uniwersytecie Teksasu. Tak więc, Samuel Price Sherman mógł nie tylko rozmawiać o skałach z poszukiwaczami ropy i minerałów, lecz także o finansach z członkami swego zarządu, i był to jeden z powodów, dla których akcje Atlantic Richfield stały doskonale. Twarz miał pooraną bruzdami, wygarbowaną przez wiatr i słońce, brzuch obwisły od wielkich ilości piwa, wypijanego z nafcjarzami w miejscach, gdzie diabeł

mówi dobranoc, a także od hot-dogów i innych niezdrowych potraw, preferowanych przez ludzi, którzy wybrali ten zawód. Winston zdziwił się, że do tego wszystkiego Sam nie pali, ale potem spostrzegł na jego biurku pudełko cygar. Prawdopodobnie były to dobre cygara.

Shermana było stać na najlepsze, ale zachował dobre maniery z Ivy League¹⁰, zabraniające palenia przy gościu, któremu mogłaby przeszkadzać chmura błękitnego dymu.

Centrala Atlantic Richfield znajdowała się gdzie indziej, ale większość dużych korporacji wychodziła z założenia, że nie zaszkodzi mieć w Waszyngtonie biura, w którym lepiej można pracować nad kongresmanami, wydając dla nich co jakiś czas wystawne przyjęcia. Osobisty gabinet Shermana znajdował się w narożnym pomieszczeniu na najwyższym piętrze i był

urządzony luksusowo. Na podłodze leżał gruby, beżowy dywan, a biurko było z mahoni, albo z dobrze sezonowanego dębu, wypolerowane do połysku. Prawdopodobnie kosztowało więcej, niż sekretarka Shermana zarabiała przez rok, a może i przez dwa lata.

10 Liga Bluszczowa - grupa ośmiu prestiżowych uniwersytetów we wschodniej części Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.)

– No i jak ci się podoba praca w rządzie, George?

– Wiesz, to nawet zabawne. Mogę się teraz zajmować sprawami, na które kiedyś narzekałem, więc chyba zrzekłem się prawa do narzekania.

– Co za poświęcenie, stary – powiedział Sherman ze śmiechem. – To tak, jakbyś przeszedł na stronę wroga, co?

– Cóż, czasem trzeba się odwdziżyć, Sam, a robienie polityki we właściwy sposób może być zabawne.

– Osobiście nie narzekam na to, co robicie. Gospodarce zdaje się to wychodzić na zdrowie. – Sherman wstał ze swego wygodnego fotela. Czas już było zmienić temat.

Gospodarz chciał dać gościowi do zrozumienia, że jego czas też jest cenny. – No, ale nie przyszedłeś tu na pogawędkę. Czym mogę panu służyć, panie sekretarzu skarbu?

– Rosja.

Sherman spojrział uważniej, takim wzrokiem, jakim patrzy się, kiedy przy grze o wysoką stawkę wykładana jest ostatnia karta odwracanego pokera. – Co z Rosją?

– Wasza doborowa ekipa poszukiwaczy ropy naftowej współpracuje z Rosjanami...

Znaleźli coś godnego uwagi?

– George, pytasz o bardzo drażliwe sprawy. Gdybyś nadal rządził grupą Columbus, takie informacje mogłyby cię zaprowadzić za kratki. Do licha, ja sam nie mam już prawa kupować naszych akcji, wiedząc to, co wiem.

– Czy to znaczy, że chciałbyś kupić? – spytał Kupiec z uśmiechem.

– Cóż, opinia publiczna i tak już niedługo się o tym dowie. Tak, George. Wygląda na to, że znaleźliśmy największe złożo ropy, jakie kiedykolwiek odkryto, większe niż Zatoka Perska, większe niż Meksyk, o wiele większe niż Prudhoe Bay i zachodnia Kanada razem wzięte. Mówię o naprawdę wielkich zasobach, o całych miliardach baryłek czegoś, co wygląda na najlepszą ropę light-sweet, która czeka tam, żebyśmy ją wypompowali spod tundry. Zawartość tego złoża będziemy mierzyć latami wydobycia, a nie baryłkami.

– Większe niż Zatoka Perska?

Sherman skinął głową. – O czterdzieści procent i jest to bardzo ostrożny szacunek.

Jedynym problemem są warunki naturalne. Wydobycie tej ropy będzie kurewsko trudne, przynajmniej w pierwszej fazie. Tylko na rurociąg potrzeba będzie dwudziestu miliardów dolarów. Alaska będzie przy tym jak dziecięca zabawa, ale mówię ci, warto się do tego zabrać.

– A co wy będziecie z tego mieli? – spytał sekretarz skarbu.

Słyszając to pytanie, Sherman zmarszczył brwi. – Właśnie prowadzimy w tej sprawie negocjacje – powiedział. – Wydaje się, że Rosjanie chcą nam płacić sztywną sumę za usługi consultingowe, jakiś miliard dolarów rocznie. Teraz mówią o znacznie mniejszych pieniądzach, ale sam wiesz, jak to jest na tym etapie negocjacji, prawda? Mówią o kilkuset milionach dolarów, ale mają na myśli miliard rocznie, sądzę, że przez siedem do dziesięciu lat. I nie jest to mało, biorąc pod uwagę, co musielibyśmy zrobić za te pieniądze, ale ja chcę co najmniej pięciu procent znalezionej ropy i wcale

nie jest to wygórowanym żądaniem z naszej strony. Mają trochę niezłych geologów, ale nikt na świecie nie potrafi wywęszyć ropy pod lodem tak, jak moi ludzie. Poza tym, Rosjanie muszą się wiele nauczyć o tym, jak eksploatować takie złoża. My to potrafimy, robiliśmy to w takich warunkach. Nikt nie zna się na tym lepiej od nas, nawet ci z BP są całkiem dobrzy, ale my jesteśmy najlepsi na świecie, George. Tym ich trzymamy w szachu. Mogą to zrobić bez nas, ale z naszą pomocą zgarną o wiele więcej forsy i o wiele szybciej. Wiedzą o tym i my wiemy, że oni wiedzą. No więc wysłałem moich prawników na rozmowy z ich prawnikami; właściwie to u nich negocjacje prowadzą dyplomaci. – Na twarzy Shermana pojawił się uśmiech. – Są głupszy od moich prawników.

Winston skinął głową. Dobrych prawników prowadzących prywatne praktyki było w Teksasie więcej niż gdzie indziej w Ameryce, podobno dlatego, że akurat w tym stanie zapotrzebowanie na ich usługi było największe. Biznes naftowy płacił najlepiej, więc również w Teksasie, tak jak wszędzie, talenty szły tam, gdzie były pieniądze.

– Kiedy to zostanie ogłoszone?

– Rosjanie próbują trzymać to pod korcem. Nasi prawnicy mówią, że tamci martwią się, jak to rozegrać, to znaczy, kogo nie dopuścić do interesu, wiesz, mafia i tak dalej. Naprawdę mają tam poważne problemy z korupcją i mogę zrozumieć, że...

Winston wiedział, że resztę może sobie darować. Przemysł naftowy prowadził interesy na całym świecie. Radzenie sobie z korupcją na małą skalę (do dziesięciu milionów dolarów), czy nawet na wielką skalę (dziesięć miliardów dolarów i więcej) było po prostu nieuniknione dla takich firm, jak ta, którą kierował Sherman, i władze Stanów Zjednoczonych w tych sprawach nigdy nie okazywały nadmiernego zainteresowania. Były wprawdzie przepisy federalne, określające zasady postępowania firm amerykańskich za granicą, ale wiele z tych praw egzekwowano selektywnie; problem korupcji w biznesie naftowym był tylko jednym przykładem takiego podejścia.

– ...próbują nie nadawać temu rozgłosu, dopóki nie poczynią odpowiednich przygotowań

– zakończył Sherman.

– Słyszałeś o czymś jeszcze?

– Co masz na myśli? – odpowiedział Sherman pytaniem na pytanie.

– O jakichś innych bogactwach naturalnych? – sprecyzował Winston.

– Nie, i nie jestem aż tak zachłanny, nawet kiedy się o coś modlę. George, chyba nie dość jasno ci powiedziałem, jak ogromne jest to pole naftowe. To jakby...

– Uspokój się, Sam, potrafię dodawać i odejmować nie gorzej niż inni – zapewnił

sekretarz skarbu swego gospodarza.

– Coś, o czym powinienem wiedzieć? – Sherman zobaczył wahanie na twarzy swego gościa. – Coś za coś, George. Ja byłem z tobą szczery, pamiętasz?

– Złoto – wyjaśnił Winston.

– Ile?

– Nie są pewni. Przynajmniej tyle, co w Afryce Południowej.

– Naprawdę? Cóż, to nie moja specjalność, ale wygląda na to, że Rosjanie mają dla odmiany niezły rok. Przyda im się – pomyślał głośno Sherman.

– Lubisz ich?

– A wiesz, że tak? Są bardzo podobni do Tekszańczyków. Są dobrymi przyjaciółmi i straszliwymi wrogami. Potrafią podejmować gości i, Boże, potrafią pić. Czas już, żeby trochę dopisało im szczęście. Chryste, pecha mieli już naprawdę aż nadto. To będzie miało wielkie znaczenie dla ich gospodarki. Mogą na tym tylko skorzystać, zwłaszcza jeśli zdołają się uporać z korupcją i zatrzymać pieniądze w kraju, gdzie mogą im się na coś przydać, zamiast wywędrować do komputera jakiegoś szwajcarskiego banku. Ta ich nowa mafia jest inteligentna i twarda... i trochę przerażająca. Właśnie dopadli tam kogoś, kogo znałem.

– Naprawdę? Kto to był, Sam?

– Mówiliśmy na niego Grisza. Opiekował się paroma luksusowymi dziewczynkami w Moskwie. Znał się na tym. Warto go było znać, jeśli ktoś miał specjalne wymagania –

przyznał Sherman.

Winston postanowił zbadać tę informację.

– Zabili go?

Sherman skinął głową. – Aha, rozwalili go z bazooki na ulicy... Było coś o tym w CNN, pamiętasz? – Sieć CNN poinformowała o tym jako o pospolitej zbrodni, bez większego znaczenia, tylko ze względu na jej widowiskowość i na drugi dzień nie wracano już do tego.

George Winston coś sobie przypominał, ale teraz nie zaprzętał tym sobie głowy. – Jak często tam bywasz?

– Niezbyt często. W tym roku dwa razy. Zwykle latam bezpośrednio z lotniska Reagana, albo z Dallas-Fort Worth moim Gulfstreamem V. Lot jest długi, ale bez lądowań po drodze.

Nie, tego nowego pola naftowego jeszcze nie widziałem. Chyba i będę miał okazję za kilka miesięcy, ale zaczekam na lepszą pogodę. Stary, nie wiesz, co to mróz, dopóki nie udasz się zimą tak daleko na północ. Tylko że wtedy jest tam ciemno, więc i tak lepiej poczekać do lata. Ale kije golfowe można spokojnie zostawić w domu. W tamtej części świata nie ma żadnych pól golfowych, George.

– Więc zabierz ze sobą sztucer i zapoluj na niedźwiedzia. Skóra świetnie wygląda przy kominku – zasugerował Winston.

– Już nie poluję, zresztą, mam na rozkładzie trzy polarne niedźwiedzie. Ten tutaj jest na ósmym miejscu w księdze Boone’a i Crocketta 11 – powiedział Sherman, wskazując zdjęcie wiszące na ścianie. Był na nim rzeczywiście potężny niedźwiedź polarny. – Spłodziłem 11 *Boone and Crockett - amerykański klub, założony w 1887 roku, stawiający sobie za cel m.in. zachowanie tradycyjnych metod łowieckich, nie naruszających równowagi w naturze. Prowadzi m.in. księgę rekordów myśliwskich (przyp. tłum.)*

dwójkę dzieci na jego skórze – dodał prezes Atlantic Richfield z łobuzerskim uśmiechem. Ta niedźwiedzia skóra leżała przy kominku w jego sypialni w Aspen w stanie Kolorado, gdzie jego żona chętnie jeździła zimą na nartach.

– Dlaczego przestałeś polować?

– Moje dzieciaki są przekonane, że niedźwiedzi polarnych jest już za mało. Wiesz, wszystkie te ekologiczne bzdury, których teraz uczą w szkołach.

– No tak – mruknął współczująco sekretarz skarbu. – A takie fajne z nich dywaniki.

– No, akurat ten „dywanik” napadł na moich robotników w Prudhoe Bay, zaraz, kiedy to było? W 1975, o ile pamiętam i położyłem go z odległości 60 metrów, z Winchestera.338.

Jednym strzałem – zapewnił Teksasczyk swego gościa. – Podejrzewam, że dziś trzeba by poczekać, aż niedźwiedź zabije człowieka, po czym wolno byłoby jedynie wsadzić zwierzątko do klatki i przetransportować w inne miejsce, ale ostrożnie, żeby miś nie doznał szoku, prawda?

– Sam, ja jestem sekretarzem skarbu. Ptaszki i pszczołki pozostawiam Agencji Ochrony Środowiska. Drzewa mnie niespecjalnie interesują, dopóki nie zmieniają się w papier na obligacje państwowe.

– Przepraszam, George – powiedział Sam ze śmiechem. – W domu wciąż muszę tego słuchać. Może to pod wpływem Disneya? Wszystkie dzikie zwierzęta noszą białe rękawiczki i rozmawiają ze sobą literackim językiem, z akcentem ze Wschodniego Wybrzeża.

– Rozchmurz się, Sam. Dziś przynajmniej nie wpuszczają już wielkich tankowców do Valdez12. – Jaki masz udział w tym złożu między wschodnią Alaską a zachodnią Kanadą?

– Trochę mniej niż połowę, ale to wystarczy, żeby moim akcjonariuszom przez wiele lat nie zabrakło ptasiego mleka.

– No tak, a teraz jeszcze Syberia. Jak sądzisz, ile ci przyznają opcji? – Sam Sherman otrzymywał przyzwoitą pensję, ale na tym szczeblu dochody mierzyło się liczbą opcji na zakup akcji, których wartość wzrosła dzięki jego pracy. Opcje zawsze przyznawała rada nadzorcza, której członkowie mieli własne udziały w firmie.

Znaczący uśmiech i uniesiona brew. – Mnóstwo, George, naprawdę mnóstwo.

– Małżeństwo ci służy, Andrea – zauważył prezydent Ryan, uśmiechając się do szefowej swojej ochrony. Lepiej się teraz ubierała, a jej kroki nabrały nowej elastyczności. Nie był

pewien, czy Andrea promienieje na twarzy, czy też może to tylko inny makijaż. Jack nauczył

się, że kobiecie pod żadnym pozorem nie wolno niczego mówić na temat jej makijażu. Ilekroć zdecydował się na jakąś uwagę, zawsze powiedział coś nie tak.

– Nie tylko pan to mówi, sir.

12 Miejscowość portowa na Alasce, miejsce pamiętnej katastrofy tankowca „Exxon Valdez” 23 marca 1989 roku, w wyniku której doszło do wielkiego zanieczyszczenia środowiska ropą naftową (przyp. tłum.)

– Wyglądasz inaczej, nawet ja to widzę, chociaż nie mam pojęcia o modzie – powiedział

Jack, wciąż się uśmiechając. Jego żona Cathy musiała mu dobierać ubrania, bo, jak twierdziła, zupełnie nie miał gustu.

– Dziękuję, panie prezydencie. Pat jest bardzo dobrym mężem, nawet jak na nicponia z FBI.

– Czym się teraz zajmuje?

– Jest właśnie w Filadelfii. Dyrektor Murray wysłał go tam w sprawie napadu na bank, w którym zginęło dwóch miejscowych gliniarzy.

– Widziałem w telewizji w zeszłym tygodniu. Paskudna sprawa.

Agentka Tajnej Służby skinęła głową. – Zwłaszcza sposób, w jaki zabito tych policjantów, obu strzałami w tył głowy. Bandyci byli bezwzględni, ale cóż, są i tacy. Tak czy inaczej, dyrektor Murray postanowił wysłać tam latającego Inspektora z centrali, a to zwykle oznacza, że poleci Pat.

– Powiedz mu, żeby uważał – powiedział Ryan. Inspektor Pat O’Day uratował życie jego córce niespełna rok temu, czym zasłużył sobie na dozgonną wdzięczność prezydenta.

– Codziennie mu to powtarzam, sir – zapewniła agentka specjalna Andrea Price-O’Day.

– W porządku. Jak wygląda rozkład dnia? – Informacje o swoich „służbowych”

spotkaniach miał już na biurku. Andrea Price-O'Day wprowadzała go w szczegóły rankiem każdego dnia, zaraz po jego rozmowie z doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego Benem Goodleyem.

– Nic nadzwyczajnego do lunchu. Delegacja Krajowej Izby Handlowej o pierwszej trzydziści, a potem, o trzeciej Detroit Red Wings, zdobyli w tym roku Puchar Stanleya.

Fotoreporterzy, palanty z telewizji i tak dalej, razem jakieś dwadzieścia minut.

– Powinienem tam wysłać Eda Foleya. Jest fanatykiem hokeja i...

– On kibicuje drużynie Caps, sir, a Red Wings dokopali im cztery do zera w finałach.

Dyrektor Foley chyba nie był zachwycony – zauważyła Price-O'Day z uśmiechem.

– Prawda. No, ale w zeszłym roku załatwiliśmy mu dla syna oryginalny ubiór hokejowy i coś tam jeszcze, prawda?

– Prawda, sir.

– Hokej to niezła gra. Może powinienem się wybrać na jakiś mecz? Trudno by to było załatwić?

– Nie, sir. Mamy układy z wszystkimi miejscowymi obiektami sportowymi. W Camden Yards mają dla nas nawet specjalną lożę, zgodzili się na naszą pomoc przy jej projektowaniu, środki bezpieczeństwa i tak dalej.

Ryan chrząknął. – No tak, nie wolno mi zapominać o tych wszystkich ludziach, którzy chcieliby mnie zabić.

– To jest moim zadaniem, sir, nie pańskim – powiedziała Price-O'Day.

– Aha, a o czym ja mam myśleć, kiedy nie pozwolicie mi iść na zakupy, czy do kina? –

Ani Ryan, ani jego rodzina nie przywykli jeszcze do ograniczeń, obowiązujących prezydenta Stanów Zjednoczonych i jego najbliższych. Miała z tym problemy i zwłaszcza Sally, która zaczęła się umawiać na randki (z czym niełatwo przyszło się pogodzić jej ojcu). Jak to robić, mając jeden samochód z przodu, jeden z tyłu (kiedy młody człowiek sam prowadził), albo korzystając ze służbowego samochodu z kierowcą i jeszcze jednym uzbrojonym agentem na przednim siedzeniu (kiedy młody człowiek nie prowadził). Zwykle działało to deprymująco na owego młodego człowieka. Ryan nie powiedział córce, że jemu wcale to nie przeszkadza, bo wiedział, że nie odezwałaby się do niego przez tydzień, albo i dłużej. Szefowa ochrony Sally (kryptonim Cień), Wendy Merritt, okazała się być zarówno dobrą agentką Tajnej Służby, jak i kimś w rodzaju wspaniałej starszej siostry. Co najmniej dwie soboty w miesiącu spędzały na zakupach, przy zredukowanej ochronie, która tak naprawdę wcale nie była zredukowana, ale Sally Ryan odnosiła takie wrażenie, kiedy udawały się do Tyson's Corner czy Annapolis Mall w celu wydawania pieniędzy, do czego wszystkie kobiety zdawały się mieć genetyczne predyspozycje. Sally Ryan nigdy

by nie przyszło do głowy, że te wyprawy na zakupy były przygotowane z kilkudniowym wyprzedzeniem, że każdy sklep i sklepik mieli na oku agenci Tajnej Służby i dodatkowa ekipa młodych agentów, dobranych tak, żeby nie rzucali się w oczy, była na miejscu już na godzinę przed przybyciem Cienia. Może to i lepiej, bo już problemy z randkami wystarczająco działały jej na nerwy, razem z „oddziałem strzelców”, jak go nazywała, łączących za nią krok w krok w St. Mary’s School w Annapolis.

Natomiast mały Jack uważał, że to doskonała zabawa, a ostatnio nauczył się strzelać w akademii Tajnej i Służby w Beltsville w stanie Maryland, za zgodą ojca (Ryan zabronił

podawania tego do wiadomości prasy, bo nie chciał, żeby zjechało go na pierwszej stronie

„New York Timesa” za ten towarzyski nietakt, za jaki uważano zachęcanie własnego syna, żeby w ogóle wziął do ręki coś tak złego z natury, jak pistolet, nie mówiąc już o strzelaniu!).

Szefem ochrony małego Jacka był chłopak nazwiskiem Mike Brennan, Irlandczyk z południowego Bostonu, agent Tajnej Służby, podobnie jak jego ojciec i dziadek. Mike miał

ognistorude włosy, wesołe usposobienie, grał w baseballa na Holly Cross i często bawił się piłką z synem prezydenta na Południowym Trawniku Białego Domu.

– Sir, nigdy panu niczego nie zabraniamy – powiedziała Price.

– Nie, jesteście w tych sprawach bardzo subtelni – przyznał Ryan. – Wiecie, że bardzo obchodzą mnie inni ludzie, więc kiedy mi opowiesz, ile wasi ludzie muszą się namordować, żebym mógł sobie kupić hamburgera w Wendy’s, zwykle się wycofuję... jak jakiś cholerny mięczak. – Prezydent potrząsnął głową. Nie było dla niego nic bardziej przerażającego niż myśl, że mógłby jakoś przywyknąć do tego swojego „specjalnego statusu”. Jakby odkrył

właśnie swe królewskie pochodzenie i traktowano go teraz jak króla, nie pozwalając nawet własnoręcznie podetrzeć sobie tyłka. Niewątpliwie paru ludzi, którzy mieszkali w tym domu, przywykło do tego, ale on, John Patrick Ryan senior, zamierzał tego uniknąć. Wiedział, że wcale nie jest kimś aż tak specjalnym i że nie zasługuje na ten cały nonsens... a poza tym, jak każdy inny mężczyzna na świecie, po przebudzeniu się rano pierwsze kroki kierował do łazienki. Może i był najważniejszym człowiekiem w kraju, ale wciąż miał zwykły pęcherz. I Bogu dzięki, pomyślał prezydent Stanów Zjednoczonych.

– Gdzie jest dzisiaj Robby?

– Sir, wiceprezydent jest dziś w Kalifornii, wygłasza przemówienie w stoczni w bazie Marynarki w Long Beach.

Ryan uśmiechnął się ukradkiem. – Nie oszczędzam go, co?

– Takie już są obowiązki wiceprezydenta – powiedział Arnie van Damm od drzwi. A Robby doskonale sobie z nimi radzi – dodał szef kancelarii prezydenta.

– Dobrze wyglądasz, urlop musiał być udany – zauważył Ryan. Arnie był bardzo opalony. – Co robiłeś?

– Głównie leżałem na plaży i czytałem te wszystkie książki, na które przedtem nie miałem czasu. Myślałem, że umrę z nudów – powiedział van Damm.

– Ty naprawdę uwielbiasz tę cholerną politykę, co? – spytał Ryan z niedowierzaniem w głosie.

– Taka już moja praca, panie prezydencie. Cześć, Andrea – dodał z lekkim skinieniem głowy.

– Dzień dobry, panie van Damm. – Zwróciła się do Jacka. – To już wszystko na dziś rano.

Gdyby mnie pan potrzebował, jestem tam, gdzie zwykle. – Jej biuro mieściło się w Starym Budynku Rządowym, po przeciwnej stronie ulicy, nad nowym punktem dowodzenia Tajnej Służby.

– W porządku, Andrea, dzięki. – Ryan skinął jej głową i Andrea wycofała się do sekretariatu. – Arnie, chcesz kawy?

– Niezły pomysł, szefie. – Szef kancelarii usiadł tam gdzie zwykle i nalał sobie filiżankę.

Kawa w Białym Domu była doskonała. Parzono tu aromatyczną mieszankę kawy kolumbijskiej i Blue Mountain z Jamajki, i Ryan nie raz pomyślał, że do tego akurat mógłby się przyzwyczaić jako prezydent. Miał nadzieję, że znajdzie gdzieś sklep z taką kawą, kiedy już ucieknie ze swego obecnego stanowiska.

– Okay, mam już za sobą odprawę na temat bezpieczeństwa narodowego i odprawę Tajnej Służby. Teraz powiedz mi o sprawach politycznych na dziś.

– Do diabła, Jack, próbuję to robić od ponad roku, a ty wciąż nie możesz się w tym połapać.

Ryan zmierzył go wzrokiem, udając oburzenie. – To cios poniżej pasa, Arnie. Poświęcam tym bzdurom mnóstwo czasu i nawet te cholerne gazety piszą, że radzę sobie całkiem nieźle.

– Bank Rezerw Federalnych świetnie sobie radzi z gospodarką, panie prezydencie i ma to cholernie niewiele wspólnego z panem. Ale ponieważ jest pan prezydentem, zbiera pan wyrazy uznania za wszystko, co dobre, i to jest w porządku, lecz niech pan pamięta, że zostanie pan również obciążony winą za wszystko, co złe – a coś złego też się musi stać – bo jest pan przypadkiem tutaj, a ludzie myślą, że może pan sprawić, jeśli pan tylko zechce, żeby deszcz spadł na ich kwiaty, a słońce wyszło zza chmur na ich pikniki.

– Wiesz, Jack – powiedział szef kancelarii, napiwszy się kawy – tak naprawdę wcale nie pozbyliśmy się wyobrażeń o królach i królowych. Mnóstwo ludzi naprawdę wierzy, że masz tego rodzaju władzę...

– Ale przecież nie mam, Arnie, więc skąd...?

– To po prostu fakt, Jack. Tak już jest i wcale nie musi to być racjonalne. Licz się z tym.

Jak ja uwielbiam te lekcje, pomyślał Jack. – W porządku, co mamy dzisiaj?

– System ubezpieczeń społecznych.

Ryan odprężył się trochę. – W tej dziedzinie nadrabiam zaległości w lekturze. Trzeci filar amerykańskiej polityki. Dotknięcie grozi śmiercią.

Przez następne pół godziny rozmawiali o tym, co było złego i dlaczego, mówili o nieodpowiedzialnej postawie Kongresu, aż wreszcie Jack usiadł wygodniej i westchnął.

– Dlaczego oni niczego się nie uczą, Arnie?

– A czego mają się uczyć? – spytał Arnie z uśmiechem kogoś doskonale zorientowanego w arkanach życia politycznego w Waszyngtonie, kogoś namaszczonego przez Pana Boga. –

Zostali wybrani. Na pewno już to wszystko wiedzą! Jak sądzisz, dostaliby się tutaj, gdyby było inaczej?

– Po jasną cholere ja tu jeszcze siedzę? – spytał retorycznie prezydent.

– Bo ruszyło cię sumienie i postanowiłeś zrobić coś dla swojego kraju, ty ośle, i rozumiesz teraz?

– Jak to jest, że jesteś jedynym człowiekiem, który może się do mnie odzywać w taki sposób?

– Oprócz wiceprezydenta? Ponieważ jestem twoim nauczycielem. Ale wracajmy do dzisiejszej lekcji. Moglibyśmy w tym roku zostawić ubezpieczenia społeczne w spokoju. Ich stan finansowy jest na tyle przyzwoity, że przetrwałyby następne siedem do dziewięciu lat bez interwencji, a to oznacza, że mógłbyś pozostawić tę sprawę swojemu następcy...

– To nieetyczne, Arnie – fuknął Ryan.

– Prawda – zgodził się szef kancelarii – ale to dobra polityka i bardzo prezydencka. To się nazywa nie wywoływać wilka z lasu.

– Ale przecież nie robi się tego, wiedząc, że kiedy już wilk wyjdzie, rozerwie dziecku gardło.

– Jack, ty naprawdę powinieneś być królem. Byłbyś dobrym monarchą – powiedział van Damm i w jego słowach zabrzmiał szczerzy podziw.

– Nikt nie potrafi sobie poradzić z tego rodzaju władzą.

– Wiem: „Władza korumpuje, a władza absolutna jest faktycznie bardzo przyjemna”, jak powiedział ktoś z personelu Białego Domu za czasów jednego z twoich poprzedników.

– I nie powiesili za to sukinsyna?

– Musimy jeszcze popracować nad poczuciem humoru, panie prezydencie. To miał być żart.

– Najbardziej przerażające w tej robocie jest to, że dostrzegam jej humorystyczną stronę.

Tak czy inaczej, powiedziałem George’owi Winstonowi, żeby bez nadawania temu rozgłosu zorientował się, co możemy zrobić w sprawie ubezpieczeń społecznych. Bez rozgłosu, to znaczy, że sprawa jest poufna, no tajna, oficjalnie w ogóle jej nie ma.

– Jack, jeśli masz jakąś wadę jako prezydent, to właśnie tę. Za dużo tego utajniania.

– Ale gdybym robił coś takiego otwarcie, dostałbym po łbie od niedoinformowanych krytyków, zanim zdołałbym cokolwiek osiągnąć, a dziennikarze osaczyliby mnie jak sfera psów, żądając informacji, których bym jeszcze nie miał, a potem zaczęliby coś zmyślać, albo poszliby do jakiegoś mądrali od fabrykowania bzdur, i potem my musielibyśmy na to odpowiedzieć.

– Uczysz się – ocenił Arnie. – Właśnie tak to funkcjonuje w tym mieście.

– Tylko że nie podpada pod żadną ze znanych mi definicji pojęcia „funkcjonować”.

– To jest Waszyngton, Jack. Siedziba władz. Nie oczekuje się, że cokolwiek będzie tu naprawdę funkcjonować. Zwykli obywatele zbledliby z przerażenia, gdyby władze zaczęły funkcjonować, jak należy.

– A może bym tak podał się do dymisji? – Jack skierował to pytanie do sufitu. – Skoro nie mogę sprawić, żeby ten cholerny bałagan zaczął funkcjonować, to co ja tu, do diabła, robię?

– Jesteś tutaj, ponieważ jakiś japoński pilot Boeinga 747 postanowił popsuć zabawę w Izbie Reprezentantów piętnaście miesięcy temu.

– Tak sędzę, Arnie, ale mimo wszystko czuję się, jak jakiś cholerny oszust.

– Cóż, Jack, według moich dawnych kryteriów, jesteś oszustem. Ryan uniósł wzrok. –

Dawnych kryteriów?

– Nawet Bob Fowler, kiedy stanął na czele kongresu stanowego w Ohio, Jack, nawet on nie starał się aż tak, jak ty, żeby grać uczciwie, a i Bob stał się zakładnikiem systemu. Ty jeszcze nie i to mi się w tobie podoba. Co ważniejsze, podoba się to zwykłym ludziom. Mogą się nie zgadzać z naszym stanowiskiem, ale każdy wie, że cholernie się starasz i są pewni, że nie jesteś skorumpowany. I nie jesteś. No, wracajmy do ubezpieczeń społecznych.

– Powiedziałem George’owi, żeby sformował niewielki zespół, zobowiązał wszystkich do zachowania tajemnicy i powierzył mu zadanie opracowania kilku zaleceń, z których co najmniej jedno ma być zupełnie niekonwencjonalne.

– Kto tym kieruje?

– Mark Gant, techniczny geniusz George’a.

Szef kancelarii zamyślił się na chwilę. – Może to i dobrze, że trzymasz to w tajemnicy. W

Kongresie go nie lubią. Za bardzo przemądrzały.

– A oni to nie? – spytał Miecznik.

– To było naiwne, Jack. Sam zabiegałeś o to, żeby wybrano nie-polityków i po części ci się udało. Wielu z nich było kiedyś zwykłymi ludźmi, ale nie wzięłeś pod uwagę pokus, czekających na wybranych przedstawicieli narodu. Pieniądze nie są aż takie duże, ale korzyści uboczne są i mnóstwo ludzi uwielbia, kiedy traktuje się ich jak średniowieczne książęta. Mnóstwo ludzi znajduje satysfakcję w możliwości narzucania świata swojej woli.

Ci, którzy byli tam przedtem, ci, których tamten japoński pilot usmażył w ich fotelach, też zaczęli jako całkiem dobrzy ludzie, ale taka już jest natura tej funkcji, że kusi i wciąga.

Popełniłeś błąd, pozwalając następcom zachować personel. Naprawdę uważam, że problemem jest personel, a nie szefowie. Jeśli cały czas masz koło siebie dziesięciu albo więcej ludzi, którzy mówią ci, jaki jesteś wielki, to prędzej, czy później zaczniesz wierzyć w te bzdury.

– I dlatego ty mi tego nie mówisz.

– Za nic na świecie – zapewnił go Arnie, szykując się do wyjścia. – Dopilnuj, żeby sekretarz Winston informował mnie na bieżąco o tej sprawie ubezpieczeń społecznych.

– Żadnych przecieków – powiedział Ryan z naciskiem.

– Przecieki? Ja? – Van Damm rozłożył ręce i przybrał niewinny wyraz twarzy.

– Tak, Arnie, ty. – Kiedy drzwi się zamknęły, prezydent zaczął się zastanawiać, czy Arnie byłby dobrym szpiegiem. Kłamał tak przekonująco, że można by go wziąć za kaznodzieję i potrafił snuć najróżniejsze sprzeczne myśli jednocześnie, jak najlepszy cyrkowy żongler... i jakoś żadna nigdy nie spadała z hukiem na ziemię. Ryan był teraz prezydentem, ale jedynym członkiem administracji, którego nijak nie dałoby się zastąpić, był szef kancelarii, którego odziedziczył po Bobie Fowlerze, z Rogerem Durlingiem po drodze...

Jack zastanawiał się, na ile Arnie nim manipuluje. Musiał przyznać, że nie potrafi na to odpowiedzieć i trochę go to niepokoiło. Ufał Arnie’emu, ale ufał mu, ponieważ był zmuszony mu ufać. Nie wiedziałaby, jak sobie bez niego poradzić... ale czy to było dobre?

Prawdopodobnie nie, przyznał Ryan sam przed sobą, spoglądając na listę swoich spotkań na ten dzień, ale to, że był tu, w Gabinetce Owalnym, też nie było dobre, a Arnie... w najgorszym wypadku był jeszcze jednym niemiłym aspektem tej pracy, a w najlepszym –

nienagannie uczciwym, wyjątkowo pracowitym i oddanym bez reszty urzędnikiem państwowym...

...jak wszyscy inni w Waszyngtonie, dodała cyniczna strona Ryana.

Rozdział 6

Ekspansja

Różnica czasu między Moskwą a Waszyngtonem wynosi osiem godzin, co jest źródłem irytacji dyplomatów, którzy albo są o dzień do tyłu, albo mają zbyt rozregulowany wewnętrzny zegar, żeby odpowiednio funkcjonować. Stanowiło to większy problem dla Rosjan, bo o piątej czy szóstej wieczorem większość była już po paru głębszych, a z uwagi na relatywną prędkość wszelkiej wymiany dyplomatycznej, w Moskwie była już ciemna noc, kiedy amerykańscy dyplomaci kończyli „robocze lunche” i zabierali się za wydawanie demarche i komunikatów, albo pisanie zwyczajnych odpowiedzi na kwestie, podniesione przez Rosjan poprzedniego roboczego dnia. W obu stolicach były oczywiście nocne zmiany, zajmujące się czytaniem i oceną dyplomatycznej korespondencji z nieco mniejszym opóźnieniem, ale byli to ludzie z niższych szczebli, a w najlepszym wypadku ludzie w drodze do kariery, ale jeszcze nie u celu, którzy zawsze stawiali przed koniecznością wybrania mniejszego zła: obudzić szefa z powodu czegoś, co nie zasługiwało na telefon w środku nocy, czy zaczekać do rana z czymś, o czym szef resortu, albo jego zastępca powinien być powiadomiony natychmiast? Pozornie były to błahostki, ale zależała od nich niejedna kariera.

W tym konkretnym przypadku to nie dyplomata ryzykował własną skórą. Był wiosenny wieczór w Rosji, godzina szоста piętnaście, słońce stało jeszcze wysoko na niebie, jakby w oczekiwaniu na piękną noc, z których słusznie słynie rosyjskie lato.

– Tak, Pasza? – powiedział porucznik Prowałow. Przejął Klusowa od Szablikowa. Ta sprawa była zbyt ważna, żeby pozostawiać ją w obcych rękach, a poza tym, tak naprawdę nigdy nie ufał Szablikowowi, wydawał mu się trochę zanadto skorumpowany.

Paweł Pietrowicz Klusow nie był chyba najlepszą ilustracją jakości życia w nowej Rosji.

Miał zaledwie metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, ale ważył prawie dziewięćdziesiąt kilo, a większość kalorii przyjmował w płynnej formie, golił się niestaránie, jeśli w ogóle zawracał

tym sobie głowę, a jego związki z wodą i mydłem były mniej zażyłe, niżby należało. Zęby miał krzywe, niemyte i pożółkłe od nadmiaru tanich, krajowych papierosów bez filtra. Miał

około trzydziestu pięciu lat i może pięćdziesiąt procent szans na dożycie czterdziestu pięciu, uznał Prowałow. Oczywiście nie znaczyło to, że jego odejście byłoby dla społeczeństwa jakąś dużą stratą. Klusow był drobnym złodziejem. Brakowało mu talentu – albo odwagi – żeby zostać poważnym następcą. Znał jednak takich przestępców i najwidoczniej skakał koło nich jak piesek, wyrządzając im drobne przysługi, w rodzaju przyniesienia butelki wódki, pomyślał porucznik milicji. Ale Klusow miał uszy, czego dziwnym trafem wielu ludzi, zwłaszcza przestępców, nie brało pod uwagę.

– Awsiejenkę zabiło dwóch facetów z Petersburga. Nie znam ich nazwisk, ale myślę, że zostali wynajęci przez Kliementija Iwanowicza Suworowa. Zabójcy są byłymi żołnierzami Specnazu, z doświadczeniem w Afganistanie i obaj mają po trzydzieści kilka lat. Jeden to blondyn, a drugi rudy. Po zabiciu Griszy jeszcze przed południem polecieli Aerołotem z powrotem na północ.

– Doskonale, Pasza. Widziałeś ich twarze?

Przeczące pokręcenie głową. – Nie, towarzyszu poruczniku. Dowiedziałem się o nich od... od kogoś, kogo znam, w knajpie. – Klusow przypalił sobie nowego papierosa od niedopałka.

– A czy ten twój znajomy powiedział, dlaczego nasz przyjaciel Suworow kazał zabić Awsiejenkę? – I kto to, u diabła, jest ten Kliementij Iwanowicz Suworow? – zastanawiał się milicjant. Nie zetknął się dotąd z tym nazwiskiem, ale wołał, żeby Klusow na razie tego nie wiedział. Zawsze lepiej udawać wszechwiedzącego. Informator wzruszył ramionami. – Obaj byli z KGB, może mieli ze sobą na pieńku.

– Co dokładnie robi teraz Suworow?

Kolejne wzruszenie ramion. – Nie wiem. Nikt nie wie. Słyszałem, że dobrze mu się powodzi, ale nikt nie zna źródeł jego dochodów.

– Kokaina? – spytał gliniarz.

– Możliwe, ale nie wiem. – Najlepszą cechą Klusowa było to, że niczego nie zmyślał.

Mówił prawdę i w zasadzie nie koloryzował... w większości wypadków, upomniał się w duchu porucznik.

Prowałow był podekscytowany tym, co właśnie usłyszał. Były funkcjonariusz KGB

wynajął dwóch byłych żołnierzy Specnazu, żeby wyeliminować innego byłego funkcjonariusza KGB, który specjalizował się w sutenerstwie. Czy to możliwe, że ten Suworow próbował najpierw nawiązać z Awsiejenką współpracę w handlu narkotykami? Jak większość moskiewskich milicjantów, porucznik nigdy nie polubił tych z KGB. Najczęściej byli arogancy i brutalni, i tak zaślepieni swoją władzą, że nie potrafili przeprowadzić przyzwoitego śledztwa; wyjątkiem były kontakty z cudzoziemcami, wobec których musieli się zachowywać w cywilizowany sposób, bo w przeciwnym wypadku inne kraje traktowałyby obywateli radzieckich – i, co gorsza, dyplomatów radzieckich – w taki sam sposób.

Ale z KGB zwolniono tylu ludzi, a tylko niewielu zajęło się jakąś zwyczajną pracą. Nie, oni byli przeszkoleni w zakresie konspiracji, wielu podróżowało za granicę, spotykając podczas tych podróży najrozmaitszych ludzi, z których większość – Prowałow był o tym przekonany – można było nakłonić do nielegalnych operacji, dysponując odpowiednimi środkami, co w praktyce zawsze oznaczało pieniądze. Za pieniądze ludzie byli gotowi zrobić wszystko; wiedzieli o tym wszyscy funkcjonariusze policji na całym świecie.

Suworow. Trzeba sprawdzić to nazwisko, pomyślał porucznik milicji, pociągając łyk wódki. Sprawdzić jego przeszłość, ustalić, czym się zajmuje, zdobyć zdjęcie. Suworow, Kliementij Iwanowicz.

– Coś jeszcze? – spytał porucznik.

Klusow pokręcił głową. – To wszystko, czego się zdołałem dowiedzieć.

– No, nieźle. Wracaj do roboty i zadzwoń do mnie, kiedy się dowiesz czegoś więcej.

– Oczywiście, towarzyszu poruczniku. – Informator wstał i ruszył do wyjścia. Rachunek pozostawił gliniarzowi, który specjalnie się nie zzymał. Oleg Grigoriewicz Prowałow spędził

dość czasu w milicji, żeby wiedzieć, że właśnie trafił być może na coś ważnego. Oczywiście na tym etapie nie można było mieć pewności, najpierw trzeba to było sprawdzić, każdą najdrobniejszą możliwość, każdy trop prowadzący w ślepy zaułek, co mogło trochę potrwać...

ale gdyby się okazało, że to coś ważnego, wysiłek nie poszedłby na marne. A gdyby nie, cóż, jeszcze jedna ślepa uliczka, których tak wiele w policyjnej robocie.

Prowałow zastanawiał się, czy to dobrze, że nie spytał swego informatora, od kogo konkretnie pochodzą te wszystkie informacje. Nie, nie zapomniał o tym, ale chyba dał się trochę ponieść opisom dwóch domniemych byłych żołnierzy Specnazu, którzy dokonali tego zabójstwa. Miał ich opisy w pamięci, a teraz wyjął notes, żeby je zapisać. Blondyn i rudy, Afganistan, obaj mieszkają w Petersburgu, odlecieli z powrotem krótko przed południem tego samego dnia, kiedy Awsiejenko został zamordowany. Postanowił więc sprawdzić numer rejsu i przepuścić listę pasażerów przez nowe komputery, których Aerofłot używał, żeby włączyć się w globalny system rezerwacji, a potem powtórnie sprawdzić w milicyjnym komputerze, zawierającym spis znanych przestępców i podejrzanych, łącznie z informacjami o odbytej służbie wojskowej. Jeśli coś znajdzie, wyśle kogoś ze swoich ludzi na rozmowę z załogą tego samolotu Moskwa-Petersburg, może ktoś zapamiętał tych dwóch.

Potem zwróci się do milicji w Petersburgu o dyskretne sprawdzenie tych ludzi, ustalenie ich adresów, czy byli karani – normalne, wnikliwe sprawdzenie, które, być może, doprowadzi do przesłuchania. Nie będzie mógł go przeprowadzić osobiście, ale znajdzie się tam, żeby obserwować, wyrobić sobie zdanie o podejrzanych, bo nic nie mogło zastąpić spojrzenia w oczy, posłuchania, jak mówią, zobaczenia, jak siedzą, czy się wiercą, czy nie, czy patrzą w oczy przesłuchującemu, czy też wodzą wzrokiem po pokoju. Czy palą, a jeśli tak, to czy zaciągają się szybko, nerwowo, czy też powoli, demonstrując pogardę... czy może tylko ciekawość, co świadczyłoby, że nie popełnili zarzucanego im czynu, co nie znaczy, że nie mają na sumieniu czegoś innego.

Porucznik milicji zapłacił rachunek i skierował się do wyjścia.

– Powinieneś sobie wybrać lepsze miejsce na spotkania, Oleg – doradził mu głos zza pleców. Prowałow odwrócił się, żeby zobaczyć twarz.

– To wielkie miasto, Miszka, z wieloma knajpami, z których większość jest słabo oświetlona.

– A ja znalazłem tę twoją, Olegu Grigorijewiczu – przypomniał mu Reilly. – I czego się dowiedziałeś?

Poszli ulicą i po drodze Prowałow streścił to, czego się dowiedział tego wieczoru.

– Dwóch ludzi ze Specnazu? Moim zdaniem to dość logiczne. Ile to mogło kosztować?

– Niemało. Gdybym miał zgadywać... coś koło pięciu tysięcy euro – powiedział porucznik.

– A kto mógłby mieć takie pieniądze?

– Któryś z moskiewskich przestępców... Miszka, dobrze wiesz, że są setki takich, których byłoby na to stać, a Rasputin nie był szczególnie lubiany... aha, mam nowe nazwisko: Suworow, Kliementij Iwanowicz.

– Kto to jest?

– Nie wiem. Dla mnie to nazwisko jest nowe, ale Klusow zachowywał się, jakbym powinien wiedzieć, o kogo chodzi. Dziwne, że nie wiem – pomyślał na głos Prowałow.

– Tak bywa. Też mi się zdarzało, że jakiś cwaniak pojawiał się ni stąd, ni zowąd. I co, sprawdzisz go?

– Tak, sprawdzę nazwisko. Najwyraźniej on też był kiedyś w KGB.

– Wszędzie ich pełno – zgodził się Reilly, prowadząc kolegę do nowego baru hotelowego.

– Co zrobisz, kiedy CIA zostanie podzielona? – spytał Prowałow.

– Pęknięcie ze śmiechu – obiecał agent FBI.

Petersburg niektórzy nazywali Wenecją Północy, z racji rzeki i kanałów, przecinających to miasto, chociaż klimat, zwłaszcza zimą, był tu zupełnie inny. I właśnie w jednym z tych kanałów pojawił się następny ślad.

Jakiś obywatel zauważył go rano, w drodze do pracy, a widząc na rogu milicjanta podszedł do niego i wskazał ręką. Milicjant udał się we wskazanym kierunku i spojrzał ponad żelaznym ogrodzeniem na miejsce, opisane przez obywatela.

Niewiele było widać, ale gliniarzowi wystarczyła chwila, żeby się zorientować, co to było i co oznaczało. Nie śmieci, nie zdechłe zwierzę, lecz czubek ludzkiej głowy, z włosami blond, albo trochę ciemniejszymi. Samobójstwo albo morderstwo, miejscowa milicja to zbada.

Milicjant poszedł do najbliższego automatu telefonicznego, żeby zadzwonić na komendę i po trzydziestu minutach nadjechał samochód osobowy, a chwilę później czarna furgonetka.

Milicjant, czekający na miejscu w ten mroźny poranek, zdążył wypalić dwa papierosy, zerkając co jakiś czas na kanał, żeby się upewnić, że to coś wciąż tam jest. Ludzie, którzy wysiedli z samochodu

osobowego, byli detektywami z miejskiego wydziału zabójstw.

Furgonetką przyjechało dwóch ludzi, nazywanych technikami; faktycznie byli to kanalarze z miejskiego przedsiębiorstwa gospodarki wodno-kanalizacyjnej, ale opłacani przez milicję.

Obaj wyrzeli przez ogrodzenie i zorientowali się, że wydobywanie ciała będzie wymagać wysiłku fizycznego, ale nie powinno nastęrczać większych kłopotów. Spuszczono drabinę, po której młodszy z techników, ubrany w wodoodporny kombinezon i grube, gumowe rękawice, zszedł nad samą wodę i zanurzył specjalny kołnierz, podczas gdy jego partner przyglądał się temu i zrobił kilka zdjęć z prostego aparatu fotograficznego. Trzej milicjanci przypatrywali się, paląc papierosy. I wtedy wydarzyła się pierwsza niespodzianka.

Rutynowa metoda polegała na założeniu zwłokom elastycznego kołnierza pod pachy, podobnie jak podczas operacji ratowniczych z użyciem śmigłowca, żeby można było wyciągnąć ciało. Ale kiedy technik podsunął kołnierz pod ciało, jedna z rąk nijak nie chciała przez niego przejść. Technik borykał się z tym przez kilka nieprzyjemnych minut, usiłując unieść sztywną rękę... i w końcu zorientował się, że jest przykuta kajdankami do innej ręki.

Na ten widok obaj detektywi wyrzucili papierosy do wody. Prawdopodobnie nie było to samobójstwo, bo ten rodzaj śmierci zwykle nie jest wyczynem grupowym. Szczurowi kanałowemu – tak nazywali swoich niby-kolegów – założenie kołnierza zajęło kolejne dziesięć minut, a kiedy się z tym uporał, wszedł z powrotem po drabinie i uruchomił

wyciągarkę.

Za chwilę mieli już jasność. Dwóch mężczyzn, dość młodych i nieźle ubranych. Nie żyli od kilku dni, sądząc po tym, jak wyglądały ich twarze. Woda była zimna, co osłabiło apetyt bakterii, pożerających ciała, ale i skutki działania samej wody wystarczyły, żeby przyprawić o mdłości. Te dwie twarze wyglądały jak... Pokemony, pomyślał jeden z detektywów, jak te perwersyjnie koszmarnie zabawki, które tak uwielbiało jedno z jego dzieci. Szczury kanałowe zapakowały zwłoki do foliowych worków, żeby przewieźć je do kostnicy na sekcję. Na razie milicjanci nie wiedzieli jeszcze nic oprócz tego, że na pewno mają dwa trupy. Na pierwszy rzut oka zwłokom nie brakowało żadnych części ciała, a stan, w jakim się znajdowały, uniemożliwiał milicjantom dostrzeżenie ewentualnych ran od noża, czy od pocisków. W tej chwili mieli zwłoki dwóch niezidentyfikowanych mężczyzn – Amerykanie mówili o takich John Doe – jednego z włosami blond, albo trochę ciemniejszymi i drugiego, którego włosy wyglądały na rude. Sądząc po wyglądzie, obaj byli w wodzie od trzech, może czterech dni. I prawdopodobnie zginęli razem, co mogło oznaczać, że przynajmniej jeden z nich był

homoseksualistą, pomyślał bardziej cyniczny z obu detektywów. Milicjantowi z patrolu powiedziano, żeby wypełnił odpowiednie formularze na swojej komendzie; pomyślał, że przynajmniej będzie tam przyjemnie ciepło. Znalezienie dwóch trupów mogło sprawić, że człowiekowi ciarki przechodziły po plecach nawet w cieplejsze dni.

Worki z ciałami załadowano do mikrobusu, którym miały zostać przewiezione do kostnicy. Nie dało się ich szczelnie zamknąć z powodu kajdanek, a truposze siedzieli jeden obok drugiego na podłodze,

perwersyjnie trzymając się po śmierci za ręce... – Jak kochankowie, którymi byli za życia? – zastanawiał się na głos jeden z detektywów, kiedy wsiedli z powrotem do swojego samochodu. Jego partner tylko warknął i mocniej zacisnął

dłonie na kierownicy.

Prawdę mówiąc, w petersburskiej kostnicy niewiele się tego dnia działo. Dyżurny patolog, doktor Aleksander Lewkow, siedział w swoim biurze, czytając jakieś czasopismo medyczne, solidnie znudzony brakiem czegokolwiek do roboty, kiedy zadzwoniono z informacją o prawdopodobnym podwójnym zabójstwie. To zawsze było interesujące, a Lewków uwielbiał powieści kryminalne, w większości importowane z Wielkiej Brytanii i Ameryki, co było również niezłym sposobem na doskonalenie umiejętności językowych.

Czekał już w sali, w której przeprowadzano sekcje, kiedy przywieziono zwłoki, przełożono na wózki przy rampie i wwieziono do środka. Trwało chwilę, zanim się zorientował, dlaczego wózki musiały jechać obok siebie.

– Co my tu mamy? – spytał patolog, uśmiechając się sardonicznie. – Milicjanci ich zabili?

– Oficjalnie nie – odpowiedział starszy detektyw tym samym tonem. Znali się z Lewkowem.

– Bardzo dobrze. – Lekarz włączył magnetofon. – Mamy zwłoki dwóch mężczyzn, jeszcze kompletnie ubrane. Jest oczywiste, że obaj byli zanurzeni w wodzie... Skąd ich wyciągnięto? – spytał, spoglądając na detektywów. Odpowiedzieli. – ...zanurzeni w słodkiej wodzie. Na pierwszy rzut oka szacuję, że zanurzenie trwało trzy do czterech dni po śmierci. –

Dłońmi w rękawiczkach obmacał jedną głowę, potem drugą. – Aha – powiedział. – Wydaje się, że obie ofiary zostały zastrzelone. W obu głowach wyczuwam coś, co wygląda na rany wlotowe po pociskach. Na pierwszy rzut oka wygląda to w obu wypadkach na pocisk małego kalibru. Sprawdzimy to później. Jewgienij – powiedział, spoglądając tym razem na swojego technika. – Zdejmij im ubrania i zabezpiecz, zostaną sprawdzone później.

– Oczywiście, towarzyszu doktorze. – Technik odłożył papierosa i zbliżył się z nożycami.

– Obaj zastrzeleni? – spytał młodszy detektyw.

– Obu ktoś strzelił w głowę, w to samo miejsce – potwierdził Lewków. – O, to dość dziwne, kajdankami zostali skuci po śmierci. Nie widać żadnych otarć na nadgarstkach. Po co ktoś miałby to robić? – zastanawiał się patolog.

– Żeby ciała zostały razem? – pomyślał głośno starszy detektyw. Ale co to może mieć za znaczenie? Pedanteria zabójcy lub zabójców? Zajmował się zabójstwami dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że nie da się w pełni wyjaśnić wszystkich okoliczności nawet tych zbrodni, których sprawcy zostali ujęci, nie mówiąc już o zbrodniach, dopiero co popełnionych.

– Obaj byli w dobrej formie fizycznej – powiedział następnie Lewkow, kiedy technik ściągnął ze zwłok całe ubranie. – Hm, a to co? – Podszedł bliżej, żeby przyjrzeć się tatuażowi na lewym bicepsie

blondyna, odwrócił się do... – Mają taki sam tatuaż.

Starszy detektyw podszedł, żeby to zobaczyć, myśląc, że może jego partner miał rację i że sprawa miała wątek seksualny, ale...

– Specnaz, czerwona gwiazda i błyskawica, ci dwaj byli w Afganistanie. Anatolij, przeszukajmy ich ubrania, kiedy doktor będzie badał zwłoki.

Tak też zrobili i po pół godzinie ustalili, że obaj mężczyźni nosili dość drogie ubrania, ale nie mieli przy sobie niczego, co umożliwiłoby identyfikację. W sytuacjach, takich jak ta, nie było to niczym szczególnym, ale gliniarze, jak wszyscy ludzie, preferowali proste rozwiązania. Żadnego portfela, dokumentów, nawet pieniędzy, czy choćby spinki do krawata.

Cóż, pozostawało sprawdzenie metek na ubraniach i pójsie tym śladem, a poza tym zwłokom nie obcięto końców palców, więc do identyfikacji można było wykorzystać linie papilarne.

Ktokolwiek popełnił to podwójne zabójstwo, był na tyle sprytny, żeby zataić pewne informacje przed milicją, ale nie ilość sprytny, żeby zataić wszystko.

Co to mogło znaczyć? – zastanawiał się starszy detektyw. Jeśli ktoś nie chce, żeby wszczęto śledztwo w sprawie zabójstwa, najlepiej jest ukryć zwłoki. Bez nich nie ma dowodu, że ktoś zginął, więc nie ma i śledztwa w sprawie zabójstwa. Jest tylko zaginiona osoba, która mogła uciec z innym mężczyzną czy z kobietą, albo po prostu postanowiła przenieść się gdzieś i zacząć nowe życie. A pozbycie się ciała wcale nie było aż takie trudne, jeśli się nad tym trochę zastanowić. Na szczęście większość zabójstw popełniano pod wpływem impulsu, a zabójcy byli w większości głupcami, którzy później przypieczętowali swój los, za dużo mówiąc.

Ale nie tym razem. Gdyby to było zabójstwo na tle seksualnym, prawdopodobnie coś by już o tym słyszał. Sprawcy takich zbrodni nieomal je reklamowali, powodowani jakimś perwersyjnym pragnieniem, żeby ich aresztowano i skazano. Wydawało się, że nikt, kto popełnił tego rodzaju zbrodnię, nie był w stanie trzymać języka za zębami.

Nie, to podwójne zabójstwo nosiło wszelkie znamiona profesjonalizmu. Obie ofiary zostały zabite w ten sam sposób, a dopiero potem skute kajdankami... prawdopodobnie w celu lepszego ukrycia zwłok na dłuższy czas. Żadnych oznak, że któraś z ofiar stawiała opór, a przecież byli to bardzo sprawni fizycznie, wytrenowani, niebezpieczni mężczyźni. Wzięto ich z zaskoczenia, a to zwykle oznaczało kogoś, kogo ofiary znały i do kogo miały zaufanie.

Żaden z detektywów nie mógł pojąć, jak przestępcy w ogóle mogli ufać komukolwiek w swoim środowisku. Nie bardzo wiedzieli, co w ogóle znaczy słowo „lojalność”, na pewno nie miało ono nic wspólnego z zasadami, jakich którykolwiek z nich się trzymał... a jednak dziwnie dużo o tym mówili, chociaż najczęściej były to tylko gołosłowne deklaracje.

Detektywi patrzyli, jak patolog pobiera z obu ciał krew do późniejszego badania toksykologicznego.

Może obydwu podano najpierw środek nasenny, a dopiero potem zabito strzałem w głowę? Nie było to zbyt prawdopodobne, ale jednak możliwe i należało to sprawdzić. Wydłubany został brud z wszystkich dwudziestu paznokci, ale prawdopodobnie nie miało to żadnego znaczenia. Na koniec pobrano odciski palców, żeby można było zidentyfikować zwłoki. Detektywi wiedzieli, że nie nastąpi to szybko. Centralna kartoteka w Moskwie była notorycznie opieszła, więc zamierzali poszperać trochę na własną rękę w nadziei ustalenia, kim byli ci mężczyźni.

– Jewgienij, nie chciałbym mieć takich wrogów, jak ci dwaj.

– Zgadzasz się z tobą, Anatolij – powiedział starszy detektyw. – Ale albo ktoś się ich wcale nie bał... albo bał się na tyle, że podjął bardzo drastyczne działania. – Prawda była taka, że obaj detektywi byli przyzwyczajeni do łatwych spraw, takich, kiedy zabójca niemal natychmiast się przyznawał, albo zabijał na oczach wielu świadków. Ale ta sprawa wyglądała na znacznie trudniejszą. Postanowili zgłosić to swojemu porucznikowi w nadziei na otrzymanie dodatkowych ludzi i środków do prowadzenia śledztwa.

Patrzyli, jak technik robi zdjęcia twarzy zabitych, ale były zniekształcone praktycznie nie do poznania, więc i zdjęcia raczej nie przydały się do identyfikacji. Ale zrobienie zdjęć przed otwarciem czaszki było obowiązująca procedura, a doktor Lewkow wszystko robił zgodnie z przepisami. Detektywi wyszli na zewnątrz, żeby wykonać parę telefonów i zapalić w jakimś trochę mniej odrażającym miejscu. Kiedy wrócili, oba pociski były już w plastikowych pojemnikach, a doktor Lewkow powiedział im, że przypuszczalną przyczyną zgonu w obu wypadkach był pojedynczy pocisk, który przebił czaszkę i utkwiał w mózgu. Na skórze głowy obu mężczyzn wyraźnie widoczne były osmalenia. Patolog powiedział, że obaj zostali zastrzeleni z bliskiej odległości, mniejszej niż pół metra, prawdopodobnie standardową amunicją z pociskiem o masie 2,6 grama, stosowaną w milicyjnych pistoletach PSM kalibru 5,45 mm. Sugestia, że zabójca strzelał ze standardowej broni, w jaką byli wyposażeni milicjanci, mogłaby się nie spodobać, ale detektywi zdawali sobie sprawę, że całkiem sporo takich pistoletów trafiało do rosyjskiego świata przestępczego.

– Amerykanie nazywają to robotą zawodowców – zauważył Jewgienij.

– Na pewno dokonano tego ze znajomością rzeczy – zgodził się Anatolij. – A teraz przede wszystkim...

– Przede wszystkim ustalimy, kim są te dwa nieszczęsne sukinsyny. Następnie, jakich, do diabła, mieli wrogów.

Kuchni chińskiej w Chinach daleko do tej, jaką można znaleźć w Los Angeles, pomyślał

Nomuri. Nie zastanawiając się długo uznał, że to prawdopodobnie kwestia surowców. Jeśli w Chińskiej Republice Ludowej był urząd kontroli żywności i leków, to nie poinformowano go o tym przed przyjazdem tutaj. Pierwszą myślą, jaka nasunęła mu się teraz, kiedy wszedł do tej restauracji, było to, że lepiej nie wiedzieć, jak wygląda kuchnia. Jak większość restauracji w Pekinie, lokal był mały, na parterze prywatnego domu mieszkalnego, a obsługa dwudziestu gości z kuchni

standardowego domu w komunistycznych Chinach z pewnością wymagało niemal akrobatycznych zdolności. Stolik był okrągły, mały i bardzo prosty, a krzesło niewygodne, ale mimo wszystko, sam fakt, że taki lokal istniał był świadectwem fundamentalnych zmian w kierownictwie politycznym tego kraju.

Zadanie na dzisiejszy wieczór siedziało naprzeciwko, Li Ming. Miała na sobie standardowy niebieskawy kombinezon, który był praktycznie uniformem ministerialnych urzędniczek niższego i średniego szczebla. Jej krótka fryzura przypominała hełm. O modzie musiał w tym mieście decydować jakiś rasistowski sukinsyn, który nie cierpiał Chińczyków i robił, co się dało, żeby wyglądali jak najmniej atrakcyjnie. Nomuri nie widział tu jeszcze kobiety, o której można by powiedzieć, że była atrakcyjnie ubrana, no, może z wyjątkiem paru dziewczyn z Hongkongu. Dla Orientu charakterystyczna była uniformizacja, całkowity brak różnorodności, jeśli nie liczyć cudzoziemców, których pojawiało się tu coraz więcej, ale oni rzucali się w oczy jak róże na stercie śmieci, co tylko podkreślało ogrom tej sterty.

W Stanach, na Uniwersytecie Kalifornijskim, można było mieć – nie, nie mieć, ale popatrzeć na, skorygował się funkcjonariusz CIA, wszelkie typy kobiet, występujące na tej planecie. Białe, czarne, żydówki, chrześcijanki, żółte w różnych odmianach, latynoski, trochę autentycznych Afrykanek, mnóstwo autentycznych Europejek, również w wielu odmianach: ciemnowłose, rubaszne Włoszki, wyniosłe Francuzki, klasyczne Angielki i sztywne Niemki.

Do tego jeszcze Kanadyjki, Hiszpanki (które dokładały starań, żeby odróżniać się od miejscowych hiszpańskojęzycznych kobiet) i mnóstwo Japonek z Japonii (które też nie przestawały z miejscowymi Japończykami, ale to już raczej z woli tych drugich). W sumie bardzo kosmopolityczne środowisko. Jediną cechą wspólną, wynikającą z kalifornijskiej atmosfery, było to, że każdy musiał ciężko pracować, żeby wyglądać efektownie i atrakcyjnie, bo takie było Najważniejsze Przykazanie, rządzące życiem w Kalifornii, ojczyźnie łyżworolek i surfingu oraz szczupłych sylwetek, które były rezultatem jednego i drugiego hobby.

Tutaj było zupełnie inaczej. Tutaj wszyscy ubierali się tak samo, wyglądali tak samo, mówili tak samo i przeważnie postępowali tak samo...

...ale Li Ming stanowiła wyjątek. Była jakaś inna i dlatego Nomuri zaprosił ją na kolację.

Sztuka uwodzenia należała do szpiegowskiego instrumentarium od niepamiętnych czasów, ale Nomuri był w tym nowicjuszem. Nie był pełnym abstynentem seksualnym w Japonii, gdzie obyczaje zmieniły się na tyle, że młodym ludziom wolno się było spotykać i...

komunikować na najbardziej podstawowym poziomie, ale i tam, co Chester Nomuri uważał

za okrutną ironię losu, dziewczyny, skłonne do tych rzeczy, interesowały się raczej Amerykanami. Niektórzy mówili, że to dlatego, że Amerykanie byli hojniej wyposażeni przez naturę do uprawiania miłości niż przeciętni Japończycy; ten temat wywoływał chichot u wielu młodych Japonek, które niedawno rozpoczęły aktywność seksualną. Ale chodziło i o to, że Amerykanie – jak powszechnie uważano – traktują swe kobiety lepiej niż Japończycy, a ponieważ Japonki były z kolei znacznie bardziej posłuszne niż kobiety Zachodu, związki amerykańsko-japońskie były prawdopodobnie

korzystne dla obu stron. Ale Chet Nomuri był

szpiegiem, zakonspirowanym jako pracownik japońskiej korporacji i tak dobrze wtopił się w środowisko, że tamtejsze kobiety uważały go za jeszcze jednego Japończyka, więc jego życie seksualne cierpiało z powodu umiejętności zawodowych, co wydawało się bardzo nie fair agentowi terenowemu, wychowanemu, jak tylu amerykańskich mężczyzn, na filmach o agencie 007. Na Karaibach James Bond był znany jako Pan Cmok-Cmok Bum-Bum. Cóż, Nomuri w dodatku nie posługiwał się pistoletem, nie strzelał od czasu szkolenia na Farmie –

ośrodku treningowym CIA koło szosy nr 64 w pobliżu Yorktown w stanie Wirginia – a i wtedy niczym szczególnym się nie wyróżnił.

Ale ta dziewczyna otwierała interesujące możliwości, uznał agent terenowy pod maską neutralnego wyrazu twarzy, a w podręczniku nie było żadnego zakazu bzykania się podczas pracy – to by była heca, gdyby coś takiego zapisali, pomyślał.

O podbojach seksualnych wiele się rozmawiało podczas spotkań agentów terenowych, które Firma organizowała rzadko, ale jednak – najczęściej na Farmie, żeby szpiegowie mogli wymienić doświadczenia. Wieczorne rozmowy przy piwie często schodziły wtedy na ten temat. Od kiedy Chet Nomuri przybył do Pekinu, jego życie seksualne sprowadzało się do wędrowania po pornograficznych witrynach w Internecie. Z jakiegoś powodu azjatyckie serwery oferowały bardzo bogatą kolekcję takich materiałów i chociaż Nomuri nie był z siebie specjalnie dumny, to przecież jego popęd seksualny potrzebował jakiegoś ujścia.

Ming może się okazać całkiem ładna, jeśli trochę się nad nią popracuje, pomyślał

Nomuri. Przede wszystkim potrzebne jej były długie włosy. I może lepsza oprawka okularów.

Te, które nosiła, były równie eleganckie jak zardzewiały drut kolczasty. I jeszcze makijaż.

Nomuri nie był pewien, jaki dokładnie powinien to być makijaż, nie był w tych sprawach ekspertem, ale jej skóra miała delikatną karnację, przypominającą kość słoniową i trochę kosmetyków mogłoby ją ładnie wyeksponować. Ale w tej kulturze, z wyjątkiem ludzi sceny (których makijaż był mniej więcej tak subtelny, jak neon w Las Vegas) jedyną formą pielęgnowania urody było umycie z rana twarzy, jeśli w ogóle. Uznał, że najbardziej pociągające są jej oczy. Były błyszczące i... ładne. Pełne życia. Niewykluczone, że miała zgrabną figurę, ale w tym ubraniu nie dało się tego ocenić.

– I co, nowy system komputerowy działa, jak należy? – spytał, pociągnąwszy łyk zielonej herbaty.

– Fantastycznie – odpowiedziała, tryskając entuzjazmem. – Ideogramy wychodzą przepiękne, a wydruk na drukarce laserowej jest idealny, zupełnie jakby je wykaliografowano.

– A co o tym sądzi twój minister?

– Och, jest bardzo zadowolony. Pracuję teraz szybciej i bardzo mu się to podoba! –

zapewniła.

– Na tyle zadowolony, żeby złożyć zamówienie? – spytał Nomuri, powracając do swej roli przedstawiciela japońskiej korporacji.

– O to muszę spytać dyrektora administracyjnego, ale sądzę, że będziesz zadowolony z odpowiedzi.

Ci w NEC będą szczęśliwi, pomyślał funkcjonariusz CIA, zastanawiając się przez chwilę, ile pieniędzy zarobi dla firmy, zapewniającej mu kamuflaż. Jego szef w Tokio zakrzusiłby się sake, gdyby wiedział, dla kogo Nomuri naprawdę pracuje, ale ten szpieg uczciwie zasłużył

sobie na wszystkie awanse w NEC, a dla swej prawdziwej ojczyzny pracował po godzinach.

Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności, pomyślał Chet, że faktyczna praca i kamuflaż tak dobrze do siebie pasują. I to, że wychował się w bardzo tradycyjnej rodzinie, od dziecka mówił dwoma językami... i jeszcze poczucie tego, co Japończycy nazywali *on*, obowiązku wobec ojczyzny, zdecydowanie dominujące nad związkami z kulturą Japonii, które zresztą tylko udawał.

Prawdopodobnie miał takie podejście do patriotyzmu za sprawą dziadka i jego oprawionej w ramki Bojowej Odznaki Piechoty na granatowym aksamicie, otoczonej wstęgami i medalami, oznaczającymi wyróżnienia za męstwo, Brązowej Gwiazdki i baretkom za zwycięskie kampanie we Włoszech i na południu Francji, w których uczestniczył

jako szeregowy 442. pułku. Nikt nie miał wątpliwości, że jego dziadek zdobył sobie prawo do obywatelstwa w najlepszy z możliwych sposobów, zanim wrócił do domu i projektowania terenów zielonych, dzięki któremu mógł wykształcić synów i wnuki, a jednego z wnuków nauczył, co znaczy obowiązek wobec jego kraju. A poza tym, to mogła być niezła zabawa.

I właśnie teraz tak było, pomyślał Nomuri, spoglądając głęboko w ciemne oczy Li Ming i zastanawiając się, o czym dziewczyna teraz myśli. Miała urocze dołeczki w policzkach i naprawdę słodki uśmiech, chociaż poza tym jej twarz nie wyróżniała się niczym szczególnym.

– Ten kraj jest taki fascynujący – powiedział. – Nawiasem mówiąc, doskonale mówisz po angielsku.
– I rzeczywiście tak było. On sam niezbyt dobrze radził sobie z dialektem mandaryńskim, a trudno jest uwodzić kobietę na migi.

Na twarzy Li Ming pojawił się uśmiech zadowolenia. – Dziękuję. Bardzo pilnie się uczę.

– Jakie książki czytasz? – spytał, uśmiechając się ujmująco.

– Romanse Danielle Steel, Judith Krantz. W Ameryce kobiety mają o wiele większe możliwości niż my tutaj.

– Ameryka to ciekawy kraj, ale chaotyczny – powiedział Nomuri. – Tutaj przynajmniej każdy zna swoje miejsce w społeczeństwie.

– Tak – skinęła głową. – Daje to poczucie bezpieczeństwa, ale czasem jest go aż za wiele.

Nawet ptak w klatce chce rozwinąć skrzydła.

– Powiem ci o czymś, co mi się tutaj nie podoba.

– Co takiego? – spytała Ming. Nie poczuła się urażona i Nomuri uznał, że to bardzo dobrze. Pomyślał, że może warto przeczytać którąś z powieści Danielle Steele, żeby się zorientować, co się tej dziewczynie podoba.

– Powinniście się inaczej ubierać. W tym, co nosicie, nie wyglądacie najlepiej. Kobiety powinny się ubierać bardziej atrakcyjnie. W Japonii jest w tej dziedzinie wiele różnych możliwości, można się ubierać w stylu wschodnim albo zachodnim, na co kto ma ochotę.

Zachichotała. – Wystarczyłaby mi dobra bielizna. Przyjemnie musi być ją nosić. To niezbyt socjalistyczny punkt widzenia – dodała, odstawiając filiżankę. Podszedł kelner i, za zgodą Nomuriego, Li Ming zamówiła *mao-tai*, mocny miejscowy trunek. Kelner szybko wrócił z dwiema porcelanowymi czarkami i butelką, z której ostrożnie i nalał. Funkcjonariusz CIA omal się nie zakrztusił przy pierwszym łyku. Poczuł, jak wódka pali go w przełyku i rozgrzewa żołądek. Zobaczył, że skóra Ming zaróżowiła się i przez chwilę miał wrażenie, że przeszedł przez jakieś wrota, które się przed nim otworzyły i że prawdopodobnie zmierzał we właściwym kierunku.

– Nie wszystko może być socjalistyczne – uznał Nomuri, pociągając następny łyk. – Ta restauracja jest przecież prywatna, prawda?

– O, tak. I potrawy są tu lepsze od tych, które ja przygotowuję. Nie opanowałam sztuki gotowania.

– Naprawdę? Więc może zgodzisz się, żebym to ja kiedyś coś dla ciebie ugotował? –

podsunął Chet.

– Tak?

– Naprawdę. – Uśmiechnął się. – Znam się na kuchni amerykańskiej, a produkty mogę kupić w sklepie specjalnym. – Co nie oznacza, że są cokolwiek warte, pomyślał, wiedząc, jak je tutaj dostarczano, ale na pewno będą o wiele lepsze niż te śmieci, które można tu kupić w zwykłych sklepach, a ona prawdopodobnie jeszcze nigdy nie jadła steku na kolację. Nomuri zastanawiał się, czy będzie mógł uzasadnić obciążenie CIA kosztem kilku porcji wołowiny z Kobe. Prawdopodobnie tak. Te liczykrupy z Langley nie czepiały się agentów terenowych aż tak bardzo.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Status zamorskiego barbarzyńcy ma swoje zalety – powiedział, uśmiechając się przebiegle. Zachichotała, a on uznał, że to właściwa odpowiedź. O, tak.

Nomuri ostrożnie pociągnął następny łyk paliwa raketowego. Właśnie mu powiedziała, co miałyby ochotę założyć. I dokonała rozsądnego wyboru, biorąc pod uwagę okoliczności.

Luksus, do jakiego tęskniła, był jednocześnie bardzo dyskretny.

– Co jeszcze możesz mi o sobie powiedzieć? – spytał.

– Niewiele jest do powiedzenia. Mam pracę poniżej moich kwalifikacji, ale to prestiżowa praca... ze względów politycznych, jestem bardzo wykształconą sekretarką. Mój pracodawca... cóż, formalnie rzecz biorąc jestem zatrudniona przez państwo, podobnie jak większość z nas, ale praktycznie pracuję u mojego ministra, jakby działał w sektorze kapitalistycznym i płacił mi z własnej kieszeni. – Wzruszyła ramionami. – Chyba zawsze tak było. Słyszę i widzę wiele ciekawych rzeczy.

Nomuri zdawał sobie sprawę, że nie należy jej teraz o nie pytać. Później, oczywiście, ale nie teraz.

– Ze mną jest tak samo, tajemnice przemysłowe i tak dalej. E tam – parsknął – lepiej zostawiać takie rzeczy w pracy. Nie, Ming, opowiedz mi o sobie.

– I w tym wypadku nie mam wiele do powiedzenia. Mam dwadzieścia cztery lata. Jestem wykształcona. Chyba mam szczęście, że w ogóle żyję. Wiesz, co się tutaj przytrafia wielu noworodkom płci żeńskiej...

Nomuri skinął głową. – Coś o tym słyszałem. To okropne – zgodził się z nią. Prawdę mówiąc, było to więcej niż okropne. Zdarzało się, że ojciec wrzucał nowo narodzoną córkę do studni w nadziei, że następnym razem żona urodzi mu syna. Zasada jednego dziecka w rodzinie była niemal prawem w ChRL i – jak większość praw w krajach komunistycznych –

była bezwzględnie egzekwowana. Często się zdarzało, że kobiecie zezwalało donosić nieautoryzowaną ciążę, ale kiedy dziecko miało przyjść na świat, kiedy widać już było główkę, ktoś z personelu medycznego, asystującego przy porodzie – lekarz albo pielęgniarka

– sięgał po strzykawkę z formaldehydem i wbijał igłę z miękką czaszkę rodzącego się dziecka, wciskał toczek i gasił życie w momencie, kiedy się właśnie rozpoczynało. Władze ChRL nie rozgłaszały tego, jako oficjalnej polityki rządowej, ale była to właśnie polityka rządowa. Siostra Nomuriego – Alice – była lekarzem, ginekologiem, wykształconym na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Nomuri wiedział, że Alice prędeż sama zażyłaby truciznę, niż dokonałaby tak barbarzyńskiego aktu, albo sięgnęła po pistolet przeciw każdemu, kto zażądałby od niej zrobienia czegoś takiego. Mimo wszystko, jakiejś liczbie

„nieautoryzowanych” dziewczynek udawało się przyjść na świat, ale często bywały porzucane, a potem oddawane do adopcji, głównie cudzoziemcom z Zachodu, ponieważ Chińczykom i tak na nic nie były potrzebne. Gdyby robiono coś takiego z Żydami, nazwano by to ludobójstwem, ale Chińczyków było tak wielu... Gdyby przeprowadzić to konsekwentnie, do końca, mogłoby dojść do wyginięcia całej rasy, ale tutaj mówiono jedynie o kontroli urodzeń. – Przyjdzie czas, że

społeczeństwo chińskie znów zacznie doceniać kobietę, Ming. To pewne.

– Sądzę, że tak – zgodziła się. – A jak kobiety są traktowane w Japonii?

Nomuri pozwolił sobie na śmiech. – Należałoby spytać, jak one nas traktują i jak pozwalają się traktować!

– Naprawdę?

– O, tak. Moja matka rządziła domem aż do śmierci.

– Ciekawe. Jesteś wierzący?

Skąd jej się to wzięło? – zdziwił się Chet.

– Nigdy nie dokonałem wyboru między szintoizmem a buddyzmem zen – odpowiedział

szczerze. Został ochrzczony jako metodysta, ale oddalił się od Kościoła wiele lat temu. W

Japonii zainteresował się miejscowymi religiami, chcąc je zrozumieć, żeby się lepiej dopasować, ale chociaż wiele się o nich nauczył, żadna z nich nie przystawała do jego amerykańskiego wychowania.

– A ty?

– Zainteresowałam się kiedyś sektą Falun Cong, ale niezbyt poważnie. Miałam przyjaciela, który bardzo się w to zaangażował. Siedzi teraz w więzieniu.

– Och, przykro mi – powiedział Nomuri współczująco, zastanawiając się, jak bliski był to przyjaciel. Komunizm był bardzo zazdrosny w kwestiach wiary, wyżyty tolerancji wobec jakiegokolwiek konkurencji. Ostatnio pojawił się tu baptyzm, ni stąd, ni zowąd. Nomuri przypuszczał, że za sprawą Internetu, amerykańscy chrześcijanie, zwłaszcza baptyści i mormoni inwestowali ostatnio w to medium ogromne środki. Jerry Falwell¹³ zdobywał tutaj jakieś przyczółki religijno-ideologiczne? Dziwne... a może nie? Problemem marksizmu-leninizmu, a chyba także maoizmu, było to, że choć model teoretyczny był doskonały, brakowało mu czegoś, za czym tęskniła dusza ludzka. Ale komunistycznym wodzom nie mogło się to spodobać. Sekta Falun Cong nie była nawet religią, nie w znaczeniu, w jakim Nomuri rozumiał pojęcie „religia”, ale z jakichś powodów, które nie w pełni pojmował, władze ChRL przestraszyły się jej na tyle, że postanowiły rozprawić się z nią, jakby był to autentyczny kontrrewolucyjny ruch polityczny. Słyszał, że skazani przywódcy tej sekty odbywali kary więzienia w szczególnie ciężkich warunkach. Bez trudu mógł sobie wyobrazić, co znaczą „ciężkie warunki” w tym kraju. To tutaj wymyślono niektóre z najokrutniejszych tortur na świecie, a życie ludzkie liczyło się o wiele mniej niż w kraju, z którego pochodził.

Chiny były prastarym krajem, z prastarą kulturą, ale pod wieloma względami ci ludzie mogli równie dobrze być Klingonami¹⁴, co istotami ludzkimi, tak bardzo ich system wartości różnił

się od tego, w jakim dorastał Chester Nomuri. – Cóż, ja naprawdę nie mam zbyt wiele wspólnego z religią.

Ming skinęła głową.

– Są jacyś mężczyźni w twoim życiu? Może narzeczony? – spytał, zmieniając temat.

Westchnęła. – Nie, i to już od jakiegoś czasu.

– Naprawdę? To zaskakujące – zauważył Nomuri z wystudiowaną galanterią.

– Myślę, że tutaj jest inaczej niż w Japonii – przyznała Ming z odcieniem żalu w głosie.

Nomuri sięgnął po butelkę i dolał obojgu *mao-tai*. – W tej sytuacji – powiedział z uśmiechem i uniesionymi brwiami – proponuję wypić za przyjaźń.

– Dziękuję, Nomuri-san.

– Cała przyjemność po mojej stronie, towarzyszeko Ming. – Zastanawiał się, ile czasu mu to zajmie. Prawdopodobnie niezbyt dużo. A potem rozpocznie się prawdziwa praca.

13 *Wielebny Jerry Falwell, znany amerykański baptysta, kaznodzieja umiejętnie wykorzystujący w swej działalności środki masowego przekazu (przyp. tłum.)*

14 *Pozaziemska rasa z serialu „Star Trek” (przyp. red.)* **Rozdział 7**

Nitki śledztwa

Był to jeden z tych zbiegów okoliczności, które zdarzają się w robocie policyjnej na całym świecie. Prowałow zatelefonował na główną komendę milicji, a ponieważ prowadził

śledztwo w sprawie zabójstwa, połączono go z szefem wydziału zabójstw w Petersburgu, jakimś kapitanem. Kiedy powiedział, że szuka dwóch byłych żołnierzy Specnazu, kapitan przypomniał sobie poranne spotkanie, podczas którego podwładni zameldowali znalezienie dwóch zwłok z tatuażami, wskazującymi na Specnaz, i dodał dwa do dwóch.

– Więc to w związku z tym zamachem w Moskwie? – spytał Jewgienij Pietrowicz Ustinow. – Kto tam właściwie zginął?

– Wydaje się, że głównym celem był Grigorij Filipowicz Awsiejenko, alfons –

powiedział Prowałow swemu koledze z Petersburga. – Zginął też kierowca i jedna z dziewczyn, ale to raczej przypadkowe ofiary. – Nie musiał tego tłumaczyć. Nie używa się granatu przeciwpancernego, żeby zabić kierowcę i dziwkę.

– I według waszych źródeł, zamachu dokonali ci dwaj weterani Specnazu?

– Zgadza się, i zaraz potem odlecieli z powrotem do Petersburga.

– Rozumiem. Cóż, wyłowiliśmy wczoraj z Newy dwóch takich, obaj mieli po trzydzieści kilka lat i obaj zginęli od kuli w tył głowy.

– Naprawdę?

Tak. Zdjęliśmy im odciski palców. Czekamy, żeby sprawdzono je w Centralnej Kartotece Wojskowej. Ale to trochę potrwa.

– Może mnie się uda coś z tym zrobić, Jewgieniju Pietrowiczu. Rzecz w tym, że kiedy dokonano zamachu, w pobliżu znajdował się Siergiej Nikołajewicz Gołowko i są obawy, że to jego chciano zabić.

– To by było ambitnym przedsięwzięciem – zauważył chłodno Ustinow. – Może... ci przyjaciele z placu Dzierżyńskiego potrafią pogonić tych idiotów z kartoteki?

– Zadzwońię do nich i zobaczymy – obiecał Prowałow.

– Dobrze. Coś jeszcze?

– Nazwisko. Suworow, Kliementij Iwanowicz, podobno były funkcjonariusz KGB, w tej chwili to wszystko, co wiemy. Mówi wam coś to nazwisko? – Prowałow mógł sobie wyobrazić, jak jego rozmówca kręci głową.

– *Niet*, nigdy o kimś takim nie słyszałem – odpowiedział kapitan, robiąc krótką notatkę. –

Jego związki ze sprawą?

– Mój informator przypuszcza, że to Suworow zlecił ten zamach.

– Sprawdzę, czy nie mamy tu czegoś na jego temat. Jeszcze jeden spod znaku Miecza i Tarczy15, co? Ilu z tych dawnych strażników państwa zeszło na złą drogę? – pytał retorycznie gliniarz z Petersburga.

– Wystarczająco wielu – zgodził się jego kolega z Moskwy, krzywiąc się przy tym – tego jednak jego rozmówca nie mógł zobaczyć.

– A ten Awsiejenko, też z KGB?

– Tak, podobno prowadził Szkołę Wróbelków.

Ustinow zachichotał. – O, alfons w służbie państwowej. Cudownie. A te dziewczyny?

– Śliczne – zapewnił Prowałow. – Ale za drogie dla takich jak my.

– Prawdziwy mężczyzna nie musi za to płacić, Olegu Grigorijewiczu – powiedział

Petersburski gliniarz swemu moskiewskiemu koledze.

– To prawda, przyjacielu. A przynajmniej nie od razu.

– To też prawda. – Śmiech w słuchawce. – Dajcie mi znać, jeśli na coś natraficie.

– Tak, przefaksuję wam moje notatki.

– Doskonale. Ja też będę się z wami dzielił informacjami – obiecał Ustinow. Na tym świecie istnieje więź między policjantami, prowadzącymi śledztwa w sprawach zabójstw.

Żadne państwo nie sankcjonuje zabijania przez osoby prywatne. Tę dziedzinę kontaktów międzyludzkich państwa rezerwują wyłącznie dla siebie.

W swoim ponurym moskiewskim biurze porucznik Prowałow poświęcił kilka minut na sporządzenie notatek. Było już za późno, żeby dzwonić do SWR w sprawie pogonienia tych z Centralnej Kartoteki Wojskowej. Postanowił to zrobić zaraz następnego dnia rano. Wystarczy na dzisiaj. Zdjął kurtkę z wieszaka, stojącego koło biurka i poszedł do swojego służbowego samochodu. Pojechał w pobliże ambasady amerykańskiej, do miłego, ciepłego baru „Borys Godunow”. Był tam może trzy, cztery minuty, kiedy poczuł znajomą rękę na ramieniu.

– Cześć, Miszka – powiedział Prowałow, nie odwracając się.

– Wiesz co, Oleg, miło jest widzieć, że rosyjscy gliniarze są podobni do amerykańskich.

– W Nowym Jorku jest tak samo?

– Jasne, że tak – potwierdził Reilly. – Po uganianiu się za przestępcami przez cały długi dzień, czy może być coś lepszego niż parę drinków z kumplami? – Agent FBI przywołał

gestem barmana i zamówił to, co zwykle: wódkę i wodę mineralną. – Poza tym w takich 15 *Elementy godła KGB* (przyp. tłum.)

miejscach, jak to, można odwalić kawał dobrej roboty. I co, jest coś nowego w sprawie tego alfonsa?

– Tak, niewykluczone, że tych dwóch, którzy dokonali zamachu, znaleziono martwych w Petersburgu. – Prowałow dopił swoją wódkę i wprowadził Amerykanina w szczegóły. – I co o tym sądzisz? – spytał na koniec.

– Albo zemsta, albo środek ostrożności. Zetknąłem się z tym w Stanach.

– Środek ostrożności?

– Aha. To było w Nowym Jorku. Mafia wykończyła Joeya Galio, zrobili to w miejscu publicznym i

chcieli, żeby wiedzano, że to oni, więc wzięli do tej roboty czarnego faceta.

Zaraz potem ten biedny sukinsyn został zastrzelony pięć metrów dalej. Środek ostrożności, Oleg. Chodzi o to, żeby sprawca nie mógł powiedzieć, kto go wynajął. Ten, który go zabił, po prostu odszedł przez nikogo niezauważony. Ale w wypadku tych dwóch w Petersburgu mogła to być również zemsta: ktoś, kto ich wynajął, skasował ich za to, że pomylili cele. Możesz sobie wybrać, stary.

– No tak.

Reilly skinął głową. – Cóż, przynajmniej masz trochę nowych śladów, którymi możesz pójść. Może ci dwaj z kimś rozmawiali? Do licha, może któryś z nich prowadził dziennik!

Reilly pomyślał, że to tak jak po wrzuceniu kamienia do stawu. Kręgi rozchodzą się coraz dalej i dalej. W odróżnieniu od prostych, łatwych do rozwiązania zabójstw w rodzinie, kiedy facet morduje żonę, bo ta dawała dupy na prawo i lewo, albo spóźniała się z kolacją, a potem, cały we łzach, przyznaje się do winy. No tak, ale takim zbrodniom towarzyszy zwykle wiele hałasu. Takie sprawy rozwiązywało się najczęściej dzięki temu, że ludzie coś słyszeli, rozmawiali o tym, a niektórzy wiedzieli coś, co można było wykorzystać. Prowadzący śledztwo musiał więc tylko wysłać swoich ludzi na ulicę, kazać im stukać do drzwi, zdzierać zelówki, aż do uzyskania niezbędnych informacji. Rosyjscy gliniarze wcale nie byli głupi.

Brakowało im trochęj wykształcenia, które dla Reilly'ego było czymś oczywistym, ale mimo wszystko odznaczali się odpowiednim instynktem policyjnym, a istota rzeczy sprowadzała się do tego, że należało się trzymać właściwych procedur i wtedy rozwiązywało się sprawy, ponieważ druga strona wcale nie była aż taka bystra. Ci naprawdę bystrzy nie łamali prawa w taki wołający o pomstę sposób. Nie, zbrodnia doskonała, to zbrodnia, która nigdy nie zostaje wykryta, morderstwo bez zwłok ofiary, skradzione pieniądze, których nie wykaże żadna kontrola, szpiegostwo nigdy nie wykryte. Kiedy wiadomo, że zbrodnia została popełniona, istnieje punkt zaczepienia, a potem to już jakby prucie swetra – trzeba tylko pociągać za wełnianą nitkę aż do skutku i wcale nie jest to takie trudne.

– Powiedz mi, Miszka, czy ta wasza mafia w Nowym Jorku była groźnym przeciwnikiem? – spytał Prowałow, pociągawszy drugiego drinka.

Reilly też się napił.

– W życiu jest inaczej niż w kinie, Oleg. Może z wyjątkiem filmu „Chłopcy z ferajny”.

To prymitywne bandziory. Nie mają wykształcenia. Niektórzy z nich są cholernie głupi.

Kiedyś, dawno temu, ich znakiem szczególnym była omerta, zмова milczenia, wiesz, jeśli wpadali, nigdy nie szli na współpracę z policją. Ale z czasem się to zmieniło. Ludzie ze Starego Kraju wymarli, a nowe pokolenie nie było już tak twarde, podczas gdy my zrobiliśmy się twardsi. Trzy lata można odsiedzieć z uśmiechem na ustach, ale dziesięć... a do tego jeszcze załamała się ich

organizacja. Przestali się opiekować rodzinami, których ojcowie trafili za kratki, a to już bardzo poważnie podkopało morale. No i zaczęli z nami rozmawiać.

My też się wycwaniliśmy, zaczęliśmy stosować inwigilację elektroniczną... teraz nazywa się to operacjami specjalnymi, wtedy mówiliśmy o czarnej robocie i nie zawsze zwracaliśmy sobie głowę uzyskaniem nakazu. Wtedy, w latach sześćdziesiątych, don mafii nie mógł się odlać tak, żebyśmy nie wiedzieli, jakiego koloru ma mocz.

– I nigdy nie próbowali z wami walczyć?

– Z nami? Mieliby zadzierać z agentami FBI? – Reilly uśmiechnął się na samą myśl.

Oleg, nikt nigdy nie zadziera z FBI. Byliśmy wtedy Bożą Prawicą i w pewnym sensie jesteśmy do dzisiaj, a jeśli ktoś z nami zadrze, przydarzy mu się coś naprawdę złego. Prawda jest taka, że nic takiego nigdy się nie stało, ale czarne charaktery obawiają się, że mogłoby się stać. Czasem reguły trochę się nagina, ale nie, nigdy się ich nie łamie, a przynajmniej ja o tym nie wiem. Jeśli zagroźisz bandzirowi poważnymi konsekwencjami za przekroczenie pewnej granicy, są szanse, że potraktuje to poważnie.

– Nie tutaj. Jeszcze nas tu nie darzą takim szacunkiem.

– Więc musicie sprawić, żeby nabrali szacunku, Oleg. – Sama idea naprawdę była prosta, ale Reilly wiedział, że jej realizacja wcale nie będzie równie łatwa. Może od czasu do czasu można by dać tutejszym glinom wolną rękę i niech pokażą bandzirom, jaka jest cena braku szacunku dla władzy? Reilly pomyślał, że była to część amerykańskiej historii. Szeryfowie tacy jak Wyatt Earp, Bat Masterson i „Dziki Bill” Hickock, „Samotny Wilk” Gonzales z Texas Rangers, Bill Tilghman i Billy Threepersons z U.S. Marshal Service¹⁶ – gliniarze z dawnych czasów, którzy nie tyle egzekwowali prawo, co byli jego uosobieniem, chodząc ulicami swoich miast. W Rosji nie było takiego legendarnego obrońcy prawa. Może jakiś by im się przydał. To była część dziedzictwa każdego amerykańskiego gliniarza, a oglądając filmy i telewizyjne westerny, obywatele amerykańscy umacniali się w przekonaniu, że złamanie prawa będzie oznaczać interwencję takiego człowieka i że konsekwencje nie będą przyjemne. FBI, które dojrzewało w warunkach zwiększonej przestępczości w czasach Wielkiego Kryzysu, wykorzystało tradycję westernu, żeby za pomocą nowoczesnych technik i procedur otoczyć się atmosferą tajemniczości. Żeby to osiągnąć, trzeba było doprowadzić do skazania mnóstwa przestępców, a także zabić ich paru na ulicach. W Ameryce gliniarze mieli być bohaterskimi postaciami, nie tylko egzekwującymi poszanowanie prawa, lecz także ¹⁶ *Szeryfowie policji federalnej (przyp. tłum.)*

chroniącymi niewinnych. Tutaj, na obszarze byłego Związku Radzieckiego, nie istniała taka tradycja, a szkoda, bo rozwiązałaby to wiele problemów. Nie, tutaj była raczej tradycja ucisku, a nie ochrony. Dla Johna Wayne’a, czy Melvina Purvisa nie było roli w rosyjskich filmach i tym gorzej dla Rosjan. Reilly pracował tu z prawdziwą przyjemnością, polubił i nauczył się szanować swoich rosyjskich kolegów, ale czasem odnosił wrażenie, że wyrzucono go na stertę śmieci z zadaniem zaprowadzenia takiego porządku, jak u Bergdorfa-Goodmana w Nowym Jorku¹⁷.

Niby było tu wszystko, co potrzeba, ale zaprowadzenie w Rosji porządku było zadaniem, przy którym praca Herkulesa w stajniach Augiasza wydawała się błahostką. Motywacja Olega była odpowiednia, jego umiejętności też, ale czekało go bardzo trudne zadanie. Reilly mu tego nie zazdrościł, ale wiedział, że musi pomóc, jak tylko będzie mógł.

– Niezbyt ci zazdrozczę, Misza, ale wiesz, chciałbym mieć taki status, jaki ma twoja organizacja w twoim kraju.

– To nie przypadek, Oleg. Wielu dobrych ludzi pracowało na to przez wiele lat. Może powinienem ci pokazać któryś z filmów z Clintem Eastwoodem.

– „Brudny Harry”? Widziałem. – Zabawne, pomyślał Rosjanin, ale niezbyt realistyczne.

– Nie. „Wieszajcie ich wysoko”, o szeryfach federalnych, z czasów starego, dobrego Dzikiego Zachodu, kiedy mężczyźni byli mężczyznami, a kobiety były wdzięczne. Prawdę mówiąc, ten film nie oddaje rzeczywistego obrazu sytuacji. Na Dzikim Zachodzie przestępczość nie była zbyt wielka.

Rosjanin, wyraźnie zdziwiony, uniósł wzrok znad drinka. – To dlaczego w tych wszystkich filmach pokazuje się co innego?

– Oleg, film musi trzymać w napięciu, a co może być podniecającego w uprawianiu pszenicy, czy hodowaniu bydła? Amerykański Zachód zasiedlili głównie weterani wojny secesyjnej. To była ciężka i okrutna wojna. Żaden z tych, którzy przeżyli bitwę pod Shiloh nie dałby się zastraszyć jakimś palantowi na koniu, uzbrojonemu czy nie. Pewien profesor z Uniwersytetu Oklahomy napisał książkę na ten temat jakieś dwadzieścia lat temu. Sprawdził

archiwa sądowe i ustalił, że oprócz strzelanin w barach – whisky i broń to nienajlepsza mieszanka, prawda? – na Zachodzie wcale nie było aż tak wielkiej przestępczości. Ludzie sami potrafili o siebie zadbać, a prawa, jakie wtedy mieli, były bardzo surowe – stąd niezbyt wielu recydywistów – ale w sumie chodziło o to, że wszyscy mieli broń i wszyscy całkiem dobrze potrafili się nią posługiwać, i było to poważnym czynnikiem odstrasającym. W końcu wzburzony obywatel jest bardziej skłonny do użycia broni niż policjant. Po co pisać te wszystkie raporty, jeśli można tego uniknąć, prawda? – Amerykanin zachichotał i pociągnął

łyk wódki.

– Pod tym względem jesteśmy tacy sami, Miszka – zgodził się Prowałow.

17 *Ekskluzywny dom towarowy (przyp. tłum.)*

– A tak przy okazji, całe to westernowe strzelanie jest zupełną fikcją. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś naprawdę potrafił tak strzelać. Nie, to hollywoodzka bzdura. Nie da się celnie strzelać w taki sposób. Gdyby było to możliwe, nauczono by nas tego w Quantico. Ale z wyjątkiem tych, którzy

trenując z myślą o pokazach i turniejach, zawsze z tej samej odległości i pod tym samym kątem to po prostu niemożliwe.

– Jesteś tego pewien? – Prowałow był inteligentnym gliną, ale zobaczył w życiu swoją porcję westernów i trudno mu się było pożegnać z tym mitem.

– Byłem naczelnym instruktorem strzeleckim w moim oddziale i, niech mniej diabli, jeśli to potrafię.

– Dobrze strzelasz, co?

Reilly, zwykle nie tak skromny, kiedy pojawiał się ten temat, tym razem tylko skinął

głową i mruknął: – Nieźle, całkiem nieźle. – Na tablicy honorowej w Akademii FBI było mniej niż trzysta nazwisk tych, którzy na końcowym egzaminie ze strzelania uzyskali maksymalną liczbę punktów. Mike Reilly był jednym z nich. Był też zastępcą dowódcy oddziału specjalnego SWAT podczas służby w Kansas City, zanim przeszedł do „szachistów”

z wydziału przestępczości zorganizowanej. Bez swego wiernego S&W 1076 czuł się niekompletnie ubrany, ale tłumaczył sobie, że takie już jest życie w służbie dyplomatycznej FBI. Zresztą, co tam, wódka była tu doskonała i zaczynał w niej coraz bardziej gustować.

Dyplomatyczne numery rejestracyjne bardzo się w tym wypadku przydawały. Miejscowi gliniarze zawsze mieli bloczki mandatowe pod ręką. Szkoda, że jeszcze tak wiele musieli się nauczyć o prowadzeniu dochodzeń w naprawdę dużych sprawach.

– Więc celem zamachu był prawdopodobnie ten wasz alfons, tak, Oleg?

– Tak, sądzę, że to prawdopodobne, chociaż pewności jeszcze nie mamy. – Wzruszył

ramionami. – Ale wątek Gołowki pozostawimy otwarty. Przynajmniej – dodał Prowałow, pociągnąwszy spory łyk – będziemy mieli zapewnioną współpracę innych agencji.

Reilly parsknął śmiechem. – Olegu Grigorijewiczu, wiesz, jak sobie poradzić z biurokratyczną częścią tej roboty. Sam bym niczego lepszego nie wymyślił! – Machnął ręką na barmana, żeby postawić następną kolejkę.

Internet z pewnością był najlepszym szpiegowskim narzędziem, jakie kiedykolwiek wynaleziono, pomyślała Mary Patricia Foley. Pobłogosławiła też dzień, w którym osobiście rekomendowała Chestera Nomuriego do Wydziału Operacyjnego CIA. Ten mały Nisei 18 miał

już na koncie parę błyskotliwych posunięć, jak na funkcjonariusza, który jeszcze nie przekroczył trzydziestki. Świetnie się sprawdził w Japonii i bez wahania zgłosił się na ochotnika do operacji CZYNG1S w Pekinie. Jego kamuflaż w Nippon Electric Company był

wprost idealny, biorąc pod uwagę wymogi tej misji i odnosiło się wrażenie, że Nomuri wszedł

18 Nisei - drugie pokolenie Japończyków w Ameryce Północnej, dziecko japońskich imigrantów, urodzone lub wychowane w USA albo w Kanadzie (przyp. tłum.)

w nową rolę tanecznym krokiem, jak Fred Astaire, kiedy miał szczególnie dobry dzień. A najprostsze ze wszystkiego było chyba przekazywanie informacji.

Przed sześciu laty ludzie z CIA udali się do Krzemowej Doliny – oczywiście w tajemnicy

– i zamówili u pewnego przedsiębiorcy krótką serię bardzo specyficznych modemów. Prawdę mówiąc, wielu ludziom wydawało się, że modem jest byle jaki, ponieważ na zestawienie połączenia potrzebował cztery, do pięciu sekund więcej, niż inne takie urządzenia. Nikt niewtajemniczony nie wiedział, że te ostatnie cztery sekundy wcale nie były przypadkowym szumem elektronicznym. W rzeczywistości zestrajany był w tym czasie specjalny system szyfrujący, chociaż w słuchawce telefonicznej brzmiało to rzeczywiście jak przypadkowy szum. Chester musiał więc tylko przygotować swój meldunek do transmisji i przesłać go. Dla pewności meldunki były dodatkowo zaszyfrowane w systemie 256-bitowym, specjalnie opracowanym w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i taki podwójny szyfr był tak skomplikowany, że nawet superkomputery ABN z trudem mogłyby go złamać, i musiało by to zająć mnóstwo ich kosztownego czasu. Trzeba było jeszcze tylko zarejestrować domenę¹⁹

WWW-kropka-coś tam z pomocą któregoś z dostawców usług internetowych, a tych było na świecie pod dostatkiem. W ten sposób możliwe było nawet zestawianie bezpośredniego połączenia między dwoma komputerami – takie były zresztą pierwotne założenia – i, nawet gdyby przeciwnik zorganizował podsłuch linii telefonicznej, trzeba by matematycznego geniusza oraz największego superkomputera, jaki kiedykolwiek wyprodukowano w Sun Microsystems, żeby w ogóle przystąpić do rozszyfrowywania przesłanej w tym systemie wiadomości.

Lian Ming, czytała Mary Pat, sekretarka... o, jego? Niezłe potencjalne źródło. Najbardziej urocze było to, że do meldunku o rekrutacji Nomuri dołączył informację o ewentualności kontaktu seksualnego. Ten dzieciak był jeszcze taki niewinny; pewnie czerwienił się, kiedy to pisał, pomyślała wicedyrektor (ds. operacyjnych) Centralnej Agencji Wywiadowczej, ale dołączył to, ponieważ był tak piekielnie uczciwy we wszystkim, co robił. Czas przyznać mu awans i podwyżkę. Pani Foley sporządziła odpowiednią notatkę w załączniku do jego akt w komputerze. James Bond-san pomyślała, chichocząc w duchu. Najprostsza była odpowiedź:

„Zgoda, kontynuować”. Nawet nie musiała dodawać „ostrożnie”. Nomuri potrafił sobie radzić w terenie, co nie zawsze było regułą w wypadku młodych funkcjonariuszy operacyjnych.

Następnie sięgnęła po słuchawkę i zadzwoniła do męża na jego bezpośredni numer.

– Cześć, kochanie – powiedział dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej.

– Bardzo jesteś zajęty?

Ed Foley wiedział, że żona nie zadałaby tego pytania bez powodu. – Dla ciebie zawsze znajdę czas, mała. Zejdź tu do mnie. – Odłożył słuchawkę.

19 Unikatowa nazwa, reprezentująca i pozwalająca zlokalizować serwer internetowy lub komputer, podłączony do Internetu (przyp. tłum.)

Gabinet dyrektora CIA jest dość długi i wąski, z oknami od podłogi do sufitu, wychodzącymi na las i parking dla specjalnych gości. Widać też przez nie drzewa porastające dolinę Potomaku, autostradę Jerzego Waszyngtona i niewiele więcej. Myśl, że ktoś miałby otwarte pole widzenia na którąkolwiek część tego budynku, a zwłaszcza na gabinet dyrektora, przyprawiłaby ochroniarzy o palpitacje. Ed uniósł wzrok znad papierów, kiedy jego żona weszła i usiadła w skórzanym fotelu po przeciwnej stronie biurka.

– Coś dobrego?

– Nawet lepszego niż stopnie Eddiego w szkole – odpowiedziała z delikatnym, uwodzicielskim uśmiechem, zarezerwowanym wyłącznie dla męża. To musi być coś bardzo dobrego, pomyślał. Edward Foley junior świetnie sobie radził na Politechnice Rensselaer w Nowym Jorku, a także w tamtejszej drużynie hokejowej, która prawie zawsze doskonale sobie radziła w rozgrywkach akademickich. Może mały Ed zdobędzie nawet miejsce w reprezentacji olimpijskiej? Ale zawodowy hokej był wykluczony. Ed będzie robił zbyt duże pieniądze jako informatyk, żeby tracić czas na coś tak pospolitego. – Myślę, że coś tu mamy.

– Co takiego, kochanie?

– A co byś powiedział na sekretarkę Fang Gana? Nomuri próbuje ją zwerbować i mówi, że szanse powodzenia są duże.

– CZYNGIS – powiedział. Powinni byli wybrać inną nazwę, ale – w odróżnieniu od większości operacji CIA, ta nie została wygenerowana przez komputer w piwnicy. Prawda była taka, że nie zastosowano tego środka bezpieczeństwa z tego prostego powodu, że nikt nigdy nie oczekiwał, że ta operacja w Chinach przyniesie jakiegokolwiek rezultaty. Centralnej Agencji Wywiadowczej nigdy nie udało się wprowadzić żadnego agenta do władz ChRL, a przynajmniej nie agenta w randze powyżej kapitana Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

Problemy, jakie się z tym wiązały, nie były nowe.

Najpierw trzeba by zwerbować etnicznego Chińczyka, a w tej dziedzinie CIA nie mogła się pochwalić szczególnymi sukcesami; taki funkcjonariusz musiałby się odznaczać doskonałą znajomością języka chińskiego i umiejętnością wtopienia w tamtejsze środowisko.

Z różnych powodów, nigdy się to nie powiodło. Aż kiedyś Mary Pat zasugerowała wysłanie Nomuriego. W końcu jego korporacja robiła mnóstwo interesów w Chinach, a poza tym, ten chłopak naprawdę wykazywał dobry instynkt. Ed Foley zgodził się, chociaż niewiele się po tym spodziewał. Ale i tym razem okazało się, że jego żona ma lepsze wyczucie. Panowało powszechne przekonanie, że Mary Pat Foley była najlepszym funkcjonariuszem operacyjnym, jakiego Firma miała przez ostatnie dwadzieścia lat. – Chet jest tam dobrze zakonspirowany?

Mary Pat skinęła głową, dzieląc troskę męża. – Cóż, pracuje bez ochrony, jaką daje status dyplomatyczny, ale potrafi na siebie uważać, a sprzęt łącznościowy ma najlepszy, jakim dysponujemy. Jeśli nie zawezmą się na niego, wiesz, na przykład dlatego, że nie spodoba im się jego fryzura, powinien być bezpieczny. Tak czy inaczej... – podała mu wydruk meldunku z Pekinu.

Dyrektor CIA przeczytał go trzykrotnie i oddał kartkę żonie. – Cóż, jeśli ma chęć i dziewczynę... to nienajlepsza metoda w działalności operacyjnej, kochanie. Nie powinien się tak angażować...

– Wiem o tym, Ed, ale przecież trzeba grać takimi kartami, jakie się dostało, prawda? A jeśli uda się podsunąć jej taki komputer, jakiego używa Chester, jej bezpieczeństwo nie będzie aż tak zagrożone, nie sądzisz?

– Chyba że zlecą komuś rozebranie go na części – pomyślał głośno Ed Foley. O Jezu, Ed, nawet nasi najlepsi ludzie mieliby cholerne problemy, próbując się w tym rozeznac. To ja kierowałam tym projektem, pamiętasz? Nie ma niebezpieczeństwa!

– Spokojnie, kochanie. – Dyrektor uniósł rękę. – Wiem, że nie ma niebezpieczeństwa, ale przecież to ja mam się martwić, a do ciebie należy strzelanie z biodra, pamiętasz?

– W porządku, kochanie. – Słodki, uwodzicielski uśmiech, jak zawsze, kiedy postawiła na swoim.

– Dałaś mu już znać, żeby kontynuował?

– To mój agent, Eddie.

Pełne rezygnacji skinienie głową. To nie fair, że musiał tu pracować z żoną. Tutaj także rzadko udawało mu się postawić na swoim. – W porządku, mała, to twoja operacja, więc prowadź ją, ale...

– Ale co?

– Ale ta operacja nie może się nazywać CZYNGIS. Jeśli okaże się, że coś w tym jest, przejdziemy na miesięczny cykl nazw. Implikacje są poważne, więc musimy zastosować maksymalne środki bezpieczeństwa.

Musiała się z tym zgodzić. Prowadzili kiedyś oboje agenta, znanego w CIA jako Kardynał, pułkownika Michaiła Siemionowicza Filitowa, który pracował na Kremlu przez ponad trzydzieści lat, przekazując informacje na wagę złota o wszystkich aspektach radzieckich sił zbrojnych, a także nieocenione materiały wywiadowcze, dotyczące polityki. Z

jakichś biurokratycznych powodów, których dziś nikt już nie pamiętał, Kardynał nie był

prowadzony jako normalny agent i uratowało go to przed zdradą Amesa Aldricha, który wsypał dziesiątki obywateli radzieckich, pracujących dla Ameryki. Dla Amesa było to mniej więcej po 100 tysięcy dolarów za każde zgaszone życie. Foleyowie żalowali, że Ames mógł

żyć dalej²⁰, ale cóż, nie pracowali przecież w wymiarze sprawiedliwości.

– W porządku, Eddie, miesięczny cykl zmiany nazwy. Zawsze jesteś taki ostrożny, kochanie. Załatwisz to, czy ja mam się tym zająć?

– Sama wiesz, jaka to kłopotliwa procedura. Zaczekamy z tym, aż ta sekretarka dostarczy jakichś pożytecznych informacji, a na razie zmienimy CZYNGISA na coś innego, co nie będzie się w tak oczywisty sposób kojarzyło z Chinami.

20 W 1994 roku został skazany na dożywotnie więzienie (przyp. tłum.)

– W porządku. – Psozny uśmiech, – A co powiesz na SORGE? – podsunęła. Richard Sorge, jeden z największych szpiegów wszech czasów, Niemiec, który pracował dla Rosjan i bardzo prawdopodobne, że uniemożliwił Hitlerowi pokonanie Stalina na froncie wschodnim.

Radziecki dyktator wiedział o tym, ale nie kiwnął palcem, żeby uratować go przed egzekucją.

„Wdzięczność – powiedział kiedyś Józef Wissarionowicz – jest przypadłością psów”.

Dyrektor CIA skinął głową. Jego żona miała poczucie humoru, zwłaszcza w sprawach służbowych: – Jak sądzisz, kiedy zaczniemy coś dostawać od tej Chinki?

– Przypuszczam, że zaraz po tym, jak Chester weźmie ją do łóżka.

– Mary, czy ty kiedykolwiek...

– Na służbie? Ed, to dobre dla facetów, a nie dla dziewczyn – powiedziała mężowi, uśmiechając się promiennie. Zebrała papiery i ruszyła do drzwi. – Oczywiście dla ciebie zrobiłam wyjątek, kochanie.

DC-10 linii Alitalia dzięki pomyślnym wiatrom wylądował około piętnastu minut przed czasem. Zadowolony kardynał Renato DiMilo odmówił stosowną modlitwę dziękczynną. Od dawna w służbie dyplomatycznej Watykanu, przyzwyczał się do długich lotów, co jednak nie oznaczało, że je lubił. Ubrany był w swój „kardynalski” czerwono-czarny garnitur, bardziej przypominający jakiś oficjalny uniform, w dodatku niezbyt wygodny, chociaż uszyty na miarę przez jeden z najlepszych zakładów krawieckich w Rzymie. Jednym z minusów statusu duchownego i dyplomaty było to, że nie mógł

zdjąć marynarki na czas lotu. Znuł natomiast buty i teraz przekonał się, że stopy mu spuchły i założenie obuwia z powrotem było trudniejsze niż zwykle. Westchnął tylko, zrezygnowany. Samolot podkołował do terminalu.

Szefowa stewardes poprowadziła kardynała do przednich drzwi i pozwoliła mu wysiąść pierwszemu. Jedną z zalet statusu dyplomaty było to, że wszelkie formalności po przylocie ograniczały się do machnięcia paszportem dyplomatycznym. Na końcu korytarza czekał już na niego wysoki rangą przedstawiciel władz ChRL.

– Witamy w naszym kraju – powiedział Chińczyk, podając mu rękę.

– Przybywam tu z przyjemnością – odpowiedział kardynał. Ten komunistyczny ateista nie ucałował go w pierścień, co należało do zwyczajowego protokołu. Cóż, katolicyzm w szczególności chrześcijaństwo w ogóle nie były mile widziane w Chińskiej Republice Ludowej. Ale jeśli ChRL chciała dołączyć do cywilizowanego świata, musiała zaakceptować przedstawicielstwo Stolicy Apostolskiej i tyle. A kardynał zamierzał popracować nad tymi ludźmi i, kto wie, może zdoła nawrócić jednego czy dwóch? Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy, a Kościół Rzymskokatolicki radził sobie w przeszłości z potężniejszymi wrogami.

Ministerialny wysłannik z niewielką eskortą poprowadził szacownego gościa przez halę przylotową do miejsca, w którym czekała służbowa limuzyna i większa eskorta.

– Jak minął lot? – spytał wysłannik.

– Dziękuję, był dość długi, ale spokojny – padła oczekiwana odpowiedź. Dyplomaci musieli udawać, że uwielbiają latanie, chociaż nawet dla załóg samolotów takie długie loty były męczące. Zadaniem urzędnika było obserwowanie nowego ambasadora Watykanu, zwracanie uwagi na to, jak się zachowuje, a nawet, jak wygląda przez okno samochodu. Ten gość zachowywał się zresztą podobnie jak inni dyplomaci, przybywający do Pekinu po raz pierwszy. Wszyscy oni zwracali uwagę na różnice. Architektura była dla nich nowa, inna, podobnie jak kolor cegieł, sposób, w jaki zostały ułożone, wygląd murów z bliska i z daleka.

Wszystkie dostrzeżone różnice, minimalne, jeśli spojrzeć na nie obiektywnie, składały się na nową, fascynującą rzeczywistość.

Przejazd do ambasady, która była zarazem rezydencją, potrwał dwadzieścia osiem minut.

Był to stary budynek, z końca XIX wieku. Służył kiedyś jako dom pewnemu amerykańskiemu misjonarzowi, metodyście – tamten misjonarz musiał być przyzwyczajony do amerykańskich wygod, pomyślał urzędnik – a potem przechodził różne koleje, między innymi, jak się dowiedział poprzedniego dnia, był w latach 20. i 30. burdelem w dzielnicy dyplomatycznej, bo dyplomaci też lubili uciechy. Zastanawiał się, czy korpus dyplomatyczny obsługiwały tu wtedy Chinki, czy raczej, jak mu się obilo o uszy, Rosjanki, które bez wyjątku utrzymywały, że pochodzą z carskiej arystokracji. Z jakiegoś powodu mężczyźni z Zachodu lubili grzeszyć z arystokratkami, jakby różniły

się czymś od innych kobiet. O tym też dowiedział się w biurze, od jednego z archiwistów, którzy rejestrowali takie rzeczy w ministerstwie. Osobiste skłonności przewodniczącego Mao nie były rejestrowane, ale o jego upodobaniu do deflorowania dwunastolatek, któremu hołdował przez całe życie, dobrze wiedziano w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Młody urzędnik wiedział, że każdy przywódca miał w sobie coś dziwnego i wstrętnego. Wielcy ludzie mają wielkie zboczenia.

Samochód zajechał pod stary dom, zbudowany techniką pruskiego muru. Milicjant w mundurze otworzył drzwi przed gościem z Włoch i nawet zasalutował, zasługując sobie na skinienie głowy, przykrytej małą, ciemnoczerwoną czapeczką.

Na ganku czekał już inny cudzoziemiec, prałat Franz Schepke, który w hierarchii dyplomatycznej był zastępcą szefa przedstawicielstwa, co zwykle oznaczało tego, kto faktycznie nim kierował, podczas gdy ambasador – najczęściej mianowany z powodów politycznych – królował w swoim gabinecie. Nie wiedzieli jeszcze, czy będzie tak i w tym wypadku.

Wygląd Schepkego świadczył o jego niemieckim pochodzeniu. Duchowny był wysoki, szczupły, miał szaroniebieskie oczy, z których niczego nie można było wyczytać i cudowny talent do języków, dzięki któremu opanował nie tylko trudny mandaryński, lecz także miejscowy dialekt. Przez telefon można go było wziąć za członka partii, ku wielkiemu zaskoczeniu przedstawicieli miejscowych władz, którzy nigdy by się nie spodziewali, że cudzoziemiec zdoła się w ogóle wysłowić po chińsku, a co dopiero władać tym językiem po mistrzowsku.

Wysłannik ministerstwa zauważył, że Niemiec ucałował pierścień swego zwierzchnika.

Następnie Włoch uściśnął mu dłoń i objął młodszego duchownego. Prawdopodobnie się znali.

Potem kardynał DiMilo poprowadził Schepkego do chińskiego komitetu powitalnego i dokonał prezentacji. W końcu do domu wniesiono bagaże i urzędnik, który witał kardynała, odjechał służbowym samochodem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, żeby złożyć raport.

Zamierzał napisać, że nuncjusz papieski nie jest już w kwiecie wieku – dość miły staruszek, ale nie odznaczający się zbyt wielkim intelektem. Innymi słowy – typowy zachodni ambasador.

Kiedy tylko weszli do środka, Schepke poklepał się po prawym uchu i zatoczył ręką krąg.

– Wszędzie? – spytał kardynał.

– *Ja, doch* – odpowiedział Schepke w swym ojczystym niemieckim, po czym przeszedł

na grekę. Nie na współczesną, lecz na starogrecki, ten, którym posługiwał się Arystoteles, język podobny do współczesnego, a jednak znacznie się od niego różniący, którym dziś władała zaledwie garść naukowców w Oksfordzie i kilku innych uczelniach zachodnich. –

Witam, eminencjo.

– Dalekie loty mogą być męczące. Dlaczego nie możemy podróżować drogą morską?

Byłby to znacznie mniej stresujący sposób na dostanie się z jednego punktu do drugiego.

– Przekleństwo postępu – podsunął nieśmiało niemiecki ksiądz. W końcu lot z Rzymu do Pekinu był tylko o czterdzieści minut dłuższy niż z Rzymu do Nowego Jorku, ale Renato był

człowiekiem z dawnych czasów, w których okazywano więcej cierpliwości.

– Ten, który witał mnie w porcie, co możesz mi o nim powiedzieć?

– Nazywa się Qian. Ma czterdzieści lat, żonaty, jeden syn. To z nim będziemy się kontaktować w MSZ. Inteligentny, wykształcony, ale zdeklarowany komunista i syn komunisty – objaśnił Schepke, mówiąc szybko językiem, którego dawno temu nauczył się w seminarium duchownym. Obaj wiedzieli, że ich rozmowa prawdopodobnie była nagrywana i że doprowadzi do obłędu lingwistów w chińskim MSZ. Cóż, pomyślał Schepke, to w końcu nie nasza wina, że zatrudnia się tam analfabetów.

– I w całym domu jest podsłuch? – spytał DiMilo, zmierzając do tacy, na której stała butelka czerwonego wina.

– Musimy przyjąć takie założenie – potwierdził Schepke. Kardynał napełnił sobie kieliszek. – Mógłbym zlecić sprawdzenie budynku, ale niełatwo tu znaleźć ludzi, którym można zaufać... – A ci, którzy potrafiliby wykryć podsłuch, skorzystaliby z okazji, żeby założyć własny, bo bez względu na to, dla którego kraju pracowali – Ameryki, Wielkiej Brytanii, Izraela – wszystkich interesowało to, co wiedział Watykan.

Watykan, położony w centrum Rzymu, jest oficjalnie niezależnym państwem, stąd status dyplomatyczny kardynała DiMilo nawet w kraju, w którym w najlepszym wypadku nieprzychylnie spoglądano na przekonania religijne, a w najgorszym brutalnie się z nimi rozprawiano. Kardynał Renato DiMilo był duchownym od nieco ponad czterdziestu lat i większość tego czasu spędził w służbie dyplomatycznej Watykanu. Jego zdolności językowe nie były tam tajemnicą, ale znało ją niewielu ludzi, a już naprawdę bardzo niewielu spoza Watykanu. Podczas gdy na całym świecie ludzie poświęcają mnóstwo czasu na naukę języków obcych, DiMilo uczył się ich z wielką łatwością, taką, że dziwił się, iż inni nie byli do tego zdolni. DiMilo był nie tylko księdzem i dyplomata, lecz także funkcjonariuszem wywiadu – podobno są nimi wszyscy ambasadorowie, ale on był w to zaangażowany bardziej niż większość nich. Jednym z jego zadań było informowanie Watykanu – czyli papieża – o tym, co działo się na świecie, żeby Watykan – czyli papież – mógł podejmować działania, albo przynajmniej wykorzystywać swe wpływy, żeby nadawać pożądany kierunek rozwojowi wydarzeń.

DiMilo dość dobrze znał obecnego papieża. Byli przyjaciółmi przez wiele lat, mim został

on wybrany na stolec Pontifexa Maximusa (maximus znaczyło w tym kontekście „główny”, a pontifex – „budowniczy mostów”, jako że duchowny miał być mostem między ludźmi a Bogiem). DiMilo pracował w służbie Watykanu w siedmiu krajach. Przed upadkiem Związku Radzieckiego

specjalizował się w krajach wschodnioeuropejskich, gdzie nauczył się debatować na temat zasług komunizmu z jego najzagorzalszymi zwolennikami, najczęściej ku ich zakłopotaniu i własnemu rozbawieniu. Ale tutaj będzie inaczej, pomyślał kardynał. Nie chodziło tylko o marksistowskie przekonania. To była zupełnie inna kultura. Konfucjusz określił pozycję obywatela chińskiego przed dwoma tysiącami latami i była to inna pozycja, niż sądziła kultura Zachodu. Oczywiście było tu miejsce na nauki Chrystusa, tak jak wszędzie, ale tutejsza gleba nie była tak żyzna dla chrześcijaństwa, jak gdzie indziej. Jeśli tutejsi ludzie szukali kontaktu z misjonarzami chrześcijańskimi, to powodowani ciekawością, a zapoznani z ewangelią dochodzili do wniosku, że wiara chrześcijańska jest jeszcze dziwniejsza, niż przypuszczali, ponieważ aż tak się różniła od starych chińskich nauk. Nawet te bardziej

„normalne” wierzenia, które w mniejszym lub większym stopniu harmonizowały z tradycjami chińskimi, takie jak ruch Wschodniego Spirytualizmu, zwany Falun Cong, były bezwzględnie tłumione. Kardynał DiMilo powiedział sobie, że oto przybył do jednego z niewielu pogańskich krajów jakie pozostały, do kraju, w którym męczeństwo wciąż jeszcze było możliwe dla szczęśliwców, czy pechowców, w zależności od punktu widzenia. Sączył wino, zastanawiając się, jaką też godzinę może wskazywać jego biologiczny zegar, w odróżnieniu od wskazań zegarka. Tak czy inaczej, wino było dobre, przywodziło na myśl wspomnienia domu, którego nigdy naprawdę nie opuścił, nawet będąc w Moskwie czy w Pradze. Ale Pekin... Pekin może się okazać wyzwaniem.

Rozdział 8

Podwładni i bielizna

Robił to nie po raz pierwszy. W pewnym sensie było to ekscytujące i podniecające, a także trochę niebezpieczne, z uwagi na czas i miejsce. Głównie było to ćwiczeniem pamięci i spostrzegawczości. Najwięcej trudności sprawiało przeliczanie jednostek angielskich na metryczne. Idealne wymiary kobiety, to przecież 36-24-36, a nie 91,44-60,96-91,44.

Po raz ostatni był w takim miejscu w Beverly Center Mall w Los Angeles, kupując bieliznę dla Marii Castillo, zmysłowej Latynoski, która była zachwycona, kiedy okazało się, że ocenił ją na dwadzieścia cztery cale w talii, podczas gdy w rzeczywistości miała dwadzieścia siedem. W wypadku liczb bezpiecznie można się było pomylić in minus, ale z dużymi literami było odwrotnie. Jeśli dziewczyna nosiła biustonosz rozmiaru 36B, a facet uznał, że 36C, raczej by się nie rozzłościła, ale gdyby oszacował jej talię na dwadzieścia osiem cali, podczas gdy w rzeczywistości miała dwadzieścia cztery, pewnie by ją to wkurzyło. Stres przybiera najróżniejsze formy i rozmiary, pomyślał Nomuri i pokręcił głową.

Zależało mu, żeby tym razem dokonać właściwego wyboru, bo chciał, żeby Ming została jego źródłem informacji, ale także jego kochanką, co było jeszcze jednym powodem, żeby nie popełnić błędu.

Z kolorem było najłatwiej. Czerwony, oczywiście, że czerwony. W tym kraju wciąż był

to „dobry” kolor, co akurat było mu na rękę, bo czerwień zawsze była trafnym wyborem przy zakupie damskiej bielizny, jako kolor przygody, chichotu i... rozwiązłości. A rozwiązłość odpowiadała jego zamiarom biologicznym i zawodowym. Musiał się zastanowić nad paroma innymi rzeczami. Ming nie była wysoka, miała zaledwie pięć stóp wzrostu – czyli 151

centymetrów albo coś koło tego, pomyślał Nomuri, przeliczając w pamięci. Była niska, ale trudno byłoby ją nazwać filigranową. Otyłość jako taka w Chinach raczej nie występowała.

Ludzie się tu nie przejadali, zapewne pamiętając czasy, kiedy żywności nie było pod dostatkiem i najedzenie się do syta było po prostu niemożliwe. W Kalifornii uznano by, że Ming ma nadwagę, pomyślał Chester, ale po prostu taką już miała budowę ciała. Była przysadzista z racji niewielkiego wzrostu i nie mogła tego zmienić żadna dieta, ćwiczenia fizyczne, czy makijaż. W talii nie powinna mieć więcej niż dwadzieścia siedem cali. Jeśli chodzi o biust, mógł mieć nadzieję co najwyżej na 34B... no, może 34C... nie, uznał, że co najwyżej B+. A więc biustonosz 34B, średniej wielkości majteczki... czerwony jedwab, coś kobiecego... coś dziko kobiecego, graniczącego z rozpustą, na co mogłaby spojrzeć samotnie w lustrze i zachichotać... i może westchnąć, przekonawszy się, jakże inaczej wygląda w takiej bieliźnie i może uśmiechnąć się, tym specjalnym, oddającym nastrój chwili uśmiechem.

Widząc taki uśmiech, facet wiedział, że dziewczyna mu się nie oprze, a reszta była już tylko deserem.

W sklepie Victoria's Secret najlepsze było to, że mieli tu katalog, przeznaczony dla mężczyzn, którzy najchętniej kupiliby same modelki, choć wyrazem twarzy przypominały czasem lesbijki na prochach... ale te ciała... przecież mężczyzna nie może w końcu mieć wszystkiego, prawda? Fantazje, twory wyobraźni. Nomuri zastanawiał się, czy te modelki rzeczywiście istniały, czy też zostały stworzone komputerowo. Komputery potrafiły teraz wszystko, mogły nawet zmienić Rosie O'Donell w Twiggy; czy też postarzyć Cindy Crawford.

Nie rozpraszaj się, powiedział sam do siebie. Fantazje fantazjami, ale na razie trzeba je trochę powściągnąć. No, dobrze, bielizna dla Ming musiała być seksowna. Musiała ją jednocześnie rozbawić i podniecić, i jego też, bo i o to chodziło. Nomuri sięgnął po katalog i zaczął go wertować, ponieważ znacznie łatwiej było mu dokonać wyboru, kiedy mógł

zobaczyć na modelkach to, czego szukał. Zatrzymał się na stronie 26. Bieliznę prezentowała na niej czarna dziewczyna, która niewątpliwie miała coś ciekawego w genach, bo jej twarz spodobałaby się zarówno członkowi hitlerowskiej SS, jak i Idi Aminowi. To była tego typu twarz. Dziewczyna miała na sobie biustonosz o nazwie Racerback i do kompletu majteczki bikini, a kolor był wprost idealny, głęboki szkarłat, który Rzymianie nazywali kiedyś Purpurą z Tyru, kolor pasa na togach senatorów, zastrzeżony, za sprawą ceny barwnika i obyczaju, dla najbogatszych z rzymskiej arystokracji, nie całkiem czerwony i nie całkiem purpurowy.

Biustonosz był uszyty z satyny i lycry, z zapięciem z przodu, dzięki czemu dziewczynie łatwiej go było zakładać, a zdejmowanie było bardziej interesujące dla faceta, pomyślał, idąc w stronę właściwego regału. Trzydzieści cztery B, powtórzył w myślach. Jeśli okaże się, że to za mało, powinno jej to jeszcze bardziej pochlebić. A majteczki? Małe czy średnie? Po cholere łamać sobie głowę? Wezmę takie i takie, postanowił. Na wszelki wypadek wybrał

jeszcze nieusztyniony biustonosz z trójkątnymi miseczkami i luźne majteczki koloru pomarańczowoczerwonego, takiego, że Kościół katolicki pewnie samo patrzenie na niego uznałby za grzech śmiertelny. Pod wpływem impulsu wziął jeszcze kilka dodatkowych par majtek, zakładając, że brudzą się szybciej niż biustonosze; nie miał co do tego pewności, chociaż był agentem terenowym Centralnej Agencji Wywiadowczej. Takich rzeczy nie uczyli na Farmie. Postanowił sporządzić w tej sprawie notatkę. Nie wykluczał, że Mary Pat zachichocze, czytając ją w swoim gabinecie na szóstym piętrze w Langley.

Ale po kolei, przywołał się do porządku. Perfumy. Kobiety lubią perfumy. I nic dziwnego, zwłaszcza tutaj. Cały Pekin cuchnął jak huta żelaza, w powietrzu było mnóstwo pyłu węglowego i innych zanieczyszczeń – pewnie tak samo było w Pittsburghu na początku poprzedniego stulecia – a smutna prawda była taka, że Chińczycy nie kapali się tak często, jak Kalifornijczycy i na pewno nie tak regularnie, jak Japończycy. A więc coś, co ładnie pachniało...

Zapach nazywał się „Dream Angels”. Był dostępny jako perfumy w spreju, jako mleczko kosmetyczne i w paru innych formach, których Nomuri nie rozumiał, ale był pewien, że Ming będzie wiedziała, o co chodzi, bo przecież była dziewczyną, a dziewczyny świetnie się w takich sprawach orientowały. Kupił więc kilka flakoników, płacąc kartą kredytową NEC; był

pewien, że jego japońscy szefowie okażą zrozumienie. Dla pracowników dużych firm japońskich często organizowano świetnie przygotowane wyprawy na dziewczynki do różnych miejsc w Azji, w których kwitł biznes usług seksualnych. Prawdopodobnie właśnie tą drogą przybył do Japonii AIDS i dlatego Nomuri używał tam prezerwatyw do wszystkiego z wyjątkiem oddawania moczu. Łącznie rachunek wyniósł około 300 euro. Sprzedawczyni ładnie wszystko zapakowała i powiedziała mu, że jego kobieta musi być bardzo szczęśliwa.

Będzie, obiecał sobie Nomuri. Ta bielizna, którą właśnie dla niej kupił, była gładka i przyjemna w dotyku, a kolory podnieciłyby ślepego. Otwarta pozostawała na razie kwestia, jak te kolory podziałają na przysadziłą sekretarkę jednego z chińskich ministrów. Ale przecież nie próbował uwieść Suzie Wong²¹.

Lian Ming była w sumie dość przeciętna, ale z kobietami nigdy nie wiadomo. Amy Irvin, jego pierwsza zdobycz, a miał wtedy całe siedemnaście lat i trzy miesiące – była wystarczająco ładna, żeby go zainspirować – co w wypadku chłopca w tym wieku oznaczało, że miała wszystkie niezbędne części ciała, nie rosła jej broda, jak jakiemuś generałowi z okresu wojny secesyjnej, i poprzedniego miesiąca brała prysznic. Ale przynajmniej Ming nie była taka, jak wiele amerykańskich kobiet, które chodzą do chirurgów plastycznych, żeby pozbyć się tłuszczu na brzuchu, poprawić cycki i napompować wargi parafiną, aż zaczną wyglądać jak jakiś dziwaczny, dwuczęściowy owoc. Czegóż to kobiety nie robiły, żeby spodobać się mężczyznom... i czegoż mężczyźni nie robili w nadziei na ich uwiedzenie. Cóż za potencjalne źródło energii, pomyślał Nomuri, przekręcając kluczyk w stacyjce służbowego Nissana.

- Z czym dziś przychodzisz, Ben? – spytał Ryan swego doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego.
- CIA próbuje uruchomić nową operację w Pekinie. Na razie nadali jej nazwę SORGE.
- To od Richarda Sorge?

21 *Symbol orientalnej piękności, słynna postać literacka, barmanka i prostytutka z Hongkongu z lat 50., bohaterka bestsellerowej powieści Richarda Masona „The World of Suzie Wong”, wydanej w 1957 roku i sfilmowanej w 1960 roku (przyp. tłum.)*

- Zgadza się.
- Ktoś ma wielkie ambicje. Dobra, opowiedz mi o tym.
- Funkcjonariusz CIA, niejaki Chester Nomuri, nielegalny. Jest w Pekinie zakonspirowany jako handlowiec, zajmujący się sprzedażą komputerów NEC. Próbuje poderwać sekretarkę jednego z ministrów ChRL, Fang Gana...
- Kto to taki?
- Ktoś w rodzaju ministra bez teki, współpracuje z premierem i ministrem spraw zagranicznych.
- Jak ten Zhang Han San?
- W zasadzie tak, ale jego pozycja nie jest aż tak wysoka. Wygląda na osobistość do specjalnych poruczeń. Ma kontakty w ich siłach zbrojnych i w resorcie sprawi zagranicznych, dobre referencje ideologiczne, członkowie ich Biura Politycznego; wstępnie omawiają z nim swoje koncepcje. No więc Nomuri próbuje poderwać tę dziewczynę.
- Bond – powiedział Ryan aktorsko neutralnym głosem. – James Bond. Słyszałem o tym Nomurim. Wykonał dla nas niezłą robotę w Japonii, kiedy ja zajmowałem twoje obecne stanowisko. Rozumiem, że tylko mnie informujesz i że nie jest wymagana moja zgoda?
- Tak, panie prezydencie. Pani Foley kieruje tą operacją, chciałem po prostu, żeby pan wiedział.
- W porządku, powiedz MP, że jestem zainteresowany wszelkimi rezultatami. – Ryan skrzywił się w duchu. Niezbyt mu się podobało dowiadywanie się o czyimś życiu prywatnym... no, jeśli nawet nie prywatnym, to jednak seksualnym.
- Oczywiście, sir.

Rozdział 9

Wstępne rezultaty

Chester Nomuri wiele się już w życiu nauczył, od rodziców, nauczycieli, od instruktorów na Farmie, ale nie nauczył się jeszcze cierpliwości, przynajmniej w odniesieniu do swego życia osobistego. Z drugiej strony, nie trzymano go w Firmie za to, że był ostrożny. To dlatego poinformował Langley o swoich planach. Trochę krępowała go konieczność przedstawiania kobiecie propozycji, dotyczącej jego życia seksualnego – MP była świetnym szpiegiem, ale przecież siusiu robiła na siedząco, pomyślał – lecz nie chciał, żeby w Firmie pomyślano, że używa sobie na koszt państwa. Naprawdę lubił swoją robotę. Związane z nią podniecenie było co najmniej tak samo uzależniające jak kokaina, którą zabawiało się paru jego kumpli w czasie studiów.

Może właśnie dlatego pani Foley go polubiła, spekulował Nomuri. Byli ulepieni z tej samej gliny. W Wydziale Operacyjnym mówiono, że Mary Pat jest kowbojką. Dumnie chodziła ulicami Moskwy w ostatnich dniach zimnej wojny, jak jakaś pieprzona Annie Oakley²² i chociaż została zdekonspirowana przez Drugi Zarząd Główny KGB, niczego skurwysynom nie wyjawiała, a operacja, którą wtedy kierowała – do dziś supertajna – musiała być nie byle jaka, skoro MP już nigdy nie wróciła w teren. Po tamtych wydarzeniach zaczęła się wspinać po drabinie kariery w CIA jak głodna wiewiórka po pniu orzecha. Prezydent uważał, że jest inteligentna, a jego opinia się liczyła, bo znał się na szpiegowskiej robocie.

Opowiadano sobie historie o tym, co kiedyś zrobił prezydent Ryan. Wydostał z ZSRR samego szefa tego pieprzonego KGB! Wszyscy w Wydziale Operacyjnym byli przekonani, że MP

musiała brać w tym udział. Ale nawet w CIA wiedzano o tym niewiele – oczywiście z wyjątkiem tych, którzy musieli wiedzieć (podobno było ich dwoje) – tylko tyle, ile opublikowała na ten temat prasa. Chociaż, ogólnie rzecz biorąc, media niczego nie wiedziały o tajnych operacjach, to jednak ekipa telewizji CNN zdołała dotrzeć z kamerą do byłego przewodniczącego KGB, mieszkającego obecnie w Winchester w stanie Wirginia. I choć nie powiedział zbyt wiele, aż nadto wymowne było samo pojawienie się na ekranach twarzy *22 Mistrzyni we władaniu bronią, towarzyszka Bufallo Billa w jego spektaklach z życia Dzikiego Zachodu* (przyp.

tłum.)

człowieka, który, według władz radzieckich, zginął w katastrofie samolotowej. Nomuri uznał, że jego szefowie są prawdziwymi zawodowcami i dlatego powiadomił ich o swoich planach, nawet jeśli miałyby z tego powodu oblać się pąsem Mary Patricia Foley, wicedyrektor do spraw operacyjnych Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Wybrał restaurację w stylu zachodnim. Było ich już w Pekinie sporo, zarówno dla miejscowych, jak i dla turystów, stęsknionych za jedzeniem, które znali (albo niepokojących się o układ trawienny, co Nomuri uważał za uzasadnione). Pod względem jakości podawane tu potrawy nawet się nie umywały do tych z jakiejś prawdziwej amerykańskiej restauracji, ale i tak były zdecydowanie lepsze od

smażonego szczura, którego, jak podejrzewał, serwowano w niejednej pekińskiej garkuchni.

Przyszedeł pierwszy i sączył właśnie taniego amerykańskiego burbona, kiedy w drzwiach pojawiła się Ming. Nomuri pomachał do niej, mając nadzieję, że nie wygląda to zbyt chłopięco. Spostrzegła go i uśmiechnęła się, a on uznał, że był to właściwy uśmiech. Ming ucieszyła się na jego widok, a to było już pierwszym krokiem do realizacji planów na ten wieczór. Podeszła do jego stolika w rogu w głębi sali. Wstał, okazując galanterię, która była czymś niecodziennym w Chinach, gdzie kobiet w żadnym wypadku nie traktowano z takim szacunkiem, jak w Stanach. Nomuri zastanawiał się, czy kiedyś się to zmieni, czy w związku z tym zabijaniem niemowląt płci żeńskiej, takie całkiem zwyczajne dziewczyny jak Ming staną się nagle cenne. Wciąż nurtowało go to zabijanie noworodków; nie starał się o tym zapomnieć, przekonany, że pomaga mu to w rozróżnianiu między dobrem a złem.

– Miło cię widzieć – powiedział, uśmiechając się. – Bałem się, że nie przyjdiesz.

– O, doprawdy? Dlaczego?

– No, twój przełożony... Jestem pewien, że... że jesteś mu potrzebna, chyba można to tak wyrazić – powiedział Nomuri z wahaniem w głosie. Pomyślał, że całkiem nieźle podał

przygotowany z góry tekst. Tak też było. Dziewczyna zachichotała.

– Towarzysz Fang ma ponad sześćdziesiąt pięć lat – powiedziała. – To dobry człowiek i dobry szef, a także świetny minister, ale bardzo długo pracuje, a poza tym nie jest już młodzieńcem.

Aha, to znaczy, że cię rżnie, ale nie za często, przełożył to sobie Nomuri. I może chciałabyś tego trochę więcej, od kogoś, kto bardziej pasuje do ciebie wiekiem, co? Z drugiej strony, skoro Fang ma już ponad sześćdziesiąt pięć lat i jeszcze to robił, to może należy mu się trochę szacunku, pomyślał Nomuri, ale zaraz odrzucił tę myśl.

– Byłaś już tu kiedyś? – Lokal nazywał się „U Vincenzo” i udawał włoską restaurację. W

rzeczywistości właściciel był włosko-chińskim mieszkańcem z Vancouver. Po włosku mówił

tak, że mafia by go zatłukła, gdyby otworzył usta w Palermo, czy nawet na Mulberry Street na Manhattanie, ale tu, w Pekinie, sprawiał wystarczająco autentyczne wrażenie.

– Nie – odpowiedziała Ming, rozglądając się po tym bardzo dla niej egzotycznym lokalu.

Na każdym stoliku stała butelka po winie, opleciona w dolnej części sznurkiem, z czerwoną świecą wetkniętą w szyjkę. Obrusy były w białoczerwonej kratę. Ktoś, kto decydował o wystroju wnętrza, najwyraźniej naoglądał się za dużo starych filmów. Ale jedno było pewne: lokal w niczym nie przypominał żadnej z miejscowych restauracji, nawet mimo chińskich kelnerów. Ciemna boazeria na ścianach, przy wejściu wieszak na ubrania. Taka restauracja mogła się równie dobrze znajdować w dowolnym mieście na Wschodnim Wybrzeżu USA, gdzie wzięto by ją za jeden z tych starych, włoskich lokalików, w których nie ma co liczyć na luksusy, ale za to jedzenie jest smaczne. – Jak smakuje włoska kuchnia?

– Jest jedną z najlepszych na świecie – odpowiedział Nomuri. – Nigdy nie próbowałaś włoskich potraw? Naprawdę nigdy? Więc pozwól, że zamówię dla nas obojga.

Jej odpowiedź była pełna dziewczęcego uroku. Kobiety były wszędzie takie same.

Potraktowane odpowiednio, zmieniały się w wosk w rękach mężczyzny, posłuszne jego woli.

Nomuri zaczynał lubić ten aspekt swojej pracy, który w dodatku mógł się też kiedyś okazać przydatny w jego życiu osobistym. Skinął na kelnera, który podszedł ze służalczym uśmiechem. Przede wszystkim Nomuri zamówił prawdziwe włoskie białe wino – dziwne, ale karta win była tu naprawdę pierwszej klasy, a ceny, oczywiście, dość słone – a następnie, odetchnąwszy głęboko, *fettuccine Alfredo*, uznawaną za kwintesencję włoskiej kuchni i przyczynę niejednego zawału. Sądząc po figurce, Ming nie powinna mieć nic przeciw treściwemu jedzeniu.

– Nowy komputer i drukarka nadal działają, jak należy?

– Tak i minister Fang pochwalił mnie przed resztą personelu za wybranie tego sprzętu.

Uczyliś ze mnie coś w rodzaju bohaterki, towarzyszu Nomuri.

– Miło mi to słyszeć – odpowiedział funkcjonariusz CIA, zastanawiając się, czy to, że nazwała go „towarzyszem” było dobre, czy złe dla tej misji. – Wprowadzamy właśnie na rynek nowy, przenośny komputer, taki, który mogłabyś zabierać do domu. Jest mały i lekki, ale ma taką samą moc obliczeniową, jak duży komputer w twoim biurze i oczywiście jest wyposażony w modem do łączenia się z Internetem.

– Naprawdę? Tak rzadko to robię. Widzisz, w pracy wolą, żebyśmy nie surfowali po Sieci, chyba że minister potrzebuje czegoś konkretnego.

– Doprawdy? A co też interesuje ministra Fanga w Internecie?

– Głównie komentarze polityczne, przede wszystkim w Ameryce i w Europie. Codziennie rano drukuję różne artykuły prasowe, z „Times of London”, „New York Times”,

„Washington Post” i tak dalej. Ministra interesuje zwłaszcza, co myślą Amerykanie.

– Niezbyt wiele – zauważył Nomuri.

– Przepraszam? – Ming nie zrozumiała albo nie dosłyszała.

Odwrócił się do niej. – No, Amerykanie, wiesz, nie są zbyt myślący. Najpłytsi ludzie, jakich kiedykolwiek spotkałem. Hałaśliwi, słabo wykształceni, a te ich kobiety... – Chet zawiesił głos.

– Co z ich kobietami, towarzyszu Nomuri? – spytała Ming, dokładnie tak, jak to zaplanował.

– Ech... – Spróbował wina i dał kelnerowi znak, że można nalewać. Było to całkiem niezłe wino z Toskanii. – Widziałaś kiedyś taką amerykańską zabawkę, lalkę Barbie?

– Tak, produkuje się je tutaj, w Chinach.

– Każda amerykańska kobieta chce być właśnie taka jak Barbie, bardzo wysoka, z wielkim biustem i z talią, którą można objąć dłońmi. Przecież to nie kobieta. To zabawka, lalka dla dzieci. I mniej więcej tak samo inteligentna, jak przeciętna Amerykanka. Myślisz, że znają języki obce, co? Zastanów się: rozmawiamy w tej chwili po angielsku. Dla żadnego z nas nie jest to język ojczysty, ale rozmawia nam się dobrze, prawda?

– Tak – zgodziła się Ming.

– A jak sądzisz, ile Amerykanek mówi po mandaryńsku? Albo po japońsku? Nie, Amerykanie nie mają żadnego wykształcenia, żadnej ogłady. Są zacofanym narodem, a ich kobiety szczególnie. Chodzą nawet do chirurgów, żeby powiększali im biusty, bo chcą wyglądać, jak ta głupia lalka. Śmiech bierze, kiedy się na nie patrzy, zwłaszcza kiedy są nagie... – znów zawiesił głos.

– Widziałeś? – spytała, reagując tak, jak oczekiwał.

– Co widziałem?... Ach, czy widziałem amerykańska, kobietę nago? – Odpowiedzią było zachęcające skinienie głową. Sprawy szły w dobrym kierunku. Tak, Ming, jestem człowiekiem światowym, dodał w myślach. – Tak, widziałem. Mieszkałem tam przez kilka miesięcy i było to nawet interesujące, w jakiś groteskowy sposób. Niektóre potrafią być bardzo słodkie, ale nie tak, jak przyzwoita Azjatka o właściwych proporcjach ciała i z kobiecymi włosami, których kolor nie pochodzi z butelki farby kosmetycznej. No i te maniere. Amerykanom brakuje dobrych manier, jakie mają Azjaci.

– Ale przecież jest tam dużo naszych ludzi. Nie poznałeś...

– Jakiejś azjatyckiej dziewczyny? Nie, długonosi trzymają je dla siebie. Przypuszczam, że amerykańscy mężczyźni potrafią docenić prawdziwą kobietę, nawet jeśli ich kobiety zmieniają się w coś innego. – Sięgnął po butelkę i dolał wina do kieliszka Ming. Ale trzeba przyznać, że w niektórych sprawach Amerykanie są naprawdę dobrzy.

– Na przykład? – spytała. Wino zaczynało już rozwiązywać jej język.

– Później ci pokażę. Wiesz, może powinienem cię przeprosić, ale pozwoliłem sobie kupić ci coś amerykańskiego.

– Naprawdę? – Podekscytowanie w oczach. Sprawy naprawdę szły w dobrym kierunku.

Nomuri uznał, że powinien zwolnić z winem. No, ale pół butelki nie powinno mu w żaden sposób zaszkodzić. Jak to było w tej piosence?... „Można już na pierwszej randce...”. W

końcu nie musiał się tu specjalnie przejmować jakimiś względami religijnymi, czy zahamowaniami, prawda? To akurat było niewątpliwą zaletą komunizmu.

Podano *fettuccine* i, ku jego zaskoczeniu, okazało się ono całkiem niezłe. Obserwował jej oczy, kiedy włożyła do ust widelec z pierwszą porcją (U Vincenzo podawano zachodnie sztucce zamiast pałeczek, co w wypadku *fettuccine* na pewno było rozsądniejsze). Jej ciemne oczy rozszerzyły się, kiedy poczuła smak makaronu.

– Dobrze... Dodali dużo jajek. Uwielbiam jajka – zwierzyła mu się.

Cóż, kochanie, każdy sam musi uważać na swój poziom cholesterolu, pomyślał agent CIA. Patrzył, jak dziewczyna rozkoszowała się swoim pierwszym *fettuccine*. Sięgnął przez stół, żeby znów dolać jej wina. Z taką pasją atakowała swoje danie, że i w ogóle nie zwróciła na to uwagi.

Kiedy dotarła mniej więcej do połowy talerza, uniosła wzrok. – Jeszcze nigdy nie byłam na tak wytwornej kolacji – powiedziała.

Nomuri uśmiechnął się ciepło. – Tak się cieszę, że ci się podoba. – Zaczekaj, kochanie, aż zobaczysz majtki, które ci kupiłem, dodał w duchu.

– Baczość!

Generał Marion Diggs zastanawiał się, co też przyniesie mu nowe dowództwo. Ta druga gwiazdka na ramieniu... cóż, wmawiał sobie, że czuje jej wagę, ale w rzeczywistości wcale tak nie było. Ostatnie pięć lat w mundurze sił zbrojnych swego kraju spędził interesująco.

Jako pierwszy dowódca sformowanego ponownie 10. pułku Kawalerii Pancerniej – „Buffalo Soldiers”²³ – zrobił z tego starego, okrytego chwałą pułku instruktora musztry dla armii izraelskiej, zmieniając pustynię Negew w jeszcze jeden Narodowy Ośrodek Szkoleniowy. W

ciągu dwóch lat Diggs wdeptał w ziemię wszystkich izraelskich dowódców brygad, a potem uformował ich na nowo, potrajając ich skuteczność bojową według wszelkich dostępnych kryteriów, tak, że teraz dumny krok izraelskich żołnierzy był faktycznie uzasadniony ich umiejętnościami. Potem przeszedł do prawdziwego Narodowego Ośrodka Szkoleniowego na pustyni w Kalifornii, gdzie uczynił to samo dla Armii Stanów Zjednoczonych. Był tam, kiedy i zaczęła się „wojna biologiczna”, ze swoim 11. pułkiem Kawalerii Pancerniej, słynnej Blackhorse Cavalry i brygadą Gwardii Narodowej, która ogromnie zaskoczyła Blackhorse i ich dumnego dowódcę pułkownika Al Hamma, robiąc nieoczekiwane użycie z nowoczesnego sprzętu, służącego do kontroli pola bitwy. Wszystkich ich przerzucano do Arabii Saudyjskiej wraz z 10. pułkiem z Izraela i wspólnie po mistrzowsku rozprawili się tam z armią Zjednoczonej Republiki Islamskiej. Już jako pułkownik spisał się świetnie, a potem odznaczył się naprawdę jako jednogwiazdkowy generał i były to wrota do drugiej błyszczącej gwiazdki na jego ramieniu, a także do objęcia dowództwa nad nową formacją, znaną pod różnymi nazwami, takimi jak Pierwsza Czołgowa lub Old Ironsides²⁴.

23 Pierwszy w historii USA pułk złożony wyłącznie z Murzynów, nazywanych przez Indian „bizonimi żołnierzami” ze względu na kręcone gęste włosy (przyp. red.) 24 Nawiązanie do nazwy kawalerii Cromwella (przyp. red.) Była to Pierwsza Dywizja Pancerna, stacjonująca w Bad Kreuznach w Niemczech, jedna z niewielu dywizji pancernych, jakie pozostały pod flagą amerykańską.

Kiedyś było ich bardzo dużo. Dwa pełne korpusy w samych Niemczech, Pierwsza i Trzecia Pancerna, Trzecia i Ósma Piechoty, plus dwa rozpoznawcze pułki pancerne – Drugi i Jedenasty – oraz obiekty POMCUS (*Prepositioning of materiel configured to unit*) – ogromne magazyny sprzętu – dla jednostek ze Stanów, takich jak Druga Dywizja Pancerna i Pierwsza Dywizja Piechoty, słynna Wielka Czerwona Jedyńka z Fort Riley w Kansas, które mogły zostać przerzucone do Europy w czasie, zależącym tylko od możliwości transportu lotniczego, załadować sprzęt i wyruszyć do boju. Wszystkie te siły – a były to cholernie duże siły, pomyślał Diggs – były składową zobowiązania NATO do obrony Europy Zachodniej przed krajem, który nazywał się Związek Radziecki oraz przed lustrzanym odbiciem Paktu Północnoatlantyckiego – Układem Warszawskim. Rosjanie i ich przymusowi sojusznicy wystawili ogromne formacje, których celem była Zatoka Biskajska, a przynajmniej zawsze tak uważali oficerowie operacyjni i oficerowie wywiadu w belgijskim Mons. I byłaby to potężna konfrontacja. Kto wyszedłby z niej zwycięsko? Prawdopodobnie NATO, pomyślał

Diggs. Ostateczny rezultat zależałby od ingerencji politycznej i zdolności dowódczych po obu stronach.

Ale teraz nie było już Związku Radzieckiego, a wraz z nim odeszła i potrzeba obecności V i VII Korpusu w Niemczech, i tak Pierwsza Pancerna była dziś wszystkim, co pozostało z ogromnych i potężnych kiedyś sił. Nawet pułków rozpoznawczych już tu nie było – jedenasty odkomenderowano do Narodowego Ośrodka Szkoleniowego, gdzie odgrywał rolę sił

opozycji, czyli czarnych charakterów, a Drugi, w Fort Polk w Luizjanie, praktycznie rozbrojono, próbując opracować nową doktrynę dla nieuzbrojonych żołnierzy. Pozostawała Pierwsza Pancerna, nieco zredukowana w porównaniu ze starymi, dobrymi czasami, ale wciąż budząca szacunek. W tej chwili Diggs nie miał jednak zielonego pojęcia, przeciw komu przyszedłoby mu walczyć, gdyby nagle rozpułtał się jakiś konflikt.

Ustalenie tego należało oczywiście do zadań jego zastępcy do spraw wywiadu (G-2), podpułkownika Toma Richmonda, a szkolenie, uwzględniające te ustalenia – do oficera operacyjnego (G-3), pułkownika Duke’a Mastermana, który opierał się rękami i nogami, kiedy Diggs wyciągał go z Pentagonu. Nie było czymś zupełnie niezwykłym w amerykańskich siłach zbrojnych, że starszy oficer gromadził wokół siebie młodszych ludzi, których poznał po drodze na wyższe szczeble wojskowej hierarchii. Do niego należało opiekowanie się ich karierami, a ich zadaniem było opiekowanie się mentorem – nazywanym

„rabinem” w policji nowojorskiej, czy „Morskim Tata” w Marynarce. Układ ten bardzo przypominał stosunki ojciec-syn. Ani Diggs, ani Richmond, czy Masterman nie spodziewali się po Pierwszej Dywizji Pancerniej wiele ponad ciekawą, profesjonalną służbę, co już bardzo ich satysfakcjonowało. Widzieli słonia – ten zwrot pochodził z czasów amerykańskiej wojny secesyjnej i oznaczał czynny udział w operacjach bojowych – a zabijanie ludzi nowoczesną bronią na pewno nie było przyjemną

wyprawą do Disneylandu. Wszyscy trzej uważali, że spokojna służba, poświęcona na szkolenia i gry wojenne zupełnie ich zadowoli. Poza tym, piwo w Niemczech było całkiem niezłe.

– Cóż, Mary, jest teraz twoja – powiedział ustępujący dowódca, generał (przewidziany do awansu) Sam Goodnight, salutując przedtem oficjalnie. To „Mary” było przydomkiem Diggsa jeszcze z czasów West Point i już dawno przestał się wściekać, kiedy go tak nazywano. Ale tylko wyżsi stopniem od niego mogli używać tego przezwiska, a przecież nie pozostało ich już tak wielu, prawda?

– Sam, wygląda na to, że całkiem niezłe wyszkoliłeś te dzieciaki – powiedział Diggs człowiekowi, którego właśnie zastąpił.

– Jestem szczególnie zadowolony z moich wojsk śmigłowcowych. Po tym, co się działo ze śmigłowcami Apache w Jugosławii, postanowiliśmy solidnie podszkolić tę formację.

Potrwało to trzy miesiące, ale teraz są gotowi samego diabła pociągnąć za ogon.

– Kto nimi dowodzi?

– Pułkownik Dick Boyle. Poznasz go za kilka minut. Ma doświadczenie i potrafi dowodzić.

– Dobrze wiedzieć – powiedział Diggs. Wsiedli do starego pojazdu terenowego z czasów drugiej wojny światowej, żeby pojechać na przegląd wojsk. Była to pożegnalna przejażdżka dla Sama Goodnighta i powitalna dla „Mary” Diggsa, który cieszył się w wojsku reputacją twardego czarnego sukinsyna. Jego doktorat z zarządzania, obroniony na Uniwersytecie Minnesoty, zdawał się nie mieć znaczenia, chyba że dla komisji, decydujących o awansach oraz ewentualnie dla jakiejś firmy prywatnej, która zdecydowałaby się go zatrudnić, kiedy będzie już na emeryturze. Musiał brać pod uwagę taką ewentualność, chociaż uważał, że dla niego dwie gwiazdki, to dopiero połowa drogi. Diggs walczył w dwóch wojnach i zasłużył się w obydwu. Z wielu sposobów na zrobienie kariery w wojsku żaden nie był tak skuteczny, jak dowodzenie z pomyślnym skutkiem na polu bitwy, bo w ostatecznym rozrachunku w wojsku chodziło o maksymalnie skuteczne zabijanie ludzi i niszczenie obiektów przeciwnika. Nie było to zabawne, ale czasem konieczne. Nie wolno było stracić tego aspektu z pola widzenia.

Żołnierzy szkoliło się tak, że gdyby nazajutrz okazało się, że jest wojna, wiedzieliby, co i jak robić, bez względu na to, czy byliby z nimi ich oficerowie, czy nie.

– A co z artylerią? – spytał Diggs, kiedy przejeżdżali koło zgrupowania 155-milimetrowych samobieżnych haubic.

– Nie ma tu żadnych problemów, Mary. Prawdę mówiąc, w ogóle nie ma żadnych problemów. Wszyscy twoi dowódcy brygad byli w Zatoce w 1991. roku, głównie jako i dowódcy kompanii, albo oficerowie szkoleniowo-operacyjni w batalionach (S-3). Prawie wszyscy z twoich dowódców batalionów byli dowódcami plutonów lub zastępcami dowódców kompanii. Są niezłe wyszkoleni. Zobaczysz – obiecał Goodnight.

Diggs wiedział, że to wszystko prawda. Sam Goodnight był przewidziany do awansu, co oznaczało, że dostanie swoją trzecią gwiazdkę, kiedy tylko Senat Stanów Zjednoczonych zatwierdzi następną ustawę z awansami, a tego nie było jak przyspieszyć. Nawet prezydent nie mógł tego zrobić. Diggs dostał swoją drugą gwiazdkę przed sześcioma miesiącami, tuż przed opuszczeniem Fort Irwin i udaniem się na kilka miesięcy do Pentagonu – nazywano to skróconą turą „integracyjną” – skąd wyruszył następnie do Niemiec. Za trzy tygodnie dywizja miała wziąć udział w wielkich ćwiczeniach, w których stroną przeciwną będzie Bundeswehra.

Pierwsza Dywizja Pancerna przeciw czterem niemieckim brygadam, dwóm pancernym i dwóm piechoty i zmechanizowanej; dla dywizji zapowiadało się to na wielką próbę. Cóż, niech się tym martwi pułkownik Masterman. To jego reputacja była w tym wypadku na szali.

Duke przybył do Niemiec z tygodniowym wyprzedzeniem, żeby spotkać się z odchodzącym oficerem operacyjnym dywizji, którego funkcje przejmował, i przestudiować z nim zasady oraz założenia tych ćwiczeń. Dowódca sił niemieckich podczas tych ćwiczeń był

Generalmajor Siegfried Model. Siggy, jak go nazywali koledzy, był potomkiem całkiem niezłego dowódcy Wehrmachtu z dawnych, dawnych czasów i mówiono też o nim, że żałował upadku Związku Radzieckiego, ponieważ pragnął zmierzyć się z rosyjską armią i zmiażdżyć ją. Cóż, takie rzeczy mówiono o wielu Niemcach, a i o paru wyższych oficerach amerykańskich też, ale niemal w każdym wypadku były to tylko słowa, bo ktoś, kto raz zobaczył wojnę z bliska, nigdy nie tęsknił do następnej.

Oczywiście, pomyślał Diggs, niewielu zostało już Niemców, którzy kiedykolwiek widzieli z bliska wojnę.

– Dobrze to wygląda, Sam – powiedział Diggs, kiedy kończyli przegląd.

– Cholernie trudno jest stąd odejść, Marion. Niech to diabli. – Goodnight zaczynał

walczyć ze łzami, a Diggs wiedział, co jego poprzednik musiał przeżywać. Opuścić żołnierzy, którymi się dowodziło, to tak, jakby zostawić dziecko w szpitalu, albo jeszcze gorzej. Oni wszyscy byli dziećmi Sama, a teraz będą moimi dziećmi, pomyślał Diggs. Podczas pierwszej inspekcji sprawili na nim wrażenie całkiem zdrowych i bystrych.

– Tak, Arnie – powiedział prezydent Ryan, jego ton zdradzał emocje lepiej, niż zrobiłoby to warknięcie, czy krzyk.

– Nikt nigdy nie twierdził, że na tym stanowisku człowiek dobrze się bawi, Jack. Do diabła, nie rozumiem, dlaczego narzekasz. Nie musisz się nikomu podlizywać, żeby zdobyć fundusze na kampanię wyborczą, prawda? Nie musisz nikomu włączyć w dupę. Masz po prostu robić swoje, i tyle, oszczędzasz dzięki temu dobrą godzinę, albo i półtorej godziny dziennie, mogąc ten czas przeznaczyć na oglądanie telewizji, czy zabawę z dziećmi. – Ryan pomyślał, że Arnie wprost uwielbia mówić

mu, jak lekko jest mu (Ryanowi) na tym pieprzonym urzędzie.

– Ale i tak pół dnia schodzi mi na zajmowaniu się bezproduktywnymi bzdurami, zamiast na robieniu tego, za co mi płacą.

– Tylko pół, a ten jeszcze narzeka – powiedział Arnie do sufitu. – Jack, albo wreszcie to polubisz, albo się wypalisz. To jest ta przyjemna strona bycia prezydentem. Do diabła, człowieku, byłeś pracownikiem rządowym przez piętnaście lat, zanim tu przyszedłeś.

Powinieneś uwielbiać zajmowanie się bezproduktywnymi bzdurami.

Ryan omal nie wybuchł śmiechem, ale zdołał się jakoś opanować. Arnie doprawdy potrafił złagodzić swoje lekcje dowcipem. Mogło to być cholernie irytujące.

– W porządku, ale co konkretnie mam im obiecać?

– Obiecasz, że udzielisz poparcia temu projektowi zapory i kanału żeglugowego.

– Ale przecież to prawdopodobnie wyrzucone pieniądze.

– Nie, to nie są wyrzucone pieniądze. Ten projekt oznacza nowe miejsca pracy w dwóch stanach, co leży w interesie nie jednego, nie dwóch, ale trzech senatorów. Wszyscy trzej zdecydowanie popierają cię na Kapitolu, więc ty z kolei też musisz ich popierać.

Odwdzięczasz się za ich pomoc, pomagając im ponownie zwyciężyć w wyborach. A twoja pomoc polega na tym, że umożliwiasz im stworzenie około piętnastu tysięcy miejsc pracy w budownictwie w tych dwóch stanach.

– I zgadzam się na zmarnowanie wspaniałej rzeki, wyrzucając na to... – Ryan zajrzał do papierów na biurku – trzy miliardy dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów z budżetu federalnego... Rany boskie – jęknął i odetchnął głęboko.

– Od kiedy jesteś takim zagorzałym obrońcą środowiska? Pstrągi nie głosują, Jack. A jeśli nawet barki tamtędy nie popłyną, pozostaną ci wspaniałe tereny rekreacyjne, gdzie ludzie będą mogli jeździć na nartach wodnych, wędkować. Dorzuć do tego parę nowych moteli, może jakieś pole golfowe, albo dwa, bary szybkiej obsługi...

– Nie lubię mówić ani robić czegoś, do czego nie jestem przekonany – nie poddawał się prezydent.

– U polityka jest to jak daltonizm, albo złamanie nogi: poważne upośledzenie – zauważył

van Damm. – Tak to już jest na tym stanowisku. Nikita Chruszczow powiedział kiedyś:

„Politycy są na całym świecie tacy sami – budujemy mosty tam, gdzie nie ma rzek”.

– Więc marnotrawienie pieniędzy jest czymś, czego się od nas oczekuje Arnie, przecież to nie są nasze pieniądze! To pieniądze obywateli! Należą do nich i nie mamy prawa ich trwonić!

– Prawa? Kto powiedział, że tu chodzi o prawo? – spytał Arnie cierpliwie. – Może i pamiętasz, że ci trzech senatorowie, którzy – spojrzał na zegarek – są właśnie w drodze tutaj, miesiąc temu umożliwili ci przeforsowanie budżetu obronnego? I niewykluczone, że ich głosy będą ci znowu potrzebne. Ten budżet obronny był ważny, prawda?

– Tak, oczywiście, że tak – odpowiedział prezydent Ryan, patrząc podejrzliwie.

– I przeforsowanie tej ustawy leżało w interesie kraju, tak? – spytał van Damm. Ciężkie westchnienie. Ryan widział, dokąd to zmierza. – Tak, Arnie.

– Więc załatwienie tego drobiazgu pomoże ci działać w interesie kraju, tak?

– Tak sędzę. – Ryan nie cierpiał przyznawania mu racji w takich sprawach, ale dyskusowanie z Arnie’em przypominało dyskusowanie z jezuitą. Prawie zawsze kończyło się brakiem argumentów.

– Jack, żyjemy w niedoskonałym świecie. Nie możesz się spodziewać, że zawsze będziesz mógł robić tylko to, co słuszne. Możesz co najwyżej oczekiwać, że w większości wypadków będziesz robił to, co słuszne; w praktyce powinieneś być zadowolony, jeśli się okaże, że na dłuższą metę to, co słuszne, przeważa nad tym, co nie by tak do końca słuszne.

Polityka jest sztuką kompromisów, sztuką załatwiania ważnych spraw, na których ci zależy i umożliwiania innym załatwiania mniej ważnych spraw, na których im zależy, przy czym należy to robić w taki sposób, żebyś to ty dawał, a nie, żeby oni brali, bo na tym polega rola szefa. Musisz to zrozumieć – przerwał, żeby się napić kawy. – Jack, starasz się i dość szybko się uczysz – jak ucznia w klasie maturalnej – ale musisz to opanować w takim stopniu, żebyś nie musiał się zastanawiać. To ci musi przychodzić tak naturalnie, jak zapinanie rozporka przed wyjściem z toalety. Wciąż nie masz pojęcia, jak dobrze ci idzie. – Ale może to i lepiej, pomyślał Arnie, nie mówiąc tego głośno.

– Czterdzieści procent ludzi nie uważa, że dobrze sobie radzę.

– Ale czterdzieści dziewięć procent jest innego zdania, a niektórzy z tamtych czterdziestu procent i tak głosowali na ciebie!

Ryan przypomniał sobie, że ciekawym aspektem wyborów były nazwiska, dopisywane przez wyborców na kartach do głosowania. Szczególnie dobry wynik uzyskała w tej kategorii Myszka Mickey.

– Czym narażam się tym pozostałym? – Ryan domagał się konkretów.

– Jack, gdyby instytut Gallupa działał w starożytnej Jerozolimie, Jezus prawdopodobnie zniechęciłby się i wrócił do ciesiołki.

Ryan nacisnął klawisz swojego telefonu.

– Ellen, jesteś mi potrzebna.

– Tak, panie prezydencie – odpowiedziała pani Sumter na to ich niezupełnie tajne hasło.

Trzydzieści sekund później pojawiła się w drzwiach, jedną rękę mając opuszczoną. Podeszła do biurka prezydenta i wyciągnęła tę rękę, w której trzymała papierosa. Jack wziął go i przypalił gazową zapalniczką, a z szuflady biurka wyciągnął szklaną popielniczkę.

– Dzięki, Ellen.

– Oczywiście. – Wyszła z gabinetu. Co drugi dzień Ryan podrzucał jej dolara, spłacając swój papierosowy dług. Zaczynał sobie lepiej radzić z nałogiem, ograniczał się zwykle do co najwyżej trzech wyłudzonych papierosów, i to jeśli dzień był stresujący.

– Tylko nie daj się na tym przyłapać mediom – doradził Arnie.

– Tak, wiem. Mógłbym się zabawiać z sekretarką tutaj, w Owalnym Gabinetcie, ale gdyby mnie przyłapano na paleniu, potraktowano by mnie jak jakiegoś cholernego pedofila. – Ryan mocno zaciągnął się papierosem Virginia Slim, wiedząc także, co powiedziałyby jego żona, gdyby go na tym przyłapała. – Gdybym był królem, sam stanowiłbym te cholerne prawa.

– Ale nie jesteś i nie stanowisz – przypomniał mu Arnie.

– Moim obowiązkiem jest dbać o kraj, strzec go i bronić...

– Nie, twoim obowiązkiem jest dbać o konstytucję, strzec jej i bronić, co jest o wiele bardziej skomplikowane. Pamiętaj, że dla przeciętnego obywatela „dbać, strzec i bronić”

oznacza, że co tydzień dostanie zarobione pieniądze, będzie mógł wykarmić rodzinę, raz do roku spędzi tydzień na plaży, albo może w Disney World, jesienią w każde niedzielne popołudnie będzie miał rozgrywki futbolowe. Ty masz sprawić, żeby byli zadowoleni i bezpieczni, nie tylko przed obcymi armiami, ale w ogóle przed zmiennymi kolejami losu.

Dobrą wiadomością jest to, że jeśli będziesz to robił, możesz spędzić w tym budynku następne siedem lat z kawałkiem, a potem odejść, kochany przez naród.

– Nie wspominałeś o tym, co zostawiamy naszym następcom.

W oczach Arnie’ego pojawił się gniew. – Wiesz, co? Prezydent, który za bardzo się tym martwi, obraża Boga, co jest niemal tak samo głupie, jak obrażanie Sądu Najwyższego.

– Aha, a kiedy trafi tam ta sprawa z Pensylwanii...

Arnie uniósł ręce, jakby zasłaniał się przed ciosem. – Jack, będę się tym martwił, kiedy przyjdzie czas. Nie skorzystałeś z mojej rady w kwestii Sądu Najwyższego i dotychczas miałeś szczęście, ale jeśli – nie, kiedy ta sprawa wybuchnie, nie będzie przyjemnie. – Van Damm planował już strategię obrony na tę ewentualność.

– Może, ale nie będę się tym przejmował. Niech się dzieje, co chce.

– Ale czasem warto się rozejrzeć, żeby upewnić się, czy coś ci się nie wali na łeb. Jack gasił właśnie papierosa, kiedy odezwał się jego interkom. Usłyszał głos pani Sumter. –

Senatorowie przy Zachodnim Wejściu.

– Znikam stąd – powiedział Arnie. – Pamiętaj, masz popierać zaporę na tej cholernej rzece i kanał, wysoko sobie cenisz ich poparcie. Nie zapomną o tym, kiedy ty ich będziesz potrzebował, Jack. O tym też pamiętaj.

– Tak, tatusiu – mruknął Ryan.

– Przyszłaś tu pieszo? – spytał Nomuri, nieco zaskoczony.

– To tylko dwa kilometry – odpowiedziała Ming beztróska i zachichotała. – To dobre na apetyt.

No, *fettuccine* spałaszowałaś, jak rekin pływaka, pomyślał Nomuri. Apetyt najwidoczniej ci dopisuje. Zaraz jednak zganił się za takie myśli. To było nieuczciwe. Zaplanował ten wieczór bardzo pieczołowicie, więc to, że wpadła w jego pułapkę, było raczej jego winą, nie jej, prawda? A poza tym, naprawdę miała sporo wdzięku, uznał, kiedy wsiadła do jego służbowego samochodu. Uzgodnili przedtem, że pojedą do niego do domu, żeby mógł dać jej prezent, o którym wspomniał. Teraz Nomuri robił się trochę podniecony. Planował to od ponad tygodnia, odczuwał gorączkę łowiecką, jak wszyscy mężczyźni od dziesiątków tysięcy lat... a teraz zastanawiał się, co ona o tym myśli. Do posiłku wypila dwa spore kieliszki wina... i zrezygnowała z deseru. Zerwała się na równe nogi, kiedy tylko zaproponował, żeby pojechać do niego. Albo założył pułapkę po mistrzowsku, albo ona już dawno się zdecydowała. Nie rozmawiali podczas krótkiej jazdy samochodem. Zaparkował na swoim miejscu, zastanawiając się, czy ktoś zauważy, że nie był dziś sam. Musiał założyć, że jest śledzony.

Chińskie

Ministerstwo

Bezpieczeństwa

Państwowego

prawdopodobnie

interesowało się wszystkimi cudzoziemcami, mieszkającymi w Pekinie, jako że wszyscy oni byli potencjalnymi szpiegami. To dziwne, ale jego mieszkanie nie znajdowało się w tej samej części budynku, co mieszkania Amerykanów i innych ludzi z Zachodu. Nie było tu jawnej segregacji, ale ostatecznie na to wychodziło. Większość Amerykanów w jednej części budynku, razem z większością Europejczyków... a także Tajwańczyków, uświadomił sobie Nomuri. Ewentualna inwigilacja koncentrowała się raczej na tamtej części budynku. Dobrze dla Ming, a w przyszłości może się okazać, że i dla niego.

Zajmował narożny apartament na pierwszym piętrze w czymś, co było chińską interpretacją amerykańskiego osiedla mieszkaniowego. Apartament był dość przestronny, sto metrów kwadratowych, i prawdopodobnie nie było w nim podsłuchu, a przynajmniej Nomuri nie znalazł żadnych mikrofonów, kiedy się wprowadzał i rozwieszał swoje obrazy, a jego specjalistyczny sprzęt nie wykrył żadnych podejrzanych sygnałów. Telefon musiał, oczywiście, być na podsłuchu, ale samo to nie oznaczało jeszcze, że ktoś przesłuchuje taśmy z nagraniami rozmów Nomuriego codziennie, czy choćby raz w tygodniu. Ministerstwo Bezpieczeństwa było jedną z wielu agend rządowych, które w Chinach prawdopodobnie niewiele różniły od tych w Ameryce, czy na przykład we Francji. Leniwi, źle opłacani ludzie pracowali, jak tylko mogli najmniej, służąc biurokracji, która nie zachęcała do indywidualnych wysiłków. Prawdopodobnie spędzali większość czasu na paleniu tych cuchnących miejscowych papierosów i masturbacji.

W drzwiach miał amerykański zamek typu Yale, z cylindrem zabezpieczonym przed próbami otworzenia wytrychem i z mocnym mechanizmem zapadkowym. Gdyby go o to zapytano, wyjaśniłby, że włamano mu się do domu, kiedy pracownik NEC mieszkał w Kalifornii – Amerykanie, to taki niecywilizowany, złodziejski naród – i nie chce, żeby znów mu się coś takiego przytrafiło.

– A więc tak wygląda dom kapitalisty – powiedziała Ming, rozglądając się dookoła.

Ściany były pokryte plakatami, głównie filmowymi.

– Tak... no, to dom pracownika najemnego. Tak naprawdę, to nie wiem, jestem kapitalistą, czy nie, towarzysko Ming – dodał, uśmiechając się i unosząc brwi. Wskazał ręką na sofę. – Siadaj, proszę. Czym mogę cię poczęstować?

– Może jeszcze jeden kieliszek wina? – podsunęła, spoglądając na elegancko zapakowane pudełko, które leżało na krześle naprzeciwko sofy.

Nomuri uśmiechnął się. – Proszę bardzo. – Poszedł do kuchni, gdzie w lodówce chłodziła się butelka kalifornijskiego Chardonnay. Odkorkował ją bez trudu i wniósł do pokoju z dwoma kieliszkami, z których jeden podał swojemu gościowi. – To dla ciebie, Ming. – Podał

jej pudełko, zawinięte w czerwony – jakżeby inaczej – papier.

– Mogę teraz otworzyć?

– Oczywiście. – Nomuri uśmiechnął się pożądliwie, starając się zarazem wyglądać na dżentelmena. – Może wolałabyś to zrobić...

– W twojej sypialni?

– Przepraszam. Pomyślałem tylko, że może wolałabyś być sama, kiedy to otworzysz...

Wybacz, proszę, jeśli byłem zbyt bezceremonialny.

Rozbawienie, jakie dostrzegł w jej oczach, powiedziało mu wszystko. Ming pociągnęła spory łyk białego wina, przeszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Nomuri też się napił, usiadł na kanapie i czekał na rozwój wydarzeń. Jeśli popełnił błąd, Ming może w niego rzucić tym pudełkiem i wybiec z mieszkania... Nie, to mi raczej nie grozi, pomyślał. Bardziej prawdopodobne, że – nawet jeśli uzna, że zachował się zbyt bezceremonialnie – zatrzyma swój prezent, dokończy wino, porozmawia trochę o niczym, a potem pójdzie sobie, za jakieś pół godziny, żeby okazać dobre manieri. Rezultat byłby taki sam, tyle że bez otwartej obrazy, a Nomuri musiałby się rozejrzeć za kimś innym do zwerbowania. No, najlepiej byłoby oczywiście, gdyby...

...drzwi się otworzyły i Ming stanęła w nich, uśmiechając się figlarnie. Kombinezon gdzieś zniknął. Miała teraz na sobie czerwono-pomarańczowy biustonosz, ten odpinany z przodu i majteczki do kompletu. Stała tak z kieliszkiem wina w ręku i wyglądała, jakby zdążyła pociągnąć następny łyk, może dla kurazu... albo żeby się wyzbyć zahamowań.

Nomuri poczuł nagle, że zaczyna go opuszczać pewność siebie. Napił się wina, wstał i powoli, trochę niepewnie ruszył do drzwi sypialni.

W jej oczach też dostrzegł jakby niepewność i trochę obawy. Liczył na to, że i jego spojrzenie wygląda podobnie, bo wszystkie kobiety lubią to u swoich mężczyzn. Może John Wayne wcale nie miał tylu kobiet, przebiegło mu przez głowę. Uśmiechnął się.

– Udało mi się dobrać odpowiedni rozmiar – powiedział.

– Tak, a jakie to cudownie miłe w dotyku, gładkie i jedwabiste, jak druga skóra. –

Nomuri zdał sobie sprawę, że to coś mają wszystkie kobiety: ten uśmiech, odsłaniający istotę ich kobiecości, bez względu na wygląd zewnętrzny, ukazujący prawdziwą kobietę, często doskonałą, zarazem łagodną i pełną pożądania, skromną i kokieterijną, i wystarczyło tylko...

...delikatnie pogłaskał ją po twarzy, czując, że ręka mu trochę drży. Co się ze mną dzieje, do diabła? Drżenie? Ręce Jamesa Bonda nigdy nie drżały. To była chwila, kiedy powinien po męsku wziąć ją na ręce, zanieść na łóżko i posiąść, jak George Patton, prowadzący swoje wojska do ataku. Ale rzeczywistość okazała się odmienna od poczucia triumfu, jakie przewidywał, wyobrażając sobie te chwile. Ming – kimkolwiek była – oddawała mu się.

Oddawała siebie całą. To było wszystko, co miała i oddawała to jemu.

Pochylił się, żeby ją pocałować, poczuł perfumy „Dream Angels” i ten zapach wprost idealnie

pasował do sytuacji. Objęta go szybciej, niż się tego spodziewał. Jego ręce powtórzyły ruch jej rąk i poczuł, że skóra dziewczyny jest gładka jak jedwab. Dłonie same zaczęły mu wędrować w górę i w dół. Poczł coś dziwnego na piersi, opuścił wzrok i zobaczył jej drobne dłonie, odpinające mu guziki, a potem ich oczy się spotkały, a jej twarz nie była już pospolita. Rozpiął sobie mankiety, a ona ściągnęła z niego koszulę, a potem uniosła podkoszulek, żeby mu go ściągnąć przez głowę, a właściwie tylko spróbowała, bo jej ramiona były za krótkie, a potem objął ją mocniej, czując, jak jedwabista tkanina jej nowego biustonosza ociera się o jego pozbawioną włosów pierś. W tym momencie jego uścisk stał się mocniejszy, pocałunek – bardziej intensywny. Ujął jej twarz w dłonie, spojrzał w ciemne, nagle głębokie oczy i zobaczył kobietę.

Rozpięła mu pasek i spodnie, które opadły mu na kostki. Omal nie upadł, próbując ruszyć nogą, ale Ming podtrzymała go i oboje się roześmieli, kiedy wyswobadzał stopy z butów i nogawek, a kiedy skończył, oboje zrobili krok w kierunku łóżka. Ming zrobiła jeszcze jeden krok i odwróciła się, prezentując się przed nim. Nie docenił tej dziewczyny. W talii była o całe cztery cale cieńsza, niż przypuszczał – to pewnie przez ten cholerny kombinezon, w który ubierała się do pracy, pomyślał – a jej piersi idealnie wypełniały biustonosz. Nawet jej okropna fryzura wydawała się w tej chwili w porządku, pasowała jakoś do bursztynowej skóry i skośnych oczu.

To, co przyszło potem, było zarówno łatwe, jak i bardzo, bardzo trudne. Nomuri przyciągnął ją do siebie, blisko, ale nie za blisko. Uniósł rękę i po raz pierwszy i dotknął jej piersi przez cienką tkaninę biustonosza, uważnie patrząc jej przy tym w oczy, badając reakcję.

Nie zareagowała zbyt gwałtownie, ale miał wrażenie, że z przyjemnością poddała się jego dotykowi, może nawet uśmiechnęła ukradkiem, a potem przyszła pora na następne obligatoryjne posunięcie. Oburącz rozpiął biustonosz. W tej samej chwili Ming zasłoniła piersi dłońmi. Funkcjonariusz CIA zastanawiał się, co to miało znaczyć, ale dziewczyna zaraz opuściła ręce i przyciągnęła go do siebie, ich ciała spotkały się, pochylił głowę, żeby znów ją pocałować, zsunął jej ramiączka biustonosza i pozwolił mu opaść na podłogę. Niewiele pozostawało już do zrobienia i wydawało się, że oboje zabrali się do tego, odczuwając równocześnie pożądanie i strach. Patrząc mu w oczy, opuściła ręce i zaczęła zsuwać z niego slipy. Tym razem na pewno się uśmiechnęła, prawdziwym uśmiechem, od którego zrobił się czerwony, ponieważ był już całkiem gotów, a potem ściągnęła mu slipy i został w samych skarpetkach. Nadeszła jego kolej. Ukląkł i ściągnął czerwone, jedwabiste majteczki.

Wysunęła z nich stopy i stanęli naprzeciw siebie, oglądając się nawzajem. Oceniał, że jej piersi, z sutkami brązowymi jak torfowa ziemia do kwiatów, mają rozmiar B+. Jej talia, choć na pewno nie tak wąska jak u modelki, kobieco kontrastowała z biodrami i górną częścią ciała. Nomuri zrobił krok w jej stronę, wziął ją za rękę i poprowadził do łóżka. Położył ją, całując delikatnie i nie był w tej chwili funkcjonariuszem wywiadu swojego kraju.

Rozdział 10

Tajniki rzemiosła

Elektroniczny szlak rozpoczynał się w mieszkaniu Nomuriego, skąd prowadził do witryny WWW w

Pekinie, formalnie należącej do Nippon Electric Company, ale zaprojektowanej dla NEC przez pewnego Amerykanina, który miał więcej niż jednego szefa, a jednym z jego pracodawców była firma, potajemnie prowadzona przez Centralną Agencję Wywiadowczą. Dostęp do skrzynki z pocztą elektroniczną Nomuriego miał szef pekińskiej stacji CIA, który zresztą nic nie wiedział o Nomurim. Gdyby się dowiedział, pewnie miałby coś przeciw temu środkowi bezpieczeństwa, ale zdawałby sobie sprawę, że to charakterystyczne dla sposobu, w jaki Mary Patricia Foley kieruje Wydziałem Operacyjnym, a poza tym, placówka pekińska jakoś nie okryła się chwałą, jeśli chodzi o rekrutowanie wysokich rangą osobistości ChRL.

Elektroniczna wiadomość, którą ściągnął szef placówki, była dla niego tylko niezrozumiałym ciągiem znaków i równie dobrze mogłaby zostać napisana przez szympana na jakiejś bogatej uczelni w zamian za kiść bananów. Nawet nie próbując przyjrzeć jej się bliżej, zaszyfrował ją jeszcze raz, w systemie Tapdance, i wprowadził do rządowej sieci telekomunikacyjnej, którą wiadomość została przekazana do satelity łącznościowego, odebrana w Sunnyvale w Kalifornii, wysłana jeszcze raz i wreszcie odebrana w Fort Belvoir w Wirginii, naprzeciw Waszyngtonu, po drugiej stronie rzeki Potomak. Stamtąd wiadomość przesłano bezpiecznym kablem światłowodowym do centrali CIA w Langley, a tam najpierw do Merkurego, czyli centrum łączności Agencji, gdzie odkodowano szyfr placówki pekińskiej, ujawniając oryginalny, niezrozumiały ciąg znaków, po czym przesłano ją, już po raz ostatni, do komputera osobistego pani Foley, jedyne z systemem szyfrującym i algorytmem dobierania klucza na dany dzień, odpowiadającym systemowi w laptopie Cheta Nomuriego, nazywanemu Intercrypt. MP była w tym czasie zajęta czym innym i dopiero po dwudziestu minutach załogowała się do własnego komputera i zobaczyła, że nadeszła wiadomość oznaczona SORGE. To natychmiast wzbudziło jej zainteresowanie. Wprowadziła polecenie odkodowania wiadomości, ale rezultatem był równie niezrozumiały ciąg znaków, co przedtem. Wtedy przypomniała sobie – nie po raz pierwszy – że Nomuri był po drugiej stronie linii zmiany daty, więc do zaszyfrowania użył innego klucza. A więc jutrzejsza data...

O, tak! Zrobiła wydruk wiadomości dla męża, a potem zapisała ją na twardym dysku swojego komputera, automatycznie szyfrując ją przed zapisem. Do gabinetu Eda nie miała daleko.

– Cześć, mała – powiedział dyrektor CIA, nie unosząc głowy. Niewielu ludzi wchodziło do jego gabinetu niezapowiedzianych. Wiadomości musiały być dobre. MP uśmiechała się promiennie, podając mu kartkę.

– Chet miał ostatniej nocy dziewczynę – powiedziała wicedyrektor do dyrektora.

– Mam zapalić cygaro, żeby to uczcić? – spytał dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, wodząc wzrokiem po kartce.

– Cóż, to już krok naprzód.

– Może dla niego – odpowiedział Ed Foley i mrugnął znacząco. – Przypuszczam, że podczas takich operacji można się nieźle zabawić, chociaż sam nigdy nie miałem z tym problemów. – Foleyowie zawsze pracowali w terenie jako małżeństwo i razem przeszli przez Farmę. Jemu oszczędziło to komplikacji, z jakimi musiał się borykać James Bond.

– Eddie, czasem wyłazi z ciebie...

Słyszając to, dyrektor CIA uniósł wzrok. – Co?

– Stary zrzęda! – warknęła. – To może być prawdziwy przełom. Ta panienka jest osobistą sekretarką Fang Gana. To, co wie, bardzo by się nam przydało.

– I Chetowi udało się ją wypróbować zeszłej nocy w łóżku. Kochanie, to nie to samo, co rekrutacja. Ona nie jest jeszcze naszą agentką – upomniał żonę.

– Wiem, wiem, ale mam przeczucie.

– Kobięca intuicja? – spytał Ed, czytając wiadomość od Nomuriego jeszcze raz, w poszukiwaniu pikantnych szczegółów, ale były tam tylko oschłe fakty, jakby o uwiedzeniu poinformował „Wall Street Journal”. Cóż, dobrze przynajmniej, że Nomuri okazał nieco dyskrecji. Żadnych opisów sztywnego członka, wbijającego się w jej ciepłą, wilgotną pochwę, chociaż Nomuri miał dwadzieścia dziewięć lat, a w tym wieku faceci zwykle nie miewają problemów ze wzwodem. Zaraz, pomyślał dyrektor, przecież Chet pochodzi z Kalifornii, prawda? Więc raczej wykluczone, żeby był jeszcze prawiczkim, a może nawet jest doświadczonym kochankiem, chociaż, kiedy facet idzie z jakąś dziewczyną do łóżka po raz pierwszy, raczej nie nastawia się na seksualne akrobacje. Zależy mu raczej, żeby w ogóle się udało – i zwykle się udawało, tak przynajmniej wynikało z doświadczeń Eda Foleya, ale i tak zalecana była pewna ostrożność. Pamiętał, jak Robin Williams kpił sobie z Adama i Ewy:

„Lepiej się odsuń, kochanie. Nie wiem, jak wielkie może się to zrobić”²⁵.

Kombinacja ostrożnego konserwatyzmu z chciejstwem, które wyrwało się spod kontroli, typowa dla samców homo sapiens. – W porządku, co zamierzasz mu odpowiedzieć? „Ile razy mieliście orgazm?”

25 Podczas uroczystości rozdania filmowych Oscarów w 1999 roku (przyp. tłum.)

– Do diabła, Ed! – Dyrektor spostrzegł, że złośliwość była udana. Ładne oczy jego żony rzuciły gromy. – Cholernie dobrze wiesz, co zamierzam zasugerować. Poradzę mu, żeby kontynuował ten związek i żeby ostrożnie namówił ją do opowiadania o pracy. Trochę to potrwa, ale jeśli się uda, czekanie sowicie nam się opłaci.

A jeśli się nie uda, to i tak Chester nieźle na tym wyjdzie, pomyślał dyrektor CIA.

Niewiele było zawodów, w których za udany seks można było dostać awans.

– Mary?

– Tak, Ed?

- Nie wydaje ci się dziwne, że ten dzieciak melduje nam o swoim życiu seksualnym? Nie zaczerwieniłaś się trochę, kiedy to czytałaś?
- Zaczerwieniłabym się, gdyby opowiadał mi o tym w bezpośredniej rozmowie. Sądzę, że e-mail jest tu najlepszym rozwiązaniem. Jest jakby trochę odczłowieczony.
- Uważasz, że łączność jest bezpieczna?
- Tak, już o tym rozmawialiśmy. W takiej wiadomości mogłyby się równie dobrze znajdować jakieś poufne informacje przemysłowe, a system szyfrowania jest bardzo dobry. Ci z Fort Meade potrafią ten szyfr złamać, ale tylko za pomocą brutalnej mocy obliczeniowej komputerów i za każdym razem trwa to do tygodnia, nawet jeśli uda im się odgadnąć, jak działa ten system szyfrowania. Ci z ChRL musieliby zaczynać od zera. Tylne drzwi, którymi dostajemy się do dostawcy usług internetowych, zostały bardzo inteligentnie zaprojektowane, a sposób, w jaki się tam dostajemy, też powinien być bezpieczny, a zresztą, fakt, że ktoś łączy się z Internetem przez telefon z ambasady jeszcze nic nie znaczy. Jednemu z pracowników naszego konsulatu zleciliśmy pirackie ściąganie pornografii z miejscowej witryny internetowej za pośrednictwem tego dostawcy, tak na wszelki wypadek, gdyby mimo wszystko ktoś powziął jakieś podejrzenia. – To było dobrze przemyślane posunięcie. Gdyby kontrwywiad w Pekinie zorientował się, co się dzieje, pewnie dobrze by się ubawili, a jednocześnie nie dziwiliby się, że ktoś woli nie afiszować się z czymś takim.
- Ta pornografia, jest tam coś dobrego? – spytał Ed Foley, znów tylko po to, żeby ponabijać się z żony.
- Nie, chyba że komuś podoba się pedofilia. Niektóre osoby na tych zdjęciach są za młode, żeby głosować. Gdybyś ściągał coś takiego tutaj, mógłbyś mieć do czynienia z FBI.
- Kapitalizm zaczyna się tam rozwijać, co?
- Niektórzy wysocy rangą działacze partyjni zdają się gustować w takich rzeczach.

Sądzę, że kiedy facet dobiega osiemdziesiątki, potrzeba mu czegoś specjalnego, żeby zaskoczyć. – Mary Pat widziała kiedyś niektóre z tych zdjęć i zupełnie jej to wystarczyło.

Była matką, a wszystkie osoby na tych zdjęciach były kiedyś noworodkami, chociaż klientom tej witryny internetowej mogło się to wydać dziwne. Amatorzy małych dziewczynek myśleli pewnie, że rodzą się one z rozchylonymi nogami i zachęcającym wyrazem lalkowatych buź.

Na pewno nie, pomyślała wicedyrektor CIA, ale zakres jej obowiązków nie obejmował

dbania o cudzą moralność. Czasem trzeba było wchodzić w układy z takimi zbrojeńcami, ponieważ dysponowali informacjami, których potrzebował jej kraj. Jeśli dopisało szczęście, jeśli informacje okazały się naprawdę pożyteczne, często aranżowało się potem takim informatorom ucieczkę do Stanów Zjednoczonych, gdzie mogli mieszkać i mniej lub bardziej intensywnie oddawać się swoim zbroczeniom, pouczeni najpierw o prawie amerykańskim i konsekwencjach jego złamania. Po czymś

takim zawsze długo myło się ręce. Mary Pat zdarzyło się to już więcej niż jeden raz. Jednym z problemów w działalności szpiegowskiej było to, że nie zawsze miało się do czynienia z ludźmi, których chętnie zaprosiłoby się do własnego domu. Ale cóż, nie chodziło tu o dobre maniery, lecz o zdobycie informacji, których kraj potrzebował, żeby strzec swych strategicznych interesów, a nawet, żeby zwyciężyć na wojnie, gdyby do niej doszło. Często stawką było ludzkie życie, bezpośrednio lub pośrednio. Korzystano więc z usług każdego, kto dysponował takimi informacjami, nawet jeśli ten ktoś nie był akurat wzorem cnót wszelakich.

– W porządku, mała, informuj mnie na bieżąco – powiedział Foley do żony.

– Jasne, misiaczku. – Wicedyrektor ruszyła z powrotem do swojego gabinetu. Kiedy tam dotarła, napisała odpowiedź Nomuriemu:

Potwierdzam odbiór wiadomości. Informuj nas o postępach. MP.

Koniec.

Odpowiedź sprawiła ulgę Nomuriemu, kiedy obudził się i sprawdził pocztę elektroniczną.

Był trochę rozczarowany, że nie obudził się w towarzystwie, ale realistycznie przyznał, że raczej nie mógł tego oczekiwać. Ming na pewno nie powinna spędzać nocy gdziekolwiek poza własnym łóżkiem. Nomuri nie mógł jej nawet odwiedzić. Po prostu wyszła, niosąc swoje prezenty – no, niektóre miała na sobie – i powędrowała pieszo do swojego mieszkania, które wynajmowała do spółki z kilkoma koleżankami. Nomuri miał wielką nadzieję, że Ming nie będzie opowiadać współlokatorce o swoich przygodach tego wieczoru. Ale z kobietami nigdy nie wiadomo. Niezbyt różniły się pod tym względem od mężczyzn. Nomuri pamiętał z czasów studenckich, jak niektórzy z jego kumpli rozwodzili się na temat swoich podbojów, jakby uśmiercili smoka patykiem od lizaka. Nomuri nie lubił tego słuchać. Albo już wtedy miał mentalność szpiega, albo przemawiała do niego zasada, że dżentelmen nie zdradza łóżkowych tajemnic. Ale co z kobietami? Było to dla niego tajemnicą, podobnie jak to, dlaczego kobiety zdawały się zawsze chodzić do toalety parami; żartował czasem, że odbywają tam swoje „spotkania związkowe”. Ale kobiety na pewno mówiły więcej niż mężczyźni. Tego był pewien. I chociaż miały wiele tajemnic przed mężczyznami, to ile ich miały wobec innych kobiet? Jezu, wystarczyłoby, żeby opowiedziała współlokatorce, jak to fantastycznie zerznął ją przedstawiciel jakiejś japońskiej firmy i jeśli ta współlokatorka była informatorką Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, u Ming pojawiłby się oficer służby bezpieczeństwa, który w najlepszym wypadku doradziłby jej, żeby już nigdy więcej nie spotykała się z Nomurim. Było bardziej prawdopodobne, że zażądano by też od niej, żeby odesłała mu z powrotem te zdegenerowane, burżuazyjne amerykańskie śmieci (bieliznę Victoria's Secret) oraz zagrożono jej, że straci pracę w ministerstwie, jeśli kiedykolwiek pojawi się na tej samej ulicy, co on. To by już znaczyło, że MBP zacznie za nim chodzić, śledzić go; musiał do tego podejść poważnie. Nie musieli przyłapywać go na szpiegostwie. To był kraj komunistyczny, gdzie rządy prawa uważano za burżuazyjną koncepcję, niewartą poważniejszego zastanowienia, a prawa obywatelskie ograniczały

się do robienia tego, co kazano. Jako cudzoziemca, robiącego interesy w ChRL, potraktowano by go może trochę łagodniej, ale nie za bardzo.

A więc był to nie tylko namiętny wieczór, po którym zostały mu rozkoszne wspomnienia.

Przekroczył grubą, czerwoną linię i teraz jego bezpieczeństwo w całości zależało od tego, jak dyskretna okaże się Ming. Nie ostrzegł jej – nie mógł ostrzec – żeby nie rozpowiadała o nich obojgu. Takich rzeczy się nie mówiło, bo rzucałyby się cieniem na coś, co miało być radością i przyjaźnią... a może i czymś więcej niż przyjaźnią. Kobiety myślą w takich kategoriach, upomniał się Chesler i doszedł do wniosku, że może to sprawić, że będzie czuł do siebie odrazę, przeglądając się w lustrze. Ale przecież to biznes, nic osobistego, powiedział sobie i wyłączył komputer.

Z jednym małym wyjątkiem. Miał stosunek seksualny z inteligentną i nie najbrzydszą młodą kobietą, a problem polegał na tym, że nie mógłby tego zrobić, nie angażując się choć trochę uczuciowo. Za późno zdał sobie sprawę, że serce ma u niego jakiś związek z kutasem.

Nie był Jamesem Bondem. Nie mógłby objąć kobiety – tak jak dziwka, która biorąc za to pieniądze, obejmuje mężczyznę. Po prostu nie był taką świnią bez serca i już. Miało to tę dobrą stronę, że na razie mógł bez odrazy patrzeć na swoje odbicie w lustrze. Niestety, pomyślał, ten stan może się nie utrzymać zbyt długo, jeśli będzie traktował Ming jak przedmiot, a nie jak człowieka.

Nomuri potrzebował czyjejś rady w kwestii swoich uczuć podczas tej operacji, a nie miał

się do kogo zwrócić. To nie było coś, o czym można by napisać e-mailem do Mary Pat, czy do któregoś z psychoterapeutów, zatrudnianych przez Firmę, żeby pomagali ludziom z Wydziału Operacyjnego, którzy potrzebowali ich porady w sprawach zawodowych. O takich sprawach można było rozmawiać tylko twarzą w twarz, z człowiekiem z krwi i kości, takim, którego mimikę i gesty można obserwować, którego ton niesie własne treści. Nie, e-mail na nic by mu się w tej chwili nie przydał. Należałoby polecieć do Tokio i spotkać się z wysokim rangą funkcjonariuszem Wydziału Operacyjnego, który mógłby doradzić, jak podchodzić do takich spraw. Ale Nomuri zastanawiał się, co by zrobił, gdyby taki facet powiedział mu, że ma zerwać intymny kontakt z Ming. No, w końcu nie był przecież związany z żadną inną dziewczyną i też potrzebował trochę prywatności, a poza tym, co po takim zerwaniu czułaby jego potencjalna, obiecująca agentka? Nie zostawiało się człowieczeństwa w domu, wstępując do Firmy, bez względu na to, co pisano na ten temat w tych wszystkich książkach i co sądzili ludzie. Tamte wieczory z kolegami przy piwie po sesjach szkoleniowych wydały mu się teraz czymś tak odległym, podobnie jak oczekiwania jego samego i kolegów. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna, bez względu na to, co mówiono im na szkoleniach. Był wtedy dzieckiem, w pewnym sensie był nim także później, w Japonii, ale teraz nagle stał się mężczyzną, samotnym w obcym kraju, który do niego i jego ojczyzny w najlepszym wypadku odnosił się podejrzliwie, a w najgorszym – wrogo. Cóż, teraz wszystko było w rękach Ming, a on nie miał na to wpływu.

Koleżanki w pracy zauważyły pewną różnicę w zachowaniu Ming. Trochę częściej się uśmiechała, i jakby nieco inaczej. Musiało się jej przydarzyć coś dobrego, pomyślały niektóre i ucieszyły się z

tego, ale powściągliwie, prywatnie. Jeśli Ming będzie się chciała z nimi podzielić tym, co ją spotkało, to w porządku, ale jeśli nie, to też w porządku, ponieważ pewne sprawy zachowywało się dla siebie, także w grupie kobiet, które opowiadały sobie praktycznie o wszystkim, nawet o swoim ministrze i jego nieudolnych, przydługich i często bezowocnych staraniach miłosnych. Był mądrym człowiekiem i zwykle dość łagodnym, chociaż jako szef miał swoje złe strony. Ale tego dnia Ming w ogóle nie zwracała uwagi na takie rzeczy. Jej uśmiech był słodszy niż kiedykolwiek, a oczy błyszczały jej jak diamenty, pomyślały pozostałe pracownice sekretariatu. Wszystkie to już kiedyś widziały, chociaż nie u Ming, której życie intymne było dotąd mało urozmaicone i którą minister upodobał sobie trochę za bardzo, chociaż dogadzał jej nienajlepiej i za rzadko. Siedziała przy swoim komputerze, zajmując się korespondencją i tłumaczeniem artykułów z prasy zachodniej, które mogły zainteresować ministra. Ming znała angielski lepiej niż ktokolwiek inny w tej części gmachu, a nowy system komputerowy funkcjonował znakomicie. Mówiono, że następnym krokiem będzie komputer, do którego będzie się po prostu mówić, wywołując znaki na ekran komendami głosowymi. Byłoby to przekleństwem dla wszystkich sekretarek na świecie, bo stałyby się w znacznej mierze niepotrzebne. Ale może i nie. W końcu szef nie pieprzyłby się przecież z komputerem, prawda? Zresztą, minister Fang wcale nie był taki nieprzyjemny w tych sprawach, no i potrafił się odwdzięczyć.

Poranne zajęcia zabrały jej, jak zwykle, półtorej godziny. Kiedy skończyła tłumaczyć, zrobiła wydruk, spinając kartki z poszczególnymi artykułami. Tego ranka przetłumaczyła artykuły z „Times of London”, „New York Times” i z „Washington Post”, żeby minister wiedział, co barbarzyńcy z różnych części świata sądzą o światłej polityce ChRL.

W swym prywatnym gabinecie minister Fang zajmował się innymi sprawami. MBP

otrzymało podwójny raport z Rosji: ropa naftowa i złoto. A więc, pomyślał, Zhang miał przez cały czas rację, może nawet bardziej, niż przypuszczał. Syberia Wschodnia rzeczywiście była skarbnicą, pełną dóbr, których wszyscy potrzebowali. Ropy naftowej, ponieważ była jak tlen dla nowoczesnego społeczeństwa i złota, bo oprócz swej wartości, jako stary, lecz nadal bardzo realny środek płatniczy, wciąż miało też zastosowanie w przemyśle i w badaniach naukowych. Okazało się, że i jednego, i drugiego było na Syberii pod dostatkiem. Jaka szkoda, że takie bogactwa miały wpaść w ręce ludzi, którzy nie mieli dość rozumu, żeby zrobić z nich właściwy użytek. Jakie to dziwne – Rosjanie obdarzyli świat komunizmem, ale sami nie zdołali go właściwie wykorzystać, a potem poniechali go, tylko po to, aby ponieść również klęskę w procesie przechodzenia do kapitalistycznego społeczeństwa burżuazyjnego.

Fang zapalił papierosa, piątego tego dnia (próbował ograniczyć palenie, jako że dobiegał

siedemdziesiątki), odłożył raport MBP na biurko i odchylił się na fotelu, zaciągając się papierosem bez filtra i rozważając informacje, które przyniósł ten poranek. Syberia, jak Zhang mówił od kilku lat, była tak zasobna w to, czego potrzebowała ChRL: drewno, obfitość bogactw naturalnych – nawet większa, niż przypuszczano, jak wynikało z tego raportu wywiadowczego – i przestrzeń, której Chiny potrzebowały ponad wszystko.

W Chinach było po prostu za dużo ludzi, i to mimo polityki kontroli urodzeń, którą można było

nazwać tylko drakońską, zarówno pod względem założeń, jak i ich bezwzględności egzekwowania. Ta polityka była afrontem dla chińskiej kultury, która zawsze postrzegała dzieci jako błogosławieństwo, a teraz inżynieria społeczna dawała nieprzewidziane rezultaty. Skoro małżeństwu wolno było mieć tylko jedno dziecko, i ludzie często wybierali chłopców, zamiast dziewczynek. Słyszano o niejednym chłopie, który utopił

dwuletnią córkę w studni – co bardziej litościwi przetręcali im przedtem karki – żeby się pozbyć niewygodnego ciężaru. Dziewczynka, kiedy dorastała, wychodziła za męża, wiązała swe życie z obcym mężczyzną, podczas gdy na synu zawsze można było polegać, że będzie wspierał i czcił rodziców, zapewniał im poczucie bezpieczeństwa. A dziewczyna mogła tylko rozkładać nogi dla syna jakiejś innej pary; jakie było w tym poczucie bezpieczeństwa dla jej rodziców?

Było to prawdą w wypadku Fanga. Kiedy został wysokim rangą funkcjonariuszem partyjnym, dopilnował, żeby jego matka i ojciec mogli żyć w wygodnych warunkach bo było to obowiązkiem dziecka wobec tych, którzy dali mu życie. Po drodze ożenił się, oczywiście –

jego żona od dawna nie żyła, powalona chorobą wieńcową – i pomógł trochę swoim teściom... ale nie tyle, co rodzicom. Nawet jego żona okazała zrozumienie i sama wykorzystwała swe zakulisowe wpływy, jako małżonka działacz partyjnego, żeby im coś załatwić, choć nie było tego wiele. Jej brat umarł młodo, poległ z rąk żołnierzy amerykańskich w Korei i dlatego był tylko wspomnieniem, bez żadnej wartości praktycznej.

Ale problemem Chin, choć nikt tak naprawdę o tym nie mówił, nawet na szczelnie zamkniętym Biurze Politycznym, było to, że polityka populacyjna odbijała się na strukturze demograficznej kraju. Wyżej ceniąc dzieci płci męskiej niż żeńskiej, ChRL powodowała nierównowagę płci, nabierającą już znaczenia statystycznego. Za jakieś piętnaście lat zacznie brakować kobiet –

niektórzy mówili, że to dobrze, bo szybciej uda się dzięki temu osiągnąć nadrzędny cel narodowy, czyli stabilizację liczby ludności, i oznaczało to również, że przez okres pokolenia miliony chińskich mężczyzn nie będą miały kobiet do zawierania związków małżeńskich, czy kojarzenia się w pary. Czy doprowadzi to do fali homoseksualizmu? W ChRL wciąż uważano homoseksualizm

za

przejaw

burżuazyjnej

degeneracji,

choć

w

1998

roku

zdekryminalizowano sodomie. Ale co będą mieli robić mężczyźni, jeśli nie będzie kobiet? A prze oprócz zabijania „nadprogramowych” noworodków płci żeńskiej, dziewczynki porzucone przez rodziców często oddawano do adopcji parom amerykańskim i europejskim, które nie mogły mieć własnych dzieci. Takich dziewczynek były setki tysięcy, pozbywano się ich równie chętnie i łatwo jak Amerykanie sprzedawali szczeniaki w sklepach zoologicznych.

Fang obruszał się na to w duchu, ale te uczucia były przecież tylko burżuazyjnym sentymentalizmem, prawda? Polityka narodowa dyktowała, co musiało zostać zrobione, a do władz należało znalezienie środków niezbędnych do osiągnięcia celu.

Wiódł życie na tyle komfortowe, na ile komfort mogły mu zapewnić przywileje. Oprócz własnego gabinetu, który pod względem luksusu nie ustępował gabinetowi żadnego kapitalisty, miał służbowy samochód z kierowcą, który odwoził go do rezydencji, wystawnego apartamentu ze służbą, dbającą o jego potrzeby, najlepsze jedzenie, jakie jego kraj mógł dostarczyć, dobre trunki oraz telewizję satelitarną, dzięki której mógł odbierać wszelkiego rodzaju rozrywkę, łącznie z japońskimi kanałami pornograficznymi, bo nie opuściły go jeszcze męskie żądze. (Nie znał japońskiego, ale przecież oglądając takie filmy, nie trzeba rozumieć dialogów, prawda?).

Fang wciąż jeszcze długo pracował. Wstawał o szóstej trzydziści i co rano był w swoim gabinecie przed ósmą. Jego personel – sekretarki i asystenci – dobrze się nim opiekował, a niektóre z pracujących tam kobiet były miłe i uległe, zwykle raz w tygodniu, czasem dwa razy. Niewielu mężczyzn w jego wieku mogło się pochwalić takim wigorem, Fang był tego pewien, a, w odróżnieniu od przewodniczącego Mao, nie wykorzystywał seksualnie dzieci; wiedział w tamtych czasach o skłonnościach przewodniczącego, ale uważał je za trochę niesmaczne. Cóż, wielcy ludzie mieli swoje wady, ale przymykało się na nie oczy z racji wielkości, która uczyniła ich tymi, kim byli. On sam i podobni mu ludzie uważali, że należą im się odpowiednie warunki do wypoczynku, dobre pożywienie, umożliwiające ich organizmom wytrzymanie trudów pracy, a także możliwości zrelaksowania się, jakich potrzebowali inteligentni, witalni mężczyźni. Powinni żyć w lepszych warunkach niż większość obywateli ich kraju i zasłużyli sobie na to. Kierowanie krajem o największej liczbie ludności na świecie nie było łatwym zadaniem. Wymagało całej energii intelektualnej, a taką energię trzeba było oszczędzać i przywracać. Fang podniósł wzrok, kiedy Ming weszła z papierową teczką, w której znajdowały się artykuły prasowe.

– Dzień dobry, towarzyszu ministrze – powiedziała z należnym poważaniem.

– Dzień dobry, dziecko. – Fang życzliwie skinął głową. Ta sekretarka całkiem dobrze służyła mu w łóżku, więc zasługiwała na coś więcej niż warknięcie. No, załatwił jej przecież bardzo wygodne biurowe krzesło, prawda? Wyszła, ukłoniwszy się, jak zawsze, żeby okazać szacunek ojcowski przełożonemu. Fang nie zauważył niczego niezwykłego w jej zachowaniu.

Wyjął artykuły prasowe z teczki i sięgnął po długopis, żeby móc robić notatki. Zamierzał

porównać te artykuły z ocenami MBP, dotyczącymi nastrojów w innych krajach i w ich władzach. Był to jego sposób na przypomnienie Ministerstwu Bezpieczeństwa Państwowego, że członkowie Biura Politycznego potrafią jeszcze myśleć samodzielnie, MBP poniosło dotkliwą porażkę, nie potrafiąc przewidzieć dyplomatycznego uznania Tajwanu przez Amerykę, choć prawdę mówiąc,

amerykańskie media też nie bardzo potrafiły przewidzieć, co zrobi ten ich prezydent Ryan. Cóż to za dziwny człowiek. I na pewno nie był przyjacielem Chińskiej Republiki Ludowej. Jeden z analityków MBP nazwał go wieśniakiem i pod wieloma względami zdawało się to być precyzyjnym, właściwym określeniem. Dziwne, ale wyglądał na prostego człowieka, do czego „New York Times” często nawiązywał w swoich komentarzach. Dlaczego ta gazeta go nie lubiła? Był nie dość kapitalistyczny, czy może za bardzo kapitalistyczny? Zrozumienie amerykańskich mediów przekraczało zdolności analityczne Fanga, ale przynajmniej potrafił zrozumieć przekazywane przez nie treści, do czego nie zawsze byli zdolni „eksperti” wywiadu Instytutu Spraw Amerykańskich w MBP.

Fang zapalił następnego papierosa i usiadł wygodniej w fotelu.

Prowałow pomyślał, że to cud. Centralna Kartoteka Wojskowa odszukała akta, odciski palców i fotografie dwóch mężczyzn, których zwłoki znaleziono w Petersburgu – ale oczywiście przesłała je jemu, a nie Abramowowi, czy Ustinowowi, z pewnością dlatego, że to on wymienił nazwisko Gołowki. Plac Dzierżyńskiego wciąż inspirował ludzi do terminowego wykonywania obowiązków. Nazwiska tych dwóch i najważniejsze dane zostaną niezwłocznie przefaksowane do Petersburga, żeby koledzy z północy mogli się zorientować, co da się zrobić na ich terenie. Nazwiska i fotografie były zaledwie punktem wyjścia; fotografie miały już prawie dwadzieścia lat i ukazywały młodzieńcze twarze bez wyrazu. Za to informacje o przebiegu służby robiły spore wrażenie. Kiedyś, dawno temu, Piotr Aleksiejewicz Amalrik i Paweł Borysowicz Zimianin mieli opinię doskonałych żołnierzy, inteligentnych, sprawnych fizycznie... bardzo pewnych politycznie, dzięki czemu wysłano ich do szkoły Specnazu. Obaj walczyli w Afganistanie i obaj radzili sobie całkiem dobrze – zachowali życie, co nie było czymś normalnym wśród żołnierzy Specnazu, którym powierzano najbrudniejsze zadania w tej szczególnie brudnej wojnie. Nie pozostali w wojsku, co nie było czymś niezwykłym. Mało kto decydował się dobrowolnie na przedłużenie służby w Armii Radzieckiej. Wrócili do cywilnego życia i pracowali w tej samej fabryce na przedmieściach Leningradu, jak nazywało się wtedy to miasto. Ale życie w cywilu zaczęło nudzić ich i dlatego – jak się domyślał

Prowałow – obaj zaczęli się zajmować czymś innym. Wiedział, że musi poczekać, aż śledztwo w Petersburgu dostarczy więcej informacji na ten temat. Wyjął z szuflady biurka formularz adresowy i recepturką przymocował go do paczki z aktami. Poczta kurierską paczka zostanie dostarczona do Petersburga, gdzie Abramow i Ustinow zajmą się jej zawartością.

– Pan Sherman – powiedziała sekretarka Winstona przez interkom. – Trzecia linia.

– Cześć, Sam – powiedział sekretarz skarbu do słuchawki. – Co nowego?

– Nasze złożo roponośne – odpowiedział prezes Atlantic Richfield.

– Dobre wieści?

– O, tak. Nasi ludzie mówią, że złożo jest o jakieś pięćdziesiąt procent większe, niż pierwotnie

szacowaliśmy.

– Na ile to pewne?

– Mniej więcej tak samo pewne, jak twoje obligacje skarbu państwa, George. Szefem moich poszukiwaczy jest Ernie Beach. Jest równie dobry w znajdowaniu ropy, jak ty byłeś w grze na giełdzie. – Może nawet lepszy, pomyślał Sam Sherman, ale nie powiedział tego głośno. Winston był trochę przeczulony na punkcie własnej wartości, aluzja i tak została zrozumiana.

– No więc, powiedz mi w skrócie, co to znaczy – zażądał sekretarz skarbu.

– No więc, kiedy ruszy wydobywanie, Rosjan będzie stać na kupienie sobie Arabii Saudyjskiej, Kuwejt i może jeszcze połowy Iranu. Wschodni Teksas ma się do tego, jak pierdnięcie do tornada. To ogromne złoża, George.

– Trudne do zagospodarowania?

– Nie będzie łatwo i nie będzie tanio, ale z inżynierskiego punktu widzenia sprawa nie przedstawia większych problemów. Jeśli chcesz zarobić, kup akcje jakiejś rosyjskiej firmy, produkującej sprzęt do pracy w niskich temperaturach. Takie firmy będą miały pełne ręce roboty przez następne dziesięć lat, czy coś koło tego – doradził Sherman.

– W porządku. A co możesz mi powiedzieć o skutkach ekonomicznych dla Rosji?

– Trudno powiedzieć. Uruchomienie wydobywania na pełną skalę potrwa osiem do dwunastu lat, a taka ilość ropy, rzucona na rynek, będzie miała znaczny wpływ na ceny. Nie przeanalizowaliśmy tego wszystkiego, ale w grę wchodzi ogromne sumy, rzędu stu miliardów dolarów rocznie, to znaczy, dzisiejszych dolarów.

– Na jak długo? – Winston potrafił sobie wyobrazić wzruszenie ramion swego rozmówcy.

– Dwadzieścia lat, może dłużej. Nasi przyjaciele w Moskwie nadal domagają się od nas dyskrecji w tej sprawie, ale to tak, jakby próbować zataić wschód słońca. W naszej firmie zaczyna się o tym robić głośno. Sądzę, że jeszcze miesiąc i sprawa trafi do mediów. Może trochę dłużej, ale niewiele.

– A co z tym złotem?

– Do licha, George, mnie Rosjanie o tym nie informują, ale nasz facet w Moskwie mówi, że wyglądają jak kot, który pożarł kanarka. Takie odniósł wrażenie. Prawdopodobnie spowoduje to spadek światowych cen złota o pięć, może dziesięć procent, ale z naszych modeli teoretycznych wynika, że ceny wrócą do obecnego poziomu, zanim Iwan rozpocznie sprzedaż tego, co wykopie. Nasi rosyjscy przyjaciele... jakby to powiedzieć... to tak, jakby ich bogaty wujek kopnął właśnie w kalendarz, pozostawiając im ogromny spadek.

– A nam w niczym to nie zaszkodzi – pomyślał głośno Winston.

– Do diabła, oczywiście, że nie. Będą musieli kupować od nas wszelkiego rodzaju sprzęt, będzie im

też potrzeba mnóstwo wiedzy technologicznej, którą tylko my posiadamy, a kiedy skończy się ten etap, światowe ceny ropy spadną, co też nam nie zaszkodzi. Wiesz, George, lubię Rosjan. Od dawna prześladowuje ich cholerny pech, ale może teraz się to zmieni.

– Tutaj i za drzwiami obok nikt nie ma nic przeciwko temu, Sam – zapewnił Kupiec przyjaciela. – Dzięki za informacje.

– Nie ma za co, w końcu to wy ściągacie ze mnie podatki. – „Wy, sukinsyny”, tego już nie powiedział, ale Winston i tak to usłyszał. – Do zobaczenia, George.

– Jasne. Trzymaj się, Sam, i dziękuję. – Winston przerwał połączenie, przełączył się na inną linię i wybrał z pamięci aparatu numer, który miał zapisany pod dziewiątką.

– Tak? – rozległ się w słuchawce znany głos. Tylko dziesięciu ludzi znało ten numer.

– Jack, tu George, dzwonił właśnie do mnie Sam Sherman z Atlantic Richfield.

– Rosja?

– Tak. To złożenie jest o pięćdziesiąt procent większe, niż pierwotnie sądzili. A to oznacza, że jest naprawdę ogromne, największe, jakie kiedykolwiek odkryto, większe niż wszystkie zasoby ropy nad Zatoką Perską razem wzięte. Wydostanie tej ropy będzie nieco kosztowne, ale Sam mówi, że istnieją gotowe rozwiązania; będzie trudne, ale wiedzą, jak to zrobić, nie trzeba opracowywać żadnych nowych technologii, więc to tylko kwestia zainwestowania odpowiednich środków, zresztą wcale nie takich wielkich, bo koszty pracy są tam o wiele mniejsze niż u nas. Rosjanie staną się bogaci.

– Jak bardzo bogaci? – spytał prezydent.

– Coś rzędu stu miliardów dolarów rocznie, kiedy wydobyć ruszy pełną parą, i będzie tak przez dwadzieścia lat, może dłużej.

Jack gwizdnął z podziwem. – Dwa biliony dolarów. To już naprawdę duże pieniądze, George.

– Tak to nazywamy na Wall Street, panie prezydencie – zgodził się Winston. – Cholernie duże pieniądze.

– A jaki to będzie miało efekt dla rosyjskiej gospodarki?

– Na pewno im nie zaszkodzi – zapewnił sekretarz skarbu. – Zarobią furę dewiz.

Dysponując takimi pieniędzmi, będą sobie mogli pozwolić na kupno tego, na co przyjdzie im ochota, a także na kupno narzędzi do produkcji tego, co sami będą mogli wytwarzać. Jack, to będzie dla nich oznaczać ponowną industrializację, potężny bodziec, który pchnie ich w nowy wiek, pod warunkiem, że będą mieli dość rozumu, żeby zrobić z tego właściwy użytek, że nie pozwolą, by całe to bogactwo wywędrowało do Szwajcarii i Lichtensteinu.

– Jak możemy im pomóc? – spytał prezydent.

– Najlepiej, żebyśmy usiedli z naszymi rosyjskimi kolegami i spytali ich, czego potrzebują. Jeśli uda się nam załatwić, żeby paru naszych przemysłowców wybudowało tam jakieś obiekty, nie zaszkodzi nam to i na pewno będzie cholernie dobrze wyglądało w telewizji.

– Przyjąłem do wiadomości, George. Daj mi to na piśmie na początku przyszłego tygodnia, a potem spróbujemy znaleźć jakiś sposób na powiadomienie Rosjan, że wiemy to, co wiemy.

Dla Siergieja Gołowki dobiegał końca jeszcze jeden bardzo długi dzień. Już kierowanie SWR było absorbującym zadaniem, a on musiał jeszcze wspierać Eduarda Pietrowicza Gruszawoja, prezydenta Federacji Rosyjskiej. Prezydent Gruszawoj miał własne grono ministrów; niektórzy z nich byli kompetentni, innych wybrano ze względów politycznych, albo tylko po to, żeby nie przechwyciła ich opozycja polityczna. Mogli co prawda szkodzić także jako członkowie ekipy Gruszawoja, ale mniej, niż gdyby byli poza nią. Teraz byli zmuszeni posługiwać się bronią mniejszego, kalibru, jeśli nie chcieli zginąć od własnych strzałów.

Dobrze, że minister gospodarki Wasilij Konstantynowicz Sotomienczew był inteligentny, a także, jak się wydawało, uczciwy; taka kombinacja rzadko się zdarzała, nie tylko na rosyjskiej scenie politycznej. Miał swoje ambicje – który minister ich nie miał? – ale wydawało się, że przede wszystkim pragnie, aby jego kraj prosperował i że nie chce dla siebie osobiście aż tak wielkich profitów. Gołowko nie miał nic przeciw temu, żeby ktoś się trochę wzbogacił, byle nie robił tego na chama. Dla Siergieja Nikołajewicza granica przebiegała na poziomie dwudziestu milionów euro. Przekroczenie tego poziomu byłoby grubym nietaktem; utrzymanie się poniżej zapewniało wyrozumiałość. W końcu, jeśli minister z powodzeniem pomagał swemu, krajowi, należała mu się przecież godna nagroda. Zwykli ludzie pracy nie powinni mieć nic przeciwko temu, jeśli w rezultacie będzie im się żyło lepiej, prawda?

Prawdopodobnie tak, pomyślał szef szpiegów. To nie była Ameryka z jej bezsensownymi i przynoszącymi skutki odwrotne od zamierzonych zasadami „etycznymi”. Amerykański prezydent, którego Gołowko dobrze znał, miał taki ulubiony aforyzm, który bardzo się Rosjaninowi spodobał: „Jeśli musisz spisywać swoje zasady etyczne, to już przegrałeś”. Nie był głupcem ten Ryan, kiedyś śmiertelny wróg, a teraz dobry przyjaciel, przynajmniej z pozoru. Gołowko umocnił tę przyjaźń, przychodząc Ameryce z pomocą podczas dwóch poważnych kryzysów międzynarodowych. Zrobił to przede wszystkim dlatego, że leżało to w interesie jego kraju, ale także dlatego, że Ryan był człowiekiem honoru, co znaczyło, że zapewne nie zapomni o takich przysługach. Poza tym, było to dość zabawne dla Gołowki, który prawie całe dorosłe życie spędził w agencji, stawiającej sobie za cel zniszczenie Zachodu.

Ale co z nim samym? Czy ktoś zamierzał go zniszczyć? Czy ktoś pragnął położyć kres jego życiu w tak głośny i spektakularny sposób na placu Dzierżyńskiego? Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większe stawały się jego obawy. Mało który zdrowy człowiek potrafi chłodno rozważyć własną

śmierć i Gołowko do takich nie należał. Ręce mu się nie trzęsły, ale w ogóle nie protestował przeciw coraz bardziej dokuczliwym środkom, jakie wprowadzał

major Szelepin, żeby strzec jego życia. Samochód był codziennie innego koloru, czasem także innej marki, a trasy dojazdu do pracy miały wspólny tylko punkt początkowy; gmach SWR

był wystarczająco duży, żeby podjechać do niego w pięciu różnych miejscach. Gołowko doceniał sprytne posunięcie, w ramach którego jechał czasem na przednim siedzeniu samochodu prowadzącego, podczas gdy któryś z funkcjonariuszy zajmował tylne siedzenie reprezentacyjnej limuzyny. Anatolij nie był głupcem, a czasem miewał nawet przebłyski twórczego myślenia.

Ale na razie dość tego. Gołowko pokręcił głową i sięgnął po ostatnią tego dnia teczkę.

Przede wszystkim przebiegł wzrokiem streszczenie... i niemal natychmiast sięgnął po telefon.

– Tu Gołowko – powiedział mężczyźnie, który podniósł słuchawkę. Nie musiał mówić nic więcej.

– Siergieju Nikołajewiczu – dobiegł ze słuchawki uprzejmy głos ministra pięć sekund później. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Cóż, Wasiliju Konstantynowiczu, możesz mi potwierdzić te liczby. Czy to możliwe?

– Więcej niż możliwe, Siergiej. Są równie pewne, jak to, że jutro znów wzejdzie słońce –

powiedział Sołomiencew szefowi wywiadu, który był jednocześnie głównym doradcą prezydenta Gruszawoja.

– O, cholera – mruknął szef wywiadu. – I od jak dawna te bogactwa tam leżą? – spytał z niedowierzaniem w głosie.

– Ropa prawdopodobnie jakieś pięćset tysięcy lat, a złoto jeszcze dłużej, Siergiej.

– A my o niczym nie wiedzieliśmy. – Gołowko odetchnął głęboko.

– Tak naprawdę, to nikt nie szukał, towarzyszu ministrze. Prawdę mówiąc, ten raport o złocie wydaje mi się bardziej interesujący. Muszę zobaczyć jedną z tych poślacanych wilczych skór. To coś dla Prokofiewa, nie sądzisz? Piotr i Złoty Wilk.

– Zabawny pomysł – powiedział Gołowko i natychmiast przestał nim sobie zawracać głowę. – Co to będzie oznaczało dla naszego kraju?

– Siergieju Nikołajewiczu, musiałbym być wróżbitą, żeby udzielić konkretnej odpowiedzi, ale na dłuższą metę to może być zbawieniem dla naszego kraju. Mamy teraz coś, czego pragną wszystkie kraje... i to, że tak powiem, z dwóch źródeł. Cudzoziemcy zapłacą za to ogromne sumy i w dodatku będą bardzo zadowoleni. Na przykład Japończycy. Zaspokoimy ich potrzeby energetyczne na następne pięćdziesiąt lat, a przy okazji zaoszczędzą jeszcze ogromne sumy na transporcie, przewożąc ropę na odległość kilkuset kilometrów zamiast dziesięciu tysięcy kilometrów. A może i Amerykanie,

choć znaleźli wielką ropę na granicy Alaski z Kanadą. Pojawia się pytanie, jak dostarczymy tę ropę na rynki. Zbudujemy, oczywiście, rurociąg od tego pola naftowego do Władywostoku, ale może warto byłoby też pomyśleć o rurociągu do Petersburga, żeby łatwiej nam było sprzedawać ropę w Europie.

Prawdopodobnie da się to załatwić w ten sposób, że Europejczycy, przede wszystkim Niemcy, zbudują nam ten rurociąg, żeby tylko dostać zniżkę na ropę. Siergiej, gdybyśmy znaleźli tę ropę dwadzieścia lat temu, nie...

– Może. – Nietrudno było sobie wyobrazić, co tamten powie dalej: Związek Radziecki nie tylko by nie upadł, ale stałby się potężniejszy. Gołowko nie żywił takich iluzji. Władza radziecka potrafiłaby roztrwonić i te nowe bogactwa, tak, jak roztrwoniła wszystko inne.

Władza radziecka była właścicielem Syberii przez siedemdziesiąt lat, ale nigdy nie zainteresowała się bliżej tym, co mogła tam kryć ziemia. Krajowi brakowało ekspertów, którzy mogliby się zająć poszukiwaniami, a duma nie pozwalała zlecić tego komuś z zewnątrz, bo co by sobie pomyślano... Jeśli istniała jakaś pojedyncza przyczyna upadku Związku Radzieckiego, to nie był nią komunizm, czy nawet totalitaryzm. Była to jakaś perwersyjna miłość własna, ta najbardziej niebezpieczna i destrukcyjna cecha rosyjskiego charakteru, wytworzona przez kompleks niższości, datujący się co najmniej od dynastii Romanowów. Związek Radziecki sam zadał sobie śmierć; to było samobójstwo, jak każde inne, tyle że trwało dłużej, przez co miało o wiele bardziej katastrofalne skutki. Gołowko zniósł jakoś kolejne dziewięćdziesiąt sekund historycznych spekulacji w wydaniu człowieka, który nie miał wycucia historii, po czym powiedział: – Wszystko pięknie, Wasiliju Konstantynowiczu, ale co z przyszłością? W końcu to w przyszłości przyjdzie nam wszystkim żyć, prawda?

– Na pewno nam to nie zaszkodzi. Siergiej, to jest zbawieniem dla naszego kraju. Minie dziesięć lat, zanim zaczniemy czerpać pełne zyski, ale potem będziemy mieć stały, regularny dochód co najmniej przez całe pokolenie, a pewnie i jeszcze więcej.

– Jaka pomoc będzie nam potrzebna?

– Amerykanie i Brytyjczycy mają doświadczenie, którego nam potrzeba, zdobyte podczas eksploatacji zasobów na Alasce. Dysponują niezbędną wiedzą. Przyswoimy ją sobie i zrobimy z niej użytek. Jesteśmy w trakcie negocjacji w sprawie wsparcia technicznego z Atlantic Richfield, amerykańską firmą naftową. Są chciwi, ale tego można się było spodziewać. Wiedzą, że jako jedyni mają to, czego nam potrzeba, więc zapłacenie im za to wypadnie taniej, niż gdybyśmy musieli sami do wszystkiego dochodzić. Dostaną więc większość tego, czego zażądali. Może zapłacimy im sztabami złota – dodał żartem Sołomiencew.

Gołowko musiał powściągnąć ochotę dowiedzenia się zbyt wielu szczegółów na temat tego złota. Ropa naftowa była o wiele bardziej lukratywna, ale złoto było ładniejsze. On też chciałby zobaczyć jedną z tych wilczych skór, których ten Fomin używał do zbierania złotego pyłu. No i trzeba się będzie zająć tym mieszkańcem lasów; nie będzie z tym większych problemów, ponieważ mieszkał samotnie i nie miał dzieci. Był już stary, więc cokolwiek mu się da, państwo i tak niedługo otrzyma to z powrotem. No i zrobi się program telewizyjny o tym myśliwym, a może nawet i film fabularny. W końcu kiedyś polował na Niemców, a Rosjanie wciąż stawiali takich ludzi na piedestale. To

powinno uszczęśliwić Pawła Pietrowicza Fomina.

– Co wie Eduard Pietrowicz?

– Wstrzymywałem się z przekazaniem tej informacji do czasu uzyskania pełnych i sprawdzonych danych. Myślę, że uszczęśliwimy go na następnym posiedzeniu gabinetu, Siergieju Nikołajewiczu.

Naprawdę powinien być szczęśliwy, pomyślał Gołowko. Prezydent Gruszawoj od trzech lat dwoił się i troił, dokonując rzeczy, zdawałoby się, niemożliwych. Był jak prestidigitator, zmuszony do wyczarowywania zupełnie realnych rzeczy z niczego, a to, że udawało mu się jakoś zapewniać funkcjonowanie kraju, graniczyło nieomal z cudem. Może teraz Bóg postanowił wynagrodzić go w ten sposób za jego wysiłki, chociaż te znaleźiska na pewno będą nie tylko błogosławieństwem. Każda instytucja rządowa będzie chciała dostać kawałek tego tortu ze złota i ropy, każdy minister będzie przedstawiał potrzeby swojego resortu jako żywotnie ważne dla bezpieczeństwa państwa, załączając odpowiednie opracowania, białe księgi, nacechowane błyskotliwą logiką i wiarygodnymi argumentami. Kto wie, może niektórzy będą nawet mówić prawdę, chociaż prawda była deficytowym towarem na posiedzeniach gabinetu. Każdy minister miał do zbudowania własne imperium, a im lepiej budował, tym bardziej przybliżał się do głównego miejsca za stołem prezydiąlnym, zajmowanego, na razie, przez Eduarda Pietrowicza Gruszawoja. Gołowko zastanawiał się, czy w czasach carskich było podobnie. Zaraz uznał, że prawdopodobnie tak. Natura ludzka niewiele się zmieniła. Sposób postępowania ludzi w Babilonie i Bizancjum zapewne niewiele się różnił od tego, w jaki ministrowie będą się zachowywać na najbliższym posiedzeniu gabinetu, mającym się odbyć za trzy dni.

– Ile z tego już przeciekło? – spytał szef szpiegów.

– Niewątpliwie krążą już pogłoski – odpowiedział minister Sołmiencew – ale najnowsze dane mają mniej niż dwadzieścia cztery godziny, a przecieki zwykle następują po nieco dłuższym czasie. Wyślę ci te dokumenty przez posłańca. Juto rano?

– Doskonale, Wasilij. Każę moim ekspertom przeanalizować te dane, tak, żebym mógł przedstawić własną, niezależną ocenę sytuacji.

– Nie mam nic przeciwko temu – odpowiedział minister gospodarki, nieźle zaskakując tym Gołowkę. No, ale to już nie był Związek Radziecki. Obecny gabinet był może nowoczesnym odpowiednikiem dawnego Biura Politycznego, ale dziś nikt tam już nie kłamał... przynajmniej w wielkich sprawach. A to już było świadectwem jakiegoś postępu w jego kraju, prawda?

Rozdział 11

Wiara ojców

Nazywał się Yu Fa An i powiedział, że jest chrześcijaninem. To wystarczyło, żeby Schepke

natychmiast zaprosił go do środka. Zobaczył Chińczyka po pięćdziesiątce, przygarbionego, ze szpakowatymi włosami, co było raczej rzadkością w tej części świata.

– Witam w nuncjaturze. Jestem prałat Schepke. – Ukłonił się, a potem uścisnął gościowi dłoń.

– Dziękuję. Jestem wielebny Yu Fa An – odpowiedział Chińczyk.

– Doprawdy? Jakiego wyznania?

– Jestem baptystą.

– Wyświęconym? Czy to możliwe? – Schepke dał swemu gościowi znak, by poszedł za nim i chwilę później stanęli przed nuncjuszem. – Eminencjo, to jest wielebny Yu Fa An... z Pekinu? – Schepke zdał sobie sprawę, że powinien był spytać o to wcześniej.

– Tak, z Pekinu. Moja parafia znajduje się na północny zachód stąd.

– Witam. – Kardynał DiMilo wstał i serdecznie uścisnął rękę gościowi, po czym wskazał mu wygodny fotel. Prałat Schepke poszedł po herbatę. – To przyjemność spotkać chrześcijanina w tym mieście.

– To fakt, eminencjo, że jest nas tu za mało – potwierdził Yu.

Prałat Schepke szybko wrócił i postawił na niskim stoliku tacę z serwisem do herbaty.

– Dziękuję, Franz.

– Pomyślałem, że powinien pana powitać ktoś z miejscowych. Zakładam, że odbyło się już oficjalne powitanie przez przedstawicieli MSZ, że było poprawne i... dość chłodne? –

spytał Yu.

Kardynał uśmiechnął się i podał gościowi filiżankę. – Było poprawne, jak pan powiedział, i mogłoby być cieplejsze.

– Przekona się pan, że przedstawiciele tutejszych władz mają nienaganne maniery i przestrzegają protokołu, ale brakuje im szczerości – powiedział Yu po angielsku, z bardzo dziwnym akcentem.

– Skąd pan pochodzi?

– Urodziłem się w Tajpej. Jako młody człowiek wyjechałem do Ameryki, żeby się kształcić. Najpierw uczęszczałem na Uniwersytet Oklahomy, ale potem, odpowiadając na wezwanie, przenieśliem się na Uniwersytet Orala Roberts²⁶ w tym samym stanie. Tam otrzymałem pierwszy dyplom – inżyniera elektryka – i studiowałem dalej, robiąc doktorat z teologii. Otrzymałem też

święcenia kapłańskie – wyjaśnił.

– A jak to się stało, że znalazł się pan w Chińskiej Republice Ludowej?

– W tamtych czasach, w latach siedemdziesiątych, Chiny przewodniczącego Mao z otwartymi ramionami witały Tajwańczyków, przybywających tu, żeby się osiedlić; wiecie, odrzucenie kapitalizmu i nawrócenie się na marksizm – dodał, mrugając znacząco. – Moi rodzice bardzo to przeżyli, ale okazali zrozumienie. Zorganizowałem moją parafię zaraz po przybyciu. Niezbyt się to podobało Ministerstwu Bezpieczeństwa Państwowego, ale pracowałem też jako inżynier, a w tamtych czasach państwo bardzo potrzebowało inżynierów.

To fascynujące, jak wiele państwo jest skłonne tolerować, jeśli ma się coś, co jest mu potrzebne, a wtedy zapotrzebowanie na ludzi z moim tytułem było wręcz dramatyczne. Ale teraz jestem już tylko duchownym. – Po ogłoszeniu tego sukcesu Yu napił się herbaty z filiżanki.

– A co może nam pan powiedzieć o tutejszych warunkach? – spytał Renato.

– Władze są prawdziwie komunistyczne. Ufają tylko tym, którzy są wobec nich lojalni i tylko takich tolerują. Nawet Falun Cong, która tak naprawdę nie była religią, to znaczy, nie była prawdziwym systemem wierzeń w sensie, w jakim wy i ja rozumiemy to pojęcie, jest brutalnie zwalczana, moja własna parafia też stała się obiektem prześladowań. Rzadko się zdarza, żeby w niedzielę więcej niż ćwierć mojej trzódki przychodziło na mszę. Muszę poświęcać wiele czasu na jeżdżenie od domu do domu, żeby nieść ewangelię moim wiernym.

– Z czego się pan utrzymuje? – spytał kardynał.

Yu uśmiechnął się łagodnie. – To najmniejszy z moich problemów. Amerykańscy baptyści nader szczerze mnie wspierają. Szczególnie hojna jest grupa kościołów w Missisipi, przy czym tak się składa, że to głównie kościoły czarnych. Nie dalej jak wczoraj otrzymałem od nich listy. Jeden z moich kolegów z Uniwersytetu Orala Robertsa ma wielką parafię koło Jackson w stanie Missisipi. Nazywa się Gerry Patterson. Wtedy byliśmy dobrymi przyjaciółmi i Gerry pozostał przyjacielem w Chrystusie. Jego parafia jest wielka i doskonale prosperuje, a on wciąż się o mnie troszczy. – Yu omal nie dodał, że ma o wiele więcej pieniędzy, niż potrafi wydać. W Ameryce wyrazem takiej zamożności byłby Cadillac i status szacownej osobistości. W Pekinie oznaczała przyzwoity rower i podarunki dla potrzebujących z jego parafii.

– Gdzie mieszkasz, przyjacielu? – spytał kardynał.

26 Oral Roberts, urodzony w 1918 roku amerykański ewangelista, znany z licznych występów w mediach (przyp.

red.)

Wielebny Yu sięgnął do kieszeni po wizytówkę i podał mu ją. Jak to było w zwyczaju w Chinach, na odwrotnej stronie znajdował się fragment planu miasta. – A może zechcielibyście przyjąć zaproszenie na kolację? Mojej żonie i mnie byłoby bardzo miło.

– Z ogromną przyjemnością. Macie dzieci?

– Dwójkę – odpowiedział Yu. – Oboje urodzeni w Ameryce, a więc nie dotyczą ich te bestialskie przepisy, jakie wprowadzili tu komuniści.

– Wiem o tych przepisach – zapewnił DiMilo swego gościa. – Ale zanim zdołamy doprowadzić do ich zmiany, będzie nam tu potrzeba więcej chrześcijan. Modlę się o to każdego dnia.

– Tak jak i ja, eminencjo. Zakładam, że wie pan, że to mieszkanie jest, no... Schepke dotknął do ucha i zatoczył palcem szeroki łuk.

– Tak, wiemy.

– Przydzielono wam kierowcę?

– Tak, to bardzo uprzejmie ze strony ministerstwa – powiedział Schepke. – To katolik.

Czy to nie nadzwyczajne?

– Doprawdy? – spytał Yu retorycznie, znacząco kręcąc przy tym głową. – Cóż, jestem pewien, że ten kierowca jest również lojalny wobec swojego kraju.

– Ależ oczywiście – potwierdził DiMilo. Nie było to zbyt wielkim zaskoczeniem, Kardynał był od dawna w służbie dyplomatycznej Watykanu i trudno byłoby go czymkolwiek zaskoczyć. Chińscy komuniści może i byli sprytni, ale Kościół katolicki miał znacznie dłuższą historię, choć miejscowe władze niechętnie to przyznawały.

Rozmawiali jeszcze przez pół godziny, po czym wielebny Yu zaczął się zbierać do wyjścia. Na pożegnanie otrzymał jeszcze jeden serdeczny uścisk dłoni.

– I co sądzisz, Franz? – spytał DiMilo przed domem, gdzie szum wiatru powinien przeszkadzać mikrofonom, jakie mogły być zainstalowane na zewnątrz.

– Widziałem go po raz pierwszy, ale słyszałem już o nim, od kiedy tu przybyłem. Władze ChRL rzeczywiście uprzykrzają mu życie i to nie po raz pierwszy, ale to człowiek wielkiej wiary i dużej odwagi. Nie wiedziałem o jego wykształceniu. Można to sprawdzić.

– Niezły pomysł – powiedział nuncjusz papieski. Nie to, żeby nie ufał Yu, ale lepiej było mieć pewność. Dysponowali nawet nazwiskiem tego kolegi ze studiów, obecnie duchownego.

Gerry Patterson, gdzieś w Missisipi. Nie powinno być z tym trudności. Wiadomość do Rzymu została wysłana godzinę później przez Internet; ta forma łączności była doprawdy bardzo wygodna w działalności wywiadowczej.

W tym wypadku różnica czasu działała na ich korzyść, jak się to czasem zdarza, kiedy pytania wędrują na zachód, a nie na wschód. W ciągu kilku godzin meldunek został odebrany, rozszyfrowany i przesłany na właściwe biurko. Stamtąd nowy meldunek, również zaszyfrowany, dotarł do Nowego Jorku, gdzie kardynał Timothy McCarthy, arcybiskup Nowego Jorku i szef watykańskich operacji wywiadowczych na terenie Stanów Zjednoczonych, otrzymał swoją kopię zaraz po śniadaniu. Odtąd było jeszcze łatwiej. FBI wciąż był bastionem Ameryki irlandzko-katolickiej, chociaż już nie w takim stopniu, jak w latach trzydziestych, bo doszło trochę Włochów i Polaków. Świat nie był doskonały, ale kiedy Kościół potrzebował informacji, a informacje te nie narażały na szwank amerykańskiego bezpieczeństwa narodowego, dostawał je, zwykle bardzo szybko.

Zwłaszcza w tym wypadku. Uniwersytet Orala Robertsa, jako bardzo konserwatywna instytucja, był gotów współpracować z FBI, oficjalnie czy nie. Tamtejsza urzędniczka nawet nie skonsultowała się z przełożonym, tak niewinne było pytanie, które zadał przez telefon zastępca szefa oddziału FBI w Oklahoma City Jim Brennan. Dzięki skomputeryzowanemu archiwum szybko ustalono, że niejaki Yu Fa An ukończył ten uniwersytet, uzyskując bakalaureat²⁷ z inżynierii elektrycznej, po czym spędził na uczelni dalsze trzy lata, broniąc doktorat z teologii; oba dyplomy były z wyróżnieniem, powiedziała urzędniczka Brennanowi.

Biuro ds. absolwentów dodało jeszcze, że obecnie wielebny Yu mieszka w Pekinie, gdzie najwidoczniej odważnie głosi ewangelię w tym pogańskim kraju. Brennan podziękował

urzędniczce, zrobił notatki i odpowiedział na przysłane e-mailem zapytanie z Nowego Jorku, po czym udał się na poranne spotkanie ze swym szefem, poświęcone przeglądowi działalności oddziału w Oklahoma City w zakresie egzekwowania prawa federalnego w tym stanie.

Trochę inaczej wyglądało to w Jackson w stanie Missisipi. Szef tamtejszego oddziału FBI osobiście udał się do Pierwszego Kościoła Baptistów wielebnego Gerry'ego Pattersona.

Kościół znajdował się w eleganckiej podmiejskiej dzielnicy stolicy stanu Missisipi. Liczył już sobie sto siedemdziesiąt pięć lat, a jego parafia należała do najzamożniejszych w tym regionie. Wielebny Patterson okazał się wzorem elegancji. Miał na sobie białą koszulę, krawat w niebieskie paski i ciemne spodnie od garnituru. Marynarka wisiała w kącie ze względu na upał. Po królewsku powitał przedstawiciela FBI, zaprowadził go do swego luksusowego gabinetu i spytał, czym może służyć. Kiedy usłyszał pytanie, odpowiedział: –

Yu? Tak, to przyzwoity człowiek i dobry przyjaciel z czasów studenckich. Wołaliśmy na niego Skip, bo Fa brzmiało trochę jak z „The Sound of Music”²⁸.

Dobry człowiek i doskonały ewangelista. Jerry Fallwell mógłby pobierać u niego lekcje wiary. Czy z nim koresponduję? Oczywiście! Co roku wysyłamy mu jakieś dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Chce pan zobaczyć zdjęcie? Zrobiliśmy je sobie tu, w tym kościele. Byliśmy wtedy obaj o wiele młodszy – dodał Patterson z uśmiechem. – Skip jest naprawdę odważny. To nie zabawa, być chrześcijańskim duchownym w Chinach, wie pan? Ale on się nigdy nie skarży. Jego listy są zawsze pełnej optymizmu. Przydałoby się jeszcze tysiąc takich jak on w stanie duchownym.

– Więc ma pan o nim aż tak dobra opinię? – spytał Mike Leary, szef oddziału FBI w Jackson.

27 Najniższy tytuł naukowy, nadawany zwłaszcza przez uczelnie anglosaskie; odpowiednik polskiego licencjata (przyp. tłum.)

28 Słynny musical filmowy z 1965 roku z Julie Andrews, reż. Robert Wise (przyp. tłum.)

– Był dobrym chłopakiem w koledżu i jest dziś dobrym człowiekiem, a także wspaniałym duchownym, który głosi ewangelię w bardzo nieprzyjaznym środowisku. Dla mnie Skip jest bohaterem, panie Leary. – Była to wręcz entuzjastyczna opinia z ust tak ważnego członka wspólnoty religijnej. Pierwszy Kościół Baptystów nigdy w swej historii nie zaciągnął kredytu hipotecznego, mimo swej lokalizacji i bogatego wystroju wnętrza.

Agent FBI wstał. – To wszystko, czego mi było trzeba. Dziękuję, ojcze.

– Czy mógłbym się dowiedzieć, dlaczego przyszedł pan spytać o mojego przyjaciela?

Leary spodziewał się tego pytania, więc miał na nie przygotowaną odpowiedź. – To tylko rutynowe dochodzenie. Pański przyjaciel nie popadł w żadne kłopoty, przynajmniej jeśli chodzi o rząd Stanów Zjednoczonych.

– Dobrze wiedzieć – odparł wielebny Patterson z uśmiechem i uściśnął Lear’emu rękę na pożegnanie.
– Wie pan, nie jesteśmy jedyną parafią, która troszczy się o Skipa.

Leary odwrócił się.

– Doprawdy?

– Oczywiście. Zna pan Hosiaha Jacksona?

– Wielebnego Jacksona, ojca wiceprezydenta? Nie poznałem go osobiście, ale wiem, o kogo chodzi.

Patterson skinął głową. – Zgadza się. Hosiah jest świetny. – Zaledwie czterdzieści lat temu taka pochwalna wypowiedź białego duchownego na temat czarnego byłaby czymś niezwykłym, ale Missisipi zmieniła się z czasem, pod pewnymi względami nawet szybciej niż reszta Ameryki. – Byłem u niego parę lat temu, rozmawialiśmy sobie, no i pojawiła się ta kwestia, Parafia Hosiaha wysyła Skipowi pięć, czy dziesięć tysięcy dolarów rocznie. Hosiah zachęcił też kilka innych czarnych parafii do pomagania nam w troszczeniu się o Skipa.

Biali i czarni z Missisipi troszczą się o chińskiego kaznodzieję. Dokąd ten świat zmierza?

– pomyślał Leary. Doszedł do wniosku, że chrześcijaństwo mimo wszystko musi coś w sobie mieć i pojechał służbowym samochodem z powrotem do oddziału, zadowolony, że dla odmiany wykonał trochę autentycznej roboty śledczej, chociaż niekoniecznie dla FBI.

Kardynał McCarthy dowiedział się, że odpowiedzi na jego dwie prośby o informacje nadeszły jeszcze przed lunchem, co robiło wrażenie, nawet biorąc pod uwagę standardy sojuszu FBI z Kościołem. Wkrótce po swym południowym posiłku kardynał McCarthy osobiście zaszyfrował obie odpowiedzi i przesłał je do Rzymu. Nie wiedział, dlaczego zadano te pytania, ale doszedł do wniosku, że dowie się we właściwym czasie, jeśli sprawa była ważna, a jeśli nie, to nie. Bawiło go kierowanie szpiegowską organizacją Watykanu w Ameryce.

Byłby mniej rozbawiony, gdyby wiedział, że Agencja Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade w Marylandzie interesowała się tym aspektem jego działalności i że zaprzęgli do tego swój monstrualny superkomputer Thinking Machines Inc., stojący w podziemiach głównego gmachu ich rozległego kompleksu. Ta maszyna, której producent zbankrutował

przed kilku laty, była zarówno powodem do dumy i radości, jak i największym rozczarowaniem w ogromnej kolekcji komputerów ABN, aż do niedawna, kiedy jeden z matematyków Agencji wykombinował wreszcie, do czego można by ją wykorzystać. Była to wielka maszyna do równoległego przetwarzania danych, teoretycznie zdolna do atakowania problemu z kilku stron równocześnie, tak jak, według powszechnego przekonania, robi to mózg ludzki. Tylko że nikt tak naprawdę nie wiedział, jak pracuje mózg ludzki i w rezultacie przez kilka lat nie udawało się napisać oprogramowania, które w pełni wykorzystywałoby ogromne możliwości tej maszyny. W tej sytuacji ten niesamowity i kosztowny komputer był

praktycznie zdegradowany do wykonywania zadań nie bardziej skomplikowanych niż te, z którymi radziły sobie zwyczajne stacje robocze. Ale potem ktoś uzmysłowił sobie, że mechanika kwantowa stała się pożyteczna do łamania szyfrów, zainteresował się, na czym to polegało i zaczął przyglądać się problemom z punktu widzenia programisty. Siedem miesięcy później rezultatem tego zainteresowania stał się pierwszy z trzech nowych systemów operacyjnych dla superkomputera firmy Thinking Machines, a to, co nastąpiło później, było już ściśle tajne. ABN była teraz w stanie złamać każdy szyfr książkowy, czy maszynowy na świecie, a jej analitycy, którzy nagle zaczęli dostawać informacje jak z rogu obfitości, zrzucili się nawet na stolarza, żeby zbudował swego rodzaju pogański ołtarz i ustawili go przed superkomputerem jako miejsce składania hipotetycznych kozłów w ofierze swemu nowemu Bogowi. (Sugestia składania w ofierze dziewic obraziłaby żeńską część personelu Agencji).

ABN od dawna była znana z ekscentrycznego poczucia humoru swoich pracowników. Tak naprawdę obawiano się tylko, że świat mógłby się dowiedzieć o systemie Tapdance, opracowanym przez ABN; był to system całkowicie losowy i dlatego zupełnie nie do złamania, a jednocześnie łatwy do stworzenia. Był też jednak koszmarem administracyjnym, a to powinno powstrzymać większość obcych rządów przed korzystaniem z niego.

Internetowe meldunki kardynała zostały skopiowane, nielegalnie, ale rutynowo, przez ABN i wprowadzone do superkomputera, który wypluł z siebie czytelny tekst. Szybko przekazano ten tekst jednemu z analityków ABN, który – co uprzednio uważnie sprawdzono

– nie był katolikiem.

To ciekawe, pomyślał ów analityk. Dlaczego Watykan interesuje się jakimś chińskim duchownym? I po cholere zwracali się do Nowego Jorku, żeby się czegoś dowiedzieć? Aha, tutaj wykształcony, przyjaciele w Missisipi... O co w tym wszystkim, do diabła, chodzi?

Powinien był to wiedzieć, ale było to założenie czysto teoretyczne. Często nie miał pojęcia, czego dotyczyły jakieś informacje, ale był na tyle uczciwy, żeby mówić o tym swoim przełożonym. I tak jego codzienny raport został przekazany przełożonemu, który przejrzał go, zaszyfrował i przesłał dalej do CIA, gdzie przyjrzało mu się jeszcze trzech analityków. Oni także nie wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi, więc po prostu odłożyli raport do akt, elektronicznie. W tym wypadku dane były zapisywane na kasetach formatu VHS, przechowywanych następnie w siedmiu pojemnikach, z których każdy nazwano imieniem jednego z krasnoludków z „Królowy Śnieżki”. Informacje, co znajdowało się w którym pojemniku, były z kolei zapisane w centralnym komputerze, żeby system wiedział, gdzie szukać danych, których pracownicy rządu Stanów Zjednoczonych jeszcze nie rozumieli.

Zdarzało

się

to,

oczywiście,

wcale

nierzadko

i

dlatego

CIA

dysponowała

skomputeryzowanym, dobrze przemyślanym systemem indeksowania, obejmującym każdy bit wygenerowanych tu informacji, dzięki czemu były one natychmiast dostępne, w zależności od kategorii, dla każdego w budynkach Nowej Centrali i w Starej Centrali, położonych na wzgórzach, oddalonych nieco od rzeki Potomak. Większość danych w Siedmiu Krasnoludkach spoczęła tam na zawsze, by już nikt nigdy do nich nie sięgnął, nawet jakiś naukowiec, prowadzący szczególnie nudne badania.

– No i? – spytał Zhang Han.

– No i nasi rosyjscy sąsiedzi mają diabelskie szczęście – odpowiedział Fang Gan, podając papierową teczkę ministrowi bez teki. Zhang był o siedem lat starszy od Fanga i bliższy wiekiem

premierowi. Ale nie tak bardzo, a poza tym obaj ministrowie niespecjalnie ze sobą rywalizowali. – Czegóż nie moglibyśmy zrobić, mając takie skarby... – zawiesił głos.

– To prawda. – To, że każdy kraj mógł konstruktywnie wykorzystać ropę naftową i złoto, było czymś zupełnie oczywistym, więc nie trzeba było o tym mówić. W tej chwili chodziło o to, że Chiny nie będą mogły, a Rosjanie będą.

– Wiesz, że brałem to pod uwagę w moich planach.

– Twoje plany były mistrzowskie, przyjacielu – powiedział Fang ze swego miejsca, sięgając do kieszeni marynarki po paczkę papierosów. Uniósł ją w niemym pytaniu do swego gospodarza, który zerwał z tym nałogiem przed pięciu laty. Odpowiedzią było zdawkowe machnięcie ręką. Fang wyjął papierosa z paczki i przypalił go gazową zapalniczką. – Ale każdemu może się przytrafić pech.

– Najpierw zawiedli nas japończycy, a potem ten fantastyczny głupiec w Iranie –

powiedział Zhang z ubolewaniem. – Gdyby ci nasi rzekomi sojusznicy zachowali się tak, jak obiecywali, to złoto i ropa byłyby teraz nasze...

– Na pewno byłyby przydatne do realizacji naszych celów, ale mam nieco wątpliwości, odnośnie reakcji świata na takie wzbogacenie się naszego kraju – powiedział Fang i mocno zaciągnął się dymem.

Zhang zbył te obiekcje machnięciem ręki. – Myślisz, że kapitaliści kierują się zasadami?

Potrzebują ropy i złota, i nikt, kto może zaoferować niskie ceny, nie będzie miał kłopotów ze zbytem. Przyjacielu, spójrz tylko, od kogo kupują dzisiaj; od każdego, kto tym dysponuje. W

Meksyku jest tyle ropy, a Amerykanom brakuje odwagi, żeby ją zająć. Co za tchórze! A weźmy Japończyków! Jak się dotkliwie przekonaliśmy, nie mają żadnych zasad. Kupiliby ropę od firmy, która wyprodukowała bomby, zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki. Nazywają to realizmem – zakończył Zhang pogardliwie. Oryginalny cytat pochodził od Władimira Iljicza Lenina, który przewidywał, i nie bez racji, że kraje kapitalistyczne będą rywalizować między sobą o sprzedaż Związkowi Radzieckiemu sznura, na którym potem bolszewicy powieszą wszystkich kapitalistów. Ale Lenin nigdy nie brał pod uwagę ewentualności fiaska marksizmu, prawda? Tak jak Mao nie brał pod uwagę, że jego doskonała wizja polityczno-ekonomiczna skończy się fiaskiem w Chińskiej Republice Ludowej, o czym świadczyły takie slogany, jak „Wielki Skok”, który, między innymi, zachęcał chłopów do wytapiania żelaza w prymitywnych dymarkach. Tego, że takie żelazo nie nadawało się nawet na produkcję pogrzebaczy, nie rozgłaszano już ani na Wschodzie, ani na Zachodzie.

– Cóż, fortuna nie uśmiechnęła się do nas, no i ropa oraz złoto nie są nasze.

– Na razie – mruknął Zhang.

– Co powiedziałaś? – spytał Fang, nie dosłyszawszy tych słów.

Zhang uniósł wzrok, jakby wyrwany z głębokiej zadumy. – Co? Och, nic takiego, przyjacielu. – Od

tego momentu rozmowa toczyła się już na temat spraw wewnętrznych.

Minęło siedemdziesiąt pięć minut, zanim Fang poszedł z powrotem do swojego biura. Tam przystąpił do następnej rutynowej czynności. – Ming – zawołał i gestem wskazał swój gabinet.

Sekretarka poderwała się i pośpieszyła za nim, zamknęła drzwi i usiadła na swoim miejscu.

– Nowy zapis – powiedział Fang zmęczonym głosem, bo był to jeszcze jeden długi dzień.

– Regularne popołudniowe spotkanie z Zhang Han Sanem. Omawialiśmy... – Podyktował

relację z przebiegu tego spotkania. Ming pilnie notowała ten kolejny zapis do dziennika swego ministra. Chińczycy byli niepoprawnymi kronikarzami, a członkowie Biura Politycznego uważali za swój obowiązek dokumentowanie każdej rozmowy na tematy polityczne i bezpieczeństwa narodowego, w przekonaniu, że robią to dla historii, a także w celu zabezpieczenia się osobiście. Lepiej było dokumentować swe poglądy i wyważone oceny, na wypadek, gdyby któremuś z kolegów przydarzył się błąd. Było bez znaczenia, że w rezultacie ich osobiste sekretarki, a właściwie osobiste sekretarki wszystkich członków Biura Politycznego, miały dostęp do najpilniej strzeżonych tajemnic państwowych, bo przecież te dziewczyny były tylko robotami, maszynami do sporządzania notatek i przepisywania ich na czysto; no, może czymś jeszcze. Fang uśmiechał się, kiedy o tym pomyślał, podobnie jak i paru jego kolegów. A Ming była w tym czymś szczególnie dobra. Fang był komunistą, był

nim przez całe dorosłe życie, ale przecież nie był zupełnie bez serca i darzył Ming uczuciem, jakim kto inny, czy nawet on sam, mógłby darzyć ulubioną córkę... tyle że zwykle nie pieprzyło się własnej córki... Dyktowanie zapisu w dzienniku potrwało dwadzieścia minut.

Wyćwiczona pamięć Fanga przywoływała każdy znaczący fragment wymiany zdań z Zhangiem, który niewątpliwie robił w tej chwili dokładnie to samo ze swą osobistą sekretarką... chyba że Zhang uległ zachodniej modzie na korzystanie z magnetofonu, co zresztą wcale by Fanga nie zdziwiło. Udając pogardę dla wszystkiego, co zachodnie, Zhang w tak wielu sprawach naśladował zamorskich diabłów.

Ustalili również, że Kliementij Iwanowicz Suworow też był kiedyś oficerem KGB, w Trzecim Zarządzie Głównym. Oleg Prowałow wiedział, że był to hybrydowy wydział tej byłej agencji szpiegowskiej, do którego zadań należało nadzorowanie radzieckich sił

zbrojnych, a także pewnych operacji specjalnych tych sił, na przykład operacji Specnazu.

Przerzucił kilka kartek z teczki Suworowa, znalazł fotografię i odciski palców, a przy okazji odkrył, że Suworow służył najpierw w Pierwszym Zarządzie Głównym, zwanym także Zarządem Spraw Zagranicznych z uwagi na charakter działalności, polegający na zbieraniu informacji wywiadowczych o innych krajach. Zastanawiał się, skąd ta zmiana. W KGB każdy zostawał zwykle tam, gdzie zaczynał. Ale wyższy oficer z Trzeciego Zarządu wystąpił o przeniesienie go z Pierwszego.

Dlaczego? O Suworowa wystąpił generał Paweł

Konstantynowicz Kabinet. Prowałow zatrzymał się przy tym nazwisku. Gdzieś je już słyszał, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie, co dla długoletniego oficera śledczego było dość niezwykle. Prowałow sporządził notatkę i odłożył ją na bok.

A więc mieli nazwisko i fotografię tego Suworowa. Czy znał on Amalrika i Zimianina, domniemanych – i nieżyjących – zabójców tego alfonsa Awsiejenki? Wydawało się to możliwe. W Trzecim Zarządzie mógł mieć dostęp do Specnazu, ale równie dobrze mógł to być tylko zbieg okoliczności. Trzeci Zarząd KGB zajmował się głównie polityczną kontrolą radzieckiego wojska, ale przecież teraz państwo już tego nie potrzebowało. Cała ta kasta oficerów politycznych, którzy tak długo byli zmorą radzieckich sił zbrojnych, praktycznie odeszła w niebyt.

– Gdzie są teraz? – Prowałow skierował to pytanie do teczki z aktami. W odróżnieniu od Centralnej Kartoteki Wojskowej, w aktach KGB z reguły można było znaleźć informacje o tym, gdzie mieszkali byli oficerowie wywiadu i czym się zajmowali. Ta praktyka, przejęta z poprzedniego reżimu, dobrze służyła milicji, ale nie w tym wypadku. Gdzie jesteś? Jak zarabiasz na życie? Jesteś przestępcą? Jesteś mordercą? Śledztwa w sprawach o zabójstwo z natury rzeczy generowały więcej pytań niż odpowiedzi i często kończyły się bez udzielenia odpowiedzi na wiele takich pytań, ponieważ nie było możliwości zajrzenia w duszę zabójcy, a nawet gdyby była, to, co by się tam zobaczyło, niekoniecznie musiałyby mieć jakiś sens.

Sprawa tego morderstwa od początku była skomplikowana i z czasem komplikowała się jeszcze bardziej. Z całą pewnością Prowałow wiedział jedynie, że Awsiejenko zginął, razem z kierowcą i dziwką. A teraz, być może, wiedział jeszcze mniej. Niemal od samego początku zakładał, że celem zamachu był Awsiejenko, ale jeśli to ten Suworow wynajął Amalrika i Zimianina do tej roboty, to dlaczego były podpułkownik w Trzecim Zarządzie Głównym KGB miałby zlecać likwidację alfonsa? Czy Siergiej Gołowko nie był równie prawdopodobnym celem zamachu i czy nie wyjaśniałoby to zlikwidowania dwóch domniemanych zabójców za to, że pomylili cele? Porucznik otworzył szufladę biurka i wyjął

z niej buteleczkę z aspiryną. Od kiedy zaczęła się ta sprawa, głowa bolała go nie po raz pierwszy i zapewne nie ostatni. Jeśli celem był Gołowko, to ten Suworow – kimkolwiek był –

nie podjął samodzielnie decyzji, żeby go zabić. Był płatnym zabójcą, więc decyzję musiał podjąć ktoś inny.

Ale kto?

I dlaczego?

Cui bono? To pytanie było tak stare, że i ono i odpowiedź na nie przekazywane były w martwym języku. Komu to miało przynieść korzyść?

Zadzwonił do Abramowa i Ustinowa. Może oni zdołają odnaleźć Suworowa, a wtedy on, Prowałow,

poleciałby na Północ, żeby go przesłuchać. Przygotował faks i wysłał go do Petersburga, po czym wyszedł z biura, żeby pojechać do domu. Spojrzał na zegarek. Był

spóźniony tylko o dwie godziny. Nieźle, jak na taką sprawę.

Generał Giennadij Josifowicz Bondarienko rozejrzał się po swoim gabinecie. Trzy gwiazdki miał już od pewnego czasu i zastanawiał się, czy zajdzie jeszcze wyżej. Był

żołnierzem zawodowym od trzydziestu jeden lat i zawsze miał ambicję, żeby zostać, głównodowodzącym rosyjskich sił zbrojnych. W przeszłości te wyżyny osiągnęło wielu dobrych żołnierzy i paru złych. Na przykład Gieorgij Żukow, który uratował kraj przed Niemcami, takie przynajmniej panowało przekonanie. Było wiele pomników Żukowa; Bondarienko słuchał kiedyś jego wykładu, przed wielu laty, kiedy był jeszcze kadetem z mlekiem pod nosem. Pamiętał tamtą buldogowatą twarz i lodowate niebieskie oczy zdeterminowanego zabójcy.

To, że Bondarienko zaszedł tak wysoko, było sporym zaskoczeniem, także dla niego samego. Zaczynał jako oficer wojsk łączności, odkomenderowany na krótko do Specnazu w Afganistanie, gdzie dwa razy udało mu się oszukać śmierć, w obu wypadkach przejmując dowodzenie w grożącej paniką sytuacji i radząc sobie w sposób godny uznania. Nie obeszło się bez ran, przekonał się też, że potrafi zabijać gołymi rękami. Niewielu pułkowników mogło to o sobie powiedzieć i niewielu to robiło, chyba że w barze dobrego klubu oficerskiego, po paru głębszych z towarzyszami broni.

Jak wielu przed nim, Bondarienko był kimś w rodzaju „politycznego” generała. Związał

swą karierę z quasi-ministrem Siergiejem Gołowką, ale prawda była taka, że nigdy nie zostałby generałem broni bez rzeczywistych zasług, a odwagę na polu bitwy ceniono w Armii Rosyjskiej tak samo, jak w każdej innej. Inteligencja liczyła się jeszcze bardziej, a największe znaczenie miary konkretne osiągnięcia. Był szefem operacyjnym – w nomenklaturze amerykańskiej określano to jako J-3 – co oznaczało zabijanie ludzi na wojnie i szkolenie ich w czasach pokoju. Bondarienko zjeździł świat, zapoznając się z metodami szkoleniowymi innych armii, analizował te metody, wybierał z nich, co najlepsze i stosował wobec własnych żołnierzy. Bondarienko niej zamierzał zadowolić się czymś mniejszym niż doprowadzenie Armii Rosyjskiej do tej samej żelaznej kondycji, co wtedy, gdy pod dowództwem Żukowa i Koniewa zdobywała Berlin. Realizacja tego celu była jeszcze bardzo odległa, ale generał

mówił sobie, że stworzył odpowiednie podstawy. Może za dziesięć lat jego armia osiągnie ten cel, a on będzie się temu przyglądał z dumą, oczywiście już w stanie spoczynku, z odznaczeniami, włożonymi w ramki i zawieszonymi na ścianach, z wnukami na kolanach... i czasem będzie jeszcze służył radą, zapoznawał się ze stanem rzeczy i przedstawiał swe opinie, jak to często czynili emerytowani generałowie.

W tej chwili nie miał nic konkretnego do zrobienia, ale też nie bardzo chciało mu się wracać do domu, gdzie jego żona podejmowała akurat żony innych oficerów. Bondarienkę zawsze nużyły takie spotkania. Attaché wojskowy w Waszyngtonie przysłał mu książkę

„Swift Sword” pułkownika Nicholasa Eddingtona z amerykańskiej Gwardii Narodowej.

Eddington. Tak, to ten sam, który ćwiczył ze swoją brygadą na pustyni w Kalifornii, kiedy zapadła decyzja przetrzucenia wojsk nad Zatokę Perską i jego żołnierze – właściwie cywile w mundurach – dobrze się tam spisali. Lepiej niż dobrze, pomyślał rosyjski generał. Wspólnie z regularnymi formacjami amerykańskimi, 10. i 11. pułkiem Kawalerii Pancерnej, przeprowadzili operację „Dotknięcie Meduzy”, niszcząc wszystko, czego dotknęli. Wspólnie ta mieszana formacja rozmiarów dywizji rozgromiła cztery pełne korpusy wojsk zmechanizowanych, jakby to były owce na pastwisku. Nawet gwardziści Eddingtona spisali się wspaniale. Giennadij Josifow wiedział, że częściowo było to zasługą ich motywacji.

Użycie broni biologicznej przeciw ich ojczyźnie wywołało u żołnierzy zrozumiałą gniew, a taki gniew potrafi w jednej chwili zmienić kiepskiego żołnierza w bohatera. Fachowym określeniem była tu „wola walki”. W bardziej potocznym języku mówiono o powodach, dla których człowiek jest gotów ryzykować życiem. Dla oficerów, których zadaniem było poprowadzenie żołnierzy na niebezpieczne operacje, miało to niemałe znaczenie.

Wertując stronice książki zorientował się, że Eddington – tekst na okładce informował, że był on również profesorem historii; czyż to nie ciekawe? – przywiązywał do tego czynnika niemałe znaczenie. Cóż, może oprócz tego, że miał szczęście, był jeszcze inteligentny. Miał

szczęście dowodzić doświadczonymi rezerwistami i chociaż ich szkolenia odbywały się w niepełnym wymiarze godzin, służyli w jednostkach o wyjątkowo stabilnym składzie osobowym, gdzie wszyscy żołnierze znali się od dawna; w wypadku jednostek wojsk regularnych taki luksus był praktycznie niemożliwy. No i dysponowali nowym, rewolucyjnym sprzętem IVIS29, dzięki któremu wszystkie załogi pojazdów w terenie wiedziały dokładnie to samo, co ich dowódca, często nawet bardziej szczegółowo... a z kolei dowódca widział dokładnie to, co widzieli jego ludzie. Eddington napisał, że dzięki IVIS było mu o wiele

łatwiej

niż kiedykolwiek

jakiemukolwiek

innemu

dowódcy sił

zmechanizowanych.

29 *Inter-Vehicular Information System - taktyczny system łączności między pojazdami (przyp. tłum.)* Amerykański oficer pisał również, jak wielkie znaczenie ma to, żeby dowódca naczelny wiedział nie tylko, co mówią jego dowódcy niższych szczebli, ale także, co myślą, żeby sobie zdawał sprawę z rzeczy, których nie mieli czasu powiedzieć. W podtekście był to nacisk na spójność korpusu

oficerskiego; robiąc notatkę na marginesie, Bondarienko pomyślał, że to ważna lekcja. Będzie musiał uważnie przeczytać całą tę książkę, może też zleci ambasadzie w Waszyngtonie zakup jakichś stu egzemplarzy, żeby mogli ją przeczytać także jego oficerowie... A może załatwi się też prawo do przedruku w Rosji?

Rozdział 12

Sprzeczne interesy

– Okay, George, zaczynaj – powiedział Ryan, popijając kawę. W Białym Domu było wiele rutynowych zajęć, a w minionym roku rutyną stało się i to, że dwa, czasem trzy razy w tygodniu, zaraz po codziennej odprawie wywiadowczej, Ryan spotykał się ze swym sekretarzem skarbu. Winston najczęściej przybywał na piechotę tunelem, zbudowanym jeszcze za czasów Roosevelta pod Piętnastą Ulicą, łączącym Biały Dom z siedzibą Departamentu Skarbu. Stewardzi Ryana z Marynarki podawali na te spotkania kawę i rogaliki z masłem, które prezydent i sekretarz skarbu pochłaniali ze smakiem, ryzykując wzrost poziomu cholesterolu.

– ChRL. Negocjacje handlowe znalazły się w całkowitym impasie. Stanęliśmy przed ścianą.

– O jakie kwestie chodzi?

– Do licha, Jack, spytaj raczej, o jakie nie chodzi! – Kupiec odgryzł kawałek rogalika z galaretką winogronową. – Ta nowa firma komputerowa, którą powołał ich rząd, bezczelnie zrzuca rozwiązanie sprzętowe, opatentowane przez Della, wiesz, to, które sprawiło, że ich akcje podskoczyły o dwadzieścia procent. Po prostu montują je w komputerach, przeznaczonych na rynek wewnętrzny i w tych, które właśnie zaczęli sprzedawać w Europie.

To jawne pogwałcenie wszelkich umów handlowych i patentowych, ale kiedy podczas negocjacji zwracamy im na to uwagę, po prostu zmieniają temat, zupełnie nas ignorując.

Della może to kosztować jakieś czterysta milionów dolarów, a dla jednej firmy to już poważna strata, nie sądzisz? Gdybym był ich radcą prawnym, wertowałbym już prasę, szukając ogłoszeń w rubryce „płatni zabójcy”. Ale na tym nie koniec. Mówią nam, że jeśli będziemy robić za dużo szumu wokół takich „drobnych” nieporozumień, Boeing może się pożegnać z zamówieniem na 777 – mają opcje na dwadzieścia osiem samolotów – bo kupią sobie Airbusy.

Ryan skinął głową. – George, jaki jest obecnie bilans naszej wymiany handlowej z ChRL?

– Siedemdziesiąt osiem miliardów i, jak wiesz, to oni mają nadwyżkę, nie my.

– Scott Adler się tym zajmuje w Foggy Bottom30?

Sekretarz skarbu skinął głową. – Ma do tego całkiem niezły zespół, ale potrzebują trochę więcej wytycznych z najwyższego szczebla.

– A co ta chińska nadwyżka handlowa oznacza dla nas?

– Mnóstwo tanich artykułów konsumpcyjnych, z czego około siedemdziesięciu procent stanowią nieskomplikowane wyroby, mnóstwo zabawek, pluszowych zwierzątek i tak dalej.

Ale Jack, trzydzieści procent przypada na nowoczesne wyroby. Ich udział prawie się podwoił

przez ostatnie dwa i pół roku. Jeszcze trochę i zaczniemy przez to tracić miejsca pracy, i to zarówno w produkcji na rynek krajowy, jak i na eksport. U siebie w Chinach sprzedają mnóstwo laptopów, ale nas nie dopuszczają do tego rynku, chociaż nasz sprzęt jest lepszy i tańszy. Wiemy na pewno, że część nadwyżki w handlu z nami przeznaczają na subsydiowanie swojego przemysłu komputerowego. Przypuszczam, że chcą go rozwinąć ze względów strategicznych.

– A także sprzedają broń tym, wobec których mamy zasadnicze obiekcje – dodał Ryan. –

I też robią to ze względów strategicznych.

– Odnosi się wrażenie, że każdy potrzebuje Kałasznikowów do rozprawiania się ze swoimi szkodnikami. – Zaledwie przed dwoma tygodniami partię tysiąca czterystu karabinów zatrzymano w porcie Los Angeles. ChRL wyparła się odpowiedzialności, chociaż amerykańskie służby wywiadowcze prześledziły tę transakcję, docierając do pewnego numeru telefonicznego w Pekinie. Ryan o tym wiedział, ale sprawa musiała zostać utrzymana w tajemnicy, żeby nie wyszły na jaw metody zbierania informacji, w tym wypadku metody Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade. Nowy system łączności telefonicznej w Pekinie nie był produktem którejś z firm amerykańskich, ale większość prac projektowych wykonało pewne przedsiębiorstwo, które miało bardzo korzystny układ z rządem Stanów Zjednoczonych. Nie było to zupełnie legalne, ale w sprawach bezpieczeństwa narodowego obowiązywały inne zasady.

– Po prostu nie grają fair, tak?

– Owszem – burknął Winston.

– Sugestie? – spytał Ryan.

– Przypomnieć tym skośnookim skurwielom, że potrzebują nas o wiele bardziej niż my ich.

– Uważaj, mówisz o państwie, które posiada broń atomową. I jeszcze ten rasistowski epitet.

– Jack, albo gramy według tych samych reguł, albo nie. Albo gra jest uczciwa, albo nie jest. Skoro w handlu z nami mają aż tak wielką nadwyżkę, to muszą wreszcie zacząć grać uczciwie. Wiem, wiem – przyznał – są trochę wkurzeni sprawą Tajwanu, ale to było dobre 30 *doł.* *Mglista Kotlina, nieformalne określenie Departamentu Stanu USA {od nisko położonego obszaru Waszyngtonu nad rzeką Potomak} (przyp. red.)*

posunięcie, Jack. Słusznie postąpiłeś, dając im nauczkę. Należało się tym małym skurwysynom. Zabijali ludzi, a prawdopodobnie maczali też palce w tej ostatniej awanturze nad Zatoką Perską i w tym zaatakowaniu nas wirusem Ebola. Ale nie możemy ich ukarać za morderstwo i współdziałanie w akcji wojny przeciw Stanom Zjednoczonym? Gówna prawda, Jack. Bezpośrednio, albo pośrednio ci dranie pomogli Daryaeiemu w zabiciu siedmiu tysięcy naszych obywateli, a ustanowienie stosunków dyplomatycznych między Stanami Zjednoczonymi a Tajwanem było ceną, jaką za to zapłacili... i, moim zdaniem, była to cholernie niska cena. Powinni zdawać sobie z tego sprawę. Muszą się

nauczyć, że świat rządzi się pewnymi regułami. A my musimy im pokazać, że nie można łamać tych reguł

bezkarnie. I musi to być dotkliwa kara. Dopóki tego nie zrozumieją, będzie tylko coraz więcej kłopotów. Prędzej czy później, muszą się zacząć uczyć. Sądzę, że czekaliśmy już na to wystarczająco długo.

– W porządku, ale nie zapominaj, jaki jest ich punkt widzenia: Kim my jesteśmy, żeby uczyć ich reguł?

– Gówno prawda, Jack! – Winston był jednym z bardzo niewielu ludzi, którzy potrafili wyrażać się w ten sposób w Gabinetcie Ovalnym. Częściowo wynikało to z faktu, że był

człowiekiem sukcesu, a częściowo wiązało się z tym, że Ryan cenił sobie mówienie bez ogródek, nawet jeśli język budził czasem pewne zastrzeżenia. – Przecież to oni kpią sobie z nas w żywe oczy. My gramy uczciwie. Świat naprawdę rządzi się regułami, których przestrzega międzynarodowa społeczność i jeśli Pekin chce być częścią tej społeczności, też musi ich przestrzegać, jak wszyscy. Jeśli chcesz zostać członkiem klubu, musisz zapłacić wpisowe, a i wtedy nie masz prawa jeździć wózkiem golfowym po rabatkach. Nie można mieć wszystkiego.

Problem w tym, pomyślał Ryan, że państwami – zwłaszcza wielkimi, potężnymi, ważnymi państwami – kierują ludzie, którym nie da się powiedzieć, jak powinni postępować i dlaczego. Dotyczyło to zwłaszcza krajów totalitarnych. W krajach demokratycznych zasada rządów prawa obowiązywała praktycznie każdego. Ryan był prezydentem, ale nie znaczyło to, że mógłby obrabować bank, bo akurat zabrakło mu drobnych.

– Już dobrze, George. Usiądźcie ze Scottem i wymyślcie coś, na co będę się mógł

zgodzić, a wtedy zlecimy Departamentowi Stanu wyjaśnienie reguł gry naszym przyjaciółom w Pekinie. – I kto wie, może tym razem się uda. Ale Ryan nie był gotów się o to założyć.

To będzie ważny wieczór, pomyślał Nomuri. Pewnie, zerznął Ming poprzedniej nocy i chyba jej się podobało, ale czy teraz, kiedy miała czas, żeby to sobie przemyśleć, jej reakcja będzie taka sama? Czy też dojdzie do wniosku, że upił ją i wykorzystał? Nomuri umawiał się już i sypiał z niejedną kobietą, ale nie mylił miłosnych sukcesów z jakimkolwiek zrozumieniem kobiecej psychiki.

Siedział przy barze w restauracji średniej wielkości – nie w tej, w której byli wczoraj –

paląc papierosa, co dla funkcjonariusza CIA było czymś nowym. Nie krztusił się wprawdzie, ale po pierwszych dwóch miał wrażenie, że sala zaczyna wokół niego wirować. Pomyślał, że to zaccadzenie. Palenie zmniejszyło dopływ tlenu do mózgu i w ogóle było szkodliwe. Ale za to jakże ułatwiało czekanie. Kupił zapalniczkę Bic, niebieską, ozdobioną flagą ChRL, która zdawała się łopotać na tle czystego nieba. Akurat, pomyślał. A ja tu siedzę i zastanawiam się, czy moja

dziewczyna przyjdzie. Spojrzał na zegarek. Jest już spóźniona o dziewięć minut.

Nomuri skinął na barmana i zamówił następną szkocką. To była japońska whisky, nienajgorsza, a niezbyt droga, a w końcu alkohol to alkohol, prawda?

Przyjdiesz, Ming? – agent nie po raz pierwszy powtórzył w myślach to pytanie. Jak w większości barów na świecie, także tutaj za szklankami i butelkami wisiało lustro. Nomuri oglądał w nim swoją twarz, jakby należała do kogoś innego, ciekaw, co inni mogliby z niej wyczytać. Zdenerwowanie? Podejrzliwość? Strach? Samotność? Być może ktoś właśnie w tej chwili dokonywał takiej oceny, jakiś oficer kontrwywiadu MBP, który go śledził, pilnując się, żeby nie spoglądać za często w stronę Nomuriego. Może posługiwał się lusterkiem, ale było bardziej prawdopodobne, że siedział trochę z boku, tak, żeby jego oczy były w naturalny sposób skierowane w stronę Amerykanina, podczas gdy Nomuri musiałby odwrócić głowę, żeby go zobaczyć, dając tamtemu okazję do przeniesienia wzroku na kogoś innego, prawdopodobnie na partnera – obserwację prowadziło się zwykle zespołowo, a nie w pojedynkę. Partner powinien siedzieć między nim a Nomurim, dzięki czemu cel można było obserwować, nie zwracając na siebie jego uwagi. W każdym kraju na świecie policja albo służby bezpieczeństwa były w tym przeszkolone i metody były wszędzie takie same, bo natura ludzka była wszędzie taka sama, czy obiektem obserwacji był handlarz narkotyków, czy szpieg. Tak już po prostu jest, powiedział sobie Nomuri i znów spojrzął na zegarek.

Jedenaście minut spóźnienia. Nie przejmuj się, stary, kobiety zawsze się spóźniają. Nie mają poczucia czasu, albo całą cholerną wieczność zabiera im ubranie się i umalowanie, albo zapominają założyć zegarek... albo, co najbardziej prawdopodobne, każą na siebie czekać, bo daje im to przewagę. Może takie zachowanie sprawiało, że mężczyźni bardziej je cenili, bo przecież w końcu to oni na nie czekali, prawda?

Chester Nomuri, behawiorysta-antropolog, zganił się w myślach i z powrotem wpatrzył się w lustro.

Nie histeryzuj, palancie, może dłużej pracuje, albo utknęła w korku, a może któraś z koleżanek poprosiła ją o pomoc przy przestawianiu mebli. Siedemnaście minut. Wyjął z paczki kolejnego papierosa marki Kool i pstryknął swoją zapalniczką z flagą komunistycznych Chin. Wschód jest czerwony³¹, pomyślał. I może to już ostatni kraj na świecie, który jest naprawdę czerwony? Czyż Mao nie byłby dumny?!

Gdzie jesteś, Ming?

³¹ *Aluzja do rewolucyjnej pieśni chińskich komunistów (przyp. tłum.)* Cóż, gdyby obserwowali go ci z MBP, nie mieliby najmniejszych wątpliwości, co Nomuri robi, byliby absolutnie pewni, że czeka na kobietę, a jeśli dostrzegliby, że jest zestresowany, uznaliby, że musi mu na tej kobiecie bardzo zależeć. A przecież szpiegzy tak się nie zachowują, prawda?

Co też ci łązi po głowie, dupku, tylko dlatego, że może się okazać, że zostaniesz dziś w nocy bez

baby?

Dwadzieścia trzy minuty spóźnienia. Zdusił papierosa i zapalił następnego. Jeśli był to mechanizm, służący kobietom do panowania nad mężczyznami, to był on skuteczny.

James Bond nigdy nie miał takich problemów, pomyślał funkcjonariusz wywiadu. Cmok-Cmok Bum-Bum był zawsze panem swoich kobiet... i jeśli komuś potrzebny był dowód, że Bond był postacią fikcyjną, to nie trzeba było dłużej szukać!

Nomuri był tak pogrążony w myślach, że nie zauważył wchodzącej Ming. Poczł delikatne klepięcie w ramię, odwrócił się gwałtownie...

...uśmiechała się promiennie, zadowolona, że udało jej się go zaskoczyć, a w jej czarnych, błyszczących oczach widać było rozbawienie.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała szybko. – Fang zatrzymał mnie dłużej w biurze, musiałam coś przepisać.

– Muszę porozmawiać z tym starszym panem – powiedział żartem Nomuri i wyprostował się na barowym stołku.

– Jak słusznie zauważyłeś, to jest starszy pan i ma trochę przytępiony słuch. To chyba z powodu wieku.

Nie, ten stary skurwysyn prawdopodobnie po prostu nie chce słuchać. Nomuri nie powiedział tego głośno. Fang był zapewne taki sam, jak inni szefowie, za stary, żeby interesować się koncepcjami innych.

– Co chcesz zjeść na kolację? – spytał Nomuri i otrzymał najlepszą z możliwych odpowiedzi.

– Nie jestem głodna. – Tym słowom towarzyszyło spojrzenie, potwierdzające, czego naprawdę chciała. Nomuri jednym haustem dopił drinka, zgasił papierosa i oboje wyszli.

– No i? – spytał Ryan.

– No i nie jest to dobra wiadomość – odpowiedział Arnie van Damm.

– Myślę, że to zależy od punktu widzenia. Kiedy wysłuchają wystąpień stron?

– Za niecałe dwa miesiące i to też ma swoją wymowę, Jack. Ci dobrzy sędziowie Sądu Najwyższego, których mianowałeś, zamierzają rozpatrzyć tę sprawę i jestem się gotów założyć, że aż się palą do unieważnienia Roe32.

Jack usiadł wygodniej i uśmiechnął się do szefa swojej kancelarii.

32 Chodzi o orzeczenie Sądu Najwyższego USA z 1973 roku w głośnej sprawie, znanej jako Roe przeciwko Wade, uznające restrykcyjne ustawodawstwo stanu Teksas, dotyczące aborcji, za sprzeczne z konstytucją (przyp. tłum.)

– I co w tym złego, Arnie?

– To, Jack, że mnóstwo ludzi chce mieć możliwość wyboru w kwestii aborcji. I, jak dotąd, mają za sobą prawo.

– Może to się zmieni – powiedział prezydent z nadzieją i spojrzął z powrotem na swój rozkład dnia. Sekretarz Departamentu Spraw Wewnętrznych miał przyjść na rozmowę o parkach narodowych.

– Do cholery, nie ma się z czego cieszyć! Winą obciążą ciebie!

– W porządku, kiedy już do tego dojdzie, jeśli dojdzie; zwrócę uwagę, że nie jestem sędzią Sądu Najwyższego i będę się trzymał od tej sprawy z daleka. Jeśli ich decyzja będzie taka, jak sądzę – i ty chyba też – sprawa aborcji wróci do legislatury i organy ustawodawcze

„kilku stanów”, jak to sformułowano w konstytucji, zbiorą się i zadecydują, czy wyborcy chcą mieć prawo do zabijania swoich nienarodzonych dzieci, czy nie... ale pamiętaj, Arnie, że ja mam czwórkę dzieci. Widziałem, jak każde z nich przychodziło na świat i niech cię diabli, jeśli chcesz mi wmówić, że aborcja jest w porządku!

Czwarty mały Ryan, Kyle Daniel, urodził się podczas prezydentury ojca i kamery zarejestrowały jego buzię, kiedy wnoszono go z sali porodowej, umożliwiając całemu krajowi, a właściwie całemu światu, udział w tym wydarzeniu. Popularność Ryana podskoczyła wtedy o całe piętnaście punktów, z czego Arnie był wówczas ogromnie zadowolony.

– Do diabła, Jack, przecież ja tego wcale nie powiedziałem! – zaprotestował van Damm.

– Ale i tobie i mnie zdarza się przecież robić rzeczy budzące sprzeciw, prawda? I nie odmawiamy innym ludziom prawa do robienia takich rzeczy, zgadzasz się? Na przykład palenie – dodał, żeby trochę ukłuć Ryana.

– Arnie, jesteś mistrzem retoryki i tym razem też ci dobrze wyszło, muszę to przyznać.

Ale jest jakościowa różnica między zapaleniem tego przeklętego papierosa a zabiciem istoty ludzkiej.

– Zgoda, o ile płód jest istotą ludzką, ale to już problem teologów, nie polityków.

– To jest tak, Arnie. Zwolennicy aborcji twierdzą, że nie ma znaczenia, czy płód jest istotą ludzką, czy nie, bo znajduje się w ciele kobiety, jest więc jej własnością, z którą ona może robić, co jej się podoba. W porządku. W starożytnym Rzymie, w okresie republiki i cesarstwa, prawo stanowiło, że żona i dzieci są własnością *paterfamilias*, głowy rodziny i że ta głowa, czyli mąż i ojciec, może je zabić, jeśli tylko będzie miał ochotę. Sądzisz, że powinniśmy do tego wrócić?

– Oczywiście, że nie, bo daje to uprawnienia mężczyznom i pozbawia ich kobiety, a takich rzeczy już tu nie robimy.

– Więc sprowadzasz kwestię moralną do tego, co politycznie korzystne i niekorzystne.

Cóż, Arnie, nie po to tu jestem. Nawet prezydentowi wolno mieć jakieś zasady moralne. A może powinienem każdego ranka przed przyjściem do pracy sprawdzać, czy moje koncepcje podobają się opinii publicznej?

– Ale prezydentowi nie wolno narzucać swoich zasad innym. Zasady moralne są twoją sprawą prywatną.

– To, co nazywamy prawem, jest niczym innym, jak zbiorowym przekonaniem, co jest dobre, a co złe. To społeczeństwo określa reguły, czy to w wypadku morderstwa, porwania, czy przejechania przez skrzyżowanie na czerwonym świetle. W demokratycznej republice robimy to za pośrednictwem legislatury, wybierając do niej ludzi, którzy podzielają nasze poglądy. Tak właśnie powstaje prawo. Uchwalamy też konstytucję, najwyższy akt ustawodawczy, podchodząc do tego bardzo rozważnie, ponieważ konstytucja orzeka, co mogą, a czego nie mogą inne akty prawne, a tym samym chroni nas przed uleganiem chwilowym emocjom. Zadaniem sądownictwa jest interpretowanie praw, czy też, jak w tym wypadku, konstytucyjnych zasad, zawartych w tych prawach, żeby miały zastosowanie do konkretnej rzeczywistości. W sprawie Roe przeciw Wade Sąd Najwyższy posunął się za daleko. Wszedł na obszar zastrzeżony dla władzy ustawodawczej; zmienił prawo w sposób, którego nie przewidzieli jego twórcy i to był błąd. Zmiana orzeczenia w sprawie Roe przeciw Wade będzie oznaczać tylko tyle, że problem aborcji powróci w gestię kongresów stanowych, gdzie jest jego miejsce.

– Od jak dawna przygotowujesz to przemówienie? – spytał Arnie. Słowa Ryana były zbyt przemyślane, jak na spontaniczną wypowiedź.

– Od pewnego czasu – przyznał prezydent.

– Cóż, przygotuj się na burzę, kiedy ta decyzja zapadnie – ostrzegł szef kancelarii prezydenckiej. – Mam na myśli demonstracje, relacje telewizyjne i tyle artykułów prasowych, że można by nimi wytapetować ściany Pentagonu, a Tajna Służba będzie się martwić dodatkowym zagrożeniem dla twojego życia, dla życia twojej żony i dzieci. Spytaj ich, jeśli myślisz, że się wygłupiam.

– Przecież to nie ma sensu.

– Jack, nie istnieje żadne prawo, federalne, stanowe czy lokalne, które nakazywałoby światu, żeby był logiczny. Ludzie oczekują od ciebie, że zadbasz o dobrą pogodę i będą cię winić, jeśli się to nie

uda. Pogódź się z tym. – Powiedziawszy to, obrażony szef kancelarii wyszedł i skierował się na zachód, do swojego narożnego biura.

– Gówno prawda – warknął Ryan, przerzucając kartki z informacjami, które przygotowano mu na spotkanie z szefem Departamentu Spraw Wewnętrznych. Z

właścicielem Misia Smokeya³³ i strażnikiem parków narodowych, które prezydent miał

okazję oglądać tylko na kanale Discovery, kiedy akurat zdarzyło się, że miał wieczorem czas na włączenie telewizora.

33 Smokey Bear - ruch w USA, prowadzący kampanię ochrony lasów przed pożarami; nazwa pochodzi od imienia Smokey, nadanego podobno w latach 50. niedźwiadkowi, uratowanemu z pożaru lasu w Nowym Meksyku (przyp. tłum.)

Nomuri znów pomyślał, że o modzie w Pekinie nie da się wiele dobrego powiedzieć, ale z jednym wyjątkiem: kiedy po rozpięciu guzików okazywało się, że pod spodem jest bielizna z Victoria's Secret, cóż, to tak, jakby przełączyć film z wersji czarno-białej na kolorową, w Technicolorze. Tym razem Ming pozwoliła, żeby to on rozpiął jej guziki, zsunął żakiet z ramion, a potem ściągnął jej spodnie. Majteczki wyglądały szczególnie zachęcająco, chociaż, z drugiej strony, cała reszta też. Nomuri wziął ją w ramiona i pocałował namiętnie, a potem położył na łóżko. Chwilę później był już koło niej.

– No więc, dlaczego się spóźniłaś?

Skrzywiła się. – Co tydzień minister Fang spotyka się z innymi ministrami, a potem muszę przepisywać jego relację z przebiegu tych spotkań, żeby miał na piśmie wszystko, co zostało powiedziane.

– Aha, a czy używasz do tego mojego nowego komputera? – Zadając to pytanie, zamaskował ogromne podniecenie, jakie go ogarnęło; kiedy usłyszał słowa Ming. Ta dziewczyna mogłaby być wprost fantastycznym źródłem informacji! Nomuri odetchnął

głęboko, a jego twarz znów przybrała wyraz grzecznego braku zainteresowania.

– Oczywiście.

– Doskonale. Komputer jest wyposażony w modem, prawda?

– Oczywiście, korzystam z niego codziennie, żeby ściągać z Internetu artykuły prasy zachodniej i tak dalej.

– O, to dobrze. – Uznał, że na dziś zrobił już dość w sprawach służbowych i pochylił się, żeby ją pocałować.

– Umalowałam usta tą szminką od ciebie, zanim weszłam do restauracji – powiedziała mu Ming. – Nie używam jej, kiedy jestem w pracy.

– Aha – powiedział funkcjonariusz CIA, całując ją równie namiętnie, jak przedtem, ale tym razem dłużej. Objęła go ramionami za szyję. Jej spóźnienie nie miało nic wspólnego z brakiem uczucia. Teraz, kiedy jego ręce też zaczęły wędrować, było to oczywiste. Wybór biustonosza, zapinanego od przodu był bardzo roztropny. Mały ruch kciukiem i palcem wskazującym, i biustonosz odsłonił dwie całkiem ładne piersi, dwa kolejne miejsca, którymi zainteresowały się jego dłonie. Skóra była tu szczególnie jedwabista... i smaczna, stwierdził

chwilę później.

Rezultatem był miły dla ucha jęk, rozkoszy jego... właściwie kogo? Przyjaciółki? No, tak, ale była kimś więcej. Agentki? Jeszcze nie. Uznał, że na razie dobrym określeniem będzie

„kochanka”. Nigdy nie mówiono im o takich rzeczach na Farmie, z wyjątkiem zwykłego ostrzeżenia, żeby nie wiązać się zbyt blisko ze swym agentem, bo grozi to utratą obiektywizmu. Ale bez nawiązania trochę bliższych stosunków nigdy nie udałooby się zwerbować agenta, prawda? Chester wiedział oczywiście, że jego stosunki z Ming są więcej niż „trochę bliższe”.

Bez względu na to, jak wyglądała, skórę miała cudowną. Badał ją w najdrobniejszych szczegółach koniuszkami palców, z uśmiechem patrzył jej w oczy i raz po raz całował. Ciało też miała niezłe. Świetna figura, nawet kiedy stała. Może miała trochę za dużo w talii, ale przecież to nie było Venice Beach, a wcięta w talii sylwetka, chociaż może i dobrze wyglądała na zdjęciach, nadawała się właściwie tylko do fotografowania. Ming była szczuplejsza w talii niż w biodrach i w tej chwili zupełnie to wystarczało. Oczywiście w niczym nie przypominała którejś z modelek na nowojorskich pokazach mody, które zresztą wyglądały jak chłopcy. No więc Ming nie jest i nigdy nie będzie supermodelką; pogódź się z tym, Chet, powiedział sobie funkcjonariusz CIA. Ale czas już było skończyć z zaprzątaniem sobie głowy sprawami służbowymi. Był mężczyzną, miał na sobie tylko spodenki i leżał w łóżku z kobietą w samych majteczkach. Majteczkach tak skąpych, że ledwie dałoby się z nich zrobić chusteczkę do nosa, chociaż pomarańczowo-czerwona chusteczka z jakiegoś sztucznego jedwabiu nie byłaby zapewne najlepszym pomysłem dla faceta, pomyślał z uśmiechem.

– Dlaczego się uśmiechasz? – spytała Ming.

– Bo jesteś ładna – odpowiedział Nomuri. I rzeczywiście była w tej chwili ładna, zwłaszcza z tym szczególnym uśmiechem na twarzy. Nie, nigdy nie będzie modelką, ale każda kobieta miała w sobie jakieś piękno, chociaż nie każda pozwalała mu się ujawnić. A jej skóra była pierwszej klasy, zwłaszcza wargi, umalowane szminką, której nie używała w pracy. Wkrótce ich ciała przytuliły się do siebie i było to ciepłe, przyjemne uczucie.

Obejmował ją jedną ręką, mając drugą wolną, żeby mogła dalej wędrować, odkrywać...

Włosy Ming były proste i tak krótkie, że na pewno łatwo było je czesać. Przedramiona miała owłosione, jak wiele Chinek, ale Nomuriemu wcale to nie przeszkadzało, przeciwnie, było jeszcze jedną okazją do pieszczot, bo mógł delikatnie pociągać za te włoski. Musiało ją to łaskotać, bo zachichotała i objęła go jeszcze mocniej, a za chwilę rozluźniła uścisk, pozwalając jego dłoni powędrować dalej. Kiedy minął jej pępek, znieruchomiała nagle, ale odprężona, co było swego rodzaju zaproszeniem. Czas na następny pocałunek, podczas gdy koniuszki jego palców wędrowały dalej, a w jej oczach pojawiło się rozbawienie. Co to mogła być za gra...?

Kiedy tylko jego ręce dotarły do majteczek, uniosła nieco pupę z materaca. Nomuri usiadł

i zsunął je do kostek, a ona wyswobodziła z nich prawą stopę, a lewą machnęła, wyrzucając pomarańczowoczerwone majtki w powietrze i wtedy...

– Ming! – zawołał z udawanym oburzeniem.

– Słyszałam, że mężczyźni to lubią – powiedziała z uśmiechem.

– Na pewno wygląda inaczej – przyznał Nomuri, przesuwając rękoma po skórze, która była w tym miejscu jeszcze bardziej gładka niż gdzie indziej. – Zrobiłaś to w pracy?

Tym razem nie tyle zachichotała, co parsknęła śmiechem. – Nie, głupcze! Dziś rano, u siebie w domu! W mojej własnej łazience i moją własną maszynką do golenia.

– Chciałem się tylko upewnić – zapewnił funkcjonariusz CIA. Cholera, to ci dopiero! A potem jej ręce zaczęły z nim robić prawie to samo, co on robił z nią.

– Jesteś inny niż Fang – powiedziała mu rozbawionym szeptem.

– O, pod jakim względem?

– Myślę, że najgorszą rzeczą, jaką kobieta może powiedzieć mężczyźnie jest pytanie:

„Wszedłeś już we mnie?” Jedna z sekretarek spytała kiedyś o to Fanga. Zbił ją. Następnego dnia przyszła do pracy z podbitym okiem – kazał jej przyjść – a następnej nocy... no, wziął

mnie do łóżka – przyznała, nie tyle zawstydzona, co trochę zakłopotana. – Żeby mi pokazać, jaki to z niego jeszcze mężczyzna. Byłam za mądra, żeby zadać mu tamto pytanie. Wszystkie jesteśmy teraz mądrzejsze.

– A mi je zadasz? – spytał Nomuri z uśmiechem i znów ją pocałował.

– Och, nie! Ty masz kielbasę, a nie szparaga – powiedziała mu Ming z entuzjazmem w głosie. Nie był to najbardziej wyszukany komplement, ale Nomuri uznał, że na razie wystarczy.

– Myślisz, że już czas, żeby kielbasa znalazła się, gdzie trzeba?

– Och, tak.

Kładąc się na niej, Nomuri zobaczył pod sobą jakby dwie postaci. Jedną z nich była dziewczyna, młoda kobieta z normalnymi kobiecymi potrzebami, które miał za chwilę zaspokoić. Drugą była potencjalna agentka; mająca dostęp do informacji politycznych, o jakich marzył każdy doświadczony oficer prowadzący. Ale Nomuri nie był doświadczonym oficerem prowadzącym. Będzie się musiał martwić o swą potencjalną agentkę, bo jeśli uda mu się ją zwerbować, jej życie znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie... wyobraził sobie, jak wyglądałaby jej twarz, gdyby pocisk rozerwał jej mózg... nie, wizja była zbyt koszmarna.

Wchodząc w nią, Nomuri niemałym wysiłkiem zmusił się, żeby o tym nie myśleć. Jeśli miał ją w ogóle zwerbować, to najpierw musiał się sprawdzić jako kochanek.

– Pomyślę o tym – obiecał Ryan sekretarzowi spraw wewnętrznych, odprowadzając go do drzwi, wychodzących na korytarz, na lewo od kominka. Przykro mi, stary, ale nie ma na to wszystko pieniędzy. Jego sekretarz spraw wewnętrznych w żadnym wypadku nie był złym człowiekiem, ale odnosiło się wrażenie, że dostał się w tryby biurokracji swego resortu, co zapewne stanowiło największe zagrożenie podczas pracy w Waszyngtonie. Usiadł, żeby przejrzeć dokumenty, które zostawił mu sekretarz. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że nie będzie miał czasu wszystkich ich dokładnie przeczytać. – Kiedy miał dobry dzień, był w stanie przejrzeć streszczenie, podczas gdy ktoś z jego personelu zajmował się dokumentami szczegółowo i przygotowywał raport dla prezydenta, czyli w praktyce też jakieś streszczenie i na podstawie tego dokumentu, napisanego przez

nawet nie mieć trzydziestu lat, faktycznie podejmowane były decyzje polityczne.

Toż to szaleństwo! – pomyślał gniewnie Ryan. To on stał na czele władzy wykonawczej w tym kraju. To on, jako jedyny, powinien robić politykę. Ale czas prezydenta był cenny. Tak cenny, że inni strzegli go dla niego... a właściwie, to strzegli jego czas przed nim samym, ponieważ ostatecznie to oni decydowali, co Ryan zobaczy, a czego nie zobaczy. I tak, choć Ryan był szefem rządu i sam określał rządową politykę, często robił to wyłącznie na podstawie informacji, przedłożonych mu przez innych. I czasem niepokoiło go, że jest zakładnikiem informacji, które dotrą do jego biurka. Przyszło mu na myśl, że istnieje pewne podobieństwo między tymi, którzy kontrolują docierające do niego informacje, a prasą, decydującą, o czym dowie się opinia publiczna, a tym samym wywierającą wpływ na to, co ludzie myślą o różnych aktualnych sprawach.

I co, Jack, też zostałeś wciągnięty w tryby swojej biurokracji? Trudno to było stwierdzić, trudno powiedzieć i trudno zdecydować, jak zmienić tę sytuację, jeśli w ogóle istniała.

Może to dlatego Arnie namawia mnie do wychodzenia z tego budynku, do wchodzenia między zwyczajnych ludzi, uświadomił sobie Ryan.

Większy problem stanowiło to, że Ryan był ekspertem w sprawach polityki zagranicznej i bezpieczeństwa narodowego. W tych dziedzinach czuł się najbardziej kompetentny. Za to w sprawach wewnętrznych czuł się niepewnie i głupio. Częściowo wynikało to z jego osobistej zamożności. Nigdy nie przejmował się ceną bochenka chleba, czy litra mleka, a już tym bardziej w Białym Domu, gdzie w ogóle nie widział mleka w litrowych kartonikach, a tylko w schłodzonej szklance na srebrnej tacy, przynoszonej mu do fotela przez stewarda z Marynarki. Ale wielu zwykłych ludzi obchodziły takie sprawy, a przynajmniej obchodziły ich koszty wykształcenia dzieci i Ryan, jako prezydent, musiał wziąć pod uwagę ich troski i niepokoje. Jego obowiązkiem były starania o utrzymywanie gospodarki w równowadze, żeby ludzie mogli zarobić na godziwe życie, wybrać się latem do Disney World i na rozgrywki futbolowe jesienią, i zaszaleć co roku przed Gwiazdką, żeby pod choinką pojawiło się mnóstwo prezentów.

Ale jak, do diabła, miał to zrobić? Ryan pamiętał kwestię, przypisywaną rzymskiemu cesarzowi Oktawianowi Augustowi. Dowiedziawszy się, że został obwołany bogiem, że wznosi mu się świątynie i że w tych świątyniach ludzie składają ofiary pod jego posągami, August spytał gniewnie: „Co mam robić, kiedy ktoś się do mnie modli o wyleczenie z artretyzmu?”. Kwestią o podstawowym znaczeniu było to, ile naprawdę polityka rządu ma wspólnego z rzeczywistością. W Waszyngtonie rzadko podnosili tę kwestię nawet konserwatyści, którzy ideologicznie gardzili tym rządem i wszystkim, co robił w sprawach wewnętrznych, chociaż często opowiadali się za pobrzękiwaniem przez Amerykę szabelką za granicą; Ryan nigdy się nie zastanawiał, dlaczego to się im akurat podobało. Może chcieli po prostu odróżnić się czymś od liberałów, którzy wzdragali się przed wszelkim użyciem siły, jak wampiry na widok krzyża, ale którzy chcieli rozszerzać kompetencje rządu na ile im się uda, żeby, jak wampiry, móc wysysać krew z ludzi... czyli w rzeczywistości ściągać coraz większe podatki, żeby płacić za coraz więcej rzeczy, które, ich zdaniem, powinien robić rząd.

A jednak machina gospodarcza zdawała się kręcić, bez względu na to, co robił rząd.

Ludzie znajdowali pracę, większość w sektorze prywatnym, dostarczając towary i usługi, za które inni ludzie dobrowolnie płacili z pieniędzy, jakie zostały im po podatkach. A jednak

„służba publiczna” była pojęciem, używanym niemal wyłącznie przez i wobec postaci z życia politycznego, prawie zawsze pochodzących z wyboru. A czy nie było tak, że wszyscy służyli społeczeństwu w ten, czy inny sposób? Lekarze, nauczyciele, strażacy, aptekarze. Dlaczego media twierdziły, że był to tylko Ryan i Robby Jackson oraz 535 wybranych członków Kongresu? Pokręcił głową.

Cholera. W porządku, wiem, jak tu trafiłem, ale dlaczego, do diabła, zgodziłem się startować w wyborach? – spytał Jack samego siebie. Uszczęśliwiło to Arnie’ego. Nawet media były zadowolone – pewnie dlatego, że jestem ulubionym celem ich ataków? – spytał

prezydent samego siebie – a Cathy nie miała mu tego za złe. Ale dlaczego, do diabła, w ogóle pozwolił się w to wmanewrować? Nie miał pojęcia, co powinien robić jako prezydent. Nie miał

żadnego prawdziwego programu i po prostu jakoś tak tłukł się po wyboistej drodze z dnia na dzień. Podejmując decyzje taktyczne (do czego się szczególnie nie nadawał) zamiast wielkich, strategicznych. Nie było niczego istotnego, co naprawdę chciałby zmienić w tym kraju. Jasne, parę problemów wymagało, oczywiście, rozwiązania. Potrzebna była rewizja polityki podatkowej i przeforsowanie tego pozostawił George'owi Winstonowi. Potrzebne było umocnienie potencjału obronnego i zajęcie się tym zlecił Tony'emu Bretano. Systemowi opieki zdrowotnej przyglądała się Komisja Prezydencka, którą de facto nadzorowała z daleka jego żona, wraz z paroma kolegami z Hopkinsa i wszystko to robiło się bez rozgłosu. No i jeszcze ta bardzo niewesoła sprawa systemu ubezpieczeń społecznych; doradzali mu w tej kwestii Winston i Mark Grant.

„Trzeci tor amerykańskiej polityki”, pomyślał, nie po raz pierwszy. Wjechać na niego grozi śmiercią. Ale system ubezpieczeń społecznych był czymś, co naprawdę obchodziło Amerykanów, którzy zresztą mieli o nim błędne wyobrażenie... i nawet wiedzieli, że jest ono błędne, sądząc po wynikach sondaży. Zarządzany tak źle, jak tylko może być źle zarządzana instytucja finansowa, wciąż był jednak częścią obietnicy, złożonej narodowi w imieniu rządu przez przedstawicieli narodu. I mimo wszelkiego cynizmu, a był on znaczny, zwykli Amerykanie naprawdę wierzyli, że rząd dotrzyma słowa. Problem polegał na tym, że szefowie związków zawodowych i przemysłowcy, którzy kradli z funduszy emerytalnych i szli za to do więzień federalnych, wyrządzali minimalne szkody w porównaniu z tym, co z systemem ubezpieczeń społecznych robiły kolejne Kongresy... tyle że złodziej w Kongresie miał tę przewagę, że nie był złodziejem w świetle prawa. W końcu to Kongres stanowił

prawo. Kongres wytyczał politykę rządu, więc to, co robił, nie mogło przecież być złe.

Jeszcze jeden dowód na to, że twórcy konstytucji popełnili drobny, ale mający wielkie konsekwencje błąd. Przyjęli założenie, że ludzie, wybrani przez naród do zarządzania krajem, będą równie uczciwi i prawi jak oni sami. Można było sobie wyobrazić, jak teraz przewracali się w grobach. Twórcom konstytucji przewodził sam Jerzy Waszyngton i jeśli brakowało im honoru, to on miał go pod dostatkiem i wystarczyło, że był tam i patrzył na nich. Obecny Kongres nie ma takiego mentora-żywego boga, który zająłby miejsce Jerzego, a szkoda, pomyślał Ryan. Sam fakt, że system ubezpieczeń społecznych wykazywał zyski jeszcze w latach 60. oznaczał, że... Cóż, Kongres nie mógł przecież tolerować zysków, prawda? Zyski sprawiały, że bogaci (którzy musieli być złymi ludźmi, ponieważ nikt nie mógł się wzbogacić, nie wyzyskując innych, prawda? – co, oczywiście, nigdy nie powstrzymywało kongresmanów przed zabieganiem u tych ludzi o pieniądze na kampanie) stawali się jeszcze bogatsi, więc zyski należało wydawać, więc podatki na system ubezpieczeń społecznych, a ściślej składki, przenoszono do funduszy ogólnych i wydawano, jak wszystkie inne pieniądze.

Jeden ze studentów Ryana z czasów, kiedy wykładał on historię w Akademii Marynarki przysłał mu plaketkę z sugestią trzymania jej na biurku w Białym Domu. Napis na tej plaketce głosił:
AMERYKAŃSKA REPUBLIKA PRZETRWA DO DNIA, KIEDY

KONGRES ODKRYJE, ŻE MOŻE PRZEKUPIĆ SPOŁECZEŃSTWO PUBLICZNYMI PIENIĘDZMI – ALEXIS DE TOCQUEVILLE.³⁴ Ryan wziął to sobie do serca. Zdarzało się, że miał chęć złapać Kongres za jego kolektywne gardło i udusić, ale nie istniało takie gardło, a Arnie powtarzał mu niestrudzenie, z jakim to łagodnym Kongresem ma do czynienia, zwłaszcza z Izbą Reprezentantów, i że to raczej wyjątek niż reguła.

Prezydent wydał pomruk niezadowolenia i sprawdził w rozkładzie dnia, z kim ma następne spotkanie. Rozkład zajęć prezydenta również ustalali inni, spotkania były umawiane z kilkutygodniowym wyprzedzeniem, a w przededniu dostarczano mu materiały informacyjne, żeby wiedział, kto, u licha, przyjdzie do niego i o czym, u licha, będzie chciał/chciała/chcieli rozmawiać i jakie jest jego stanowisko (co też zwykle przygotowywali inni). Prezydent zajmował zwykle przyjazne stanowisko, żeby jego gość mógł opuścić Owalny Gabinet podniesiony na duchu i obowiązywała zasada, że nie wolno było zmieniać uzgodnionej tematyki, żeby szef rządu nie spytał: „Czego wy, u diabła, ode mnie chcecie?”.

To zaalarmowałyby zarówno gościa, jak i agentów Tajnej Służby, stojących nieco z tyłu, z rękami w pobliżu pistoletów... po prostu stojących tam jak roboty, z twarzami bez wyrazu, ale rozglądających się uważnie i słuchających każdego słowa. Po służbie szli pewnie do ulubionego baru dla gliniarzy, żeby pośmiać się z tego, co przewodniczący Rady Miejskiej z Podunk w Południowej Dakocie³⁵ powiedział tego dnia w Owalnym Gabinetecie... „O, Jezu, widziałeś spojrzenie szefa, kiedy ten głupi sukinsyn...?” – ponieważ byli to inteligentni, trzeźwo myślący ludzie, którzy pod wieloma względami rozumieli jego robotę lepiej niż on, ³⁴ *Alexis de Tocqueville (1805-1859), francuski historyk i polityk, prekursor socjologii polityki. Jego najśłynniejszym dziełem, napisanym po wizycie w Stanach Zjednoczonych, jest „Demokracja w Ameryce” (1833) (przyp. tłum.)*

³⁵ *Amerykański synonim zapadłej dziury (przyp. tłum.)* pomyślał Ryan. Mieli podwójną przewagę: widzieli już wszystko i nie byli za to odpowiedzialni. Szczęśliwe sukinsyny, pomyślał Jack, wstając, żeby powitać następnego gościa.

Jeśli papierosy w ogóle były coś warte, to właśnie w takich chwilach, pomyślał Nomuri.

Obejmował Ming lewym ramieniem, tuląc się do niej całym ciałem, patrząc w sufit i pałac Koola, cudownie odprężony. Czuł oddech Ming i czuł się w tej chwili jak prawdziwy mężczyzna. Niebo za oknem było już ciemne. Słońce zaszło.

Nomuri wstał, poszedł do łazienki, a potem do kuchni. Wrócił z dwoma kieliszkami wina.

Ming usiadła na łóżku i napiła się ze swojego. Nomuri nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie pogłaskać. Jej skóra była tak zachęcająco gładka.

– Mózg mi jeszcze nie działa – powiedziała po trzecim łyku.

– Kochanie, są chwile, kiedy kobiecie i mężczyźnie nie potrzeba mózgu.

– Cóż, twoja kiełbasa go nie potrzebuje – powiedziała, sięgając ręką, żeby go popieścić.

– Ostrożnie, dziewczyno! Napracował się, biedaczek – ostrzegł ją agent CIA, uśmiechając się w duchu.

– O, tak. – Ming pochyliła się, żeby go delikatnie pocałować. – I spisał się na medal.

– No, jakoś zdołał ci dotrzymać tempa. – Nomuri zapalił następnego papierosa. Ze zdziwieniem spostrzegł, że Ming sięgnęła do torebki i wyjęła z niej papierosa dla siebie.

Przypaliła go i mocno się zaciągnęła, po czym wypuściła dym nosem.

– Dziewczyna-smok – zawołał Nomuri ze śmiechem. – Czy teraz zaczniesz ziać ogniem?

Nie wiedziałem, że palisz.

– W biurze wszyscy palą.

– Nawet minister?

Roześmiała się.

– Zwłaszcza minister.

– Ktoś mu powinien powiedzieć, że palenie jest niebezpieczne dla zdrowia i szkodliwe dla męskości.

– Wędzona kiełbasa nie jest twarda – powiedziała Ming ze śmiechem. – Może na tym właśnie polega jego problem.

– Nie lubisz swojego ministra?

– To stary człowiek, a wydaje mu się, że ma młodego penisa. Wykorzystuje swoje pracownice, jakby były dziwkami w jego prywatnym burdelu. Cóż, mogło być gorzej –

przyznała Ming. – Minęło już dużo czasu, od kiedy przestałam być jego faworytą. Ostatnio uczeplił się Chai, chociaż jest zaręczona, a Fang o tym wie. Tak się nie zachowuje cywilizowany minister.

– Stoi ponad prawem?

Prychnęła z pogarda. – Oni wszyscy stoją ponad prawem. Oni są prawem w tym kraju i mało ich obchodzi, co inni myślą o nich i o ich zwyczajach, zresztą, mało kto się o nich dowiaduje. Są tak skorumpowani, że dawni cesarze byli w porównaniu z nimi kryształowo uczciwi i mówią, że są obrońcami zwykłych ludzi, chłopów i robotników, których, jak twierdzą, kochają jak własne dzieci. Cóż, chyba bywam czasem jedną z takich chłopek.

– A ja myślałem, że lubisz swojego ministra – powiedział Nomuri, prowokując ją do dalszych wynurzeń. – I co też on takiego mówi?

– Co masz na myśli?

– Ta praca do późna, przez którą masz mniej czasu dla mnie – odpowiedział z uśmiechem.

– Och, takie tam rozmowy między ministrami. Prowadzi szczegółowy dziennik. Gdyby przewodniczący chciał go wyrzucić, wiesz, ten dziennik, to jego obrona, coś, co mógłby pokazać swoim kolegom. Fang nie chce stracić swojej oficjalnej rezydencji i tych wszystkich przywilejów, jakie się z nią wiąże. Prowadzi więc dokumentację wszystkiego, co robi, a ja jestem jego sekretarką i przepisuję wszystkie jego notatki. Czasem trwa to w nieskończoność.

– Oczywiście korzystasz z komputera.

– Tak, z tego nowego. Teraz, kiedy dałeś nam ten nowy program, chińskie ideogramy wychodzą idealnie.

– Przechowujesz te teksty w swoim komputerze?

– Tak, na twardym dysku. Och, są zaszyfrowane – uspokoila go. – Nauczyliśmy się tego od Amerykanów, kiedy włamaliśmy się do ich komputerów z danymi, dotyczącymi broni.

Nazywa się to Niezawodnym Systemem Szyfrowania, cokolwiek by to znaczyło. Wybieram plik, który chcę otworzyć, wprowadzam z klawiatury klucz deszyfrujący i plik się otwiera.

Chcesz wiedzieć, jakiego klucza używam? – zachichotała. – „Yellow Submarine”. Po angielsku, ze względu na klawiaturę... to szyfrowanie wprowadziliśmy, zanim jeszcze dostaliśmy twój nowy program. To tytuł piosenki Beatlesów, którą kiedyś usłyszałam w radiu. *We all live in a yellow submarine* czy coś w tym rodzaju. Kiedy studiowałam angielski, bardzo dużo słuchałam radia. Spędziłam wtedy pół godziny, sprawdzając hasło *submarine* w słowniku, a potem w encyklopedii, usiłując się dowiedzieć, dlaczego okręt podwodny miałby być pomalowany na żółto. – Rozłożyła ręce w bezradnym geście.

Klucz deszyfrujący! Nomuri próbował ukryć podniecenie. – Cóż, to musi być dużo plików. Przecież od dawna jesteś jego sekretarką – powiedział, starając się, żeby w jego głosie nie było zbyt wielkiego zainteresowania.

– Ponad czterysta dokumentów. Numeruję je, żeby nie wymyślać nowych nazw. Dziś był numer czterysta osiemdziesiąt siedem.

Jasny gwint, pomyślał Nomuri, czterysta osiemdziesiąt siedem plików komputerowych z relacjami z rozmów w Biurze Politycznym. Kopalnia złota wygląda przy tym jak składnica toksycznych odpadów.

– A o czym oni konkretnie rozmawiają? Nigdy nie poznałem żadnego wysokiego rangą przedstawiciela władz – wyjaśnił Nomuri.

– O wszystkim! – odpowiedziała, gasząc niedopałek papierosa. – Kto ma jakie pomysły w Biurze Politycznym, kto chce być uprzejmy wobec Ameryki, kto chce zaszkodzić Amerykanom; wszystko, co tylko można sobie wyobrazić. Polityka obronna. Polityka gospodarcza. Ostatnio bardzo dużo mówi

się o tym, jak postępować z Hongkongiem. Zasada

„Jeden kraj, dwa systemy” doprowadziła do kłopotów z niektórymi przemysłowcami z rejonu Pekinu i Szanghaju. Uważają, że okazuje im się mniej szacunku, niż na to zasługują, to znaczy, mniej niż tym w Hongkongu i to się im nie podoba. Fang jest jednym z tych, którzy usiłują znaleźć jakiś kompromis, żeby ich zadowolić. Może mu się uda, jest bardzo sprytny w talach sprawach.

– To musi być fascynujące! Mieć dostęp do takich informacji, naprawdę wiedzieć, co się dzieje w kraju! – powiedział Nomuri z podziwem. – W Japonii nigdy nie wiemy, co robią *zaibatsu*³⁶ oraz ludzie z ich Ministerstwa Handlu Międzynarodowego i Przemysłu; oczywiście głównie rujną gospodarkę, głupcy. Ale ponieważ nikt nic nie wie, nie można nic zrobić, żeby coś zmienić, poprawić. Czy u was jest tak samo?

– Oczywiście! – Zapaliła następnego papierosa. Rozmowa wciągnęła ją tak bardzo, że niemal nie zwróciła uwagi, że nie mówią już o miłości. – Studiowałam kiedyś marksizm i myśli Mao. Wierzyłam kiedyś w to wszystko. Wierzyłam nawet, że ministrowie są ludźmi honoru, że są uczciwi, no i bez zastrzeżeń wierzyłam w to, czego uczono nas w szkole. Ale potem zobaczyłam, że armia ma własne imperium przemysłowe i że bogacą się na tym generałowie. Przekonałam się też, jak ministrowie traktują kobiety i jak meblują swoje apartamenty. Oni mają za dużo władzy. Może kobiety taka władza by nie zepsuła, ale mężczyznę na pewno.

I tu już dotarł feminizm? – pomyślał Nomuri. Może Ming była za młoda, żeby pamiętać wdowę po Mao – Jiang Qing, która mogłaby udzielać lekcji zepsucia na dworze w Bizancjum.

– Cóż, dla takich ludzi jak my to nie stanowi problemu. A ty przynajmniej masz wgląd w takie sprawy, wiesz, co się naprawdę dzieje. Jesteś naprawdę kimś wyjątkowym, Ming-chan –

powiedział Nomuri, przesuwając dłonią po jej lewym sutku. Zadrzała, jak się tego spodziewał.

– Tak myślisz?

– Oczywiście. – Teraz pocałunek, przyjemnie długi, podczas gdy ręka wędrowała po jej ciele. Był tak blisko. Powiedziała mu o wszystkich informacjach, do których miała dostęp, podała mu nawet ten pieprzony klucz deszyfrujący! Jej komputer był wyposażony w modem i podłączony do linii telefonicznej, co oznaczało, że Nomuri mógł się z nim połączyć i, za pomocą odpowiedniego oprogramowania, szperać do woli po jej twardym dysku, a mając 36 *Japońskie odpowiedniki koncernów* (przyp. tłum.)

klucz deszyfrujący, miał i dostęp do interesujących go plików, które mógł od razu przesyłać na biurko Mary Pat. Jasna cholera, najpierw mam okazję zerznąć obywatelkę chińską, a zaraz potem całe Chiny. Agent terenowy uznał, że lepiej być nie może i uśmiechnął się do sufitu.

Penetracja

Kiedy Mary Pat włączyła rano komputer, stwierdziła, że tym razem Nomuri opuścił

podniecające fragmenty. Realizacja operacji SORGE przebiegała zgodnie z planem. Ta dziewczyna, Ming, mówiła trochę za dużo. Dziwne. Czyżby MBP nie poinstruowało odpowiednio sekretarek ministrów? Mało prawdopodobne – byłoby to poważnym niedopatrzeniem. Za to prawdopodobne wydawało się, że spośród powszechnie znanych powodów, dla których ktoś dopuszczał się zdrady, bądź zostawał szpiegiem (pieniądze, ideologia, sumienie i ego), w tym wypadku w grę wchodziło ego. Młoda panna Ming była wykorzystywana seksualnie przez swojego ministra Fanga i nie podobało jej się to. Dla Mary Pat wszystko było jasne. Kobieta, zmuszana do czegoś takiego przez mężczyznę u władzy, nie była szczęśliwa, choć, jak na ironię, ów mężczyzna prawdopodobnie uważał, że czyni jej zaszczyt swą biologiczną atencją. W końcu, czyż on nie był wielkim panem, a ona chłopką?

Skrzywiła się z odrazą i sięgnęła po filiżankę z poranną kawą. Mężczyźni byli wszędzie tacy sami, bez względu na kulturę i rasę. Tak wielu myślało kutasami, zamiast mózgami. Cóż, tego tutaj drogo to będzie kosztowało, uznała wicedyrektor CIA.

Codzienny prezydencki biuletyn informacyjny zawierał informacje wywiadowcze, uzyskane przez CIA. Był przygotowywany późnym wieczorem poprzedniego dnia i drukowany wcześniej rano w mniej niż stu egzemplarzach, przy czym w ciągu dnia prawie wszystkie trafiały potem do niszczarek i do spalania. Kilka egzemplarzy, może trzy, czy cztery, odkładano do archiwów, na wypadek, gdyby coś się stało z archiwami komputerowymi. Ryan nie wiedział, gdzie mieściły się tajne archiwa. Miał nadzieję, że są dobrze strzeżone, najlepiej przez piechotę morską.

Prezydencki biuletyn nie zawierał, oczywiście, wszystkiego. Były sprawy tak tajne, że nie można było do nich dopuścić nawet prezydenta. Ryan pogodził się z tym z godnym uwagi spokojem. Nazwiska „źródeł” czyli ludzi udzielających informacji, musiały pozostać tajne nawet dla niego, a metody zdobywania informacji były często tak zaawansowane technicznie, że miałyby kłopoty z ich zrozumieniem. Ale nawet niektóre informacje, zdobyte przez CIA z anonimowych źródeł i za pomocą bardzo zawiłych metod, były czasem ukrywane przed prezydentem, ponieważ informacje te musiały pochodzić z pewnej ograniczonej liczby źródeł.

W świecie wywiadu najdrobniejsza pomyłka mogła kosztować życie bezcennego informatora i kiedy zdarzało się coś takiego, z reguły wszyscy czuli się podle, choć niektórzy politycy demonstrowali denerwującą obojętność. Dobry oficer prowadzący traktował swoich agentów jak własne dzieci, których życia należało strzec przed wszelkimi zagrożeniami. Takie podejście było potrzebne. Jeśli ktoś nie troszczył się o agentów, ludzie ginęli, a wraz z ich śmiercią ustawał dopływ informacji, o który przecież chodziło przede wszystkim.

– No, dobra, Ben – powiedział Ryan, siadając wygodniej w swoim fotelu i przerzucając kartki prezydenckiego biuletynu. – Co mamy ciekawego?

– Mary Pat ma coś w Chinach, ale nie bardzo wiem, o co chodzi. Nie pozwala sobie zajrzeć w karty. Resztę dzisiejszego biuletynu może pan sobie obejrzeć w CNN.

Co, niestety, zdarzało się dość często. Z drugiej strony, na świecie było dość spokojnie...

tak się przynajmniej wydawało, skorygował się Ryan. Pewności nigdy nie było. Tego też nauczył się w Langley.

– Może zadzwonię do niej w tej sprawie – powiedział Ryan, przewracając kartkę. – Ooo!

– Rosyjska ropa naftowa i gaz?

– Te liczby są wiarygodne?

– Tak się wydaje. Zgadza się co do joty z tym, co Kupiec przekazuje nam ze swoich źródeł.

– Aha – mruknął Ryan, szukając wynikających z tego prognoz dla rosyjskiej gospodarki.

Chwilę później zmarszczył brwi, nieco rozczarowany. – Ludzie George’a lepiej oszacowali zasoby.

– Tak pan sądzi? Ekonomiści z CIA mają całkiem niezłą opinię.

– George siedzi w tym biznesie. To więcej niż pozycja akademickiego obserwatora wydarzeń, Ben. Nie mam nic przeciw teoriom naukowym, ale pamiętaj, że rzeczywistość, to rzeczywistość.

Goodley skinął głową. – Przyjąłem do wiadomości, sir.

– W latach osiemdziesiątych CIA przeceniała gospodarkę radziecką. Wiesz, dlaczego?

– Nie, nie wiem. Coś przeoczyli?

Jack uśmiechnął się blado. – Wręcz przeciwnie. Mieliśmy wtedy agenta, który przekazywał nam te same informacje, które otrzymywało radzieckie Biuro Polityczne. Po prostu nigdy nie przyszło nam do głowy, że tamten system sam siebie okłamywał. Podstawą decyzji Biura Politycznego była złuda. Prawie nigdy nie mieli prawdziwych danych, bo ich podwładni chronili własne tyłki.

– Sądzi pan, że w Chinach jest tak samo? – spytał Goodley. – W końcu to ostatnie marksistowskie mocarstwo.

– Dobre pytanie. Zadzwon do Langley i zadaj je. Dostaniesz odpowiedź od takich samych biurokratów, jak ci w Chinach; niestety, o ile wiem, nie mamy w Pekinie agenta, który mógłby nam dostarczyć danych, jakich potrzebujemy. – Ryan przerwał i spojrzał na kominek naprzeciw biurka. Pomyślał, że musi kiedyś zlecić ludziom z Tajnej Służby rozpalenie tu prawdziwego ognia... – Nie, sądzę, że Chińczycy mają lepsze dane. Mogą sobie na to pozwolić. Ich gospodarka funkcjonuje, w pewnym sensie. Prawdopodobnie oszukują siebie samych w innych dziedzinach. Na pewno się

oszukują. To powszechna cecha ludzkiego charakteru i marksizm niewiele tu zmienia. – Nawet w Ameryce, mimo wolnej prasy i innych zabezpieczeń, rzeczywistość często wymierzała politykom siarczyste policzki, aż im zęby dzwoniły. Wszędzie trafiali się ludzie, którzy opierali swe modele teoretyczne na ideologii, a nie na faktach i ci ludzie trafiali zwykle do świata nauki lub do polityki, ponieważ rzeczywistość zawodowa weryfikowała takich marzycieli o wiele bardziej surowo niż polityka.

– Cześć, Jack – rozległ się głos od drzwi na korytarz.

– Hej, Robby. – Ryan wskazał gestem tacę z kawą. Wiceprezydent Jackson nalał sobie filiżankę, ale zrezygnował z rogalika. Jego spodnie sprawiały wrażenie trochę za ciasnych w pasie. Cóż, Robby nigdy nie wyglądał jak maratończyk. Wielu pilotów myśliwskich miało skłonności do tycia. Może bardziej korpulentne sylwetki ułatwiały radzenie sobie z przeciążeniami, pomyślał Jack.

– Przeczytałem dzisiejszy biuletyn prezydencki. Jack, Rosjanie naprawdę znaleźli taką masę ropy i złota?

– George mówi, że nawet jeszcze więcej, Rozmawiasz z nim czasem, żeby czegoś się dowiedzieć o ekonomii?

– Pod koniec tygodnia mamy rozegrać partyjkę golfa w Burning Tree; czytam Milтона Friedmana i dwie inne książki, żeby się przygotować. Wiesz, George jest całkiem bystry.

– Na tyle bystry, żeby zarobić – dosłownie – tonę pieniędzy na Wall Street, i to, cholera, w studolarowych banknotach.

– To musi być przyjemne – westchnął człowiek, który nigdy nie zarobił więcej niż 130 tysięcy dolarów rocznie, zanim objął obecne stanowisko.

– Ma swoje dobre strony, ale kawa i tutaj jest świetna.

– Kiedyś była lepsza, za czasów Wielkiego Johna.

– Kogo?

– USS „John F. Kennedy”. W czasach, kiedy ja byłem dowódcą skrzydła i robiłem różne fajne rzeczy, takie jak startowanie Tomcatem z lotniskowca.

– Robby, przyjacielu, przykro mi to mówić, ale nie masz już dwudziestu sześciu lat.

– Jack, ależ ty potrafisz poprawić humor. Zaglądałem już śmierci w oczy, ale bezpieczniej to robić, siedząc za sterami myśliwca, no i oczywiście jest to wtedy cholerna frajda.

– Co masz dziś w planie?

- Możesz mi uwierzyć, albo nie, ale muszę pojechać do Kongresu i przez parę godzin przewodniczyć posiedzeniu Senatu, tylko po to, żeby zademonstrować, że wiem, jakie są moje konstytucyjne obowiązki. A potem kolacja w Baltimore i przemówienie na temat najlepszych producentów biustonoszy – dodał z uśmiechem.
- Co? – spytał Jack, unosząc wzrok znad biuletynu. Robby miał takie poczucie humoru, że nigdy nie miało się pewności, czy akurat mówi serio.
- Zjazd producentów włókien sztucznych. Robią między innymi kamizelki kuloodporne, ale większość ich włókien idzie na produkcję biustonoszy, a przynajmniej tak mi mówią moi ludzie. Próbują wykombinować parę dowcipów do mojego przemówienia.
- Przecwicz to sobie – doradził prezydent wiceprezydentowi.
- Kiedyś uważałeś, że jestem wystarczająco zabawny – przypomniał Jackson staremu przyjacielowi.
- Rob, kiedyś myślałem, że ja też jestem wystarczająco zabawny, ale Arnie mówi mi, że jestem nie dość delikatny.
- Wiem, żadnych dowcipów o mniejszościach. Paru przedstawicielei pewnej mniejszości nauczyło się w zeszłym roku, jak się włącza telewizor, a sześciu, czy siedmiu umie nawet czytać. Oczywiście nie ma wśród nich tej dziewczyny, która nie używa już wibratora, bo obtłukiwał jej szkliwo z zębów.
- Jezu, Robby! – Ryan omal nie rozlał kawy ze śmiechu. – Takich rzeczy nie wolno nam już nawet myśleć.
- Jack, nie jestem politykiem. Jestem pilotem myśliwskim. Mam wszystko, co mi potrzeba do tej roboty: skafander lotniczy, bajerancki zegarek i jaja, rozumiesz? – powiedział wiceprezydent z uśmiechem. – I od czasu do czasu wolno mi opowiedzieć kawał.
- Doskonale, tylko pamiętaj, że to nie sala odpraw na lotniskowcu „Kennedy”. Mediom brak tego poczucia humoru, jakim odznaczają się piloci Marynarki.
- Aha, chyba że nas na czymś przyłapią. Wtedy robi się cholernie zabawnie – zauważył wiceadmirał w stanie spoczynku.
- Rob, w końcu zaczęłeś coś rozumieć. Co za szczęście. – Ryan powiedział to już do pleców ubranego w elegancki garnitur podwładnego, który na odchodne zmełł w ustach jakieś przekleństwo.
- No i co, Misza? Masz jakiś pomysł? – spytał Prowałow.

Reilly napił się wódki. – Oleg, po prostu musicie potrząsnąć drzewem i zobaczyć, co spadnie. To może być dosłownie wszystko, ale rzecz w tym, że na razie nie wiemy, co. –

Jeszcze jeden łyk wódki. – Nie sądzisz, że dwóch facetów ze Specnazu, to cholernie dużo, jak na załatwienie jednego alfonsa?

Rosjanin skinął głową, – Tak, oczywiście, zastanawiałem się nad tym, ale to był

wyjątkowo dobrze prosperujący alfons, czyż nie tak, Misza? Miał mnóstwo pieniędzy i bardzo dużo kontaktów w świecie przestępczym. Miał władzę. Może sam też zlecał

likwidowanie ludzi? Jego nazwisko nigdy nie pojawiło się w żadnej sprawie o morderstwo, ale to jeszcze nie znaczy, że Awsiejenko nie był niebezpiecznym człowiekiem, więc może zasługiwał na większy kaliber.

– A co z tym Suworowem? Macie coś więcej?

Prowałow pokręcił głową. – Nic. Mamy jego akta z KGB i fotografię, ale nawet jeśli to rzeczywiście on, jeszcze go nie znaleźliśmy.

– Cóż, Olegu Grigorijewiczu, wygląda na to, że trafiła się wam naprawdę paskudna sprawa. – Reilly uniósł rękę, żeby zamówić następną kolejkę.

– Podobno jesteś ekspertem w sprawach przestępczości zorganizowanej – przypomniał rosyjski porucznik swemu koledze z FBI.

– To prawda, Oleg, ale nie potrafię wróżyć z ręki, jak Cyganka i nie jestem Pytią. Nie wiecie jeszcze, kto był faktycznym celem zamachu i dopóki tego nie ustalicie, będziecie gównem wiedzy. Rzecz w tym, że aby się dowiedzieć, kto był celem, musicie znaleźć kogoś, kto wie coś o tej zbrodni. Jedno wiąże się z drugim, bracie. Znajdziesz jedno, masz i drugie.

A na razie nie masz nic. – Podano wódkę. Reilly zapłacił i znów sobie łyknął.

– Mój kapitan nie jest zadowolony.

Agent FBI pokiwał głową. – Tak, u nas w Biurze szefowie też tacy są, ale twój kapitan powinien wiedzieć, jakie macie problemy, prawda? Jeśli wie, to wie również, że musi ci zapewnić odpowiednie siły i środki, żebyś mógł działać. Ilu ludzi pracuje teraz nad tą sprawą?

– Tutaj sześciu i jeszcze trzech w Petersburgu.

– Może warto ściągnąć jeszcze paru? – W wydziale przestępczości zorganizowanej nowojorskiego oddziału FBI nad tego rodzaju sprawą mogłoby z powodzeniem pracować ze dwudziestu agentów, w tym połowa w pełnym wymiarze godzin. Ale moskiewskiej milicji notorycznie brakowało sił i środków. Mimo tak znacznej przestępczości w tym mieście, tutejsi gliniarze nie mogli liczyć na rządowe wsparcie. Ale mogło być gorzej. W odróżnieniu od wielu innych ludzi pracy w Rosji, milicjanci przynajmniej regularnie dostawali pobory.

- Zamęczysz mnie – zaprotestował Nomuri.
- Zawsze jest jeszcze minister Fang – odpowiedziała Ming, rzucając mu figlarne spojrzenie.
- Co! – zawołał, udając gniew. – Porównujesz mnie do tego starucha?
- Obaj jesteście mężczyznami, ale przyznaję, że wolę kiełbasę niż szparaga – odpowiedziała, delikatnie ujmując przedmiot swej preferencji w lewą rękę.
- Cierpliwości, dziewczyno, pozwól mi dojść do siebie po pierwszym wyścigu. – Uniósł ją i położył na sobie. Ona mnie naprawdę musi lubić, pomyślał. Trzy noce z rzędu.

Przypuszczam, że Fang nie jest aż tak męski, jak sądzi. Cóż, nie można mieć wszystkiego.

Nomuri miał nad nim i tę przewagę, że był o czterdzieści lat młodszy. Tak, coś w tym musi być, uznał funkcjonariusz CIA.

- Ale ty tak szybko biegasz! – zaprotestowała Ming, ocierając się o niego ciałem.
- Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Bardzo figlarne spojrzenie. – A co takiego? – spytała, podczas gdy jej ręka wyruszyła na małą wędrówkę.

- Nie to!
- Och... – W jej głosie zabrzmiało wyraźne rozczarowanie.
- Chodzi o moją pracę – wyjaśnił Nomuri. Dobrze, że nie mogła wyczuć, jaki był w tej chwili spięty, ale jakoś zdołał tego nie okazać.
- O pracę? Przecież nie mogę cię zabrać do biura, żeby robić takie rzeczy! – powiedziała ze śmiechem i pocałowała go, mocno, namiętnie.

– Chodzi o to, żeby wgrać coś do twojego komputera. – Nomuri wyjął CD-ROM z szuflady nocnej szafki. – Po prostu wsuniesz tę płytkę do napędu, klikniesz INSTALL, a potem się jej pozbędziesz.

- A czemu to ma służyć? – spytała.
- Obchodzi cię to?
- Cóż... – zawahała się. Nie rozumiała. – Musi mnie obchodzić.

– To mi pozwoli zajrzeć czasem do twojego komputera.

– Ale po co?

– Chodzi o Nippon Electric... To nasz komputer masz na biurku. – Odprężył się trochę. –

Moje przedsiębiorstwo chciałoby wiedzieć, jak w Chińskiej Republice Ludowej podejmuje się decyzje ekonomiczne – wyjaśnił Nomuri, recytując zawczasu przygotowane kłamstwo. –

To nam pozwoli trochę lepiej zrozumieć cały ten proces i będziemy mogli robić lepsze interesy. A im lepiej ja się spiszę, tym więcej będą mi płacić... i tym więcej będę mógł

wydawać na moją kochaną Ming.

– Rozumiem – powiedziała, nie wiedząc, jak bardzo jest w błędzie.

Pochylił się, żeby ucałować szczególnie miłe miejsce. Zadrżała tak, jak tego oczekiwał.

Dobrze, nie sprzeciwiła się od razu, a jej ciało reaguje tak, jak przedtem. Nomuri uznał, że sprawy układają się po jego myśli. Zastanawiał się, czy będzie miał kiedyś wyrzuty sumienia z powodu wykorzystywania tej dziewczyny w taki sposób. Ale cóż, biznes, to biznes.

– I nikt się nie dowie?

– Nie, to niemożliwe.

– I nie będę miała kłopotów?

Słyszając to pytanie, przetoczył się na łóżku i, leżąc na niej, ujął jej twarz w obie dłonie. –

Czy ja mógłbym zrobić coś, co naraziłoby moją małą Ming na kłopoty? Nigdy! – oświadczył

i poparł to namiętym pocałunkiem.

Potem nie mówili już o CD-ROM-ie, który przed wyjściem schowała do torebki. To była ładna torebka, podróbka jakiejś włoskiej marki. Takie podróbki można tu było kupić na ulicy równie łatwo, jak w Nowym Jorku oryginały, które „spadły z ciężarówki”, jak to eufemistycznie określano.

Za każdym razem, kiedy się rozstawali, nie było im łatwo. Ona nie chciała wychodzić, a i on nie chciał, żeby wychodziła, ale oboje wiedzieli, że tak trzeba. Gdyby zamieszkali razem, zaczęto by o tym mówić. Ming nie miała nawet prawa, żeby o czymś takim pomarzyć.

Spędzenie całej nocy w mieszkaniu cudzoziemca? Przecież została sprawdzona, miała dostęp do poufnych materiałów, no i została poinstruowana w sprawach bezpieczeństwa przez znudzonego funkcjonariusza MBP, wraz ze wszystkimi innymi sekretarkami, a tego kontaktu nie zgłosiła swoim

przełożonym, ani szefowi ochrony ministerstwa, chociaż powinna była...

Dlaczego tego nie zrobiła? Częściowo dlatego, że te zasady wyleciały jej z głowy, bo przecież nigdy ich świadomie nie złamała i nie znała nikogo, kto by się tego dopuścił, a częściowo dlatego, że, jak wielu ludzi, wprowadziła rozgraniczenie między swoim życiem prywatnym a pracą. Instruktaż MBP dotyczył wprawdzie i tego, że w jej wypadku nie może być mowy o takim rozgraniczeniu, ale było to przedstawione tak nieudolnie, że wszyscy od razu o tym zapomnieli. Teraz sama nie wiedziała, w co wdepnęła. Jeśli będzie miała szczęście, nigdy się nie dowie, pomyślał Nomuri, patrząc na sylwetkę Ming, znikającą za rogiem. Szczęście bardzo by się przydało. Nawet nie chciał myśleć, co funkcjonariusze MBP robią z młodymi kobietami na przesłuchaniach w pekińskiej wersji Łubianki; nie teraz, kiedy właśnie kochał

się z nią dwa razy w ciągu dwóch godzin.

– Powodzenia, kochanie – szepnął Nomuri, zamknął drzwi i poszedł do łazienki, żeby wziąć prysznic.

Rozdział 14

Dla Nomuriego była to bezsenna noc. Czy Ming to zrobi? Zrobi to, co jej powiedział?

Czy też powie o tym funkcjonariuszowi ochrony, a potem powie i o nim, Nomurim? A może zostanie przyłapana na wnoszeniu CD-ROM-u do pracy i przesłuchana? Gdyby tak się stało, to pobieżne sprawdzenie CD-ROM-u wykaże, że to zwyczajna płyta kompaktowa z nagraniami muzycznymi, muzyka Billa Contiego do filmu „Rocky”; kiepsko oznakowana piracka kopia amerykańskiej własności intelektualnej. W ChRL takie pirackie nagrania spotykało się dość powszechnie. Jednak bardziej uważna inspekcja ujawniłaby, że pierwsza, zewnętrzna ścieżka na metalizowanej powierzchni krążka informowała czytnik CD-ROM w komputerze, że należy przejść do pewnego miejsca, które zawierało nie nagranie muzyczne, lecz kod dwójkowy, i to bardzo skuteczny.

CD-ROM nie zawierał wirusa, jako że wirusy krążą głównie w sieciach komputerowych, dostając się do komputerów ukradkiem, w taki sposób, jak rzeczywiste wirusy infekują żywe organizmy (stąd zresztą wzięła się nazwa „wirus komputerowy”). Program na CD-ROM-ie wchodził frontowymi drzwiami. Kiedy został odczytany, na ekranie pojawił się napis INSTALL, a Ming, rozejrzawszy się ukradkiem po swym biurze, najechała na niego kursorem, kliknęła i napis natychmiast zniknął. Zainstalowany w ten sposób program przeszukał twardy dysk jej komputera nieomal z prędkością światła, skatalogował po kolei każdy plik i stworzył własny indeks, który następnie skompresował i ukrył, zapisując go na dysku pod zupełnie niewinną nazwą, związaną z funkcją, wykonywaną przez zupełnie inny program. Tylko bardzo wnikliwa i bezpośrednia kontrola, przeprowadzona przez fachowca od komputerów, mogłaby ujawnić, że w ogóle coś tam było. Co dokładnie robił ten program, można było ustalić tylko na podstawie jego kodu, co nie było łatwym zadaniem. To tak, jakby ktoś próbował ustalić, co jest nie w porządku z jakimś liściem w ogromnym lesie, w którym wszystkie drzewa i wszystkie liście wyglądały prawie tak samo, z wyjątkiem tego, że ten konkretny liść był mniejszy i skromniejszy niż pozostałe. CIA i ABN nie były już atrakcyjnymi pracodawcami dla najlepszych programistów w Ameryce. W branży urządzeń elektronicznych powszechnego użytku było za dużo pieniędzy, żeby rząd mógł z nią skutecznie konkurować w warunkach gospodarki rynkowej. W dalszym ciągu można było wynająć programistów do konkretnych zadań, z których wywiązywali się tak samo dobrze, jakby byli etatowymi pracownikami. I jeśli im się dobrze zapłaciło – dziwne, ale wykonawcy umowy-zlecenia można było zapłacić o wiele więcej niż etatowemu pracownikowi – z nikim na ten temat nie rozmawiali. Zresztą, tak naprawdę nie mieli przecież pojęcia, o co w tym wszystkim chodziło, czyż nie tak?

W tym wypadku dochodził jeszcze jeden poziom złożoności, datujący się sprzed ponad sześćdziesięciu lat. Kiedy Niemcy zajęli Holandię w 1940 roku, wytworzyła się tam dziwna sytuacja. Holandia okazała się dla Niemców zarówno najbardziej skłonny do współpracy z podbitych krajów, jak i krajem, stawiającym najzacieklejszy opór. W stosunku do liczby ludności, do Niemców przyłączyło się więcej Holendrów niż obywateli jakiegokolwiek innego kraju – tylu, że utworzyli własną dywizję Waffen SS „Nordland”. Równocześnie holenderski ruch oporu stał się najskuteczniejszy w Europie, a jednym z jego bojowników był

świetny matematyk i inżynier, zatrudniony w holenderskiej telefonii. W drugiej dekadzie dwudziestego wieku ówczesny telefon wyczerpał swe możliwości. Telefonowało się wtedy w ten

sposób, że abonent był po podniesieniu słuchawki łączony z telefonistką, której podawał, z kim chce rozmawiać, a ona wkładała wtyczkę w odpowiednie gniazdo. Kiedy telefonów była jeszcze mało, system ten sprawdzał się w praktyce, ale jego popularność rosła za szybko w stosunku do ograniczonych możliwości technicznych. Problem ten rozwiązał, rzecz ciekawa, pracownik pewnego zakładu pogrzebowego na Południu Stanów Zjednoczonych.

Zirytowany tym, że telefonistka w jego mieście łączyła pogrążonych w żałobie z konkurencyjnym zakładem pogrzebowym, wynalazł urządzenie zwane obrotowym wybierakiem skokowym, umożliwiające ludziom samodzielne połączenie się z pożądanym numerem przez zwyczajne wykręcenie go na tarczy. Ten system dobrze służył światu, ale też wymagał rozwinięcia zupełnie nowej wiedzy matematycznej, zwanej teorią złożoności, którą usystematyzowała amerykańska firma AT&T w latach trzydziestych.

Dziesięć lat później, wprowadzając jedynie dodatkowe cyfry do wybierania, holenderski matematyk i inżynier w ruchu oporu zastosował teorię złożoności do konspiracyjnych operacji, tworząc teoretyczne „szlaki” przez centrale telefoniczne, dzięki czemu bojownicy ruchu oporu mogli się łączyć z innymi, nie znając ich tożsamości, ani nawet ich numerów telefonów.

Tę elektroniczną sztuczkę jako pierwszy zauważył pewien oficer wywiadu brytyjskiego, uznał, że jest bardzo pomysłowa i porozmawiał sobie o niej przy piwie ze swym amerykańskim kolegą w którymś z londyńskich pubów. Amerykanin, funkcjonariusz OSS37, 37 *Office of Strategic Studies - Biuro Studiów Strategicznych; w czasie drugiej wojny światowej OSS było odpowiedzialne za zbieranie i analizowanie danych wywiadowczych z wrogiego obszaru, prowadzenie działalności dezinformacyjnej, jak również kontrpropagandy na obszarach wroga oraz wykonywanie działań specjalnych za jego liniami, takich jak sabotaż i współpraca z ruchem oporu na terytoriach okupowanych (przyp.*

tłum.)

był z zawodu prawnikiem, jak większość tych, których wybrał „Dziki Bill” Donovan³⁸ i to bardzo skrupulatnym prawnikiem, który wszystko zapisał i przekazał przełożonym. Meldunek o holenderskim inżynierze trafił do biura pułkownika Williama Friedmana, najwybitniejszego amerykańskiego łamacza szyfrów. Friedman, choć sam nie był inżynierem, potrafił docenić przydatność nowego rozwiązania. Wiedział też, że wojna kiedyś się skończy i że po wojnie jego agencja – odrodzona później jako Agencja Bezpieczeństwa Narodowego – wciąż będzie miała pełne ręce roboty, łamiąc szyfry i kody innych krajów oraz opracowując własne.

Możliwość tworzenia tajnych łączy telekomunikacyjnych dzięki dość prostej sztuczce matematycznej wydawała się być podarunkiem Niebios.

W latach czterdziestych i pięćdziesiątych ABN zdołała zatrudnić najlepszych amerykańskich matematyków, a jednym z zadań, które im powierzono, była współpraca z AT&T przy tworzeniu uniwersalnego systemu łączności telefonicznej, z którego potajemnie mogliby korzystać amerykańscy funkcjonariusze wywiadu. W tamtym okresie AT&T była jedyną rzeczywistą rywalką ABN w

pozyskiwaniu wytrawnych matematyków, a ponadto AT&T zawsze w pierwszej kolejności otrzymywała zamówienia praktycznie od wszystkich agend rządowych. W 1955 roku projekt został zrealizowany i AT&T zaoferowała całemu światu, za zaskakująco niewielką opłatą, nowy standard telefonii i większość świata skorzystała z oferty; umiarkowane koszty wytłumaczono dążeniem AT&T do zapewnienia kompatybilności tego standardu z systemami telefonicznymi we wszystkich krajach w celu usprawnienia łączności międzynarodowej. W latach siedemdziesiątych pojawiły się telefony z przyciskami zamiast tarcz, wybierające numery elektronicznie, za pomocą dźwięków o odpowiedniej częstotliwości, z którymi znacznie łatwiej radziły sobie systemy elektroniczne i które były nieporównywalnie bardziej niezawodne niż dawne obrotowe wybieraki skokowe, na których wspomniany pracownik zakładu pogrzebowego dorobił się ogromnego majątku.

Okazały się też dla AT&T łatwiejsze do przystosowania do potrzeb ABN. Pierwszy system operacyjny, przekazany światu przez laboratorium AT&T w Parsippany w stanie New Jersey, był aktualizowany co najmniej raz do roku, zwiększając sprawność światowej łączności telefonicznej do tego stopnia, że niewiele było firm telekomunikacyjnych, które z niego nie korzystały. A w tym systemie operacyjnym ukryte było sześć linii kodu dwójkowego, którego koncepcja wywodziła się z czasów hitlerowskiej okupacji Holandii.

Ming zakończyła instalację, wysunęła dysk i wyrzuciła go do kosza na śmieci. Zamiast ukradkiem usuwać tajne materiały, łatwiej jest pozostawić pozbycie się ich przeciwnikowi.

Nic się szczególnego nie działo przez kilka następnych godzin, kiedy Ming wykonywała swe normalne prace biurowe, a Nomuri odwiedził trzy różne firmy, reklamując swoje nowoczesne i wydajne komputery. Wszystko zmieniło się o 19.45.

Ming była już wtedy u siebie w domu. Nomuri był tego wieczora sam; Ming musiała spędzić trochę czasu z koleżanką, z którą wspólnie mieszkała, żeby uniknąć zbyt wielu 38 *William „Dziki Bill” Donovan (1883-1959), w czasie drugiej wojny światowej dyrektor OSS (przyp. tłum.)* podejrzeń – pooglądać telewizję, pogadać z przyjaciółką i myśleć o swoim kochanku.

Delikatny uśmiech pojawiał się jej teraz na twarzy zupełnie bez udziału świadomości.

Dziwne, ale nie przyszło jej do głowy, że jej współlokatorka od razu się we wszystkim zorientowała i tylko z grzeczności nie poruszała tego tematu.

W jej biurze komputer NEC już dawno przeszedł automatycznie w stan uśpienia. Ekran wygasił się, a lampka kontrolna na dole po prawej stronie w plastikowej obudowie monitora zmieniła kolor z zielonego, sygnalizującego aktywność, na bursztynowy. Program, który zainstalowała tego dnia, był napisany specjalnie dla komputerów NEC, które, jak wszystkie takie komputery, miały specyficzną, zastrzeżoną dla danej marki odmianę systemu operacyjnego. Te szczegóły знаła jednak Agencja Bezpieczeństwa Narodowego. Natychmiast po instalacji, program „Duch”, jak go ochrzczono w Fort Meade w Marylandzie, okopał się w specjalnej niszy w systemie operacyjnym NEC, który był najnowszą wersją Microsoft Windows. Niszę stworzył pracownik Microsoftu, którego ukochany wujek zginął nad Wietnamem Północnym podczas lotu myśliwcem bombardującym F-105. Pracownik ten wykonał swą patriotyczną pracę bez wiedzy macierzystej firmy. Ta nisza była idealnie dopasowana do specyfiki komputera NEC i w efekcie praktycznie niewidoczna nawet dla

wytrawnego programisty, który analizowałby linia po linii kody wszystkich programów w tym komputerze.

„Duch” natychmiast zabrał się do pracy, tworząc katalog, w którym pliki, zapisane na twardym dysku komputera Ming, zostały posortowane najpierw według daty utworzenia, bądź modyfikacji, a następnie według rodzajów. Niektóre pliki, na przykład należące do systemu operacyjnego, „Duch” zignorował, podobnie jak stworzony przez NEC program transkrypcji, który przetwarzał litery alfabetu łacińskiego, a właściwie angielskie fonemy mówionego dialektu mandaryńskiego, na odpowiednie ideogramy pisma chińskiego. „Duch”

nie zignorował natomiast plików graficzno-tekstowych, które były rezultatem działania tego programu. Skopiował je, wraz ze spisami telefonów i innymi plikami tekstowymi, zapisanymi na twardym dysku o pojemności pięciu gigabajtów. Cała ta operacja zajęła komputerowi, wykonującemu polecenia „Ducha”, 17,4 sekundy, a jej rezultatem był jeden nowy, wielki plik.

Przez następne półtorej sekundy komputer nie robił nic, ale potem rozpoczął nową działalność. Komputery stacjonarne NEC miały wbudowane szybkie modemy. „Duch”

uaktywnił modem, a jednocześnie wyłączył jego miniaturowy głośnik, żeby nikt nie mógł

usłyszeć, że prowadzona jest transmisja danych. (Pozostawienie włączonego głośniczka było podstawowym środkiem bezpieczeństwa. Migające diody, sygnalizujące aktywność modemu były niewidoczne, ponieważ modem był wbudowany w komputer). Następnie komputer wykręcił numer (to określenie przetrwało jakoś, choć dawno już znikły tradycyjne tarcze aparatów telefonicznych). Był to numer, składający się z dwunastu cyfr, choć w Pekinie numery telefoniczne były siedmiocyfrowe. Te dodatkowe pięć cyfr wysłało specjalny sygnał

do skomputeryzowanej centrali telefonicznej, skąd dotarł do miejsca, wyznaczonego dwa tygodnie wcześniej przez specjalistów z Fort Meade, którzy, oczywiście, nie mieli pojęcia, po co to wszystko i dla kogo. Zgłosiła się dedykowana linia modemowa, której kabel wychodził

ze ściany tuż koło biurka Chestera Nomuriego i kończył się na tylnej ścianie jego bardzo nowoczesnego laptopa; laptop nie był produkcji NEC, ponieważ w wypadku tego rodzaju sprzętu, podobnie jak większości aplikacji komputerowych, wciąż najlepsze były produkty amerykańskie.

Nomuri też oglądał w tej chwili telewizję, tyle że wiadomości ze świata na kanale CNN, żeby wiedzieć, co się dzieje w Stanach. Potem zamierzał się przełączyć na japoński kanał

satelitarny, bo było to częścią jego „przykrywki”. Tej nocy szedł jego ulubiony serial o samurajach, tematyką i prostotą przypominający seriale westernowe, które zaśmiecały amerykańską telewizję w latach pięćdziesiątych. Choć był człowiekiem wykształconym oraz zawodowym funkcjonariuszem wywiadu, Nomuri lubił bezmyślną rozrywkę, tak jak wszyscy.

Odwrócił głowę, kiedy usłyszał krótki, wysoki sygnał dźwiękowy. Chociaż w jego komputerze

zainstalowany był program podobny do tego w komputerze Ming, Nomuri nie wyłączył dźwiękowej sygnalizacji odbioru danych. Wprowadził z klawiatury trójznakowe hasło i ekran rozjaśnił się, wyświetlając dokładne informacje, co i skąd przychodzi.

Tak! Zachwycony funkcjonariusz CIA uderzył się prawą pięścią w otwartą lewą dłoń tak mocno, że aż zabołało. Miał swoją agentkę i materiały, uzyskane w ramach operacji SORGE.

Pasek w górnej części ekranu wskazywał, że dane napływały z prędkością 57.000 bitów na sekundę. Niezła szybkość. Teraz pozostawało mieć nadzieję, że telefonia komuchów nie będzie miała awarii na odcinku między biurem Ming a centralą telefoniczną, oraz między centralą a jego mieszkaniem. Chester nie przewidywał tu większych problemów, linia telefoniczna z biura Ming powinna być pierwszej klasy, ponieważ obsługiwała arystokrację partyjną. Odcinek między centralą a jego mieszkaniem też był w porządku, ponieważ otrzymał już tą drogą wiele wiadomości, głównie z NEC w Tokio, z gratulacjami za przekroczenie planu sprzedaży.

No tak, Chet, jesteś całkiem niezłym handlowcem, co? – pogratulował sobie, idąc do kuchni. Uznał, że zasłużył sobie na drinka. Kiedy wrócił, zobaczył, że pobieranie danych jeszcze się nie skończyło.

Jasna cholera! Ile ona mi tego przysłała? Zaraz jednak uzmysłowił sobie, że dokumenty, które właśnie otrzymywał, były nie plikami tekstowymi, lecz graficznymi, ponieważ komputer Ming nie przechowywał ideogramów pisma chińskiego jako liter, lecz jako rysunki, którymi zresztą były. A pliki graficzne były zdecydowanie większe od plików tekstowych. O

tym, jak były duże, przekonał się czterdzieści minut później, kiedy pobieranie danych wreszcie się zakończyło.

Na drugim końcu tego elektronicznego łącza program „Duch” sam się zamknął, a właściwie przeszedł w stan uśpienia, przypominający trochę sen psa, który jedno ucho ma przez cały czas uniesione i jest zawsze świadom, co dzieje się dookoła. Po zakończeniu transmisji, „Duch” zrobił adnotację w swoim wewnętrznym indeksie plików. Wysłał

wszystko, łącznie z plikami z tego dnia. Od tej pory miał już wysyłać tylko nowe pliki – ich przesyłanie powinno trwać znacznie krócej – ale tylko wieczorami, tylko po dziewięćdziesięciu pięciu minutach całkowitej bezczynności komputera, i tylko, kiedy komputer będzie się znajdował w stanie uśpienia. Wszystkie te środki ostrożności „Duch”

miał w sobie zaprogramowane.

– Cholera! – mruknął Nomuri, spoglądając na rozmiar ściągniętego pliku. Był tak wielki, że mógłby chyba pomieścić pornograficzne zdjęcia wszystkich dziwek z Hongkongu. Ale praca Nomuriego jeszcze się nie skończyła. Uruchomił własny program i z okna dialogowego wybrał pozycję WŁAŚCIWOŚCI. Opcja AUTOSZYFROWANIE była już tam zaznaczona.

W jego komputerze i tak praktycznie wszystko było zaszyfrowane, co zawsze mógł

wytłumaczyć, powołując się na tajemnice handlowe – firmy japońskie są znane z utrzymywania w

tajemnicy szczegółów swej działalności – ale niektóre pliki były zaszyfrowane bardziej niż inne. Te, które dostarczył „Duch”, zostały zaszyfrowane szczególnie solidnie, przy użyciu algorytmu z 512-bitowym kluczem i dodatkowym elementem losowym, którego nawet Nomuri nie mógł skopiować. Dochodziło do tego jeszcze numeryczne hasło Nomuriego, 51240, czyli numer ulicy i numer domu jego pierwszej dziewczyny w Los Angeles. Teraz należało przesłać „urobek”.

Ten program był bliskim krewniakiem „Ducha” w komputerze Ming. Wdzwaniał się jednak do miejscowego dostawcy usług internetowych i wysyłał dłuższą wiadomość e-mailem na adres patsbakery@brownienet.com. Oficjalnie „brownienet” był siecią, zorganizowaną dla piekarni i piekarzy³⁹, zawodowców i amatorów, którzy chętnie wymieniali przepisy i często umieszczali w sieci zdjęcia swych wypieków, tak, żeby inni mogli je sobie ściągnąć, co było wytłumaczeniem transferów wielkich plików. Wiadomo, że cyfrowy zapis fotografii wymaga ogromnej liczby bitów i miejsca na twardym dysku.

Mary Patricia Foley umieściła nawet w „brownienet” swój własny przepis na pyszną szarlotkę, wraz ze zdjęciem, które jej starszy syn zrobił swoim cyfrowym aparatem fotograficznym Apple. Chodziło jej przy tym nie tyle o stworzenie sobie dobrej legendy, co o zaspokojenie kobiecej dumy z własnych umiejętności kucharskich, rozbudzonej, kiedy pewnej nocy spędziła godzinę na przeglądaniu przepisów, umieszczonych w sieci przez innych. Kilka tygodni wcześniej wypróbowała przepis jakiejś kobiety z Michigan i uznała, że jest w porządku, ale nie rewelacyjny. W nadchodzących tygodniach zamierzała wypróbować kilka przepisów na chleb, które wyglądały obiecująco.

Był już ranek, kiedy Nomuri wysłał swego e-maila do Piekarni Pat, całkiem realnej, legalnej firmy, znajdującej się o trzy przecznice od siedziby władz stanowych w Madison w *39 Brownie - czekoladowe ciasteczko z orzechami; patsbakery sieciowa wersja nazwy Piekarnia Pat (przyp. tłum.)*

stanie Wisconsin i należącej do byłej funkcjonariuszki CIA z Wydziału Nauki i Techniki, obecnie emerytki i babci, ale za młodej, żeby spędzać czas na robieniu na drutach. Ta funkcjonariuszka założyła domenę internetową, wnosząc nominalną opłatę, po czym zapomniała o tym, tak jak zapomniała o prawie wszystkim, co kiedykolwiek robiła w Langley.

– Masz pocztę – powiedział komputer, kiedy MP uruchomiła aplikację internetową, wykorzystującą nowy program Pony Express do obsługi e-maila. Wydała polecenie „pobierz pocztę” i zobaczyła, że nadawcą jest cgood@jadecastle.com. Nazwa użytkownika pochodziła z westernu „Gunsmoke”, w którym pomocnikiem szeryfa Dillona był inwalida Chester Good.

POBIERANIE, informował napis w okienku na ekranie. Była też szacunkowa informacja, ile czasu to pobieranie potrwa. 47 minut...!

– O, cholera! – mruknęła wicedyrektor CIA i podniosła słuchawkę telefonu. Wcisnęła klawisz i po

chwili odpowiedział właściwy głos. – Ed, powinieneś to zobaczyć...

– W porządku, kochanie, za chwilę.

Dyrektor CIA wszedł, trzymając w ręku kubek z poranną kawą. Zobaczył, że jego małżonka (od dwudziestu trzech lat) siedzi z głową odwróconą od ekranu komputera. Rzadko się zdarzało, żeby Mary Pat odwracała się od czegoś. Po prostu nie leżało to w jej naturze.

– Od naszego japońskiego przyjaciela? – spytał Ed żonę.

– Tak by się wydawało – odpowiedziała MP.

– Ile tego jest?

– Wygląda na to, że bardzo dużo. Chester musi być naprawdę dobry w łóżku.

– Kto go szkolił?

– Ktokolwiek to był, musimy go ściągnąć za łeb na Farmę, żeby podzielił się swoimi umiejętnościami. A propos – dodała innym tonem, podnosząc wzrok, żeby spojrzeć mężowi w oczy – może mógłbyś nadzorować te zajęcia, kochanie?

– Masz mi coś do zarzucenia?

– Zawsze można coś udoskonalić, a poza tym... niech będzie, ja też muszę zrzucić parę kilo – dodała, żeby pozbawić go okazji do ciętej odpowiedzi. Nie cierpiał tego. Ale nie teraz.

Teraz pogłaskał ją delikatnie po twarzy. Napis na ekranie informował, że do zakończenia pobierania poczty pozostały trzydzieści cztery minuty.

– Kim jest ten facet z Fort Meade, który stworzył „Ducha”?

– Chyba wynajęli kogoś z firmy zajmującej się gramami komputerowymi – odpowiedziała pani Foley. – Zapłacili mu za tę robotę czterysta pięćdziesiąt kawałków. – Było to więcej niż dyrektor i wicedyrektor CIA zarabiali łącznie w ciągu roku, z uwagi na ograniczenia płac w strukturach federalnych, nie zezwalające, żeby jakikolwiek pracownik tych struktur zarabiał

więcej niż członek Kongresu, a kongresmani bali się podnosić sobie uposażenia, żeby nie narazić się wyborcom.

– Daj mi znać, kiedy już to wszystko ściągniesz, mała.

– Kto jest naszym najlepszym specjalistą od Chin?

– Joshua Sears, doktor z Berkley, kieruje sekcją chińską w Wydziale Wywiadu. Ale podobno ten

facet z ABN jest lepszy, jeśli chodzi o niuanse językowe. Nazywa się Victor Wang – powiedział dyrektor CIA.

– Możemy mu zaufać?- spytała MP. Nieufność wobec ludzi chińskiego pochodzenia osiągnęła znaczny poziom w amerykańskim aparacie bezpieczeństwa.

– Cholera, nie wiem. W końcu komuś trzeba ufać, a Wang przechodził testy na poligrafie dwa razy do roku przez ostatnie osiem lat. Ci komunistyczni Chińczycy nie mogli przecież przekabacić wszystkich Amerykanów chińskiego pochodzenia, których zatrudniamy. Ten Wang jest Amerykaninem trzeciego pokolenia, był oficerem Sił Powietrznych i zajmował się tam wywiadem elektronicznym, ale najwidoczniej praca w bazie lotniczej Wright-Patterson przestała mu wystarczać, a teraz wyrobił sobie świetną opinię w ABN. Tom Potter mówi, że jest bardzo dobry.

– W porządku, pozwól, że najpierw sama się temu przyjrzę, potem damy to Searsowi, a dopiero w następnej kolejności, jeśli zajdzie taka konieczność, porozmawiamy z tym Wangiem. Pamiętaj, Eddie, na końcu tego wszystkiego jest nasz funkcjonariusz Nomuri i cudzoziemka...

Mąż przerwał jej machnięciem ręki. – Tak, mała, wiem. Oboje wiemy z własnego doświadczenia. – Prawdopodobieństwo, że mógłby o tym zapomnieć, było równie znikome, jak w wypadku jego żony. Utrzymanie agentów przy życiu było dla agencji wywiadowczej tak samo ważne, jak zachowanie kapitałów dla inwestora.

Mary Pat ignorowała swój komputer przez następne dwadzieścia minut, zajmując się w tym czasie rutynowymi meldunkami, przyniesionymi przez posłańca z Merkurego, z piwnicy budynku Starej Centrali. Było to dość uciążliwe, ale konieczne, ponieważ CIA miała agentów i prowadziła operacje na całym świecie... a przynajmniej próbowała, poprawiła się w myślach Mary Pat. Jej zadaniem było odbudowanie Wydziału Operacyjnego, przywrócenie zdolności pozyskiwania informacji od ludzi, w znacznej mierze zniszczonej w latach siedemdziesiątych.

Odbudowa szła powoli. Zadanie było trudne, nawet dla eksperta w dziedzinie pracy w terenie.

Ale Chester Nomuri był jednym z jej ulubieńców. Zwróciła na niego uwagę na Farmie kilka lat temu i dostrzegła w nim ten talent, ten dar, tę motywację. Szpiegostwo było dla niego taką profesją, jak kapłaństwo, czymś ważnym dla kraju, a jednocześnie dobrą zabawą, taką samą, jak dla Jacka Niklausa trafienie w dołek z piętnastu metrów na polu golfowym Augusta.

Nomuri był przy tym inteligentny i sprytny; Mary Pat pomyślała wtedy, że będzie mógł wiele zdziałać. Teraz Nomuri najwyraźniej spełniał pokładane w nim nadzieje, i to jak... Po raz pierwszy CIA miała wtyczkę w Biurze Politycznym komunistycznych Chin, a to już było naprawdę coś. Chyba nawet Rosjanie nie mieli kogoś takiego, chociaż nie można było mieć pewności, a ktoś, kto obstawiałby zakład przeciw rosyjskim służbom wywiadowczym, mógł

stracić duże pieniądze.

– Gotowe – obwieścił wreszcie elektronicznym głosem komputer. MP obróciła się na swym obrotowym krześle. Najpierw zrobiła kopię zapasową ściągniętego właśnie pliku na drugim twardym

dysku, a potem na jeszcze jednym, który nazywali „grzanką”, bo wkładało się go do obudowy i wyjmowało jak grzankę z testera. Kiedy się z tym uporała, wprowadziła z klawiatury klucz deszyfrujący, 51240. Nie miała pojęcia, dlaczego Nomuri wybrał akurat tę liczbę, ale nie musiała tego wiedzieć, pod warunkiem, że nikt inny też nie wiedział. Kiedy wprowadziła te pięć cyfr i nacisnęła klawisz ENTER, na ekranie zmieniły się ikony, symbolizujące pliki. Ikony były już wylistowane⁴⁰. MP wybrała najstarszą. Wyświetliła się strona, pełna chińskich znaków. MP podniosła słuchawkę i wcisnęła klawisz, łączący z sekretarką. – Doktor Joshua Sears, sekcja chińska. Poproś go, żeby zaraz do mnie przyszedł.

Potrwało to sześć wlokących się bez końca minut. Mary Patricia Kaminsky Foley aż drżała, czekając w napięciu, co nie zdarzało się jej często. Obraz na ekranie wyglądał jak efekt zamoczenia łąp w atramencie kilku pijanym kogutom i przegnania ich po płachcie papieru, ale były w nim zawarte słowa i myśli. Tajne słowa i skrywane myśli. Obraz na ekranie dawał możliwość dowiedzenia się, co myślą przeciwnicy. Mając takie możliwości, można by bez trudu wygrać pokerowe mistrzostwa świata w Los Angeles, ale to tutaj było o całe niebo ważniejsze. To było coś, dzięki czemu wygrywało się wojny i sprowadzało historię ze szlaków, wytyczonych przez najważniejsze osobistości, i na tym polegała wartość szpiegostwa, cały sens istnienia służb wywiadowczych, bo od takich rzeczy zależały losy całych narodów...

...co znaczyło, że losy narodów zależały od kutasa Chestera Nomuriego i sprawności, z jaką się nim posługiwał, pomyślała pani Foley. Ten świat zupełnie zwariował. Jak, u diabła, historycy mogli się w tym w ogóle połapać? Jak przekazać znaczenie uwiedzenia jakiejś bezimiennej, prostej sekretarki, która tylko zapisywała myśli kogoś ważnego, ale, ponieważ została zwerbowana, udostępniała te myśli innym, a przez to zmieniała bieg historii równie nieuchronnie, jak obrócenie steru zmieniało kierunek ruchu statku. Dla Mary Pat, wicedyrektor CIA (ds. operacyjnych) była to chwila spełnienia, porównywalna z narodzinami jej dzieci. Jej cała *raison d’etre*⁴¹ znajdowała się w tych czarno-białych chińskich znakach na ekranie... a ona nie potrafiła tego odczytać. Mogłaby wyklądać literaturę rosyjską na Uniwersytecie Łomonosowa, ale po chińsku znała tylko *chop suey* i *moo goo gai pan*⁴².

– Pani Foley? – W drzwiach pojawiła się czyjaś głowa. – Jestem Josh Sears. – Miał pięćdziesiąt lat, był wysoki, tracił włosy, a te, które mu zostały, były w większości siwe.

Brazowe oczy. Pewnie trochę za często zaglądał do stołówki na dole, pomyślała wicedyrektor CIA.

⁴⁰ Rozmieszczone na ekranie w formie spisu, sporządzonego według określonych kryteriów (przyp. tłum.) ⁴¹ Racja bytu (przyp. tłum.)

⁴² Nazwy popularnych dań kuchni chińskiej (przyp. tłum.)

– Proszę, niech pan wejdzie, doktorze Sears. Chciałabym, żeby mi pan coś przetłumaczył.

– Oczywiście – odparł, przysunął sobie krzesło i usiadł wygodnie. Obserwował Mary Pat, która wyjęła kilka kartek z laserowej drukarki i podała mu je.

– Co my tu mamy? Data: 21 marca; miejsce: Pekin... hm... gmach Rady Ministrów?

Minister Fang rozmawia z ministrem Zhangiem. – Sears przebiegł wzrokiem kartkę. – Pani Foley, to niesamowity materiał. Rozmawiają o możliwości zajęcia przez Iran... nie, przez dawną Zjednoczoną Republikę Islamską... wszystkich pól naftowych nad Zatoką Perską i o tym, co by to oznaczało dla Chin. Zhang wydaje się być optymistą, ale ostrożnym. Fang jest sceptyczny... och, to coś w rodzaju *aide-memoire*, prawda? Notatki Fanga z prywatnej rozmowy z Zhangiem.

– Mówią coś panu te nazwiska?

– Obaj są ministrami bez teki. Obaj są członkami Biura Politycznego, bez konkretnych obowiązków ministerialnych. To znaczy, że obaj cieszą się zaufaniem przewodniczącego, premiera ChRL Xu Kun Piao. Znają się od ponad trzydziestu lat, jeszcze z czasów Mao i Czou En-laja. Jak pani wie, Chińczycy cenią sobie dłuższe znajomości. Nie chodzi o przyjaźń w naszym rozumieniu tego pojęcia, ale właśnie o znajomości. Wygodnie im z tym. Znają się na wylot, jak partnerzy od karcianego stolika. Wiedzą, co który myśli i jakie ma możliwości.

Gra w karty jest w takich warunkach przyjemna. Wygrane może nie są wielkie, ale jeśli się przegra, też nie traci się ostatniej koszuli.

– Wolą nie ryzykować zbyt wiele, tak?

– Ten dokument o tym świadczy. Tak, jak podejrzewaliśmy, ChRL popierała ajatollaha Daryaei’ego, ale nie pozwolili, żeby opinia publiczna się o tym dowiedziała.

Z pobieżnej lektury tego tekstu wynika, że to ten Zhang przeforsował chińskie poparcie...

podobnie jak w wypadku tego, co zrobili Japończycy. Próbujemy dowiedzieć się czegoś więcej o tym Zhangu, a także o Fangu, ale bez większego powodzenia. Co powinienem o tym wiedzieć? – spytał, unosząc kartkę.

– Chodzi o słowo kodowe – odpowiedziała MP. Zgodnie z przepisami federalnymi, najwyższy stopień tajności określało się mianem „ściśle tajne”, ale w rzeczywistości były sprawy jeszcze tajniejsze, nazywane „programami specjalnymi”, oznaczane słowami kodowymi. – To tutaj nazywa się SORGE. – Nie musiała dodawać, że nie wolno mu z nikim rozmawiać na ten temat, że nawet sny na ten temat są zabronione. Nie musiała też dodawać, że dla Searsa operacja SORGE była szansą na znaczną poprawę pozycji w panteonie biurokracji CIA.

– W porządku. – Sears skinął głową. – Co może mi pani powiedzieć?

– Mamy tu notatki z rozmów Fanga z Zhangiem, a prawdopodobnie także z innymi ministrami. Znaleźliśmy sposób na włamanie się do miejsca, w którym gromadzą te dokumenty. Wierzmy, że są to dokumenty prawdziwe – zakończyła MP. Sears musiał, oczywiście, wiedzieć, że zostaje wprowadzony w błąd w kwestii źródeł i metod, ale tego się należało spodziewać. Jako wysoki ranga

pracownik sekcji chińskiej, był odpowiedzialny za analizowanie informacji, dostarczanych mu z różnych źródeł, w tym wypadku z Wydziału Operacyjnego. Gdyby dostał złe informacje, jego analiza też byłaby nietrafiona, ale pani Foley dała mu właśnie do zrozumienia, że nie będzie mu się czynić zarzutu, gdyby informacje miały się okazać nieścisłe. Zamierzał oczywiście zakwestionować autentyczność tych dokumentów w jednej czy dwóch notatkach do użytku wewnętrznego, tak na wszelki wypadek.

– Skoro tak, proszę pani, to mamy tu do czynienia z czystą nitrogliceryną.

Podejrzewaliśmy coś takiego, a teraz mamy potwierdzenie. To oznacza, że prezydent Ryan postąpił słusznie, nawiązując stosunki dyplomatyczne z Tajwanem. Pekin sam się o to prosił.

Spiskowali, żeby rozpętać wojnę, a ponieważ zostaliśmy w nią wciągnięci, można powiedzieć, że spiskowali przeciw nam. Założę się, że zrobili to dwukrotnie. Zobaczmy, czy któryś z tych dokumentów nawiązuje do tej japońskiej awantury. Jak pani pamięta, przemysłowcy japońscy wskazywali konkretnie na udział Zhanga. To jeszcze nie sto procent pewności, ale jeśli uzyskamy potwierdzenie z tych materiałów, będziemy mieć dowody niemal tak dobre, że można by z nimi iść do sądu. Pani Foley, to naprawdę niesamowite źródło.

– A pańska ocena?

– To sprawia autentyczne wrażenie – powiedział analityk, jeszcze raz przebiegając wzrokiem po kartce. – Wygląda na rozmowę. Nie wyczuwa się tu ostrożności, to nie jest język dyplomacji, czy nawet wystąpienia na zamkniętym posiedzeniu rządu. Wydaje się więc, że faktycznie mamy do czynienia z notatkami z prywatnej, nieformalnej dyskusji politycznej między dwoma wysokimi rangą kolegami.

– Jest jakiś sposób, żeby to zweryfikować? – spytała następnie MP. Natychmiastowe potrząśnięcie głową. – Nie, niewiele wiemy o tych dwóch. Jeśli chodzi o Zhanga, dysponujemy oceną sekretarza Adlera... wie pani, z czasów tej wahadłowej dyplomacji po zestrzeleniu Airbusa... w znacznej mierze potwierdzającą to, co Yamata powiedział japońskiej policji i naszej FBI o tym, jak Chińczycy popchnęli ich do konfliktu z nami i jaki mieli w tym cel. ChRL pożądliwie spogląda na Wschodnią Syberię – przypomniał jej Sears, demonstrując swą wiedzę o celach polityki Pekinu. – Jeśli chodzi o Fang Gana, mamy tylko zdjęcia, przedstawiające go, kiedy popija *mao-tai* na przyjęciach w tym swoim mundurku Mao, uśmiechając się łagodnie, jak oni wszyscy. Wiemy, że jest w zażyłych stosunkach z Xu, mówi się, że lubi się zabawiać z sekretarkami... ale wielu z nich to robi... i to już wszystko.

Sears postąpił słusznie, nie przypominając jej, że zabawianie się z sekretarkami nie było wadą charakteru ograniczoną do Chińczyków.

– A co my o nich sądzimy?

– O Fangu i Zhangu? Cóż, obaj są ministrami bez teki, czyli kimś w rodzaju zawodników grających w obronie, albo może pomocników sędziego. Premier Xu ufa ich opiniom. Są pełnoprawnymi członkami Biura Politycznego. Zapoznają się więc ze wszystkim i mają prawo głosu. Nie tyle robią

politykę, co nadają jej ostateczny kształt. Zna ich każdy minister.

Oni dwaj znają wszystkich pozostałych. Są we władzach od dawna. Obaj są dobrze po sześćdziesiątce, albo i po siedemdziesiątce, ale tam ludzie nie robią się z wiekiem łagodniejsi, jak u nas. Obaj muszą być ideologicznie bez zarzutu, co oznacza, że obaj są prawdopodobnie komunistami z przekonania. To implikuje pewną bezwzględność i można na to spojrzeć w powiązaniu z ich wiekiem. Kiedy ma się siedemdziesiąt pięć lat, śmierć staje się czymś bardzo realnym. Taki ktoś nie wie, ile czasu mu pozostało, a oni nie wierzą w życie pozagrobowe. W tym wieku muszą się więc śpieszyć z realizacją swych celów, prawda?

– Marksizm nie bardzo daje się pogodzić z człowieczeństwem, co?

Sears pokręcił głową. – Rzeczywiście nie, a do tego dochodzi jeszcze kultura, w której życie ludzkie ceni się o wiele mniej niż u nas.

– W porządku. Bardzo panu dziękuję – powiedziała, podając mu dziesięć zadrukowanych kartek. – Czekam na pisemną opinię po lunchu. Obojętne, nad czym pan akurat pracuje, teraz priorytet ma SORGE.

Dla doktora Searsa oznaczało to zlecenie z samej góry. Będzie pracował bezpośrednio dla najwyższego szefostwa. Cóż, miał już prywatny gabinet i komputer, który nie był podłączony do żadnej linii telefonicznej, ani nawet do sieci lokalnej, w odróżnieniu od wielu innych komputerów w CIA. Sears wsunął dokumenty do kieszeni marynarki i wyszedł, zostawiając Mary Pat, która, wyglądając przez wysokie okno zastanawiała się nad następnym posunięciem. Prawdę mówiąc, sprawa leżała w gestii Eda, ale takie decyzje podejmowało się wspólnie, zwłaszcza że dyrektor CIA był jej mężem. Tym razem to ona poszła do niego.

Biuro dyrektora CIA jest długie i dość wąskie, z gabinetem niedaleko drzwi; w przyzwoitej odległości od stołu konferencyjnego. Mary Pat przysunęła sobie fotel, stojący po drugiej stronie biurka.

– I jak to wygląda? – spytał Ed, znając cel jej wizyty.

– Wykazaliśmy niezwykłą dalekowzroczność, wybierając nazwę SORGE. To, co mamy, jest co najmniej tak samo dobre.

Ponieważ meldunki Richarda Sorge z Tokio do Moskwy mogły uratować Związek Radziecki w 1941 roku, Edowi trochę rozszerzyły się oczy. – Kto na to spojrział?

– Sears. Nawiasem mówiąc, wydaje się całkiem bystry. Właściwie, to nigdy przedtem z nim nie rozmawiałam.

– Harry go lubi – powiedział Ed, mając na myśli Hardego Halla, obecnego wicedyrektora CIA ds. wywiadu, który przebywał właśnie w Europie. – Więc Sears mówi, że to wygląda całkiem nieźle, tak?

Skinęła głową z poważną miną. – O, tak, Ed.

– Bierzemy to do Jacka? – W końcu nie mogli przecież nie pokazać czegoś takiego prezydentowi.

– Może jutro?

– Może być. – Nawet przy bardzo napiętym rozkładzie dnia, zawsze można wykroić trochę czasu, żeby pojechać do Białego Domu. – Eddie, ilu ludzi można w to wtajemniczyć?

– Dobre pytanie. Jacka, oczywiście. Może i Jacksona. Podoba mi się ten facet, chociaż zwykle wiceprezydenta nie dopuszcza się do takich spraw – powiedział dyrektor CIA. –

Sekretarz stanu, sekretarz obrony – może. Ben Goodley, znów może. Mary, sama dobrze wiesz, jak to jest.

Był to najstarszy i najczęstszy problem z naprawdą cennymi informacjami wywiadowczymi. Jeśli wtajemniczyło się w nie zbyt duże grono ludzi, istniało ryzyko przecieku, a to oznaczało likwidację źródła tych informacji, czyli zarżnięcie kury, która znosiła złote jajka. Z drugiej strony, jeśli nie zrobiło się z takich informacji jakiegoś użytku, równie dobrze można by w ogóle nie zwracać sobie głowy ich zdobywaniem. Wytyczenie granicy było jedną z najdelikatniejszych operacji w dziedzinie wywiadu i nigdy nie miało się pewności, że grono wtajemniczonych wytypowane zostało właściwie. Trzeba się też było dobrze zastanowić nad metodami przekazu takich informacji. Jeśli przesłało się je zaszyfrowane, a przeciwnik złamał szyfr? ABN przysięgała, że jej systemy szyfrowania, a zwłaszcza Tapdance, są nie do złamania, ale to samo Niemcy myśleli kiedyś o Enigmie.

Niemal tak samo niebezpieczne było przekazywanie takich informacji, nawet z ręki do ręki, wysokim rangą przedstawicielom władz państwowych. Te sukinsyny nie potrafiły utrzymać języka za zębami. Przemawianie było ich życiem. Byli niezawodnym źródłem przecieków. Żyli po to, żeby pokazywać ludziom, jacy są ważni, a w Waszyngtonie ważny był ten, kto wiedział coś, czego nie wiedzieli inni. Informacja pełniła w tej części Ameryki rolę królewskiego namaszczenia. Dobrze, że prezydent Ryan to rozumiał. Wywodził się z CIA, gdzie piastował stanowisko wicedyrektora, więc doceniał wartość środków bezpieczeństwa. To samo można było prawdopodobnie powiedzieć o wiceprezydencie Jacksonie, byłym pilocie Marynarki. Prawdopodobnie miał się okazję przekonać, że złe informacje wywiadowcze mogą kosztować ludzkie życie. Scott Adler był dyplomata, więc prawdopodobnie też to rozumiał. Tony Bretano, cieszący się dobrą opinią sekretarz obrony, ściśle współpracował z CIA, podobnie jak wszyscy jego poprzednicy i prawdopodobnie również można mu było zaufać. W Langley w grę wchodził dyrektor CIA, wicedyrektor CIA oraz wicedyrektorzy do spraw wywiadu i operacyjnych, a także Sears z Wydziału Wywiadu.

To już siedmioro. Następnie prezydent, wiceprezydent, sekretarz stanu, sekretarz obrony i Ben Goodley, Razem dwanaście osób. To już było bardzo dużo; zwłaszcza w mieście, w którym mówiło się, że tajemnica przestaje być tajemnicą, jeśli zna ją dwoje ludzi. Ale cały sens istnienia CIA polegał na zdobywaniu tego rodzaju informacji.

– Wybierz jakąś nazwę dla źródła – polecił Foley żonie.

– Na razie niech będzie KANAREK. – Dla MP określanie agentów nazwami ptaków miało sentymentalne znaczenie, jeszcze z czasów KARDYNAŁA43.

– W porządku. Pokaż mi to tłumaczenie, dobrze?

– No pewnie, misiaczku. – Mary Pat przechyliła się przez biurko, żeby cmoknąć męża, po czym poszła z powrotem do swojego biura.

Po przyjściu sprawdziła w swoim komputerze plik SORGE. Uświadomiła sobie, że musi to zmienić. Nawet nazwa tego katalogu z dostępem na specjalne hasło będzie zaklasyfikowana jako ściśle tajna. Następnie sprawdziła liczbę stron i zapisała ją sobie na kartce.

POTWIERDZAM ODBIÓR WSZYSTKICH 1349 STRON

W odpowiedzi, adresowanej do cgood@jadecastle.com, napisała: *Przyjrzymy się tym przepisom. Wielkie dzięki. Mary.*

Nacisnęła klawisz ENTER i wiadomość pobiegła przez elektroniczny labirynt, zwany Internetem. Tysiąc trzysta czterdzieści dziewięć stron, pomyślała wicedyrektor do spraw operacyjnych. Analitycy będą mieli co robić przez dłuższy czas. W budynku Starej Centrali będą dostawać fragmenty materiałów z operacji SORGE, pod innymi nazwami, losowo wybieranymi przez komputer w piwnicy, a tylko Sears będzie znał całość, a właściwie, to i on nie pozna wszystkiego. To co wiedział, prawdopodobnie wystarczyłoby, żeby ta Ming zginęła, kiedy MBP zorientowałoby się, kto ma dostęp do tych informacji. Mogli tu, w Waszyngtonie, zrobić co nieco, żeby ją chronić, ale nie było tego wiele.

Nomuri wstał wcześniej w swoim pekińskim mieszkaniu i drugą w kolejności rzeczą jaką zrobił, było zalogowanie się i sprawdzenie poczty elektronicznej. Była wiadomość, na którą czekał, siódma na liście, przysłana z patsbakery@brownienet.com. Wybrał system deszyfrujący i wprowadził z klawiatury klucz... a więc wszystkie dokumenty dotarły. To dobrze. Nomuri przeciągnął myszką swoją wiadomość do specjalnego „kosza na śmieci”, w którym jeden z programów Norton Utilities nie tylko skasował ją, ale jeszcze pięciokrotnie

„zatarł” na twardym dysku miejsce, w którym była zapisana, tak że już nikt nigdy nie mógłby jej odzyskać, bez względu na umiejętności. Następnie wyeliminował jeszcze elektroniczny zapis z informacją, że w ogóle wysyłał cokolwiek pocztą elektroniczną do brownienet. Teraz w komputerze nie było już śladu, że cokolwiek zrobił, chyba że jego telefon był na podsłuchu, czego jednak raczej

nie podejrzewał. A gdyby nawet, to informacje były zaszyfrowane, w 43 *Kardynałem (Cardinalis Cardinalis) Amerykanie potocznie nazywają jaskrawoczerwonego paka, znanego u nas jako łuszczak (przyp. tłum.)*

pełni zakodowane, a więc również nie do odcyfrowania. Nie, teraz jedynym czynnikiem ryzyka w tej operacji była Ming. Jego udział był dobrze ukryty dzięki metodzie, za pomocą której jej komputer z nim się kontaktował, a od tej pory dokumenty miały już być wysyłane do brownienet automatycznie, a ślady zacierane w taki sam sposób, w ciągu paru sekund.

Kontrwywiad musiałby być bardzo sprytny, żeby teraz trafić na trop Nomuriego.

Rozdział 15

Eksploatacja

– Co to znaczy, Ben? – spytał Ryan, zauważywszy zmianę w porannym rozkładzie zajęć.

– Ed i Mary Pat chcą z panem o czymś porozmawiać. Nie powiedzieli, o czym –

odpowiedział Goodley. – Wiceprezydent może być przy tym obecny, ja też, ale wyraźnie powiedzieli, że nikt więcej.

– Pewnie jakiś nowy gatunek papieru toaletowego na Kremlu – powiedział prezydent. Był to stary dowcip ze starych niedobrych czasów Zimnej Wojny, kiedy Ryan pracował w CIA.

Zamieszał kawę i rozparł się w wygodnym fotelu. – Dobra. Co jeszcze dzieje się na świecie, Ben?

– Więc to jest *mao-tai*? – spytał kardynał DiMilo. Nie dodał, że, o ile mu wiadomo, baptyści nie piją napojów alkoholowych. Dziwne, jeśli się weźmie pod uwagę, że pierwszy cud, dokonany publicznie przez Jezusa, polegał na przemienieniu wody w wino na przyjęciu weselnym w Kanie. Ale chrześcijaństwo miało wiele twarzy. Tak czy inaczej, *mao-tai* był

wstrętny, gorszy niż najtańsza grappa. W miarę, jak przybywało mu lat, kardynał preferował łagodniejsze drinki. Tak było lepiej dla żołądka.

– Nie powinienem tego pić – przyznał Yu – ale to należy do mojego dziedzictwa kulturowego.

– Nie znam żadnego ustępu Pisma Świętego, który zabraniałby tej ludzkiej słabości –

powiedział katolik. Poza tym, wino było elementem liturgii katolickiej. Spostrzegł, że jego chiński gospodarz ledwie macza usta w swojej maleńkiej czarce. Prawdopodobnie i dla jego żołądka tak jest lepiej, uznał Włoch.

Pomyślał, że do tutejszych potraw też będzie dopiero musiał przywyknąć. Będąc smakoszem, podobnie jak wielu Włochów, kardynał Renato DiMilo przekonał się, że jedzenie w Pekinie nie było tak smaczne, jak to, którego próbował w wielu chińskich restauracjach w Rzymie. Uznał, że to raczej kwestia jakości produktów niż umiejętności kucharza.

Żona wielebnego Yu była na Tajwanie, żeby zobaczyć się z chorą matką; duchowny powiedział mu o tym przepaszającym tonem zaraz po przywitaniu. Podawaniem do stołu zajął się więc prałat Schepke, trochę jak ordynans, dbający o potrzeby swego generała, pomyślał Yu, przyglądając się temu z niejakim rozbawieniem. Katolicy niewątpliwie kultywowali hierarchię. Ale ten Renato był przyzwoitym facetem, na pewno był człowiekiem wykształconym i zawodowym dyplomatą. Yu zdał sobie sprawę, że mógłby się od niego wiele nauczyć.

– A więc sam pan gotuje. Gdzie się pan tego nauczył?

– Większość chińskich mężczyzn to potrafi. Uczymy się od rodziców jako dzieci. DiMilo uśmiechnął się. – To tak, jak i ja, ale od lat nie przyrządziłem sobie sam posiłku. Im jestem starszy, tym mniej pozwalają mi się sobą zajmować, co Franz?

– Ja też mam swoje obowiązki, eminencjo – odparł Niemiec. Popijał mao-tai z nieco większą przyjemnością. Jakie to musi być przyjemne, kiedy ma się młody żołądek, pomyśleli obaj starsi mężczyźni.

– I jak pan znajduje Pekin? – spytał Yu.

– Jest doprawdy fascynujący. Nam, Rzymianom, wydaje się, że nasze miasto jest starożytne i przepojone historią, ale kultura chińska była już stara, zanim Rzymianie położyli pierwszy kamień na kamieniu. A to dzieło sztuki, które widzieliśmy wczoraj...

– Nefrytowa Góra – wyjaśnił Schepke. – Rozmawiałem z przewodniczką, ale nie wiedziała nic o artystach, ani ile trzeba było czasu, żeby coś takiego wyrzeźbić.

– Imiona twórców, czas, jakiego potrzebowali... dla dawnych cesarzy nie miało to znaczenia. Było wtedy wiele piękna, o, tak, ale i wiele okrucieństwa.

– A dzisiaj? – spytał Renato.

– Jak pan wie, dzisiaj także, eminencjo – potwierdził Yu i westchnął ciężko. Rozmawiali po angielsku. Akcent Yu, rodem z Oklahomy, fascynował jego gości. – Władze nie mają szacunku dla ludzkiego życia; i pan, i ja wolelibyśmy, żeby było inaczej.

– Niełatwo będzie to zmienić – dodał prałat Schepke. Ten problem nie powstał pod rządami komunistów w Chinach. Okrucieństwo od dawna było częścią chińskiej cywilizacji, do tego stopnia, że ktoś powiedział kiedyś, iż Chiny są za wielkie, by rządzić nimi łagodnością; lewica tego świata z nieprzyzwoitym pośpiechem podchwyciła ten aforyzm, ignorując jego ewidentnie rasistowską wymowę. Może problem polegał na tym, że Chiny zawsze były zatłoczone; tłumy rodziły gniew, a gniew – bezduszne lekceważenie innych.

Religia też nie pomogła. Konfucjusz, najbliższy temu, co w Chinach można by uznać za wielkiego przywódcę religijnego, głosił konformizm jako najlepszą formę zachowania się jednostki. Podczas gdy tradycja judeochrześcijańska mówiła o transcendentnych wartościach dobra i zła oraz o wywodzących się z nich prawach człowieka, w Chinach pojmowano władzę jako Społeczność, a nie jako Boga. To dlatego, pomyślał kardynał DiMilo, komunizm zapuścił tu korzenie. Wspólny dla obu modeli społecznych był relatywizm pojęcia dobra i zła.

I było to niebezpieczne. Relatywizm prowadził człowieka do upadku, ponieważ w ostatecznym rozrachunku, jeśli nie było wartości absolutnych, jakaż była różnica między człowiekiem a psem? A jeśli różnicy nie było, to co z fundamentalną godnością człowieka?

Nawet myślący ateista potrafił wskazać największy dar religii dla społeczności ludzkiej: godność

człowieka, wartość przywiązywana do ludzkiego życia, proste założenie, że człowiek był czymś więcej niż zwierzęciem. To było podwaliną wszelkiego postępu ludzkości, bo bez tego życie ludzkie było skazane na model Thomasa Hobbesa⁴⁴: podłe, bydlęce i krótkie.

Chrześcijaństwo, a także judaizm i islam, które też były Religiami Księgi, wymagały jedynie, żeby człowiek wierzył w to, co oczywiste: że jest ład we wszechświecie, że ten ład ma swe źródło i że to źródło nazywa się Bogiem. Chrześcijaństwo nie wymagało nawet – a przynajmniej już nie wymagało – żeby człowiek wierzył w tę ideę, byle tylko akceptował jej sens i jego rezultat, którym była godność człowieka i postęp ludzkości. Czy to było takie trudne?

Dla niektórych było. Marksizm, potępiając religię jako „opium dla mas”, zapisywał

jedynie inne, mniej skuteczne lekarstwo: „światłą przyszłość”, jak to nazywali Rosjanie, ale była to przyszłość, której nigdy nie byli w stanie zapewnić. W Chinach marksiści wykazali dość zdrowego rozsądku, żeby przywrócić niektóre formy kapitalizmu i uratować gospodarkę swego kraju, ale nie dość, żeby przyjąć zasadę wolności człowieka, która zwykle się z tym wiązała. Funkcjonowało to do tej pory, pomyślał DiMilo, tylko z racji preegzystencji w kulturze chińskiej modelu konformizmu i akceptacji władzy z góry. Ale jak długo to potrwa?

I jak długo Chiny będą mogły prosperować bez jakiegokolwiek wyobrażenia o różnicy między dobrem a złem? A bez tego Chiny i Chińczycy byli skazani na zatracenie. Ktoś musiał

przynieść Chińczykom Dobrą Nowinę o Jezusie, bo za tym szło nie tylko wieczne zbawienie, ale także szczęście doczesne. Doskonały interes, a jednak byli ludzie zbyt głupi i zbyt krótkowzroczni, żeby go zaakceptować. Należał do nich Mao. Odrzucał wszelkie formy religii, nawet konfucjanizm i buddyzm. Ale o czym myślał przewodniczący Mao, kiedy leżał

na łożu śmierci? W jaką Światłą Przyszłość spoglądał? O czym mógł na łożu śmierci myśleć komunista? Żaden z trzech duchownych nie chciał znać odpowiedzi na to pytanie, ani musieć na nie odpowiadać.

– Byłem rozczarowany, widząc tu tak niewielu katolików, oczywiście nie licząc cudzoziemców i dyplomatów. Jak dotkliwie są prześladowania?

Yu wzruszył ramionami. – Zależy, gdzie, zależy, jaki jest klimat polityczny i nastawienie lokalnego kierownictwa partyjnego. Czasem zostawiają nas w spokoju, zwłaszcza, kiedy przybywają tu cudzoziemcy ze swoimi kamerami telewizyjnymi. Czasem stają się bardzo surowi, a czasem otwarcie nas nękają. Wiele razy byłem przesłuchiwany, poddawano mnie też indoktrynacji politycznej. – Uniósł wzrok i uśmiechnął się. – To tak, jakby pies na człowieka czekał; nie warto się odszczekiwać. Oczywiście panu wszystko to zostanie *44 Thomas Hobbes (1588-1679), angielski filozof i teoretyk państwa, głosił pochwałę absolutyzmu jako antidotum na społeczne konsekwencje egoistycznej natury człowieka (przyp. tłum.)* oszczędzone – podkreślił baptysta, nawiązując do statusu dyplomatycznego DiMilo, zapewniającego mu nietykalność osobistą.

Kardynał zwrócił uwagę na tę aluzję i wprawiała go ona w pewne zażenowanie. Nie uważał, żeby jego własne życie było warte więcej niż czyjekolwiek inne. Nie chciał też, żeby jego wiara wydała

się mniej szczerza niż wiara tego chińskiego protestanta, wykształconego na jakimś pretensjonalnym pseudouniwersytecie na amerykańskiej prerii, gdy tymczasem on zdobywał wiedzę w kilku z najstarszych i najszacowniejszych placówek szkolnictwa wyższego na świecie, których tradycje sięgały czasów imperium rzymskiego i jeszcze wcześniejszych, aż po Arystotelesa. Jeśli była w nim próżność, to właśnie na punkcie wykształcenia. Kardynał Renato DiMilo odebrał wspaniałe wykształcenie i był tego świadom.

Potrafił prowadzić dysputę na temat „Republiki” Platona w języku starogreckim, czy mów sądowych Cycerona po łacinie. Mógł debatować z przekonanym marksistą na temat atrybutów tej filozofii politycznej w tym samym języku, którym mówił Karol Marks i zwyciężyć w takiej debacie, ponieważ Marks pozostawił wiele luk w swych teoriach politycznych. Zapomniał więcej o naturze ludzkiej, niż niektórzy psychologowie w ogóle o niej wiedzieli. Był w służbie dyplomatycznej Watykanu, ponieważ potrafił czytać w myślach, co więcej, potrafił czytać w myślach polityków i dyplomatów, którzy byli specjalistami od ich ukrywania. Mógłby z tymi umiejętnościami odnosić wielkie sukcesy jako hazardzista, ale on korzystał w nich ku chwale Pana.

Jego jedyną wadą, jak wszystkich ludzi, było to, że nie potrafił przepowiedzieć przyszłości, a tym samym nie mógł przewidzieć wojny światowej, do której w ostatecznym rozrachunku miało doprowadzić to spotkanie.

– A czy pan jest prześladowany przez władze? – spytał kardynał swego gospodarza.

Wzruszenie ramion. – Czasami. Proponuję publiczne odprawienie mszy jako probierz ich gotowości do naruszania moich praw człowieka. Oczywiście wiąże się to z pewnym niebezpieczeństwem.

Wyzwanie zostało rzucone umiejętnie i duchowny katolicki podjął je: – Proszę informować mnie i Franza na bieżąco.

– Kanarek? – spytał Ryan. – Co możecie mi o nim powiedzieć?

– Naprawdę chcesz wiedzieć, Jack? – spytał Ed Foley nieco uszczypliwie.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie muszę wiedzieć? – odpowiedział Ryan. Chwilę później zdał sobie sprawę, że Robby Jackson i Ben Goodley też tu byli i że on mógł wiedzieć o sprawach, do których oni nie mieli dostępu. Nawet na tym szczeblu obowiązywały ograniczenia. Prezydent skinął głową. – W porządku, zostawmy to na razie.

– Cała ta operacja nazywa się SORGE. Nazwa będzie zmieniana okresowo –

poinformowała zebranych Mary Pat. Było czymś niezwykłym, że z tej odprawy wyproszone z Owalnego Gabinetu agentów Tajnej Służby – co dało im do zrozumienia o wiele więcej, niż by tego chciała CIA – oraz włączono specjalny system zagłuszania. Wszelkie urządzenia elektroniczne w tym pomieszczeniu były wobec niego bezbronne. Widać to było po telewizorze na lewo od biurka prezydenta, nastawionym na CNN. Obraz na ekranie był

zupełnie zamazany, ale ponieważ wyłączono dźwięk, żaden irytujący szum nie przeszkadzał

uczestnikom spotkania. Prawdopodobieństwo podsłuchu w tym najbezpieczniejszym z pomieszczeń było minimalne, ale SORGE była tak cenna, że sięgnięto i po ten środek.

Foldery z materiałami informacyjnymi zostały już rozdane. Robby uniósł wzrok znad swojego.

– Notatki z chińskiego Biura Politycznego? O rety! – powiedział wiceprezydent Jackson.

– Aha, nic o źródłach i metodach. Jeśli chodzi o mnie, nie ma sprawy. Dobra, na ile to wiarygodne?

– W tej chwili oceniamy wiarygodność na czwórkę z plusem – odpowiedziała Mary Pat. –

Spodziewamy się później podnieść tę ocenę. Rzecz w tym, że nie dajemy piątki, albo więcej, bez potwierdzenia z niezależnego źródła, a te informacje pochodzą z takiego miejsca, że nie mamy możliwości ich zweryfikowania.

– Rozumiem – mruknął Jackson. – A więc to może być fałszywka. Nieźle przygotowana, przyznaję, ale fałszywka.

– Może, ale to mało prawdopodobne. Są tu informacje bardzo delikatnej natury, które trudno byłoby ujawnić dobrowolnie, nawet w ramach wielkiej mistyfikacji.

– No tak – częściowo zgodził się Ryan. – Ale pamiętam, co zwykł mawiać Jim Greer:

„Nic nie jest zbyt zwariowane, żeby nie mogło być prawdziwe”. Nasz główny problem w stosunkach z tymi facetami polega na tym, że ich kultura pod tyłoma względami różni się od naszej. Równie dobrze mogliby być Klingonami.

– Cóż, nie widać tutaj, żeby pałali do nas wielką miłością – zauważył Ben Goodley, przerzucając kartki w swoim folderze. – Jezu, co za interesujący materiał. Pokażemy to Scottowi Adlerowi?

– Uważamy, że należy – zgodził się dyrektor CIA. – Adler zna się na ludziach, a jego opinia, zwłaszcza o tym, co mamy na stronie piątej, będzie bardzo interesująca. Tony’ego Bretano też.

– W porządku, Orzeł i Grom. Kto jeszcze? – spytał Ryan.

– Na razie to już wszyscy – powiedział Ed Foley, a jego żona przytaknęła skinieniem głowy. – Panie prezy...

Ryan spojrzał na niego groźnie. – Mam na imię...

Dyrektor CIA uniósł rekę. – W porządku, Jack, postarajmy się naprawdę utrzymać to przez jakiś czas w tajemnicy. Postaramy się spreparować te informacje w taki sposób, żeby mogło je poznać jeszcze parę osób, ale nikt się nie może dowiedzieć, jak je zdobyliśmy.

Kanarek jest zbyt cenny, żebyśmy mieli go stracić

– To może być operacja takiego samego kalibru, jak Kardynał, co?

– Może nawet większego, Jack – powiedziała Mary Pat. – To tak, jakby się miało pluskwę w sali posiedzeń zarządu, a przy tym zdecydowanie usprawniliśmy nasze metody.

Bardzo uważamy na to źródło.

– No dobra, a co z analizami? – spytał Ben Goodley. – Naszym najlepszym specem w sprawach ChRL jest profesor Weaver z Uniwersytetu Browna. Znasz go, Ed.

Foley skinął głową. – Tak, znam go, ale zostawmy to na razie. U siebie też mamy całkiem niezłego faceta. Pozwólcie, że sami zobaczymy, co się nam uda z tego wycisnąć, zanim zaczniemy w to włączać ludzi z zewnątrz. A tak na marginesie, mamy z tego źródła coś koło tysiąca pięciuset stron, plus to, co odtąd będzie nadchodzić codziennie.

Ryan uniósł wzrok. Codziennie? Jak oni to, u diabła, zorganizowali? Nieważne, pomyślał. – W porządku, będzie mi potrzebny profil psychologiczny tego Zhang Han Sana –

powiedział Ryan. – Słyszałem już co nieco o tym sukinsynu. Rozpętał dwie wojny, w które zostaliśmy wciągnięci. O co mu, u diabła, chodzi?

– Mamy psychiatrę, który się tym zajmie – odpowiedziała Mary Pat. Nie dodała, że zajmie się dopiero po tym, kiedy oczyszczą te materiały ze wszystkiego, co mogłoby wskazywać na ich źródło.

– A, tak, pamiętam go. – Ryan skinieniem głowy wyraził zgodę. – Coś jeszcze?

– Tylko to, co zwykle – powiedział Ed wstając. – Nie zostawiajcie tych materiałów na biurkach, dobrze?

Wszyscy skinęli głowami. Każdy z nich miał na takie dokumenty własny sejf, z instalacją alarmową, połączoną z centralą Tajnej Służby i pod nieustannym nadzorem kamer telewizyjnych. Biały Dom był dobrym miejscem na przechowywanie dokumentów, a w dodatku sekretarki miały tu większy stopień dostępu do tajnych informacji niż sam Pan Bóg.

Mary Pat wychodziła z Gabinetu Owalnego szczególnie sprężystym krokiem. Ryan dał znak wiceprezydentowi, żeby został. Reszta poszła w stronę Wejścia Zachodniego.

– Co o tym sądzisz? – spytał Miecznik Tomcata.

– Wygląda cholernie dobrze, Jack. Jezu, jak oni, u diabła, zdobywają takie materiały?

– Jeśli kiedykolwiek zdecydują się mi powiedzieć, i tak ci nie powiem, Rob. Wcale nie jestem pewien, czy chciałbym to wiedzieć. Czasem nie wygląda to najpiękniej.

Emerytowany pilot myśliwski podzielił te opinie. – Wierzę. To niezupełnie to samo, co wystartować

z lotniskowca i strzelić sukinsynowi w dyszę, prawda?

– Ale równie ważne.

– Przecież wiem, Jack. Coś jak w Bitwie o Midway. Joe Rochefort i jego banda wesołków z FRUPAC45 oszczędzili naszemu krajowi w 1942 roku mnóstwa kłopotów z żółtymi przyjaciółmi na Zachodnim Pacyfiku, kiedy powiedzieli Nimitzowi46, co się szykuje.

45 Fleet Radio Unit Pacific - wywiad radiowy Marynarki USA na Pacyfiku [przyp. tłum.] 46 Chester William Nimitz (1885-1966), w czasie II wojny światowej dowódca amerykańskiej Floty Pacyfiku (przyp. tłum.)

– Cóż, Robby, zdaje się, że mamy więcej przyjaciół tego samego rodzaju. Jeśli w tych materiałach jest coś o charakterze operacyjnym, to chcę poznać twoją opinię na ten temat.

– Mogę ci powiedzieć już teraz. Ich armia i to, co nazywają marynarką wojenną otwarcie rozmawiają o tym, jak stawić nam czoło, jak radzić sobie z lotniskowcami i tak dalej. To głównie mrzonki i iluzje, ale zastanawiam się dlaczego, u diabła, rozprawiają o tym publicznie? Może chodzi o to, żeby zrobić wrażenie na naiwnych tego świata – reporterach i innych idiotach, którzy gównem wiedzą o wojnie na morzu – i jeszcze żeby pokazać własnemu narodowi, jacy to oni są cwani i twardzi. Może chcą nasilić presję na rząd Republiki Chińskiej na Tajwanie, ale jeśli zamierzają dokonać inwazji, muszą przedtem coś zrobić, na przykład stworzyć prawdziwą marynarkę wojenną z prawdziwym potencjałem desantowym. Ale to potrwałoby dziesięć lat i prawdopodobnie zauważylibyśmy wszystkie te wielkie, szare kajaki na wodzie. Mają parę okrętów podwodnych, a Rosjanie – kto by się tego spodziewał? –

sprzedają im sprzęt wojskowy, właśnie podrzucili im niszczyciel klasy *Sowremiennyj*, podobno w komplecie z rakietami *Sunburn*. Nie mam pojęcia, do czego konkretnie mogą im być potrzebne. Na ich miejscu nie tworzyłbym w taki sposób sił morskich, ale nie prosili mnie o radę. Ale wydaje mi się dziwaczne, że Rosjanie sprzedali im tę broń i różne inne rzeczy. To szaleństwo – zakończył wiceprezydent.

– Powiedz mi, dlaczego – polecił Ryan.

– Dlatego, że kiedyś, dawno temu, pewien facet zwany Czyngis-chanem dotarł aż do Bałtyku, czyli przeszedł przez całą Rosję. Ruscy doceniają znaczenie historii, Jack. Nie zapomnieli o tym. Gdybym był Rosjaninem, to których wrogów musiałbym się obawiać?

NATO? Rumunii? Nie sądzę. Za to na południowym wschodzie jest wielki kraj, cholernie przeludniony, z niezłą kolekcją broni i długą tradycją nienawiści do Rosjan. Ja byłem tylko facetem od spraw operacyjnych, a czasem ogarnia mnie lekka paranoja, kiedy pomyślę, co może się roić w głowach moich odpowiedników w innych krajach. – Robby nie musiał

dodawać, że to Rosjanie wynaleźli paranoję.

– To szaleństwo! – zawołał Bondarienko. – Jest wiele sposobów, żeby udowodnić, że Lenin miał rację, ale tego akurat bym nie wybrał! – Władimir Iljicz Uljanow powiedział

kiedyś, że przyjdzie czas, kiedy kraje kapitalistyczne będą między sobą konkurować, żeby sprzedać Związkowi Radzieckiemu sznur, na którym bolszewicy powywieszają kapitalistów.

Nie przewidział upadku państwa, które założył i na pewno nie przewidział, że późniejsza Rosja będzie realizować jego przepowiednię.

Gołowko nie mógł się nie zgodzić ze swym gościem. Argumentował podobnie, chociaż nie tak głośno, w gabinecie prezydenta Gruszawoja. – Nasz kraj potrzebuje twardej waluty, Giennadiju Josifowiczu.

– W rzeczy samej. I może będziemy kiedyś potrzebowali pól naftowych i kopalni złota na Syberii. Co zrobimy, kiedy Chińczycy nam je zabiorą? – nie ustępował Bondarienko.

– Ministerstwo Spraw Zagranicznych wyklucza taką ewentualność – odpowiedział

Siergiej Nikołajewicz.

– Doskonale. Czy te wymocзки ze służby dyplomatycznej chwycą za broń, jeśli się okaże, że nie mieli racji, czy też załamią ręce i oświadczą, że to nie ich wina? Moje siły nie są wystarczające. Nie mogę powstrzymać chińskiego ataku, więc teraz sprzedajemy im technologię czołgu T-99...

– Minie pięć lat, zanim uruchomią seryjną produkcję, a do tego czasu my będziemy produkować T-10 w Czelabińsku, prawda?

Do tego, że Armia Ludowo-Wyzwoleńcza miała cztery tysiące rosyjskich czołgów T-80 i T-90, w ogóle nie nawiązywali. To się stało całe lata wcześniej. Ale Chińczycy nie skorzystali z rosyjskiego projektu armaty kalibru 115 milimetrów, decydując się zamiast tego na armaty 105 mm, znane w Ameryce jako M-68, które sprzedała im Israel Defence Industries. Te działa dostarczono im w komplecie z trzema milionami sztuk amunicji, wykonanej zgodnie z amerykańskimi specyfikacjami, aż po pociski ze zubożonego uranu, pochodzącego zapewne z tych samych reaktorów, w których wytwarzali pluton dla swej broni nuklearnej. Co jest z tymi politykami? – zachodził w głowę Bondarienko. Można do nich mówić i mówić, a oni w ogóle nie słuchają! Generał pomyślał, że to musi być fenomen rosyjski, a nie polityczny.

Stalin kazał rozstrzelać funkcjonariusza wywiadu, który – słusznie, jak się potem okazało –

przewidział napaść Niemiec na Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku. A Niemcy doszli wtedy na przedmieścia Moskwy. Dlaczego kazał go rozstrzelać? Bo jego prognoza była mniej przyjemna niż ta

Lawrentija Berii, który miał dość rozumu, żeby mówić to, co Stalin chciał

usłyszeć. I Beria przetrwał, chociaż zupełnie się wtedy mylił. Tyle na temat wynagradzania za patriotyzm.

– Jeśli będziemy mieli na to pieniądze i jeśli Czelabińsk nie zostanie przestawiony na produkcję jakichś pieprzonych pralek – Rosja kanibalizowała swą infrastrukturę obronną nawet szybciej niż Ameryka. Teraz mówiono o przestawieniu zakładów lotniczych, wytwarzających MiG-i na produkcję samochodów. Czy to się nigdy nie skończy? – pomyślał

Bondarienko. Miał potencjalnie wrogi kraj po drugiej stronie granicy, a musiały minąć lata, zanim zdoła odbudować Armię Rosyjską, by doprowadzić ją do stanu, jakiego pragnął. A osiągnięcie tego celu wymagało zwrócenia się do prezydenta Gruszawoja o coś, czego ten nie mógł dać. Aby zbudować przyzwoitą armię, musiał płacić żołnierzom tyle, żeby przyciągnąć patriotycznych, żądnych przygód chłopców, którzy chcieli nosić mundur przez kilka lat, a przede wszystkim tych, którym wojsko tak się spodoba, że będą chcieli robić w nim karierę, zostać podoficerami, zawodowymi żołnierzami, bez których armia po prostu nie mogła funkcjonować, którzy byli jak ścięgna, łączące mięśnie z kośćcem. Żeby się to mogło ziścić, dobry plutonowy musiałby zarabiać prawie tyle samo, co robotnik wykwalifikowany i byłoby to całkiem uczciwe, ponieważ wymagania wobec takich ludzi miały ten sam poziom intelektualny. Zalet kariery w wojsku nie można powielić w fabryce telewizorów. Braterstwo broni, sama radość z uprawiania wojskowego rzemiosła, to było coś, co pociągało specyficzny gatunek mężczyzn. Amerykanie mieli takich, podobnie jak Brytyjczycy i Niemcy, ale Armia Rosyjska była pozbawiona tych bezcennych profesjonalistów od czasów Lenina, pierwszego z wielu przywódców radzieckich, którzy poświęcali skuteczność militarną dla czystości ideologicznej, na jaką nalegał Związek Radziecki. Albo coś w tym rodzaju, pomyślał Bondarienko. Wszystko to wydawało się teraz takie odległe, nawet komuś, kto dorastał w tym niewydarzonym systemie.

– Generale, proszę pamiętać, że jestem waszym przyjacielem we władzach – przypomniał

mu Gołowko. I dobrze. Minister obrony był... cóż, mówił to, co należało, ale tak naprawdę nie był zdolny do samodzielnego myślenia. Potrafił powtórzyć to, co mu powiedzieli inni, ale na tym koniec. Pod tym względem był politykiem doskonałym.

– Dziękuję, Siergieju Nikołajewiczu. – Generał pochylił głowę z należyтым szacunkiem.

– Czy to oznacza, że mogę liczyć na trochę tych bogactw, które los nam zesłał?

– W stosownym czasie przedstawię stosowną rekomendację prezydentowi.

Do tego czasu ja będę już w stanie spoczynku, zajęty pisaniem pamiętników, albo cholera wie czym, dodał w myślach Bondarienko. Ale przynajmniej mogę podjąć próbę opracowania niezbędnych programów dla mojego następcy i może wybrać odpowiedniego człowieka, który będzie mi pomagał w zarządzie operacyjnym. Nie oczekiwał, że znajdzie wyżej. Był

szefem operacyjnym swej armii (więc w jego gestii leżało także szkolenie), co dla każdego oficera

byłoby wspaniałym ukoronowaniem kariery.

– Dziękuję, towarzyszu ministrze. Wiem, że wasza praca też jest ciężka. Czy jest coś, co powinienem wiedzieć o Chińczykach?

Minister Gołowko żałował, że nie może powiedzieć temu generałowi, że SWR nie ma już żadnego przyzwoitego źródła informacji w ChRL. Ich człowiek, drugi wiceminister, od dawna na usługach KGB, przeszedł w stan spoczynku z powodu złego stanu zdrowia.

Ale nie mógł przyznać, że ostatnie rosyjskie źródło w Zakazanym Mieście wyszło, a wraz z nim dopływ tych wszystkich cennych obserwacji, których potrzebowali, żeby trafnie ocenić długofalowe plany i intencje ChRL. Wprawdzie w Pekinie wciąż jeszcze był rosyjski ambasador i to niegłupi, ale jako dyplomata widział głównie to, co chcieli mu pokazać gospodarze. To samo dotyczyło attaché wojskowego, morskiego i lotniczego; wszyscy byli wyszkolonymi oficerami wywiadu, ale mieli wgląd tylko w to, co wojsko chińskie chciało im pokazać, a i za to trzeba się było odwzajemniać w Moskwie – jedni robili krok, więc i drudzy musieli go zrobić, jak w jakimś eleganckim międzynarodowym kadrylu. Nie, nikt nie mógł

zastąpić wyszkolonego funkcjonariusza wywiadu, prowadzącego agentów, którzy mieli wgląd w sprawy rządu, żeby on, Gołowko, mógł dokładnie wiedzieć, co się dzieje i zdawać z tego sprawę swemu prezydentowi. Nieczęsto się zdarzało, by Gołowko musiał zameldować, że wie za mało, ale w tym wypadku właśnie tak było i nie zamierzał się do tego przyznawać przed tym żołnierzem, bez względu na jego rangę.

– Nie, Giennadiju Josifowiczu. Nie wiem o niczym, co mogłoby wskazywać, że Chińczycy chcą nam zagrozić.

– Towarzyszu ministrze, te odkrycia na Syberii są zbyt wielkie, żeby Chińczycy nie zaczęli się zastanawiać, jakie korzyści przyniosłoby ich zdobycie. Ja na ich miejscu opracowałbym niezbędne plany. Importują ropę naftową, a te nowe złoża wyeliminowałyby taką potrzebę, przynosząc im zarazem fortunę w dewizach, o które zabiegają. A złoto, towarzyszu ministrze, mówi przecież samo za siebie, prawda?

– Może. – Gołowko skinął głową. – Ale ich gospodarka wydaje się obecnie całkiem zdrowa, a wojen nie rozpoczynają ci, którzy są już bogaci.

– Niemcy Hitlera też dobrze prosperowały w 1941, a nie przeszkodziło mu to zapędzić swej armii tak daleko, że było ją widać z tego budynku – zwrócił uwagę szef operacyjny Armii Rosyjskiej. – Jeśli nasz sąsiad ma jabłoń, czasem zerwiemy jabłko, nawet jeśli jesteśmy syci. Tak dla smaku – zasugerował Bondarienko.

Gołowko nie mógł zaprzeczyć, że była w tym jakaś logika. – Giennadiju Josifowiczu, jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Obaj wypatrujemy zagrożeń, nawet jeśli wszystko wydaje się w porządku. Byłby z was świetny oficer wywiadu.

– Dziękuję, towarzyszu ministrze. – Trójgwiazdkowy generał wznosił w stronę gospodarza swą prawie już pustą szklaneczkę z wódką. – Mam nadzieję, że zanim przejdę w stan spoczynku, przygotuję dla mojego następcy plan, którego realizacja sprawi, że nasz kraj nie będzie się musiał obawiać ataku żadnego innego kraju. Wiem, że sam nie zdołałem już tego osiągnąć, ale byłbym wdzięczny za możliwość opracowania takiego konkretnego planu, jeśli nasze kierownictwo polityczne zechce docenić wartość naszych koncepcji. – I na tym właśnie polegał problem. Armia Rosyjska była zapewne w stanie radzić sobie z wrogami zewnętrznymi. To wrogowie wewnętrzni stanowili naprawdę trudny problem. Zwykle wiedziało się, gdzie jest wróg, bo stawało się przed nim twarzą w twarz. Trudniej było powiedzieć, gdzie są przyjaciele, ponieważ zwykle miało się ich za plecami.

– Dopilnuję, żebyście zreferowali tę sprawę gabinetowi. Ale – Gołowko uniósł rękę – musicie poczekać na odpowiednią chwilę.

– Rozumiem. Miejmy nadzieję, że Chińczycy pozwolą nam poczekać. – Gołowko dopił wódkę i wstał. – Towarzyszu przewodniczący, dziękuję, że pozwoliliście mi powiedzieć, co mi leży na sercu.

– No więc, gdzie on jest? – spytał ostrym tonem Prowałow.

– Nie wiem – odpowiedział Abramow zmęczonym głosem. – Dotarliśmy do kogoś, kto twierdzi, że go zna, ale nasz informator nie ma pojęcia, gdzie tamten mieszka.

– No tak. A co wiecie? – spytała Moskwa Petersburg.

– Nasz informator mówi, że ten Suworow był w KGB, został zredukowany w 1996, czy coś koło tego i że prawdopodobnie mieszka w Petersburgu, ale jeśli to prawda, to przebywa tu pod przybranym nazwiskiem i z fałszywymi dokumentami, chyba że „Suworow” nie jest jego prawdziwym nazwiskiem. Dysponuję rysopisem. Mężczyzna, wiek około pięćdziesięciu lat, średniego wzrostu i przeciętnej budowy ciała. Rzedniejące jasne włosy. Regularne rysy twarzy. Oczy niebieskie. Sprawny fizycznie. Kawaler. Podobno korzysta z usług prostytutek.

Wysłałem paru ludzi, żeby popytali te kobiety, Na razie bez rezultatów – odpowiedział milicjant z Petersburga.

To niesamowite, pomyślał porucznik Prowałow. Mając do dyspozycji takie środki, nie potrafimy zdobyć żadnych wiarygodnych informacji. Czyżby uganiali się za duchami? No, pięć duchów już mieli. Awsiejenko, Maria Iwanowna Sablin, kierowca, którego nazwiska nie mógł sobie w tej chwili przypomnieć, i dwóch domniemanych zabójców ze Specnazu, Piotr Aleksiejewicz Amalrik i Paweł Borysowicz Zimianin. Trzy osoby, zabite w spektakularny sposób w czasie porannego szczytu i dwie zamordowane w Petersburgu po wykonaniu tej roboty... Ale za co zabito tych dwóch? Za to, że dobrze się spisali, czy wręcz przeciwnie?

- Dajcie mi znać, gdyby pojawiło się coś nowego.
- Oczywiście, Olegu Grigorijewiczu – obiecał Abramow.

Porucznik milicji odłożył słuchawkę i posprzątał na biurku, chowając wszystkie „gorące”

akta do zamykanej na klucz szuflady, po czym zszedł do swego służbowego samochodu i pojechał do ulubionego baru. Był tam Reilly. Pomachał mu ręką, widząc go w drzwiach.

Prowałow powiesił kurtkę i podszedł się przywitać. Zobaczył, że szklanka z wódką już na niego czeka.

– Jesteś prawdziwym przyjacielem, Misza – powiedział Rosjanin do Amerykanina, wypiwszy pierwszy łyk.

– Stary, sam wiem, jak to jest – powiedział współczująco agent FBI.

– U was jest podobnie?

– Kiedy byłem świeżo upieczonym agentem, włączono ranie do sprawy Gottiego⁴⁷.

Stawaliśmy na głowie, żeby dopaść te kreaturę. Potrzeba było trzech ław przysięgłych, żeby go wsadzić. Już nigdy nie wyjdzie na wolność. Siedzi w Marion, a to szczególnie parszywe więzienie. – Oczywiście w Ameryce pojęcie „parszywe więzienie” miało inne znaczenie niż w Rosji, ale Reilly nie zamierzał sobie zaprzętać głowy sytuacją rosyjskiego więziennictwa.

W każdym społeczeństwie ludzie, którzy łamali prawo, wiedzieli, jakie to będzie miało konsekwencje, a to, co się z nimi działo, kiedy wpadli, było już ich problemem, a nie jego. –

No więc, co cię trapi?

– Ten Suworow. Nie możemy go znaleźć, Miszka. Jakby w ogóle nie istniał.

– Naprawdę? – Dla Reilly’ego było to zaskoczeniem i zarazem nie było. Było, bo Rosja, podobnie jak wiele krajów europejskich, ewidencjonowała ludzi w taki sposób, że w Ameryce wywołałoby to rewolucję. Tutejsze gliny wiedziały podobno, gdzie mieszka każdy obywatel; ⁴⁷ *John Gotti stanął na czele mafijnej rodziny Gambino w 1985 roku, zleciwszy zgładzenie poprzedniego dona -*

Paula Castellano. Skazany na dożywocie w 1992 roku, po sześciu latach starań prokuratury federalnej (przyp.

tłum.)

było to pozostałością ze starych, niedobrych czasów, kiedy jedna trzecia ludności była informatorami

KGB, donosząc na pozostałe dwie trzecie. Było czymś niezwykle, że milicja nie była w stanie kogoś znaleźć. Z drugiej strony, nie było to zaskoczeniem, ponieważ jeśli ten sukinsyn Suworow rzeczywiście był kiedyś oficerem KGB, to musiał być ekspertem w zacieraniu za sobą śladów, a tacy przeciwnicy nie wpadają przez głupotę, w odróżnieniu od większości pospolitych przestępców w Ameryce i w Rosji. Tacy jak on nie wpadają też przez to, że nie potrafią trzymać języka za zębami. Przeciwni przestępcy zachowują się... jak przestępcy. Przechwalają się i to przed niewłaściwymi ludźmi, najczęściej przed innymi przestępcami, którzy odznaczają się lojalnością grzechotników i są gotowi sprzedać

„przyjaciela” bez mrugnięcia powieką. Nie, ten Suworow, jeśli ich informacje były prawdziwe, musiał być zawodowcem. Polowanie na takich było interesującym zajęciem i zwykle zabierało sporo czasu. Ale w końcu i tak zawsze się ich dopadało, bo gliniarze nigdy nie przestawali szukać, i prędzej czy później taki ktoś popełniał błąd, może i niewielki, ale wystarczający. Zapewne nie przestawał teraz ze swymi byłymi kumplami z KGB, z ludźmi, którzy pomogli mu się ukryć i którzy rozmawialiby tylko między sobą, a i to nie za dużo.

Nie, był teraz w innym środowisku, które nie było ani przyjazne, ani bezpieczne, i dobrze mu tak. Zdarzało się, że Reilly odczuwał współczucie dla jakiegoś przestępcy, ale nigdy dla zabójcy. Były pewne granice, których się po prostu nie przekraczało.

– Zaszył się w jakiejś norze i zamaskował wejście – powiedział sfrustrowany Rosjanin.

– Prawdopodobnie. Co o nim wiemy?

Prowatow przekazał mu to, czego się właśnie dowiedział. – Mówią, że popytają wśród dziwek, może któraś będzie go znała.

– Dobry pomysł. – Reilly skinął głową. – Założę się, że gustuje w tych najlepszych. Może w takich, jak nasza Tania. Wiesz co, Oleg, on mógł znać Awsiejenkę. Może zna też którąś z jego dziewczyn.

– To możliwe. Polecę moim ludziom, żeby to sprawdzili.

– Nie zaszkodzi – zgodził się agent FBI, machając na barmana, żeby ponownie napełnił

szklaneczki. – Wiesz, stary, trafiło ci się prawdziwe śledztwo. Trochę żałuję, że nie jestem w twojej ekipie.

– Lubisz to?

– Jeszcze jak, Oleg. Im trudniejsza sprawa, tym bardziej ekscytująca. I to wspaniałe uczucie, kiedy w końcu dopada się sukinsynów. Kiedy doprowadziliśmy do skazania Gottiego, urządziliśmy sobie na Manhattanie przyjęcie jak cholera. Za Teflonowego Dona –

powiedział Reilly, unosząc szklaneczkę. – Mam nadzieję, że podoba ci się w Marion, chłopcze.

– Ten Gotti zabijał ludzi, tak? – spytał Prowatow.

– O, tak. Niektórych osobiście, a innych kazał zabijać. Jego prawa ręka, Salvatore Grarano, czyli Sammy Byk, jak go nazywali, zgodził się zeznawać jako świadek oskarżenia i pomógł nam wsadzić Gottiego. Objęliśmy więc Sammy’ego programem ochrony świadków, a ten sukinsyn znów zaczął handlować narkotykami, gdzieś w Arizonie. No i Sammy znów jest w pudle. Głupi Sammy.

– Kretyn – zgodził się Prowałow.

– Są za głupi, żeby zacząć żyć uczciwie. Myślą, że uda im się nas wykiwać. I wiesz, przez jakiś czas nawet im się udaje. Ale prędzej czy później... – Reilly napił się i pokręcił

głową.

– Myślisz, że nawet ten Suworow?

Reilly uśmiechnął się do swego nowego przyjaciela. – Oleg, czy zdarza ci się popełnić czasem jakiś błąd?

– Przynajmniej raz na dzień – mruknął Rosjanin.

– To dlaczego sądzisz, że ci po drugiej stronie są od ciebie mądrzejsi? – spytał agent FBI.

– Każdy popełnia błędy. I śmieciarz, i prezydent pieprzonych Stanów Zjednoczonych. Każdy z nas czasem coś spieprzy. Inaczej nie byłibyśmy ludźmi. Rzecz w tym, żeby zdać sobie z tego sprawę i wyciągnąć wnioski. Może ten facet rzeczywiście przeszedł dobre przeszkolenie, ale wszyscy mamy jakieś słabości, a nie wszyscy jesteśmy dość rozsądni, żeby się do nich przyznać. W dodatku im jesteśmy rozsądniejsi, tym mniejsze szanse, że się do nich przyznamy.

– Filozof z ciebie – powiedział Prowałow z uśmiechem. Podobał mu się ten Amerykanin.

Byli ulepieni z tej samej gliny, tak samo myśleli, to samo czuli.

– Może, ale czy znasz różnicę między mądrym a głupim?

– Jestem pewien, że mi ją wyjaśnisz. – Prowałow od razu się zorientował, że szykuje się filozoficzna rozprawa.

– Różnica między mądrym a głupim polega na ciężarze popełnianych błędów. Głupcowi nie powierza się niczego ważnego. – Reilly zauważył, że wódka wprawia go w mentorski nastrój. – Ważne sprawy powierza się mądrym, więc głupi nie ma szans spieprzyć czegoś na wielką skalę, a mądry ma. Oleg, szeregowy nie może przegrać bitwy, ale generał może.

Generałowie są inteligentni, tak? Musisz mieć naprawdę dużo w głowie, żeby zostać lekarzem, ale lekarzom wciąż zdarzają się pomyłki fatalne w skutkach dla pacjentów.

Popełnianie błędów leży w naturze człowieka i rozum czy przeszkolenie gównu tu znaczą. Ja jej popełniam. Ty je popełniasz. – Reilly uniósł szklaneczkę. – I towarzysz Suworow też. –

Pomyślał, że jeśli ten Suworow lubi się zabawiać z dziwkami, to pewnie wpadnie w końcu przez własnego kutasa. Reilly wiedział, że nie będzie to pierwszy tego rodzaju wypadek. I prawdopodobnie nie ostatni.

– I co, działa? – spytała Ming.

– Hm? – odpowiedział Nomuri. Pomyślał, że to dziwne. Dopiero co skończyli się kochać, obejmował ją jeszcze ramieniem i oboje palili obligatoryjnego papierosa.

– Zrobiłam z moim komputerem to, co chciałeś. Zdziałało?

– Nie jestem pewien. – Nomuri próbował wykręcić się od odpowiedzi. – Jeszcze nie sprawdzałem.

– Nie wierzę! – odparła Ming ze śmiechem. – Zastanawiałam się nad tym. Zrobiłeś ze mnie szpiega!
– oświadczyła i zachichotała.

– Co takiego?

– Chciałeś mieć dostęp do mojego komputera, żeby czytać wszystkie moje pisma, tak?

– Obchodzi cię to? – Spytał ją już kiedyś o to i otrzymał właściwą odpowiedź. Czy teraz nadeszła chwila prawdy? Nie miał wątpliwości, że przejrzała jego bajeczkę. Cóż, właściwie nie było w tym nic dziwnego. Gdyby nie była inteligentna, nie nadawałaby się na agentkę.

Ale biorąc pod uwagę, kim była... na ile była patriotką? Czy właściwie ocenił jej charakter?

Leżał koło niej spokojnie, nie dając po sobie poznać wewnętrznego napięcia. Uznał, że może sobie pogratulować opanowania.

Chwila zastanowienia, po której padła odpowiedź: – Nie.

Nomuri próbował nie okazać, jak wielką odczuł ulgę.

– Więc nie musisz zaprzętać tym sobie głowy. Od tej pory nie będziesz już nic robić.

– Oprócz tego? – spytała i znów zachichotała.

– Dopóki ci to sprawia przyjemność.

– Wspaniała kiełbasa!

– Co?

– Uwielbiam twoją kiełbasę – odpowiedziała Ming, kładąc mu głowę na piersi. Chester Nomuri

pomyślał, że to na razie wystarczy.

Rozdział 16

Wytapianie złota

Paweł Pietrowicz Fomin mógł uwierzyć własnym oczom, ale tylko dlatego, że w młodości widział już całe korpusy pancerne Armii Czerwonej w ruchu na Zachodniej Ukrainie i w Polsce. Pojazdy gąsienicowe, na które patrzył teraz, były nawet większe i powalały większość drzew, których saperzy nie wysadzili przedtem materiałami wybuchowymi. Krótkie lato wykluczało stosowanie eleganckich metod wycinki drzew i układania dróg, jak to robiono na zgniłym Zachodzie. Ekipa poszukiwaczy odnalazła źródło złotego pyłu z zaskakującą łatwością, a teraz cywilno-wojskowa ekipa inżynieryjna kładła drogę do tego miejsca, przez tundrę i tajgę, zrzucając tony żwiru na ten szlak, który kiedyś otrzyma może przyzwoitą twardą nawierzchnię, chociaż w tym klimacie takie drogi zawsze nastęrczały kłopotów. Tą drogą miał tu dotrzeć ciężki sprzęt wydobywczy i materiały budowlane dla robotników, którzy wkrótce postawią domy w „jego” lesie. Powiedziano mu, że kopalnia zostanie nazwana jego imieniem. Pomyślał, że to niewarte nawet splunięcia. I zabrano większość jego połączonych wilczych skór... ale zapłacono za nie i to chyba bardzo dobrze. Z tego, co mu dali, najbardziej podobał mu się nowy karabin, austriacki Steyr z lunetą Zeissa, na amunicję kalibru 12,7 mm, więcej niż wystarczającą na tutejszą zwierzynę.

Karabin był całkiem nowy; oddał z niego tylko piętnaście strzałów, żeby się upewnić, że celownik jest właściwie ustawiony. Oksydowana stal była nieskazitelna, a dotknięcie kolby z orzechowego drewna sprawiało zmysłową przyjemność. Iluż Niemców mógłbym zabić, mając taką broń, pomyślał Fomin. A ile wilków i niedźwiedzi będzie mógł teraz ustrzelić.

Chcieli, żeby opuścił swą rzekę i swoje lasy. Obiecywali mu tygodnie na plażach w Soczi, wygodne mieszkania, gdzie tylko zechce. Fomin prychnął z pogardą. Czy był jakimś mieszczuchem? Nie, był człowiekiem lasów, człowiekiem gór, człowiekiem, którego bały się wilki i niedźwiedzie, a i tygrysy na południu też pewnie o nim słyszały. To była jego kraina.

Prawdę mówiąc, nie znał innego sposobu życia i w ogóle był już za stary, żeby się przestawiać. Co dla innych było wygodami, on uważał za źródło irytacji, a kiedy przyjdzie mu pora umierać, niech się to stanie w lesie, i niech wilk i niedźwiedź posilą się jego zwłokami. W końcu coś im się od niego należało. Zabił ich i obdarł ze skóry niemało, więc niech i one coś z niego mają.

Racja, żywność, która mu przynieśli – powiedzieli, że przyleciała samolotem – była całkiem smaczna, zwłaszcza wołowina, treściwsza niż mięso reniferów, do którego był

przyzwyczajony, no i miał świeży zapas tytoniu do swej fajki. Reporterzy telewizyjni uwielbiali tę fajkę i zachęcali go, żeby opowiadał historie o życiu w syberyjskich lasach, o polowaniach na niedźwiedzia i wilka. Ale nigdy nie zobaczy tego programu, który o nim kręcono; żył za daleko od tego, co tamci nazywali czasem „cywilizacją”, żeby mieć telewizor.

Mimo to bardzo się starał składnie opowiadać swoje historie, uważnie dobierając słowa, żeby dzieci i wnuki, których nigdy nie miał, przekonały się, jak wielkim był człowiekiem, jak wszyscy ludzie, Fomin miał poczucie własnej wartości; byłby z niego świetny zawodowy gawędziarz, co zresztą nie przyszło do głowy żadnemu z tych biurokratów i funkcjonariuszy, którzy przybyli tu zakłócać mu życie. Postrzegali go raczej jako osobowość telewizyjną i jako przykład twardego indywidualisty, jakich Rosjanie zawsze uwielbiali i brutalnie uciskali jednocześnie.

Ale prawdziwy powód, dla którego telewizja rosyjska kręciła ten czterdziestominutowy program, znajdował się o siedemnaście kilometrów dalej, gdzie jeden z geologów podrzucał

złoty samorodek wielkości pięści jak piłkę baseballową, chociaż ta grudka złota ważyła o wiele więcej, niż gdyby była z żelaza. Był to tylko najmniejszy z samorodków, które znaleźli.

Całe złożo, jak wyjaśniali przed kamerami członkowie ekipy geologicznej, było jak z mitologicznej opowieści, może tej o ogrodzie samego Midasa. O tym, jak było zasobne, mieli się dokładnie dowiedzieć dopiero po wkopaniu się w ziemię, ale szef ekipy gotów był

zaręczyć swą reputacją zawodową, że kopalnia południowoafrykańska, zdecydowanie największa, jaką dotąd odkryto na Ziemi, będzie przy tym syberyjskim złożu wyglądać jak karzełek przy olbrzymie. Codziennie zawartość kaset, nagranych przez kamery wideo była wysyłana do rosyjskiego satelity łącznościowego, który większą część doby wisiał nad Biegunem Północnym; znaczna część Rosji leży za daleko na północy, żeby korzystać z satelitów geostacjonarnych, wykorzystywanych przez resztę świata.

Nie było to problemem dla Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. ABN miała swe stacje na całym świecie i jedna z nich, znajdująca się w Chicksands w Anglii, przechwytywała sygnał wysyłany do rosyjskiego satelity i natychmiast przekazywała go do amerykańskiego wojskowego satelity telekomunikacyjnego, który przesyłał go do Fort Meade w Marylandzie.

Sygnał nie był nawet zakodowany, więc można go było natychmiast przekazywać do tłumaczenia z rosyjskiego, a potem już do CIA i innych agend federalnych do oceny. Tak się złożyło, że prezydent Stanów Zjednoczonych zobaczył te nagrania na tydzień przed rosyjskimi telewizjami.

– Niech mnie licho, kim jest ten facet? To Jim Bridger?48

– Nazywa się Paweł Pietrowicz Fomin. To jemu przypisują zasługę odkrycia tych złóż złota. Proszę spojrzeć na to – powiedział Ben Goodley, kiedy kamera pokazała szereg połączonych wilczych skór.

– Cholera, mogłyby wisieć w Smithsonian Institution49... To coś jak z filmu Georga Lucasa... – zauważył Miecznik.

– Albo mógłby pan kupić jedną dla żony – podsunął Goodley.

Prezydent pokręcił głową. – E, raczej nie... chyba że byłyby to pozłacane sobole.

Myślicie, że wyborcy by to zaakceptowali?

– Sądzę, że odpowiedź na takie pytanie pozostawię panu van Dammowi – powiedział po chwili zastanowienia prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

– Aha, pewnie nieźle by się wystraszył i mielibyśmy tu dobrą zabawę. To nagranie nie jest tajne, prawda?

– Zostało zaklasyfikowane tylko jako poufne.

– W porządku, chcę je pokazać Cathy dziś wieczorem. – W wypadku materiału o tej kategorii utajnienia nie powinno to budzić niczyich zastrzeżeń, nawet prasy.

– Chce pan wersję z napisami czy z nagrany lektorem?

– Oboje nie cierpimy filmów z napisami – poinformował Jack swego doradcę, rzucając mu wymowne spojrzenie.

– Powiem w Langley, żeby to panu przygotowali – obiecał Ben Goodley.

– Oszaleje, kiedy zobaczy tę wilczą skórę. – Dysponując pieniędzmi ze swego portfela inwestycyjnego, Ryan stał się koneserem biżuterii i futer. W sprawach klejnotów miał umowę z Blickmanem, specjalistyczną firmą w Rockefeller Center. Dwa tygodnie przed poprzednim Bożym Narodzeniem jeden ze sprzedawców Blickmana przyjechał pociągiem do Waszyngtonu, w towarzystwie dwóch uzbrojonych strażników, których jednak nie wpuszczono do samego Białego Domu – strażnicy przy bramie i tak omal nie odeszli od zmysłów, kiedy się dowiedzieli, że na terenie są uzbrojeni ludzie, ale Andrea Price O’Day jakoś to załagodziła – i pokazał prezydentowi biżuterię wartą około pięciu milionów dolarów, w tym kilka zupełnie nowych klejnotów, wykonanych w zakładzie jubilerskim naprzeciwko centrali Blickmana. Ryan kupił kilka z nich. Jego nagrodą był widok Cathy, której oczy omal nie wyszły z orbit, kiedy zobaczyła, co dostała pod choinkę i jej lamenty, że ona kupiła mu tylko elegancki komplet kijów golfowych Taylora. Ale Miecznik nie miał nic przeciwko temu. Widok żony, uśmiechającej się radośnie w świąteczny poranek, był najlepszym prezentem, jakiego mógł oczekiwać. Poza tym, było to potwierdzeniem, że ma dobry gust w sprawach biżuterii, co – przynajmniej w oczach kobiet – było wielką zaletą u mężczyzny. A 48 *Jim Bridger (1804-1881), zwany „człowiekiem gór”, słynna, bardzo malownicza postać amerykańskiego Pogranicza (przyp. tłum.)*

49 *Amerykańska organizacja naukowo-badawcza i oświatowa, zarządzająca m.in. czternastoma muzeami (przyp.*

tłum.)

gdyby tak udało mu się zdobyć jedno z tych wilczych futer... cholera, może dałoby się ubić interes z

Siergiejem Gołowką? Ale gdzie, u diabła, można by nosić coś takiego? Musiał być realistą.

– Ładnie wyglądałoby w szafie – zgodził się Goodley, widząc, jak jego szef błądzi gdzieś wzrokiem.

Kolor pasowałby do jej jasnych włosów, pomyślał Ryan, wyobrażając to sobie, ale zaraz wyrwał się z zamyślenia.

– Coś jeszcze na dzisiaj?

– SORGE. Są nowe informacje. Właśnie niesie je tu kurier.

– Ważne?

– Tego pani Foley nie powiedziała, ale sam pan wie, jak to jest.

– O, tak, nawet drobiazgi można w razie potrzeby ułożyć w naprawdę dobry obraz. –

Pierwszą, tę wielką partię materiałów, miał wciąż w swym prywatnym sejfie. Teoretycznie miałyby czas, żeby je przeczytać, ale musiałyby go zabrać swojej rodzinie; prezydent musiałyby mieć naprawdę bardzo ważny powód, żeby to zrobić.

– No więc, co zrobią Amerykanie? – spytał Fang Zhanga.

– W kwestii handlu? W końcu pogodzą się z tym, co nieuniknione, przyznają nam klauzulę najwyższego uprzywilejowania i wycofają zastrzeżenia do naszego pełnego członkostwa w Światowej Organizacji Handlu – odpowiedział minister.

– W ostatniej chwili – zauważył Fang Gang z ulgą w głosie.

– To prawda – zgodził się Zhang Han Sen. Kondycja finansowa ChRL stanowiła absolutną tajemnicę, co było jedną z przewag ustroju komunistycznego; obaj ministrowie na pewno byłiby tego zdania, jeśli w ogóle braliby pod uwagę inne formy sprawowania władzy.

Naga prawda wyglądała natomiast tak, że ChRL prawie nie miała już dewiz, bo wydała je głównie na uzbrojenie i związane ze zbrojeniami technologie, które kupowała na całym świecie. Tylko sporadycznie sprowadzano coś z Ameryki, głównie mikroprocesory, które mogły być wykorzystane niemal we wszystkich rodzajach urządzeń. Sprzęt ewidentnie wojskowy, który kupowali, pochodził głównie z Europy Zachodniej, a w niektórych wypadkach z Izraela. Broń, którą Amerykanie przeznaczali dla tej części świata, była sprzedawana tym renegatom na Tajwanie, którzy, oczywiście, płacili gotówką. Dla reżimu Chin kontynentalnych było to jak ukąszenie moskita, niezbyt poważne, nie zagrażające życiu, ale dokuczliwe, bo prowokujące do ciągłego drapania, co tylko pogarszało sprawę. W

Chinach kontynentalnych było ponad miliard – to znaczy tysiąc milionów – ludzi, podczas gdy na wyspie po drugiej stronie cieśniny mniej niż trzydzieści milionów. Tajwan, prowokująco posługujący

się nazwą Republika Chińska, dobrze wykorzystywał swych mieszkańców, wytwarzając każdego roku ponad jedną czwartą tej ilości towarów i usług, którą w ChRL wytwarzało czterdzieści razy więcej robotników i chłopów. Ale Chiny kontynentalne, choć pożały tych towarów i usług oraz bogactw, będących ich rezultatem, nie chciały słyszeć o systemie politycznym i ekonomicznym, który to umożliwiał. Ich system był, oczywiście, lepszy, ponieważ lepsza była ich ideologia. Sam Mao to powiedział.

Ani ci dwaj, ani inni członkowie Biura Politycznego, nie poświęcali specjalnej uwagi realiom. Byli tak niezłomni w swej wierze, jak każdy zachodni duchowny w swojej.

Ignorowali nawet oczywisty fakt, że wszelka prosperity w Chińskiej Republice Ludowej była rezultatem kapitalistycznej przedsiębiorczości, na którą zezwolili poprzedni rządzący, często mimo głośnych protestów innych wysokich rangą polityków. Owi politycy zadowalali się ostatecznie odmawianiem wpływów ludziom, którzy bogacili kraj, w przekonaniu, że taka sytuacja będzie trwała wiecznie i że ci przemysłowcy i biznesmeni zadowolą się robieniem pieniędzy i życiem we względnym luksusie, podczas gdy oni, teoretycy polityki, będą w dalszym ciągu zarządzać sprawami kraju. W końcu to do nich należała broń i żołnierze, czyż nie tak? A władza w dalszym ciągu wyrastała z luf karabinów.

– Jesteś tego pewien? – spytał Fang Gang.

– Tak, towarzyszu, jestem pewien. Jesteśmy przecież „dobrzy” dla jankesów, czyż nie?

Nie pobrzękiwaliśmy ostatnio szabelką w stronę tych bandytów na Tajwanie, prawda?

– A co z amerykańskimi zastrzeżeniami dotyczącymi handlu?

– Czyż oni nie wiedzą, co to biznes? – spytał Zhang wyniośle. – Sprzedajemy im nasze towary z racji ich jakości i ceny. Kupujemy w ten sam sposób. Tak, przyznaję, że firma Boeing robi dobre samoloty, ale europejski Airbus też, a Europejczycy bardziej... idą nam na rękę w sprawach politycznych. Ameryka wielkim głosem domaga się otwarcia naszych rynków dla swoich towarów, i robimy to, oczywiście powoli. Potrzebujemy tej nadwyżki handlowej, którą uzyskujemy dzięki ich uprzejmości, żeby wydawać ją na to, co jest dla nas ważne. Niedługo rozwiniemy produkcję naszego przemysłu samochodowego i wejdziemy na ich rynek, jak to kiedyś zrobili Japończycy. Fang, za pięć lat nasza roczna nadwyżka w wymianie handlowej z Ameryką zwiększy się o kolejne dziesięć miliardów dolarów, przy czym, przyjacielu, jest to bardzo ostrożna prognoza.

– Tak myślisz?

Zdecydowane skinienie głową. – Tak! Nie powtórzymy tego błędu, który na początku popełnili Japończycy, sprzedając małe, brzydkie samochody. Rozglądamy się już za amerykańskimi stylistami, którzy pomogą nam zaprojektować samochody, odpowiadające wymogom estetycznym Białych Diabłów.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

– Kiedy będziemy mieli pieniądze, potrzebne na umocnienie naszych sił zbrojnych, staniemy się mocarstwem światowym pod każdym względem, przemysłowym i militarnym.

– Obawiam się, że to zbyt ambitne plany – powiedział Fang ostrożnie. – Ich realizacja musi pochłonąć więcej czasu, niż nam go zostało, to oczywiste, ale co będzie z naszym krajem, jeśli skierujemy go na niewłaściwą drogę?

– Co to znaczy „niewłaściwą”, Fang? – spytał Zhang. – Wątpisz w słuszność naszych idei?

Zawsze to pytanie, pomyślał Zhang i westchnął w duchu. – Pamiętam, co powiedział

Deng: „Nieważne, czy kot jest czarny, czy biały, byle łapał myszy”. Na co Mao odburknął:

„Który cesarz to wymyślił?”.

– A jednak to jest ważne, przyjacielu, jak sam dobrze wiesz.

– To prawda – zgodził się potulnie Fang, nie chcąc doprowadzić do konfrontacji o tak późnej porze, kiedy w dodatku bolała go głowa. Z wiekiem Zhang stał się jeszcze większym purystą ideologicznym niż w młodości, co nie powściągnęło jego imperialnych ambicji. Fang znów westchnął. Był zdecydowany nie ciągnąć dyskusji na ten temat. Nie warto. Należało tylko poruszyć tę kwestię jeszcze raz, żeby zabezpieczyć się od strony politycznej.

– A jeśli tego nie zrobią?

– Co?

– Jeśli Amerykanie nie zachowają się tak, jak przewidujemy? Jeśli postawią się w kwestii handlu?

– Nie zrobią tego – zapewnił Zhang swego starego przyjaciela.

– A jeśli jednak zrobią, towarzyszu, to co my wtedy zrobimy? Jakie są nasze opcje?

– Sądzę, że moglibyśmy jednocześnie ich karać i dawać do zrozumienia, że nie muszą tracić nadziei, odwołać jakieś zakupy w Ameryce, a potem wyrazić zainteresowanie kupnem czegoś innego. W przeszłości nieraz była to skuteczna metoda – zapewnił Zhang swego gościa. – Ten prezydent Ryan jest przewidywalny. Musimy tylko pilnować mediów. Nie damy mu nic, czego mógłby użyć przeciw nam.

Fang i Zhang kontynuowali dyskusję na różne tematy. Później Zhang wrócił do swego biura, gdzie, jak zwykle, podyktował Ming relację z tej rozmowy, a ona wprowadziła ją do komputera. Minister zastanawiał się, czy nie zaprosić jej do swego apartamentu, ale zdecydował, że nie. Wprawdzie w ostatnich tygodniach jakby wyładniała i chyba częściej się uśmiechała w swoim sekretariacie, ale miał za sobą długi dzień i był na to zbyt zmęczony, chociaż z Ming często było bardzo przyjemnie. Minister Fang nie miał pojęcia, że słowa, które podyktował sekretarce, za niecałe trzy godziny

zostaną odczytane w Waszyngtonie.

– Co o tym sądzisz, George?

– Jack – zaczął Kupiec – co to jest, i jak, u diabła, udało nam się to zdobyć?

– George, to memorandum do użytku wewnętrznego... No, coś w tym rodzaju, z rządu Chińskiej Republiki Ludowej. Nie musisz, powtarzam, nie musisz wiedzieć, jak weszliśmy w jego posiadanie.

Dokument został „wyprany” lepiej niż pieniądze mafii. Wszystkie imiona zostały zmienione, podobnie jak składnia i przymiotniki, żeby zatrzeć wszelkie charakterystyczne cechy. Przypuszczano, a właściwie miano nadzieję, że nawet ci, których rozmowa była tu zrelacjonowana, nie rozpoznaliby własnych słów. Ale treść została zachowana, a nawet doprecyzowana, ponieważ niuanse dialektu mandaryńskiego zostały przełożone na idiomatyczny angielski (w wersji amerykańskiej). To było najtrudniejsze. Przekład z jednego języka na drugi nie jest rzeczą łatwą. Znaczenie słów, to jedno, a ich konotacje, to zupełnie co innego i nigdy nie mają absolutnie wiernych odpowiedników w innych językach. Lingwiści, zatrudniani przez służby wywiadowcze, należeli do najlepszych w kraju; byli to ludzie, którzy regularnie czytali poezję, a czasem publikowali coś własnego, pod swoimi nazwiskami, chcąc podzielić się swą wiedzą i doświadczeniem, a także miłością do języka obcego, w którym się specjalizowali – z innymi o podobnych upodobaniach. A rezultatem są całkiem niezłe przekłady, pomyślał Ryan, choć zawsze podchodził do nich trochę nieufnie.

– Co za skurwysyny! Rozmawiają sobie tak po prostu, jak nas wyrolować! – Mimo swych wielkich pieniędzy George Winston wciąż potrafił mówić językiem, zdradzającym jego robotnicze pochodzenie.

– George, biznes to biznes, nie można do tego podchodzić emocjonalnie – próbował trochę rozładować napięcie Ryan.

Sekretarz skarbu oderwał wzrok od dokumentu. – Jack, kiedy kierowałem grupą Columbus, musiałem traktować moich wszystkich inwestorów jak rodzinę, prawda? Ich pieniądze musiały być dla mnie tak samo ważne jak moje. To był mój zawodowy obowiązek doradcy inwestycyjnego.

Jack skinął głową. – W porządku, George. To dlatego ściągnąłem cię do rządu. Jesteś uczciwy.

– Fajnie, i teraz jestem, kurwa, sekretarzem skarbu, tak? A to oznacza, że każdy obywatel naszego kraju należy do mojej rodziny, a te chińskie skurwysyny planują wyrolowanie mojego kraju, tych wszystkich ludzi – Winston zatoczył ręką łuk, wskazując świat za grubymi szybami okien Ovalnego Gabinetu – którzy ufają nam, wierzą, że utrzymamy gospodarkę w stanie równowagi. Chcą klauzuli najwyższego uprzywilejowania, tak? Chcą przystąpić do Światowej Organizacji Handlu? A gównol!

Prezydent Ryan roześmiał się, ciekaw, czy ludzie z Tajnej Służby usłyszeli George’a i zagląдают teraz przez judasze w drzwiach, żeby się zorientować, co to za zamieszanie. – Kawa i rogaliki, George. Galaretką winogronową jest od Smuckera, pycha.

Kupiec wstał i obszedł sofę dookoła, machając głową jak ogier, okrążający klacz. – W

porządku, Jack, uspokoję się, ale pamiętaj, że ty jesteś przyzwyczajony do takiego kurestwa, a ja nie. – Usiadł z powrotem. – Zgoda, na Wall Street też opowiadamy sobie dowcipy i historie, a nawet trochę spiskujemy, ale żeby rozmyślnie oszukiwać ludzi? Nie! Nigdy tego nie robiłem! A wiesz, co jest najgorsze?

– Co takiego, George?

– Oni są głupi, Jack. Wydaje im się, że mogą naginać rynek do tych swoich politycznych teoryjek, że powiedzą słowo, a wszyscy natychmiast ustawią się w szeregu jak posłuszne żołnierzyki. Produkowaliby deficyt, nawet gdyby powierzyć im kierowanie K-Martem⁵⁰, a tam, w Chinach, pozwala im się eksperymentować z całą gospodarką narodową i teraz chcą się jeszcze wpięprzać w naszą.

– Wyrzuciłeś już z siebie wszystko?

– Myślisz, że to zabawne? – spytał Winston obrażonym tonem.

– George, jeszcze nigdy nie widziałem cię tak zdenerwowanego. Jestem zaskoczony.

Skąd w tobie taka pasja?

– Myślisz, że kto ja jestem, Jay Gould?⁵¹

– Nie – odparł Ryan – myślałem raczej, że J.P. Morgan. – Ta odpowiedź wywarła pożądany efekt. Sekretarz skarbu wybuchnął śmiechem.

– Tu mnie masz. – Morgan był pierwszym rzeczywistym szefem Banku Rezerw Federalnych, zajmował się tym jako osoba prywatna i całkiem nieźle sobie radził. – W

porządku, panie prezydencie. Już się uspokoiłem. Tak, to biznes i nie można do niego podchodzić emocjonalnie. I nasza odpowiedź na ich fatalne podejście do biznesu też będzie miała charakter biznesowy. ChRL nie dostanie klauzuli najwyższego uprzywilejowania.

ChRL nie zostanie członkiem Światowej Organizacji Handlu; prawdę mówiąc, i tak jeszcze na to nie zasługują, biorąc pod uwagę wielkość ich gospodarki. I sędzę, że zastosujemy wobec nich naszą Ustawę o Reformie Handlu⁵², i to z całą surowością. Aha, jest jeszcze coś i dziwię się, że nic tu o tym nie wspomniano – powiedział Winston, wskazując na leżący przed nim dokument.

– Co takiego?

– Myślę, że bez trudu możemy im się dobrać do skóry. CIA się z tym nie zgadza, ale Mark Gant sądzi, że zaczyna im brakować dewiz.

– O? – powiedział prezydent, mieszając kawę.

Winston energicznie pokiwał głową. – Pamiętaj, że Mark jest moim geniuszem technicznym. Doskonale sobie radzi z tworzeniem modeli komputerowych. Dałem mu własny dział i poleciłem przyglądać się różnym sprawom. Ściągnąłem do współpracy profesora ekonomii z Bostonu, Mortona Silbera. Ten też zna się na mikroczipach. No więc, Mark przygląda się Chinom i twierdzi, że znaleźli się na skraju Wielkiego Kanionu, ponieważ garściami wyrzucają pieniądze, głównie na sprzęt wojskowy i przemysł ciężki, taki do produkcji czołgów i tak dalej. To powtórka starych komunistycznych praktyk; mają obsesję na punkcie przemysłu ciężkiego. W elektronice coraz bardziej odstają. Mają co prawda niewielkie przedsiębiorstwa, produkujące gry komputerowe i takie tam drobiazgi, ale nie 50 K-Mart - sieć wielkich i tanich domów towarowych (przyp. tłum.) 51 *Amerykański naukowiec, popularyzator nauki, znany zwłaszcza jako krytyk współczesnej teorii ewolucji i innych popularnych teorii naukowych (przyp. tłum.)*

52 *Akt prawny, mający na celu przeciwdziałanie protekcyjnym praktykom w handlu międzynarodowym (przyp. tłum.)*

rozwijają tej branży, z wyjątkiem tej nowej fabryki komputerów, którą uruchomili, kradnąc rozwiązania Della.

– I myślisz, że powinniśmy tego użyć, żeby im się dobrać do tyłka podczas negocjacji handlowych?

– Prawdę mówiąc, zamierzam przedstawić taką rekomendację Scottowi Adlerowi podczas lunchu dziś po południu – potwierdził sekretarz skarbu. – Zostali ostrzeżeni i tym razem nie odpuścimy.

– Wróćmy do ich bilansu obrotów handlowych z zagranicą. Jak poważny jest to dla nich problem?

– Mark przypuszcza, że osiągnęli już deficyt.

– Serio? Jak duży? – spytał Ryan.

– Mówi, że co najmniej piętnaście miliardów, w większości pożyczone w bankach niemieckich, ale Niemcy trzymają to w tajemnicy, a my nie jesteśmy pewni, dlaczego. To mogłaby być normalna transakcja, ale albo Niemcy, albo Chińczycy nie chcą, żeby wyszła na jaw.

– Raczej nie Niemcy, co? – spytał Ryan.

– Raczej nie. Dla ich banków byłaby to reklama. Więc, wychodzi na to, że to Chińczycy.

– Można to jakoś potwierdzić?

– Mam paru przyjaciół w Niemczech. Mogę popytać, albo poprosić przyjaciela, żeby to dla mnie zrobił. Tak chyba będzie lepiej. Wszyscy wiedzą, że jestem teraz w rządzie, a to znaczy, że nie mam dobrych intencji – powiedział Winston, uśmiechając się krzywo. – Ale, tak czy inaczej, idę dziś na lunch ze Scottem. Co mam mu powiedzieć na temat negocjacji handlowych?

Ryan zastanawiał się przez parę sekund. To była jedna z tych chwil, które napawały go przerażeniem

– od tego, co powie, będzie zależała polityka jego kraju, a może i innych państw. Łatwo było sobie kpić, mówić bez zastanowienia, co człowiekowi przyszło do głowy, ale nie, nie mógł sobie na to pozwolić. Takie chwile były zbyt ważne, zbyt brzemienne w potencjalne konsekwencje, więc nie mógł sobie pozwolić na kształtowanie polityki rządu pod wpływem impulsu. Musiał wszystko dobrze przemyśleć, szybko, ale gruntownie.

– Musimy dać Chinom do zrozumienia, że chcemy takiego samego dostępu do ich rynków, jaki oni mają do naszych, i że nie będziemy tolerowali wykradania produktów firmom amerykańskim. Chcę, żeby to była uczciwa gra dla wszystkich. Jeśli tego nie zaakceptują, zaczniemy ich dotkliwie karać.

– W porządku, panie prezydencie. Przekażę to pańskiemu sekretarzowi stanu. To też mam doręczyć osobiście? – spytał Winston, unosząc swój dokument z informacjami z operacji SORGE.

– Nie, Scott dostanie własną wersję. Aha, George, podchodź do tego bardzo, bardzo ostrożnie. Gdyby doszło do jakiegoś przecieku, nasz informator straciłby życie – powiedział

Miecznik Kupcowi, rozmyślnie sugerując, że chodzi o mężczyznę i tym samym wprowadzając w błąd swego sekretarza skarbu. Ale cóż, to też był biznes, nic osobistego.

– Schowam to do moich poufnych akt. – Obaj wiedzieli, że to raczej bezpieczne miejsce.

– Czasem miło jest poczytać cudzą pocztę, co?

– W ten sposób uzyskuje się jedne z najlepszych informacji wywiadowczych – zgodził się Ryan.

– To ci faceci z Fort Meade, co? Podsluchują przez satelitę czyjś telefon komórkowy?

– George, uwierz mi, lepiej, żebyś nic nie wiedział o źródłach i metodach. Zawsze istnieje ryzyko, że przez nieuwagę wygadasz się przed niewłaściwym człowiekiem, a potem będziesz miał na sumieniu życie jakiegoś faceta. Uwierz mi, lepiej tego unikać.

– Jasne, Jack. No, muszę się brać do roboty. Dzięki za kawę i rogaliki, szefie.

– Nie ma za co, George. – Ryan sięgnął po swój terminarz. Sekretarz skarbu wyszedł na korytarz i skierował się na dół. Musiał wyjść na zewnątrz, bo Skrzydło Zachodnie nie miało bezpośredniego połączenia z właściwym Białym Domem, wejść do budynku w innym miejscu i ruszyć tunelem do Departamentu Skarbu.

W sekretariacie koło gabinetu Ryana ludzie z Tajnej Służby też przeglądali rozkład zajęć prezydenta na ten dzień, ale ich lista była uzupełniona o wydruk z centralnego rejestru skazanych, żeby mieli pewność, że żaden morderca nie zostanie wpuszczony do *Sanctum Sanctorum* Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Rozdział 17

Bicie złotych monet

Mówiono, że Scott Adler jest za młody i za mało doświadczony, jak na swe stanowisko, ale mówili to politykierzy karierowicze, intrygujący, żeby dostać się bliżej szczytów władzy, podczas gdy Adler pracował w służbie dyplomatycznej od ukończenia Fletcher School of Law and Diplomacy przy Tufts University dwadzieścia sześć lat temu.

Ci, którzy mieli okazję widzieć go przy pracy, uważali Adlera za bardzo przebiegłego adepta dyplomatycznego rzemiosła. Ci, którzy grali z nim w karty – Adler lubił rozegrać partyjkę pokera przed ważnymi spotkaniami i negocjacjami – uważali, że facet ma cholerne szczęście.

Jego gabinet na szóstym piętrze w gmachu Departamentu Stanu był obszerny i wygodny.

Za biurkiem stał kredens, a na nim zwyczajowa kolekcja oprawionych w ramki zdjęć małżonki, dzieci i rodziców. Adler nie lubił nosić marynarki, siedząc za biurkiem, bo było mu w niej niewygodnie. Oburzył tym paru biurokratów z Departamentu Stanu, którzy uważali, że takie odejście od wymogów stroju jest absolutnie niewłaściwe. Zakładał, oczywiście, marynarkę na ważne spotkania z zagranicznymi dygnitarzami, ale nie widział

wystarczającego powodu, żeby narażać się na niewygody podczas ciągnących się całymi godzinami wewnętrznych narad roboczych.

Nic nie miał przeciwko temu George Winston, który zaraz po wejściu zdjął marynarkę i powiesił na krześle. Podobnie jak on, Scott Adler poważnie traktował pracę, a z takimi ludźmi Winston rozumiał się najlepiej. Facet może i był karierowiczem, ale miał sukinsyn etykę pracy, czego Winston nie mógłby powiedzieć o zbyt wielu ludziach w swoim resorcie. Robił, co mógł, żeby tępić trutnie, ale nie było to łatwym zadaniem, z uwagi na przepisy, dotyczące zwalniania urzędników, choćby i nieproduktywnych.

– Czytałeś ten materiał o Chinach? – spytał Adler.

– Tak, Scott. Jasna cholera! – odpowiedział Kupiec.

– Witaj w klubie – pocieszył go Orzeł. – Materiały wywiadowcze, które dostajemy, są czasem bardzo interesujące. – Departament Stanu miał swoją własną służbę szpiegowską, która, chociaż nie starała się konkurować z CIA i innymi służbami, wyławiała czasem brylanty z dyplomatycznego błota. – I co sądzisz o naszych żółtych braciach?

Winston jakoś powściągnął wybuch. – Stary, ja chyba nawet przestanę jeść ich żarcie.

– Nasi najgorsi rycerze-rabusie⁵³ wyglądają przy nich jak Matka Teresa. Skurwysyny bez krzty sumienia, George, to fakt. – Winston od razu polubił Adlera jeszcze bardziej. Facet, który mówi takim językiem, ma przed sobą perspektywy. Teraz była jego kolej na chłodny profesjonalizm, jako kontrpunkt do robociarskiego żargonu Adlera.

– Więc kierują się ideologią?

– Całkowicie; no, może z dodatkiem korupcji, ale pamiętaj, że w ich mniemaniu pozycja polityczna uprawnia do lepszego miejsca przy żłobie, więc dla nich to nie korupcja. Po prostu pobierają daninę od chłopów, przy czym słowo „chłopi” wciąż jest tam w użyciu.

– Więc mamy do czynienia z książętami i hrabiami?

Sekretarz stanu skinął głową. – W zasadzie tak. Są niesamowicie czuli na punkcie własnej pozycji. Nie przywykli, żeby ktoś im czegokolwiek odmawiał i w rezultacie nie zawsze wiedzą, co robić, kiedy usłyszą „nie” od takich, jak ja. I dlatego w negocjacjach często stają w niekorzystnej sytuacji, zwłaszcza kiedy przestajemy się z nimi patyczkować. Nie robimy tego zbyt często, ale w zeszłym roku, po zestrzeleniu tamtego Airbusa, przycisnąłem ich trochę, a potem nawiązaliśmy stosunki z władzami Republiki Chińskiej na Tajwanie. W Pekinie strasznie się wściekli, chociaż Republika Chińska oficjalnie nie ogłosiła niepodległości.

– Co? – Sekretarzowi skarbu jakoś to umknęło.

– Tak, Tajwańczycy postępują dość konsekwentnie i rozważnie. Zawsze uważali, żeby za bardzo nie narazić się Chinom kontynentalnym. Mimo że mają ambasady na całym świecie, nigdy oficjalnie nie proklamowali niepodległości. Na Pekin podziałałoby to jak czerwona płachta na byka. Może ci w Tajpej uważają, że byłoby to z ich strony świadectwem złych manier, czy coś w tym rodzaju. Mamy z nimi układ, o którym Pekin wie: jeśli ktoś zadrze z Tajwanem, nasza VII Flota przybędzie na miejsce, żeby mieć na wszystko oko i nie będziemy tolerować bezpośredniego zagrożenia militarnego wobec Republiki Chińskiej. ChRL nie dysponuje wystarczającymi siłami morskimi, żebyśmy się musieli szczególnie martwić, więc ostatecznie w tę i z powrotem latają tylko słowa. – Adler uniósł wzrok znad swojej kanapki. –

Wiesz, wszyscy się boją, że po wojnie nuklearnej następna rozegrałaby się na kije i kamienie.

– Jadłem dziś śniadanie z Jackiem i dyskutowaliśmy o rozmowach handlowych.

– I Jack chce, żeby trochę usztywnić nasze stanowisko? – spytał sekretarz stanu. Nie było to specjalnym zaskoczeniem. Ryan zawsze wolał grać uczciwie, co było rzadkim zjawiskiem w stosunkach międzypaństwowych.

– Zgadłeś – potwierdził Winston, przełknąwszy kęs kanapki. Pomyślał, że przynajmniej ludzie z klasy robotniczej, tacy jak Adler, doceniają znaczenie przyzwoitego lunchu. Na lunch 53 *W USA tym terminem określa się także pozbawionych skrupułów przemysłowców z XIX wieku (przyp. tłum.)* powinno się jadać mięso zapakowane w pieczywo. Dania kuchni francuskiej były doskonałe, ale na kolację, a nie na lunch.

– Jak ostro mamy się do nich zabrać?

– Dostaniemy to, co chcemy. Muszą się oswoić z myślą, że potrzebują nas o wiele bardziej niż my ich.

- Ambitny plan, George. A jeśli nie zechcą słuchać?
 - Te będzie im to trzeba wbić do łbów. Scott, czytałeś dziś rano ten sam dokument, co ja, tak?
 - Tak – potwierdził sekretarz stanu.
 - Ludzie, których tamci pozbawiają pracy, uciekając się do oszukańczych metod, są obywatelami amerykańskimi.
 - Wiem o tym, ale musisz pamiętać, że nie wolno nam niczego dyktować suwerennemu państwu. Świat nie funkcjonuje w ten sposób.
 - W porządku, ale możemy im powiedzieć, że im też nie wolno narzucać nam swoich praktyk handlowych.
 - George, Ameryka od dawna podchodzi do tych kwestii bardzo wyrozumiale.
 - Może, ale mamy Ustawę o Reformie Handlu...
 - Tak, pamiętam. I pamiętam, jak ta ustawa wpakowała nas w wojnę – przypomniał Adler swemu gościowi.
 - Którą wygraliśmy. To też pamiętam. Może i inni też będą pamiętać. Scott, nasz deficyt w handlu z Chinami jest ogromny. Prezydent mówi, że to się musi skończyć. Tak się składa, że jestem tego samego zdania. Skoro my możemy kupować od nich, to, do ciężkiej cholery, oni muszą kupować od nas, albo poszukamy sobie innych dostawców pałeczek i pluszowych misiów.
 - W grę wchodzi miejsce pracy – ostrzegł Adler. – Tamci wiedzą, jak rozgrywać tę kartę.
- Unieważniają kontrakty, przestają kupować nasze wyroby i nasi ludzie zaczynają tracić pracę.
- Ale jeśli postawimy na swoim, będziemy im sprzedawać więcej wyrobów i nasze fabryki będą musiały zwiększyć zatrudnienie, żeby je wyprodukować. Graj tak, żeby wygrać, Scott – doradził Winston.
 - Zawsze tak robię, ale to nie mecz baseballa, z regułami gry i na przepisowym stadionie.
- To raczej jak regaty we mgle. Nie zawsze widzisz przeciwnika i praktycznie nigdy nie widzisz linii mety.
- Więc trzeba sobie kupić radar. Co byś powiedział, gdybym podesłał ci do pomocy jednego z moich ludzi?
 - Kogo?
 - Marka Ganta. To mój geniusz komputerowy. Naprawdę zna się na tym od strony technicznej, monetarnej.

Adler zastanawiał się nad tym przez chwilę. W tej dziedzinie Departament Stanu zawsze miał problemy. Niewielu ludzi, naprawdę rozumiejących biznes, łądowało w służbie dyplomatycznej, a uczenie się tego z książek, to nie to samo, co zdobywanie takiej wiedzy w świecie realnym; zbyt wielu „profesjonalistów” z Departamentu Stanu nie przywiązywało do tego należytej wagi.

– W porządku, przyślij go. A teraz ustalmy, jak ostro mamy z nimi grać tym razem.

– Chyba będziesz to musiał omówić z Jackiem, ale z tego, co mi powiedział dziś rano wynika, że chcemy wyrównania szans.

Łatwo powiedzieć, pomyślał Adler, ale trudniej zrobić. Lubił i podziwiał prezydenta Ryana, ale nie przymykał oczu na fakt, że Miecznik nie był najbardziej cierpliwym facetem na świecie, a w dyplomacji cierpliwość była wszystkim; do licha, dyplomacja nie była niczym innym, jak sztuką cierpliwości. – W porządku – powiedział po chwili zastanowienia. –

Omówię to z nim, zanim wydam instrukcje moim ludziom. Może się zrobić nieprzyjemnie.

Chińczycy nie przebierają w środkach.

– Takie jest życie, Scott – mruknął Winston.

Sekretarz stanu uśmiechnął się. – W porządku, przyjąłem do wiadomości. Zobaczymy, co powie Jack. A jak się sprawuje rynek?

– Wciąż całkiem przyzwoicie. Wskaźniki cen w stosunku do płac są nadal trochę oburzające, ale generalnie zyski rosną, inflacja jest pod kontrolą, a inwestorzy mają się dobrze. Szef Fed umiejętnie kieruje polityką monetarną. Uchwalimy te zmiany w systemie podatkowym, na których nam zależy. W sumie wygląda to zupełnie nieźle. Wiesz, zawsze łatwiej jest sterować statkiem, kiedy morze jest spokojne.

Adler skrzywił się. – Aha, kiedyś będę musiał tego spróbować. – Ale teraz miał rozkaz wymarszu na spotkanie tajfunu. Zapowiadało się to interesująco.

– No więc, jak wygląda stan gotowości? – spytał generał Diggs swoich oficerów.

– Mogłoby być lepiej – przyznał pułkownik, dowodzący Pierwszą Brygadą. – Brakuje nam ostatnio pieniędzy na szkolenia. Mamy sprzęt, mamy żołnierzy, spędzamy mnóstwo czasu w symulatorach, ale to nie to samo, co klasyczne ćwiczenia w autentycznych warunkach terenowych. – Wszyscy zebrani przytaknęli.

– Sytuacja nie jest dobra, sir – powiedział podpułkownik Angelo Giusti, dowodzący pierwszym szwadronem 4. pułku Kawalerii Pancerniej. Szwadron 1/4, jak go powszechnie nazywano, był główną formacją rozpoznawczą dywizji, a jego dowódca podlegał

bezpośrednio generałowi dowodzącemu Pierwszą Czołgową, z pominięciem dowódcy brygady. – Nie mogę wyprowadzić moich ludzi w teren, a trudno jest ćwiczyć rozpoznanie w koszarach. Miejscowi farmerzy mają nam trochę za złe, kiedy przedzieramy się przez ich pola, więc musimy udawać, że do rozpoznania wystarczy poruszanie się po drogach o utwardzonej nawierzchni. Ale nie wystarczy, sir, i trochę mnie to niepokoi.

Nie sposób było zaprzeczyć, że przejazd pojazdów opancerzonych przez pola nie wychodził uprawom na dobre, i chociaż za każdą formacją taktyczną Armii jechał pojazd terenowy, którego pasażerowie mieli grube książeczki czekowe, żeby płacić za szkody, Niemcy lubili porządek i jankeskie dolary nie zawsze rekompensowały zniszczenia na polach.

Było łatwiej, kiedy Armia Radziecka jeszcze stała zaraz po drugiej stronie granicy, grożąc Niemcom Zachodnim śmiercią i zniszczeniem, ale teraz Niemcy były suwerennym krajem, a Rosjanie znajdowali się daleko za wschodnią granicą Polski i byli o wiele mniej groźni niż kiedyś. Niewiele było poligonów, nadających się na ćwiczenia wielkich formacji i wszystkie cieszyły się takim wzięciem, jak najpiękniejsza debiutantka na balu, z karnecikiem wypełnionym do ostatniego tańca, więc 1. szwadron też spędzał za dużo czasu w symulatorach.

– Rozumiem – powiedział Diggs. – Mam dobrą wiadomość: nowy budżet federalny jest dla nas korzystny. Będziemy mieli o wiele więcej funduszy na szkolenia i możemy zacząć z nich korzystać już za dwanaście dni. Pułkowniku Masterman, ma pan jakieś sugestie, dotyczące wydatkowania tych środków?

– Chyba coś wymyślę, panie generale. Nie moglibyśmy udawać, że jest znów rok 1983? –

W kulminacyjnym okresie zimnej wojny, Siódma Armia osiągnęła wspaniałą poziom wyszkolenia, co dobitnie zademonstrowała potem nie tyle w Niemczech, co w Iraku, odnosząc spektakularne zwycięstwa. W roku 1983 zwiększone nakłady zaczęły przynosić pierwsze konkretne rezultaty i nie uszło to uwagi oficerów wywiadu KGB i GRU, którzy do tego czasu sądzili, że Armia Radziecka miałaby szansę pokonania NATO. W 1984 roku nawet najwięksi optymiści wśród oficerów rosyjskich na zawsze rozstali się z tymi mrzonkami. Oficerowie zebrani u Diggsa wiedzieli, że gdyby udało się przywrócić ówczesny pogram ćwiczeń, żołnierze byliby szczęśliwi, bo chociaż na ćwiczeniach płynie wiele potu, właśnie o to chodzi w wojsku. Żołnierz w polu, to najczęściej szczęśliwy żołnierz.

– Pułkowniku Masterman, odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: tak. Ale wróćmy do mojego pytania. Co ze stanem gotowości?

– Mamy jakieś osiemdziesiąt pięć procent. W wypadku artylerii prawdopodobnie dziewięćdziesiąt, czy coś w tym rodzaju...

– Dziękuję, pułkowniku, zgadzam się z tą oceną – wtrącił pułkownik, dowodzący dywizyjną artylerią.

– Ale wszyscy wiemy, jak lekkie jest życie kanonierów – dociął mu Masterman.

– Lotnictwo? – spytał następnie Diggs.

– Sir, moim ludziom potrzeba trzech tygodni do osiągnięcia stu procent. Na szczęście my nikomu nie niszczyliśmy zboża, kiedy prowadzimy ćwiczenia. Mam tylko jedną uwagę: dla moich ludzi za proste jest śledzenie czołgów, którym wolno się poruszać tylko po drogach.

Nie zaszkodziłoby trochę praktyki w bardziej realistycznych warunkach, sir. Moi piloci są gotowi zmierzyć się z każdym, zwłaszcza piloci śmigłowców Apache. – Po problemach z Apache'ami w Jugosławii, które przed kilku laty zaniepokoiły wielu ludzi, lotnictwo Armii z zapalonym zapałem zabrało się do usuwania wszelkich niedociągnięć.

– W porządku, wszyscy jesteście dobrzy, ale nie będziecie mieli nic przeciwko temu, żebyśmy się jeszcze trochę podciągnęli, co? – spytał Diggs. Zebrani pokiwali głowami, jak tego oczekiwał. Podczas lotu przez Atlantyk przeczytał akta swoich wszystkich dowódców.

Byli w porządku. Armia miała mniej kłopotów niż inne rodzaje broni z zatrzymaniem dobrych ludzi, linie lotnicze nie próbowały podkupywać dowódców czołgów z Pierwszej Pancerniej, natomiast bez przerwy usiłowały wykraść pilotów Siłom Powietrznym, a chociaż policja bardzo chętnie przyjmowała doświadczonych żołnierzy piechoty, w jego dywizji było ich tylko około półtora tysiąca, na czym zresztą polegała strukturalna słabość dywizji pancerniej: za mało ludzi z karabinami i bagnietami. Amerykańska dywizja pancerna była wspaniale przygotowana do zdobywania terenu – likwidowania każdego, kto przypadkiem znalazł się na zdobywanym obszarze – ale nie była już tak dobrze wyposażona do utrzymania terenu, przez który przeszła. Armia Stanów Zjednoczonych nigdy nie była nastawiona na podboje. Jej etosem zawsze było wyzwalenie i wiązało się z tym nieodłącznie oczekiwanie, że ludzie na wyzwalanych obszarach będą pomagać, a przynajmniej okażą wdzięczność, a nie wrogość. Było to tak mocno zakorzenione w amerykańskiej historii wojskowości, że najwyżsi dowódcy rzadko, jeśli w ogóle, zastanawiali się nad innymi ewentualnościami. Wietnam odszedł już za daleko w przeszłość. Nawet Diggs był za młody, żeby wziąć udział w tamtym konflikcie i chociaż mówiono mu, jakie miał szczęście, że go to ominęło, prawie nigdy się nad tym nie zastanawiał. Wojna wietnamska nie była jego wojną i, prawdę mówiąc, niewiele obchodziły go problemy piechoty w dżungli. Był pancerniakiem, działania bojowe oznaczały dla niego czołgi i Bradleye na otwartym terenie.

– W porządku, panowie. Będę się chciał spotkać z każdym z was indywidualnie w ciągu najbliższych kilku dni. Później zapoznam się z waszymi formacjami osobiście. Przekonacie się, że dobrze się ze mną współpracuje – powiedział im w ten sposób, że nie zwykł

wrzeszczeć na podwładnych, jak niektórzy inni generałowie; żądał dążeń do doskonałości, ale nie uważał, że najlepszym sposobem na osiągnięcie tego celu jest zmieszanie kogoś publicznie z błotem – i wiem też, że wy wszyscy dobrze znacie się na tym, co robicie. Chcę, żeby za sześć miesięcy, albo i wcześniej, ta dywizja była gotowa stawić czoło każdemu zagrożeniu. Powtarzam, każdemu.

Ciekawe, skąd może przyjść jakieś zagrożenie? – zastanawiał się pułkownik Masterman.

Z Niemiec? Przy braku jakiegokolwiek poważnego zagrożenia motywowanie żołnierzy było może trochę trudniejsze, ale sama radość z wykonywania żołnierskiego rzemiosła wcale nie tak wiele się

różniła od emocji towarzyszących futbolowi. Dla właściwych facetów już okazja wyprowadzenia wielkich zabawek w błotnisty teren była po prostu wielką frajdą, a po jakimś czasie zaczęli się zastanawiać, jak może wyglądać prawdziwa wojna. Do Pierwszej Pancерnej ożywienie wprowadzili żołnierze 10. i 11. pułku Kawalerii Pancерnej, którzy przed rokiem walczyli w Arabii Saudyjskiej i, jak wszyscy żołnierze, opowiadali o swoich przeżyciach. Niewiele było smutnych opowieści. Głównie podkreślali, jak bardzo było to podobne do ćwiczeń, a swoich ówczesnych wrogów nazywali „głupimi turbaniarzami”, niewartymi, jak się w końcu okazało, takiej porcji żelaza i stali. Co zresztą jeszcze bardziej wbijało ich w dumę. Wygrana wojna pozostawia najczęściej same dobre wspomnienia, zwłaszcza, jeśli nie trwa zbyt długo. Wznosi się potem toasty, ze smutkiem i z szacunkiem wspomina nazwiska tych, którzy polegli, ale w sumie ta niedawna wojna nie była złym doświadczeniem dla żołnierzy, którzy wzięli w niej udział.

Nie chodziło przy tym o to, że żołnierze pałali żądzą walki; raczej o to, że często czuli się jak piłkarze, którzy ciężko trenują, ale nigdy nie mają okazji zagrać w prawdziwym meczu.

Rozum podpowiadał im, że w boju gra się ze śmiercią, a nie piłką na boisku, ale dla większości z nich było to zbyt abstrakcyjne. Czołgiści strzelali na ćwiczeniach, a jeśli cele były ze stali, mieli satysfakcję, widzieli snopy iskier, kiedy ich pociski trafiały, ale to nie to samo, co zobaczyć wieżę czołgu, wylatującą w powietrze w słupie dymu i ognia... i wiedzieć, że życie trzech, czy czterech ludzi zostało właśnie zdmuchnięte, jak świeczka na urodzinowym torcie. Weterani drugiej wojny nad Zatoką Perską mówili czasem, co czuli, widząc rezultaty swojej roboty, zwykle w stylu: „O Jezu, bracie, to był naprawdę okropny widok”, ale najczęściej na tym się kończyło. Dla żołnierzy, kiedy wracali do tego we wspomnieniach, zabijanie nie było mordowaniem; dla drugiej strony byli wrogami, obie strony wiedziały, o co toczy się gra, jedni wygrywali, drudzy przegrywali i jeśli ktoś nie chciał iść na takie ryzyko, to przecież nikt nie kazał mu wkładać munduru, prawda? I mówiło się: „Lepiej się przykładaj na ćwiczeniach, dupku, bo potem nie będzie już żartów”. I było to tym drugim powodem, dla którego żołnierze lubili ćwiczenia. Były one czymś więcej niż ciężkim, ale ciekawym i dość zabawnym zajęciem. Były ubezpieczeniem na życie, gdyby coś się miało rozpuścić na serio, a żołnierze, jak hazardziści, woleli mieć w ręku dobre karty.

Diggs zakończył odprawę i skinieniem ręki dał znak Mastertonowi, żeby został.

– I co, Duke?

– Rozejrzałem się trochę i to, co zobaczyłem, jest całkiem niezłe, sir. Szczególnie dobry jest Giusti i zawsze piekli się, że ma za mało czasu na ćwiczenia. Mnie się to podoba.

– Mnie też – zgodził się Diggs. – Co jeszcze?

– Artyleria jest w bardzo dobrej formie, a brygady manewrowe niezłe sobie radzą, biorąc pod uwagę niedostateczny czas na ćwiczenia połowe. Może i nie podoba im się, że tyle czasu muszą spędzać w symulatorach, ale dobrze je wykorzystują. Brakuje im jakieś dwadzieścia procent do poziomu naszego 10. pułku Kawalerii na pustyni Negew, kiedy bawiliśmy się z Izraelczykami, a to już naprawdę dobry rezultat. Sir, proszę mi dać trzy-cztery miesiące w polu i będą gotowi zmierzyć się z całym światem.

– Cóż, Duke, wypiszę ci czek w przyszłym tygodniu. Plany masz już gotowe?

– Będą gotowe pojutrze. Polatam trochę śmigłowcem, żeby się zorientować, z których terenów możemy korzystać, a z których nie. Jest tu brygada niemiecka, mówią, że chętnie odegrają dla nas rolę agresora.

– Dobrzy są?

– Tak twierdzą. Będziemy się mieli okazję przekonać. Radzę wysłać w pierwszej kolejności Drugą Brygadę. Jest trochę ostrzejsza niż dwie pozostałe. Pułkownik Lisle to facet naszego pokroju.

– I jego kariera wygląda całkiem dobrze. Dostanie swoją gwiazdkę w najbliższej rundzie awansów.

– Należy mu się – zgodził się Masterman. Nie mógł spytać, co z jego własną gwiazdką.

Całkiem wysoko oceniał swoje szanse, ale nigdy nie miało się pewności. No, przynajmniej służył pod dowództwem pancerniaka, jak on sam.

– W porządku, pokaż mi swoje plany najbliższych ćwiczeń polowych Drugiej Brygady...

Jutro?

– Tak jest, sir. – Masterman energicznie skinął głową i poszedł do swojego biura.

– Jak ostro? – spytał Cliff Rutledge.

– Cóż – odpowiedział Adler – właśnie rozmawiałem przez telefon z prezydentem.

Powiedział, czego chce, a naszym zadaniem jest załatwienie mu tego.

– To błąd, Scott – ostrzegł podsekretarz stanu.

– Błąd czy nie, pracujemy dla prezydenta.

– Tak sędzę, ale Pekin naprawdę stara się nam nie wiercić dziury w brzuchu z powodu Tajwanu. To może nie być najlepszy moment, żeby ich tak mocno naciskać.

– Nawet teraz, kiedy rozmawiamy, Ameryka traci miejsca pracy z powodu ich polityki handlowej – zwrócił uwagę Adler. – Kiedy należy dojść do wniosku, że co za dużo, to niezdrowo?

– Myślę, że Ryan będzie o tym decydował, co?

– Tak stanowi Konstytucja.

– I chcesz, żebym się z nimi spotkał, tak?

Sekretarz stanu skinął głową. – Zgadza się. Za cztery dni. Przygotuj na piśmie swoje stanowisko negocjacyjne i pokaż mi je, zanim zaczniemy z nimi rozmawiać, ale pamiętaj, muszą wiedzieć, że nie żartujemy. Deficyt handlowy musi się zmniejszyć, i to szybko. Nie mogą zarabiać na nas takich pieniędzy i wydawać ich gdzie indziej.

– Ale przecież nie mogą kupować od nas sprzętu wojskowego – zauważył Rutledge.

– A po co im cały ten sprzęt? – spytał retorycznie Scott Adler. – Jakich mają zewnętrznych wrogów?

– Powiedzą, że ich bezpieczeństwo narodowe jest ich sprawą wewnętrzną.

– A my odpowiemy, że nasze bezpieczeństwo ekonomiczne jest naszą sprawą i że oni nie ułatwiają nam zadbania o tę sprawę. – To oznaczało danie Chinom do zrozumienia, że wygląda na to, iż przygotowują się do wojny. Ale przeciw komu i czy będzie to dobre dla świata? Rutledge zamierzał zadać te pytania z wystudiowanym opanowaniem.

Wstał. – W porządku, mogę przedstawić nasze racje. Nie w pełni zgadzam się z taką linią postępowania, ale cóż, myślę, że to nie jest konieczne, prawda?

– Znów masz rację. – Adler nie darzył Rutledge’a zbyt wielką sympatią. Jego dotychczasowa kariera była raczej rezultatem koneksji politycznych niż faktycznych zasług.

Na przykład był w bardzo bliskich stosunkach z byłym wiceprezydentem Kealtym, ale kiedy się to skończyło, Cliff otrzepał się z kurzu z podziwu godną szybkością. Prawdopodobnie nie będzie już awansował. Może czeka go posada wykładowcy w Kennedy School na Harvardzie? Będzie uczył i stanie się jedną z gadających głów w wieczornych wiadomościach, mając nadzieję, że zauważy go jakiś dobrze się zapowiadający polityk? Ale o tym decydował już czysty przypadek. Rutledge zaszedł wyżej, niż na to zasługiwał i wiązała się z tym niezła pensja oraz wielki prestiż w kręgach towarzyskich Waszyngtonu, gdzie zapraszano go praktycznie na wszystkie ważniejsze przyjęcia. A to oznaczało, że kiedy odejdzie ze służby cywilnej, zwiększy swoje dochody wielokrotnie, wiążąc się z jakąś firmą consultingową. Adler wiedział, że mógłby zrobić to samo, ale też wiedział, że prawdopodobnie nie zrobi. Raczej obejmie Fletcher School na Tufts University i spróbuje przekazać nowemu pokoleniu przyszłych dyplomatów to, czego się nauczył. Był jeszcze za młody, żeby przejść w stan spoczynku, ale zdawał sobie sprawę, że raczej nie znajdzie w rządzie nic odpowiedniego po odejściu z urzędu sekretarza stanu, a na uczelni nie powinno być źle. Poza tym, będzie mógł czasem zrobić coś jako konsultant i popisać do gazet, występując w roli starszego, mądrego męża stanu.

– Więc pozwól, że się wezmę do roboty. – Rutledge wyszedł i skierował się do swojego biura na szóstym piętrze.

No, trafiło mi się, pomyślał podsekretarz stanu, chociaż nie wyzbył się wątpliwości. Ten Ryan nie odpowiadał jego wyobrażeniu o tym, jaki powinien być prezydent. Wydawało mu się, że dysputy

międzynarodowe polegały na przystawianiu ludziom lufy do skroni i wysuwaniu żądań, a nie na wymianie argumentów. Metody Rutledge'a pochłaniały więcej czasu, ale były o wiele bezpieczniejsze. Trzeba coś dać, jeśli chce się coś dostać. Cóż, prawda, że nie bardzo mieli już co dać Chinom, z wyjątkiem może zerwania stosunków dyplomatycznych z Tajwanem. Nietrudno było zrozumieć powody, dla których nawiązali te stosunki, ale mimo wszystko był to błąd. Chiny kontynentalne były bardzo niezadowolone, a przecież nie można pozwolić, żeby jakieś głupie „zasady” kłóciły się z realiami międzynarodowymi. Dyplomacja, podobnie jak polityka, o której Ryan też, niestety, nie miał

wielkiego pojęcia, była pragmatycznym biznesem. W Chińskiej Republice Ludowej żyło ponad miliard ludzi i trzeba to było brać pod uwagę. Jasne, Tajwan miał demokratycznie wybrane władze i tak dalej, ale mimo wszystko był tylko zbuntowaną prowincją chińską, a więc wewnętrzną sprawą Chin. Od ich wojny domowej minęło już ponad pięćdziesiąt lat, ale w Azji dominowało podejście długofalowe.

No tak, pomyślał, siadając za biurkiem. Wiemy, czego chcemy i dostaniemy to, czego chcemy... Sięgnął po notes i usiadł wygodniej, żeby porobić zapiski. Może to i zła polityka, może głupia. Nie musiał się z nią zgadzać, ale jeśli chciał jeszcze kiedyś awansować – w tym wypadku przenieść się do innego gabinetu na tym samym piętrze, czyli do gabinetu zastępcy sekretarza stanu – musiał przedstawić te politykę najlepiej jak potrafił, jakby był w nią osobiście bardzo zaangażowany emocjonalnie. Pomyślał, że to tak, jak z adwokatami. Wciąż muszą występować w najbardziej idiotycznych sprawach, czyż nie? Nie czyniło z nich to najemników. Byli profesjonalistami i on też był profesjonalistą.

A poza tym, nigdy go nie przyłapali. Ed Kealty nigdy nikomu nie powiedział, jak Rutledge próbował pomóc mu zostać prezydentem. Może i był nieuczciwy wobec prezydenta, ale dochował w tej sprawie lojalności swoim ludziom, jak to powinien zrobić polityk. A ten Ryan, chociaż może i niegłupi, nigdy się nie zorientował. I tak, panie prezydencie, pomyślał

Rutledge, chociaż wydaje się panu, że jest pan inteligentny, to jednak potrzebuje pan mnie, żebym sformułował panu jego politykę. Ha!

– Przyjemna odmiana, towarzyszu ministrze – zauważył Bondarienko, wchodząc do środka. Goławką machnięciem ręki wskazał mu krzesło i nalał szklaneczkę wódki, bez której nie rozmawiało się w Rosji o interesach. Generał pociągnął obligatoryjny łyk i wyraził

podziękowanie za gościnne przyjęcie. Najczęściej przychodził tu dopiero po godzinach pracy, ale tym razem został wezwany oficjalnie, zaraz po drugim śniadaniu. Byłby tym zaniepokojony – kiedyś, w dawnych czasach, takie zaproszenie do centrali KGB sprawiało, że człowiek musiał szybko biec do toalety – gdyby nie jego zażyłe stosunki z szefem rosyjskich szpiegów.

– Cóż, Giennadiju Josifowiczu, rozmawiałem o was i o waszych koncepcjach z prezydentem Gruszawojem. Wystarczająco długo nosicie swoje trzy gwiazdki. Byliśmy z prezydentem zgodni, że należy wam się jeszcze jedna, a także nowy przydział.

– Doprawdy? – Bondarienko nie był zaskoczony, za to natychmiast stał się nieufny. Nie zawsze dobrze było złożyć swą karierę w czyjeś ręce, nawet jeśli się tego kogoś lubiło.

– Tak. Od przyszłego poniedziałku będziecie już czterogwiazdkowym generałem, a wkrótce potem wyruszyacie objąć dowództwo Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego.

Tym razem Bondarienko uniósł brwi. Przecież właśnie o tym marzył od jakiegoś czasu. –

Czy mógłbym zapytać, dlaczego tam?

– Tak się składa, że zgadzam się z waszymi obawami, dotyczącymi naszych żółtych sąsiadów. Mam trochę meldunków z GRU o przeciągających się ćwiczeniach polowych armii chińskiej, a jeśli mam być szczery, nasze informacje wywiadowcze z Pekinu pozostawiają trochę do życzenia. Dlatego też uważamy z Eduardem Pietrowiczem, że nasz potencjał

obronny na wschodzie należy nieco umocnić. To twoje zadanie, Giennadij. Spraw się dobrze, a może ci się jeszcze przytrafić wiele dobrego.

To mogło oznaczać tylko jedno, pomyślał Bondarienko, sam się sobie dziwiąc, że udaje mu się zachować kamienną twarz. Nad czterema gwiazdkami generalskimi była już tylko jedna wielka gwiazda marszałka i wyżej już żaden rosyjski żołnierz nie mógł zająć. Potem można już było zostać dowódcą naczelnym całych sił zbrojnych albo ministrem obrony lub też przejść w stan spoczynku i pisać pamiętniki.

– Jest paru ludzi, których chciałbym zabrać ze sobą do Chabarowska. To pułkownicy z mojego sztabu – powiedział generał po chwili namysłu.

– Oczywiście, to twój przywilej. Powiedz mi, co będziesz tam chciał zrobić?

– Naprawdę chcecie wiedzieć? – spytał świeżo upieczony czterogwiazdkowy generał.

Słyszając to, Gołowko uśmiechnął się szeroko. – Rozumiem. Chcesz przebudować Armię Rosyjską na swój sposób?

– Nie na mój sposób, towarzyszu ministrze, ale tak, żeby zwyciężać, jak w 1945. Niech będzie taka, żeby nikt nie śmiał podnieść na nas ręki.

– Ile to będzie kosztować?

– Siergieju Nikołajewiczu, nie jestem ekonomistą, ani księgowym, ale mogę zapewnić, że koszty będą o wiele niższe od ceny, jaką przyszłoby nam zapłacić, gdybyśmy tego nie zrobili.

– Bondarienko pomyślał, że teraz będzie miał większy dostęp do najróżniejszych materiałów wywiadowczych, znajdujących się w posiadaniu jego kraju. Byłoby lepiej, gdyby Rosja przeznaczała na to, co Amerykanie nazywali Narodowymi Środkami Technicznymi, czyli na strategiczne satelity rozpoznawcze, takie same środki, jak kiedyś Związek Radziecki. Cóż, będzie się musiał zadowolić tym, co dostanie, a może uda mu się namówić lotników do przeprowadzenia paru specjalnych

lotów...

– Powiem o tym prezydentowi Gruszawojowi. – Co zresztą nie na wiele się przyda. W

skarbcu wciąż było pustawo, chociaż mogło się to zmienić w ciągu kilku lat.

– Czy dzięki tym złożom, odkrytym właśnie na Syberii, będziemy mieć trochę więcej pieniędzy?

Gołowko skinął głową. – Tak, ale dopiero za kilka lat. Cierpliwości, Giennadij.

Generał dopił swoją wódkę. – Mogę być cierpliwy, ale czy Chińczycy też będą?

Gołowko musiał przyznać, że obawy jego gościa są uzasadnione. – Tak, ich siły zbrojne prowadzą teraz więcej ćwiczeń niż kiedyś. – To, co dawniej stanowiło powód do niepokoju, zmieniło się, z racji swej ciągłości, w coś rutynowego i Gołowko, podobnie jak wielu innych, przeważnie lekceważył takie informacje w natłoku codziennych spraw. – Ale nie ma politycznych powodów do obaw. Stosunki między naszymi krajami są bardzo przyjazne.

– Towarzyszu ministrze, wprowadzie nie jestem dyplomata, ani oficerem wywiadu, ale studiuję historię. Pamiętam, że stosunki Związku Radzieckiego z hitlerowskimi Niemcami były serdeczne aż do 22 czerwca 1941 roku. Awangarda wojsk niemieckich minęła się wtedy z radzieckimi pociągami, jadącymi na zachód z ropą naftową i zbożem dla faszystów.

Wnioskuje z tego, że stan stosunków dyplomatycznych nie zawsze jest wskaźnikiem intencji jakiegoś kraju.

– To prawda i właśnie dlatego mamy służbę wywiadowczą.

– I pamiętacie też, że w przeszłości Chińska Republika Ludowa spoglądała już z zazdrością na bogactwa naturalne Syberii. Ta zazdrość pewnie się jeszcze spotęgowała po naszych odkryciach. Nie informowaliśmy o nich opinii publicznej, ale musimy przyjąć, że Chińczycy mają swoje źródła wywiadowcze w samej Moskwie, prawda?

– Nie da się wykluczyć takiej ewentualności – przyznał Gołowko. Nie dodał, że tymi źródłami byli najprawdopodobniej prawdziwi rosyjscy komuniści z dawnych czasów, ludzie, którzy opłakiwali upadek poprzedniego ustroju, a może i pokładali w Chinach nadzieję na nawrócenie Rosji na prawdziwy marksizm-leninizm, choćby i z domieszką maoizmu. Obaj mężczyźni byli w swoim czasie członkami partii komunistycznej. Bondarienko, bo było to absolutnie konieczne, żeby awansować w Armii Radzieckiej; Gołowko, ponieważ bez tego nigdy nie powierzono by mu stanowiska w KGB. Obaj udawali, że wierzą w słowa, które powtarzali i najczęściej obaj mieli oczy otwarte na zebraniach partyjnych, taksując wzrokiem kobiety albo śniąc na jawie o czymś przyjemnym. Ale byli i tacy, którzy naprawdę słuchali i autentycznie wierzyli w te wszystkie polityczne bzdury. Bondarienko i Gołowko byli pragmatykami, interesowali się głównie namacalnymi konkretami, a nie jakimiś abstrakcjami, które uda się kiedyś zrealizować, albo i nie. Na szczęście dla obojgu, w zawodach, które sobie wybrali, rzeczywistość liczyła się bardziej niż teoria, a ich intelektualne poszukiwania łatwiej tolerowano, ponieważ ludzie z darem przewidywania zawsze byli potrzebni,

nawet w kraju, w którym chciano kontrolować także wizje. – Ale będziesz miał aż nadto środków, żeby reagować na to, co budzi twoje obawy.

Niezupełnie, pomyślał generał. Co będzie miał do dyspozycji? Sześć dywizji zmechanizowanych, dywizję czołgów, dywizyjną artylerię, wszystko regularne formacje z obsadą na poziomie około siedemdziesięciu procent etatowej i na wątpliwym poziomie wyszkolenia. To będzie jego pierwszym zadaniem, i to bardzo ważnym: zrobić z tych chłopców w mundurach żołnierzy tego gatunku, który rozbił Niemców pod Kurskiem i ruszył

dalej, żeby zdobyć Berlin. Osiągnięcie tego będzie nie lada wyczynem, pomyślał

Bondarienko, zastanawiając się następnie, kto mógłby być przygotowany do tego lepiej niż on. Znał kilku obiecujących młodych generałów, nie wykluczał, że któregoś z nich ściągnie do siebie, ale w swojej grupie wiekowej Giennadij Josifowicz Bondarienko uważał się za największy umysł w siłach zbrojnych swego kraju. Cóż, będzie miał okazję, żeby to udowodnić. Zawsze trzeba się było liczyć z ewentualnością porażki, ale ludzie tacy jak on widzieli okazje tam, gdzie inni widzieli zagrożenia.

– Zakładam, że będę miał wolną rękę? – powiedział po chwili zastanowienia.

– W granicach rozsądku. – Gołowko skinął głową. – Wolelibyśmy, żebyś nie zaczynał tam wojny.

– Wcale nie chcę ruszać na Pekin. Nigdy nie gustowałem w ich kuchni – odpowiedział

zartobliwie Bondarienko. A Rosjanie powinni być lepszymi żołnierzami. Sprawności bojowej rosyjskich mężczyzn nikt nigdy nie poddawał w wątpliwość. Potrzebne im było tylko dobre wyszkolenie, dobry sprzęt i właściwe dowództwo. Bondarienko pomyślał, że dwie z tych potrzeb będzie mógł zaspokoić i że będzie to musiało wystarczyć. Myślami wybiegał już na wschód, zastanawiając się nad swą kwaterą główną, nad tym, jakich oficerów sztabowych zastanie, kogo będzie musiał wymienić i skąd wziąć ludzi na tę wymianę. Na pewno będą tam również trutnie, karierowicze, którzy odbębiają służbę, wypełniając formularze, jakby na tym polegała rola oficerów. Dla takich kariera się skończy; no, dostaną trzydzieści dni na wzięcie się w garść i, znając siebie, Bondarienko pomyślał, że pewnie zainspiruje niektórych do ponownego odkrycia ich powołania. Największe nadzieje pokładał w zwykłych żołnierzach, młodych chłopcach, z niechęcią noszących mundury, bo nikt im nie powiedział, kim są naprawdę i jakie to ważne. Ale to się da naprawić. Ci chłopcy byli żołnierzami.

Obrońcami swego kraju i zasługiwali na to, żeby być dumnymi obrońcami. Przy odpowiednim szkoleniu, w ciągu dziewięciu miesięcy zaczną się lepiej prezentować w mundurach, będą stać prościej i zadawać szyku na przepustce, czyli zachowywać się jak żołnierze. On im pokaże, jak się to robi, stanie się dla nich namiastką ojca, wprowadzającego gromadę swych nowych synów w wiek męski. Trudno o szczytniejszy cel. Bondarienko miał

cichą nadzieję, że jako dowódca Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego ustanowi standardy dla całych sił zbrojnych swego kraju.

– No więc, Giennadiju Josifowiczu, co mam powiedzieć Eduardowi Pietrowiczowi? –

spytał Gołowko, pochylając się nad biurkiem, żeby nalać swemu gościowi jeszcze trochę doskonałej starki.

Bondarienko uniósł szklanę. – Towarzyszu ministrze, powiedzcie, proszę, naszemu prezydentowi, że ma nowego dowódcę Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego.

Rozdział 18

Ewolucje

Interesującym aspektem nowego stanowiska Mancuso było to, że dowodził teraz lotnictwem, na którym znał się całkiem nieźle, ale także wojskami lądowymi, o których nie miał większego pojęcia. Jego kontyngent wojsk lądowych obejmował 3. Dywizję Piechoty Morskiej, stacjonującą na Okinawie i 25. Dywizję Piechoty Lekkiej w koszarach Schofield na Oahu. Mancuso nigdy bezpośrednio nie dowodził więcej niż jakimś stu pięćdziesięcioma ludźmi i wszyscy oni byli na pokładzie pierwszej i, tak naprawdę, ostatniej jednostki, jaką autentycznie dowodził, USS „Dallas”. To była dobra liczba, dostatecznie duża, żeby czuć się w gronie większym niż rodzina i dostatecznie mała, żeby znać każdą twarz i każde nazwisko.

Dowodzenie siłami na Pacyfiku było czymś zupełnie innym. Liczba członków załogi

„Dallas”, nawet podniesiona do kwadratu, była niczym w porównaniu z siłami, którymi mógł teraz kierować zza biurka.

Przeszedł kurs, mający na celu zapoznanie nowych wyższych oficerów z pozostałymi rodzajami wojsk. Chodził po lasach z żołnierzami piechoty, czołgał się w błocie z marines, przyglądał się nawet tankowaniu w powietrzu z fotela G5B Galaxy (najbardziej niezwykły akt, jaki kiedykolwiek widział: dwa samoloty, parzące się podczas lotu z prędkością 555

kilometrów na godzinę) i spędził trochę czasu z pancerniakami w Fort Irwin w Kalifornii, gdzie miał okazję prowadzić czołgi, oraz Bradleye i wypróbować ich uzbrojenie. Ale zobaczyć to wszystko, pobawić się z chłopakami, utyłać w błocie, to jeszcze nie to samo, co naprawdę się na tym znać. Miał po prostu jakieś wyobrażenie o tym, jak to wygląda, jak brzmi i jak pachnie. Widział ten sam wyraz pewności siebie na twarzach mężczyzn w różnych mundurach i setki razy powtarzał sobie, że wszyscy oni byli w rzeczywistości tacy sami.

Sierżant, dowodzący czołgiem Abrams, niewiele różnił się duchem od starszego bosmana na kutrze torpedowym, a Zielony Beret reprezentował tę samą boską pewność siebie, co pilot myśliwski. Ale żeby skutecznie dowodzić takimi ludźmi, trzeba wiedzieć więcej, powiedział

sobie CINCPAC. Powinien był spędzić więcej czasu na ćwiczeniach „integracyjnych”. Ale z drugiej strony, nawet najlepsi piloci Sił Powietrznych, czy lotnictwa Marynarki potrzebowaliby miesięcy, żeby zrozumieć, co on robił na USS „Dallas”. Do licha, minąłby rok, zanim zrozumieliby, jak ważne jest bezpieczeństwo reaktora; mniej więcej tyle zajęło mu kiedyś nauczanie się tego wszystkiego, a i tak nie był w tej dziedzinie specjalistą. Zawsze był

facetem z pierwszej linii. Każdy rodzaj wojsk był inny, każdy miał specyfikę swoich zadań, różniących się od siebie jak owczarek od bulteriera.

Ale on musiał dowodzić nimi wszystkimi i robić to skutecznie, żeby nie popełnić błędu, którego rezultatem byłby telegram, informujący panią Smith, że jej syn, czy też mąż, niestety nie żyje, bo jakiś wyższy oficer coś spieprzył. Cóż, admirał Bart Mancuso powiedział sobie, że właśnie dlatego ma aż

tylu oficerów sztabowych, łącznie z facetem od jednostek nawodnych, który ma wyjaśniać, co robią takie cele (dla Mancuso każda jednostka nawodna wciąż była celem), facetem z lotnictwa Marynarki, żeby wyjaśniał, co robi to lotnictwo, jednym marine i paru żołnierzami piechoty, żeby wyjaśniali, jak to jest w polu i paroma pilotami Sił Powietrznych, którzy będą mu mogli powiedzieć, do czego zdolne są ich maszyny. Wszyscy oni służyli radami, które, kiedy tylko z nich skorzystał, stawały się wyłącznie jego decyzjami, ponieważ to on dowodził, a dowodzenie oznaczało odpowiedzialność za wszystko, co się stało na obszarze Oceanu Spokojnego, łącznie z tym, że jakiś świeżo awansowany mat rzucił jakąś lubieżną uwagę na temat cycków innego mata-dziewczyny; było to czymś nowym w Marynarce i Mancuso najchętniej odłożyłby to do następnej dekady. Wpuszczali teraz kobiety nawet na okręty podwodne i admirał ani trochę nie żałował, że go to ominęło. Co, u diabła, zrobiłby z tym Mush Morton⁵⁴ i jemu podobni dowódcy okrętów podwodnych z czasów II wojny światowej?

Uznał, że wie, jak zorganizować ćwiczenia morskie, jedną z tych wielkich operacji, podczas których połowa VII Floty wirtualnie zaatakuje i zniszczy drugą połowę, po czym nastąpi symulowany desant batalionu piechoty morskiej. Myśliwce lotnictwa Marynarki zmierzą się z maszynami Sił Powietrznych, a kiedy wszystko się skończy, komputer pokaże, kto zwyciężył, a kto przegrał i w różnych barach płacone będą różnego rodzaju zakłady; niektórzy będą wściekli, bo rezultaty symulowanych starć znajdowały odzwierciedlenie w indywidualnych arkuszach ocen, a więc mogły decydować o niejednej karierze.

Mancuso uznał, że ze wszystkich rodzajów wojsk pod jego dowództwem, okręty podwodne były w najlepszej formie, co było logiczne, jako że on sam był przedtem COMSUBPAC (dowódcą sił podwodnych na Pacyfiku) i z żelazną konsekwencją zabiegał o podnoszenie sprawności swoich załóg. A poza tym, ta wojenka, w której uczestniczyli przed dwoma laty, we wszystkich wyrobiła właściwe poczucie obowiązku. Strategiczne okręty podwodne pozostały w służbie jako wspomagające jednostki ofensywne, bo Mancuso przedstawił sprawę szefowi operacji morskich, którym był jego przyjaciel Dave Seaton, zaś Seaton przedstawił sprawę w Kongresie, żeby zdobyć dodatkowe środki. Kongres był

nastawiony bardzo przychylnie, bo dwa niedawne konflikty udowodniły, że ludzie w *54 Dudley „Mush” Morton; zginął w październiku 1943 roku, kiedy Japończycy zatopili jego okręt podwodny USS „Wahoo” na Morzu Japońskim (przyp. tłum.)*

mundurach nadawali się do czegoś więcej niż otwieranie drzwi przed wybranymi przedstawicielami narodu. Zresztą, okręty klasy Ohio były po prostu za drogie, żeby je złomować, a poza tym zajmowały się prowadzeniem ważnych badań oceanograficznych na Północnym Pacyfiku, co odpowiadało tym zwariowanym ekologom, miłośnikom drzewek, rybek i delfinów, którzy, zdaniem tego wojownika w białym mundurze, mieli o wiele za dużo władzy politycznej.

Każdy dzień zaczynał się od porannej odprawy, prowadzonej najczęściej przez generała brygady Mike’a Lahra, który był jego oficerem ds. wywiadu z J-255. Te odprawy były bardzo dobrym rozwiązaniem. Rankiem 7 grudnia 1941 roku Stany Zjednoczone przekonały się o potrzebie przekazywania wyższym dowódcom informacji wywiadowczych, które mogły im być potrzebne, więc ten CINCPAC dowiadywał się wiele, w przeciwieństwie do jego odległego w czasie poprzednika

admirała Husbanda E. Kimmela56.

– Dzień dobry, Mike – powiedział Mancuso na powitanie.

Steward nalewał poranną kawę.

– Dzień dobry, sir – odpowiedział jednogwiazdkowy generał.

– Co nowego na Pacyfiku?

– Najważniejsza wiadomość dziś rano, sir, to ta, że Rosjanie powierzyli nowemu facetowi dowództwo Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego. Nazywa się Giennadij Bondarienko.

Dotychczas był szefem operacyjnym, odpowiednikiem naszego J-3 w Armii Rosyjskiej. Jego kariera rozwijała się w dość interesujący sposób. Zaczynał w łączności, nie w formacji bojowej, ale zasłużył się w Afganistanie pod koniec tamtej awantury. Ma Order Czerwonego Sztandaru i tytuł Bohatera Związku Radzieckiego; jedno i drugie dostał jako pułkownik.

Dobre koneksje polityczne. Ściśle współpracuje z niejakim Gołowką; to były oficer KGB, wciąż w szpiegowskim biznesie, znany osobiście prezydentowi... to znaczy, naszemu prezydentowi. Gołowko jest w istocie kimś w rodzaju zastępcy rosyjskiego prezydenta Gruszawoja do spraw operacyjnych. Gruszawoj słucha go w bardzo wielu sprawach, a poza tym, to przez Gołowkę przekazywane są do Białego Domu sprawy „interesujące obie strony”.

Świetnie. Więc przez tego faceta Rosjanie kontaktują się z Jackiem Ryanem. – Co to za człowiek? – spytał CINCPAC.

– Nasi przyjaciele z Langley mówią, że Gołowko jest bardzo zdolny i bardzo bystry. Ale wróćmy do Bondarienki. Też bardzo zdolny i bardzo bystry, i może zająć jeszcze wyżej.

Rozum i odwaga osobista mogą w ich wojsku pomóc w zrobieniu kariery, tak jak i u nas.

– A w jakim stanie są wojska, którymi teraz dowodzi?

– W niezbyt dobrym, sir. Z tego, co wiemy, jest tam osiem jednostek o etacie dywizji: sześć dywizji zmechanizowanych, jedna pancerna i jedna artyleryjska. Według naszych 55 *J-2 - wydział wywiadu Kolegium Szefów Sztabów Sił Zbrojnych USA (przyp. tłum.)* 56 Husband E. Kimmel dowodził Flotą Pacyfiku, podczas ataku Japończyków na Pearl Harbor 7 grudnia 1941

roku (przyp. tłum.)

standardów, wszystkie wydają się mieć niepełną obsadę i nie spędzają zbyt wiele czasu w terenie. Bondarienko to zmieni, jeśli nasze informacje o nim są wiarygodne.

– Tak myślisz?

– Jako ich J-3 agitował za podniesieniem standardów wyszkolenia. Jest też trochę intelektualistą. W zeszłym roku opublikował dłuższy esej o legionach rzymskich, zatytułowany „Żołnierze Cezara”. Zawarł tam ten wspaniały cytat z Flawiusza⁵⁷:

„Ich ćwiczenia są bezkrwawymi bitwami, a ich bitwy są krwawymi ćwiczeniami”.

Wprawdzie była to rozprawa stricte historyczna, ze źródłami, takimi jak Flawiusze, Józef i Vegetius⁵⁸, ale implikacja była jasna. Wołał wielkim głosem o lepsze szkolenie Armii Rosyjskiej, a także o podoficerów zawodowych. Poświęcił wiele uwagi rozprawie Vegetiusa o tym, jak przygotowywać centurionów. W Armii Radzieckiej właściwie nie było podoficerów w naszym rozumieniu tego pojęcia, a Bondarienko zalicza się do wyższych oficerów nowej generacji, którzy twierdzą, że w nowej Armii Rosyjskiej powinno się przywrócić tę instytucję. Co zresztą brzmi rozsądnie – dodał Lahr.

– Więc sądzisz, że ostro weźmie swoich ludzi do galopu. A co z rosyjską marynarką wojenną?

– Nie podlega mu. Bondarienko ma lotnictwo taktyczne oraz wojska lądowe, i nic poza tym.

– Cóż, ich marynarka jest już więcej niż po uszy w gównie – zauważył Mancuso. – Co jeszcze?

– Trochę spraw politycznych, ale może pan to przeczytać w wolnej chwili. Chińczycy wciąż na manewrach. Prowadzą teraz ćwiczenia z czterema dywizjami na południe od Amuru.

– Czytałem.

– Zwiększyli intensywność ćwiczeń prawie trzy lata temu. Żadnych gorączkowych działań, czy coś takiego, ale przeznaczają coraz więcej pieniędzy na poprawę stanu wyszkolenia Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Tym razem skoncentrowali się na czołgach i transporterach opancerzonych. Mnóstwo ognia artyleryjskiego, ostrą amunicją. Mają tam dobry teren do ćwiczeń, mało ludności cywilnej, coś tak, jak w Newadzie, ale nie tak płasko.

Kiedy zaczęli, przypatrywaliśmy im się uważnie, ale teraz to już rutyna.

– A co o tym sądzą Rosjanie?

Lahr usiadł wygodniej. – Sir, prawdopodobnie właśnie dlatego Bondarienko dostał ten przydział. Kiedyś to Rosjanie przygotowywali się tak do walki. Teraz Chińczycy mają nad nimi wielką przewagę liczebną na tamtym obszarze, ale nie dochodzi do żadnych aktów wrogości. W polityce panuje na razie spokój.

⁵⁷ Józef Flawiusz, właściwie Josef ben Matatia (ur. ok. 37 - zm. ok. 103), żydowski historyk, faworyt cesarza Wespazjana, autor m.in. „Dziejów wojny żydowskiej przeciw Rzymianom” (przyp. tłum.) ⁵⁸ Flawiusz Vegetius Renatus, IV wiek n.e., rzymski pisarz, znawca wojskowości, autor głośnej „Epitoma rei militaris” (przyp. tłum.)

– Akurat – mruknął C1NCPAC zza biurka. – A Tajwan?

– Trochę interesujących ćwiczeń w pobliżu cieśniny, ale głównie z udziałem jednostek piechoty, nic, co choć trochę przypominałoby przygotowania do operacji desantowej.

Uważnie się temu przyglądamy, z pomocą naszych przyjaciół z Tajwanu.

Mancuso skinął głową. Miał szufladę pełną planów wysłania VII Floty na zachód, na wyspie niemal przez cały czas przebywał „z wizytą kurtuazyjną” któryś z jego okrętów nawodnych. Dla jego marynarzy Republika Chińska była świetnym miejscem do zejścia na ląd; było tam mnóstwo kobiet, których usługi stanowiły przedmiot intensywnej negocjacji handlowych. A szary okręt amerykańskiej Marynarki, zacumowany przy nabrzeżu, dawał

nieomal pewność, że nikt nie zaatakuje okolicy rakietami. Nawet zadrapanie amerykańskiego okrętu było klasyfikowane jako *casus belli*, powód do rozpoczęcia wojny, a nikt nie sądził, by komunistyczne Chiny były już gotowe na coś takiego. Żeby utrzymać tę sytuację, lotniskowce Mancuso stale prowadziły ćwiczenia, zarówno w zakresie przechwytywania, jak i ataków lotniczych, tak jak w latach osiemdziesiątych. Zawsze miał też w Cieśninie Tajwańskiej co najmniej jeden ze swych atomowych okrętów podwodnych; nie rozgłaszano tego, a tylko co jakiś czas pozwalano, żeby wzmianki na ten temat przeciekały do mediów. Natomiast bardzo rzadko zdarzało się, żeby amerykański okręt atomowy zawijał do któregoś z tajwańskich portów. Te okręty miały większą skuteczność, kiedy ich nie widziano. Ale w innej szufladzie Mancuso miał mnóstwo peryskopowych zdjęć chińskich okrętów i trochę „kadłubów”, zdjęć robionych bezpośrednio spod okrętu, co służyło głównie sprawdzaniu psychicznej odporności załóg jego okrętów podwodnych.

Co jakiś czas wydawał też swoim ludziom rozkaz śledzenia okrętów podwodnych komunistycznych Chin, podobnie jak sam to robił na „Dallas”, śledząc okręty ówczesnej marynarki radzieckiej. Ale z Chińczykami było znacznie łatwiej. Ich reaktory atomowe były tak głośne, że ryby uciekały, nie chcąc się narazić na uszkodzenia słuchu, jak sobie kpili jego ludzie z obsługi sonarów. ChRL mocno pobrzękiwała szabelką, grożąc Tajwanowi, ale atak na wyspę, któremu przeciwstawiłaby się jego VII Flota, szybko przekształciłby się w jatkę i Mancuso miał nadzieję, że Pekin zdaje sobie z tego sprawę. A jeśli nie, to przekonanie się o tym będzie dla Chińczyków bolesną i kosztowną lekcją. Ale komunistyczne Chiny nie miały zbyt wielu okrętów do operacji desantowych i nic nie wskazywało na to, że rozbudowują ten potencjał.

– Więc wygląda na to, że mamy dziś samą rutynę? – spytał Mancuso, kiedy odprawa dobiegła końca.

– Na pewno – potwierdził generał Lahr.

– Komu powierzyliśmy zadanie obserwowania naszych chińskich przyjaciół?

– Głównie lotnictwu – odpowiedział J-2. – Nigdy nie mieliśmy zbyt wielu informacji wywiadowczych ze źródeł w samej ChRL, a przynajmniej ja nigdy o tym nie słyszałem.

– A dlaczego?

– Cóż, mówiąc najprościej, dość trudno byłoby panu, czy mnie wtopić się w ich społeczeństwo, a większość naszych obywateli pochodzenia azjatyckiego pracuje w firmach komputerowych, sprawdziłem.

– Nie ma ich zbyt wielu w Marynarce. A co z siłami lądowymi?

– Też niewielu, sir. Są tam dość słabo reprezentowani.

– Ciekawe dlaczego.

– Sir, jestem oficerem wywiadu, a nie demografem – zwrócił uwagę Lahr.

– I myślę, że to wystarczająco ciężka praca, Mike. Okay, daj mi znać, gdyby wydarzyło się coś ciekawego.

– Jasne, sir.

Lahr wyszedł, a jego miejsce zajął J-3, czyli oficer operacyjny, żeby powiedzieć admirałowi, co jego wszystkie formacje robią w ten piękny dzień, oraz które okręty i samoloty się zepsuły, i wymagają naprawy.

Nie stała się ani trochę mniej atrakcyjna, chociaż ściągnięcie jej tutaj nie było łatwe. Nie, Tania Bogdanowa nikogo nie unikała, ale przez kilka dni była nieosiągalna.

– Była pani zajęta? – spytał Prowałow.

– Da, specjalny klient – odpowiedziała, kiwając potakująco głową. – Byliśmy razem w Petersburgu. Nie zabrałam ze sobą pagera. Ten klient nie lubi, kiedy coś przeszkadza –

wyjaśniła, nie okazując specjalnej skruchy.

Prowałow mógłby spytać, ile kosztuje kilka dni w towarzystwie tej kobiety, a ona prawdopodobnie odpowiedziałaby na takie pytanie, ale uznał, że ta informacja nie jest mu aż tak potrzebna. Tania pozostała wizją, brakowało jej tylko białych opierzonych skrzydeł, żeby być aniołem. Oczywiście, gdyby nie te jej oczy i serce. Te pierwsze zimne, to drugie nieistniejące.

– Mam pytanie – powiedział porucznik milicji.

– Tak?

– Zna pani Kliementija Iwanowicza Suworowa?

W jej oczach błysnęło rozbawienie. – O, tak, znam go dobrze. – Nie musiała wyjaśniać, co znaczyło to „dobrze”.

– Co może mi pani o nim powiedzieć?

– A co chce pan wiedzieć?

– Może na początek, gdzie mieszka?

– Mieszka pod Moskwą.

– Pod jakim nazwiskiem?

– Nie wie, że ja wiem, ale widziałam kiedyś jego dokumenty. Iwan Jurijewicz Koniew.

– Jak to było? – spytał Prowałow.

– Spał, oczywiście, a ja przeszukałam jego kieszenie – odpowiedziała beznamiętnie, jakby mówiła porucznikowi, gdzie kupuje chleb.

Aha, czyli on cię zerznął, a potem ty zrobiłaś go w bambus. Prowałow nie powiedział

tego głośno. – Pamięta pani jego adres?

Pokręciła głową. – Nie, ale to jedno z tych nowych osiedli za obwodnicą.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

– To było na tydzień przed śmiercią Grigorija Filipowicza – odpowiedziała bez wahania.

W tym momencie Prowałow doznał olśnienia. – Taniu, z kim byłaś w nocy przed śmiercią Grigorija?

– Z jakimś byłym żołnierzem, czy coś takiego... niech sobie przypomnę... Piotr...

Aleksiejewicz...

– Amalrik? – podsunął Prowałow, omal nie zrywając się z krzesła.

– Tak, coś takiego. Miał tatuaż na ramieniu, ze Specnazu, wielu z nich zrobiło to sobie w Afganistanie. Miał o sobie bardzo wysokie mniemanie, ale nie był najlepszy w łóżku –

powiedziała Tania lekceważąco.

I już nigdy nie będzie. Prowałow mógłby jej to powiedzieć, ale nie zrobił tego. – Kto zaaranżował to, hm, spotkanie?

– Miementij Iwanowicz. Miał układ z Grigorijem. Znali się, i to najwyraźniej od dłuższego czasu. Grigorij często aranżował specjalne spotkania dla przyjaciół Kliementija.

Suworow załatwił jednemu z zabójców, a może i obu, dziwki, należące do faceta, którego mieli zabić następnego dnia. – Kimkolwiek był ten Suworow, miał specyficzne poczucie humoru... albo celem zamachu był jednak Siergiej Nikołajewicz. Prowałow zdobył właśnie ważną informację, ale okoliczności sprawy, nad którą pracował, nie stały się dzięki temu jaśniejsze. Jeszcze jeden fakt, który tylko utrudniał mu pracę, zamiast ułatwiać. Wrócił do punktu wyjścia. Te dwie możliwości: Suworow wynajął dwóch zabójców ze Specnazu do zlikwidowania Rasputina, a potem kazał ich zabić, żeby się zabezpieczyć. Albo wynajął ich do zabicia Gołowki, a potem zabił za popełnienie poważnego błędu. I co? Będzie musiał

znaleźć tego Suworowa, żeby się dowiedzieć. Teraz dysponował nazwiskiem i prawdopodobnym miejscem zamieszkania. Z tym mógł już coś zrobić.

Rozdział 19

Pościg

W centrali Tęczy w Hereford w Anglii zrobiło się tak spokojnie, że John Clark i Domingo Chavez zaczęli zdradzać oznaki zniecierpliwienia. Reżim treningowy był ostry jak zawsze, ale we własnym pocie nikt się jeszcze nie utopił, a cele – papierowe i elektroniczne... cóż, nie dawały takiej satysfakcji, jak jakiś prawdziwy łajdak; może „satysfakcja” nie była najlepszym zwrotem, może należałoby raczej użyć słowa „podniecenie”. Ale członkowie Tęczy nie mówili tego, nawet w prywatnych rozmowach, w obawie, że mogłoby to zabrzmieć krwiożerczo i nieprofesjonalnie. Prezentowali więc demonstracyjnie obojętną postawę.

Ćwiczenia były bezkrwawą bitwą, a bitwa – krwawymi ćwiczeniami. A ponieważ tak poważnie traktowali treningi, utrzymywali się wciąż w doskonałej formie. Byli ostrzy jak żyłki.

Informacje o Tęczy nigdy nie zostały podane do wiadomości publicznej, ale coś tam i tak przeciekło. Nie w Waszyngtonie i nie w Londynie, ale gdzieś na kontynencie rozeszła się pogłoska, że NATO ma teraz bardzo specjalną i bardzo skuteczną ekipę antyterrorystyczną, która błyskotliwie przeprowadziła kilka bardzo trudnych operacji i tylko raz zanotowała straty własne, z rąk irlandzkich terrorystów, którzy jednak słono za to zapłacili. Gazety europejskie nazywały ich „Ludźmi w Czerni”, z racji kombinezonów, i tak się jakoś stało, że w swej względnej ignorancji, europejskie pisma przedstawiły Tęczę jako coś groźniejszego, niż na to w rzeczywistości zasługiwała. Do tego stopnia, że gdy przed siedmioma miesiącami ludzie Tęczy wyruszyli na operację do Holandii, kilka tygodni po pierwszych informacjach prasowych na ich temat, a przestępcy, którzy opanowali tam szkołę podstawową, dowiedzieli się, kogo przeciw nim wysłano, natychmiast przystąpili do negocjacji z doktorem Paulem Bellowem i zawarli porozumienie, zanim trzeba było użyć siły, co dla wszystkich było zadowalające. Strzelanina w szkole pełnej dzieciaków nigdy nie pociągała Ludzi w Czerni.

W ciągu kilku minionych miesięcy paru członków Tęczy nabawiło się kontuzji, a paru wróciło do

macierzystych jednostek i na ich miejsce przyjęto nowych. Jednym z nich był

Ettore Falcone, były funkcjonariusz Carabinieri, którego wysłano do Hereford zarówno dla jego własnego bezpieczeństwa, jak i po to, żeby wesprzeć ekipę NATO. Pewnego przyjemnego wiosennego wieczora Falcone spacerował ulicami Palermo na Sycylii z żoną i synkiem, kiedy na jego oczach rozpętała się strzelanina. Trzej przestępcy zasypywali jakiegoś przechodnia, jego żonę i ochroniarza z policji gradem pocisków z broni maszynowej. Falcone błyskawicznie wyciągnął swą Berettę i położył trupem wszystkich trzech, strzałami w głowę z odległości dwudziestu metrów. Swą akcją nie zdążył już uratować życia ofiarom, ale za to naraził się na gniew *capo mafioso*, którego dwaj synowie brali udział w tym zamachu.

Falcone publicznie zlekceważył zagrożenie, ale w Rzymie przeważył zdrowy rozsądek – rząd włoski nie chciał krwawych porachunków między mafią a policją – i Falcone został wysłany do Hereford jako pierwszy włoski członek Tęczy. Szybko pokazał tam, że w strzelaniu z pistoletu nie ma sobie równych.

– Cholera – mruknął John Clark, zakończywszy piątą kolejkę dziesięciu strzałów. Ten facet znów go pokonał! Wołali na niego Ptaszysko. Ettore – czyli Hektor – miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i był chudy, jak baseballista, czyli posturą nie pasował do formacji antyterrorystycznej, ale, Jezu, jak ten sukinsyn potrafił strzelać!

– *Grazie, Generale* – powiedział Włoch, odbierając pięćofuntowy banknot, który był stawką w tej „krwawej” rywalizacji.

A John nie mógł nawet utyskiwać, że on robił to naprawdę, a Ptaszysko strzelało tylko do papierowej tarczy. Ten makaroniarz położył trzech facetów, uzbrojonych w pistolety maszynowe, i zrobił to, mając obok siebie żonę i dzieciaka. Był czymś więcej niż tylko utalentowanym strzelcem. Miał facet jaja, i to jakie. A jego żona, Anna Maria, cieszyła się opinią wspaniałej kucharki. Tak czy inaczej, Falcone pokonał go jednym punktem w pięćdziesięciostrzałowych zawodach. A John trenował przez cały tydzień przed tymi zawodami.

– Ettore, gdzieś ty się, u diabła, nauczył tak strzelać? – spytał Tęcza Sześć.

– W akademii policyjnej, generale Clark. Przedtem nie trzymałem broni w rękę, ale w akademii miałem dobrego instruktora i wiele się nauczyłem – odpowiedział sierżant z przyjaznym uśmiechem. Mimo tak wielkiego talentu, nie było w nim ani śladu arogancji, co zresztą tylko potęgowało jakoś goręcość porażki.

– Tak sędzę. – Clark schował pistolet do torby, zasunął zamek błyskawiczny i odszedł od linii stanowisk strzeleckich.

– Pan też, sir? – spytał Dave Woods, szef strzelnicy, kiedy Clark zbliżył się do drzwi.

– Więc nie ja jeden? – spytał dowódca Tęczy.

Woods uniósł wzrok znad kanapki. – Niech to jasna cholera, ten facet ma otwarty kredyt w „Green

Dragon” za to, że mnie pokonał! – obwieścił. A starszy sierżant sztabowy Woods strzelał tak, że mógłby być nauczycielem Wyatta Earpa. A w „Green Dragon”, pubie do którego zaglądali chłopcy z SAS i Tęczy, prawdopodobnie uczył Włocha, jak pić angielskie piwo. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że pokonanie Falconiego nie będzie łatwe. Trudno wygrać z facetem, który najczęściej zdobywał na strzelnicy maksymalną liczbę punktów.

– Cóż, sierzancie, wobec tego jestem chyba w dobrym towarzystwie. – Clark poklepał go po ramieniu i wyszedł ze strzelnicy, kręcąc głową. Za jego plecami Falcone znowu strzelał.

Było oczywiste, że podobała mu się pozycja najlepszego strzelca i ciężko pracował, żeby ją utrzymać. Clarka od dawna nikt nie pokonał na strzelnicy. Dziś przegrał i nie był z tego zadowolony, ale cóż, należało być uczciwym, a Falcone wygrał zgodnie z regułami.

Czy to jeszcze jeden sygnał, że Clark się starzeje? Oczywiście nie biegał tak szybko, jak młodszy chłopcy z Tęczy i to też go niepokoiło. John Clark nie był jeszcze gotowy do starości.

Nie był też gotowy do roli dziadka, ale w tym wypadku nie miał wielkiego wyboru. Jego córka i Ding sprezentowali mu wnuczka i przecież nie mógł im powiedzieć, żeby go zabrali z powrotem. Dbał o linię, chociaż często wymagało to, tak jak dzisiaj, rezygnowania z lunchu na rzecz przegrania pięciu funtów na strzelnicy.

– No i jak ci poszło, John? – spytał Alistair Stanley, kiedy Clark wszedł do budynku.

– Ten chłopak jest naprawdę dobry, Al – odpowiedział John, chowając pistolet do szuflady.

– Rzeczywiście. W zeszłym tygodniu wygrał ode mnie pięć funtów. Odpowiedzią było mruknięcie: – No więc ma nas wszystkich na rozkładzie. – John usadowił się w swoim obrotowym fotelu. – Przyszło coś, kiedy ja traciłem pieniądze?

– Tylko to tutaj, z Moskwy. W ogóle nie powinni tego wysyłać do nas – powiedział

Stanley swojemu szefowi, podając mu faks.

– Mówisz, że czego chcą? – spytał Ed Foley w swoim gabinecie na szóstym piętrze.

– Chcą, żebyśmy pomogli wyszkolić ich ludzi – powtórzyła Mary Pat mężowi.

Wiadomość była na tyle zwariowana, że powtórzenie było uzasadnione.

– Jezus, dziewczyno, co to jest, ekumenizm bez granic? – spytał dyrektor CIA.

– Siergiej Nikołajewicz uważa, że jesteśmy mu coś winni. A ty sam wiesz... Pozostało mu tylko potakująco kiwnąć głową. – Chyba rzeczywiście tak jest. Ale trzeba to posłać wyżej.

– Jack pewnie dobrze się ubawi – pomyślała na głos wicedyrektor.

– O, w mordę! – warknął Ryan w Owalnym Gabinetcie, kiedy Ellen Sumter podała mu faks z Langley.
– Przepraszam, Ellen – powiedział, unosząc wzrok.

Uśmiechnęła się do niego, jak matka do rozwiniętego nad wiek syna. – Nie ma sprawy, panie prezydencie.

– Nie masz może...?

Pani Sumter nosiła sukienki z dużymi kieszeniami. Teraz z lewej kieszeni wyjęła paczkę Virginia Slims i podała ją prezydentowi, a on wyjął papierosa i przypalił gazową zapalniczką, która również była w paczce.

– Zna pan tego człowieka, prawda? – spytała pani Sumter.

– Gołówkę? Tak. – Ryan uśmiechnął się krzywo, wspominając pistolet, przystawiony do jego twarzy, kiedy VC-13759 pędził po pasie moskiewskiego lotniska Szeremietiewo. Teraz mógł się już uśmiechać na wspomnienie tamtych wydarzeń sprzed lat. Wtedy wcale nie wydawało się to zabawne.
– O, tak, Siergiej i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi.

Jako sekretarka prezydenta, Ellen miała dostęp nieomal do wszystkiego; mogła nawet wiedzieć, że Ryan trochę podpalał, ale były i sprawy, o których nie wiedziała i nigdy nie miała się dowiedzieć. Była wystarczająco inteligentna, żeby nie pytać, mimo że odczuwała zrozumiałą ciekawość.

– Skoro pan tak mówi, panie prezydencie.

– Dziękuję, Ellen. – Ryan usiadł wygodnie w fotelu i mocno zaciągnął się cienkim papierosem. Jak to się działo, że pod wpływem wszelkiego stresu wracał do tych przeklętych papierosów, od których chwycił go kaszel? Dobrze przynajmniej, że kręciło mu się od nich w głowie. To znaczy, że nie jestem prawdziwym palaczem, wmawiał sobie prezydent. Ponownie przeczytał faks. Było tego dwie kartki. Na jednej był oryginalny faks Siergieja Nikołajewicza do Langley – Ryana wcale nie zdziwiło, że Gołowko znał bezpośredni numer faksu Mary Pat i chciał się tym pochwalić – a na drugiej rekomendacja Edwarda Foleya, dyrektora CIA.

Mimo oficjalnego charakteru, sprawa była w sumie bardzo prosta. Gołowko nie musiał

nawet wyjaśniać, dlaczego Ameryka miałaby spełnić jego prośbę. Foleyowie i Jack Ryan wiedzieli przecież, że KGB pomógł CIA i rządowi amerykańskiemu w dwóch bardzo delikatnych i ważnych misjach, a to, że obie służyły także interesom rosyjskim, był w tym wypadku bez znaczenia. Tak więc Ryan nie miał wyboru. Uniósł słuchawkę i wcisnął klawisz szybkiego wybierania.

– Foley – rozległ się w słuchawce męski głos.

– Ryan – powiedział Jack i miał wrażenie, że słyszy, jak mężczyzna po drugiej stronie wyprostowuje się na krześle. – Dostałem ten faks.

– No i? – spytał dyrektor CIA.

– A co, u diabła, możemy zrobić?

– Zgadzam się. – Foley mógłby powiedzieć, że osobiście lubi Gołowkę, Wiedział, że Ryan też go lubi. Ale tutaj nie chodziło o to, czy się kogoś lubi, czy nie. Tu się robiło politykę rządu, a to było ważniejsze od osobistych sympatii. Rosja pomogła kiedyś Stanom Zjednoczonym, a teraz prosiła o odwzajemnienie przysługi. W normalnych stosunkach międzypaństwowych takie prośby trzeba było spełniać. Zasada obowiązywała ta sama, co przy pożyczaniu grabi sąsiadowi, który poprzedniego dnia pożyczył nam wąż do podlewania, tyle że na tym szczeblu takie przysługi kosztowały czasem ludzkie życie. – Ty się tym zajmiesz, czy ja mam to zrobić?

59 Boeing VC-137 Stratoliner, zmodyfikowana wersja Boeinga 707, przez 30 lat Air Force One, czyli samolot prezydentów USA (przyp. tłum.)

– Prośba przyszła do Langley. Ty odpowiedz. Dowiedz się, na jaką to ma być skalę. Nie chcemy przecież narazić na szwank Tęczy, prawda?

– Nie, Jack, ale i ryzyko jest niewielkie. W Europie zrobiło się bardzo spokojnie. Ludzie z Tęczy głównie trenują i dziurawią papierowe tarcze. A tamta publikacja, cóż, może należałoby podziękować temu pacanowi, który to wywlókł. – Dyrektor CIA rzadko miał coś pozytywnego do powiedzenia na temat prasy. A w tym wypadku jakiś palant z kół rządowych mówił o wiele za dużo, ale ostatecznie efekt wcale nie był taki zły, nawet jeśli publikacja prasowa była pełna błędów, co zresztą nikogo z wtajemniczonych nie zdziwiło. To za sprawą tych błędów Tęcza objawiła się jako coś o nadludzkim potencjale, co podbudowało jej wizerunek, a jednocześnie ostudziło zapale potencjalnych wrogów. I tak działalność terrorystyczna w Europie bardzo osłabła po krótkim (i nieco sztucznym, o czym dzisiaj wiedzieli) okresie nasilenia. Zbyt obawiano się Ludzi w Czerni, żeby z nimi zadzierać.

Przecież bandziory wybierają sobie na ofiary starsze panie, które właśnie odebrały rentę, a nie uzbrojonych gliniarzy na patrolu. W tym wypadku przestępcy byli po prostu racjonalni.

Starsza pani nie potrafi się skutecznie bronić, za to gliniarz ma splotę.

– Oczekuję, że nasi rosyjscy przyjaciele nie będą tego rozgłaszać.

– Myślę, że możemy na tym polegać, Jack – zgodził się Ed Foley.

– Jest jakiś powód, żeby tego nie robić?

Ryan słyszał, jak dyrektor CIA wierci się na krześle. – Nigdy nie paliłem się do zapoznawania kogokolwiek z naszymi metodami, ale w tym wypadku mamy do czynienia z operacją wywiadowczą *per se*, a większości tego, co ich interesuje, mogliby się dowiedzieć, czytając odpowiednie książki. Myślę więc, że możemy się zgodzić.

– Akceptuję – powiedział prezydent.

Ryan mógł sobie wyobrazić skinienie głowy swego rozmówcy. – W porządku, odpowiedź zostanie wysłana jeszcze dzisiaj.

Oczywiście z kopią do Hereford. Ta kopia trafiła na biurko Johna jeszcze przed zakończeniem godzin urzędowania. Wezwał Ala Stanleya i pokazał mu ją.

– Wygląda na to, że robimy się sławni, John.

– Że aż miło, co? – spytał Clark z przekąsem.

Obaj wykonywali kiedyś tajne misje i gdyby był jakiś sposób, żeby zataić przed ich własnymi przełożonymi, jak się nazywają i co robią, na pewno już dawno by na niego wpadli.

– Zakładam, że udasz się tam osobiście. Kogo weźmiesz ze sobą do Moskwy?

– Dinga i Drugi Zespół. Ding i ja już tam kiedyś byliśmy. Obaj poznaliśmy Siergieja Nikołajewicza. W ten sposób przynajmniej nie zobaczy zbyt wielu nowych twarzy.

– Tak, a twój rosyjski jest, o ile pamiętam, pierwsza klasa.

– Szkoła języków obcych w Monterey jest całkiem niezła – przyznał John, kiwając potakująco głową.

– Jak sądzisz, ile czasu cię nie będzie?

Clark spojrział ponownie na faks i zastanawiał się przez chwilę. – Nie więcej niż... trzy tygodnie – powiedział. – Ludzie ze Specnazu nie są źli. Zorganizujemy im grupę treningową, a po jakimś czasie zapewne będziemy mogli ich zaprosić tutaj, prawda?

Stanley nie musiał mu mówić, że SAS w szczególności i brytyjskie Ministerstwo Obrony w ogóle dostaną spazmów, kiedy się o tym dowiedzą, ale ostatecznie będą się z tym musiały pogodzić. To się nazywało dyplomacją i jej zasady określały politykę większości rządów na świecie, czy się im to podobało, czy nie.

– Chyba będziemy musieli, John – powiedział Stanley, wyobrażając sobie jęki i wrzaski w Hereford i w Whitehall.

Clark podniósł słuchawkę i wcisnął klawisz, łączący go z sekretarką, Helen Montgomery.

– Helen, znajdź Dinga i powiedz mu, żeby do mnie przyszedł. Dziękuję.

– O ile pamiętam, on też mówi dobrze po rosyjsku.

– Mieliśmy paru dobrych nauczycieli. Ale jego akcent jest trochę południowy.

– A twój?

– Z Leningradu... no, teraz, to z Petersburga. Al, wierzysz, że te wszystkie przemiany są prawdziwe?

Stanley usiadł. – To wszystko jest dość zwariowane, nawet dzisiaj, a minęło już ponad dziesięć lat, od kiedy zdjęli czerwoną flagę znad Bramy Spasskiej.

Clark skinął głową. – Pamiętam, oglądałem to w telewizji i nie wierzyłem własnym oczom.

– Cześć, John – zawołał od drzwi znajomy głos. – Cześć, Al.

– Chodź i siadaj, chłopcze.

Chavez, quasi major w SAS, zawahał się, słysząc to „chłopcze”. Zawsze, kiedy John zwracał się do niego w ten sposób, szykowało się coś niezwykłego. Ale mogło być gorzej.

Kiedy mówił „mały”, zwykle zapowiadało to niebezpieczeństwo, a teraz, jako mąż i ojciec, Domingo nie palił się już aż tak bardzo do kłopotów. Podszedł do biurka Clarka i wziął do ręki faks.

– Moskwa? – spytał.

– Wygląda na to, że zaaprobował to nasz dowódca naczelny.

– Super – ucieszył się Chavez. – Minęło już trochę czasu, od kiedy po raz ostatni widzieliśmy się z Gołowąką. Przypuszczam, że wódkę wciąż mają tam dobrą.

– To jedna z tych rzeczy, które potrafią robić – zgodził się John.

– I chcę, żebyśmy ich nauczili paru innych rzeczy?

– Na to wygląda.

– Bierzemy żony?

– Nie. – Clark pokręcił głową. – To sprawa służbowa.

– Kiedy?

– Muszę to dopiero ustalić. Prawdopodobnie za jakiś tydzień.

– Może być.

– Jak malec?

Chavez uśmiechnął się szeroko. – Wciąż raczkuje. Wczoraj wieczorem jakby próbował stanąć na nóżkach. Myślę, że za parę dni zacznie chodzić.

– Domingo, pierwszy rok spędzasz na uczeniu go chodzenia i mówienia. Przez następne dwadzieścia lat będziesz mu mówił, żeby się zamknął i usiadł – ostrzegł Clark.

– Hej, tato, ten mały przesypia całe noce i budzi się z uśmiechem. Żeby tak mógł to powiedzieć o sobie... – Zabrzmiało to logicznie. Kiedy Domingo się budził, czekał go tylko codzienny trening i przebiegnięcie ośmiu kilometrów. Jedno i drugie było forsowne i, po jakimś czasie, nudne.

Clark przytaknął mu skinieniem głowy. To była jedna z tych wielkich tajemnic życia: dlaczego małe dzieci zawsze budziły się w dobrym nastroju? Zastanawiał się, kiedy człowiek traci potem tę pogodę ducha.

– Cały zespół? – spytał Chavez.

– Chyba tak, łącznie z Ptaszyskiem – odpowiedział dowódca Tęczy.

– Też ci dzisiaj złoił skórę? – spytał Ding.

– Następnym razem, kiedy zmierzę się z tym sukinsynem, ma się to odbyć zaraz po porannym biegu, kiedy będzie trochę zdyszany – powiedział Clark z odcieniem irytacji w głosie. Nie lubił przegrywać, a już na pewno nie w strzelaniu, które odgrywało tak ważną rolę w jego życiu.

– Panie C, Ettore nie jest człowiekiem. Z pistoletem maszynowym radzi sobie nieźle, ale bez jakichś spektakularnych wyników, za to kiedy ma w rękę tę Berettę, staje się mistrzem, jak Tiger Woods na polu golfowym. Po prostu nie ma sobie równych.

– Nie wierzyłem w to, aż do dzisiaj. Może powinienem był częściej jadać lunch w „Green Dragon”.

– Może to jest jakiś pomysł, John – zgodził się Chavez, postanawiając nie komentować obwodu teścia w talii. – Nie przejmuj się, ja też nieźle strzelam z pistoletu, a Ettore też mi skopał tyłek – Był lepszy o trzy punkty.

– Ze mną sukinsyn wygrał o jeden punkt – powiedział John dowódcy swego Drugiego Zespołu. – Pierwsze zawody jeden na jednego, które przegrałem od czasu Trzeciej Grupy Operacji Specjalnych. – Od tamtego czasu minęło już ponad trzydzieści lat; strzelał wtedy o piwo ze swym dowódcą, starszym bosmanem. Przegrał dwoma punktami, ale zaraz potem pokonał bosmana trzema punktami i do dziś wspominał to z dumą.

– To on? – spytał Prowałow.

– Nie mamy fotografii – przypomniał mu sierżant. – Ale do rysopisu pasuje. – No i szedł do właściwego samochodu. Trzaskało kilka aparatów fotograficznych, więc powinny być i zdjęcia.

Obaj siedzieli w furgonetce, zaparkowanej pół przecznicy od domu mieszkalnego, który mieli pod obserwacją. Obaj posługiwali się zielonymi lornetkami wojskowymi.

Wydawało im się, że to ten facet. Zjechał windą z właściwego piętra. Ustalili wcześniej, że niejaki Iwan Jurijewicz Koniew mieszka na siódmym piętrze w tym luksusowym domu.

Nie było czasu, żeby przepytąć sąsiadów, co zresztą należało zrobić bardzo ostrożnie. Istniało spore prawdopodobieństwo, że sąsiedzi Suworowa-Koniewa też byli kiedyś w KGB, jak on, więc wypytyując ich, zaalarmowaliby tego, przeciw któremu prowadzili śledztwo. Prowałow powtarzał sobie, że to nie jest zwyczajny podejrzany.

Samochód, do którego wsiadł mężczyzna, był wynajęty. Był i prywatny samochód, zarejestrowany na Koniewa, Iwana Jurijewicza, mieszkającego pod tym adresem, Mercedes C, a kto mógł mieć pewność, że podejrzany nie miał jeszcze innych pojazdów, zarejestrowanych na inne nazwisko? Prowałow był pewien, że tamten miał więcej nazwisk i że do każdego była dorobiona dobra „legenda”. KGB dobrze szkolił swoich ludzi.

Sierżant za kierownicą furgonetki uruchomił silnik i zgłosił się przez radio. W pobliżu były dwa inne wozy milicyjne i w każdym siedziało po dwóch doświadczonych funkcjonariuszy.

– Nasz przyjaciel rusza. Niebieski wynajęty samochód – powiedział Prowałow przez radio. Ludzie z obu wozów potwierdzili.

Wynajętym samochodem był Fiat, prawdziwy, wyprodukowany w Turynie, a nie rosyjska kopia, choć trzeba było przyznać, że – akurat licencyjna produkcja samochodów w mieście Togliatti była jednym z niewielu specjalnych projektów ekonomicznych w Związku Radzieckim, które udało się zrealizować, w pewnym sensie. Prowałow zastanawiał się, czy tego niebieskiego Fiata wynajęto z uwagi na jego niezawodność, czy też dlatego, że wynajem był tani. W tej chwili nie było na to odpowiedzi. Suworow-Koniew ruszył i pierwszy ze śledzących go wozów milicyjnych zajął pozycję o pół przecznicy za nim, podczas gdy drugi jechał o pół przecznicy przed nim, ponieważ nawet wyszkolony przez KGB oficer wywiadu rzadko patrzył przed siebie, żeby sprawdzić, czy ktoś go nie śledzi. Gdyby mieli trochę więcej czasu, może udałoby im się umieścić w Fiacie miniaturowy nadajnik, ale nie mieli, a poza tym takie rzeczy robiło się w ciemnościach. Jeśli śledzony wróci do swojego mieszkania, zrobią to w nocy, powiedzmy o czwartej nad ranem. Nadajnik radiowy, umocowany na magnesie wewnątrz tylnego zderzaka; antenka zwisałaby sobie jak mysi ogonek, praktycznie niewidoczna. Część środków technicznych, z których korzystał Prowałow, pierwotnie

służyła do śledzenia w Moskwie cudzoziemców, podejrzanych o szpiegostwo, a to oznaczało, że były to całkiem niezłe urządzenia, przynajmniej jak na rosyjskie standardy.

Śledzenie niebieskiego Fiata okazało się łatwiejsze, niż przypuszczała. Możliwość wykorzystania do tego trzech samochodów bardzo pomogła. Nietrudno jest zauważyć pojedynczy samochód. Dwa też można rozpoznać, ponieważ są to te same dwa pojazdy, zamieniające się miejscami co kilka minut. Z trzema sprawa robi się o wiele bardziej skomplikowana, a Suworow-Koniew, choćby i po przeszkoleniu w KGB, był przecież tylko człowiekiem. Jego prawdziwa strategia obronna polegała na ukrywaniu tożsamości, a jej ustalenie było kombinacją dobrej roboty śledczej i szczęścia. Tyle że gliniarze doceniali znaczenie szczęśliwego trafu, w odróżnieniu od funkcjonariuszy KGB. W swej manii na punkcie organizacji, nie uwzględnili oni tego czynnika w programach szkoleniowych, może dlatego, że zdawanie się na szczęście było słabością, która mogłaby doprowadzić do katastrofy podczas działań operacyjnych. Prowałow wyciągnął z tego wniosek, że Suworow-Koniew nie spędził zbyt wiele czasu na pracy w terenie. W rzeczywistym świecie, szlifując bruki, człowiek szybko się uczy takich rzeczy. Śledzące pojazdy zachowywały bardzo duży dystans, więcej niż jedną przecznicę, a tutaj przecznice były od siebie dość odległe.

Furgonetka została specjalnie wyposażona. Numery rejestracyjne miała zamontowane na graniastosłupach o trójkątnym przekroju, tak, że prostym przełącznikiem można je było zmieniać, wybierając jeden z trzech różnych wariantów. Miała też zamontowane dodatkowe reflektory, co umożliwiała wprowadzanie dowolnych zmian w układzie świateł, i przecież właśnie na charakterystyczny układ reflektorów zwracał uwagę dobrze wyszkolony przeciwnik, sprawdzając, czy nie jest śledzony. Wystarczyło coś zmienić, raz czy drugi, kiedy śledzony nie mógł ich akurat widzieć w lusterku wstecznym i musiałyby być geniuszem, żeby się zorientować. Najtrudniejsze zadanie miała załoga wozu, jadącego przed śledzonym, ponieważ niełatwo było odgadywać intencje „obiektu”. Kiedy nieoczekiwanie skręcał, wóz na przedzie musiał pędzić, kierując się wskazówkami pozostałych dwóch samochodów, żeby ponownie zająć swą pozycję. Ale wszyscy milicjanci w jego grupie byli doświadczonymi funkcjonariuszami śledczymi z wydziału zabójstw, którzy wiedzieli, jak śledzić najbardziej niebezpieczną zwierzynę na świecie: istoty ludzkie, gotowe zabijać. Nawet najgłupszy morderca mógł być obdarzony zwierzęcym sprytem, a z telewizji nauczyli się wiele o milicyjnych metodach. Niektóre śledztwa były przez to trudniejsze niż powinny, ale kiedy się trafiła taka sprawa, jak ta, dodatkowe trudności były dla jego ludzi lepszą szkołą niż jakakolwiek akademie milicyjna.

– Skręca w prawo – powiedział jego kierowca przez radio. – Furgonetka przesuwa się o jedno miejsce do przodu. – Wóz, który jechał przed śledzonym, skręcił w prawo w następną przecznicę, żeby zająć swą poprzednią pozycję. Drugi wóz milicyjny zwolnił, dając się wyprzedzić furgonetcie; miał na kilka minut zniknąć z pola widzenia, żeby potem wrócić na swoje miejsce. Była to Lada, klon Fiata rodem z Togliatti, zdecydowanie najpopularniejsza marka wśród samochodów prywatnych w Rosji, polakierowana na biało i nie pierwszej czystości, więc raczej nie rzucała się w oczy.

– Jeśli to jedyna próba pozbycia się nas, to facet musi być bardzo pewny siebie.

– To prawda – zgodził się Prowałow. – Zobaczymy, co jeszcze zrobi. Przekonali się cztery minuty później. Fiat znów skręcił w prawo, tym razem nie w przecznicę, lecz do tunelu pod długim blokiem mieszkaniowym. Na szczęście wóz jadący przodem był już na końcu tego bloku, próbując ponownie zająć pozycję przed Fiatem. Dwaj funkcjonariusze doszli do wniosku, że mają szczęście, widząc Suworowa-Koniewa, pojawiającego się trzydzieści metrów przed nimi.

– Mamy go – zaskrzeczało radio. – Zostaniemy trochę z tyłu.

– Gazu! – powiedział Prowałow do swojego kierowcy, który natychmiast przyśpieszył.

Zanim dojechali do następnego skrzyżowania, kierowca przerzucił przełącznik, zmieniający numery rejestracyjne i zmienił układ reflektorów. Furgonetka, widziana w lusterku wstecznym, musiała teraz wyglądać zupełnie inaczej.

– Jest pewny siebie – zauważył Prowałow kilka minut później. Furgonetka jechała teraz jako pierwsza za śledzonym, za nią wóz, który przedtem był przed ladą, a tuż za nim drugi wóz milicyjny. Bez względu na to, dokąd zmierzał, siedzieli mu na ogonie. Wykonał swój manewr, mający zgubić ewentualny pościg i był to sprytny manewr, ale tylko jeden. Może uważał, że to wystarczy, że jeśli w ogóle był śledzony, to jechał za nim tylko jeden pojazd, więc nieoczekiwanie skręcił w tunel, wpatrując się uważnie w lusterko wsteczne, ale niczego nie zauważył. Bardzo dobrze, pomyślał porucznik. Szkoda, że nie było tu z nim jego amerykańskiego przyjaciela z FBI. Tamci nie zrobiliby tego lepiej, chociaż dysponowali mnóstwem środków. Dobrze, że jego ludzie znali topografię Moskwy i jej przedmieść lepiej niż niejeden taksówkarz.

– Jedzie gdzieś na kolację – powiedział kierowca Prowałowa. – Zatrzyma się na następnym kilometrze.

– Zobaczymy – powiedział porucznik, w duchu przyznając kierowcy rację. W tym rejonie było kilka luksusowych restauracji. Którą z nich wybierze jego zwierzyna?

Okazało się, że był to „Kniaź Michał Kijowski”, ukraiński lokal, specjalizujący się w potrawach z drobiu i ryb, znany także z eleganckiego baru. Suworow-Koniew zajechał pod restaurację, pozwolił komuś z personelu zaparkować swój samochód i wszedł do środka.

– Kto z nas jest najlepiej ubrany? – spytał Prowałow przez radio.

– Wy, towarzyszu poruczniku. – Ludzie z pozostałych dwóch wozów mieli na sobie zwyczajne, robotnicze ubrania, które tutaj byłyby zupełnie nie na miejscu. Połowę klienteli

„Kniazia Michała” stanowili cudzoziemcy, a w takim środowisku należało się ubierać odpowiednio; personel restauracji tego pilnował. Prowałow wyskoczył z furgonetki kilkadziesiąt metrów od lokalu i szybkim krokiem ruszył do zadaszonego wejścia. Odzwierny wpuścił go do środka, obrzuciwszy go przedtem uważnym spojrzeniem – w nowej Rosji ubiór mówił o człowieku więcej niż w większości krajów europejskich. Prowałow mógłby machnąć swą legitymacją służbową, ale nie byłoby to najlepsze posunięcie. Całkiem prawdopodobne, że Suworow-Koniew miał swoich ludzi wśród personelu. W tym momencie Prowałowowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Poszedł prosto do

męskiej toalety i wyjął z kieszeni telefon komórkowy.

– Halo? – zgłosił się znajomy głos.

– Miszka?

– Oleg? – spytał Reilly. – Czym ci mogę służyć?

– Znasz restaurację „Książ Michał Kijowski”?

– Jasne, a co?

– Potrzebna mi twoja pomoc. Jak szybko możesz tu przyjechać? – spytał Prowałow, wiedząc, że Reilly mieszka zaledwie o dwa kilometry stąd.

– Dziesięć, piętnaście minut.

– Pośpiesz się. Będę w barze. Załóż coś eleganckiego – dodał milicjant.

– Jasne – zgodził się Reilly, zastanawiając się, co powiedzieć żonie i co się takiego stało, że Prowałow przerwał mu spokojny wieczór przed telewizorem.

Prowałow poszedł do baru, zamówił pieprzówkę i zapalił papierosa. Jego zwierzyna siedziała siedem miejsc dalej, również popijając drinka i zapewne czekając, aż zwolni się stół. Restauracja była pełna gości. Na końcu sali jadalnej kwartet smyczkowy grał coś Rimskiego-Korsakowa. Regularne chodzenie do takich restauracji zdecydowanie przekraczało możliwości finansowe Prowałowa. A więc Suworow-Koniew był dobrze sytuowany. Można się tego było spodziewać. Mnóstwo byłych oficerów KGB doskonale sobie radziło w systemie ekonomicznym nowej Rosji. Pod względem znajomości świata tylko niewielu współobywateli mogło im dorównać. W społeczeństwie, w którym szerzyła się korupcja, to oni zapewnili sobie lukratywne pozycje i sieć popleczników, z którymi, z różnych względów, dzielili się zyskami, legalnymi, czy nielegalnymi.

Prowałow wypił pierwszą wódkę i dał właśnie znak barmanowi, żeby mu nalał następną, kiedy pojawił się Reilly.

– Olegu Grigorijewiczu – powiedział Amerykanin na powitanie. Niegłupi facet, pomyślał

porucznik milicji. Reilly mówił po rosyjsku z wyraźnym amerykańskim akcentem i za głośno, co w tej sytuacji było najlepszym kamuflażem. Był też dobrze ubrany, demonstrując wszystkim, którzy na niego patrzyli fakt, że jest cudzoziemcem.

– Miszka! – zawołał Prowałow w odpowiedzi, serdecznie ściskając Amerykaninowi dłoń i machając na barmana.

– W porządku, kogo mamy na oku? – spytał agent FBI już znacznie ciszej.

– Tego w szarym garniturze, siedem stołków na lewo ode mnie.

– Widzę – powiedział natychmiast Reilly. – Kto to jest?

– Występuje obecnie pod nazwiskiem Koniew, Iwan Jurijewicz. Sądzymy, że w rzeczywistości to Suworow, Kliementij Iwanowicz.

– Aha. Co jeszcze możesz mi powiedzieć? – spytał Reilly.

– Przyjechaliśmy tu za nim. Wykonał po drodze prosty, ale skuteczny manewr, mający na celu zgubienie ewentualnego ogona, ale śledzimy faceta trzema samochodami, więc zaraz namierzyliśmy go z powrotem.

– Dobra robota, Oleg – powiedział agent FBI. Wykształcenie i wyposażenie to jeszcze nie wszystko, potrzebny był jeszcze policyjny instynkt i Prowałow go miał. W FBI byłby co najmniej szefem grupy agentów specjalnych. Śledzenie faceta z KGB w Moskwie nie było banalną sprawą, taką jak łażenie za jakimś paranoicznym żołnierzem w Queens. Reilly napił

się pieprzówki i usiadł bokiem. Po lewej stronie faceta w szarym garniturze siedziała jakaś ciemnowłosa piękność w seksownej czarnej sukience. Reilly doszedł do wniosku, że to jedna z tych luksusowych dziwek, polująca na klienta. Ciemnymi oczami wodziła po sali równie uważnie, jak on. Różnica polegała na tym, że Reilly był facetem, więc w jego wypadku przyglądanie się ładnej dziewczynie – a przynajmniej sprawianie takiego wrażenia – nie było niczym niezwykłym. W rzeczywistości przyglądał się nie jej, lecz mężczyźnie obok. Po pięćdziesiątce, dobrze ubrany, ale w sumie nie rzucający się w oczy – właśnie tak powinien wyglądać szpieg – sprawiał wrażenie, jakby czekał na stolik, sącząc drinka i wpatrując się w zamyśleniu w lustro za barem, co było świetnym sposobem na zorientowanie się, czy ktoś go nie obserwuje. Amerykanina i jego rosyjskiego przyjaciela oczywiście zlekceważył. W końcu dlaczego miałby się nim interesować jakiś amerykański biznesmen? Poza tym, Amerykanin łypał okiem na dziwkę po lewej. Facet w szarym garniturze nie spoglądał więc na mężczyznę po swojej prawej stronie, ani bezpośrednio, ani w lustrze. Reilly pomyślał, że Oleg sprytnie postąpił, wykorzystując go jako kamuflaż dla swej dyskretnej obserwacji.

– Pojawilo się ostatnio coś nowego? – spytał agent FBI. Prowałow powiedział mu, czego się dowiedział o tamtej prostytutce i co zaszło w noc poprzedzającą morderstwo. –

Niesamowite. Ale nadal nie wiesz, kto naprawdę był celem tamtego zamachu, tak?

– Zgadza się – przyznał Prowałow, sącząc powoli drugą wódkę. Wiedział, że musi pić ostrożnie, jeśli nie chce popełnić jakiegoś błędu. Zwierzyna, na którą polował, była sprytna i niebezpieczna. W każdej chwili mógł, oczywiście, wziąć faceta na przesłuchanie, ale wiedział, że nic by mu to nie dało. Z tego rodzaju przestępcami należało się obchodzić równie delikatnie, jak z członkami rządu. Prowałow pozwolił sobie na rzut oka w lustro i dobrze przyjrzał się profilowi przypuszczalnego wielokrotnego mordercy. Dlaczego tacy ludzie nie mieli nad głowami jakiejś czarnej aureoli? Dlaczego wyglądali normalnie?

– Wiemy coś jeszcze o tym kundlu?

Rosjanin zdążył już polubić to określenie. Pokręcił głową. – Nie, Miszka. Jeszcze nie sprawdzaliśmy w SWR.

– Obawiasz się, że może tam kogoś mieć? – spytał Amerykanin.

Oleg skinął głową.

– Trzeba się z tym liczyć. – To oczywiste. Byli oficerowie KGB z reguły trzymali ze sobą. Całkiem możliwe, że w SWR, powiedzmy w kadrach, był ktoś, kto dawał znać komu trzeba, kiedy policja zaczynała się interesować czyimiś aktami.

– Cholera. – Amerykanin skinął głową. Co za skurwysyn, pomyślał o facecie w szarym garniturze. Organizować zabójcom dziwki, należące do faceta, który ma być sprzątnięty. Było w tym coś odrażająco bezwzględne, jak z filmu o mafii. Ale w prawdziwym życiu członkowie La Cosa Nostra nie byli aż takimi chojrakami. Może i budzili grozę, ale żołnierze mafii nie mieli za sobą treningu zawodowych oficerów wywiadu i w tej szczególnej dżungli byłiby jak ślepe kocięta. Znów zerknął na faceta w szarym garniturze. Siedząca obok dziewczyna trochę go rozpraszała, ale nie za bardzo.

– Oleg?

– Tak, Michaił?

– Patrzy na kogoś koło muzyków. Wraca oczyma w to samo miejsce. Już nie rozgląda się po całej sali, tak jak przedtem. – Facet w szarym garniturze wciąż oglądał każdego, kto wchodził do restauracji, ale regularnie wracał spojrzeniem do tej samej części lustra i prawdopodobnie uznał, że nikt w tym lokalu nie stanowi dla niego zagrożenia. Błąd. Cóż, pomyślał Reilly, nawet wyszkolenie ma swe ograniczenia i może się kiedyś zdarzyć, że nasze własne doświadczenie zwróci się przeciw nam. Popada się w rutynę i przyjmuje założenia, przez które można wpaść. W tym wypadku Suworow założył, że na pewno nie będzie go obserwował żaden Amerykanin. W końcu nie zrobił nic złego żadnemu Amerykaninowi, ani w Moskwie, ani prawdopodobnie gdziekolwiek indziej w całej swojej karierze, tutaj był na swoim terenie, a po drodze jak zwykle wykonał manewr, mający na celu zgubienie samochodu, który mógłby jechać za nim. Zakładał, że był to jeden samochód. Cóż, inteligentny człowiek powinien sobie zdawać sprawę ze swoich ograniczeń. Jak to było?

Różnica między geniuszem a głupkiem polegała na tym, że geniusz znał granice swoich możliwości. Ten Suworow uważał się za geniusza... ale komu się teraz przypatrywał? Reilly przekręcił się jeszcze trochę na barowym stołku i rozejrzał się po tamtej części sali.

– Co widzisz, Miszka?

– Mnóstwo ludzi, Olegu Grigorijewiczu, głównie Rosjan, trochę cudzoziemców, wszyscy dobrze ubrani. Paru Chińczyków, wygląda na to, że dwóch dyplomatów jest na kolacji z dwoma Rosjanami;

sprawiają wrażenie oficjeli. Wydają się być w dość dobrej komitywie. –

Reilly był tu kilka razy z żoną. Jedzenie było bardzo dobre, zwłaszcza ryby. Specjalnością

„Kniazia Michała Kijowskiego” był kawior; musieli mieć dobre źródło zaopatrzenia. Jego żona wprost uwielbiała kawior; kiedy wróca do Stanów przekona się, że to bardzo kosztowny przysmak, o wiele droższy niż tutaj... Reilly zajmował się obserwacją od tylu lat, że potrafił

stać się niewidzialny. Umiał wtopić się chyba w każde środowisko z wyjątkiem Harlemu, ale od tego byli w FBI czarnoskórzy agenci.

Nie ulegało kwestii, że ten Suworow spogląda w jedno miejsce. Zgoda, robił to jakby przypadkiem i korzystał z lustra za barem. Nawet siedział przy barze tak, że jego oczy w naturalny sposób były zwrócone w to miejsce. Ale tacy ludzie niczego nie robili przypadkiem.

Nauczono ich, że wszystko musi być przemyślane, nawet wyjście do toalety... a jednak ten tutaj dał się rozpoznać, i to jak głupio. Dziwka przejrzała jego dokumenty, kiedy odsypiał

orgazm. Cóż, niektórzy faceci, choćby i najsprytniejsi, myśleli kutasami, a nie mózgami...

Reilly znów się odwrócił... Jeden z Chińczyków przy stoliku w głębi sali przeprosił

pozostałych, wstał i ruszył do toalety. Reilly już chciał zrobić to samo, ale... nie. Jeśli to było umówione, mógłby ich spłoszyć... Cierpliwości, Miska, powiedział sobie, odwracając się, żeby spojrzeć na faceta w szarym garniturze. Suworow-Koniew odstawił kieliszek i wstał.

– Oleg, chcę, żebyś mi pokazał, gdzie jest toaleta – powiedział agent FBI. – Za piętnaście sekund.

Prowałow odliczył czas, po czym wyciągnął rękę w stronę głównego wejścia. Reilly poklepał go po ramieniu i poszedł we wskazanym kierunku.

Restauracja „Książ Michał Kijowski” była przyjemna, ale nie było tu babci klozetowej, w odróżnieniu od lokali w wielu krajach europejskich, może dlatego, że Rosjanie nie byli do tego przyzwyczajeni, a może po prostu właściciel uznał, że byłby to zbędny wydatek.

Wchodząc do toalety, Reilly zobaczył trzy pisuary, z tego dwa akurat zajęte. Podszedł do wolnego, rozpiął rozporek, wysikał się, zasunął zamek błyskawiczny z powrotem i odwrócił

się, żeby umyć ręce... i kątem oka spostrzegł, że tamci dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia.

Rosjanin był wyższy. Toaleta była wyposażona w wyciągany ręcznik, jaki w Ameryce trudno byłoby już znaleźć. Reilly pociągnął za tkaninę i wytarł ręce, nie mogąc dłużej zwlekać. Idąc do wyjścia, wysunął z kieszeni kluczyki do samochodu. Upuścił je, kiedy otwierał drzwi, mruknął: – Cholera – i pochylił się, żeby je podnieść, zasłonięty przed tamtymi występem ściennym. Podniósł kluczyki i wstał.

I wtedy to zobaczył. Dobrze to zrobili. Mogliby okazać trochę więcej cierpliwości, ale prawdopodobnie obaj uznali, że Amerykanin się nie liczy, a obaj byli profesjonalistami.

Przypadkowy obserwator nie zwróciłby uwagi, że ich opuszczone ręce zetknęły się na moment. Ale Reilly nie był przypadkowym obserwatorem i choć patrzył za ledwie kątem oka, sprawa była dla niego oczywista. Jeden z nich podał coś drugiemu, przy czym było to zrobione tak sprawnie, że nawet Reilly, mimo swego doświadczenia, nie mógł określić, który podawał, a który odbierał i co to było. Agent FBI wyszedł z toalety i wrócił na swoje miejsce przy barze, gdzie machnął na barmana, uznawszy, że zasłużył sobie na drinka.

– No i?

– Będziesz musiał ustalić tożsamość tego skośnookiego. Coś sobie przekazali w kiblu z naszym przyjacielem. To profesjonaliści – powiedział Reilly, uśmiechając się i machając ręką brunetce za barem.

Prawdę mówiąc, zrobili to tak sprawnie, że gdyby Reilly musiał jako świadek w sądzie opisać to ławie przysięgłych, każdy świeżo upieczony adwokat zmusiłby go do przyznania, że właściwie nic nie widział. Ale to też wiele mu mówiło. Albo było to całkowicie przypadkowe spotkanie dwóch zupełnie sobie obcych ludzi – najczystszy zbieg okoliczności – albo dwaj wyszkoleni funkcjonariusze wywiadu wykorzystali swoje umiejętności w sposób doskonały i w idealnie wybranym miejscu. Prowałow siedział odwrócony w prawo, patrząc na tych dwóch, wychodzących z toalety. W ogóle nie zwracali na siebie uwagi, nie istnieli dla siebie nawzajem, zachowywali się dokładnie tak, jak dwaj zupełnie obcy sobie ludzie, którzy przypadkiem stali koło siebie w toalecie. Ale teraz Suworow-Koniew, który usiadł na swoim miejscu przy barze i zajął się drinkiem, nie spoglądał już regularnie w lustro. Ba, odwrócił się i zagadał do dziewczyny po lewej, a potem machnął na barmana, dając mu znać, żeby jej nalał, a ona zgodziła się z komercyjnie czułym uśmiechem. Wyraz jej twarzy obwieszczał, że znalazła sobie klienta na tę noc. Reilly pomyślał, że była niezłą aktorką.

– Nasz przyjaciel przygadał sobie dziewczynę – powiedział swojemu rosyjskiemu koledze.

– Ładna jest – zgodził się Prowałow. – Jak sądzisz, ile może mieć lat? Dwadzieścia trzy?

– Coś koło tego, może trochę mniej. Ładne bufory.

– Bufory? – spytał Rosjanin.

– Cycki, Oleg, cycki – wyjaśnił agent FBI. – Ten skośnooki to szpieg. Nie widzisz koło niego nikogo z waszych?

– Nie ma tu nikogo, kogo znam – odpowiedział porucznik. – Może nasi nie wiedzą, że jest funkcjonariuszem wywiadu?

– Jasne, wszyscy wasi ludzie z kontrwywiadu przeszli na emeryturę i wyjechali do Soczi, tak? Daj spokój, nawet za mną regularnie łążą.

– Czy to znaczy, że ja jestem jednym z twoich agentów? – spytał Prowałow. Reilly zachichotał. – Daj mi znać, kiedy będziesz chciał zdezerterować, Olegu Grigorijewiczu.

– To ten Chińczyk w jasnoniebieskim garniturze?

– Właśnie ten. Niski, jakieś pięć stóp i cztery cale, sto pięćdziesiąt pięć funtów, nalany, krótkie włosy, wiek około czterdziestu pięciu lat.

Prowałow przełożył to sobie na około 163 centymetrów wzrostu i siedemdziesiąt kilo wagi. Odwrócił się, żeby spojrzeć na twarz. Tamten siedział oddalony o jakieś trzydzieści metrów. Wyglądał całkiem zwyczajnie, tak jak większość szpiegów. Zapamiętawszy go sobie dobrze, Prowałow poszedł do toalety, żeby zadzwonić do swoich ludzi na zewnątrz.

Wieczór właściwie dobiegł końca. Suworow-Koniew wyszedł z restauracji jakieś dwadzieścia minut później, z dziewczyną, i pojechał prosto do swojego mieszkania. Jeden z ludzi Prowałowa poszedł za Chińczykiem do samochodu z dyplomatycznymi numerami i zapisał je sobie, po czym wszyscy gliniarze rozjechali się wreszcie do domów po długim, pracowitym dniu, zastanawiając się, na co właściwe natrafili i na ile może się to okazać ważne.

Rozdział 20

Dyplomacja

– No i? – spytał Rutledge, odbierając swe notatki od Scotta Adlera.

– W porządku, Cliff, pod warunkiem, że będziesz potrafił przekazać to posłanie w odpowiedni sposób – powiedział sekretarz stanu swojemu podwładnemu.

– Myślę, że sobie poradzę. – Zamyślił się na chwilę. – Prezydent chce, żeby im to przekazać bez ogródek, tak?

Scott Adler skinął głową. – Aha.

– Wiesz, Scott, nigdy dotąd na nikogo tak mocno nie naciskałem.

– A miałeś kiedyś chęć?

– Parę razy, na Izraelczyków. I w Afryce Południowej – dodał zamyślony.

– Ale nie na Chińczyków, czy Japończyków?

– Scott, pamiętaj, że nigdy dotąd nie prowadziłem negocjacji w sprawach handlowych. –

Ale teraz go to czekało, bo rozmowy w Pekinie były tak ważne, że na czele delegacji amerykańskiej musiał stać wysoki rangą dyplomata, a nie zwykły ambasador. Chińczycy już o tym wiedzieli. Oficjalnie negocjacje powierzyli swemu ministrowi spraw zagranicznych, chociaż faktycznie miał się nimi zająć niższy rangą dyplomata, który był specjalistą w dziedzinie handlu zagranicznego i miał spore doświadczenie w rozmowach z Amerykanami.

Scott Adler, za zgodą prezydenta Ryana, stopniowo dawał prasie do zrozumienia, że czasy i reguły gry trochę się zmieniły. Niepokoiło go trochę, że Cliff Rutledge nie był

najwłaściwszym facetem do przekazania Chińczykom tego posłania, ale cóż, wypadło na Cliffa.

– Jak ci się współpracuje z tym Gantem z Departamentu Skarbu?

– Gdyby był dyplomata, bylibyśmy w stanie wojny z całym cholernym światem, ale na liczbach i na komputerach się zna – przyznał Rutledge, nie próbując nawet ukryć obrzydzenia, jakie czuł do tego Żyda z Chicago, zachowującego się jak nuworysz. O tym, że sam pochodził z prostej rodziny, już dawno zdążył zapomnieć. Studia na Harvardzie i paszport dyplomatyczny pomagają zapominać o takich nieprzyjemnych sprawach, jak dorastanie w robotniczej dzielnicy.

– Pamiętaj, że Winston go lubi, a Ryan lubi Winstona, okay? – delikatnie ostrzegł swego podwładnego Adler. Postanowił nie zawracać sobie głowy anglosaskim antysemityzmem Cliffa. Życie było za krótkie, żeby tracić czas na drobiazgi, a Rutledge zdawał sobie, że jego kariera

spoczywa w rękach Scotta Adlera. Może i będzie zarabiał więcej jako konsultant, kiedy odejdzie z dyplomacji, ale nie poprawiłby swojej pozycji na wolnym rynku, gdyby go wyrzucono z Departamentu Stanu.

– Okay, Scott, i tak potrzebuję kogoś, kto zna się na monetarnych aspektach tej problematyki handlowej. – Skinienie głową, które temu towarzyszyło, można było nawet odczytać jako oznakę szacunku. Bardzo dobrze. Rutledge potrafił być pokorny, kiedy mu się kazało. Adlerowi nawet przez myśl nie przeszło, żeby mu pokazać te informacje wywiadowcze, które miał w kieszeni dzięki prezydentowi. Rutledge miał w sobie coś, co sprawiało, że jego szef jakoś nie mógł do niego nabrać zaufania.

– Co z łącznością?

– Ambasada w Pekinie jest w systemie Tapdance. Mają już nawet te nowe telefony, takie same jak w samolocie. – Ale z Fort Meade sygnalizowano ostatnio, że są z nimi pewne problemy. Te urządzenia miały kłopoty z łączeniem się między sobą, a sytuację pogarszało jeszcze korzystanie z kanałów satelitarnych. Rutledge, jak większość dyplomatów, rzadko zaprzętał sobie głowę takimi drobiazgami. Materiały ze źródeł wywiadowczych miały się pojawiać, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a on rzadko się zastanawiał, jak je zdobyto, za to zawsze poddawał w wątpliwość wiarygodność informatorów, kimkolwiek by byli. W sumie Clifford Rutledge II był dyplomatą doskonałym, Nie obchodziło go prawie nic, oprócz własnej kariery, miał jakieś mgliste wyobrażenie o przyjaźni między narodami i był

przekonany, że osobiście potrafi się do niej przyczynić, a także nie dopuścić do wojny, tylko dzięki genialności swego umysłu.

Ale Adler przyznawał w duchu, że Rutledge miał i swoje dobre strony – był

kompetentnym rzemieślnikiem dyplomacji, potrafił mówić właściwym językiem i przedstawić stanowisko w najłagodniejszy z możliwych, a jednak stanowczy sposób. W

Departamencie Stanu nigdy nie było dość takich ludzi. Jak to ktoś kiedyś powiedział o Theodorze Roosevelcie: „Najsympatyczniejszy gentleman, jaki kiedykolwiek poderzwał

komuś gardło”. Ale Cliff nigdy by tego nie zrobił, nawet dla kariery. Prawdopodobnie golił

się maszynką elektryczną, nie tyle z obawy, że może się skaleczyć, co w ogóle ze strachu przed widokiem krwi.

– Kiedy odlatujesz? – spytał Orzeł podwładnego.

Barry Wise był już spakowany. Był w tym ekspertem, co nie powinno dziwić, jako że podróżował mniej więcej tyle samo, co pilot linii lotniczych, obsługujący trasy międzynarodowe. Miał 54 lata, był Murzynem, byłym żołnierzem piechoty morskiej, pracował w CNN od samego początku istnienia tej sieci telewizyjnej, czyli od ponad 20 lat i widział już wszystko. Relacjonował działania

nikaraguańskich kontras i pierwsze naloty na Bagdad. Był na miejscu, kiedy w Jugosławii odkopywano pierwsze zbiorowe groby i przekazywał na żywo relacje z osławionych dróg śmierci w Ruandzie, równocześnie żałując i dziękując Bogu, że nie może nadać w eter tego straszliwego odoru, który od tamtej pory dręczył go w snach. Wise był profesjonalistą, a za swe powołanie życiowe uważał

przekazywanie prawdy z miejsc, w których się rozgrywała tam, gdzie ludzie się nią interesowali, ewentualnie pobudzanie ich zainteresowania. Osobiście nie kierował się specjalnie żadną ideologią, chociaż bardzo wierzył w sprawiedliwość, a jednym ze sposobów na to, żeby sprawiedliwość mogła zatriumfować, było przekazanie prawdziwych informacji ławie przysięgłych, czyli w jego wypadku ludziom przed telewizorami. On i jemu podobni zmienili Afrykę Południową z rasistowskiego państwa w funkcjonującą demokrację. Wise odegrał też rolę w zniszczeniu komunizmu. Uważał, że prawda jest chyba najpotężniejszą bronią na świecie, jeśli miało się możliwości przekazania jej zwykłym ludziom. W

odróżnieniu od większości swoich kolegów po fachu, Wise szanował zwykłych ludzi, przynajmniej tych, którzy byli na tyle inteligentni, żeby go oglądać. Chcieli prawdy, a jego zadaniem było dostarczenie im jej najlepiej jak potrafił, co zresztą często było dla niego przedmiotem duchowej rozterki, bo wciąż się zastanawiał, czy nie mógłby czegoś zrobić lepiej.

Pocałował żonę, która odprowadziła go przed dom, obiecał przywieźć coś dzieciom, jak zawsze, wrzucił torbę podróżną do czerwonego, dwumiejscowego Mercedesa, który był jego jedynym luksusem i pojechał na południe do waszyngtońskiej obwodnicy i dalej na południe do bazy Sił Powietrznych Andrews. Musiał być na miejscu sporo przed startem, ponieważ Siły Powietrzne stały się przeczulone na punkcie bezpieczeństwa. Może to z powodu tego durnego filmu, w którym terroryści poradzili sobie ze wszystkimi uzbrojonymi wartownikami

– nawet, jeśli byli to tylko żołnierze Sił Powietrznych, a nie marines, to przecież mieli karabiny i przynajmniej sprawiali wrażenie kompetentnych – i dostali się na pokład samolotu 89. Skrzydła, co, zdaniem Wise’a było tak samo prawdopodobne, jak to, że złodziej kieszonkowy wejdzie do Owalnego Gabinetu, żeby ukraść prezydentowi portfel. Ale wojsko przestrzegało swoich przepisów, choćby i bezsensownych; dobrze to pamiętał z czasów w Korpusie Piechoty Morskiej. Wiedział więc, że będzie musiał przejechać przez te wszystkie posterunki kontrolne, na których wartownicy znali go lepiej niż swoich dowódców, a potem siedzieć w luksusowej poczekalni dla VIP-ów na końcu lewego pasa startowego Zero jeden, aż przyjadą osobistości oficjalne. A potem wejdą na pokład szacownego VC-137 i wystartują do ciągnącego się w nieskończoność lotu do Pekinu. Fotele były tak wygodne, jak to tylko możliwe w samolocie, serwis na pokładzie równie dobry jak w pierwszej klasie linii lotniczych, ale takie długie loty nigdy nie należały do przyjemności.

– Nigdy tam jeszcze nie byłem – powiedział Mark Gant, odpowiadając na pytanie George’a Winstona. – No więc, ile jest wart ten Rutledge?

Sekretarz skarbu wzruszył ramionami. – Zawodowy dyplomata z Departamentu Stanu, zaszedł dość wysoko. Miał kiedyś dobre koneksje polityczne; był blisko związany z Edem Kealtem.

Były makler giełdowy uniósł wzrok. – Tak? Dlaczego Ryan nie wyrzucił go na zbity pysk?

– Jack nie ucieka się do takich metod – odpowiedział Winston, zastanawiając się, czy w tym wypadku zasady nie kłóciły się ze zdrowym rozsądkiem.

– Wciąż jest strasznie naiwny, co, George?

– Może, ale gra uczciwie i to mi się podoba. W kwestii polityki podatkowej poparł nas z całych sił i za parę tygodni przepchniemy przez Kongres to, na czym nam zależy.

Gant mocno w to powątpiewał. – Zakładając, że wszyscy przedstawiciele różnych grup interesów nie rzucą się wam pod pociąg.

Winston uśmiechnął się, wyraźnie rozbawiony. – No i co z tego? Najwyżej koła będą trochę lepiej nasmarowane. Ach, jakie to by było piękne, gdyby tak pozamykać tych wszystkich sukinsynów...

George, pomyślał Gant, nie mogąc tego powiedzieć w tym gabinecie, jeśli w to wierzysz, to znaczy, że za długo już jesteś z prezydentem. Z drugiej strony, idealizm nie był przecież czymś aż tak złym, prawda?

– Wystarczy mi, że przyciśniemy tych chińskich sukinsynów w sprawie deficytu handlowego. Mamy poparcie Ryana?

– Mówi, że nieograniczone. I ja mu wierzę, Mark.

– Cóż, przekonamy się. Mam nadzieję, że ten Rutledge zna się na liczbach.

– Był na Harvardzie – powiedział Winston.

– Wiem – odparł Gant. On sam ukończył Uniwersytet Chicago przed dwudziestu laty i wcale nie uważał go za gorszą uczelnię. W końcu, czym, do diabła, był taki Harvard, jeśli nie brać pod uwagę nazwy i wielkich pieniędzy?

Winston zachichotał. – Nie wszyscy absolwenci Harvardu są kretynami.

– Przekonamy się, szefie. No, czas na mnie – powiedział, sięgając po walizkę na kółkach; torbę z laptopem przewiesił sobie przez ramię. – Samochód czeka na dole.

– Szczęśliwej podróży, Mark.

Nazywała się Yang Lien-Hua. Miała trzydzieści cztery lata, była w dziewiątym miesiącu ciąży i bardzo przestraszona. Była to jej druga ciąża. Jej pierwszym dzieckiem był syn, któremu nadali z mężem imię Ju-Long, szczególnie pomyślne imię, które znaczyło mniej więcej tyle, co Mały Smok. Ale malec zmarł, kiedy miał cztery latka, strącony z chodnika przez rowerzystę prosto pod autobus. Jego śmierć była strasznym ciosem dla rodziców i zasmuciła nawet przedstawicieli lokalnej

organizacji partyjnej, którzy wszczyli dochodzenie.

Ostatecznie uznano, że kierowca autobusu nie ponosi żadnej winy, a nieostrożnego rowerzysty nigdy nie udało się odnaleźć. Dla pani Yang utrata syna była tak bolesna, że poszukała pociechy w czymś, do czego władze jej kraju nie były nastawione przychylnie.

Tym czymś było chrześcijaństwo, obca religia, faktycznie pogardzana, chociaż do pewnego stopnia tolerowana przez prawo. W innych czasach Yang mogłaby znaleźć pociechę w naukach Buddy, czy Konfucjusza, ale ich także w znacznym stopniu wymazał ze świadomości społecznej marksistowski rząd, który wciąż jeszcze uważał każdą religię za opium dla ludu. Jedna z koleżanek w pracy doradziła jej szeptem spotkanie z „przyjacielem”, niejakiem Yu Fa An. Pani Yang odnalazła go i tak weszła na drogę zdrady.

Przekonała się, że wielebny Yu był człowiekiem wykształconym i bywałym w świecie, co sprawiło, że od razu urósł w jej oczach. Potrafił też słuchać, zwracał uwagę na jej każde słowo, spoglądając na nią ze współczuciem, dolewając herbaty i delikatnie gładząc jej dłoń, kiedy łzy popłynęły jej strumieniami po policzkach. Dopiero, kiedy zakończyła swą smutną opowieść, on rozpoczął nauczanie.

Powiedział jej, że Ju-Long jest teraz z Bogiem, ponieważ Bóg szczególnie dbał o potrzeby niewinnych dzieci. Chociaż w tej chwili nie mogła zobaczyć syna, on ją widział, spoglądając z Niebios i chociaż jej ból był zupełnie zrozumiały, mogła wierzyć, że Pan tej Ziemi był Bogiem Miłosierdzia i Miłości, który zesłał swego Syna Jednorodzonego na Ziemię, żeby pokazał ludzkości właściwą drogę i żeby oddał swe życie za grzechy ludzkości.

Yu wręczył jej Biblię, wydaną w Gouyu, czyli w języku urzędowym (zwanym także mandaryńskim) i pomógł jej wyszukać odpowiednie fragmenty.

Nie było to łatwe dla pani Yang, ale tak wielka była jej zgryzota, że wciąż wracała do wielebnego Yu po radę, a w końcu przyprowadziła też swego męża Quona. Pan Yang okazał

się bardziej odporny na wszelką religię. Odbył służbę w Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, gdzie poddano go gruntownej indoktrynacji politycznej, a z testami poradził sobie na tyle dobrze, że wysłano go do szkoły podoficerskiej, gdzie wymagana była niezłomność polityczna. Ale Quon był dobrym ojcem dla swojego Małego Smoka.

I on także nie potrafił sobie poradzić z wypełnieniem pustki, jaka powstała w jego systemie wartości. Wielebny Yu wiedział, jak tę pustkę wypełnić i wkrótce państwo Yang zaczęli przychodzić na dyskretnie msze do jego kościoła, i stopniowo pogodzili się ze swą stratą, wierząc, że pewnego dnia znów zobaczą swego Ju-Longa w obecności Boga Wszchemogącego, którego istnienie dla obojga stawało się coraz bardziej realne.

Do tego czasu życie musiało się toczyć dalej. Oboje byli robotnikami w tej samej fabryce i mieszkali skromnie w pekińskiej dzielnicy Di'Anmen, niedaleko parku Jings-han, czyli Węglowego Wzgórza. W dzień pracowali w fabryce, wieczorami oglądali państwową telewizję i po jakimś czasie Lien-Hua znów zaszła w ciążę.

I popadła w konflikt z rządową polityką kontroli urodzeń, która była bardziej niż drakońska. Już dawno temu zarządzono, że każda para małżeńska może mieć tylko jedno dziecko. Druga ciąża wymagała oficjalnej zgody władz. I chociaż zwykle nie odmawiano jej tym, których pierwsze dziecko zmarło, to jednak trzeba było dopełnić formalności, a w wypadku rodziców o niedopuszczalnych poglądach politycznych takiej zgody z reguły nie wydawano, co było metodą panowania nie tylko nad przyrostem demograficznym. To oznaczało, że nieautoryzowana ciąża musiała zostać przerwana. W bezpieczny sposób, na koszt państwa i w państwowym szpitalu, ale przerwana.

Dla komunistycznych władz chińskich chrześcijaństwo było równoznaczne z niewłaściwą postawą polityczną, nic więc dziwnego, że Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego wprowadziło swoich funkcjonariuszy do parafii wielebnego Yu. Te indywidualia – było ich trzech, na wypadek, gdyby któryś dał się skorumpować przez religię i utracił polityczne zaufanie – wciągnęły państwo Yang na listę politycznie niepoprawnych. Dlatego też, kiedy pani Yang Lien-Hua zgodnie z przepisami zarejestrowała swą ciążę, w jej skrzynce pocztowej pojawiło się oficjalne pismo, nakazujące jej udanie się do szpitala Longfu przy ulicy Meishuguan w celu poddania się aborcji. Tego Lien-Hua nie chciała zrobić. Jej imię oznaczało wprawdzie Delikatny Kwiat Lotosu, ale wolę miała nieugiętą. Tydzień później wysłała do odpowiedniej instytucji list, informując, że poroniła. Taka już jest natura biurokracji, że nikt nie pofatygował się, żeby to sprawdzić.

To kłamstwo dało jej jednak zaledwie sześć miesięcy, przeżytych w coraz większym stresie. Ani razu nie poszła do lekarza, nawet do któregoś z „bosonogich medyków”, których w ChRL wynaleziono w poprzednim pokoleniu, budząc podziw lewicy na całym świecie.

Lien-Hua była zdrowa i silna, a Natura zaprojektowała ciało kobiety do rodzenia zdrowego potomstwa na długo przed pojawieniem się położnictwa. Coraz większy brzuch udawało się jej jakoś ukrywać pod fatalnie skrojonymi ubraniami. Nie mogła natomiast ukryć –

przynajmniej sama przed sobą – strachu, który ją pożerał. Nosila w łonie swoje dziecko.

Pragnęła go. Chciała jeszcze raz zaznać macierzyństwa. Chciała czuć swoje dziecko, ssące jej pierś. Chciała je kochać, pielęgnować, patrzeć, jak zaczyna raczkować, wstawać, chodzić i mówić, być z nim, kiedy skończy cztery lata, kiedy pójdzie do szkoły, będzie się uczyć i wyrośnie na przyzwoitego człowieka, z którego będzie mogła być dumna.

Na przeszkodzie stała polityka. Państwo w bezwzględny sposób egzekwowało swoją wolę. Wiedziała, co się może stać, w wyobraźni widziała strzykawkę z formaldehydem, wbijaną w główkę rodzącego się dziecka. W Chinach było to polityka państwowa. Dla państwa Yang było to morderstwo, popełnione z zimną krwią. Byli zdecydowani nie dopuścić do utraty swego drugiego dziecka, które jak im powiedział wielebny Yu, stanowiło dar od samego Boga.

I był na to sposób. Jeśli dziecko urodziło się w domu, bez pomocy służby zdrowia i zaczerpnęło pierwszy oddech, państwo już go nie zabijało. Były rzeczy, przed którymi wzdragały się nawet władze Chińskiej Republiki Ludowej i jedną z nich było zabicie żywego, oddychającego noworodka. Ale dopóki dziecko nie wzięło pierwszego oddechu, znaczyło nie więcej niż kawałek mięsa na straganie. Krążyły nawet pogłoski, że władze chińskie sprzedawały organy zabitych noworodków na światowym rynku tkanek, z przeznaczeniem na cele medyczne, i państwo Yang byli w stanie w to

uwierzyć.

Zaplanowali więc, że Lien-Hua urodzi w domu, po czym postawią władze przed faktem dokonanym, a później zwrócą się do wielebnego Yu o ochrzcenie ich dziecka. W tym celu pani Yang dbała o swą kondycję fizyczną, chodząc codziennie na dwukilometrowy spacer, jeżdżąc rozsądnie i w ogóle robiąc wszystko, co w wydawanych przez władze broszurach doradzano przyszłym matkom. A gdyby sprawy przybrały bardzo niepomyślny obrót, zamierzali zwrócić się do wielebnego Yu o pomoc i radę. Dzięki temu planowi Lien-Hua mogła się jakoś uporać ze stresem – faktycznie był to paniczny strach – związanym z nieautoryzowaną ciążą.

– No i? – spytał Ryan.

– Rutledge ma wszystkie niezbędne umiejętności, a my wydaliśmy mu odpowiednie instrukcje. Powinien je należycie wypełnić. Pytanie, czy Chińczycy na to pójdą?

– Jeśli nie, czekają ich ciężkie czasy – powiedział prezydent, może nie lodowatym tonem, ale z determinacją w głosie. – Wiesz, Scott, jeśli myślą, że mogą nas tyranizować, to czas już, żeby się przekonali, kto jest najsilniejszym chłopcem na podwórku.

– Będą walczyć. Zaledwie cztery dni temu zastrzegli sobie opcję na czternaście Boeingów 777, pamiętasz? Wycofają się z tego w pierwszej kolejności, jeśli przestaniemy im się podobać. Dla Boeinga w Seattle to duże pieniądze i wiele miejsc pracy – ostrzegł sekretarz stanu.

– Jakoś nigdy nie gustowałem w szantażu, Scott. Zresztą, to klasyczny przypadek, ilustrujący powiedzenie, że chytry dwa razy traci. Jeśli podkulimy ogon pod siebie z powodu opcji na Boeingi, gdzie indziej stracimy dziesięć razy więcej pieniędzy i dziesięć razy więcej miejsc pracy; okay, nie stanie się to wszystko w jednym miejscu, więc telewizja nie będzie miała sensacji, ale nie po to tu jestem, żeby uszczęśliwiać te cholerne media. Jestem tu po to, żeby służyć narodowi najlepiej jak potrafię, Scott. I knę się na Boga, że tak właśnie będzie –

obiecał prezydent swemu gościowi.

– Nie wątpię, Jack – powiedział Adler. – Pamiętaj tylko, że nie wszystko ułoży się dokładnie tak, jakbyś chciał.

– Nigdy się tak nie układa, ale jeśli pójdą z nami na udry, będzie ich to kosztować siedemdziesiąt miliardów dolarów rocznie. Potrafimy sobie poradzić bez ich wyrobów. Ale czy oni sobie poradzą bez naszych pieniędzy? – spytał Ryan.

Sekretarzowi stanu nie całkiem podobało się takie postawienie sprawy. – Cóż, zobaczymy.

Rozdział 21

Gotowanie na wolnym ogniu

– No i co ustaliłeś wczoraj w nocy? – spytał Reilly. Wiedział, że spóźni się do swojego biura w ambasadzie, ale przecucie podpowiadało mu, że coś się zaczyna dziać w sprawie zamachu na placu Dzierżyńskiego, a dyrektor Murray interesował się tym osobiście, ponieważ interesował się prezydent, a to oznaczało, że sprawa jest ważniejsza od tych wszystkich rutynowych bzdur na biurku Reilly’ego.

– Nasz chiński przyjaciel, ten z męskiej toalety, jest trzecim sekretarzem w ich ambasadzie. Ludzie z SWR podejrzewają, że jest pracownikiem Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego. W MSZ, to znaczy, w naszym MSZ, nie uważa się go za szczególnie bystrego dyplomatę.

– Właśnie w taki sposób kamufluje się szpiega – zgodził się Reilly. – Jako miernego dyplomacineę. Okay, facet jest z branży.

– Też tak uważam, Miszka – zgodził się Prowałow. – Dobrze byłoby wiedzieć, który któremu coś przekazał i co to było.

– Olegu Grigorijewiczu – Reilly polubił tę półoficjalną rosyjską formę zwracania się do ludzi – nawet gdybym stał tuż koło nich i uważnie się przyglądał, też bym nie wiedział. – Tak to już było, kiedy miało się do czynienia z profesjonalistami. Ten manewr mieli opanowany tak, jak rozdający w Las Vegas swoją talię kart. Żeby mieć pewność, trzeba byłoby nagrać wymianę i puścić taśmę w zwolnionym tempie, ale kamera wideo była trochę niewygodna podczas pracy w terenie, Ale udowodnili jednak, przynajmniej ku własnej satysfakcji, że tamci dwaj działali w branży szpiegowskiej, a to już był jakiś przełom w śledztwie.

– Zidentyfikowałeś dziewczynę?

– Jelena Iwanowna Dimitrowa. – Prowałow podał mu teczkę z aktami. – Dziwka, ale oczywiście bardzo droga.

Reilly otworzył teczkę i przejrzał zawartość. Znana prostytutka, specjalizująca się w obsłudze cudzoziemców. Zdjęcie było wyjątkowo twarzowe.

– Przyszedłeś tu dziś rano wcześniej niż zwykle? – spytał Reilly. Musiało tak być, skoro odwalił już taki kawał roboty.

– Przed szóstą – potwierdził Oleg. Jego też ta sprawa zaczynała coraz bardziej ekscytować. – Kliementij Iwanowicz zatrzymał ją na całą noc. Wyszła z jego mieszkania o siódmej czterdzieści dziś rano i pojechała taksówką do domu. Moi ludzie mówią, że wyglądała na szczęśliwą i zaspokojoną.

Roześmieli się obaj. Opuściła klienta, kiedy Oleg od dwóch godzin był już w biurze?

Porucznikowi pewnie nie poprawiło to samopoczucia, pomyślał Reilly, uśmiechając się w duchu.

Wiedział, że on na jego miejscu byłby wściekły. – Cóż, niech mu będzie.

Przypuszczam, że za parę miesięcy nie będzie już miał tylu okazji do spędzenia nocy z dziewczyną – pomyślał głośno agent FBI, mając nadzieję, że uda mu się trochę pocieszyć rosyjskiego kolegę.

– Miejmy nadzieję – powiedział chłodno Prowałow. – Jego mieszkanie obserwują czterej moi ludzie. Jeśli wyjdzie i będzie szansa, że trochę dłużej zabawi poza domem, spróbujemy wprowadzić do mieszkania ekipę, która podrzuci trochę urządzeń elektronicznych.

– Wiedzą o koniecznych środkach ostrożności? – spytał Reilly. Jeśli ten kundel Suworow był wyszkolony tak, jak przypuszczali, na pewno zostawił w mieszkaniu jakieś charakterystyczne znaki, więc włamanie mogło być ryzykowne.

– Oni też byli szkoleni przez KGB. Jeden z nich pomógł w dawnych czasach złapać oficera wywiadu francuskiego. Ale teraz chciałbym cię o coś spytać – powiedział rosyjski gliniarz.

– Strzelaj.

– Co wiesz o specjalnej grupie antyterrorystycznej, stacjonującej w Anglii?

– Masz na myśli „Ludzi w czerni”?

Prowałow skinął głową.

– Tak. Wiesz coś o nich?

Reilly wiedział, że musi bardzo uważać na swe słowa, mimo że wiedział cholernie mało.

– Naprawdę nie wiem nic więcej ponad to, co przeczytałem w gazetach. To jakaś międzynarodowa grupa NATO, sądzę, że częściowo wojskowa, a częściowo policyjna. Mieli dobrą passę w zeszłym roku. Dlaczego pytasz?

– Polecenie z góry, ponieważ cię znam. Powiedziano mi, że przylecą do Moskwy pomóc w szkoleniu naszych ludzi, grup Specnazu, mających podobne zadania – wyjaśnił Oleg.

– Naprawdę? Cóż, ja sam nigdy nie byłem w tym pionie Biura, tylko kiedyś w lokalnym zespole SWAT. Więcej powinien o nich wiedzieć Gus Werner. Kieruje Wydziałem Antyterrorystycznym w centrali. Przedtem kierował ZOZ, Zespołem Odbijania Zakładników i oddziałem terenowym w wielkim mieście. Poznałem go kiedyś. Gus cieszy się doskonałą opinią. Agenci terenowi mają dla niego wiele szacunku. Ale, jak już powiedziałem, nigdy nie pracowałem w tym pionie, zawsze siedziałem z szachistami.

– Masz na myśli śledztwa?

Reilly skinął głową. – Zgadza się. W zasadzie tylko na tym powinna polegać działalność FBI, ale z

biegiem lat trochę się to zmieniło. – Amerykanin zamyślił się przez chwilę. – Więc nie spuszczasz oka z tego Suworowa-Koniewa, tak? – spytał następnie, żeby wrócić do tematu.

– Moi ludzie mają się zachowywać dyskretnie, ale, tak jak mówisz, nie spuszczaamy go z oka.

– Wiesz, jeśli on naprawdę współpracuje z chińskimi szpiegami... Myślisz, że tamci mogliby chcieć zabić Gołowkę?

– Nie wiem, ale musimy poważnie traktować taka ewentualność.

Reilly skinął głową, pomyślałszy, że to będzie interesujący raport dla Waszyngtonu, a może i temat rozmowy z szefem placówki CIA.

– Chcę mieć akta każdego, kto kiedykolwiek z nim współpracował – rozkazał Siergiej Nikołajewicz.

– A ty masz mi przynieść jego akta osobowe.

– Tak jest, towarzyszu przewodniczący – odpowiedział major Szelepin i skinął głową.

Poranna odprawa, poprowadzona przez pułkownika milicji nie była przyjemna ani dla szefa SWR, ani dla jego głównego ochroniarza. Tym razem, dla odmiany, udało się obejść osławiona rosyjską biurokrację i informacje szybko dotarły do tych, którzy się nimi interesowali. Był wśród nich ten człowiek, który pozostanie przy życiu zawdzięczał może jednak tylko przypadkowi.

– I powołamy specjalną grupę operacyjną, która będzie pracować z tym Prowałowem.

– Oczywiście, towarzyszu przewodniczący.

To dziwne, pomyślał Siergiej Nikołajewicz, jak szybko ten świat potrafi się zmieniać.

Miał żywo w pamięci tamten poranek; czegoś takiego się nie zapomina. Ale po kilku dniach w szoku i strachu pozwolił sobie na odprężenie, na uwierzenie, że to Awsiejenko był

prawdziwym celem zamachu, że były to porachunki podziemia, a jego życie nigdy nie było bezpośrednio zagrożone. A kiedy już w to uwierzył, zaczął patrzeć na całą sprawę oczyma kogoś, kto przejeżdża koło zwyczajnego wypadku drogowego. Nawet jeśli jakiś pechowy kierowca leżał martwy na poboczu, nie miało to żadnego znaczenia, bo coś takiego nie mogło się przecież przydarzyć jemu, w jego dobrym, drogim samochodzie służbowym, nie z Anatolijem za kierownicą. Ale teraz zaczął się zastanawiać, czy nie pozostał jednak przy życiu tylko przez przypadek. A to by oznaczało, że doszło do czegoś, do czego nigdy nie powinno było dojść.

Był teraz bardziej przestraszony niż tamtego poranka, kiedy spoglądał ze swego okna na dymiący wrak. Wciąż mogło mu grozić niebezpieczeństwo i bał się, jak każdy człowiek.

Co gorsza, ten, który chciał go zabić, mógł być jednym ze swoich, byłym oficerem KGB, powiązany ze Specnazem, a jeśli był też w kontakcie z Chińczykami...

Ale dlaczego Chińczykom miałyby zależeć na jego śmierci? W jakim celu Chińczycy w ogóle mieliby popełniać taką zbrodnię w obcym kraju? Nie miało to żadnego sensu.

Jednak Gołowko, jako wysoki rangą funkcjonariusz wywiadu, już dawno wyzbył się iluzji, że świat musi mieć jakiś sens. Na pewno wiedział tylko, że potrzebuje więcej informacji i przynajmniej zajmował doskonałą pozycję do ich uzyskania. Nawet jeśli nie miał

już tak wielkiej władzy, jak kiedyś, wciąż miał jej dość na własne potrzeby.

Przynajmniej miał taką nadzieję.

Nie próbował zbyt często przychodzić do ministerstwa. Był to rutynowy środek bezpieczeństwa, ale rozsądny. Kiedy się już zwerbowało agenta, nie należało się z nim pokazywać, żeby go nie narażać. Albo jej. To była jedną z tych rzeczy, których uczono ich na Farmie. Wpadka agenta mogła być dla prowadzącego powodem bezsennych nocy, ponieważ CIA działała zwykle w krajach, w których zatrzymanego informowano o jego „prawach” za pomocą kuli, noża albo czegoś równie paskudnego, w najbardziej odrażający sposób, na jaki było stać państwo policyjne, a to, jak mówili im instruktorzy na Farmie, mogło być cholernie nieprzyjemne. Zwłaszcza w tym wypadku. Sypiał ze swoją agentką, a gdyby z nią zerwał, ona mogłaby zerwać współpracę i ustałby dopływ informacji, które, jak mu powiedziało Langley, były cholernie ważne, i których chcieli więcej. Skasowanie programu, który za jego sprawą zainstalowała w swoim komputerze, byłoby trudne nawet dla geniusza z CalTech60, ale to samo można było osiągnąć, kasując całą zawartość twardego dysku i instalując nowe pliki na miejsce starych, ponieważ „Duch” był ukryty w oprogramowaniu systemowym i tzw.

nadpisanie, czyli zapisanie czegoś, kasujące zarazem poprzedni zapis, zniszczyłoby go tak samo jak wielkie trzęsienie ziemi w San Francisco.

Nie chciał więc przychodzić do ministerstwa, ale był przecież biznesmenem, oprócz tego, że był szpiegiem, i klient go tu wezwał. Dziewczyna dwa biurka za Ming miała jakiś kłopot z komputerem, a on był w końcu przedstawicielem NEC.

Okazało się, że był to drobny problem; niektórych kobiet po prostu nie powinno się dopuszczać do komputera. Pomyślał, że to tak, jakby zgubić czteroletnie dziecko w sklepie z bronią, ale w tych poprawnych politycznie czasach nie śmiałyby powiedzieć czegoś takiego głośno, nawet tutaj. Na szczęście Ming nie było w pobliżu, kiedy wszedł. Usiadł przy komputerze, który sprawiał kłopoty, uporał się z nimi w ciągu trzech minut, wyjaśnił

sekretarce, na czym polegał błąd, używając prostych pojęć, które musiała zrozumieć, robiąc z niej przy okazji biurową ekspertkę od tego konkretnego problemu, który łatwo mógł się powtórzyć. Uśmiechnął się, złożył grzeczny japoński ukłon i ruszył do wyjścia, kiedy otworzyły się drzwi do ministerialnego gabinetu, z którego wyszła Ming, a za nią minister Fang, przeglądając jakieś papiery.

– O, *hello*, Nomuri-san – powiedziała zaskoczona Ming, podczas gdy Fang zawołał inną sekretarkę, Chai, i gestem dał jej znać, żeby poszła za nim. Jeśli Fang w ogóle zauważył

Nomuriego, to nie dał tego po sobie poznać i po prostu znikł z powrotem w swoim prywatnym gabinecie.

– *Hello*, towarzyszeko Ming – powiedział Nomuri po angielsku. – Wasz komputer działa, jak należy?
– spytał oficjalnie.

– Tak, dziękuję.

– To dobrze. Gdyby były z nim jakieś problemy, proszę o kontakt.

– O, tak. Zadomowił się pan w Pekinie? – spytała uprzejmie.

– Tak, dziękuję.

– Powinien pan spróbować kuchni chińskiej, zamiast jadać tylko potrawy z pańskiego kraju, chociaż muszę przyznać, że ostatnio zasmakowałam w japońskiej kiełbasie –

powiedziała jemu i wszystkim obecnym z miną, której mógłby jej pozazdrościć Amarillo Slim⁶¹.

Chestera Nomuriego zatkało; miał wrażenie, że serce przestało mu bić i że trwało to dobre dziesięć sekund. – Ach, tak – musiał odpowiedzieć, kiedy tylko odzyskał oddech. –

Bywa bardzo smaczna.

Ming tylko skinęła głową, wróciła do swojego biurka i zabrała się do pracy. Nomuri uklonił się uprzejmie całemu personelowi i wyszedł z sekretariatu. Kiedy tylko zamknął za sobą drzwi, natychmiast ruszył korytarzem do męskiej toalety, czując niepowstrzymane parcie na pęcherz. Dobry Boże! Ale tak już było z agentami. Czasem to, co robili, działało na nich odurzająco, doznawali takich wrażeń, jak narkoman po świeżej dawce i zabawiali się pociąganiem tygrysa za ogon, żeby doświadczyć jeszcze trochę tej euforii, zapominając, że ogon był o wiele bliżej paszczy, niż mogłoby się wydawać. Radowanie się z niebezpieczeństwa było głupotą. Ale trening zrobił jednak swoje, pomyślał, zaciągając zamek błyskawiczny. Nie zająknął się, odpowiadając na jej żartobliwą uwagę. Ale musiał ją przestrzec przed takim tańczeniem na polu minowym. Nigdy się nie wie, gdzie należy postawić stopę, a odkrycie nieodpowiedniego miejsca bywa zwykle bolesne.

Nagle zrozumiał, dlaczego do tego doszło i na tę myśl stanął jak wryty. Ming była w nim zakochana. Była w figlarnym nastroju, bo... czy mógł być jakiś inny powód? Zabawiała się z nim? Nie, nie miała osobowości dziwki. W łóżku było im ze sobą dobrze, może aż za dobrze, jeśli to w ogóle możliwe,

pomyślał Nomuri, idąc do windy. Skoro powiedziała coś takiego, to na pewno przyjdzie do niego dziś wieczorem. W drodze do domu będzie musiał zajść do sklepu i kupić więcej tej okropnej japońskiej whisky po trzydzieści dolarów za litr. Tutaj, jeśli człowiek pracy chciał się upić, stać go było tylko na miejscowy alkohol, ale o czymś takim Nomuri nawet nie chciał myśleć.

61 *Amarillo Slim Preston, postać współczesna, słynny pokerzysta amerykański (przyp. tłum.)* Ale Ming przypieczętowała właśnie ich związek, ryzykując życiem w obecności ministra i współpracowników; dla Nomuriego było to o wiele bardziej przerażające niż jej mało taktowna uwaga na temat jego członka, do którego najwyraźniej miała szczególne upodobanie. O Jezu, pomyślał, to się staje zbyt poważne. Ale co mógł teraz zrobić? Uwiódł

ją, zrobił z niej szpiega; ona poleciała na niego zapewne z tego prostego powodu, że był

młodszy od tego starego pierdziela, dla którego pracowała, i o wiele lepiej ją traktował. W

porządku, no więc był dobry w łóżku, co bardzo mile łechtało jego męską ambicję, był obcym w tym kraju i nie mógł przecież żyć jak pustelnik, a seks z Ming był prawdopodobnie bezpieczniejszy dla jego legendy niż znalezienie sobie dziwki w jakimś barze... nie chciał

nawet dopuścić do siebie myśli o poważnym związaniu się z dziewczyną jako agent...

...ale czy jedno aż tak bardzo różniło się od drugiego? Poza tym, że kiedy ona się z nim kochała, jej komputer wysyłał w cyberprzestrzeń notatki, które przepisała...

A jej komputer znów to robił, wkrótce po tym, kiedy skończyły się godziny urzędowania, zaś jedenastogodzinna różnica czasu gwarantowała, że to, co wysyłał, trafi do Stanów jeszcze przed śniadaniem. Mary Patricia Foley pomyślała, że poranki ma teraz o wiele spokojniejsze niż kiedyś. Jej córka, najmłodsze z dzieci, nie była jeszcze na studiach, ale wołała sama sobie przygotowywać płatki na śniadanie i sama jeździła samochodem do szkoły, dzięki czemu jej matka mogła codziennie pospać dwadzieścia pięć minut dłużej. Dwadzieścia lat funkcjonowania w szpiegowskim biznesie i bycia matką powinno było przyprawić ją o utratę zmysłów, gdyby nie to, że podobało jej się takie życie. Zwłaszcza lata, spędzone w Moskwie, kiedy działała w jaskini lwa, nieźle szarpiąc wtedy bestię za ogon, pomyślała z uśmiechem.

Jej mąż mógłby powiedzieć niemal to samo. Byli pierwszym małżeństwem, które tak wysoko zaszło w Langley. Co rano jeździli razem do pracy i to własnym samochodem, a nie służbowym, chociaż im przysługiwał, ale z uzbrojoną eskortą w samochodach z przodu i z tyłu, bo nawet najgłupszy terrorysta musiał uważać ich oboje za doskonałe cele. Dzięki takiemu rozwiązaniu mogli sobie porozmawiać w drodze do pracy; co tydzień sprawdzano, czy w ich samochodzie nie ma podsłuchu.

Zostawiali wóz na zarezerwowanym dla nich miejscu parkingowym w podziemiach budynku Starej Centrali i jechali do swoich gabinetów na dwudziestym szóstym piętrze windą dla kierownictwa,

która zawsze już na nich czekała.

Pani Foley zawsze miała na biurku wzorowy porządek. Ludzie z nocnej zmiany też porządnie układali tam wszystkie przewidziane dla niej ważne papiery. Ale tego ranka, podobnie jak przez cały miniony tydzień, zamiast od razu zająć się teczkami ze ściśle tajnymi materiałami, przede wszystkim włączyła stojący na biurku komputer i sprawdziła swą specjalną skrzynkę e-mailową. Nie rozczarowała się. Skopiowała plik na twardy dysk, zrobiła wydruk, a potem wykasowała przesłaną e-mailem wiadomość, praktycznie zacierając wszelkie elektroniczne ślady jej istnienia. Następnie jeszcze raz przeczytała wydrukowany tekst, sięgnęła po słuchawkę i połączyła się z gabinetem męża.

– Tak, mała?

– Zupka zaciągana jajkiem – powiedziała dyrektorowi Centralnej Agencji Wywiadowczej. Była to chińska potrawa, której wyjątkowo nie znosił, a Mary Pat lubiła czasem zakpić sobie z męża.

– W porządku, kochanie, przyjdź tutaj. – Dyrektor CIA wiedział, że musiało to być coś bardzo dobrego, skoro żona od samego rana próbowała przyprawić go o mdłości.

– SORGE? – spytał prezydent siedemdziesiąt pięć minut później.

– Tak, sir – odpowiedział Ben Goodley, podając wydruk. Tekst nie był długi, ale za to ciekawy.

Ryan przebiegł go wzrokiem. – Analiza?

– Pani Foley chce się w tym celu spotkać z panem dziś po południu. Ma pan wolne okienko od drugiej piętnaście.

– W porządku. Coś jeszcze?

– Wiceprezydent, skoro już tu jest. – Goodley wiedział, że Ryan chętnie zasięgał opinii Robby Jacksona na temat strategicznie ważnych materiałów. – Też nie ma dziś po południu niczego szczególnie ważnego.

– Doskonale. Proszę to zorganizować – polecił prezydent.

Sześć przecnic dalej Dan Murray wchodził właśnie do swego obszernego gabinetu (znacznie większego od gabinetu prezydenta, gdyby się ktoś pytał) pod eskortą własnych ochroniarzy, ponieważ jako szef agencji zajmującej się kontrwywiadem i zwalczaniem terroryzmu, dysponował najróżniejszymi informacjami, które mogły zainteresować innych.

– Dzień dobry, panie dyrektorze – powiedziała jedna z jego pracownic; była zaprzysiężoną agentką, uzbrojoną w broń krótką, a nie zwyczajną sekretarką.

– Cześć, Toni – odpowiedział dyrektor FBI. Pomyślał, że agentka ma nogi do samej szyi, ale natychmiast się zreflektował. Oto sam sobie udowodnił, że jego żona Liz miała rację: robił się z niego obleśny staruch.

Stery papierów na biurku poukładał nocny personel, według ustalonego wzorca. Sterta przy prawej krawędzi biurka zawierała materiały o charakterze wywiadowczym, sterta po lewej była przeznaczona na materiały, dotyczące operacji kontrwywiadu, a wielka sterta pośrodku – na śledztwa w toku, którymi musiał się zająć osobiście, bądź o których musiał

zostać powiadomiony. Było tak od czasów Hoovera, który najwidoczniej osobiście doglądał każdej sprawy, poważniejszej niż kradzież samochodu z rządowego parkingu.

Ale Murray przez długi czas pracował w branży wywiadowczej Biura, a to oznaczało, że w pierwszej kolejności zabrał się za stertę z prawej strony. Nie było tego wiele. FBI prowadziło parę własnych operacji o charakterze czysto wywiadowczym, ku pewnemu niezadowoleniu CIA, ale stosunki między tymi dwiema agencjami rządowymi nigdy nie układały się najlepiej, chociaż Murray nawet lubił Foleyów. Pal diabli, pomyślał, trochę konkurencji wszystkim się przyda, pod warunkiem, że CIA nie będzie wtykać nosa w żadne ze śledztw, prowadzonych przez FBI w sprawach kryminalnych, bo to byłaby już zupełnie inna para kaloszy. Na wierzchu leżał raport Mike’a Reilly’ego z Moskwy...

– Jasna cholera! – mruknął Murray, uśmiechając się w duchu. Osobiście wybrał

Reilly’ego na tę placówkę w Moskwie, mimo zastrzeżeń paru ludzi z kierownictwa FBI, którzy chcieli tam wysłać Paula Landaua z Wydziału Wywiadu. Ale nie, Murray zdecydował, że Moskwie potrzebna jest pomoc w pracy policyjnej, a nie w łapaniu szpiegów, w czym mieli tam ogromne doświadczenie i wysłał Mike’a Reilly’ego, agenta w drugim pokoleniu, który – tak jak jego ojciec Pat Reilly – przyprawiał mafię nowojorską o poważne kłopoty żołądkowe. Landau był teraz w Berlinie, współpracował jako oficer łącznikowy z tamtejszym Federalnym Urzędem Kryminalnym (BKA – Bundeskriminalamt) i radził sobie całkiem dobrze. Ale Reilly miał zadatki na gwiazdę. Jego ojciec przeszedł na emeryturę jako zastępca szefa oddziału terenowego. Mike na pewno zajdzie wyżej.

A znajomość, którą nawiązał z tym rosyjskim detektywem Prowalowem na pewno nie zaszkodzi jego karierze. No więc, wykryli powiązania między byłym funkcjonariuszem KGB

a chińskim MBP, tak? W ramach śledztwa w sprawie tamtego głośnego zamachu w Moskwie.

– Jezu, czy to możliwe, że Chińczycy maczali w tym palce? A jeśli tak, to co to, u diabła, mogło oznaczać? No, to było coś, co Foleyowie muszą zobaczyć. Dyrektor Murray podniósł

śluchawkę telefonu. Dziesięć minut później raport Reilly’ego został przefaksowany bezpieczną linią do Langley, a żeby mieć pewność, że CIA nie przypisze sobie zasług należnych FBI, kopię Murray kazał zanieść do Białego Domu, gdzie posłaniec wręczył ją doktorowi Benjaminowi Goodleyowi, co

dawało pewność, że prezydent zapozna się z nią jeszcze przed lunchem.

Rozpoznawał ją już po sposobie, w jaki stuknęła do drzwi. Nomuri odstawił drinka i podbiegł do drzwi, otwierając je mniej niż pięć sekund po pierwszym zmysłowym puk-puk.

– Ming.

– Nomuri-san.

Wciągnął ją do środka, zamknął drzwi i przekręcił zamek, po czym chwycił ją w ramiona w namiętym uścisku, którego prawie nie musiał udawać.

– Zasmakowałaś w japońskiej kiełbasie, tak? – spytał surowo, uśmiechając się przy tym i całując dziewczynę.

– Nawet się nie uśmiechnęłaś, kiedy to powiedziałam. Czy to nie było zabawne? – spytała, podczas gdy on zajął się rozpinaniem jej guzików.

– Ming... – zaczął, zawahał się przez chwilę i postanowił wypróbować zwrot, którego nauczył się tego dnia. – *Bau-bei* – powiedział. Znaczyło to „ukochana”.

Ming uśmiechnęła się i powiedziała: – *Shing-gan*. – Dosłownie znaczyło to „serce i wątroba”, ale w tym kontekście wyrażało „serce i duszę”.

– Ukochana – powiedział Nomuri po pocałunku – opowiadasz w biurze o naszym związku?

– Nie, ministrowi Fangowi mogłoby się to nie spodobać, ale dziewczyny pewnie nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby się dowiedziały – wyjaśniła z kokieterijnym uśmiechem.

– Ale nigdy nie wiadomo.

– Więc po co ryzykować, żartując w taki sposób. Chcesz, żebym się wysypał?

– Nie masz poczucia humoru – powiedziała Ming. Zaraz jednak wsunęła mu ręce pod koszulę i pogładziła po piersi. – Ale to nie szkodzi. Masz coś innego, czego potrzebuję.

Kiedy skończyli, przyszedł czas na inne sprawy.

– *Bau-bei*?

– Tak?

– Twój komputer wciąż funkcjonuje, jak należy?

– O, tak – zapewniła go sennym głosem.

Lewą ręką głaskał ją delikatnie. – Czy inne dziewczyny w biurze wykorzystują swoje komputery, żeby wchodzić do Internetu?

– Tylko Chai. Fang wykorzystuje ją tak, jak mnie. Prawdę mówiąc, bardziej ją lubi.

Uważa, że ma lepsze usta.

– O? – Nomuri złagodził zdumienie uśmiechem.

– Mówiłam ci już, że minister Fang jest starym człowiekiem. Czasem potrzebuje specjalnej stymulacji, a Chai w zasadzie nie ma nic przeciwko temu. Mówi, że Fang przypomina jej dziadka.

Amerikanin wyobraził to sobie i ogarnęło go obrzydzenie. – I wszystkie dziewczyny w biurze opowiadają sobie o tych spotkaniach z ministrem?

Ming zaśmiała się. To było bardzo zabawne. – Oczywiście, że tak. Wszystkie to robimy.

Niech to szlag, pomyślał Nomuri. Zawsze sądził, że kobiety są bardziej... dyskretne, że tylko faceci przechwalają się w szatni, ściągając przepocone skarpety.

– Za pierwszym razem, kiedy mnie wziął – ciągnęła Ming – nie wiedziałam, co robić, więc poprosiłam Chai o radę. Wiesz, ona pracuje tam najdłużej. Powiedziała mi, że to nie takie straszne i że bym spróbowała go uszczęśliwić, a może dostanie mi się za to dobre biurowe krzesło, tak jak jej. Chai musi być dla niego bardzo dobra. W listopadzie dostała nowy rower. A ja, cóż, myślę, że minister lubi mnie tylko dlatego, że mam inny wygląd. Chai ma większe piersi ode mnie i sądzę, że jestem od niej ładniejsza, ale ona ma milutkie usposobienie i lubi tego starego. Na pewno bardziej niż ja. – Przerwała. – Nie zależy mi aż tak bardzo na nowym rowerze – powiedziała po chwili.

– Co to oznacza? – spytał Robby Jackson.

– Cóż, nie jesteśmy pewni – przyznał dyrektor CIA. – Ten Fang miał dłuższą rozmowę z naszym starym przyjacielem Zhang Han Sanem. Rozmawiali o rozpoczynającym się jutro spotkaniu z naszą ekipą handlową. Cholera – Ed Foley spojrział na zegarek – to już za czternaście godzin. I wygląda na to, że chcą się od nas domagać ustępstw, zamiast zaproponować nam swoje. Uznanie Tajwanu przez Stanu Zjednoczone musiało ich rozeźlić bardziej, niż przypuszczaliśmy.

– Żal mi dupę ściska – mruknął Ryan.

– Jack, zgadzam się z twoim poglądem, ale spróbujmy mniej nonszalancko podejść do ich stanowiska – doradził Foley.

– Zaczynasz mówić jak Scott – powiedział prezydent.

- No to co? Jeśli chcesz w Langley potakiwacza, to wybrałeś nieodpowiedniego faceta.
- Już dobrze, Ed – ustąpił Jack. – Mów dalej.
- Jack, musimy ostrzec Rutledge’a, że Chińczykom nie spodoba się to, co będzie im miał do powiedzenia. Może się okazać, że nie będą w nastroju do ustępstw w sprawach handlowych.
- Cóż, Stany Zjednoczone też nie są – powiedział Ryan swojemu dyrektorowi CIA. – I wracamy do tego, że oni potrzebują naszych pieniędzy bardziej niż my ich towarów.
- Jakie jest prawdopodobieństwo, że to zostało ukartowane? Mam na myśli tę informację? – spytał wiceprezydent Jackson.
- Że wykorzystują to źródło, żeby powiadomić nas o czymś nieoficjalnie? – spytała Mary Patricia Foley. – Oceniam to prawdopodobieństwo na bliskie zera. Praktycznie jest to zupełnie nieprawdopodobne.
- Skąd ta pewność, MP? – spytał prezydent Ryan.
- Nie teraz, Jack, ale naprawdę jestem pewna – powiedziała Mary Pat. Ryan spostrzegł, że jej męża wprowadziło to trochę w zakłopotanie. Rzadko zdarzało się w świecie wywiadu, że ktoś był aż tak pewien czegośkolwiek, ale cóż, Ed zawsze był ostrożny, a Mary Pat zawsze była kowbojką. Troszczyła się o swoich ludzi jak matka o swoje niemowlę i Ryan podziwiał ją za to, chociaż musiał brać pod uwagę, że nie zawsze było to realistyczne.
- Ed? – spytał Ryan, ciekaw reakcji.
- W tym wypadku zgadzam się z Mary. To źródło wydaje się być wprost bezcenne.
- Więc ten dokument odzwierciedla poglądy władz chińskich? – spytał Tomcat.
- Foley zaskoczył prezydenta, kręcąc przecząco głową. – Nie, odzwierciedla poglądy tego Zhang Han Sana. To wpływowy minister, ale tego, co mówi, nie można utożsamiać z oficjalnym stanowiskiem rządu. Proszę zwrócić uwagę, że w tym tekście nie ma nic na temat ich oficjalnego stanowiska. Zhang prawdopodobnie reprezentuje taki pogląd w ich Biurze Politycznym i to stanowczo, ale są tam i umiarkowani, o których stanowisku nie wspomina się w tym dokumencie.
- Wspaniale – mruknął Robby, wiercąc się na krześle. – Skoro tak, to po co zawracacie nam tym głowę?
- Ten Zhang jest blisko związany z ich ministrem obrony; faktycznie ma bardzo dużo do powiedzenia na temat całego systemu bezpieczeństwa narodowego. Jeśli poszerza swoją strefę wpływów, rozciągając ją na politykę handlową, to mamy problem, i nasza delegacja na rokowania handlowe powinna o tym wiedzieć, zanim zaczną się rozmowy – poinformował go dyrektor CIA.

– No więc? – spytała Ming zmęczonym głosem. Wiedziała, że musi się ubrać i wyjść, i wcale jej się to nie podobało, a w dodatku będzie jutro niewyspana.

– Więc przyjdź wcześniej i wgraj to do komputera Chai. To po prostu nowy plik systemowy, wersja 6.8.1, taka, jak ta, którą masz w swoim komputerze. – W rzeczywistości najnowsza wersja tego pliku systemowego miała numer 6.3.2 i następna miała się ukazać nie wcześniej niż po roku.

– Dlaczego chcesz, żebym to zrobiła?

– Czy te ważne, *Bau-Bei*? – spytał.

Zawahała się, myślała nad tym przez chwilę i Amerykanin poczuł ciarki na plecach.

– Nie, myślę, że nie.

– Muszę ci kupić coś nowego – szepnął Nomuri, biorąc ją w ramiona.

– Ale co? – spytała, jego wszystkie dotychczasowe prezenty były niebanalne.

– To będzie niespodzianka i to bardzo przyjemna – obiecał.

W jej ciemnych oczach błysnęła niecierpliwość. Nomuri podał jej ten okropny zakiet.

Pomyślał, że znacznie przyjemniej było ją rozbierać, ale można się tego było spodziewać.

Chwilę później, przy drzwiach, pocałował ją na pożegnanie i patrzył, jak odchodzi, po czym wrócił do komputera, żeby poinformować patsbakery@brownienet.com, że zorganizował

przepis na drugi wypiek i ma nadzieję, że będzie jej smakował.

Rozdział 22

Stół i receptura

– Panie ministrze, bardzo mi przyjemnie – powiedział Cliff Rutledge swym najbardziej przyjacielskim głosem dyplomaty, wymieniając uścisk dłoni. Był zadowolony, że w ChRL

przyjęto ten zachodni zwyczaj; nigdy do końca nie opanował protokołu ukłonów.

Carl Hitch, ambasador USA w Chińskiej Republice Ludowej, uczestniczył w uroczystości inauguracyjnej. Był zawodowym dyplomatą i zawsze wolał pracować za granicą niż w Foggy Bottom. Zajmowanie się na co dzień stosunkami dyplomatycznymi nie było specjalnie ekscytujące, ale w takim kraju, jak ChRL wymagało jednak pewnej ręki. Hitch dobrze sobie z tym radził i

najwidoczniej był lubiany przez resztę korpusu dyplomatycznego, co na pewno nie mogło zaszkodzić.

Za to dla Marka Ganta wszystko było tu nowe. Sala była imponująca, jak sala konferencyjna którejs z wielkich korporacji, zaprojektowana, żeby zadowolić członków zarządu, niczym arystokratów ze średniowiecznej Italii. Z wysokiego sufitu zwisały żyrandole, widać było kryształ i polerowany mosiądz, a ściany zostały wybite tkaniną –

chińskim jedwabiem, oczywiście czerwonym; efekt był taki, że Mark poczuł się jakby w sercu ogromnego wieloryba. Każdy z obecnych miał w ręku maleńką czarbkę z *mao-tai*; potwierdziły się ostrzeżenia, że ten trunek smakuje jak aromatyzowana benzyna do zapalniczek.

– Jest pan w Pekinie po raz pierwszy? – spytał go któryś z niższych rangą Chińczyków.

Gant odwrócił się i spojrzał na małego faceta.

– Tak, po raz pierwszy.

– Więc za wcześnie jeszcze na pierwsze wrażenia?

– Tak, ale ta sala jest zadziwiająca... no, ale jedwab ma w waszym kraju długą i ciekawą historię – ciągnął, zastanawiając się, czy to, co mówi brzmi dyplomatycznie, czy tylko nieporadnie.

– O, tak, w istocie – zgodził się Chińczyk, kiwając potakująco głową i szczerząc zęby w uśmiechu, ani jedno, ani drugie niewiele Amerykaninowi powiedziało, może oprócz tego, że facet nie wydawał za dużo pieniędzy na szczoteczki do zębów.

– Wiele słyshałem o cesarskiej kolekcji dzieł sztuki.

– Zobacz ją pan – obiecał Chińczyk. – To część oficjalnego programu.

– Doskonale. Jeśli obowiązki mi pozwolą, chciałbym trochę pozwiedzać.

– Mam nadzieję, że spełnimy pańskie oczekiwania, jako gospodarze – powiedział mały.

Gant zastanawiał się, czy ten uśmiechnięty, ugrzeczniony karzełek nie padnie zaraz na kolana i nie zaproponuje mu obciążnięcia druta; dyplomacja była dla niego czymś zupełnie nowym.

To nie byli bankierzy, te uprzejme rekiny, zapraszające na dobre jedzenie i picie przed podjęciem próby odgryzienia delikwentowi kutasa. Ale oni nigdy nie ukrywali faktu, że są rekinami. A ci ludzie? Po prostu nie wiedział. Tak wielka uprzejmość i troskliwość były dla Ganta czymś nowym, ale – pomny tego, co powiedziano im przed odlotem – zastanawiał się, czy ta gościnność nie jest tylko zwiastunem niezwykle wrogiej postawy, kiedy już przejdą do konkretów.

– Więc nie jest pan z amerykańskiego Departamentu Stanu? – spytał Chińczyk.

– Nie. Jestem z Departamentu Skarbu. Pracuję bezpośrednio dla sekretarza skarbu Winstona.

– Ach, więc jest pan specjalistą w sprawach handlowych?

Aha, więc ten mały skurczybyk został poinformowany... Ale tego należało się spodziewać. Na tym szczeblu nie było miejsca na improwizację. Każdy musiał zostać odpowiednio przygotowany. Każdy zapoznał się z materiałami, które zebrano na temat Amerykanów. Przedstawiciele Departamentu Stanu w delegacji amerykańskiej zrobili to samo. Ale Ganta to nie dotyczyło, jako że tak naprawdę nie był jednym z negocjatorów, więc powiedziano mu tylko tyle, ile musiał wiedzieć. Pomyślał, że ma przewagę nad tym Chińczykiem, wyznaczonym do tego, żeby się nim zajmować. Nie był z Departamentu Stanu, więc w zasadzie nie był nikim ważnym, ale z drugiej strony, był osobistym przedstawicielem bardzo ważnej osobistości amerykańskiej, a to z kolei czyniło zeń kogoś bardzo ważnego.

Mógł nawet być głównym doradcą tego Rutledge'a, co dla Chińczyków mogło oznaczać, że to on, Gant, będzie faktycznie prowadził negocjacje, a nie ten wysoki rangą dyplomata, bo Chińczycy często postępowali w ten sposób. Przyszło mu na myśl, że może mógłby im trochę namieszać we łbach... ale jak się do tego zabrać?

– O, tak, przez całe życie jestem kapitalistą – powiedział Gant, postanawiając rozegrać to na chłodno i po prostu rozmawiać z facetem, jakby to była istota ludzka, a nie pieprzony komunistyczny dyplomata. – Podobnie jak sekretarz Winston i nasz prezydent, wie pan?

– Ale on był przede wszystkim funkcjonariuszem wywiadu, a przynajmniej tak mi powiedziano.

Czas na wetknięcie szpili. – Sądzę, że częściowo odpowiada to prawdzie, ale myślę też, że sercem zawsze był w biznesie. Kiedy odejdzie ze służby państwowej, przejdzie prawdopodobnie do biznesu razem z George'em i we dwóch dopiero pokażą światu. – Co było nawet dość bliskie prawdy. Gant pamiętał, że najlepszymi kłamstwami są zwykle takie, które wydają się bardzo prawdopodobne.

– A pan pracuje od kilku lat z sekretarzem Winstone. – Gant zorientował się, że było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Jak na nie zareagować? Ile naprawdę o nim wiedzieli? A może pozostawał jednak zagadką dla komunistycznych Chińczyków? A jeśli tak, to czy mógłby to wykorzystać...?

Łagodny, porozumiewawczy uśmiech. – Cóż, George i ja zarobiliśmy razem trochę pieniędzy. Kiedy Jack ściągnął go do gabinetu, George postanowił wziąć mnie ze sobą, żebym trochę pomagał przy formułowaniu polityki rządu. Zwłaszcza polityki podatkowej.

Straszny w tej dziedzinie bałagan i George polecił mi się tym zająć. I wie pan co? Całkiem prawdopodobne, że uda nam się wszystko zmienić. Wygląda na to, że Kongres nas posłucha i uchwali to, na czym nam zależy, a to już nie byle co, nakłonić tych idiotów, żeby robili to, co chcemy – powiedział Gant, rozmyślnie odwracając głowę i przypatrując się rzeźbionej kości słoniowej, wystawionej w gablocie. Rzemieślnik-artysta z ostrym dłutem musiał poświęcić mnóstwo czasu, żeby zrobić coś takiego... No i co, panie Chińczyk, wyglądam teraz na kogoś ważnego? Jedno trzeba było małemu przyznać – byłby niezłym pokerzystą. Z jego oczu niczego nie dało się wyczytać. Gant znów na niego spojrział. – Proszę mi wybaczyć, rozgadałem się.

Chińczyk uśmiechnął się. – Przy takich okazjach zdarza się to dość często. Jak pan sądzi, dlaczego każdy dostaje coś do picia? – W jego głosie było rozbawienie, jakby dawał Gantowi do zrozumienia, kto faktycznie panuje tu nad sytuacją.

– No tak – mruknął Gant nieśmiało i odszedł wolnym krokiem. Chińczyk – czy na pewno był to ktoś niższy rangą? – trzymał się w pobliżu.

Rutledge usiłował odgadnąć, czy przeciwnik wie, jakie były jego instrukcje. Było trochę przecieków do mediów, ale Adler tak umiejętnie je zaaranżował, że nawet uważny obserwator

– a do takich należał ambasador ChRL w Waszyngtonie – mógł mieć kłopoty z określeniem, kto coś ujawnia, co to takiego, i w jakim celu. Administracja Ryana wykorzystywała prasę całkiem umiejętnie, prawdopodobnie dzięki temu, pomyślał Rutledge, że członkowie gabinetu kierowali się głównie wskazówkami szefa kancelarii Ryana, Arnie'ego van Damma, który był

wytrawnym manipulatorem politycznym. W nowym gabinecie nie było typowej kolekcji zawodowych polityków, którzy musieli głaskać prasę, zabiegając o poparcie dla swych programów. Ryan dobrał sobie w większości ludzi, którzy nie mieli żadnego programu politycznego, co było nie lada osiągnięciem, zwłaszcza że większość z nich sprawiała wrażenie kompetentnych specjalistów, którzy, podobnie jak Ryan, starali się nie stracić cnoty w Waszyngtonie i wrócić do swego prawdziwego życia, kiedy tylko skończy im się ten krótki okres w służbie dla kraju. Rutledge nie przypuszczał, że taka transformacja rządu jest w ogóle możliwa. Całą zasługę przypisał tamtemu szalonemu japońskiemu pilotowi, którego jedna obłąkańcza akcja zabiła tyle osobistości w Waszyngtonie.

W tym momencie pojawił się Xu Kun Piao, wchodząc energicznym krokiem do sali powitalnej w otoczeniu swej oficjalnej świty. Xu był sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Chin i przewodniczącym Biura Politycznego, i dlatego media nazywały go „premierem”, co było trochę mylące, ale przyjęło się nawet w kołach dyplomatycznych. Miał siedemdziesiąt jeden lat i należał do drugiego pokolenia przywódców chińskich. Uczestnicy Długiego Marszu⁶² dawno już wymarli; było co prawda paru starszych oficjeli, którzy twierdzili, że brali udział w tamtych wydarzeniach, ale prosta arytmetyka pokazywała, że byli wtedy niemowlętami, ssącymi piersi matek, więc nikt nie traktował ich poważnie. Nie, obecną kadrę chińskich przywódców politycznych stanowili w większości synowie lub wnukowie uczestników Długiego Marszu, wychowani w uprzywilejowanych warunkach i we względny luksusie, ale zawsze świadomi faktu, że ich pozycja może być zagrożona. Były bowiem także inne dzieci polityczne, pragnące za wszelką cenę zająć wyżej niż ich rodzice. Dążąc do tego celu, ci ludzie byli bardziej katolicycy niż miejscowy komunistyczny papież. Jako dorośli wysoko nosili swe Czerwone Książeczki podczas Rewolucji Kulturalnej, a przedtem mieli usta zamknięte i uszy otwarte podczas poronionej i agresywnej kampanii „Stu Kwiatów” w późnych latach pięćdziesiątych, która okazała się pułapką dla wielu intelektualistów, nie wychylających się w pierwszej dekadzie rządów maoistowskich. Dali się wywabić z ukrycia, bo Mao osobiście zabiegał o ich idee, a oni byli na tyle głupi, żeby je rozgłosić i w rezultacie tylko położyli głowy pod topór, który spadł

kilka lat później podczas brutalnej, kanibalistycznej Rewolucji Kulturalnej.

Obecni członkowie Biura Politycznego przetrwali z dwóch powodów. Po pierwsze, byli chronieni przez swych ojców i pozycję, związaną z tak dobrym pochodzeniem. Po drugie, nauczono ich, co wolno im mówić, a czego nie wolno, więc przez cały czas byli ostrożnymi obserwatorami, zawsze mówiąc głośno, że idee przewodniczącego Mao są tymi, których Chiny naprawdę potrzebują i że inne idee, choć może i interesujące z intelektualnego punktu widzenia, są o tyle niebezpieczne, że sprowadzają robotników i chłopów ze Słusznej Drogi Mao. Więc kiedy spadł topór, zrodzony z Czerwonej Książeczki, oni byli wśród pierwszych, którzy nieśli i pokazywali Książeczkę innym i w ten sposób większość z nich uniknęła zagłady; oczywiście niektórych spośród nich złożono w ofierze, ale żadnego z tych naprawdę inteligentnych, którzy teraz zasiadali w Biurze Politycznym. Był to brutalny darwinowski proces, przez który wszyscy przeszli, bo byli trochę bystrzejsi niż inni i teraz, u szczytu władzy, którą zdobyli dzięki inteligencji i ostrożności, nadszedł czas cieszenia się tym, na co sobie zasłużyli.

To nowe pokolenie przywódców akceptowało komunizm równie szczerze, jak inni ludzie wierzyli w Boga, ponieważ nie nauczyli się niczego innego, a nie wykorzystywali swej sprawności intelektualnej, żeby poszukać innej wiary, czy choćby odpowiedzi na pytania, na 62 *Ważny etap chińskiej wojny domowej między Kuomintangiem a komunistami, którzy musieli przeprowadzić swą armię przez całe Chiny w latach 1934-1935; do dziś Długi Marsz jest w ChRL symbolem rewolucyjnego etosu (przyp. tłum.)*

które nie potrafił odpowiedzieć marksizm. Ich wiarę cechowała raczej rezygnacja niż entuzjazm. Wychowani w ciasnych ramach intelektualnych, nigdy się z nich nie wychylali, ponieważ obawiali się tego, co mogliby zobaczyć na zewnątrz. W ciągu ostatnich dwudziestu lat byli zmuszeni dopuścić do rozkwitu kapitalizmu w ich kraju, ponieważ ten kraj potrzebował pieniędzy, żeby stać się czymś potężniejszym niż nieudany eksperyment, jakim okazała się Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna. Chiny doświadczyły własnej morderczej klęski głodu około roku 1960 i stopniowo wyciągnęły z niej wnioski. Chińczycy wykorzystali też tamten głód do zapoczątkowania Rewolucji Kulturalnej, zbijając kapitał

polityczny na klęsce, którą sami na siebie sprowadzili.

Chcieli, żeby ich kraj był wielki. Faktycznie już go za taki uważali, ale zdawali sobie sprawę, że innym krajom brakuje tej świadomości, więc musieli szukać sposobów skorygowania tego błędnego wyobrażenia u nierozsądnej reszty świata. Ale do tego niezbędne były pieniądze, a żeby je mieć, niezbędny był przemysł, zaś przemysł wymagał

kapitalistów. Doszli do tego wniosku wcześniej, niż ci głupi Rosjanie na północ i na zachód od nich. I tak Związek Radziecki upadł, a Chińska Republika Ludowa pozostała.

A przynajmniej oni wszyscy tak myśleli. Na otaczający świat spoglądali z góry, jeśli w ogóle zwracali tym sobie głowę; udawali, że go rozumieją i uważali się za lepszych tylko z racji swej skóry i języka. Ideologia była dopiero na drugim miejscu. Oczekiwali od ludzi szacunku i minione

lata interaktywnej dyplomacji z otaczającym światem nie spowodowały większej zmiany ich poglądów.

Ale stali się przez to ofiarami własnych iluzji. Henry Kissinger przybył do Chin w 1971

roku na polecenie prezydenta Richarda Nixona, nie tyle dlatego, że dostrzegał potrzebę nawiązania normalnych stosunków z najludniejszym krajem świata, co przede wszystkim po to, żeby posłużyć się ChRL jak kijem, za pomocą którego zamierzał zmusić Związek Radziecki do uległości. Faktycznie Nixon zainicjował proces tak długofalowy, że należałoby uznać, iż przekraczał możliwości Zachodu; ludzie Zachodu byli raczej skłonni sądzić, że to sami Chińczycy mogliby coś takiego wymyślić. Patrząc na to w ten sposób, ujawniano jedynie takie czy inne uprzedzenia etniczne. Typowy szef totalitarnego rządu jest zbyt egocentryczny, żeby wybiegać myślami daleko poza okres własnego życia, a ludzie na całym świecie żyją w przybliżeniu jednakowo długo. Z tego prostego powodu wszyscy władcy myślą w kategoriach programów, które są możliwe do zrealizowania za ich życia, albo tylko trochę później, bo wszyscy obalali kiedyś pomniki innych i nie mieli złudzeń co do losu, jaki spotka ich własne pomniki. Dopiero w obliczu śmierci rozważali, czego dokonali i Mao wyznał kiedyś posepnie Henry'emu Kissingerowi, że osiągnął tylko tyle, iż zmieniło się życie chłopów wokół Pekinu.

Ale mężczyźni w tej sali recepcyjnej nie byli jeszcze dostatecznie bliscy śmierci, żeby myśleć w takich kategoriach. Byli władcami swojego kraju. Określali reguły, których reszta przestrzegała. Ich słowa były prawem. Ich zachcianki skwapliwie spełniano. Naród patrzył na nich tak, jak kiedyś na cesarzy i książęta. Mieli wszystko, czego można by zapragnąć. Przede wszystkim mieli władzę. To ich życzenia rządziły tym ogromnym i prastarym krajem. Ich komunistyczna ideologia była jedynie magią, która określała formę, jaką przyjmowały ich życzenia, regułami gry, w którą wszyscy postanowili grać wiele lat temu. Chodziło o władzę.

Jednym pociągnięciem pióra mogli decydować o życiu i śmierci, a właściwie jednym słowem, podyktowanym osobistej sekretarce, do przekazania zbirowi, który ścigał spust.

Xu był przeciętny pod każdym względem – wzrostu, wagi, oczu, twarzy... i inteligencji, jak mówiono. Rutledge wszystko to przeczytał w swoich materiałach informacyjnych.

Prawdziwą władzę miał kto inny. Xu był swego rodzaju figurantem, wybranym częściowo z racji swego wyglądu, na pewno dlatego, że umiał wygłosić przemówienie i dlatego, że potrafił czasem przekonywująco przedstawić w Biurze Politycznym koncepcję innych, udając, że jest do niej przekonany, jak aktor w Hollywood, nie musiał koniecznie być inteligentny, byle grał inteligentnie.

– Towarzyszu premierze – powiedział Rutledge na powitanie i wyciągnął rękę, którą Chińczyk uścisnął.

– Panie Rutledge – odpowiedział Xu po angielsku z nienajgorszym akcentem. Tłumacz też był, do bardziej skomplikowanych wypowiedzi. – Witamy w Pekinie.

– To dla mnie przyjemność i zaszczyt, odwiedzić ponownie pański prastary kraj –

powiedział amerykański dyplomata, okazując należny szacunek i uniżoność, pomyślał chiński przywódca.

– Zawsze przyjemnie jest witać przyjaciela – kontynuował Xu zgodnie z otrzymanymi instrukcjami. Rutledge był już w przeszłości służbowo w Chinach, ale nigdy jako przewodniczący delegacji. W chińskim MSZ znali go jako dyplomatę, który wspinał się po drabinie biurokratycznej kariery, podobnie jak oni sami – zwykły rzemieślnik dyplomacji, ale wysoko postawiony. Szef biura politycznego uniósł kieliszek. – Piję za owocne i przyjacielskie negocjacje.

Rutledge uśmiechnął się i również uniósł kieliszek. – Ja także.

Kamery wyłapały tę scenę. Przedstawiciele mediów też krążyli po sali. Kamerzyści robili głównie „obrazki w tle”, z czym byle amator poradziłby sobie, mając do dyspozycji znacznie mniej kosztowny sprzęt. Pokazywali salę na dalekim planie, żeby widzowie mogli zobaczyć koloryt, z paroma zbliżeniami mebli, na których nikt nie miał usiąść i z nieco bliższymi ujęciami głównych uczestników spotkania, popijających drinki i spoglądających uprzejmie jeden na drugiego; nazywało się to „wersją B”, mającą przekazać widzom atmosferę wielkiego, oficjalnego i niezbyt przyjemnego koktajlu. Konkretną relację z tego wydarzenia mieli przekazać tacy jak Barry Wise i inne „gadające głowy”, mówiące widzom to, czego nie mogły pokazać ujęcia filmowe.

Następnie telewizja CNN przełączy się do swego waszyngtońskiego studiu niedaleko Union Station, żeby inne gadające głowy mogły porozmawiać o tym, czego się dowiedziały lub nie dowiedziały, a potem dyskutować na temat tego, co w swej wielkiej mądrości uważały za właściwy kurs, jaki powinny obrać Stany Zjednoczone. Prezydent Ryan obejrzy to wszystko przy śniadaniu, czytając przy tym gazety i rządowego „Porannego Ptaszka” z wycinkami prasowymi. Przy śniadaniu Jack Ryan wypowie parę swych zwięzłych komentarzy, które usłyszy jego żona i może porozmawia o nich przy lunchu z kolegami ze szpitala Johnsa Hopkinsa, a ci porozmawiają może o tym ze swoimi współmałżonkami i na tym łańcuch się urwie. I tak przemyślenia prezydenta często pozostawały tajemnicą.

Przyjęcie skończyło się o przewidzianej porze i Amerykanie odjechali służbowymi limuzynami do ambasady.

– Więc co może nam pan powiedzieć nieoficjalnie? – spytał Barry Wise Rutledge’a w zaciszu długiego Lincolna.

– Doprawdy niewiele – odpowiedział podsekretarz stanu ds. politycznych. – Wysłuchamy tego, co mają do powiedzenia, a potem oni wysłuchają tego, co my mamy do powiedzenia.

Od tego zaczniemy.

– Chcą klauzuli najwyższego uprzywilejowania. Dostaną?

– Nie mnie o tym decydować, Barry, i dobrze o tym wiesz. – Rutledge był w tej chwili zbyt zmęczony długim lotem, żeby prowadzić inteligentną konwersację. Wolał nie wypowiadać się w tym stanie i doszedł do wniosku, że Wise o tym wie. I właśnie dlatego na niego naciska.

– Więc o czym będziecie rozmawiać?

– Oczywiście chcielibyśmy, żeby Chińczycy bardziej otworzyli swoje rynki i żeby poważniej podeszli do paru kwestii, budzących nasze zastrzeżenia, takich jak naruszanie praw patentowych i autorskich, na co uskarżają się firmy amerykańskie.

– Sprawa Dell Computer?

Rutledge skinął głową. – Tak, między innymi. – Ziewnął szeroko. – Przepraszam. Długi lot... wiesz, jak to jest.

– Leciałem tym samym samolotem – przypomniał mu Barry Wise.

– Cóż, może po prostu znosisz to lepiej niż ja – uznał Rutledge. – Możemy odłożyć tę rozmowę o dzień lub dwa?

– Oczywiście – zgodził się reporter CNN. Nie bardzo lubił tego sztywnego dupka, ale Rutledge był źródłem informacji, a Wise żył z informacji. Jazda limuzyną nie trwała zresztą długo. Członkowie delegacji oficjalnej wysiedli przy ambasadzie, po czym samochody ambasady rozwiozły dziennikarzy do ich hoteli.

W ambasadzie zorganizowano nocleg dla całej delegacji oficjalnej, głównie dlatego, że w każdym hotelu w tym mieście wszystko, co mówiliby ci ludzie, zostałoby nagrane przez urządzenia podsłuchowe MBP. Nie były to komfortowe apartamenty, ale Rutledge miał dla siebie wygodny pokój. Dla Marka Ganta protokół nie był taki łaskawy, ale znalazł się dla niego jednoosobowy pokój ze wspólną łazienką. Mark zastanawiał się nad prysznicem, ale ostatecznie zdecydował się na gorącą kąpiel i jedną z pigułek nasennych, które wydał im lekarz, towarzyszący delegacji. Pigułka miała mu zapewnić osiem godzin nieprzerwanego snu, co powinno sprawić, że do rana przestawi się na miejscowy czas. A potem będzie obfite śniadanie robocze, podobne do tego, jakie podają astronautom przed startem wahadłowca, co było równie mocno zakorzenione w tradycji amerykańskiej, jak flaga nad Fort McHenry⁶³.

Nomuri zobaczył przybycie delegacji amerykańskiej w chińskiej telewizji, którą oglądał

głównie w celu doskonalenia języka. Mówił coraz lepiej, chociaż tonalna natura mandaryńskiego doprowadzała go czasem do szaleństwa. Myślał kiedyś, że japoński jest trudny, ale w porównaniu z Gouyu była to kaszka z mlekiem. Patrzył na twarze na ekranie, zastanawiając się, kim są ci ludzie. Chiński spiker trochę pomógł, chociaż miał spore trudności z nazwiskiem „Rutledge”. Cóż, Amerykanie też potwornie zniekształcali chińskie nazwiska, z wyjątkiem tych najprostszych, takich

jak Ming, czy Wang, a słuchając któregoś z amerykańskich biznesmenów, usiłujących dogadać się z kimś z miejscowych, można było dostać bólu zębów. Komentator zaczął mówić o chińskim stanowisku na rozmowy handlowe, o tym, jakie to ustępstwa należały się Chinom od Ameryki; w końcu Chiny były przecież nad wyraz wielkoduszne, pozwalając Amerykanom wydawać ich nic nie warte dolary na zakup wartościowych wyrobów Chińskiej Republiki Ludowej, prawda? Chiny bardzo przypominały pod tym względem Japonię sprzed lat, ale nowy rząd japoński zdecydował się na otwarcie rynku. I choć nadwyżka w handlu z USA nadal była po stronie Japonii, a uczciwa konkurencja rynkowa wyciszyła amerykański krytycyzm, to jednak japońskie samochody wciąż jeszcze nie były w USA tak mile widziane, jak kiedyś. Ale Nomuri był pewien, że i to minie. Jeśli Ameryka miała jakąś słabość, to było nią zbyt łatwe wybaczenie i zbyt szybkie zapominanie. Pod tym względem Nomuri miał wiele podziwu dla Żydów. Oni do dziś nie zapomnieli Niemiec i Hitlera. I bardzo dobrze, pomyślał. Przysypiał już, kiedy zaczął się zastanawiać, jak nowy program sprawuje się w komputerze Chai i czy Ming faktycznie go zainstalowała. Postanowił sprawdzić.

Wstał z łóżka, włączył laptopa i... Tak! Komputer Chai nie miał programu do transkrypcji, takiego jak komputer Ming, ale transmitował zawartość swego twardego dysku.

W porządku, w Langley mieli od tego ekspertów językowych. Nomuri ani myślał sam się tym zajmować. Po prostu przesłał pliki, gdzie trzeba i wrócił do łóżka.

63 XVIII-wieczny fort w Baltimore, w którym powstał hymn amerykański; miejsce pamięci narodowej (przyp.

tłum.)

– Cholera! – mruknęła Mary Pat. Prawie wszystko było nieczytelne, ale był to materiał z drugiego źródła SORGE. Wynikało to wyraźnie z trasy, jaką ta elektroniczna przesyłka przemierzyła w sieci. Zastanawiała się, czy Nomuri postanowił się popisać, czy też udało mu się ściągnąć majtki drugiej sekretarce wysokiego rangą przedstawiciela rządu chińskiego. Nie byłby pierwszym agentem terenowym, prowadzącym bardzo aktywne życie seksualne, ale nie zdarzało się to aż tak często. Zrobiła wydruk, zapisała całość na dysku i zadzwoniła po lingwistę, żeby jej to przetłumaczył. Następnie ściągnęła najnowszą przesyłkę od Kanarka.

Materiały z tego źródła przychodziły teraz równie regularnie jak „Washington Post”, ale były o wiele ciekawsze. Usiadła wygodniej i zaczęła czytać tłumaczenie najnowszych zapisków, które minister Fang Gan podyktował Ming. Miała nadzieję, że będą dotyczyć negocjacji handlowych i nie zawiodła się... To ważne, pomyślała wicedyrektor CIA. Już wkrótce miała się przekonać, jak błędne miała wyobrażenie.

Do rzeczy

Jajka na bekonie, grzanka i obsmażane ziemniaki, do tego trochę kolumbijskiej kawy.

Gant był Żydem, ale niepraktykującym, a bekon wprost uwielbiał. Wszyscy byli już na nogach i uznali, że są w całkiem niezłej formie. Wydana przez lekarza czarna kapsułka (wszyscy tak ją nazywali, najwyraźniej było to jakąś tradycją, której nie znał) okazała się skuteczna i dyplomaci sprawiali wrażenie rześkich i gotowych do działania. Zwrócił uwagę, że rozmawiano głównie o rozgrywkach koszykówki. Drużyna Lakers znów była w formie.

Gant spostrzegł Rutledge'a, rozmawiającego uprzejmie przy stole z ambasadorem Hitchem, który sprawiał wrażenie zrównoważonego faceta. Chwilę później wszedł trochę rozczochrany pracownik ambasady, trzymając w ręku kopertę, oklejoną na brzegach taśmą w czerwono-białe paski. Podał kopertę ambasadorowi Hitchowi, a ten natychmiast ją otworzył.

Gant od razu się zorientował, że muszą to być jakieś poufne materiały. Nieczęsto widziało się coś takiego w Departamencie Skarbu, ale Mark miał oficjalnie dostęp do dokumentów, oznaczonych jako ŚCIŚLE TAJNE/SPECJALNEGO ZNACZENIA, z racji swej pracy w sztabie sekretarza Winstona. A więc Waszyngton przysłał im coś na negocjacje.

Nie wiedział, co to takiego i nie wiedział, czy mu to w ogóle pokażą. Zastanawiał się, czy nie powołać się w tej kwestii na autorytet instytucji, którą reprezentował, ale ponieważ to od Rutledge'a zależałoby, czy zobaczy zawartość koperty, czy nie, nie chciał dawać temu dupkowi z Departamentu Stanu okazji do pokazania, kto tu rządzi. Od dawna odznaczał się cnotą cierpliwości i uznał, że właśnie trafiła mu się jeszcze jedna okazja do jej praktykowania. Znów zabrał się do jedzenia, a chwilę później postanowił podejść do bufetu po dokładkę. Pomyślał, że drugie śniadanie w Pekinie zapewne nie będzie zbyt atrakcyjne, nawet w gmachu MSZ, gdzie będą pewnie się poczuwali do obowiązku zaserwowania najbardziej egzotycznych potraw kuchni narodowej, a smażony penis pandy z kandyzowanymi pędami bambusa był niezupełnie w jego guście. Dobrze przynajmniej, że podawali tam niezłą herbatę, ale nawet najlepsza herbata nie mogła się równać z kawą.

– Mark? – zawołał Rutledge, przywołując go gestem do stolika. Gant podszedł z talerzem, na który nałożył sobie nową porcję jajek na bekonie.

– Tak, Cliff?

Ambasador Hitch przesunął się, robiąc Gantowi miejsce, a kelner przyniósł świeże sztucce. Rząd potrafił zadbać o wygodę swoich ludzi, jeśli miał na to ochotę. Mark poprosił

kelnera o trochę obsmażonych ziemniaków i grzankę. Świeżo zaparzona kawa pojawiła się na stole jakby z własnej woli.

– Mark, właśnie dostaliśmy to z Waszyngtonu. To ściśle tajne materiały...

– Tak, wiem. Nawet nie wolno mi na nie rzucić okiem i mam zapamiętać, że w ogóle o nich wiem. Mógłbym je teraz zobaczyć?

Rutledge skinął głową i podsunął mu papiery. – Co sądzisz o tych liczbach, dotyczących ich zasobów dewizowych?

Gant włożył do ust kawałek bekonu, ale prawie natychmiast przestał żuć. – O cholera! Aż tak mało? Wyrzucają pieniądze garściami, czy co?

– Co to znaczy?

– Cliff, doktor Samuel Johnson ujął to kiedyś w ten sposób: „Obojętne, ile masz, wydawaj mniej”. Cóż, Chińczycy nie skorzystali z tej rady. – Gant przerzucił kilka kartek. –

Nie wspomina się tu, na co wydają takie pieniądze.

– Słyszałem, że głównie na sprzęt wojskowy – odpowiedział ambasador Hitch. – Albo na wyroby, które mogą mieć także zastosowania wojskowe, zwłaszcza na elektronikę. Zarówno wyroby gotowe, jak i urządzenia do produkcji sprzętu elektronicznego. O ile wiem, inwestowanie w coś takiego jest dość kosztowne.

– Może być – zgodził się Gant. Wrócił do pierwszej strony i zorientował się, że materiał

przekazano zaszyfrowany w systemie Tapdance. Musiał więc być najwyższej wagi. Systemu Tapdance używano tylko do przekazu takich materiałów, z uwagi na pewne niedogodności natury technicznej... a więc musiały to być naprawdę gorące informacje, pomyślał Teleskop, jak ochrzciła go Tajna Służba. Chwilę później zorientował się, dlaczego. Ktoś musiał

zainstalować podsłuch w gabinetach bardzo wysoko postawionych osobistości chińskich, żeby zdobyć coś takiego... – O Jezulu!

– Co to oznacza, Mark?

– To oznacza, że wydają pieniądze szybciej, niż je zarabiają, inwestując je głównie w sektory nieprodukcyjne. Do diabła, to znaczy, że postępują tak samo, jak paru idiotów, których mamy w naszym rządzie. Wydaje im się, że wystarczy pstryknąć i pieniądze zaraz się pojawią, a potem można je wydawać bez żadnych zahamowań i po prostu znów pstryknąć, jeśli będzie potrzeba więcej... Cliff, ci ludzie żyją w jakimś urojonym świecie. Nie mają pojęcia, jakie mechanizmy rządzą pieniędzmi. – Przerwał. Posunął się za daleko. Ktoś z Wall Street zrozumiałby taki język, ale po tym Rutledge' u trudno było się tego spodziewać. –

Pozwól, że ujmę to inaczej. Wiedzą, że ich pieniądze pochodzą z nadwyżki w handlu ze Stanami Zjednoczonymi i wygląda na to, że traktują tę nadwyżkę jak coś zupełnie naturalnego, jakby im się to należało z racji ich pozycji. Uważają, że należy im się to od reszty świata. Innymi słowy, jeśli są o tym przekonani, negocjacje będą trudne.

– Dlaczego? – spytał Rutledge. Spostrzegł, że ambasador Hitch zdążył już przytaknąć Gantowi

skinieniem głowy. Widocznie lepiej rozumiał tych chińskich barbarzyńców.

– Ludzie, którzy rozumują w ten sposób, nie dopuszczają do siebie myśli, że negocjacje polegają na dawaniu i braniu. Wydaje im się, że dostaną, czego tylko zapragną, bo wszyscy są im to winni. Hitler musiał myśleć takimi kategoriami w Monachium. Ja czegoś chcę, więc ty masz mi to dać i będę usatysfakcjonowany. Nie zamierzamy ustąpić tym sukinsynom, prawda?

– Nie takie są moje instrukcje – odpowiedział Rutledge.

– No to coś ci powiem. Dokładnie takie instrukcje ma twój chiński odpowiednik. Co więcej, ich sytuacja gospodarcza jest najwyraźniej o wiele gorsza, niż nam to dano do zrozumienia. Powiedz CIA, że potrzeba im lepszych ludzi w dziale wywiadu finansowego –

palnął Gant. Ambasador Hitch zerknął w stronę faceta, który musiał być szefem miejscowej placówki CIA.

– Czy Chińczycy zdają sobie sprawę z powagi swojej sytuacji? – spytał Rutledge.

– I tak, i nie. Tak, bo wiedzą, że na to, co robią potrzeba im twardej waluty. Nie, bo myślą, że będą mogli w nieskończoność działać tak, jak dotąd, że ich nadwyżka handlowa jest czymś zupełnie naturalnym, dlatego że... No właśnie, dlaczego? Dlatego, że uważają się, cholera, za jakąś rasę panów? – spytał Gant.

I znów ambasador Hitch skinął głową. – To się nazywa syndromem Państwa Środka. Tak, panie Gant, oni naprawdę myślą o sobie w tych kategoriach, oczekują, że inni będą pokornie spełniać ich życzenia i nie wyobrażają sobie, że sami mieliby o coś prosić. Pewnego dnia doprowadzi ich to do upadku. Mamy tu do czynienia z jakąś instytucjonalną... może rasową arogancją, którą trudno opisać, a jeszcze trudniej ocenić. – Hitch zerknął na Rutledge'a. –

Cliff, zapowiada ci się interesujący dzień.

Gant od razu się zorientował, że nie były to życzenia wszystkiego dobrego dla podsekretarza stanu do spraw politycznych.

– Powinni akurat jeść śniadanie – powiedział w Sali Wschodniej sekretarz stanu Adler, trzymając w ręku kieliszek Hennessy.

Przyjęcie było udane; prawdę mówiąc, Jack i Cathy Ryanowie uważali, że takie spotkania są równie atrakcyjne, jak powtórki „Wyspy Gilligana”, ale były one w takim samym stopniu częścią prezydentury, jak doroczne przemówienie o stanie państwa. Przynajmniej kolacja była dobra – jeśli w Białym Domu można było na coś polegać, to na jakości potraw – ale gośćmi byli ludzie z Waszyngtonu. Ryan wprawdzie tego nie doceniał, ale i w tej dziedzinie widać było wielką poprawę w stosunku do poprzednich lat. Kiedyś Kongres był pełen ludzi, których życiową ambicją była „służba publiczna” – szlachetne intencje tego sformułowania zawłaszczyli sobie tacy, dla których 130 tysięcy dolarów rocznie było królewskim wynagrodzeniem (chłopak, który rzucił uczelnię, żeby pisać

oprogramowanie do gier komputerowych mógł zarobić o wiele więcej, nie mówiąc już o pieniądzach, jakie można było zarobić na Wall Street) – a których prawdziwą ambicją było kształtowanie praw swego kraju według własnej woli. Teraz, głównie dzięki przemówieniom, które prezydent wygłaszał w całym kraju, było wśród nich wielu ludzi, którzy przedtem faktycznie służyli krajowi, wykonując pożyteczną pracę i, mając dość rządowych machinacji, postanowili poświęcić kilka lat na naprawę tego wraku, jakim stał się Waszyngton, zanim uciekną z powrotem do rzeczywistego świata produktywnej pracy. Pierwsza Dama spędziła sporą część wieczoru na rozmowie z senatorem z Indiany, który w prawdziwym życiu był chirurgiem dziecięcym z dobrą reputacją, i którego wysiłki koncentrowały się obecnie na naprawie rządowych programów opieki zdrowotnej, zanim zabiją one zbyt wielu obywateli, którym rzekomo powinny pomagać. Jego największym problemem było przekonanie mediów, że lekarz może wiedzieć o leczeniu tyle samo, co przedstawiciel którejś z waszyngtońskich grup nacisku i właśnie o tym przez cały wieczór opowiadał Pierwszej Damie.

– Te materiały, które dostaliśmy od Mary Pat, powinny pomóc Rutledge’owi.

– Cieszę się, że jest tam ten Gant, żeby mu je przetłumaczyć. Cliffa czeka pełen wrażeń dzień, kiedy my będziemy odsypiać to żarcie i picie, Jack.

– Czy on jest wystarczająco dobry do tej misji? Wiem, że był blisko związany z Edem Kealtym. Nie świadczy to dobrze o jego charakterze.

– Cliff jest dobrym rzemieślnikiem – powiedział Adler, pociągnawszy łyk koniaku. – A do tego ma przejrzyste instrukcje i piekielnie dobre materiały wywiadowcze. Są równie dobre jak to, co Jonathan Yardley dostarczył naszym podczas negocjacji w sprawie Waszyngtońskiego Traktatu Morskiego64. Może i nie zaglądamy im bezpośrednio w karty, ale wiemy, co myślą, a to już cholernie dużo. Więc tak, sądzę, że Rutledge jest wystarczająco dobry. Nie wysłałbym go, gdyby było inaczej.

– A nasz ambasador w Pekinie? – spytał prezydent.

– Carl Hitch? Fantastyczny facet. Ma niedługo przejść na emeryturę. Wytrawny zawodowy dyplomata, nie tyle architekt polityki zagranicznej, co mistrz dyplomatycznego rzemiosła. Ale to pan ma być architektem polityki zagranicznej, panie prezydencie.

– Aha – mruknął Ryan i skinął na kelnera, który przyniósł wodę z lodem. Jack uznał, że wypił już dość alkoholu, jak na jeden wieczór, zwłaszcza, że Cathy znów zaczęła mu dokuczać z tego powodu. Tak to jest, kiedy się człowiek ożeni z lekarką, pomyślał Jack. –

Masz rację, Scott, ale, do diabła, kogo mam spytać o radę, kiedy nie mam pojęcia, co robić?

– Do diabła, nie wiem – odpowiedział Orzeł. Pomyślał, że może przyda się trochę humoru. – Spróbuj zorganizować seans spirytystyczny, wywołaj Toma Jeffersona i Jerzego 64 *Traktat z 1922 roku w sprawie ograniczenia sił morskich, zawarty między USA, Wielką Brytanią, Francją, Włochami i Japonią (przyp. tłum.)*

Waszyngtona. – Zachichotał, odwrócił się i wysączył resztę Hennessy z kieliszka. – Jack, nie zdręczaj się tak, rób swoje. Całkiem dobrze ci idzie, możesz mi wierzyć.

– Nienawidzę tej roboty – obwieścił Miecznik, uśmiechając się przyjaźnie do swego sekretarza stanu.

– Wiem. Pewnie właśnie dlatego tak dobrze ci idzie. Chroń nas Panie przed kimś, kto chciałby sprawować wysoki urząd. Do diabła, spójrz na mnie. Myślisz, że kiedykolwiek chciałem zostać sekretarzem stanu? O wiele fajniej było jeść śniadanie w stołówce z kumplami i wieszać psy na tym głupim sukinsynu, który był sekretarzem stanu. A teraz?

Szlag by to trafił. Tamci wieszają teraz psy na mnie! To nie fair, Jack. Ja jestem człowiekiem pracy.

– Mnie to mówisz?

– Spójrz na to z innej strony. Kiedy będziesz pisał pamiętniki, dostaniesz tłustą zaliczkę od wydawcy. Jak je zatytułujesz? „Przypadkowy prezydent”? – podsunął Adler.

– Scott, robisz się zabawny, kiedy jesteś pijany. Wolę już raczej popracować nad swoimi umiejętnościami golfowymi.

– Golf? Kto wypowiedział to magiczne zaklęcie? – spytał wiceprezydent Jackson, przyłączając się do rozmowy.

– Mój wiceprezydent za każdym razem tak łoi mi skórę na polu golfowym – poskarżył się Ryan Adlerowi – że czasem nachodzą mnie samobójcze myśli. Jaki jest teraz twój handicap?

– Nie gram zbyt często, Jack. Spadłem do sześciu, może do siedmiu.

– Zamierza przejść na zawodowstwo, w lidze seniorów – powiedział Jack.

– A tak w ogóle, Jack, pozwól, że przedstawię. To jest mój ojciec. Jego samolot się spóźnił, więc nie było dotąd okazji – wyjaśnił Robby.

– Wielebny Jackson. Nareszcie się spotykamy. – Jack uściśnął dłoń starszemu czarnoskóremu duchownemu. Podczas uroczystości obejmowania władzy przez nową administrację Jackson senior był w szpitalu z powodu problemu z nerkami, co prawdopodobnie było jeszcze mniej zabawne niż sama uroczystość.

– Robby mówił mi o panu wiele dobrego.

– Pański syn jest pilotem myśliwskim, sir, a oni wszyscy mają skłonności do przesady.

Duchowny roześmiał się serdecznie. – O tak, panie prezydencie, wiem o tym aż za dobrze.

– Jak się panu podobało przyjęcie? Jedzenie było dobre? – spytał Ryan.

Hosiah Jackson był już sporo po siedemdziesiątce, niski, podobnie jak jego syn i trochę tęgawy, ale była od niego wielka godność, właściwą murzyńskim duchownym.

– O wiele za treściwe dla takiego starego człowieka, jak ja, panie prezydencie, ale i tak zjadłem.

– Nie przejmuj się, Jack. Tata nie pije – wtrącił Tomcat. W klapie smokingu miał miniaturę złotych skrzydeł pilota Marynarki. Robby nigdy nie przestał być pilotem myśliwskim.

– I ty też nie powinienes, chłopcze! W Marynarce nabrałeś wielu paskudnych przyzwyczajień, takich jak przechwalanie się.

Jack musiał przyjść przyjacielowi w sukurs. – Sir, pilot myśliwski, który się nie przechwala, nie jest dopuszczany do latania. A poza tym, jak to wspaniale ujął Dizzy Dean⁶⁵

„Jeśli się coś potrafi, to nie ma mowy o przechwałkach”. Robby potrafi... a przynajmniej tak twierdzi.

– Zaczęli już rozmowy w Pekinie? – spytał Robby, spoglądając na zegarek.

– Jeszcze jakieś pół godziny – odpowiedział Adler. – Zapowiada się ciekawie – dodał, nawiązując do materiału SORGE.

– Wierzę – zgodził się wiceprezydent Jackson, domyślając się, o co chodzi. – Wiesz, ciężko jest kochać tych ludzi.

– Robby, nie wolno ci mówić takich rzeczy – upomniał go ojciec. – Mam przyjaciela w Pekinie.

– O? – Syn o tym nie wiedział. Wyjaśnienie, jakie nastąpiło, miało nieomal formę oficjalnego oświadczenia papieskiego.

– Tak, to wielbny Yu Fa An, baptysta, świetny kaznodzieja, wykształcony na Uniwersytecie Orala Robertsa. Mój przyjaciel, Gerry Patterson, chodził z nim do szkoły.

– Chyba niełatwo być tam sługą bożym – zauważył Ryan.

Reakcja była taka, jakby Jack wcisnął guzik z napisem GODNOŚĆ na tablicy rozdzielczej duchownego. – Panie prezydencie, ja mu zazdroszczę. Głoszenie słowa bożego gdziekolwiek jest już przywilejem, ale głoszenie go w pogańskim kraju, to wyjątkowe błogosławieństwo.

– Jeszcze kawy? – spytał przechodzący kelner. Hosiah wziął filiżankę, dolał śmietanki i posłodził.

– Doskonała – powiedział od razu.

– To jeden z tutejszych przywilejów, tato – powiedział Jackson z wielką sympatią. – Tu kawa jest nawet lepsza niż w Marynarce, tyle że tam podają ją stewardzi. Jamaica Blue Mountain. Kosztuje jakieś czterdzieści doliców za funt – wyjaśnił.

– O Jezu, Robby! Nie mów tego za głośno! Media jeszcze na to nie wpadły – ostrzegł

prezydent. – Poza tym, dowiadywałem się i wiem, że kupujemy ją hurtowo, płacąc trzydzieści dwa dolce za funt.

– Rety, co za wspaniały interes – powiedział wiceprezydent ze śmiechem.

Ceremonię powitalną mieli już z głowy. Sesja plenarna rozpoczęła się bez wielkiej pompy. Podsekretarz stanu Rutledge zajął swoje miejsce, skinął głową chińskim dyplomatom po przeciwnej stronie stołu i przystąpił do rzeczy. Jak można było przewidzieć, jego oświadczenie rozpoczęło się od zwyczajowych uprzejmości; zawsze tak było.

65 Popularny zawodowy gracz w baseballa (przyp. tłum.)

– Stany Zjednoczone – kontynuował, przechodząc do konkretów – martwią się kilkoma niepokojącymi aspektami naszych stosunków handlowych. Pierwszym z tych aspektów jest pozorna niemożność Chińskiej Republiki Ludowej dotrzymania poprzednich porozumień, dotyczących uznania traktatów i konwencji międzynarodowych w sprawie znaków firmowych, praw autorskich i patentów. Wszystkie te sprawy zostały szczegółowo omówione podczas poprzednich spotkań i sądziliśmy, że udało nam się rozstrzygnąć kwestie sporne.

Niestety, wydaje się, że jest inaczej. – Podał kilka konkretnych przykładów, podkreślając, że służą tylko do ilustracji, ale że w żadnym wypadku nie jest to kompletna lista.

– Podobnie – kontynuował Rutledge – zobowiązania do otwarcia rynku chińskiego dla towarów amerykańskich nie są honorowane. Rezultatem jest nierównowaga w naszej wymianie handlowej, co nie służy dobrze naszym stosunkom w ogóle. Obecna nierównowaga zbliża się do siedemdziesięciu miliardów dolarów i Stany Zjednoczone nie są gotowe tego tolerować.

Podsumowując, zobowiązanie Chińskiej Republiki Ludowej do poszanowania postanowień traktatowych i prywatnych porozumień ze Stanami Zjednoczonymi nie jest realizowane. Jest cechą prawa amerykańskiego, że możemy przejmować praktyki handlowe innych krajów. Stanowi o tym dobrze znana Ustawa o Reformie Handlu, wprowadzona w życie przez rząd amerykański kilkanaście lat temu. Mam więc przykry obowiązek poinformować rząd Chińskiej Republiki Ludowej, że Ameryka niezwłocznie zastosuje tę ustawę w odniesieniu do handlu z Chińską Republiką Ludową, chyba że uzgodnione wcześniej zobowiązania zostaną natychmiast zrealizowane – zakończył Rutledge. Słowo

„natychmiast” nie pada zbyt często w rozmowach międzynarodowych. – Na tym zakończę moje wystąpienie wprowadzające.

Mark Gant zastanawiał się pół żartem, czy pod koniec przemówienia Rutledge’a druga strona przypadkiem nie rzuci się przez wypolerowany dębowy stół z mieczami i sztyletami w rękach. Wyzwanie zostało rzucone w ostrych słowach, które nie miały na celu uszczęśliwienia Chińczyków. Ale dyplomata, przewodzący po drugiej stronie stołu – był to minister spraw zagranicznych Shen Tang – reagował nadzwyczaj spokojnie; byłby pewnie bardziej wzburzony, gdyby się zorientował, że w restauracji bezpodstawnie dopisano mu pięć dolarów do rachunku. Nawet nie podniósł wzroku. Przez dłuższą chwilę spoglądał w notatki, które miał przed sobą, a kiedy się zorientował, że wystąpienie Rutledge’a zbliża się ku końcowi, bez emocji spojrzął na Amerykanów, jak klient w galerii sztuki patrzy na obraz, który jego żona chciałaby kupić, żeby zasłonić pęknięcie tynku na ścianie w pokoju stołowym.

– Panie sekretarzu, dziękuję za pańskie oświadczenie – rozpoczął. – Przede wszystkim władze Chińskiej Republiki Ludowej pragną pana powitać w naszym kraju i oświadczyć do protokołu, że zależy im na kontynuacji przyjaznych stosunków z Ameryką i narodem amerykańskim.

Nie możemy jednak pogodzić deklarowanego przez Amerykę pragnienia przyjaznych stosunków z uznaniem przez nią zbuntowanej prowincji na wyspie Tajwan jako niepodległego kraju, którym nie jest. Miało to na celu wywołanie pożaru w naszych stosunkach i podsycenie płomieni, zamiast ich ugaszenia. Nasz naród nie pogodzi się z taką niepohamowaną ingerencją w chińskie sprawy wewnętrzne i... – Chiński dyplomata ze zdziwieniem spostrzegł uniesioną rękę Rutledge’a, który najwyraźniej zamierzał mu przerwać. Był tak wstrząśnięty tym naruszeniem protokołu na tak wczesnym etapie rozmów, że aż zamilkł.

– Panie ministrze – zaintonował Rutledge – celem tego spotkania jest rozmawianie o handlu. Kwestię dyplomatycznego uznania Republiki Chińskiej przez Amerykę najlepiej pozostawić do omówienia przy innej okazji. Delegacja amerykańska nie życzy sobie poruszania dziś tego tematu. – W przekładzie na zwykły język miało to znaczyć: „Wypchaj się, stary”.

– Panie Rutledge, nie może pan dyktować Chińskiej Republice Ludowej, co jest, a co nie jest przedmiotem jej zaniepokojenia – powiedział minister Shen głosem tak beznamytnym, jakby rozmawiał o cenie sałaty na ulicznym targowisku. Reguły, rządzące takimi spotkaniami, były proste: przegrywał ten, kto pierwszy okazał gniew.

– Więc proszę kontynuować, jeśli pan musi – odpowiedział Rutledge znużonym głosem, informując interlokutora swoją postawą: „Marnujesz mój czas, ale i tak mi płacą, czy pracuję, czy nie”.

Gant zorientował się, na czym polegała dynamika tej początkowej fazy rozmów: każda ze stron miała własny program i każda usiłowała ignorować program drugiej strony, żeby przejąć kontrolę nad spotkaniem. Było to zupełnie niepodobne do normalnych rozmów biznesowych. Zupełnie jakby dwoje nagich ludzi w łóżku, nastawionych na seks, zaczynało grę wstępną od kłótni o pilota do

telewizora. Gant widział już niejedne negocjacje, ale to, co działo się tutaj, było dla niego czymś całkowicie nowym i zupełnie dziwnym.

– Ci renegaci i bandyci na Tajwanie są częścią Chin z racji swej historii i dziedzictwa, i Chińska Republika Ludowa nie może ignorować tej zamierzonej obrazy, jakiej wobec naszej państwowości dopuścił się reżim Ryana.

– Panie ministrze, rząd Stanów Zjednoczonych może się poszczycić długą historią wspierania demokratycznie wybranych władz na całym świecie. Od ponad dwustu lat jest to częścią etosu naszego narodu. Pragnę przypomnieć Chińskiej Republice Ludowej, że Stany Zjednoczone mają swoją formę rządów najdłużej ze wszystkich krajów na świecie. Jest to forma rządów konstytucyjnych i istnieje już ponad dwieście lat. To krótki okres, jak na historię Chin, ale przypomnę też panu, że kiedy Ameryka wybierała swego pierwszego prezydenta i pierwszy Kongres, Chiny były monarchią dziedziczną. Forma rządów pańskiego kraju zmieniła się wiele razy od tamtego czasu, natomiast forma rządów Stanów Zjednoczonych pozostała ta sama. Uważamy więc, że zarówno jako niepodległe państwo, jak i jako najdłuższa z istniejących i tym samym prawowita forma rządów, mamy prawo formalne i moralne postępowania według własnego uznania i popierania rządów, podobnych do naszego. Władze Republiki Chińskiej są wyłaniane w demokratycznych wyborach i dlatego należy im się szacunek od podobnie wybranych władz takich krajów, jak nasz. Ale tak czy inaczej, panie ministrze, celem naszego spotkania jest dyskusowanie o handlu.

Zajmiemy się tym, czy też będziemy trwonić czas, dyskutując o sprawach nieistotnych?

– Nic nie może być bardziej istotne dla tej dyskusji niż fundamentalny brak szacunku, przejawiony przez wasz rząd... może powinienem raczej powiedzieć: przez reżim Ryana?...

wobec naszego rządu. Kwestia tajwańska ma podstawowe znaczenie dla... – grzmiał tak przez następne cztery minuty.

– Panie ministrze, Stany Zjednoczone nie są żadnym „reżimem”. To niepodległe państwo z władzami, wyłonionymi przez naród w wolnych wyborach. Eksperyment z tą formą rządów rozpoczęliśmy, kiedy wasz kraj był pod panowaniem mandżurskiej dynastii Cing i być może zechcecie kiedyś pójść w nasze ślady, dla dobra waszego narodu. A teraz, czy przejdziemy do rzeczy, czy też zamierza pan trwonić swój czas i mój na dyskusję o sprawie, odnośnie której nie mam instrukcji i która niespecjalnie mnie interesuje?

– Nie damy się zbyć tak nonszalancko – odparł Shen, zasługując sobie przez chwilę, co zresztą nie miało żadnego znaczenia, na szacunek Rutledge’a za nieoczekiwanie dobrą znajomości angielskiego.

Dyplomata amerykański rozparł się na krześle i spoglądał uprzejmie ponad stołem, rozmyślając o planach żony, która zamierzała odnowić kuchnię w ich domu w Georgetown.

Czy zielony i niebieski to odpowiednie zestawienie kolorów? Osobiście wolał spokojne, naturalne odcienie brązu, ale wiedział, że ma o wiele większe szansę postawienia na swoim tu, w Pekinie, niż w Georgetown. Życie, spędzone w dyplomacji nie dawało mu podstaw do wygrania sporu z panią Rutledge w takich sprawach, jak elementy dekoracji wnętrz...

I tak się to ciągnęło przez pierwsze dziewięćdziesiąt minut, po czym przyszedł czas na przerwę. Podano herbatę i przekąski, ludzie zaczęli wychodzić przez dwuskrzydłowe, przeszklone drzwi do ogrodu. Była to pierwsza wyprawa Ganta w świat dyplomacji i za chwilę miał się dowiedzieć, jak to naprawdę funkcjonowało. Ludzie podobierali się w pary –

Amerikanin i Chińczyk. Z daleka było widać, kto jest kim. Każdy z Chińczyków palił; tylko dwóch Amerykanów hołdowało temu nałogowi i obaj chętnie korzystali z możliwości zapalenia papierosa bez konieczności wychodzenia na powietrze. Przedstawiciel Departamentu Skarbu doszedł do wniosku, że przynajmniej w sprawach zdrowia Chińczycy nie są takimi fanatykami, jak w sprawach handlu.

– I co pan sądzi? – usłyszał pytanie. Odwrócił się i zobaczył tego samego małego faceta, który przyczepił się do niego na przyjęciu powitalnym. Całe metr pięćdziesiąt wzrostu, oczy pokerzysty i niezłe umiejętności aktorskie. Gant pamiętał, że Chińczyk nazywa się Xue Ma i że jest bystrzejszy, niż na to wygląda. Ale jak odpowiedzieć teraz na jego pytanie? Gant uznał, że skoro na wątpliwości, najlepszym wyjściem będzie prawda.

– Po raz pierwszy obserwuję dyplomatyczne negocjacje. To strasznie nudne – odpowiedział i pociągnął łyk (wstrętnej) kawy.

– Cóż, to normalne – odpowiedział Xue.

– Doprawdy? Nie tak to wygląda w biznesie. Jak wam się udaje cokolwiek załatwić?

– Wszystko ma swoją procedurę – powiedział mu Chińczyk.

– Pewnie tak. Czy mógłby mi pan coś wyjaśnić? – spytał Teleskop.

– Mogę spróbować.

– Co jest aż tak ważnego w tej kwestii tajwańskiej?

– A co było aż tak ważne, kiedy zaczęła się wasza wojna secesyjna? – sprytnie odpowiedział Xue pytaniem na pytanie.

– W porządku, ale dlaczego po pięćdziesięciu latach nie skończyć z tym, co było i zacząć od nowa?

– My nie myślimy w tak krótkoterminowych kategoriach – odpowiedział Xue, uśmiechając się w poczuciu wyższości.

– Niech będzie, ale w Ameryce nazywamy to życiem przeszłością. – I co ty na to, złotku?

– To nasi rodacy – nie ustępował Xue.

– Ale dokonali innego wyboru. Jeśli chcecie ich z powrotem, sprawcie, żeby było to dla nich korzystne. Wie pan, osiągną tutaj taki sam poziom życia, jaki oni osiągnęli u siebie. –

Ty zacofany komuchu.

– Czy gdyby któreś z pańskich dzieci uciekło z domu, nie starałby się pan, żeby wróciło?

– Prawdopodobnie, ale robiłbym to dobrym słowem, a nie groźbami, zwłaszcza, gdybym nie był w stanie grozić skutecznie. – A wasze wojsko jest gównem warte. Poinformowano ich o tym przed przylotem tutaj.

– Ale czy nie powinniśmy protestować, kiedy ktoś nakłania nasze dziecko do ucieczki i sprzeciwienia się ojcu?

– Posłuchaj, stary – powiedział Gant, ukrywając wzburzenie, a przynajmniej sądząc, że je ukrywa. – Jeśli chcecie robić interesy, to róbmy interesy. Jeśli chcecie oszukiwać, to my też potrafimy oszukiwać. Ale mój czas jest cenny, podobnie jak czas mojego kraju, więc zostawmy sobie tę pogawędkę na inną okazję. – W tym momencie zdał sobie sprawę, że nie jest dyplomatą i że nie nadaje się do dyplomatycznych rozgrywek. – Jak pan widzi, nie mam talentu do takich dyskusji. Są u nas ludzie, którzy to potrafią, ale ja się do nich nie zaliczam.

Jestem tego rodzaju Amerykaninem, który wykonuje konkretną pracę i zarabia konkretne pieniądze. Jeśli panu podoba się ta zabawa, w porządku, ale mnie się nie podoba. Cierpliwość jest może i dobrą cechą, ale nie w sytuacji, kiedy przeszkadza w osiągnięciu celu i sądzą, że pański minister o czymś zapomina.

– A o czym takim, panie Gant?

– To my uzyskamy w tych rozmowach to, czego chcemy – powiedział Gant małemu Chińczykowi i natychmiast zdał sobie sprawę, że solidnie się zagalopował. Dopił kawę, przeprosił i poszedł do łazienki, chociaż wcale nie musiał, więc tylko umył ręce i wrócił.

Zastał Rutledge'a, który stał samotnie, kontemplując jakieś wiosenne kwiaty.

– Cliff, chyba coś spieprzyłem – przyznał się po cichu.

– Co takiego? – spytał podsekretarz stanu, a potem wysłuchał spowiedzi. – Nie przejmuj się. Nie powiedziałaś im nic, czego ja bym wcześniej nie powiedział. Po prostu nie rozumiesz tego języka.

– Ale pomyślą, że brak nam cierpliwości, a to przecież naraża nas na ich ataki, prawda?

– Nie, dopóki to ja prowadzę rozmowy oficjalne – powiedział Rutledge, uśmiechając się pobłaźliwie. – Mark, ja mam tutaj taką pozycję, jak Jimmy Connors w turnieju US Open. Na tym polega moja praca.

– Druga strona też ma o sobie takie mniemanie.

– To prawda, ale mamy nad nimi przewagę. Potrzebują nas bardziej niż my ich.

– Myślałem, że nie uważasz takiego podejścia za dobrą taktykę – bąknął Gant, zaskoczony postawą Rutledge'a.

– Nie musi mi się podobać. Muszę po prostu robić to, co konieczne, a wygrywanie zawsze daje satysfakcję. – Nie dodał, że nigdy przedtem nie spotkał ministra Shena, więc nie musiał się obawiać żadnych osobistych zaszłości, jak to się często zdarzało dyplomatom, którzy przedkładali osobiste przyjaźnie nad interesy swoich krajów. Zwykle usprawiedliwiali się, mówiąc sobie, że ten sukinsyn po drugiej stronie stołu będzie się musiał odwzajemnić następnym razem, co z kolei będzie dobre dla interesów ich kraju. Dyplomacja zawsze polegała na kontaktach osobistych, o czym często zapominali obserwatorzy, uważający gadatliwych dyptomatów za maszyny.

Gant nie bardzo potrafił się w tym wszystkim połapać, ale był zdecydowany iść Rutledge'owi na rękę, dlatego, że nie miał wyboru i dlatego, że facet przynajmniej sprawiał

wrażenie, że wie, co robi. Gant zastanawiał się, jak ma ocenić, czy rzeczywiście tak jest, czy to tylko pozory. A potem trzeba już było wracać na salę.

Popielniczki zostały opróżnione, napoczęte butelki z wodą wymienione na pełne.

Prawdopodobnie zajęli się tym sprawdzeni funkcjonariusze takich, czy innych służb albo – co bardziej prawdopodobne – zawodowi oficerowie wywiadu, oddelegowani tutaj, ponieważ ich rząd unikał wszelkiego ryzyka, a przynajmniej próbował. Faktycznie było to marnotrawieniem umiejętności zawodowców, ale komuniści nigdy się specjalnie nie przejmowali efektywnym wykorzystywaniem zasobów ludzkich.

Minister Shen zapalił papierosa i gestem dał Rutledge'owi znać, żeby kontynuował.

Amerykaninowi przyszło na myśl, że Bismarck doradzał palenie cygara w czasie negocjacji, ponieważ ktoś odkrył, że gęsty dym tytoniowy przeszkadza rozmówcom, co daje palącemu przewagę.

– Panie ministrze, priorytety handlowe Chińskiej Republiki Ludowej określa wąskie grono ludzi, kierując się względami politycznymi. Rozumiemy to. Natomiast wy nie rozumiecie, że nasz rząd jest naprawdę powołany przez naród i że nasz naród domaga się, żebyśmy rozwiązali problem nierównowagi w handlu. To, że Chińska Republika Ludowa nie otwiera rynków dla towarów amerykańskich oznacza utratę miejsc pracy przez Amerykanów.

Ale w naszym kraju rząd ma służyć narodowi, a nie władać nim i dlatego też musimy skutecznie zająć się problemem nierównowagi w handlu.

– W pełni się zgadzam, że rząd ma służyć interesom narodu i dlatego też musimy brać pod uwagę ten dotkliwy ból, na jaki sprawa Tajwanu naraża obywateli mojego kraju. Tych, którzy powinni być naszymi rodakami, odseparowuje się od nas i Stany Zjednoczone biorą w tym udział...

Ciekawe, pomyślał Rutledge, że ten stary pierdziel już dawno nie umarł od tych cholernych papierosów. Wyglądały i śmierdziały jak Lucky Stricke, które zabiły jego dziadka, kiedy miał

osiemdziesiąt lat. Powodem śmierci nie było jednak to, o czym tak chętnie mówią palaczom lekarze. Dziadek Cwens odwoził samochodem swego prawnuka na Dworzec Południowy w Bostonie, kiedy papieros wypadł mu z ust, a on, próbując go podnieść, zjechał na lewą stronę drogi. Dziadek nie wierzył w żadne pasy bezpieczeństwa... a ten skurczybyk tutaj palił jak smok, przypalając nowego papierosa od niedopałka poprzedniego, jak Bogart w którymś z filmów z lat trzydziestych. Cóż, może był to chiński sposób na ograniczenie liczby ludności, ale nie był to przyjemny widok.

– Panie ministrze – rozpoczął Rutledge, kiedy znów przyszła jego kolej – władze Republiki Chińskiej zostały wyłonione w wolnych i uczciwych wyborach, przez ludzi, którzy są mieszkańcami tego kraju. Dla Ameryki oznacza to, że władze Republiki Chińskiej są prawowite... – nie powiedział, że tym samym władze Chińskiej Republiki Ludowej nie są prawowite, ale ten logiczny wniosek zawisł nad salą obrad jak ciemna chmura – ...więc należy im się uznanie międzynarodowe i, jak pan pewnie zauważył, nie zabrakło go w zeszłym roku. Uznawanie takich władz jest elementem polityki naszego rządu. Nie zmienimy tej polityki, opartej na niezłomnych zasadach, żeby zadośćuczynić życzeniom innych krajów, które nie wyznają tych zasad. Możemy tak sobie rozmawiać, dopóki nie skończą się panu papierosy, ale stanowisko mojego rządu w tej kwestii jest wyryte w kamieniu. Albo pogodzi się pan z tym faktem i pozwoli, żebyśmy zajęli się bardziej produktywną tematyką albo będzie się pan trzymał kwestii tajwańskiej z uporem godnym lepszej sprawy i nic z tego nie wyniknie. Wybór należy do pana, ale czyż nie lepiej zająć się czymś produktywnym?

– Ameryka nie ma prawa dyktować Chińskiej Republice Ludowej, co może, a co nie może być dla niej powodem do zaniepokojenia. Twierdzicie, że macie swoje zasady, ale i my mamy nasze, a jedną z nich jest obrona naszej integralności terytorialnej.

Markowi Gantowi trudno było zachowywać obojętny wyraz twarzy. Musiał udawać, że to wszystko ma jakiś sens i że jest ważne, podczas gdy o wiele bardziej wolałby włączyć swój komputer i przejrzeć ceny akcji, albo choćby poczytać jakąś książkę, trzymając ją pod stołem.

Ale nie mógł tego zrobić. Musiał udawać, że to wszystko jest bardzo interesujące i pomyślał, że jeśli mu się uda, będzie mógł otrzymać nominację do Oskara za najlepszą rolę drugoplanową: „Za to, że nie zasnął podczas najnudniejszych zawodów od czasu mistrzostw stanu Iowa w rośnięciu trawy. Zwycięzca jest...”. Starał się nie wiercić na krześle, które było dla niego zdecydowanie za małe, ale tyłek mu od tego zdrętwiał. Był to może mebel dla kogoś z tych chińskich chudzielców, ale nie dla faceta z Chicago, który lubił napić się piwa i zjeść kanapkę z peklowaną wołowiną na śniadanie co najmniej raz w tygodniu i nie dbał

wystarczająco o kondycję fizyczną. Jego tyłek dopominał się o szersze i mniej twarde siedzisko, ale niczego takiego tu nie było. Spróbował więc czymś się zainteresować. Uznał, że minister Shen ma fatalną cerę, jakby twarz stanęła mu kiedyś w płomieniach, a przyjaciele próbowali je stłumić szpikulcem do lodu. Gant starał się nie uśmiechać, wywołując tę wymagowaną scenę w swej wyobraźni. Potem zajął się tym, że ten Shen strasznie dużo palił, przypalając papierosy tanimi papierowymi zapałkami, zamiast jakąś przyzwoitą zapalniczką. Może należał to tych, którzy wiecznie coś gubią; to by również tłumaczyło, dlaczego używał tanich plastikowych długopisów, zamiast czegoś, co bardziej pasowałoby do jego statusu i pozycji. Czyli ten ważny sukinsyn przeszedł w młodości fatalny trądzik i był

roztargniony... – Gant pozwolił sobie na uśmiech, ale tylko w duchu, podczas gdy minister głądził dalej, całkiem niezłe radząc sobie z angielskim. To podsunęło Gantowi nową myśl.

Miał przed sobą słuchawki, na wypadek, gdyby potrzebne było symultaniczne tłumaczenie...

Może dałoby się w nich złapać którąś z tutejszych stacji radiowych? Musieli przecież mieć w Pekinie stację nadającą muzykę.

Kiedy znów przyszła kolej na Rutledge'a, sytuacja niewiele się poprawiła. Strona amerykańska powtarzała swe stanowisko tak samo jak chińska, może w sposób bardziej racjonalny, ale i tak było to nudne. Gantowi przyszło do głowy, że prawnicy, negocjujący porozumienia rozwodowe, też pewnie tak głądzą w kółko. Podobnie jak dyplomaci, byli opłacani za swój czas, a nie za rezultaty. Dyplomaci i prawnicy. Co za para, pomyślał Gant.

Nie był nawet w stanie spojrzeć na zegarek. Zakładał, że delegacja amerykańska powinna występować jednolitym frontem, żeby pokazać tym pogańskim Chińczykom, że Siły Prawdy i Piękna są niezłomne w swej determinacji. Albo coś w tym rodzaju. Zastanawiał się, czy inaczej wyglądałyby negocjacje na przykład z Brytyjczykami, kiedy obie strony mówiłyby prawie tym samym językiem, ale zaraz pomyślał, że takie negocjacje załatwia się pewnie przez telefon albo e-mailem, bez tego formalistycznego gówna...

Przerwę na lunch ogłoszono w przewidzianym czasie, z dziesięciominutowym opóźnieniem, bo Shen trochę przeciągnął, czego zresztą można się było spodziewać. Wszyscy członkowie delegacji amerykańskiej ruszyli do toalety, gdzie nie rozmawiano, z obawy przed podsłuchem. Kiedy wrócili, Gant podszedł do Rutledge'a.

– W ten sposób zarabiasz na życie? – spytał makler z niedowierzaniem w głosie.

– Próbuję. Te rozmowy idą całkiem dobrze – zauważył podsekretarz stanu.

– Co? – Gant osłupiał.

– Tak. Po stronie chińskiej negocjacje prowadzi minister spraw zagranicznych, czyli wystawili przeciw nam swą drużynę reprezentacyjną – wyjaśnił Rutledge. – A to oznacza, że będziemy mogli osiągnąć rzeczywiste porozumienie, bez zbędnej grupy ludzi niższego szczebla, wciąż biegających do Biura Politycznego po instrukcje. Tacy pośrednicy potrafią niezłe nabałaganić. Oczywiście i tak nie da się tego całkiem uniknąć. Shen będzie się musiał

konsultować z Biurem Politycznym co wieczór, a może robi to i w tej chwili, bo jakoś nigdzie go nie widać. Ciekaw jestem, komu konkretnie podlega. Nie sądzimy, żeby miał autentyczne pełnomocnictwa. Inni w najwyższych władzach mają mu pewnie mnóstwo do powiedzenia. Z

Rosjanami też tak było. To już leży w naturze ich systemu. Nikt nikomu tak naprawdę nie ufa.

– Mówisz poważnie? – spytał Teleskop.

– O, tak. Właśnie tak funkcjonuje ich system.

– Przecież to, cholera, zupełnie popieprzone – uznał Gant.

– A jak sądzisz, dlaczego Związek Radziecki wyciągnął kopyta? – spytał rozbawiony Rutledge. – Na żadnym szczeblu nigdy niczego nie zrobili porządnie, bo nie potrafili zrobić właściwego użytku ze swej władzy. Prawdę mówiąc, było to żalosne. Ale teraz o wiele lepiej sobie radzą.

– Niech będzie, ale wróćmy do tych rozmów. Mówisz, że idą dobrze?

– Jeśli wszystko, co mogą nam rzucić pod nogi, to Tajwan, ich kontrargumenty w sprawach handlowych nie będą szczególnie istotne. Kwestia tajwańska jest sprawą zamkniętą i oni o tym wiedzą. Za dziesięć miesięcy podpiszemy z Tajpej traktat o obronie wzajemnej i w Pekinie też pewnie o tym wiedzą. Mają dobre źródła informacji na Tajwanie.

– A skąd my to wiemy? – spytał Gant.

– Ponieważ nasi przyjaciele w Tajpej pilnują, żeby Pekin wiedział, co trzeba. Dobrze jest powiadamiać przeciwnika o wielu sprawach. Ułatwia to wzajemne zrozumienie, pozwala uniknąć wielu błędów i tak dalej. – Rutledge przerwał na chwilę. – Ciekaw jestem, co też podadzą na lunch...

O Jezus, jęknął w duchu Gant. A potem podziękował Bogu, że był tu tylko po to, żeby pomagać temu dyplomacie w sprawach ekonomicznych. To, co się tutaj rozgrywało, było zupełnie niepodobne do czegokolwiek, z czym się w życiu zetknął.

Ekipy telewizyjne stawiały się na lunch, żeby zdobyć więcej materiałów „wersji B” z dyplomatami, rozmawiającymi przyjaźnie o takich sprawach jak pogoda, czy jedzenie; widzowie pomyślą oczywiście, że rozmowy dotyczą spraw wagi państwowej, podczas gdy w rzeczywistości co najmniej połowa rozmów między dyplomatami przy takich okazjach ograniczała się do problemów z wychowaniem dzieci, czy walki z chwastami w ogródku.

Gant zaczynał pojmować, że wszystko to była gra, nieporównywalna z żadną inną dziedziną kontaktów międzyludzkich. Zobaczył Barry’ego Wise’a, podchodzącego do Rutledge’a bez kamery i mikrofonu.

– Jak idzie, panie sekretarzu? – spytał reporter.

– Całkiem dobrze. Prawdę mówiąc, mieliśmy bardzo udaną pierwszą sesję – usłyszał

Gant odpowiedź Rutledge’a. Jaka szkoda, pomyślał Teleskop, że ci ludzie nie widzą, co się tu dzieje naprawdę, że świat stanął raptem na głowie, białe stało się czarne, a każdy udaje, że wszystko jest w najlepszym porządku. Ale cóż, każde ludzkie zamierzenie rządzi się swoimi regułami, a te tutaj nie były do niczego podobne.

– Jest nasz przyjaciel – poinformował gliniarz, kiedy samochód zatrzymał się przy krawężniku. Był to Suworow-Koniew w swym Mercedesie klasy C. Numery rejestracyjne się zgadzały, podobnie jak twarz, widziana przez lornetkę.

Prowałow dostał najlepszych ludzi do zajmowania się tą sprawą. Mógł nawet liczyć teraz na pomoc Federalnej Służby Bezpieczeństwa, byłego Drugiego Zarządu Głównego KGB, tych profesjonalnych łapaczy szpiegów, którzy w Moskwie tak utrudniali życie wysłannikom obcych wywiadów. Wciąż byli świetnie wyposażeni i, choć nie dofinansowywano ich tak hojnie, jak w przeszłości, ich wykształcenie było praktycznie bez zarzutu.

Oczywiście sami dobrze o tym wszystkim wiedzieli i zadzierali nosa, a ta ich instytucjonalna arogancja bardzo nie podobała się ludziom Prowałowa z wydziału zabójstw.

Mimo wszystko, byli jednak pożytecznymi sojusznikami. Do inwigilacji mieli teraz siedem pojazdów. W Ameryce FBI załatwiłaby jeszcze śmigłowiec, ale, ku sporej uldze Prowałowa, nie było tu Michaela Reilly’ego, żeby im to wytknąć protekcyjnym tonem. Mike stał się przyjacielem i utalentowanym mentorem w sprawach śledczych, ale co za dużo, to niezdrowo.

Kamery, ukryte w ciężarówkach, rejestrowały wydarzenia tego poranka, a w każdym samochodzie było po dwóch ludzi, żeby prowadzenie nie przeszkadzało w obserwacji.

Przyjechali za Suworowem-Koniewem do centrum Moskwy.

Tymczasem w jego mieszkaniu inna ekipa uporowała się już z zamkiem i weszła do środka.

To, co się tam rozgrywało, było równie pełne wdzięku, jak występ baletu teatru Bolszoi.

Ludzie, którzy weszli do mieszkania najpierw zamarli w bezruchu, szukając wzrokiem znaków, które mógł pozostawić ich klient, tak niewinnych, jak ludzki włos, przyciśnięty drzwiami szafy, żeby powiadomić, że ktoś je otwierał. Prowałow miał już wreszcie akta KGB, dotyczące Suworowa i wiedział wszystko o przeszkoleniu, jakie ten człowiek przeszedł; okazało się, że było to bardzo gruntowne przeszkolenie, a oceny Suworowa, no, głównie „dostateczne”, za niskie, żeby otrzymał szansę pracy jako „nielegalny” na obszarze Głównego Wroga, czyli Stanów Zjednoczonych, ale wystarczające, żeby został specjalistą od wywiadu w kołach dyplomatycznych, zajmując się głównie przekazywaniem informacji, zdobytych przez innych, ale mając też czasem okazję do pracy w terenie, przy próbach werbowania i prowadzeniu agentów. Po drodze nawiązał kontakty z różnymi dyplomatami zagranicznymi, w tym z trzema Chińczykami; ci trzej zbierali mniej ważne informacje w kołach dyplomatycznych, głównie najróżniejsze ploteczki, ale uważano, że i takie rzeczy mogą się przydać. Ostatnią zagraniczną misją Suworowa była ambasada Związku Radzieckiego w Pekinie w latach 1989-1991; podobnie jak poprzednio, próbował tam zbierać informacje wywiadowcze w kołach dyplomatycznych i z akt wynikało, że dla odmiany odniósł nawet pewne sukcesy. Prowałow zorientował się, że osiągnięcia Suworowa z tamtego okresu nie budziły wątpliwości, prawdopodobnie z racji paru drobnych zwycięstw, jakie wcześniej udało mu się odnieść nad służbą dyplomatyczną Chin w Moskwie. W aktach była informacja, że znał chiński w mowie i w piśmie;

znajomość tego języka, opanowana w Akademii KGB, przemawiała za tym, żeby zrobić z niego specjalistę do spraw Chin.

Z operacjami wywiadowczymi tak już jest, że to, co wydaje się podejrzanе, często okazuje się niewinne, a to, co wydaje się niewinne, może być bardzo podejrzanе. Od funkcjonariusza wywiadu oczekiwano nawiązywania kontaktów z cudzoziemcami, często z funkcjonariuszami obcych wywiadów, ale potem jakiś zagraniczny szpieg mógł

przeprowadzić manewr, zwany przez ludzi z branży „odwróceniem” przeciągając wroga na swoją stronę. KGB sam robił to wielokrotnie i trzeba się było liczyć z tym, że mogło się to przydarzyć także jego własnym ludziom, i to niekoniecznie w czasie, kiedy akurat byli bez nadzoru, lecz wręcz przeciwnie. Lata 1989-1991 były okresem *glasnosti*, „otwartości”, która zniszczyła Związek Radziecki równie nieubłaganie, jak ospa unicestwiała amerykańskich Indian. W tamtym okresie KGB miał sporo własnych problemów, pomyślał Prowałow. A jeśli Chińczycy zwerbowali wtedy Suworowa? Gospodarka chińska właśnie zaczynała się w tym czasie rozwijać, więc mogli szastać pieniędzmi; nie mieli ich tyle, co Amerykanie, ale dość, żeby skusić radzieckiego urzędnika państwowego, mającego w perspektywie rychłą utratę pracy.

Ale czym Suworow się zajmował od tego czasu? Jeździł teraz Mercedesem, a na taki wóz potrzeba niemało pieniędzy. Skąd je miał? Nie wiedzieli tego i Prowałow zdawał sobie sprawę, że niełatwo będzie się dowiedzieć. Wiedzieli, że ani Kliementij Iwanowicz Suworow, ani Iwan Jurijewicz Koniew nie płacili podatku od dochodów, ale lokowało ich to wśród większości obywateli rosyjskich, którzy ani myśleli zwracać sobie głowę takimi bzdurami. A sąsiadów Prowałow nie chciał wypytywać, z wiadomych względów. Sprawdzano ich właśnie, próbując ustalić, czy nie ma wśród nich byłych funkcjonariuszy KGB, a więc potencjalnych sojuszników podejrzanego. Nie, w żadnym wypadku nie chcieli go spłoszyć.

Apartament wydawał się „czysty” w policyjnym sensie tego słowa. Zaczęli się więc rozglądać. Łóżko nie było posłane; Suworow-Koniew, jak wielu mężczyzn, nie był zbyt porządny. Za to wyposażenie mieszkania musiało dużo kosztować, a wiele urządzeń domowego użytku pochodziło z importu, głównie z Niemiec, co było typowe dla zamożnych Rosjan. Otwierając lodówkę, członek ekipy śledczej nałożył gumowe rękawiczki. Lodówki i zamrażarki uważane były za dobre skrytki. Nic szczególnego. Teraz szuflady w kredensie.

Problemem był ograniczony czas, a w każdym mieszkaniu jest aż nadto miejsc, w których można coś ukryć, czy to w skarpetkach, czy wewnątrz rolki papieru toaletowego. Prawdę mówiąc, nie mieli zbyt wielkich nadziei, że coś znajdą, ale podjęcie próby było de rigueur, trudniej byłoby wyjaśnić przełożonym, dlaczego się tego nie zrobiło, niż wysłać ekipę śledczą w przekonaniu, że straci tylko cenny czas. W innej części mieszkania zakładano podsłuch w aparacie telefonicznym. Zastanawiali się też nad zainstalowaniem miniaturowych kamer. Tak łatwo było je ukryć, że znaleźć mógłby je tylko jakiś paranoiczny geniusz, ale ich zamontowanie wymagało czasu; najtrudniejszą sprawą było położenie przewodów, łączących kamery z centralną stacją obserwacyjną, a czasu, niestety, nie mieli. Ich dowódca miał w kieszeni koszuli telefon komórkowy i czekał na wibracyjny sygnał, informujący, że podejrzaný jedzie z powrotem do domu. Gdyby telefon zaczął wibrować, mieli natychmiast posprzątać po sobie i zniknąć.

Do mieszkania miał jeszcze dwanaście kilometrów. Za nim pojazdy zespołu inwigilacyjnego zmieniały się miejscami z taką samą sprawnością, z jaką zawodnicy reprezentacyjnej drużyny hokejowej Rosji podaniami wprowadzali krążek w okolice bramki przeciwnika. Prowałow jechał w samochodzie, w którym mieściło się centrum dowodzenia, obserwując i słuchając dowódcy zespołu FSB, który kierował swoimi ludźmi, posługując się radiem i planem miasta. Wszystkie pojazdy były brudne, nienajnowsze, nieokreślonego typu; równie dobrze mogły należeć do władz miejskich Moskwy, co do nielegalnych taksówkarzy, polujących na „łebka” na ulicach Moskwy.

W większości pojazdów, uczestniczących w akcji, „pasażer” siedział nie z przodu, lecz na tylnym siedzeniu, w celu zachowania pozorów jazdy prywatną „taksówką”; ci ludzie byli wyposażeni w telefony komórkowe, żeby bez wzbudzania podejrzeń móc się komunikować z centrum dowodzenia. To jedna z zalet nowoczesnej techniki, wyjaśnił facet z FSB

gliniarzowi.

Przez telefon komórkowy nadeszła informacja, że podejrzany zatrzymał się i zaparkował

samochód. Dwa pojazdy, które miały w tym momencie Mercedesa w zasięgu wzroku, ominęły go i pojechały dalej, umożliwiając dwóm innym podjechać bliżej.

– Wysiada – zameldował major Federalnej Służby Bezpieczeństwa. – Idę za nim. – Major był młody, jak na swój stopień, co zwykle oznaczało obiecującego oficera, przed którym kariera stała otworem; było tak i w tym przypadku. Był też przystojny w krasie swych dwudziestu ośmiu lat i miał na sobie drogie ubranie, jak jeden z tych moskiewskich przedsiębiorców nowej generacji. Mówił do telefonu, jakby był bardzo podekscytowany; nikt nie oczekiwałby takiego zachowania po kimś prowadzącym obserwację. Zdołał dzięki temu podejść do podejrzanego na trzydzieści metrów i sokolim wzrokiem obserwował każdy jego ruch. Sokoli wzrok był potrzebny, żeby zauważyć wykonany po mistrzowsku manewr.

Suworow-Koniew usiadł na ławce z prawą ręką w kieszeni płaszcza, podczas gdy w lewej trzymał gazetę, którą zabrał z samochodu; właśnie to było dla majora FSB sygnałem, że podejrzany planuje jakiś numer. Właśnie gazeta najczęściej służyła za kamuflaż, szpieg mógł

za nią ukryć rękę, wykonującą właściwą czynność, jak iluzjonista na scenie, ostentacyjnie robiący coś jedną ręką, podczas gdy druga zajmowała się tym, co miało pozostać niezauważone. Tak też było i tutaj, przeprowadzone tak pięknie, że gdyby nie był fachowcem, nigdy by tego nie zauważył. Major usiadł na innej ławce, „zadzwoił” pod inny fikcyjny numer ze swego telefonu komórkowego i zaczął rozmawiać z wyimaginowanym partnerem w interesach, obserwując podejrzanego, który wstał i z wystudiowaną swobodą poszedł z powrotem do zaparkowanego Mercedesa.

Major Jefremow zadzwonił pod prawdziwy numer, kiedy podejrzany był sto metrów od niego. – Tu Paweł Georgijewicz. Zaczekam i zobaczę, co tu zostawił – poinformował swe centrum dowodzenia.

Założył nogę na nogę i zapalił papierosa, obserwując, jak tamten wsiada do samochodu i odjeżdża. Kiedy na dobre zniknął mu z oczu, Jefremow podszedł do drugiej ławeczki i sięgnął pod siedzenie. O, tak. Pojemnik z magnetycznym uchwytem. Suworow musiał go używać od jakiegoś czasu. Przykleił metalową płytkę do pomalowanego na zielono drewna i wystarczyło, że przyłożył do niej magnes... Palcami wyczuł, że pojemnik ma około centymetra grubości. A więc ich podejrzany był z branży. Właśnie zostawił coś w skrzynce kontaktowej.

Słyszając to, Prowałow poczuł podniecenie, jakby przestępstwo dokonało się na jego oczach. Ich podejrzany popełnił właśnie zbrodnię przeciwko państwu. Mieli go. Mogli go teraz w każdej chwili aresztować. Ale oczywiście ani myśleli. Dowódca operacji, siedzący obok, nakazał Jefremowowi zabranie pojemnika. Musieli zbadać jego zawartość bardzo szybko i odłożyć z powrotem. Mieli na razie połowę szpiegowskiego tandemu. Druga połowa powinna przyjść po pojemnik.

To musiało być w komputerze. Nie było innej możliwości. Kiedy go włączyli, zobaczyli mnóstwo katalogów, ale szybko się zorientowali, że zawartość jednego z nich była zaszyfrowana, za pomocą programu, z którym się dotąd nie zetknęli. Był to amerykański program. Zapisali jego nazwę, ale nic więcej nie mogli w tej chwili zrobić. Nie mieli dyskietek, na które mogliby skopiować zaszyfrowany plik. Mogli to jednak naprawić później, a także skopiować program szyfrujący. Musieli też zainstalować urządzenie, monitorujące klawiaturę komputera. Zamierzali w ten sposób zdobyć hasło Suworowa i odszyfrować zawartość pliku. Podjąwszy tę decyzję, ekipa „włamywaczy” opuściła mieszkanie.

Nie było wątpliwości, co należy robić dalej. Pojechali za Mercedesem, śledząc go, tak jak przedtem, z kilku zamieniających się stale miejscami pojazdów. Przełom nastąpił, kiedy najbliżej Mercedesa była śmieciarka, jakich mnóstwo widziało się na ulicach Moskwy.

Podejrzany zatrzymał samochód, wyskoczył, przyczepił pasek papieru do latarni i natychmiast wrócił do wozu. Nawet się nie rozejrzył, przekonany, że nikt nie zwróci na niego uwagi.

Mylił się. Ci, którzy go śledzili, zorientowali się, że właśnie zostawił komuś wiadomość, że w skrzynce kontaktowej coś jest. Ten ktoś przejdzie tędy lub przejedzie, zobaczy pasek papieru i będzie wiedział, co zrobić. Musieli więc szybko zbadać zawartość pojemnika i odłożyć go na miejsce, jeśli nie chcieli ostrzec przeciwnika, że jego działalność została wykryta. Nie, nie robiło się tego, jeśli nie było konieczności, bo takie operacje przypominały prucie sweterka na ładnej dziewczynie. Nie przestawało się ciągnąć za nitkę, dopóki nie pokazały się cycki, wyjaśnił Prowałowowi facet z FSB.

Dzieciobójstwo

– Co to jest? – spytał prezydent na porannej odprawie wywiadowczej.

– Nowe źródło w ramach operacji SORGE, nazywa się Sikorka. Obawiam się, że nie jest równie dobra z punktu widzenia wywiadu, ale mówi nam co nieco o ich ministrach –

powiedział Goodley, udając, że stara się być taktowny.

Ryan zobaczył, że Sikorka – musiała to być kobieta – prowadziła bardzo intymny dziennik. Ona także pracowała u Fang Gana i wydawało się, że minister był w niej zadurzony.

Ona niekoniecznie odwzajemniała te uczucia, ale na pewno zapisywała, co robił. Wszystko, co robi. Było tego dość, żeby Ryan szerzej otworzył oczy ze zdumienia.

– Powiedz Mary Pat, że może to sprzedać „Hustlerowi”, jeśli chce; mnie naprawdę nie jest to potrzebne o ósmej rano.

– Dołączyła to, żeby mógł pan sobie wyrobić pogląd na temat źródła – wyjaśnił Ben. –

Nie jest to taki sam czysto polityczny materiał, jaki dostajemy od Kanarka, ale MP jest zdania, że wiele mówi o charakterze tego jegomościa, co na pewno się przyda, a poza tym, jest tu także trochę treści politycznych, oprócz informacji o życiu seksualnym Fanga. Odnosi się wrażenie, że to całkiem, hm... witalny mężczyzna, chociaż nie ulega kwestii, że ta dziewczyna wolałaby młodszego kochanka. Zdaje się, że miała takiego, ale ten Fang go przepłoszył.

– Zaborczy sukinsyn – mruknął Ryan, rzucając okiem na ten fragment. – Cóż, wydaje mi się, że w jego wieku człowiek nie wypuszcza z rąk tego, co jest mu potrzebne. Płyną z tego dla nas jakieś wnioski?

– Sir, mówi nam to co nieco o tym, jacy ludzie podejmują tam decyzje. Tutaj nazywamy ich drapieżcami seksualnymi.

– I mamy ich trochę w naszej służbie państwowej – zauważył Ryan. Prasa wywlekła właśnie parę takich spraw pewnemu senatorowi.

– Ale przynajmniej nie w tym gabinecie – powiedział Goodley prezydentowi. Nie dodał słówka „już”.

– Cóż, małżonka obecnego prezydenta jest chirurgiem. Potrafi się posługiwać ostrymi narzędziami – powiedział Ryan z kpiącym uśmiechem. – Więc uczepili się wczoraj sprawy Tajwanu, żeby zyskać na czasie, bo nie wykombinowali jeszcze, jak podejść do spraw handlowych?

– Mogłoby się tak wydawać, ale rzeczywiście trochę to dziwne. Poza tym, MP

przypuszcza, że mogą mieć jakieś źródło informacji na niższym szczeblu w Departamencie Stanu. Sądzi, że wiedzą trochę więcej, niż mogli przeczytać w gazetach.

– Cudownie – mruknął Jack. – Co się stało? Tamte korporacje japońskie odprzedały swoje stare źródła Chińczykom?

Goodley wzruszył ramionami. – Na razie nie wiadomo.

– Niech Mary Pat skontaktuje się w tej sprawie z Danem Murrayem. Kontrwywiad leży w gestii FBI. Zabieramy się za to od razu, czy też mogłoby to zagrozić Kanarkowi?

– O tym musi już zdecydować kto inny, sir – powiedział Goodley, przypominając prezydentowi, że jest wprawdzie dobry w tym biznesie, ale nie aż tak dobry.

– Tak, tak, kto inny, nie ja. Co jeszcze?

– Senacka komisja do spraw wywiadu chce się bliżej przyjrzeć sytuacji w Rosji.

– Jakże mi miło. O co im chodzi?

– Wydaje się, że powątpiewają w wiarygodność naszych przyjaciół w Moskwie.

Obawiają się, że tamci zechcą wykorzystać ropę naftową i złoto, żeby znów stać się Związkiem Radzieckim i może stworzyć zagrożenie dla NATO.

– O ile pamiętam, NATO przesunęło się o kilkaset kilometrów na wschód. Taka strefa buforowa nie zagrozi naszym interesom.

– Tylko że teraz jesteśmy zobowiązani bronić Polski – przypomniał Goodley swemu szefowi.

– Pamiętam. No więc, powiedz Senatowi, żeby zatwierdził fundusze na przerzucenie brygady czołgów w okolice Warszawy. Możemy tam zająć jedną z dawnych baz radzieckich, prawda?

– jeśli Polacy będą nas tam chcieli, sir. Nie wydają się szczególnie zaniepokojeni.

– Mam w planach podróż do Polski, prawda?

– Tak i to już niedługo, właśnie opracowywany jest programu wizyty.

Jack napił się kawy i spojrzał na zegarek.

– Coś jeszcze?

– Na dziś to już chyba wszystko.

Prezydent mrugnął do niego żartobliwie. – Powiedz Mary Pat, że jeśli będzie mi jeszcze przysyłać materiały od Sikorki, to koniecznie ze zdjęciami.

– Tak jest, sir – powiedział Goodley ze śmiechem.

Ryan ponownie sięgnął po materiały, przygotowane na odprawę i przeczytał je już bez pośpiechu, popijając kawę, krzywiąc się czasem i mrużąc coś pod nosem. Życie było o wiele prostsze, kiedy to on przygotowywał takie materiały niż teraz, kiedy musiał je czytać. Ale dlaczego? Czy nie powinno być na odwrót? Przedtem to do niego należało znajdowanie odpowiedzi i przewidywanie pytań; teraz inni robili to wszystko za niego... Wolał to pierwsze. Ale przecież to bzdura, do diabła. Może to dlatego, pomyślał, że on był już ostatnią instancją. Musiał podejmować decyzje, więc bez względu na to, co zadecydowano i jakie analizy sporządzono na niższych szczeblach, wszystko i tak spadało na niego. To tak, jak z prowadzeniem samochodu: ktoś mógł mu powiedzieć, że należy skręcić w prawo na najbliższym skrzyżowaniu, ale to on siedział za kierownicą i to on musiał wykonać ten manewr i ponosiłby winę, gdyby kogoś przy tym potrącił. Jack zastanawiał się przez chwilę, czy przypadkiem nie nadaje się bardziej do pracy o szczebel, czy dwa niżej, gdzie mógłby się zająć analizami i z przekonaniem prezentować rekomendacje... ale ze świadomością, że kto inny zbierze laury za dobre posunięcia i poniesie odpowiedzialność za złe. Takie zabezpieczenie przed konsekwencjami dawało poczucie bezpieczeństwa. Ale to postawa tchórza, zganił się Ryan w myślach. Jeśli był w Waszyngtonie ktoś, kto lepiej od niego nadawał się do podejmowania decyzji, to on kogoś takiego dotąd nie spotkał, a jeśli przemawia przez niego arogancja, to trudno.

Powinien być ktoś lepszy, pomyślał Jack, ale to nie moja wina, że kogoś takiego nie ma.

Sięgnął po rozkład zajęć. Zbliżała się pora pierwszego spotkania. Przez cały dzień te polityczne bzdury... tylko że to nie były bzdury. Wszystko, co robił w tym gabinecie miało jakiś wpływ na życie obywateli amerykańskich, więc było ważne i dla nich, i dla niego. Ale kto postanowił, że to on, Ryan, ma być tatuśkiem narodu? Czym się, u diabła, wyróżniał, co predestynowałoby go do tej roli? Ludzie, zaglądający mu przez ramię, jak myślał o tych za grubymi szybami w oknach Gabinetu Ovalnego, wszyscy oczekiwali, że będzie wiedział, co należy zrobić, a przy kolacji, czy przy kartach jęczeli i narzekali na jego decyzje, które im się nie podobały, jakby wiedzieli lepiej; łatwo im było mówić. Tutaj wyglądało to inaczej. Ryan musiał solidnie przykładać się do każdej najdrobniejszej sprawy, nawet do menu drugich śniadań w szkołach; te śniadania okazały się zresztą cholernie skomplikowanym problemem.

Gdyby pozwoliło się dzieciakom jeść to, co lubią, dietetycy zaczęliby narzekać, twierdząc, że należy się odżywiać zdrowo, najlepiej korzonkami i jagódkami, natomiast większość rodziców zapewne opowiedziałyby się za hamburgerami i frytkami, ponieważ to akurat dzieci chętnie jadły, a z tak zwanej zdrowej żywności niewiele by miały, bo pewnie by jej nie tknęły. Raz, czy dwa porozmawiał na ten temat z Cathy, chociaż właściwie wcale nie musiał.

Ich własnym dzieciom pozwalała jeść pizzę, kiedy tylko miały na to ochotę, twierdziła, że pizza jest bogata w białko i że metabolizm dziecka pozwala mu zjeść niemal wszystko.

Przyparta do muru przyznawała jednak, że część jej szacownych kolegów w Hopkinsie jest innego zdania. I co miał zrobić Jack Ryan, prezydent Stanów Zjednoczonych, doktor historii, magister ekonomii i dyplomowany księgowy (nawet nie pamiętał, kiedy zdał tamten egzamin), skoro nawet eksperci – w tym jego własna żona – mieli różne zdania? Prychnął

gniewnie. W tym momencie rozległ się brzęczyk i pani Sumter zaanonsowała, że jest już osoba, umówiona na pierwsze tego dnia spotkanie. Jack chętnie wypaliłby ukradkiem papierosa, ale nie mógł tego zrobić, dopóki nie będzie miał jakiejś przerwy w zajęciach, ponieważ tylko pani Sumter i paru ludziom z Tajnej Służby wolno było wiedzieć, że prezydent Stanów Zjednoczonych ulegał czasem temu nałogowi.

O Jezuu, pomyślał, jak ja się mogłem dać w to wrobić? Ta myśl dość często przychodziła mu do głowy, kiedy zaczynał kolejny dzień w pracy. Wstał i odwrócił się w stronę drzwi, wciągając na twarz powitalny uśmiech prezydencki i usiłując sobie przypomnieć, z kim, u diabła, miał za chwilę rozmawiać o subsydiach dla rolnictwa w Południowej Dakocie.

Odlecieli, jak zwykle, z Heathrow, tym razem Boeingiem 737, ponieważ do Moskwy nie było aż tak daleko. Ludzie z Tęczy zajęli cały przedział pierwszej klasy. Stewardesy jeszcze o tym nie wiedziały, ale czekał je bardzo przyjemny lot, ponieważ ci pasażerowie byli niezwykle uprzejmi i mało wymagający. Chavez siedział obok teścia, grzecznie oglądając na ekranie film z instrukcjami na wypadek niebezpieczeństwa, chociaż obaj wiedzieli, że gdyby samolot uderzył o ziemię z prędkością siedmiuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, doprawdy nie na wiele przydałaby się wiedza o tym, gdzie znajduje się najbliższe wyjście awaryjne. Ale takie rzeczy zdarzały się na tyle rzadko, że można je było zignorować. Ding wyjął jakieś czasopismo z kieszeni w oparciu fotela i zaczął je wertować w nadziei, że znajdzie coś interesującego. Kupił już chyba wszystko, co reklamowano w takich magazynach, oferowanych na pokładach samolotów, przy czym na widok niektórych z tych nabytków jego żona z politowaniem kiwała głową.

– I co, mały już coraz lepiej chodzi? – spytał Clark.

– Ileż w nim entuzjazmu, mówię ci, ten szeroki uśmiech za każdym razem, kiedy uda mu się pokonać trasę od stolika do telewizora, zupełnie jakby zwyciężył w biegu maratońskim, dostał wielki złoty medal i buzi od Miss Ameryki na drogę do Disney World.

– Każda wielka podróż zaczyna się od pierwszego kroku, Domingo – powiedział

sentencjonalnie Clark. Samolot zaczął właśnie rozpędzać się do startu. – A horyzont jest o wiele bliżej, kiedy człowiek jest jeszcze taki malutki.

– Pewnie tak, panie C. Ale to naprawdę zabawne i takie... fajne.

– Dobrze jest mieć takiego synka, co?

– Nie narzekam – zgodził się Chavez, odchylając oparcie fotela, bo byli już w powietrzu.

– Jak się spisuje Ettore? – Clark uznał, że dość już roli dziadka i trzeba wrócić do spraw służbowych.

– Jest już w lepszej formie. Potrzebował miesiąca, żeby dogonić innych. Trochę z niego kpili, ale potrafił sobie z tym poradzić. Bystry jest, wiesz? Dobry instynkt taktyczny, biorąc pod uwagę, że to gliniarz, a nie żołnierz.

– Być gliniarzem na Sycylii to co innego, niż patrolować Oxford Street w Londynie.

– Pewnie tak – zgodził się Chavez. – Na symulatorze nie zastrzelił dotąd nikogo, kogo nie powinien, a to już coś. Oprócz niego jeszcze tylko Eddie Price osiągnął taki wynik. –

Skomputeryzowany symulator treningowy w Hereford prezentował szczególnie bezwzględne scenariusze taktyczne, łącznie z takim, w którym dwunastolatek chwycił Kałasznikowa i rozwaliał każdego, kto pozwolił sobie na chwilę nieuwagi. W innym paskudnym scenariuszu była kobieta z dzieckiem na ręku, która przez ciekawość podnosiła pistolet zabitego terrorysty i bez żadnych złych zamiarów odwracała się w stronę Ludzi w Czerni. Ding rozwalił ją kiedyś; następnego dnia zastał na swoim biurku lalkę z twarzą spryskaną keczupem. Chłopcy z Tęczy mieli swoiste, może nieco perwersyjne poczucie humoru.

– Co konkretnie mamy robić w tej Moskwie?

– Chodzi o dawny IX Zarząd Główny KGB, zapewniający ochronę najwyższym osobistościom – wyjaśnił Clark. – Niepokoją się rodzimymi terrorystami, Czeczenami i przedstawicielami innych narodowości, które chcą własnej państwowości. Rosjanie proszą nas o pomoc w przygotowaniu ich chłopców do zajęcia się terrorystami.

– Ile są warci?

Clark wzruszył ramionami. – Dobre pytanie. To ludzie z byłego KGB, ale po przeszkoleniu w Specnazie, więc chyba zawodowcy, w odróżnieniu od takich, którzy tylko odwalili trzyletnią służbę w Armii Radzieckiej. Wszyscy prawdopodobnie ze stopniami oficerskimi, ale na etatach podoficerskich. Oczekuję, że okażą się bystrzy, odpowiednio umotywowani, prawdopodobnie będą w przyzwoitej kondycji fizycznej i będą rozumieli, na czym polega ich zadanie. Czy okażą się wystarczająco dobrzy? Prawdopodobnie nie – myślał

głośno John. – Ale w ciągu kilku tygodni powinniśmy być w stanie pokazać im właściwy kierunek.

– Więc jedziemy tam głównie po to, żeby szkolić ich instruktorów?

Clark skinął głową. – Tak to zrozumiałem.

– W porządku – zgodził się Chavez. Przyniesiono kartę dań. Jak to jest, zastanawiał się, że na pokładzie jakoś nigdy nie podają tego, na co człowiek miałby ochotę? Tym razem zamierzano podać im obiad, a nie drugie śniadanie. Co, u diabła, mają przeciw cheesburgerom i frytkom? Dobrze przynajmniej, że będzie się mógł napić przyzwoitego piwa.

Bardzo zasmakował w tym napoju, od kiedy przybył do Wielkiej Brytanii. Był pewien, że w Rosji

niczego takiego nie mają.

Mark Gant pomyślał, że świt w Pekinie jest strasznie ponury z powodu zanieczyszczonego powietrza. Z jakiegoś powodu nie zdołał się przestawić na miejscowy czas, mimo „czarnej pigułki”. Obudził się o brzasku i spoglądał teraz na pierwsze promienie słońca, próbujące się przebić przez powietrze, zanieczyszczone tak, jak w najgorszych czasach w Los Angeles. W ChRL na pewno nie było Urzędu Ochrony Środowiska. A w dodatku nie ma tu jeszcze zbyt wielu samochodów. Jeśli kiedykolwiek dojdzie w Chinach do masowego rozwoju motoryzacji, problem przeludnienia sam się może rozwiąże, przez zagazowanie. Nie znał się na tym na tyle, żeby móc określić, czy to problem typowy dla państw, rządzonych przez marksistowskie reżimy; nie zostało ich już zresztą zbyt wiele, więc trudno było o porównania. Gant nigdy nie palił – ten nałóg rzadko występował w światku maklerów giełdowych, gdzie stresy, związane z normalną pracą były wystarczająco zabójcze

– i tak bardzo zanieczyszczone powietrze powodowało u niego łzawienie oczu.

Nie miał nic do roboty i mógł temu poświęcić mnóstwo czasu – kiedy się już obudził, nigdy nie potrafił zasnąć z powrotem – postanowił więc zapalić lampkę na nocnym stoliku i poczytać jednak trochę materiałów, których większość dano mu, nie oczekując, że będzie nimi sobie zaprzętał głowę. Mister Spock powiedział kiedyś w serialu „Star Trek”, że celem dyplomacji jest przeciąganie kryzysów. W porównaniu z meandrami dyplomacji, Missisipi była tak równa jak laserowy promień, ale podobnie jak ta wielka rzeka musiała kiedyś dotrzeć do morza, tak i dyplomatyczne negocjacje też musiały kiedyś znaleźć finał. Ale co właściwie obudziło go tego ranka? Spojrzał przez okno na pomarańczowo-różową smugę, zaczynającą się tworzyć na horyzoncie i wydobywającą z mroku budynki. Gantowi nie podobała się architektura tego miasta, ale wiedział, że po prostu nie był przyzwyczajony. Czynszowe kamienice w Chicago też trudno byłoby porównać z Tadź Mahal, a drewniany dom, w którym spędził dzieciństwo, nie był Pałacem Buckingham. Tak czy inaczej, czuł się tutaj bardzo obco. Gdzie nie spojrzeć, wszystko wydawało się takie inne, a Mark nie był na tyle kosmopolitą, żeby przewyciężyć to uczucie. Było jak muzyka, płynąca z niewidzialnych głośników w hotelowym lobby; niby nie zwracało się na nią uwagi, ale nie dało się jej całkiem ignorować. Naszły go jakieś złe przeczucia, ale zaraz się z nich otrząsnął. Nie było żadnych powodów, żeby stało się coś złego. Już wkrótce miał się przekonać, jak bardzo się mylił.

Barry Wise obudził się już i czekał w swym hotelowym pokoju na śniadanie. Hotel należał do jednej z amerykańskich sieci i z menu wynikało, że można tu zjeść mniej więcej amerykańskie śniadanie. Miejscowy bekon smakował pewnie inaczej, ale Barry był pewien, że nawet w Chinach kury muszą znosić jajka. Eksperyment z goframi poprzedniego dnia nie wypadł najlepiej, a Wise należał do tych, którzy muszą zjeść porządne śniadanie, żeby móc należycie funkcjonować przez cały dzień.

W odróżnieniu od większości amerykańskich korespondentów, Wise sam wyszukiwał

sobie tematy. Jego producent był partnerem, a nie autorytarnym szefem. Barry doceniał to jako przyczynek do swej kolekcji nagród Emmy, z powodu których zrzędziła jego żona, musząc odkurzać

te cholerne figurki, poustawiane nad barkiem w piwnicy.

Potrzebował na dziś jakiegoś zupełnie nowego tematu. Amerykańskich telewidzów znudziłaby kolejna porcja materiałów filmowych „wersji B” i głów, gadających na temat negocjacji handlowych. Potrzebował trochę lokalnego kolorytu, czegoś, co przybliży Amerykanom Chiny i Chińczyków. Nie było to proste. Dość już zrobiono filmów o chińskich restauracjach, które były jedynym aspektem chińskiej rzeczywistości, znanym większości Amerykanów. No więc? Co mieli ze sobą wspólnego Amerykanie i obywatele Chińskiej Republiki Ludowej? Na pewno niewiele, pomyślał Wise, ale musiało przecież być coś, co będzie mógł wykorzystać. Wstał, kiedy przywieziono śniadanie i wyglądał przez okno, podczas gdy kelner podjechał z wózkiem do łóżka. Okazało się, że pomylili zamówienie.

Szynka zamiast bekonu. Ale ponieważ szynka wyglądała nieźle, nie protestował, dał kelnerowi napiwek i usiadł.

Trzeba coś znaleźć, pomyślał, nalewając sobie kawy, ale co? Aż za dobrze znał to poszukiwanie jakiegoś oryginalnego tematu. Autorzy powieści często besztali reporterów za

„kreatywne relacje”, ale ten proces twórczych poszukiwań był bardzo realny. Znalezienie ciekawych tematów było podwójnie trudne dla reporterów, ponieważ, w odróżnieniu od powieściopisarzy, nie mogli niczego zmyślać, Musieli korzystać z rzeczywistości, a to bywało czasem cholernie trudne. Barry Wise dobrze o tym wiedział. Sięgnął po okulary do czytania, które odłożył do szuflady w nocnej szafce i zaskoczony zobaczył...

No, właściwie wcale nie było to aż tak zaskakujące. W każdym amerykańskim pokoju hotelowym była przecież Biblia, pozostawiona przez Gideons International⁶⁶.

Tutaj znalazła się pewnie tylko dlatego, że był to amerykański hotel, z amerykańskim kierownictwem i miał porozumienie z ludźmi z Gideons International... ale jednak, co za dziwne miejsce na Biblię. Chińska Republika Ludowa raczej nie była krajem kościołów. Są tu w ogóle jacyś chrześcijanie? Hm. Dlaczego by się nie dowiedzieć? Może będzie z tego jakiś temat... Na pewno lepsze to niż nic. Prawie zdecydowany, zabrał się z powrotem do śniadania. Pomyślał, że ludzie z jego ekipy pewnie dopiero wstają. Postanowił zwrócić się do producenta o wyszukanie jakiegoś chrześcijańskiego duchownego, może nawet katolickiego księdza. Na rabina nie było pewnie co liczyć. Musiałby w tym celu skontaktować się z ambasadą izraelską, a to nie byłoby chyba fair.

– Jak minął dzień, Jack? – spytała Cathy.

Przypadkiem mieli ten wieczór dla siebie. Nic do zrobienia, żadnej politycznej kolacji, przemówienia, przyjęcia, żadnego przedstawienia albo koncertu w Kennedy Center, czy choćby kameralnego party na dwadzieścia-trzydzieści osób na piętrze sypialnym w części mieszkalnej Białego Domu. Jack nienawidził tych przyjęć, a Cathy je uwielbiała, ponieważ mogli na nie zapraszać ludzi, których rzeczywiście znali i lubili, albo przynajmniej takich, z którymi mieli ochotę

się spotkać. Jack nie miał nic przeciw samym takim spotkaniom, ale uważał, że część sypialna Białego Domu była jedyną prywatną przestrzenią, jaka mu pozostała; nawet dom, który posiadali w Peregrine Cliff nad zatoką Chesapeake, został

66 Założona w 1899 roku przez grupę komiwojazerów protestancka organizacja, umieszczająca egzemplarze Biblii w hotelach, szpitalach itp. (przyp. tłum.)

„przystosowany” przez Tajną Służbę. Był teraz wyposażony w instalację przeciwpożarową, około siedemdziesięciu linii telefonicznych i system alarmowy w rodzaju tych, które zabezpieczają składy broni nuklearnej. Był też nowy budynek dla ludzi z ochrony, którzy zatrzymywali się tam w weekendy, jeśli Ryanowie akurat postanowili się przekonać, czy mają jeszcze dokąd wrócić, kiedy już będą mieli dość tego oficjalnego muzeum.

Ale tego wieczoru Jack i Cathy znów byli prawie zwykłymi ludźmi. Prawie, bo gdyby Jackowi zachciało się drinka, czy piwa, nie mógłby po prostu pójść po nie do kuchni, Nie wolno mu było tego zrobić. Nie, musiał je zamówić u stewarda, który zjeżdżał następnie windą do kuchni w piwnicy albo wjeżdżał do baru na piętrze. Jack mógłby oczywiście uprzeć się i pójść osobiście, ale uraziłby tym któregoś ze stewardów i chociaż ci mężczyźni, w większości czarni (niektórzy twierdzili, że wywodzą się w prostej linii od osobistych niewolników Andrew Jacksona) nie byli specjalnie drażliwi, to jednak urażanie ich nie miało sensu. Tylko że Ryan nigdy nie należał do tych, którzy lubią, żeby im usługiwano. Pewnie, przyjemnie było widzieć co rano wyczyszczone buty, którymi w nocy zajął się jakiś facet, nie mający nic innego do roboty i pobierający za to niezłą państwową pensję, ale Jack czuł się po prostu niemęsko, kiedy cackano się z nim, jakby był jakimś arystokratą, podczas gdy naprawdę jego ojciec był ciężko pracującym detektywem w wydziale zabójstw policji w Baltimore, a on sam potrzebował rządowego stypendium (podziękowania dla Korpusu Piechoty Morskiej), żeby mama nie musiała iść do pracy i zarabiać na jego naukę w Boston College. A więc to kwestia pochodzenia i wychowania? Prawdopodobnie, pomyślał Ryan.

Pochodzenie tłumaczyło też to, co robił w tej chwili: siedział w fotelu ze szklaneczką w ręku i oglądał telewizję, jakby dla odmiany był akurat zwykłym człowiekiem.

Najmniejsze zmiany zaszły w życiu Cathy. Wprawdzie codziennie latała teraz do pracy na pokładzie śmigłowca VH-60 Blackhawk Korpusu Piechoty Morskiej, ale ani podatnicy, ani dziennikarze nie protestowali; nie po tym, kiedy Piaskownica, czyli Katie Ryan została napadnięta w żłobku przez terrorystów. Dzieci oglądały telewizję u siebie, a Kyle Daniel, nazywany Sprite przez Tajną Służbę, spał w łóżeczku. I oto pani doktor Ryan – Chirurg siedziała w swoim fotelu przed telewizorem, przeglądając zapiski, dotyczące jej pacjentów i przerzucając jakieś pismo medyczne w ramach swej nigdy nie kończącej się edukacji zawodowej.

– Jak leci w pracy, kochanie? – spytał Miecznik Chirurga.

– Całkiem dobrze, Jack. Bernie Katz ma następną wnuczkę. O niczym innym nie potrafi teraz mówić.

- Które z dzieci znów go zrobiło dziadkiem?
- Mark, ożenił się dwa lata temu. Byliśmy na ślubie, pamiętasz?
- To ten prawnik? – spytał Jack, pamiętając tamtą uroczystość, w dawnych, dobrych czasach, zanim jeszcze dopadła go klątwa prezydentury.
- Tak, jego drugi syn, David, jest chirurgiem klatki piersiowej i wykłada w Yale.
- Poznałem go? – Jack nie mógł sobie przypomnieć.

– Nie, studiował na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. – Przewróciła kartkę w najnowszym numerze „New England Journal of Medicine”, po czym zagięła róg, postanawiając wrócić później do lektury. Był tam interesujący artykuł o jakimś odkryciu w anestezjologii, coś wartego zapamiętania. Zamierzała porozmawiać o tym podczas lunchu z którymś z profesorów. Miała zwyczaj jadać lunch z lekarzami różnych specjalności, żeby wiedzieć na bieżąco, co nowego dzieje się w medycynie. Była przekonana, że następny wielki przełom nastąpi w neurologii. Jeden z jej kolegów z Hopkinsa odkrył lek, który, jak się wydawało, stymulował regenerację uszkodzonych komórek nerwowych. Jeśli się to potwierdzi, warte będzie Nagrody Nobla. Byłby to dziewiąty Nobel wśród trofeów Szkoły Medycznej Johns Hopkins University. Ona otrzymała za swą pracę z laserami chirurgicznymi nagrodę Laskera, najwyższe tego rodzaju wyróżnienie w medycynie amerykańskiej, ale nie była to wystarczająco fundamentalna praca, żeby zakwalifikować ją na wyjazd do Sztokholmu. Rozumiała to i akceptowała. Oftalmologia nie była dziedziną, w której zdobywało się Nobla, za to ratowanie ludziom wzroku dawało ogromną satysfakcję. Może dobrą stroną prezydentury Jacka okaże się to, że ona, jako Pierwsza Dama, będzie miała szansę objęcia stanowiska dyrektora Instytutu Wilmera⁶⁷, kiedy Bernie Katz postanowi z niego odejść, o ile kiedykolwiek się na to zdecyduje. Będzie nadal mogła praktykować w zawodzie – za nic nie chciała z tego zrezygnować – a także nadzorować badania naukowe w swojej dziedzinie, decydować, kto otrzyma stypendia, które prace badawcze są naprawdę ważne. Uważała, że może być w tym dobra. Więc może cała ta prezydentura Jacka jednak się na coś przyda.

Uskarżała się w zasadzie tylko na to, że ludzie oczekiwali, iż będzie się ubierała jak supermodelka. Zawsze dobrze się ubierała, ale nigdy nie pociągało jej występowanie w roli wieszaka na ubrania. Wystarczyło, że nosiła eleganckie suknie na te wszystkie przekłete oficjalne okazje, w których musiała uczestniczyć (nie musząc płacić za kreacje, bo wszystkie były wyczarowywane przez projektantów mody). W rezultacie czasopismo „Women’s Daily Wear” nie akceptowało jej codziennego stroju, jakby biały fartuch był wyrazem mody; nie, to był jej mundur i była z niego dumna, tak jak ze swoich mundurów dumni byli marines, trzymający wartę przy wejściu do Białego Domu. Niewiele kobiet czy mężczyzn mogło o sobie powiedzieć, że dostali się na sam szczyt w swoim zawodzie. A ona mogła. I tak wieczór okazał się bardzo przyjemny. Nie miała nawet nic przeciwko temu, że Jack nastawił swój ulubiony Kanał Historyczny i burczał, wyłapawszy jakiś drobny błąd w którymś z programów. O ile to tamci się pomylili, a nie on, pomyślała rozbawiona... Jej kieliszek był

pusty, a ponieważ na następny dzień nie miała zaplanowanej żadnej operacji, dała znać stewardowi, żeby jej dolał wina. Życie wcale nie było takie złe. Zresztą, przeszli potworne chwile z tamtymi przeklętymi terrorystami, ale dzięki odrobinie szczęścia i temu cudownemu 67 *Słynny na całym świecie naukowo-badawczy instytut okulistyczny przy szpitalu Johnsa Hopkinsa (przyp. tłum.)* agentowi FBI, którego poślubiła Andrea Price, wyszli z tego cało i nie sądziła, żeby tamten koszmar mógł się kiedykolwiek powtórzyć. Strzegła jej przed tym osobista ochrona z Tajnej Służby. Cathy uznała, że szef jej ochrony, Roy Altman, jest w swojej pracy tak samo godny zaufania, jak ona w swojej.

– Proszę bardzo, pani Ryan – powiedział steward, podając jej napełniony kieliszek.

– Dziękuję, George. Jak dzieci?

– Najstarsza dostała się właśnie do Notre Dame – odpowiedział z dumą w głosie.

– To cudownie. A potem?

– Medycyna.

Cathy uniosła wzrok znad czasopisma: – Świetnie. Daj mi znać, gdybym mogła w czymś pomóc, dobrze?

– Tak, proszę pani, na pewno. – George wiedział, że nie powiedziała tego ot, tak sobie i miał dla niej za to wiele szacunku. Służba bardzo lubiła Ryanów, chociaż już na pierwszy rzut oka widać było, że nie przywykli, żeby im usługiwano. Wiedziano o pewnej rodzinie, którą Ryanowie się opiekowali, były to dzieci i wdowa po jakimś sierżancie Sił Powietrznych, o którego związkach z Ryanem nikt nie potrafił powiedzieć, a Cathy osobiście zajęła się dwójką dzieci personelu Białego Domu, które miały kłopoty ze wzrokiem.

– Co się szykuje na jutro, Jack?

– Przemówienie na zjeździe weteranów wojennych w Atlantic City. Lecę tam śmigłowcem i wrócę po lunchu. Callie napisała mi całkiem niezłe przemówienie.

– Jest trochę dziwna.

– Inna niż wszyscy – zgodził się prezydent – ale dobra w tym, co robi.

Dzięki Bogu, pomyślała Cathie nie mówiąc tego głośno, że ja nie muszę się czymś takim zajmować! Dla niej przemówieniem było poinformowaniem pacjenta o sposobie leczenia jego oczu.

– W Pekinie jest nowy nuncjusz papieski – powiedział producent.

– To ktoś w rodzaju ambasadora, tak?

Producent skinął głową. – Dokładnie. To Włoch, kardynał Renato DiMilo. Starszy gość, ale nic o nim nie wiem.

– Zobaczymy, może uda nam się do niego dostać – pomyślał głośno Barry, wiążąc krawat. – Masz adres i numer telefonu?

– Nie, ale facet od kontaktów z mediami w ambasadzie amerykańskiej załatwi to w okamgnieniu.

– Zadzwoń do niego – powiedział Wise; było to delikatne polecenie. Współpracował z gościem od jedenastu lat, niejedno razem przeszli i zdobyli te wszystkie nagrody Emmy, nieźle jak na dwóch byłych sierżantów piechoty morskiej.

– Dobra.

Wise spojrzął na zegarek. Czasu było dość. Zdaży zrobić materiał, przesłać go łączem satelitarnym, a w Atlancie zredagują to i podadzą ludziom w Ameryce na śniadanie. Powinno mu to nieźle wypełnić dzień w tym pogańskim kraju. Cholera, dlaczego nie mogli organizować konferencji handlowych we Włoszech? Z lubością wspominał włoską kuchnię z czasów służby w VI Flocie. I te Włoszki. Podobał im się mundur piechoty morskiej USA.

Zresztą wielu innym kobietom też.

Kardynał DiMilo i prałat Schepke nie zdołali polubić chińskich śniadań, zupełnie innych niż wszystko, co Europejczycy kiedykolwiek podawali na poranny posiłek. Schepke sam przygotowywał więc co rano śniadanie, jeszcze zanim przyszła chińska służba; obu duchownym wystarczało, że służący pozmywają potem naczynia. Obaj byli już po porannej mszy; wstawali codziennie przed szóstą, zupełnie jak żołnierze, myślał nieraz kardynał.

Poranną gazetą była „International Herald Tribune”, za bardzo zorientowana na Amerykę, ale cóż, świat nie był doskonały. Przynajmniej zamieszczano w tej gazecie wyniki meczów piłki nożnej, a obaj interesowali się europejskim futbolem; gdyby nadarzyła się okazja, Schepke sam mógłby jeszcze wyjść na boisko. DiMilo, który w swoim czasie był całkiem niezłym pomocnikiem, teraz musiał już zadowolić się tylko kibicowaniem.

Ekipa CNN miała własny mikrobus, amerykański pojazd, dostarczony do ChRL wieki temu. Mikrobus był wyposażony w miniaturowy nadajnik i odbiornik satelitarny, taki mały cud techniki, umożliwiający natychmiastową łączność z dowolnym miejscem na świecie za pośrednictwem satelitów telekomunikacyjnych na orbicie. Ten system potrafił prawie wszystko, ale tylko wtedy, kiedy mikrobus stał. Ktoś już zresztą nad tym pracował i miał to być następny wielki przełom, ponieważ mobilne ekipy mogłyby pracować w dowolnym kraju, praktycznie nie musząc się obawiać, że gapie, czy kto inny będzie im przeszkadzać.

W mikrobusie był też system nawigacji satelitarnej, prawdziwe чудо, które umożliwiało im znajdowanie drogi wszędzie, w każdym mieście, dla którego mieli mapę na CD-ROM-ie.

Dzięki temu systemowi mogli znaleźć każdy adres szybciej niż miejscowy taksówkarz. A dzięki telefonowi komórkowemu mogli też sami zdobyć potrzebny im adres; w tym wypadku wystarczyło zadzwonić do ambasady amerykańskiej, która dysponowała adresami wszystkich przedstawicielstw zagranicznych; dom nuncjusza apostolskiego był jednym z nich. Dzięki telefonowi komórkowemu mogli się też zaanonsować. Rozmowę odebrał jakiś Chińczyk i przekazał słuchawkę komuś, kto sprawiał wrażenie Niemca – dlaczego akurat Niemca? – ale z miejsca powiedział im, żeby przyjeżdżali.

Barry Wise był jak zwykle pod krawatem; schludne ubranie było jeszcze jednym nawykiem z czasów marines. Zastukał do drzwi i, jak się tego spodziewał, otworzył mu miejscowy – miał ochotę nazywać ich „tubylcami”, ale uznał, że byłoby to zbyt angielskie i trochę rasistowskie – który wprowadził ich do środka. Pierwszy biały, którego zobaczyli, na pewno nie był kardynałem. Za młody, za wysoki i zdecydowanie za bardzo niemiecki.

– Witam, jestem prałat Schepke – powitał ich ten człowiek.

– Dzień dobry, Barry Wise z CNN.

– Tak, wiem. – Schepke z uśmiechem skinął głową. – Widziałem pana wiele razy w telewizji. Co pana tutaj sprowadza?

– Relacjonujemy stąd amerykańsko-chińskie rozmowy handlowe, ale postanowiliśmy się rozejrzeć za innymi ciekawymi tematami. Byliśmy zaskoczeni, dowiedziawszy się, że Watykan ma tu swoją misję dyplomatyczną.

Schepke wprowadził Wise’a do swojego gabinetu i gestem wskazał mu wygodny fotel. –

Ja jestem tutaj od kilku miesięcy, ale kardynał przybył dopiero niedawno.

– Czy mógłbym się z nim spotkać?

– Oczywiście, ale jego eminencja rozmawia w tej chwili przez telefon z Rzymem.

Zechciałby pan poczekać kilka minut?

– Żaden problem – zapewnił go Wise. Przyjrzał się prałatowi uważniej. Wyglądał na wysportowanego, był wysoki i bardzo niemiecki. Wise był w Niemczech wiele razy i zawsze czuł się tam trochę nieswojo, jakby rasizm, który doprowadził do holokaustu, wciąż tam był, ukryty, ale niezbyt głęboko. Gdyby Schepke miał na sobie inne ubranie, Wise wziąłby go za żołnierza. Odnosiło się wrażenie, że jest w dobrej kondycji fizycznej i bardzo inteligentny; na pewno był ważnym obserwatorem.

– Z jakiego jest pan zakonu, jeśli wolno spytać?

– Towarzystwo Jezusowe – odpowiedział Schepke.

Aha, jezuita, przetłumaczył natychmiast Wise. To wiele wyjaśniało. – Z Niemiec?

– Tak, ale jestem na stałe w Rzymie na Uniwersytecie Roberta Bellarmine, a poproszono mnie o towarzyszenie tutaj jego eminencji z uwagi na znajomość języków. – Jego angielski był częściowo brytyjski, a częściowo amerykański, ale nie kanadyjski, doskonały gramatycznie i z bardzo precyzyjną wymową.

I dlatego, że jesteś bystry, pomyślał Wise, nie mówiąc tego głośno. Wiedział, że Watykan ma cieszącą się dużym uznaniem służbę wywiadowczą, prawdopodobnie najstarszą na świecie. Wise uznał, że ten prałat stanowi kombinację dyplomaty i szpiega.

– Nie spytam, iloma językami pan włada, na pewno zna ich pan więcej niż ja –

powiedział Wise. Jeszcze nigdy nie spotkał głupkowatego jezuitę ani o takim nie słyszał.

Schepke uśmiechnął się przyjaźnie: – Na tym polega moja funkcja. – Spojrzał na telefon, stojący na biurku. Lampka zgasła. Schepke przeprosił, wszedł do gabinetu i po chwili wrócił.

– Jego eminencja przyjmie pana teraz.

Wise wstał i poszedł za niemieckim księdzem. Korpulentny mężczyzna, którego zobaczył

w gabinecie, z pewnością był Włochem. Nie miał na sobie sutanny, lecz marynarkę, spodnie i czerwoną koszulę (a może była to kamizelka?) z koloratką. Korespondent CNN nie pamiętał, czy protokół nakazywał mu ucałowanie pierścienia tego człowieka, ale ponieważ w ogóle nie uznawał całowania po rękach, zdecydował się na amerykański uścisk dłoni.

– Witamy w nuncjaturze – powiedział kardynał DiMilo. – Jest pan naszym pierwszym amerykańskim reporterem. Proszę. – Wskazał mu krzesło.

– Dziękuję, eminencjo. – Tę część protokołu Wise zapamiętał.

– Czym możemy panu służyć?

– Jesteśmy tu, żeby relacjonować amerykańsko-chińskie rozmowy handlowe i rozglądamy się za czymś na temat życia w Pekinie. Nie dalej jak wczoraj wieczorem dowiedzieliśmy się, że Watykan ma tu swoją nuncjaturę i przyszło nam do głowy, żeby z panem porozmawiać, sir.

– Cudownie – powiedział DiMilo z dobrotliwym uśmiechem duchownego. – Jest trochę chrześcijan w Pekinie, chociaż na pewno nie tylu, co w Rzymie.

Wise doznał olśnienia. – A chińscy chrześcijanie?

– Poznaliśmy zaledwie kilku. Dziś po południu udajemy się na spotkanie z jednym z nich.

To baptysta, nazywa się Yu.

– Doprawdy? – To dopiero niespodzianka. – Miejscowy baptysta?

– Tak – potwierdził Schepke. – To dobry człowiek, wykształcony w Ameryce, na Uniwersytecie Orala Robertsa.

– Chińczyk z Orala Robertsa? – spytał z pewnym niedowierzaniem Wise, a w głowie zaczęło mu pulsować światełko z napisem TEMAT!

– Rzeczywiście, trochę to niezwykle, prawda? – zauważył DiMilo. Wise pomyślał, że wystarczająco niezwykle jest już to, że baptysta i kardynał Kościoła Rzymskokatolickiego w ogóle ze sobą rozmawiają, a prawdopodobieństwo, że wydarzy się to właśnie tutaj było mniej więcej takie, jak szansa napotkania dinozaura, spacerującego główną ulicą Waszyngtonu.

Tym w Atlancie na pewno się to spodoba.

– Czy moglibyśmy pojechać z wami? – spytał korespondent CNN.

Koszmar zaczął się wkrótce po dotarciu do pracy. Choć liczyła się z tym i tak bardzo na to czekała, pierwszy ból był zaskoczeniem, i to niemiłym. Poprzednim razem, przed sześciu laty, zapowiadał narodziny Ju-Longa i też był zaskoczeniem, ale tamta ciąża była autoryzowana, a ta nie. Miała nadzieję, że to się rozpocznie rano, ale podczas weekendu, w mieszkaniu, gdzie ona i Quon mogli się wszystkim zająć tak, żeby nikt z zewnątrz o niczym się nie dowiedział, ale w Chinach dzieci same wybierają sobie moment przyjścia na świat, podobnie zresztą jak na całym świecie. Pytanie tylko, czy Państwo pozwoli temu dziecku zaczerpnąć pierwszy oddech, więc zwiastun akcji porodowej niósł ze sobą strach, że dokonana zostanie zbrodnia, że jej własne ciało będzie miejscem tej zbrodni, że ona sama zobaczy to i poczuje, jak dziecko przestaje się ruszać, poczuje śmierć. Ten strach był

kulminacją wszystkich bezsennych nocy i koszmarów, które dręczyły ją od tygodni, sprawiając, że leżała w łóżku zlaną potem. Koleżanki zobaczyły jej twarz i zastanawiały się, co jej dolega. Kilka kobiet odgadło jej tajemnicę, ale żadna nigdy z nią o tym nie rozmawiała.

Graniczyło z cudem, że nikt na nią nie doniósł, czego Lien-Hua obawiała się najbardziej, ale okazało się, że czegoś takiego kobieta po prostu nie może zrobić drugiej kobiecie. Kilka z nich urodziło córki, które „przypadkowo” zmarły rok, czy dwa lata później, żeby mężowie mogli zaspokoić pragnienie posiadania syna. Był to jeszcze jeden aspekt życia w Chińskiej Republice Ludowej, który rzadko poruszało się w rozmowach, nawet prywatnych, między kobietami.

Yang Lien-Hua rozejrzała się po hali fabrycznej, czując, jak jej ciało zapowiada to, co miało wkrótce nastąpić i mogła tylko mieć nadzieję, że bóle ustaną albo że poród się opóźni.

Jeszcze pięć godzin i będzie mogła pojechać na rowerze do domu i tam urodzić; pewnie, wolałaby w weekend, ale i tak lepiej w domu niż tutaj. Kwiat Lotosu powiedziała sobie, że musi być teraz silna i stanowcza. Przymknęła oczy, przygryzła wargę i próbowała skoncentrować się na pracy, ale wkrótce

bóle zaczęły jej naprawdę dokuczać. Wiedziała, że kiedy zaczną się prawdziwe skurcze, nie zdoła utrzymać się na nogach, a wtedy... co? Ta niemożność spojrzenia o kilka godzin w przyszłość wykrzywiła jej twarz bardziej, niż mógłby to uczynić największy ból. Bała się śmierci; strach przed śmiercią jest właściwy wszystkim istotom ludzkim, ale ona bała się nie o własne życie, lecz o to, które było częścią jej, które nosiła w sobie. Bała się, że to życie zgaśnie, że będzie to czuła, czuła, jak odchodzi nienarodzona duszyczka i choć na pewno wróciłaby do Boga, to przecież nie leżało to w Jego intencjach. Potrzebowała teraz pociechy duchowej. Potrzebowała swego męża Quona. Jeszcze bardziej potrzebowała wielebnego Yu. Ale jak to zrobić?

Rozstawianie kamer poszło bardzo szybko. Obaj duchowni przypatrywali się temu z zainteresowaniem, ponieważ żaden z nich nie widział tego wcześniej. Dziesięć minut później obydwu rozczarowały pytania. Obaj widzieli Barry'ego Wise'a w telewizji i oczekiwali po nim więcej. Nie zdawali sobie sprawy, że temat, o który mu naprawdę chodziło, znajdował się kilka kilometrów dalej i że trzeba będzie zaczekać około godziny.

– Dobrze – powiedział Wise, kiedy już padły standardowe odpowiedzi na standardowe pytania. – Czy moglibyśmy pojechać z wami do waszego chińskiego przyjaciela?

– Oczywiście – odpowiedział kardynał, wstając. Przeprosił obecnych i wyszedł na chwilę, ponieważ nawet kardynałowie muszą zająć do toalety przed wyjazdem, przynajmniej ci w wieku DiMilo. Wrócił po chwili i poszli z Franzem do samochodu; prowadzić miał, jak zwykle, prałat, ku wielkiemu rozczarowaniu ich służącego-kierowcy, który, jak podejrzewali, dorabiał sobie usługami dla Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego. Mikrobus CNN

pojechał za nimi do skromnego domu wielebnego Yu Fa Ana. Miejsca na zaparkowanie było aż nadto. Obaj katolicki duchowni podeszli do drzwi Yu. Wise zauważył, że mają ze sobą dużą paczkę.

– Ach! – Yu uśmiechnął się, trochę zaskoczony. – Co was tu sprowadza?

– Przyjacielu, mamy dla ciebie upominek – odpowiedział Jego Eminencja, podając mu paczkę. Yu od razu się domyślił, że to musi być Biblia, ale oczywisty charakter tego upominku nie pomniejszył przyjemności. Zapraszał właśnie duchownych do środka, kiedy zobaczył Amerykanów.

– Pytali, czy mogą się do nas przyłączyć – wyjaśnił prałat Schepke.

– Ależ oczywiście – powiedział natychmiast Yu, zastanawiając się, czy Gerry Patterson zobaczy go w telewizji, a może i jego daleki przyjaciel Hosiah Jackson. Ale nie zdążyli jeszcze rozstawić kamer, kiedy odpakował swój upominek.

Zrobił to przy biurku, a kiedy zobaczył, co dostał, uniósł wzrok, wyraźnie zaskoczony.

Spodziewał się Biblii, ale ta tutaj musiała kosztować setki amerykańskich dolarów... Było to

wydanie wersji króla Jakuba 68 w pięknym przekładzie na mandaryński... i wspaniale ilustrowane. Yu wyszedł zza biurka, żeby uściskać swego włoskiego kolegę.

– Niech cię za to Pan Bóg błogosławi, Renato – powiedział Yu, wyraźnie wzruszony.

– Obaj służymy Mu najlepiej jak umiemy. Pomyślałem, że może chciałbyś mieć coś takiego – odpowiedział DiMilo tonem, jakiego użyłby i wobec księdza z którejś z rzymskich parafii, bo przecież taki był w końcu status Yu, a przynajmniej bardzo podobny.

Barry Wise klął w duchu, że kamery nie zdążyły zarejestrować tej chwili. – Nieczęsto widzimy katolików i baptystów w tak przyjacielskich stosunkach – powiedział.

Odpowiedzi udzielił Yu i teraz kamery już pracowały. – Wolno nam być przyjaciółmi.

Mamy tego samego szefa, jak mawiacie w Ameryce. – Znow serdecznie uściśnął dłoń kardynała DiMilo. Taki dar, otrzymany w Pekinie od kogoś, kogo jego przyjaciele w Ameryce określali mianem papisty, a który w dodatku był Włochem! Naprawdę warto było żyć. Wiara wielebnego Yu była tak mocna, że rzadko zdarzało mu się w to wątpić, ale uzyskanie od czasu do czasu potwierdzenia było błogosławieństwem.

Skurcze następowały zbyt szybko po sobie i były zbyt gwałtowne. Lien-Hua znosiła je, dopóki mogła, ale po godzinie poczuła się, jakby ktoś strzelił jej w brzuch z karabinu. Nogi się pod nią ugięły. Za wszelką cenę starała się ustać, ale na próżno. Pobladła i osunęła się na betonową posadzkę. Natychmiast podbiegła do niej koleżanka. Sama była matką i od razu pojęła, co się dzieje.

– Rodzisz? – spytała.

– Tak – przyznała Lien-Hua z twarzą wykrzywioną bólem.

– Zawołam Quona. – Koleżanka zaraz wybiegła z hali. Na więcej pomocy Kwiatu Lotosu nie mogła liczyć, kiedy sprawy przybrały dla niej tak niepomyślny obrót.

68 Wersja Biblii, wydana w Anglii w 1611 roku i zatwierdzona przez króla Jakuba I dla kościoła anglikańskiego (przyp. tłum.)

Jej przełożony zobaczył wybiegającą pracownicę, a zaraz potem inną, leżącą na podłodze.

Podszedł do niej, jak ktoś, kto chce zobaczyć skutki wypadku samochodowego, raczej z ciekawości, niż powodowany chęcią pomocy. Nigdy nie zwracał specjalnej uwagi na Yang Lien-Hua. Pracowała, jak należy, nie trzeba było na nią pokrzykiwać, koleżanki ją lubiły i właściwie nic więcej nie musiał o niej wiedzieć. Nie dostrzegł krwi, więc nie padła ofiarą jakiegoś wypadku. Dziwne. Stał nad nią

przez chwilę, widział, że coś jej dolega i zastanawiał

się, co mogło jej się przytrafić, ale nie był lekarzem, ani sanitariuszem i nie chciał się wtrącać.

No, gdyby była ranna, może spróbowałby zatamować krew bandażem, czy coś w tym rodzaju, ale to nie było to, więc stał po prostu nad nią, demonstrując swą obecność, co, jego zdaniem, należało do powinności przełożonego, ale nie pogarszając sytuacji. W gabinecie pierwszej pomocy, dwieście metrów od miejsca, w którym się znajdowali, była pielęgniarka. Pomyślał, że tamta dziewczyna, którą widział, prawdopodobnie pobiegła, żeby ją zawołać.

Twarz Lien-Hua znów wykrzywiła się po kilku minutach względnego spokoju, kiedy zaczął się następny skurcz. Przełożony spostrzegł, że przymknęła oczy, zbladła, a jej oddech stał się szybki i płytki. Ach, zorientował się wreszcie, więc to o to chodzi. Dziwne. Powinien wiedzieć o takich sprawach, żeby na czas zorganizować zastępstwo przy taśmie produkcyjnej.

A potem zdał sobie sprawę z czegoś jeszcze. To była nieautoryzowana ciąża! Lien-Hua złamała przepisy. Nie powinna była. To mogło postawić w złym świetle jego wydział i jego samego, jako przełożonego... a przecież chciał się pewnego dnia stać posiadaczem samochodu.

– Co tu się dzieje? – spytał ostrym tonem.

Ale Yang Lien-Hua nie była w tej chwili w stanie udzielić odpowiedzi. Przerwy między skurczami były znacznie krótsze, niż kiedy rodziła Ju-Longa. Dlaczego to nie mogło zaczekać do niedzieli? – w myślach zadawała to pytanie Przeznaczeniu. Dlaczego moje dziecko ma umrzeć przy porodzie? Usiłowała się modlić, kiedy przychodził ból, za wszelką cenę próbowała się skoncentrować, wyblagać u Boga zmiłowanie i pomoc w tej godzinie cierpienia, próby i przerażenia, ale wszystko, co widziała wokół siebie tylko potęgowało jej strach. Nie było chęci pomocy na twarzy przełożonego. Potem usłyszała, że ktoś nadbiega i zobaczyła Quona, ale zanim znalazł się przy niej, zatrzymał go przełożony.

– Co tu się dzieje? – zapytał ostro, demonstrując swoją maleńką władzę. – Twoja kobieta tu rodzi? Nieautoryzowane dziecko? – spytał oskarżycielskim tonem. – *Ju hai* – dodał.

Dziwka!

Quon także pragnął tego dziecka. Nie mówił swej żonie, że boi się tak samo jak ona, bo uważał, że byłoby to niemęskie, ale epitet, rzucony przez przełożonego był ponad wytrzymałość człowieka w podwójnym stresie. Przywołując to, czego nauczył się w wojsku, Quon uderzył pięścią.

– *Pok gai!* – zawołał. Dosłownie „upadnij na ulicy”, ale w tym kontekście znaczyło to „spierdalaj!”. Upadając, przełożony rozciął sobie głowę. Na widok rany Quon odczuł satysfakcję z pomszczenia obrazy żony. Miał teraz jednak co innego do roboty.

Słowa zostały wypowiedziane, cios zadany. Pomógł wstać Lien-Hua i podtrzymując ją, jak umiał, ruszył do miejsca, w którym zostawili swoje rowery. Ale co teraz? Tak jak jego żona, Quon chciał, żeby odbyło się to w domu, gdzie w najgorszym wypadku Lien-Hua mogłaby zawiadomić fabrykę, że jest chora. Ale w żaden sposób nie mógł już zatrzymać tego, co się zaczęło. Nie miał nawet czasu, ani siły, żeby przeklinać zły los. Musiał pomóc ukochanej żonie najlepiej, jak potrafił.

– Kształcił się pan w Ameryce? – spytał Wise. Kamera pracowała.

– Tak – odpowiedział Yu i napił się herbaty. – Na uniwersytecie Orala Robertsa w Oklahomie. Najpierw uzyskałem dyplom inżyniera elektryka, potem stopień naukowy z teologii, a później otrzymałem święcenia kapłańskie.

– Widzę, że jest pan żonaty – powiedział reporter, wskazując na zdjęcie, wiszące na ścianie.

– Moja żona jest teraz na Tajwanie, dogląda chorej matki – wyjaśnił Yu.

– A jak wy dwaj się spotkaliście? – spytał Wise, mając na myśli Yu i kardynała.

– To z inicjatywy Fa Ana – wyjaśnił kardynał. – To on przybył powitać... nowego kolegę po fachu, można by powiedzieć. – DiMilo miał chęć wspomnieć, że porozmawiali sobie przy drinku, ale powstrzymał się, nie chcąc poniżyć Yu w oczach innych baptystów, z których wielu odrzucało alkohol w każdej postaci. – Jak pan sobie może wyobrazić, nie ma w tym mieście zbyt wielu chrześcijan, więc ci nieliczni powinni trzymać się razem.

– Nie uważacie, że takie przyjacielskie stosunki między katolikiem i baptystą są trochę dziwne?

– Ani trochę – odparł Yu natychmiast. – Co miałyby być w tym dziwnego? Czyż nie łączy nas wiara?

– DiMilo skinął głową, słysząc to doskonale, choć nieoczekiwane wyznanie wiary.

– A co z pańską parafią? – spytał następnie Wise chińskiego duchownego.

Parking dla rowerów był splątaną masą metalu i gumy. Niewielu chińskich robotników posiadało samochody, ale Quon i Lien-Hua natknęli się na kogoś, kto miał dostęp do służbowego pojazdu. Był to strażnik, który z bardzo ważną miną jeździł wzdłuż ogrodzenia fabryki trójkołowym motocyklem. Ten motocykl był dla jego statusu ważniejszy nawet od munduru i plakietki. Podobnie jak Quon, był kiedyś podoficerem Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Nigdy nie wyzbył się tamtego poczucia władzy, co manifestowało się w sposobie, w jaki zwracał się do ludzi.

– Stać! – zawołał, zatrzymując swój trójkołowiec. – Co tu się dzieje?

Quon odwrócił się. Lien-Hua miała właśnie następny skurcz. Oddychała z trudem, a on musiał ją

prawie ciągnąć do miejsca, w którym stały ich rowery. Nagle zdał sobie sprawę, że rowery nie są rozwiązaniem. Lien-Hua po prostu nie była w stanie pedałowac. Do mieszkania mieli jedenaście przecznic. Prawdopodobnie zdołałby ją wtaszczyć na drugie piętro, ale najpierw musieli się dostać przed dom.

– Moja żona... jest ranna – powiedział Quon, bojąc się wyjaśniać, na czym naprawdę polegał problem. Znał tego strażnika; nazywał się Zhou Jingjin i sprawiał wrażenie przyzwoitego faceta. – Musimy się jakoś dostać do domu.

– Gdzie mieszkacie, towarzyszu? – spytał Zhou.

– Na osiedlu Długiego Marszu, numer siedemdziesiąt dwa – odpowiedział Quon. –

Mógłbyś nam pomóc?

Zhou spojrzał uważniej na tych dwoje. Kobieta wyraźnie cierpiała. Jego kraj nie przywiązywał wprawdzie wielkiej wagi do wykazywania osobistej inicjatywy, ale tutaj była towarzyszka w potrzebie, a przecież ludzie powinni być solidarni, a do tego mieszkania nie było daleko, zaledwie dziesięć czy jedenaście przecznic, nie więcej niż piętnaście minut jazdy, nawet tym powolnym trójkołowcem. Podjął decyzję, powodowany socjalistyczną solidarnością robotniczą.

– Posadź ją z tyłu, towarzyszu.

– Dziękuję ci, towarzyszu. – Quon wziął żonę na ręce i posadził na zardzewiałej platformie trójkołowca. Ręką dał znać Zhou, żeby jechał na zachód. Następny skurcz okazał

się szczególnie ciężki. Lien-Hua z trudem nabrała powietrza i krzyknęła z bólu, ku rozpaczyc męża. Co gorsza, strażnik też usłyszał ten krzyk, odwrócił się i zobaczył, że kobieta trzyma się za brzuch, a jej twarz jest wykrzywiona bólem. Nie był to w żadnym wypadku przyjemny widok. Zhou, który już raz wykazał inicjatywę, uznał, że chyba powinien zrobić to ponownie.

Przy ulicy Meishuguan, po drodze do osiedla Długiego Marszu, znajdował się szpital Longfu, który, jak większość poliklinik w Pekinie, prowadził ostry dyżur. Ta kobieta wyraźnie cierpiała, a przecież była towarzyszka, człowiekiem pracy, tak jak on i zasługiwała na jego pomoc. Trójkołowiec podskakiwał na wyboistej nawierzchni, jadąc z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę. Strażnik obejrzał się. Quon robił, co mógł, żeby pocieszyć żonę, jak na mężczyznę przystało, nie zwracając uwagi, co działo się dookoła.

Zhou podjął decyzję. Skręcił, podjechał pod betonową rampę, zaprojektowaną raczej dla ciężarówek niż dla karetek pogotowia i zatrzymał pojazd.

Quon dopiero po kilku sekundach zorientował się, że stanęli. Rozejrzał się dookoła, gotów pomóc żonie zejść z platformy trójkołowca, ale spostrzegł, że to nie ich osiedle.

Zdezorientowany wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich trzydziestu minut, nic nie rozumiał, nie miał pojęcia, gdzie jest, dopóki nie zobaczył wychodzącej z budynku kobiety w fartuchu i z białą przepaską na głowie. Pielęgniarka? To jest szpital? Nie, nie mógł na to pozwolić.

Yang Quon zeskoczył z trójkołowca i odwrócił się do Zhou. Zaczął protestować, mówiąc, że przyjechali nie tam, gdzie trzeba, że muszą jechać dalej, ale personel szpitala akurat w tym momencie wykazał się niezwykłym poczuciem obowiązku, pewnie dlatego, że na ostrym dyżurze zupełnie nic się nie działo. W drzwiach pojawiło się dwóch mężczyzn ze szpitalnym wózkiem. Yang Quon próbował protestować, ale został bezceremonialnie odepchnięty na bok przez zwalistych sanitariuszy, którzy położyli Lien-Hua na wózek i natychmiast wjechali do środka. To wszystko stało się tak szybko, że Quon nie zdążył zareagować. Odetchnął teraz głęboko i pobiegł do środka, ale tuż przy wejściu przechwyciły go dwie recepcjonistki, żądając danych, niezbędnych do wypełnienia karty chorej. Choć zdesperowany, nijak nie mógł ich ominąć. Równie dobrze mógłby tam stać żołnierz z karabinem; może wtedy byłoby to mniej upokarzające.

W izbie przyjęć lekarka i pielęgniarka przypatrywały się, jak sanitariusze układają Lien-Hua na stole zabiegowym. Wystarczyło im kilka sekund, żeby się zorientować, o co chodzi.

Wymieniły spojrzenia. Po następnych kilku sekundach zdjęto z niej robocze ubranie i teraz nie było już wątpliwości, że kobieta jest w ciąży. Równie oczywiste było, że akcja porodowa już się rozpoczęła i że nie chodzi o nagły wypadek. Tę kobietę można było zawieźć windą na pierwsze piętro, gdzie znajdował się oddział położniczy. Lekarka przywołała gestem sanitariuszy i powiedziała im, dokąd mają zabrać pacjentkę. Następnie podeszła do telefonu, żeby powiadomić tych na górze. Po wykonaniu tej „pracy” lekarka wróciła do pokoju wypoczynkowego, żeby zapalić papierosa i poczytać czasopismo.

– Towarzyszu Yang – zwróciła się do niego inna recepcjonistka, trochę starsza.

– Tak? – odpowiedział zmartwiony mąż, tkwiąc wciąż jak więzień w poczekalni, pilnowany przez personel.

– Waszą żonę wiozą na górę, na oddział położniczy. Jest jednak pewien problem.

– Jaki problem? – spytał Quon, schwyty w pułapkę biurokratycznych wymogów.

Wiedział, jaka będzie odpowiedź, ale liczył na cud.

– W naszych aktach nie informacji o ciąży waszej żony. Jesteście z naszego rejonu, mam tu napisane, że mieszkacie na osiedlu Długiego Marszu, numer siedemdziesiąt dwa. Zgadza się?

– Tak, to nasz adres – wykrztusił Quon, próbując znaleźć jakieś wyjście z pułapki, ale na próżno.

– Aha. – Recepcjonistka pokiwała głową. – Rozumiem. Dziękuję wam. Muszę teraz zatelefonować.

Ton, jakim to powiedziała, przeraził Quona: Ach, tak, muszę dopilnować, żeby wywieziono śmieci. Ach, tak, szyba w oknie jest stłuczona, muszę gdzieś znaleźć szklarza.

Ach, tak, nieautoryzowana ciąża, muszę zadzwonić na górę, żeby zabili dziecko, kiedy tylko pokaże się główka.

Na górze Lien-Hua spostrzegła, że patrzą na nią inaczej. Kiedy rodził się Ju-Long, widziała radosne oczekiwanie w oczach pielęgniarek, które asystowały przy porodzie. Usta miały zasłonięte maseczkami, ale po oczach było widać, że się uśmiechały... ale teraz nie.

Ktoś wszedł do sali porodowej numer trzy, na której leżała i powiedział coś do pielęgniarki, a ta gwałtownie odwróciła głowę w stronę Lien-Hua. Poprzednie współczucie w jej spojrzeniu zmieniło się w... Yang nie potrafiła tego określić, ale wiedziała, co to znaczy. Pielęgniarsce mogło się niezbyt podobać to, co miało się wkrótce stać, ale wiedziała, że musi przy tym asystować, czy jej się to podoba, czy nie. W Chinach ludzie robili to, co musieli, bez względu na to, co o tym sądzili. Lien-Hua poczuła następny skurcz. Dziecko, które nosiła w łonie, próbowało wydostać się na świat, nie wiedząc, że czeka je zagłada z rąk Państwa. Ale personel szpitala wiedział. Kiedy rodził się Ju-Long, byli przy niej, może nie za blisko, ale na tyle blisko, żeby widzieć, że wszystko przebiega jak należy. Nie teraz. Teraz ci ludzie wycofali się, nie chcąc widzieć ani słyszeć matki, rodzącej skazane na śmierć dziecko.

Piętro niżej, dla Quona wszystko było równie oczywiste. Przyszedł mu na myśl jego pierworodny syn Ju-Long, pamiętał tamto maleńkie ciało w swoich ramionach, gaworzenie, pierwszy uśmiech, siadanie, raczkowanie, pierwsze kroki w ich małym mieszkaniu, pierwsze słowa... ale ich Mały Smok nie żył, zmiażdżony kołami autobusu. Już nigdy go nie zobaczy.

Bezwzględny los wyrwał tamto dziecko z jego ramion i zdmuchnął jego życie jak płomyk świecy, a teraz Państwo zamierzało mu zgładzić drugie dziecko. Miało się to stać tutaj, piętro wyżej, a on nic nie mógł na to poradzić... Obywatele Chińskiej Republiki Ludowej dobrze znali to poczucie bezradności. W ich kraju nie sprzeciwiano się władzy, ale teraz z jej wolą kłóciło się jedno z najbardziej podstawowych ludzkich pragnień. Robotnik fabryczny Yang Quon stał z trzęsącymi się rękoma, próbując jakoś rozwiązać ten dylemat. Patrzył gdzieś w przestrzeń, choć miał przed sobą tylko ścianę, wyteżał wzrok... musiało przecież być coś...

Był automat telefoniczny, a Quon miał nawet w kieszeni odpowiednie monety i pamiętał

numer, więc zdjął słuchawkę i wykręcił go; nie potrafił sam zmienić losu, ale miał nadzieję, że ktoś inny potrafi tego dokonać.

– Przepraszam – powiedział wielebny Yu po angielsku, wstał i podszedł do dzwoniącego telefonu.

– Niezwykły facet, co? – powiedział Wise do obu katolików.

– Dobry człowiek – zgodził się kardynał DiMilo. – Dobry pasterz dla swojej trzódki, czyż człowiek może marzyć o czymś więcej?

Prałat Schepke odwrócił głowę, słysząc coś dziwnego w głosie Yu. Stało się coś złego i to, sądząc po głosie, coś poważnego. Kiedy duchowny wrócił do saloniku, wyraz jego twarzy potwierdził domysły prałata.

– Co się stało? – spytał Schepke swym nienagannym mandaryńskim. Może było to coś, o czym nie powinni się dowiedzieć amerykańscy reporterzy.

– Kobieta z mojej parafii – odpowiedział Yu, sięgając po kurtkę. – Jest w ciąży, właśnie rodzi, ale to nieautoryzowana ciąża i jej mąż boi się, że w szpitalu będą chcieli zabić dziecko.

Muszę śpieszyć z pomocą.

– *Franz, was gibt es hier?* – spytał DiMilo po niemiecku. Jezuita odpowiedział w klasycznej grece, żeby nie mieć cienia wątpliwości, że nie rozumieją go Amerykanie.

– Słyszał pan o tym, eminencjo – wyjaśnił prałat Schepke w języku Arystotelesa.

– Mordowanie nowo narodzonych dzieci, nie do pomyślenia w żadnym cywilizowanym kraju, a tutaj praktykowane z przyczyn czysto politycznych i ideologicznych. Yu pragnie przyjść rodzicom z pomocą i zapobiec temu aktowi zła.

DiMilo nie musiał się długo zastanawiać. Wstał i zwrócił się do chińskiego duchownego.

– Fa An?

– Tak. Renato?

– Możemy pójść z tobą i pomóc ci? Może przyda się nasz status dyplomatyczny –

powiedział jego Eminencja fatalnym, ale zrozumiałym mandaryńskim.

Wielebny Yu też nie musiał się długo zastanawiać. – Doskonały pomysł, Renato! Nie mogę pozwolić, żeby to dziecko umarło!

Pragnienie posiadania potomstwa jest najbardziej podstawowym ze wszystkich ludzkich pragnień, a hasło „dziecko w niebezpieczeństwie” jest jednym z najpotężniejszych bodźców, popychających dorosłych do działania. Słyszac je, ludzie wbiegają do płonących budynków i skaczą do rzek. A teraz trzech duchowni wyruszyli do miejskiego szpitala, żeby rzucić wyzwanie krajowi, mającemu

największą liczbę ludzi na świecie.

– Co się dzieje? – spytał Wise, zaskoczony tym przeskakiwaniem z języka na język i widokiem trzech duchownych, którzy zerwali się z miejsca.

– Pilna sprawa duszpasterska. Członkini parafii Yu jest w szpitalu. Pojedziemy z naszym przyjacielem, żeby wspomóc go w jego duszpasterskich obowiązkach – powiedział DiMilo.

Kamery wciąż pracowały, ale takie rzeczy zwykle się potem wycinało. Ale co tam, pomyślał Wise.

– Czy to daleko? Możemy jakoś pomóc? Chcecie, żeby was tam zawieźć?

Yu zastanowił się nad tym przez chwilę i szybko doszedł do wniosku, że jego rower nie dorówna prędkością mikrobusowi amerykańskiej ekipy telewizyjnej. – Bardzo to uprzejmie z waszej strony. Tak, proszę.

– No to jedziemy. – Wise wstał i wskazał ręką drzwi. Ludzie z jego ekipy w ciągu paru sekund poskładali sprzęt i wyszli pierwsi.

Okazało się, że do szpitala Longfu, znajdującego się przy ulicy biegnącej z północy na południe, mieli mniej niż trzy kilometry. Wise pomyślał, że architekt, który projektował ten budynek, był chyba ślepy; brak jakiegokolwiek stylu był rażący, nawet jak na ten kraj.

Komuniści prawdopodobnie jeszcze w latach 50. zabili wszystkich, którzy odznaczali się poczuciem estetyki, a potem już nikt nie próbował zająć ich miejsca. Jak większość reporterów, ekipa CNN zajechała przed drzwi frontowe w stylu oddziałów specjalnych.

Kamerzysta wyskoczył z mikrobusu z kamerą na ramieniu, mając koło siebie dźwiękowca.

Barry Wise i producent biegli tuż za nimi, rozglądając się za najlepszymi miejscami na pierwsze ujęcia. Szpitalna izba przyjęć była bardziej niż ponura. W więzieniu stanowym w Missisipi panowała przyjemniejsza atmosfera. W powietrzu unosił się ostry zapach środków dezynfekujących, taki, od którego psy kulą się ze strachu u weterynarza, a dzieci mocniej obłapiają rodziców za szyje, bojąc się zastrzyku.

Barry Wise był teraz niezwykle czujny. Mówił, że to zasługa treningu w Korpusie Piechoty Morskiej, chociaż nigdy nie uczestniczył w żadnej operacji bojowej. Ale pewnej styczniowej nocy w Bagdadzie zaczął wyglądać przez okno na czterdzieści minut przed wybuchami pierwszych bomb, zrzuconych przez niewidzialne dla radaru myśliwce F-117A i nie przestał wyglądać aż do pierwszego spektakularnego trafienia gmachu, określanego przez planistów z Sił Powietrznych USA jako „Budynek AT&T”. Teraz wziął producenta za ramię i powiedział mu, żeby uważał. Producent, też były żołnierz piechoty morskiej, skinął głową.

Zaalarmowała go już surowość na twarzach trzech duchownych, którzy, zanim zadzwonił

telefon, uśmiechali się przyjaźnie, a potem nagle przestali. Wise i producent byli pewni, że musiało się wydarzyć coś poważnego, skoro ten starszy, Włoch, zareagował w taki sposób i nie mogło to być nic przyjemnego, co jednak często oznaczało dobry materiał, a oni mieli pod ręką nadajnik satelitarny. Jak myśliwi, którzy usłyszeli pierwszy szelest liści w lesie, czterej ludzie z CNN wypatrywali teraz zwierzyny i czekali na huk strzału.

– Wielebny Yu!- zawołał Quon, podchodząc do nich, a właściwie podbiegając.

– Eminencjo, to jest mój parafianin, pan Yang.

– *Buon giorno* – przywitał go uprzejmie DiMilo. Odwrócił się, żeby spojrzeć na reporterów. Kamery mieli włączone, ale ustawili się tak, żeby nikomu nie przeszkadzać.

Zachowywali się lepiej niż przypuszczał. Podczas gdy Yu rozmawiał z Yangiem, kardynał podszedł do Barry'ego Wise'a, żeby wyjaśnić mu sytuację.

– Miał pan rację, mówiąc, że stosunki między katolikami a baptystami nie zawsze są tak przyjazne, jak powinny być, ale w tym wypadku jesteśmy jednomyślni. W tym szpitalu tutejsze władze chcą zabić noworodka. Yu chce uratować to dziecko. Franz i ja spróbujemy mu w tym pomóc.

– Mogą być kłopoty, sir – ostrzegł Wise. – W tym kraju strażnicy potrafią być brutalni.

DiMilo nie odznaczał się tężyzną fizyczną. Był niski i, zdaniem Amerykanina, ważył

dobrze piętnaście kilo za dużo. Miał przerzedzone włosy i obwisłą skórę. Prawdopodobnie nie mógł złapać tchu po wejściu schodami na piętro. A mimo to, kardynał jakby przeistoczył się na oczach Amerykanina. Znikł gdzieś miły uśmiech i łagodne usposobienie. DiMilo bardziej przypominał teraz generała na polu bitwy.

– Zagrożone jest życie niewinnego dziecka, *signore* Wise. – To było wszystko, co powiedział DiMilo; niczego więcej nie musiał mówić. Kardynał wrócił do swego chińskiego kolegi.

– Masz to? – spytał Barry Wise swego kamerzystę Pete Nicholasa.

– Jeszcze się, kurwa, pytasz? – odpowiedział tamten, nie odrywając oka od wizjera. Yang wyciągnął rękę. Yu poszedł we wskazanym kierunku. DiMilo i Schepke ruszyli za nim.

Kobieta w recepcji podniosła słuchawkę i zadzwoniła do kogoś. Ekipa CNN pośpieszyła za tamtymi na klatkę schodową i schodami na pierwsze piętro.

O ile to w ogóle było możliwe, oddział położniczy i ginekologiczny był jeszcze bardziej ponury niż izba przyjęć. Słyszeli krzyki, płacze i jęki rodzących kobiet, ponieważ w Chinach państwowa służba zdrowia nie marnowała środków przeciwbólowych na takie pacjentki.

Wise spostrzegł, że ten Yang, ojciec dziecka, w sprawie którego tu przyjechali, zatrzymał się na korytarzu, próbując zidentyfikować krzyki swojej żony wśród wszystkich innych.

Najwyraźniej nie udało mu się. Ruszył więc do biurka pielęgniarki.

Wise nie musiał znać chińskiego, żeby zrozumieć, na czym polegała wymiana zdań, która nastąpiła chwilę później. Yang, wspierany przez wielebnego Yu, zażądał, żeby mu powiedziano, gdzie leży jego żona. Przełożona pielęgniarek spytała, co oni wszyscy, do diabła, tutaj robią i powiedziała, że mają natychmiast wyjść! Yang, przerażony, ale dumnie wyprostowany, odmówił i powtórzył pytanie. Pielęgniarka znów mu powiedziała, żeby się wynosił. Wtedy Yang dopuścił się poważnego naruszenia zasad, chwytając pielęgniarkę za szyję. Widziało się to w jej oczach. Była wstrząśnięta, że ktoś ośmielił się zakwestionować w taki sposób władzę, która przyznało jej Państwo. Próbowwała się wyrwać, ale Yang trzymał

zbyt mocno. Po raz pierwszy spostrzegła, że w jego oczach nie było już strachu. Był

niepohamowany gniew, ponieważ Yang kierował się już tylko instynktem, wyzbywszy się tych wszystkich hamulców, które społeczeństwo wpajało w niego przez trzydzieści sześć lat.

Jego żona i dziecko byli w niebezpieczeństwie; dla nich gotów był rzucić się z gołymi rękami na ziejącego ogniem smoka, bez względu na konsekwencje. Nie widząc innego wyjścia, pielęgniarka wskazała ręką na lewo. Yang ruszył w tamtą stronę, Yu i pozostali dwaj duchowni razem z nim, a za nimi ekipa CNN. Pielęgniarka masowała sobie szyję i kasłała, z trudem łapiąc oddech, wciąż jeszcze zbyt zaskoczona, żeby się bać. Nie mogła pojąć, jak to było możliwe, żeby w taki sposób zlekceważono jej polecenia.

Yang Lien-Hua była w sali porodowej numer trzy. Ściany były wyłożone żółtawą glazurą; płytki ceramiczne na podłodze miały kiedyś taki sam kolor, ale zadeptywane przez lata były teraz brudnobrązowe.

Dla Kwiatu Lotosu był to koszmar bez końca. Sama, zupełnie sama w tej instytucji życia i śmierci, czuła, jak skurcze stają się coraz silniejsze, jak łączą się w jedno wielkie napięcie mięśni brzucha, wtłaczające nienarodzone dziecko do kanału rodnego, ku światu, który go nie chciał. Widziała to na twarzach pielęgniarek, żal i rezygnację; nieraz musiały już mieć w tym szpitalu do czynienia ze śmiercią, która przychodziła po pacjentów. Wszystkie wiedziały, że muszą się pogodzić z tym, co nieuniknione i próbowały trzymać się od tego na dystans, ponieważ to, co musiało zostać zrobione, było tak sprzeczne z całą naturą człowieka, że jedynym sposobem, żeby być tam i patrzeć na to była... duchowa ucieczka. Ale nawet ten sposób nie był skuteczny i choć nie przyznawały się do tego, nawet w rozmowach między sobą, kiedy stało się coś takiego, wracały po pracy do domu, żeby upaść na łóżko i płakać gorzko nad tym, co one, kobiety, musiały robić z noworodkami. Jedne tuliły w ramionach martwe dzieci, które nigdy nie zdążyły nabrać pierwszego oddechu, uprawniającego do życia, próbując okazać kobiecą troskę komuś, kto nigdy nie miał się o niej dowiedzieć, a może duchom zamordowanych dzieci, unoszącym się gdzieś w pobliżu. Inne postępowały zupełnie inaczej,

wrzucając je do koszy na odpady, jak śmieci, za które uważało je Państwo. Ale nawet one nigdy nie żartowały sobie z tego, w ogóle nigdy o tym nie mówiły, może tylko z wyjątkiem poinformowania, że zostało to zrobione albo że „na czwórce jest kobieta, której trzeba zrobić «zastrzyk»„.

Lien-Hua czuła to wszystko, gorzej – czytała im w myślach i w duchu błagała Boga o zmiłowanie. Czy to coś złego, zostać matką, nawet jeśli chodziła do chrześcijańskiego kościoła? Co było złego w tym, że chciała, aby drugie dziecko zastąpiło tamto pierwsze, które Los wyrwał jej z ramion? Dlaczego Państwo odmawiało jej prawa do macierzyństwa? Czy nie było żadnego wyjścia? Nie zabiła pierwszego dziecka, w odróżnieniu od wielu chińskich rodzin. Nie zamordowała swego Małego Smoka z błyszczącymi czarnymi oczkami, zabawnym uśmiechem na buzi i rączkami, które ją obłapywały. Jakaś inna moc zabrała jej to wszystko, a ona pragnęła, potrzebowała dziecka. Jeszcze tylko jednego. Nie była chciwa. Nie chciała wychowywać dwójki dzieci. Tylko jedno. Jedno, które ssałoby jej pierś i uśmiechało się do niej co rano. Potrzebowała tego. Ciężko pracowała dla Państwa, nie prosząc o wiele w zamian, ale na tym jej zależało! Miała do tego prawo jako istota ludzka!

Ale teraz była już tylko zrozpaczona. Próbowwała powstrzymać skurcze, nie dopuścić do porodu, ale równie dobrze mogłaby próbować zatrzymać morskie fale gołymi rękoma. Jej maleństwo przychodziło na świat. Czuła to. Widziała potwierdzenie na twarzy położnej. A położna spojrzała właśnie na zegarek i wychyliła się z sali, machając na kogoś ręką, podczas gdy Lien-Hua usiłowała nie przeć, nie urodzić, nie wydać dziecka Śmierci. Walczyła, kontrolowała oddech, powściągała skurcze mięśni, dyszała, zamiast oddychać głęboko, walczyła i walczyła, ale wszystko na próżno. Wiedziała o tym. Nie było tu jej męża, żeby jej bronić. Był na tyle mężczyzną, że przywiózł ją tutaj, ale nie na tyle, żeby uchronić ją i swoje własne dziecko przed tym, co się teraz miało stać. Ze zwątpieniem przyszło odprężenie. Już czas. Rozpoznała to uczucie. Nie miała już siły walczyć. Czas się poddać.

Lekarz zobaczył machającą ręką pielęgniarkę. Mężczyznom przychodziło to łatwiej, więc to oni robili większość „zastrzyków” w tym szpitalu. Wziął strzykawkę o pojemności 50

centymetrów sześciennych, podszedł do szafki z lekami, otworzył ją i wyjął dużą butelkę z formaldehydem. Nappełnił strzykawkę, nie zawracając sobie głowy usuwaniem pęcherzyków powietrza, ponieważ celem tego zastrzyku było zabicie i wszelka troska była zbędna. Ruszył

korytarzem do sali porodowej numer trzy. Był tego dnia od dziewięciu godzin na dyżurze.

Kilka godzin wcześniej pomyślnie przeprowadził trudną operację cesarskiego cięcia, a teraz miał zakończyć dzień pracy w taki sposób. Nie lubił tego. Robił to, bo taka była jego praca i taka była polityka Państwa. Co za głupia baba, żeby zachodzić w ciążę bez zezwolenia. To naprawdę była jej wina. Wiedziała, jakie są przepisy. Wszyscy wiedzieli. Nie można było nie wiedzieć. Ale ona złamała te przepisy. Tylko że nie ona zostanie za to ukarana. Nie pójdzie do więzienia, nie straci pracy, nie będzie musiała płacić grzywny. Po prostu pójdzie do domu z macicą w takim stanie, jak przed dziewięcioma miesiącami, pustą. Postarzeje się trochę i zmądrzeje, będzie wiedziała, że gdyby miało się to powtórzyć, o wiele lepszym wyjściem będzie aborcja w drugim czy trzecim miesiącu, zanim jeszcze zdąży się przywiązać do tego przekłętego bachora. Do diabła, przecież to o wiele lepsze, niż przechodzić cały poród na darmo. Smutne to, ale w życiu było wiele smutku, a w tym

wypadku i on, i ta kobieta, wybrali go sobie z własnej woli. On, bo postanowił zostać lekarzem, a ta kobieta w sali numer trzy, bo zdecydowała się zająć w ciążę.

Przed wejściem do sali numer trzy założył maskę na twarz, bo nie chciał, żeby ta kobieta złapała jakąś infekcję. Z tego samego powodu wziął sterylną strzykawkę, na wypadek, gdyby omsknęła mu się ręka i ukłuł ją niechcący.

Do roboty.

Usiadł na stołku, z którego położnicy korzystali zarówno do przyjmowania porodów, jak i do przeprowadzania późnych aborcji. Procedura, którą stosowano w Ameryce, była trochę przyjemniejsza. Po prostu należało się wkłuć w główkę dziecka, odessać mózg, zgnieść czaszkę i wyciągnąć to wszystko; było z tym o wiele mniej kłopotów niż z donoszonym płodem i kobieta cierpiała o wiele mniej. Zastanawiał się, jak to było z tą tutaj, ale uznał, że nie ma sensu się dowiadywać. Po co, skoro i tak niczego nie mógł zmienić?

Więc dalej.

Spojrzał. Rozwarcie było już pełne i... tak, było już widać główkę. Małą, owłosioną.

Lepiej poczekać jeszcze minutę, czy dwie, żeby, kiedy on spełni już swój obowiązek, kobieta mogła od razu wypchnąć płód i mieć już z tym spokój. Będzie potem mogła pójść sobie, popłakać trochę i zacząć przechodzić nad tym do porządku. Był trochę zanadto skoncentrowany, żeby zwrócić uwagę na zamieszanie na korytarzu przed salą porodową.

Yang pchnął drzwi i oto wszystko było jak na dłoni. Lien-Hua leżała na stole porodowym. Quon nigdy przedtem nie widział czegoś takiego; kobieta miała uniesione i rozłożone nogi, jakby ten stół miał ułatwić robotę gwałcicielowi. Lien-Hua miała głowę odchyloną do tyłu, zamiast patrzeć, jak rodzi się jej dziecko i Quon od razu się zorientował, dlaczego.

Ten... lekarz, chyba lekarz, trzymający w ręku wielką strzykawkę, pełną...

...zdążyli! Yang Quon odepchnął lekarza, zrzucając go ze stołka. Podbiegł do żony i spojrzał jej w oczy.

– Jestem tutaj, Lien! Wielebny Yu jest ze mną. – W mrocznej sali jakby pojaśniało.

– Quon! – wykrzyknęła Lien-Hua, odczuwając potrzebę parcia i wreszcie pragnąc tego.

Ale sytuacja zaczęła się komplikować. Szpital miał własną ochronę, ale jeden ze strażników, zaalarmowany przez recepcjonistkę, zadzwonił po milicję. W odróżnieniu od strażników, milicjanci byli uzbrojeni. Dwóch funkcjonariuszy, którzy pojawili się na korytarzu, zaskoczył

widok cudzoziemców ze sprzętem telewizyjnym. Zignorowali ich jednak i wpadli do sali porodowej,

gdzie zobaczyli rodzącą kobietę, lekarza na podłodze i czterech mężczyzn, w tym dwóch cudzoziemców!

– Co tu się dzieje?! – wrzasnął starszy z nich, jako że zastraszanie było podstawowym instrumentem kontrolowania ludności w ChRL.

– Ci ludzie przeszkadzają mi w wykonywaniu obowiązków! – odpowiedział lekarz, również krzyżąc. Wiedział, że jeśli nie będzie działał szybko, to przekłete dziecko urodzi się, zacznie oddychać i on nie będzie już mógł...

– Co? – Milicjant domagał się wyjaśnień.

– Ta kobieta jest w nieautoryzowanej ciąży i moim obowiązkiem jest spędzenie płodu. Ci ludzie mi w tym przeszkadzają. Proszę ich stąd usunąć.

To wystarczyło milicjantom. Zwrócili się do mężczyzn, którzy weszli tu bezprawnie. –

Natychmiast stąd wyjść! – rozkazał starszy milicjant. Drugi funkcjonariusz trzymał rękę na chwycie służbowego pistoletu.

– Nie! – odpowiedzieli natychmiast Yang Quon i Yu Fa An.

– To polecenie doktora, musicie wyjść – nie ustępował milicjant. Nie przywykł, żeby ludzie sprzeciwiali się jego rozkazom. – Natychmiast macie stąd wyjść!

Lekarz uznał to za sygnał, że może wreszcie spełnić swój ohydny obowiązek i iść do domu. Podniósł przewrócony stołek i postawił go na odpowiednim miejscu.

– Nie zrobisz tego! – Yu włożył w te słowa cały autorytet moralny, jaki mógł mu dać jego status i wykształcenie.

– Zabierzcie go stąd – warknął lekarz na milicjantów, podsuwając sobie stołek. Quon, stojący przy głowie żony, niewiele mógł zrobić. Ku swemu przerażeniu zobaczył, jak lekarz unosi strzykawkę i poprawia sobie okulary na nosie. W tej samej chwili jego żona, na którą przez ostatnie dwie minuty nikt nie zwracał uwagi, nabrała głęboko powietrza i zdobyła się na ostatni wysiłek.

– No – mruknął lekarz. Cała główka płodu była już na zewnątrz i wystarczyło tylko...

Wielebny Yu widział w życiu tyle zła, co większość duchownych, czyli nie mniej niż doświadczony policjant, ale żeby na jego oczach miano zamordować dziecko? Tego już było za wiele. Bez ceregieli odepchnął młodszego milicjanta, uderzył lekarza w tył głowy i rzucił

się na niego.

– Nagrywasz to? – spytał Barry Wise na korytarzu.

– Aha – potwierdził Nichols.

Młodszeo milicjanta uraziła nie tyle napaść na lekarza, co fakt, że ten... ten obywatel odważył się podnieść rękę na umundurowanego funkcjonariusza Milicji Ludowej. Oburzony, wyciągnął pistolet i sytuacja z chaotycznej zmieniła się w śmiertelnie niebezpieczną.

– Nie! – krzyknął kardynał DiMilo, rzucając się na młodszego milicjanta. Funkcjonariusz odwrócił się, słysząc ten krzyk i zobaczył starszego *qwai*, cudzoziemca, w bardzo dziwnym ubraniu, biegnącego ku niemu z wrogim wyrazem twarzy. Pierwszą reakcją milicjanta było uderzenie cudzoziemca w twarz, zadane pustą lewą ręką.

Kardynała Renato DiMilo nikt nie uderzył od czasu, kiedy był dzieckiem, a ten afront wobec jego osoby był tym bardziej niedopuszczalny z uwagi na jego status duchownego i dyplomaty. No i żeby uderzył go taki dzieciak? Potrząsnął głową i odepchnął milicjanta na bok, chcąc wesprzeć Yu, pomóc mu nie dopuścić tego lekarza-mordercy do dziecka, które właśnie przychodziło na świat. Lekarz pochylił się nad kobietą, unosząc strzykawkę.

Kardynał szarpnął go za rękę. Strzykawka uderzyła o ścianę. Nie rozbiła się, bo była z plastiku, ale zgięła się metalowa igła.

I na tym wszystko mogłoby się zakończyć, gdyby milicjanci lepiej rozumieli, co się działo, albo chociaż gdyby byli lepiej wyszkoleni. Ale nie rozumieli i nie byli wyszkoleni.

Teraz po pistolet wz. 77 sięgnął starszy funkcjonariusz. Użył go, żeby zdzielić Włocha w tył głowy, ale zrobił to tak niezdarnie, że zdołał jedynie pozbawić cudzoziemca równowagi i rozciąć mu skórę na głowie.

Prałat Schepke nie czekał dłużej. Jego kardynał, człowiek, którego Schepke miał obowiązek strzec, został zaatakowany. Schepke był księdzem. Nie wolno mu było zabijać.

Nie mógł atakować. Ale mógł stawać w obronie. I uczynił to, wykręcając milicjantowi rękę z pistoletem, w bezpiecznym kierunku, tak, żeby lufa nie była skierowana na nikogo z obecnych na sali. W tym momencie pistolet wystrzelił. Pocisk rozpląszczył się na betonowym suficie, nie robiąc nikomu krzywdy, ale huk wystrzału w niewielkiej sali był ogłuszający.

Młodszy milicjant pomyślał, że jego towarzysz znalazł się w opałach. Odwrócił się gwałtownie i strzelił, chybił Schepkego, ale trafił kardynała DiMilo w plecy. Pocisk kalibru 9

mm przeszedł na wylot przez ciało, uszkadzając duchownemu śledzionę. Ból był dla DiMilo zaskoczeniem, ale kardynał nie spuszczał wzroku z rodzącego się dziecka.

Huk wystrzału przestraszył Lien-Hua i spowodował u niej instynktowny skurcz. Dziecko wyszło na świat i upadłoby na podłogę, gdyby nie wyciągnięte ręce wielebnego Yu, który złapał je, prawdopodobnie ratując noworodkowi życie. Leżąc na boku spostrzegł, że drugi strzał poważnie zranił jego katolickiego przyjaciela. Trzymając dziecko podniósł się i spojrział

mściwie na młodego milicjanta.

– *Huai Dan!* Złoczyńco! – krzyknął. Zapomniawszy o dziecku, które trzymał w ramionach, rzucił się na zdezorientowanego i wystraszonego milicjanta.

Automatycznie, jak robot, młodszy funkcjonariusz wyciągnął rękę z pistoletem i strzelił baptyście w sam środek czoła.

Yu okręcił się i upadł na rozciągniętego na podłodze DiMilo. Upadł na plecy i własnym ciałem zamortyzował upadek noworodka.

– Schowaj broń! – wrzasnął starszy milicjant do swego młodego partnera, ale nikt nie mógł już cofnąć tego, co się stało. Wielebny Yu nie żył; z dziury, wyrwanej przez pocisk w tylnej części czaszki chlustała na brudne kafelki podłogi masa mózgowa i krew.

Lekarz pierwszy podjął jakieś inteligentne działanie. Dziecko już się urodziło, więc nie mógł go zabić. Wyjął je z martwych ramion Yu i uniósł, trzymając za stopki, żeby dać mu klapsa, ale maleństwo i bez tego zapłakało. Doktor pomyślał, że całe to szaleństwo miało przynajmniej jeden dobry skutek. To, że jeszcze przed minutą chciał zabić to dziecko, było zupełnie inną sprawą. Wtedy były to po prostu nieautoryzowane tkanki. Teraz – oddychający obywatel Chińskiej Republiki Ludowej i obowiązkiem lekarza było zapewnić mu opiekę medyczną. Schizofreniczność takiego podejścia w ogóle nie przyszła mu do głowy.

Przez kilka następnych sekund ludzie próbowali połapać się jakoś w tym, co się stało.

Prałat Schepke zobaczył, że Yu nie żyje. Musiał być martwy z taką raną głowy. Zwrócił się do kardynała.

– Eminencjo – powiedział, przyklękając, żeby podnieść ciało z podłogi.

Renato DiMilo dziwił się, że prawie nie czuje bólu, bo wiedział, że śmierć jest już blisko.

Miał poszarpaną śledzionę i poważny krwotok wewnętrzny. Nie miał czasu pomyśleć o swym życiu, ani o tym, co go czeka w najbliższej przyszłości. W swych ostatnich chwilach jeszcze raz potwierdził, że swe życie poświęcił służbie bożej i wierze.

– Franz, co z dzieckiem? – wyszeptał, z trudem łapiąc oddech.

– Żyje – powiedział prałat Schepke umierającemu.

Renato uśmiechnął się łagodnie. – *Bene* – powiedział i na zawsze zamknął oczy.

Ostatnim ujęciem, nagrany przez ekipę CNN, było dziecko, leżące na piersi matki. Nie znali jej nazwiska, na twarzy malowało jej się zupełne zdezorientowanie, ale kiedy poczuła swą córeczkę, kontrolę przejął instynkt macierzyński i jej twarz odmieniła się w jednej chwili.

– Barry, powinniśmy już stąd spieprzać – doradził po cichu kamerzysta.

– Chyba masz rację, Pete. – Wise cofnął się i ruszył korytarzem na lewo, do schodów.

Miał materiał, wart nagrody Emmy. Był świadkiem wydarzeń o niezrównanej dramaturgii, zarejestrował je i teraz musiał nadać ten materiał, i to szybko.

Na sali porodowej starszy milicjant, któremu wciąż dzwoniło w uszach od huku wystrzałów, potrząsał głową, usiłując zrozumieć, co tu się, u diabła, stało. Nagle zorientował

się, że światło zrobiło się mniej jaskrawe; nie było ekipy telewizyjnej! Musiał coś zrobić.

Wybiegł z sali, spojrzął w prawo i zobaczył ostatniego z Amerykanów, znikającego na klatce schodowej. Zostawił swego młodszego kolegę na sali porodowej i popędził za cudzoziemcami, zbiegając po schodach, jak mógł najszybciej.

Wise poprowadził swoich ludzi przez korytarz na parterze prosto do głównego wejścia, przy którym stał ich mikrobus z nadajnikiem satelitarnym. Byli już prawie przy drzwiach, kiedy zatrzymał ich głośny okrzyk. Odwrócili się i zobaczyli milicjanta, tego starszego; miał

jakieś czterdzieści lat. Znów trzymał w ręku pistolet, ku zaskoczeniu i przerażeniu cywilów w izbie przyjęć.

– Idziemy dalej – powiedział Wise swoim ludziom. Chwilę później znaleźli się na zewnątrz. Mikrobus czekał z miniaturową anteną satelitarną na dachu.

– Stać! – zawołał milicjant. Okazało się, że znał trochę angielski.

– W porządku, chłopaki, tylko spokój – powiedział Wise do pozostałych trzech.

– Wszystko pod kontrolą – zapewnił kamerzysta Pete. Zdjął już kamerę z ramienia i odwrócił się teraz bokiem, żeby milicjant nie widział jego rąk.

Milicjant schował pistolet do kabury i podszedł do nich z uniesioną prawą ręką. – Dajcie mi taśmę – powiedział. Akcent miał paskudny, ale można go było zrozumieć.

– Taśma stanowi moją własność! – zaprotestował Wise. – Należy do mnie i do mojej firmy.

Angielszczyzna milicjanta nie była aż tak dobra. Chińczyk powtórzył po prostu swe żądanie: – Dajcie mi taśmę!

– W porządku Barry – powiedział Pete. – Już oddaję.

Kamerzysta Peter Nichols uniósł kamerę, nacisnął klawisz z napisem EJECT i z kamery Sony wysunęła się kaseta formatu beta. Kiedy podawał ją funkcjonariuszowi milicji, na twarzy malowało

mu się rozgoryczenie i złość. Milicjant wziął kasetę, nie kryjąc satysfakcji, zrobił w tył zwrot i poszedł z powrotem do szpitala.

Nie mógł wiedzieć, że Pete Nichols, jak każdy dobry kamerzysta, potrafił podmienić kasetę równie sprawnie, jak szuler, wyciągający asa z rękawa. Mrugnął do Wise'a i wszyscy czterej poszli do mikrobusu.

– Od razu nadajemy? – spytał producent.

– Nie róbmy tego zbyt ostentacyjnie – powiedział Wise. – Odjedźmy kawałek. Pojechali na zachód, w stronę Placu Tiananmen, gdzie wóz transmisyjny ekipy telewizyjnej nie był

niczym niezwykłym. Wise rozmawiał już z Atlantą przez swój telefon satelitarny.

– Tu Wise z wozu transmisyjnego w Pekinie, gotów do nadawania – powiedział

korespondent do telefonu.

– Cześć, Barry – odpowiedział znajomy głos. – Tu Ben Golden. Co masz dla nas?

– Sensację – poinformował go Wise. – Podwójne zabójstwo i narodziny dziecka. Jednym z zabitych jest katolicki kardynał, ambasador Watykanu w Pekinie. Drugi, to chiński baptysta.

Obaj zostali zastrzeleni przed kamerą. Powinieneś chyba skontaktować się w tej sprawie z naszymi prawnikami.

– O, cholera! – mruknął facet w Atlancie.

– Nadajemy teraz surowy materiał. Potem dogram mój komentarz, ale najważniejsze, żebyście zaraz dostali wideo.

– Rozumiem. Czekamy na kanale zero sześć.

– Pete, zero sześć – powiedział Wise swojemu kamerzyście, który obsługiwał również nadajnik satelitarny.

Nichols klęczał przy konsoli. – Uwaga... kasetą włożoną... ustawiam na szóstkę...

transmisja... teraz! – W tym momencie sygnał, wysłany w paśmie Ku popędził przez atmosferę do satelity, wiszącego 36.700 kilometrów nad Wyspami Admiralicji na Morzu Bismarcka.

CNN nie zawraca sobie głowy kodowaniem swych sygnałów wideo. Byłoby to technicznie niewygodne, a mało kto zadaje sobie trud nielegalnego przechwytywania sygnałów, które bez

najmniejszego wysiłku może otrzymać za darmo w swojej telewizji kablowej z kilkuminutowym opóźnieniem, czy też zaledwie czterosekundowym w wypadku transmisji na żywo.

Ale ten materiał nadszedł o nietypowej porze, co zresztą było korzystne dla CNN w Atlancie, bo paru ludzi z centrali chciało się z nim zapoznać. Zastrzelenie człowieka nie należało do tematów, które przeciętny Amerykanin chciał oglądać przy śniadaniu.

Sygnal wideo przechwyciły również amerykańskie służby wywiadowcze w Atlancie, mające bardzo dobrą opinię o CNN i na pewno nie rozpowszechniające zbyt szeroko materiałów tej telewizji. Ale ten materiał został przesłany do Biura Łączności Białego Domu, placówki o charakterze wojskowym, zlokalizowanej w podziemiach Zachodniego Skrzydła.

Tam oficer dyżurny musiał ocenić, jak ważny był to materiał. Gdyby było to coś, kwalifikującego się do kategorii krytyczne, prezydent musiałby się o tym dowiedzieć w ciągu piętnastu minut, co oznaczało, że należało go natychmiast obudzić, a w wypadku Naczelnego Dowódcy czegoś takiego nie robiło się bez głębszego zastanowienia. Kategoria „pilne” mogła zaczekać trochę dłużej, powiedzmy... Oficer dyżurny spojrział na zegarek... Powiedzmy, do śniadania. Zamiast budzić prezydenta, zadzwonili więc do jego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, doktora Benjamina Goodleya. Niech on zawiadamia szefa, w końcu należało to do jego obowiązków.

– Tak? – warknął Goodley do słuchawki, spoglądając na radio z zegarkiem, stojące na szafce obok łóżka.

– Doktorze Goodley, tu Biuro Łączności. Właśnie skopiowaliśmy materiał CNN z Pekinu, który powinien zainteresować szefa.

– Co to jest? – spytał Szuler. A kiedy wysłuchał odpowiedzi, zadał następne pytanie: – Na ile jesteście tego pewni?

– Sądząc po wideo, wygląda na to, że ten Włoch mógł przeżyć... to znaczy, jeśli był tam pod ręką dobry chirurg... ale ten chiński duchowny z rozwaloną czaszką zginął na miejscu.

Nie miał żadnych szans, sir.

– O co tam w ogóle chodziło?

– Nie jesteśmy pewni. Może ABN przechwyciła rozmowę telefoniczną tego Wise'a z Atlantą, ale na razie nic o tym nie wiemy.

– W porządku, powiedz mi jeszcze raz, co macie – polecił Goodley, teraz już prawie rozbudzony.

– Sir, mamy materiał filmowy, przedstawiający zastrzelenie dwóch facetów i narodziny dziecka w Pekinie. Wideo przesłał Barry Wise z CNN. Na filmie widać trzy strzały, jeden pocisk trafił w sufit w pomieszczeniu, które wygląda na salę porodową. Drugi ugodził

jednego z facetów w plecy. Ten człowiek został zidentyfikowany jako nuncjusz papieski w Pekinie. Trzeci pocisk trafił prosto w głowę faceta, zidentyfikowanego jako baptysta mieszkający w Pekinie. Wydaje się, że to Chińczyk. W międzyczasie urodziło się dziecko.

Teraz... chwileczkę, doktorze Goodley, właśnie przyszło coś pilnego z Fort Meade. W

porządku, też mają ten materiał, a także transmisje audio ze swojego systemu Echelon, właśnie ją nam przekazują. Dobra, ten katolicki kardynał nie żyje... nazywa się Renato DiMilo... nie mam teraz jak sprawdzić pisowni, na pewno ci z Departamentu Stanu będą wiedzieli... a ten chiński duchowny nazywa się Yu Fa An, też nie wiem, jak się to pisze. Byli tam, żeby... aha, już mam, żeby zapobiec aborcji i wygląda na to, że im się udało, ale ci dwaj duchowni zginęli. Był tam jeszcze trzeci duchowny, jakiś prałat Franz Schepke... to mi wygląda na niemieckie nazwisko... i wygląda na to, że przeżył... tak, to musi być ten wysoki, którego widać na filmie. Musiał tam być straszny zamęt, sir, a scena, kiedy ten Yu dostaje w łeb przypomina tamtą pamiętą scenę z Sajgonu podczas ofensywy Tet. Wie pan, kiedy ten pułkownik południowowietnamskiej policji strzelił północnowietnamskiemu szpiegowi w skroń z *Chief's Special* i krew chlusnęła z głowy fontanną. Mało przyjemny widok, zwłaszcza przy śniadaniu – powiedział oficer dyżurny.

Aluzja była wystarczająco przejrzysta. Tamten incydent w Wietnamie media rozrobiły jako przykład krwiożerczości władz południowowietnamskich. I nigdy nie wyjaśniły –

prawdopodobnie w ogóle nie wiedziały – że zastrzelony był oficerem armii północnowietnamskiej, schwytanym w strefie działań wojennych w cywilnym ubraniu, więc, zgodnie z Protokołami Genewskimi, jako szpieg mógł zostać stracony bez sądu i dokładnie to go spotkało.

– W porządku, co jeszcze?

– Budzimy szefa? Wie pan, mamy tam ekipę dyplomatyczną, a ta sprawa będzie miała poważne implikacje.

Goodley zastanawiał się przez chwilę. – Nie, powiadomię go za parę godzin.

– Sir, CNN na pewno nada to w wiadomościach o siódmej rano – ostrzegł oficer dyżurny.

– Mimo to, wolę go zawiadomić, kiedy będziemy mieli coś więcej niż obrazki.

– To pańska decyzja, doktorze Goodley.

– Dzięki. Sam też spróbuję zdrzemnąć się jeszcze na godzinę, zanim pojedę do Langley. –

Goodley odłożył słuchawkę, nie czekając, co tamten powie. Jego stanowisko było bardzo prestiżowe, ale nie pozostawiało zbyt wiele czasu na sen, życie towarzyskie czy seksualne, i w takich chwilach zastanawiał się, co w tym, do cholery, było takiego prestiżowego.

Dziura w ogrodzeniu

Szybkość współczesnej łączności powoduje czasem dziwne sytuacje. W tym wypadku rząd amerykański dowiedział się o tym, co zaszło w Pekinie o wiele wcześniej niż rząd chiński. Informacje, które dotarły do Biura Łączności Białego Domu, trafiły także do Centrum Operacyjnego Departamentu Stanu, gdzie najwyższy rangą z obecnych tam funkcjonariuszy zdecydował, co było dość naturalne, żeby natychmiast przesłać te informacje do ambasady USA w Pekinie. Ambasador Carl Hitch odebrał telefon przy swoim biurku, na bezpiecznej linii. Dwukrotnie kazał sobie potwierdzić informacje, które przekazano mu z Departamentu Stanu, a potem jego pierwszą reakcją było gwizdnięcie. Nieczęsto się zdarzało, żeby akredytowany ambasador ginął w kraju urzędowania, a tym bardziej z rąk gospodarzy. I co Waszyngton zrobi z takim pasztetem?

– Jasna cholera – szepnął Hitch. Nie zdążył się nawet spotkać z kardynałem DiMilo.

Oficjalne przyjęcie miało się odbyć dopiero za dwa tygodnie. Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Uznał, że przede wszystkim należy wysłać kondolencje do nuncjatury.

(Departament Stanu prawdopodobnie powiadomi o wszystkim Watykan za pośrednictwem nuncjusza w Waszyngtonie. Może nawet sekretarz stanu Adler pojedzie tam osobiście z oficjalnymi kondolencjami. Cholera, prezydent Ryan jest katolikiem, więc może i on uda się tam osobiście, spekulował Hitch). No to do roboty, powiedział sobie Hitch. Poleciał sekretarce połączyć się z rezydencją nuncjusza, ale telefon odbierał tam jakiś Chińczyk, co niczego nie ułatwiało. Z tym trzeba więc będzie poczekać... a co z ambasadą włoską? Nuncjusz był

chyba obywatelem włoskim. W porządku. Zajrzał do swej kolekcji wizytówek i wybrał prywatny numer ambasadora Włoch.

– Paulo? Tu Carl Hitch... Dziękuję, a ty? Obawiam się, że mam złe wiadomości...

nuncjusz papieski, kardynał DiMilo został zastrzelony w którymś z pekińskich szpitali przez chińskiego milicjanta... niedługo powinni to dać w CNN... nie wiem dokładnie, kiedy...

obawiam się, że to pewne... nie mam zbyt dokładnych informacji, ale powiedziano mi, że usiłował tam zapobiec śmierci dziecka, wiesz, jedna z tych późnych aborcji, które tu praktykują... tak... słuchaj, czy on nie pochodził z jakiejś znanej rodziny? – Od tej chwili Hitch robił już notatki. – Jak mówisz, Vincenzo? Rozumiem... Minister sprawiedliwości dwa lata temu? Próbowałem się tam dodzwonić, ale telefon odbierał ktoś z miejscowych...

Niemiec? Schepke? – Kolejne notatki. – Rozumiem, Dziękuję ci, Paulo. Słuchaj, gdybyśmy mogli ci w czymś pomóc... Jasne. Cześć. – Odłożył słuchawkę.

– Cholera. I co teraz? – spytał swe biurko. Mógłby przekazać złe wieści także ambasadzie Niemiec, ale uznał, że może to zrobić ktoś inny. Najpierw... Spojrzał na zegarek. W

Waszyngtonie dopiero świtało; kiedy się pobudzą będzie ich czekała burza. Uznał, że do jego

obowiązków należy sprawdzenie, co się naprawdę stało, żeby mieć pewność, że Waszyngton dysponuje rzetelnymi informacjami. Ale jak to, u diabła, zrobić? Potencjalnie najlepszym źródłem informacji był ten prałat Schepke, ale jedynym sposobem na skontaktowanie się z nim byłoby czekanie pod misją Watykanu, aż wróci do domu. Hm, a może Chińczycy gdzieś go trzymają? Nie, raczej nie. Kiedy ich Ministerstwo Spraw Zagranicznych dowie się o wszystkim, będą zapewne stawać na głowie, próbując przeproszać. Wzmocnią ochronę rezydencji nuncjusza, nie dopuszczając dziennikarzy, ale nie będą zadzierać z akredytowanymi dyplomatami, nie po tym, kiedy jednego właśnie zabili. To wszystko było zupełnie niesamowite. Carl Hitch zaczął pracować w służbie dyplomatycznej, kiedy miał

dwadzieścia kilka lat. Nigdy dotąd nie zetknął się z czymś takim, przynajmniej od czasu, kiedy Spike Dobbs był przetrzymany w Afganistanie przez partyzantów jako zakładnik.

Rosjanie spieprzyli wtedy operację ratunkową i Dobbs zginął. Niektórzy twierdzili, że właśnie o to chodziło, ale przecież nawet Sowieci nie byli aż tak głupi. To, co się wydarzyło tego dnia w Pekinie też nie było dokonane z premedytacją. Chińczycy byli komunistami, a komuniści nie prowadzą takich rozgrywek. Po prostu nie leży to w ich naturze.

No więc, jak do tego doszło? I co się dokładnie wydarzyło?

I kiedy powiedzieć o tym Cliffowi Rutlegde'owi? Jakie to będzie miało konsekwencje dla rozmów handlowych? Carl Hitch doszedł do wniosku, że czeka go pracowity wieczór.

– Chińska Republika Ludowa nie pozwoli sobie niczego dyktować – zakończył minister spraw zagranicznych Shen Tang.

– Panie ministrze – odparł Rutledge – Stany Zjednoczone nie zamierzają niczego i nikomu dyktować. Sami określcie waszą politykę odpowiednio do potrzeb waszego kraju.

Rozumiemy to i szanujemy. Żądamy jednak, żebyście i wy zrozumieli i uszanowali nasze prawo do określania naszej polityki odpowiednio do potrzeb naszego kraju. W tym wypadku oznacza to sięgnięcie po postanowienia Ustawy o Reformie Handlu.

To był strzał z grubej rury i wszyscy obecni zdawali sobie z tego sprawę. Mark Gant wiedział, że ta ustawa upoważnia władzę wykonawczą do stosowania wobec towarów z innych krajów takich samych przepisów, jakie te kraje stosowały wobec towarów amerykańskich. Oznaczało to praktyczną realizację, w stosunkach międzynarodowych, porzekadła: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. W tym wypadku wszystko, co Chiny robiły, żeby nie dopuścić towarów amerykańskich na swój rynek, miało zostać zastosowane wobec chińskich towarów; chińska nadwyżka w handlu z USA wynosiła siedemdziesiąt miliardów dolarów rocznie, więc zastosowanie wobec Chin Ustawy o Reformie Handlu mogło oznaczać dla Pekinu stratę siedemdziesięciu miliardów dolarów. Zabraknie twardej waluty, niezbędnej do kupowania w Ameryce i gdzie indziej tego, czego potrzebowały władze ChRL. Handel miał się stać handlem – coś za coś; w teorii zawsze tak było, ale jakoś tak się składało, że nigdy nie realizowano tego w praktyce.

– Jeśli Ameryka nałoży embargo na handel z Chinami, Chiny będą mogły uczynić to samo wobec Ameryki i uczynią to – odpalił Shen.

– Co nie będzie służyło ani waszym interesom, ani naszym – powiedział Rutledge. Nie musiał dodawać, że uważa to za czczą pogroźkę. Chińczycy i tak zdawali sobie z tego sprawę.

– A co z klauzulą najwyższego uprzywilejowania dla naszego kraju? Co z przyjęciem Chin do Światowej Organizacji Handlu? – nalegał chiński minister.

– Panie ministrze, Ameryka nie może ustosunkować się przychylnie ani do jednego, ani do drugiego, dopóki pański kraj oczekuje otwartych rynków dla swojego eksportu, ale sam zamyka się na import. Handel, sir, oznacza zrównoważoną wymianę waszych towarów za nasze – podkreślił ponownie Rutledge, chyba już po raz dwunasty od lunchu. Może tym razem facet wreszcie zrozumie. Nie, to nie fair. Już dawno rozumiał. Po prostu nie przyjmował tego do wiadomości. Była to próba przeniesienia chińskiej polityki wewnętrznej na stosunki międzynarodowe.

– I znów chcecie coś dyktować Chińskiej Republice Ludowej! – odparł Shen, rozgniewany, naprawdę albo na pokaz, jakby chciał zasugerować, że Rutledge bezprawnie zajął jego miejsce parkingowe.

– Nie, panie ministrze, niczego takiego nie robimy. To wy próbowaliście dyktować warunki Stanom Zjednoczonym. Mówicie, że musimy zaakceptować wasze warunki handlowe. Cóż, jesteście w błędzie. Nie potrzebujemy waszych towarów bardziej, niż wy potrzebujecie naszych. – Tylko że wam nasza twarda waluta jest potrzebna o wiele bardziej niż nam wasze pieprzone zabawki dla psów!

– Nie musimy kupować samolotów od Boeinga, równie dobrze możemy się zwrócić do Airbusa.

To naprawdę zaczynało być męczące. Rutledge’a aż korciło, żeby odpowiedzieć: Ale czym za nie zapłacisz, żółtku, nie mając naszych dolarów? Jednak Airbus oferował swym klientom bardzo korzystne kredyty. Był to jeszcze jeden przykład, jak europejskie przedsiębiorstwa, subsydiowane przez rządy, „uczciwie” konkurują na rynku z prywatnymi korporacjami amerykańskimi. Rutledge powiedział więc: – Tak, panie ministrze, nie musicie, a my nie musimy kupować waszych towarów, równie dobrze możemy importować z Tajwanu, Korei, Tajlandii czy Singapuru. – I tamci na pewno będą kupować te pieprzone samoloty od Boeinga! – Ale nie leży to w interesie waszego narodu ani naszego – zakończył

racjonalnie.

– Jesteśmy suwerennym państwem i suwerennym narodem – odparł Shen, trzymając się dotychczasowej linii; Rutledge doszedł do wniosku, że cała ta retoryka ma na celu osiągnięcie przewagi słownej. W przeszłości taka strategia wielokrotnie dawała dobre rezultaty, ale Rutledge miał swoje instrukcje, nakazujące mu zignorowanie wszelkiej dyplomatycznej teatralności, a Chińczycy jeszcze się w tym nie zorientowali. Może za kilka dni, pomyślał.

– Tak samo, jak my, panie ministrze – powiedział Rutledge, kiedy Shen skończył.

Następnie spojrział ostentacyjnie na zegarek. Shen zrozumiał aluzję.

– Sugeruję przerwę do jutra – powiedział minister spraw zagranicznych ChRL.

– Dobrze. Cieszę się na spotkanie z panem jutro rano, panie ministrze – odpowiedział

Rutledge, wstał i pochylił się nad stołem, podając mu rękę. Pozostali zrobili to samo, chociaż Mark Gant nie miał akurat naprzeciwko siebie partnera, z którym mógłby się uprzejmie pożegnać. Delegacja amerykańska wyszła z sali i skierowała się do czekających przed budynkiem samochodów.

– Gorąco było – zauważył Gant, kiedy tylko znaleźli się na zewnątrz. Rutledge uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony. – Tak, to nawet było zabawne. – Zrobił przerwę. –

Sądzę, że usiłują wybadać, ile mogą wskórać pogroźkami. Normalnie Shen jest raczej spokojny. Z reguły chce wszystko załatwiać uprzejmie i miło.

– Więc i on dostał instrukcje? – powiedział Gant.

– Oczywiście, ale Shen odpowiada przez Biurem Politycznym, podczas gdy my podlegamy Scottowi Adlerowi, a on prezydentowi Ryanowi. Wiesz, wściekałem się trochę na instrukcje, jakie dostałem na te rozmowy, a tymczasem robi się nawet dość zabawnie.

Nieczęsto wolno nam tak się odszczekiwać. Reprezentujemy Stany Zjednoczone, więc mamy być uprzejmi, opanowani i każdemu życzliwi. Zwykle na tym właśnie polega moja praca. Ale tutaj... wreszcie trochę satysfakcji. – Nie oznaczało to, oczywiście, że Rutledge aprobował

prezydenta Ryana, ale przerzucenie się z kanasty na pokera było interesującą odmianą. Scott Adler lubił pokera. Może to dlatego tak dobrze mu się układało z tym nieokrzesanym typem w Białym Domu.

Jazda z powrotem do ambasady nie trwała długo. Większość członków delegacji siedziała w milczeniu, ciesząc się tymi paroma minutami ciszy i spokoju. Podczas rozmów oficjalnych dyplomaci, podobnie jak prawnicy sporządzający kontrakty, musieli bardzo dbać o precyzję wypowiedzi, uważać na każde cholerne słowo, doszukiwać się podtekstów i niuansów, co przypominało grzebanie w szambie w poszukiwaniu zgubionego diamentu. Teraz siedzieli wygodnie, zamknawszy oczy lub spoglądali w milczeniu na ponurą scenerię, przesuwaną się za oknami, nie starając się tłumić ziewania. Samochody wjechały przez bramę na teren ambasady.

Jeśli w ogóle mogli się na coś uskarżać, to chyba tylko na to, że niewygodnie było wsiadać do tych limuzyn i potem z nich wysiadać, jeśli ktoś nie był sześciolatkiem, przy czym Chiny nie różniły się pod tym względem od innych krajów. Ale kiedy już wysiedli, zorientowali się, że coś jest nie w porządku. Przy wejściu czekał już na nich ambasador Hitch, czego przedtem nie robił. Ambasadorowie są bardzo ważnymi osobistościami i zwykle nie występują w roli odźwiernych, mając do czynienia ze swymi rodakami.

- Co się stało, Carl? – spytał Rutledge.
- Duże kłopoty – odpowiedział Hitch.
- Ktoś umarł? – spytał żartem podsekretarz stanu.
- Tak – padła nieoczekiwana odpowiedź, po czym ambasador gestem zaprosił ich do środka. – Wchodźcie.

Co ważniejsi członkowie delegacji poszli za Rutledge’em do sali konferencyjnej. Czekał

już tam zastępca ambasadora – w wielu ambasadach był to faktyczny szef – i reszta personelu dyplomatycznego, łącznie z facetem, który, zdaniem Ganta, był szefem tutejszej placówki CIA. Co jest, do diabła? – zaciekawił się Teleskop. Kiedy już wszyscy usiedli, ambasador Hitch wyjaśnił, co się stało.

– O, cholera – powiedział Rutledge w imieniu wszystkich. – Jak mogło do tego dojść?

– Nie jesteśmy pewni. Kazaliśmy naszemu attaché prasowemu odszukać tego faceta z CNN, ale dopóki nie zdobędziemy więcej informacji, nie będziemy wiedzieli, co konkretnie spowodowało ten incydent. – Hitch wzruszył ramionami.

– Czy władze ChRL wiedzą o tym? – spytał następnie Rutledge.

– Prawdopodobnie właśnie się dowiadują – wyraził swoją opinię domniemany funkcjonariusz CIA. – Trzeba założyć, że minęło trochę czasu, zanim ta wiadomość przesączała się przez ich biurokrację.

– A jak, naszym zdaniem, zareagują? – spytał jeden z podwładnych Rutledge’a, oszczędzając swemu szefowi konieczności zadania tego oczywistego i dość głupiego pytania.

Jakie pytanie, taka odpowiedź. – Wiem tyle samo, co pan – odparł Hitch.

– Więc może to być mały zgrzyt albo duży kłopot – podsumował Rutledge. Pojęcie „duży kłopot” w żargonie Departamentu Stanu oznaczało, że ktoś coś potężnie spieprzył.

– Skłaniałbym się ku tej drugiej ewentualności – pomyślał głośno ambasador Hitch. Nie potrafiłby w tej chwili podać racjonalnego wyjaśnienia, ale instynkt mówił mu, że sprawa jest bardzo poważna, a Carl Hitch ufał swemu instynktowi.

– Jakież wytyczne z Waszyngtonu? – spytał Cliff.

– Przecież jeszcze się tam nie pobudzili, prawda? – Jak na komendę wszyscy obecni spojrzeli na zegarki. Personel ambasady był już, oczywiście, od dawna na nogach, ale w stolicy USA była jeszcze noc. Ewentualnych decyzji należało się spodziewać w ciągu następnych czterech godzin. Ludzie z ambasady mieli przed sobą bardzo pracowity okres, ponieważ, kiedy już decyzje zapadną, ich zadaniem będzie określenie sposobu ich wprowadzenia w życie i przedstawienia Chińskiej Republice Ludowej stanowiska Stanów Zjednoczonych.

– Jakież pomysły? – spytał Rutledge.

– Prezydentowi bardzo się to nie spodoba – zauważył Gant, doszedłszy do wniosku, że wie tyle samo, co wszyscy inni w tej sali. – Jego pierwszą reakcją będzie odraza. Pytanie, czy przeniesie się to na sprawy, które my tu załatwiamy? Myślę, że to możliwe, wiele będzie zależało od tego, jak nasi chińscy przyjaciele zareagują na to, co się stało.

– Jak zareagują Chińczycy? – spytał Rutledge Hitcha.

– Nie jestem pewien, Cliff, ale wątpię, żeby nam się to spodobało. Uznają ten incydent za ingerencję w ich sprawy wewnętrzne i ich reakcja będzie, jak sądzę, nieco bezduszna.

Sprowadzi się do skwitowania całej sprawy wzruszeniem ramion. Jeśli rzeczywiście tak postąpią, Waszyngton i cała Ameryka zareagują emocjonalnie. Nie rozumieją nas tak dobrze, jak im się wydaje. Na każdym kroku źle odczytują naszą opinię publiczną i nie wydaje mi się, żeby chcieli się czegoś nauczyć. Martwię się – zakończył Hitch.

– Wobec tego to my będziemy im musieli pokazać drogę – myślał głośno Rutledge. –

Wiesz, to może się nawet okazać korzystne dla naszej misji tutaj.

Hitch nie podzielał tej opinii. – Cliff, próba rozegrania tego w taki sposób byłaby poważnym błędem. Lepiej niech sami to sobie przemyślą. Śmierć ambasadora to poważna sprawa – powiedział ambasador USA zebranych, na wypadek, gdyby o tym nie wiedzieli. –

Tym bardziej, że faceta zabił ich funkcjonariusz. Ale uwierz mi, Cliff, jeśli spróbujesz kłuć ich tym w oczy, wściekną się, a nie sądzę, żeby nam na tym zależało. Myślę, że najlepszym wyjściem będzie poproszenie o dzień czy dwa przerwy w rozmowach, żeby mogli się pozbierać.

– Carl, to byłoby oznaką słabości z naszej strony – odparł Rutledge, kręcąc głową. –

Sądzę, że w tym wypadku nie masz racji. Uważam, że należy kuć żelazo, póki gorące, dać im jasno do zrozumienia, że w cywilizowanym świecie obowiązują pewne zasady i że oczekujemy, iż oni będą ich przestrzegać.

– Co to za szaleństwo? – Fang Gan skierował to pytanie do sufitu.

– Nie jesteśmy pewni – odpowiedział Zhang Han San. – Wygląda na to, że jakiś niepoprawny duchowny.

– I głupi milicjant, z pistoletem zamiast mózgu. Zostanie oczywiście ukarany – podsunął

Fang.

– Ukarany? Za co? Za egzekwowanie przepisów, dotyczących kontroli urodzeń? Za obronę doktora

przed jakimś *gwai*? – Zhang pokręcił głową. – Mamy pozwolić, żeby cudzoziemcy z taką pogardą traktowali nasze prawa? Nie, Fang, nie pozwolimy. Nie dopuszczę do takiej utraty twarzy.

– Zhang, czym jest życie nic nie znaczącego funkcjonariusza milicji wobec pozycji naszego kraju na świecie? – sprzeciwił się Fang. – Człowiek, którego zabił ten milicjant był

ambasadorem, Zhang, cudzoziemcem, akredytowanym w naszym kraju, oficjalnym przedstawicielem innego...

– Kraju? – spytał z pogardą Zhang. – Miasta, przyjacielu, albo i to nie... dzielnicy Rzymu, mniejszej niż Qiong Dao! – Użył do tego porównania Nefrytowej Wyspy, miejsca, w którym stała jedna z wielu świątyń, wzniesionych przez cesarzy. Sama wyspa była niewiele większa niż znajdująca się na niej świątynia. W tym momencie przypomniały mu się słowa Stalina. –

A zresztą, ile dywizji ma papież? – Machnął lekceważąco ręką.

– Ale ma swój kraj, którego ambasadorowi daliśmy akredytację, w nadziei na poprawę naszej pozycji na arenie międzynarodowej – przypomniał Fang swemu przyjacielowi. –

Musimy przynajmniej wyrazić ubolewanie z powodu jego śmierci. Może i był to tylko jeszcze jeden zamorski diabeł, sprawiający kłopoty, Zhang, ale dyplomacja wymaga, żebyśmy udawali ubolewanie z powodu jego śmierci. – Fang nie dodał, że jeśli konieczne byłoby w tym celu stracenie jakiegoś milicjanta, to przecież mieli mnóstwo milicjantów.

– Niby dlaczego? Dlatego, że ingerował w nasze prawa? Ambasadorowi nie wolno tego robić. To jest naruszeniem protokołu dyplomatycznego, czyż nie? Fang, za bardzo się przejmujesz tymi zamorskimi diabłami – oświadczył Zhang, używając historycznego terminu, oznaczającego gorszych ludzi z innych krajów.

– Jeśli chcemy kupować ich towary i sprzedawać im nasze, żeby otrzymywać ich twardą walutę, musimy ich traktować jak gości w naszym domu.

– Gość, który przychodzi do twojego domu nie pluje na podłogę, Fang.

– A jeśli Amerykanie źle zareagują na ten incydent?

– To Shen powie im, żeby nie wtrącali nosa w nie swoje sprawy – odpowiedział Zhang ze stanowczością kogoś, kto już dawno wyrobił sobie zdanie.

– Kiedy zbiera się Biuro Polityczne?

– Żeby to przedyskutować? – zapytał Zhang ze zdziwieniem. – Po co? Śmierć jakiegoś cudzoziemskiego wicherzyciela i chińskiego... duchownego? Fang, jesteś zbyt ostrożny.

Rozmawiałem już z Shenem o tym incydencie. Nie będzie posiedzenia Biura Politycznego w pełnym

składzie z powodu tak błahej sprawy. Spotkamy się pojutrze, jak zwykle.

– Skoro tak mówisz – powiedział posłusznie Fang. W Biurze Politycznym Zhang przewyższał go rangą. Miał wielkie wpływy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i w Ministerstwie Obrony, a także cieszył się zaufaniem Xu Kun Piao. Fang miał swój własny kapitał polityczny, przeznaczony głównie na sprawy wewnętrzne, ale nie tak duży, jak kapitał

Zhanga, więc musiał go inwestować ostrożnie, mając na uwadze osobiste korzyści. Uznał, że obecna sytuacja nie kwalifikuje się do tego. Wrócił do swojego gabinetu i zawołał Ming, żeby wprowadziła do komputera notatkę z rozmowy. Pomyślał, że później wezwie Chai. Tak dobrze potrafiła uwolnić go od stresów.

Jack obudził się tego ranka w lepszej formie niż zwykle. W drodze do łazienki uznał, że to prawdopodobnie dzięki temu, że poszedł spać o przyzwoitej porze. Nie miał tu czegoś takiego, jak dzień wolny, przynajmniej nie w powszechnym rozumieniu tego pojęcia. Nigdy nie mógł pospać dłużej – 8.25 stanowiła rekord, jeszcze z czasów tamtej strasznej zimy, kiedy się to wszystko zaczęło – i każdego dnia trzeba się było oddawać rutynowym zajęciom, takim jak te okropne odprawy na temat bezpieczeństwa narodowego, z których wynikało, że niektórzy ludzie naprawdę wierzyli, że świat nie mógł się bez niego obejść. Spojrzał w lustro i pomyślał, że powinien się ostrzec. Fryzjer przychodził tutaj, co wcale nie było takie złe, ale jednak pozbawiało Jacka przyjemności pogadania o męskich sprawach z innymi facetami w normalnym zakładzie fryzjerskim. Pozycja najpotężniejszego człowieka na świecie izolowała go od tak wielu rzeczy, które miały dla niego znaczenie. Jedzenie było tu dobre, whisky też w porządku, a jeśli nie podobał mu się obrus, zmieniano go z prędkością światła. Personel natychmiast się podrywał, słysząc jego głos. Henrykowi VIII nigdy nie było tak dobrze... ale Jack Ryan nigdy nie chciał zostać królem. Sama koncepcja monarchii odeszła w przeszłość na całym świecie, z wyjątkiem paru zakątków, a Ryan nie mieszkał w żadnym z nich. Ale cała ta rutyna w Białym Domu była pomyślana tak, żeby czuł się jak król i trochę mu to przeszkadzało, mniej więcej tak samo, jak niemożność złapania do ręki kółka z papierosowego dymu. Widziało się je, ale kiedy człowiek próbował je chwycić, to cholerne kółko po prostu zniknęło. Personel starał się – uprzejmię, ale z determinacją – wszystko ułatwiać jemu i jego rodzinie. Ryan naprawdę niepokoił się, jaki to może mieć wpływ na jego dzieci. Jeśli zaczną myśleć, że są księżętami i księżniczkami, prędzej czy później skomplikują sobie życie. Goląc się, Jack pomyślał jednak, że to już jego sprawa, żeby do tego nie dopuścić. Jego i Cathy. Nikt nie mógł za nich wychować ich dzieci. To było ich zadaniem.

Tyle że ta cholerna celebrazja w Białym Domu przeszkadzała w tym na każdym kroku.

Ale najgorsze ze wszystkiego było to, że zawsze musiał być dobrze ubrany. Poza łazienką i sypialnią, prezydent musiał odpowiednio wyglądać... bo co pomyślałby sobie personel?

Ryan nie mógł więc nawet wyjść do przedpokoju bez spodni i koszuli. Normalny człowiek łaźniłby po własnym domu boso i w samych gaciach; mógł sobie na to pozwolić każdy kierowca ciężarówki, ale nie prezydent Stanów Zjednoczonych.

Uśmiechnął się kwaśno do swego odbicia w lustrze. Każdego ranka wkurzał się na te same sprawy, a gdyby naprawdę chciał coś zmienić, mógłby to zrobić. Ale bał się podejmować działania, które pozbawiłyby ludzi pracy. Oprócz tego, że fatalnie wyglądałoby to w prasie... a praktycznie wszystko, co robił, trafiało do gazet... on sam miałby wyrzuty sumienia, tutaj, gołoc się co rano. I przecież naprawdę nie musiał osobiście przynosić sobie co rano gazety ze skrzynki na listy, prawda?

W sumie nie było więc aż tak źle, jeśli nie brać pod uwagę wymogów, dotyczących stroju. Bufet śniadaniowy był wręcz bardzo dobry, chociaż marnowano na niego co najmniej pięć razy więcej żywności, niż Ryanowie mogli zjeść. Jack wciąż miał cholesterol w normie, więc z przyjemnością jadł na śniadanie jajka dwa, a nawet trzy razy w tygodniu, na co jego żona spoglądała z pewną dezaprobatą. Dzieci wybierały zwykle płatki zbożowe albo gorące bułeczki. Dostarczano je z kuchni naprawdę gorące i we wszystkich pysznych – i zdrowych –

odmianach.

„Poranny Ptaszek” był zbiorem wycinków prasowych, przygotowywanym dla wysokich rangą przedstawicieli władz, ale do śniadania Miecznik wolał prawdziwą gazetę, łącznie z komiksami. Jak wielu innych, Ryan ubolewał z powodu emerytury Garyego Larsona, której konsekwencją była utrata jego codziennych komiksów „The Far Side”⁶⁹, ale rozumiał presję, pod jaką musiał się znajdować autor, zobligowany do dostarczania codziennie nowej porcji rysunków. No i była telewizja CNN, którą w sali śniadaniowej Białego Domu włączano codziennie dokładnie o siódmej rano.

Ryan uniósł wzrok, słysząc ostrzeżenie, że dzieci nie powinny oglądać tego, co za chwilę miało zostać pokazane. Oczywiście jego dzieci natychmiast przerwały to, czym się akurat zajmowały, żeby popatrzeć.

– Ojej, jakie to okropne! – zawołała Sally Ryan, kiedy jakiś Chińczyk został trafiony w głowę.

– Z ranami głowy tak już jest – powiedziała jej matka, krzywiąc się mimo wszystko.

Cathy zajmowała się chirurgią, ale nie taką. – Jack, o co w tym wszystkim chodzi?

– Wiesz tyle samo, co ja, kochanie – powiedział prezydent Pierwszej Damie.

Na ekranie pojawił się jakiś archiwalny materiał filmowy z katolickim kardynałem. Jack sięgał właśnie po pilota, żeby zrobić głośniejsze, kiedy usłyszał słowa „nuncjusz papieski”.

– Chuck? – zawołał Ryan stojącego najbliżej agenta Tajnej Służby. – Połącz mnie, proszę, z Benem Goodleyem.

– Tak jest, panie prezydencie. – Po trzydziestu sekundach Jack dostał do ręki przenośny telefon. – Ben, co tam się, do diabła, dzieje w Pekinie?

W Jackson w stanie Missisipi wielebny Geny Patterson jak zwykle wstał wcześniej i szykował się do swego porannego biegu po okolicy, włączając telewizor w sypialni, podczas gdy jego żona zajęła

się przygotowywaniem mu czekolady (Patterson nie aprobował

kawy, tak samo jak alkoholu). Odwrócił głowę, słysząc słowa „wielebny Yu”, a chwilę potem przeszedł go zimny dreszcz, kiedy usłyszał „baptysta tutaj w Pekinie...”. Wbiegł do sypialni w samą porę, żeby zobaczyć leżącego twarzą do podłogi Chińczyka, któremu z rany w głowie krew tryskała, jak z ogrodowego węża. Twarzy nie było widać.

– O Boże... Skip... Boże, nie... – jęknął. Duchowni mają na co dzień do czynienia ze śmiercią, grzebiąc parafian, pocieszając rodziny zmarłych, prosząc Boga o opiekę nad 69 *Niezwykłe popularne komiksy „The Far Side” ukazywały się przez 14 lat, do końca 1994 roku, w wielu amerykańskich dziennikach (przyp. tłum.)*

jednymi i drugimi. Ale Gerry’emu Pattersonowi wcale nie było z tego powodu łatwiej, niż komuś innemu, ponieważ śmierć Yu była zupełnym zaskoczeniem, nie było żadnej „długiej i ciężkiej choroby”, która mogłaby pomóc mu oswoić się z tą myślą, wiek Yu też nie był

czynnikiem, który uzasadniałby spodziewanie się najgorszego. Skip miał dopiero... ile?

Pięćdziesiąt pięć lat? Na pewno nie więcej. Był jeszcze młodym człowiekiem, pomyślał

Patterson, młodym i pełnym zapału do głoszenia ewangelii swej trzódce. Skip nie żyje?

Zabity? Zamordowany? Kto to zrobił? Komunistyczne władze? Duchowny, zamordowany przez tych bezbożnych pogan?

– O cholera – mruknął prezydent znad jajecznic. – Co jeszcze wiemy, Ben? SORGE coś przysłał? – powiedziawszy to, Ryan rozejrzał się po pokoju. Uświadomił sobie, że wypowiedział słowo, które samo w sobie było tajne. Dzieciaki nie zwróciły uwagi, ale Cathy usłyszała. – W porządku, porozmawiamy o tym, kiedy przyjedziesz. – Jack wcisnął klawisz, przerywający połączenie i odłożył telefon.

– Co się stało?

– Straszny bałagan, mała – powiedział Miecznik do Chirurga i w krótkich słowach przekazał jej to, czego zdążył się dowiedzieć. – Ambasador nie przekazał niczego, czego nie byłoby w CNN.

– Chcesz powiedzieć, że mimo tych wszystkich pieniędzy, które wydajemy na CIA i tak dalej, CNN jest naszym najlepszym źródłem informacji? – spytała Cathy Ryan z niedowierzaniem w głosie.

– Trafiałaś w sedno, kochanie – przyznał jej mąż.

– Przecież to w ogóle nie ma sensu!

Jack spróbował jej to wyjaśnić: – CIA nie może być wszędzie, a byłoby trochę dziwne, gdyby wszyscy nasi szpiedzy wszędzie zabierali ze sobą kamery wideo. Cathy skrzywiła się, uważając, że Jack próbuje ją zbyć. – Ale...

– To nie takie proste, Cathy, a poza tym, dziennikarze pracują w tym samym biznesie, jakim jest zbieranie informacji, i czasem natrafią na coś pierwszego.

– Ale przecież masz inne sposoby, żeby się czegoś dowiedzieć, prawda?

– Cathy, nie musisz wiedzieć o takich sprawach – powiedział prezydent Pierwszej Damie.

Usłyszała to nie po raz pierwszy, ale nigdy jej się to nie podobało. Cathy wróciła do porannej gazety, a jej mąż sięgnął po „Porannego Ptaszka”. Zorientował się, że to, co zaszło w Pekinie nie zdążyło trafić do porannych wydań; reporterzy telewizyjni znów będą mieli satysfakcję, a dziennikarze prasowi powód do irytacji. Problemy debaty nad nakładami budżetowymi na edukację jakoś przestały być interesujące tego ranka, ale Jack wyrobił sobie nawyk zapoznawania się z artykułami redakcyjnymi, ponieważ zwykle dawały pojęcie o pytaniach, jakie dziennikarze będą zadawać na konferencjach prasowych, więc był to dla niego jeszcze jeden środek obrony przed mediami.

O 7.45 dzieci były już prawie gotowe ruszać do szkoły, a Cathy była całkiem gotowa lecieć do Hopkinsa. Kyle Daniel leciał z nią, w towarzystwie własnej ochrony, złożonej z samych kobiet z Tajnej Służby, które jak lwice pilnowały go w świetlicy szpitala Cathy. Katie wróciła do żłobka w Giant Steps, na północ od Annapolis. Było tam teraz mniej dzieci, ale za to silniejsza ochrona. Starsze dzieci chodziły do St. Mary's. Śmigłowiec VH-60 Blackhawk Korpusu Piechoty Morskiej osiadł łagodnie na lądowisku na Południowym Trawniku. Dzień zaczynał się na dobre.

Cała rodzina Ryanów zjechała windą. Najpierw tata i mama odprowadzili dzieci do bramy Zachodniego Skrzydła, gdzie, po uściskach i całusach, trójka dzieci wsiadła do samochodów. Następnie Jack odprowadził Cathy do śmigłowca, pocałował ją na do widzenia i wielki Sikorski, pilotowany przez pułkownika Dana Malloya, uniósł się do krótkiego lotu do szpitala Johnsa Hopkinsa. Po wyprawieniu rodziny, Ryan poszedł z powrotem do Zachodniego Skrzydła i skierował się do Owального Gabinetu. Ben Goodley już na niego czekał.

– Bardzo niedobrze? – spytał Jack swego doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego.

– Bardzo – odpowiedział Goodley bez wahania.

– O co tam poszło?

– Próbowali zapobiec aborcji. Chińczycy wykonują późne aborcje, jeśli ciąża nie jest autoryzowana. Czekają niemal do ostatniej chwili, a kiedy ukaże się główka, wbijają igłę, zanim dziecko po raz pierwszy zaczerpnie powietrza. Najwidoczniej kobieta na tym filmie była w ciąży bez zezwolenia, a jej proboszcz, to ten Chińczyk, który dostał w głowę, baptysta, kształcił się na Uniwersytecie Orala Robertsa w Oklahomie, uwierzy pan? No więc, ten baptysta udał się do szpitala, żeby jej pomóc.

Nuncjusz papieski, kardynał Renato DiMilo, najwidoczniej całkiem dobrze znał tego chińskiego duchownego, bo postanowił mu towarzyszyć. Finał widzieliśmy na filmie. Coś straszego.

– Są już jakieś oświadczenia?

– Watykan jest zszokowany tym incydem i żąda wyjaśnień. Ale nie koniec na tym.

Ten kardynał jest ze znanej rodziny DiMilo. Ma brata, Vincenzo DiMilo, który zasiada we włoskim parlamencie... jakiś czas temu był ministrem... więc rząd włoski wystosował własny protest. Rząd Niemiec też, bo współpracownik kardynała, prałat Schepke, jezuita, jest Niemcem i też trochę oberwał, więc Niemcy również są niezadowoleni. Tego prałata Schepkego aresztowano, ale został wypuszczony po kilku godzinach, kiedy Chińczycy przypomnieli sobie o jego statusie dyplomatycznym. Departament Stanu nie wyklucza, że Chińczycy mogą go uznać za *persona non grata*, żeby tylko pozbyć się go z kraju i zapomnieć o całej sprawie.

– Która godzina jest teraz w Pekinie?

– Jedenaście godzin później niż u nas, więc jest tam teraz dziewiąta wieczorem –

odpowiedział Szuler.

– Nasza delegacja handlowa będzie potrzebowała jakichś instrukcji w tej sprawie. Muszę porozmawiać ze Scottem Adlerem, kiedy tylko przyjdzie do pracy.

– To nie wszystko, Jack – rozległ się od drzwi głos Arnolda van Damma.

– Co jeszcze?

– Ten chiński baptysta, który zginął, właśnie się dowiedziałem, że miał przyjaciół w Stanach.

– Uniwersytet Orala Robertsa, Ben mi powiedział.

– Wierzącym bardzo się to wszystko nie spodoba, Jack – ostrzegł Arnie.

– Jasne że nie, mnie też się to cholernie nie podoba – odparł prezydent. – Do diabła, nie akceptuje aborcji w żadnych okolicznościach, pamiętasz?

– Pamiętam – powiedział van Damm, wspominając te wszystkie kłopoty, jakich Ryan narobił sobie pierwszym prezydenckim oświadczeniem na ten temat.

– A tego rodzaju aborcja jest szczególnie barbarzyńska, więc dwóch facetów poszło do tamtego pieprzonego szpitala, chcąc ratować życie dziecka i zostali za to zabici! Jezu! I my mamy robić interesy z takimi ludźmi? – zawołał Ryan.

W drzwiach pojawiła się jeszcze jedna postać. – Widzę, że już słyszałeś – powiedział

Robby Jackson.

– O, tak. Słyszałem i widziałem w telewizji. Cholera, akurat jadłem śniadanie.

– Mój ojciec znał tego faceta.

– Co?

– Pamiętasz to przyjęcie w zeszłym tygodniu? Mówił ci o nim. Tato i Gerry Patterson wspierają jego parafię w Pekinie, razem z kilkoma innymi parafiami w Stanach... Tak to już jest u baptystów, Jack. Bogatsze kościoły troszczą się o te, które potrzebują pomocy, a wygląda na to, że ten Yu naprawdę jej potrzebował. Jeszcze z tatą o tym nie rozmawiałem, ale możesz być pewien, że narobi w tej sprawie cholernego hałasu – poinformował

wiceprezydent swego szefa.

– Kto to jest Patterson? – spytał van Damm.

– Biały kaznodzieja, ma wielki klimatyzowany kościół na przedmieściach Jackson.

Bardzo przyzwoity facet. Znają się z moim tatą od niepamiętnych czasów. O ile pamiętam, Patterson chodził do szkoły z tym Yu.

– Zrobi się z tego bardzo paskudna sprawa – mruknął szef personelu Białego Domu.

– Drogi Arnie, ona już jest paskudna – powiedział z naciskiem Jackson. Kamerzysta CNN

okazał się aż za dobry w swoim fachu albo stał akurat przypadkiem w odpowiednim miejscu, bo uchwycił oba strzały ze wszystkimi makabrycznymi szczegółami.

– Co powie twój tata? – spytał Ryan.

Tomcat zastanawiał się przez dłuższą chwilę. – Będzie wołał do Boga Wszechmogącego o pomstę na tych podłych sukinsynach. Ogłosi wielebnego Yu męczennikiem za wiarę chrześcijańską, postawi go na równi z machabeuszami ze Starego Testamentu i tymi dzielnymi facetami, których Rzymianie rzucali na pożarcie lwom. Arnie, widziałeś kiedyś baptystę wołającego o gniew boży? Stary, finały rozgrywek baseballowych to przy tym pestka

– obiecał Robby. – Wielebny Yu stoi teraz z dumnie podniesioną głową przed obliczem Pana, a ci, którzy go zabili, będą się smażyć w ogniu piekielnym po wsze czasy. Będzie czego posłuchać, kiedy tato się za to weźmie. Wierzcie mi, to robi wrażenie. Wiem, co mówię. A Gerry Patterson nie pozostanie daleko w tyle.

– A ja się z nimi zgodzę bez zastrzeżeń – powiedział Ryan. – Jezu, ci dwaj duchowni zginęli, ratując życie dziecka. Czy może być szlachetniejsza śmierć?

– Obaj zginęli jak mężczyźni, panie C – powiedział w Moskwie Chavez. – Żałuję, że mnie tam nie było z bronią w ręku. – Ding odczuł to szczególnie dotkliwie. Od kiedy został

ojcem, zaczął inaczej patrzeć na wiele spraw, a ta była jedną z nich. W jego systemie wartości moralno-etycznych życie dziecka stało się najwyższą świętością i w obronie dziecka był

gotów zabijać bez wahania. A w świecie realnym bardzo często nosił broń i potrafił się nią skutecznie posługiwać.

– Cóż, różni ludzie różnie patrzą na wiele spraw – powiedział Clark swemu podwładnemu. Ale wiedział, że gdyby on tam był, rozbroiłby obu chińskich milicjantów. W

tym materiale filmowym nie wyglądali specjalnie groźnie. A nie zabija się ludzi dla podkreślenia własnych poglądów. John pomyślał, że Domingo nie stracił swego latynoskiego temperamentu. Ale to nie było takie złe.

– Co ty mówisz, John? – spytał zaskoczony Ding.

– Mówię, że zginęło wczoraj dwóch wartościowych ludzi i wyobrażam sobie, że Bóg weźmie ich do siebie.

– Byłeś kiedyś w Chinach?

Pokręcił głową. – Tylko raz na Tajwanie, na przepustce, ale już dawno temu. Nawet mi się podobało, ale oprócz tego nigdy nie zapaściłem się dalej niż do Wietnamu Północnego.

Nie znam języka i nie mógłbym się wmieszać w tłum. – Oba te czynniki budziły u Clarka pewien lęk. Możliwość wtopienia się w otoczenie była dla agenta terenowego warunkiem *sine qua non*.

Siedzieli w barze hotelowym w Moskwie po pierwszym dniu zajęć ze swymi rosyjskimi uczniami. Piwo z beczki było znośne. Żaden z nich nie był w nastroju do picia wódki. Życie w Wielkiej Brytanii trochę ich zepsuło. W tym barze, nastawionym na amerykańskich turystów, był wielki telewizor. Na kanale CNN kończyła się właśnie kolejna relacja z tego, co na całym świecie było tematem dnia. Rząd amerykański, poinformowano na zakończenie, nie zareagował jeszcze na ten incydent.

– No i co robi Jack? – zastanawiał się na głos Chavez.

– Nie wiem. W Pekinie jest akurat nasza delegacja na rozmowach handlowych – przypomniał mu Clark.

– Ton dyplomatycznej paplaniny może się trochę zaostrzyć – pomyślał na głos Domingo.

– Scott, nie możemy tego puścić płazem – powiedział Jack. Telefon z Białego Domu skierował służbową limuzynę Adlera tutaj, zamiast do Departamentu Stanu.

– Ściśle rzecz biorąc, nie ma to związku z rozmowami handlowymi – zauważył sekretarz stanu.

– Może ty chcesz robić interesy z takimi ludźmi – odparł wiceprezydent Jackson – ale naród amerykański niekoniecznie musi być tego samego zdania.

– Scott, w tym wypadku musimy wziąć pod uwagę opinię publiczną – powiedział Ryan. –

I wiesz co, musimy również, do ciężkiej cholery, wziąć pod uwagę moją opinię.

Zamordowanie dyplomaty nie jest czymś, co moglibyśmy zignorować. Włochy są członkiem NATO. Niemcy też. No i mamy stosunki dyplomatyczne z Watykanem, a w Stanach jest około siedemdziesięciu milionów katolików i miliony baptystów.

– W porządku, Jack – powiedział Orzeł, unosząc ręce w obronnym geście. – Przecież ich nie bronię. Mówię o polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych, a tej nie powinniśmy prowadzić, kierując się emocjami. Płacą nam za ruszanie głową.

Ryan westchnął ciężko. – W porządku, może mi się należało. Mów dalej.

– Wydamy oświadczenie, potępiające w ostrych słowach to ubolewania godne zajście.

Każemy ambasadorowi Hitchowi pójść do ich MSZ i powtórzyć to samo, może nawet jeszcze ostrzej, ale bardziej nieformalnym językiem. Damy im szansę przemyślenia tego wszystkiego, zanim staną się pariasami na arenie międzynarodowej. Może ukarzą dyscyplinarnie tamtych gliniarzy, którzy strzelali...do diabła, może ich nawet rozstrzelają, biorąc pod uwagę, jak tam działa prawo. Niech górę weźmie zdrowy rozsądek. Co ty na to?

– A co ja powiem?

Adler zastanawiał się nad tym przez chwilę. – Powiedz, co chcesz. Zawsze możemy im wyjaśnić, że mamy w Stanach mnóstwo wierzących i musiałeś wziąć pod uwagę ich uczucia.

Powiemy im, że amerykańska opinia publiczna jest oburzona tym, co się stało i że w naszym kraju nie ignoruje się opinii publicznej. Oni zdają sobie z tego sprawę; chociaż nie potrafią tego zrozumieć. Ale to nic – ciągnął sekretarz stanu. – Byle tylko dotarło do nich, że światu nie podobają się takie rzeczy.

– A jeśli nie dotrze? – spytał wiceprezydent.

– Cóż, wtedy nasza delegacja handlowa uzmysłowi im konsekwencje niecywilizowanego postępowania. – Adler rozejrzał się dookoła. – Zgadzamy się na taką linię?

Ryan siedział z wzrokiem wbitym w stół. Żałował czasem, że nie jest kierowcą ciężarówki, któremu wolno głośno krzyczeć, kiedy dzieje się coś złego, ale cóż, była to jeszcze jedna ze swobód,

jakich nie miał prezydent Stanów Zjednoczonych. W porządku, Jack, musisz zachować zdrowy rozsądek. Uniósł wzrok. – Tak jakby, Scott, zgadzamy się.

– Mamy coś na ten temat z naszego, hm, nowego źródła? Ryan pokręcił głową. – Nie, MP jeszcze nic nie przysłała.

– Gdyby przysłała...

– Zaraz dostaniesz kopię – obiecał prezydent. – Podrzuc mi trochę puent. Muszę wygłosić oświadczenie... Kiedy, Arnie?

– Około jedenastej będzie w sam raz – uznał van Damm. – Pogadam o tym z paroma facetami z mediów.

– W porządku, gdyby ktoś wpadł później na jakiś pomysł, niech mi da znać – powiedział Ryan i wstał, kończąc naradę.

Rozdział 26

Szklane domy i kamienie

Fang Gan pracował tego dnia do późna, z powodu tego samego incydentu, przez który w Waszyngtonie zaczęto pracę tak wcześnie. W rezultacie Ming przepisała jego notatki później niż zwykle i jej komputer później wysłał je w sieć; Mary Pat otrzymała pocztę elektroniczną o godzinie 9.45. Przeczytała ją, zrobiła kopię dla męża, a potem przesłała bezpiecznym faksem do Białego Domu. Ben Goodley osobiście zaniósł faks do Gabinetu Owального. Na stronie tytułowej nie było tego, co Mary Pat powiedziała, kiedy zapoznała się z treścią: „O, kurwa...”.

– Skurwysyny! – warknął Ryan, ku zaskoczeniu Andrei Price, która była akurat przypadkiem w gabinecie.

– Coś, o czym powinnam wiedzieć, sir? – spytała.

W jego głosie było tyle wściekłości.

– Nie, Andrea, to ta sprawa, o której mówili w CNN dziś rano. – Ryan przerwał, zawstydzony, że znów była świadkiem, jak poniosły go nerwy... i to w taki sposób. – A przy okazji, jak się miewa twój mąż?

– Przymknął tych trzech bandytów, którzy napadli na bank w Filadelfii i zrobił to bez jednego strzału. Trochę się o niego bałam.

Ryan pozwolił sobie na uśmiech. – Nie chciałbym się wdać w strzelaninę z twoim mężem. Oglądałaś dziś rano CNN, prawda?

– Tak, sir, a potem odtworzyliśmy to jeszcze raz w centrali.

– I co powiesz?

– Gdybym tam była, sięgnęłabym po broń. To było zabójstwo z zimną krwią. Nie wygląda to dobrze w telewizji, kiedy ktoś postępuje tak głupio, sir.

– O, tak – zgodził się prezydent. Omal nie spytał jej, co on sam powinien zrobić w tej sprawie. Ryan bardzo się liczył z opiniami pani O’Day (w pracy nadal używała nazwiska Price), ale byłoby nie fair prosić ją, żeby babrała się w sprawach polityki zagranicznej, a poza tym praktycznie już się zdecydował. Zatelefonował jednak najpierw do Adlera.

– Tak, Jack? – Tylko jedna osoba знаła ten numer.

– Co sądzisz o tym, co przysłał SORGE?

– Niestety, należało się tego spodziewać. Musisz się liczyć z tym, że zatrzasną bramy i zaczną się przygotowywać do obrony twierdzy.

– I co zrobimy? – spytał Miecznik.

– Powiemy, co myślimy, ale spróbujemy nie pogorszyć sytuacji, która jest już wystarczająco zła – odpowiedział sekretarz stanu, jak zwykle ostrożnie.

– No pewnie – warknął Ryan, chociaż dokładnie takiej rady oczekiwał od swojego sekretarza stanu. Odłożył słuchawkę. Przyszło mu na myśl to, o czym Arnie mówił mu już dawno temu, że prezydentowi nie wolno wpadać w gniew, ale czasem było to cholernie trudne, a poza tym, gdzie była granica, od której wolno mu było reagować tak, jak powinien reagować normalny człowiek? Do jakiego punktu musiał postępować, niczym jakiś cholerny robot?

– Chcesz, żeby Callie coś ci naprędce napisała? – spytał Arnie przez telefon.

– Nie – odpowiedział, kręcąc głową. – Będę improwizował.

– To błąd – ostrzegł szef kancelarii Białego Domu.

– Arnie, pozwól, że raz na jakiś czas będę sobą, dobrze?

– W porządku, Jack – odparł van Damm i chyba dobrze, że prezydent nie widział wyrazu jego twarzy.

Nie pogarszaj sprawy, powiedział sobie Ryan, siedząc przy biurku. Akurat, jakby to było możliwe...

– Cześć, tato – powiedział Robby Jackson do słuchawki, siedząc w swym gabinecie w północno-zachodnim narożniku Zachodniego Skrzydła.

– Robby, czy widziałeś...?

– Tak, wszyscy widzieliśmy – zapewnił wiceprezydent.

– I co zamierzacie w tej sprawie zrobić?

– Jeszcze tego nie przeanalizowaliśmy, tato. Pamiętaj, że musimy robić interesy z tamtymi ludźmi. Wiele miejsc pracy w Ameryce zależy od handlu z Chinami i...

– Robercie – powiedział surowo wielebny Hosiah Jackson – tamci ludzie zamordowali służbę bożego, nie, przepraszam, zamordowali dwóch duchownych, którzy spełniali swój obowiązek, próbując ratować życie niewinnego dziecka, a z mordercami nie robi się interesów.

– Wiem o tym, nie podoba mi się to wszystko tak samo jak tobie, a możesz mi wierzyć, że i Jackowi Ryanowi też nie, ale kiedy się prowadzi politykę zagraniczną, trzeba wszystko dobrze przemyśleć, bo jeśli coś spieprzymy, mogą zginąć ludzie.

– Już zginęli, Robercie – zwrócił mu uwagę wielebny Jackson.

– Wiem. Widzisz, tato, wiem na ten temat więcej od ciebie. Chcę powiedzieć, że mamy sposoby zdobywania informacji, które nie przedostają się do CNN – powiedział

wiceprezydent swemu ojcu, trzymając w ręku najnowszy meldunek SORGE. Trochę żałował, że nie może pokazać go ojcu; tato od razu zdałby sobie sprawę z wielkiej wagi tajemnic, o których wiedzieli on i Ryan. Ale nie wolno mu było nawet myśleć o omawianiu takich spraw z kimś, kto nie został oficjalnie dopuszczony do materiałów z kategorii „ściśle tajne/specjalnego znaczenia”, a to odnosiło się także do jego żony, tak samo jak i do Cathy Ryan. Jackson pomyślał, że może warto byłoby pogadać o tym z Jackiem. Musieli przecież mieć możliwość rozmawiania o takich sprawach z tymi, którym ufali, choćby po to, żeby upewnić się, że nie zatracili jeszcze rozeznania między dobrem a złem. Ich żony nie stanowiły przecież ryzyka, prawda?

– Jakich informacji? – spytał ojciec, ale raczej nie oczekiwał odpowiedzi.

– Takich, o których nie wolno mi z tobą rozmawiać, tato, i dobrze o tym wiesz. Przykro mi, ale muszę przestrzegać reguł.

– Więc co zamierzacie w tej sprawie zrobić?

– Damy Chińczykom do zrozumienia, że jesteśmy cholernie rozgniewani, że oczekujemy, iż zaczną się wreszcie zachowywać przyzwoicie, przepraszają i...

– Przepraszają! – zawołał wielebny Jackson. – Robercie, oni zamordowali dwóch ludzi!

– Wiem, tato, ale przecież nie możemy tam wysłać FBI i zaarrestować ich rządu, prawda?

Mamy wielką władzę, ale nie jesteśmy Panem Bogiem i chociaż bardzo pragnąłbym zesłać na nich grom, to nie mogę.

– Więc co zrobimy?

– Jeszcze nie zdecydowaliśmy. Dam ci znać, kiedy coś wymyślimy – obiecał Tomcat ojcu.

– Zrób to – powiedział Hosiah, odkładając słuchawkę o wiele gwałtowniej niż zwykle.

– Chryste, tato – jęknął Robby do telefonu.

Po chwili wstał zza biurka i poszedł do gabinetu Arnie’ego. – Mam pytanie – powiedział, wchodząc.

– Strzelaj – odparł szef kancelarii prezydenta.

– Jak opinia publiczna zareaguje na to, co się stało w Pekinie?

– Jeszcze nie jestem pewien – odpowiedział van Damm.

– A jak się dowiedzieć?

– Zwykle po prostu się czeka. Nie jestem specjalnym zwolennikiem sondaży. Wolę oceniać nastawienie opinii publicznej w tradycyjny sposób: artykuły redakcyjne, listy do redakcji i to, co dostajemy pocztą. Niepokoisz się tym?

– Tak.

– Cóż, ja też. obrońcy życia rzucają się na to, jak lew na ranną gazelę, tak samo ci, którzy nie lubią ChRL. Mnóstwo takich w Kongresie. Jeśli Chińczycy myślą, że dostaną w tym roku KNU, to we łbach im się pomieszało. To jest koszmar propagandowy dla ChRL, ale nie sądzę, żeby byli w stanie zrozumieć, co rozpętali. I nie sądzę, żeby kogokolwiek przeprosili.

– No tak, mój ojciec właśnie zaczął mi wiercić dziurę w brzuchu w tej sprawie –

powiedział wiceprezydent Jackson. – Jeśli reszta duchowieństwa to podchwyci, rozpęta się burza z piorunami, jeśli Chińczycy chcą zminimalizować straty, muszą głośno i szybko przeprosić.

Van Damm skinął głową. – Zgadza się, ale nie zrobią tego. Ta cholerna pycha im nie pozwoli.

– Pycha poprzedza upadek – przestrzegł Tomcat.

– A oni solidnie potłuką sobie dupę, admirale – powiedział van Damm wiceprezydentowi.

Ryan był spięty, kiedy wchodził do sali prasowej Białego Domu. Kamery były porozstawiane jak zwykle. Pomyślał, że CNN i Fox, a może i C-SPAN70 będą zapewne transmitować konferencję na żywo. Inne sieci prawdopodobnie nagrają jej przebieg i wykorzystają materiał w serwisach informacyjnych dla stacji lokalnych i we własnych głównych dziennikach wieczornych. Podszedł do pulpitu i napił się trochę wody, zanim spojrzął na tłumek reporterów.

– Dzień dobry – zaczął Jack, mocno chwytając pulpit, jak zawsze, kiedy był rozgniewany.

Nie zdawał sobie sprawy, że reporterzy o tym wiedzą i że widzą to ze swoich miejsc. –

Wszyscy widzieliśmy te straszne sceny w telewizji dziś rano, śmierć kardynała Renato DiMilo, nuncjusza papieskiego w Chińskiej Republice Ludowej i wielebnego Yu Fa Ana, który, o ile nam wiadomo, pochodził z Republiki Chińskiej, a kształcił się na Uniwersytecie Orala Robertsa w Oklahomie. Przede wszystkim Stany Zjednoczone składają kondolencje rodzinom ofiar. Po drugie, wzywamy rząd Chińskiej Republiki Ludowej do niezwłocznego przeprowadzenia wnikliwego śledztwa w sprawie tej straszliwej tragedii, w celu ustalenia, czy i kto ponosi winę, i potraktowania winnego, bądź winnych z całą surowością prawa.

Zabicie dyplomaty przez funkcjonariusza władz jest rażącym naruszeniem traktatów i konwencji międzynarodowych. To jawnie niecywilizowany akt, wymagający jak najszybszego wyjaśnienia i wyciągnięcia wszystkich konsekwencji. Pokojowe stosunki między narodami nie mogą istnieć bez

dplomacji, a dyplomacji nie można prowadzić bez tych mężczyzn i kobiet, których bezpieczeństwo osobiste jest święte. To zasada, która obowiązuje już od tysięcy lat. Nawet w czasach wojny życie dyplomatów zawsze jest chronione przez każdą ze stron właśnie z tego powodu. Żądamy, żeby rząd ChRL wyjaśnił

okoliczności tego tragicznego zajścia i zadbał o to, żeby nigdy więcej nic takiego nie mogło się wydarzyć. Na tym kończę moje oświadczenie. Są pytania?

– Panie prezydencie – powiedział dziennikarz z Associated Press. – Ci dwaj duchowni, którzy zginęli, byli tam, żeby nie dopuścić do aborcji. Czy ma to wpływ na pańską reakcję na ten incydent?

70 Telewizja kablowa zajmująca się sprawami publicznymi, takimi jak przesłuchania w Kongresie, kultura i kwestie społeczne (przyp. tłum.)

Ryan pozwolił sobie na okazanie zdziwienia tym głupim pytaniem: – Mój pogląd na aborcję jest powszechnie znany, ale sądzę, że wszyscy, nawet ci, którzy popierają prawo kobiety do dokonania wyboru, zareagują negatywnie na to, co się stało. Tamta kobieta nie wybrała aborcji; to rząd chiński próbował narzucić jej swą wolę, chcąc zabić donoszony płód, mający się właśnie urodzić. Gdyby ktokolwiek zrobił coś takiego w Stanach Zjednoczonych, dopuściłby się ciężkiego przestępstwa, zapewne więcej niż jednego, natomiast tam jest to oficjalna polityka władz Chińskiej Republiki Ludowej. Jak wiecie, osobiście jestem przeciwny aborcji ze względów moralnych, ale to, czego próbę widzieliśmy dziś rano w telewizji, jest czymś jeszcze gorszym niż aborcja. To akt niepojętego barbarzyństwa. Ci dwaj dzielni ludzie próbowali do tego nie dopuścić i zostali za to zabici, ale, dzięki Bogu, wydaje się, że dziecko przeżyło. Następne pytanie? – Ryan wskazał kobietę, siedzącą obok znanego wicherzyciela.

– Panie prezydencie – powiedziała dziennikarka z „Boston Globe” – tamte działania władz wynikały z polityki demograficznej, obowiązującej w Chińskiej Republice Ludowej.

Czy powinniśmy krytykować politykę wewnętrzną innego kraju?

Chryste, pomyślał Ryan, jeszcze jedna? – Wie pani, swego czasu facet nazwiskiem Hitler próbował prowadzić politykę demograficzną w swoim kraju i na znacznym obszarze Europy, zabijając umyślowo chorych, niepożądanych społecznie i tych, których religie mu się nie podobały. I co? Niemcy były suwerennym państwem, a my utrzymywaliśmy nawet stosunki dyplomatyczne z reżimem Hitlera do grudnia 1941 roku. Ale czy chce pani powiedzieć, że Ameryka nie ma prawa sprzeciwić się polityce, którą uważamy za barbarzyńską, tylko dlatego, że jest to oficjalna polityka suwerennego państwa? Hermann Göring próbował tej linii obrony na procesie norymberskim. Chce pani, żeby Stany Zjednoczone usankcjonowały coś takiego? – spytał Jack wyzywająco.

Reporterka zdecydowanie wolała zadawać pytania niż na nie odpowiadać. Spostrzegła, że kamery zwróciły się w jej stronę i ostatecznie straciła rezon. Gdyby miała akurat lepszy dzień, jej odpowiedź

może nie wypadłaby tak błado: – Panie prezydencie, czy jest możliwe, że pańskie poglądy na aborcję mają wpływ na pańską reakcję na ten incydent?

– Nie, proszę pani, morderstwo zacząłem potępiać jeszcze wcześniej niż aborcję – odpowiedział zimno Ryan.

– Ale właśnie porównał pan Chińską Republikę Ludową do hitlerowskich Niemiec! – zawołała reporterka „Globe”. – Nie wolno panu tak o nich mówić!

– Oba te kraje lansowały politykę demograficzną, stanowiącą antytezę tradycji amerykańskich. Czy aprobuje pani też zmuszanie do tak zwanej późnej aborcji kobiet, które tego nie chcą?

– Sir, ja nie jestem prezydentem – odpowiedziała reporterka „Globe” siadając. Uchyliła się od odpowiedzi, ale nie uniknęła zaczerwienienia się ze wstydu.

– Panie prezydencie – podjął temat „San Francisco Examiner” – czy nam się to podoba, czy nie, Chiny same zdecydowały o swoich prawach, a ci dwaj ludzie, którzy zginęli dziś rano, ingerowali w te prawa, prawda?

– Pastor Martin Luther King ingerował w prawa stanów Missisipi i Alabamy w czasie, kiedy ja byłem w szkole średniej. Czy „Examiner” sprzeciwiał się wtedy jego postępowaniu?

– Cóż, nie, ale...

– Bo uważamy głos sumienia za nadrzędny imperatyw, prawda? – Odpalił Jack. – Jest to zasadą, od kiedy święty Augustyn powiedział, że niesprawiedliwe prawo nie jest prawem.

Powiedział pan, że Chiny same wybrały sobie swoje prawa. Czyżby? Czy na pewno? Chińska Republika Ludowa nie jest, niestety, krajem demokratycznym. Prawa narzuca tam nieliczna elita. Dwaj dzielni ludzie zginęli wczoraj, sprzeciwiając się tym prawom, próbując, z powodzeniem, uratować życie nienarodzonego dziecka. W całej historii ludzie oddawali życie za gorsze sprawy. Ci dwaj są bohaterami pod każdym względem, ale nie sądzę, żeby ktoś w tej sali, czy w ogóle ktokolwiek w naszym kraju uważał, że zasłużyli na śmierć, bohaterską, czy nie. Karą za nieposłuszeństwo obywatelskie nie powinna być śmierć. Nawet w najczarniejszym okresie lat 60., kiedy czarni Amerykanie dążyli do uzyskania pełnych praw obywatelskich, policja w południowych stanach nie popełniała masowych mordów. A tych lokalnych funkcjonariuszy i członków Ku Klux Klanu, którzy przekroczyli tę granicę, aresztowało FBI i skazywał Departament Sprawiedliwości. Krótko mówiąc, są zasadnicze różnice między Chińską Republiką Ludową a Stanami Zjednoczonymi i spośród tych dwóch ustrojów ja zdecydowanie wolę nasz.

Ryan wyszedł z sali prasowej dziesięć minut później. Arnie już na niego czekał.

– Bardzo dobrze, Jack.

- O? – Prezydent nauczył się już, że ten ton nie wróżył niczego dobrego.
- Aha, właśnie przyrównałeś Chińską Republikę Ludową do nazistowskich Niemiec i Ku Klux Klanu.
- Arnie, skąd to się bierze, że media tak się cackają z krajami komunistycznymi?
- Ależ wcale nie...
- Akurat! Przyrównałem ChRL do nazistowskich Niemiec, a tamci omal nie narobili w majtki. Wiesz co? Mao wymordował więcej ludzi niż Hitler. Powszechnie o tym wiadomo, pamiętam odtajnione opracowanie CIA, w którym zostało to udokumentowane, ale oni to ignorują. Czy obywatel chiński, zabity przez Mao jest mniej martwy niż Polak, zabity przez Hitlera?
- Jack, są wyczuleni na pewne sprawy – powiedział van Damm prezydentowi.
- Tak? Cóż, chciałbym, żeby czasem zademonstrowali coś, co mógłbym uznać za pryncypialność – odpalił Jack i zamaszystym krokiem poszedł do swojego gabinetu, wściekły jak wszyscy diabli.
- Opanuj się, Jack – mruknął Arnie, chociaż prezydent był już daleko. Pomyślał, że Jack wciąż jeszcze nie opanował podstawowej zasady polityki, umiejętności traktowania sukinsyna, jakby był najlepszym przyjacielem, ponieważ wymagał tego interes kraju. Świat byłby lepszy, gdyby wszystko było tak proste i jasne, jak tego pragnął Ryan, pomyślał szef kancelarii. Ale nie był i nic nie wskazywało, że kiedyś się taki stanie.

Kilka przecznic dalej, w Departamencie Stanu, Scott Adler przestał się krzywić i robił teraz notatki, dotyczące naprawienia szkód, jakich właśnie narobił prezydent. Pomyślał, że będzie musiał pogadać z Jackiem o paru sprawach, na przykład o zasadach, które były mu tak drogie.

- Co o tym myślisz, Gerry?
- Hosiah, myślę, że prezydent zachował się bardzo przyzwoicie. Co twój syn o nim sądzi?
- Gerry, są przyjaciółmi od dwudziestu lat, jeszcze z czasów, kiedy obaj wykładali w Akademii Marynarki. Poznałem Ryana. Jest katolikiem, ale myślę, że możemy na to przymknąć oko.
- Będziemy musieli. – Patterson omal nie wybuchnął śmiechem. – Jeden z tych zastrzelonych wczoraj facetów też był katolikiem, pamiętasz?
- I w dodatku Włochem, pewnie pił dużo wina.

– Cóż, Skip też lubił się czasem napić – powiedział Patterson swemu czarnemu koledze.

– Nie wiedziałem – odparł wielebny Jackson z dezaprobatą w głosie.

– Hosiah, ten świat nie jest doskonały.

– Dobrze przynajmniej, że nie chodził na tańce. – Był to prawie żart, ale nie do końca.

– Skip? Nie, nigdy nie słyszałem, żeby tańczył – zapewnił przyjaciela wielebny Patterson.

– Wiesz co? Mam pewien pomysł.

– Jaki, Gerry?

– Co byś powiedział na to, żebyś w najbliższą niedzielę wygłosił kazanie w moim kościele, a ja w twoim? Jestem pewien, że obaj zamierzamy mówić o życiu i męczeństwie pewnego Chińczyka.

– A który fragment wybierzesz jako podstawę swego kazania? – spytał Hosiah, zaskoczony i zaintrygowany zarazem propozycją.

– Dzieje Apostolskie – odpowiedział natychmiast Patterson.

Wielebny Jackson zastanowił się nad tym przez chwilę. Nietrudno było odgadnąć, który konkretnie będzie to fragment. Gerry był świetnym znawcą Biblii. – Podziwiam pański wybór, sir.

– Dziękuję, pastarze Jackson. A co sądzisz o mojej drugiej sugestii?

Wielebny Jackson zastanawiał się tylko przez chwilę. – Będzie dla mnie zaszczytem wygłosić kazanie w twoim kościele i z radością zapraszam cię do wygłoszenia kazania w moim.

– Dziękuję ci, Hosiah. Wiesz, czasem musimy dojść do wniosku, że nasza wiara jest większa niż my sami.

Wielebny Jackson był pod wrażeniem. Nigdy nie wątpił w szczerłość intencji swego białego kolegi i często rozmawiali o sprawach religii i Pisma Świętego. Hosiah przyznawał

nawet w duchu, że Patterson przewyższał go jako znawca Biblii, dzięki swej nieco dłuższej formalnej edukacji. Za to Hosiah Jackson był trochę lepszym mówcą, więc ich specyficzne talenty w pewnym sensie się uzupełniały.

– A może spotkalibyśmy się na lunchu, żeby omówić szczegóły? – zaproponował

Jackson.

– Dzisiaj? Jestem wolny.

– Jasne. Gdzie?

– Może w klubie? Nie grasz przypadkiem w golfa? – spytał Patterson. Miał tego dnia wolne popołudnie i chętnie by sobie pograł.

– Nie, Gerry, nigdy w życiu nie miałem kija golfowego w ręku. – Hosiah zdrowo się uśmieł. – Robert grywa, nauczył się w Annapolis. Mówi, że daje prezydentowi wycisk za każdym razem, kiedy wyjdą na pole golfowe. – Hosiah nigdy nie był w klubie „Wierzbowa Dolina” i zastanawiał się, czy w ogóle mają tam czarnoskórych członków. Prawdopodobnie nie. Stan Missisipi nie zmienił się jeszcze aż do tego stopnia, chociaż czarnoskóry mistrz Tiger Woods wystąpił tam w turnieju PGA71, więc przynajmniej ta bariera została przełamana.

– Cóż, mnie też pewnie spuściłby lanie. Następnym razem, kiedy przyjedzie, może udałoby się nam zagrać. – Członkostwo w „Wierzbowej Dolinie” nic Pattersona nie kosztowało, stanowiło jeszcze jedną zaletę bycia pastorem w zamożnej parafii.

Ale wielebny Jackson wiedział, że Gerry Patterson, bez względu na to, że był biały, nie miał w sobie ani krzty bigoterii. Głosił ewangelię z czystym sercem. Hosiah pamiętał czasy, kiedy bywało inaczej, ale i to się zmieniło, raz na zawsze. Dzięki Bogu.

Admirał Mancuso wstał wcześniej jak zwykle i obejrzał wiadomości w CNN, tak samo jak wszyscy inni. Generał brygady Mike Lahr także.

– Mike, o co tu, do diabła, chodzi? – spytał CINCPCAC, kiedy jego J-2 przyszedł na poranną odprawę.

– Admirale, wygląda na to, że ktoś coś potężnie spieprzył. Ci duchowni solidnie się wychylili i zapłacili za to. Większy problem w tym, że prezydent jest poważnie wkurzony.

– Co powinienem o tym wiedzieć?

71 Professional Golf Association - zawodowa liga golfa (przyp. tłum.)

– Prawdopodobnie padnie wiele ostrych słów między Ameryką a Chinami. Tyle na początek. Nasza delegacja handlowa w Pekinie znajdzie się pewnie pod ostrzałem. A jeśli zanadto im dopieką, cóż... – zawiesił głos.

– Przedstaw mi najgorszy scenariusz – rozkazał CINCPCAC.

– W najgorszym wypadku ChRL postawi się okoniem, a my odwołamy delegację handlową i ambasadora, po czym stosunki staną się na jakiś czas naprawdę chłodne.

– I co wtedy?

– Wtedy... to już raczej kwestia polityczna, ale nie zaszkodzi, jeśli potraktujemy to trochę poważniej, sir – powiedział Lahr swemu szefowi, który podchodził poważnie niemal do wszystkiego.

Mancuso spojrział na wiszącą na ścianie mapę Pacyfiku. „Enterprise” był z powrotem na oceanie, prowadząc ćwiczenia między wyspą Marcusa a Marianami. „John Stennis” stał przy nabrzeżu w Pearl Harbor. „Harry Truman” był w drodze na Hawaje, opłynąwszy przylądek Horn; nowoczesne lotniskowce są o wiele za szerokie na Kanał Panamski. „Lincoln” kończył

niewielki remont w San Diego i miał wkrótce znów wyjść w morze. „Kitty Hawk” i

„Independence”, dwa stare lotniskowce z napędem klasycznym, znajdowały się na Oceanie Indyjskim. Mancuso miał szczęście – po raz pierwszy od lat Pierwsza i Siódma Flota miały sześć lotniskowców w pełnej gotowości operacyjnej. Gdyby więc musiał przeprowadzić demonstrację siły, dysponował środkami, które dałyby Chińczykom trochę do myślenia. Miał

też do dyspozycji mnóstwo samolotów Sił Powietrznych. 3. Dywizja Korpusu Piechoty Morskiej i 25. Lekka Armii, stacjonujące na Hawajach, nie odgrywały żadnej roli w tym scenariuszu. Starcia Marynarki z komunistycznymi Chinami były możliwe, Sił Powietrznych też, ale Mancuso nie dysponował środkami desantowymi, żeby najechać na Chiny, a poza tym, nie był aż tak szalony, żeby uważać to za racjonalną perspektywę w jakichkolwiek okolicznościach.

– Co mamy w tej chwili na Tajwanie?

– „Mobile Bay”, „Milius”, „Chandler” i „Fletcher” demonstrują tam nasze poparcie dla Tajpej. Fregaty „Curtis” i „Reid” uczestniczą we wspólnych operacjach z siłami morskimi Republiki Chińskiej. Okręty podwodne „La Jolla”, „Helena” i „Tennessee” kręcą się po Cieśninie Tajwańskiej albo wzdłuż wybrzeży Chin, przyglądając się jednostkom chińskiej floty.

Mancuso skinął głową. Zazwyczaj trzymał w pobliżu Tajwanu kilka nowoczesnych okrętów, uzbrojonych w pociski rakietowe woda-powietrze. „Milius” był niszczycielem klasy Burke, a „Mobile Bay” krążownikiem rakietowym i oba były wyposażone w system Aegis, żeby Republika Chin mogła się trochę mniej obawiać groźby ewentualnego ataku rakietowego. Zdaniem Mancuso, Chińczycy nie byli na tyle głupi, żeby zaatakować miasto, w którego porcie stało kilka okrętów amerykańskich, a jednostki z systemem Aegis miały spore szanse powstrzymania wszystkiego, co leciało w ich stronę. Ale pewności nigdy nie było, a gdyby ten incydent w Pekinie miał jeszcze bardziej zaostrzyć sytuację... Sięgnął po słuchawkę i połączył się z SURFPAC – trójgwiazdkowym admirałem, któremu podlegały siły nawodne Floty Pacyfiku.

– Tak – zgłosił się admirał Ed Goldsmith.

– Mówi Bart. Jak stoimy z zaopatrzeniem tych okrętów, które mamy teraz w Tajpej?

– Dzwonisz w związku z tym, co pokazywali w CNN, tak?

– Zgadza się – potwierdził CINCPAC.

– Całkiem dobrze. Nic mi nie wiadomo, żeby czegoś tam brakowało. To rutynowa wizyta, wpuszczają miejscowych na pokład i tak dalej. Załogi spędzają mnóstwo czasu na lądzie.

Mancuso nie musiał pytać, co marynarze robią na lądzie. Sam był kiedyś młodym marynarzem, chociaż nigdy nie na Tajwanie.

– Nie zaszkodziłoby, gdyby trochę nadstawili uszu.

– Rozumiem – potwierdził dowódca sił nawodnych Floty Pacyfiku. Mancuso nie musiał

mówić niczego więcej. Na tamtych okrętach będzie od tej pory obowiązywać rotacyjnie trzeci stopień gotowości systemów bojowych. Radary SPY będą zawsze włączone na którymś z okrętów z systemem Aegis. Bardzo pożyteczną cechą tych okrętów było to, że ze stanu

„drzemki” do pełnej gotowości operacyjnej mogły przejść w ciągu około sześćdziesięciu sekund; wystarczyło tylko przekręcić kilka kluczy. Konieczna będzie oczywiście pewna ostrożność. Radar SPY emitował dość energii, żeby usmażyć urządzenia elektroniczne w promieniu paru kilometrów, ale cała sztuka polegała na sterowaniu elektromagnetycznymi wiązkami, a to było pod kontrolą komputera. – W porządku, sir, zaraz powiadomię, kogo trzeba.

– Dzięki, Ed. Jeszcze dzisiaj otrzymasz pełne informacje.

– Aye, aye – odpowiedział SURFPAC. Postanowił od razu zadzwonić do swych dowódców eskadr.

– Co jeszcze? – zastanawiał się głośno Mancuso.

– Nie usłyszeliśmy nic bezpośrednio z Waszyngtonu, panie admirale – powiedział generał

Lahr swemu szefowi.

– Na tym polega urok dowodzenia, Mike. Człowiekowi wolno trochę pomyśleć samodzielnie.

– Co za cholerny burdel – powiedział Bondarienko do kieliszka wódki. Nie miał przy tym na myśli wydarzeń tego dnia, lecz okręg, którymi dowodził, nawet jeśli klub oficerski w Chabarowsku był komfortowy. Rosyjska generalicja zawsze dbała o swoje wygody, a ten budynek pochodził jeszcze z czasów carskich. Wzniesiono go podczas wojny rosyjsko-japońskiej na początku poprzedniego stulecia, a potem kilkakrotnie rozbudowywano. Widać było granicę między przedrewolucyjną i porewolucyjną sztuką budowlaną. Niemieckich jeńców wojennych najwidoczniej nie dowożono pociągami tak daleko na wschód; wybudowali większość dacz dla elity partyjnej z tamtych czasów. Ale wódka była w porządku, a i towarzystwo też nie było takie złe.

– Mogłoby być lepiej, towarzyszu generale – stwierdził ze smutkiem oficer operacyjny Bondarienki.

Była to delikatna aluzja do tego, że Dalekowschodni Okręg Wojskowy istniał bardziej w teorii niż w

praktyce. Z pięciu dywizji zmechanizowanych, które były pod jego dowództwem, tylko jedna, 265. DPZmot, miała osiemdziesiąt procent stanu osobowego. Pozostałe były co najwyżej jednostkami wielkości pułków albo zaledwie dywizjami kadrowymi. Teoretycznie miał też pod swoim dowództwem dywizję pancerną – mniej więcej w sile półtora pułku – plus trzynaście dywizji rezerwy, które istniały nawet nie tyle na papierze, co w marzeniach niektórych oficerów sztabowych. Za to naprawdę miał ogromne magazyny sprzętu, tylko że znaczna część tego sprzętu pochodziła z lat 60. albo i z jeszcze wcześniejszego okresu. A najlepsi żołnierze na obszarze, za który odpowiadał, faktycznie nie jemu podlegali. Była to Straż Graniczna, jednostki wielkości batalionów, stanowiące kiedyś część KGB, a obecnie samodzielna służba, podlegająca prezydentowi Rosji.

Były też fortyfikacje, jeszcze z lat 30., co rzucało się w oczy. Wiele przestarzałych czołgów zabetonowano, przekształcając je w stałe punkty ogniowe. Prawdę mówiąc, fortyfikacje najbardziej przypominały Linie Maginota, również powstała w latach 30.

Te tutaj zbudowano, żeby chronić Związek Radziecki przed atakiem Japończyków, a potem umacniano bez przekonania, żeby chroniły przed Chińską Republiką Ludową. Była to linia obrony, o której nigdy nie zapomniano, ale i nie pamiętano o niej na co dzień.

Poprzedniego dnia Bondarienko oglądał niektóre odcinki. Od czasów carskich oficerowie wojsk inżynierskich nigdy nie byli głupcami. Usytuowanie niektórych umocnień świadczyło o świetnym, wręcz genialnym wyczuciu terenu, ale teraz problem stanowisk ogniowych dobrze ilustrowało pewne amerykańskie powiedzenie: jeśli coś widzisz, możesz to trafić, a jeśli możesz to trafić, możesz i zniszczyć”. Te linie zaprojektowano i zbudowano w czasach, kiedy dokładność ognia artyleryjskiego pozostawiała wiele do życzenia i mówiło się o szczęściu, kiedy bomba lotnicza trafiła we właściwe miasto. Dziś z działa kalibru 150 mm można było strzelać równie celnie jak z karabinu wyborowego, a pilot mógł sobie wybrać okno, przez które bomba miała wpaść do konkretnego budynku.

– Andrieju Pietrowiczu, miło mi, że jesteście takim optymistą. Co zalecilibyście w pierwszej kolejności?

– Łatwo będzie poprawić maskowanie stanowisk ogniowych nad granicą. Zaniedbuje się to od lat – powiedział swemu dowódcy pułkownik Alijew. – Będą dzięki temu znacznie mniej narażone.

– I wytrzymają poważny atak przez... sześćdziesiąt minut, Andriuszka?

– Może nawet przez dziewięćdziesiąt, towarzyszu generale. To lepiej, niż pięć minut, prawda? – Przerwał, żeby przechylić kieliszek. Obaj pili od pół godziny. – Trzeba natychmiast rozpocząć poważny program szkoleniowy dla 265. DPZmot. Prawdę mówiąc, dowódca tej dywizji nie zrobił na mnie zbyt dobrego wrażenia, ale sądzę, że musimy dać mu szansę.

– Jest tu już od tak dawna, może podoba mu się perspektywa chińskiej kuchni – mruknął

Bondarienko.

– Generale, byłem tu jako porucznik – powiedział Alijew. – Pamiętam, jak oficerowie polityczni mówili nam, że Chińczycy zwiększyli długość bagnetów na swoich Kałasznikowach, żeby móc się przebić przez tę dodatkową warstwę tłuszczu, w jaki obrośliśmy, kiedy porzuciliśmy prawdziwy marksizm-leninizm i zaczęliśmy za dużo jeść.

– Naprawdę?

– Naprawdę, Giennadiju Josifowiczu.

– No więc, co wiemy o Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej?

– Dużo ich tam i prowadzą intensywne szkolenie już od czterech lat, ćwiczą o wiele więcej od nas.

– Stać ich na to – mruknął kwaśno Bondarienko. Kiedy tu przybył, od razu zorientował

się, jak krucho jest z funduszami i ze sprzętem. Ale sytuacja nie była całkiem beznadziejna.

Miał magazyny, w których paliwo i amunicję składowano od trzech pokoleń. Na przykład dysponował całą górą pocisków do 100-milimetrowych armat swych wielu – od dawna przestarzałych – czołgów T-55 i całym oceanem oleju napędowego, ukrytym w niezliczonych podziemnych zbiornikach. Cokolwiek by powiedzieć o Dalekowschodnim Okręgu Wojskowym, była tu infrastruktura z czasów Związku Radzieckiego, rozbudowywana przez całe pokolenia instytucjonalnej paranoi. Ale to nie to samo, co sprawna armia.

– A co z lotnictwem?

– Głównie uziemione – odpowiedział Alijew ponuro. – Problem części zamiennych.

Zużyliśmy ich tyle w Czeczenii, że teraz wszystkiego brakuje, a Zachodni Okręg Wojskowy wciąż ma pierwszeństwo.

– Tak? Nasze kierownictwo polityczne spodziewa się, że napadną na nas Polacy?

– To kierunek, na którym znajdują się Niemcy – zwrócił uwagę pułkownik.

– Walczę w tej sprawie z dowództwem naczelnym od trzech lat – warknął Bondarienko, wspominając czasy, kiedy był szefem operacyjnym całej Armii Rosyjskiej. Ale niektórzy ludzie nie przyjmują racjonalnych argumentów do wiadomości. Spojrzał na Alijewa. – A jeśli przyjdą Chińczycy?

Jego oficer operacyjny wzruszył ramionami. – To będą problemy.

Bondarienko uważnie przestudiował mapy. Do tej nowej kopalni złota wcale nie było tak daleko... a pracowite wojska inżynieryjne budowały nawet drogi do tych skarbów...

– Jutro, Andrieju Pietrowiczu, zaczniemy opracowywać plan ćwiczeń dla naszych wszystkich formacji – powiedział szef Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego swojemu oficerowi operacyjnemu.

Rozdział 27

Transport

Diggsowi nie całkiem podobało się to, co widział, ale nie było to aż takim zaskoczeniem.

Batalion Drugiej Brygady pułkownika Lisle manewrował na obszarze ćwiczeń – nieudolnie, dodał w myślach Diggs. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że musi zmodyfikować swe kryteria. To nie był Narodowy Ośrodek Szkoleniowy w Fort Irwin w Kalifornii, a Druga Brygada pułkownika Lisle nie była 11. pułkiem pancernym, którego żołnierze byli na ćwiczeniach praktycznie codziennie i w rezultacie mieli rzemiosło wojenne opanowane tak, jak chirurg skalpel. Nie, 1. Dywizja Pancerna zmieniła się w siłę garnizonową od czasu upadku Związku Radzieckiego, a cały ten stracony czas w resztkach dawnej Jugosławii, gdzie próbowali „utrzymywać pokój” nie wyostrzył ich umiejętności bojowych. Utrzymywanie pokoju. Diggs nienawidził tego sformułowania. Jego ludzie byli żołnierzami, a nie policjantami w mundurach polowych.

Rola przeciwnika przypadła jednej z niemieckich brygad i, na pierwszy rzut oka, Niemcy całkiem dobrze radzili sobie w swych czołgach Leopard II. Cóż, Niemcy mieli rzemiosło wojenne we krwi, ale nie byli wyszkoleni lepiej niż Amerykanie, a właśnie wyszkolenie określało różnicę między jakimś cholernym cywilnym ignorantem a żołnierzem. Wyszkolenie oznaczało, że wiedziało się, w którą stronę patrzeć i co robić, jeśli się coś zobaczyło.

Wyszkolenie oznaczało, że bez patrzenia wiedziało się, co robi czołg po lewej stronie.

Wyszkolenie oznaczało umiejętność naprawienia czołgu, czy Bradleya, kiedy coś się zepsuło.

I wreszcie, wyszkolenie oznaczało dumę, ponieważ wraz z wyszkoleniem przychodziła pewność siebie, niezłomne przekonanie, że jest się najgroźniejszym sukinsynem w Dolinie Cienia Śmierci i że nie trzeba się bać nikogo i niczego.

Za sterami śmigłowca UH-60A, którym leciał Diggs, siedział pułkownik Boyle. Diggs zajął miejsce tuż za fotelami pilotów. Lecieli na wysokości około stu pięćdziesięciu metrów.

– Tamten pluton właśnie się w coś wpakował – zameldował Boyle, pokazując ręką. I rzeczywiście, prowadzący czołg zaczął sygnalizować migającym żółtym światłem, że wypadł

z walki.

– Zobaczmy, jak sobie z tym poradzi dowódca plutonu – powiedział generał Diggs.

Obserwowali, jak sierżant wycofał trzy pozostałe czołgi, podczas gdy z unieruchomionego M1A2 ewakuowała się załoga. Zarówno ten czołg, jak i jego załoga prawdopodobnie przetrwali wirtualne „trafienie” tym, co wystrzelili do nich Niemcy. Nikt nie skonstruował dotąd broni, potrafiącej niezawodnie przebijać pancerz typu Chobham72, ale ktoś ją kiedyś mógł skonstruować, więc załóg czołgów nie zachęcano do uważania się za nieśmiertelne, a swych pojazdów za niezwyciężone.

– W porządku, sierżant zna się na swojej robocie – powiedział Diggs. Śmigłowiec poleciał dalej. Generał spostrzegł, że pułkownik Masterman robi mnóstwo notatek. – Co o tym sądzisz, Duke?

– Sądzę, że osiągnęli około siedemdziesięciu pięciu procent gotowości, sir –

odpowiedział oficer operacyjny G3. – Może nawet trochę więcej. Musimy ich wszystkich wziąć do sieci SIMNET, żeby trochę nimi potrząsnąć.

Była to jedna z lepszych inwestycji Armii. SIMNET był systemem, na który składała się hala pełna symulatorów M1 i Bradleyów, połączona przez superkomputer i satelitę z dalszymi dwiema takimi halami, dzięki czemu można było elektronicznie prowadzić bardzo realistyczne bitwy. SIMNET był strasznie drogi i, chociaż w żadnym wypadku nie mógł

zastąpić ćwiczeń w warunkach polowych, był jednak niezrównaną pomocą szkoleniową.

– Generale, cały ten czas spędzony w Jugosławii nie pomógł chłopcom pułkownika Lisle’a – powiedział Boyle z prawego fotela.

– Wiem o tym – zgodził się Diggs. – Nie zamierzam na razie łamać komukolwiek kariery

– obiecał.

Boyle odwrócił głowę i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Doskonale, sir. Powiem o tym chłopakom.

– Co sądzisz o Niemcach?

– Znam ich szefa, generała dywizji Siegfrieda Modela. Jest cholernie bystry. I gra w karty jak szatan. Niech pan uważa, generale.

– Naprawdę? – Diggs jeszcze całkiem niedawno dowodził Narodowym Ośrodkiem Szkoleniowym i próbował czasem szczęścia w Las Vegas, dokąd szosą 1-15 miał zaledwie dwie godziny.

– Sir, wiem, co pan myśli. Radzę się zastanowić – ostrzegł swego szefa Boyle.

– Wygląda na to, że twoje śmigłowce dobrze się spisują.

– Aha, w Jugosławii mieliśmy całkiem przyzwoity trening i dopóki będziemy mieli paliwo, mogę szkolić moich ludzi.

– Co z ostrym strzelaniem? – spytał generał dowodzący Pierwszą Pancerną.

72 Rodzaj opancerzenia składający się z warstw stali pancernej, stopów lekkich, elementów ceramicznych i tworzyw sztucznych (przyp. red.)

– Nie robimy tego od jakiegoś czasu, sir, ale z drugiej strony, symulatory są niemal równie dobre – odpowiedział Boyle przez interkom. – Ale sądzę, że będzie pan chciał, żeby te pańskie ropuchy na gąsienicach trochę postrzelały naprawdę.

Boyle miał w tym wypadku rację. Załogom Abramsów czy Bradleyów nic nie mogło zastąpić ostrego strzelania.

Obserwacja parkowej ławeczki okazała się długa i nudna. Najpierw zabrali oczywiście pojemnik i otworzyli go. W środku były dwie kartki, gęsto zadrukowane cyrylicą, przy czym tekst był zaszyfrowany. Kartki sfotografowano i wysłano zdjęcia specem od łamania szyfrów.

Okazało się to niełatwym zadaniem, a właściwie, jak dotąd, niewykonalnym, co doprowadziło oficerów Federalnej Służby Bezpieczeństwa do wniosku, że Chińczyk (jeśli to był on) przejął

starą praktykę KGB, polegającą na stosowaniu jednorazowych tablic. Takie szyfry były, teoretycznie rzecz biorąc, nie do złamania, ponieważ nie istniał żaden powtarzalny wzorzec, formuła, czy algorytm.

Teraz pozostało już tylko czekać, żeby zobaczyć, kto przyjdzie po pojemnik.

Okazało się, że może to potrwać więcej niż jeden dzień. FSB użyła do tej operacji trzech pojazdów. Dwa z nich były mikrobusami, z których cel obserwowały kamery, dające duże zbliżenie. Równocześnie mieszkanie Suworowa-Koniewa było obserwowane równie uważnie, jak elektroniczne tablice z bieżącymi notowaniami z moskiewskiej giełdy. Ich podejrzany miał przez cały czas „cień”, na który składało się do dziesięciu funkcjonariuszy, głównie wyszkolonych przez KGB łapaczy szpiegów i tylko paru śledczych Prowalowa, których włączono w tę operację, ponieważ formalnie wciąż była to sprawa w gestii Wydziału Zabójstw. I miała nią pozostać, dopóki – na co liczyli – jakiś cudzoziemiec nie zabierze pojemnika spod ławeczki.

Ponieważ była to parkowa ławeczka, ludzie siadali na niej regularnie. Dorośli czytali gazety, dzieci przeglądały komiksy, nastolatki trzymały się za ręce, ludzie prowadzili uprzejme pogawędki, a dwóch starszych panów spotykało się tam nawet każdego popołudnia na partyjkę szachów, rozgrywaną na magnetycznej szachownicy. Po każdej takiej wizycie skrzynkę kontaktową sprawdzano, ale zawsze bez rezultatów. Czwartego dnia ludzie zaczęli głośno snuć rozważania, że to na pewno jakiś trik. Że Suworow-Koniew sprawdza w ten sposób, czy nie jest śledzony. Jeśli tak, to był przebiegłym skurwysynem, co do tego wszyscy z ekipy obserwacyjnej byli zgodni. Ale to wiedzieli już wcześniej.

Przełom nastąpił piątego dnia późnym popołudniem: do parku przyszedł ten, którego się spodziewali. Nazywał się Kong Deshi i oficjalnie był mało znaczącym dyplomatą chińskim.

Miał czterdzieści sześć lat, był niezbyt wysoki, przeciętnie zbudowany, a z dossier, przesłanego przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych wynikało, że jego intelekt też był

przeciętny; grzecznie wyrażono w ten sposób opinię, że mają go za osła. Ale inni zwrócili uwagę, że taka charakterystyka jest doskonałym kamuflażem dla szpiega, w dodatku zmuszającym ludzi z kontrwywiadu do tracenia masy czasu na śledzenie po całym świecie głupawych dyplomatów, którzy okazywali się właśnie... niczym więcej niż głupawymi dyplomatami, których nigdy nie brakowało. Ten tutaj przechadzał się swobodnie z jakimś innym Chińczykiem, wyglądającym na biznesmena, a przynajmniej tak im się wydawało.

Usiedli i kontynuowali rozmowę, gestykulując energicznie, aż ten drugi odwrócił się, żeby spojrzeć na coś, co pokazał mu Kong. Wtedy prawa ręka Konga wsunęła się szybko i prawie niezauważalnie pod ławeczkę i wyjęła pojemnik, a może i podłożyła inny, zanim Kong znów oparł ją sobie na nodze. Pięć minut później, po papierosie, obaj wstali i poszli z powrotem w stronę najbliższej stacji metra.

– Cierpliwości – powiedział szef ekipy FSB swoim ludziom przez radio; czekali jeszcze godzinę, żeby się upewnić, czy skrzynka kontaktowa nie jest obserwowana z któregoś z zaparkowanych w pobliżu samochodów. Dopiero wtedy funkcjonariusz FSB podszedł do ławeczki, usiadł z popołudniową gazetą w ręku i zabrał pojemnik. Sposób, w jaki wyrzucił

niedopałek papierosa powiedział pozostałym, że pojemniki zostały zamienione.

W laboratorium natychmiast odkryto, że pojemnik był zamknięty na klucz, co wzbudziło powszechne zainteresowanie. Paczkę natychmiast prześwietlono i okazało się, że zawiera baterię i trochę kabli, a także jakiś półprzezroczysty prostokąt; razem wskazywało to na ładunek wybuchowy. A więc zawartość paczki musiała być ważna. Wytrawnemu ślusarzowi otwarcie zamka zajęło dwadzieścia minut. Kiedy otworzyli pojemnik, znaleźli w nim kilka kartek specjalnego, błyskawicznie płonącego papieru. Wyjęto je i sfotografowano. Były gęsto zapisane cyrylicą, a litery były porozrzucane zupełnie przypadkowo. Mieli w ręku jednorazowe tablice, co oznaczało, że spełniły się ich największe nadzieje. Kartki poskładano dokładnie i umieszczono z powrotem, po czym cienki metalowy pojemnik, wyglądem przypominający tanią papierośnicę, podłożono pod ławeczkę.

– I co? – spytał Prowałow funkcjonariusza Federalnej Służby Bezpieczeństwa, prowadzącego tę sprawę.

– Ano to, że kiedy następnym razem nasz podejrzany wyśle wiadomość, będziemy ją mogli odczytać.

– I wszystkiego się dowiemy – powiedział Prowałow.

– Może. Będziemy wiedzieli więcej niż teraz. Będziemy mieli dowód, że ten Suworow jest szpiegiem. To mogę obiecać – zapewnił oficer kontrwywiadu.

Prowałow musiał w duchu przyznać, że w sprawie zabójstw nie wiedzieli więcej niż przed dwoma tygodniami, ale przynajmniej coś się działo, nawet jeśli jakaś tablica miała tylko jeszcze bardziej zagmatwać sytuację.

– I co, Mike? – spytał Murray, znajdujący się osiem stref czasowych dalej.

– Jeszcze nic konkretnego, dyrektorze, ale teraz wygląda na to, że polujemy na szpiega.

Klient nazywa się Kliementij Iwanowicz Suworow, ale teraz posługuje się nazwiskiem Iwan Jurijewicz Koniew. – Reilly podał adres. – Trop prowadzi do niego, a przynajmniej tak to wygląda, no i widzieliśmy go, kiedy najprawdopodobniej nawiązał kontakt z chińskim dyplomatą.

– Ale co to, do diabła, znaczy? – zastanawiał się na głos dyrektor FBI Dan Murray.

– Nie mam pojęcia, dyrektorze, ale sprawa na pewno zrobiła się interesująca.

– Musisz być w bardzo bliskich stosunkach z tym Prowałowem.

– To dobry gliniarz i rzeczywiście, całkiem nieźle się dogadujemy.

Cliff Rutledge nie mógł tego powiedzieć o swoich kontaktach z Shen Tangiem.

– Sposób, w jaki wasze media zrelacjonowały ten incydent narobił wystarczająco wiele zła, ale to, co wasz prezydent powiedział o naszej polityce wewnętrznej jest już naruszeniem suwerenności Chin! – Chiński minister spraw zagranicznych prawie wykrzyczał te słowa, po raz siódmy podczas lunchu.

– Panie ministrze – odparł Cliff Rutledge – nie doszłoby do niczego takiego, gdyby wasz milicjant nie zastrzelił akredytowanego dyplomaty, co, ściśle rzecz biorąc, nie jest cywilizowanym aktem.

– Nasze sprawy wewnętrzne, to nasz interes – odpowiedział natychmiast Shen.

– Słusznie, panie ministrze, ale Ameryka ma swe własne przekonania i jeśli chcecie, żebyśmy my uszanowali wasze, to i my możemy się do was zwrócić o okazanie pewnego poszanowania dla naszych.

– Zaczynamy mieć dość amerykańskich ingerencji w chińskie sprawy wewnętrzne.

Najpierw uznajecie oficjalnie Tajwan, który jest naszą zbuntowaną prowincją. Potem zachęcacie cudzoziemców do ingerowania w naszą politykę wewnętrzną. A potem, pod płaszczykiem przekonań religijnych, wysyłacie szpiega, żeby naruszał nasze prawa wspólnie z dyplomatą z jeszcze innego kraju, filmujecie chińskiego milicjanta, wypełniającego swój obowiązek i wreszcie wasz prezydent potępia nas za waszą ingerencję w nasze sprawy wewnętrzne. Chińska Republika Ludowa nie będzie tolerowała takich niecywilizowanych działań!

A teraz zażadasz klauzuli najwyższego uprzywilejowania, co? – pomyślał Mark Gant.

Cholera, to przypominało spotkanie z bankierami inwestycyjnymi na Wall Street i to z takimi, którzy preferują pirackie metody.

– Panie ministrze, zarzuca nam pan niecywilizowane postępowanie – odparł Rutledge –

lecz na naszych rękach nie ma krwi. Ale, o ile pamiętam, jesteśmy tu po to, żeby rozmawiać o sprawach handlowych. Możemy wrócić do tej tematyki?

– Panie Rutledge, Ameryka nie ma prawa z jednej strony dyktować czegoś Chińskiej Republice Ludowej, a z drugiej kwestionować nasze prawa – powiedział Shen.

– Panie ministrze, Ameryka nie dopuściła się żadnej ingerencji w chińskie sprawy wewnętrzne. Jeśli ktoś zabija dyplomatę, to musi się liczyć z reakcją. A w sprawie Republiki Chińskiej...

– Nie ma żadnej Republiki Chińskiej! – niemal wykrzyknął minister spraw zagranicznych ChRL – To renegaci, zbuntowana prowincja, a uznając ich, naruszyliście naszą suwerenność!

– Panie ministrze, Republika Chińska jest niepodległym krajem, z władzami wyłonionymi w całkowicie wolnych wyborach i Stany Zjednoczone nie są jedynym krajem, który to docenia. Polityka USA popiera samostanowienie narodów. Jeśli naród Republiki Chińskiej uzna, że jego kraj ma się stać częścią Chin kontynentalnych, będzie to jego wybór.

Ale ponieważ wybrał inaczej, Ameryka uważa za stosowne oficjalnie go uznać. Tak samo, jak oczekujemy, że inni uznają władze Stanów Zjednoczonych za prawowite, bo reprezentujące wolę narodu, tak samo Ameryka jest zobowiązana uszanować wolę innych narodów. –

Rutledge rozparł się na krześle, wyraźnie znudzony kierunkiem, jaki przybrała ta popołudniowa sesja. Oczekiwał czegoś takiego na sesji porannej, bo ChRL musiała jakoś dać upust złości, ale jedno przedpołudnie powinno na to wystarczyć. To się zaczynało robić męczące.

– A jeśli jeszcze któraś z naszych prowincji się zbuntuje, to co, uznacie ją?

– Chce mi pan minister powiedzieć, że w Chińskiej Republice Ludowej szykują się kolejne niepokoje polityczne? – spytał natychmiast Rutledge; chwilę później doszedł do wniosku, że zrobił to trochę za szybko i zbyt gładko. – Tak czy inaczej, nie mam instrukcji na taką ewentualność. – Miała to być (trochę) żartobliwa odpowiedź na dość głupie pytanie, ale minister Shen najwyraźniej zostawił tego dnia swe poczucie humoru w domu. Uniósł dłoń z wyciągniętym palcem i pogroził nim Rutledge'owi oraz Stanom Zjednoczonym.

– Oszukujecie nas. Ingerujecie w nasze sprawy. Obrażacie nas. Obciążacie nas winą za niewydolność waszej gospodarki. Blokujecie nam dostęp do swoich rynków. A pan siedzi tu, usiłując stworzyć wrażenie, że jest pan ucieleśnieniem wartości tego świata. Nic z tego!

– Panie ministrze, otworzyliśmy drzwi dla handlu z waszym krajem, a wy zatrzasnęliście nam wasze drzwi przed nosem. Zgoda, to wasze drzwi – przyznał – ale my też mamy drzwi, które możemy zamknąć, jeśli nas do tego zmusicie. Nie chcemy tego robić. Chcemy uczciwego i wolnego handlu między wielkim narodem chińskim a narodem amerykańskim, ale to nie Ameryka stwarza przeszkody dla tego handlu.

– Najpierw nas obrażacie, a potem oczekujecie, że zaprosimy was do naszego domu?

– Panie ministrze, Ameryka nikogo nie obraża. W Chińskiej Republice Ludowej doszło wczoraj do tragedii. Prawdopodobnie wolelibyście tego uniknąć, ale co się stało, to się nie odstanie. Prezydent Stanów Zjednoczonych zwrócił się do was o wyjaśnienie tego zajścia. To zupełnie racjonalna prośba. Za co nas potępiać? Dziennikarz zrelacjonował fakty. Czy Chiny zaprzeczają faktom, które widzieliśmy w telewizji? Czy twierdzicie, że prywatna telewizja amerykańska sfabrykowała to wydarzenie? Nie sadzę. Czy powiecie, że ci dwaj ludzie nie zginęli? Niestety, zginęli. Chcecie powiedzieć, że wasz milicjant postąpił słusznie, zabijając akredytowanego dyplomatę i duchownego, trzymającego w ramionach nowo narodzone dziecko? – spytał Rutledge swym najbardziej umiarkowanym tonem. – Panie ministrze, przez ostatnie trzy i pół godziny powtarza pan, że Ameryka nie ma racji, sprzeciwiając się czemuś, co wygląda na zabójstwo z zimną krwią. Tymczasem my jedynie poprosiliśmy wasze władze o zbadanie tego zajścia. Panie ministrze, Ameryka nie zrobiła, ani nie powiedziała niczego, co można by uznać za nierozsądne i zaczynamy mieć dość zarzucania nam tego. Ja i moja delegacja przybyliśmy tutaj, żeby rozmawiać o handlu.

Chcielibyśmy, żeby Chińska Republika Ludowa szerzej otworzyła swe rynki, tak, aby handel stał się handlem, swobodną międzynarodową wymianą towarów. Żądacie klauzuli największego uprzywilejowania w stosunkach handlowych ze Stanami Zjednoczonymi. Nie dojdzie do tego, dopóki wasze rynki nie będą tak szeroko otwarte dla Ameryki, jak rynki amerykańskie dla Chin, ale może to nastąpić, jeśli wprowadzicie zmiany, które postulujemy.

– Chińska Republika Ludowa skończyła z podporządkowywaniem się obraźliwym żądaniom Ameryki. Skończyliśmy z tolerowaniem obrażania naszej suwerenności.

Skończyliśmy z waszymi ingerencjami w nasze sprawy wewnętrzne. Czas już, żeby Ameryka rozpatrzyła nasz racjonalny wniosek. Nie prosimy o nic więcej, niż dajecie innym krajom: chcemy klauzuli największego uprzywilejowania.

– Panie ministrze, nie dojdzie do tego, dopóki nie otworzycie swoich rynków na nasze towary. Handel nie jest wolny, jeśli nie jest uczciwy. Sprzeciwiamy się również naruszaniu przez ChRL traktatów i umów w sprawie ochrony praw autorskich i znaków firmowych. Nie zgadzamy się, żeby chińskie przedsiębiorstwa państwowe naruszały traktaty patentowe, i to do tego stopnia, że wytwarzają chronione prawem produkty amerykańskie bez zezwolenia...

– Więc teraz nazywacie nas złodziejami? – spytał napastliwie Shen.

– Panie ministrze, zwracam uwagę, że nie wypowiedziałem takich słów. Pozostaje jednak faktem, że mamy przykłady chińskich produktów, które zdają się zawierać amerykańskie innowacje, za które amerykańscy wynalazcy nie otrzymali wynagrodzenia i od których nie uzyskano zgody na produkowanie tych kopii. Jeśli pan sobie życzy, mogę przedstawić przykłady takich produktów. – Jediną reakcją Shena było gniewne machnięcie ręką, co Rutledge odczytał jako „Nie, dziękuję”, albo coś w tym rodzaju.

– Nie jestem zainteresowany oglądaniem dowodów amerykańskich kłamstw. Podczas gdy Rutledge wygłaszał swą odpowiedź, mającą pokazać, że czuje się dotknięty słowami Shena, Gant czuł się trochę jak widz na meczu bokserskim, zastanawiając się, czy któryś z zawodników zada nokautujący

cios. Uznał, że raczej nie. Żaden z nich nie miał szklanej szczęki i obaj prezentowali świetną pracę nóg. Było więc dużo machania rękami, ale bez poważnych rezultatów. Uznał, że jest to może podniecające z racji widowiskowej formy, ale w sumie nudne z uwagi na brak rezultatów. Zrobił parę notatek, ale tylko po to, żeby móc później wiernie odtworzyć przebieg tych rozmów. Może będzie z tego zabawny rozdział w jego autobiografii? Zastanawiał się, jak mógłby go zatytułować. Może „Handlarz i Dyplomata”?

Czterdzieści pięć minut później spotkanie zakończyło się uściskami dłoni, które były zadziwiająco serdeczne. Marka Ganta trochę to zaskoczyło.

– Wszystko to biznes, nic osobistego – wyjaśnił Rutledge. – jestem zaskoczony, że tak się tego uczepili. Przecież o nic ich w końcu nie oskarżyliśmy. Do licha, nawet prezydent jedynie poprosił o zbadanie sprawy. Dlaczego są tacy drażliwi? – zastanawiał się na głos.

– Może się niepokoją, że nie uzyskają w tych rozmowach tego, na czym im zależy – podsunął Gant.

– Ale dlaczego są aż tak zaniepokojeni? – spytał Rutledge.

– Może ich rezerwy dewizowe są jeszcze mniejsze niż to sugeruje mój model komputerowy. – Gant wzruszył ramionami.

– Ale nawet jeśli rzeczywiście tak jest, to trudno powiedzieć, żeby zachowywali się w sposób, który pozwoliłby im cokolwiek osiągnąć. – Rutledge był wyraźnie sfrustrowany. –

Nie zachowują się logicznie. W porządku, jasne, mogli się wściec z powodu tej strzelaniny i może prezydent Ryan posunął się trochę za daleko w niektórych sformułowaniach, a na Boga, w sprawach aborcji jest prawdziwym neandertalczykiem. Ale wszystko to nie tłumaczy jeszcze ich postępowania.

– Strach? – podsunął Gant.

– Strach przed czym?

– Jeśli ich rezerwy dewizowe są rzeczywiście takie małe albo nawet jeszcze mniejsze, mogą popaść w poważne tarapaty, Cliff. Poważniejsze, niż nam się wydaje.

– Załóżmy, że tak właśnie jest, Mark. Dlaczego aż tak się tego boją?

– Z kilku powodów – powiedział Gant, pochylając się do przodu na siedzeniu limuzyny.

– To znaczy, że nie mają gotówki, żeby robić zakupy, albo żeby zapłacić za to, co już kupili.

To wstyd, a jak sam powiedziałaś, ci ludzie są bardzo dumni. Nie wyobrażam sobie, żeby przyznali się, że nie mają racji, czy żeby chcieli okazać słabość.

– To fakt – zgodził się Rutledge.

– Duma może narobić mnóstwo kłopotów, Cliff – myślał na głos Gant. Pamiętał pewien fundusz inwestycyjny na Wall Street, który poniósł stratę wysokości stu milionów dolarów, ponieważ jego dyrektor nie potrafił się wycofać z czegoś, co jeszcze kilka dni wcześniej uważał za słuszne i obstawał przy swoim, kiedy już stało się zupełnie jasne, że nie miał racji.

Dlaczego? Dlatego, że nie chciał wyjść na Wall Street na mięczaka. I tak, zamiast wyjść na mięczaka, pokazał całemu światu, jaki z niego osioł. Ale jak to przełożyć na stosunki międzynarodowe? W końcu głowa państwa powinna chyba mieć więcej rozumu niż tamten dyrektor, prawda?

– Sprawy nie idą dobrze, przyjacielu – powiedział Zhang Fangowi.

– To wina tego głupiego milicjanta. Tak, Amerykanie przesadzili z reakcją, ale nie doszłoby do tego, gdyby nie ten nadgorliwy funkcjonariusz.

– Ten prezydent Ryan... dlaczego on nas tak nienawidzi?

– Zhang, dwukrotnie spiskowałeś przeciw Rosjanom i dwa razy intrygowałeś przeciwko Ameryce. Wyklucasz, że Amerykanie o tym wiedzą? Czy nie mogli się tego domyśleć? Nie przyszło ci do głowy, że to właśnie dlatego uznali reżim tajwański?

Zhang Han San pokręcił głową. – To niemożliwe. Nigdy nie było niczego na piśmie. –

Nie musiał dodawać, że w obu wypadkach zabezpieczyli się przeciw na każdą ewentualność.

– Ludzie mają uszy, Zhang i pamiętają, co mówiono w ich obecności. Mało jest na świecie tajemnic. Nie da się utrzymać spraw państwowych w tajemnicy, tak samo jak nie można ukryć wschodu słońca – ciągnął Fang. Tak mu się spodobało to, co przed chwilą powiedział, że postanowił koniecznie włączyć to do notatki, którą będzie dyktował Ming. –

Wie o nich zbyt wielu ludzi i wszyscy oni mają usta.

– Więc co, twoim zdaniem, powinniśmy zrobić?

– Amerykański prezydent zażądał śledztwa, więc damy mu śledztwo. Fakty, które ustalimy, będą takie, jak tego sobie życzymy. Jeśli ten milicjant będzie musiał umrzeć, to przecież mamy tylu innych na jego miejsce. Zhang, nasze stosunki handlowe z Ameryką są ważniejsze od tej trywialnej sprawy.

– Nie możemy się upokorzyć przed tym barbarzyńcą.

– W tym wypadku nie możemy sobie pozwolić na to, żeby tego nie zrobić. Nie możemy pozwolić, żeby fałszywa duma stała się zagrożeniem dla naszego kraju. – Fang westchnął.

Jego przyjaciel Zhang zawsze był taki dumny. Odznaczał się dalekowzrocznością, na pewno, ale był

zbyt skoncentrowany na sobie i miejscu, jakiego dla siebie pragnął. Nigdy nie chciał

dla siebie najwyższej pozycji, wolał być tym, który ma wpływ na człowieka, siedzącego na samym szczycie, jak jeden z tych dworskich eunuchów, którzy przez ponad tysiąc lat wskazywali kierunek kolejnym cesarzom. Fang omal się nie uśmiechnął na myśl, że żadna władza nie jest warta tego, żeby zostać eunuchem, nawet na dworze cesarskim, i że Zhang prawdopodobnie też nie chciał posunąć się aż tak daleko. Ale rola szarej eminencji była zapewne trudniejsza niż rola tego, który dotarł na sam szczyt władzy... Jednak Fang nie zapominał, że to Zhang stał za wyborem Xu na sekretarza generalnego. Xu był intelektualnym zerem, człowiekiem o dość miłym obejściu i cesarskiej aparycji, potrafiącym przemawiać publicznie, ale cóż, nie można było spodziewać się po nim wzniosłych idei...

...i wiele to wyjaśniało. Zhang pomógł Xu zostać szefem Biura Politycznego właśnie dlatego, że był on jak puste naczynie, a Zhang mógł wypełniać tę intelektualną pustkę swoimi ideami. Oczywiście. Powinien był wcześniej się zorientować. Powszechnie uważano, że Xu został wybrany z racji swej centrowej postawy w każdej kwestii; poza granicami ChRL

nazywano go człowiekiem pojednania i konsensusu. Faktycznie był człowiekiem bez własnych przekonań, ale gotowym przyjąć przekonania każdego innego, jeśli ten ktoś –

Zhang – troszczył się o niego i decydował, jakie stanowisko ma zająć Biuro Polityczne.

Xu nie był oczywiście zupełną marionetką. Taka już była natura ludzka. Ludziom, bardzo pożytecznym w niektórych sprawach, wydawało się, że myślą samodzielnie, a najgłupszy z nich mieli nawet idee, które rzadko były logiczne i prawie nigdy pomocne w czymkolwiek.

Xu wielokrotnie wprawiał Zhanga w zakłopotanie, a ponieważ był przewodniczącym Biura Politycznego, miał rzeczywistą władzę, chociaż brakowało mu rozumu, żeby móc ją odpowiednio wykorzystać. Ale w sześćdziesięciu procentach – a może i więcej – był tylko marionetką w rękach Zhanga. W rezultacie Zhang mógł bez przeszkód wywierać wpływ praktycznie bez przeszkód i prowadzić własną politykę. I najczęściej robił to w sposób niezauważalny. Poza Biurem Politycznym w ogóle o tym nie wiedzano, a i w samym Biurze też nie było to tajemnicą poliszynela, ponieważ tak wiele jego spotkań z Xu miało charakter prywatny, a Zhang prawie nigdy o nich nie mówił, nawet Fangowi.

Fang pomyślał – i to nie po raz pierwszy – że jego stary przyjaciel jest jak kameleon. Ale jeśli nawet okazywał skromność, nie zabiegając o rozgłos, adekwatny do jego wpływów, to rekompensował to sobie grzechem pychy i – co gorsza – wydawało się, że nie był świadom, jaką słabość okazuje. Albo wcale nie uważał tego za wadę, albo sądził, że tylko on o niej wie.

Każdy człowiek ma swoje słabości, a największymi słabościami zawsze są te, z których nie zdajemy sobie sprawy. Fang spojrzął na zegarek i pożegnał się. Przy odrobinie szczęścia powinien być w domu o przyzwoitej porze, ale najpierw musiał podyktować Ming swoją relację. Co za dziwne uczucie, być w domu w miarę wcześnie.

Kursy kolizyjne

- Co za sukinsyny – mruknął wiceprezydent Jackson, popijając kawę w Gabinetce Owalnym.
- Witaj w cudownym świecie władzy państwowej, Robby – powiedział Ryan przyjacielowi. Była godzina 7.45. Cathy i dzieciaki wyruszyli trochę wcześniej i dzień szybko nabierał tempa. – Dotąd mieliśmy podejrzenia, ale teraz mamy dowód, jeśli można to tak określić. Wojna z Japonią i ten mały problem, który mieliśmy z Iranem, wszystko to miało początek w Pekinie; no, może nie całkiem, ale ten Zhang walnie przyczynił się do jednego i do drugiego.
- Cóż, może i jest parszywym sukinsynem, ale nie wystawiłbym mu dobrej oceny za intelekt – powiedział Robby po chwili zastanowienia. A potem jeszcze trochę się nad tym zastanowił. – Ale może to nie fair. Z jego punktu widzenia te plany były bardzo przebiegłe, potrafił posłużyć się innymi. Sam nic nie ryzykował, a czerpał zyski dzięki ryzyku, podejmowanemu przez innych. Sądzę, że robił to bardzo skutecznie.
- Pytanie, jakie będzie jego następne posunięcie.
- Na podstawie tego tutaj i meldunków Rutledge’a z Pekinu sądzą, że powinniśmy brać tych ludzi poważnie – uznał Robby. Chwilę później przyszedł mu do głowy pewien pomysł. –

Jack, musimy w to włączyć więcej osób.

- Spróbuj choćby zasugerować coś takiego, a Mary Pat dostanie kota – powiedział Ryan.
- Jack, z informacjami wywiadowczymi zawsze tak jest. Jeśli wtajemniczysz w nie zbyt wielu ludzi, ryzykujesz, że będzie przeciek i że przegrasz, ale jeśli nie zrobisz z nich w ogóle żadnego użytku, to równie dobrze mógłbyś ich wcale nie mieć. Gdzie wytyczysz granicę? –

Pytanie było retoryczne. – Jeśli popełnisz błąd, narazisz czyjeś bezpieczeństwo, ale bezpieczeństwo kraju jest ważniejsze od bezpieczeństwa źródła informacji.

- Rob, za tym kawałkiem papieru stoi realny, żywy człowiek – przypomniał mu Jack.
- Jestem pewien, że tak. Ale jest też dwieście pięćdziesiąt milionów Amerykanów i obaj przysięgaliśmy narodowi amerykańskiemu, a nie jakiemuś chińskiemu palantowi w Pekinie.

Z tego tutaj wynika, że facet, który robi politykę w Pekinie jest gotów rozpętywać wojny i już dwa razy wysyłaliśmy naszych ludzi na wojnę, w której wywołaniu miał swój udział. Boże, przecież okres wojen należy już do przeszłości i tylko do tego Zhanga jeszcze to nie dotarło.

Co on knuje?

- Właśnie o to chodzi w operacji SORGE, Rob. Żebyśmy dowiadywali się tego z wyprzedzeniem i mieli szansę pokrzyżowania jego planów.

Jackson skinął głową. – Może i tak, ale podczas drugiej wojny światowej mieliśmy źródło wywiadowcze zwane MAGIA, które przekazywało nam mnóstwo informacji o zamierzeniach Japończyków, lecz kiedy wróg przysłał pierwszy atak, nie byliśmy na to przygotowani, bo źródło MAGIA było tak ważne, że nigdy nie powiedzieliśmy o nim dowódcy naszych sił na Pacyfiku, więc CINCPAC nie przygotował się na Pearl Harbor. Wiem, że wywiad jest ważny, ale ma swoje operacyjne ograniczenia. Z tego tutaj wynika jedynie, że mamy potencjalnego przeciwnika bez specjalnych zahamowań. Znamy jego sposób myślenia, ale nic nie wiemy o jego zamierzeniach, ani o operacjach, jakie właśnie prowadzi. Co więcej, SORGE przekazuje nam zapisy prywatnych rozmów między facetem, który robi politykę i innym facetem, który próbuje wpływać na politykę. O wielu sprawach w ogóle nie ma tu mowy. Przecież to wygląda na jakiś dziennik, który ktoś prowadzi, żeby mieć ewentualnie piorunochron na dupę, nie sądzisz?

Ryan przyznał w duchu, że była to bardzo inteligentna analiza. Podobnie jak ci z Langley, dał się trochę ponieść euforii, kiedy pojawiło się źródło informacji, jakiego nigdy dotąd nie mieli. Kanarek był dobry, ale miał swoje ograniczenia.

– Tak, Rob, prawdopodobnie tak jest. Ten Fang zapewne prowadzi swój dziennik tylko po to, żeby mieć coś na swoją obronę, gdyby któryś z jego kolegów z Biura Politycznego próbował mu się dobrać do tyłka.

– Więc nie są to słowa Tomasza Morusa – zauważył Tomcat.

– Rzeczywiście, nie – przyznał Ryan. – Ale to dobre źródło. Wszyscy, którym to pokazaliśmy mówią, że wygląda bardzo autentycznie.

– Nie mówię, że te informacje nie są prawdziwe, Jack. Mówię tylko, że to jeszcze nie wszystko – nie ustępował wiceprezydent.

– Przyjąłem do wiadomości, admirale. – Ryan uniósł ręce na znak, że się poddaje. – Kogo proponujesz?

– Na początek sekretarza obrony, Kolegium Szefów Sztabów i prawdopodobnie CINCPAC, tego twojego chłopaka Barta Mancuso. – Tego ostatniego Jackson dodał z wyraźnym niesmakiem.

– Dlaczego tak go nie lubisz? – spytał Miecznik.

– Jest niezbyt rozgarnięty – odpowiedział pilot myśliwski. – Podwodniacy są trochę ograniczeni... ale na pewno można na nim polegać w sprawach operacyjnych. – Jackson przyznał w duchu, że operacja przeciw Japończykom, którą Mancuso przeprowadził z użyciem strategicznych okrętów podwodnych, była świetna.

– Konkretnie rekomendacje?

– Rutledge informuje, że Chińczycy sprawiają wrażenie naprawdę wściekłych z powodu Tajwanu. Co będzie, jeśli zaczną działać? Na przykład atak raketowy na wyspę? Na Boga, raket mają pod

dostatkiem, a w porcie na Tajwanie zawsze stoją nasze okręty.

– Naprawdę sądzisz, że są na tyle głupi, żeby zaatakować miasto, w którego porcie cumuje nasz okręt? – spytał Ryan. – Przecież ten Zhang, jaki by nie był, nie będzie chyba tak głupio ryzykował wojny z Ameryką, prawda?

– A jeśli nie wiedzą, że nasz okręt tam jest? Jeśli mają złe informacje wywiadowcze?

Jack, ludzie z pierwszej linii nie zawsze dostają prawidłowe dane od facetów na zapleczu.

Uwierz mi, doświadczyłem tego na własnej skórze i do dziś zostały mi blizny.

– Nasze okręty potrafią same zadbać o siebie, prawda?

– Nie, jeśli nie będą miały uaktywnionych wszystkich systemów, a poza tym, czy pocisk przeciwlotniczy może zatrzymać nadlatującą raketę balistyczną? – zastanawiał się głośno Robby. – Nie wiem. Może zwrócić się do Tony’ego Bretano, żeby to sprawdził?

– W porządku, skontaktuj się z nim. – Ryan przerwał na chwilę. – Robby, za kilka minut ktoś ma do mnie przyjść. Musimy jeszcze o tym porozmawiać. Z Adlerem i Bretano – dodał

prezydent.

– Tony jest świetny w sprawach sprzętu i logistyki, ale przydałoby mu się trochę wiedzy o działaniach operacyjnych.

– Więc go wyedukuj – powiedział Ryan.

– Tak jest, sir. – Wiceprezydent wyszedł.

Podłożyli pojemnik z powrotem w niespełna dwie godziny, od kiedy go wyjęli.

Dziękowali Bogu – Rosjanom wolno już było to robić – że zamek nie był jednym z tych nowych, elektronicznych gadżetów, do których tak trudno było się dostać. Problemem z tymi wszystkimi zabezpieczeniami było duże ryzyko, że coś w nich nawali i w rezultacie zniszczone zostanie to, co miało zostać zabezpieczone. Była to jeszcze jedna poważna komplikacja w tym i tak bardzo skomplikowanym biznesie. W świecie wywiadu tak już było, że jeśli istniało ryzyko, że coś zawiedzie, to na pewno zawodziło, więc z biegiem lat wszyscy z tej branży zaczęli się uciekać do wszelkich sposobów upraszczania operacji. Jeśli jakiś sposób okazywał się skuteczny, wszyscy go stosowali. W rezultacie, jeśli jakaś służba wywiadowcza zaobserwowała kogoś, kto trzymał się takich samych procedur. Jak ona, było jasne, że musi to być ktoś z branży.

Kontynuowano więc obserwację ławeczki – oczywiście ani na chwilę jej nie zaprzestano, na wypadek, gdyby Suworow-Koniew pojawił się tam w czasie, kiedy pojemnik był w laboratorium – stale zmieniając samochody osobowe i ciężarówki. Zorganizowano też posterunek obserwacyjny w

budynku, z którego widać było tę ławeczkę. Również Chińczyk był pod obserwacją, ale nie zauważono, żeby umieścił gdzieś jakiś znak, informujący o podłożeniu pojemnika do skrzynki kontaktowej. Co prawda wystarczyłoby, żeby zadzwonił

na numer pagera Suworowa-Koniewa... nie, raczej nie, ponieważ musiał założyć, że wszystkie telefony w chińskiej ambasadzie są na podsłuchu, więc numer można było przechwycić i ustalić, do kogo należy. Szpiedzy musieli być ostrożni, ponieważ ci, którzy ich ścigali, byli zarówno pomysłowi, jak i nieustępliwi. Dlatego też szpiedzy byli bardzo konserwatywni. Ale chociaż tak trudno było ich wypatrzeć, kiedy już zostali wypatrzeni, zwykle nie było dla nich ratunku. Wszyscy ludzie z FSB mieli nadzieję, że tak właśnie będzie z Suworowem-Koniewem.

Tym razem potrwało to do zmroku. Klient wyszedł z mieszkania i krążył samochodem po mieście przez piętnaście minut, dokładnie tak samo, jak dwa dni wcześniej; prawdopodobnie upewniał się, czy nie jest śledzony, a jednocześnie sprawdzał, czy nie ma gdzieś jakiegoś sygnału alarmowego, którego ludzie z FSB jeszcze nie zauważyli. Ale tym razem, zamiast wrócić do domu, podejrzany zajechał w pobliże parku, zostawił samochód dwie przecznice od ławeczki i poszedł do niej okrężną drogą, dwukrotnie przystając, żeby zapalić papierosa, co dawało mu świetną okazję do obejrzenia się za siebie. Wszystko jak w podręczniku instruktazowym. Nikogo nie spostrzegł, chociaż szło za nim trzech mężczyzn i kobieta.

Dziecięcy wózek który pchała przed sobą, uzasadniał częste zatrzymywanie się w celu poprawienia kocyka dziecku. Mężczyźni po prostu szli, nie patrząc na podejrzanego ani w ogóle nie zwracając uwagi na nic konkretnego.

– Uwaga! – powiedział jeden z ludzi z FSB. Tym razem Suworow-Koniew nie usiadł na ławeczce. Oparł tylko na niej lewą stopę, zawiązał sznurowadło i poprawił mankiet spodni.

Pojemnik wyjął tak umiejętnie, że nikt tego nie zauważył, ale trudno byłoby przypuszczać, że przypadkiem wybrał akurat tę ławeczkę, żeby zawiązać sznurowadło; zresztą, ludzie z FSB

mieli wkrótce sprawdzić, czy zamienił tamten pojemnik na inny. Tymczasem podejrzany poszedł z powrotem do samochodu inną, też okrężną drogą, zatrzymując się dwukrotnie, żeby zapalić amerykańskie Marlboro.

Jakie to proste, pomyślał porucznik Prowałow, kiedy już się wie, kogo trzeba mieć na oku. To, co kiedyś było zagadką, teraz stało się zupełnie jasne i proste.

– I co teraz robimy? – spytał porucznik milicji swego kolegę z FSB.

– Nic – odpowiedział tamten. – Zaczekamy, aż zostawi pod ławeczką następną wiadomość, wyjmemy ją, rozszyfrujemy i dowiemy się dokładnie, o co w tej sprawie chodzi.

Potem zdecydujemy, co dalej.

– A co z moimi zabójstwami? – spytał Prowałow.

– Teraz to już sprawa o szpiegostwo, towarzyszu poruczniku i, jako taka, ma priorytet.

Oleg Grigorijewicz musiał w duchu przyznać tamtemu rację. Zabójstwo alfonsa, dziwki i kierowcy było drobiazgiem w porównaniu ze zdradą stanu.

Admirał w stanie spoczynku Joshua Painter pomyślał, że jego kariera w Marynarce pewnie się nigdy nie skończy. I wcale nie było to takie złe. Wychował się na farmie w Vermoncie, potem ukończył Akademię Marynarki – prawie czterdzieści lat temu – przeszedł

przez szkołę lotnictwa morskiego w Pensacola, a potem ziścił swą życiową ambicję, latając na myśliwcach z lotniskowców. Robił to przez dwadzieścia lat, a przy okazji był też pilotem doświadczalnym, dowodził skrzydłem lotniczym na lotniskowcu, potem lotniskowcem, potem grupą bojową,

aż

wreszcie

wspiął

się

na

szczyt

jako

SACIANT/CINCLANT/CINCLANTFLT73; były to trzy bardzo ciężkie kapelusze, które jednak z satysfakcją nosił przez nieco ponad trzy lata, zanim ostatecznie nie zdjął munduru.

Przejęcie w stan spoczynku oznaczało pracę w cywilu, z zarobkami czterokrotnie wyższymi od tych, które dostawał w mundurze, polegającą głównie na prowadzeniu konsultacji z admirałami, których karierę obserwował i mówieniu im, co on zrobiliby na ich miejscu w tej, czy innej konkretnej sytuacji. Prawdę mówiąc, byłby gotów robić to za darmo w każdym kasynie oficerskim w każdej bazie Marynarki w Ameryce, może w zamian za zaproszenie na obiad i kilka piw oraz szansę odetchnięcia morskim powietrzem.

Ale teraz był w Pentagonie, z powrotem na rządowej liście płac, tym razem jako cywilny ekspert i specjalny doradca sekretarza obrony. Joshua Painter uważał, że Tony Bretano jest całkiem inteligentny. Błyskotliwy inżynier i menedżer. Miał skłonność do rozwiązywania problemów metodami matematycznymi, bez uwzględniania czynnika ludzkiego i trochę za wiele od ludzi wymagał. Painter pomyślał, że w sumie Bretano mógłby być całkiem przyzwoitym oficerem Marynarki, nadawałby się zwłaszcza na jednostki z napędem atomowym.

Jego biuro w Pentagonie było mniejsze od tego, które zajmował jako OPOS, zastępca szefa operacji morskich ds. lotnictwa dziesięć lat temu; później zlikwidowano to stanowisko.

Miał własną sekretarkę i bystrego komandora porucznika, który się nim opiekował. Wielu ludziom otworzył drogę do Departamentu Obrony i tak się złożyło, że jednym z nich był obecny wiceprezydent.

– Łączę z wiceprezydentem – powiedziała telefonistka z Białego Domu.

– Świetnie – odparł Painter.

– Josh, tu Robby.

– Dzień dobry, sir – odpowiedział Painter. Drażniło to Jacksona, który nie raz służył pod rozkazami Paintera, ale Josh Painter po prostu nie potrafił zwracać się po imieniu do przedstawiciela władzy. – Czym mogę panu służyć?

– Mam pytanie. Rozmawiałem dziś rano na pewien temat z prezydentem i nie znałem odpowiedzi na to pytanie. Czy Aegis może przechwycić i zniszczyć nadlatującą rakietę balistyczną?

73 Naczelny Dowódca Połączonych Sił Zbrojnych NATO na Atlantyku/Głównodowodzący Sił Zbrojnych USA na Atlantyku/Głównodowodzący Floty Atlantyku USA (przyp. tłum.)

– Nie wiem, ale nie sądzę, żeby to było możliwe. Zajmowaliśmy się tym trochę podczas wojny nad Zatoką Perską i... aha, już sobie przypominam. Uznaliśmy, że prawdopodobnie możliwe jest niszczenie irackich pocisków typu Scud z uwagi na ich dość niewielką prędkość, ale to już kres możliwości systemu Aegis. To kwestia oprogramowania i to oprogramowania pocisków ziemia-powietrze. – Obaj wiedzieli, że tak samo było z pociskami raketowymi Patriot. – A dlaczego wynikła ta kwestia?

– Prezydent obawia się, że Chińczycy mogą walnąć czymś takim w Tajwan, a jest tam jeden z naszych okrętów i wolelibyśmy, żeby ten okręt mógł się sam obronić, rozumiesz?

– Mogę się tym zająć – obiecał Painter. – Chce pan, żebym wspomniał dziś o tym Tony'emu?

– Tak, oczywiście – potwierdził Tomcat.

– Rozumiem, sir. Jeszcze dziś się z panem skontaktuję.

– Dzięki, Josh – powiedział Jackson i odłożył słuchawkę.

Painter spojrzął na zegarek. Powinien już iść do sekretarza obrony. Ruszył ruchliwym korytarzem

pierścienia E, a potem skręcił w prawo do gabinetu sekretarza obrony, mijając agentów ochrony, sekretarki i doradców. Dotarł dokładnie na czas. Drzwi do gabinetu były otwarte.

– Dzień dobry, Josh – powitał go Bretano.

– Dzień dobry, panie sekretarzu.

– No i co nowego i ciekawego dzieje się dziś na świecie?

– Sir, właśnie nadeszło zapytanie z Białego Domu.

– A w jakiej sprawie? – spytał Piorun. Painter wyjaśnił.

– Dobrze pytanie. Dlaczego tak trudno znaleźć odpowiedź?

– Parę razy zajmowaliśmy się tym problemem, ale Aegis został zaprojektowany do obrony przed pociskami manewrującymi, a ich prędkość maksymalna nie przekracza trzech machów.

– Ale przecież radar systemu Aegis jest praktycznie idealny do radzenia sobie z takim zagrożeniem, prawda? – Sekretarz obrony został dokładnie poinformowany o działaniu tego skomputeryzowanego systemu radarowego.

– To świetny system radarowy, sir – zgodził się Painter.

– I przystosowanie go do tej misji jest tylko kwestią oprogramowania?

– W zasadzie tak. Na pewno trzeba się zająć oprogramowaniem w głowicy naprowadzającej pocisku raketowego, ale może także w radarach SPY i SPG. Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie, sir.

– Napisanie oprogramowania nie jest aż tak trudne, ani kosztowne. Do diabła, w korporacji TRW miałem światowej klasy eksperta, wcześniej pracował w SDIO74. Alan 74 *Strategic Defence Initiative Organization - Inicjatywa Obrony Strategicznej - program obrony przed pociskami balistycznymi, tzw. Wojny Gwiezdne (przyp. tłum.)* Gregory, odszedł z Armii jako podpułkownik, ma chyba doktorat ze Stony Brook. Dlaczego by go nie ściągnąć, żeby to sprawdził?

Painter z dumiewało, że Bretano, który kierował wielką korporacją i był bliski zostania szefem Lockheed-Martina, kiedy przechwycił go prezydent Ryan, tak mało przejmował się obowiązującymi procedurami.

– Panie sekretarzu, żeby to zrobić, musimy...

– Gówno prawda – przerwał mu Piorun. – W końcu mam prawo dysponować jakimiś niewielkimi sumami pieniędzy według własnego uznania, prawda?

– Tak, panie sekretarzu – potwierdził Painter.

– I sprzedałem moje wszystkie akcje w TRW, pamiętasz?

– Tak jest, sir.

– Więc nie naruszam żadnej z tych pieprzonych zasad etycznych, prawda?

– Nie, sir – musiał przyznać Painter.

– Świetnie. Więc zadzwoń do TRW w Sunnyvale, poproś o Alana Gregoryego, jest tam chyba teraz młodszym wiceprezesem i powiedz mu, że ma tu zaraz przylecieć i ustalić, co trzeba zrobić, żeby unowocześnić system Aegis tak, aby zapewniał ograniczoną obronę przed raketami balistycznymi.

Młodszy oficerowie Specnazu byli pełni zapału, a Clark pamiętał, że aby otrzymać elitarnych żołnierzy, często wystarczy im po prostu powiedzieć, że są elitą, a potem poczekać, aż sprostają własnym wyobrażeniom o sobie. Oczywiście, w praktyce było to trochę bardziej skomplikowane. Specnaz był formacją specjalną z uwagi na charakter przewidzianych dla niej zadań. W istocie był kopią brytyjskiej Special Air Service, jak to się często zdarzało w wojskowości, to, co jeden kraj wynalazł, inne skwapliwie kopiowały i tak Armia Radziecka wybierała żołnierzy szczególnie sprawnych fizycznie i bardzo pewnych politycznie – Clark nigdy się nie dowiedział, jak konkretnie sprawdzano tę cechę – po czym szkoliła ich w odmienny sposób, robiąc z nich komandosów. Przyglądał się im, kiedy biegali z Drugim Zespołem Dinga i ani jeden z Rosjan nie odpadł. Oczywiście była to także kwestia dumy, ale decydujące znaczenie miała sprawność fizyczna. Za to na strzelnicy było już gorzej. Nie byli tak dobrze wyszkoleni, jak chłopcy z Hereford, a do tego dysponowali znacznie gorszym sprzętem. Ich broń, rzekomo wytłumiona, strzelała tak głośno, że John i Ding aż podskakiwali... Mimo wszystko, zapał Rosjan robił wrażenie. Każdy z nich miał stopień oficerski i każdy przeszedł przeszkolenie spadochroniarskie. Wszyscy całkiem dobrze posługiwali się bronią lekką, a rosyjscy strzelcy wyborowi byli równie dobrzy jak Homer Johnston i Dieter Weber, ku wielkiemu zaskoczeniu tego ostatniego. Rosyjskie karabiny wyborowe wyglądały trochę topornie, ale strzelały całkiem celnie, przynajmniej na odległość do ośmiuset metrów.

– Panie C, te chłopaki muszą się jeszcze wiele nauczyć, ale nie można odmówić im ducha. Za dwa tygodnie będą gotowi – obwieścił Chavez, spoglądając sceptycznie na kieliszek z wódką. Byli w rosyjskim klubie oficerskim i wódki na pewno tu nie brakowało.

– Tylko dwa tygodnie? – spytał John.

– Za dwa tygodnie będą u szczytu formy i zdążą do tego czasu opanować nową broń. –

Tęcza przekazała rosyjskiemu zespołowi Specnazu pięć kompletów uzbrojenia: pistolety maszynowe MP-10, pistolety Beretta.45 i przede wszystkim sprzęt łącznościowy, umożliwiający komunikowanie się nawet pod ostrzałem. Rosjanie mieli zachować swoje karabiny SWD, pewnie powodowani poczuciem dumy, ale istotne było to, że była to wystarczająco dobra broń. – Reszta jest kwestią doświadczenia, John, a tego nie możemy ich nauczyć. Tak naprawdę możemy tylko opracować dla nich dobry program szkoleniowy, a resztę zrobią już sami.

– Cóż, nikt nigdy nie twierdził, że Iwan nie potrafi walczyć. – Clark napił się wódki.

Skończył już pracę na ten dzień, a wszyscy dookoła robili to samo.

– Szkoda, że w ich kraju jest taki bałagan – zauważył Chavez.

– Sami muszą go posprzątać, Domingo. I zrobią to, jeśli nie będziemy się wtrącać. –

Prawdopodobnie, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

– Iwanie Siergiejewiczu! – zawołał generał Jurij Kirilin, nowo wybrany szef rosyjskich sił

specjalnych, człowiek, który sam określał zakres swoich obowiązków w miarę ich wykonywania, co w tej części świata było czymś niezwykłym.

– Juriju Andriejewiczu – odpowiedział Clark. Zachował tego „Iwana Siergiejewicza” ze swej legendy w CIA, bo tak mu było wygodnie, a poza tym był pewien, że Rosjanie i tak o wszystkim wiedzą. Nie było więc w tym nic złego. Uniósł butelkę wódki. Była to wódka z jabłek, ze skórką tych owoców na dnie butelki i smakowała całkiem nieźle. Tak czy inaczej, bez wódki nie załatwiłoby się w Rosji niczego. Pomyślał, że skoro już wlaźł między wrony...

Kirilin wychylił pierwszy kieliszek, jakby czekał na to od tygodnia. Nalał ponownie i przepił do Chaveza: – Domingo Stiepanowiczu. – Chavez uniósł swój. – Towarzysze, wasi ludzie są świetni. Wiele się od nich nauczymy.

Towarzysze, pomyślał John. Co za sukinsyn! – Twój chłopcy są pełni zapału, Jurij i wytrwale pracują.

– Jak długo? – spytał Kirilin. Wódka zdawała się w ogóle na niego nie działać. Pewnie są odporni na alkohol, pomyślał Ding. Wiedział, że on sam powinien pić ostrożnie, bo w przeciwnym razie John będzie go musiał stąd wynieść.

– Dwa tygodnie – odpowiedział Clark. – Tak mówi Domingo.

– Tak szybko? – spytał Kirilin, wyraźnie zadowolony.

– To dobrzy żołnierze, generale – powiedział Ding. – Mają podstawowe umiejętności, świetną kondycję fizyczną i są inteligentni. Teraz muszą tylko oswoić się z nową bronią, no i potrzeba im jeszcze trochę specjalistycznego szkolenia, którego program przygotujemy. Za rok będzie pan miał poważne, niezawodne siły, pod warunkiem, że dostanie pan niezbędne fundusze.

Kirilin chrząknął. – Będą z tym problemy, u was pewnie jest tak samo, co?

– O, tak – powiedział Clark ze śmiechem. – Dobrze jest mieć po swojej stronie Kongres.

– Macie w swoim zespole ludzi różnych narodowości – zauważył rosyjski generał.

– Cóż, jesteśmy w zasadzie oddziałem NATO. Nauczyliśmy się współpracować. Naszym najlepszym strzelcem jest obecnie Włoch.

– Naprawdę? Widziałem go, ale...

– Generale – przerwał mu Chavez – w poprzednim wcieleniu Ettore był Jamesem Suflerem Hickokiem. Ach, przepraszam, wy znacie go jako Williama „Dzikiego Billa”

Hickoka⁷⁵. Ten sukinsyn Ettore potrafi się podpisać strzałami z pistoletu.

Clark nalał wódki do kieliszków. – Wiesz, Jurij, na strzelnicy pokonał nas wszystkich, nawet mnie. A strzelaliśmy na pieniądze.

– Doprawdy? – powiedział rozbawiony Kirilin, rzucając takie samo spojrzenie, jak Clark kilka tygodni wcześniej. John szturchnął go w ramię.

– Wiem, co myślisz. Zabierz ze sobą forszę, kiedy będziesz chciał się z nim zmierzyć, towarzyszu generale – doradzi John. – Będziesz mu musiał zapłacić za wygraną.

– To się jeszcze okaże – obwieścił Rosjanin.

– Hej, Eddie! – zawołał Chavez i gestem przywołał swego zastępcę.

– Tak, sir?

– Powiedz generałowi, jak Ettore potrafi strzelać z pistoletu.

– Ten pieprzony *Italiano*! – zaklął starszy sierżant Price. – Nawet Dave Woods przegrał do niego dwadzieścia funtów.

– Dave jest szefem strzelnicy w Hereford i jest naprawdę dobry – wyjaśnił Ding. – Ettore naprawdę powinien być w ekipie olimpijskiej.

– Myślałem o tym, może wystawimy go w przyszłym roku do zawodów o Puchar Prezydenta... – zastanawiał się na głos Clark. Chwilę później odwrócił głowę. – Spróbuj, Jurij. Rzuć mu wyzwanie. Może tobie uda się to, czego żaden z nas nie zdołał dokonać.

– Żaden z was?

– Tak, cholera, żaden – potwierdził Eddie Price. – Zastanawiam się, dlaczego rząd włoski nam go dał. Jeśli to prawda, że mafia chce mu się dobrać do skóry, to życzę im szczęścia.

– Muszę go zobaczyć w akcji – nie ustępował Kirilin, prowokując swych gości do zastanawiania się nad jego inteligencją.

– Więc zobaczysz, towarzyszu generale – obiecał Clark.

Kirilin, który jako porucznik i kapitan był w reprezentacyjnej ekipie strzeleckiej Armii Radzieckiej, po prostu nie wyobrażał sobie, że ktoś go może pokonać w strzelaniu z pistoletu.

75 Legendarny rewolwerowiec i obrońca prawa na amerykańskim Pograniczu (przyp. tłum.) Uznał, że ci faceci z NATO po prostu robią sobie z niego żarty; może na ich miejscu sam też by się tak zachował. Machnął na barmana i zamówił kolejną pieprzówkę.

Dla Yu Chun ten dzień był naprawdę fatalny. Opiekowała się w Tajpej starą i poważnie chorą matką, kiedy zadzwoniła sąsiadka, mówiąc jej, żeby natychmiast włączyła telewizor.

Nie wierzyła własnym oczom, kiedy zobaczyła na ekranie śmierć swego męża. A był to dopiero pierwszy cios, jaki spadł na nią tego dnia.

Musiała się jakoś dostać do Pekinu. Pierwsze dwa samoloty do Hongkongu miały komplet pasażerów i w rezultacie musiała przesiedzieć na lotnisku czternaście długich godzin, samotna ze swą tragedią, zanim wreszcie wsiadła do samolotu, lecącego do stolicy ChRL. Lot był niespokojny. Skuliła się w swym fotelu w ostatnim rzędzie przy oknie, mając nadzieję, że nikt nie widzi jej cierpienia. Próbowwała je ukryć, ale z równym powodzeniem mogłaby próbować ukryć trzęsienie ziemi. Samolot wylądował w końcu i zdołała jakoś z niego wysiąść. Przez odprawę paszportową i celną przeszła bez żadnych przeszkód, ponieważ nie miała prawie w ogóle bagażu. Z lotniska pojechała taksówką do domu.

Jej dom stał za murem milicjantów. Próbowwała się przecisnąć między funkcjonariuszami, ale mieli rozkaz nie wpuszczać nikogo do tego domu i ten rozkaz nie przewidywał zrobienia wyjątku dla kogoś, kto tam mieszkał. Ustalenie tego zajęło dwadzieścia minut, spędzonych na rozmowach z trzema kolejnymi milicjantami, coraz wyższymi stopniem. Nie spała od dwudziestu sześciu godzin, a od dwudziestu dwóch była w drodze. Łzy nie pomogły jej w tej sytuacji, więc chwiejnym krokiem poszła do pobliskiego domu, w którym mieszkał jeden z parafian jej męża. Nazywał się Wen Zhong i prowadził w swoim domu małą restaurację. Był

tęgawy, jowialny i przez wszystkich lubiany. Kiedy zobaczył Chun, objął ją i wprowadził do swego domu, gdzie od razu dał jej pokój do spania i coś mocniejszego do picia, żeby się trochę odprężyła. Yu Chun zasnęła w ciągu kilku minut i spała przez kilka godzin, podczas gdy Wen zajmował się swoimi sprawami. Przed zaśnięciem wyczerpana Chun zdążyła jeszcze powiedzieć, że chce zabrać ciało Fa Ana do ojczyzny i tam wyprawić godny pogrzeb.

Tego Wen nie mógł załatwić, ale zadzwonił do innych parafian, żeby ich powiadomić, że wdowa po pastora jest w mieście. Zrozumiał, że pogrzeb ma się odbyć na Tajwanie, gdzie Yu się urodził, ale jego parafia nie mogła przecież pożegnać swego ukochanego przywódcy duchowego bez godnej uroczystości żałobnej, więc Wen podzwonił po znajomych, żeby zorganizować taką uroczystość w ich niewielkiej świątyni. Nie mógł wiedzieć, że jeden z parafian, do których zadzwonił, był informatorem Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego.

Rozdział 29

Billy Budd

– Do czego tam jeszcze dojdzie? – spytał Ryan.

– Sprawa przycichnie, jeśli druga strona wykaże choć trochę rozsądku – powiedział Adler z nadzieją w głosie.

– Czyżby? – spytał Robby Jackson, zanim zdążył to zrobić Arnie van Damm.

– Sir, na to pytanie nie ma prostej odpowiedzi. Czy tamci są głupi? Nie, nie są. Ale czy patrzą na sprawę tak samo jak my? Nie, nie tak samo. To jest podstawowy problem w stosunkach z...

– Tak, z Klingonami – mruknął Ryan. – Z kosmitami. Na Boga, Scott, jak mamy przewidzieć, co zamierzają zrobić?

– Prawdę mówiąc, nie mamy takiej możliwości – odpowiedział sekretarz stanu. – Mamy sporo dobrych fachowców, ale problem w tym, żeby byli zgodni, kiedy zwrócimy się do nich o opinię w jakiejś ważnej sprawie. Nigdy nie są – oświadczył Adler. Zmarszczył brwi i mówił

dalej: – Widzisz, ci ludzie są królami z innej kultury. Tamta kultura była zupełnie odmienna od naszej na długo przed nadejściem marksizmu, a myśli naszego przyjaciela Karola tylko pogorszyły sprawę. Są królami, ponieważ sprawują władzę absolutną. Istnieją pewne ograniczenia tej władzy, ale nie bardzo wiemy, na czym konkretnie polegają i dlatego tak trudno jest nam je wykorzystać, To Klingoni. A skoro tak, to jest nam potrzebny Mr. Spock.

Ma ktoś takiego pod ręką?

Zebrani skwitowali to bladymi uśmiechami.

– A co z SORGE? Nie ma dziś nic nowego? – spytał van Damm. Ryan pokręcił głową. –

Nie, nie co dzień dostajemy coś z tego źródła.

– Szkoda – powiedział Adler. – Rozmawiałem o tym z kilkoma osobami z działu studiów, przedstawiając to oczywiście jako moje własne teoretyczne rozważania...

– I co? – spytał Jackson.

– I sądzą, że to niegłupia spekulacja, ale nie coś, z czym można by iść do sądu. Ta wypowiedź wywołała już rozbawienie przy stoliku.

– Taki to już problem z dobrymi informacjami wywiadowczymi. Nie pasują do tego, co myślą nasi ludzie, zakładając, że w ogóle myślą – powiedział wiceprezydent.

– To nie fair, Robby – powiedział Ryan swemu zastępcy.

– Wiem, wiem. – Jackson uniósł ręce, poddając się. – Po prostu wciąż mi chodzi po głowie dewiza świata wywiadu: „Możemy się założyć o WASZE życie”. Człowiek czuje się bardzo samotny tam, w górze, za sterami myśliwca, ryzykując życiem na podstawie świstka papieru, na którym ktoś napisał swą opinię, kiedy nie zna się ani tego faceta, ani danych, z których korzystał. – Przerwał na chwilę, żeby zamieszać kawę. – Wiesz, w Marynarce sądziliśmy... a raczej mieliśmy nadzieję... że u podstaw decyzji, podejmowanych w tym gabinecie, leżą sprawdzone dane. Faktyczny stan rzeczy jest sporym rozczarowaniem.

– Robby, z czasów, kiedy byłem w szkole średniej, pamiętam kubański kryzys raketowy.

Pamiętam, jak się zastanawiałem, czy świat wyleci w powietrze. A mimo to musiałem przetłumaczyć pół strony tych cholernych „Wojen galijskich” Cezara, zobaczyłem prezydenta w telewizji i doszedłem do wniosku, że wszystko jest w porządku, bo przecież był

to, do cholery, prezydent Stanów Zjednoczonych, więc musiał wiedzieć, co się działo naprawdę. No więc przetłumaczyłem bitwę z Helwetami i poszedłem spać. Prezydent wie, bo przecież jest prezydentem, prawda? A potem sam zostałem prezydentem i nie wiem ani trochę więcej niż wiedziałem przed miesiącem, ale wszyscy ludzie tam, na zewnątrz – Ryan machnął

ręka w stronę okna – myślą, że jestem wszechwiedzący... Ellen! – zawołał na tyle głośno, żeby było go słychać przez zamknięte drzwi.

Drzwi otworzyły się kilka sekund później. – Tak, panie prezydencie?

– Myślę, że wiesz, o co mi chodzi, Ellen – powiedział Jack.

– Tak, sir. – Wyjęła z kieszeni paczkę Virginia Slims. Ryan wziął papierosa i różową zapalniczkę gazową, schowaną w paczce. Przypalił i mocno się zaciągnął. – Dzięki, Ellen.

Jej uśmiech był bardzo matczynej. – Proszę bardzo, panie prezydencie. – Poszła z powrotem do sekretariatu, zamykając za sobą łukowate drzwi.

– Jack?

– Tak, Rob? – Ryan odwrócił się do Jacksona.

– To obrzydliwe.

– W porządku, nie jestem wszechwiedzący i nie jestem doskonały – przyznał kwaśno prezydent, zaciągnąwszy się po raz drugi. – A teraz wracajmy do Chin.

– Mogą zapomnieć o KNU – powiedział van Damm. – Jack, Kongres wszcząłby procedurę odsunięcia cię od władzy, gdybyś o to wystąpił, i możesz być pewien, że następnym razem Tajwan dostanie każdy system uzbrojenia, jaki zechce kupić.

– Wcale mi to nie przeszkadza. A KNU i tak w żadnym wypadku nie zamierzałem im przyznawać, dopóki się nie złamią i nie zaczną zachowywać jak ludzie cywilizowani.

– I na tym właśnie polega problem – przypomniał wszystkim Adler. – Oni uważają, że to my jesteśmy niecywilizowani.

– Przewiduję kłopoty – obwieścił Jackson, zanim kto inny zdążył coś powiedzieć. Ryan pomyślał, że to pewnie refleks pilota myśliwskiego. – Faceci stracili kontakt z resztą świata.

Sprowadzenie ich z powrotem na ziemię musi trochę zboleć. Może nie naród, ale na pewno gości, którzy podejmują tam decyzje.

– I kontrolują siły zbrojne – zauważył ran Damm.

– Zgadza się, Arnie – potwierdził Jackson.

– No więc, jak możemy sprowadzić ich na właściwą drogę? – spytał Ryan, żeby zapobiec odbieganiu od tematu.

– Będziemy twardzi. Powiemy im, że jeśli nie otworzą swoich rynków dla naszych towarów na zasadzie wzajemności, nadzieją się na takie bariery handlowe, jakie sami stosują.

Powiemy im bez ogródek, że ten incydent z nuncjuszem wyklucza jakiegokolwiek ustępstwa z naszej strony. Jeśli chcą z nami handlować, muszą ustąpić – odpowiedział Adler. – Nie lubią, kiedy im się mówi takie rzeczy, ale żyjemy w świecie realnym i muszą brać pod uwagę obiektywną rzeczywistość. To akurat rozumieją – zakończył sekretarz stanu.

Ryan rozejrzał się dookoła. Zebrani pokiwali głowami. – W porządku, dopilnuj, żeby Rutledge rozumiał, na czym polega nasze przesłanie – powiedział Adlerowi.

– Tak jest, sir – potwierdził sekretarz stanu, kiwając potakująco głową. Zaczęli się rozchodzić. Wiceprezydent Jackson pozwolił sobie zostać trochę dłużej.

– No mów, Rob – powiedział prezydent do swego starego przyjaciela.

– Wiesz, wczoraj wieczorem udało mi się usiąść przed telewizorem. Obejrzałem stary film, którego nie widziałem od dzieciństwa.

– Który?

– „Billy Budd”, na podstawie noweli Melville’a o biednym głupim marynarzu, który dał się powiesić. Nie pamiętałem, jak się nazywał jego okręt.

– Jak? – Ryan też nie pamiętał.

– „Prawa Człowieka”. Bardzo szlachetna nazwa dla okrętu. Wyobrażam sobie, że Melville użył jej z premedytacją i złośliwie, jak to robią pisarze, ale przecież w końcu właśnie o prawa człowieka walczymy, prawda? Nawet Royal Navy. Prawa człowieka – powtórzył

Jackson. – Jakie to szlachetne.

– A jak się to ma do naszego obecnego problemu, Robby?

– Jack, kiedy się rusza na wojnę, trzeba określić, dlaczego się to robi i co chce się osiągnąć. Prawa człowieka są tu całkiem dobrym punktem wyjścia, nie sądzisz? Aha, w kościołach mojego taty i Geny Pattersona będzie jutro CNN. Panowie zamieniają się miejscami na to nabożeństwo żałobne i telewizja CNN postanowiła to relacjonować. Myślę, że to dobry pomysł – uznał Jackson. – W czasach, kiedy byłem chłopcem, w Missisipi było zupełnie inaczej.

– I będzie tak, jak mi mówiłeś?

– Mogę się tylko domyślać – przyznał Robby – ale nie sądzę, żeby tato czy Gerry podeszli do tego spokojnie. To zbyt dobra okazja, żeby pokazać, że Pana głównie obchodzi kolor skóry i jak wszyscy wierzący powinni trzymać się razem. Prawdopodobnie obaj włączą w to kwestię aborcji – tato na pewno nie jest jej zwolennikiem i Gerry też nie – ale głównie będą mówić o sprawiedliwości i równości, i o tym, jak dwaj dobrzy ludzie poszli, do Boga, zrobiwszy to, co należało zrobić.

– Twój tato jest dobrym kaznodzieją, co?

– Jack, gdyby za kazania dawali nagrody Pulitzera, miałby ich pełen dom, a i Gerry Patterson nie jest zły – jak na białego.

– Aha – powiedział Jefremow. Czuwał na posterunku obserwacyjnym w budynku, nie w samochodzie. Było tu wygodniej, a jemu, z racji stopnia, należało się trochę wygody i potrafił

to docenić. Suworow-Koniew znów siedział na tamtej ławeczce, z popołudniową gazetą w rękach. Nie musieli go obserwować, ale na wszelki wypadek jednak obserwowali. Oczywiście w Moskwie były tysiące parkowych ławeczek i prawdopodobieństwo, że ich podejrzany przypadkiem tak często będzie siadał właśnie na tej, było znikome. Tak właśnie będą argumentować przed sądem, kiedy już przyjdzie czas na proces... w zależności od tego, co znajdowało się w prawej ręce podejrzanego. (Z akt KGB wynikało, że był praworęczny i zdawało się to potwierdzać). Robił to tak umiejętnie, że trudno było cokolwiek dostrzec, ale jednak robił i zostało to dostrzeżone. Puścił gazetę prawą ręką, sięgnął pod marynarkę i wyjął

coś metalicznego. Lewą ręką zaczął przewracać strony gazety – był to świetny sposób na odwrócenie uwagi ewentualnego obserwatora, ponieważ oko ludzkie zawsze zwraca uwagę na ruch – a prawą opuścił i przyczepił metalowy pojemnik do magnetycznego uchwyty pod ławką, po czym jednym płynnym ruchem ujął gazetę obydwojma rękami; wszystko to zrobił

tak szybko, że prawie niewidocznie.

– Zadzwoń do Prowałowa – polecił Jefremow swemu podwładnemu. Miał ku temu dwa powody. Po pierwsze, miał dług wdzięczności wobec porucznika milicji, który sprezentował

mu zarówno sprawę, jak i podejrzanego. Po drugie, ten gliniarz mógł mieć jakieś przydatne informacje. Kontynuowali obserwację Suworowa-Koniewa przez następne dziesięć minut. W

końcu podejrzanym wstał, poszedł do samochodu i pojechał do swojego mieszkania, śledzony całą drogą przez ludzi z ekipy obserwacyjnej we wciąż zamieniających się miejscami pojazdach. Po piętnastu minutach, jakie trzeba było odczekać, jeden z ludzi Jefremowa przeszedł przez ulicę i wyjął pojemnik spod ławeczki. Znowu był to pojemnik z zamkiem, co mogło sugerować, że w środku jest coś ważnego. Trzeba było ominąć zabezpieczenia, grożące zniszczeniem zawartości w razie nieudolnej próby otwarcia pojemnika, ale ludzie z FSB znali się na tym, a klucz do pojemnika mieli już dorobiony. Potwierdziło się to dwadzieścia minut później, kiedy otwarto pojemnik i wyjęto zawartość, rozwinięto, sfotografowano, zwinięto i włożono z powrotem, zamknięto pojemnik i natychmiast zawieszono na miejsce.

W centrali FSB zespół kryptografów wprowadził treść do komputera, w którym zainstalowano już także jednorazową tablicę. Z resztą komputer poradził sobie w ciągu paru sekund, zmieniając przypadkowe ciągi znaków w oryginalny tekst. Z zadowoleniem zorientowali się, że był to tekst napisany po rosyjsku. Za to treść...

– *Job twoju mat'!* – zaklął technik i podał wydrukowaną stronę jednemu z inspektorów, którego reakcja była bardzo podobna. Inspektor podszedł do telefonu i wybrał numer Jefremowa.

– Pawle Grigorijewiczu, musicie to zobaczyć.

Prowałow też już tam był, kiedy przybył szef sekcji kryptograficznej. Wydruk był w kopercie, którą główny specjalista od szyfrów podał bez słowa.

– I co, Pasza? – spytał milicjant.

– Cóż, mamy odpowiedź na nasze pierwsze pytanie.

Mercedes został kupiony u tego samego dealera w centrum Moskwy. Nie można się tu doszukać niczyjej winy. Obaj ludzie, którzy przeprowadzili tę akcję, zostali zlikwidowani w Petersburgu. Przed podjęciem następnej próby będę od was potrzebował wskazówek, dotyczących terminu i informacji o opłaceniu moich podwykonawców.

– A więc to Gołowko był celem zamachu – powiedział Prowałow. Przebiegło mu przez myśl, że szef rosyjskiej służby wywiadowczej zawdzięcza życie alfonsowi.

– Wydaje się, że tak – zgodził się Jefremow. – Zwróć uwagę, że nasz klient nie żąda zapłaty dla siebie. Odnoszę wrażenie, że wstyd mu, iż nie wykonał zadania za pierwszym razem.

– Pracuje dla Chińczyków?

– Wydaje się, że tak – powtórzył oficer FSB, czując, że przebiega go dreszcz. Dlaczego Chińczycy mieliby robić coś takiego? Przecież to nieomal akt wojny! Jefremow podsunął

sobie krzesło, usiadł, zapalił papierosa i spojrzał na swego kolegę z milicji. Żaden z nich nie wiedział, co powiedzieć, więc po prostu obaj milczeli. Było oczywiste, że wkrótce tą sprawą zajmą się już inni.

Poranek w Pekinie był tego dnia bardziej słoneczny niż zwykle. Pani Yu spała długo i dobrze, i chociaż obudziła się z lekkim bólem głowy, była wdzięczna Wenowi, że nakłonił ją poprzedniego wieczora do wypicia kilku drinków. Ale zaraz przypomniała sobie, dlaczego jest w Pekinie i znów ogarnęła ją rozpacz. Prawie nic nie zjadła na śniadanie. Ze spuszczonego wzrokiem piła zieloną herbatę, wspominając głos męża i zaczynając sobie uświadamiać, że już nigdy go nie usłyszy. Zawsze był w dobrym nastroju przy śniadaniu i nigdy nie zapomniał – co jej się akurat zdarzyło – o modlitwie przed posiłkiem i podziękowaniu Bogu za jeszcze jeden dzień, w którym mógł Mu służyć. Już nigdy.

Uświadomiła sobie, że jej mąż już nigdy tego nie zrobi. Ale ona miała własne obowiązki.

– Co możemy zrobić, Zhong? – spytała, kiedy pojawił się jej gospodarz.

– Pójdę z tobą na milicję, poprosimy, żeby nam wydali ciało Fa Ana, a potem pomogę ci załatwić transport naszego przyjaciela do ojczyzny i odprawimy mszę żałobną...

– Nie, Zhong. Milicja nikogo tam nie dopuszcza. Nawet mnie nie chcieli wpuścić, chociaż miałam papiery w porządku.

– Więc zrobimy to na zewnątrz, niech się przyglądają, jak modlimy się za naszego przyjaciela – powiedział Wen swemu gościowi z łagodną determinacją.

Dziesięć minut później posprzątała po sobie i była gotowa do wyjścia. Komenda milicji była zaledwie cztery przecznice dalej, w prostym budynku, zupełnie zwyczajnym, gdyby nie znak nad drzwiami.

– Tak? – spytał dyżurny, kiedy kątem oka dostrzegł dwoje ludzi przy jego okienku.

Uniósł wzrok znad formularzy, które zajmowały go przez ostatnich kilka minut i zobaczył

kobietę i mężczyznę, mniej więcej w tym samym wieku.

– Nazywam się Yu Chun – powiedziała pani Yu i po spojrzeniu milicjanta zorientowała się, że

musiał już o niej słyszeć.

– Jesteś żoną Yu Fa Ana? – spytał.

– Właśnie tak.

– Twój mąż był wrogiem ludu – powiedział milicjant i nawet był tego pewien, chociaż cała ta sprawa wydawała mu się bardzo dziwna.

– Jestem przekonana, że nie był, ale proszę tylko o wydanie mi jego ciała, abym mogła je zabrać do jego rodzinnego miasta i pochować.

– Nie wiem, gdzie jest ciało – powiedział milicjant.

– Ale przecież został zastrzelony przez milicjanta – wtrącił Wen – więc zajęcie się zwłokami jest sprawą milicji. Towarzyszu, czy byłbyś tak uprzejmy i zadzwonił pod właściwy numer, żebyśmy mogli odebrać ciało naszego przyjaciela? – Maniery nie pozwalały mu na okazanie gniewu wobec dyżurnego milicjanta.

Ale milicjant naprawdę nie wiedział, pod jaki numer zadzwonić, więc zadzwonił do kogoś w komendzie, w wielkim wydziale administracyjnym. Wstyd mu było robić to w obecności dwojga obywateli, stojących przy okienku, ale nie było na to rady.

Telefon odebrano po trzecim dzwonku.

– Tu sierżant Jiang. Mam tu Yu Chun, przyszła po zwłoki swojego męża Yu Fa Ana.

Muszę wiedzieć, dokąd ją skierować.

Człowiek po drugiej stronie linii zastanawiał się przez kilka sekund... – Powiedz jej, żeby poszła nad rzekę Da Yunhe. Wczoraj wieczorem jego ciało zostało spalone, a prochy wyrzucone do rzeki.

Yu Fa An może i był wrogiem ludu, ale nie było przyjemnym przekazanie takiej informacji wdowie, która pewnie coś do niego czuła. Sierżant Jiang odłożył słuchawkę i postanowił powiedzieć jej to bez ogródek.

– Towarzyszko, ciało Yu Fa Ana zostało spalone, a prochy wysypano do rzeki.

– To okrutne! – zawołał Wen. Chun była zbyt oszołomiona, żeby powiedzieć cokolwiek.

– Nic więcej nie mogę dla was zrobić – powiedział sierżant Jiang i zajął się z powrotem swoimi papierami, żeby się pozbyć tych dwojga.

– Gdzie jest mój mąż? – zdołała wykrztusić Yu Chun mniej więcej po trzydziestu sekundach.

– Ciało twojego męża zostało spalone, a prochy rozsypane – powtórzył Jiang, nie podnosząc wzroku, bo naprawdę nie chciał spojrzeć jej w oczy w tych okolicznościach. – Nic więcej nie mogę powiedzieć. Możecie odejść.

– Oddajcie mi męża – nie ustępowała.

– Twój mąż nie żyje, a jego ciało zostało spalone. Idź już! – polecił sierżant Jiang, pragnąc, żeby po prostu zeszała mu z oczu i pozwoliła mu się zająć papierami.

– Oddajcie mi mojego męża! – powiedziała, tym razem głośniej. Kilka osób spojrzało w jej stronę.

– On odszedł, Chun – powiedział Wen Zhong, biorąc ją pod rękę i prowadząc do wyjścia.

– Chodź, pomodlimy się za niego na zewnątrz.

– Ale dlaczego oni... to znaczy, dlaczego on... dlaczego...? – Zwaliało się na nią za wiele, jak na jedną dobę. Choć przespała noc, wciąż była zdezorientowana. Człowiek, którego żoną była od dwudziestu lat, zniknął, a teraz nie mogła nawet zobaczyć urny z jego prochami?

Było to bardzo trudne do zniesienia dla kobiety, która nigdy nawet nie wpadła na milicjanta na ulicy i nigdy nie zrobiła niczego, co mogłoby obrazić państwo – może z wyjątkiem tego, że poślubiła chrześcijanina, ale czy wyrządziła tym komuś krzywdę? Czy któreś z nich, czy ktokolwiek z ich parafii spiskował kiedyś przeciwko państwu? Nie. Czy któreś z nich kiedykolwiek złamało prawo? Nie. Więc dlaczego spadło na nią takie nieszczęście? Poczowała się jak ofiara wypadku, której w dodatku mówią, że to wszystko jej wina i dla której nie mają litości.

Nic tu już nie mogła działać, ani na drodze prawnej, ani inaczej. Nie mogła nawet pójść z Wenem do swojego domu, którego salon tak często służył jako kościół, pomodlić się tam za duszę Yu i błagać Boga o zmiłowanie i pomoc. Pomodlą się więc... ale gdzie? To się okaże.

Oboje z Wenem wyszli z komendy milicji i szybko zostawili za sobą jej ponurą atmosferę.

Ale i słońce na dworze przeszkadzało teraz, zakłócało ten dzień, który powinien być dniem spokoju ducha i samotnej modlitwy do Boga, którego miłosierdzie nie było w tej chwili zbyt widoczne. Jaskrawe światło słoneczne przedarło się przez jej powieki, rozświetlając mrok, który, choć nie mógł przynieść ukojenia, mógł je chociaż zasymulować. Miała zarezerwowany lot z powrotem do Hongkongu, a stamtąd do Tajpej, gdzie przynajmniej będzie mogła wypłakać się w obecności matki, która zresztą też spodziewała się śmierci, bo miała już ponad dziewięćdziesiąt lat i była bardzo słaba.

Dla Barry'ego Wise'a dzień dawno się zaczął. Koledzy z Atlanty przysłali mu e-mail, w którym wychwalali go pod niebiosa za tamten materiał. Nie wykluczali, że będzie następna nagroda Emmy. Wise lubił dostawać nagrody, ale nie dla nich pracował. Po prostu robił

swoje. Nie mógł nawet powiedzieć, że lubi tę pracę, bo wydarzenia, które relacjonował, rzadko były

miłe czy przyjemne. Ale cóż, taką już miał pracę i sam ją sobie wybrał. Jeśli coś w niej lubił naprawdę, to zajmowanie się wciąż czymś nowym. Tak jak ludzie codziennie zastanawiali się po przebudzeniu, co zobaczą w CNN – od wyników rozgrywek baseballowych po egzekucje – tak on każdego dnia zastanawiał się po przebudzeniu, co będzie relacjonował. Nauczył się ufać swemu instynktowi, chociaż nie bardzo rozumiał, skąd się ten instynkt wziął. Dzisiaj ten instynkt podpowiedział mu, że jeden z tych ludzi, których śmierć widział na własne oczy poprzedniego dnia, mówił mu, że jest żonaty i że jego żona przebywa na Tajwanie. Może już wróciła?

W pokoju hotelowym był elektryczny czajnik i Barry zaparzył sobie kawy, którą podprowadził z pekińskiego biura CNN. Tak jak tylu innym, jemu także kawa pomagała myśleć.

No dobrze, pomyślał, tego włoskiego kardynała zapakowano do trumny i odesłano do kraju Boeingiem 747 linii Alitalia. Zapewne maszyna była w tej chwili gdzieś nad Afganistanem. Ale co z tym chińskim baptystą, który dostał w głowę? Gdzie są zwłoki? Co mówią jego parafianie? I przecież był żonaty, więc żona będzie chciała zorganizować pogrzeb. Mógłby przynajmniej spróbować przeprowadzić z nią wywiad... byłby do dobry ciąg dalszy, a Atlanta mogłaby jeszcze raz pokazać tamten materiał o zastrzeleniu obu duchownych. Był pewien, że władze chińskie wciągnęły go na swą oficjalną listę osobników niepożądanych, ale nie przejmował się tym ani trochę. Mogą go pocałować w dupę. Popijając kawę Starbucks pomyślał, że znalezienie się na takiej liście to żadna hańba. Tutejsi ludzie byli cholernymi rasistami. Nawet przechodnie na ulicy odsuwali się przestraszeni widokiem jego ciemnej skóry. Nawet w Birmingham za czasów „Byka” Connora⁷⁶ nie traktowano czarnych Amerykanów jak jakichś cholernych kosmitów.

Tutaj wszyscy wyglądali tak samo, ubierali się tak samo, mówili tak samo. Do licha, trochę czarnoskórych było im tu potrzebnych, żeby wprowadzić jakieś ożywienie. Do tego jeszcze trochę jasnowłosych Szwedów i może paru Włochów, żeby otworzyli przyzwoitą restaurację...

76 Chodzi o Birmingham w Alabamie i tamtejszego szefa policji Theophilusa Eugene’a „Byka” Connora, zdeklarowanego zwolennika segregacji rasowej i supremacji białych, który w 1963 roku kazał użyć psów policyjnych i armatek wodnych do rozpędzania demonstracji organizowanych przez Martina Luthera Kinga (przyp. tłum.)

Ale jego zadaniem nie było cywilizowanie świata, lecz tylko mówienie ludziom, co się na nim dzieje. Wise pomyślał, że wydarzeniem na pewno nie są te rozmowy handlowe, przynajmniej nie dzisiaj. Dziś zamierzał wrócić wraz z ekipą w wozie satelitarnym do domu wielebnego Yu Fa Ana. Działał, kierując się przecuciem. Niczym więcej. Ale przecucie rzadko go dotąd zawodziło.

Rozdział 30

Prawa człowieka

– Masz adres? – spytał Wise swego kierowcę. Był on również kamerzystą tej ekipy, a obowiązki kierowcy przypadły mu z racji pewnej ręki i genialnej wprost umiejętności przewidywania ulicznych korków.

– Mam, Barry – uspokoił go kamerzysta. Było nawet lepiej – adres został już wprowadzony do systemu nawigacji satelitarnej, więc mogli się zdać na komputer, który pokazywał im, jak tam dojechać. Hertz podbija kiedyś świat, pomyślał Wise i zachichotał.

Byle tylko nie sięgnęli z powrotem po stare reklamy z O. J. Simpsonem.

– Chyba zapowiada się na deszcz – powiedział Barry Wise.

– Możliwe – zgodził się realizator.

– Jak sądzicie, co się stało z tą babką, która wtedy urodziła? – spytał kamerzysta ze swego fotela kierowcy.

– Prawdopodobnie jest już w domu z dzieckiem. Założę się, że matek nie trzyma się tu w szpitalu zbyt długo – spekulował Wise. – Kłopot polega na tym, że nie mamy jej adresu. Nie ma jak pociągnąć tego wątku. – A szkoda, mógłby dodać Wise. Mieli jej nazwisko, Yang, dało się je odsłuchać z zapisu dźwiękowego do tamtego materiału, ale imiona jej i męża były zniekształcone.

– No tak, założę się, że w tutejszej książce telefonicznej jest mnóstwo Yangów.

– Pewnie tak – zgodził się Wise. Nie wiedział nawet, czy istnieje coś takiego, jak książka telefoniczna Pekinu i czy państwo Yang w ogóle mieli telefon, a poza tym, nikt z jego ekipy nie potrafił czytać chińskich ideogramów. Sumą tych wszystkich czynników był mur nie do sforsowania.

– Dwie przecznice – powiadomił kamerzysta. – Zaraz muszę skrócić w lewo... tutaj...

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyli był tłum milicjantów w mundurach koloru khaki, stojących jak żołnierze na warcie; w zasadzie właśnie na tym polegało ich zadanie. Zaparkowali mikrobus, wysiedli i natychmiast stali się obiektem bacznej obserwacji, jakby byli mieszkańcami innej planety, którzy wysiedli właśnie ze statku kosmicznego. Pete Nichols miał już kamerę na ramieniu, co nie przyczyniło się do poprawy nastroju miejscowych gliniarzy, ponieważ powiedziano im wszystkim na odprawach o tej ekipie CNN w szpitalu Longfu i o szkodach, jakie wyrządziła Chińskiej Republice Ludowej. Milicjanci patrzyli więc na ludzi z ekipy telewizyjnej z nienawiścią; Wise pomyślał, że dla jego celów taka sceneria jest wprost wymarzona.

Wise po prostu podszedł do milicjanta, który, sądząc po naszywkach na mundurze, był najstarszy stopniem.

– Dzień dobry – powiedział uprzejmie.

Sierżant, dowodzący oddziałem milicji, tylko skinął głową. Twarz miał zupełnie bez wyrazu, jakby siedział przy karcianym stoliku.

– Czy mógłby pan nam pomóc? – spytał Wise.

– Czego chcieć pomoc? – spytał milicjant łamaną angielszczyzną i zaraz skłął się w duchu, że przyznał się do znajomości tego języka. O parę sekund za późno zdał sobie sprawę, że lepiej byłoby udawać głupka.

– Szukamy pani Yu, żony wielebnego Yu, który tutaj mieszkał.

– Jej tu nie być – odpowiedział sierżant, machając rękami. – Nie być.

– Więc zaczekamy – powiedział mu Wise.

– Dzień dobry, panie ministrze – powiedział Cliff Rutledge na powitanie.

Shen spóźnił się, co było zaskoczeniem dla delegacji amerykańskiej. Mogło to oznaczać, że chciał w ten sposób dać coś do zrozumienia swoim gościom, pokazać im, że wcale nie są aż tacy ważni. Zaraz się przekonamy, pomyślał Rutledge. Dopił herbatę, którą podano na powitanie i usiadł wygodniej, dając znać Shenowi, żeby rozpoczął poranne rozmowy.

– Trudno nam zrozumieć stanowisko amerykańskie w tej i w innych kwestiach... No tak...

– Ameryka uznała, że może zlekceważyć naszą suwerenność na wiele sposobów. Po pierwsze, kwestia tajwańska...

Rutledge sięgnął po słuchawki z symultanicznym tłumaczeniem. A więc Shen nie zdołał przekonać Biura Politycznego do racjonalnego podejścia.

– Panie ministrze – rozpoczął Rutledge, kiedy przyszła jego kolej. – Mnie również trudno jest zrozumieć waszą nieprzejednaną postawę... – Kontynuował swą wypowiedź, w zasadzie powtarzając to, co powiedział już wielokrotnie, wprowadzając tylko drobną modyfikację, kiedy oświadczył: – Niniejszym informujemy was, że jeśli ChRL nie zgodzi się otworzyć swych rynków dla towarów amerykańskich, rząd amerykański wprowadzi w życie postanowienia Ustawy o Reformie Handlu...

Rutledge spostrzegł, że Shen trochę poczerwieniał. Ale dlaczego? Musiał przecież znać reguły gry. Przecież Rutledge mówił to już co najmniej z pięćdziesiąt razy w poprzednich dniach. W porządku, nie użył przedtem sformułowania „niniejszym informujemy was”, które w języku dyplomacji oznaczało „zabawa się skończyła, stary, nie będziemy się z tobą dłużej opieprzać”, ale przecież wymowa jego poprzednich wypowiedzi była wystarczająco jasna, a Shen nie był głupcem... a może był? Czy też może Cliff Rutledge źle zinterpretował całą tę sesję?

– Dzień dobry – rozległ się kobiecy głos.

Wise gwałtownie odwrócił głowę. – Dzień dobry. Czy my się znamy?

– Zdążył pan poznać mojego męża. Jestem Yu Chun – powiedziała kobieta. Barry Wise wstał. Jej angielski był całkiem niezły, prawdopodobnie dzięki telewizji, która uczyła tego języka (a przynajmniej jego amerykańskiej odmiany) cały świat.

Wise zamrugał kilka razy, szybko zbierając myśli. – Pani Yu, proszę przyjąć nasze kondolencje z powodu śmierci męża. To był bardzo dzielny człowiek.

Skinęła, głową, a w gardle coś ją zaczęło dławić na myśl o tym, jakim człowiekiem był

Fa An. – Dziękuję panu – zdołała powiedzieć, starając się zapanować nad emocjami.

– Czy odbędzie się msza żałobna za pani męża? Jeśli tak, to prosilibyśmy o pozwolenie jej sfilmowania. – Wise nigdy nie był zwolennikiem tej szkoły dziennikarstwa, która nakazuje wypytywać rodziny ofiar, co czują, doznawszy takiej straty.

– Nie wiem. Modliliśmy się tutaj, w naszym domu, ale milicja nie chce mnie wpuścić do środka – powiedziała.

– Może mogę pomóc? – spytał, mając naprawdę szczerą intencję. – Milicja słucha czasem takich, jak my. – Wskazał ręką stojących przy wejściu milicjantów, a Pete Nicholowski polecił

szeptem: – Przygotuj się.

Trudno było sobie wyobrazić, co pomyśleli sobie milicjanci, kiedy wdowa Yu ruszyła w ich stronę w towarzystwie czarnoskórego Amerykanina, a tuż za nimi szedł zamorski diabeł z kamerą na ramieniu.

Zaczęła coś mówić do najstarszego stopniem funkcjonariusza, spokojnie i grzecznie, prosząc go o pozwolenie na wejście do domu. Wise trzymał mikrofon tak, żeby nie uronić ani słowa.

Milicjant pokręcił głową w geście odmowy, który nie wymagał tłumaczenia.

– Chwileczkę – wtrącił się Wise. – Pani Yu, czy mogłaby pani tłumaczyć? – Skinęła głową. – Sierżancie, wie pan, kim jestem i co robię, prawda? – Reakcją było krótkie, niezbyt przyjazne kiwnięcie głową. – Jaki jest powód, dla którego nie pozwala się tej pani wejść do jej własnego domu?

– Mam swoje rozkazy – przetłumaczyła Chun.

– Aha – powiedział Wise. – Zdaje pan sobie sprawę, że postawi to pański kraj w złym świetle? Ludzie na całym świecie zobaczą to i pomyślą, że nie powinno się tak postępować. –

Yu Chun przetłumaczyła to sierżantowi.

– Mam swoje rozkazy – powtórzył milicjant i stało się jasne, że równie owocna byłaby dalsza

rozmowa z pomnikiem.

– A może skontaktowałyby się pan ze swoim przełożonym – podsunął Wise i, ku jego zaskoczeniu, chiński gliniarz zapalił się do tej myśli, sięgnął po radiotelefon i wywołał swój posterunek.

– Przyjdzie tu mój porucznik – przetłumaczyła Yu Chun. Sierżant odczuł wyraźną ulgę, mogąc zwalić tę sprawę na kogoś innego, kto podlegał bezpośrednio kapitanowi na komendzie.

– Dobrze. Zaczekamy na niego w mikrobusie – powiedział Wise. Kiedy podeszli do mikrobusu, pani Yu zapaliła papierosa bez filtra, starając się zapanować nad nerwami.

Nichols zdjął kamerę z ramienia i wszyscy odprężyli się na parę minut.

– Jak długo byli państwo małżeństwem? – spytał Wise. Kamera była wyłączona.

– Dwadzieścia cztery lata – odpowiedziała.

– Dzieci?

– Syn. Studiuje inżynierię w Ameryce, na Uniwersytecie Oklahomy – powiedziała Chun amerykańskiej ekipie telewizyjnej.

– Pete – powiedział cicho Wise – włącz nadajnik satelitarny.

– Jasne. – Kamerzysta schylił głowę wchodząc do mikrobusu i włączył system satelitarny. Na dachu pojazdu mała talerzowa antena obróciła się o pięćdziesiąt stopni w płaszczyźnie poziomej i sześćdziesiąt stopni w pionie, nastawiając się na satelitę, z którego zwykle korzystali, nadając z Pekinu. Kiedy złapała sygnał, co potwierdziła dioda, Nichols wybrał kanał szósty i poinformował na nim Atlantę, że rozpoczyna transmisję na żywo z Pekinu. Realizator w centrali spojrział na ekran, ale nic nie zobaczył. Nie zniechęcał się jednak, wiedząc, że Barry Wise daje zwykle dobre materiały i nie decydowałby się na transmisję na żywo, gdyby nie było to naprawdę ważne. Rozparł się więc wygodnie w obrotowym fotelu, łyknął kawy, po czym powiadomił dyżurnego reżysera, że będzie zaraz transmisja z Pekinu, ale na razie nie wiadomo, na jaki temat.

Pod dom-kościół wielebnego Yu zaczęło przychodzić coraz więcej ludzi. Niektórych zaskoczył widok mikrobusu CNN, ale kiedy zobaczyli przy nim Yu Chun, uspokoili się trochę. Przychodzili najczęściej pojedynczo lub parami i wkrótce zebrało się około trzydziestu osób. Większość trzymała w rękach książki; Wise pomyślał, że to na pewno Biblie i polecił Nicholsowi włączyć kamerę. Łączem satelitarnym obraz i dźwięk transmitowane były prosto do Atlanty.

– Tu Barry Wise z Pekinu. Jesteśmy przed domem wielebnego Yu Fa Ana, baptysty, który zginął zaledwie dwa dni temu wraz z kardynałem Renato DiMilo, nuncjuszem apostolskim, czyli ambasadorem Watykanu w Chińskiej Republice Ludowej. Jest ze mną wdowa po wielebnym Yu, pani Yu Chun. Byli małżeństwem od dwudziestu czterech lat, mają syna, który studiuje obecnie na Uniwersytecie Oklahomy w Norman. Jak państwo sobie mogą wyobrazić, nie są to przyjemne chwile

dla pani Yu, a do tego wszystkiego miejscowa milicja nie chce jej pozwolić wejść do jej własnego domu. Ten dom służył także jako kościół ich niewielkiej parafii i, jak widać, parafianie przyszli tu, żeby pomodlić się za swego zmarłego przywódcę duchowego, wielbnego Yu Fa Ana. Nie wydaje się jednak, żeby miejscowe władze pozwoliły im robić to w miejscu, które dotychczas służyło im do praktyk religijnych.

Rozmawiałem z najstarszym stopniem funkcjonariuszem milicji. Mówi, że otrzymał rozkazy, zabraniające wpuszczania kogokolwiek do tego domu, nawet pani Yu, i wydaje się, że zamierza te rozkazy wykonać. – Wise podszedł do miejsca w którym stała wdowa.

– Pani Yu, czy zabierze pani ciało męża z powrotem na Tajwan, żeby tam je pochować? –

Wise rzadko pozwalał sobie na okazywanie emocji przed kamerą, ale odpowiedź na jego pytanie wyraźnie go poruszyła.

– Nie ma żadnego ciała. Mój mąż... Oni zabrali jego ciało i spalili, a prochy wysypali do rzeki – powiedziała Chun łamiącym się głosem.

– Co takiego? – zawołał Wise. Zaskoczenie wyraźnie malowało się na jego twarzy. –

Spopielili ciało bez pani zgody?

– Tak – wykrztusiła Chun.

– I nawet nie wydali pani prochów męża, żeby mogła je pani zabrać do domu?

– Nie, powiedzieli mi, że prochy zostały wysypane do rzeki.

– No tak – mruknął Wise. Chciał powiedzieć coś mocniejszego, ale jako reporter musiał

zachować pewien obiektywizm, więc nie mógł sobie pozwolić na powiedzenie tego, na co miał ochotę. Barbarzyńskie sukinsyny! Czegoś takiego nie mogły wytłumaczyć żadne różnice kulturowe.

W tym momencie przyjechał na rowerze porucznik milicji. Natychmiast podszedł do sierżanta, porozmawiał z nim przez chwilę, po czym ruszył w stronę Yu Chun.

– Co to znaczy? – spytał po mandaryńsku. Cofnął się o krok, widząc kamerę i mikrofon.

Na twarzy, którą zwrócił ku Amerykanom, miał wypisane pytanie: CO TO ZNACZY?

– Chcę wejść do mojego domu, ale on mi nie pozwala – odpowiedziała Yu Chun, wskazując na sierżanta. – Dlaczego nie wolno mi wejść do mojego domu?

– Przepraszam – wtrącił się Wise. – Nazywam się Barry Wise i pracuję dla CNN. Czy mówi pan po angielsku? – spytał milicjanta.

– Tak, mówić.

– A kim pan jest?

– Porucznik Rong⁷⁷. Wise pomyślał, że trudno byłoby w tej chwili o lepsze nazwisko; nie wiedział, że po chińsku oznacza ono „broń”.

– Poruczniku Rong, jestem Barry Wise z CNN. Czy zna pan powody, dla których wydano rozkaz, żeby nie wpuszczać pani Yu do jej domu?

– Ten dom jest miejsce działalności polityczna, zakazana władza miejska.

77 Po angielsku wrong - fonetycznie rong - znaczy tyle, co niesprawiedliwy, niewłaściwy, zły, błędny itp. (przyp.

tłum.)

– Działalności politycznej? Ale przecież to prywatna rezydencja, dom mieszkalny, prawda?

– To miejsce działalności polityczna – obstawał przy swoim Rong. – Bezprawna działalność polityczna – dodał.

– Rozumiem. Dziękuję panu, poruczniku. – Wise cofnął się i zaczął mówić bezpośrednio do kamery, a pani Yu podeszła do zebranych parafian. Kamera odprowadziła ją do jakiegoś tęgiego mężczyzny, na którego twarzy malowała się determinacja. Ten mężczyzna odwrócił

się do innych parafian i głośno coś powiedział. Wszyscy natychmiast otworzyli Biblie. Tęgi mężczyzna również otworzył swoją i zaczął czytać na głos. Reszta zdała się na jego przewodnictwo i z uwagą śledziła tekst.

Wen Zhong, właściciel miniaturowej restauracji, prowadził to zaimprovizowane nabożeństwo, czytając Pismo, ale po chińsku, więc nikt z ekipy CNN nie rozumiał ani słowa.

Kiedy przewracał kartkę, trzydziestu kilku ludzi robiło to wraz z nim, śledząc tekst z charakterystyczną dla baptystów uwagą i Wise zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest świadkiem przejmowania parafii przez tego korpulentnego faceta. Jego intencje wydawały się jednak szczerze, a tym przede wszystkim powinien się odznaczać duchowny. Yu Chun podeszła do niego, a on położył jej dłoń na ramieniu w geście, który wydawał się zupełnie nie chiński. Rozkleiła się wtedy i zaczęła szlochać. Nie musiała się wstydzić łez. Po dwudziestu czterech latach małżeństwa straciła męża, a władze spotęgowały jej cierpienia, posuwając się do spalenia ciała, pozbawiając ją możliwości spojrzenia po raz ostatni na ukochaną twarz i grobu, który mogłaby odwiedzać.

To barbarzyńcy, pomyślał Wise, wiedząc, że nie wolno mu powiedzieć czegoś takiego przed kamerą. Był zły z tego powodu, ale jego zawód miał swoje reguły, a on ich nie łamał.

Ale miał kamerę, a kamera mogła pokazać więcej, niż dałoby się powiedzieć.

Barry i jego ekipa nie wiedzieli, że Atlanta pokazywała na żywo to, co nadawali, z komentarzem z centrali CNN, ponieważ nie udało im się wywołać Barry'ego Wise'a przez radio. Sygnał telewizyjny biegł więc do satelity, stamtąd do Atlanty i z powrotem na orbitę, do czterech satelitów, które rozsyłały go po całym świecie, w tym także do Pekinu.

Wszyscy członkowie chińskiego Biura Politycznego mieli w swych gabinetach telewizory i wszyscy mieli dostęp do CNN; ta amerykańska telewizja była dla nich głównym źródłem informacji politycznych. CNN odbierano również w pekińskich hotelach, jak zwykle pełnych biznesmenów i innych gości. Nawet niektórzy obywatele chińscy mieli dostęp do CNN, zwłaszcza ludzie biznesu, którzy prowadzili interesy w kraju i za granicą, i musieli wiedzieć, co się dzieje na świecie.

Fang Gan uniósł wzrok znad papierów na biurku i spojrzał na telewizor, który zawsze włączał zaraz po wejściu do swego gabinetu. Sięgnął po pilota, żeby włączyć dźwięk.

Mówiono po angielsku, a w tle słychać było coś po chińsku, ale tak niewyraźnie, że nie bardzo można było coś zrozumieć. Jego angielski nie był zbyt dobry, zawołał więc Ming, żeby mu tłumaczyła.

– Towarzyszu ministrze, to relacja z czegoś, co dzieje się tu, w Pekinie – powiedziała mu na początek.

– Przecież widzę, dziewczyno – warknął. – Co mówią?

– To współnicy tego Yu, którego milicja zastrzeliła dwa dni temu... i wdowa...

najwyraźniej to jakaś ceremonia pogrzebowa, czy coś takiego... Och, mówią, że ciało Yu zostało spalone, a prochy rozsypane, więc wdowa nie może go pochować, co jeszcze potęguje jej ból. Tak mówią.

– Co za idiota to zrobił? – zawołał Fang. Z natury nie był specjalnie uczuciowy, ale wyznawał zasadę, że mądry człowiek powinien unikać niepotrzebnego okrucieństwa. – Mów dalej, dziewczyno.

– Ci ludzie czytają z chrześcijańskiej Biblii, nie mogą ich zrozumieć, bo zagłusza ich anglojęzyczny komentator... ten komentator powtarza się, mówiąc, że... ach, tak, że próbują nawiązać kontakt z ich reporterem Barrym Wise'em tu, w Pekinie, ale że mają trudności techniczne... teraz powtarza to, co mówił wcześniej, że to nabożeństwo żałobne po tym Yu, z udziałem jego przyjaciół, nie, członków jego ugrupowania religijnego. To już wszystko.

Teraz przypominają, co się stało w szpitalu Longfu, mówią także o tym włoskim duchownym, którego zwłoki mają niedługo dotrzeć do Włoch.

Fang mruknął coś pod nosem, sięgnął po telefon i połączył się z ministrem spraw wewnętrznych.

Minister spraw wewnętrznych szybko zaczął wydawać polecenia, ale Barry Wise o tym nie wiedział. Przed chwilą w małej słuchawce, którą miał w uchu, usłyszał wreszcie Atlantę.

Zaraz potem włączył się do transmisji audio i zaczął komentować na żywo dla widzów na całym świecie. Co chwila odwracał głowę, podczas gdy Pete Nichols stał z kamerą, wycelowaną na to niewielkie zgromadzenie religijne na wąskiej, zakurzonej ulicy. Wise spostrzegł, że porucznik rozmawia przez radiotelefon; aparat był podobny do Motoroli, takiej, jaką posługuje się policja amerykańska. Mówił, słuchał, znów mówił, wreszcie uzyskał jakieś potwierdzenie. Schował radiotelefon i ruszył prosto do reportera CNN. Na jego twarzy malowała się determinacja, co Barry'emu wcale się nie podobało, tym bardziej, że po drodze porucznik Rong powiedział coś po cichu do swoich ludzi, a ci odwrócili się w tę samą stronę i stali nieruchomo, ale z podobną determinacją na twarzach, gotowi na coś, co miało za chwilę nastąpić.

– Musi wyłączyć kamera – powiedział Rong.

– Przepraszam? – powiedział Wise, udając, że się przesłyszał.

– Kamera. Wyłączyć – powtórzył porucznik.

– Dlaczego? – spytał Wise, zastanawiając się gorączkowo, co dalej.

– Rozkazy – wyjaśnił zwięźle Rong.

– Czyje rozkazy?

– Rozkazy z komenda główna milicji – powiedział Rong.

– Rozumiem – odparł Wise i wyciągnął rękę.

– Natychmiast wyłączyć kamera! – nie ustępował Rong, zastanawiając się, co ma znaczyć ta wyciągnięta ręka.

– A gdzie rozkaz?

– Co?

– Nie mogę wyłączyć kamery bez rozkazu na piśmie. Takie są przepisy w mojej firmie.

Ma pan rozkaz na piśmie?

– Nie – powiedział Rong, nagle skonsternowany.

– I rozkaz musi być podpisany co najmniej przez kapitana. Major byłby lepszy, ale może być i kapitan – ciągnął Wise. – Takie są przepisy w mojej firmie.

– Ach – zdołał wykrztusić Rong. Czuł się, jakby walnął głową w niewidzialny mur.

Pokręcił głową, jakby chciał się otrząsnąć ze skutków tego uderzenia i odszedł o pięć metrów, wyciągając ponownie radiotelefon, żeby złożyć komuś meldunek. Potrwało to może minutę, po czym Rong wrócił. – Rozkaz być zaraz dostarczony – poinformował Amerykanina.

– Dziękuję panu – powiedział Wise z uprzejmym uśmiechem i lekkim skłonem głowy.

Porucznik Rong znów odszedł. Wyglądał na trochę zmieszanego, dopóki nie dołączył do swoich ludzi. Miał instrukcje, które należało wykonać, rozumiał je i rozumieli je jego podwładni; obywatele ChRL, zwłaszcza ci w mundurach, lubili jasne sytuacje.

– Kłopoty, Barry – powiedział Nichols, kierując kamerę na milicjantów. Słyszał wymianę zdań na temat rozkazu na piśmie i musiał mocno przygryźć wargi, żeby nie parsknąć śmiechem. Barry potrafił zamieszać ludziom w głowach. Zrobił to nawet z paroma prezydentami.

– Wiem. Kręć dalej – odpowiedział Wise, wyłączwszy na chwilę mikrofon. Zaraz potem włączył go i powiadomił Atlantę: – Coś tu się szykuje i wcale mi się to nie podoba. Wydaje się, że milicja dostała od kogoś rozkazy. Jak państwo przed chwilą słyszeli, polecili nam wyłączyć kamerę; odmówiliśmy, żądając rozkazu na piśmie od wyższego funkcjonariusza milicji, zgodnie z zasadami CNN – ciągnął Wise, wiedząc, że słucha go ktoś w Pekinie.

Zdawał sobie sprawę, że komuniści są fanatykami organizacji i żądanie rozkazu na piśmie uznają za całkiem uzasadnione, bez względu na to, jak zwariowane mogłoby się to wydawać komuś z zewnątrz. Pozostawało pytanie, czy milicja przystąpi do wykonywania otrzymanych przez radio instrukcji, zanim dotrze tu oficjalny dokument, nakazujący ekipie CNN

wyłączenie kamery. Co będzie miało priorytet...?

Priorytetowe było, oczywiście, utrzymanie porządku w mieście. Milicjanci sięgnęli po pałki i ruszyli w stronę baptystów.

– Gdzie mam się ustawić, Barry? – spytał Pete Nichols.

– Nie za blisko. Stań tak, żeby w razie potrzeby mieć w obiektywie całą scenę – polecił

Wise.

– Jasne – odpowiedział kamerzysta.

Kamera śledziła porucznika Ronga, który podszedł do Wen Zhonga i powiedział coś do niego, a tamten z miejsca odmówił. Porucznik powtórzył rozkaz. Mikrofon kierunkowy, wbudowany w kamerę, ledwie wychwycił odpowiedź na rozkaz, powtórzony po raz drugi.

– *Diao ren, chou ni ma di be!* – wykrzyknął otyły Chińczyk prosto w twarz funkcjonariusza milicji.

Cokolwiek by to znaczyło, musiało być bardzo obraźliwe, bo kilkoro wiernych szeroko otworzyło oczy ze zdumienia. Wen dostał za to od Ronga pałką w twarz.

Osunął się na kolana, z rozciętej skóry zaczęła płynąć krew, ale wstał, odwrócił się plecami do milicjanta i przewrócił kartkę w swej Biblii. Nichols przesunął się trochę, żeby móc zrobić zbliżenie Księgi i krwi, kapiącej na jej stronie.

To, że ten człowiek śmiał odwrócić się do niego tyłem, jeszcze bardziej rozwścieczyło Ronga. Następne uderzenie pałką było wymierzone w tył głowy Wena. Nogi się pod nim ugięły, ale, o dziwo, cios nie zdołał go powalić. Rong chwycił go za ramię i szarpnął, odwracając ku sobie; uderzając po raz trzeci, pałka trafiła prosto w splot słoneczny. Tego rodzaju cios powala zawodowego boksera, więc i z właścicielem restauracji nie mogło być inaczej. W okamgnieniu opadł na kolana, trzymając Biblię w jednej ręce, a drugą przyciskając do żołądka.

Reszta milicjantów nacierała w tym czasie na pozostałych wiernych, waląc ich pałkami; kulili się, ale nie uciekali. Yu Chun stała w pierwszej linii. Nie była wysoką kobietą, nawet jak na Chinę. Pałka trafiła ją z całą siłą w twarz i ze złamanego nosa krew trysnęła jak z fontanny.

Nie trwało to długo. Na trzydziestu czterech parafian przypadało dwunastu milicjantów, a chrześcijanie nie bronili się skutecznie, nie tyle z powodu przekonań religijnych, co z wpojonej Chińczykom zasadny niesprzeciwiania się siłom porządkowym. Stali więc razem i razem przyjmowali ciosy, nie broniąc się, a tylko kuląc i razem padali na ulicę z okrwawionymi twarzami. Po wykonaniu zadania milicjanci wycofali się niemal natychmiast, jakby chcieli zaprezentować swe dzieło przed kamerą CNN, która wiernie to wszystko zarejestrowała i natychmiast przekazała na cały świat.

– Odbieracie to? – spytał Wise Atlanty.

– Krew i wszystko inne, Barry – odpowiedział reżyser ze swego obrotowego fotela w centrali CNN.
– Powiedz Nicholsowi, że ma u mnie piwo.

– Wydaje się, że miejscowa milicja otrzymała rozkaz rozpędzenia zgromadzenia religijnego, które jest tu uważane za coś politycznego i politycznie groźnego dla władz. Jak państwo widzą, żaden z tych ludzi nie jest uzbrojony i żaden nie stawiał jakiegokolwiek oporu nacierającym milicjantom. Teraz... – przerwał, widząc rowerzystę, jadącego w ich kierunku z dużą prędkością. Umundurowany milicjant zeskoczył z roweru i podał coś porucznikowi Rongowi. Porucznik przyniósł to Barry'emu Wise.

– Tu rozkaz. Wyłączyć kamera! – zażądał.

– Niech pan pozwoli, te rzucę na to okiem – odparł Wise, tak rozgniewany tym, co przed chwilą widział, że gotów narazić własną głowę na uderzenie pałką, pod warunkiem, że Pete nadałby to łączem satelitarnym. Obejrzał kartkę i podał ją z powrotem Rongowi. – Nie potrafię tego przeczytać. Bardzo mi przykro – ciągnął, rozmyślnie prowokując tamtego i zastanawiając się, na ile jeszcze może sobie pozwolić – ale nie znam pańskiego języka.

Wydawało się, że oczy wyskoczą Rongowi z orbit. – Mówić, żeby wyłączyć kamera!

– Ale ja nie potrafię tego odczytać i moja firma też nie – odparł Wise, starając się, żeby zabrzmiało to rozsądnie.

Rong zobaczył wycelowane w siebie kamerę i mikrofon, i zdał sobie sprawę, że robi się go w konia, i to paskudnie. Ale wiedział też, że musi to teraz rozegrać do końca. – Tu pisać, musisz wyłączyć kamera teraz – powiedział, wodząc palcem po chińskich znakach.

– W porządku, sądzę, że mówi pan prawdę. – Wise wyprostował się i odwrócił twarzą do kamery. – Cóż, jak państwo widzą, miejscowa milicja kazała nam wyłączyć kamerę.

Podsumowując: wdowa po wielbnym Yu Fa Anie i członkowie jego parafii przyszli tu dzisiaj, żeby modlić się za swego zmarłego pastora. Okazało się, że ciało wielebnego Yu zostało spalone, a prochy rozsypane. Wdowie milicja zabroniła wstępu do jej własnego domu z powodu rzekomej niestosownej działalności „politycznej”, co, jak sądzę, miało oznaczać praktyki religijne i, jak państwo przed chwilą widzieli, miejscowa milicja pobiła pałkami członków tej parafii. A teraz nas także stąd przepędzają. Mówił Barry Wise z Pekinu. – Pięć sekund później Nichols zdjął kamerę z ramienia i odwrócił się, żeby ją włożyć do mikrobusu.

Wise spojrział na porucznika milicji i uśmiechnął się uprzejmie, myśląc: Możesz to sobie w dupę wsadzić, palancie! Zrobił, co do niego należało, nadał materiał. Reszta była już w rękach świata.

Rozdział 31

Ochrona praw

CNN nadaje programy informacyjne dwadzieścia cztery godziny na dobę do odbiorców satelitarnych na całym świecie, więc relację z Pekinu zobaczyły nie tylko amerykańskie służby wywiadowcze, lecz także księżow i gospodynie domowe, i ludzie cierpiący na bezsenność. W tej ostatniej grupie sporo osób miało dostęp do komputerów osobistych, wiele z nich znało też adres e-mailowy Białego Domu.

Poczta elektroniczna nieomal z dnia na dzień zastąpiła telegram jako sposób informowania władz USA o tym, co myślą zwykli ludzie i wydawało się, że władze brały te opinie pod uwagę, a przynajmniej czytały je, liczyły i katalogowały. Tę ostatnią czynność wykonywano w podziemiach Starego Budynku Rządowego, tego wiktoriańskiego monstrum sąsiadującego od strony zachodniej z Białym Domem. Ludzie, którzy się tym zajmowali, podlegali bezpośrednio Arnoldowi van Dammowi. Efektem ich pracy było dość dobre rozeznanie w nastrojach amerykańskiego społeczeństwa, ponieważ mieli także komputerowy dostęp do wszystkich ośrodków badania opinii publicznej w kraju, a także na całym świecie.

Biały Dom oszczędzał pieniądze, nie musząc prowadzić własnych sondaży. Wprawdzie szef kancelarii Białego Domu trochę nad tym ubolewał, ale osobiście kierował analizowaniem nastrojów politycznych na podstawie poczty elektronicznej, i to w zasadzie nieodpłatnie.

Arnie nie miał nic przeciwko temu. Polityka była dla niego czymś tak naturalnym jak oddychanie, a już dawno temu postanowił wiernie służyć temu prezydentowi, zwłaszcza że nierzadko oznaczało to potrzebę chronienia go przed nim samym i jego zadziwiająco często niekompetencją w sprawach politycznych.

Ale żeby zrozumieć wymowę e-maili, które zaczęły przychodzić krótko po północy, wcale nie trzeba było geniusza politycznego. Całkiem sporo tych e-maili było podpisanych prawdziwymi imionami i nazwiskami, a nie tylko elektronicznymi nazwami użytkowników i mnóstwo nadawców żądało podjęcia działań. Później tego dnia Arnie mówił, że nie miał

pojęcia, że aż tylu baptystów potrafi posługiwać się komputerem; zganił się zresztą potem za to, że w ogóle coś takiego pomyślał.

W tym samym budynku Biuro Łączności Białego Domu wykonało świetną jakościowo kopię materiału CNN; posłaniec dostarczył kasetę do Gabinetu Owalnego. W wielu krajach, do których informacje CNN z Pekinu dotarły w porze śniadania, niejeden widz odstawił

filiżankę z kawą albo herbatą i wydawał gniewne okrzyki. To z kolei sprawiło, że ambasady amerykańskie na całym świecie w krótkich raportach informowały Departament Stanu, że rządy różnych krajów z oburzeniem zareagowały na informacje, przekazane przez CNN i że przed bramami do wielu ambasad ChRL zbierali się demonstranci, niektórzy bardzo głośni.

Tę informację szybko przekazano do Służby Ochrony Dyplomatycznej, agencji Departamentu Stanu, której zadaniem było zapewnienie bezpieczeństwa zagranicznym dyplomatom i ich ambasadom. Z agencji zatelefonowano do policji Dystryktu Columbia w sprawie zwiększenia liczby umundurowanych funkcjonariuszy wokół różnych przedstawicielstw ChRL w Ameryce i do przygotowania rezerw na wypadek, gdyby problemy miały się pojawić w samym Waszyngtonie.

W czasie, kiedy Ben Goodley wstał z łóżka i pojechał na poranną odprawę do Langley, amerykańskie służby wywiadowcze dysponowały już niezłą diagnozą sytuacji. Jak to barwnie określił Ryan, ChRL wdepnęła w nie lada paskudztwo i wkrótce miała się o tym przekonać na własnej skórze. Rzeczywistość miała się okazać o wiele gorsza.

Goodley wiedział, że Ryan zawsze miał włączony CNN przy śniadaniu. Prezydent był w pełni świadom nowego kryzysu, jeszcze zanim włożył wykrochmaloną białą koszulę i krawat w paski. Nawet pocałowanie żony i dzieci na do widzenia nie mogło tego ranka złagodzić jego oburzenia z powodu tak niepojętej głupoty ludzi na drugim końcu świata.

– Jasna cholera, Ben! – warknął prezydent, kiedy Goodley wszedł do Gabinetu Owального.

– Hej, szefie, ja tego nie zrobiłem! – zaprotestował doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, zaskoczony wybuchem prezydenta.

– Co wiemy?

– W zasadzie wszystko pan zobaczył w CNN. Wdowa po tym biedaku, którego wtedy zastrzelili, przybyła do Pekinu w nadziei na zabranie zwłok na Tajwan, gdzie chciała je pogrzebać. Dowiedziała się, że ciało zostało spalone i że pozbyto się prochów. Miejscowa milicja nie wpuściła jej do domu, a kiedy trochę wiernych przyszło tam na nabożeństwo żałobne, milicja postanowiła ich rozpędzić. – Nie musiał dodawać, że napaść na wdowę została uchwycona przez kamerzystę CNN szczególnie dokładnie, do tego stopnia, że Cathy Ryan powiedziała, iż ta kobieta na pewno ma złamany nos, a może doznała i poważniejszych obrażeń i prawdopodobnie będzie potrzebowała dobrego chirurga szczękowego, żeby jej poskładał twarz. A potem Cathy spytała męża, dlaczego tamci milicjanci pałali taką nienawiścią.

– Przypuszczam, że dlatego, że tamta kobieta wierzy w Boga – odpowiedział Ryan w pokoju śniadaniowym.

– Jack, toż to jak żywcem z hitlerowskich Niemiec, jak z Kanału Historycznego, który tak często oglądasz. – I chociaż była lekarzem, aż się skuliła, oglądając relację z akcji milicji przeciw obywatelom chińskim, uzbrojonym jedynie w Biblię.

– Też to już widziałem – powiedział van Damm, wchodząc do Gabinetu Owального. – I jesteśmy zalewani reakcjami oburzonych widzów.

– Pieprzeni barbarzyńcy – zaklął Ryan w momencie, kiedy wszedł Robby Jackson.

Uczestnicy porannej odprawy byli w komplecie.

– Masz całkowitą rację, Jack. Cholera, wiem, że tato też to obejrzy, a właśnie dzisiaj odprawia nabożeństwo w kościele Gerry’ego Pattersona. To będzie imponujące, Jack.

Imponujące – obiecał wiceprezydent.

– I ma tam być CNN?

– Tak, panie prezydencie – potwierdził Robby.

Dr Alan Gregory prawie zawsze zatrzymywał się w hotelu „Mariott” nad Potomakiem, w okolicy nad którą samoloty podchodziły do lądowania na lotnisku Reagana. I tym razem przyleciał nocnym rejsiem z Los Angeles; serwis na pokładzie nie poprawił się od lat. Po wylądowaniu pojechał taksówką do hotelu, żeby wziąć prysznic i przebrać się; chciał

wyglądać w miarę po ludzku, kiedy stawi na spotkanie z sekretarzem obrony, umówione na 10.15. Nie musiał jechać taksówką. Dr Bretano przysłał po niego samochód z sierżantem za kierownicą. Gregory usadowił się na tylnym siedzeniu, gdzie czekała na niego gazeta.

Zaledwie dziesięć minut później samochód podjechał do bramy od strony rzeki; czekał tam już kolejny wojskowy, major, który poprowadził go przez wykrywacz metali do pierścienia E.

– Zna pan sekretarza obrony? – spytał oficer po drodze.

– O, tak. Z bliska na pewno go rozpoznam.

Musiał postać chwilę w przedpokoju, ale nie więcej niż pół minuty.

– Al, weź sobie krzesło. Kawy?

– Bardzo proszę, doktorze Bretano.

– Mów mi Tony – powiedział sekretarz obrony. Najczęściej nie przykładał wagi do oficjalnych form, a poza tym wiedział, czym się zajmował Gregory. Steward podał kawę, bułeczki i dżem, po czym zamknął za sobą drzwi. – Jak lot?

– Te nocne loty zawsze będą koszmarne, sir... Tony. Jeśli pasażerowie schodzą z pokładu o własnych siłach, załoga zaczyna mieć wątpliwości, czy zrobiła wszystko, jak należy.

– No tak, jedną z zalet mojego zajęcia jest wygodny Gulfstream zawsze do dyspozycji.

Nie muszę zbyt wiele chodzić, ani jeździć samochodem, a ochronę sam widziałeś.

– To ci faceci z rękoma do kostek? – spytał Gregory.

– Nie kpij. Jeden z nich studiował w Princeton, zanim został komandosem SEAL. To musi być ten, który pozostałym czyta na głos komiksy, pomyślał Al, ale nie powiedział tego głośno. – No więc, Tony, po co mnie tu ściągnąłeś?

– O ile pamiętam, pracowałeś kiedyś tu, na dole, w SDIO.

– Siedem lat temu, w piwnicach razem z innymi pieczarkami i tak naprawdę nigdy się nam nie powiodło. Zajmowałem się projektem lasera na elektronach swobodnych. Szło nawet nieźle, tylko że ten cholerny laser nigdy nie spełnił naszych oczekiwań, nawet po tym, kiedy ukradliśmy to, co Rosjanie wiedzieli na jego temat. Nawiasem mówiąc, mieli najlepszego na świecie specjalistę od laserów. Biedaczysko, zginął w wypadku w górach w 1990 roku, a przynajmniej tak słyszeliśmy w SDIO. W sprawie tego lasera tłukł głową w ten sam mur, co i my. Były problemy z komorą, w której naświetlało się laserem gorące gazy, żeby uzyskać energię dla naszej wiązki. Nigdy nie zdołaliśmy uzyskać stabilnego zamknięcia polem magnetycznym. Próbowano wszystkiego. Pomagałem w tym przez dziewiętnaście miesięcy.

Pracowało nad tym problemem paru naprawdę dobrych facetów, ale nikomu się nie udało.

Sądzę, że ci z Princeton wcześniej rozwiążą problem kontrolowanej syntezy jądrowej. Też się tym trochę zajmowaliśmy, ale różnice były za duże, żeby móc skopiować rozwiązania teoretyczne. Skończyło się na tym, że przekazaliśmy im mnóstwo naszych koncepcji, a oni dobrze je wykorzystują. Tak czy inaczej, Armia zrobiła ze mnie podpułkownika, a trzy tygodnie później zaproponowali mi przedterminowe odejście, bo nie mieli już dla mnie nic do roboty, więc przyjąłem tę pracę w TRW, którą zaproponował dr Flynn i od tego czasu pracuję dla ciebie. – W ten sposób Gregory dostawał osiemdziesiąt procent wojskowej emerytury, należnej po dwudziestu latach służby i pół miliona dolarów rocznie od TRW jako kierownik sekcji, plus opcje na zakup akcji i doskonały pakiet emerytalny.

– Gerry Flynn śpiewa hymny pochwalne na twoją cześć mniej więcej raz w tygodniu.

Gregory skinął głową. – Dobrze się u niego pracuje – powiedział z uśmiechem.

– Gerry mówi, że w sprawach oprogramowania nie masz sobie równych w Sunnyvale.

– Do niektórych zastosowań. Nie ja jestem autorem „Doom”78, niestety, ale jeśli potrzebujesz kogoś, kto zna się na optyce adaptacyjnej, jestem do dyspozycji.

– A jak z pociskami przeciwlotniczymi?

Gregory skinął głową. – Zajmowałem się tym trochę w wojsku, na początku. Potem dali mi się pobawić z czwartą generacją systemu Patriot, wiesz, przechwytywanie Scudów.

Pomagałem przy oprogramowaniu głowicy bojowej. – Nie dodał, że uporali się z tym o trzy dni za

późno, żeby można to było wykorzystać w wojnie nad Zatoką Perską, ale jego oprogramowanie było teraz standardem we wszystkich rakietach systemu Patriot.

– Doskonale. Chciałbym, żebyś zajął się czymś dla mnie. To będzie zlecenie bezpośrednio z biura sekretarza obrony – czyli mnie – a Gerry Flynn nie będzie miał nic przeciwko temu.

78 *Bardzo popularna gra komputerowa (przyp. tłum.)*

– Co to takiego, Tony?

– Ustalenie, czy system Aegis może przechwytywać rakiety balistyczne.

– Poradzi sobie ze Scudem, ale to tylko prędkość trzech machów, czy coś koło tego. Masz na myśli prawdziwą raketę balistyczną?

Sekretarz obrony skinął głową. – Tak, międzykontynentalną raketę balistyczną.

– Mówi się o tym od lat... – Gregory napił się kawy. – Układ radarowy potrafi temu sprostać. Może potrzebne będą jakieś modyfikacje w oprogramowaniu, ale to nie będzie trudne, bo ostrzeżenie przed atakiem nadejdzie z innych systemów, a zasięg radaru SPY

przekracza dziewięćset kilometrów i można z tym radarem robić najróżniejsze rzeczy elektronicznie, na przykład rąbać promieniowaniem o mocy siedmiu milionów watów w rejon nadlatującej rakiety. Usmaży to wszystkie podzespoły elektroniczne w promieniu siedmiu, ośmiu tysięcy metrów. Po czymś takim będziesz miał potomstwo z dwiema główkami i będziesz sobie musiał sprawić nowy zegarek.

Bretano uśmiechnął się.

– W porządku – ciągnął Gregory z wyrazem zamyślenia w oczach. – Aegis działa w taki sposób, że radar SPY daje orientacyjne pojęcie, gdzie znajduje się cel do przechwycenia, żeby można było wystrzelić tam pocisk przeciwlotniczy. To dlatego rakiety systemu Aegis mają tak wielki zasięg. Lecą na autopilocie, a samo manewrowanie trwa zaledwie ostatnich kilka sekund. Od tego są radary SPG na okrętach; głowica naprowadzająca wykorzystuje promieniowanie odbite od celu. To morderczy system dla samolotów, ponieważ pilot dopiero na kilka sekund przed trafieniem dowiaduje się, że został oświetlony wiązką radarową, a w tak krótkim czasie trudno jest zlokalizować raketę i wykonać unik.

Bretano przysłuchiwał się w milczeniu.

– Prędkość końcowa rakiety balistycznej jest o wiele większa, coś w granicach jedenastu machów. To oznacza, że bardzo trudno ją trafić... przede wszystkim dlatego, że tak szybko nadlatuje. Poza tym, to dość wytrzymały cel. Ostatni człon rakiety jest całkiem mocny, to nie jakaś tam blaszka, z której

zrobione są silniki rakiety. Będę musiał sprawdzić, czy głowica pocisku przeciwlotniczego potrafi coś takiego zniszczyć. – Gregory spojrzał Tony’emu Bretano w oczy. – No więc, kiedy zaczynam?

Wielebny dr Hosiah Jackson założył swą najlepszą, uszytą na miarę togę z czarnego jedwabiu, podarunek od parafianek; trzy paski na rękawach informowały o jego stopniu naukowym. Był w gabinecie Gerry’ego Pattersona, w bardzo przyjemnym gabinecie. Po drugiej stronie białych drewnianych drzwi czekali już wierni, sami dobrze ubrani zamożni biali; pomyślał, że niektórzy z nich będą się pewnie czuli trochę nieswojo, kiedy przemówi do nich czarny duchowny. W końcu Jezus był przecież biały (właściwie był Żydem, ale to przecież prawie to samo). Patterson, podobnie jak Jackson, miał wielkie lustro na drzwiach, żeby wychodząc mógł sprawdzić swój wygląd. Tak, był gotów. Wyglądał poważnie i autorytatywnie, tak jak powinien wyglądać Głos Pana.

Wierni już śpiewali. Mieli tu doskonałe organy, prawdziwe, tradycyjne, nie elektroniczne, jak te w jego kościele, ale ich śpiew... nie potrafili inaczej. To był śpiew białych i nijak nie można było tego zmienić. Śpiewali z przykładnym oddaniem, ale nie z tą pełną wigoru namiętnością, do jakiej był przyzwyczajony... ale jakże chciałby mieć u siebie takie organy.

Na kazalnicy stała butelka z zimną wodą i mikrofon, dostarczony przez ekipę CNN, która stała dyskretnie po bokach; wielebny Jackson pomyślał, że to dość nietypowe zachowanie jak na ludzi z telewizji. Zanim rozpoczął, przebiegło mu jeszcze przez głowę, że oprócz niego jedynym czarnym, który stał na tej kazalnicy był człowiek, który ją pomalował.

– Dzień dobry, panie i panowie. Nazywam się Hosiah Jackson. Prawdopodobnie wiecie wszyscy, gdzie znajduje się mój kościół. Jestem tutaj dzisiaj na zaproszenie mego dobrego przyjaciela i kolegi, waszego pastora Gerry Pattersona. Gerry ma dziś nade mną przewagę, ponieważ, w odróżnieniu ode mnie i, jak przypuszczam, was wszystkich, znał osobiście człowieka, którego chcemy tutaj wspominać.

Dla mnie Yu Fa An był tylko przyjacielem korespondencyjnym. Przed laty mieliśmy z Gerrym okazję porozmawiać o stanie duchownym. Spotkaliśmy się w kaplicy tutejszego szpitala. Był to zły dzień dla nas obu, Obaj straciliśmy wtedy ludzi, którzy byli nam drodzy; zabrała ich ta sama choroba, rak, i obaj odczuwaliśmy potrzebę udania się do szpitalnej kaplicy. Przypuszczam, że obaj chcieliśmy zadać Bogu to samo pytanie. Pytanie, które każdy z nas zadaje: Skąd tyle okrucieństwa na tym świecie i dlaczego kochający i miłosierny Bóg na to pozwala?

Cóż, odpowiedź na to pytanie znajduje się w Piśmie, i to w wielu miejscach. Sam Jezus opłakiwał śmierć niewinnej istoty, a jednym z jego cudów było wskrzeszenie Łazarza, zarówno po to, żeby pokazać, że naprawdę jest Synem Bożym, jak i po to, żeby pokazać swe człowieczeństwo, pokazać, jak bardzo przejmował się utratą dobrego człowieka.

Ale Łazarz, podobnie jak nasi dwaj parafianie tamtego dnia w szpitalu, zmarł z powodu choroby; kiedy Bóg stworzył świat, stworzył go w taki sposób, że było co poprawiać i tak jest do dzisiaj. Pan Bóg powiedział nam, żebyśmy objęli zwierzchnictwo nad światem i częściowo wynikało to z Jego pragnienia, żebyśmy uleczyli choroby, naprawili wszystko, co wymaga naprawy i uczynili w ten

sposób świat doskonałym, tak jak, posłuszni Świętemu Słowu Bożemu, sami możemy stać się doskonali.

– Skóra Skipa była innego koloru niż moja – mówił Gerry Patterson w innym kościele, zaledwie kilka kilometrów dalej. – Ale w oczach Boga wszyscy jesteśmy tacy sami, ponieważ Pan Jezus spogląda przez naszą skórę w nasze serca i dusze, i zawsze wie, co się tam znajduje.

– Prawda! – rozległ się męski głos.

– I tak Skip zaczął głosić ewangelię. Zamiast wrócić do swego rodzinnego kraju, gdzie władze chronią wolność wyznania, Skip postanowił lecieć dalej na zachód, do komunistycznych Chin. Dlaczego tam? – spytał Patterson. – Dlaczego właśnie tam?! W

tamtych Chinach nie ma wolności wyznania. Tamte Chiny nie chcą przyznać, że istnieje coś takiego jak Bóg. Tamte Chiny są jak Filistyni ze Starego Testamentu, ludzie, którzy prześladowali Żydów Mojżesza i Jozuego, wrogowie samego Boga. Dlaczego więc Skip to zrobił? Ponieważ wiedział, że nikt inny nie potrzebował Słowa Bożego bardziej niż tamtejsi ludzie i że Jezus chce, abyśmy prawili kazania poganom, nieśli jego Święte Słowo tym, których dusze tak go pragną i to właśnie robił.

– I nie wolno nam zapominać, że był tam jeszcze jeden człowiek, katolicki kardynał, mężczyzna w podeszłym wieku z bogatej i wpływowej rodziny, który dawno temu postanowił

zostać duchownym swego Kościoła – przypomniał Jackson swoim słuchaczom. – Miał na imię Renato; dla nas to równie egzotyczne imię, jak Yu Fa An, niemniej był sługą bożym, który również niósł Słowo Jezusa do kraju pogan. Kiedy władze tamtego kraju dowiedziały się o wielebnym Yu, pozbawiły go pracy. Liczyły na to, że go zagłodzą, ale ludzie, którzy podjęli tamtą decyzję, nie znali Skipa. Nie znali Jezusa i nie wiedzieli, na co stać wiernych, zgadzacie się?

– No pewnie! – odpowiedział biały męski głos i Hosiah wiedział już, że zdobył sobie tych ludzi.

– Słusznie, sir! Właśnie wtedy wasz pastor Gerry dowiedział się o tym i wy, dobrzy ludzie, zaczęliście wysyłać pomoc Skipowi Yu, wspierać człowieka, którego bezbożne władze chciały zniszczyć, ponieważ nie wiedziały, że ludzi wierzących łączy poczucie sprawiedliwości!

Patterson uniósł rękę. – I Jezus wskazał i powiedział: spójrzcie na tamtą niewiastę.

Ofiarowuje, choć sama jest w potrzebie, a nie dlatego, że jest bogata. Biednemu mężowi, czy biednej niewieście trudniej niż bogatym przychodzi dawać. A jednak wy, dobrzy ludzie, zaczęliście pomagać mojej parafii we wspieraniu mego przyjaciela Skipa. A Jezus powiedział

też, że to, co czynicie najmniejszym z braci moich, mnie czynicie.

– I tak ci trzej słudzy boży udali się do szpitala. Jeden z nich, nasz przyjaciel Skip, poszedł wspomagać swą parafiankę w trudnych chwilach. Dwaj pozostali, katolicy, udali się tam, ponieważ oni też byli sługami bożymi i występowali w obronie tego samego, co my, bo SŁOWO JEZUSA JEST TAKIE SAMO DLA NAS WSZYSTKICH! – zagrział Hosiah Jackson.

– Prawda! – zgodził się ten sam głos, a wszyscy wierni pokiwali przytakująco głowami.

– A więc ci trzej słudzy boży udali się do szpitala, żeby ratować życie małego dziecka, dziecka, które władze tamtego pogańskiego kraju chciały zabić... Stanęli na miejscu Boga, ale zrobili to z pokorą i siłą swej wiary. Stanęli na miejscu Boga, żeby wypełnić Jego wolę, a nie po to, żeby zdobyć władzę dla siebie, nie po to, żeby zostać fałszywymi bohaterami. Udali się tam, żeby służyć, nie żeby rządzić. Służyć, jak służył sam Pan Jezus. Jak służyli jego apostołowie. Udali się tam, żeby chronić życie niewinnej istoty ludzkiej. Udali się tam, żeby wypełniać wolę Pana.

– Prawdopodobnie nie wiecie, że kiedy zostałem wyświęcony, spędziłem trzy lata w Marynarce Stanów Zjednoczonych, służąc jako kapelan w Korpusie Piechoty Morskiej.

Zostałem przydzielony do Drugiej Dywizji piechoty morskiej w Camp Lejeune w Północnej Karolinie. Tam poznałem ludzi, których nazywamy bohaterami i nie ulega kwestii, że wielu marines zalicza się do tej kategorii. Oddałem tam ostatnią posługę poległym i umierającym po strasznej katastrofie śmigłowca i niesienie pociechy umierającym młodym marines było jednym z największych zaszczytów, jakich w życiu dostąpiłem, ponieważ wiedziałem, że idą na spotkanie z Panem. Pamiętam jednego z nich, sierżanta, który ożenił się zaledwie miesiąc wcześniej. Umarł, odmawiając modlitwę do Boga za swą żonę. Ten sierżant był weteranem wojny wietnamskiej i miał mnóstwo odznaczeń. Był jednym z tych, o których mówimy, że są twardymi facetami – powiedział Patterson czarnoskórym wiernym – ale największą siłę okazał, modląc się, kiedy wiedział, że umiera, modląc się nie za siebie, lecz za żonę, aby Bóg ją pocieszył. Ten żołnierz umarł jako chrześcijanin i odszedł z tego świata, żeby stanąć dumnie przed obliczem Pana jako człowiek, który spełnił swój obowiązek najlepiej, jak potrafił.

Tak samo było ze Skipem i z Renato. Poświęcili życie, żeby uratować dziecko. Bóg ich tam wysłał. Bóg wydał im polecenie. Usłyszeli je i podporządkowali się bez sprzeciwu, bez wahania, bez zastanowienia, pewni, że postępują słusznie.

– Tak wiele można się od nich nauczyć – powiedział Hosiah parafianom, u których był

gościem. – Przede wszystkim musimy zrozumieć, że Słowo Boże jest jednakowe dla nas wszystkich. Jezus jest Zbawicielem nas wszystkich, jeśli tylko zechcemy Go, jeśli tylko weźmiemy Go sobie do serca, jeśli tylko będziemy słuchać, kiedy do nas mówi. To pierwsza nauka, jaka powinna dla nas płynąć ze śmierci tych dwóch dzielnych mężów.

Następną nauką jest to, że szatan wciąż żyje i podczas, gdy my słuchamy słów Boga, są i tacy, którzy wolą słuchać słów Lucyfera. Musimy umieć rozpoznać takich ludzi.

Nie możemy opowiadać się za sprawiedliwością, nie wypowiadając się jednocześnie przeciwko niesprawiedliwości. Musimy pamiętać o Skipie i Renato. Musimy pamiętać o panu i pani Yang, i o wszystkich takich jak oni, o tych ludziach w Chinach, którym odmawia się szansy wysłuchania Słowa Bożego.

Synowie Lucyfera boją się Świętego Słowa Bożego. Synowie Lucyfera boją się nas.

Synowie szatana boją się Woli Bożej, bo Miłość Boga i droga, która On nas prowadzi oznacza ich zagładę. Mogą nienawidzić Boga. Mogą nienawidzić Słowa Bożego, ale boją się konsekwencji swoich działań. Boją się czekającego ich potępienia. Mogą zaprzeczać istnieniu Boga, ale wiedzą o Jego prawości i wiedzą, że dusza każdego człowieka wielkim głosem dopomina się wiedzy o naszym Panu. To dlatego bali się wielebnego Yu Fa Ana. To dlatego bali się kardynała DiMilo i dlatego nas się boją. Mnie i was, dobrzy ludzie. Ci synowie szatana boją się nas, ponieważ wiedzą, że ich słowa i ich fałszywe przekonania nie mogą się oprzeć Słowu Bożemu, tak jak drewniana chata nie oprze się wiosennemu tornado! I wiedzą, że wszyscy ludzie przychodzą na świat z jakąś wiedzą o Świętym Słowie Bożym. To dlatego nas się boją.

Wierni pokiwali głowami.

– I niech tak będzie! – zawołał wielebny Hosiah Jackson. – Dajmy im jeszcze jeden powód, żeby się nas bali! Zademonstrujmy im potęgę i niezłomność naszej wiary!

– Jezu Chryste! – szepnął Ryan. Przyszedł do gabinetu wiceprezydenta, żeby obejrzeć transmisję telewizyjną.

– Mówiłem ci, że tato jest dobry w tych sprawach. Do licha, dorastałem, słuchając tego codziennie i słowa taty wciąż robią na mnie wrażenie – powiedział Robby Jackson, zastanawiając się, czy by sobie nie pozwolić wieczorem na drinka. – Patterson prawdopodobnie też dobrze sobie radzi. Tato mówi, że facet jest w porządku, ale to mój tato jest mistrzem.

– Nie myślał kiedyś o zostaniu jezuitą? – spytał Jack z uśmiechem.

– Tato jest kaznodzieją, ale wcale nie jest taki święty. Dochowanie celibatu byłoby dla niego ciężką próbą – odpowiedział Robby.

W telewizji pokazywano teraz międzynarodowy port lotniczy Leonardo da Vinci pod Rzymem, gdzie Boeing 747 linii Alitalia, który przed chwilą wylądował, właśnie zbliżał się do rękawa. Na płycie lotniska stała ciężarówka i kilka limuzyn z Watykanu. Ogłoszono już, że oficjalna ceremonia pogrzebowa kardynała DiMilo odbędzie się w Bazylice Świętego Piotra i że tę żałobną uroczystość będzie transmitować CNN, a także Sky News, Fox i wszystkie inne wielkie sieci telewizyjne. Wiele stacji telewizyjnych z opóźnieniem zajęło się całą tą sprawą i teraz chciały to nadrobić.

Rozdział 32

Kolizja koalicji

Z lotniska do Watykanu było dość daleko. Kolumna samochodów jechała szybko, cały czas obserwowana przez kamery, aż wreszcie dotarła na Piazza San Pietro, Plac Świętego Piotra. Czekał już tam oddział Gwardii Szwajcarskiej w purpurowo-złoty mundurach, zaprojektowanych przez Michała Anioła. Kilku gwardzistów wyjęło trumnę ze zwłokami Księcia Kościoła, który zginął męczeńską śmiercią daleko stąd i wniosło ją przez odrzwia z brązu do wnętrza wielkiej bazyliki, gdzie następnego dnia sam papież miał odprawić mszę żałobną.

Paweł Jefremow i Oleg Prowałow wkroczyli do gabinetu Siergieja Gołowki.

– Przykro mi, że nie mogłem was tu poprosić wcześniej – powiedział przewodniczący SWR swoim gościom. – Mamy tyle problemów, Chińczycy i ta strzelanina w Pekinie. –

Zajmowało go to, tak jak wszystkich ludzi na świecie.

– No to macie z nimi jeszcze jeden problem, towarzyszu przewodniczący.

– O?

Jefremow podał mu rozszyfrowany tekst. Gołowko wziął go, podziękował uprzejmie, jak przystało na człowieka dobrych manier, usiadł w fotelu i zaczął czytać. Nie minęło pięć sekund, kiedy szeroko otworzył oczy.

– To niemożliwe – wyszeptał.

– Może i nie, ale trudno to inaczej wytłumaczyć.

– To ja byłem celem?

– Tak by się mogło wydawać – odpowiedział Prowałow.

– Ale dlaczego?

– Tego nie wiemy – powiedział Jefremow – i prawdopodobnie nikt w Moskwie nie wie.

Jeśli rozkaz został wydany za pośrednictwem wysłannika chińskiego wywiadu, to znaczy, że decyzję podjęto w Pekinie, a człowiek, który ją przekazał dalej, prawdopodobnie nie zna jej powodów. Co więcej, zorganizowano to tak, żeby w razie czego móc się wyprzeć, ponieważ nie potrafimy udowodnić, że ten człowiek jest etatowym pracownikiem wywiadu czy kimś w rodzaju „współpracownika”. Prawdę mówiąc, ich człowieka zidentyfikował dla nas pewien Amerykanin – powiedział oficer FSB.

Gołowko uniósł wzrok. – Jak to się, u diabła, stało?

Prowałow wyjaśnił. – Pracownik chińskiego wywiadu w Moskwie raczej nie będzie się przejmował obecnością Amerykanina, podczas gdy każdy Rosjanin jest dla niego potencjalnym funkcjonariuszem kontrwywiadu. Miszka tam był i zaproponował pomoc; wyraziłem zgodę. Co nasuwa mi pewne pytanie.

– Co powiesz temu Amerykaninowi? – zadał je za niego Gołowko.

Porucznik skinął głową. – Tak, towarzyszu przewodniczący. Ten Amerykanin dużo wie o przebiegu śledztwa; rozmawialiśmy w zaufaniu i podsunął mi wiele pomocnych sugestii. Jest utalentowanym oficerem śledczym. I nie jest głupi. Kiedy spyta, co dzieje się w tej sprawie, co mam mu odpowiedzieć?

Gołowko miał chęć odpowiedzieć bez zastanowienia, żeby nic mu nie mówić, ale powstrzymał się. Gdyby Prowałow nic nie powiedział, Amerykanin musiałby być głupcem, żeby się nie domyślić, że go oszukują, a przecież podobno nie był głupcem. Z drugiej strony, czy w interesie Gołowki, bądź w interesie Rosji leżało, żeby Ameryka wiedziała, że jego życie jest w niebezpieczeństwie? Trudne pytanie. Zastanawiając się nad odpowiedzią, postanowił wezwać swego ochroniarza.

– Tak, towarzyszu przewodniczący? – powiedział major Szelepin, otwierając drzwi.

– Masz jeszcze jeden powód do zmartwień, Anatoliju Iwanowiczu – powiedział mu Gołowko i zaczął wyjaśniać. Już po pierwszym zdaniu Szelepin pobladł.

W Ameryce zaczęło się od związków zawodowych. Te stowarzyszenia ludzi pracy, które utraciły władzę w minionych dziesięcioleciach, stawały się najbardziej konserwatywnymi organizacjami w Ameryce, z tego prostego powodu, że zaczęły być świadome znaczenia tej władzy, jaka im jeszcze pozostała. Żeby ją utrzymać, opierały się wszelkim zmianom, które mogłyby zagrozić choćby najmniejszym prawom ich najskromniejszych członków.

Chiny od dawna były dla ruchu związkowego wrogiem numer 1, z tego prostego powodu, że chiński robotnik zarabiał mniej przez cały dzień niż zrzeszony w związkach amerykański robotnik w fabryce samochodów w czasie porannej przerwy na kawę. Przechylało to szalę na korzyść Azjatów, a z tym centrala związkowa AFL-CIO nie zamierzała się pogodzić.

Tym lepiej więc, że ci, którzy rządzą tamtymi tak źle opłacanymi robotnikami nie przestrzegali praw człowieka. Łatwiej można było przeciw nim występować.

Jeśli czegoś nie można zarzucić amerykańskim związkom zawodowym, to tego, że są źle zorganizowane, więc u wszystkich kongresmanów rozdzwoniły się telefony. Większość z nich odbierał personel biurowy, telefony od wysokich rangą działaczy związkowych ze stanu, bądź okręgu wyborczego danego kongresmana zwykle łączono z samym kongresmanem, bez względu na sympatie polityczne dzwoniącego. A dzwoniący zwracali uwagę na barbarzyńskie poczynania tamtego bezbożnego państwa, które, nawiasem mówiąc, w dupie miało swoich robotników i pozbawiało pracy Amerykanów swymi nieuczciwymi praktykami. W każdej rozmowie telefonicznej podnoszona

była kwestia chińskiej nadwyżki w wymianie handlowej z USA, co mogłoby nasunąć kongresmanom myśl, że jest to dokładnie zaaranżowana kampania telefoniczna, co było prawdą, gdyby porównali między sobą notatki z tych rozmów telefonicznych (czego nie zrobili).

Później tego dnia odbyły się demonstracje i choć były mniej więcej tak samo spontaniczne, jak w Chińskiej Republice Ludowej, zostały zrelacjonowane przez lokalne i/lub ogólnokrajowe media, ponieważ na takie wydarzenia wysyłało się ekipy z kamerami, a dziennikarze też należeli do związków.

Oprócz telefonów i relacji telewizyjnych były jeszcze listy i e-maile; wszystkie zostały policzone i skatalogowane przez asystentów kongresmanów.

Niektórzy kongresmani telefonowali do Białego Domu, żeby powiedzieć prezydentowi, co się dzieje na Kapitolu. Wszystkie takie telefony kierowano do biura Arnie'ego van Damma, którego personel pieczołowicie je rejestrował, odnotowując opinię dzwoniącego i stopień zaangażowania, z reguły dość wysoki.

Do tego wszystkiego doszły jeszcze oświadczenia wspólnot religijnych; Chiny zdołały je obrazić praktycznie wszystkie za jednym zamachem.

Było też jedno nieoczekiwane i bardzo sprytne posunięcie, przy czym nie chodziło o list, czy telefon do kogoś z władz. Wszyscy chińscy producenci na Tajwanie mieli w Ameryce agencje, zajmujące się lobbyngiem i kreacją publicznego wizerunku. Jedna z takich agencji wpadła na pomysł, który natychmiast zrobił furorę. Do południa trzy różne drukarnie produkowały nalepki z flagą Republiki Chińskiej i napisem MY JESTEŚMY CI DOBRZY.

Rano następnego dnia pracownicy sklepów w całej Ameryce naklejali je na artykuły produkcji tajwańskiej. Media dowiedziały się o tym, zanim jeszcze cała akcja ruszyła i przyszły w sukurs przemysłowcom z Republiki Chińskiej, informując opinię publiczną o szykującej się kampanii pod hasłem „To nie my, to oni”.

W rezultacie amerykańska opinia publiczna miała okazję dowiedzieć się, bądź

przypomnieć sobie, że faktycznie są dwa kraje, nazywające się Chinami i że tylko w jednym z nich zabija się duchownych, a potem bije tych, którzy próbują pomodlić się na ulicy. A w tych drugich Chinach była nawet liga baseballowa dla dzieci.

Nieczęsto się zdarzało, żeby przywódcy związkowi i duchowni wołali tak wielkim głosem, a że wołali razem, musiano ich usłyszeć. Organizacje zajmujące się badaniem nastrojów opinii publicznej, dostrzegły okazję i szybko zaczęły formułować swe pytania tak, że odpowiedzi były z góry wiadome, jeszcze zanim ich udzielono.

Linia startu

– Nie wolno wam rozmawiać z nami w taki sposób – oświadczył Shen Tang.

– Panie ministrze, mój kraj ma zasady, od których nie odstępimy. Należy do nich poszanowanie praw człowieka, wolność zgromadzeń, wolność wyznania, wolność słowa.

Władze Chińskiej Republiki Ludowej uznały, że mogą pogwałcić te zasady i stąd reakcja amerykańska. Wszystkie inne wielkie mocarstwa szanują te prawa. Chiny też muszą zacząć je szanować.

– Muszą? Mówicie nam, co musimy zrobić?

– Panie ministrze, jeśli Chiny chcą należeć do międzynarodowej społeczności, to tak.

– Ameryka nie będzie nam niczego dyktować. Nie jesteście panami świata.

– Wcale nie twierdzimy, że jesteśmy. Ale możemy wybierać, z którymi krajami chcemy utrzymywać normalne stosunki i chcielibyśmy, żeby kraje te szanowały prawa człowieka, jak wszystkie cywilizowane państwa.

– Chce pan powiedzieć, że jesteśmy niecywilizowani? – zaprotestował Shen.

– Tego nie powiedziałem, panie ministrze – oświadczył Hitch, żałując, że dał się trochę ponieść.

– Ameryka nie ma prawa narzucać swej woli nam, ani żadnemu innemu krajowi.

Najpierw dyktujecie nam warunki handlowe, a teraz żądacie też, żebyśmy załatwiali nasze sprawy wewnętrzne w sposób, który wam odpowiada. Dostyc tego! Nie będziemy przed wami klękać. Nie jesteśmy waszymi służącymi. Nie przyjmuję tej noty. – Shen odrzucił ją nawet w stronę Hitcha, żeby jeszcze podkreślić wagę swych słów.

– Czy taka jest pańska odpowiedź? – spytał Hitch.

– Taka jest odpowiedź Chińskiej Republiki Ludowej – odpowiedział Shen władczym tonem.

– Doskonale, panie ministrze. Dziękuję za audiencję. – Hitch uklonił się uprzejmie i wyszedł. To niesamowite, pomyślał, jak szybko mogą się zawalić normalne, chociaż niezbyt przyjacielskie stosunki. Zaledwie przed sześcioma tygodniami Shen był w ambasadzie na roboczej kolacji, podczas której wznoszono toasty za oba kraje w atmosferze serdeczności i przyjaźni. Ale, jak to kiedyś powiedział Kissinger, państwa nie mają przyjaciół, tylko interesy. A ChRL olała właśnie jedną z drogich Stanom Zjednoczonych zasad. I już. Wsiadł

do swej limuzyny i kazał się wieźć z powrotem do ambasady.

Cliff Rutledge czekał tam na niego. Hitch zaprosił go gestem do swego gabinetu.

– I co?

– I powiedział mi, że mogę to sobie wsadzić w dupę, oczywiście ujął to bardziej dyplomatycznie – poinformował Hitch. – Może cię dziś czekać burzliwa runda rozmów.

Rutledge zapoznał się już, oczywiście, z treścią noty. – Jestem zaskoczony, że Scott zdecydował się na taką formę...

– Sądzę, że stanowisko Białego Domu trochę się usztywniło. Widzieliśmy CNN i tak dalej, ale może tam wygląda to jeszcze gorzej.

– Słuchaj, nie popieram tego, co zrobili Chińczycy, ale tyle hałasu o zastrzelenie dwóch duchownych...

– Jeden z nich był dyplomatą, Cliff – przypomniał mu Hitch. – Gdyby to tobie odstrzelili dupę, chciałbyś, żeby Waszyngton potraktował to poważnie, prawda?

Ta reprimenda wywołała iskierki gniewu w oczach Rutledge'a. – To prezydent Ryan za tym stoi. On po prostu nie rozumie, jak funkcjonuje dyplomacja.

– Może nie, może tak, ale jest prezydentem, a my mamy go reprezentować, pamiętasz?

– Trudno o tym zapomnieć – warknął Rutledge. Pomyślał, że nigdy nie zostanie zastępcą sekretarza stanu, dopóki ten palant będzie siedział w Białym Domu, a na stanowisko zastępcy sekretarza stanu miał chęć od dobrych piętnastu lat. Ale wiedział też, że nigdy nie dostanie tego stanowiska, jeśli będzie sobie pozwalał, żeby jego osobiste odczucia, choćby jak najbardziej uzasadnione, utrudniały mu profesjonalną ocenę sytuacji. – Albo nas stąd odwołają, albo wyrzucą – powiedział.

– Prawdopodobnie – zgodził się Hitch. – Chętnie bym obejrzał rozgrywki baseballowe.

Jak sobie radzi drużyna Sox w tym sezonie?

– Zapomnij o nich. Cały rok na odbudowę formy. Znowu.

– Szkoda. – Hitch pokręcił głową i spojrzał na biurko, sprawdzając, czy nie ma tam jakichś nowych papierów, ale żadnych nie było. Teraz musiał powiadomić Waszyngton o tym, co powiedział chiński minister spraw zagranicznych. Scott Adler siedział

prawdopodobnie w swym gabinecie na szóstym piętrze, czekając na telefon.

– Powodzenia, Cliff.

– Wielkie dzięki – powiedział Rutledge, wychodząc.

Hitch zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić do żony i powiedzieć jej, żeby zaczęła się już pakować, ale uznał, że jest jeszcze za wcześnie. Najpierw musiał zadzwonić do Departamentu Stanu.

– No i co dalej? – spytał Ryan. Wydał polecenie, żeby zadzwoniono do niego, kiedy tylko będzie coś wiadomo. Teraz, słuchając odpowiedzi Adlera, był zaskoczony. Uważał, że nota była zredagowana dość oględnie, ale najwyraźniej nie docenił reguł rządzących dyplomacją. –

W porządku, Scott, co teraz?

– Cóż, zaczekamy i zobaczymy, co się będzie działo z delegacją handlową, ale jest całkiem prawdopodobne, że odwołamy ich i Carla Hitcha do kraju na konsultacje.

– Czy Chińczycy nie zdają sobie sprawy, jak to może zaszkodzić ich wymianie handlowej?

– Nie spodziewają się tego. Może kiedy to nastąpi, zastanowią się wreszcie nad swoim postępowaniem.

– Nie stawiałbym zbyt wiele na tego konia, Scott.

– Prędzej czy później zdrowy rozsądek musi wziąć górę. Uderzenie kogoś po kieszeni zwykle skłania go do zastanowienia – powiedział sekretarz stanu.

– Uwierzę, kiedy zobaczę – odparł prezydent. – Dobranoc, Scott.

– Dobranoc, Jack.

– Co ten skośnooki skurwysyn sobie wyobraża? – spytał wyprowadzony z równowagi Gant.

– Mark, wręczyliśmy im dziś rano dość ostro sformułowaną notę i po prostu reagują na nią.

– Cliff, wyjaśnij mi, proszę, dlaczego inni mogą z nami rozmawiać w ten sposób, ale nam nie wolno odpowiedzieć w tym samym stylu.

– To się nazywa dyplomacja – wyjaśnił Rutledge.

– To się nazywa pieprzenie w bambus, Cliff – burknął Gant w odpowiedzi. – Tam, skąd pochodzę, kogoś, kto cię tak potraktuje, od razu wali się w pysk.

– Ale my tego nie robimy.

– A dlaczego nie?

– Bo jesteśmy ponad to, Mark – próbował tłumaczyć Rutledge. – Tylko małe pieski obszczekują człowieka. Wielkie, silne psy nie zawracają tym sobie głowy. Wiedzą, że mogą ci urwać głowę. A my wiemy, że w razie potrzeby potrafimy sobie poradzić z tymi ludźmi.

– Ktoś powinien im o tym powiedzieć, Cliff – zauważył Gant. – Bo nie sądzę, żeby zdawali sobie z tego sprawę. Mówią, jakby byli panami świata i wydaje im się, że mogą sobie z nami ostro poczynać. Dopóki się nie dowiedzą, że jednak nie mogą, będziemy mieli z nimi jeszcze mnóstwo kłopotów.

– Mark, po prostu tak się to robi i już. Tak się gra na tym szczeblu.

– Czyżby? – odparł Gant. – Cliff, dla nich to nie jest gra. Ja to widzę, ale ty nie. Kiedy skończy się przerwa i wrócimy na salę, zaczną nam grozić. I co wtedy zrobimy?

– Zlekceważymy to. Czym oni mogą nam grozić?

– Wycofaniem zamówienia na Boeingi.

– Cóż, Boeing będzie musiał w tym roku sprzedawać swoje samoloty komu innemu – powiedział Rutledge.

– Naprawdę? A co z tymi wszystkimi robotnikami, których interesy mamy podobno reprezentować?

– Mark, na tym szczeblu zajmujemy się całościowym obrazem sytuacji, a nie jakimiś wycinkowymi sprawami, rozumiesz? – Rutledge robił się już zły na tego maklera.

– Cliff, na całościowy obraz składa się wiele małych wycinków. Kiedy wrócisz na salę, powinieneś ich spytać, czy zależy im na eksporcie do Ameryki. Jeśli tak, to muszą brać pod uwagę nasze stanowisko. Bo potrzebują nas, kurwa, o wiele bardziej niż my ich.

– Nie rozmawia się w ten sposób z wielkim mocarstwem.

– Czy my jesteśmy wielkim mocarstwem?

– Największym.

– To dlaczego rozmawiają z nami w taki sposób?

– Mark, zostaw to mnie. Jesteś tutaj jako mój doradca, ale uczestniczysz w czymś takim po raz pierwszy. Wiem, jak to należy rozgrywać. Na tym polega moja praca.

– W porządku. – Gant odetchnął głęboko. – Ale jeśli my trzymamy się zasad, a oni nie, sprawa robi się trochę nużąca. – Gant odszedł na chwilę na bok. Ogród był bardzo ładny. Nie miał dość doświadczenia, żeby wiedzieć, że zwykle był jakiś ogród dla dyplomatów, żeby mogli sobie pospacerować po dwóch czy trzech godzinach rozmawiania ze sobą w sali konferencyjnej, ale zdążył się już dowiedzieć, że ten konkretny ogród był miejscem, w którym załatwiała się wiele konkretnych spraw.

– Panie Gant! – Kiedy się odwrócił, zobaczył Xue Ma, tego dyplomatę-szpiega, z którym porozmawiał sobie wcześniej.

– Witam, panie Xue – powitał go Teleskop.

– Jak pan ocenia postęp rozmów? – spytał chiński dyplomata.

Mark usiłował zrozumieć, co właściwie tamten chciał powiedzieć. – Jeśli to jest postęp, to wolałbym nie oglądać czegoś, co nazwałby pan niekorzystnym rozwojem sytuacji.

Xue uśmiechnął się. – Ożywiona wymiana zdań jest zwykle ciekawsza od zwykłej dyskusji.

– Doprawdy? Jestem tym wszystkim zaskoczony. Zawsze sądziłem, że rozmowy dyplomatyczne są bardziej uprzejme.

– Uważa pan, że te są nieuprzejme?

Gant zastanawiał się, czy Xue próbuje go podejść, ale uznał, że właściwie wszystko mu jedno. Tak naprawdę wcale nie potrzebował tego stanowiska w rządzie. A przyjęcie go wymagało od niego znacznych ofiar, prawda? Musiał zrezygnować z paru milionów doków.

Czy nie dawało mu to prawa do mówienia tego, co myślał?

– Xue, oskarżacie nas o kwestionowanie waszej suwerenności, ponieważ sprzeciwiamy się morderstwom, które wasze władze, czy też ich przedstawiciele, popełniły przed kamerami telewizyjnymi. Amerykanie nie lubią, kiedy ktoś popełnia morderstwo.

– Tamci ludzie łamali nasze prawo – przypomniał mu Xue.

– Może i tak – przyznał Gant. – Ale w Ameryce, kiedy ludzie łamią prawo, aresztujemy ich i wytaczamy proces, z sędzią, ławą przysięgłych i obrońcą, żeby mieć pewność, że proces jest uczciwy, i, do ciężkiej cholery, na pewno nie strzelamy w głowę komuś, kto trzyma w ramionach nowonarodzone dziecko!

– Tak, to było niefortunne – przyznał Xue i zabrzmiało to prawie szczerze – ale, jak powiedziałem, ci ludzie łamali nasze prawo.

– Więc wasi milicjanci wystąpili za jednym zamachem w roli sędziego, ławy przysięgłych i kata? Xue, dla Amerykanów było to aktem barbarzyństwa.

Tym razem Xue poczuł się w końcu dotknięty. – Ameryka nie może rozmawiać z Chinami w ten sposób, panie Gant.

– Panie Xue, to wasz kraj i możecie nim rządzić, jak wam się podoba. Nie zamierzamy wypowiadać wam wojny za to, co robicie w granicach swojego kraju. Ale nie ma też żadnego prawa, które

nakazywałoby nam robić z wami interesy, więc możemy przestać kupować wasze towary. I wie pan co? Amerykanie przestaną kupować wasze towary, jeśli nadal będziecie tak postępować.

– Amerykanie, czy raczej rząd amerykański? – spytał Xue z wymownym uśmiechem.

– Naprawdę jest pan taki głupi, panie Xue? – odpalił Gant.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – Gant zorientował się, że tym razem naprawdę mu dopiekł.

– Chcę powiedzieć, że w Ameryce panuje demokracja. Amerykanie podejmują mnóstwo decyzji całkiem samodzielnie, między innymi sami decydują, na co wydać swoje pieniądze i zwykli Amerykanie niczego nie będą kupować od jakichś pieprzonych barbarzyńców. – Gant przerwał na chwilę. – Wie pan, jestem Żydem. Sześćdziesiąt kilka lat temu Ameryka spieprzyła sprawę. Widzieliśmy, co Hitler i jego naziści robili w Niemczech i nie zareagowaliśmy w porę, żeby to powstrzymać. Naprawdę pokpiliśmy sprawę i mnóstwo ludzi niepotrzebnie zginęło. W telewizji pokazują to od czasu, kiedy ja biegałem jeszcze w krótkich spodenkach i może mi pan wierzyć, że dopóki my mamy coś do powiedzenia, to się nigdy nie powtórzy. A kiedy tacy jak wy robią to, co widzieliśmy ostatnio, Amerykanom natychmiast nasuwają się skojarzenia z holokaustem. Teraz pan rozumie?

– Nie możecie z nami rozmawiać w taki sposób.

Znów ta sama zdarta płyta! Otworzono drzwi. Czas na następną rundę konfrontacyjnej dyplomacji.

– A jeśli nie zaprzestaniecie ataków na naszą suwerenność narodową, będziemy kupować od kogoś innego – powiedział mu Xue, nie ukrywając satysfakcji.

– Świetnie. My możemy zrobić to samo. Tylko że nasze pieniądze są wam potrzebne o wiele bardziej niż nam wasze towary, panie Xue. – Patrząc na niego, Gant doszedł do wniosku, że Xue chyba wreszcie coś zrozumiał. Na jego twarzy zaczęły się nawet malować jakieś emocje. Ton jego słów też przestał być beznamiętny: – Nigdy nie ugniemy się przed amerykańskimi napaściami na nasz kraj.

– Nie napadamy waszego kraju, Xue.

– Ale grozicie naszej gospodarce – powiedział Xue, kiedy doszli do drzwi.

– Nikomu i niczemu nie grozimy. Mówię panu, że moi rodacy nie będą kupować towarów, pochodzących z kraju, w którym dokonuje się aktów barbarzyństwa. To nie groźba.

To stwierdzenie faktu. – Gant nie do końca zdawał sobie sprawę, że było to jeszcze większą obrazą.

– Jeśli Ameryka nas ukarze, my ukarzymy Amerykę.

Gant uznał, że tego już za wiele. Odwrócił się w drzwiach i spojrzał w oczy dyplomacie-szpiegowi. – Xue, macie za małe kutasy, żeby wygrać z nami w zawodach sikania na odległość. – Odwrócił się i

wszedł do sali. Pół godziny później znów wychodził. Dyskusja była zażarta i żadna ze stron nie widziała sensu w jej kontynuowaniu tego dnia; Gant podejrzewał zresztą, że kiedy Waszyngton dowie się o przebiegu porannej sesji, ciągu dalszego w ogóle nie będzie.

Pomyślał, że za dwa dni, zmęczony długim lotem, będzie znów w swoim biurze przy 15.

Ulicy. Stwierdził ze zdziwieniem, że już się na to cieszy.

– Co powiedział ten kapitalistyczny *diao ren*? – spytał Zhang. Shen powtórzył, co mu przekazał Xue, słowo w słowo. – A kim on właściwie jest?

– Osobistym doradcą amerykańskiego ministra skarbu. Dlatego też sądzimy, że z jego opinią liczy się zarówno ten minister, jak i ich prezydent – wyjaśnił Shen. – Nie bierze czynnego udziału w negocjacjach, ale po każdej rundzie rozmawia prywatnie z wiceministrem Rutledge’em. Nie mamy pewności, jakie dokładnie łączą ich stosunki. Z

pewnością ten Gant nie jest wytrawnym dyplomata. Mówi jak arogancki kapitalista, obraża nas w tak grubiański sposób, ale obawiam się, że wyraża stanowisko amerykańskie bardziej otwarcie niż Rutledge. Sądzę, że określa politykę, której Rutledge musi się trzymać. Rutledge jest doświadczonym dyplomata i najwyraźniej stanowisko, które przedstawia nie jest jego własnym. Osobiście chciałby pójść na pewne ustępstwa. Jestem tego pewien, ale Waszyngton dyktuje mu, co ma mówić, a ten Gant jest zapewne czymś w rodzaju oficera łącznikowego Waszyngtonu.

– Miałeś więc rację, odraczając rozmowy. Damy im szansę przemyślenia ich stanowiska.

Jeśli sądzą, że mogą nam coś dyktować, to są w błędzie. Wycofałeś to zamówienie na samoloty?

– Oczywiście, tak jak to uzgodniliśmy w zeszłym tygodniu.

– No, to powinno im dać trochę do myślenia – powiedział Zhang, wyraźnie zadowolony z siebie.

– O ile nie zerwą rozmów.

– Nie ośmieliliby się. – Zerwać rozmowy z Państwem Środka? Absurd.

– Ten Gant powiedział jeszcze coś. Powiedział krótko, że my potrzebujemy ich, to znaczy, ich pieniędzy, bardziej niż oni nas. Nie sądzisz, że jest w tym trochę racji?

– Nie potrzebujemy ich dolarów bardziej niż naszej suwerenności. Czy oni naprawdę sądzą, że mogą nam dyktować nasze prawa?

– Tak, Zhang. Przywiązują zdumiewająco wielką wagę do tego incydentu.

– Tych dwóch milicjantów powinno się rozstrzelać za to, co zrobili, ale nie możemy dopuścić, żeby Amerykanie dyktowali nam coś takiego. – Kłopotliwa sytuacja, powstała z powodu tego incydentu, to jedno; postawienie państwa w kłopotliwej sytuacji często było w ChRL traktowane jako najcięższa zbrodnia, ale decyzje w takich sprawach Chiny musiały podejmować same, a nie na rozkaz kogoś z zewnątrz.

– Nazywają to barbarzyństwem – dodał Shen.

– Barbarzyństwem?! Powiedzieli nam coś takiego?

– Wiesz, że Amerykanie są dość wrażliwi. Często o tym zapominamy. A w ich kraju przywódcy religijni mają pewne wpływy. Nasz ambasador w Waszyngtonie ostrzegwał nas o tym parę razy. Byłoby lepiej, gdybyśmy mogli poczekać, aż sytuacja trochę się uspokoi i na pewno lepiej byłoby ukarać tych dwóch milicjantów, żeby ułagodzić wrażliwość Amerykanów, ale zgadzam się, że nie możemy pozwolić, żeby nam dyktowali naszą politykę wewnętrzną.

– A ten Gant mówi, że ich *ji* jest większy od naszego, tak?

– Tak mi to przekazał Xue. Z naszych informacji wynika, że to makler i że ściśle współpracował z ministrem Winstonem przez wiele lat. Jest Żydem, jak wielu innych w Amery...

– Ich minister spraw zagranicznych też jest Żydem, prawda?

– Minister Adler? Tak – potwierdził Shen po chwili zastanowienia.

– A więc to ten Gant faktycznie przekazuje nam ich stanowisko, tak?

– Prawdopodobnie – powiedział minister Shen.

Zhang wychylił się w jego stronę. – Wobec tego ty jasno przedstawisz im nasze stanowisko. Kiedy ponownie zobaczysz się z tym Gantem, powiesz mu *chou ni ma de bi*. –

Była to naprawdę wielka obelga; w Chinach najlepiej było mówić komuś te słowa, trzymając pistolet w garści.

– Rozumiem – odparł Shen, wiedząc, że nigdy nie powiedziałby czegoś takiego, chyba że do kogoś z najbardziej pokornych podwładnych.

Zhang wyszedł. Musiał to wszystko omówić ze swym przyjacielem Fangiem.

Rozdział 34

Trafienia

Przez ostatni tydzień Ryan nauczył się oczekiwać złych wiadomości zaraz po przebudzeniu i udzieliło się to także jego najbliższemu. Zorientował się, że przesadził, kiedy dzieci zaczęły go o to pytać przy śniadaniu.

– Co się dzieje z tymi Chinami, tato? – spytała Sally.

Ryan pomyślał z żalem, że córka nie mówi już do niego „tatusiu” i że był to tytuł, który cenił sobie o wiele bardziej niż „pana prezydenta”. Synowie szybko zaczynają mówić „tato” i tak być powinno, ale nie córka. Rozmawiał o tym z Cathy, ale powiedziała mu, żeby się z tym pogodził.

– Nie wiemy, Sally.

– Ale przecież ty podobno wiesz wszystko! – Nie dodała, że w szkole pytały ją o to koleżanki.

– Sally, prezydent nie wie wszystkiego. A przynajmniej ja nie wiem – wyjaśnił, spoglądając znad „Porannego Ptaszka”. – A jeśli jeszcze nie zauważyłaś, to zwróć uwagę, że telewizory w moim gabinecie są nastawione na CNN i inne stacje informacyjne, ponieważ często dowiaduję się stamtąd więcej niż od CIA.

– Naprawdę? – spytała Sally z niedowierzaniem. Oglądała za dużo filmów. W świecie Hollywood CIA była niebezpieczną, łamiącą prawo, antydemokratyczną, faszystowską i na wskroś złą agencją rządową, która jednak wiedziała wszystko o wszystkich i w rzeczywistości zabiła prezydenta Kennedy’ego dla swoich celów, obojętnie jakie by one były (tego w Hollywood jakoś nigdy nie wyjaśniono). Ale nie miało to znaczenia, bo główny bohater zawsze potrafił popsuć szyki starej, paskudnej CIA, zanim wyświetlił się napis KONIEC.

– Naprawdę, kochanie. W CIA jest paru dobrych ludzi, a poza tym, to tylko jedna z wielu agencji rządowych.

– A co z FBI i Tajną Służbą? – spytała.

– To milicjanci. Policjanci są inni. Twój dziadek był policjantem, pamiętasz?

– Ach, tak – powiedziała i wróciła do działu Styl w „Washington Post”, gdzie były zarówno komiksy, jak i interesujące ją artykuły, głównie dotyczące tego rodzaju muzyki, która dla jej ojca była muzyką w cudzysłowie.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi i do środka weszła Andrea. O tej porze pełniła również obowiązki prywatnej sekretarki – tym razem przyniosła raport z Departamentu Stanu.

Ryan wziął go, rzucił okiem i tylko obecność dzieci powstrzymała go przed walnięciem pięścią w stół.

– Dziękuję, Andrea – powiedział.

– Proszę bardzo, panie prezydencie. – Agentka specjalna Price-O’Day wyszła na korytarz.

Jack spostrzegł, że żona mu się przygląda. Dzieci nie wszystko potrafiły wyczytać z jego twarzy, ale Cathy... Potrafiłaby go przyłapać na najmniejszym kłamstewku i może dlatego nie martwiła się, czy jest jej wierny. Umiejętność ukrywania uczuć Jack miał opanowaną na poziomie dwulatka, chociaż Arnie tak nad nim pracował. Widząc spojrzenie żony, Jack skinął

głową. Tak, znów Chiny. Dziesięć minut później śniadanie było zjedzone, telewizor wyłączony i rodzina Ryanów zeszła po schodach, żeby udać się do pracy, do szkoły, czy do świetlicy w szpitalu Hopkinsa, w zależności od wieku, w niezbędnym towarzystwie ochroniarzy z Tajnej Służby. Jack ucałował najbliższych po kolei, z wyjątkiem małego Jacka, bo junior był już oczywiście za duży na takie babskie sentymenty. Idąc do Gabinetu Owalnego Ryan pomyślał, że nie tak źle jest mieć córki. Ben Goodley już tam czekał.

– Dostałeś to z Departamentu Stanu? – spytał Szuler.

– Tak, Andrea mi przyniosła. – Ryan opadł na obrotowy fotel, sięgnął po słuchawkę i wybrał jeden z numerów, zapisanych w pamięci aparatu.

– Dzień dobry, Jack – powitał go sekretarz stanu, który tej nocy zdołał się ledwie trochę przespać na rozkładanej kanapie w swoim gabinecie. Na szczęście w jego prywatnej łazience był prysznic.

– Zgoda. Ściągnij ich wszystkich z powrotem – powiedział Miecznik.

– Kto to ogłosi? – spytał Adler.

– Ty. My spróbujemy traktować sprawę powściągliwie – powiedział prezydent.

Zabrzmiało to trochę żałośnie.

– W porządku – potwierdził Adler. – Coś jeszcze?

– Na razie to wszystko. Cześć, Scott. – Ryan odłożył słuchawkę. – Co z Chinami? – spytał Goodleya. – Dzieje się tam coś niezwykłego?

– Nie. Obserwujemy pewną aktywność wojskową, ale to tylko rutynowe ćwiczenia.

Najbardziej aktywni są w sektorach na północnym wschodzie i naprzeciwko Tajwanu.

Słabsza aktywność na ich południowym zachodzie, na północ od Indii.

– Czy Chińczycy nie spoglądają na północ, zazdroszcząc Rosjanom tego całego złota i ropy?

– Żadne z naszych źródeł niczego takiego nie sygnalizuje. – W końcu każdy zazdrości bogatym sąsiadom. To dlatego Saddam Husajn napadł na Kuwejt, mimo wielkich zasobów ropy u siebie.

„Żadne z naszych źródeł” dotyczy również operacji SORGE, pomyślał Ryan. Zastanawiał się nad tym przez chwilę. – Powiedz Edowi, że chcę SIW o Rosji i Chinach.

– Zaraz? – spytał Goodley. Przygotowanie takiej Specjalnej Informacji Wywiadowczej mogło zająć kilka miesięcy.

– Trzy, cztery tygodnie. I ma to być naprawdę rzetelna analiza.

– Więc ambasador Hitch i podsekretarz stanu Rutledge wracają do Waszyngtonu na konsultacje – powiedział zebranym rzecznik.

– Czy to oznacza zerwanie stosunków z Chinami? – spytał natychmiast któryś z reporterów.

– W żadnym wypadku. Jak powiedziałem, chodzi o konsultacje. Omówimy najnowsze wydarzenia z naszymi przedstawicielami, aby nasze stosunki z Chinami można było szybko przywrócić do należytego stanu – odpowiedział gładko rzecznik.

Reporterzy nie bardzo wiedzieli, co z tym począć, więc natychmiast padły jeszcze trzy praktycznie takie same pytania, na które udzielone zostały praktycznie identyczne odpowiedzi.

– Dobry jest – powiedział Ryan przed telewizorem, na którym miał podgląd transmisji CNN i innych sieci. Telewizje nie nadawały relacji z tej konferencji na żywo, co było dość dziwne, biorąc pod uwagę znaczenie przekazanych na niej informacji.

– Nie dość dobry – uznał Arnie van Damm. – Będziesz miał z tym problemy.

– Tak myślałem. Kiedy?

– Kiedy tylko dopadną cię z kamerą, Jack.

Prezydent wiedział, że ma mniej więcej takie szansę uniknięcia kamer, jak gwiazdy futbolu. Biały Dom był po prostu bez przerwy pod ostrzałem kamer.

– Chryste, Oleg! – Reilly’ego trudno było wyprowadzić z równowagi, ale tym razem granica jego wytrzymałości została przekroczona. – Mówisz poważnie?

– Raczej tak, Miszka – odpowiedział Prowałow.

– A dlaczego w ogóle mi to mówisz? – spytał Amerykanin. – Takie informacje stanowią tajemnicę

państwową, podobnie jak prywatne przemyslenia prezydenta Gruszawoja.

– Nie dałoby się tego przed tobą ukryć. Zakładam, że informujesz Waszyngton o wszystkim, co robimy tu wspólnie. To ty zidentyfikowałeś tego chińskiego dyplomatę, za co ja i mój kraj jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

Zabawne było to, że Reilly zaangażował się w śledzenie tego Suworowa-Koniewa bez zastanowienia, tak po prostu, jak policjant, pragnący pomóc koledze. Dopiero potem, chwilę potem, ale jednak, pomyślał o implikacjach politycznych. Rozważał oczywiście i tę możliwość, ale tylko teoretycznie, nie bardzo wierząc, że coś takiego mogłoby się wydarzyć naprawdę.

– Cóż, muszę oczywiście informować Biuro o tym, co tutaj robię – przyznał attaché prawny, nie wyjawiając zresztą żadnej wstrząsającej tajemnicy.

– Wiem, Misza.

– Chińczycy chcieli rozwalić Gołowkę – szepnął Reilly, unosząc kieliszek z wódką. – O

kurwa! Ale wy, oczywiście, cały czas obserwujecie tego Suworowa?

– My i Federalna Służba Bezpieczeństwa – potwierdził Prowałow.

– Dobrzy są?

– Bardzo dobrzy – przyznał porucznik milicji. – Jeśli Suworow pierdnie, będziemy wiedzieli, co jadł na śniadanie.

Prywatny numer Murraya mieli najróżniejsi ludzie z dostępem do STU, więc kiedy rozległ się charakterystyczny świergotliwy sygnał, po prostu podniósł słuchawkę i przez trzydzieści sekund słuchał trzasków i szumów, aż wreszcie mechaniczny głos obwieścił, że

„linia jest bezpieczna”.

– Murray – powiedział.

– Reilly z Moskwy.

Dyrektor FBI spojrział na zegar, stojący na biurku. W Moskwie było już cholernie późno.

– Co się stało, Mike? – spytał. Po trzech minutach był już poinformowany.

– Tak, Ellen? – powiedział Ryan, kiedy rozległ się brzęczyk interkomu.

– Prokurator generalny i dyrektor FBI proszą o spotkanie. Mówią, że to coś ważnego. Ma pan trochę czasu za czterdzieści minut.

– W porządku. – Ryan nawet nie próbował się domyślać, o co chodzi. I tak się niedługo dowie. Kiedy sobie uzmysłowił, co przed chwilą pomyślał, jeszcze raz przeklął tę swoją prezydenturę. Stał się rutyniarzem. Na tym stanowisku?

– Co tam się dzieje, do diabła? – zawołał Ed Foley.

– Wygląda na to, że informacje są wiarygodne – powiedział Murray dyrektorowi CIA.

– Co jeszcze wiesz?

– Faks dopiero co przyszedł, tylko dwie strony i w zasadzie wszystko ci już powiedziałem, ale prześlę ci go. Kazałem Reillyemu zadeklarować pełną gotowość do współpracy. Masz coś do dodania ze swojej strony? – spytał Dan.

– Nic mi nie przychodzi do głowy, Dan. Dla nas to coś zupełnie nowego. Pogratuluj ode mnie temu Reillyemu. – W sprawach informacji Foley był jak dziwka, gotów brać od każdego.

– Dobry chłopak. Jego ojciec też był dobrym agentem. – Murray był zbyt rozsądny, żeby się przechwalać, a poza tym, Foley nie zasługiwał na to, żeby się nad nim znęcać. W zasadzie takie sprawy nie należały do zakresu zainteresowań CIA i trudno było oczekiwać, żeby zorientowali się w czymś takim podczas którejs z swoich operacji.

Rozdział 35

Sensacyjne doniesienia

– Cholera – zaklął cicho Ryan, spojrzawszy na faks z Moskwy, który podał mu Murray. –

Jasna cholera! – dodał po chwili zastanowienia. – Czy to prawda?

– Tak przypuszczamy, Jack – potwierdził dyrektor FBI. Znali się z Ryanem od ponad dziesięciu lat i mówili sobie po imieniu. – Nasz chłopak, Reilly, jest ekspertem od spraw przestępczości zorganizowanej, właśnie dlatego tam go wysłaliśmy, ale ma też doświadczenie w zakresie kontrwywiadu, też się tym zajmował w Nowym Jorku. Jest naprawdę dobry, Jack

– zapewnił prezydenta Murray. – Bywa w wielu miejscach. Nawiązał bardzo dobre robocze stosunki z miejscowymi glinami, pomógł im w paru śledztwach, podobnie jak robimy to z naszymi lokalnymi policjantami.

– I co?

– I te informacje wyglądają na absolutnie pewne. Ktoś próbował dokonać zamachu na Siergieja Nikołajewicza i wygląda na to, że stoi za tym któraś z agend rządu chińskiego.

Prezydent spojrział znad faksu. – Czytam tu, że to ten wasz Reilly ujawnił powiązania z Chińczykami...

– Czytaj dalej – powiedział Murray. – Był tam podczas jakiejś inwigilacji, niejako na ochotnika i... bingo.

– Ale czy to możliwe, żeby Chińczycy byli aż tak szaleni... – Ryan zawiesił głos. – Czy aby na pewno nie jest tak, że Rosjanie chcą nam namieszać w głowach? – spytał.

– Po co mieliby to robić? – odpowiedział Martin pytaniem na pytanie. – Jeśli jest jakiś powód, to ja go nie widzę.

Jego nowa przepustka była zupełnie inna niż tamta z czasów SDI i szedł teraz do innego biura w Pentagonie. Ta część budynku należała do Marynarki. Można to było poznać po granatowych mundurach i poważnym wyrazie twarzy mijanych ludzi. Przedstawiciele każdego z rodzajów wojsk odznaczali się odrębną mentalnością. W Armii wszyscy byli z Georgii. W Siłach Powietrznych – wszyscy z południowej Kalifornii. W Marynarce wszyscy zdawali się być Jankesami i tak właśnie było w biurze programu Aegis.

Gregory długo rozmawiał tego ranka z dwoma wyższymi oficerami, którzy sprawiali wrażenie dość bystrych, chociaż obaj wcale nie ukrywali, że ponad wszystko chcieliby znów mieć pod stopami okrętowy pokład, tak jak oficerowie wojsk lądowych zawsze chcieli wracać na poligon, gdzie można

było sobie zabłocić buty i mundur; tam byli ich żołnierze, a każdy przyzwoity oficer chce być ze swoimi żołnierzami. Gregory pomyślał, że marynarzy pożera pewnie tęsknota za słoną wodą i prawdopodobnie za lepszym jedzeniem niż to, które podawano w kantynach na lądzie.

Rozmowa z tymi dwoma marynarzami dała mu potwierdzenie wielu rzeczy, o których już wiedział. System przeciwlotniczy Aegis został opracowany, żeby bronić amerykańskie lotniskowce przed rosyjskimi samolotami i raketowymi pociskami manewrującymi. Miał

doskonały radar z fazowanym układem antenowym zwany SPY i nienajgorsze rakiety ziemia-powietrze, nazywane pierwotnie Standardowymi Pociskami Raketowymi. Pewnie dlatego, pomyślał George, że Marynarka nie miała wtedy innych rakiet. Prace nad Standardowym Pociskiem Raketowym doprowadziły do stworzenia wersji SM-2, a właściwie SM-2MR, ponieważ był to pocisk raketowy średniego zasięgu, a nie wersja LR o przedłużonym zasięgu, mająca dodatkowy silnik startowy, zapewniający wystrzelenie pocisku z wyrzutni okrętowej nieco szybciej i dalej. W magazynach Floty Atlantyku i Floty Pacyfiku było około dwustu takich pocisków w wersji ER, ale pociski te nigdy nie weszły do produkcji seryjnej, ponieważ ktoś uznał, że mogłyby naruszać postanowienia traktatu z 1972 roku o ograniczeniu systemów obrony przeciwraketowej. Traktat ten został jednak zawarty z nieistniejącym już państwem, które nazywało się Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich. Ale po wojnie w Zatoce Perskiej z 1991 roku Marynarka USA zaczęła badać możliwość wykorzystania Standardowego Pocisku Raketowego i wykorzystującego tę raketę systemu Aegis do zwalczania rakiet, takich jak irackie Scudy, na obszarze działań wojennych. Podczas tamtej wojny okręty wyposażone w system Aegis rozmieszczono nawet w portach Arabii Saudyjskiej i innych państw nad Zatoką Perską jako obronę przed raketami balistycznymi, ale nie doszło wówczas do ani jednego takiego ataku raketowego, więc system nie został

przetestowany w warunkach bojowych. Okręty z systemem Aegis wysyłano więc co jakiś czas w rejon atolu Kwajalein, gdzie ich potencjał obrony raketowej testowano na makietach rakiet balistycznych, w większości wypadków skutecznie. Ale Gregory zorientował się, że to nie to samo. Nadlatująca na cel międzykontynentalna raketa balistyczna osiągała prędkość maksymalną około dwudziestu siedmiu tysięcy kilometrów na godzinę – ponad siedem i pół

tysiąca metrów na sekundę – czyli prawie dziesięciokrotnie większą od prędkości kuli karabinowej.

Mogło się to wydawać dość dziwne, ale był to zarówno problem sprzętu, jak i oprogramowania. Raketę SM-2ER Block IV rzeczywiście zaprojektowano do zwalczania balistycznych pocisków raketowych, do tego stopnia, że wyposażono ją w system naprowadzania działający na podczerwień. Teoretycznie rzecz biorąc, nadlatującą raketę balistyczną można było ukryć przed radarem, ale wszystko, co leci w atmosferze z prędkością ponad 15 machów musi się rozgrzać do temperatury topnienia stali. Widział głowice bojowe rakiet Minuteman, nadlatujące na Kwajalein z bazy Sił Powietrznych Vanderberg w Kalifornii; były jak sztuczne meteory, widoczne nawet w świetle dziennym, kiedy pędziły pod kątem około trzydziestu stopni, zwalniając, ale nie tak, żeby można było zauważyć gołym okiem, w miarę, jak atmosfera stawała się gęstsza, Sztuka polegała na tym, żeby je trafić, a właściwie trafić tak mocno, żeby je zniszczyć. Nowsze modele były nawet łatwiejsze do zniszczenia niż starsze. Pierwotnie wykonywano je z metalu, niektóre nawet z brązu berylowego, który był bardzo wytrzymały. Nowe modele, lżejsze, dzięki czemu mogły przenosić większe głowice bojowe, były wykonane z tego samego materiału co płytki poszycia promów kosmicznych. Ten

materiał w dotyku niewiele różnił się od styropianu i był

niewiele wytrzymałszy; jego zadaniem było zapewnienie izolacji cieplnej i to tylko jedynie przez parę sekund. Zdarzały się uszkodzenia promów kosmicznych, kiedy Boeing 747, służący do ich transportu, przelatywał przez strefę ulewnego deszczu. Niektórzy specjaliści od międzykontynentalnych pocisków balistycznych nazywali wielkie krople deszczu

„hydrometeorami”, z uwagi na szkody, jakie mogły wyrządzić nadlatującej na cel rakiecie.

Zdarzało się nawet, choć rzadko, że kiedy rakietka przelatywała przez strefę burzową, małe kulki gradu uszkadzały ją do tego stopnia, że zagrożone stawało się prawidłowe funkcjonowanie głowicy atomowej.

Taki cel było równie łatwo zniszczyć jak samolot; zestrzeliwanie samolotów jest dość proste i przypomina strzelanie do rzutków. Trzeba tylko trafić.

Samo doprowadzenie rakiety przechwytyjącej w pobliże celu nie było jeszcze gwarancją sukcesu. Głowica bojowa rakiety przeciwlotniczej różni się nieco od pocisku karabinowego.

Ładunek wybuchowy niszczy metalową obudowę, rozrywając ją na ostre odłamki i nadając im prędkość początkową około półtora tysiąca metrów na sekundę. Zwykle wystarcza to aż nadto, żeby przebić aluminiowe poszycie płatów nośnych i usterzenia samolotu, i zmienić go w obiekt balistyczny, który ma nie większą zdolność latania niż żelazko.

Ale warunkiem trafienia jest eksplozja głowicy w takiej odległości od celu, żeby stożek, utworzony z lecących odłamków przeciął przestrzeń, w której znajduje się cel. W wypadku samolotu nie jest to trudne, ale w wypadku głowicy raketowej, poruszającej się z większą prędkością niż te odłamki – wręcz przeciwnie, co tłumaczy kłopoty rakiet systemu Patriot w konfrontacji ze Scudami w 1991 roku.

Urządzenie informujące głowicę pocisku przeciwlotniczego gdzie i kiedy eksplodować, nazywa się potocznie „zapalnikiem”. W najnowocześniejszych rakietach jest to mały niskoenergetyczny laser, który wykonuje ruch rotacyjny, to znaczy obraca się tak, aby jego wiązka omiatała stożkową przestrzeń przed głowicą. Wiązka, która natrafi na cel, zostaje odbita, co rejestruje odbiornik układu laserowego i wygenerowany zostaje sygnał, informujący głowicę, żeby eksplodowała. Choć dzieje się to w okamgnieniu, potrzeba na to jednak pewnej skończonej ilości czasu, a rakietka nadlatuje bardzo szybko. Tak szybko, że jeśli wiązka lasera ma zasięg nie większy niż, powiedzmy, sto metrów, odbita wiązka, powracająca do laserowego zapalnika nie zdąży zdetonować głowicy na czas, tak, żeby stożek śmiertelnych odłamków uformował się i trafił w cel. Nawet jeśli nadlatująca rakietka znajduje się tuż obok eksplodującej głowicy, to leci z większą prędkością niż odłamki, które nic jej nie mogą zrobić, bo nie są w stanie jej dogonić.

Gregory zorientował się, że właśnie na tym polega problem. Laser w stożkowej części Standardowego Pocisku Rakietowego nie miał zbyt dużej mocy, a prędkość rotacji była stosunkowo niewielka, co w sumie dawało nadlatującej rakiecie mniej więcej pięćdziesiąt procent szans uniknięcia trafienia, nawet jeśli pocisk przeciwlotniczy zbliżył się do celu na trzy metry. Niedobrze.

Pewnie lepsze usługi oddałby tu stary zapalnik zbliżeniowy z czasów drugiej wojny światowej, w którym wykorzystano bezkierunkowy emiter fal radiowych zamiast nowoczesnego lasera arsenkowo-galowego. Ale można było coś zrobić. Rotację wiązki laserowej kontrolował program komputerowy, podobnie jak sygnał, powodujący eksplozję głowicy. Mógł trochę popracować nad tym oprogramowaniem. Musiał w tym celu porozmawiać z ludźmi, którzy produkowali do celów doświadczalnych niewielką liczbę SM-2ER Block IV, czyli z facetami z firmy Standard Missile Company – joint venture z udziałem Raytheona i Hughesa – w McLean w stanie Wirginia. Uznał, że będzie najlepiej, jeśli zaanonsuje go Tony Bretano. Dlaczego by nie powiadomić ich, że ich gość jest namaszczony przez Boga?

Amerykańska delegacja handlowa właśnie wsiadała do samolotu. Odprowadził ich niski rangą urzędnik konsularny, z którego plastikowych warg wydobywały się plastikowe słowa, puszczone przez Amerykanów mimo plastikowych uszu. Kiedy zajęli miejsca, samolot Sił

Powietrznych USA natychmiast zaczął kołować na pas startowy.

– No i jak ocenilibyś tę przygodę, Cliff? – spytał Mark Gant.

– Mówi ci coś słowo „katastrofa”? – odpowiedział Rutledge pytaniem na pytanie.

Rozdział 36

SORGE donosi

Prezydent Ryan obudził się przed szóstą rano. Ludzie z Tajnej Służby zalecali, żeby rolety w sypialni były opuszczone, ale Ryan nie chciał spać w trumnie, choćby i przestronnej, więc kiedy budził się czasem na chwilę, na przykład o 3.53 nad ranem, chciał coś widzieć za oknem, nawet jeśli miałyby to być tylko tylne światła policyjnego wozu patrolowego, czy jakiejś samotnej taksówki. Wyrzwał przez okno i ocenił, że dochodzi szósta. Uwijali się już roznosiciele mleka i gazet. Listonosze pracowali w sortowniach, a gdzie indziej ludzie, którzy przepracowali całą noc, zbierali się wreszcie do domu. Dotyczyło to mnóstwa osób tu, w Białym Domu: ochroniarzy z Tajnej Służby, służących, pracowników, których Ryan znał

tylko z widzenia, ale nie z nazwiska i trochę się wstydził z tego powodu. W końcu byli to jego ludzie i powinien coś o nich wiedzieć, móc się do nich zwrócić po imieniu... ale po prostu było ich tu zbyt wielu, żeby zdołał zapamiętać ich wszystkich. I jeszcze ludzie w mundurach, w Biurze Wojskowym Białego Domu, które było jakby dopełnieniem Biura Łączności.

Prawdę mówiąc, istniała cała armia mężczyzn i kobiet, których jedynym zadaniem było słuzenie Johnowi Patrickowi Ryanowi, a za jego pośrednictwem – całemu krajowi, a przynajmniej tak głosiła teoria. Ryan tylko machnął ręką i wyrzwał przez okno. Zaczynało się już rozwidniać. Latarnie uliczne gasły w miarę, jak ich czujniki fotoelektryczne informowały, że wstaje świt. Jack sięgnął po stary szlafrok, jeszcze z czasów Akademii Marynarki, wsunął

stopy w kapcie... dostał je dopiero niedawno; w domu po prostu chodził boso, ale nie wypadało przecież, żeby prezydent paradował tak przed swoim wojskiem... i po cichu wyszedł na korytarz.

Pomyślał, że musi tu być gdzieś zainstalowany podsłuch, albo czujnik ruchu, bo jeszcze nigdy nie udało mu się wyjść na korytarz na górze tak, żeby go nie zauważono. Wszystkie głowy zawsze zdawały się być zwrócone w jego kierunku i natychmiast rozpoczynały się poranny wyścig, który wygrywał ten, kto powitał go jako pierwszy.

Tym razem zwycięzcą został jeden ze starszych stopniem agentów Tajnej Służby, szef nocnej zmiany. Andrea Price-O'Day była jeszcze w domu w Marylandzie, prawdopodobnie już ubrana i gotowa do wyjścia... ci ludzie naprawdę mają parszywe godziny pracy, pomyślał

Jack. Do Waszyngtonu Andrea miała godzinę drogi samochodem. Przy odrobinie szczęścia wróci do domu... kiedy? Późnym wieczorem? Zależało to od jego rozkładu zajęć na ten dzień, a w tej chwili nie mógł sobie przypomnieć, co go dziś czeka.

– Kawy, szefie? – spytał jeden z młodszych agentów.

– Jasne, Charlie. – Ryan ziewnął i poszedł za nim do dyżurki Tajnej Służby na tym piętrze; była to ciasna klitka z telewizorem, termosem z kawą, którą zapewne donosił personel kuchenny i tacą z kanapkami, żeby ludzie mogli jakoś przetrwać noc.

– O której przyszedłeś na służbę? – spytał prezydent.

– O jedenastej, sir – odpowiedział Charlie Malone.

– Nudna służba?

– Nie taka zła. Lepiej tutaj niż gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc.

– Racja – zgodził się Joe Hilton, drugi z młodych agentów na nocnej zmianie.

– Założę się, że grałeś w futbol – powiedział Jack.

Hilton skinął głową. – W obronie, sir, Uniwersytet Stanowy na Florydzie. Ale byłem za mały na zawodowstwo.

Tylko około stu kilogramów wagi, bez grama tłuszczu, pomyślał Jack. Agent specjalny Hilton był uosobieniem tężyzny fizycznej.

– Baseball jest lepszy. Dobrze się zarabia, gra się przez piętnaście lat, może dłużej, no i człowiek nie traci zdrowia.

– Cóż, może zainteresuję tą grą syna – powiedział Hilton.

– W jakim jest wieku? – spytał Ryan, przypominając sobie, że Hilton został ojcem całkiem niedawno. Jego żona była chyba prawnikiem w Departamencie Sprawiedliwości.

– Trzy miesiące. Przesypia już całe noce, panie prezydencie. Miło, że pan spytał.

Chciałbym, żeby się do mnie zwracali po imieniu. Przecież nie jestem Bogiem, pomyślał

Jack. Ale było to mniej więcej równie prawdopodobne, jak to, że on zwróciłby się do swojego dowódcy, generała, per Bobby-Ray w czasach, kiedy był podporucznikiem Johnem P.

Ryanem w Korpusie Piechoty Morskiej.

– Wydarzyło się dziś w nocy coś interesującego?

– Sir, w CNN pokazano odlot naszych dyplomatów z Pekinu, ale niewiele tego było, tylko startujący samolot.

– Myślę, że wysłali tam kamerę tylko na wszelki wypadek, w nadziei, że może samolot wyleci w powietrze; wiecie, to tak jak z tym śmigłowcem, który tu po mnie przylatuje. – Ryan napił się kawy. Ci młodzi agenci Tajnej Służby pewnie czuli się trochę nieswojo, kiedy sam

„SzeF”, jak go nazywali, przyszedł tu i rozmawiał z nimi, jakby był zwyczajnym człowiekiem.

Cóż, nic na to nie poradzę, pomyślał Jack.

– Cześć, tato – powiedziała Sally wchodząc i od razu, bez pytania, przełączyła telewizor na MTV. Jack pomyślał, że to już kawał czasu od tamtego słonecznego popołudnia w Londynie, kiedy został ranny. Córka mówiła wtedy do niego „tatusiu”.

W Pekinie, komputer na biurku Ming, który spędził dokładnie określony czas w stanie uśpienia, „obudził się” automatycznie, zakręcił twardym dyskiem i przystąpił do swej codziennej rutyny. Nie włączając monitora przeanalizował katalog z dokumentami tekstowymi, wybrał wszystkie nowe pliki, skompresował je i uaktywnił wewnętrzny modem, żeby wysłać je w sieć. Wszystko to zajęło zaledwie siedemnaście sekund, po czym komputer znów przeszedł w stan uśpienia. Dane, które wysłał, pomknęły z Pekinu liniami telefonicznymi i szybko dotarły do miejsca przeznaczenia, którym był pewien serwer w Wisconsin. Tam czekały na sygnał, który je wywoła. Następnie w pamięci i na dysku serwera miały zostać zatarte wszelkie ślady, mogące wskazywać, że te dane w ogóle istniały.

Podczas gdy Waszyngton się budził, Pekin szykował się do snu, a w Moskwie było popołudnie. Ziemia obracała się w odwiecznym cyklu dnia i nocy, nieświadoma, co się na niej działo.

– No i? – spytał generał Diggs swego podwładnego.

– Cóż, sir – powiedział pułkownik Giusti – sądzę, że ten szwadron kawalerii jest w całkiem dobrej formie. – Podobnie jak Diggs, Angelo Giusti był współczesnym kawalerzystą.

Jego zadaniem, jako dowódcy szwadronu kawalerii Pierwszej Pancerniej (faktycznie był to batalion, ale kawalerzyści woleli własną terminologię) było poruszanie się przed dywizją, lokalizowanie pozycji wroga i rozpoznawanie terenu. Jego batalion był oczami Pierwszej Pancerniej, dysponując zarazem taką siłą ognia, że potrafił się sam o siebie zatroszczyć. Jako weteran wojny w Zatoce, Giusti zdążył nawęchać się prochu. Wiedział, co do niego należy i uważał, że wyszkolił swych żołnierzy najlepiej, jak na to pozwalały warunki w Niemczech.

Prawdę mówiąc, wolał swobodę, jaką dawały symulatory, od zatłoczonych poligonów w Ośrodku Szkoleniowym Manewrów Bojowych, mającym zaledwie siedemdziesiąt pięć kilometrów kwadratowych powierzchni. Oczywiście to nie to samo, co wyruszenie wozami bojowymi w teren, ale przynajmniej nie byli ograniczeni w czasie i przestrzeni, a globalny system SIMNET umożliwiał stawianie czoła pełnemu batalionowi wroga, czy nawet brygadzie, jeśli żołnierze mieli się trochę spocić podczas takich ćwiczeń. Z wyjątkiem niepowtarzalnych wrażeń, jakim dostarcza jazda Abramsem (niektórzy czołgiści dostawali od tego choroby lokomocyjnej), symulator zapewniał niezrównane możliwości treningu w skomplikowanych taktycznie sytuacjach. Lepiej było tylko w Narodowym Ośrodku Szkoleniowym w Fort Irwin na kalifornijskiej pustyni i w podobnym obiekcie, który Armia zorganizowała Izraelczykom na pustyni Negew.

– No, Angelo, sądzę, że twoi żołnierze zasłużyli sobie na parę piw w miejscowych *Gasthausach*. Ten manewr okrążający, który przeprowadziliście o drugiej dwadzieścia był

bardzo sprytny.

Giusti uśmiechnął się i pokiwał głową. – Dziękuję, panie generale. Przekażę pańską opinię mojemu S-3. To on wpadł na ten pomysł.

– Zobaczymy się później, Angelo.

– Tak jest, sir. – Podpułkownik Giusti zasalutował odjeżdżającemu dowódcy dywizji.

– Co sądzisz, Duke?

Pułkownik Masterman wyjął cygaro z kieszeni polowego munduru i zapalił. Zaletą pobytu w Niemczech było to, że zawsze można tu było dostać doskonałe kubańskie cygara. –

Znam Angelo jeszcze z Fort Knox. Zna się na swojej robocie, a swoich oficerów wyszkolił szczególnie dobrze. Wydał nawet książkę, poświęconą zagadnieniom taktyki i szkolenia.

– O? – Diggs był nieco zdziwiony. – Coś, co warto przeczytać?

– Całkiem niezła rzecz – odpowiedział G-3. – Nie jestem pewien, czy zgadzam się ze wszystkim, co pisze, ale jest tam sporo niegłupich koncepcji. Wszyscy jego oficerowie też tak sądzą. Angelo jest jak dobry trener drużyny piłkarskiej. Nie ulega kwestii, że tej nocy solidnie dał Hunom w dupę. – Masterman przyknął oczy i potarł dłońmi po twarzy. – Te nocne ćwiczenia są trochę męczące.

– Jak sobie radzi Lisle?

– Kiedy sprawdzałem po raz ostatni, trzymał Niemców w garści. Nasi przyjaciele nie bardzo wiedzieli, jakimi siłami ich otoczył. Biegali w kółko, próbując zdobyć jakieś informacje. Krótko mówiąc: Giusti okazał się lepszy w sprawach zwiadu i, jak zawsze, miało to decydujące znaczenie.

Ryan przeszedł korytarzem z Sali Roosevelta do Gabinetu Owalnego, gdzie był już rozstawiony sprzęt telewizyjny. Reporterzy wstali, kiedy wszedł, tak jak wstawały dzieci w szkole Św. Mateusza, kiedy do klasy wchodził ksiądz. Ale uczniowie z trzeciej klasy zadawali łatwiejsze pytania. Jack usiadł w obrotowym fotelu z elastycznym oparciem.

Kennedy tak robił i Arnie wymyślił, że Jack też powinien. Człowiek, który podświadomie kołysze się na krześle sprawia swobodne wrażenie – tak przynajmniej twierdzili wszyscy eksperci od PR. Jack o tym nie wiedział, a gdyby wiedział, od razu wyrzuciłby ten fotel za okno. Arnie wiedział i załatwił sprawę, mówiąc mu po prostu, że dobrze się w tym fotelu prezentuje oraz zapewniając sobie poparcie Cathy Ryan. Fotel był zresztą naprawdę wygodny i tylko dlatego Ryan dał się Arnie'emu namówić, żeby z niego korzystał.

– Możemy zaczynać? – spytał Jack. Kiedy prezydent zadawał takie pytanie, z reguły znaczyło to: „Bierzmy się, kurwa, do roboty!”. Ale Ryan sądził, że to zupełnie zwyczajne pytanie.

Krystin Matthews reprezentował NBC. Byli też reporterzy z ABC i Fox, a przedstawicielem prasy był dziennikarz „Chicago Tribune”. Ryan polubił te bardziej kameralne konferencje prasowe, a media zaakceptowały taką formułę, ponieważ reporterów wyznaczano losowo, co było uczciwe, a wszyscy mieli dostęp do treści pytań i odpowiedzi. Z

perspektywy Ryana dobre było również to, że w Gabinetcie Owalnym reporterzy byli najczęściej mniej agresywni niż w gwarnej sali prasowej, gdzie zwykle łączyli się w grupy i przyjmowali mentalność tłumu.

– Panie prezydencie – rozpoczął Krystin Matthews – odwołał pan z Pekinu naszą delegację handlową i ambasadora. Dlaczego było to konieczne?

Ryan zakołysał się w fotelu. – Krystin, wszyscy widzieliśmy te wydarzenia w Pekinie, które tak poruszyły sumienie świata, zamordowanie kardynała i pastora, a potem poturbowanie, żeby użyć łagodnego określenia, wdowy po pastorze i członków jego parafii.

Powtórzył w skrócie to, co mówił na poprzedniej konferencji prasowej, eksponując obojętność władz chińskich na to, co się stało.

– Nasuwa się tylko jeden wniosek: rząd chiński obojętnie podchodzi do tego, co zaszło.

Cóż, nam nie jest to obojętne. Narodowi amerykańskiemu nie jest to obojętne. Tej administracji nie jest to obojętne. Nie można zabić człowieka ot tak, jakby się zabijało muchę.

Zwróciliśmy się w tej sprawie do władz chińskich. Odpowiedź, jaką otrzymaliśmy była niezadowolająca, więc odwołałem naszego ambasadora na konsultacje.

– A sprawa negocjacji handlowych, panie prezydencie? – wtrącił dziennikarz „Chicago Tribune”.

– Takiemu państwu jak Stany Zjednoczone trudno jest robić interesy z krajem, który nie uznaje praw człowieka. Sami mogliście się przekonać, co o tym myślą nasi obywatele. Myślę, że uważają te morderstwa za coś odrażającego, tak jak ja i, mam nadzieję, tak jak wy.

– Więc nie będzie pan rekomendował Kongresowi normalizacji stosunków handlowych z Chinami?

Ryan pokręcił głową. – Nie, nie będę, a nawet, gdybym to zrobił, Kongres postąpiłby słusznie, odrzucając taką rekomendację.

– A kiedy mógłby pan zmienić stanowisko w tej kwestii?

– Kiedy Chiny dołączą do grona krajów cywilizowanych i zaczną uznawać prawa zwykłych ludzi, jak robią to wszystkie inne wielkie kraje.

– Więc mówi pan, że dzisiejsze Chiny nie są krajem cywilizowanym?

Ryan poczuł się, jakby go ktoś zdzielił w twarz zdechłą rybą, ale uśmiechnął się tylko i odpowiedział: – Zabijanie dyplomatów nie jest cywilizowanym aktem, prawda?

– A co o tym sądzą Chińczycy? – spytał facet z Fox.

– Nie potrafię czytać w ich myślach. Wzywam ich natomiast do naprawienia zła, albo przynajmniej do liczenia się z uczuciami i przekonaniem reszty świata i zastanowienia się pod tym kątem nad swymi niefortunnymi działaniami.

– A co z handlem? – zgłosiła się telewizja ABC.

– Jeśli Chiny chcą normalizacji stosunków handlowych ze Stanami Zjednoczonymi, będą musiały otworzyć dla nas swoje rynki. Jak wiadomo, mamy Ustawę o Reformie Handlu. Ta ustawa pozwala nam wiernie kopiować przepisy i praktyki handlowe innych krajów, więc na każdą użytą przeciw nam taktykę w sprawach handlu możemy odpowiedzieć, stosując dokładnie taką samą taktykę. Jutro zlecę Departamentowi Stanu i Departamentowi Handlu powołanie grupy roboczej w celu zastosowania Ustawy o Reformie Handlu wobec Chińskiej Republiki Ludowej – ogłosił prezydent Ryan i była to wiadomość dnia, w dodatku sensacyjna.

– Chryste, Jack – jęknął sekretarz skarbu w swym gabinecie po przeciwnej stronie ulicy.

Oglądał transmisję na żywo z Gabinetu Owalnego. Sięgnął po słuchawkę i nacisnął klawisz. –

Przygotuj mi kompleksową informację o sytuacji płatniczej Chin – powiedział jednemu ze swych podwładnych w Nowym Jorku. W tym momencie zadzwonił drugi telefon.

– Sekretarz stanu na trójce – powiedziała sekretarka przez interkom. Sekretarz skarbu skrzywił się i podniósł słuchawkę.

– Tak, Scott, też to widziałem.

– No i jak poszło, Juriju Andriejewiczu? – spytał Clark. Zorganizowanie zawodów zajęło ponad tydzień, głównie dlatego, że generał Kirilin postanowił spędzić trochę czasu na strzelnicy, żeby popracować nad techniką. Teraz wpadł jak burza do baru w klubie oficerskim. Był wściekły jak osa.

– Kto to jest? Mafijny zabójca?!

Chavez parsknął śmiechem. – Generale, Falcone trafił do nas, bo włoska policja chciała, żeby znalazł się poza zasięgiem mafii. Wtrącił się w jakieś mafijne porachunki i miejscowy boss zaczął rozgłaszać, że dopadnie jego i jego rodzinę. Ile od pana wygrał?

- Pięćdziesiąt euro – warknął Kirilin.
- Był pan bardzo pewny siebie, co? – spytał Clark. – Sam przez to przeszedłem.
- Witamy w klubie – dodał Chavez ze śmiechem. Strata pięćdziesięciu euro z pewnością musiała zboleć nawet kogoś, kto pobierał wynagrodzenie rosyjskiego generała.
- Różnicą trzech punktów, na pięćset. Ja zdobyłem czterysta dziewięćdziesiąt trzy!
- Ettore wystrzelał tylko czterysta dziewięćdziesiąt sześć? – spytał Clark. – Jezu, chłopak się opuszcza. – Podsunął kieliszek rosyjskiemu generałowi.
- Pije tu więcej niż zwykle – powiedział Chavez.
- Tak, to musi być to. – Clark skinął głową. Ale Rosjanina wcale to nie śmieszyło.
- Falcone nie jest człowiekiem – ogłosił Kirilin, wypiwszy swoją pierwszą wódkę.
- To fakt, mógłby napędzić strachu Dzikemu Billowi. A wie pan, co jest w tym najgorsze?
- Co takiego, Iwanie Siergiejewiczu?
- Że jest przy tym taki skromny, jakby takie umiejętności strzeleckie były, kurwa, czymś zupełnie normalnym. Co za precyzja! Jezu, Sam Snead⁷⁹ nigdy nie osiągnął takiej perfekcji!
- Generale – powiedział Domingo po drugiej wódcie tego wieczoru. Picie było jednym z rosyjskich zwyczajów, które cudzoziemcy zwykle szybko przyjmowali, kiedy znaleźli się w tym kraju. – Każdy człowiek w moim zespole jest strzelcem wyborowym, to znaczy, reprezentuje poziom kwalifikujący go niemal do olimpijskiej reprezentacji strzeleckiej swojego kraju. Ptaszysko pokonał nas wszystkich, a może mi pan wierzyć, że żaden z nas nie lubi przegrywać, tak samo jak pan. Ale muszę panu powiedzieć, że cholernie się cieszę, mając go w swojej ekipie. – W tym momencie w drzwiach pojawił się Falcone. – Hej, Ettore, chodź tu do nas!
- Wysoki Ettore górował nad malutkim Chavezem, a mimo to wyglądał jak któraś z postaci na obrazie El Greco. – Generale – zwrócił się do Kirilina. – Strzela pan wyjątkowo dobrze.
- Ale nie tak dobrze jak pan, Falcone – odparł Rosjanin.
- Włoski gliniarz wzruszył ramionami.
- Miałem dobry dzień.
- Jasne – mruknął Clark, podając Falcone kieliszek.

– Zasmakowała mi ta wódka – powiedział Włoch, opróżniwszy kieliszek jednym haustem.

– Co ty powiesz, Ettore? – roześmiał się Chavez. – Generał doniósł nam, że aż cztery razy nie trafiłeś w sam środek tarczy.

– Chcecie powiedzieć, że osiągał już lepsze wyniki? – spytał Kirilin z niedowierzaniem.

– Zgadza się – odpowiedział Clark. – Sam widziałem, jak trzy tygodnie temu zdobył maksimum. Pięćset punktów na pięćset możliwych.

– To był naprawdę dobry dzień – zgodził się Falcone. – Byłem wtedy wyspany i nie miałem kaca.

Clark parsknął śmiechem i rozejrzał się dookoła. W tym momencie do baru wszedł jakiś Rosjanin w mundurze z dystynkcjami majora, też rozejrzał się po sali, zobaczył Kirilina i ruszył w jego stronę.

– O cholera, wojak jak z plakatu werbunkowego – powiedział Chavez. – Kto to jest? – zapytał Ding.

– Towarzyszu generale – powiedział tamten na powitanie.

– Anatoliju Iwanowiczu – odparł Kirilin. – Jak się mają sprawy w Centrali?

Oficer zwrócił się do Clarka. – Pan John Clark?

– Tak, to ja – potwierdził Amerykanin. – A kim pan jest?

– To major Anatolij Szelepin – odpowiedział Kirilin. – Jest szefem ochrony osobistej Siergieja Gołowki.

79 Sam Snead, ur. 1912, słynny zawodowy gracz w golfa, znany ze szczególnie precyzyjnych uderzeń (przyp.

tłum.)

– Znamy pańskiego szefa. – Ding wyciągnął rękę na powitanie. – Miło mi. Jestem Domingo Chavez.

Wymieniono uściski dłoni.

– Czy moglibyśmy porozmawiać w jakimś spokojniejszym miejscu? – spytał Szelepin.

Czterej mężczyźni przenieśli się do niszy w kącie sali. Falcone pozostał przy barze.

– Siergiej Nikołajewicz was przysłał? – spytał rosyjski generał.

– Jeszcze nic nie wiecie – odpowiedział major Szelepin. Powiedział to takim tonem, że pozostali spojrzeli na niego z uwagą. Mówił po rosyjsku; Clark i Chavez rozumieli go bez trudu. – Chcę, żeby moi ludzie trenowali z wami.

– Czego nie wiemy? – spytał Kirilin.

– Wiemy już, kto próbował zabić przewodniczącego – powiedział Szelepin.

– Och, więc to na niego był ten zamach? A ja sądziłem, że chodziło o tego alfonsa – powiedział Kirilin.

– Powiecie nam, o co tu chodzi? – spytał Clark.

– Kilka dni temu doszło do próby zamachu na placu Dzierżyńskiego – odpowiedział

Szelepin i wyjaśnił pokrótce, jak to wtedy wyglądało. – Ale teraz wygląda na to, że zamachowcy pomylili cel.

– Ktoś chciał sprzątnąć Gołowkę? – odezwał się Domingo. – O cholera!

– Kto to był?

– Człowiek, który to zaaranżował, to były funkcjonariusz KGB o nazwisku Suworow; przynajmniej tak przypuszczamy. Posłużył się dwoma byłymi żołnierzami Specnazu. Obu potem zamordowano, pewnie po to, żeby zatrzeć ślady, albo przynajmniej, żeby uniemożliwić im wygadanie się przed kimkolwiek. – Szelepin nie powiedział nic więcej na ten temat. – Tak czy inaczej, słyszeliśmy wiele dobrego o waszej Tęczy i chcielibyśmy, żebyście pomogli przeszkolić moich ochroniarzy.

– Nie mam nic przeciwko temu, pod warunkiem, że Waszyngton się zgodzi – powiedział

Clark, patrząc Szelepinowi prosto w oczy. Major wydawał się bardzo poważny, ale niezbyt zadowolony z obrotu spraw.

Rozdział 37

Reperkusje

Nie było żadnego komitetu powitalnego, kiedy VC-137 wylądował w bazie Sił

Powietrznych Andrews. Nie było tu terminalu z prawdziwego zdarzenia, ani prowadzących do niego rękawów, więc pasażerowie zeszli z pokładu po schodkach, które podjechały do maszyny. Na płycie czekały już samochody, mające ich zabrać do Waszyngtonu. Marka Ganta przejęli dwaj agenci Tajnej Służby i natychmiast zawieźli go do gmachu Departamentu Skarbu, naprzeciwko Białego Domu. Jeszcze nie zdążył się przyzwyczać do ziemi pod nogami, a już siedział w gabinecie sekretarza.

– Jak było? – spytał George Winston.

– Na pewno interesująco – powiedział Gant, próbując ogarnąć rozumem fakt, że jego ciało nie miało w tej chwili pojęcia, gdzie się w tej chwili znajduje. – Myślałem, że będę mógł

pojechać do domu i porządnie się wyspać.

– Ryan wprowadza wobec Chin Ustawę o Reformie Handlu.

– O? No cóż, w końcu można się tego było spodziewać, prawda?

– Spójrz na to – polecił sekretarz skarbu, podając mu komputerowy wydruk. Był to raport o bilansie płatniczym Chińskiej Republiki Ludowej.

– Na ile te informacje są wiarygodne? – spytał Teleskop Kupca.

Raport tylko z nazwy nie był analizą wywiadowczą. Pracownicy Departamentu Skarbu rutynowo monitorowali międzynarodowe transakcje finansowe, żeby móc określić aktualną pozycję dolara i innych walut, stanowiących przedmiot obrotu międzynarodowego. Dotyczyło to także chińskiego juana, któremu ostatnio nie wiodło się najlepiej.

– Aż tak z nimi źle? – spytał Gant. – Przypuszczałem, że zaczyna im brakować gotówki, ale nie wiedziałem, że sytuacja jest tak dramatyczna...

– Dla mnie też było to zaskoczeniem – przyznał sekretarz skarbu. – Wydaje się, że kupują ostatnio mnóstwo rzeczy na rynku międzynarodowym, zwłaszcza silniki odrzutowe z Francji, a ponieważ spóźniają się z zapłatą za ostatnią partię, francuska firma postanowiła potraktować ich trochę ostrzej; może sobie na to pozwolić, bo Chińczycy nie mają wyboru. Naszym firmom, takim jak General Electric, czy Pratt & Whitney nie pozwoliliśmy na udział w tym przetargu, a Brytyjczycy wydali podobny zakaz Rolls-Royce'owi. Francuzi nie mają więc w tym wypadku konkurencji i pewnie wcale się z tego powodu nie martwią. Podnieśli cenę o około piętnastu procent i żądają gotówki z góry.

– Juan poleci na łeb – ocenił Gant. – Próbują to ukryć, tak?

– Tak i to dość skutecznie.

– To dlatego byli tacy twardzi w sprawie umowy handlowej z nami. Wiedzą, co się święci, więc zależało im na czymś, co mogłoby ich uratować. Ale nie rozegrali tego inteligentnie. Cholera, jak się ma tego rodzaju problemy, trzeba się nauczyć trochę pokory.

– Też tak myślałem. Jak sądzisz, co nimi powoduje?

– Są dumni, George. Bardzo, bardzo dumni. Jak arystokratyczna rodzina, która straciła wszystkie pieniądze, ale zachowała pozycję towarzyską i próbuje ją wykorzystać, żeby się wydobyć z opresji. Ale to się nie może udać. Prędzej czy później ludzie dowiedzą się, że Chińczycy nie płacą rachunków, a wtedy cały świat natychmiast rzuci im się do gardła.

Można to trochę odwlec i warto to zrobić, jeśli ma się coś w perspektywie, ale jeśli statek nie zdoła dotrzeć do portu, załoga utonie. – Gant przerzucił kilka kartek raportu. Innym problemem jest to, pomyślał, że krajami rządzą politycy, ludzie, którzy tak naprawdę nie rozumieją, co to pieniądź, którym wydaje się, że zawsze zdołają się jakoś wydobyć z opresji.

Są tak przyzwyczajeni do stawiania na swoim, że w ogóle nie przychodzi im do głowy, że nie zawsze musi tak być. Pracując w Waszyngtonie Gant doszedł do wniosku, że w polityce iluzja była mniej więcej tak samo ważna jak w kinematografii, co może wyjaśniało wzajemną sympatię obu tych środowisk. Ale nawet w Hollywood trzeba było płacić rachunki i wykazać się zyskami. Natomiast politycy zawsze mieli możliwość wyemitowania obligacji skarbu państwa do zbilansowania budżetu, a poza tym, to oni drukowali pieniądze. Nikt nie oczekiwał od rządu wykazania się rentownością, a radą nadzorczą byli wyborcy, ludzie, których politycy oszukiwali bez mrugnięcia powieką. Czyste szaleństwo, pomyślał Gant, ale cóż, taka już jest polityka.

I prawdopodobnie taką właśnie politykę prowadzą przywódcy ChRL, domyślił się Mark.

Ale prędzej czy później rzeczywistość podnosiła swój paskudny łeb. Cały ich świat zaczynał się walić i znajdowali się w sytuacji bez wyjścia. W tym wypadku zawalić mogła się gospodarka chińska, i to nieomal z dnia na dzień.

– George, sądzę, że trzeba to pokazać Departamentowi Stanu i CIA, a także prezydentowi.

– Boże! – Prezydent siedział w Gabinetce Owalnym, paląc papierosa Virginia Slims pani Sumter i oglądając telewizję. Tym razem był to kanał C-SPAN. Członkowie Izby Reprezentantów dyskutowali o Chinach. Treść przemówień nie była pochlebna w stosunku do Państwa Środka, a ton zdecydowanie podburzający. Wszyscy opowiadali się za rezolucją potępiającą Chińską Republikę Ludową. C-SPAN 2 transmitował mniej więcej taką samą debatę w Senacie. Język był tam trochę łagodniejszy, ale nie pomniejszało to wagi wypowiedzianych słów. Związki zawodowe zjednoczyły się z kościołami, liberałowie z konserwatystami, nawet zwolennicy wolnego handlu z protekcjonistami.

W CNN i w programach innych sieci telewizyjnych pokazywano demonstracje uliczne i wydawało

się, że tajwańska kampania pod hasłem „My jesteśmy ci dobrzy” zaczęła się rozwijać na dobre. Ktoś (nie udało się ustalić, kto) wydrukował nawet naklejki z flagą komunistycznych Chin i napisem ZABIJAMY DZIECI I PASTORÓW. Umieszczano je na wyrobach importowanych z Chin, a uczestnicy protestu nie szczędzili też wysiłków, publicznie wymieniając amerykańskie firmy, które robiły mnóstwo interesów w Chinach kontynentalnych; było to wyraźne przygotowanie do bojkotu.

Ryan odwrócił głowę. – Powiedz coś, Arnie.

– Poważnie to wygląda, Jack – powiedział van Damm.

– Tyle to sam widzę. Jak poważnie?

– Na tyle poważnie, że wyzbyłbym się akcji tych amerykańskich firm. Muszą spaść. Co więcej, ten protest może potrwać...

– Tak sądzisz?

– Myślę, że nie skończy się to tak szybko. Następne będą plakaty ze zdjęciami, przedstawiającymi scenę zabójstwa tych dwóch duchownych. Takie obrazy głęboko zapadają w pamięć. Jeśli tylko jakiś produkt, który sprzedają tutaj Chińczycy, będzie można kupić gdzie indziej, mnóstwo Amerykanów zacznie kupować gdzie indziej.

W CNN zaczęto relacjonować na żywo demonstrację przed ambasadą ChRL w Waszyngtonie. MORDERCY, ZABÓJCY, BARBARZYŃCY – głośiły napisy na transparentach.

– Zastanawiam się, czy Tajwan pomaga to organizować...

– Prawdopodobnie nie, a przynajmniej jeszcze nie – myślał na głos van Damm. – Na ich miejscu nie miałbym oczywiście nic przeciwko temu, ale nie widziałbym potrzeby brania w tym udziału. Prawdopodobnie będą dokładać jeszcze większych starań, żeby odróżnić się od tych z kontynentu, więc wyjdzie na to samo. Tylko patrzeć, jak sieci telewizyjne zaczną pokazywać materiały o Republice Chińskiej i o tym, jakie panuje tam zdenerwowanie całym tym gównem w Pekinie, jak Tajwan nie chce, żeby go utożsamiać z komunistycznymi Chinami i tak dalej – powiedział szef kancelarii Białego Domu. – Wiesz, coś w tym stylu:

„Tak, jesteśmy Chińczykami, ale my szanujemy prawa człowieka i wolność wyznania”.

Sprytne posunięcie. Mają tu, w Waszyngtonie, paru dobrych doradców od kształtowania wizerunku publicznego. Do licha, pewnie paru znam nawet osobiście, a gdyby mi za to płacono, doradziłbym właśnie coś takiego.

W tym momencie zadzwonił telefon. Była to prywatna linia Ryana, przez którą można się było z nim połączyć bez pośrednictwa sekretarek. Jack podniósł słuchawkę. – Tak?

– Jack? Tu George z naprzeciwka. Masz chwilę czasu? Chciałbym ci coś pokazać.

– Jasne, przychodź. – Jack odłożył słuchawkę i zwrócił się do Arnie’ego. – Sekretarz skarbu – wyjaśnił. – Mówi, że ma coś ważnego. – Prezydent zamyślił się przez chwilę. –

Arnie?

– Tak?

– Jakie mam w tej sprawie pole do manewru?

– Chodzi ci o Chiny? – spytał Arnie.

Odpowiedzią było skinienie głową.

– Niezbyt wielkie, Jack. Czasem to naród decyduje o naszej polityce. I ludzie będą teraz prowadzili politykę, głosując swymi pieniędzmi. Następnie niektóre firmy ogłoszą, że zawieszają realizację kontraktów handlowych z ChRL. Chińczycy powiedzieli nam już, że możemy sobie wsadzić w dupę kontrakt z Boeingiem i zrobili to publicznie, co nie było zbyt mądre. Teraz nasi będą chcieli im za to dokopać. Wiesz, zdarza się czasem, że zwykły Amerykanin staje na tylnych łapach jak niedźwiedź i mówi całemu światu, żeby go pocałować w dupę. W takich chwilach twoje zadanie polega głównie na tym, żeby iść z narodem, a nie żeby mu przewodzić – zakończył swój wywód szef kancelarii. W

nomenklaturze Tajnej Służby nosił przydomek Cieśla i zbudował właśnie swemu prezydentowi ogrodzenie, poza które nie należało wychodzić.

Jack skinął głową i zdusił niedopałek. Może i był Najpotężniejszym Człowiekiem na Świecie, ale jego władza pochodziła od narodu, który mu ją powierzał, a czasem sam brał w swoje ręce.

Niewielu ludzi mogło tak po prostu otworzyć drzwi do Gabinetu Ovalnego i wejść do środka, ale George Winston był jednym z nich, głównie dlatego, że to jemu podlegała Tajna Służba. Był z nim Mark Gant, który wyglądał tak, jakby właśnie przebiegł trasę maratonu, ścigany przez kilka dziesiątków uzbrojonych i wściekłymi marines.

– Cześć, Jack.

– Cześć George. Mark, fatalnie wyglądasz – powiedział Ryan. – Racja, przecież dopiero co przyleciałeś, tak?

– Jesteśmy teraz w Waszyngtonie, czy w Szanghaju? – Gant uśmiechnął się blado.

– Przyszliśmy tunelem. Jezu, widziałeś te demonstracje? Wiesz co, oni chyba chcą, żebyś kazał zrzucić na Pekin bombę atomową – powiedział sekretarz skarbu. W odpowiedzi prezydent tylko wskazał ręką rząd odbiorników telewizyjnych.

– Ale dlaczego demonstrują tutaj, przed Białym Domem? Przecież jestem po ich stronie...

a przynajmniej tak mi się wydaje. No, dobrze, co was sprowadza?

– Posłuchaj – powiedział Winston i skinął głową Gantowi.

– Panie prezydencie, to jest raport na temat bilansu płatniczego ChRL. Monitorujemy światowe rynki walutowe, żeby mieć pewność, jak stoi dolar... co oznacza, że orientujemy się w sytuacji praktycznie wszystkich walut.

– Jasne. – Ryan wiedział o tym, przynajmniej z grubsza. Nie zajmował się tym specjalnie, bo dolar trzymał się mocno, więc nie musiał sobie zawracać głowy. – No i?

– No i Chińczycy są po uszy w gównie, bo brakuje im pieniędzy – poinformował Gant. –

Może to dlatego byli tacy nieustępliwi w tych negocjacjach handlowych. Jeśli tak, to obrali złą taktykę. Żądali, zamiast prosić.

Ryan spojrział na kolumny cyfr. – Cholera, na co oni wydają tyle pieniędzy?

– Kupują sprzęt wojskowy. Głównie we Francji i w Rosji, ale kupili też całkiem sporo w Izraelu. – Mało kto wiedział, że ChRL wydała znaczną sumę pieniędzy w Izraelu, głównie na zakup amerykańskiego sprzętu wojskowego, produkowanego w tym kraju na licencji amerykańskiej przez państwowy koncern Izraelski Przemysł Obronny. Był to sprzęt, którego Chińczycy nie mogliby kupić bezpośrednio w Ameryce, m.in. armaty do swoich czołgów i rakiety powietrze-powietrze dla swoich myśliwców. Ameryka od lat przymykała oko na te transakcje. Robiąc te interesy z Chinami, Izrael odwrócił się plecami do Tajwanu, mimo że oba te kraje produkowały swą broń nuklearną w ramach joint venture, kiedy jeszcze trzymały się razem – wspólnie z Afryką Południową – jako pariasi, nie mający żadnych przyjaciół w tej konkretnej dziedzinie. W eleganckim towarzystwie nazywano to *Realpolitik*, gdzie indziej nazywano to zrobieniem kogoś w konia.

– I co? – spytał Ryan.

– I wydali w ten sposób całą swoją nadwyżkę w wymianie handlowej z zagranicą –

zameldował Gant. – Dosłownie całą, głównie na transakcje z krótkimi terminami płatności, chociaż było i trochę długoterminowych, a także na długoterminowe kontrakty, z racji swej natury wymagające zapłacenia z góry. Producenci żądają gotówki, żeby uruchomić produkcję, bo mało kto chciałby zostać z niesprzedanymi pięcioma tysiącami armat czołgowych –

wyjaśnił Gant. – Popyt na takie artykuły jest dość ograniczony.

– I co?

– I Chinom praktycznie skończyła się gotówka, a jest im naprawdę pilnie potrzebna, na przykład na ropę naftową – ciągnął Teleskop. – Per saldo Chiny są importerem ropy.

Wydobycie z krajowych złóż w żadnym wypadku nie wystarcza na pokrycie zapotrzebowania, nawet jeśli nie jest ono aż tak wielkie. Niezbyt wielu Chińczyków posiada samochody. Mają w tej chwili

dość pieniędzy, żeby kupić ropę na trzy miesiące, ale na tym koniec. A tymczasem międzynarodowy rynek naftowy żąda terminowych płatności. Mogą zwlekać przez miesiąc, może przez sześć tygodni, ale potem tankowce zawrócą na środku oceanu i popłyną gdzie indziej... sam pan wie, że to możliwe... a wtedy ChRL znajdzie się naprawdę w opałach. Zabraknie ropy i wszystko w kraju zacznie stawać, łącznie z wojskiem, które zużywa jej najwięcej. Przez ostatnie parę lat zużycie ropy w armii chińskiej było większe niż zwykle, z powodu nasilenia ćwiczeń, szkoleń i tak dalej. Prawdopodobnie mają jakieś rezerwy strategiczne, ale nie wiemy, jak duże. Ale rezerwy też mogą się wyczerpać.

Spodziewaliśmy się, że ruszą na wyspy Spratly. Jest tam ropa i Pekin mówi o niej od dobrych dziesięciu lat, ale Filipiny i inne kraje też zgłaszają swoje roszczenia, i Manila oczekuje zapewne, że Stany Zjednoczone ze względów historycznych opowiedzą się po jej stronie. Nie mówiąc już o tym, że nasza Siódma Flota ma najwięcej do powiedzenia w tamtej części świata.

– Tak. – Ryan pokiwał głową. – Gdyby doszło do konfrontacji, poparlibyśmy Filipiny, których roszczenia do wysp wydają się najbardziej uzasadnione. Poza tym, przelewaliśmy kiedyś razem krew, a to też się liczy. Mów dalej.

– No więc Chińczykom brakuje ropy naftowej i być może nie mają pieniędzy, żeby ją sobie kupić, zwłaszcza, jeśli zawali się handel chińsko-amerykański. Potrzeba im naszych dolarów. Ich juan i tak jest dość słaby. W handlu międzynarodowym płaci się w dolarach, a, jak już powiedziałem, wydali je już prawie wszystkie.

– Co to konkretnie znaczy?

– ChRL jest bliska bankructwa. Przekonają się o tym mniej więcej za miesiąc i będzie to dla nich wielkim szokiem.

– A kiedy my się o tym dowiedzieliśmy?

– Zamówiłem ten raport dziś rano – powiedział sekretarz skarbu – a potem poprosiłem Marka, żeby mu się przyjrzał. Jest naszym najlepszym specjalistą od analiz ekonomicznych, nawet wykończony długim lotem.

– Więc możemy to wykorzystać, żeby wyrzucić na nich presję?

– To jedna z opcji.

– A jeśli te demonstracje się nie skończą?

Gant i Winston równocześnie wzruszyli ramionami. – To już psychologiczny składnik tego równania – powiedział Winston. – Do pewnego stopnia potrafimy przewidzieć, co się stanie na Wall Street... w ten sposób zarobiłem większość moich pieniędzy. Ale psychoanaliza całego kraju przekracza moje możliwości. To twoja robota, stary. Ja po prostu prowadzę ci biuro rachunkowe naprzeciwko.

– Potrzeba mi czegoś więcej, George.

Jeszcze jedno wzruszenie ramion. – Jeśli Amerykanie rozpoczną bojkot chińskich towarów i amerykańskie firmy, które robią tam interesy, zaczną zwijać żagle...

– Co jest cholernie prawdopodobne – wtrącił Gant. – Mnóstwo menedżerów musi teraz robić w portki.

– Cóż, jeśli tak się stanie, będzie to dla Chińczyków naprawdę bolesny cios – zakończył

Kupiec.

Ciekawe, jak na to zareagują, zastanawiał się Ryan. Nacisnął klawisz interkomu. – Ellen, wiesz, czego mi potrzeba. – W jednej chwili sekretarka zjawiła się w gabinecie i podała mu papierosa. Ryan zapalił i podziękował jej uśmiechem, i skinieniem głowy.

– Rozmawiałaś już o tym z sekretarzem stanu?

Przeczący ruch głową. – Nie, chciałem, żebyś najpierw ty to zobaczył.

– Hm. Mark, co sądzisz o tych negocjacjach?

– Chińczycy to banda najbardziej aroganckich sukinsynów, jakich kiedykolwiek widziałem. Spotkałem już w życiu najróżniejszych ważniaków, lepszych i gorszych, ale nawet ci najgorsi nabierali lepszych manier, wiedząc, że potrzebne im są moje pieniądze.

Kiedy facet ściąga spust, powinien uważać, żeby sobie nie odstrzelić kutasa.

Ryan roześmiał się, a Arnie skrzywił. Nie powinno się używać takiego języka w obecności prezydenta Stanów Zjednoczonych, ale ci ludzie wiedzieli, że mogą sobie na to pozwolić w obecności Patricka Ryana.

– Tak na marginesie, podobało mi się to, co powiedziałaś tamtemu chińskiemu dyplomacie.

– Co takiego, sir?

– Że mają za krótkie kutasy, żeby się z nami mierzyć w sikaniu na odległość. Niezłe sformułowanie, chociaż nie bardzo dyplomatyczne.

– Skąd pan o tym wie? – spytał Gant, wyraźnie zaskoczony. – Nikomu o tym nie mówiłem, nawet temu palantowi Rutledgeowi.

– Och, mamy swoje sposoby – odparł Jack, zdając sobie sprawę, że wypaplał właśnie coś z operacji SORGE. Cholera!

– To coś w stylu rozmów w Nowojorskim Klubie Sportowym – zauważył sekretarz skarbu. – Chociaż lepiej tak nie mówić do kogoś, kto stoi za blisko.

– Ale co prawda, to prawda. Przynajmniej w kategoriach monetarnych. A więc mamy jakąś broń, którą możemy im przystawić do skroni?

– Tak, sir, mamy – odpowiedział Gant. – Może minąć jeszcze miesiąc, zanim się zorientują, ale nie dadzą rady uciec.

– W porządku. Poinformujcie o tym Departament Stanu i CIA. Aha, i powiedzcie CIA, że z takimi rzeczami powinni najpierw przychodzić do mnie. Analizy wywiadowcze, to ich zadanie.

– Mają departament ekonomiczny, ale wcale nie tak dobry – powiedział Gant pozostałym.

– Nic dziwnego. Specjaliści w tej dziedzinie pracują na Wall Street, albo zajmują się działalnością naukową. W Harvard Business School można zarobić więcej niż w służbie publicznej.

– A talent idzie tam, gdzie są pieniądze – zgodził się Jack. Młodszy partnerzy w średniej kancelarii adwokackiej zarabiali więcej niż prezydent, co w niektórych wypadkach mogło tłumaczyć, dlaczego tacy, a nie inni ludzie zasiadali w Białym Domu. Służba publiczna wymagała poświęceń. Tak było w jego wypadku; Ryan udowodnił, że potrafi zarabiać pieniądze w biznesie, ale o potrzebie służenia krajowi nauczył się od swego ojca i w Quantico, na długo, zanim skusiła go Centralna Agencja Wywiadowcza i zanim został

podstępem zwabiony do Gabinetu Ovalnego. Ale kiedy już się tu znalazł, nie mógł uciec.

Przynajmniej nie bez utraty twarzy.

To była odwieczna pułapka. Generał Lee⁸⁰ nazwał obowiązek najbardziej wzniosłym ze wszystkich słów. Kto, jak kto, ale on musiał o tym wiedzieć, pomyślał Ryan. Lee czuł się zmuszony walczyć o coś, co w najlepszym wypadku było brudną sprawą, ponieważ poczuwał

się do zobowiązań wobec miejsca, w którym się urodził i dlatego wielu po wsze czasy przeklinało jego imię, mimo jego walorów jako człowieka i żołnierza. A jak jest z tobą? –

spytał siebie samego Jack. Komu i czemu powinien służyć twój talent i poczucie obowiązku, świadomość, co dobre, a co złe i tak dalej? Co, u diabła, masz teraz zrobić?

Powinien to wiedzieć. Wszyscy ci ludzie poza Białym Domem oczekiwali, że zawsze będzie wiedział, co jest dobre dla kraju, dla świata, dla wszystkich ciężko pracujących mężczyzn i kobiet, i dla niewinnych dzieci, grających w piłkę. Jasne, pomyślał prezydent z przekąsem. Dobra wróżka namaszcza mnie mądrością za każdym razem kiedy tu wchodzę, albo muza całuje mnie w ucho, albo może Jerzy Waszyngton i Abraham Lincoln szepczą do mnie, kiedy śpię. Miał czasem kłopot z dobraniem rano krawata, zwłaszcza, jeśli akurat nie było w pobliżu Cathy, która doradzała mu w sprawach mody. Ale oczekiwano po nim, że będzie wiedział, co zrobić z podatkami, obronnością i systemem ubezpieczeń społecznych, a dlaczego? Bo należało to do jego zadań. Bo tak się składało, że mieszkał w gmachu rządowym przy Pennsylvania Avenue 1600 i miał tę cholerną Tajną Służbę, żeby chroniła go na każdym kroku. Podczas szkolenia unitarnego w Quantico instruktorzy, zajmujący się

młodymi podchorążymi Korpusu Piechoty Morskiej, opowiadali im o samotności dowódcy.

Dla niego różnica między Quantico a Gabinetem Ovalnym była taka, jak między fajerwerkiem a bombą atomową. Takie sytuacje, jak ta, z którą miał teraz do czynienia, były w przeszłości powodem wojen. Teraz oczywiście nie dojdzie do tego, ale kiedyś dochodziło.

Dawało to do myślenia. Ryan po raz ostatni zaciągnął się piątym tego dnia papierosem i zdusił niedopałek w popielniczce z brązowego szkła, którą schował w szufladzie biurka.

– Dziękuję, że mi to przynieśliście. Omówcie to z Departamentem Stanu i z CIA –

powiedział im jeszcze raz. – Niech mi sporządzą Specjalną informację Wywiadowczą na ten temat, i to szybko.

– Jasne – powiedział George Winston i wstał, żeby podziemnym tunelem wrócić do swojego gmachu po drugiej stronie ulicy.

– Panie Gant – dodał Jack. – Niech się pan trochę prześpi, wygląda pan jak upiór.

– To wolno mi spać w pracy? – zdziwił się Teleskop.

– Pewnie, tak samo, jak i mnie – odparł prezydent, uśmiechając się kwaśno. Kiedy wyszli, zwrócił się do Arnie'ego:

– Pogadajmy.

– Skontaktuj się z Adlerem. Nakłoń go, żeby porozmawiał z Hitchem i Rutledge'em, co i tobie polecam – poradził mu Arnie.

80 Robert Edward Lee (1807-1870) generał Armii Stanów Skonfederowanych, dowodził wojskami Konfederatów podczas najkrwawszych bitew wojny secesyjnej (przyp. red.)

– Okay, powiedz Scottowi, czego potrzebuję i że to pilne – skinął głową Ryan.

– Dobre wieści – oznajmiła doktor North, gdy wróciła do gabinetu.

Andrea Price-O'Day znajdowała się w szpitalu Johnsa Hopkinsa z wizytą u doktor Madge North, profesor ginekologii i położnictwa.

– Naprawdę?

– Naprawdę – zapewniła ją z uśmiechem lekarka. – Jesteś w ciąży.

W tym momencie inspektor Patrick O’Day zerwał się na równe nogi, dźwignął żonę i wycisnął na jej policzku siarczystego całusa.

– Och – westchnęła Andrea. – Myślałam, że jestem już za stara.

– Dotyczy to pięćdziesięciolatek, a tobie jeszcze sporo brakuje – uśmiechnęła się doktor North. Pierwszy raz w swej karierze oznajmiała taką wiadomość uzbrojonym rodzicom.

– Ale mogą być problemy? – spytała Andrea.

– No cóż, przekroczyłaś czterdziestkę, a to twoja pierwsza ciąża, prawda?

– Tak.

– To oznacza zwiększone prawdopodobieństwo wystąpienia zespołu Downa. Możemy to zbadać za pomocą amniocentezy. Zalecałabym zrobić próbę stosunkowo szybko.

– Kiedy?

– Nawet dziś, jeśli zechcesz.

– A jeśli próba będzie...

– Pozytywna? Cóż, wtedy oboje będziecie musieli zdecydować, czy chcecie mieć dziecko z zespołem Downa. Niektórzy chcą, inni nie. Jednak to wy musicie podjąć decyzję, nie ja –

powiedziała im Madge North. W swej karierze wykonywała już aborcje, lecz, jak większość położników, wołała odbierać porody.

– Down... To znaczy... – wykrztusiła Andrea, ściskając rękę męża.

– Słuchaj, prawdopodobieństwo przemawia na twoją korzyść, wynosi jakieś jeden do stu, a to już jest warte ryzyka. Zanim zaczniesz martwić się na zapas, sprawdzimy, czy w ogóle jest o co, dobrze?

– Od razu? – spytał w imieniu żony Pat.

Doktor North wstała.

– Tak, akurat mam czas.

– Pat, nie poszedłbyś się przejść? – zaproponowała mężowi agentka specjalna Price-O’Day.

– Okay, kochanie. – Pocałował ją i patrzył, jak wychodzi. To nie był łatwy moment w karierze agenta FBI. Jego żona była w ciąży, a on zastanawiał się, czy ta ciąża jest prawidłowa. A jeśli nie, co wtedy? Był Irlandczykiem i katolikiem. Kościół potępiał aborcję jako morderstwo. On sam

prowadził śledztwa w sprawie morderstw i nawet był świadkiem jednego z nich. W dziesięć minut potem zabił dwóch odpowiedzialnych za to terrorystów.

Ten dzień wciąż powracał w koszmarach snach, niezależnie od bohaterstwa, jakie okazał, ani zyskanej przez to chwały.

Teraz jednak bał się. Andrea była idealną macochą dla jego małej Megan, i oboje nie pragnęli niczego bardziej, by ta nowina była dobrą. Badanie zajmie mniej więcej godzinę i wiedział, że nie wytrzyma w poczekalni pełnej ciężarnych kobiet, które czytały stare numery

„People” i „US Weekly”. Ale dokąd pójść? Z kim się spotkać?

Dobrze. Wstał i wyszedł, postanowiwszy odwiedzić żonę Jacka Ryana. Pewnie znajdzie ją bez trudu na terenie szpitala.

Roy Altman był plotkarzem. Olbrzymi był spadochroniarz, który odpowiadał za bezpieczeństwo Chirurga, nie potrafił usiedzieć na jednym miejscu. Krążył wokół

niespokojnie niczym lew w ciasnej klatce, wciąż sprawdzając, czy wszystko jest w porządku.

Zauważył O'Daya w holu wind i pomachał do niego ręką.

– Hej, Pat! Co się dzieje? – Rywalizacja pomiędzy FBI i Tajną Służbą skończyła się, odkąd O'Day uratował życie Piaskownicy i pomścił śmierć trzech agentów Altmana, włącznie ze starym przyjacielem Roya, Donem Russellem, który poległ z bronią w ręku, zabijwszy przedtem trzech morderców. O'Day dokończył robotę Dona.

– Żona jest obok na badaniach – odparł inspektor FBI.

– Coś poważnego? – spytał Altman.

– Rutyna – rzekł Pat, lecz Altman wyczuł drobne kłamstwo.

– Czy znajdzie Cathy gdzieś w pobliżu? Skoro już tu jestem, wpadłbym się przywitać.

– W swoim gabinecie – wskazał ręką Altman. – Prosto, drugie drzwi po prawej.

– Dzięki.

– Facet z FBI przyszedł odwiedzić Chirurga – powiedział do mikrofonu w kłapie.

– Zrozumiałem – odparł inny agent.

O'Day odszukał właściwe drzwi i zapukał.

– Proszę – rozległ się kobiecy głos. – O, Pat, jak się masz?

– Nie narzekam, po prostu byłem w sąsiedztwie i...

– Czy Andrea odwiedziła Madge? – spytała Cathy Ryan.

– Tak, a ten mały przyrządek dał dodatni wynik – zameldował Pat.

– Wspaniale. – Profesor Ryan umilkła. – Coś cię gryzie.

– Doktor North ma wykonać amniocentezę. Jak długo może to potrwać?

– A kiedy się zaczęło?

– Chyba przed chwilą.

– Co najmniej godzinę. Madge jest bardzo dobra i wyjątkowo ostrożna. Muszą wkłuć się do macicy i pobrać nieco płynu amniotycznego z embrionu. Potem zbadają chromosomy.

– Wydaje się bardzo kompetentna.

– Jest wspaniałą lekarką i moją ginekolog. Boisz się zespołu Downa, prawda?

– Tak.

– Pozostaje ci tylko czekać.

– Doktor Ryan, ja...

– Mam na imię Cathy, Pat. Jesteśmy przyjaciółmi, zapomniałeś? – Doktor Ryan nie mogła zapomnieć, że O'Day uratował życie jej dzieciom.

– Dobrze, Cathy. Owszem, jestem przerażony. Nie chodzi o to, że Andrea jest też policjantką, tylko że...

– Tylko że nie na wiele się tu przyda umiejętność celnego strzelania, prawda?

– Na nic – przyznał inspektor O'Day. Przyzwyczał się do strachu, gdy latał promem kosmicznym, ale to nic wobec uczucia bezradności w obliczu potencjalnego niebezpieczeństwa zagrażającego żonie i dziecku. To był jeden z tych guzików, które w najmniej oczekiwanej chwili mógł nacisnąć kapryśny los.

– Prawdopodobieństwo przemawia na waszą korzyść – powiedziała Cathy.

– Tak, doktor North mówiła o tym, ale...

– Andrea jest młodsza ode mnie.

O'Day wbił wzrok w podłogę. Czuł się podle. Nie raz w życiu stawiał czoło uzbrojonym przestępcom i zmuszał ich do poddania się. Kiedyś użył swego Smith & Wessona 1076 w gniewie, dziurawiąc głowy dwóch terrorystów, którzy zabili niewinną kobietę. Wysłał ich do Allacha, w którego zapewne wierzyli. Nie było mu z tym łatwo, lecz obecna sytuacja była o wiele trudniejsza. Niekończące się ćwiczenia wyrobiły w nim automatyczne odruchy. Nie chodziło o zagrożenie. Z tym sobie radził. Jak się przekonał, najgorsza była świadomość zagrożenia osób, które kochał.

– Pat, nie musisz się wstydzić strachu. John Wayne był tylko aktorem.

W tym tkwił problem. Wayne stworzył kodeks męskości, który przyswoiła sobie większość Amerykanów, a który nie zezwalał im na okazywanie strachu. W rzeczywistości był tak samo prawdziwy jak filmy rysunkowe.

– Nie przywykłem do tego.

Cathy Ryan rozumiała to, podobnie jak większość lekarzy. Kiedy była jeszcze zwykłym chirurgiem oczywnym, zanim zaczęła specjalizować się w operacjach przy użyciu lasera, widziała pacjentów i ich najbliższych, którzy usiłowali być dzielni, pomimo przerażenia. Jednych trzeba było operować, a drugich uspokajać. Żadne z tych zadań nie wydawało się proste.

Pierwsze wymagało fachowych umiejętności, drugie przekonania tych ludzi, że choć dla nich choroba stanowi zagrożenie, z jakim dotąd się nie spotkali, to dla niej, doktor nauk medycznych Cathy Ryan, to tylko zwykły dzień pracy. Jest profesjonalistką. Poradzi sobie.

Chwalono ją przecież za umiejętność wzbudzania zaufania.

Jednak tu niczego nie mogła zdziałać. Choć Madge North była utalentowanym lekarzem, nie miała wpływu na wynik testu. Może pewnego dnia to się zmieni, gdy inżynieria genetyczna da ludziom taką szansę, za jakieś dziesięć lat, lecz jeszcze nie teraz. Madge mogła zaledwie stwierdzać stan faktyczny. Miała wspaniałe ręce i oko, lecz reszta spoczywała w rękach Boga i tylko On podejmował decyzję. Chodziło tylko o to, by ją poznać.

– W takiej chwili pomaga papieros – zauważył ponuro inspektor.

– Palisz?

– Rzuciłem dawno temu.

– Powinieneś powiedzieć to Jackowi.

– Nie wiedziałem, że pali – odparł ze zdziwieniem.

– Opala swą sekretarkę – powiedziała z rozbawieniem Cathy. – Udaję, że o niczym nie wiem.

– Jesteś bardzo tolerancyjna, jak na lekarza.

– Ma ciężkie życie, pali rzadko i nigdy przy dzieciach, bo Andrea musiałaby zastrzelić mnie za rozwalenie mu głowy.

– Widzisz – powiedział O’Day, znów wpatrując się w wystające spod granatowego garnituru FBI kowbojskie buty – a co będzie, kiedy okaże się, że dziecko ma zespół Downa?

– To niełatwa decyzja.

– Cholera, zgodnie z prawem nie mam tu nic do gadania. Prawda?

– Nie masz. – Cathy nie uważała tego za niesprawiedliwe. Prawo było jasne. Kobieta, w tym przypadku żona, samodzielnie podejmowała decyzję o przerwaniu ciąży. Cathy znała pogląd swego męża na aborcję. Jej był nieco odmienny. – Pat, czemu martwisz się na zapas?

– Nie potrafię się opanować.

Jak większość mężczyzn, Pat O’Day był roztrzęsiony. Rozumiała go. Jednak to był

szczególny przypadek. Ten twardy gość bał się naprawdę. Nie powinien, lecz chodziło o rzeczy mu nieznane. Wiedziała, że Andrea ma duże szanse, lecz Pat nie był lekarzem, a jak się przekonała, wszyscy mężczyźni, nawet ci najtwardsi, boją się nieznanego. Cóż, nie pierwszy raz musiała potrzymać za rękę dorosłego, lecz ta ręka ocaliła życie Katie.

– Przejdziemy się do żłobka?

– Jasne. – O’Day wstał.

– Chirurg jest w drodze do żłobka – oznajmił swoim ludziom Roy Altman. Kyle Daniel Ryan, Sprite, bawił się pod czujnym spojrzeniem Lwic, jak je nazywał Altman, czterech młodych agentek Tajnej Służby, które uśmiechały się do chłopca niczym starsze siostry.

Jednak te siostrzyczki były uzbrojone, a wszyscy pamiętali, co omal nie przytrafiło się Piaskownicy. Składy broni jądrowej nie były lepiej strzeżone niż ten żłobek.

Na zewnątrz urzędował Trenton „Chip” Kelley, jedyny agent płci męskiej. Był kapitan piechoty morskiej, który mógłby przstraszyć swoim wyglądem przeciętnego gracza zawodowej ligi futbolu.

– Cześć, Chip.

– Cześć, Roy. Co się dzieje?

– Wpadliśmy zobaczyć małego.

– Kim jest ten mięśniak? – Kelley zauważył, że O’Day miał broń, lecz wyglądał mu na gliniarza. Jednak kciuk lewej ręki nadal trzymał na przycisku alarmu, a prawą o ułamek sekundy od służbowego pistoletu.

– FBI. Jest w porządku – zapewnił podwładnego Altman.

– Dobra. – Kelley otworzył drzwi.

– U kogo grał? – spytał O’Day, gdy znaleźli się w środku.

– Werbowali go Grizzlies, ale ich menedżer się wystraszył – roześmiał się Altman.

– Wierzę. – O’Day wszedł za doktor Ryan. Natychmiast wzięła dziecko na ręce. Kyle uczeplił się szyi mamy. Mały dopiero gaworzył, od mówienia dzieliły go miesiące, lecz wiedział, jak uśmiechnąć się na widok mamy.

– Chcesz go potrzymać? – spytała Cathy.

O’Day otoczył malca ramionami jak piłkę. Najmłodszy Ryan nieufnie zlustrował twarz gościa, zwłaszcza jego wąsy, ale ponieważ mama wciąż znajdowała się w polu widzenia, nie zaczął płakać.

– Witaj, kolego – powiedział łagodnie O’Day. Pewne rzeczy dzieją się samoistnie. Kiedy trzymasz dziecko, nie stoisz w bezruchu. Zaczynasz się rytmicznie kołysać, co zwykle bardzo odpowiada berbeciowi.

– To przeszkodzi Andrei w karierze – powiedziała Cathy.

– Zyska za to więcej czasu dla siebie, przyjemnie też będzie ją mieć co wieczór w domu, choć zgadzam się z tobą, Cathy, iż raczej trudno byłoby jej biec obok limuzyny ze sterczącym jak dynia brzuchem. – Było to tak obrazowe, że roześmiali się. – Mam nadzieję, że przydzielą jej ograniczone obowiązki.

– Może. To byłoby niezłe przebranie, prawda?

O’Day skinął głową. Miło jest trzymać dziecko w ramionach. Przypomniał sobie stare irlandzkie przysłowie: „Prawdziwa siła leży w łagodności”. Ale przecież, do diabła, opieka nad dzieckiem również należy do obowiązków mężczyzny. Nie wystarczy mieć fiuta, żeby być mężczyzną...

Cathy popatrzyła na niego i uśmiechnęła się. Pat O’Day uratował życie Katie i zrobił to w stylu filmów Johna Woo. Z tą różnicą, że Pat był prawdziwym, nie filmowym bohaterem.

Jego życie nie było reżyserowane i musiał radzić sobie sam w rzeczywistych warunkach.

Bardzo przypominał jej męża – człowieka, który przysiągł Zawsze Postępować Sprawiedliwie i postanowił dotrzymać przysięgi.

– Jak tam córka? – spytała Cathy.

– Zaprzyjaźniła się w przedszkolu z twoją Katie. Poznała też chłopca. To chyba coś poważnego. Ten mały, Jason Hunt, podarował Megan jeden ze swoich samochodzików –

roześmiał się O’Day. Wtedy rozległ się dźwięk telefonu komórkowego. – W prawej kieszeni płaszcza – podpowiedział Pierwszej Damie.

Cathy wyjęła telefon i odebrała połączenie.

– Słucham.

– Kto mówi? – rozległ się znajomy głos.

– Andrea? Tu Cathy. Pat jest obok. – Cathy wzięła Kyle’a i oddała telefon, obserwując twarz agenta FBI.

– Tak, kochanie? – powiedział Pat. Potem przez kilka sekund słuchał, zamknąwszy oczy.

Jego napięcie ustąpiło. Oddech uspokoił się powoli. Ramiona przestały walczyć z wymagowanym ciężarem. – Tak, dziecinko. Poszedłem odwiedzić Cathy, jesteśmy w żłobku. Już ci ją daję. – Pat oddał telefon Cathy.

– I co powiedziała Madge? – spytała, wiedząc już prawie wszystko.

– Wszystko w porządku, to będzie chłopiec.

– Zatem Madge miała rację. Wszystko przemawiało na twoją korzyść. – Andrea była w doskonałej kondycji. Cathy uważała, że nie powinny wystąpić żadne komplikacje.

– Za siedem miesięcy od następnego wtorku – powiedziała radośnie Andrea.

– Słuchaj poleceń Madge. Ja słuchałam – upomniała ja Cathy na pożegnanie i oddała telefon Patowi.

– Tak, kochanie, zaraz będę. – O’Day wyłączył telefon i wsunął go do kieszeni.

– Poczujesz się lepiej? – spytała z uśmiechem Cathy. Jedna z Lwic wzięła od niej Kyle’a.

– Tak. Przepraszam za zawracanie głowy.

– Nie ma sprawy. Już mówiłam, że życie to nie kino, a porodówka to nie Alamo. Wiem, że jesteś twardym facetem, Pat, i Jack uważa tak samo. A ty, Roy?

– Pat zawsze może liczyć na pracę u mnie. Gratulacje, stary – odparł Altman, odwracając się od szyby.

– Dzięki, kolego.

Pat O'Day był jak odmieniony. Energia wręcz go rozpierała. Zdziwił się widząc, że Cathy zmierza w stronę oddziału ginekologiczno-położniczego, lecz w pięć minut później zrozumiał

dłaczego. To było damskie zebranie. Zanim zdążył ucałować żonę, odezwała się Cathy:

– Cudowne wieści, cieszę się razem z tobą!

– W końcu FBI przydało się na coś – zażartowała Andrea.

– To zasługuje na małe przyjęcie – stwierdził O'Day.

– Przyjdziecie do nas na obiad? – spytała Chirurg.

– Nie możemy – odparła Andrea.

– Niby czemu? – upierała się Cathy.

– No może, jeśli prezydent się zgodzi.

– Skoro ja wyrażam zgodę, to Jack nie ma nic do gadania – oświadczyła stanowczo doktor Ryan.

– W takim razie, chyba tak.

– Siódma trzydzieści – powiedziała Chirurg. – Stroje niezobowiązujące. – To straszne, że przestali żyć jak zwykli ludzie. Jack będzie miał wreszcie okazję usmażyć steki na grillu, co było jego specjalnością, a ona już od miesiący nie przygotowywała swojej sałatki ze szpinaku.

Do licha z prezydenturą! – A ty, Andrea, możesz wypić dziś aż dwa drinki. Potem góra jeden tygodniowo.

– Doktor North mówiła mi o tym – przytaknęła pani O'Day.

– Madge jest przeciwniczką alkoholu. – Cathy była bardziej liberalna. Jednak, nie będąc ginekologiem, sama stosowała się do zaleceń doktor North, kiedy miała urodzić Kyle'a i Katie. Podczas ciąży nie można pozwolić sobie na głupstwa. Życie jest zbyt cenne, by ryzykować.

Rozdział 38

Rozwój wypadków

W ChRL Ministerstwu Finansów przypadła w udziale niewdzięczna rola wyjaśnienia komunistycznym ideologom, że ich bożek jest fałszywy, stworzony przez nich idealny model teoretyczny nie sprawdza się i dlatego muszą zaakceptować nienawistną rzeczywistość.

Biurokraci z ministerstwa byli głównie obserwatorami, zachowując się przy tym jak dzieci, które

fascynuje nowa gra komputerowa, choć nie wierzą w jej fabułę. Niektórzy byli nawet zdolni i grali dobrze, osiągając czasami korzyści z prowadzonych transakcji – wygrywali awanse i wyższe stanowiska w ministerstwie. Niektórzy nawet przyjeżdżali do pracy własnymi samochodami i zawierali przyjaźnie z nową klasą lokalnych przedsiębiorców –

ludzi, którzy zrzucili swe ideologiczne mundurki i działali jak kapitaliści w socjalistycznym społeczeństwie. Wzbogacanie narodu zyskiwało im wdzięczność, a nawet szacunek politycznych elit. Ci przedsiębiorcy współpracowali blisko z ministerstwem i z dala od biurokracji mogli powiększać dochód narodowy.

Jednym z efektów tej działalności było to, że Ministerstwo Finansów powoli oddalało się od Prawdziwej Wiary w nieokreśloną przestrzeń pomiędzy socjalizmem a kapitalizmem.

Każdy kolejny minister finansów oddalał się od doktryny marksistowskiej bardziej od swego poprzednika, ponieważ wszyscy szybko orientowali się, że ich kraj musi uczestniczyć w tej szczególnej międzynarodowej rozgrywce, a w tym celu należało akceptować istniejące reguły gry. Oprócz tego gra mogła przynieść socjalistycznej ojczyźnie dochody, jakich przez ostatnie pięćdziesiąt lat nie zdołał zapewnić ani Marks, ani Mao.

W konsekwencji tego nieuchronnego procesu minister finansów był jedynie zastępcą członka, a nie pełnoprawnym członkiem Politbiura – brał udział w obradach, lecz nie miał

prawa głosu, a jego wypowiedzi oceniali ludzie, którzy nigdy nie zadali sobie nawet trudu, by zrozumieć go lub pojąć świat, w jakim musiał działać.

Minister o nazwisku Qian, które oznaczało w mandaryńskim „monety”, pełnił swoją funkcję od sześciu lat. Z wykształcenia był inżynierem. Przez dwadzieścia lat budował linie kolejowe na północy kraju i robił to tak dobrze, że zasłużył sobie na awans. Według kryteriów międzynarodowych nieźle radził sobie z resortem. Jednak Qian Kun musiał stale tłumaczyć towarzyszą z Politbiura, że nie mogą w sprawach finansów postępować według własnego widzimisie, dlatego witany był na posiedzeniach równie serdecznie co parszywy szczur. To będzie kolejny trudny dzień, pomyślał z przerażeniem, wsiadając do ministerialnej limuzyny, która wiozła go na poranne posiedzenie.

Jedenaście godzin dalej, przy nowojorskiej Park Avenue toczyło się inne zebranie. Nowo powstała sieć sklepów odzieżowych dla zamożnych klientek nosiła nazwę „Butterfly”.

Ubrania z motylem na metce, łącząc nowoczesne tkaniny z błyskotliwym wzornictwem z Florencji, opanowały sześć procent rynku, co w Ameryce oznaczało naprawdę duże pieniądze.

Był tylko jeden szkopuł – tkaniny powstawały w ChRL, w fabryce położonej nieopodal szanghajskiego portu, a ubrania krojono i szyto w zakładach znajdujących się niedaleko miasta Yancheng.

Prezes firmy „Butterfly” miał trzydzieści dwa lata i, po dziesięciu latach morderczej pracy, był już

bliski zarobienia takich pieniędzy, o jakich marzył od chwili rozpoczęcia studiów. Ten absolwent Instytutu Pratta całą swoją energię i czas poświęcał rozwojowi firmy i teraz nadeszła jego chwila. Pora kupić sobie odrzutowiec Gulfstream, którym mógłby latać do Paryża, dom na wzgórzach Toskanii, drugi w Aspen i prowadzić życie na zasłużonym poziomie.

Jednak zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Jego główny sklep na rogu Park Avenue i 50.

Ulicy przeżył coś równie nieprawdopodobnego jak inwazja Marsjan. Zgromadził się przed nim tłumek demonstrantów. Zamożni nowojorczyki w ubraniach od Versacego, na kartonowych prostokątnych tablicach, wyrażali swój sprzeciw wobec handlu z BARBARZYŃCAMI, potępiając „Butterfly” za robienie interesów z ChRL. Mężczyzna w jedwabnym garniturze rozpostarł chińską flagę z wymalowaną swastyką, a nic gorszego nie może spotkać firmy pragnącej robić interesy w Nowym Jorku, jak skojarzenie jej z wyklętym symbolem Hitlera.

– Musimy działać szybko – powiedział doradca prawny. Był szcwanym Żydem i w drodze do sukcesu przeprowadził bezpiecznie „Butterfly” przez niejedno pole minowe. –

Inaczej nas wykończą.

Nie żartował i reszta zarządu dobrze o tym wiedziała. Już dziś pojawiły się w sklepie cztery oburzone klientki. Jedna z nich zwróciła zakupy, mówiąc, że nie chce dłużej trzymać w szafie ich ubrań.

– Co nam grozi? – spytał założyciel i prezes firmy.

– Pytasz o możliwą wielkość strat? – odezwał się główny księgowy. – Jakieś czterysta. –

Oznaczało to czterysta milionów dolarów. – Wykończą nas za jakieś... dwanaście tygodni.

Prezes „Butterfly” nie to chciał usłyszeć. Doprowadzenie interesu odzieżowego do tego pułapu było równie łatwe jak przepłynięcie Atlantyku podczas dorocznego zlotu rekinów-ludojadów. Nadeszła jego wielka chwila, lecz okazało się, że stoi na polu minowym, o istnieniu którego nikt go nie ostrzegł.

– Dobrze – odparł tak spokojnie, jak pozwały mu na to kwasy żołądkowe. – Co możemy zrobić w tej sytuacji?

– Możemy zerwać kontrakty – doradził mu prawnik.

– Mamy do tego podstawy?

– Da się to jakoś załatwić. – Rada prawnika oznaczała, że lepiej zamknąć fabryki w Chinach, niż mieć sklepy pełne odzieży, której nikt nie chce kupować.

– Alternatywa?

– Tajlandia – oznajmił szef produkcji. – Z przyjemnością przejmą chińskie zamówienia.

Już miałem telefon z Bangkoku.

– Koszty?

– Niecałe cztery procent różnicy, dokładnie mówiąc trzy przecinek sześćdziesiąt trzy.

Pierwsza dostawa, cztery tygodnie od zlecenia. Mamy dość zapasów, by zapewnić ciągłość sprzedaży – oznajmił reszcie zarządu szef produkcji.

– Ile towaru pochodzi z Chin?

– Większość, jak pamiętacie, pochodzi z Tajwanu. Możemy zlecić naszym ludziom naklejenie właściwych etykietek, i... flagi. – Niewielu konsumentów odróżniało jedną chińską nazwę od drugiej. Flaga była bardziej czytelna.

– W dodatku – wtrącił szef marketingu – od jutra możemy rozpocząć kampanię reklamową pod hasłem: „Motyl nie robi interesów ze Smokiem”. – Pokazał zebrany rysunek, na którym motyl ucieka przed ognistym oddechem smoka. Nie miało większego znaczenia, że wyglądało to dość tandetnie. Musieli szybko przedsięwziąć cokolwiek.

– Aha – dodał szef produkcji. – Przed godziną dzwonił Frank Meng z „Meng, Harrington i Cicero”. Powiedział, że ma kilka firm na Tajwanie i gwarantuje, że jeśli damy im zielone światło, przestawią produkcję w niecały miesiąc. Ambasador Tajwanu wpisze nas na listę popieranym przedsiębiorstw. W zamian oczekuje pięcioletniego kontraktu, oczywiście, ze zwyczajowymi klauzulami wcześniejszego wypowiedzenia.

– To mi się podoba – powiedział prawnik. Ambasador Republiki Chińskiej grał fair, podobnie jak jego kraj. Wiedzieli, kiedy złapać tygrysa za jaja.

– Mamy wniosek do przegłosowania – oświadczył prezes. – Wszyscy za?

Po głosowaniu „Butterfly” stała się pierwszą większą amerykańską firmą, która zerwała kontakty handlowe z ChRL. Niczym pierwsza gęś opuszczająca jesienią północną Kanadę zwiastowała tym nadejście poważnego ochłodzenia. Jedynym zagrożeniem mogły być procesy wytaczane przez Chińczyków, ale sąd federalny na pewno zrozumie, że podpisanie kontraktu nie było jednoznaczne ze zgodą na ekonomiczne samobójstwo i być może nawet uzna, że umowa miała prawo wygasnąć z ważnych względów politycznych. Prawniki przedstawili sprawę w amerykańskiej izbie handlowej. A dla sędziego w Nowym Jorku jest chyba oczywiste, iż należy szybko wycofać się z interesu, kiedy człowiek zorientuje się, że robił go z Adolfem Hitlerem. Druga strona będzie twierdziła coś innego, lecz ich prawnicy powinni już wiedzieć, że po tej stronie Pacyfiku są na straconej pozycji...

– Zawiadomię naszych bankierów. – To oznaczało, że sto czterdzieści milionów dolarów nie zostanie zgodnie z ustaleniami kontraktu przelane na konto w Pekinie. Teraz prezes mógł

dalej rozmyślać nad kupnem odrzutowca. Znak firmowy – wychodzący z kokonu paż

królowej – będzie wspaniale wyglądał na stateczniku Gulfstreama.

– Nic jeszcze nie wiemy na pewno – powiedział swym kolegom Qian – ale jestem poważnie zaniepokojony.

– Cóż to znowu za szczególny problem? – spytał Xu Kun Piao.

– Podpisaliśmy szereg umów handlowych, które miały zostać zrealizowane w ciągu trzech najbliższych tygodni. Normalnie powinienem spodziewać się, że wszystko przebiegnie zgodnie z planem, ale dzwoniли nasi przedstawiciele w Ameryce, uprzedzając, że mogą być kłopoty.

– Kim są ci przedstawiciele? – spytał Shen Tang.

– Głównie prawnicy, których wynajęliśmy do nadzorowania naszych interesów. Niemal wszyscy są obywatelami amerykańskimi. Nie są głupi i należy starannie rozważyć ich rady –

zakończył poważnym tonem Qian.

– Prawnicy są przekleństwem Ameryki – zauważył Zhang Han San – i wszystkich cywilizowanych narodów.

– Pewnie tak, Zhang, ale jeśli robi się interesy z Ameryką, trzeba zatrudniać takich ludzi i liczyć się z ich opiniami. Nic nie da zastrzelenie posłańca przynoszącego złe wieści.

Fang skinął głową i uśmiechnął się. Lubił Qiana. Ten człowiek mówił przynajmniej prawdę. Jednak Fang publicznie nie poparł ministra. On również przejmował się sytuacją spowodowaną przez wybryk tych dwóch nadgorliwych milicjantów, lecz teraz było już za późno, żeby ich ukarać. Nawet gdyby Xu zasugerował takie rozwiązanie, Zhang i inni odwiedliby go od tego.

Sekretarz skarbu George Winston oglądał w domu film z odtwarzacza DVD. Było to prostsze niż wyprawa do kina, podczas której towarzyszyło mu czterech agentów Tajnej Służby. Jego żona robiła sweter na drutach. Zawsze ważniejsze prezenty gwiazdkowe wykonywała własnoręcznie, a robótką mogła się zajmować oglądając telewizję czy rozmawiając i w dodatku odpoczywała przy tym nie gorzej, niż jej małżonek żeglując swym pełnomorskim jachtem.

Gdy zadzwonił telefon, Winston po dźwięku dzwonka poznał, że to połączenie na prywatnej linii i sam podniósł słuchawkę.

– Tak?

– George, tu Mark.

– Pracujesz po godzinach?

– Nie, jestem w domu. Właśnie otrzymałem wiadomość z Nowego Jorku. Chyba się zaczęło...

– Co? – spytał Teleskopa Kupiec.

– „Butterfly”, sieć sklepów z markową odzieżą dla kobiet.

– Owszem, znam tę nazwę – zapewnił swego rozmówcę Winston. Aż za dobrze, jego żona i córka uwielbiały sklepy tej sieci.

– Zamierzają zerwać kontrakt z dostawcami z ChRL

– Jak duży?

– Około stu czterdziestu.

Winston gwizdnął.

– Tak wielki?

– Tak wielki – potwierdził Gant – A za nimi pójda inni. Kiedy to ujrzy światło dzienne, da ludziom do myślenia. I jeszcze jedno.

– Tak?

– ChRL właśnie unieważniła kontrakt na zakup sprzętu firmy Caterpillar. Przekazali trzydzieści milionów dolarów zaliczki do Kawa w Japonii. Przeczytasz o tym jutro rano w

„Journal”.

– Ale cwaniaki – ironicznie powiedział Winston.

– Chcą nam pokazać, kto pociąga za sznurki, George.

– Mam nadzieję, że przekonają się, co to znaczy zadzierać nosa – stwierdził sekretarz skarbu, budząc tym zainteresowanie żony.

– Kiedy ukaże się informacja o sieci „Butterfly”?

– Już za późno na jutrzejsze wydanie Journal”, ale na pewno będzie w serwisach gospodarczych CNN i CNBC.

– A jeśli inne firmy z branży zrobią to samo?

– Ponad miliard do tyłu. Wiesz, jak to jest, George, miliard tu, miliard tam i wkrótce zaczynają wchodzić w grę prawdziwe pieniądze. – Była to jedna z celniejszych uwag Dirksena⁸¹.

– Ile potrzeba, żeby wyzerować ich konto?

– Przy dwudziestu porządnie ich zaboli. Czterdzieści i siedzą w gównie po uszy.

Sześćdziesiąt i są udupieni na całego. Nie widziałem jeszcze całego narodu śpiącego na beczce prochu. George, oni w dodatku importują żywność, głównie z Kanady i Australii. To ich cholernie zaboli.

– Zrozumiałem. Do jutra.

81 *Everett McKinley Dirksen (1896-1969), amerykański kongresman, znany ze swoich popisów oratorskich (przyp. red.)*

– Cześć. – Rozmówca się rozłączył.

Winston podniósł pilota, by puścić dalszy ciąg filmu na DVD, gdy przyszła mu do głowy inna myśl. Wziął dyktafon, którego używał jako notatnika.

– Sprawdzić, jakie środki ChRL przeznacza na zakup uzbrojenia, zwłaszcza poprzez Izrael – powiedział, nacisnął guzik STOP, odłożył dyktafon i wrócił do oglądania filmu, lecz nie mógł skupić się na akcji. Wieloletnie doświadczenie podpowiadało mu, że coś bardzo ważnego dzieje się w świecie handlu i transakcji międzynarodowych, a on nie trzymał ręki na pulsie. To nie przytrafiało się zbyt często George’owi Winstonowi i wystarczyło, by przestała go bawić komedia „Faceci w czerni”.

Chester finalizował zamówienie na dostawę 1.661 wyjątkowo drogich komputerów NEC

dla Zakładów Maszyn Precyzyjnych w Pekinie. Firma ta, prócz innych wyrobów, produkowała rakiety manewrujące dla Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Lukratywny kontrakt uszczęśliwi zapewne Nippon Electric Company. Chestera martwiło jednak to, że nie był w stanie skłonić tych komputerów do współpracy tak, jak to zrobił z dwoma komputerami w sekretariacie ministra Fanga. Za duże ryzyko, choć dobrze sobie było pomarzyć przy piwie i papierosie – Chester Nomuri, cyberszpieg. Jego pager zaczął wibrować. Wyjął go i spojrzał.

Numer 745-4426. W ich prywatnym szyfrze, opartym na literach przypisanych do klawiszy zwykłego telefonu, znaczyło to: *shin gan* – „serce i dusza”. W ten sposób Ming nazywała swego kochanka i dawała mu do zrozumienia, że chce przyjść do niego dziś wieczorem. To odpowiadało Nomuriemu. W końcu wcielał się w Jamesa Bonda. Uśmiechnął się do siebie, idąc do samochodu. Otworzył komórkę i wybrał dostęp do poczty elektronicznej. Wysłał

odpowiedź: 226-234, czyli *bao bei* – „ukochana”. Lubiała, gdy tak ją nazywał. Dziś wieczór będzie coś ciekawszego od telewizji. Dobrze. Miał nadzieję, że wystarczy im japońskiej whisky na potem.

Wiesz, że nie czeka cię nic wesołego, kiedy otrzymujesz zaproszenie od dentysty. Jack odbył trochę takich wypraw przez ostatnie dziewiętnaście lat, lecz tym razem w grę wchodził

przelot śmigłowcem do wyposażonych we własne lądowisko koszar policji stanu Maryland, a potem pięciominutowa podróż samochodem do gabinetu stomatologicznego. Głowę miał

zaprzątniętą Chinami, lecz jego ochrona opacznie zrozumiała ponurą minę.

– Spokojnie, szefie – powiedziała Andrea do prezydenta. – Jeśli zaczniesz krzyczeć, aresztuję dentystę.

– Nie powinnaś tak wcześnie wstawać – odgryzł się Ryan.

– Doktor North powiedziała, że mogę aż do odwołania wykonywać codzienne obowiązki, a ja już biorę przepisane witaminy.

Nomuri usłyszał w oddali pisk komputera, co oznaczało, że maszyna automatycznie odszyfrowuje i przesyła dalej dane otrzymane e-mailem z komputera Ming. Była to zabawna przerwa w jego obecnych działaniach. Od ich ostatniej schadzki minęło pięć dni i bardzo się stęsknił, a, sądząc po namiętnych pocałunkach, ona również. Szybko skończyli się kochać i sięgnęli po papierosy.

– Co słyhać w biurze? – spytał Nomuri, a odpowiedź na jego pytanie znajdowała się już na serwerze w Wisconsin.

– Politbiuro debatuje nad stanem finansów państwa. Qian, minister finansów, usiłuje nakłonić Politbiuro do zmiany stanowiska, lecz zdaniem ministra Fanga nie słuchają go tak, jak powinni.

– O?

– Jest zły na swoich kolegów za brak giętkości – zachichotała Ming. – Chai powiedziała, że minister był bardzo giętki dwie noce temu.

– Nieładnie mówić tak o mężczyznach – parsknął Nomuri.

– Nigdy nie powiedziałabym tak o tobie i twoim jaspisowym mieczu. – Nastawiła się do pocałunku.

– Czy często się kłóca? To znaczy w Politbiurze?

– Sprzeczki są czymś codziennym, ale po raz pierwszy sprawa nie została rozwiązana po myśli Fanga. Zwykle są jednomyślni, lecz tym razem chodziło o spór ideologiczny. Dość gwałtowny, jak na zwyczaje panujące w Politbiurze.

– O co poszło?

– Minister Qian twierdzi, że kraj wkrótce zostanie bez rezerw walutowych. Pozostali ministrowie uznali to za nonsens, Qian uważa, że musimy ugłaskać Zachód. Zhang i jemu podobni upierają się, że nie możemy okazywać słabości, zwłaszcza po tym, co ostatnio zrobili nam Amerykanie.

– Czy nie rozumieją, że zabicie tego włoskiego księdza było czymś złym?

– Uważają to za nieszczęśliwy wypadek, a prócz tego ksiądz łamał nasze prawo.

Jezu, pomyślał Nomuri, oni naprawdę uważają się za pomazańców bożych.

– Bao bei, to poważny błąd z ich strony.

– Tak myślisz?

– Byłem w Ameryce, pamiętasz? Mieszkałem tam jakiś czas. Amerykanie bardzo szanują duchownych i wysoko cenią sobie religię. Opluwanie jej strasznie ich wkurza.

– Zatem uważasz, że Qian ma rację? Myślisz, że Ameryka zażąda od nas pieniędzy, za to głupie posunięcie?

– Tak, to chyba nawet bardzo możliwe, Ming.

– Minister Fang sądzi, że powinniśmy obrać nieco bardziej umiarkowany kurs, żeby jakoś udobruchać Amerykanów, ale nie powiedział tego na zebraniu.

– Dlaczego?

– Minister nie chce utracić swoich wpływów z powodu nieostrożnej wypowiedzi. Jego ojciec był wiernym adiutantem Mao, a Fang zawsze był pewny politycznie, choć ostatnimi laty zainteresował się nowymi koncepcjami. Zobaczył jak dobrze funkcjonują firmy w oparciu o nowe zasady i podziwia ludzi, którzy nimi zarządzają. Niektórzy przedsiębiorcy odwiedzają go w ministerstwie, gdzie podejmuje ich herbatą.

Więc taki stary zboczeniec uchodzi tu za postępowca, zdziwił się Nomuri. Cóż, poprzeczka w Chinach nie była zbyt wysoko ustawiona.

Ryan był zadowolony, że wystarczyło zwykłe szczotkowanie. Stomatolog jak zwykle polecał mu nici i Ryan jak zwykle przytaknął, lecz nigdy nie kupił sobie nici dentystycznych i nie zamierzał tego robić teraz. Mimo to udało mu się uniknąć czegoś bardziej niemiłego od zwykłego prześwietlenia, ale i tak ubrano go w ołowiany fartuch. Cała operacja nie zabrała mu z porannego harmonogramu więcej jak półtorej godziny. Po powrocie do Gabinetu Owalnego otrzymał najświeższy materiał SORGE, co

wystarczyło, by zaklął pod nosem.

Zadzwoił do Mary Pat w Langley.

– Są zdenerwowani – zauważył Ryan.

– Cóż, nie znają się na wielkich pieniądzach. To ja już wiem więcej na ten temat.

– Kupiec powinien to zobaczyć. Wpisz go na listę SORGE – polecił prezydent.

– Tylko z twoją codzienną akceptacją – zgłosiła zastrzeżenie do propozycji Ryana MP. –

A może wystarczy jak pozna tylko aspekty ekonomiczne i nic więcej?

– Zgoda, przynajmniej na razie – odparł Jack. George dobrze radził sobie z zagadnieniami strategicznymi i mógł zostać niezłym doradcą politycznym. Jack rozłączył się i polecił Ellen Sumter wezwać urzędującego po drugiej stronie ulicy sekretarza skarbu.

– Więc czym się jeszcze przejmują? – spytał Chester.

– Martwią się, że robotnicy i chłopci nie są tak szczęśliwi, jak powinni być. Słyszałeś o zamieszkach w zagłębiu węglowym?

– Co?

– Tak. W zeszłym roku zbuntowali się górnicy. Armia zaprowadziła porządek.

Zastrzelono kilkaset osób. Trzy tysiące aresztowano. – Wzruszyła ramionami, wkładając biustonosz. – Nadal jest niespokojnie, ale to nic nowego. Armia kontroluje sytuację na tych terenach. To dlatego wydają tyle pieniędzy na zbrojenia. Dlatego generałowie rządzący gospodarczym imperium Armii Ludowo-Wyzwoleńczej mogą w spokoju robić interesy.

Szeregowi żołnierze to zwyczajni robotnicy i rolnicy, ale wszyscy oficerowie są członkami partii i są lojalni, tak przynajmniej uważają w Biurze Politycznym. Tak chyba zresztą jest –

dodała Ming. Nie stwierdziła, by jej minister zbytnio się tym przejmował. Władza w ChRL

opierała się na bagnietach, a Politbiuro miało wszystkie karabiny. To upraszczało sprawę.

Nomuri słyszał rzeczy, o których dotychczas nie miał pojęcia. Okazało się, że Ming wiedziała o wiele więcej niż to, co przychodziło jako doniesienia Kanarka. Będzie musiał

przesłać to do Langley...

– To jak wpuścić pięciolatka do sklepu z bronią – zauważył sekretarz skarbu Winston. –

Ci ludzie nie powinni decydować o polityce ekonomicznej miasta, a co dopiero państwa. Są również cholernie głupi, jak ci japończycy przed kilku laty, ale oni przynajmniej nauczyli się słuchać ekspertów.

– I co z tego wynika?

– To, że nie otworzą oczu, kiedy wpadną na ścianę. Nawet nie zauważą, że za chwile dostaną w skórę. – Winston, jak zauważył Ryan, uwielbiał metafory.

– Kiedy? – spytał Miecznik.

– To zależy od tego, ile firm pójdzie w ślady „Butterfly”. Dowiemy się w ciągu paru dni.

Branża odzieżowa jest doskonałym papierkiem lakmusowym.

– Naprawdę?

– Mnie też to zdziwiło, ale właśnie nadeszła pora zawierania kontraktów na dostawy kolekcji na następny sezon, a to już oznacza ciężkie pieniądze. Dorzucimy do tego zabawki na Boże Narodzenie. Mark Gant powiedział mi, że może chodzić o siedemnaście miliardów.

– O cholera!

– Jasne. Nie miałem pojęcia, że renifery Świętego Mikołaja muszą taszczyć aż tak wielki ładunek.

– A co z Tajwanem? – zastanawiał się Ryan.

– Też pytanie! Wchodzą w to w ciemno. Liczą, że uda im się przechwycić jedną czwartą, a może nawet jedną trzecią tego co straci ChRL. Singapur jest następny w kolejce. No i Tajlandia. Ta historia może im powetować straty, jakie kilka lat temu poniosła ich gospodarka. W gruncie rzeczy kłopoty ChRL mogą ożywić gospodarkę całej Azji Południowo-Wschodniej. Chodzi o przechwycenie pięćdziesięciu miliardów dolarów, które muszą do kogoś trafić. Podbiliśmy stawkę, Jack. To będzie również korzystne dla naszych konsumentów. Założę się też, że inne kraje wyciągną wnioski z pekińskiej lekcji i zatrzasną im drzwi przed nosem. Zatem pośrednio skorzystają też na tym nasi robotnicy.

– Minusy?

– Boeing będzie narzekał. Zależało im na kontrakcie na 777, ale zaczekajmy chwilkę.

Ktoś inny kupi te samoloty. I jeszcze jedno.

– Tak? – zapytał Ryan.

- Nie tylko firmy amerykańskie zrywają kontrakty. Dwie duże włoskie korporacje i Siemens już ogłosiły wycofanie się ze współpracy z Chińczykami – powiedział Kupiec.
- Czy przekształci się to w zjawisko masowe...?
- Za wcześnie wyrokować, ale gdybym był na miejscu tych facetów – Winston pomachał faksem z CIA – zastanawiałbym się nad odbudową muru.
- Oni tego nie zrobią, George.
- W takim razie dostaną porządną nauczkę.

Rozdział 39

Inne pytania

- Co się dzieje z naszym przyjacielem? – spytał Reilly.
- Kontynuuj swoje wyczyny seksualne – odparł Prowałow.
- Rozmawiałaś z dziewczynkami?
- Dziś z dwiema. Płaci im dobrze w euro i nie domaga się żadnych „egzotycznych” usług.
- Dobrze wiedzieć, że ma normalne upodobania – parsknął agent FBI.
- Zrobiliśmy mu szereg zdjęć. Zamontowaliśmy elektroniczne urządzenie lokalizujące w jego samochodzie i umieściliśmy pluskwę w klawiaturze komputera. To pozwoli nam poznać jego hasło, kiedy wprowadzi je następnym razem.
- Ale nie popełnił jeszcze żadnego przestępstwa – powiedział Reilly. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.
- Nie podczas naszej inwigilacji – przyznał Oleg.
- Cholera, a więc naprawdę usiłował kropnąć Siergieja Gołowkę. Nie do wiary.
- Nie da się zaprzeczyć. I to na rozkaz Chińczyków.
- To jak wypowiedzenie wojny, stary. Pieprzone bagno! – Reilly łyknął wódki.
- Na to wygląda, Miszka. Najbardziej paskudna sprawa, jaka trafiła mi się w tym roku. –
Było to, zdaniem Prowałowa, doskonałe określenie. Chętnie wróciłby do zwykłych zabójstw, gdzie mąż morduje żonę, bo się puszczała z sąsiadem, czy innych podobnych historii. Tamte okropne rzeczy były o wiele mniej paskudne od tej sprawy.
- Jak dobiera sobie dziewczynki, Oleg? – spytał Reilly.
- Nie zamawia ich przez telefon. Idzie do drogiej restauracji, siada przy barze i czeka, aż któraś mu wpadnie w oko.
- A jakby podstawić mu panienkę?
- Co masz na myśli?
- Mógłbyś znaleźć ładną dziewczynę, która trudni się tym zawodowo, pouczyć ją, co ma mówić i posadzić mu ją przed nosem jak przynętę na haczyku. Jeżeli ją wybierze, może uda się pociągnąć go za język.

– Robiłeś już takie rzeczy?

– Mieliśmy trzy lata temu takiego cwaniaczka w Jersey City. Lubił zgrywać przed kobitkami twardziela i w ten sposób wpadł. Teraz siedzi w więzieniu stanowym Rahway za gwałt i morderstwo.

– Zastanawiam się, czy wciąż pracują absolwentki Szkoły Wróbelków – powiedział Prowałow.

– Dzień dobry, towarzyszu generale – powiedział Fomin, stając na baczność.

Bondarienko miał wyrzuty sumienia, odwiedzając starego wiarusa o tak wczesnej porze, ale dowiedział się wczoraj, że Fomin wstaje o świcie.

– Zabijacie wilki – zauważył Giennadij Josifowicz, przyglądając się skórcom wiszącym na ścianach spartańsko wyposażonej izby.

– I niedźwiedzie, ale ich futro jest strasznie ciężkie – przyznał staruszek, przygotowując herbatę dla gościa.

– To niesamowite – powiedział pułkownik Alijew, dotykając jednej ze skór.

– Nie ma w tym nic niesamowitego dla starego myśliwego – odparł Fomin, zapalając papierosa.

Generał Bondarienko popatrzał na jego broń, nowy austriacki sztucer i stary rosyjski karabin wyborowy *Mosin wz. 1891*.

– Ilu położyliście z tego? – spytał Bondarienko.

– Wilków czy niedźwiedzi?

– Niemców – sprecyzował generał.

– Przestałem liczyć po trzydziestym, towarzyszu generale. To było przed Kijowem.

Potem było jeszcze więcej. Widzę, że mamy te same medale – zauważył Fomin, pokazując na Złotą Gwiazdę Bohatera Związku Radzieckiego. Jego gość dostał swoją za Afganistan. Fomin miał dwie. Jedną za Ukrainę, drugą za Berlin.

– Macie postawę żołnierza, Pawle Pietrowiczu. – Bondarienko łyknął herbaty podanej tradycyjnie w szklance osadzonej w srebrnym koszyczku. – I to wzorowego.

– Odsłużyłem swoje. Najpierw w Stalingradzie. Potem długi marsz do Berlina.

Założę się, że na własnych nogach, pomyślał generał. Spotykał się swego czasu z weteranami wielkiej wojny ojczyźnianej, z których większość dziś już nie żyła.

– Wpadlibyście któregoś wieczoru do mojej kwatery. Podejmę was kolacją i posłucham waszych opowieści.

– Jak daleko stąd?

– Przyślę po was mój śmigłowiec, sierżancie Fomin.

– A ja przywiozę wilczą skórę – przyrzekł gościowi myśliwy.

– Poszukam dla niej honorowego miejsca – obiecał w zamian Bondarienko – Dziękuję za herbatę. Muszę wracać do dowództwa. Zapraszam na kolację, sierżancie.

Gregory wrócił do pokoju hotelowego z trzystoma stronami danych technicznych do przetrawienia w czasie, gdy resztkę frytek popijał Colą Light. Coś nie zgadzało się w całym rachunku, ale nie potrafił tego wykryć. Marynarka testowała pociski SM-2ER nie tylko podczas symulacji komputerowej, lecz również przeciw prawdziwym celom na atolu Kwajalein. Spisywały się całkiem nieźle, lecz nigdy nie sprawdzono ich na prawdziwym nadlatującym międzykontynentalnym pocisku balistycznym. Mieli ich po prostu za mało.

Używali głównie starych, wycofanych z uzbrojenia pocisków Minuteman II. Wystrzelivano je z silosów znajdujących się w bazie Sił Powietrznych Vandenberg w Kalifornii i prawie wszystkie zostały już zużyte. Rosja i Ameryka pozbyły się całego arsenału balistycznego, głównie w reakcji na terrorystyczny zamach nuklearny w Denver i jeszcze bardziej przerażające konsekwencje, które miały miejsce potem. Zarówno Ameryka, jak Rosja zachowały pokaźną liczbę głowic jądrowych, które bez trudu można było zamontować w pociskach manewrujących, a tych obie strony również miały pod dostatkiem i nie zamierzały z nich rezygnować. Teraz przeniesienie głowic zajęłoby pięć godzin, zamiast trzydziestu minut, lecz cele tak samo uległyby zniszczeniu.

Środki obrony przeciwrakietowej ograniczono do zabezpieczających przed atakiem pocisków taktycznych, takich jak wszechobecne Scudy. Rosjanie na pewno żalowali, że w ogóle zaczęli produkować tę broń. Rakiety chętnie sprawiały sobie rządy krajów Trzeciego Świata, których armie nie posiadały nawet przyzwoitej dywizji zmechanizowanej, lecz dyktatorzy uwielbiali parady z udziałem tych wyrośniętych V-2, bo robiły duże wrażenie na zgromadzonych tłumach. Jednak udoskonalone rakiety Patriot i ich rosyjskie odpowiedniki niwelowały to zagrożenie, a Marynarka przetestowała z powodzeniem system Aegis.

Podobnie jak Patriot, SM-2ER był bronią typowo defensywną o bardzo małym zasięgu, co, w najlepszym przypadku, pozwalało na ochronę akwenu o średnicy dwudziestu mil morskich.

System Aegis miał jednak duże możliwości. Radar typu SPY był pierwszorzędny i choć przetwarzający dane komputer przeżywał szczyt swej świetności w 1975 roku, a obecnie zwykły Apple wyprzedzał go o co najmniej trzy długości we wszystkich kategoriach, to przechwycenie i zniszczenie głowicy balistycznej nie tyle było uzależnione od wyliczenia prędkości, co raczej energii kinetycznej niezbędnej do zlikwidowania pocisku w optymalnym miejscu i czasie.

Minister Fang Gan znowu wstał wcześniej. Wieczorem odebrał pewien telefon i postanowił przyjść do pracy przed umówionym spotkaniem. To zaskoczyło jego podwładnych, którzy dopiero rozpoczynali dzień pracy. Fang wkroczył do ministerstwa, nie zwracając uwagi na zamieszanie, jakie wywołało jego przybycie. W końcu nie była to ich wina, a pracownicy wykazali dość taktu, by mu nie przeszkadzać.

Ming akurat drukowała tłumaczenie tego, co ściągnęła z Internetu. Były to, interesujące jej zdaniem, artykuły z dzienników „The Wall Street Journal” i „Financial Times”. Sekretarka domyśliła się, że ich treść musi mieć związek ze zmianą planu dnia ministra. O 9.20 jej szef miał umówione spotkanie z Ren He-Pingiem, zaprzyjaźnionym przemysłowcem. Ren też przyszedł wcześniej. Szczupły starszy pan wyglądał na zdołałego. Nie, doszła do wniosku, raczej czymś się martwi. Podniosła słuchawkę, by zaanonsować gościa, potem wstała, wprowadziła go do gabinetu i wybiegła po poranną herbatę, której jeszcze nie zdążyła podać towarzyszowi Fangowi.

Wróciła po niespełna pięciu minutach, niosąc delikatne porcelanowe filiżanki na ozdobnej tacy. Podała obu mężczyznom poranny napój z elegancją, która zasłużyła na podziękowanie ze strony Fanga, i wyszła.

– O co chodzi, Ren?

– Za dwa tygodnie nie będę miał zajęcia dla tysiąca robotników, Fang.

– O? A z jakiego to powodu, mój przyjacielu?

– Większość interesów prowadzę z pewną amerykańską firmą. Nazywa się „Butterfly”.

Sprzedają ubrania bogatym Amerykankom. Moja fabryka pod Szanghajem produkuje tkaniny, a moi krawcy w Yancheng szyją z tego ubrania, które wysyłamy do Ameryki i Europy.

Robiłem z nimi interesy od trzech lat, ku obustronnemu zadowoleniu.

– Tak? Skąd więc te trudności?

– Firma „Butterfly” właśnie odwołała zamówienie warte sto czterdzieści milionów dolarów. Zrobili to bez uprzedzenia. Jeszcze w zeszłym tygodniu zapewniali mnie, że są zachwyceni naszym towarem. Zainwestowaliśmy majątek w kontrolę jakości, żeby mieć pewność, że nie przejdą do konkurencji, a oni potraktowali nas jak psa.

– Dlaczego, Ren? – spytał minister Fang, obawiając się, że zna odpowiedź.

– Nasz przedstawiciel w Nowym Jorku powiedział, że to z powodu śmierci tych dwóch duchownych. Powiedział, że „Butterfly” nie miała wyboru, że Amerykanie demonstrowali przed ich sklepem w Nowym Jorku i nie dopuszczali kupujących. Powiedział, że „Butterfly”

nie może robić ze mną interesów w obawie przed plajtą.

– Nie masz podpisanego kontraktu? Nie są zobowiązani go dotrzymać?

– Teoretycznie, tak – skinął głową Ren – ale biznes lubi praktyczne rozwiązania, towarzyszu ministrze. Jeśli nie mogą sprzedawać naszych towarów, nie będą ich od nas kupować. Nie mogą zaciągać kredytów na coś, co się nie zwróci, prawda? W umowie jest stosowna klauzula, określająca możliwość wycofania zamówienia. Możemy podać ich do sądu, ale to potrwa całe lata. Nie wygramy, narazimy się branży i nie będą chcieli robić z nami interesów w Nowym Jorku. Krótko mówiąc, nie ma na to żadnej rady.

– Czy to sprawa chwilowa?

– Fang, prowadzimy również interesy we Włoszech z „Casa d’Alberto”, dużym europejskim domem mody. Oni również zerwali współpracę. Wygląda na to, że ten zabity przez naszą policję Włoch pochodził z potężnej i wpływowej rodziny. Nasz przedstawiciel w Rzymie twierdzi, że żadna chińska firma nie będzie mogła robić tam interesów przez dłuższy czas. Innymi słowy, towarzyszu ministrze, ten „nieszczęśliwy wypadek” w szpitalu będzie miał poważne konsekwencje.

– Ale ci ludzie muszą gdzieś kupować ubrania – zachnął się Fang.

– Rzeczywiście. I kupią je w Tajlandii, Singapurze i na... Tajwanie.

– Czy to możliwe?

– Jak najbardziej. – Ren ponuro skinął głową. – Ze sprawdzonych źródeł wiem, że kraje te gorączkowo nawiązują kontakty z naszymi byłymi partnerami. Tajwański rząd rozpoczął agresywną kampanię, odcinając się od nas, i odnosi sukcesy.

– Ależ Ren, na pewno znajdziesz innych klientów na nasze wyroby – zapewnił go Fang.

Przemysłowiec pokręcił głową. Nie tknął herbaty.

– Towarzyszu ministrze, Ameryka jest największym światowym rynkiem odzieżowym, który wkrótce zostanie dla nas zamknięty. Za nimi pójdą Włochy, tak samo będzie w Paryżu, Londynie, wszędzie... Nikt nie chce robić interesów z Chinami. Ocalić nas może jedynie Ameryka, ale tego nie zrobi.

– Ile cię to będzie kosztowało?

– Jak już mówiłem, sto czterdzieści milionów dolarów sama „Butterfly” i podobna suma u innych amerykańskich i europejskich kontrahentów.

– A twoi koledzy?

– Rozmawiałem z kilkoma. Wieści są te same, z godziny na godzinę gorsze. Wszystkie nasze kontrakty padają. Tracimy miliardy dolarów, miliardy, towarzyszu ministrze –

powtórzył.

Fang zapalił papierosa.

– Rozumiem – powiedział. – Co mamy zrobić, żeby to naprawić?

– Coś, co uspokoi Amerykę, nie tylko rząd, ale i zwykłych ludzi.

– Czy to naprawdę takie ważne? – wydusił Fang. Słyszał te bzdury wiele razy z różnych ust.

– Fang, w Ameryce ludzie mogą kupować ubrania w niezliczonej ilości sklepów najrozmaitszych producentów. To ludzie decydują, kto prosperuje, a kto pada. Rynek konfekcji damskiej jest szczególnie zmienny i kapryśny. Niewiele potrzeba, żeby jakaś firma upadła. W efekcie firmy nie podejmują dodatkowego i niepotrzebnego ryzyka. W chwili obecnej robienie interesów z Chińską Republiką Ludową jest przez wielu postrzegane jako takie niepotrzebne ryzyko.

Fang w zamyśleniu zaciągnął się papierosem. Niby od dawna o tym wiedział, lecz nie przyjmował zagrożenia do wiadomości. Ameryka była całkiem innym światem, gdzie obowiązywały inne reguły. Skoro Chiny pragnęły amerykańskich pieniędzy, musiały stosować się do tych reguł. To nie była polityka, tylko pragmatyzm.

– Co chcesz, żebym z tym zrobił?

– Proszę powiedzieć towarzyszom ministrom, że to może oznaczać dla nas ruinę finansową. Zwłaszcza dla mojej branży, a ma ona istotne znaczenie dla całej gospodarki.

Bogacimy Chiny. Jeżeli władze chcą mieć pieniądze na swoje wydatki, muszą mieć na uwadze potrzeby eksporterów. – Ren nie musiał dodawać, że on i jego koledzy stali się finansowymi i poniekąd politycznymi ambasadorami ChRL, więc towarzysze z Politbiura mogliby czasem ich wysłuchać. Ale Fang wiedział, jaka będzie odpowiedź władz. Konie rzeczywiście ciągną wóz, ale nie decydują dokąd mają jechać.

Tak wyglądała polityczna rzeczywistość w Chińskiej Republice Ludowej. Fang wiedział, że Ren jest człowiekiem bywałym w świecie, że zgromadził niezły majątek, który ChRL

pozwoliła mu pomnażać, a co najważniejsze, był inteligentny i miał kontakty, które pozwoliłyby mu znaleźć pracę wszędzie. Fang wiedział również, że Ren mógł polecieć na Tajwan, gdzie dostałby środki na budowę fabryki, w której zatrudniłby Chińczyków i zrobiłby pieniądze oferując w zamian pewne wpływy polityczne. Więcej, wiedział, że Ren był

tego świadom. Czy postąpiłby w ten sposób? Raczej nie. Był Chińczykiem, mieszkańcem kontynentu. To jego kraj i nie miał ochoty go opuszczać. W przeciwnym razie nie byłby tu i nie przedstawiał swojej sprawy ministrowi. Być może Qian Kun powinien tego również wysłuchać. Ren był patriotą, choć nie komunistą. Co za dziwaczne rozdwojenie...

Fang wstał. To spotkanie trwało już wystarczająco długo.

– Zrobię tak, mój przyjacielu – obiecał gościowi. – Będziemy w kontakcie.

– Dziękuję, towarzyszu ministrze. – Ren uklonił się i wyszedł. Nie wyglądał lepiej, ale ucieszył się, że ktoś go przynajmniej wysłuchał. Słuchanie innych nie leżało w zwyczaju członków Politbiura.

Fang usiadł, zapalił kolejnego papierosa i sięgnął po herbatę. Zastanawiał się przez chwilę

– Ming! – zawołał głośno.

Zjawiła się po siedmiu sekundach.

– Słucham, towarzyszu ministrze?

– Masz dla mnie przegląd prasy? – spytał.

Jego sekretarka zniknęła na kolejne kilka sekund, by pojawić się z paroma kartkami.

– Proszę, towarzyszu ministrze. Właśnie wydrukowałam. Ten artykuł może być szczególnie interesujący.

Był to tekst z „The Wall Street Journal”. „Poważne załamanie w chińskim handlu?”

przeczytał. Już pierwszy akapit dowodził, że pytanie zawarte w tytule było czysto retoryczne.

Ren miał rację. Musi to omówić z resztą Biura Politycznego.

Drugim ważnym zadaniem Bondarienki tego ranka było obserwowanie ćwiczeń czołgów na poligonie artyleryjskim. Pułk był uzbrojony w najnowszą wersję czołgu T-80UM. Nie był

to wóz tak nowoczesny, jak wchodzący właśnie do produkcji czołg T-99. Jednak wersja UM

miała przyzwoity i w miarę nowoczesny system kierowania ogniem. Cel był dziecinnie łatwy, wielkie, nieruchome tekturowe tarcze z wymalowanymi czarnymi sylwetkami czołgów.

Jednak wielu czołgistów od opuszczenia szkoły ani razu nie wystrzeliło – taki był obecnie poziom wyszkolenia Armii Rosyjskiej. Wprawiło to generała w zły humor.

Potem nachmurzył się jeszcze bardziej. Obserwował wybrany czołg, strzelający do celu odległego o niecałe tysiąc metrów. To prawie jak strzał z przyłożenia, ale trzy pierwsze pociski chybiły, a czwarty trafił w tarczę wysoko ponad wymalowaną sylwetkę. Następnie czołg zbliżył się do celu na dwieście metrów i znów dwukrotnie chybił, zanim wreszcie umieścił pocisk w środku sylwetki.

– To nic nadzwyczajnego – odezwał się Alijew.

– Oprócz tego, że czołg i załoga zginęli półtorej minuty temu! – warknął Bondarienko. –

Widziałeś kiedyś, co się dzieje, gdy czołg wybucha? Z załogi pozostają tylko skwarki.

– To ich pierwsze ćwiczenia ogniowe – rzekł Alijew, mając nadzieję udobruchać szefa. –

Mamy ograniczone zapasy pocisków ćwiczebnych, które na dodatek nie są tak celne, jak amunicja bojowa.

– A jak stoimy z tą ostatnią?

– Miliony – uśmiechnął się Alijew. – Magazyny są pełne amunicji wyprodukowanej w latach siedemdziesiątych...

– To jej użycie – rozkazał generał.

– Moskwie się to nie spodoba – uprzedził pułkownik. Amunicja bojowa była droższa.

– Nie mamy im się podobać, tylko ich bronić, Andrieju Pietrowiczu – odparł wzburzony Bondarienko.

– Dlatego ćwiczymy, towarzyszu generale. – Bondarienko miał opinię oficera, który szuka rozwiązań, zamiast mnożyć problemy. Jak choćby ćwiczenia czołgistów. Dziś wypadły fatalnie, ale za tydzień będzie znacznie lepiej, zwłaszcza gdy załogi dostaną bojową amunicję zamiast ćwiczebnej.

Większość rzeczy, które robił jego nowy szef, miała sens. Za dwa tygodnie na kolejnym sprawdzianie zobaczą więcej trafień niż chybionych strzałów.

Rozdział 40

Świat mody

– I co, George? – spytał Ryan.

– Zaczęło się. Anulują setki podobnych kontraktów na następny sezon, do tego przedświąteczne kontrakty na zabawki – odparł sekretarz skarbu.

– I to nie tylko u nas. Włochy, Francja, Anglia, wszyscy zrywają z nimi. Mówimy już o miliardach.

– Jak to wpłynie na ich gospodarkę? – spytał sekretarz stanu.

– Scott, przyznam, że sytuacja, w której o losach narodu decydują biustonosze z metką Victoria's Secret, wygląda komicznie, ale forsa to forsa. Potrzebują jej, a tu nagle powstaje olbrzymia wyrwa w ich finansach. Dostaną szau.

– Przewidywany zakres strat? – spytał Ryan.

– To nie moja działka – odparł Adler – tylko George'a.

– Dobrze – Ryan spojrzał na drugiego członka gabinetu.

Winston wzruszył ramionami.

– Teoretycznie mogą wyjść z tego bez większych trudności, ale to zależy od tego, jak poradzą sobie z deficytem. Ich przemysł to nieprawdopodobnie zagmatwany splot firm prywatnych i przedsiębiorstw państwowych. Prywatne są, rzecz jasna, dochodowe, a najgorsze z państwowych należą do wojska. Widziałem analizy działalności gospodarczej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej i na pierwszy rzut oka przypominało to magazyn satyryczny MAD. Żołnierze na ogół niewiele wiedzą o produkcji, głównie wszystko psują, a dodatek ideologii marksistowskiej niewiele pomaga. Dlatego te „przedsiębiorstwa” marnują olbrzymie środki finansowe. Jeśli je zamkną, a przynajmniej poważnie ograniczą ich działalność, wyjdą z kryzysu bez większego szwanku. Ale tego nie zrobią.

– To prawda – przyznał Adler. – Armia ma olbrzymie wpływy polityczne. Partia sprawuje władzę, ale ogon rozrósł się wystarczająco, żeby machać psem. W kraju występują niepokoje społeczne. Potrzebują armii, żeby trzymać wszystko w garści, więc wojsko zgarnia lwią część dochodu narodowego.

– Klingoni – mruknął Ryan i skinął głową. – Dobrze, mówcie dalej.

– Nie potrafimy przewidzieć skutków, jakie będzie to miało dla ich społeczeństwa, skoro nie wiemy, jak zareagują na brak pieniędzy – odezwał się Winston.

– A co będzie, kiedy zaczną pisać z bólu? – spytał Ryan.

– Będą musieli wykonać jakiś miły gest, na przykład zamówienia u Boeinga i Caterpillar, i to w dodatku publicznie.

– Nie zrobią tego, bo nie mogą – zaproponował Adler. – To by oznaczało utratę twarzy. Dla Azjatów to niedopuszczalne. Zaproponują nam ustępstwa, ale nieoficjalnie.

– Co u nas będzie politycznie nie do przyjęcia. Jeśli wystąpię z czymś takim w Kongresie, to najpierw mnie wyśmieją, a potem ukrzyżują. – Ryan spróbował drinka.

– A oni nie będą mogli zrozumieć, czemu nie możesz nagiąć Kongresu do swej woli.

Uważają cię za silnego przywódcę i przypuszczają, że podejmujesz decyzje na własną rękę – poinformował prezydenta Orzeł.

– Czy nie wiedzą, jak pracuje nasz rząd? – zapytał prezydent.

– Jack, jestem pewien, że mają ekspertów, którzy znają się na naszych procedurach konstytucyjnych lepiej niż ja, ale członkowie Politbiura nie chcą ich słuchać. Wywodzą się z zupełnie innej formacji politycznej i tylko ona jest dla nich zrozumiała. Dla nas „lud” oznacza popularność, opinię publiczną i, co najważniejsze, wyborców. Dla nich to robotnicy i chłopci, poddani, którzy mają wykonywać polecenia.

– I z takimi ludźmi robimy interesy? – odezwał się Winston.

– To się nazywa *Realpolitik*, George – wyjaśnił Ryan.

– Przecież nie możemy udawać, że oni nie istnieją. Jest ich ponad miliard, a swoją drogą, mają też broń jądrową i nawet rakiety balistyczne. – Ten komentarz wniósł niemiły akcent do rozmowy.

– Według CIA aż dwanaście, ale my w razie konieczności jesteśmy w stanie zamienić ich kraj w plac parkingowy. Tylko że zajmie to dwadzieścia cztery godziny, zamiast czterdziestu minut – oznajmił swoim gościom Ryan, starając się przy tym nie poczuć dreszczu.

Perspektywa była tak realna, że czuł się zaniepokojony. – Oni o tym wiedzą, a kto chciałby rządzić parkingiem? Są racjonalni, prawda, Scott?

– Tak mi się wydaje. Wymachują szabelką nad Tajwanem, ale już nie tak energicznie, jak dawniej, odkąd jest tam obecna Siódma Flota.

– A zatem, czy ten krach finansowy rozłoży ich gospodarkę? – nalegał Jack.

– Wątpię czy zechcą do tego dopuścić, chyba że byliby bardzo głupi.

– Scott, czy są głupi? – Ryan spytał przedstawiciela Departamentu Stanu.

– Nie aż tak, przynajmniej tak mi się wydaje.

– Dobrze, w takim razie mogę pójść na górę i przygotować sobie kolejnego drinka. –

Ryan wstał, a goście poszli w jego ślady.

– To obłąd – warknął Qian Kun, przerywając Fangowi w pół słowa.

– Nie polemizuję z tobą, Qian, ale musimy zreferować sprawę reszcie naszych kolegów.

– Fang, to oznacza dla nas ruinę. Za co kupimy zboże i ropę?

– Jakie mamy rezerwy?

Minister finansów usiadł i zaczął się zastanawiać. Zamknął oczy i próbował przypomnieć sobie zestawienia, jakie otrzymał w pierwszy poniedziałek miesiąca. Wreszcie otworzył oczy.

– Zeszłoroczne zbiory były lepsze niż zwykle. Mamy żywności na jakiś rok, zakładając, że tegoroczne plony będą przeciętne lub nawet nieco gorsze. Pałącym problemem jest ropa.

Ostatnio zużywaliśmy jej bardzo dużo, z powodu nieustannych manewrów na północy i na wybrzeżu. Rezerw ropy mamy na cztery miesiące, a pieniędzy wystarczy na kolejne dwa.

Potem będziemy musieli ograniczyć zużycie. Jeśli chodzi o węgiel jesteśmy samowystarczalni, więc prądu będzie pod dostatkiem. Światła będą się palić, pociągi będą kursowały, ale armia będzie kulała. – Nie dodał, że nie widzi w tym nic złego. Obaj mężczyźni zdawali sobie sprawę ze znaczenia Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, lecz obecnie były to raczej wewnętrzne siły bezpieczeństwa, coś na kształt olbrzymiej, doskonale uzbrojonej policji, a nie gwarant nienaruszalności granic, którym zresztą nic nie zagrażało.

– Armii to się nie spodoba – uprzedził Fang.

– Mało mnie obchodzi, co się komu podoba – odparował minister finansów. – Musimy wydobyć kraj z dziewiętnastego wieku. Trzeba rozbudować przemysł, nakarmić i zatrudnić ludzi. Ideologia z czasów naszej młodości nie spełniła pokładanych w niej oczekiwań.

– Czy chcesz przez to powiedzieć...?

Qian poruszył się w krześle.

– Pamiętasz, co mówił Deng? Nieważne, czy kot jest biały, czy czarny, byleby łapał

myszy. A Mao wkrótce go za to wysłał w odstawkę. Teraz mam dodatkowe dwieście milionów gąb do wyżywienia, a dodatkowe środki może zapewnić nam jedynie czarny kot, nie biały. Żyjemy w rzeczywistym świecie, Fang. Ja też mam Czerwoną Książeczkę, ale nigdy nie próbowałem się nią najeść.

Ten były inżynier kolejowy był pochwycony w sidła swej pracy i biurokracji, zupełnie jak jego poprzednik, który zmarł stosunkowo młodo w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat, zanim został wyrzucony ze swego miejsca w Politbiurze. Qian, jako młody sześćdziesięciosześcioletek, powinien nauczyć się bardziej rozważnie myśleć i wypowiadać się. Miał zamiar to powiedzieć, gdy Qian odezwał się na nowo.

– Fang, ludzie tacy jak my muszą mieć możliwość nieskrępowanej wymiany poglądów. Nie jesteśmy studentami pełnymi rewolucyjnego zapału. Mamy już swoje lata, doświadczenie i powinniśmy

szczerze przedstawiać problemy. Podczas posiedzeń zbyt wiele czasu tracimy klęcząc przed zwłokami Mao. On nie żyje, Fang. Owszem, to był wielki człowiek i wspaniały przywódca naszego narodu, ale nie był Buddą, Jezusem czy kimś takim. Był tylko człowiekiem, miał swoje poglądy, w większości słuszne, lecz w niektórych sprawach się mylił, a inne nie sprawdziły się. Wielki Skok nie załatwił niczego, a Rewolucja Kulturalna, oprócz eliminacji niepożądanych intelektualistów i wichrzycieli, zagłodziła miliony ludzi na śmierć, co było jeszcze bardziej niepożądane.

– To prawda, mój młody przyjacielu, ale istotne jest, jak przedstawiś swoje koncepcje –

Fang ostrzegł swego kolegę, pozbawionego prawa głosu członka Politbiura. Zrób to w głupi sposób, pomyślał, a skończysz licząc worki z ryżem w jednym z kolchozów. Sam był już nieco za stary, by brodzić boso w błocie.

– Poprzesz mnie? – zapytał Qian.

– Spróbuję – odparł bez entuzjazmu Fang. Musiał również wstawić się w sprawie Ren He-Pinga. Zapowiadał się trudny dzień.

– Dobrze, Qian – rzekł znużonym głosem premier Xu – mów dalej.

– Towarzysze, podczas ostatniego posiedzenia uprzedzałem was o pojawieniu się poważnego zagrożenia. Teraz ten problem stał się realny, a jego skala rośnie.

– Czy zostaliśmy bez pieniędzy, Qian? – spytał z nieukrywaną drwiną Zhang Han San.

Odpowiedź rozbawiła go jeszcze bardziej.

– Owszem, Zhang.

– Jak naród może zostać bez grosza? – spytał jeden z członków Politbiura.

– Tak samo jak prosty robotnik, jeśli żyje ponad stan. Innym sposobem jest obrażenie szefa i utrata pracy. My zrobiliśmy jedno i drugie – odparł nieśmiało Qian.

– A jakiegoż to mamy „szefa”? – zapytał bezceremonialnie Zhang.

– Towarzysze, mam na myśli handel. Sprzedajemy nasze towary, a za uzyskane pieniądze kupujemy inne. Odkąd przestaliśmy być wieśniakami wymieniającymi owce za świny, musimy posługiwać się pieniędzmi. Nasza wymiana handlowa z Ameryką zamknęła się dodatnim bilansem handlowym na sumę siedemnastu miliardów dolarów...

– Hojne zamorskie diabły – wtrącił premier Xu.

– ...które w większości zostały wydane na różne zakupy, głównie na potrzeby naszych kolegów z Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Chodzi tu przede wszystkim o kontrakty długoterminowe, które należy

opłacać z góry, co jest normą w przypadku dostaw uzbrojenia.

Do tego należy dodać ropę i zboże. Istnieją też inne pilne potrzeby naszej gospodarki, ale skoncentrujemy się chwilowo na dwóch ostatnich. – Qian rozejrzył się po zebranych, szukając poparcia. Uzyskał je z najmniej oczekiwanej strony... Marszałek Luo Cong, minister obrony, naczelny dowódca Armii Ludowo-Wyzwoleńczej i absolutny władca wojskowego imperium gospodarczego, kiwnął potakująco głową, mimo że jeszcze przed chwilą z trudem ukrywał

wzburzenie, słuchając wypowiedzi ministra finansów. Najwyraźniej pełne wyszczególnienie kosztów jego działalności gospodarczej nie było mu w smak.

– Towarzysze – ciągnął Qian – stoimy obecnie w obliczu rosnącego deficytu w wymianie handlowej z Ameryką i innymi krajami. Widzieliście to? – Pokazał stos teleksów i wydruków poczty elektronicznej. – To są rezygnacje z zamówień handlowych i anulowania transferów walutowych. Wyjaśnię bliżej. To są miliardy dolarów, które straciliśmy, a które częściowo już wydaliśmy i nie odzyskamy ich już nigdy.

– Czy chcesz powiedzieć, że mają taką władzę nad nami? Bzdura! – wtrącił inny członek Politbiura.

– Towarzysze, oni mają władzę polegającą na tym, czy zdecydują się kupić, czy nie. Jeśli postanowią nie kupować, nie będziemy mieli pieniędzy, których potrzebujemy na kosztowne zabawki marszałka Luo. – Celowo użył tego słowa. Nadeszła pora, by uświadomić tych ludzi, a słowny policzek na pewno przykuł ich uwagę. – Pomówmy o mące. Robi się z niej chleb i makaron. Nasz kraj nie produkuje wystarczająco dużo zbóż, by wyżywić społeczeństwo.

Wiemy o tym. Mamy za dużo gęb do nakarmienia. Za kilka miesięcy najwięksi producenci zbóż – Ameryka, Kanada, Australia i Argentyna, będą mieli pszenicę na sprzedaż, tylko za co ją kupimy? Marszałku Luo, armia potrzebuje paliwa. Gospodarka cywilna również. Ponieważ jednak krajowe wydobywanie ropy nie zaspokaja potrzeb, musimy ją sprowadzać z rejonu Zatoki Perskiej czy skądkolwiek indziej. Znów powstaje pytanie, za co?

– Czy nie możemy sprzedać naszych towarów gdzie indziej? – spytał inny członek Politbiura, zaskakując Qiana swą naiwnością.

– A niby gdzie, towarzysze? Jest tylko jedna Ameryka. Obraziliśmy również całą Europę.

To co nam zostaje, Australia? To sojusznik Europy i Ameryki. Japonia? Oni sami handlują z Ameryką i raczej zastąpią nas na straconym rynku, niż coś od nas kupią. Ameryka Południowa? To są kraje katolickie, a my właśnie zabiliśmy nuncjusza apostolskiego. Co więcej, w ich rozumieniu są męczennikami za wiarę. Towarzysze, konsekwentnie przestawiliśmy strukturę naszej gospodarki na handel z USA. By móc sprzedawać gdzie indziej, musimy najpierw zbadać lokalne potrzeby, a dopiero potem wejść na nowy rynek.

Nie można po prostu wpłynąć z towarem do portu i handlować nim na nabrzeżu! Umocnienie się na nowym rynku wymaga czasu i cierpliwości. Towarzysze, zniszczyliśmy owoce dziesiętków lat pracy. Utraconych wpływów nie uda się odzyskać latami, a to oznacza, że musimy nauczyć się żyć inaczej.

– Co ty wygadujesz? – zachnął się Zhang.

– Mówię, że ChRL stoi w obliczu ruiny finansowej, ponieważ dwaj milicjanci zabili dwóch wścibskich duchownych.

– To niemożliwe!

– Niemożliwe, Zhang? Jeśli obrazisz człowieka, który daje ci pieniądze, nie licz na następne. Czy to rozumiesz? Najpierw obraziliśmy Amerykę, a potem również Europę.

Zrobiliśmy to na własne życzenie: z powodu tego nieszczęsnego incydentu w szpitalu nazywają nas barbarzyńcami. Nie bronię ich, ale muszę ci powiedzieć, co o nas myślą i mówią. I dopóki nie zaczną myśleć i mówić inaczej, będziemy płacić za nasz błąd.

– Nie wierzę w to – upierał się Zhang.

– Proszę bardzo. Możesz przyjść do mojego ministerstwa i osobiście wszystko przeliczyć.

– Qian, jak zauważył Fang, poczuł się pewniej. Wreszcie słuchali jego przemyśleń i opinii. –

Chyba nie myślicie, że wysłałem to sobie z palca przy winie?

Głos zabrał premier Xu.

– Słuchamy cię, Qian. Co musimy zrobić, żeby uniknąć tych trudności?

Po wygłoszeniu swego oświadczenia, Qian Kun nie wiedział, co ma teraz powiedzieć.

Jednak zebrani nie zaakceptowaliby takiego tłumaczenia. Skoro już dał im posmakować gorzkiej prawdy, będzie musiał dodać coś więcej.

– Musimy zmienić stereotyp myślowy Amerykanów, pokazać im, że nie jesteśmy barbarzyńcami, za jakich nas uważają. Trzeba zmienić nasz wizerunek. Na początek powinniśmy przeprosić za śmierć tych duchownych.

– Ukorzyć się przed zamorskimi diabłami? – warknął Zhang. – Nigdy!

– Towarzyszu Zhang. – Fang ostrożnie zaczął bronić Qiana. – Tak, to my jesteśmy Państwem Środka i nie jesteśmy barbarzyńcami. Oni nimi są. Jednak czasami musimy robić interesy z barbarzyńcami, a to oznacza, że powinniśmy zrozumieć ich punkt widzenia i trochę się do niego przystosować

– Ukorzyć się przed nimi?

– Tak, Zhang. Oni mają to, czego nam potrzeba i żeby to dostać musimy się im przypodobać.

– A jeśli następnym żądaniem będą zmiany polityczne, co wtedy? – odezwał się zbulwersowany Xu, co mu się rzadko zdarzało.

– Zmierzymy się i z tymi żądaniem, o ile się, oczywiście, pojawią – odparł Qian ku uldze Fanga.

– Nie możemy podjąć takiego ryzyka – odezwał się po raz pierwszy minister spraw wewnętrznych Tong Jie. Podlegała mu cała milicja. Odpowiadał za porządek w kraju i tylko w razie gdyby nie mógł sobie poradzić, prosiłby o pomoc marszałka Luo, co kosztowałoby go zarówno utratę twarzy, jak i wpływów przy tym stole. Prawdę mówiąc, na nim spoczywała odpowiedzialność za śmierć tych dwóch mężczyzn, ponieważ wydał rozkaz stłumienia wzrostu aktywności religijnej w ChRL.

Zwiększając represyjność prawa, zamierzał też zwiększyć wpływy swego resortu. – Jeśli cudzoziemcy będą nalegali na zmiany w polityce wewnętrznej, wszyscy jesteśmy zgubieni.

Fang zorientował się od razu, że to kluczowy problem. Tak jak pozostali martwił się, kiedy demonstrujący studenci zbudowali „Statuę Wolności” z *papier-maché* czy czegoś tam, nie pamiętał dokładnie. Pamiętał jednak bardzo dobrze ulgę, jaką poczuł, kiedy wojsko zniszczyło ten symbol. Zdumiała go świadomość, jak bardzo chwiejna była jego pozycja...

Władza, którą sprawował wraz z kolegami, przypominała przedstawienie odgrywane przed lustrem. Mieli potężną władzę nad wszystkimi obywatelami swego kraju, lecz tak naprawdę była to jedynie iluzja i nie mogli pozwolić, by inne kraje wtrącały się do ich spraw wewnętrznych, bo od nienaruszalności tej iluzji zależało ich życie. Wszystko to przypominało dym w bezwietrzny dzień, który wyglądał jak filar podtrzymujący nieboskłon. Wystarczyłby jednak najłżejszy podmuch i niebo runęłoby na ziemię... Na nich.

Fang widział również, że nie ma innego wyjścia. Jeżeli nie przeprowadzą zmian, które zadowolą Amerykę, wkrótce skończą się zapasy pszenicy i ropy, a pewnie także i innych surowców. Wówczas istnieje ryzyko masowych niepokojów społecznych. Mogą im zapobiec zmiany w polityce wewnętrznej, które doprowadzą w końcu do tego samego.

Co byłoby dla nich bardziej zabójcze?

To bez znaczenia, pomyślał Fang. Tak czy owak zginą. Zastanawiał się leniwie jak to się odbędzie. Rozszalały tłum, salwa pod murem czy sznur? Raczej kulka w łeb. W ten sposób w jego kraju przeprowadzano egzekucje. Może lepsze byłoby starożytne ścięcie mieczem. A jeśli kat chybi? To musiałoby być straszne. Rozejrzał się po zebranych i stwierdził, że wszyscy snują podobne rozważania, przynajmniej ci co bystrzejsi. Wszyscy ludzie boją się nieznanego, lecz oni musieli dokonać wyboru, który był jeszcze bardziej przerażający...

– Zatem, Qian, twierdzisz, że grozi nam deficyt surowcowy z powodu braku środków finansowych? – spytał premier Xu.

– Zgadza się – potwierdził minister finansów.

– A co z innymi perspektywami pozyskania ropy i środków finansowych? – zapytał Xu.

– Z mojego punktu widzenia, nie ma żadnych – odparł Qian.

– Ropa sama w sobie jest środkiem płatniczym – powiedział Zhang. – Na północy jest mnóstwo ropy. Jest tam również złoto i obfitość innych potrzebnych nam surowców. Drewna również będzie pod dostatkiem. A w dodatku jest tam to, czego nam najbardziej potrzeba –

przestrzeń życiowa.

– Omawialiśmy to już wcześniej – wtrącił skwapliwie marszałek Luo.

– Co masz na myśli? – spytał Fang.

– Północny Rejon Surowcowy, jak go kiedyś nazwali nasi japońscy przyjaciele –

przypomniawszy zebranym Zhang.

– Ta awantura skończy się katastrofą – zaproponował natychmiast Fang. – Mielibyśmy szczęście, wychodząc z tego bez szwanku.

– Teraz też nie poniesiemy żadnych szkód – odparł beztrąsko Zhang. – Najmniejszych.

Możemy być tego pewni, prawda Luo?

– O to właśnie chodzi. Rosjanie nigdy nie wzmocnili obrony na południu. Zignorowali nawet manewry, podczas których postawiliśmy nasze wojska w stan podwyższonej gotowości bojowej.

– Czy możemy być tego pewni?

– Oczywiście – odparł minister obrony. – Tan?

Tan Deshi, jako szef Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, kierował pracami wywiadu i kontrwywiadu. Niespełna siedemdziesięcioletni, był nie tylko jednym z najmłodszych członków Politbiura, lecz również najzdrowszym. Nie palił, pił umiarkowanie i dbał o kondycję fizyczną.

– Kiedy rozpoczęliśmy nasze manewry na szeroką skalę, Rosjanie byli zaniepokojeni, lecz po dwóch latach ich zainteresowanie osłabło. W Syberii Wschodniej mieszka nielegalnie około miliona naszych rodaków, ale Rosjanie niewiele sobie z tego robią. Stąd mamy bardzo dużo raportów. Dobrze rozpracowaliśmy rosyjską obronę.

– Jaki jest ich stan gotowości? – spytał Tong Jie.

– Na ogół bardzo marny. Mają jedną pełnoetatową dywizję, drugą z dwiema trzecimi stanu, a pozostałe są prawie wyłącznie kadrowe. Nowy dowódca Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego, generał Bondarienko, rozpaczliwie stara się coś poprawić

– Chwileczkę – zaprotestował Fang. – Czy naprawdę rozważamy możliwość wojny z Rosją?

– Tak – odparł Zhang Han San. – Robiliśmy to już przedtem.

– To prawda, za pierwszym razem naszym sojusznikiem była Japonia, a Ameryka zachowała neutralność. Za drugim zakładaliśmy, że Rosja zostanie rozdarta podziałami religijnymi. Kto nas teraz poprze? Jak osłabić Rosję?

– Zabrakło nam odrobiny szczęścia – odparł Tan. – Ten człowiek, doradca prezydenta Gruszawoja, wciąż żyje.

– Co to znaczy? – zapytał Fang.

– To znaczy, że nie udała się próba zabicia go – wyjaśnił Tan. Zebrani byli wstrząśnięci szczerością szefa służb specjalnych.

– Tan miał moją zgodę – rzekł chłodno Xu.

Fang spojrział na Zhang Han Sana. To on musiał być pomysłodawcą. Zyskał posłuch Xu i silną rękę Tana. Fang myślał, że ich zna, lecz okazało się, że był w błędzie. W każdym tkwiło głęboko ukryte zło. Byli bardziej bezwzględni od niego.

– To jest wypowiedzenie wojny – zaprotestował.

– Nasze zabezpieczenie operacyjne było doskonałe. Już dawno zwerbowałem agenta, Kliementija Suworowa, byłego oficera KGB. Nieraz wykonywał dla nas różne usługi i ma doskonałe kontakty, zarówno w wywiadzie jak i kołach wojskowych, szczególnie tych, które obecnie zeszły w Rosji do podziemia. Tak naprawdę, to Suworow jest zwykłym kryminalistą, podobnie jak wielu byłych funkcjonariuszy KGB, ale pracuje dla nas. Dla pieniędzy jest gotów na wszystko. Niestety, w tym przypadku wyeliminowaniu Gołowki przeszkodził

zwykły zbieg okoliczności – zakończył Tan.

– I co dalej? – spytał Fang. Trochę się przestraszył. Zbyt się wychylił, zadając tyle pytań. Nawet w tym gabinecie, w obecności starych towarzyszy, nie opłacało się naciskać zbyt mocno.

– Politbiuro zadecyduje o tym, co będzie dalej – oświadczył Tan. Było to nieco pompatyczne, lecz poskutkowało.

Fang skinął głową i oparł się wygodniej.

– Luo, czy to jest wykonalne? – spytał Xu.

Marszałek musiał zarazem zachować dziarską minę i uważać na słowa. Obiecując na wyrost, można było sobie przy tym stole napytać biedy, choć Luo miał szczególną pozycję.

Wraz z ministrem spraw wewnętrznych Tongiem dysponował realną siłą.

– Towarzysze, od dawna rozważaliśmy ten strategiczny problem. Kiedy Rosja była Związkiem Radzieckim, taka operacja nie wchodziła w grę. Dysponowali większym potencjałem militarnym oraz dużą liczbą taktycznych i strategicznych pocisków z głowicami jądrowymi. Teraz, dzięki dwustronnym porozumieniom z Ameryką, nie mają żadnych.

Obecnie ich armia jest zaledwie cieniem tego, czym była dziesięć czy dwanaście lat temu.

Połowa poborowych nie zgłasza się do służby. Gdyby to zdarzyło się u nas, dobrze wiemy, co stałoby się z takimi nędznikami. Bardzo dużo wysiłku kosztuje ich utrzymanie sił w Czeczenii. Można powiedzieć, że Rosja jest praktycznie rozdarta konfliktami religijnymi.

Innymi słowy, cel jest osiągalny, jeśli nie zupełnie łatwy. Prawdziwe trudności wynikają z przestrzeni i odległości, nie z siły przeciwnika. Nasze granice dzieli mnóstwo kilometrów od ich nowych terenów roponośnych. Dobrą wiadomością jest jednak to, że rosyjska armia buduje drogi niezbędne do realizacji naszego planu. To na samym wstępie zmniejsza trudności o dwie trzecie. Ich lotnictwo jest śmiechu warte. Poradzimy sobie z nim. Sprzedali nam swoje najlepsze samoloty, skąpiąc ich własnym lotnikom. Żeby ułatwić sobie osiągnięcie celu, powinniśmy osłabić ich kierownictwo, zburzyć równowagę polityczną kraju. Tan, czy możesz to załatwić?

– To zależy od tego, jaki byłby cel – odparł Tan Deshi.

– Na przykład wyeliminować Gruszawoja – zastanawiał się Zhang. – To obecnie jedyna silna osobowość w Rosji. Kiedy go zabraknie, ich kraj stanie na krawędzi krachu politycznego.

– Towarzysze – powiedział Fang, podejmując ryzyko – mówimy tu o wielkich i śmiałych, lecz również bardzo niebezpiecznych przedsięwzięciach. Co będzie, jeśli przegramy?

– Wówczas, przyjaciele, nie spotka nas nic gorszego, niż obecna perspektywa – odparł

Zhang. – Jeśli jednak wygramy, co wydaje się bardziej prawdopodobne, zdobędziemy pozycję, o którą walczyliśmy od najmłodszych lat. ChRL stanie się najpotężniejszym państwem świata. – Nie musiał dodawać, że to się im należy. – Przewodniczący Mao nigdy nie zakładał klęski, prawda?

Z tym nie można było polemizować i Fang nawet nie zamierzał. Zmiana nastroju od lęku do euforii była równie gwałtowna, co zaraźliwa. Gdzie podziała się normalna ostrożność tych ludzi? Znajdowali się na tonącym statku i dostrzegli możliwość ratunku, a zgodziwszy się na jedno rozwiązanie, brnęli coraz dalej. Mógł jedynie rozsiać się wygodniej i przysłuchiwać rozwijającej się dyskusji z nadzieją, że zwycięży zdrowy rozsądek.

Ale kto go wykaże?

Rozdział 41

Spisek

– Tak, towarzyszu ministrze? – powiedziała Ming, odrywając wzrok od prawie uporządkowanych notatek.

– Czy zachowujesz ostrożność przy opracowywaniu tych materiałów?

– Oczywiście, towarzyszu ministrze – odparła natychmiast. – Nigdy nie robię z nich wydruków, jak doskonale wiecie. Czy coś was niepokoi?

Fang wzruszył ramionami. Stopniowo opuszczało go napięcie wywołane dzisiejszym zebraniem. Był jednak starszym człowiekiem, jeśli istniał tylko jakiś sposób uporania się z bieżącym problemem, znajdował go. Jeśli nie, starał się jeszcze bardziej. Jak zawsze. Nie zgadzał się z innymi i jego notatki miały udowodnić, że uchował się jako jeden z nielicznych ostrożnych sceptyków. Inny był, rzecz jasna, Qian Kun, który wychodząc z sali kręcił głową i mruczał coś do swego starszego sekretarza. Fang zastanawiał się, czy Qian też przechowuje notatki. To niegłupie posunięcie. Gdyby sprawy przybrały niekorzystny obrót, mogły być jego jedyną obroną. Przy tym poziomie ryzyka, w grę nie tyle wchodziło zesłanie do pracy na wieś, co rozsypanie popiołów nad rzeką.

– Ming?

– Tak, towarzyszu ministrze?

– Co myślisz o tamtej demonstracji studentów na placu Tiananmen?

– Jak towarzyszu minister wie, byłam jeszcze w szkole.

– Tak, ale co o tym sądzisz?

– Uważam, że byli lekkomyślni. Najwyższe drzewa ścina się w pierwszej kolejności. –

Było to stare chińskie przysłowie, zatem coś, co można bezpiecznie powiedzieć. W chińskiej kulturze wypadało potępiać takie akcje, lecz ta sama kultura przewrotnie gloryfikowała ludzi odważnych. Jak w każdym społeczeństwie, kryteria były proste. Zwycięzca zostawał

bohaterem, był podziwiany, pamiętano o jego czynach. O przegranych nie wspominał nikt, chyba że uczyniono z nich przykład godzien potępienia. Dlatego bezpieczeństwo leżało gdzieś po środku i w nim kryło się życie.

Studenci byli za młodzi, żeby o tym wiedzieć, zbyt młodzi, by pogodzić się z myślą o śmierci. Najdzielniejsi żołnierze zawsze są młodzi, obdarzeni niespokojnym duchem i poczuciem misji. Tacy nie żyją dostatecznie długo, by zobaczyć, jaki kształt przybiera świat zwracając się przeciwko nim. Są za głupi, by się bać. Dla dzieci nieznane jest materią, którą badają i której doświadczają przez cały czas. Z czasem człowiek odkrywa, że poznał już wszystko, czego można się bezpiecznie nauczyć.

Wówczas większość ludzi zatrzymuje się, z wyjątkami tych nielicznych, na których opiera się postęp, odważnych i zuchwałych, którzy z otwartymi oczyma wchodzą w nieznaną, a ludzkość pamięta tych, którzy wrócili żywi z tej wyprawy...

...i wkrótce zapomina o tych, którzy nie wrócili.

Jednak kwintesencją historii było zachowywanie pamięci o tych, którzy zwyciężyli, a istotą społeczeństwa Fanga było przypominanie o przegranych. Bardzo dziwna dychotomia.

Jakie społeczeństwo, zastanawiał się Fang, zachęca ludzi do poszukiwania nieznanego? Jak to robią? Czy prosperują, czy też błądzą po omacku w ciemnościach i giną w bezcelowych, prowadzących donikąd wędrówkach? W Chinach wszyscy kierowali się zmodyfikowanymi przez Mao myślami Marksa, bo Mao śmiało wszedł w ciemność i wrócił stamtąd z rewolucją, która odmieniła losy narodu. Jednak to załamało się, bo nikt nie chciał pójść dalej niż zaszedł

Mao i, dostąpiwszy oświecenia, objawić je Chinom i całemu światu. Mao był swego rodzaju religijnym prorokiem, doszedł do wniosku Fang.

Czy Chiny właśnie nie zabiły paru?

– Dziękuję, Ming – powiedział dziewczynie czekającej na dalsze dyspozycje. Nie widział jak zamykała drzwi, by wrócić do transkrypcji notatek z posiedzenia Biura Politycznego.

– Wielki Boże – szepnął siedzący za biurkiem doktor Sears. Jak zwykle odebrał od Mary Pat Foley laserowy wydruk materiału SORGE i wrócił do gabinetu, żeby go przetłumaczyć.

Czasem raporty były tak krótkie, że tłumaczył je od ręki, stojąc przed biurkiem szefowej, ten jednak był dość długi. Osiem i pół strony. Nie śpieszył się, ze względu na treść. Zweryfikował

tłumaczenie. Nagle zwątpił w swoją znajomość języka chińskiego. Nie mógł sobie pozwolić na niezrozumienie czy błędną interpretację wiadomości. Była zbyt gorąca. W sumie zajęło mu to dwie i pół godziny, dwa razy dłużej, niż zapewne oczekiwała pani Foley.

– Co tak długo? – spytała go MP, kiedy wreszcie wrócił.

– To jest bardzo gorące, pani Foley.

– Jak bardzo?

– Parzy – odparł Sears, wręczając jej przekład.

– O? – Wzięła wydruk i rozsiadła się wygodniej, by go przeczytać. SORGE, źródło Kanarek. Zerknęła na tytuł: „Wczorajsze posiedzenie Politbiura”. Potem Sears zobaczył jej minę. Zmrużyła oczy, sięgając po toffi. Potem podniosła wzrok. – Nie żartowałeś.

Weryfikacja?

– Proszę pani, nie mogę sprawdzić wiarygodności źródła, ale jeśli to prawda, to jesteśmy świadkami zdarzeń, o jakich czyta się tylko w podręcznikach historii. Innymi słowy, nikt jeszcze o czymś takim nie słyszał, nikt w tym budynku. Chodzi mi o to, że cytowani są wszyscy ministrowie ich rządu, a większość mówi to samo.

– I nie jest to coś, co chcielibyśmy usłyszeć – podsumowała Mary Patricia Foley. –

Zakładając, że jest to wierna relacja, czy robi wrażenie prawdziwej?

– Tak, proszę pani – skinął głową Sears. – Wygląda to na autentyczną wymianę poglądów członków

Politbiura

i

wypowiedzi

odpowiadają

znanym

mi

charakterystykom

poszczególnych postaci. Czy może być spreparowana? Owszem. Jeśli tak, źródło zostało spalone. Jednak z drugiej strony nie widzę celu preparowania wiadomości, bez chęci wywarcia odpowiedniego wrażenia. W tym przypadku nie byłoby to dla nich zbyt korzystne.

– Jakież sugestie?

– Dobrze byłoby sprowadzić profesora George’a Weavera z Providence – odparł Sears. –

On potrafi wczuć się w ich tok myślenia. Niech zweryfikuje moje wnioski.

– Jak one brzmią? – spytała Mary Pat, nie czytając ostatniej strony.

– Przygotowują się do wojny.

Zastępca dyrektora CIA do spraw operacyjnych wstała i wyszła w towarzystwie doktora Searsa. Udała się do gabinetu męża i weszła, nie spoglądając nawet na sekretarkę Eda.

Dyrektor Foley był akurat w trakcie spotkania ze swoim zastępcą do spraw naukowo-technicznych i jego dwoma starszymi współpracownikami. Zdziwił się, a potem dostrzegł

niebieską teczkę.

– Tak, kochanie?

– Wybacz, ale to nie może czekać ani chwili. – Ton jej głosu był równie poważny, co słowa.

– Frank, czy możemy spotkać się po lunchu?

– Jasne, Ed. – Gość pozbiierał swoje dokumenty i wyszedł wraz ze swoimi towarzyszami.

– SORGE? – spytał dyrektor CIA, kiedy Frank zamknął drzwi.

Mary Pat skinęła głową, wręczyła mężowi raport i usiadła na kanapie. Sears stał. Dopiero wówczas zauważył, że pocą mu się dłonie, co nie zdarzało się przedtem. Sears, jako szef Departamentu Chińskiego, odpowiadał za polityczną ocenę tego, kto zajmuje jaką pozycję w chińskiej hierarchii politycznej, czyja koncepcja ekonomiczna zwycięży. Wraz ze współpracownikami żartował w stołówce, że tworzą kronikę towarzyską ChRL. Do dzisiaj nie widział niczego podobnego.

– Czy to prawdziwe? – spytał dyrektor CIA.

– Sears uważa, że tak. Sądzi również, że powinniśmy wezwać Weavera z Brown University.

Ed Foley spojrział na Searsa.

– Dzwon do niego. Natychmiast.

– Tak jest. – Sears poszedł zatelefonować.

– Powinien to zobaczyć Jack. Co teraz robi?

– Zapomniałaś? Za osiem godzin wylatuje do Warszawy. Spotkanie Rady NATO, okolicznościowe zdjęcie w Auschwitz. W drodze do domu zatrzyma się w Londynie na obiad w pałacu Buckingham. Zakupy na Bond Street – dodał Ed. Na miejscu był już tuzin agentów Tajnej Służby, którzy współpracowali w Londynie z policją i MI-5. Dwudziestu następnych było w Warszawie, gdzie względy bezpieczeństwa nie były aż tak palące. Polacy byli szczęśliwi jako sojusznicy Ameryki, a w odziedziczonych po komunizmie policyjnych strukturach zachowały się akta wszystkich, którzy mogli sprawiać kłopoty. Każdy z podejrzanych dostanie anioła stróża na cały czas pobytu Ryana w Polsce. Szczyt NATO miał

służyć głównie sprawom ceremonialnym, by grono europejskich polityków mogło dobrze zaprezentować się swoim wielojęzycznym wyborcom.

– Jezu, oni mówią o zamachu na Gruszawoja! – jęknął Ed Foley, czytając trzecią stronę. –

Czy wszyscy dostali pomieszania pieprzonych zmysłów?

– Wygląda na to, że znienacka poczuli się zapędzeni do narożnika – zauważyła jego żona.

– Chyba przeceniliśmy ich polityczną stabilność.

Foley skinął głową i zerknął na żonę.

– Czy już?

– Natychmiast – zgodziła się.

Jej mąż podniósł słuchawkę i nacisnął guzik oznaczony jedyneką.

– Tak, Ed, o co chodzi? – spytał Jack Ryan.

– Mary i ja wybieramy się do ciebie.

– Kiedy?

– Zaraz.

– Aż tak ważne? – zapytał prezydent.

– To sprawa najwyższej wagi państwowej, Jack. Powinieneś zaprosić również Scotta, Bena i Arnie’ego. Może też George’a Winstona. Jest ekspertem w tej dziedzinie.

– Chiny?

– Tak.

– Dobrze, przychodźcie. – Ryan przełączył telefon. – Ellen, potrzebuje sekretarza stanu, sekretarza skarbu, Bena i Arnie’ego. Za pół godziny w moim gabinecie.

– Tak, panie prezydencie – odparła sekretarka.

Wyglądało to na pilną sprawę, lecz Robby Jackson znów wyjechał z miasta, tym razem, żeby wygłosić przemówienie w zakładach Boeinga w Seattle, gdzie robotnicy i zarząd chcieli dowiedzieć się o losach zamówienia na 777 dla Chin. Robby nie miał zbyt wiele do powiedzenia w tej sprawie, więc zamierzał mówić o tym, jak ważne są prawa człowieka, że Ameryka wierzy w zasady i tym podobnych komunałach. Pracownicy Boeinga będą uprzejmi, bo trudno być niegrzecznym wobec Afroamerykanina, zwłaszcza noszącego w klapie odznakę pilota Marynarki. Głównym zadaniem Robby’ego było nauczenie się łagodzenia takich politycznych konfliktów. Oprócz tego, że naciskał go Ryan, była to pierwsza tego typu misja w życiu Jacksona, i co najdziwniejsze, godził się z tym stosunkowo spokojnie. Tak więc jego VC-20B był teraz gdzieś nad Ohio, pomyślał Jack, może nad Indianą. Weszła Andrea.

– Coś się szykuje? – spytała agentka specjalna Price-O’Day.

Wyglądała trochę blado, zauważył Jack.

– Zwykła podejrzliwość. Dobrze się czujesz? – odparł prezydent.

– Kłopoty żołądkowe. Za dużo kawy na śniadanie.

Poranne mdłości? Skoro tak, to fatalnie. Andrea bardzo chciała być chłopcem. Przyznanie się do kobiecej przypadłości zraniłoby boleśnie jej dumę. Nie powinien niczego mówić na ten temat. Raczej Cathy. To babskie sprawy.

– Foley przychodzi z czymś, co uważa za bardzo ważne. Może na Kremlu zmienili gatunek papieru toaletowego – tak mówiliśmy w Langley, kiedy tam pracowałem.

– Tak jest – uśmiechnęła się. Jak większość agentów Tajnej Służby widziała nieraz ludzi przychodzących z tajnymi rewelacjami. Jeśli to coś naprawdę bardzo ważnego, dowie się w swoim czasie.

– Co to oznacza? – spytał Arnie van Damm. Spotkanie zaczęło się od rozdania kopii ostatniego raportu SORGE. Arnie czytał najszybciej, ale nie był najlepszym analitykiem.

– Na pewno nic dobrego, chłopie – rzucił Ryan, przechodząc do trzeciej strony.

– Ed – spytał Winston znad drugiej strony. – Co możesz powiedzieć mi o tym źródle? To wydaje się wydarte diabłu.

– Członek chińskiego Politbiura sporządza notatki z rozmów z innymi ministrami. Mamy do nich dostęp. Mniejsza z tym, w jaki sposób.

– Więc dokument i źródło są autentyczne?

– Tak nam się zdaje.

– Czy są wiarygodne? – naciskał Kupiec.

Dyrektor Foley zdecydował się na ryzykowny krok.

– Nie mniej niż twoje rachunki.

– Dobrze, Ed, skoro tak mówisz. – Winston pochylił głowę nad lekturą. Po dziesięciu sekundach mruknął: – Cholera!

– Słusznie, George – zgodził się prezydent. – Cholera pasuje jak ulał.

Spośród obecnych jedynie doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego Ben Goodley przebrnął przez cały dokument bez komentarza. Goodley czuł się jak stremowany uczeń przed

obliczem profesora. Brało się to stąd, iż wiedział, że w sprawach związanych z bezpieczeństwem narodowym nie dorównuje wiedzą prezydentowi i tak naprawdę jest jedynie wysoko kwalifikowanym sekretarzem, Poprzedni lokatorzy biura mieszczącego się w Zachodnim Skrzydle Białego Domu często radzili prezydentom, co mają robić. On jednak był

jedynie przekaźnikiem informacji i w tym momencie czuł się wyjątkowo niezręcznie.

Wreszcie Jack Ryan podniósł głowę i popatrzył przed siebie beznamiętnym spojrzeniem.

– Dobrze. Ed, Mary Pat, co my tu mamy?

– Wygląda na to, że sprawdziły się przewidywania sekretarza Winstona co do finansowych konsekwencji incydentu pekińskiego.

– Chodziło o doraźne konsekwencje – zauważył chłodno Scott Adler. – Gdzie jest Tony?

– Sekretarz Bretano jest w Fort Hood w Teksasie. Wraca dziś późnym wieczorem. Jeśli odwołamy go w pośpiechu, rzuci się to w oczy – wyjaśnił wszystkim van Damm.

– Ed, czy masz coś przeciwko temu, żebyśmy przesłali to również jemu, bezpieczną linią?

– Nie.

– Dobrze. – Ryan skinął głową i sięgnął po telefon. – Proszę przysłać Andreeę. Nie trwało to nawet pięciu sekund.

– Słucham, panie prezydencie?

– Zanieś to do Biura Łączności, niech wyślą to systemem Tapdance Piorunowi. Potem odnieś dokument z powrotem, dobrze?

– Tak jest.

– Dzięki, Andrea – powiedział Ryan. Nalał sobie wody i odwrócił się w stronę gości. –

To wygląda dość poważnie. Jak bardzo?

– Sprowadzamy z Brown profesora Weavera, żeby to ocenił. To jeden z najlepszych specjalistów w kraju od ich mentalności.

– To czemu, do cholery, nie pracuje dla mnie? – spytał Jack.

– Podoba mu się w Brown. Pochodzi z Rhode Island. Z tego, co wiem, dziesiątki razy proponowaliśmy mu pracę na drugim brzegu rzeki – powiedział dyrektor Foley – ale on zawsze mówi to samo.

– Wciąż to samo, Jack. Znam George’a ponad piętnaście lat. Nie chce pracować dla rządu.

– Jest taki, jak ty, Jack – dodał nieco lekkomyślnie Arnie.

– A poza tym dostanie więcej pieniędzy jako pracownik kontraktowy. Ed, kiedy przyjedzie, nie zapomnij przysłać go do mnie.

– Kiedy? Odlatujesz za kilka godzin – przypomniał mu Ed.

– Cholera – zreflektował się Ryan.

Po drugiej stronie ulicy, w swoim biurze Callie Weston właśnie kończyła pisać jego ostatnie oficjalne przemówienie. Będzie nawet doglądać wszystkiego na pokładzie Air Force Jeden. Czemu nie może zajmować się jedną sprawą naraz? Ponieważ na tym poziomie nie trafiają się one po kolei.

– Dobrze – powiedział Jack. – Musimy ocenić zagrożenie i znaleźć metodę zapobieżenia mu. Co to w praktyce oznacza?

– Jedną z wielu rzeczy – odparł sekretarz stanu Adler. – Możemy podejść do tego ze spokojem. No, wiesz, powiedzieć im, że sprawy zaszły za daleko i że jesteśmy skłonni współpracować z nimi dla poprawy sytuacji.

– Tylko że ambasador Hitch akurat przyjechał na konsultacje. Dokąd udał się dzisiaj, Kongres czy pole golfowe Burning Tree? – spytał prezydent. Hitch uwielbiał grę w golfa, sport raczej trudny do uprawiania w Pekinie, pomyślał ze współczuciem Ryan. Sam miał

szczęście, jeśli udało mu się rozegrać jedną partyjkę tygodniowo.

– Charge d'affair w Pekinie jest za młody na takie sprawy. Nieważne, co przez niego przekazemy, i tak nie potraktują tego poważnie.

– A co właściwie mielibyśmy im do zaoferowania? – spytał Winston. – Nic bardziej by ich nie ucieszyło, niż jakakolwiek propozycja z naszej strony. Tylko że to oni powinni zrobić pierwszy krok, a z tego co widzę, nie zamierzają dać nam niczego, oprócz bólu głowy.

Ogranicza nas to, co może być tolerowane przez nasz kraj.

– Będziemy tolerowali wybuch wojny? – warknął Adler.

– Spokojnie, Scott. To są tylko rozważania. Kongres musi zatwierdzić wszystkie rzeczy na tyle poważne, żeby mogły ucieszyć chińskich sukinsynów, prawda? Żeby uzyskać zgodę Kongresu, mielibyśmy dać im do oceny to. – Winston pomachał tajnym dokumentem. –

Tylko, że nie możemy tego zrobić, bo Ed się na to nie zgodzi, a nawet gdybyśmy to zrobili, któryś z kongresmanów natychmiast rozgłosi to w Nowym Jorku, gdzie połowa mieszkańców uznałaby to za szantaż i oświadczyła, że pieprzy Chinoli. Miliardy na obronę tak, ale ani centa okupu. Mam rację?

– Tak – przyznał Arnie. – Druga połowa nowojorczyków nazwie to odpowiedzialnym stanowiskiem, ale przeciętnemu zjadaczowi chleba to się nie spodoba. Zwykły obywatel oczekuje, że zadzwonisz do premiera Xu i pogroźisz mu palcem, co powinno wystarczyć.

– Przy okazji zginie Kanarek – dodała Mary Pat, na wypadek, gdyby serio rozważali takie wyjście. – Poświęcimy ludzkie życie i pozbawimy się dalszego dopływu bezcennych informacji. Z lektury raportu wynika, że Xu wszystkim zaprzeczy, a i tak zrobi swoje.

Czują się zapędzeni do narożnik, ale są za mało sprytni, żeby się stamtąd wydostać.

– Co im grozi...? – spytał Kupiec.

– Kryzys polityczny – wyjaśnił Ryan. – Boją się, że jeśli cokolwiek zaburzy równowagę polityczną lub gospodarczą, zawali się cały domek z kart. Co grozi poważnymi konsekwencjami dla czerwonego dworu cesarskiego w ChRL.

– Jak topór, na przykład – wyrwał się Ben Goodley. – Czy raczej kula karabinowa. –

Jednak nie poprawiło mu to humoru. Nie obejmował skali problemu i wiedział o tym.

Wtedy zadzwonił prezydencki STU. To był Piorun, sekretarz obrony Tony Bretano.

– Tak, Tony – powiedział Ryan. – Przełączam cię na głośnik. Są tu Scott, George, Arnie, Ed, Mary Pat i Ben. Właśnie przeczytaliśmy to, co dostałeś.

– Zakładam, że to prawdziwe.

– Jak cholera – zapewnił nowego członka klubu SORGE Ed Foley.

– To niepokojące.

– Z tym się wszyscy zgadzamy, Tony. Gdzie jesteś?

– Stoję na pancerzu Bradleya. W życiu nie widziałem tylu armat i czołgów naraz. Czuć prawdziwą siłę.

– Jasne. To, co właśnie przeczytałeś, pokazuje ci, gdzie są jej granice.

– Zauważyłem. Jeśli chcecie wiedzieć, co o tym myślę, to powinniśmy pokazać komuś, że takie zabawy mogą się dla niego źle skończyć.

– Jak mielibyśmy to zrobić, Tony? – spytał Adler.

– Tak jak na przykład pewna ryba. Kiedy czuje się zagrożona wciąga kilka litrów wody i nadyma się tak, że wygląda na zbyt dużą do połknięcia.

Ryan był szczerze zdumiony słysząc to. Nie spodziewał się, że Bretano zna się na zwierzętach. Był fizykiem i naukowcem. Może, tak jak wszyscy, oglądał Discovery?

– Mamy ich nastraszyć?

– Powiedziałbym raczej, że wyrzucić na nich wrażenie.

– Jack, skoro jedziemy do Warszawy, możemy powiadomić o tym Gruszawoja... a może zaprosić ich do NATO? Polacy już należą do paktu. To zobowiązałoby całą Europę do obrony Rosji przed inwazją. Chodzi mi o wzajemne gwarancje bezpieczeństwa. „Nie zadzierasz tylko ze mną koleś. Zadzierasz ze wszystkimi moimi kumplami!”. To metoda stara jak świat.

Ryan zastanowił się nad tym i popatrzył po zebranych.

– Opinie?

– To jest jakieś wyjście – odezwał się Winston.

– A co z innymi członkami NATO? Wyrażą zgodę? NATO – przypomniał zebranym Goodley – powstało dla obrony przed Rosjanami.

– Sowieciami – poprawił go Adler. – To nie to samo.

– Ci sami ludzie i ten sam język – upierał się Goodley. Tu poczuł pewny grunt. –

Proponuje pan eleganckie rozwiązanie obecnego problemu, ale żeby do tego mogło dojść, trzeba będzie powiedzieć innym krajom o SORGE. – Foley jęknął słysząc tę uwagę. Trudno o większych plotkarzy, jak szefowie rządów.

– Do licha, od dawna nadzorowaliśmy siły zbrojne Chinoli. Możemy powiedzieć, że natrafiliśmy na niepokojące nas materiały – zaproponował dyrektor CIA. To wystarczy dla ignorantów.

– Dalej, jak uda się nam przekonać Rosjan? – zastanawiał się głośno Jack. – W Moskwie uznają to za utratę prestiżu.

– Musimy przedstawić im skalę zagrożenia – oświadczył Adler. – W końcu chodzi o ich kraj.

– Ale oni nie są w ciemności. Ze względu na bezpieczeństwo narodowe będą chcieli znać autora i tytuł – wtrącił Goodley.

– Wiesz, kto teraz jest w Moskwie? – Foley spytał Ryana.

– John?

– Tęcza Sześć. John i Ding znają Gołówkę, chłoptasia numer jeden Gruszawoja. To miły i wygodny

kanal zapasowy. Może nie uszczęśliwimy Siergieja Nikołajewicza, ale pewnie wolałby wiedzieć, nie zgadywać.

– Czemu ci cholerni idioci po prostu nie przeproszą za zastrzelenie tych dwóch duchownych? – zastanowił się na głos Ryan.

– Czy jeden z siedmiu grzechów głównych stanowi powód do dumy? – spytał w odpowiedzi Ed Foley.

Clark wyjął komórkę satelitarną z wbudowanym systemem kodowania. Aparat miał

zaledwie centymetr grubości. Jak większość telefonów tego typu, potrzebował czasu na zsynchronizowanie się z aparatem rozmówcy, a tu dochodziło jeszcze opóźnienie wywołane łącznością satelitarną.

– Linia jest bezpieczna – oznajmił w końcu kobiecy głos z komputera.

– Kto mówi?

– Ed Foley, John. Jak Moskwa?

– Miła. Co się dzieje, Ed? – spytał John.

Dyrektor CIA nie dzwoni na bezpiecznej linii z Waszyngtonu, by wymieniać uprzejmości.

– Jedź do ambasady, mamy informację, którą musisz przekazać dalej.

– Jakiego rodzaju?

– Jedź do ambasady. Będę czekał. Dobrze?

– Zrozumiałem. Bez odbioru. – John zamknął telefon i wrócił do baru.

– Coś ważnego? – spytał Chavez.

– Musimy spotkać się z kimś w ambasadzie – odparł Clark, udając złość z powodu przerwania miłego popołudnia.

– Zatem do jutra, Iwan i Domingo. – Kirilin uniósł w górę kieliszek.

– Co jest? – spytał dopiero na parkingu Chavez.

– Nie wiem. Ale wzywa mnie Ed Foley.

– Coś poważnego?

– Trzeba poczekać, to się przekonamy.

– Kto prowadzi?

– Ja. – John znał nieźle Moskwę ze Starych Złych Czasów. Miał wtedy córkę w takim samym wieku, co jego wnuk.

Dojechali w dwadzieścia minut, a najtrudniejsze zadanie polegało jak zwykle na przekonaniu pilnujących ambasady marines, że są uprawnieni do wejścia po godzinach urzędowania. Tym razem czekał na nich Tom Barlow, co ułatwiło sprawę. Żołnierze znali Toma, on znał gości, więc wszystko było w porządku.

– O co ten cały krzyk? – spytał John, kiedy dotarli do gabinetu Barlowa.

– O to. – Wręczył im po kopii faksu. – Przeczytajcie sobie, chłopcy.

– *Madre de Dios* – jęknął w trzydzieści sekund później Chavez.

– Potwierdzam, Domingo – zgodził się z nim szef.

Nerwowo czytali najnowszy raport SORGE.

– Ależ mamy źródło w Pekinie, *mano*.

– Na to wygląda, Domingo. Mamy się podzielić nim z Siergiejem Nikołajewiczem.

Kogoś w kraju naszły ekumeniczne ciągotki.

– Niech to szlag! – rzucił Chavez. Czytał dalej. – Rozumiem, to ma pewien sens.

– Barlow, podasz mi numer telefonu naszego przyjaciela?

– Proszę. – Funkcjonariusz CIA wręczył mu karteczkę i pokazał aparat. – Powinien być w swojej dacy na Wzgórzach Leninowskich. Nie zmienili jeszcze nazwy. Kiedy zorientuje się, że jest celem, stanie się bardziej ostrożny.

– Tak, spotkaliśmy jego niańkę, Szelepina – powiedział Barlowowi Chavez. – Wygląda bardzo groźnie.

– I powinien. Jeśli dobrze zrozumiałem, może znowu stanąć do walki.

– Czy to jest prawdziwe? – zastanawiał się Chavez. – Chodzi mi o ten cały *casus belli*.

– Cóż, Ding, powinieneś mówić o międzynarodowych stosunkach dwóch krajów usiłujących się wzajemnie wypieprzyć. – Wybrał numer. – *Tawariszcz Gołowko* – powiedział

do swego rozmówcy. – *Gawarit Klierk, Iwan Sergejewicz*. To go zainteresuje – szepnął do obecnych.

– Najlepszego, Wania – rozległ się znajomy głos mówiący po angielsku. – Nawet nie spytam, skąd masz ten numer. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Siergiej, musimy natychmiast spotkać się w ważnej sprawie.

– Co to za sprawa?

– Jestem tylko listonoszem, Siergiej. Muszę ci dostarczyć przesyłkę. Jest godna uwagi.

Czy Domingo i ja możemy zajrzeć dziś wieczorem?

– Wiesz jak tu trafić?

Clark doszedł do wniosku, że znajdzie drogę.

– Powiedz ludziom przy bramie, że spodziewasz się wizyty dwóch kapitalistycznych przyjaciół Rosji. Może być za godzinę?

– Będę czekał.

– Dziękuję, Siergiej. – Clark rozłączył się. – Gdzie tu jest kibel, Barlow?

– W końcu korytarza, po prawej.

Clark włożył faks do koperty i wetknął go do kieszeni płaszcza. Zanim zacznie rozmowę na ten temat, musi skorzystać z toalety.

Rozdział 42

Brzozy

Oddalali się od rosyjskiej stolicy, jadąc w stronę zachodzącego słońca. Ding sprawdzał

drogę z mapą w rękę i wkrótce minęli okalającą miasto obwodnicę i skierowali się w stronę Wzgórz Leninowskich. Minęli pomnik, którego nie widzieli przedtem...

– Co to jest, do cholery? – spytał Ding.

– Pokazuje, jak blisko dotarli Niemcy w 1941 roku – wyjaśnił John. – Tu ich zatrzymali.

– Poważnie traktują swoją historię, co?

– Postępowałbyś tak samo, gdybyś powstrzymał kogoś, kto chciał wymazać twój kraj z mapy, chłopcze. Niemcy nie żartowali. To była paskudna wojna.

– Domyślam się. Następna w prawo.

Po dziesięciu minutach wjechali do brzozowego zagajnika, stanowiącego równie nieodłączną część rosyjskiej duszy, co kawior i wódka. Wkrótce zatrzymali się przed punktem kontrolnym.

Umundurowany wartownik z ponurą miną ścisnął Kałasznikowa. John doszedł do wniosku, że pewnie słyszał o zamachu na Gołówkę. Jednak poinformowano go również, kogo ma przepuścić, bo kiedy sprawdził im paszporty, pokazał, w którą z wiejskich drózek mają skręcić.

– Te domy wyglądają nieźle – zauważył Chavez.

– Zbudowali je niemieccy jeńcy – powiedział John. – Iwan nie lubił Niemców, ale cenił

wysoko ich fachowców. Wzniesiono je dla członków Politbiura, na ogół po wojnie. Jesteśmy na miejscu.

Pomalowany na brązowo drewniany dom przypominał zdaniem Clarka coś pomiędzy niemiecką chałupą a budynkiem z farmy w Indianie. Wokół spacerowali uzbrojeni wartownicy. John doszedł do wniosku, że ściągnięto ich z posterunku przy drodze. Jeden skinął na nich. Dwaj trzymali się z tyłu, gotowi w razie czego przyjąć pierwszemu z odsieczą.

– Ty jesteś Iwan Siergiejewicz Klierk?

– *Da* – odparł John – A to Chavez, Domingo Stiepanowicz.

– Przechodźcie, oczekują was – powiedział wartownik.

Był piękny wieczór. Słońce pochyliło się już nisko, na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Od zachodu wiał lekki wietrzyk, lecz Clark miał wrażenie, że słyszy w nim echa wojny.

Grenadierzy pancerni Hansa von Klugego, żołnierze Wehrmachtu w mundurach koloru *feldgrau*. Na froncie wschodnim druga wojna światowa od moralnej strony przypominała gangsterskie porachunki. Walka toczyła się nie tyle między dobrem a złem, lecz między złym a gorszym. Ich gospodarz postrzegał zapewne historię w inny sposób, a Clark nie miał

zamiaru omawiać tej sprawy.

Gołowko czekał na przeszklonym ganku. Ubrany był swobodnie, dobra koszula, lecz bez krawata. Nie był wysoki, coś pomiędzy Chavezem a Clarkiem. W inteligentnych oczach widać było zainteresowanie. Był ciekaw, jaki jest powód tego nagiego spotkania.

– Iwan Siergiejewicz – pozdrowił gościa Gołowko. Uścisnęli sobie ręce i goście zostali poproszeni do środka. Nie widać było żony gospodarza. Gołowko nalał gościom wódki, potem pokazał im, gdzie mają usiąść.

– Miałeś dla mnie jakąś wiadomość. – Rozmowa będzie toczyła się po angielsku, zauważył John.

– Proszę bardzo. – Clark podał wydruk.

– *Spasiba*. – Siergiej Nikołajewicz usiadł i zaczął czytać.

Zdaniem Johna byłby świetnym pokerzystą. Wyraz twarzy nie zmienił mu się przez dwie pierwsze strony. Potem podniósł wzrok.

– Kto zdecydował, że mam to zobaczyć? – spytał.

– Prezydent – odparł Clark.

– Wasz Ryan to dobry towarzysz i honorowy człowiek, Wania... – Gołowko urwał na chwilę. – Widzę, że zwiększyliście możliwości wywiadowcze w Langley.

– To celne spostrzeżenie, ale nie wiem nic na temat źródła tego materiału, panie przewodniczący – odparł Clark.

– Jest gorący, jak mówiłeś.

– Od początku do końca – przyznał John, patrząc jak gospodarz czyta następną stronę.

– Niech to szlag! – Gołowko okazał w końcu żywsze emocje.

– Tak właśnie sam powiedziałem – włączył się do rozmowy Chavez.

– Są doskonale poinformowani, co mnie wcale nie dziwi. Jestem pewien, że mają szeroko rozbudowaną siatkę szpiegowską w Rosji – powiedział Gołowko z narastającą złością w głosie. – Ale tu... tu omawiają normalną agresję.

– Tak to właśnie wygląda – skinął głową Clark.

– Czy to sprawdzone informacje? – spytał Gołowko.

– Jestem tylko listonoszem – odparł Clark. – Za nic nie ręczę.

– Ryan jest zbyt dobrym kumplem, by bawić się w prowokatora. To czyste szaleństwo. –

Gołowko powiedział swym gościom, że nie ma żadnego agenta w chińskim Politbiurze, co zdziwiło Johna. Rzadko zdarzało się, by CIA przyłapało Rosjan na jakichś poważniejszych brakach. – Kiedyś – dodał Gołowko – mieliśmy takie źródło informacji... ale już nie mamy.

– Nie pracowałem w tej części świata, panie przewodniczący, z wyjątkiem dawnych czasów, kiedy jeszcze służyłem w Marynarce – nie dodał jednak, że „praca” polegała głównie na upijaniu się w Tajpej.

– Nie tak dawno odbyłem kilka podróży dyplomatycznych do Pekinu. Nie powiem, że kiedykolwiek naprawdę ich rozumiałem. – Gołowko skończył czytać i odłożył dokument. –

Mogę to zatrzymać?

– Tak jest – odparł Clark.

– Czemu Ryan nam to przekazał?

– Jestem tylko chłopcem na posyłki, Siergiej Nikołajewiczu, ale wydaje mi się, że wynika to z treści. Ameryka nie chce, żeby Rosja ucierpiała.

– Miło z waszej strony. Jakich ustępstw w zamian żądacie?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Wiecie – wtrącił Chavez – czasem chce się mieć miłego sąsiada.

– Na szczeblu państwowym? – sceptycznie spytał Gołowko.

– Czemu nie? Obrabowana i okaleczona Rosja nie służy amerykańskim interesom, jak wielkie są te nowo odkryte złoża? – zapytał John.

– Nieprzebrane – odparł Gołowko. – Nie zdziwiłbym się, gdybyście o tym wiedzieli.

Niezbyt dbaliśmy o zachowanie tego w tajemnicy. Złoża ropy mogą konkurować z zasobami saudyjskimi, a pokłady złota są naprawdę bardzo bogate. Potencjalnie ostatecznie odkrycia mogą uratować naszą gospodarkę i wzbogacić nas w takim stopniu, że będziemy partnerem dla Ameryki.

– Zatem wiecie, czemu Jack to przysłał. Dla nas i dla świata będzie lepiej mieć do czynienia z bogatą Rosją.

– Serio? – Gołowko był inteligentnym człowiekiem, ale dorastał w świecie, w którym Ameryka i

Rosja życzyły sobie nawzajem śmierci. Takie myśli trudno wyrugować, nawet z tak błyskotliwego umysłu.

– Serio – potwierdził John. – Rosja jest wielkim krajem i macie wspaniałych ludzi.

Jesteście odpowiednimi partnerami dla nas. – Nie dodał, że w tej sytuacji Ameryka nie musiałaby się obawiać o gwarancje finansowe. Nowo odkryte bogactwa pozwolą się im wzbogacić na tyle, że Ameryka zaoferuje Rosji jedynie rady i ekspertyzy, jak bez większych szkód wkroczyć w kapitalizm.

– I to mówi człowiek, który pomagał przygotować porwanie szefa KGB? – zapytał

Gołowko.

– Siergiej, jak to się u nas mówi, to był tylko biznes, nic osobistego. Nie jestem zawzięty na Rosjan, a wy też chyba nie zabijaliście Amerykanów dla rozrywki, prawda?

Gospodarz obruszył się.

– Oczywiście, że nie. To byłoby *niekulturalno*.

– Jesteśmy tego samego zdania, panie przewodniczący.

– Odkąd skończyłem osiemnaście lat, szkolono mnie do zabijania waszych ludzi –

powiedział Chavez. – Ale teraz, już nie jesteśmy wrogami, prawda? A skoro nie jesteśmy wrogami, możemy być kumplami. Przecież pomogliście nam z Japonią i z Iranem, mam rację?

– Owszem, ale wiedzieliśmy, że w obu konfliktach, to my byliśmy ostatecznym celem, więc leżało to w naszym interesie narodowym.

– Być może to my teraz jesteśmy ostatecznym celem Chińczyków. A wtedy to już jest nasz interes narodowy. Pewnie nie lubią nas bardziej niż was.

Gołowko skinął głową.

– Tak. Jedno, co mogę o nich powiedzieć to, że mają poczucie wyższości rasowej.

– To niebezpieczny sposób myślenia, chłopie. Rasizm oznacza, że twoi wrogowie są tylko robalami do likwidacji – wtrącił Chavez, zaskakując Clarka tym, że naukową analizę sytuacji wygłosił z akcentem ze wschodniego Los Angeles. – Nawet Karol Marks nie wciskał

kitu, że jest lepszy od innych, bo jest białasem.

– Ale Mao tak – dodał Gołowko.

– To mnie nie dziwi – odparł Ding. – Czytałem w ogólniaku Czerwoną Książeczkę. Nie chciał być tylko przywódcą. Cholera, chciał być bogiem.

– Lenin nie był taki, ale Stalin owszem – wtrącił Gołowko. – Zatem Iwan Emmetowicz jest przyjacielem Rosji. Co mam z tym zrobić?

– Co zechcesz – odparł Clark.

– Muszę pomówić z moim prezydentem. Wasz chyba jutro przyjeżdża do Polski?

– Chyba tak.

– Muszę zadzwonić w kilka miejsc. Dziękuję, że przyjechaliście, przyjaciele. Może innym razem będę mógł podjąć was gościnniej.

– Nie narzekamy. – Clark wstał i dopił drinka. Wymienili uściski rąk i pojechali z powrotem.

– Chryste, John, co teraz będzie? – spytał w drodze powrotnej Ding.

– Podejrzewam, że wszyscy spróbują przemówić Chińczykom do rozumu.

– Czy to poskutkuje?

Clark wzruszył ramionami i uniósł brwi.

– Dowiemy się z telewizji, Domingo.

Pakowanie się przed podróżą nie jest łatwe, nawet jeśli ma się do pomocy pracowników, którzy robią to za ciebie. Było to szczególnie prawdziwe w przypadku Chirurga, która nie tylko troszczyła się o to, w czym wystąpi publicznie za granicą, lecz również pełniła rolę Najwyższego Autorytetu w sprawie ubrań jej męża, który bardziej tolerował niż aprobował tę funkcję. Jack Ryan wciąż siedział w Gabinetce Owalnym, usiłując załatwić sprawy nie cierpiące zwłoki.

– Arnie?

– Tak, Jack?

– Powiedz Siłom Powietrznym, żeby podesłali kolejnego Gulfstreama do Warszawy na wypadek, gdyby Scott musiał chyłkiem polecieć do Moskwy.

– Niezła myśl. – Van Damm wyszedł do telefonu.

– Coś jeszcze, Ellen? – spytał swoją sekretarkę Ryan.

– Chcesz jednego?

– Tak.

– Cholera – westchnął Ryan, puszczając pierwszy dymek. Powinien już otrzymać wiadomość z Moskwy. A może Siergiej czeka do rana, żeby pokazać to prezydentowi Gruszawojowi? Postąpiłby tak? W Waszyngtonie informacja zaklasyfikowana jako

„Najwyższej rangi państwowej” dotarłaby do prezydenta w ciągu dwudziestu minut, ale co kraj, to obyczaj, a on nie znał sposobu postępowania Rosjan. Był jednak bardziej niż pewien, że odezwą się, zanim wysiądzie z samolotu w Warszawie... Zdusił papierosa i sięgnął do biurka po odświeżacz oddechu, by zlikwidować kwaśny zapach z ust. Potem wyszedł z gabinetu. Ze względów architektonicznych Zachodnie Skrzydło i Biały Dom nie były połączone wewnętrznymi korytarzami. Po sześciu minutach znalazł się w części mieszkalnej, gdzie pakowano jego bagaż. Cathy usiłowała nadzorować wszystko pod czujnym okiem agentów Tajnej Służby, którzy wszędzie wypatrywali bomby. Ale paranoja była wpisana w ich zawód. Ryan podszedł do żony.

– Musisz porozmawiać z Andream.

– O czym?

– Mówi, że ma kłopoty żołądkowe.

– Aha. – Cathy cierpiała na nudności będąc w ciąży z Sally, ale to było dawno. – Wiesz, że niewiele można na to poradzić.

– Grunt to postęp w medycynie – skomentował Jack. – Jednak pewnie podtrzymają ją kobiece rady.

– Jasne – uśmiechnęła się Cathy – babska solidarność. Zatem ty będziesz trzymał z Patem?

Jack odwzajemnił uśmiech.

– No pewnie, może nauczy mnie lepiej strzelać z pistoletu.

– Świetnie – odparła kwaśno Cathy.

– Którą suknię wkładasz na uroczysty obiad? – prezydent zmienił temat.

– Tę jasnoniebieską.

– Dobry wybór – powiedział Jack, biorąc ją za rękę.

Pojawiły się dzieci, zapędzone na piętro sypialne przez opiekunów, z wyjątkiem Kyle’a, którego przyniosła jedna z jego Lwic. Rozstania z dziećmi nigdy nie były łatwe, choć powinni już do tego przywyknąć. Wreszcie Jack wziął żonę za rękę i poprowadził w stronę windy.

Zjechali na parter i przeszli na lądowisko, gdzie czekał już VH-3 z pułkownikiem Malloyem za

sterami. Marines jak zwykle zasalutowali. Prezydent i Pierwsza Dama weszli do środka i przypięli się do wygodnych foteli pod czujnym okiem podoficera, który następnie poszedł złożyć meldunek pilotowi.

Cathy lubiła latać śmigłowcem bardziej od męża, a zdarzało się to czasem dwa razy dziennie. Jack przestał się już bać, lecz zdecydowanie wolał prowadzić samochód, czego nie było mu wolno robić od miesięcy. Sikorski uniósł się łagodnie, obrócił w powietrzu i skierował do Andrews. Lot trwał około dziesięciu minut. Potem wylądowali przy schodkach VC-25A, wojskowej wersji Boeinga 747. Kamery czekały na stanowiskach.

– Kochanie, odwróć się i pomachaj – powiedział Jack do Cathy, gdy znaleźli się na szczycie schodków. – Tworzymy wieczorne wiadomości.

– Znowu? – jęknęła Cathy. Potem uśmiechnęła się i pomachała, lecz nie w stronę ludzi, a kamer. Po spełnieniu obowiązku zniknęli we wnętrzu samolotu, przechodząc do przedziału prezydenckiego. Tam znów przypięli się pasami do foteli, pod okiem podoficera Sił

Powietrznych, który następnie przekazał pilotowi, że wszystko jest w porządku. Pilot uruchomił silniki i rozpoczął kołowanie na koniec pasa startowego Zero-Jeden Prawy.

Wszystko potem przebiegło normalnie, włącznie z komunikatem pilota, po którym nastąpił start wielkiego Boeinga i wspinanie się na pułap dwunastu tysięcy metrów. Z tyłu, jak sądził Ryan, było równie wygodnie, ponieważ najgorsze siedzenie w tym samolocie było wygodniejsze od fotela pierwszej klasy w maszynie dowolnej linii lotniczej na świecie.

Wszystko razem wyglądało na poważne marnowanie pieniędzy podatników, ale też żaden podatek nie uskarżał się zbyt głośno.

To, na co czekał, stało się nad wybrzeżem Maine.

– Panie prezydencie? – spytał kobiecy głos.

– Tak, pani sierżant?

– Rozmowa do pana na STO. Gdzie życzy pan sobie odebrać?

Ryan wstał.

– Na górze.

Sierżant skinęła głową i pokazała mu drogę.

– Tędy, sir.

– Kto dzwoni?

– Dyrektor Foley.

Ryan uznał, że to ma sens.

– Niech przyjdzie też sekretarz Adler.

– Tak jest – odparła, gdy ruszył kręconymi schodkami na górę.

Na górze Ryan zajął miejsce na fotelu, który zwolnił podoficer Sił Powietrznych, wręczając prezydentowi właściwą słuchawkę.

– Ed?

– Tak, Jack. Dzwonił Siergiej.

– Co mówił?

– Uważa, że dobrze się składa, że lecisz do Polski. Prosi o dyskretne spotkanie na najwyższym szczeblu.

Adler usiadł obok Ryana i zaczął się przysłuchiwać.

– Scott, masz ochotę wyskoczyć do Moskwy?

– Czy możemy zrobić to po cichu? – spytał sekretarz stanu.

– Chyba tak.

– W takim razie zgoda. Ed, czy zbadałeś stanowisko NATO?

– To nie moja działka, Scott – odparł dyrektor CIA.

– Pytam o twoją opinię. Jak oceniasz szanse?

– Jak trzy do jednego.

– Zgadzam się z tym – oświadczył Ryan. – Gołowko też będzie zadowolony.

– Owszem – zauważył złośliwie Adler – jak tylko wyjdzie z szoku.

– Dobrze, Ed, powiedz Siergiejowi, że jesteśmy skłonni do odbycia tajnego spotkania.

Sekretarz stanu poleci do Moskwy na konsultacje. Informuj nas o rozwoju sytuacji.

– Załatwione.

– Dobrze, rozłączam się. – Ryan odłożył słuchawkę i zwrócił się do Adlera.

– Cóż, jeśli pójdą na to, Chiny będą miały temat do przemyśleń. – Ta wypowiedź kryła w sobie dużą porcję nadziei.

Sęk w tym, pomyślał wstając, że Klingoni myślą zupełnie inaczej niż Ziemianie.

Prowadzenie podsłuchu wywoływało niezdrowe uśmiešky na twarzach mężczyzn siedzących w furgonetce. Suworow-Koniew poderwał kolejną luksusową dziwkę, a jej aktorskie zdolności owocowały właściwymi odgłosami w odpowiednich momentach.

– A może naprawdę jest dobry w łóżku? – zastanowił się na głos Prowałow, wywołując tym wesołość pozostałych kolegów. Ich zdaniem, dziewczyna była zbyt dobrą profesjonalistką, by się angażować osobiście. To smutne, stwierdzili, biorąc pod uwagę jej atrakcyjny wygląd. Wiedzieli też coś, o czym nie wiedział ich podopieczny. Dziewczyna została podstawiona.

Wreszcie wszystko ucichło i usłyszeli charakterystyczny trzask zapalniczki Zippo.

Nastało typowe dla zaspokojonego seksualnie mężczyzny milczenie, świadczące też o zadowoleniu partnerki.

– Co robisz, Wania? – spytał kobiecy głos. Zawodowe zainteresowanie ekskluzywnej prostytutki, która zastanawia się nad ewentualnym kolejnym spotkaniem z bogatym klientem.

– Interesy – padła odpowiedź.

– Jakiego typu? – Znów odpowiednia porcja ciekawości. To dobrze, pomyślał Prowałow, że nie daje się zbyć. Szkoła Wróbelków musiała być łatwa do prowadzenia, kobiety instynktownie potrafią wiele rzeczy.

– Zaspokajam szczególne zachcianki pewnych osób – odparł zdrajca. Jego wyznanie spowodowało wybuch śmiechu.

– Ja też to robię, Wania.

– Ale to są cudzoziemcy, którzy potrzebują usług specjalnego rodzaju, w świadczeniu których zostałem wyszkolony za starego reżimu.

– Byłeś w KGB? Naprawdę? – W głosie kobiety dało się wyczuć podniecenie. Ta dziewczyna była dobra.

– Jak wielu innych. Nic ciekawego.

– Może dla ciebie, bo dla mnie bardzo. Czy tam naprawdę była szkoła dla kobiet takich jak ja? Czy KGB uczyło kobiety... zaspokajać mężczyzn?

Tym razem roześmiał się mężczyzna.

– Ależ tak, moja droga. Była taka szkoła. Spisałaś się w niej dobrze.

– Tak jak teraz? – zaśmiała się kokieteryjnie.

– Nie, nie za te pieniądze.

– Ale jestem ich warta?

– Bez wątpienia. – To była satysfakcjonująca odpowiedź.

– Chcesz się jeszcze ze mną spotkać, Wania? – zabrzmiała prawdziwa lub udawana nadzieja w głosie.

– *Da*, bardzo chętnie.

– Więc spełniasz specjalne życzenie pewnych osób. Ciekawe jakie? – Mogła sobie pozwolić na takie pytania, ponieważ mężczyźni uwielbiają być podziwiani przez piękne kobiety. Taka była jej rola i mężczyźni zawsze nabierali się na ten numer.

– Takie, do jakich byłem szkolony, ale szczegóły nie powinny cię interesować.

Rozczarowanie.

– Mężczyźni zawsze tak mówią – mruknęła. – Dlaczego najbardziej interesujący mężczyźni muszą być tacy tajemniczy?

– W tym tkwi nasz urok, kobieto – wyjaśnił. – Wolałabyś, żebym był kierowcą ciężarówki?

– Kierowcy ciężarówek nie mają twoich... zalet – odparła, jakby znała różnicę.

– Ciężko słuchać tej dziwki – zauważył jeden z funkcjonariuszy FSB.

– Racja – przyznał Prowałow. – Myślisz, że dużo bierze?

– Prawdziwy mężczyzna nie musi za to płacić.

– Czy byłem dobry? – rozległ się w słuchawkach głos Suworowa-Koniewa.

– Tak dobry, że to ja powinnam ci zapłacić – odparła z radością w głosie. Zapewne poparła to pocałunkiem.

– Dość pytań, Maria. Poleżmy chwilę – zniecierpliwiał się Oleg Grigorijewicz. Usłuchała.

– Umiesz sprawić, żeby facet poczuł się mężczyzną – powiedział szpieg i morderca. –

Gdzie się tego nauczyłaś?

– To naturalna umiejętność każdej kobiety.

– Może niektórych. – Przestali rozmawiać i po dziesięciu minutach rozległo się chrapanie.

– jak często sprawdzamy skrzynkę kontaktową? – zagadnął jeden z funkcjonariuszy FSB.

– Co godzina. – Nie było wiadomo, ile osób dostarcza wiadomości do skrzynki w parku, a nie wszyscy byli zapewne Chińczykami. Nie mogło ich być zbyt wielu, ale powinno wystarczyć, by zebrać dowody przeciwko Suworowowi. Należało się tylko wykazać dobrymi kwalifikacjami. Dlatego punkt kontaktowy i skrzynka były regularnie sprawdzane, w furgonetce mieli dorobiony klucz do skrzynki i kserograf, na którym wykonywali kopie przechwyconych wiadomości. FSB nasiliła również obserwację chińskiej ambasady. Niemal każdy pracownik był teraz śledzony. Żeby móc dobrze wywiązać się z tego zadania, musiano ograniczyć inne działania kontrwywiadu w Moskwie, ale ta operacja otrzymała absolutny priorytet. Wkrótce stanie się jeszcze ważniejsza, ale jeszcze o tym nie wiedzieli.

– Ile mamy wolnych jednostek saperskich? – spytał Alijewa Bondarienko.

– Dwa pułki nie są zaangażowane do budowy dróg dojazdowych do kopalni złota – oparł oficer operacyjny.

– Doskonale, skieruj je niezwłocznie do prac przy maskowaniu tych stanowisk ogniowych i wznoszeniu fałszywych po drugiej stronie wzgórz.

– Tak jest, towarzyszu generale.

– Kocham świt, to najspokojniejsza pora dnia.

– Z wyjątkiem sytuacji, kiedy ktoś nas atakuje. – Świt był porą rozpoczęcia większości poważniejszych ofensyw, bo atakujący miał przed sobą cały dzień.

– Jeśli nadejdą, to tą doliną.

– Owszem.

– Ostrzelają pierwszą linię obrony – przewidywał Bondarienko, wskazując przed siebie.

Pierwszą linię tworzyły realistycznie wyglądające bunkry ze zbrojonego betonu, lecz wystające z nich lufy dział były atrapami. Inżynier, który budował te fortyfikacje, miał zmysł

wykorzystania terenu godny Aleksandra Macedońskiego. Stanowiska ogniowe zostały rozmieszczone aż za dobrze. Ich pozycje nie były trudne do odgadnięcia, ba, nawet widoczne z drugiej strony granicy

i prawdopodobnie na nich skupi się pierwszy ogień.

Pierwszy impet natarcia powinna przyjąć na siebie linia stałych stanowisk ogniowych.

Były to osadzone w betonie wieże starych czołgów. Celowniki i amunicja wciąż nadawały się do użytku, a obsadzenie stanowisk nie wymagało znacznych sił. Tunele prowadzące do ukrytych na zapleczu pojazdów dawały, przynajmniej w teorii, szansę na przeżycie ocalałym obrońcom. Fakt, że ktoś pomyślał o zwykłych żołnierzach, zdumiał generała.

Budowniczo, którzy stworzyli tę linię, pewnie już nie żyli, a Bondarienko miał nadzieję, że pochowano ich z należnymi wojskowymi honorami. Ta linia nie miała za zadanie powstrzymać zmasowanego natarcia, lecz powinna zadać napastnikowi jak największe straty.

Jednak środki maskowania wymagały dopracowania, a to można było robić jedynie w nocy. Wysoko latające samoloty mogły obiektywami kamer zajrzeć w głąb obrony i, nie przekraczając granicy, wykonać tysiące pięknych zdjęć. Chiny dysponowały zapewne oprócz takiej kolekcji zdjęciami ze swoich satelitów szpiegowskich, lub cywilnych, które w dzisiejszych czasach można było wynająć za odpowiednią opłatą

– Andriej, powiedz wywiadowi, żeby sprawdził, czy Chińczycy mają dostęp do komercyjnych zdjęć satelitarnych.

– Po co? Przecież mają swoje własne...

– Nie wiemy, czy ich są dobre, ale za to te nowe francuskie są nie gorsze od tych, co Amerykanie mieli po 1975 roku i nadają się do wielu zadań.

– Tak jest, towarzyszu generale... – Alijew urwał na chwilę. – Myślicie, że coś się tu szykuje?

Bondarienko zamyślił się i nachmurzony spojrzał na południe, za rzekę. Ze szczytu wzgórza widział Chiny. Krajobraz niczym się nie różnił, lecz ze względów politycznych był

to obcy kraj i choć ludzie mieszkający po obu stronach granicy należeli do tych samych grup etnicznych, różnice między nimi przerażały nawet Bondarienkę. Pokręcił głową.

– Andrieju Pietrowiczu, wysłuchaliście tego samego raportu wywiadu, co ja. Martwi mnie, że ich armia jest bardziej aktywna od naszej. Są w stanie nas zaatakować, a my nie mamy wystarczających środków, by ich odeprzeć. Dysponujemy trzema pełnoetatowymi dywizjami o niewystarczającym poziomie wyszkolenia. Potrzeba dużo pracy, żebym poczuł

się lepiej. Prace fortyfikacyjne są najłatwiejszą rzeczą do wykonania, z czego najprościej jest ukryć bunkry. Następnie zaczniemy rotacyjnie odsyłać artylerzystów na szkolenie ogniowe.

To będzie łatwe, ale potrwa co najmniej dziesięć miesięcy! Tyle mamy do zrobienia, Andriusza, tyle do zrobienia...

– Owszem, towarzyszu generale, ale zrobiliśmy dobry początek.

Bondarienko machnął ręką.

– Gdzie tam – warknął. – Dobry początek będzie za rok od teraz. Cały dzień przed nami, pułkowniku. Teraz polecimy na wschód i sprawdzimy następny odcinek.

Generał Peng Xi Wang, dowódca odznaczonej Orderem Czerwonego Sztandaru 34.

Armii Uderzeniowej, znajdował się zaledwie szesnaście kilometrów dalej i przez potężną lornetkę oglądał rosyjską granicę. 34. Armia Uderzeniowa należała do armii pierwszego rzutu strategicznego i liczyła około osiemdziesięciu tysięcy ludzi. W jej skład wchodziła dywizja pancerna, dwie zmechanizowane i dywizja piechoty zmotoryzowanej, nie licząc jednostek wsparcia, jak pozostająca pod bezpośrednim dowództwem generała samodzielna brygada artylerii.

– Ich obrona wygląda na kiepsko przygotowaną – zauważył Peng.

– Tak jest, towarzyszu generale – zgodził się dowódca pułku obsadzającego pozycje nad granicą. – Obserwujemy nikłą aktywność po stronie nieprzyjaciela.

– Są zbyt zajęci wymianą broni na wódkę – wtrącił oficer polityczny. – Ich morale jest kiepskie i są gorzej wyszkoleni od nas.

– Mają teraz nowego dowódcę – zaprotestował szef wywiadu. – Generała Bondarienkę.

Jest ceniony w Moskwie za inteligencję i odważne dowodzenie wojskami w Afganistanie.

– To znaczy, że udało mu się przeżyć pierwszy kontakt z wrogiem – zakpił polityczny. –

Pewnie w kabulskim burdelu.

– Niebezpiecznie jest lekceważyć przeciwnika – ostrzegł szef wywiadu.

– A głupotą jest go przeceniać.

Peng dalej patrzył przez lornetkę. Słyszał nie raz spory pomiędzy dowódcą wywiadu, a swoim oficerem politycznym. Wywiad przypominał starą babę i tak też często zachowywali się jego szefowie. Zaś pion polityczny, dla odmiany, przybierał tak agresywną postawę, że gotów był oskarżyć o defetyzm Dżyngis Chana.

– Jak się sprawują saperzy? – spytał Peng, obserwując nurt Amura.

– Ostatnie ćwiczenia wypadły znakomicie, towarzyszu generale – odparł oficer operacyjny. Tak jak inne armie świata, Armia Ludowo-Wyzwoleńcza skopiowała rosyjski most pontonowy zaprojektowany w latach 60. z myślą o forsowaniu rzek na Zachodzie Europy w ramach planowanej konfrontacji z NATO, która nigdy nie doszła do skutku.

– Ewentualne zagrożenia?

– Ze strony Rosjan? – spytał szef wywiadu. – Ostatnio ćwiczą trochę więcej, ale nie ma się czym przejmować. Gdyby chcieli ruszyć przez rzekę na południe, to powinni nauczyć się pływać w zimnej wodzie.

– Rosjanie są na to za wygodni. Nowy ustrój ich rozmiękczył – oświadczył polityczny.

– A gdybyśmy to my dostali rozkaz pójścia na północ? – spytał Peng.

– Wystarczy dać im porządnego kopniaka, a cały ten bałagan się zawali – odparł polityczny. Nie wiedział, że cytuje innego wroga Rosjan.

Rozdział 43

Decyzje

Air Force Jeden wylądował łagodniej niż zwykle. Jack i Cathy już zdążyli wstać i orzeźwić się pod prysznicem oraz wzmocnić lekkim śniadaniem z dużą ilością kawy.

Prezydent wyrztał przez okno po lewej stronie i dostrzegł żołnierzy ustawionych w idealnie równych szeregach, podczas gdy samolot kołował na wyznaczone miejsce.

– Witaj w Polsce, dziecinko. Co masz w planie?

– Zamierzam spędzić kilka godzin w klinice Akademii Medycznej. Ordynator chirurgii oftalmologicznej chciałby, żebym przyjrzała się jego operacji. – To zawsze przytrafiało się Pierwszej Damie, ale nie miała nic przeciwko temu. Przy okazji można zobaczyć coś, co warte jest poznania, a nawet naśladownictwa, bo zdolni ludzie są wszędzie, nie tylko u Johna Hopkinsa. Było to jedno z wcieleń Pierwszej Damy, w dodatku ulubione, bo mogła przy okazji rozwijać się, a nie tylko, ku uciesze gawiedzi, udawać lalkę Barbie z małym biustem.

Samolot zatrzymał się i rozpoczęła się procedura naziemna. Podoficer Sił Powietrznych –

zawsze był to mężczyzna – otworzył drzwi po lewej stronie kadłuba, by sprawdzić, czy samobieżne schody znajdują się już na miejscu. Dwóch następnych zbiegło na dół, by zasalutować Ryanowi, kiedy będzie schodził po stopniach. Andrea Price-O'Day rozmawiała przez cyfrowe radio z szefem zespołu Tajnej Służby, żeby upewnić się, czy prezydent może bezpiecznie pojawić się na otwartej przestrzeni. Słyszała już, że z Polakami współpracowało się o wiele lepiej niż z większością służb policyjnych w Ameryce i że przedsięwzięto środki bezpieczeństwa wystarczające do obrony przed atakiem kosmitów czy Wehrmachtu. Skinęła głową w stronę prezydenta i pani Ryan.

– Czas na spektakl, mała. – Jack uśmiechnął się kwaśno do Cathy.

– Połóż ich trupem, gwiazdo srebrnego ekranu – odparła. To był jeden z ich prywatnych żartów, które skutecznie rozładowały napięcie. John Patrick Ryan, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, stanął w drzwiach, by spojrzeć na Polskę, a przynajmniej na widoczny z tego miejsca jej fragment. Rozległy się gromkie wiwaty, bo mimo iż Jack Ryan nie był nigdy przedtem w Polsce, cieszył się tu dużą popularnością, choć nie wiedział, skąd się wzięła. Ostrożnie ruszył na dół, powtarzając sobie, że nie może potknąć się i zważyć ze schodów. Byłaby to nieciekawa perspektywa, o czym zdołał się boleśnie przekonać jeden z jego poprzedników. Na dole podoficerowie Sił Powietrznych zasalutowali. Ryan odruchowo odwzajemnił honory i przyjął honory od polskiego oficera. Zauważył, że salutował inaczej, z podgiętym małym i serdecznym palcem, podobnie jak amerykańscy skauci. Jack skinął

głową, uśmiechnął się, a oficer zaprowadził go do miejsca oficjalnego powitania. Tam ambasador USA przedstawił Ryana polskiemu prezydentowi. Wspólnie przeszli po czerwonym dywanie do małego podium, gdzie polski prezydent przywitał Ryana, a Ryan wyraził zadowolenie z odwiedzenia tradycyjnego, a obecnie nowego, ważnego sojusznika Ameryki. Jack pamiętał różne „polskie dowcipy”, cieszące się popularnością w czasach jego nauki w liceum, ale zdołał nie wtrącić

żadnego. Potem przyszła pora na przegląd kompanii honorowej. Jack przeszedł wzdłuż szeregu, spoglądając każdemu żołnierzowi przez ułamek sekundy w twarz. Nie miał wątpliwości, że marzą o powrocie do koszar, gdzie będą mogli przebrać się w wygodniejsze mundury, mówiąc przy tym, że ten Ryan wygląda całkiem nieźle jak na cholernego amerykańskiego prezydenta i dobrze, że odbębnili już ten zaszczytny obowiązek. Następnie Jack i Cathy (niosąc kwiaty wręczone jej przez parę słodkich polskich sześciolatek, był to najlepszy wiek do witania ważnej kobiety z zagranicy) wsiedli do limuzyny z ambasady amerykańskiej, by pojechać do miasta. Jack od razu zwrócił się do ambasadora.

– Co w sprawie Moskwy?

W czasach, kiedy powstawała konstytucja, po świecie podróżowało się żaglowcami i ambasador, który na innym kontynencie reprezentował Stany Zjednoczone Ameryki, mógł

wypowiadać się w imieniu swojego kraju bez oglądania się na wskazówki Waszyngtonu.

Jednak nowoczesne środki łączności przekształciły ambasadorów w utytułowanych listonoszy, niemniej, od czasu do czasu, musieli samodzielnie zajmować się pewnymi dyskretnymi sprawami. Dziś miała miejsce taka właśnie sytuacja.

– Chcą, żeby sekretarz stanu przyleciał jak najszybciej. Rezerwowy samolot czeka na wojskowym lotnisku dwadzieścia cztery kilometry stąd. Możemy wyekspediować Scotta w niespełną godzinę – zameldował Stanislas Lewendowski.

– Dzięki, Stan. Załatw to.

– Tak, panie prezydencie – zgodził się urodzony w Chicago ambasador.

– Czy coś jeszcze powinienem wiedzieć?

– Panujemy nad wszystkim.

– Nie cierpię, kiedy tak mówią – wtrąciła cicho Cathy. – Wtedy patrzę, czy mi coś nie spada na głowę.

– Ale nie tutaj, proszę pani – obiecał Lewendowski. – Tu naprawdę panujemy nad sytuacją.

Miło to słyszeć, pomyślał prezydent Ryan, ale co z resztą tego cholernego świata?

– Eduardzie Pietrowiczu, to nie jest pomyślna sytuacja – powiedział swemu prezydentowi Gołowko.

– Widzę – odparł zgryźliwie Gruszawoj. – Dlaczego musimy dowiadywać się o tym od Amerykanów?

– Mieliśmy kiedyś świetne źródło w Pekinie, ale nie tak dawno agent przeszedł na emeryturę. Ukończył sześćdziesiąt dziewięć lat, ma kłopoty zdrowotne i musiał opuścić swoje stanowisko w sekretariacie partii. To przykre, ale nie mamy nikogo na jego miejsce – wyznał

Gołowko. – Amerykanie pozyskali informatora na podobnym szczeblu. Mamy szczęście, że uzyskaliśmy te informacje, bez względu na ich pochodzenie.

– Lepiej mieć, niż nie mieć – przyznał Eduard Pietrowicz. – I co teraz?

– Na prośbę Amerykanów przybędzie do nas za trzy godziny sekretarz stanu Adler.

Pragnie przekonsultować z nami „kwestię dotyczącą wspólnych zainteresowań”, co oznacza, że Amerykanie są zaniepokojeni rozwojem sytuacji nie mniej od nas.

– I co nam powiedzą?

– Bez wątplenia zaoferują nam jakąś pomoc. Nie potrafię powiedzieć, jakiego rodzaju.

– Czy jest coś, czego jeszcze nie wiem o Adlerze i Ryanie?

– Chyba nie. Scott Adler jest zawodowym dyplomata. On i Ryan są przyjaciółmi jeszcze z czasów kiedy Iwan Emmetowicz był szefem CIA. Ryana znam ponad dziesięć lat. Jest inteligentnym, zdecydowanym człowiekiem o wysokim poczuciu honoru, co czyni go słownym. Był wrogiem Związku Radzieckiego, wręcz groźnym wrogiem, ale odkąd zmieniliśmy system, został naszym przyjacielem. Szczerze życzy nam sukcesów. Jak wiecie, pomogliśmy Amerykanom w dwóch tajnych operacjach, jednej przeciwko Chinom, innej przeciwko Iranowi. To ważne, bo Ryan czuje się przez to naszym dłużnikiem. Jest człowiekiem honoru i spłaci swój dług, pod warunkiem, że nie będzie się to wiązało z uszczerbkiem dla bezpieczeństwa jego kraju.

– Czy tak postrzegaliby atak na Chiny? – spytał prezydent Gruszawoj.

– Tak – Gołowko energicznie skinął głową. – Tak mi się wydaje. Wiemy, że Ryan prywatnie przyznaje, iż lubi i podziwia naszą kulturę i chciałby, żeby Ameryka i Rosja stały się strategicznymi partnerami. Dlatego sądzę, że sekretarz Adler zaoferuje nam znaczącą pomoc przeciwko Chinom.

– W jakiej formie?

– Eduardzie Pietrowiczu, jestem oficerem wywiadu, nie cygańską wróżką... – Gołowko urwał. – Wkrótce będziemy wiedzieli więcej, ale gdybyście chcieli, żebym zgadywał...

– Zgadujcie – polecił prezydent.

Przewodniczący SWR wziął głęboki oddech, i wyartykułował swą przepowiednię:

– Zaoferuje nam członkostwo w Sojuszu Północnoatlantyckim.

– Mamy wstąpić do NATO? – zdumiał się Gruszawoj.

– To byłoby najbardziej eleganckie rozwiązanie problemu. Związałyby z nami sojuszem resztę Europy i postawiło Chiny w obliczu wielu nieprzyjaciół w razie, gdyby zdecydowali się nas zaatakować.

– A jeżeli złożą nam taką propozycję...?

– Powinniście przyjąć ją natychmiast, towarzyszu prezydencie – odparł szef SWR. –

Postąpilibyśmy głupio, odrzucając ją.

– Czego mogą żądać w zamian?

– Wszystko, czego zażądatają, i tak będzie mniej kosztowne od wojny z Chinami.

Gruszawoj w zamyśleniu skinął głową.

– Rozważę to. Czy możliwe, żeby Ameryka uznała Rosję za sprzymierzeńca?

– Ryan będzie forsował tę ideę. Odpowiada jego strategicznym koncepcjom i, jak mówiłem, szczerze podziwia i szanuje Rosję.

– Po tych wszystkich doświadczeniach w CIA?

– Oczywiście. Właśnie dlatego. Zna nas, więc powinien nas szanować.

Zastanowiło to Gruszawoję. Tak jak Gołowko, był rosyjskim patriotą, który kochał zapach rosyjskiej ziemi, szum brzoźowych zagajników, wódkę, kawior, muzykę i literaturę.

Nie zamykał jednak oczu na nieszczęścia, które niemal przez sto lat nękały jego kraj.

Podobnie jak Gołowko, Gruszawoj wyrósł w kraju zwanym Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich, i został wychowany w wierze w marksizm-leninizm. Raziła go jednak fasadowość oficjalnej ideologii. Szybko zorientował się, że system po prostu się nie sprawdza. Jednak, w przeciwieństwie do większości członków partii, należał do tej grupki, która miała odwagę mówić o erozji systemu i konieczności reform. Jako prawnik, nawet w sytuacji, gdy prawo było podporządkowane politycznym priorytetom, walczył o stworzenie spójnego systemu prawnego, który pozwoliłby państwu być przewidywalnym wobec własnych obywateli. Po upadku starego ustroju bez reszty oddał się kształtowaniu nowej rzeczywistości. Teraz walczył o utworzenie państwa prawa, co było trudne, bo Rosjanie od stuleci przywykli do takiej czy innej dyktatury. Gdyby mu się powiodło, zapisałby się na kartach historii jako jeden z największych polityków w dziejach. W przeciwnym razie wspomniano by go jako marzyciela, który nie zdołał wcielić swych idei w życie. To ostatnie wydawało mu się najbardziej prawdopodobne.

Jednak, niezależnie od obaw, grał o zwycięstwo. Odkryto złoża ropy i złota na Syberii, co zdawało

się prawdziwym darem miłosiernego Boga, którego istnieniu zaprzeczano tu do niedawna. Tymczasem historia Rosji dowodziła, że takie dary zawsze były raczej przekleństwem niż błogosławieństwem. Czyżby Bóg przeklął Rosję? Ludzie znający jej przeszłość mogli tak sądzić. Jednak dziś nadzieja wydawała się złotym snem i Gruszawoj postanowił, że tym razem ów sen nie rozwieje się jak zawsze. Ziemia Tołstoja i Rymskiego-Korsakowa dała światu tyle, że i jej się coś w końcu należało. Może Ryan naprawdę będzie przyjacielem jego kraju? Rosja potrzebowała przyjaciół. Kraj miał wystarczająco dużo surowców, by być samowystarczalnym, lecz żeby je wykorzystać potrzebował pomocy, która pozwoliłaby Rosji dołączyć do innych państw. To wszystko było osiągalne, wręcz na wyciągnięcie ręki. Realizacja tych planów uczyniłaby go nieśmiertelnym. Eduard Pietrowicz Gruszawoj zasłynąłby jako człowiek, który podźwignął Rosję. Jednak, żeby tego dokonać, musiał odłożyć na bok dumę i uprzedzenia, dobro kraju stawiając na pierwszym miejscu

– Zobaczmy, Siergieju Nikołajewiczu. Zobaczmy.

– Czas dojrzał – oznajmił Zhang Han San kolegom zebranim w gabinecie z dębową boazerią na ścianach. – Nasze wojska są gotowe wyruszyć na pozycje wyjściowe do ataku.

Zdobycz jest w zasięgu ręki. Uratuje naszą gospodarkę, zapewni rozwój, o jakim marzyliśmy przez dziesięciolecia, a co najważniejsze uczyni z Chin największą potęgę na świecie.

Takiego spadku nie pozostawił po sobie żaden przywódca. Wystarczy tylko sięgnąć i zerwać zdobycz jak owoc z drzewa.

– Czy to realne? – spytał ostrożnie minister spraw wewnętrznych Tong Jie.

– Marszałku? – Zhang zwrócił się do ministra obrony.

Luo Cong pochylił się do przodu. Wraz z Zhangiem spędzili cały ubiegły wieczór nad mapami, zestawieniami i raportami wywiadu.

– Z militarne punktu widzenia, owszem, to możliwe. Mamy cztery armie pierwszego rzutu strategicznego w nadgranicznym Okręgu Wojskowym Shenyang. Są to jednostki doskonale przygotowane i gotowe do uderzenia na północ. Za nimi stoi w pogotowiu sześć armii drugiego rzutu z wystarczającą liczbą piechoty do wsparcia naszych sił

zmechanizowanych i kolejne cztery armie trzeciorzutowe do obsadzenia i okupacji zajętych terytoriów. Z czysto wojskowego punktu widzenia sprawa polega wyłącznie na dyslokacji jednostek do rejonów ześrodkowania i zapewnieniu im dostaw zaopatrzenia. W grę wchodzi linie kolejowe, które pozwolą na transport ludzi i sprzętu. Ministrze Qian? – spytał Luo. On i Zhang starannie rozpracowali scenariusz dyskusji w nadziei przeciągnięcia ewentualnych oponentów na swoją stronę.

Ministra finansów zaskoczyło to pytanie, ale dumny ze swej poprzedniej pracy i uczciwy z natury, odpowiedział jak zwykle szczerze:

– Mamy wystarczająco dużo taboru, marszałku Luo – powiedział. – Jedyńm problemem będzie

usuwanie szkód, jakie wyrządzą naloty nieprzyjacielskiego lotnictwa na nasze węzły kolejowe i mosty.

– Nie martwiłbym się tym zbyt, Qian – odparł marszałek Luo. – Rosyjskie lotnictwo jest w opłakanym stanie. W Czeczenii zmarnowali większość najlepszego sprzętu i części zamiennych. Zakładamy, że nasze wojska obrony powietrznej zminimalizują straty transportu kolejowego. Czy w związku z tym będziemy w stanie skierować ekipy techniczne do budowy linii kolejowych na Syberii?

Qian znów poczuł się osaczony.

– Rosjanie od lat planowali rozbudowę Kolei Transsyberyjskiej i przygotowywali dużo terenów pod linie kolejowe w nadziei na zasiedlenie tych ziem. Prace rozpoczęto jeszcze za Stalina. Czy możemy szybko ułożyć tam tory? Tak. Czy wystarczająco szybko, jak na nasze potrzeby? Raczej nie, towarzyszu marszałku – odparł z namysłem Qian. Wiedział, że gdyby nie był szczery, nie zagrzałby długo miejsca przy tym stole.

– Nie podzielałbym waszego optymizmu, towarzysze – w imieniu Ministerstwa Spraw Zagranicznych odezwał się Shen Yang.

– A to dlaczego, Shen? – spytał Zhang.

– Jak zareagują inne kraje? Nie liczyłbym na entuzjazm, zwłaszcza ze strony Ameryki.

Zacieśniają dobre stosunki z Rosją. Prezydent Ryan przyjaźni się z Gołowką, doradcą prezydenta Gruszawoja.

– Szkoda, że ten Gołowko wciąż żyje, ale zabrakło nam szczęścia – wtrącił Tan Deshi.

– Poleganie na szczęściu w tak poważnych sprawach jest niebezpieczne – uprzedził

kolegów Fang. – Los nie jest niczym przyjacielem.

– Może następnym razem – odparł Tan.

– Następnym razem – wtrącił się Zhang – byłoby lepiej wyeliminować Gruszawoja, co zapoczątkuje chaos w Rosji. Kraj bez prezydenta, to jak wąż bez głowy. Może się miotać, ale nikomu nie zrobi krzywdy.

– Nawet odcięta głowa może ugryźć – zauważył Fang. – Kto nam zaręczy, że następnym razem uśmiechnie się do nas szczęście?

– Mężczyzna może czekać, aż się do niego uśmiechnie, albo złapać kobietę za gardło i wziąć ją siłą, co już nam się nieraz zdarzało – wtrącił z okrutnym uśmiechem Zhang.

Łatwiej to zrobić z uległą sekretarką, niż z przeznaczeniem, towarzyszu Zhang, pomyślał

Fang. Milczał jednak, wiedząc na ile może sobie pozwolić w tej sali.

– Doradzałbym ostrożność, towarzysze – powiedział. – Psy wojny mają ostre kły, ale pies może się odwrócić i ugryźć swego pana. Widzieliśmy to już nieraz, prawda? Niektóre sprawy łatwo jest rozpętać, ale znacznie trudniej zatrzymać. Taka właśnie jest wojna i nie można rozpoczynać jej lekkomyślnie.

– O co ci chodzi, Fang? – spytał Zhang. – Mamy czekać, aż skończy się nam ropa i zboże? A może mamy czekać do chwili, aż będziemy musieli użyć armii do tłumienia zamieszek w kraju? Pozwolimy, żeby decydował za nas los, czy sami ukształtujemy swoje przeznaczenie?

Odpowiedź wypływała z chińskiej kultury, starożytnych wierzeń, które wszyscy członkowie Politbiura znali od zawsze, a które nie ulegały żadnym politycznym modom.

– Towarzysze, przeznaczenie osiągnie każdego z nas, czy tego chcemy, czy nie. To co proponujesz, mój stary druhu, może najwyżej przyspieszyć bieg wypadków, lecz kto potrafi przewidzieć, czy będą one korzystne dla nas? – Minister Fang pokręcił głową. – Być może te posunięcia są niezbędne, a nawet zbawienne – ciągnął – ale dopiero po rozważeniu i odrzuceniu innych rozwiązań.

– Jeśli mamy decydować – zabrał głos Luo – musimy zrobić to szybko. W tej chwili sprzyja nam pogoda. To jednak nie potrwa długo. Jeżeli uderzymy w przeciagu dwóch tygodni, osiągniemy cel, a czas będzie pracował na naszą korzyść. Potem nadejdzie zima i uniemożliwi dalszą ofensywę, zwłaszcza w przypadku zacieklej obrony. Wówczas będziemy mogli liczyć na to, że minister Shen za pomocą dyplomacji zabezpieczy nasze zdobycze, a być może, w zamian za pokój, podzielimy się z Rosjanami owocami naszego zwycięstwa... do czasu – dodał cynicznie.

Tymczasem premier Xu siedział cicho i obserwował, jak zmieniają się nastroje. Wkrótce będzie musiał podjąć decyzję i zarządzić głosowanie, którego wynik był już postanowiony.

Do rozważenia pozostała jeszcze jedna kwestia. Nie zdziwił się, że pytanie padło z ust Tan Deshiego, ministra bezpieczeństwa państwowego.

– Luo, mój przyjacielu, jak szybko należałoby podjąć decyzję, by być pewnym sukcesu?

Czy można byłoby też ją bez trudu odwołać, gdyby zmieniły się okoliczności?

– Decyzję na „tak” należałoby podjąć dzisiaj, żeby umożliwić naszym wojskom ześrodkowanie na pozycjach wyjściowych. Co do powstrzymania, to ofensywę możemy odwołać w każdej chwili, zanim artyleria zacznie strzelać. Trudniej jest iść naprzód, niż stać w miejscu. Każdy może się zatrzymać, obojętnie gdzie. – Była to umówiona przed posiedzeniem odpowiedź na przygotowane z góry pytanie, równie sprytna, jak przewrotna.

Zatrzymanie armii gotowej do ofensywy jest równie łatwe, co wstrzymanie biegu rwącej rzeki.

– Rozumiem – powiedział Tan. – W takiej sytuacji proponuję przegłosowanie warunkowej zgody na

rozkaz do ataku, która zawsze może być zmieniona większością głosów członków Politbiura.

Teraz nadeszła pora, żeby Xu przejął przewodnictwo obrad:

– Towarzysze, dziękuję wszystkim za przedstawienie swoich racji. Musimy postanowić, co jest najlepsze dla naszego kraju i narodu. Głosujemy nad propozycją Tana w sprawie warunkowej zgody na atak w celu przejęcia zasobów złota i pól ropośnych na Syberii.

Zgodnie z obawami Fanga, wszystko było z góry przesądzone i dla solidarności głosował tak jak inni. Jedyne Qian Kun wahał się, lecz i on dołączył do większości, bo w ChRL niebezpiecznie było odstawać od grupy, zwłaszcza tej.

Wyrok zapadł jednogłośnie.

Operacji nadano nazwę *Long Chun*, czyli WIOSENNY SMOK.

Scott Adler znał Moskwę nie gorzej od Rosjan. Był tu wiele razy, poczynając od tury w ambasadzie w czasach, kiedy był jeszcze młodym urzędnikiem Departamentu Stanu za prezydentury Cartera. Samolot Sił Powietrznych wylądował o czasie, jego załoga miała doświadczenie w przeprowadzeniu poufnych misji. Ta misja była mniej niezwykła od innych.

Znajdowali się w bazie myśliwców niedaleko Moskwy. Adler wysiadł sam, nikt mu nie towarzyszył. Czekający na płycie lotniska Rosjanin uściśnął mu rękę i wsiedli do samochodu, który ruszył w stronę stolicy. Adler był rozluźniony. Wiedział, że wiezie Rosjanom prezent, wart największej choinki na świecie i nie sądził, by byli tak głupi, żeby go nie przyjąć. Nie, Rosjanie byli jednymi z najzręczniejszych dyplomatów, o geopolitycznym sposobie myślenia, które nie zmieniło się od ponad sześćdziesięciu lat. W 1978 roku uderzyło go, że ich najzdolniejsi ludzie byli przywiązani do skazanego na porażkę systemu. Już wtedy Adler widział nadchodzący koniec Związku Radzieckiego. Postawienie przez Cartera na kwestię praw człowieka było jego najlepszym, choć najmniej docenianym posunięciem w polityce zagranicznej, bo jak wirus zainfekowało czerwone imperium. Rozpoczął się proces erozji bloku wschodniego, a ludzie tam mieszkający zaczęli zadawać kłopotliwe pytania. Ten tygiel podgrzał Ronald Reagan, stawiając na zbrojenia, co w konsekwencji doprowadziło do załamania się radzieckiej gospodarki. To z kolei pozwoliło George'owi Bushowi doprowadzić sprawę do końca, kiedy Rosja wyzwalała się z okowów systemu trwającego od czasów otoczonego niemal boską czcią Lenina. Kiedy bóg umiera, robi się smutno...

...ale nie w tym przypadku, pomyślał Adler patrząc na mijane budynki.

Wtem zdał sobie sprawę, że był jeszcze jeden większy, lecz również fałszywy bóg, Mao Tse Tung, który też skończy na śmietniku historii. Kiedy to nastąpi? Czy ta misja ma przyspieszyć jego upadek? Uznanie Chin przez Nixona odegrało poważną rolę w osłabieniu Związku Radzieckiego, czego wciąż jeszcze nie docenili historycy. Czy echo końca ZSRR

odbije się w upadku ChRL? Kto dożyje, ten zobaczy...

Samochód wjechał na teren Kremla przez Bramę Spasską i skierował się w stronę starego budynku Rady Ministrów. Adler wysiadł i windą wjechał na trzecie piętro.

– Panie sekretarzu – powitał go Gołowko. Adler powinien uważać go za szarą eminencję.

Siergiej Nikołajewicz był jednak człowiekiem o otwartej postawie. Był więcej niż tylko pragmatykiem, człowiekiem, który szukał wszędzie, gdzie się tylko da, najlepszych rozwiązań dla swojej ojczyzny. Poszukiwacz prawdy, pomyślał sekretarz stanu. Z takim człowiekiem dogada się i on, i Ameryka.

– Panie przewodniczący, dziękuję, że przyjął mnie pan tak szybko.

– Proszę za mną, panie Adler. – Gołowko wprowadził go przez wysokie, dwuskrzydłowe drzwi do pomieszczenia, które wyglądało na salę tronową. Orzeł zapomniał, że ten budynek pochodził z carskich czasów. Prezydent Eduard Pietrowicz Gruszawoj czekał na niego. Robił

wrażenie nastawionego przychylnie, lecz był poważny i spięty.

– Panie Adler. – Rosyjski prezydent uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Panie prezydencie, miło być znów w Moskwie.

– Zapraszam. – Gruszawoj zaprowadził go do wygodnych foteli przy niskim stoliku.

Stało na nim wszystko potrzebne do przyrządzenia herbaty. Gołowko osobiście obsługiwał samowar, niczym zaufany książę, dbający o króla i jego gościa.

– Dziękuję, zawsze lubiłem wasz sposób podawania herbaty. – Adler zamieszał swoją i upił łyżek.

– Zatem, co ma nam pan do przekazania? – spytał w znośnej angielszczyźnie Gruszawoj.

– Jest pewien problem, który bardzo nas niepokoi.

– Chińczycy? – spytał prezydent. Wiedzieli, o co chodzi, ale początek rozmów na tak wysokim szczeblu wymagał pewnego ustalonego protokołem porządku.

– Tak, Chińczycy. Wygląda na to, że zamierzają zagrozić światowemu pokojowi.

Ameryka nie życzy sobie takiej sytuacji. Oba nasze kraje pracowały ciężko nad zażegnaniem niedawnych konfliktów, co udało się nie bez pomocy Rosji. Sześćdziesiąt lat temu też byliśmy sojusznikami, co Rosja potwierdziła swymi niedawnymi posunięciami. Ameryka zawsze pamięta o swoich przyjaciółach.

Gołowko powoli wypuścił powietrze. Sprawdzają się jego przewidywania. Iwan Emmetowicz był człowiekiem honoru i przyjacielem jego kraju. Przypomniał sobie chwilę sprzed lat, kiedy przystawił Ryanowi pistolet do głowy. Ryan zorganizował wówczas porwanie szefa KGB, Gierasimowa. Siergiej Nikołajewicz kipiał wtedy nienawiścią. Ogarnęła go wściekłość, jakiej nie czuł przez cały okres służby, lecz powstrzymał się od strzału, bo zabicie człowieka z dyplomatycznym statusem byłoby wyjątkowo głupim posunięciem. Teraz błogosławił swą powściągliwość, bo Iwan Emmetowicz Ryan chciał ofiarować Rosji to, czego zawsze zazdrościli Ameryce: przewidywalność. Poczucie honoru Ryana, jego zamiłowanie do czystej gry, jego osobista uczciwość, powinny stanowić piętę Achilleesa polityka, lecz w tym przypadku czyniły zeń osobę, na której Rosja mogła polegać.

– Czy to chińskie zagrożenie jest waszym zdaniem realne? – spytał Gruszawoj.

– Obawiamy się, że tak – odparł sekretarz stanu. – Mamy nadzieję temu zapobiec.

– Ale jak możemy to osiągnąć? Chiny wiedzą o naszej militarnej słabości. Ostatnio zmniejszyliśmy nasz potencjał obronny, przeznaczając zaoszczędzone środki na dziedziny o kluczowym znaczeniu dla gospodarki narodowej. Wygląda na to, że przyjdzie nam gorzko za to zapłacić – martwił się na głos rosyjski prezydent.

– Panie prezydencie, z całym szacunkiem, pragniemy pomóc Rosji.

– Jak?

– Panie prezydencie, w chwili, kiedy rozmawiamy, prezydent Ryan jest na spotkaniu szefów rządów krajów członkowskich NATO. Ma zamiar zaproponować im zaproszenie Rosji do podpisania Sojuszu Północnoatlantyckiego. To połączyłoby Federację Rosyjską z całą Europą. Wówczas Chiny byłyby zmuszone do rozważenia ryzyka związanego z atakiem na wasz kraj.

– Aha – westchnął Gruszawoj. – Zatem Ameryka ofiaruje Rosji pełne przymierze?

– Tak, panie prezydencie – skinął głową Adler. – Tak jak niegdyś byliśmy sprzymierzeni przeciwko Hitlerowi, dziś możemy znów zjednoczyć się przeciwko wszystkim potencjalnym wrogom.

– Koordynacja wspólnych działań na szczeblu sił zbrojnych może trwać miesiącami.

– To są sprawy techniczne i należy zostawić je dyplomatom i specjalistom wojskowym.

Na naszym szczeblu oferujemy Federacji Rosyjskiej przyjaźń w wojnie i pokoju. Oddajemy do waszej dyspozycji słowo i honor naszych narodów.

– A co z Unią Europejską?

– To, panie prezydencie, jest sprawą Europejczyków, ale Ameryka będzie zachęcała swoich europejskich przyjaciół do przyjęcia was do swego grona i użyje w tym celu wszelkich wpływów.

– Czego żądacie w zamian? – spytał Gruszawoj. Gołowko tego nie odgadł. Mogło to być spełnienie wielu rosyjskich modłów, choć przyszło mu na myśl, że stawką może okazać się rosyjska ropa dla Europy, byle tylko z obustronną korzyścią.

– W zamian nie żądamy niczego szczególnego. W interesie Ameryki leży utrzymanie stabilnego pokoju na świecie, do którego zapraszamy Rosję. Przyjaźń między naszymi narodami jest pożądana przez wszystkich, prawda?

– A w naszej przyjaźni kryje się również interes Ameryki – zauważył Gołowko.

– Oczywiście – uśmiechnął się Adler. – Rosja sprzeda swoje towary do Ameryki i na odwrót. Staniemy się sąsiadami w globalnej wiosce, zaprzyjaźnionymi sąsiadami. Będziemy rywalizowali ekonomicznie, odnosząc z tego obustronne korzyści, tak jak robimy to z wieloma innymi krajami.

– Czy ta oferta jest aż taka prosta? – spytał Gruszawoj.

– A powinna być bardziej skomplikowana? – spytał sekretarz stanu. – Jestem dyplomata, nie prawnikiem i wolę rzeczy proste od złożonych.

Gruszawoj zastanawiał się nad tym przez jakieś pół minuty. Zwykle dyplomatyczne negocjacje w najprostszych nawet kwestiach ciągnęły się tygodniami i miesiącami. Adler miał rację: proste sprawy były lepsze od złożonych i, choć to fundamentalne przedsięwzięcie wyglądało na nieskomplikowane, długofalowe skutki zapierały dech w piersi. Ameryka proponowała Rosji nie tylko sojusz militarny, lecz również otwierała drzwi do rozwoju ekonomicznego. Ameryka i Europa jako partnerzy Federacji Rosyjskiej stworzą na północnej półkuli nowoczesne, zintegrowane społeczeństwo. To uczyni z Eduarda Pietrowicza Gruszawoja Rosjanina, który przeprowadził swój kraj przez cały wiek wprost w obecny i przyszły świat. Chociaż zburzono posągi Lenina i Stalina, być może to jemu ktoś wzniesie pomnik. Ta myśl przypadła mu do gustu. Po kilku minutach wyciągnął rękę nad niskim stolikiem do herbaty.

– Federacja Rosyjska z zadowoleniem przyjmuje propozycję Stanów Zjednoczonych Ameryki. Raz już wspólnie pokonaliśmy największe zagrożenie dla światowej cywilizacji.

Być może uda nam się to raz jeszcze.

– W takim razie, sir, niezwłocznie przekażę pańską zgodę mojemu prezydentowi. Adler spojrzął na zegarek. Zajęło to dwadzieścia minut. Cholera, działając wspólnie szybko tworzy się historię. Wstał.

– Muszę wracać, żeby przygotować raport.

– Proszę przekazać wyrazy szacunku prezydentowi Ryanowi. Zrobimy wszystko, by okazać się godnymi sprzymierzeńcami waszego kraju.

– Nie wątpimy w to, panie prezydencie. – Adler podał rękę Gotowce i podszedł do drzwi.

W trzy minuty później siedział w samochodzie zmierzającym z powrotem na lotnisko.

Dopiero kiedy samolot zaczął kołować po pasie, sięgnął po bezpieczny telefon satelitarny.

– Panie prezydencie? – powiedziała Andrea, podchodząc do Ryana tuż po rozpoczęciu plenarnej sesji NATO. Podała mu bezpieczny telefon. – Sekretarz Adler na linii.

Ryan natychmiast wziął słuchawkę.

– Scott? Tu Jack. Jak poszło?

– Interes ubity, szefie.

– Świetnie, teraz będę musiał sprzedać to chłopakom. Dobra robota, Scott. Wracaj prędko.

– Właśnie kołujemy, sir. – Połączenie urwało się. Ryan oddał telefon agentce specjalnej Price-O'Day.

– Dobre wieści? – spytała.

– Tak – skinął głową Ryan i wszedł do sali konferencyjnej.

– Panie prezydencie – zagadnął go sir Basil Charleston. Szef brytyjskiej Secret Intelligence Service znał Ryana dłużej, niż ktokolwiek z obecnych. Jedną z pozostałości drogi Ryana do prezydentury było to, że najlepiej znali go szpiedzy, głównie z NATO, a oni z kolei doradzali szefom swoich rządów, jak układać się z Ameryką. Sir Basil służył co najmniej pięciu premierom rządu Jej Królewskiej Mości, lecz teraz miał o wiele wyższą pozycję.

– Bas, jak się masz?

– Dziękuję, wcale nieźle. Mogę zadać pytanie?

– Jasne – odparł Jack.

– Adler jest teraz w Moskwie. Możemy wiedzieć, czemu?

– Jak zareaguje twój premier na zaproszenie Rosji do NATO?

Basil zamrugał gwałtownie powiekami. Rzadko komuś udawało się go zaskoczyć.

Natychmiast zaczął gorączkowo analizować nową sytuację.

– Chiny? – spytał po jakichś sześciu sekundach.

– Owszem – skinął głową Jack. – Możemy mieć tam pewne problemy.

- Chyba nie wybierają się na północ?
- Zastanawiają się nad tym – odparł Ryan.
- Jak pewna jest informacja w tej sprawie?
- Słyszałeś o nowych rosyjskich złożach złota i ropy naftowej?
- O, tak, panie prezydencie. Iwan miał cholerne szczęście.
- Nasz wywiad w Pekinie też miał szczęście.
- Doprawdy? – spytał Charleston, dając w ten sposób do zrozumienia, że SIS pozostała daleko w tyle.
- Doprawdy, Bas. To jest informacja pierwszej klasy i martwi nas. Mamy nadzieję, że odstraszy ich przyjęcie Rosji do NATO. Gruszawoj właśnie wyraził zgodę. Jak, twoim zdaniem, zareaguje reszta?
- Ostrożnie, lecz przychylnie, po tym jak dasz im czas na rozważenie sprawy.
- Czy Wielka Brytania poprze nas w tej grze? – spytał Ryan.
- Muszę porozmawiać z premierem. Dam ci znać. – Sir Basil podszedł do brytyjskiego premiera, który rozmawiał z niemieckim ministrem spraw zagranicznych. Charleston odciągnął go na bok i szepnął mu coś na ucho. Natychmiast oczy premiera otworzyły się szerzej, drgnął i utkwiał wzrok w Ryane. Wielka Brytania i USA zawsze popierały się w polityce międzynarodowej. Te „specjalne stosunki” były obecnie równie żywe, co za czasów Franklina Roosevelta i Winstona Churchilla. Była to jedna z nielicznych niezmiennych cech w dyplomatycznych poczynaniach obu krajów. Zadawało to kłam twierdzeniu Kissingera, że wielkie narody łączy nie tyle przyjaźń, co interesy. Być może był to potwierdzający regułę wyjątek. Anglia i Ameryka zawsze tworzyły wspólny front. Fakt, że w Anglii prezydent Ryan był sir Johnem Ryanem, umacniał jedynie ten związek. Premier Zjednoczonego Królestwa, mając to na względzie, podszedł do amerykańskiego prezydenta.
- Jack, wprowadzisz nas w zagadnienie?
- Na tyle, na ile mogę. Szepnę coś jeszcze Basilowi na stronie, ale widzisz, Tony, to dzieje się naprawdę i cholernie nas niepokoi.
- Złoto i ropa? – spytał premier.
- Chińczycy wpadli w ekonomiczną pułapkę. Kończy się im twarda waluta i brakuje pszenicy oraz ropy.
- Nie możesz jakoś temu zaradzić?

– Po tym, co zrobili? Kongres powiesiłby mnie na najbliższej latarni.

– Niechybnie – przyznał Anglik. BBC emitowała właśnie miniseriał dokumentalny na temat praw człowieka w ChRL i Chiny nie wypadły w nim najkorzystniej. W rzeczy samej opluwanie Chin stało się nowym europejskim sportem, co nie wpływało korzystnie na chińskie finanse. Kiedy już Chiny same wpadły w pułapkę, kraje zachodnie zajęły się rozbudową muru. Obywatele krajów demokratycznych postanowili nie robić żadnych interesów z ChRL do czasu, aż chińskie Politbiuro zobaczy, że w ten sposób robi się politykę.

– Całkiem jak w greckiej tragedii, co Jack?

– Owszem, Tony, a naszą tragiczną słabością jest wierność prawom człowieka. Cholerna sytuacja.

– Spodziewasz się, że przyjęcie Rosji do NATO powstrzyma ich?

– Mam taką nadzieję. To jedyne co możemy uczynić.

– Jak daleko już się posunęli?

– Nie wiadomo. Nasz wywiad jest bardzo dobry, ale musimy ostrożnie korzystać z uzyskanej wiedzy. Gdyby zabili tamtych ludzi, zostalibyśmy odcięci od istotnych informacji.

– Tak jak się stało z tym biedakiem Pieńkowskim w latach sześćdziesiątych. – Sir Basil wiedział, jak doksztalcić swego szefa w zasadach działania wywiadu.

Ryan skinął głową i przygotował małą dezinformację. To sprawy służbowe, więc Basil nie weźmie mu tego za złe.

– Właśnie, nie chciałbym mieć tego faceta na sumieniu, Tony, dlatego muszę zachować maksymalną dyskrecję.

– Jasne, Jack. W pełni to rozumiem.

– Poprzesz nas w tej sprawie?

Premier skinął głową.

– Tak, stary, musimy się popierać.

– Dzięki, chłopie. – Ryan poklepał go po ramieniu.

Rozdział 44

Nowy porządek

Zapowiadające się czysto formalnie spotkanie szefów państw NATO przekształciło się w trwający niemal cały dzień maraton negocjacji. Scott Adler użył wszystkich możliwych środków perswazji, by ugłaskać poszczególnych ministrów spraw zagranicznych. Udało mu się to dzięki pomocy Anglików, bo ich dyplomacja zawsze reprezentowała klasę Rolls-Royce'a. Po czterech godzinach osiągnięto porozumienie, przypieczętowane kiwaniem głowami i uściskami dłoni. Wszystko odbywało się za zamkniętymi drzwiami, bez możliwości przecieku do prasy, więc kiedy szefowie rządów poszczególnych krajów zaczęli składać oświadczenia, media przyjęły to jak grom z jasnego nieba. Nie знаły jednak prawdziwych powodów tej decyzji. Powiedziano im, że ma to związek z nowymi ekonomicznymi obietnicami wobec Federacji Rosyjskiej, co brzmiało dość rozsądnie, i do pewnego stopnia było zgodne z prawdą.

W rzeczywistości większość partnerów z NATO również nie знаła całej prawdy. Wywiad amerykański podzielił się nią jedynie z Wielką Brytanią a Francja i Niemcy zostały z grubsza poinformowane o przyczynach niepokoju Amerykanów. Do reszty sojuszników przemawiała prosta logika obecnej sytuacji. Prasa również przyjęła to korzystnie i dla większości polityków na świecie był to wystarczający powód, by publicznie rozdzierać szaty. Sekretarz Adler ostrzegł prezydenta o niebezpieczeństwie wynikającym z wikłania suwerennych narodów w wynikające z traktatu zobowiązania bez podawania im prawdziwych powodów, choć sam przyznawał, że nie mieli większego wyboru. Oprócz tego stwarzało to pretekst pozwalający na wycofanie się poszczególnych państw NATO ze zobowiązań militarnych, co szczęśliwie przeoczyły media i oby również Chińczycy.

Te sensacyjne wieści pojawiły się w wieczornych wiadomościach w Ameryce i późną nocą w Europie, a kamery pokazywały przybycie ważnych osobistości na uroczysty obiad w Warszawie.

– Jestem ci winien kolejkę, Tony. – Ryan podniósł kieliszek wina, zwracając się do brytyjskiego premiera. Wyborne białe wino pochodziło z doliny Loary. Mocniejsze trunki były równie dobre, a królowała wśród nich polska wódka.

– Mam nadzieję, że to przystopuje naszych chińskich przyjaciół. Kiedy przyjeżdża Gruszawoj?

– Jutro po południu, po czym znów będziemy pili. Głównie wódkę, jak mniemam. –

Dokumenty właśnie się drukowały, potem – jak to ważne dokumenty – zostaną oprawione w piękną skórę i w końcu spoczną wetknięte gdzieś do archiwum w piwnicy i mało kto będzie je oglądał.

– Basil mówił mi, że doniesienia twojego wywiadu są dość przerażające – zauważył premier, pijąc wino.

– To wszystko prawda, mój przyjacielu. Przywykliśmy uważać, że wojny należą już do przeszłości.

– Tak też myśleli nasi poprzednicy sto lat temu, Jack. Trochę im nie wyszło...

– To prawda, ale co wtedy, to nie teraz. A świat zmienił się w ciągu stu ostatnich lat.

– Mam nadzieję, że to pocieszy choć trochę arcyksięcia Ferdynanda i te dziesięć milionów poległych w konsekwencji jego zabójstwa. O akcie drugim, jakim była rewolucja, nie wspomnę – odparł premier na pożegnanie.

Rozglądając się po sali, Ryan mógł dostrzec szefów rządów ponad piętnastu krajów, od małej Islandii poczynając poprzez Holandię aż po Turcję. Był prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki, największego i najpotężniejszego kraju członkowskiego NATO –

przynajmniej do jutra, pomyślał. Miał ochotę wziąć każdego z osobna na stronę i spytać jak też on (akurat wszyscy byli mężczyznami) pojmuje i wykonuje swoje obowiązki. Czy robi to uczciwie? Jak troszczy się o potrzeby zwykłego obywatela? Ryan wiedział, że nierozsądnie byłoby spodziewać się, że wszyscy będą go kochali. Arnie powiedział mu kiedyś, że wystarczy, by był lubiany przez połowę plus jednego amerykańskiego wyborcę, a już to było wystarczająco trudnym zadaniem. Znał z widzenia wszystkich zgromadzonych szefów rządów i czytał ich krótkie charakterystyki. Ten tu, miał niespełna dziewiętnastoletnią kochankę. Tamten pił jak smok. Temu zaś myliły się czasem preferencje seksualne. Ten z kolei, skończony łajdak, zbił fortunę, korzystając ze swego stanowiska. Jednak wszyscy byli sprzymierzeńcami jego kraju, zatem oficjalnie jego przyjaciółmi. Dlatego też Jack starał się nie zwracać uwagi na to, co o nich wiedział. Co zabawniejsze, wszyscy traktowali Ryana z wyższością, bo uważali się za lepszych polityków od niego. Żeby było jeszcze śmieszniej, mieli rację. Rzeczywiście są lepszymi politykami, pomyślał pijąc wino.

Brytyjski premier poszedł porozmawiać ze swym norweskim odpowiednikiem, a Cathy Ryan dołączyła do męża.

– I co kochanie, jak się bawisz?

– Jak zwykle. Czy żadna z tych kobiet nie ma prawdziwej pracy? – spytała.

– Niektóre. – Jack przypomniał sobie akta. – Niektóre nawet mają dzieci.

– Głównie wnuki, nie jestem jeszcze tak stara, dzięki Bogu.

– Przykro mi. Ale bycie piękną i młodą ma swoje zalety.

– A ty jesteś tu najprzystojniejszym facetem – odparła z uśmiechem Cathy.

– Jestem też zmęczony po długim dniu przy stole rokowań.

– Czemu chcesz przyjąć Rosję do NATO?

– Żeby powstrzymać wojnę z Chinami – odparł szczerze Jack. Przyszła pora, żeby się dowiedziała. Odpowiedź przykuła jej uwagę.

– Co takiego?

– Wyjaśnię ci później, kochanie. To skrócona wersja.

– Wojna?

– Tak. To skomplikowana historia i mam nadzieję, że udało się nam jej zapobiec.

– To ty tak twierdzisz – rzekła z powątpiewaniem Cathy Ryan.

– Spotkałaś kogoś miłego?

– Francuski premier jest czarujący.

– Naprawdę? Podczas negocjacji był wyjątkowo twardym skurwielem. Może po prostu usiłował zajrzeć ci pod kieckę – powiedział żonie Jack. Raport Departamentu Stanu delikatnie podkreślał, że francuski prezydent ma „godny uwagi temperament”. – Przecież Francuzi cieszą się opinią wspaniałych kochanków, prawda?

– Reprezentuję Amerykę, sir John – przypomniała mu.

– Ja również, moja pani. – Mógłbym kazać Royowi Altmanowi zastrzelić Francuza za dobieranie się do jego żony, pomyślał z rozbawieniem Ryan, tylko że wywołałoby to incydent dyplomatyczny, a Scott Adler zawsze martwił się takimi... Jack zerknął na zegarek. Pora kończyć dzień. Wkrótce niektórzy dyplomaci dyskretnie dadzą znać, że przyjęcie skończone.

Jack nie zatańczył ze swoją żoną. Prawdę mówiąc, ku jej zmartwieniu, nie umiał tańczyć i tę ułomność postanowił naprawić. Kiedyś...

Przyjęcie dobiegło końca. Ambasada miała wygodne pokoje. Ryan trafił w końcu do wielkiego łóżka sprowadzonego na użytek jego i Cathy.

Służbowe mieszkanie Bondarienki w Chabarowsku było bardzo wygodne, spełniając wymogi generała i jego rodziny. Jednak jego żona nie lubiła tu mieszkać. Na Syberii brakowało jej życia towarzyskiego Moskwy. Oprócz tego jedna z jej córek była w dziewiątym miesiącu ciąży i pani generałowa bawiła w Sankt Petersburgu, oczekując na rozwiązanie.

Front domu wychodził na duży plac defiladowy. Z tyłu, gdzie mieściła się sypialnia, rozciągał się widok na bezkresną tajgę. Bondarienko miał liczny personel, dbający o jego potrzeby. W

jego skład wchodził doskonały kucharz i ludzie z łączności. Jeden z tych ostatnich zapukał do sypialni generała o trzeciej nad ranem.

– O co chodzi?

– Pilna wiadomość, towarzyszu generale – padła odpowiedź.

– Dobrze, chwileczkę. – Giennadij Josifowicz wstał, włożył szlafrok i, podchodząc do drzwi, zapalił światło. Utyskiwał cicho, jak każdy wyrwany ze snu człowiek, ale generałowie powinni spodziewać się takich rzeczy. Otworzył drzwi bez pretensji do podoficera, który wręczył mu depeszę.

– Pilna, z Moskwy – podkreślił sierżant.

– Spasiba – odparł generał, wziął depeszę i poszedł w stronę łóżka. Usiadł w wygodnym fotelu, na którym zwykle kładł bluzę i włożył okulary do czytania. Na ogół ich nie potrzebował, ale pomagały w panującym w pokoju półmroku. To musiało być coś ważnego, na tyle pilnego, by zbudzić go w środku cholernej...

– Mój Boże – szepnął dowódca Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego, patrząc na stronę tytułową. Odrzucił ją, wgrzyzając się w esencję raportu.

W Ameryce nazwano by to Specjalną Informacją Wywiadowczą. Bondarienko widział

już takie przedtem, niektóre pomagał układać, ale z czymś takim zetknął się po raz pierwszy.

Panuje przekonanie o nadciągającej groźbie wojny pomiędzy Rosją a Chińską Republiką Ludową. Chiny zamierzają podjąć działania ofensywne celem opanowania nowo odkrytych złóż złota i ropy na Syberii poprzez szybki atak wojsk zmechanizowanych przez swoją północną granicę na zachód od Chabarowska. W skład sił pierwszego rzutu wchodzi następujące jednostki: 34. Armia Uderzeniowa...

Generał potrząsnął głową, zaskoczony szczegółowością raportu i pobiegł wzrokiem na koniec depeszy.

Ta ocena jest oparta na doniesieniach wywiadu, który uzyskał dostęp do źródła ulokowanego w najbliższym otoczeniu osób ze ścisłego kręgu przywódców politycznych ChRL

i otrzymuje jakościową klasyfikację IA.

Dowództwo Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego ma przygotować się na przyjęcie i odparcie takiego ataku...

– Tylko czym? – zwrócił się do trzymanego w ręku dokumentu. – Czym, towarzysze?

Zadając to retoryczne pytanie, podniósł słuchawkę telefonu.

– Odprawa sztabu za czterdzieści minut – powiedział dyżurującemu sierżantowi. Nie wykonał teatralnego gestu jakim byłoby ogłoszenie pełnego alarmu. To nastąpi po odprawie.

Tymczasem zaczął rozważać sytuację. Wnioski, do których doszedł, nie były pocieszające.

Jednak nie chciał pozostać w pamięci przyszłych pokoleń słuchaczy rosyjskich szkół oficerskich jako generał, który nie potrafił sobie poradzić z zadaniem obrony granic kraju.

Jestem tutaj, powiedział sobie Bondarienko, bo nie ma lepszego generała w całej armii. Brał już udział w walkach i sprawił się na tyle dobrze, że nie tylko przeżył, lecz otrzymał najwyższe odznaczenia za odwagę. Przez całe życie studiował historię wojskowości. Spędził nawet trochę czasu na amerykańskim poligonie w Kalifornii. Miał wiedzę. Był odważny.

Brakowało mu tylko środków. Jednak historię tworzą nie ci, którzy mają wszystko. Kiedy wojsko ma wszystkiego pod dostatkiem, do podręczników trafiają raczej przywódcy polityczni.

Al Gregory ślęczał nad papierami do późna, jako specjalista od programów komputerowych nabrał zwyczaju pracować w dziwnych porach i tu też nie robił wyjątku. W

tej chwili przebywał na pokładzie krążownika USS „Gettysburg”. Okręt nie znajdował się na morzu, lecz stał w suchym doku, podtrzymywany przez drewniane podpory. Lewa śruba

„Gettysburga” zaplątała się w cumę boi. Stocznia nie śpieszyła się z wymianą, ponieważ należało również przeprogramować sterowanie maszynownią okrętu. To odpowiadało załodze. Stocznia Marynarki w Portsmouth, stanowiąca część bazy Norfolk, nie była może rajskim ogrodem, ale w okolicy mieszkała większość rodzin marynarzy i już to było wystarczająco atrakcyjne.

Gregory siedział w Centrum Informacji Bojowej, miejscu skąd dowódca kieruje walką okrętu. W tym olbrzymim pomieszczeniu zarządzano wszystkimi systemami uzbrojenia. Dane radaru SPY były prezentowane na trzech umieszczonych obok siebie monitorach, o rozmiarach dużego telewizora każdy. Kłopot sprawiał sterujący radarem komputer.

– Wiesz co – Gregory zwrócił się do starszego bosmana sztabowego, który obsługiwał system – stary Mac ma więcej mocy obliczeniowej niż ten złom.

– Ależ doktorze, to jest szczytowe osiągnięcie technologii z 1975 roku – obruszył się bosman. – W końcu śledzenie pocisku nie jest aż tak wielką sztuką.

- A moim zdaniem, doktorze Gregory – wtrącił inny bosman – ten radar wciąż jest najlepszym cholerstwem, jakie pływa po morzach.
- To prawda – przyznał Gregory. Solidne wykonanie gwarantowało łączny impuls o mocy sześciu megawatów. Radar mógł również śledzić pocisk balistyczny z odległości przekraczającej półtora tysiąca kilometrów. Jedynym ograniczeniem był wyłącznie program komputerowy.
- Co robicie w przypadku, kiedy chcecie śledzić głowicę pocisku balistycznego?
- Nazywamy to dodaniem czipa – odparł starszy bosman sztabowy.
- Co? – spytał z niedowierzaniem Al – Zmieniacie sprzęt?
- Nie, sir, to oprogramowanie. Ładujemy inny program.
- Po co wam inny program? Standardowy nie wystarczy do śledzenia zarówno samolotów jak i pocisków? – spytał wiceprezes TRW.
- Sir, ja tylko obsługuję to gówno. Nie projektowałem go. To dzieło speców z RCA i IBM.
- Cholera – rzucił Gregory.
- Powinien pan porozmawiać z porucznikiem Olsonem – odezwał się jeden z bosmanów
- To chłopak po studiach w Dartmouth. Zdolny jak na oficera.
- Tak – przyznał starszy bosman sztabowy. – Pisanie programów to jego hobby.
- Zmyślny gość. Oficer uzbrojenia i Pierwszy chwilami mają go dość.
- Dlaczego? – spytał Gregory.
- Ponieważ czasem gada jak pan, sir – odparł starszy bosman sztabowy Leek. – Tylko zarabia znacznie mniej.
- To dobry dzieciak – dodał starszy bosman sztabowy Matson. – Dbą o ludzi i zna się na swojej robocie, no nie, Tim?
- Tak, George, dobry dzieciak, i chyba zostanie w Marynarce.
- Nie, firmy komputerowe już próbowały go podkupić. Cholera, w zeszłym tygodniu Compaq proponował mu trzysta kawałków.
- To żołąd z całego życia – skomentował starszy bosman sztabowy Leek.
- I co na to Olson?

- Odmówił. Powiedziałem mu, żeby nie schodził poniżej pół miliona – roześmiał się Matson, sięgając po kawę.
- I co pan sądzi, doktorze Gregory? Chłopak jest wart takiej forsy w komputerach?
- Jeśli naprawdę jest dobry, to może. – Al zanotował sobie w pamięci, by osobiście sprawdzić tego porucznika Olsona. W TRW zawsze znajdzie się miejsce dla uzdolnionego pracownika. Dartmouth słynęło z wydziału komputerowego. Jeśli dodać doświadczenie ze służby w Marynarce, to mamy gotowego kandydata do projektu pocisków ziemia-powietrze.
- No dobrze, co się dzieje kiedy już „dodacie czipa”?
- Zmieniamy zasięg radaru. Wie pan jak to działa. Energia elektromagnetyczna leci sobie w przestrzeń, ale my odbieramy tylko sygnały odbicia przepuszczone przez specyficzną bramkę czasową. – Starszy bosman sztabowy Leek pokazał dyskietkę z napisem ZMIANA BRAMKI. – Zwiększa to zasięg radaru SPY do dwóch tysięcy kilometrów. Więcej, niż wynosi zasięg pocisków taktycznych. Pięć lat temu brałem udział w testach rakiet taktycznych w Port Royal koło Kwajalein i śledziliśmy pocisk przez całą drogę, aż zniknął za horyzontem.
- Trafiliście? – zainteresował się Gregory.

Leek pokręcił głową.

- Awaria lotki. To był wczesny SM-2 Block IV. Ekspłodował w odległości pięćdziesięciu metrów od celu, ale to było o włos poza zasięgiem rażenia głowicy. Zezwolono nam tylko na jeden strzał. Z niewyjaśnionych dotąd powodów chłopcy z USS „Shiloh” w następnym roku zaliczyli bezpośrednie trafienie. Mamy z tego kurewsko fajną taśmę – zapewnił gościa starszy bosman sztabowy.

Gregory wierzył mu. Kiedy obiekt poruszający się z prędkością 22 tysięcy kilometrów na godzinę zderzał się z nadlatującym z przeciwka obiektem o prędkości trzech tysięcy kilometrów na godzinę, efekt może być wstrząsający.

- A co pana do nas sprowadza, doktorze Gregory? – spytał bosman Matson.

- Chcę zbadać, czy wasz system może być użyty przeciwko pociskom balistycznym.

- Jak szybkim? – spytał Matson.

- Prawdziwym międzykontynentalnym. Kiedy zobaczycie je na radarze, będą robiły siedem tysięcy sześćset metrów na sekundę.

- To naprawdę sporo – zauważył Leek. – Siedem, osiem razy szybciej od kuli karabinowej.

- Szybciej od taktycznych pocisków balistycznych typu Scud. Nie jestem pewien, czy damy radę – zaniepokoił się Matson.

– Ten system radarowy jest doskonały. Przypomina radar *Cobra Dane* na Aleutach.

Powstaje pytanie, czy nasze pociski przeciwlotnicze zdążą przechwycić cel?

– Czy głowica jest bardzo twarda? – zapytał Matson.

– Delikatniejsza od samolotu. Głowice pocisków balistycznych są tak konstruowane, żeby wytrzymały temperaturę, nie uderzenie. Podobnie jak pokrycie promu kosmicznego.

Kiedy trafi w ulewę, może zgubić kupę płytek ceramicznych.

– Naprawdę?

– Tak – skinął głową Gregory. – To cholerstwo jest delikatne jak styropian.

– Dobrze, zatem cały problem polega na tym, jak zbliżyć SM-2 do celu tak, żeby głowica wybuchła, kiedy znajdzie się przed nim, a nie z tyłu, poza zasięgiem stożka odłamków.

– Słusznie. – Może są tylko podoficerami Marynarki, ale na pewno nie są durniami.

– Program skupia się na namierzaniu głowicy?

– Zgadza się. Przerobiłem kody. Dziecinnie proste. Przeprogramowałem sposób pracy lasera. Powinien działać dobrze, jeśli systemy naprowadzania na podczerwień będą równie sprawne jak je reklamują. Przynajmniej udało się podczas komputerowej symulacji w Waszyngtonie.

– Sprawdziły się na USS „Shiloh”, doktorze. Mamy gdzieś na pokładzie tę taśmę. Chce pan zobaczyć? – zaproponował Leek.

– No pewnie – odparł z entuzjazmem Gregory.

– Dobrze. – Starszy bosman sztabowy Leek zerknął na zegarek. – Teraz mam wolno.

Skoczę zapalić na rufę i potem puścimy sobie tę taśmę.

– Nie wolno zapalić tutaj?

– To „nowa” Marynarka, doktorze. Stary jest fanatykiem zdrowia. Żeby puścić dymka, trzeba iść na rufę. Nawet w pomieszczeniach bosmanów nie wolno – poskarżył się Leek.

– Ja rzuciłem palenie – powiedział Matson. – Nie jestem takim głupkiem jak Tim.

– Też coś – odparł Leek. – Niewielu prawdziwych mężczyzn zostało na pokładzie.

– Czy to poważne? – pułkownik Alijew wiedział, że głupio pyta, ale tak mu się jakoś wyrwało.

– Mamy rozkaz tak to potraktować, pułkowniku – odpowiedział Bondarienko. – Czym dysponujemy dla powstrzymania wroga?

– 265. Dywizja Piechoty Zmotoryzowanej osiągnęła pięćdziesiąt procent stanu –

zameldował oficer operacyjny. – Oprócz tego dwa pułki pancerne po około czterdzieści procent każdy. Nasze odwody istnieją głównie na papierze – ciągnął Alijew. – Jeśli chodzi o wsparcie lotnicze, mamy jeden pułk myśliwców w pełnej gotowości i kolejne trzy dysponujące połową zdolnych do lotu maszyn.

Bondarienko skinął głową. Było lepiej niż wtedy, gdy objął dowództwo okręgu, ale i tak nie zaimponuje tym Chińczykom.

–

Przeciwnik?

–

zapytał

kolejnego

pułkownika,

dowodzącego

wywiadem

Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego Władimira Konstantinowicza Tołkunowa.

– Nasi chińscy sąsiedzi są doskonale przygotowani, towarzyszu generale. Najbliższą nieprzyjacielską jednostką jest 34. Armia Uderzeniowa, dowodzona przez generała Peng Xi Wanga – zaczął – trzykrotnie przewyższa nas pod względem zmechanizowania i jest doskonale wyszkolona. Chińskie lotnictwo – cóż, mają ponad dwa tysiące maszyn i pewnie wszystkie zaangażują w tę operację. Towarzysze, brak nam wystarczających środków, by ich zatrzymać.

– Zatem wykorzystajmy przewagę przestrzeni – zaproponował generał. – Tego przynajmniej nam nie brak. Będziemy prowadzić działania opóźniające i czekać na posiłki z zachodu. Później porozmawiam ze Sztabem Generalnym. Niech określą, czego nam potrzeba do powstrzymania tych barbarzyńców.

– Całe zaopatrzenie opiera się na jednej linii kolejowej – zauważył Alijew. – A nasi saperzy pracownicy przygotowali drogę dla Kitajców, żeby mogli opanować pola roponośne...

Generale, przede wszystkim musimy skierować jednostki inżynieryjne do przygotowania pól minowych. Mamy miliony min, a nietrudno przewidzieć kierunek posuwania się Chińczyków.

– Pasza, czy Chińczycy są naprawdę dobrzy?

– Armia Ludowo-Wyzwoleńcza nie brała udziału w walkach na szerszą skalę od pięćdziesięciu lat, czyli od czasu wojny koreańskiej, nie licząc incydentów granicznych z końca lat 60. i początku 70. Wówczas poradziliśmy sobie z nimi bez trudu, ale mieliśmy olbrzymią przewagę ogniową, a Chińczycy prowadzili działania na ograniczoną skalę. Są wyszkoleni według naszych starych wzorów. Żołnierze nie myślą samodzielnie. Dyscyplina jest drakońska. Najdrobniejsze przewinienia są karane na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej, a to wymusza posłuszeństwo. Na szczeblu operacyjnym ich sztabowcy są teoretycznie dobrze wyszkoleni. Ich uzbrojenie jakościowo z grubsza odpowiada naszemu.

Dzięki dużym nakładom na ćwiczenia, ich żołnierze są doskonale obeznani ze sprzętem i podstawami taktyki – referował zebranym Alijew. – Jednak prawdopodobnie nie dorównują naszym sztabowcom. Niestety, mają dużo wojska i, jak mawiali o nas w NATO, ilość zastępuje jakość. Obawiam się, że będą próbowali rozbić nas jednym potężnym uderzeniem.

Bondarienko skinął głową i napił się herbaty. To było szalone, a najbardziej wariackie było to, że on sam grał w 1975 roku rolę dowódcy NATO, chyba niemieckiego. Sytuacja była dokładnie odwrotna, tylko że Niemcy nie mieli terenów do wykorzystania. Rosjanie zawsze używali przestrzeni do osiągnięcia przewagi.

– Doskonale, towarzysze. Nie damy im szansy na decydujące starcie. Jeżeli przekroczą granicę, będziemy prowadzili wojnę manewrową. Uderzenie i odskok. Zadamy cios i wycofamy się, zanim zdążą przeprowadzić kontratak. Oddamy im ziemię, ale nie swoją krew.

Życie każdego naszego żołnierza jest dla nas zbyt cenne. Chińczyków czeka długa droga do ich celów. Wpuścimy ich daleko, a tymczasem zbierzemy sprzęt i ludzi. Zapłacą nam za wszystko, ale podkreślam: za żadną cenę nie możemy dopuścić do uwikłania naszych sił

głównych w decydującą bitwę. Czy wszyscy to dobrze zrozumieli? – spytał swoich sztabowców. – W razie wątpliwości uciekać, nie dając szans nieprzyjacielowi. Kiedy już będziemy mieli wszystko, czego nam potrzeba, pogonimy ich.

– A co z pierwszą linią obrony? – zapytał Alijew.

– Wycofają się po zadaniu pierwszego ciosu Chińczykom. Towarzysze, nie potrafię tego dobitniej wyrazić: liczy się dla nas życie każdego żołnierza. Nasi ludzie będą walczyć lepiej, wiedząc, że troszczymy się o nich. Jeśli żądamy, by narażali swe życie dla ojczyzny, to ojczyzna musi być w zamian lojalna wobec nich. Wtedy będą walczyć jak lwy. Rosyjscy żołnierze potrafią walczyć. Musimy być ich warci. Jesteście wyszkolonymi zawodowcami. To będzie najważniejszy sprawdzian w waszym życiu.

W obliczu tego zadania jesteśmy równi. Od nas zależy los narodu. Andriej Pietrowicz przygotowuje dla mnie plany. Mamy prawo powołania rezerwistów. Zrobmy to. Mamy dla nich hektary magazynów. Powołać najzdolniejszych oficerów rezerwy. – Bondarienko wstał i wyszedł, mając nadzieję, że jego mowa odniosła zamierzony skutek.

Tylko że wojny nie wygrywa się oracjami.

Rozdział 45

Duchy przeszłości

Prezydent Gruszawoj przybył do Warszawy z godną okoliczności świątą i odpowiednią pompą. Ryan oglądał powitanie na ekranie telewizora i pomyślał sobie, że Gruszawoj jest doskonałym aktorem. Z wyrazu twarzy nikt by się nie domyślił, że reprezentowany przezeń kraj stoi w obliczu wojny. Gruszawoj cierpliwie przywitał się z tłumem notabli i przeszedł

przed frontem kompanii honorowej, prawdopodobnie złożonej z tych samych żołnierzy, którzy podobnie odprowadzali prezydenta wzrokiem, gdy Ryan wylądował w Warszawie.

Gruszawoj wygłosił następnie kwiecistą mowę, nawiązując do historii przyjaznych stosunków polsko-rosyjskich (dyskretnie pomijając o wiele dłuższą historię stosunków mniej przyjaznych). Następnie wsiadł do samochodu, by udać się do miasta. Ryan z satysfakcją stwierdził, że prezydentowi towarzyszy Siergiej Nikołajewicz Gołowko.

Ryan czytał faks z Waszyngtonu, informujący ogólnie, czym dysponują Chińczycy.

Ocena sytuacji nie brzmiała zbyt optymistycznie. Co gorsza, Ameryka nie posiadała żadnych znaczniejszych sił, którymi mogłaby wesprzeć Rosjan. A największa na świecie marynarka wojenna nie na wiele mogła się przydać podczas walk na lądzie. Armia Stanów Zjednoczonych dysponowała w Europie bardzo ograniczonymi siłami – miała tam zaledwie półtorej dywizji pancernej oddalonej o wiele tysięcy kilometrów do potencjalnego obszaru walk. Natomiast Siły Powietrzne ze swym globalnym zasięgiem potrafiły przysporzyć agresorowi bólu głowy. Jednakże samo lotnictwo nie potrafi pokonać żadnej armii lądowej. Z

tego wszystkiego wynikało jasno, że ciężar wojny spoczywać będzie głównie na barkach Rosji i jej wojsk lądowych, a faks informował, że Armia Rosyjska jest w opłakanym stanie.

Amerykański wywiad wojskowy miał wiele dobrego do powiedzenia na temat dowódcy Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego, ale nawet najsprytniejszy facet z pistoletem w ręku nie ma szans w spotkaniu z głupim, ale uzbrojonym w karabin maszynowy przeciwnikiem. Ryan westchnął. Miał nadzieję, że Chińczycy głęboko się zastanowią, kiedy pod koniec dnia poznają decyzje podjęte przez sojuszników. Jednakże faks wywiadu Departamentu Obrony wspominał, że nie należy liczyć na chińską wstrzeźliwość.

– No i co, Scott? – spytał Ryan sekretarza stanu.

– Nie potrafię powiedzieć, Jack. W zasadzie to spotkanie i podpisanie traktatu powinno ich zniechęcić, ale nie wiemy, jak głęboko Chińczycy zapędzili się w ślepy zaułek. Jeśli dojdą do wniosku, że wpadli w pułapkę, to tym bardziej mogą uderzyć.

– Niech to wszyscy diabli! Czy rzeczywiście wielkie państwa w ten sposób prowadzą interesy? Ich przywódcy wyciągają fałszywe wnioski, powodowani urojeniami i lękami, podejmują idiotyczne i zarazem brzemienne w skutkach decyzje?

Adler wzruszył ramionami.

– Błędem byłoby sądzić, że premier ich rządu jest mądrzejszy od całej reszty i od nas wszystkich – powiedział. – Ludzie podejmują decyzje bez względu na to czy reprezentują wielkie państwa, czy małe. I bez względu na to czy są mądrzy, czy głupi. Problem polega na czymś innym, a mianowicie, jak dostrzegają problem, przed którym stoją, i jaki widzą w tym własny interes. Pamiętaj, Jack, że nie mamy tu do czynienia z duchownymi. Nie podejrzewajmy nawet chińskich decydentów o posiadanie sumienia. U nich nie roztrząsa się, co jest dobre, a co złe. Oni nie znają pojęcia dobra i zła. Oni rozumieją pojęcie „dobro kraju”

jako dobro nielicznej grupki decydentów. Tak jak dwunastowieczni monarchowie absolutni.

Ale w dwunastym wieku za tronem stał biskup, co w pewien sposób przypominało władcy, że przygląda mu się Bóg.

Adler nie musiał dodawać, że w Chinach zrobiono co można, by zza pleców decydentów usunąć wyznawców Konfucjusza. Ryan dobrze o tym wiedział.

– Uważasz, że mamy do czynienia z socjopatami? – spytał prezydent.

Adler roześmiał się.

– Jestem tylko dyplomata, nie lekarzem. Wiem, że kiedy negocjuje się z takimi jak oni, to macha się im przed oczami jakimś łakomym kąskiem. Czymś, co jest dobre dla ich kraju, dla nich samych. I ma się nadzieję, że oni łapczywie po to sięgną. Tylko że to jest zabawa z ludźmi, których tak naprawdę nie znamy. Oni czasami robią rzeczy, które nam nigdy nie przysłyby do głowy. A poza tym ci ludzie rządzą wielkim krajem posiadającym broń nuklearną.

– Dobrze! – Ryan wstał, wziął głęboki oddech i sięgnął po marynarkę. – Popatrzmy, jak nasz nowy sojusznik będzie składał podpis.

Po dziesięciu minutach byli już w sali recepcyjnej Pałacu Na Wodzie. Najpierw szefowie rządów dali szansę ekipom telewizyjnym. Z przyklepionymi do twarzy uśmiechami krążyli po schodach przepięknego pałacu, witając się i popijając drinki. Wypowiadali do kamer nieoficjalne uwagi i równie nieoficjalnie kiwali głowami. Potem anonimowy urzędnik protokołu dyplomatycznego

otworzył podwójne drzwi i wszyscy przeszli do drugiej sali z wielkim stołem. Leżały na nim dokumenty, za nim stały krzesła, a przed nim bardziej oficjalne kamery, mające dla potomności zarejestrować historyczną chwilę.

Przemówienie prezydenta Gruszawoja było przewidywalne do ostatniej kropki: niegdyś NATO zostało powołane do życia w celu obrony Europy Zachodniej przed tym, czym wtedy była Rosja. I ta nieistniejąca już Rosja Radziecka stworzyła w odwecie swój własny sojusz, Układ Warszawski. Pakt podpisano właśnie w tym mieście, w Warszawie. Ale świat się zmienił i teraz Rosja z wielką radością dołącza do reszty Europy i przystępuje do sojuszu przyjaciół, których jedynym pragnieniem jest pokój i pomyślny rozwój świata. On, Gruszawoj, jest szczęśliwy, że przypada mu rola stania się pierwszym, od bardzo długiego czasu, Europejczykiem wstępującym do europejskiej rodziny i wspólnoty. Obiecuje też, że będzie starał się być wartościowym partnerem i przyjacielem swych nowych europejskich sąsiadów (nie wspomniał ani słowem o wojskowych konsekwencjach wstąpienia do Paktu Północnoatlantyckiego). Wszyscy obecni gorąco oklaskiwali wystąpienie Gruszawoja, który wyciągnął z kieszeni dziewiętnastowieczne pióro, wypożyczone na tę okazję z Ermitażu w Sankt Petersburgu, i podpisał nim odpowiedni dokument, co zwiększyło liczbę członków NATO o jednego, a na sali wywołało kolejną falę oklasków. Przybyli na tę uroczystość szefowie rządów kolejno podchodzili, by uścisnąć dłoń nowego Europejczyka i nowego sojusznika.

– Witam, Iwanie Emmetowiczu! – wykrzyknął Gołowko, podchodząc do Ryana.

– Witam, Siergieju Nikołajewiczu – odparł ze spokojem Ryan.

– Co o tym pomyśli Pekin? – zapytał szef wywiadu rosyjskiego.

– Przy odrobinie szczęścia dowiemy się w ciągu dwudziestu czterech godzin – odparł

Ryan, świadomy tego, że uroczystość podpisania paktu przez Rosję jest transmitowana przez CNN, i pewien, że politycy w Pekinie pilnie to wydarzenie śledzą.

– Podejrzewam, że nieoficjalna reakcja będzie mało parlamentarna...

– Ostatnio w Pekinie określano mnie różnymi słowami, bardzo mało parlamentarnymi – mruknął Ryan.

– Pewno, że miałeś stosunek płciowy z mamusią – podrzucił z uśmiechem Gotówko.

– Owszem, i do tego jestem sodomitą. Przypuszczam, że w zaciszach gabinetów często mówi się podobne rzeczy o swoich wrogach.

– Ja bym takich na miejscu zabijał – zauważył Gołowko.

– Nie wątpię.

– Ale mówiąc poważnie: czy to poskutkuje? – spytał Gołowko.

- Sam chciałem cię o to spytać. Jesteś bliżej Chin niż my.
- Nie znam odpowiedzi... – Gołowko przechylił kieliszek z wódką. – Ale jeśli nie...
- Jeśli nie, no to macie nowych sojuszników.
- Jak należy dokładnie rozumieć artykuły piąty i szósty traktatu?
- Możesz zapewnić swego prezydenta, Siergiej, że Stany Zjednoczone uznają atak na jakakolwiek część obszaru Federacji Rosyjskiej za nieuzasadnioną napaść w rozumieniu postanowień Paktu Północnoatlantyckiego. W takim przypadku masz moje słowo i zobowiązanie Stanów Zjednoczonych do udzielenia pełnej pomocy – oświadczył uroczyście prezydent Ryan.
- Jack... Jeśli mi wolno tak się do ciebie zwracać... wiele razy mówiłem mojemu prezydentowi, że jesteś człowiekiem dotrzymującym słowa. Człowiekiem honoru. – Na twarzy Gołowki widoczna była wielka ulga.
- Takie słowa w twoich ustach to duży komplement. – Ryan uśmiechnął się. – Sprawa jest prosta. Chodzi o waszą ziemię. Państwo takie, jakie ja reprezentuję, nie może stać z boku i przyglądać się rabunkowi na podobną skalę. Byłoby to podważeniem fundamentów światowego pokoju. Naszym zadaniem jest uczynienie świata bezpiecznym. Mieliśmy już dość wojen.
- Bardzo się obawiam, że będziemy mieli jeszcze jedną – zauważył ponuro Gołowko. Jak na niego, było to wyjątkowo szczere wyznanie.
- Oba nasze kraje zrobią wszystko, by była ostatnią.
- Platon powiedział, że tylko umarli odczuwają koniec wojny.
- Mamy więc mieć ręce związane słowami Greka, który żył przed dwoma i pół tysiącami lat? Ja wolę polegać na słowach Żyda sprzed dwóch tysięcy lat. Nadszedł czas, Siergiej!
- Nadszedł czas, żeby ostatecznie skreślić wojnę z naszego słownictwa – oświadczył zdecydowanie Ryan.
- Może masz rację. Wy, Amerykanie, jesteście zawsze tacy pełni optymizmu...
- Mamy po temu powody.
- Oo?! A jakież to są powody? – spytał Rosjanin.
- Ryan wbił wzrok w Gołowkę.
- W moim kraju wszystko jest możliwe. Wkrótce się przekonacie, że tak samo może być u was.

Oczywiście, jeśli zechcecie. Musicie sprawić sobie demokrację. Sprawcie narodowi wolność. Amerykanie nie różnią się genetycznie od reszty ludzi na świecie. W pewnym sensie jesteśmy kundlami. W naszych żyłach płynie krew wszystkich szczepów i nacji. Jedyne, co nas różni od reszty świata, to nasza konstytucja, lista zasad postępowania. Oczywiście, to tylko lista zasad postępowania, ale świetnie nam służy. Od jak dawna nam się przyglądasz, Siergiej?

– Od kiedy wstąpiłem do KGB. Ponad trzydzieści pięć lat temu.

– I czego się nauczyłeś o Ameryce i funkcjonowaniu naszego systemu?

– Najwidoczniej za mało – odparł uczciwie Gołowko. – Nadal zastanawiam się nad istotą ducha, który was ożywia.

– Zastanawiasz się, szukając skomplikowanego mechanizmu. A w istocie to bardzo proste. Pozwalamy ludziom realizować swoje marzenia, a kiedy marzenia stają się faktem, wynagradzamy tych ludzi. Wszyscy to widzą i tym gorliwiej usiłują spełnić marzenia.

– No a problem klasowy?

– Jaki znowu problem klasowy? Owszem, nie wszyscy studiują w Harvardzie, ale co z tego. Ja też tam nie studiowałem, wiesz to dobrze. Mój ojciec był policjantem. Jako pierwszy w mojej rodzinie ukończyłem wyższe studia. I widzisz, jak wylądowałem? W Ameryce nie istnieje pojęcie klas społecznych. Możesz zostać tym, kim chcesz, pod warunkiem że przyłożysz się do roboty. Może ci się udać lub możesz przegrać. Wiele zależy od szczęścia –

przyznał Ryan – ale głównie od pracy, pracy...

– Wszyscy Amerykanie mają gwiazdy w spojrzeniu – zauważył sucho szef SWR.

– Aby móc spojrzeniem sięgnąć do nieba – odparł Ryan.

– Być może, być może! Byle te gwiazdy nie spadały na nas w postaci meteorytów...

– Co to oznacza dla nas? – spytał Xu Kun Piao.

Zhang Han San i jego premier siedzieli w gabinecie tego ostatniego i oglądali telewizyjny przekaz CNN z Warszawy. Teraz słuchawki leżały ni stoliku, ale przedtem mieli je na uszach i słuchali symultanicznego przekładu na chiński. Starszy minister bez teki machnął

lekceważąco ręką.

– Czytałem cały ten ich traktat – powiedział. – On nie ma zastosowania do nas. Artykuły piąty i szósty, dotyczące interwencji wojskowej, mają zastosowanie jedynie w stosunku do Europy i Ameryki Północnej. No i jeszcze Turcji oraz Algierii, która w 1949 roku formalnie stanowiła jeszcze część terytorium francuskiego. Jeśli chodzi o akweny, to traktat ma zastosowanie w wypadku

konfliktu na obszarze Atlantyku oraz Morza Śródziemnego. I to na północ od zwrotnika Raka. Gdyby było inaczej, to kraje NATO byłyby zmuszone włączyć się po stronie amerykańskiej do wojny w Korei, a następnie w Wietnamie. Tak się nie stało, ponieważ traktat nie ma zastosowania poza ściśle określonym obszarem. Tak więc nie obejmuje nas. Takie traktaty operują bardzo precyzyjnymi sformułowaniami, by móc ograniczyć stopień zaangażowania i reakcji – wyjaśnił Zhang. – I zawierają wiele niedomówień, pozostawiając swobodę manewru stronom.

– Mimo to bardzo się niepokoję – odparł Xu.

– Rozumiem – odezwał się Zhang. – Działań zbrojnych nigdy nie należy podejmować lekkomyślnie. Niemniej naszym największym problemem jest groźba załamania gospodarczego i w jego rezultacie chaos. A to, towarzyszu, może przynieść destabilizację, upadek systemu, a tego nie wolno nam ryzykować. Wszystkie zmartwienia się skończą, gdy w nasze ręce wpadną złoża ropy naftowej i złota. Mając wielkie zapasy ropy, przestaniemy się bać kryzysu energetycznego, a za złoto będziemy mogli kupować na całym świecie wszystko, co nam jest potrzebne. Musisz zrozumieć Zachód, przyjacielu. Oni cczą pieniądze, a gospodarkę opierają na ropie. Gdy będziemy mieli pieniądze i ropę, chętnie zaczną prowadzić z nami interesy. Dlaczego Ameryka interweniowała w sprawie Kuwejtu? Chodziło im o ropę. Dlaczego Wielka Brytania, Francja i inne kraje przyłączyły się? Ropa! Kto ma ropę, jest ich przyjacielem. I my będziemy mieć ropę. Proste, prawda? – zakończył Zhang.

– Jesteś bardzo pewny siebie.

Minister bez teki pokiwał głową.

– Tak, Xu. Jestem – odparł. – Ponieważ od wielu lat studiuję Zachód. Ich myślenie jest przewidywalne. Celem wstąpienia Rosji do NATO może być po prostu chęć przestraszenia nas. Ale to tylko papierowy tygrys. Nawet gdyby Amerykanie chcieli udzielić Rosji pomocy wojskowej, nie mają możliwości tego zrobić. A poza tym nie mają, moim zdaniem, najmniejszej chęci tego zrobić. Nie znają też naszych planów, bo gdyby je znali, to wykorzystaliby swoją przewagę w rozmowach handlowych na temat rezerw walutowych, a nie uczynili tego, prawda? – spytał Zhang.

– Na pewno nie znają naszych planów? Nie mogą się dowiedzieć?

– To mało prawdopodobne. Towarzysz Tan nie wpadł nawet na najmniejszy ślad obcej siatki wywiadowczej w naszym kraju, to znaczy siatki sięgającej wysokiego szczebla. A jego źródła w Waszyngtonie i w innych stolicach nie natrafiły nawet na sugestię, że Amerykanie mogą mieć jakieś skrawki informacji na nasz temat lub dostęp do takich informacji.

– No to po co nagle rozszerzyli NATO? – zapytał Xu.

– To chyba oczywiste. Rosja stała się niespodziewanie krajem przebogatym w ropę i złoto, i państwa Zachodu chcą uczestniczyć w podziale łupu. Przecież prawie dosłownie tak pisała ich prasa. To pasuje do kapitalistycznego etosu: powszechna chciwość. Kto to wie, może za pięć lat, kiedy będziemy bardzo bogaci, z tych samych powodów zaproszą do NATO

i nas? – zakończył Zhang z ironicznym uśmiechem.

– Więc jesteś absolutnie przekonany, że nie ma przecieku naszych planów na Zachód i do Rosjan?

– Kiedy ogłosimy wyższy stopień gotowości i zaczniemy przemieszczać duże jednostki, wtedy dopiero możemy oczekiwać jakiejś reakcji Rosjan. Ale jeśli idzie o pozostałych, to z pewnością nie. Tan i marszałek Luo są tego samego zdania.

– Cieszę się – mruknął Xu, niezupełnie przekonany, ale gotów zaakceptować podjęte decyzje.

W Waszyngtonie był poranek. Wiceprezydent Jackson był de facto szefem sztabu kryzysowego – jego poprzednia praca i doświadczenie zapewniały mu tę funkcję. Niegdyś służył przecież na stanowisku szefa operacji Kolegium Szefów Sztabów. Biały Dom był

dobrym miejscem dla obrad sztabu kryzysowego. W pełni bezpiecznym, z dostępnymi helikopterami i samochodami oraz systemem telekonferencyjnym, pozwalającym na uczestniczenie w naradach członków Kolegium, którzy mogli nie opuszczać swoich gabinetów w Pentagonie. Telekonferencyjne łącze światłowodowe było, oczywiście, w pełni bezpieczne.

– No i? – zapytał Jackson, patrząc na wielki ekran telewizyjny, wiszący na ścianie Sali Sytuacyjnej.

– Na Hawajach admirał Mancuso zagonił swoich ludzi do roboty. Marynarka może sprawić Chińczykom kilka przykrych niespodzianek. Siły Powietrzne mogą w razie potrzeby wysłać sporo ludzi i sprzętu do Rosji... – zaczął generał Mickey Moore, przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów. – Z Marynarką i Siłami Powietrznymi wszystko jest w porządku, martwi mnie natomiast Armia. Teoretycznie moglibyśmy wysłać Pierwszą Pancerną z Niemiec, plus zaplecze logistyczne. Może inni członkowie NATO coś niecoś dorzucą. Jest jednak pewien problem. W obecnej chwili Armia Rosyjska jest w okropnym stanie.

Zwłaszcza na Dalekim Wschodzie. No i jeszcze jeden problem: Chińczycy mają dwanaście międzykontynentalnych rakiet balistycznych z głowicami atomowymi CSS-4. Z naszych wyliczeń wynika, że osiem jest wycelowanych w Stany Zjednoczone...

– Mów dalej – polecił wiceprezydent Jackson, ochrzczony przez Tajną Służbę Tomcatem.

– CSS-4 to po prostu kopie Titana II – kontynuował Moore. – Dopiero dziś się o tym dowiedziałem. Plany opracował pułkownik naszych Sił Powietrznych, który ukończył

kalifornijską politechnikę. Nasz pułkownik miał etniczne korzenie... Zgadnij! Nie, lepiej ci od razu powiem: chińskie. Związał do ChRL w latach pięćdziesiątych. Jakiś dureń zarzucił mu nielojalność i wykradanie tajnych dokumentów. Potem okazało się to czczym wymysłem, ale wówczas przerażony pułkownik prysnął z kilkoma walizkami pełnymi naprawdę tajnych dokumentów. Pracował wówczas w planowaniu na szczeblu Kolegium Szefów Sztabów.

Dzięki otrzymanym materiałom chińscy komuniści mogli sobie sprawić raketę będącą dokładną

kopią Titana i, jak już powiedziałem, osiem z tych rakiet jest obecnie wymierzonych w nas.

– Z jakimi głowicami?

– Najprawdopodobniej pięciomegatonowymi. Jedna zmiata z powierzchni ziemi duże miasto. Mają jedną wadę: wymagają czasochłonnej obsługi przedstartowej. Stwierdziliśmy to na naszych Titanach. Muszą trzymać je bez paliwa. Potrzeba dwóch godzin, żeby je zatankować. To jedyna dobra wiadomość. Bo następna jest zła: w ciągu ostatniego dziesięciolecia Chińczycy wzmocnili ochronę silosów. Prawdopodobnie przyjrżeli się temu, co zrobiliśmy w czasie kampanii irackiej i po wyprawach nad Japonię naszych B-2, które wysłaliśmy, by zniszczyć japońskie kopie SS-19. Według naszych ostatnich ocen pokrywy osłaniające chińskie silosy mają grubość pięciu metrów. Pięć metrów zbrojonego betonu i dodatkowo jeszcze metrowej grubości pokrywa z pancernej stali. Nie mamy bomb konwencjonalnych, które by coś podobnego przebiły.

– A dlaczego nie mamy? – spytał Jackson.

– Ponieważ GBU-29, które miały zniszczyć ten głęboki bunkier w Bagdadzie, były dostosowane do komory bombowej F-III. Nie pasują do rewolwerowej wyrzutni B-2. A wszystkie F-III są na samolotowym cmentarzysku w Arizonie. Mamy więc bomby, ale co z tego, skoro brak nam środków przenoszenia. Najlepszym rozwiązaniem, gdybyśmy koniecznie chcieli załatwić te silosy, byłoby zrzuć z B-52 pocisków manewrujących z głowicami W-80, zakładając oczywiście, że prezydent zgodzi się na uderzenie atomowe.

– Jak wcześnie otrzymamy ostrzeżenie, że Chińczycy przygotowują atak na Stany?

– Na wczesne ostrzeżenie nie ma co liczyć. Czasu zostanie nam niewiele. Satelity zobaczą, kiedy będą odsuwali te betonowo-stalowe pokrywy nad silosami.

– Ale czy mamy pociski manewrujące z głowicami nuklearnymi?

– W zasadzie nie. Prezydent musiałby autoryzować ich zmontowanie. Pociski i głowice są składowane osobno, w bazie Sił Powietrznych Whitman. Tam też stacjonują B-2. Potrzeba co najmniej pełnego dnia, żeby pożenić rakiety z głowicami. Składam formalny wniosek, by prezydent autoryzował wstępne przygotowania, jeśli pogłębi się chiński kryzys – zakończył

Moore.

Najlepszy w praktyce sposób dostarczenia nad cel pocisków z głowicami nuklearnymi był

też nierealny. Wystrzelenie rakiety z okrętu podwodnego czy odpalenie z samolotu lotnictwa morskiego odpadało, ponieważ Marynarkę ogołoco z broni atomowej. Jackson zdawał

sobie sprawę, jak trudne byłoby przywrócenie poprzedniego stanu. Po wybuchu nuklearnym w Denver, co doprowadziło świat na skraj wojny atomowej, Rosja i Ameryka wzięły głęboki oddech i postanowiły zlikwidować wszystkie rakiety międzykontynentalne. Oczywiście oba państwa

pozostawiły w swych arsenalach broń atomową.

W Ameryce były to bomby lotnicze B-61 i B-83 oraz termojądrowe głowice W-80, które pasowały do pocisków manewrujących. Oba systemy były sprawne i skuteczne. Bombowiec B-2A był niewidoczny dla radarów (i trudno dostrzegalny gołym okiem, chyba że było się bardzo blisko), zaś pociski manewrujące nie emitowały wiele ciepła i były stosunkowo ciche, wtapiając się w tło przyziemnych zakłóceń. Ich wada: nie poruszały się z prędkością pocisków balistycznych. W groźnych z pozoru broniach często występują podobne ułomności. Ta jednak miała i swoją dodatnią stronę – dawała czas: około dwudziestu minut od naciśnięcia guzika z napisem: START do trafienia w cel i nieco mniej przy odpaleniu z wyrzutni okrętu podwodnego, kiedy to dystans do celu był przeważnie krótszy. Tyle tylko, że pocisków manewrujących już w praktyce nie było, z wyjątkiem niewielu pozostawionych do prób z pociskami przeciwrakietowymi i w związku z tym nieco zmodyfikowanych, co utrudniało uzbrojenie ich w głowice.

– Będziemy się starali pozostać przy opcji wojny konwencjonalnej. Ale gdyby doszło co do czego, to iloma głowicami nuklearnymi moglibyśmy dysponować? – spytał Jackson.

– Myślisz o pierwszym uderzeniu z B-2? Chyba zebralibyśmy z osiemdziesiąt. Jeśli założymy dwie bomby na jeden cel, to moglibyśmy przekształcić wszystkie większe miasta chińskie w parkingi. Przy okazji zginęłoby ze sto milionów ludzi – dodał szybko przewodniczący Kolegium. Nie wspomniał, że nie ma specjalnej ochoty podjąć się podobnej roboty. Nawet najbardziej krwiożerczy żołnierz wzdraga się przed zabijaniem ludności cywilnej na tak wielką skalę, generałowie zaś, którzy dochrapali się czwartej gwiazdki, zawdzięczają to inteligencji i zdrowemu rozsądkowi, a nie skłonnościom psychopatycznym.

– No cóż, jeśli im o takiej możliwości szepniemy, to powinni głęboko się zastanowić, nim nasikają nam pod drzwi – mruknął Jackson.

– Chyba mają na tyle rozsądku, by myśleć racjonalnie – zgodził się Moore. – O ile nie ma między nimi nikogo, kto chciałby zostać parkingowym czterdziestu pustych parkingów o powierzchni tysiąca kilometrów kwadratowych. Problem jednak istnieje. Bowiem bardzo często najbardziej racjonalnie myślący władcy, decydujący się na agresję, tracą rozum, gdy sprawy zaczynają wyglądać niedobrze.

– Jak powołamy rezerwistów? – spytał Bondarienko. Teoretycznie każdy obywatel rosyjski mógł otrzymać w każdej chwili powołanie, ponieważ praktycznie wszyscy mężczyźni mieli za sobą zasadniczą służbę wojskową. Tradycja powszechnej obowiązkowej służby wojskowej kontynuowana była od epoki carskiej, kiedy to armię imperium porównywano do walca, który miażdży wszystko na swojej drodze.

Jednakże terażniejszość była nieco inna i powstał poważny problem: państwo, a w tym przypadku władze wojskowe, nie wiedziały, gdzie kto mieszka. Według obowiązujących przepisów, rezerwiści powinni powiadamiać komendy uzupełnień o zmianie miejsca zamieszkania. Ale ci sami rezerwiści –

którym do niedawna nie było wolno w ogóle przemieszczać się z miasta do miasta bez specjalnego zezwolenia, podobnie jak wszystkim innym obywatelom radzieckim – zakładali, że państwo nadal ma pełną wiedzę o ich miejscu pobytu, i rzadko zgłaszali przeprowadzkę. Biurokracja nie potrafiła nadażyć z rejestracją przemieszczeń ludności w kraju tak wielkim, nie mówiąc już o informowaniu komend uzupełnień. Ani Federacja Rosyjska, ani przedtem Związek Radziecki nie próbowały nigdy przetestować systemu selektywnego powoływania rezerwistów. A ogłoszenie powszechnej mobilizacji nie wchodziło w rachubę, bo w obecnej sytuacji nikomu nie była potrzebna wielomilionowa masa żołnierzy rezerwy.

Dysponujące zmagazynowanym uzbrojeniem i wyposażeniem dywizje kadrowe potrzebowały do skompletowania stanów etatowych powołania rezerwistów, którzy wcześniej odbyli odpowiednie przeszkolenie. Dywizje składały się z kadry oficerskiej i szkieletowej obsady pochodzącej z poboru. Żołnierze większość czasu spędzali na konserwowaniu sprzętu i zapuszczaniu silników w określonych regulaminem odstępach czasu. Tak więc dowódca Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego dysponował tysiącami czołgów i dział, do których nie miał obsługi, oraz górami skrzyń amunicji i podziemnymi, gigantycznymi zbiornikami oleju napędowego.

Słowo „kamuflaż”, oznaczające sposób przechytrzenia przeciwnika, jest pochodzenia francuskiego. A powinno pochodzić z języka rosyjskiego, ponieważ Rosjanie są światowymi ekspertami w tej dziedzinie. Miejsca przechowywania prawdziwych czołgów, stanowiących stalowy pancerz teoretycznej armii Bondarienki, były tak chytrze ukryte, że tylko sztab okręgu wiedział, gdzie się znajdują. Część magazynów nie została nawet dostrzeżona przez amerykańskie satelity szpiegowskie, które przez wiele lat bezskutecznie ich poszukiwały.

Nawet drogi prowadzące do kryjówek były obsadzone sztucznymi sosnami. Była to jeszcze jedna lekcja z drugiej wojny światowej, kiedy to Armia Czerwona oszukiwała podobnymi sztuczkami Wehrmacht i robiła to tak często, że pojawiło się pytanie, po co Niemcy utrzymują jeszcze wywiad wojskowy.

– Już przygotowujemy powołania do wojska – poinformował Bondarienkę pułkownik Alijew. – Przy wielkim szczęściu połowa wezwań dotrze do adresatów. Mobilizacji oczywiście nie ogłosimy, ale może damy publiczne obwieszczenia, że takie to a takie jednostki wzywają swych rezerwistów?

– W żadnym wypadku! – odparł Bondarienko. – Chińczycy nie mogą wiedzieć, że się przygotowujemy. A kadra?

– Jest bez zarzutu. W razie potrzeby możemy wystawić pułk pancerny z młodszymi oficerami w roli czołgistów – zauważył sucho Alijew.

– Kto wie? Taki pułk oficerski mógłby być wartościową jednostką – zauważył generał

tonem, który miał dać do zrozumienia, że propozycja go rozbawiła. – Kiedy zostaną wysłane karty powołania?

– Jeszcze dziś. Do adresatów powinny trafić w ciągu trzech dni.

– Karty powołania powinny być wysłane jak najszybciej. Dopilnuj tego osobiście, Andriej! – rozkazał Bondarienko.

– Tak jest, towarzyszu generale! A co z tym całym NATO?

– Jestem za NATO, jeśli z jego strony otrzymamy pomoc. Chciałbym mieć amerykańskie samoloty pod moim dowództwem. Pamiętam, ile zdziały w Iraku. Jest wiele mostów, których szczątki chętnie widziałbym na dnie rzek.

– A siły lądowe NATO?

– Nie należy ich lekceważyć. Obserwowałem ich szkolenie. Jedna kompania amerykańskich czołgów, kompetentnie dowodzona i mająca wsparcie artyleryjskie, może powstrzymać pułk nieprzyjaciela. Nie pamiętasz, jak załatwili armię Zjednoczonej Republiki Islamskiej? Dwa pułki czołgów i brygada piechoty w praktyce rozbiły cały korpus. I przeprowadzili to jak na ćwiczeniach. Sprawnie, gładko, niemal bez strat. Dlatego chciałbym podnieść poprzeczkę naszego szkolenia. Nasi żołnierze nie są gorsi od amerykańskich, ale amerykańskie szkolenie o wiele przewyższa nasze. I to jak! W żadnej armii nie widziałem lepszego. Szkolenie plus sprzęt doskonałej jakości zapewniają przewagę.

– A ich dowódcy? – spytał Alijew.

– Dobrzy, ale nie lepsi od naszych. Czy wiesz, że wiele od nas zapożyczyli? Skopiowali duże fragmenty naszej doktryny. Powiedziałem im to w oczy, a oni przyznali, że podziwiają nasze myślenie operacyjne. I rzecz w tym, że lepiej od nas wykorzystują naszą doktrynę.

Dlaczego? Bo lepiej szkolą swoich ludzi.

– A szkolą lepiej, bo mają więcej pieniędzy na szkolenie.

– Trafiłeś w sedno. Nie mają dowódców czołgów, którzy przez cały czas malują tylko krawężniki wokół placu apelowego i wykonują inne ogłupiające czynności – powiedział

Bondarienko z goryczą. Na szczęście on sam zaczął już to zmieniać bez instrukcji z Moskwy.

– Idź już dopilnować wysyłania powołań. I pamiętaj o potrzebie zachowania dyskrecji.

– Tak jest, towarzyszu generale! – Alijew zaszalutował i wyszedł.

– Coś takiego! – skomentował obraz oglądany na ekranie telewizora generał Diggs.

– Człowiek zaczyna się zastanawiać, do czego może służyć NATO – zgodził się pułkownik Masterman.

– Wiesz co, Duke? Przez całe moje wojskowe życie spodziewałem się, że któregoś dnia zobaczę czołgi T-72 stadem prące na zachód niczym karaluchy po podłodze. No i patrz! Są teraz naszymi przyjaciółmi, sojusznikami, diabli wiedzą, czym jeszcze. – Z niedowierzaniem pokręcił głową. – Poznałem paru ich wyższych dowódców. Między innymi tego Bondarienkę, który teraz dowodzi na Dalekim Wschodzie. Profesjonalista. Inteligentny. Złożył mi wizytę w Fort Irwin. Wszystko chwycił w lot. Zrobił dobre wrażenie. Powiedziałbym nawet, że to gość naszego pokroju.

– Taki się im teraz przyda.

W tym momencie zadzwonił telefon. Generał Diggs podniósł słuchawkę.

– Mówi Diggs... Tak, tak... Proszę łączyć... Dzień dobry, sir... Świetnie, dziękuję... Tak, tak, słucham...? Że co?... Zakładam, że to jest poważne... Tak jest, sir! Tak jest, sir! Jesteśmy zapięci na ostatni guzik... Rozumiem... Do usłyszenia, sir. – Odłożył słuchawkę. – Dobrze, że siedzisz, Duke – powiedział do Mastermana.

– O co chodzi?

– Otrzymałaliśmy rozkaz osiągnięcia pełnej gotowości. Ładujemy się do pociągów i jedziemy na wschód.

– Dokąd na wschód? – zapytał zdziwiony oficer operacyjny, myśląc, że może chodzi o jakieś manewry w Polsce.

– Może na Syberię – powiedział Diggs tonem, który sugerował, że sam nie wierzy w to, co mówi.

– Jasna cholera! – wykrzyknął Masterman.

– Prawdopodobnie dojdzie do konfliktu między Ruskimi i Chińczykami. Gdyby tak się stało, to mamy pomagać Iwanowi.

– Jasna cholera! – powtórzył Masterman.

– Ma się tu zjawić szef wywiadu naszych sił w Europie i zapoznać nas z instrukcjami oraz materiałami przysłanymi z Waszyngtonu. Będzie za pół godziny.

– I co jeszcze? Czy to jest operacja NATO?

– Tego nie powiedział. Za pół godziny dowiemy się. Chwilowo zawiadom sztab i dowódców brygad.

Podczas podróży prezydenta Siły Powietrzne wysyłały zawsze kilka samolotów towarzyszących. Wśród nich były C-5B Galaxy. W Marynarce nazywano je „aluminiowymi chmurami” ze względu na wielkość. W swoich ładowniach mogły przewozić nawet czołgi.

Tym razem wiozły śmigłowce VC-60, większe niż czołgi, ale od nich lżejsze.

Jednym z pilotów był pułkownik piechoty morskiej Dan Malloy, który miał na swoim koncie pięć tysięcy godzin za sterami śmigłowców. Nosił radiowy kryptonim Niedźwiedź.

Cathy Ryan dobrze go znała. Zwykle to on, bliźniaczą maszyną, zabierał ją rano z Białego Domu do szpitala Johns Hopkinsa. Drugim pilotem był porucznik wyglądający nieprawdopodobnie młodo jak na zawodowca. Trzecim członkiem załogi był sierżant sztabowy piechoty morskiej, który pilnował, by wszyscy pasażerowie mieli zapięte pasy, czemu Cathy zawsze poddawała się posłusznie, w przeciwieństwie do Jacka.

Prezydencki VC-60 leciał równo i miękko. Nie odczuwało się żadnego szarpania, nagłych podskoków i spadków, jakie zwykle kojarzą się z tego typu transportem. Lot trwał prawie godzinę. Prezydent przez cały czas słuchał, co się dzieje, przez słuchawki ukryte w hełmie.

Na trasie lotu ruch lotniczy był całkowicie wstrzymany, polski rząd bardzo sumiennie dbał o bezpieczeństwo amerykańskiego prezydenta.

– Zbliżamy się – zapowiedział pułkownik Malloy. – Na godzinie jedenastej.

Maszyna skręciła w lewo, by pasażerowie mieli lepszy widok. W dole widać było zwykły budynek stacji kolejowej i dwie pary torów. Z jednej pary odchodziła odnoga, która gubiła się w mrocznym łuku bramy. Wokół widać było jeszcze betonowe fundamenty, które pozostały po stojących tu niegdyś barakach, Ryan widział teraz te baraki w swojej wyobraźni, bowiem w przeszłości oglądał czarno-białe filmy z podobnymi scenami kręconymi z powietrza, najprawdopodobniej przez Rosjan, podczas drugiej wojny światowej. Przypomnił sobie, że baraki te było bardzo podobne do wielkich magazynów, ale towarem w nich przechowywanym byli ludzie, chociaż ci, którzy zbudowali to miejsce, tak nie uważali.

Uważali ich za robactwo, za szczury, za insekty, które należy zdeptać, zniszczyć, wypłenić jak można najskuteczniej. Czynili to bez mrugnięcia okiem.

Ryan poczuł ogarniający go chłód. To prawda, że poranek nie był zbyt ciepły, może dziesięć stopni Celsjusza, ale zimno, jakie teraz poczuł, mroziło krew w żyłach. Helikopter łagodnie wylądował, starszy sierżant otworzył drzwiczki kabiny i prezydent zszedł po schodkach na lądowisko, specjalnie przygotowane na jego wizytę. Podeszedł przedstawiciel polskiego rządu i uścisnął prezydentowi rękę, podając przy tym swoje nazwisko, ale do Ryana nie docierały w danej chwili żadne słowa. Poczł się nagle turystą w samym sercu piekła.

Wyznaczony przewodnik zaprowadził prezydencką parę do samochodu na krótką przejażdżkę po obozie koncentracyjnym Auschwitz.

Pierwsza wsiadła Cathy. Gdy Ryan zajął miejsce obok niej, szepnęła:

– Jack...

– Wiem... Rozumiem, kochanie... – i to był jedyny komentarz dotyczący miejsca, w którym przebywali. Nie odezwał się potem ani słowem, nawet po wysłuchaniu dobrze przygotowanego i doskonale wygłoszonego po angielsku komentarza polskiego przewodnika.

Minęli bramę zwieńczona napisem: ARBEIT MACHT FREI. Praca czyni wolnym! Chyba najbardziej cyniczne hasło, jakie można było umieścić w takim miejscu, pomyślał Ryan.

Jakież chore umysły mieli ci rzekomo cywilizowani Niemcy! Limuzyna stanęła. Jack i Cathy wysiedli na ulicze pełnej baraków. Przewodnik prowadził ich z baraku do baraku, przez cały czas coś mówiąc, ale właściwie go nie słyszeli, tylko czuli... czające się wokół zło, oddychając powietrzem ciężkim tą straszliwą przeszłością. Między barakami rosła soczysta piękna trawa, jak na zadbanym polu golfowym po porannym deszczu. Czy jest taka piękna, ponieważ jej korzenie karmią się ziemia wzbogaconą krwią i cierpieniem? – pomyślał Jack.

W tym obozie śmierć zebrała wielkie żniwo: dwa miliony ludzi. A może nawet trzy. Po pewnym czasie liczenie przestało mieć sens... Pozostała tylko sucha przybliżona liczba wpisana do historii przez kogoś, kto być może przestał się już zastanawiać, co za tą liczbą się kryje.

Oczami wyobraźni Ryan widział ludzkie kształty, ludzkie ciała, ludzkie głowy w jednej wielkiej splecionej masie. Na szczęście nie widział twarzy zmarłych. Przewodnik poprowadził

go drogą, którą niemieccy strażnicy nazywali Himmelstrasse. Co za ironia: Ulica do Nieba.

Dlaczego tak ją nazwali? Czy to głęboki cynizm, czy też w istocie wierzyli, że jest Bóg, który patrzy na to, co robili. A jeśli wierzyli w przyglądającego się im Boga, to co wtedy myśleli?

Ryan usiłował wyobrazić sobie ten obóz i życie w nim. Kim byli oprawcy uwięzionych? Kim byli ci, którzy od razu zabijali nowo przybyłe kobiety i dzieci, ponieważ nie przedstawiały wartości jako siła robocza w zakładach przemysłowych. Koncern I.G. Farben zbudował w pobliżu wielkie fabryki, aby móc wykorzystać pracę ludzi wysłanych tylko po to, by potem ich zabić. Ale ostatnie miesiące życia skazanych przynosiły zysk zakładom I.G. Farben. Nie tylko Żydów tu zwożono, ale i polskich arystokratów, polskich księży, polskich intelektualistów i zwykłych Polaków. Tu zwożono i zabijano Cyganów, homoseksualistów, Świadków Jehowy i inne tak zwane niepożądane elementy. Niepożądane w hitlerowskich Niemczech. Wszyscy ci ludzie, wszystkie te „insekty” zostały wyeliminowane gazem.

Cyklonem B – produktem pochodnym od środków owadobójczych, produkowanym dla niemieckiego rolnictwa. Ryan bynajmniej nie oczekiwał, że ta wizyta będzie odprężającą atrakcją. Traktował ją jak dodatkowe doświadczenie, takie na przykład, jak odwiedzenie miejsca sławnej bitwy.

Ale to, co zobaczył, nie było pamiątką po historycznej batalii. To było... Ciekawe, co czuli żołnierze, którzy wyzwalali to miejsce w 1945 roku. Ba, nawet zaprawieni żołnierze, którzy dobrze znali cierpienia, jakie niesie wojna, którzy co dzień stali w oko w oko ze śmiercią, musieli doznać szoku. Niezależnie od całego horroru wojny, dawne pola walki mówią o honorze. Są to miejsca, gdzie w pierwotny sposób ludzie się sprawdzają, wystawiając na próbę swoją odwagę. Walka na polu

bitewnym to rzecz okrutna i często ostateczna, niemniej jest źdźbło jakiejś cnoty w ludziach walczących przeciwko sobie w imię wzniosłych idei. Używają brani, zabijają się, ale tu... Niewiele jest szlachetności w wojennym zabijaniu się, ale w Auschwitz rozszalało się to, co jest przeciwieństwem tego słowa. I jeszcze jedno: na polu walki zmagają się mężczyźni z mężczyznami, lecz nie z bezbronnymi kobietami i dziećmi. Wojnie na otwartym polu towarzyszy pojęcie honoru, może zwichrowanego, ale honoru. Tutaj dokonywano niehonorowej rzezi. Tu dokonano zbrodni na wielką skalę. Wojna jest złem, ale w zasadzie nie określa się jej mianem zbrodni. Tutaj popełniono zbrodnię przeciwko ludzkości. Dokonano masowego mordu niewinnych ludzi.

Niemcy są dziś chrześcijańskim krajem, podobnie jak były wówczas. I wtedy byli narodem, który wydał Marcina Lutera, Beethovena, Tomasza Manna... Czy całemu złu jest winien tylko jeden człowiek, Adolf Hitler? Człowiek niepozorny, syn drobnego austriackiego urzędnika, nieudolny w życiowych poczynaniach... z wyjątkiem wielkiej umiejętności wygłaszania demagogicznych oracji. Był w tej dziedzinie geniuszem...

..Ale jak Hitler mógł tak kogoś nienawidzić, by zmobilizować potęgę przemysłową państwa, nie w celu podboju świata, czego też potem próbował, ale w chęci dokonania krwawej eksterminacji milionów niepożądanych ludzi? To jest chyba jedną z najdramatyczniejszych niewyjaśnionych tajemnic, pomyślał Ryan. Ludzkość jeszcze nie otrzymała na to odpowiedzi. Byli tacy, którzy mówili, że Hitler nienawidził Żydów, ponieważ pewnego razu w Wiedniu spotkał na ulicy takiego, który bardzo mu się nie podobał. Inny ekspert w tej dziedzinie, Żyd, wysunął przypuszczenie, że Hitler nabawił się choroby wenerycznej od żydowskiej prostytutki. Nie istnieją jednak żadne na to dowody. Z innej szkoły pochodzi przypuszczenie jeszcze bardziej cyniczne: Hitlera Żydzi jako tacy w ogóle nie obchodzili, potrzebny mu był natomiast popularny wewnętrzny wróg – po to, by mógł stać się przywódcą Niemiec. Żydzi byli wygodnym celem, pozwalającym na uzyskanie poparcia opinii publicznej. Ryan nie akceptował tej teorii, ale zgadzał się, że Hitler popełnił zbrodnię; najgorszą z możliwych. Bez względu na powody czy preteksty, przejął absolutną władzę i wykorzystał ją dla swych własnych celów. Hitler ze swego nazwiska uczynił przekleństwo po wsze czasy, co jednak było małym pocieszeniem dla tych, których szczątki użyźniały tę ziemię, by mogła na niej rosnąć bujna soczysta trawa. Przełożonym żony Ryana w szpitalu Johnsa Hopkinsa był Żyd, Bernie Katz, od wielu lat przyjaciel rodziny Ryanów. Ilu wśród więźniów było potencjalnymi Einsteinami albo wspaniałymi poetami czy lekarzami, a choćby tylko zwykłymi dobrymi pracowitymi robotnikami, wychowującymi gromadkę dzieci...

...kiedy Jack, obejmując urząd prezydenta, składał przysięgę na wierność konstytucji Stanów Zjednoczonych, zobowiązywał się w istocie ochraniać ludzi, między innymi takich właśnie jak ci, których szczątki tu spoczywały. I jako człowiek, jako Amerykanin, jako prezydent, był zobowiązany zrobić wszystko, by podobna zbrodnia nie mogła się powtórzyć.

Głęboko wierzył, że użycie sił zbrojnych może być usprawiedliwione tylko w celu ochrony życia Amerykanów i żywotnych interesów związanych z narodowym bezpieczeństwem. Ale czy to wszystko? Czy Ameryka powinna być aż tak samolubna? A co z zasadami będącymi fundamentem, na jakim powstał i okrzepł amerykański naród? Czy Ameryka ma je stosować tylko na ograniczonych obszarze i w specyficznych przypadkach? Co z resztą świata?

John Patrick Ryan wyprostował się i rozejrzał dokoła. Twarz jego i dusza wyrażały bolesną pustkę,

gdy usiłował zrozumieć, co właściwie tu zaszło. Czego może się tu nauczyć...? Nie! Czego musi się nauczyć! W Białym Domu dysponował wielką potęgą. Jak powinien ją wykorzystać? Przeciwno czemu ma walczyć? A jeszcze ważniejsze: o co ma walczyć?

– Jack... – Cathy delikatnie musnęła mu palcami dłoń.

– Dobrze, wracamy. Dość już widziałem. Uciekajmy stąd! – Obrócił się do polskiego przewodnika i podziękował za wszystkie wyjaśnienia, których właściwie nie słyszał, gdyż przez cały czas słuchał tylko własnych myśli. Skinął przewodnikowi głową, ruszył w kierunku limuzyny. Raz jeszcze przejechali pod łukiem żelaznej bramy z szyderczym hasłem o pracy zapewniającej wolność. Trzy miliony ludzi tylko raz przeszło tą bramą.

Jeśli istnieją duchy, to przed chwilą z nimi rozmawiał. A właściwie one do niego mówiły bezgłośnie: nigdy więcej! Powtarzały to chórem. Całkowicie się z tym zgadzał. Nie zdarzy się to już nigdy, póki on, Jack Ryan żyje. Póki Ameryka istnieje.

Rozdział 46

Powrót do domu

W wielkim napięciu czekali na to, co im przekaże SORGE. Chyba nigdy żadna matka i żaden ojciec z taką niecierpliwością nie czekali na pierworodnego syna. Oczekiwanie mogło być długie, ponieważ SORGE nie nadawał codziennie i nigdy o określonych godzinach. Nie sposób było się doszukać schematu w jego transmisjach. Po prostu pojawiał się albo nie. Ed i Mary Pat Foley tego ranka oboje obudzili się bardzo wcześnie. Ponad godzinę leżeli w łóżku, nie mając nic do roboty. Wreszcie wstali i poszli do kuchni na poranną kawę i przerzucanie porannych gazet przy kuchennym stole. Zajmowali obszerny dom w willowej dzielnicy na obrzeżu Waszyngtonu, już w stanie Wirginia. Gdy wstały dzieci, Mary Pat się nimi zajęła i po śniadaniu wyprawiła do szkoły. Dopiero wtedy rodzice ubrali się i opuścili dom, przed którym czekała już na nich służbowa limuzyna z szoferem i samochodem eskorty. Ciekawe, że ich samochód miał ochronę, ale dom nie, tak więc nawet średnio inteligentny terrorysta szybko doszedłby do wniosku, że lepiej zająć się domem niż pojazdem. W limuzynie czekał

na nich poranny biuletyn Firmy, zwany „Porannym Ptaszkiem”, ale tego ranka nie byli nim zainteresowani. Znacznie bardziej interesujący był komiks w „Washington Post” – zwłaszcza

„Non Sequitor” zmuszający do rozbawionego chrząknięcia – oraz dodatek sportowy.

– No i co o tym sądzisz? – spytała Mary Pat.

Zadziwiła tym męża, który wiedział, że jego żona bardzo rzadko prosi go o opinię na temat operacji w toku. Wzruszył ramionami i podał jej kartonowe pudełko z paczkami.

– Nie wiem. Równie dobrze mógłbym rzucić monetą.

- Święta racja. Mam nadzieję, że tym razem wyjdzie orzeł.
- Jack nas wezwie... Za jakieś półtorej godziny.
- Mniej więcej za półtorej – zgodziła się zastępczyni dyrektora CIA.
- To wstąpienie Rosji do NATO może przynieść efekty. W każdym razie każe poważnie przemyśleć Chińczykom sytuację... – zastanawiał się głośno dyrektor CIA.
- Ale nie stawiaj na to naszego majątku. Najwyżej pięć centów – ostrzegła męża Mary Pat.
- Wiem, wiem. Kiedy Jack wsiada do samolotu, żeby wrócić do domu?

Mary Pat spojrzała na zegarek.

- Mniej więcej za dwie godziny.
- Do tego czasu powinniśmy wiedzieć.
- Chyba tak – zgodziła się.

Po dziesięciu minutach małżonkowie przybyli do siedziby CIA w Langley. Kierowca zwiózł ich do podziemnego garażu, skąd pojechali windą na siódme piętro, gdzie się rozdzielili, idąc do swych gabinetów. Prawdę mówiąc, Mary Pat była nieco zdziwiona.

Spodziewała się, że Ed pójdzie wraz z nią i będzie stał jej nad głową, kiedy ona włączy komputer, poszukując jeszcze jednego przepisu na miodowe ciasteczka, to znaczy wiadomości od cennego źródła informacji posiadającego kryptonim SORGE.

Zdarzyło się to o 7.54.

– Masz wiadomość – odezwał się elektroniczny głos, kiedy weszła na swoją stronę w Internecie. Byłoby przesadą powiedzieć, że drżała jej ręka, kiedy przesuwiała mysz, by kliknąć odpowiednią ikonę, ale była tego bliska. Na ekranie pojawił się zakodowany list i zaczął się proces odkodowywania. Ujrzała tekst, którego nadal nie mogła odczytać. Jak zwykle procesor zapisał tekst na twardym dysku, potwierdził, że tekst jest zabezpieczony, a następnie skierował go na drukarkę. Po zrobieniu wydruku oryginalny tekst został całkowicie wymazany z sieci, pozostając wyłącznie na twardym dysku.

Mary Pat wzięta do ręki list i podniosła słuchawkę telefonu.

– Poproś doktora Searsa, by natychmiast do mnie przyszedł – poleciła sekretarce. Tego dnia Joshua Sears również pojawił się wcześniej i właśnie siedział za swoim biurkiem, czytając stronę giełdową w „New York Times”. Gdy otrzymał wezwanie, natychmiast odłożył

gazetę, wstał i po niespełna minucie był już w windzie, a po kilkunastu sekundach wchodził do gabinetu Mary Pat.

– Proszę – powiedziała Mary Pat, podając sześć kartek zapisanych ciasno ideogramami. –

A poza tym dzień dobry.

Sears rozsiadł się w wygodnym fotelu i zaczął tłumaczyć. Widział, że szefowa jest wyraźnie zaniepokojona tym, co może usłyszeć, i kiedy doszedł do drugiej strony, powiedział:

– Wiadomości są złe. – Wpatrzony w tekst, mówił dalej: – Wygląda na to, że Zhang prowadzi premiera Xu w kierunku, w jakim chce. Fang ma pewne zastrzeżenia, ale dołącza do Zhanga. Do obozu Zhanga przystąpił też bez zastrzeżeń marszałek Luo. Tego należało oczekiwać. Luo był zawsze wojowniczy – skomentował Sears. – Rozmawiają o operacyjnych tajemnicach i ich zabezpieczeniu, niepokoją się, że możemy znać ich zamiary. Ale generalnie uważają, że nikt nic nie wie. – Sears uspokoił Mary Pat, która oczywiście bała się o bezpieczeństwo operacji.

Niemniej, ilekroć Mary Pat otrzymywała podobną informację, przenikał ją zimny dreszcz.

Nie jest miło słyszeć, że wróg (a dla Mary Pat wszyscy byli wrogami) zastanawia się, czy Amerykanie – w tym wypadku jej wydział – nie przeniknęli jego tajemnic. Całe jej zawodowe życie polegało na przenikaniu cudzych tajemnic. I prawie zawsze we wrogim obozie znajdował się ktoś, kto twierdził, że z pewnością jest ktoś, kto podsłuchuje, kto się czegoś dowiedział. Myślami Mary Pat nie opuściła nigdy Moskwy, gdzie była oficerem prowadzącym agenta o kryptonimie Kardynał. Ze względu na wiek Kardynał mógłby być jej dziadkiem, ale zawsze, kiedy wyznaczała mu zadania i odbierała informacje, które następnie wysyłała do Langley, myślała o nim jako swym pierworodnym. Teraz już nie zajmowała się takimi rzeczami i nie pełniła roli oficera prowadzącego, ale zawsze martwiła się o bezpieczeństwo swoich agentów. Gdzieś tam był obcy obywatel, zaopatrujący Amerykę w żywotne dla niej informacje. Mary Pat знаła nazwisko tej osoby, ale nie znała twarzy ani motywacji. Wiedziała, że osoba ta lubi dzielić łożę z jednym z jej podwładnych i że prowadzi oficjalny dziennik ministra Fanga. No i że z jej komputera wychodzą informacje, które wędrują elektroniczną ścieżką do biura na siódmym piętrze kompleksu CIA w Langley.

– Podsumowując? – zapytała Searsa.

– Nie zeszli ze ścieżki wojennej – odparł analityk. – Może z niej zejda później, ale nic nie wskazuje, że mają taki zamiar.

– A gdybyśmy ich ostrzegli, że jeśli nie, to... i tak dalej?

– Trudno powiedzieć, jak by zareagowali. – Sears wzruszył ramionami. – Najbardziej niepokoją się możliwością rozkładu państwa. Kryzys ekonomiczny spowodował, że zaczęli bać się politycznej ruiny. Tak, wyłącznie o tym myślą i szukają jakiegoś rozwiązania.

– Wojny rozpoczynają ludzie bardzo przestraszeni – zauważyła filozoficznie pani wicedyrektor.

– Na to wskazuje historia – zgodził się Sears. – I oto znowu tak się dzieje. Mamy przed sobą bandę przerażonych osobników.

– Cholera! – zaklęła Mary Pat Foley. – Dobrze, przetłumacz teraz wszystko dokładnie, zrób wydruk i przyślij mi jak najszybciej.

– Tak jest, szefowo. Za małe pół godzinki. Czy mam to pokazać George’owi Weaverowi?

– Pokaż. – Skinęła głową. Profesor Weaver ślęczał od wielu dni nad danymi od SORGE, powoli, systematycznie i bardzo ostrożnie formułując wnioski. Zawsze tak pracował. – Nie masz mi za złe, że go wciągnęłam na listę?

– Oczywiście, że nie! On ich zna dobrze. Lepiej ode mnie. Rozumie doskonale ich psychikę. Powinien, w końcu ukończył psychologię w Yale. Ale ma jedną wadę. Strasznie powoli formułuje wnioski.

– Powiedz mu, że przed końcem dnia chcę od niego otrzymać coś, co będę mogła wykorzystać.

– Zaraz mu to powiem.

Sears wstał i ruszył w kierunku drzwi. Mary Pat też opuściła gabinet, ale poszła korytarzem w przeciwnym kierunku.

– No i...? – spytał Ed Foley, gdy weszła do jego gabinetu.

– Za pół godziny powinieneś otrzymać pełny tekst. Z tego, czego się już dowiedziałam, włączenie NATO do gry nie zrobiło na nich większego wrażenia.

– Cholera. – Ed Foley zareagował podobnie jak jego żona.

– Zgadzam się – odparła Mary Pat. – Dowiedz się, jak szybko możemy przekazać tę informację Jackowi.

– Już się robi. – Szef CIA podniósł słuchawkę bezpiecznego telefonu i nacisnął guzik z kodem Białego Domu.

Przed odlotem odbyło się jeszcze jedno półoficjalne spotkanie w amerykańskiej ambasadzie i Gołowko reprezentował swego prezydenta, który w tym czasie rozmawiał z brytyjskim premierem.

– Jak było w Oświęcimiu? Jakie wrażenia? – zapytał Ryana.

– Disney World to nie jest – odparł Jack, popijając kawę. – Byłeś tam?

– Mój wujek Sasza służył w jednostce, która oswoodziła obóz – odparł Gołowko. – Był

dowódcą czołgu. Został pułkownikiem podczas wielkiej wojny ojczyźnianej...

– Rozmawiałeś z nim o tym obozie?

– Rozmawiałem, kiedy byłem małym chłopcem. Sasza, brat mojej matki, był żołnierzem z krwi i kości. Był twardym człowiekiem o żelaznych zasadach. Oddany komunista. Doznał

chyba wielkiego wstrząsu. Nigdy nie mówił, jakie obóz zrobił na nim wrażenie. Mówił tylko, że zobaczył okropne miejsce i że to utrwaliło w nim wiarę w słuszność jego postępowania.

Powiedział, że po Auschwitz nastąpił wspaniały okres, bo do końca wojny zabił więcej Niemców, niż przedtem.

– No dobrze, a wasze łagry?

– W naszym domu nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Jak dobrze wiesz, mój ojciec pracował w NKWD. On zawsze uważał, że to, co robi państwa, musi być słuszne. Podobnie faszyci myśleli o Auschwitz. Ale to były takie czasy, Iwanie Emmetowiczu. Mówiłeś mi, że twój ojciec także służył w wojsku podczas drugiej wojny...

– W jednostce spadochronowej. 101. Dywizja. Ale niewiele mi opowiedział o swoich przeżyciach, a kiedy opowiadał, to o śmiesznych przygodach. Powiedział mi tylko raz, że nocny zrzut nad Normandią nie należał do przyjemności. I na tym zakończył. Nie wspomniał, co czuł biegnąc w nocy, kiedy zewsząd do niego strzelano.

– To żadna przyjemność być zwykłym żołnierzem w bitwie.

– Przypuszczam, że nie. Ale wysyłanie ludzi na pole bitwy, żeby się zabijali, też nie jest przyjemne. Niech to wszyscy diabli, Siergiej! Do moich obowiązków należy ochrona życia ludzkiego, a nie ryzykowanie nim.

– W takim razie nie jesteś podobny do Hitlera ani do Stalina – powiedział zupełnie poważnie Rosjanin. – Eduard Pietrowicz też nie jest do nich podobny. Żyjemy teraz w lepszym świecie, lepszym niż ten, który wokół siebie mieli nasi ojcowie i wujowie. Lepszym, ale jeszcze niedostatecznie dobrym. Kiedy będziesz wiedział, jak zareagowali Chińczycy na wczorajsze wydarzenie?

– Mam nadzieję, że wkrótce. Ale nie jestem pewien. Przecież dobrze wiesz, jak to działa.

– *Da, da*, wiem... – Człowiek polega na raportach swoich agentów, ale nigdy nie wie, kiedy otrzyma kolejny raport. A przydługie czekanie rodzi frustrację. Czasami ma się ochotę skrócić im kark, ale to byłoby zarówno głupie jak i moralnie nieusprawiedliwione. Wiedział

to Gołowko, wiedział też Ryan.

– Jest już jakaś publiczna reakcja? – zapytał Ryan.

– Żadnego komentarza, panie prezydencie. Tego właśnie spodziewaliśmy się, ale jesteśmy rozczarowani.

– Jeśli Chińczycy ruszą, zdołacie ich zatrzymać?

– Prezydent Gruszawoj zadał dokładnie to samo pytanie swoim dowódcom wojskowym, ale nie otrzymał konkretnej odpowiedzi. Bo oni sami jej nie mają. Bardzo nam zależy na pełnym zabezpieczeniu informacji operacyjnych, Może wojskowi znają odpowiedź, ale nie chcą jej puścić w obieg wśród polityków. Nie chcemy, żeby Chińczycy wiedzieli, że cokolwiek wiemy.

– Taka metoda postępowania może obrócić się przeciwko wam – zauważył Ryan.

– Powiedziałem to samo dziś rano, ale generałowie wiedzą swoje. Powołujemy rezerwistów. Jednakże w tej chwili spiżarnia jest pusta – jak to wy, Amerykanie, powiadacie.

– Co się stało z ludźmi, którzy usiłowali cię zabić? – zapytał Ryan, zmieniając temat.

– Nic. Główny zamachowiec jest w tej chwili pod ścisłą obserwacją dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdyby jeszcze czegoś spróbował, to wtedy z nim pogadamy – zapowiedział

Gołowko. – Jak wiesz, cała sprawa ma, oczywiście, chińskie tło.

– Coś na ten temat słyszałem.

– Rezydent FBI w Moskwie, ten Reilly, jest bardzo inteligentny. Byłby z niego pożytek w moim Drugim Zarządzie.

– Owszem, Reilly to zdolny chłopak. Dan Murray bardzo go ceni.

– Jeśli Chińczycy się ruszą, będziemy musieli utworzyć grupę łącznikową między waszymi wojskowymi i naszymi.

– Od tego jest Pentagon – powiedział Ryan, który już to wszystko przemyślał. –

Otrzymali polecenie współpracy z waszymi ludźmi.

– Bardzo dziękuję, panie prezydencie. Przekażę tę wiadomość. Rodzina zdrowa, czuje się dobrze? – Nie można odbywać podobnego spotkania, bez zadania paru pytań bardziej osobistych. Nie należało o nich zapominać.

– Rodzina w porządku. Moja starsza córka już ma chłopaka. Ciężki orzech do zgryzienia dla tatusia – odparł z uśmiechem Ryan.

– O tak, rozumiem. Boisz się, że trafi na chłopaka podobnego do ciebie, kiedy byłeś młody. – Gołowko zaśmiał się szelmowsko.

Ryan westchnął.

– Doszedłem do wniosku, że córki są karą boską za to, że jesteśmy mężczyznami. – Tym stwierdzeniem Ryan zarobił na kolejny wybuch śmiechu Gołowki.

– Święte słowa, Iwanie Emmetowiczu. – Gołowko chwilę milczał, a potem wrócił do głównego tematu: – Dla nas obu nadeszły ciężkie czasy, co?

– Na to wygląda.

– Może kiedy Chińczycy zobaczą, że stoimy twardo ramię przy ramieniu, pohamują swoją chciwość. Nasi ojcowie wspólnie pokonali Hitlera, prawda? Nikt nie da nam rady, jeśli będziemy trzymać się razem. Przy odrobinie szczęścia, wspólnie powstrzymamy chińskich awanturników – stwierdził.

– A jeśli nam się nie uda powstrzymać ich przed zrobieniem głupstwa i uderzą?

– To wtedy wspólnie ich pokonamy, drogi przyjacielu! I to będzie ostatnia wojna na Ziemi.

– Nie założyłbym się – odparł Ryan. – Sam tak niedawno myślałem, ale zwątpiłem.

Niemniej taki cel jest zdecydowanie zbożny.

– Kiedy się dowiesz, co Chińczycy mówią i co zamierzają?

– Wkrótce. I zaraz dam ci znać.

– Dziękuję. – Gołowko wstał. – Przekażę to mojemu prezydentowi.

Ryan odprowadził szefa SWR do drzwi, a potem poszedł do gabinetu ambasadora.

– Właśnie to otrzymałem. – Ambasador Lewendowski wręczył prezydentowi faks.

– Czy jest aż tak źle, jak na to wygląda? – spytał. Faks miał nagłówek WYŁĄCZNIE DO WIADOMOŚCI PREZYDENTA, ale przysłano go do ambasady.

Ryan wziął do ręki podane mu kartki.

– Być może jest źle. Czy Polacy się włączą, jeśli Rosja zażąda pomocy NATO?

– Nie wiem, ale mogę popytać.

Prezydent pokręcił głową.

– Jeszcze na to za wcześnie.

– Czy wiedzieliśmy o narastającym konflikcie, wprowadzając Rosję do NATO? – W

pytaniu odczuwało się tłumiony niepokój. Niepokój bliski oburzeniu na pogwałcenie dyplomatycznej etykiety.

– A jak pan uważa? – odparł pytaniem Ryan i przez chwilę czytał otrzymany tekst. –

Potrzebuję pańskiego bezpiecznego telefonu – powiedział wreszcie.

Czterdzieści minut później Jack i Cathy Ryan wchodzili po schodkach prezydenckiego samolotu, by wyruszyć w drogę powrotną do domu. Cathy nie była zdziwiona, że jej mąż natychmiast udał się na górny pokład. Towarzyszył mu sekretarz stanu. Podejrzewała, że tam na górze Jack ukradkiem zapali papierosa i zaraz wróci, ale wrócił dopiero wtedy, gdy już spała.

Miała rację o tyle, że Jack miał ochotę na papierosa, ale nie mógł znaleźć nikogo, kto palił. Dwaj obecni tam palacze pozostawili papierosy w bagażu, aby nie ulec pokusie i nie pogwałcić przepisów Sił Powietrznych, kategorycznie zakazujących palenia. Jack wypił

drinka i zajął swoje miejsce w fotelu, opuszczając oparcie, by się zdrzemnąć. Śniło mu się Auschwitz, mieszały się obozowe obrazy ze scenami z filmu „Lista Schindlera”... Spocony obudził się nad Islandią i zobaczył pochyloną nad sobą twarz żony. Uświadomił sobie, że choć świat jest okropny, czasami przybiera miłe barwy. I nie wolno mu zaprzestać starań, by tak już pozostało.

– Powiedzcie mi, czy jest jakiś sposób powstrzymania ich? – Robby Jackson zapytał

zebranych w Sali Sytuacyjnej Białego Domu. Profesor Weaver wydał mu się jeszcze jednym uniwersyteckim naukowcem, który zawsze ma wiele do powiedzenia, ale umyka przed formułowaniem wniosków. Niemniej słuchał go uważnie. Było nie było, ten człowiek wiedział bardzo dużo o funkcjonowaniu chińskiego umysłu. Bo i powinien. Jednakże jego wyjaśnienia były równie niezrozumiałe, jak i opis procesu myślowego Chińczyków, który usiłował im objaśnić.

– Panie profesorze... – odezwał się wreszcie Jackson – Wszystko to brzmi bardzo pięknie, ale niech mi pan powie, w jaki sposób coś, co wydarzało się przed dziewięćcioma wiekami, może pomóc nam zrozumieć obecne wydarzenia. Dzisiaj mamy do czynienia z maoistami, a nie cesarskimi ministrami.

– Ideologia jest parawanem dla utrwalonych zachowań, panie wiceprezydencie.

Parawanem, a nie motywem. Ich motywacje są dzisiaj takie same, jakie istniały za dynastii Czin. I dziś oni boją się tego samego, czego bali się wówczas cesarze: rewolty chłopów, a w rezultacie rozkładu gospodarczego... – tłumaczył spokojnie Weaver, wiedząc, że mówi do byłego pilota, technokraty, ale zdecydowanie nie intelektualisty. I pomyślał sobie, że to dobrze, iż prezydent ma nieco lepsze referencje jako historyk, choć obaj panowie nie sięgali pięt dziekanowi renomowanego elitarnego uniwersytetu.

– Wracam do pierwotnego pytania: co możemy zrobić, by powstrzymali się od agresji?

– Poinformowanie ich, że znamy ich plany, mogłoby ich na pewien czas powstrzymać, ale podejmą decyzję po przeprowadzeniu analizy sił po obu stronach. I dojdą do wniosku, że mają wielką przewagę. Tak odczytałem informacje od SORGE.

– Więc nie odstąpią od zamiaru użycia siły? – spytał wiceprezydent.

– Jest wielce prawdopodobne, że nie odstąpią – odparł Weaver.

– Nie można ich poinformować, że wiemy. Spalilibyśmy naszego agenta, a jego źródło informacji zostałoby fizycznie wyeliminowane – przypomniała obecnym Mary Pat Foley.

– Cóż znaczy jedno czy dwa życia w obliczu katastrofy? – zauważył Weaver. – Jest szansa, że przyniosłoby to rezultat.

Zastępczyni dyrektora CIA do spraw operacji, wbrew przemożnej chęci, nie wskoczyła na stół i nie trzepnęła profesora po gębie. Sama się sobie dziwiła, że tego nie robi. Szanowała Weavera jako eksperta, ale traktowała go jak naukowca tkwiącego w wieży z kości słoniowej i niedostrzegającego ludzi, a tylko problemy. Ot, po prostu teoretyk kalkulujący na zimno, dostrzegający epoki, trendy i masy ludzkie, ale nie żywe istoty. Dla żywych istot życie było najważniejsze. Aż dziwne, że nie było nim dla tego profesora urzędującego w luksusowym gabinecie w mieście Providence, w stolicy stanu Rhode Island.

– Pamiętajmy, że odcięłoby to nam główne źródło informacji. Moglibyśmy w poważnym stopniu stracić zdolność reagowania w polu na ich plany i decyzje – dodała.

– Chyba ma pani rację – zgodził się Weaver.

– Czy Rosjanie potrafią sami ich zatrzymać? – spytał Jackson generała Moore'a.

– Z tym może być kłopot – odparł Moore. – Chińczycy dysponują poważnymi siłami.

Rosjanie mają wielkie przestrzenie, by to uderzenie absorbować, ale nie mają pięści, by je potem rozbić. Gdybym miał się zakładać, to postawiłbym na Chińczyków... Chyba że my się włączymy. Nasza przewaga w powietrzu mogłaby wyrównać szanse, a jeśli przyłączy się NATO z siłami lądowymi, układ sił całkowicie się zmieni. Wszystko będzie wówczas zależało od tego, jak szybko my i Rosjanie zdołamy przenieść wsparcie na obszar ewentualnych operacji.

– Problemy logistyczne?

– Jeszcze jakie! – potwierdził generał Moore. – Na Syberii jest tylko jedna linia kolejowa.

Ma wprawdzie dwie pary torów i jest zelektryfikowana, ale to wszystko. Więcej dobrych wieści nie mam.

– Czy ktoś wie, jak można wysłać znaczące siły na Daleki Wschód, mając do wykorzystania jedną linię kolejową? Od czasu wojny secesyjnej czegoś podobnego nie próbowaliśmy... – myślał głośno wiceprezydent Jackson.

– Trzeba będzie spróbować, sir, jeśli to okaże się konieczne – odparł generał Moore. –

Rosjanie na pewno o czymś podobnym wielokrotnie myśleli. W tej sprawie będziemy musieli polegać na nich.

Wiceprezydent zaklął pod nosem. Jako wieloletni pilot lotnictwa Marynarki rzadko na kimsz polegał, a jeśli już musiał, to na kimsz, kto nosił mundur Marynarki.

– Gdyby wszystkie niewiadome przemawiały na naszą korzyść, to Chińczycy nie myśleliby o wojnie tak poważnie, jak to chyba czynią. – To stwierdzenie profesora Weavera było tak oczywiste i prawdziwe, jak to, że po dniu następuje noc.

– Problem ponadto polega na tym – wtrącił George Winston – że nagroda dla zwycięzcy jest olbrzymia. Ta nagroda kusi równie silnie, jak otwarte drzwi bankowego sejfu przy braku strażników.

– Jack zawsze mówi, że wojna jest po prostu zwykłym rabunkiem, napadem z bronią w ręku... – dodał wiceprezydent Jackson.

– Absolutnie – zgodził się sekretarz skarbu i pokiwał głową.

Profesor Weaver uznał to porównanie za nadmierne uproszczenie problemu wojny i pokoju, ale czegoż można oczekiwać od ludzi zajmujących miejsca wokół tego stołu?

– Moglibyśmy ich ostrzec, gdy nasze satelity coś zauważą – zaproponowała Mary Pat Foley. – Kiedy zaczniemy coś widzieć?

– Za jakieś dwa dni. Ale minie tydzień, nim Chińczycy zaczną szykować się do drogi.

Muszą się przegrupować, poszczególne jednostki muszą zająć pozycje wyjściowe. Potem minie jeszcze ze trzydzieści sześć godzin, nim zaczną strzelać.

– I nasz Iwan nie da rady zatrzymać ich na linii przygranicznych umocnień?

– Mowy nie ma – odpowiedział generał. – Rosjanie muszą grać na przetrzymanie.

Potrzebny jest im czas. Przehandlują teren na czas. Wpuszczą ich głęboko. Chińczycy mają cholernie długą drogę do pól naftowych. I tu jest ich słabość – konieczność obrony skrzydeł i logistyczny problem dostaw, przede wszystkim paliwa. Ja bym raczej spodziewał się próby desantu wojsk spadochronowych... A oba cele, do których zmierzają, są w zasadzie łatwe do opanowania, nawet przy użyciu niewielkich sił.

– Co my możemy podesłać Rosjanom?

– Przede wszystkim samoloty i helikoptery, dużo samolotów i helikopterów. Myśliwców wielozadaniowych, śmigłowców szturmowych i wszystkie dostępne cysterny powietrzne.

Może nie uda się nam osiągnąć przewagi w powietrzu, ale z pewnością uda się zablokować dostęp do celów z powietrza. Siły będą bardzo wyrównane. I niemal natychmiast po zorganizowaniu baz lotniczych musimy zacząć proces spychania chińskich samolotów z nad obszaru operacji lądowych. Zadanie wykonalne. Wszystko zależy od stosunku sił, Robby, i od stopnia wyszkolenia chińskich pilotów. Są z pewnością lepsi, niż piloci rosyjscy, choćby dlatego, że mają więcej wylatanych godzin. Z technicznego punktu widzenia Rosjanie mają lepsze maszyny i chyba lepszą teorię walki powietrznej, tyle że brak im okazji do ćwiczenia tej teorii.

Robby Jackson miał ochotę powiedzieć, że sytuacja zawiera zbyt wiele niewiadomych, ale gdyby ich nie było, to – jak słusznie zauważył doktor Weaver – Chińczycy nie gromadziliby teraz sił na swej północnej granicy. Bandyty polują na staruszki z nędznymi resztkami renty, a nie na policjantów, którzy dopiero co odebrali pensję i mają pełne kieszenie dolarów. Wiek argumentów przemawia za wychodzeniem z domu z bronią w kieszeni, bo chociaż napady uliczne i wybuchy wojen należą do stosunkowo rzadkich wydarzeń, ludzie uzbrojeni czują się lepiej. Tak, Chińczycy zdecydowali, że ich potencjalna ofiara jest emerytką bez broni.

Podczas lotu Scott Adler ani na chwilę nie zmrużył oka, przez cały czas zastanawiając się nad możliwymi sposobami uniknięcia wojny. To jest chyba podstawowy obowiązek dyplomaty, prawda? Szukanie pokojowego rozwiązania konfliktu. Jako szef dyplomacji swego kraju powinien wiedzieć – za to mu płacono – co powiedzieć drugiej stronie, by zniechęcić ją do irracjonalnych kroków. Co powiedzieć? W zasadzie łatwe pytanie. Powinien im powiedzieć tak: jeśli zrobicie to, co zamierzacie, wtedy cała potęga i gniew Ameryki skieruje się przeciwko wam i zrujnuje wasze plany. Lepiej jednak szczerą perswazją skłonić ich do poniesienia nierozsądnego kroku, ponieważ rozsądek jest najlepszą drogą ocalenia, kiedy się żyje w globalnej wiosce. Prawda była jednak taka, że chińskie rozumowanie szło torami, których on nie potrafił sobie wyobrazić. Tak więc nie wiedział, jakich użyć słów, by do nich dotrzeć, by zrozumieli sytuację i konsekwencje. Poza chińskim ministrem spraw zagranicznych znał także Zhanga i, niestety, wiedział bardzo dobrze, że obaj nie dostrzegali otaczającej ich rzeczywistości tak, jak on ją dostrzegał. I to było najgorsze, jakiś wewnętrzny głos karcił go za ślady rasizmu w myśleniu. Być może, ale sytuacja zabrnęła zbyt daleko, by zachować stuprocentową polityczną poprawność. Miał obowiązek przeciwstawić się wojnie, ale nie wiedział, jak przystąpić do działania. Nagle poczuł na ramieniu dotyk, obejrzał się i zobaczył prezydenta, który ruchem głowy wskazał schody prowadzące na górny pokład.

Znowu musieli wyrzucić z foteli dwóch podoficerów Sił Powietrznych.

– Zastanowiłeś się nad ostatnim raportem SORGE? – spytał Ryan.

– Tak – odparł krótko Adler.

- Wpadł ci do głowy jakiś pomysł?
- Nie. Przykro mi, Jack, ale nic nie wymyśliłem. Może potrzebny ci jest inny sekretarz stanu.
- Nie, Scott. Potrzebni mi są inni wrogowie. Ja też widzę tylko jedną możliwość: powiedzieć im, że wiemy, co oni kombinują, i żeby lepiej przestali, bo dostaną po łapach.
- Co będzie, jeśli oni odpowiedzą, żebyśmy pocałowali się w naszą zbiorową dupę?
- Wiesz, co by nam się teraz przydało? – spytał Ryan.
- Wiem. Dwieście rakiet Minuteman i Trident. Rozświetliłyby im horyzont i myśli.
- Zrozumieliby wówczas nagą prawdę. Niestety...
- Niestety pozbyliśmy się ich, żeby uczynić świat bezpieczniejszym. Ironia losu... – zakończył Ryan.
- Jednak pozostały nam bomby i mamy samoloty mogące zabrać je tam, gdzie mogą być potrzebne.
- Nie, nie i jeszcze raz nie! – Ryan zareagował bardzo ostro. – Nie rozpocznę wojny nuklearnej po to, aby zapobiec wojnie konwencjonalnej. Jak wielu ludzi mam zabić?
- Uspokój się, Jack. Moim obowiązkiem jest przedstawić ci wszystkie możliwości. Nie zalecam ich, tylko wyliczam. W każdym razie wojny nuklearnej nie zalecam. – Scott Adler przez długą chwilę milczał, potem zapytał: – Jakie wrażenia z Auschwitz?
- Jeden wielki horror... Zaraz, twoi rodzice, tak?
- Mój ojciec. Ale w jego przypadku to był Bełżec. Miał szczęście i przeżył.
- Opowiadał ci o tym?
- Nigdy, ani jednego słowa. Nawet rabiemu. Może opowiedział coś swemu psychiatrze.
- Przez parę lat do niego chodził.
- Nie wolno mi dopuścić, by coś podobnego kiedykolwiek się powtórzyło. Trzeba świat przed tym uchronić... Gdyby coś podobnego groziło, to kto wie, czy nie zgodziłbym się na zrzucenie jednej B-83 – spekulował Ryan.
- Skąd znasz tę nazwę?
- Znam nazwy naszych broni. Kiedyś mi je podano i niektóre zapamiętałem. Dziwna rzecz... Nigdy nie dręczyły mnie nocne koszmary z tym związane. Może dlatego, że wtedy nie wczytywałem się

dobrze w ZPO?

– Co to jest ZPO?

– Zintegrowany Plan Operacyjny. Taka książka kucharska. Jak zgotować świata szybki koniec. Raczej połknąłbym odbezpieczony granat, niż autoryzował coś podobnego.

– Wielu prezydentów przed tobą miało podobne myśli – skomentował Adler.

– I żaden z nich poważnie nie myślał, że to się może wydarzyć. Wszyscy uważali, że jakoś się z sytuacji wykręca. I tak było do pewnego dnia, kiedy pojawił się Bob Fowler i niemal nacisnął guzik.
– Ryan wzdrygnął się, wspominając wydarzenie.

– Słyszałem. Ty jeden miałeś głowę na karku i zachowałeś spokój. Wielu innych podwinęło ogony.

– No i dokąd mnie to zaprowadziło? – zapytał Ryan, chrząkając z rozbawieniem. Wyrzwał

przez okno. Lecieli nad lądem. Prawdopodobnie nad Labradorem. Dużo zieleni i jezior oraz kilka prostych linii wskazujących na udział człowieka w kształtowaniu labradorskiej rzeczywistości.

– Co zrobimy, Scott?

– Postaramy się trochę ich przestraszyć. Niech tylko zrobią coś, co wychwycą nasze satelity, to będziemy mogli podzielić się z nimi paroma uwagami na ten temat. Możemy na końcu dodać, że skoro teraz Rosjanie są naszymi sojusznikami i partnerami w NATO, polowanie na niedźwiedzia uznamy za polowanie na nas i odpowiednio zareagujemy. Jeśli to ich nie powstrzyma, nie powstrzyma ich nic innego.

– Pomachamy im przed oczami jakąś błyskotką w nagrodę za to, że będą grzeczni? –

spytał prezydent.

– Szkoda na to czasu i wysiłku. Na to ich nie złapiesz. Wprost przeciwnie, jestem pewien, że uznają to za objaw słabości. Zachęci ich to tylko do działania. Oni respektują tylko siłę i siłę musimy im okazać. A wtedy podejmą decyzję taką lub inną.

– Jestem pewien, że ruszą – mruknął Jack.

– Orzeł czy reszka? Chciałbym wierzyć, że wypadnie reszka, czyli żołnierzyki do domu.

Ale to są pobożne życzenia.

– Chyba tak. – Ryan zerknął na zegarek. – W Pekinie świta.

– Budzą się i niedługo ruszą do pracy. Ministrowie i działacze partyjni też. Co mi możesz

powiedzieć o SORGE?

– Mary Pat zachowuje wielką dyskrecję. Może to i dobrze. W Langley nauczyłem się, że czasami nie należy wiedzieć zbyt wiele. I lepiej jest nie znać twarzy agentów ani ich nazwisk.

– Na wypadek, gdyby stało się coś złego?

– Kiedy coś złego się im przytrafia, człowiek nie chce nieć przed oczami ich twarzy i nie chce zastanawiać się nad ich losem ani nad tym, co mogą zrobić lub powiedzieć. Wiedzą, że w razie aresztowania zamiast formułki o prawach, usłyszeli: „Możecie sobie krzyczeć ile wlezie. Nam to nie przeszkadza”.

– Straszne... – stwierdził sekretarz stanu.

– Tak naprawdę tortury jako technika przesłuchania nie są skuteczne. Kończy się na tym, że torturowany zeznaje przesłuchującemu to, co on chciałby usłyszeć.

– A kiedy potem zostaną skazani, to czy mogą apelować? – spytał Scott, szeroko ziewając, bo nagle poczuł się bardzo zmęczony.

– Apelować? W Chinach?! Tam można wybierać, czy chce się kulę w lewą skroń czy w prawą. – Ryan zamilkł. Co mu przyszło do głowy, żeby żartować na podobny temat?

Bardzo ożywionym miejscem w Waszyngtonie był budynek Narodowego Biura Rozpoznania. NBR było dzieckiem CIA i Pentagonu. Dysponowało satelitami rozpoznania, obładowanymi kamerami i szybującymi wokół Ziemi na średnich i niskich orbitach.

Niesłychanie drogie, ale i wyjątkowo precyzyjne kamery, mogły śmiało konkurować zarówno ceną, jak i rozdzielczością z teleskopem kosmicznym Hubble’a. Trzy takie satelity okrążyły Ziemię co mniej więcej dwie godziny, przelatując dwukrotnie w ciągu dnia nad tym samym miejscem. Na orbicie krążył również satelita radarowy.

Miał on gorsze odczyty od KH-II, ale „widział” przez chmury. Było to bardzo ważne właśnie teraz, ponieważ przez granicę chińsko-rosyjską przetaczał się zimny front atmosferyczny i zwały chmur przesłaniały całkowicie widok, ku wielkiemu utrapieniu techników i naukowców, gdyż ich warte miliardy dolarów satelity były przydatne w takim czasie wyłącznie do prognozowania pogody: przelotne deszcze, chłodno, z temperaturami do dziesięciu stopni, a w nocy poniżej zera.

I dlatego analitycy ślęczeli teraz nad zdjęciami z satelity rozpoznania radarowego Lacrosse.

– Chmury schodzą do dwu tysięcy metrów czy coś około tego – zauważył jeden z fotointerpretatorów.

– Nawet Blackbird nie dałby rady w takiej sytuacji – zauważył jeden z analityków. – No dobrze, ale

co my mamy tutaj? Spory ruch na węźle kolejowym. I kilka składów platform kolejowych. Coś na każdej stoi. Ale co to jest, nie wiem. Zbyt duże zniekształcenia.

– Co się zwykle przewozi na platformach kolejowych? – spytał analityk Marynarki.

– Pojazdy gaśnicowe – odparł inny analityk, major Armii. – I ciężkie działa.

– Czy możemy przyjąć takie założenie i przekazać wiadomość? – spytał kapitan Marynarki.

– Nie – odparł nadzorujący wszystko cywil. – Ale zaraz... Czy to nie bocznicą kolejową i stojący na niej bardzo długi pociąg?

Wszyscy pochylili się nad ekranami.

Cywil poprzebierał palcami po klawiaturze komputera i wywołał na ekran zbliżenie.

– Widzicie te rampy? To są specjalne rampy do rozładowywania pojazdów z platform kolejowych. – Oderwał się na chwilę od komputera i powrócił do zdjęć z Lacrosse. – Tak, to są czołgi zjeżdżające z rampy. W obrębie węzła formują jednostkę pancerną. Z liczby pojazdów można wnioskować, że chodzi o ponad trzysta czołgów i sto parędziesiąt pojazdów opancerzonych... Słuchajcie, panowie, tutaj formuje się cała dywizja pancerna. Co to może być? Prostokątne, długie... Hmmm! Co to może być? – powtórzył i wrócił do swego komputera. Zaczął wywoływać na ekran monitora różne fotografie. Po paru minutach powiedział: – Wiecie, co to może być?

– Nie wiemy – odparli major i kapitan.

– Wygląda na pięcotonową ciężarówkę z elementem mostu pontonowego. Dokładna kopia rosyjskiej konstrukcji. Wszyscy je kopiują, są najlepsze. Iwan potrafi robić takie rzeczy.

Na radarze wygląda to tak... – Wstał od komputera, podszedł do ujęć radarowych i wskazał

palcem. – A to zgromadzenie pojazdów tutaj z tymi długimi prostokątami, to moim zdaniem dwa pułki wojsk inżynierskich towarzyszące dywizji pancernej.

– Nie za dużo saperów dla jednej dywizji?

– To prawda, jest ich sporo – stwierdził kapitan Marynarki.

– Rzeczywiście sporo – przyznał major Armii. – Do wsparcia dywizji wystarczy jeden batalion. Z tego można wyciągnąć wniosek, że ta dywizja pancerna jest strażą przednią korpusu lub armii. I w mojej opinii te dwa pułki mają zadanie przygotowania całego ciągu przepraw przez kilka rzek.

– Mów dalej – odezwał się cywil.

– Szykują się, by ruszyć na północ. – Major zwrócił się do analityka: – Widziałeś już coś podobnego?

– Owszem. Przed dwoma laty. Odbywali wielkie manewry. Ale wtedy był tylko jeden pułk saperów, nie dwa. I opuścili węzeł kolejowy, kierując się na południowy wschód.

Zrobiliśmy całą masę zdjęć satelitarnych. Byk to symulacja inwazji albo silnego natarcia.

Dywizja pancerna i dwie dywizje zmechanizowane pozorujące siły nacierające oraz jedna symulująca rozbite siły przeciwnika. Oczywiście zwyciężyli nacierający.

– Jak to się różniło od sił Rosjan w pasie przygranicznym? – spytał oficer wywiadu Marynarki.

– Było gęściej. Chcę powiedzieć, że w terenie było więcej chińskich obrońców niż w rzeczywistości jest dziś Rosjan.

– I nacierający przedarli się? Zwyciężyli?

– Tak jest.

– Jak realistyczne były te manewry? – spytał major.

– Nie był to Fort Irwin, ale w miarę uczciwe manewry. I z dbałością o szczegóły.

Nacierający mieli oczywiście przewagę liczebną i zachowywali przez cały czas inicjatywę.

Przedarli się i zaczęli likwidować linie zaopatrzenia nieprzyjaciela.

Oficer Marynarki spojrział na kolegę w zielonym mundurze.

– Zrobiją to samo, gdyby wybierali się na północ – powiedział.

– Całkowicie się zgadzam – odparł major.

– Chyba trzeba dać znać na górę.

Kapitan Marynarki skinął głową i obaj oficerowie ruszyli w kierunku telefonów.

– Kiedy znikną chmury? – spytał cywil technika.

– Za jakieś trzydzieści sześć godzin. Zacznie się przejaśniać jutro wieczorem. Już zaprogramowaliśmy ptaszki. – Nie musiał dodawać, że kamery na satelitach KH-11 widziały równie dobrze w nocy jak i dzień, tyle że w nocy nie było kolorów.

Rozdział 47

Widoki na przyszłość i nocne czuwanie

Po dłuższym locie ze wschodu na zachód prezydent Ryan też odczuwał „skok czasowy”, choć wolał go nazywać szokiem podróжным. Skok czasowy podczas lotu odczuwa się mniej, gdy leci się na wschód, a poza tym prezydent trochę się przespał w samolocie.

Po wylądowaniu w bazie Sił Powietrznych Andrews prezydencka para przeszła do oczekującego śmigłowca, który po zwyczajowych dziesięciu minutach lotu usiadł na Południowym Trawniku przed Białym Domem. Cathy poszła prosto do prezydenckich apartamentów, natomiast Jack skręcił w lewo w kierunku Zachodniego Skrzydła.

Jednakże nie poszedł do swego gabinetu, lecz do Sali Sytuacyjnej, gdzie już czekał na niego wiceprezydent Jackson ze zwykłym orszakiem.

– Cześć, Robby – powitał go prezydent.

– Miałeś dobry lot, Jack?

– Zbyt długi. – Ryan przeciągnął się, żeby rozprostować kości. – No dobra, co się dzieje?

– Chińskie dywizje zmechanizowane maszerują w kierunku rosyjskiej granicy. Patrz, co otrzymaliśmy z rozpoznania. – Jackson rozłożył na stole wydruki radarowego odczytu. – Tu jest dywizja pancerna, tu i tu dywizje zmechanizowane, a to są saperzy z mostami pontonowymi.

– Kiedy będą gotowi? – spytał Ryan.

– Mogą być już za trzy dni. – Na to pytanie odpowiedział Mickey Moore. – Ale w praktyce za pięć lub siedem.

– Jak reagujemy?

– Wysłaliśmy sygnał ostrzegawczy do Rosjan i postawiliśmy nasze jednostki w stanie podwyższonej gotowości bojowej.

– Czy Chińczycy wiedzą, że wiemy o ich zamiarach?

– Prawdopodobnie nie. Ale z pewnością wiedzą, że ich pilnie obserwujemy. I nie są im też obce nasze możliwości obserwacyjne – odparł Moore.

– Nic od nich nie otrzymaliśmy kanałami dyplomatycznymi?

– Figę – odparł Ed Foley.

– Czy to oznacza, że nasza reakcja ich nie obchodzi? To chyba niemożliwe.

– Może i obchodzi, Jack, ale nie zamartwiają się tym. Bardziej martwią się problemami wewnętrznymi.

– Coś nowego od SORGE?

Foley pokręcił głową.

– Od porannego przekazu nic.

– Kto nas reprezentuje w Pekinie?

– Charge d'affaires. Dość młody i niedoświadczony. Jest tam od niedawna – wyjaśnił Ed Foley.

– Z tego wynika, że musimy wysłać do nich notę. Będzie bardziej stanowcza, niż nasz niedoświadczony przedstawiciel – oświadczył Ryan. – Która jest godzina w Pekinie?

– Ósma dwanaście rano – pośpieszył z odpowiedzią Jackson, wskazując na ścienny zegar nastawiony na chiński czas.

– Z tego wniosek, że SORGE nie przekazał nam jeszcze nic z ich wczorajszego dnia pracy.

– Nie przekazuje codziennie, ale parę razy w tygodniu. Do trzech razy – wyjaśniła Mary Pat. – Duży odstęp czasowy między przekazami może oznaczać, że szykuje się smakowity kęs.

Wszyscy zwrócili głowy, gdy na salę wszedł sekretarz stanu. Z Andrews przyjechał samochodem. Nie skorzystał z helikoptera. Adler szybko zapoznał się z wydrukami.

– Aż tak źle? – zapytał.

– Oni nie żartują – potwierdził Jackson.

– Wygląda na to, że musimy wysłać notę.

– Chińczycy zaszedli za daleko, by teraz się wycofać – mruknął ktoś z obecnych. – Żadna nota nic nie pomoże.

– Przepraszam, kim pan jest? – spytał Ryan.

– Nazywani się George Weaver. Wykładam na uniwersytecie Brown w Providence.

Jestem także doradcą CIA w sprawach chińskich.

– Czytałem niektóre z pańskich opracowań. Świetny materiał. Więc pan twierdzi, doktorze, że Chińczycy nie wycofają się? Proszę uzasadnić dlaczego.

– Nie dlatego bynajmniej, że boją się ujawnienia światu tego, na co się zdecydowali.

Obywatele chińscy o niczym nie dowiedzą się, póki władza im tego na swój sposób nie wyjaśni. Jak pan dobrze wie, panie prezydencie, Chińczycy są przerażeni rysującą się perspektywą zapaści ekonomicznej. Jeśli ich gospodarka się zawali, masy mogą się zbuntować. I właśnie takiego buntu

najbardziej obawia się partia i jej przywódcy. Jedyną drogę ratunku widzą w szybkim wzbogaceniu się, a droga do niego wiedzie prosto na północ, do nowo odkrytych złóż ropy i złota. Chcą je opanować.

– Powtarza się motyw kuwejcki – zauważył Ryan.

– W pewnym sensie. Tutaj mamy do czynienia ze znacznie większą operacją i z bardziej złożoną sytuacją. Ale w zasadzie tak, panie prezydencie. Chińczycy doszli do wniosku, że jeśli szybko im się uda opanować cel, to reszta świata będzie musiała z nimi handlować. Ich zdaniem ropa jest nie tylko surowcem, ile i kartą wstępu do świata globalnego biznesu. Ze złotem sprawa jest jeszcze bardziej oczywista. Jeśli się je posiada, to można za nie kupić wszystko i wszędzie. Złoto jest zawsze i wszędzie wymienne na to, czego się potrzebuje.

Są przekonani, że świat pójdzie im na rękę, ponieważ oni się wzbogacą, a dla kapitalistów bogactwo i pieniądze to świętości.

– Są tak cyniczni, czy tak głupi? – spytał Adler.

– Dobrze przestudiowali historię i znaleźli wiele przykładów, które uzasadniają podobne myślenie. Przeanalizowali nasze działania w przeszłości i postępowanie innych państw, i doszli do wniosku, że warto spróbować. Tak w ich oczach wygląda świat.

– Tylko idiota może w ten sposób wyciągać wnioski – stwierdził zmęczonym głosem Ryan. – Mamy do czynienia z idiotami.

– Nie, panie prezydencie – odparł Weaver. – Ma pan do czynienia z wyrafinowanymi politycznymi graczami. Ich spojrzenie na świat różni się od naszego. Prawda, że nas nie rozumieją, ale to nie czyni z nich idiotów.

Dobrze, nie są idiotami, pomyślał Ryan, ale zachowują się, jakby przybyli z innej planety.

Nie było sensu przekonywać o tym Weavera. Zaraz zacząłby wyciągać nowe argumenty, które nie przybliżyłyby ich do rozwiązania problemu i podjęcia właściwych decyzji. Zresztą to nieważne, czy Chińczycy są idiotami, szaleńcami czy geniuszami, trzeba tylko zrozumieć, co zamierzają zrobić, a nie dlaczego. Owo „co zamierzają” mogło w tej chwili wydawać się bez większego sensu, ale znając odpowiedź wiedziałoby się, co należy zrobić, by do tego nie dopuścić.

– Zobaczmy, czy to rozumieją... – powiedział Ryan. – Scott, przekaz oficjalnie ChRL, że jeśli dokonają agresji na Rosję, to Ameryka pośpieszy Rosji na pomoc, tak jak tego wymaga Traktat Północnoatlantycki. Powiedz też...

– Traktat tak naprawdę tego nie wymaga – przerwał prezydentowi sekretarz stanu.

– A ja mówię, że wymaga, Scott. I skoro o tym mówimy: już powiedziałem Rosjanom, że wymaga. Zresztą, czy to coś zmieni, jeśli Chińczycy rozumieją, że nie żartujemy?

– Chcesz otworzyć cholernie wielką puszkę Pandory, Jack – ostrzegł Adler. – W Chinach przebywają tysiące Amerykanów.

– Doktorze Weaver, jak Chińczycy w czasie wojny będą traktować cudzoziemców przebywających w ich kraju? – spytał prezydent.

– Nie chciałbym tam wtedy być, żeby się przekonać. Chińczycy z szacunkiem traktują gości, ale podczas wojny, jeśli, na przykład, dojdą do wniosku, że ktoś jest szpiegiem, sytuacja tej osoby może być tragiczna. A jeśli idzie o ich własnych obywateli, to traktują ich...

Po co mam mówić, wszyscy widzieliśmy to w telewizji.

– Scott, powiesz im również, że czynimy ich przywódców osobiście odpowiedzialnymi za traktowanie naszych rodaków, jeśli zostaną do tego zmuszony, rozkażę przeprowadzenie dochodzeń, znalezienie winnych i pogrzebanie ich żywcem. Przypomnij im Teheran i naszego starego znajomego, Daryaei. Ten Zhang go zna. Raz się z nim spotkał, jak mi mówiła premier Indii. Nie odpuściłem wtedy i nie odpuszczę teraz – oświadczył Ryan lodowatym głosem. –

Niech to Zhang dobrze przemyśli.

– Oni nie reagują dobrze na takie groźby – wtrącił Weaver. – Czy nie lepiej powiedzieć, że tu u nas mieszka wielu ich obywateli i gdyby...

– Nie zrobilibyśmy tego! – uciął krótko Ryan.

– Panie prezydencie, przed chwilą już to mówiłem: nasza koncepcja prawa i sprawiedliwości jest im obca. Zrozumieliby natomiast groźbę odwetu i potraktowali ją poważnie. Pozostaje tylko odpowiedzieć na pytanie, jak bardzo cenią życie swoich obywateli.

– Może pan na to odpowiedzieć, doktorze?

– Tak, cenią je znacznie mniej niż my.

Ryan przez chwilę rozmyślał, a potem zwrócił się do Adlera:

– Scott, masz im dobrze wyjaśnić, co to jest „doktryna Ryana”. Jeśli okaże się to konieczne, to wrzucę im inteligentną bombę przez okno do sypialni. Nawet jeśli mi zajmie dziesięć lat odszukanie sypialni, w której się ukryli.

– Wyjaśnimy im to. Powinniśmy też ostrzec naszych obywateli i zachęcić, by wrócili do kraju najbliższym samolotem.

– Bardzo słusznie. Nie chciałbym przebywać w miejscu, do którego zdąża tornado –

powiedział Robby Jackson. – Ostrzeżenie do naszych obywateli trzeba nadać za pośrednictwem

CNN.

– Ale dopiero wtedy, kiedy poznamy reakcję na naszą notę – odezwał się prezydent. – W

Pekinie jest teraz ósma trzydzieści rano. Scott, chcę, żeby rząd chiński otrzymał naszą notę przed lunchem.

– Tak jest. – Sekretarz stanu skinął głową.

– Generale Moore, czy mamy przygotowane rozkazy dla jednostek, które zamierzamy wysłać? – spytał Ryan.

– Tak jest, sir. Pierwsze jednostki Sił Powietrznych mogą znaleźć się na Syberii przed upływem dwudziestu czterech godzin. Po następnych dwunastu godzinach osiągną stan gotowości operacyjnej.

– A bazy, Mickey? – spytał Jackson.

– Rosjanie w swoim czasie bardzo się obawiali B-52 i cały Daleki Wschód usiany jest lotniskami. Nasz attaché lotniczy w Moskwie siedzi teraz z Ruskimi i wszystko uzgadnia –

wyjaśnił generał Moore. Pomyślał sobie, że biedak nie zmruży oka przez najbliższą noc. –

Poinformował mnie, że Rosjanie są chętni do współpracy.

– Jak bezpieczne będą te bazy? – spytał z kolei Jackson.

– Ich główną osłoną będzie odległość. Chińczycy musieliby przebyć prawie półtora tysiąca kilometrów do najbliższej z nich. Wyznaczyliśmy już dziesięć AWACS-ów E-3B z bazy Tinker. One pierwsze polecą i ustanowią ciągły dozór radarowy. Polecą też sporo myśliwców. Potem zaczniemy myśleć o celach dla jednostek bombowych. Początkowo będą to zadania o charakterze defensywnym, a potem, gdy okrzepniemy, przejdziemy do ofensywy.

– Moore nie musiał wyjaśniać Jacksonowi, że przemieszczenie jednostek lotniczych to nie tylko przemieszczenie maszyn. Z każdym dywizjonem trzeba wyekspediować mechaników, zaopatrzeniowców, zbrojmistrzów, a nawet kontrolerów obszaru. Jeden myśliwiec wymaga jednego pilota, ale oprócz tego co najmniej dwudziestu innych ludzi, aby funkcjonował jako skuteczna broń. Dla większych maszyn potrzeba więcej ludzi.

– A co mówi CINCPAC? – spytał Jackson.

– Że możemy dołożyć chińskiej marynarce. Admirał Mancuso właśnie przemieszcza swoje okręty podwodne i nawodne.

– Te obrazki są bardzo niewyraźne – zauważył Ryan, patrząc na wydruki obserwacji radarowej.

– Jutro przy lepszej pogodzie będziemy mieli barwne zdjęcia – zapewnił prezydenta Ed Foley.

– Doskonale. Musimy je dać dowództwu NATO. Niech nam powiedzą, w czym mogą pomóc.

– Nasza Pierwsza Pancerna ma być w stanie gotowości do załadunku. Koleje niemieckie są dziś w lepszym stanie, niż były w 1990 roku podczas przygotowań do operacji PUSTYNNNA TARCZA – poinformował obecnych przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów. – Potem będziemy musieli zmienić pociągi. Rosjanie mają inny rozstaw torów. Są szersze. To nawet dla nas lepiej. Szersze tory, szersze platformy kolejowe. Powinniśmy zdążyć przerzucić naszą Pierwszą Pancerną za Ural mniej więcej w ciągu siedmiu dni.

– Co jeszcze? – spytał Ryan.

– U mnie to chyba wszystko – odparł Moore.

– Brytyjczycy zapowiadają, że idą z nami – powiedział Adler. – Na nich możemy polegać. Gruszawoj rozmawiał z ich premierem. Ale my też powinniśmy zadzwonić do Londynu na Downing Street i dowiedzieć się, co z tej rozmowy wynikło.

– Zrób to, Scott. Ale najpierw przygotuj notę do Pekinu.

– Najwyższy czas – odparł Adler. Wstał i wyszedł.

– Mam nadzieję, że uda się nam przemówić im do rozsądku – powiedział Ryan. – Dałby Bóg... – Pochylił się nad wydrukami obserwacji radarowej.

– Ja też mam taką nadzieję – mruknął wiceprezydent Jackson. – Ale nie robiłbym zakładów.

Ryan rozmyślał nad tym, co mu powiedział Adler podczas lotu z Warszawy. Gdyby Ameryka nadal dysponowała raketami balistycznymi, sytuacja byłaby inna. Można by było Chińczyków poważnie nastraszyć. A Ryan aktywnie uczestniczył w ich wyeliminowaniu z arsenału. Czy to nie ironia losu, że teraz tego żałuje?

Nota została napisana i w niespełna dwie godziny wysłana do amerykańskiej ambasady w Pekinie. Pełniący chwilowo obowiązki szefa misji charge d'affaires był zawodowym dyplomatą. Nazywał się William Kilmer. Oficjalna nota dotarła do ambasady pocztą elektroniczną. Kilmer kazał sekretarce przepisać ją na czerpanym papierze, w formie wymaganej protokołem, i włożyć do koperty, także z czerpanego papieru. Następnie zadzwonił do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, żądając pilnego spotkania z ministrem Shen Tangiem. Jego żądanie zostało spełnione z zaskakującą gorliwością. Kilmer zabrał

kopertę z notą i poszedł do swego własnego Lincolna i bez kierowcy pojechał do MSZ.

Charge d'affaires miał około trzydziestu pięciu lat i był absolwentem koledżu Williama i Mary w Wirginii oraz Uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie. Był dyplomatą dopiero na progu kariery i

jego obecny status wyprzedzał właściwie to, na co mógł liczyć człowiek tak młody. Stało się tak dlatego, iż uznano, że ambasador Carl Hitch będzie wyjątkowo dobrym mentorem zdolnego urzędnika. Ambasador był teraz nieobecny i odpowiedzialna rola doręczyciela noty dyplomatycznej przypadła Kilmerowi. Właśnie ta misja pozwoliła mu sobie uświadomić, jak daleko zaszedł w tak krótkim czasie.

Odczuwał wielkie osamotnienie, idąc korytarzem do gabinetu ministra. Korytarz wydawał mu się nieskończenie długi, gdy kroczył nim w najlepszym z posiadanych garniturów i w lśniących czarnych półbutach. Budynek MSZ i jego wnętrze zostały tak zaprojektowane, aby uświadomić innym krajom, jaką potęgą jest Chińska Republika Ludowa. Właściwie wszystkie państwa starają się, by siedziby resortu spraw zagranicznych robiły wrażenie wystrojem wewnętrznym i zewnętrznym. W tym przypadku chiński architekt uczciwie zarobił pieniądze. Wreszcie Kilmer znalazł właściwe drzwi, i to wcześniej, niż w swoim pesymizmie zakładał. Otworzył je i wszedł do dużego sekretariatu. Któryś z młodych sekretarzy zaprosił go do saloniku tuż obok i zaoferował szklanek wody. Kilmer spokojnie czekał, wiedząc dobrze, że nie wpada się jak bomba do gabinetu jednego z najważniejszych ministrów potężnego państwa, ale oto jeszcze przed upływem niemal protokołarnych pięciu minut podwójne drzwi otworzyły się (w świecie dyplomatycznym na tym szczeblu zawsze dwuskrzydłowe) i poproszono go do środka.

Shen był tego dnia w typowej kurtce Mao, a nie jak zwykle w granatowym garniturze.

Wyszedł zza biurka i wyciągnął rękę do gościa.

– Miło mi pana ponownie wiedzieć, panie Kilmer – powiedział.

– Dziękuję za zgodę na moją niespodziewaną wizytę, panie ministrze – odparł Kilmer.

– Proszę usiąść. – Shen wskazał niemal obowiązkowy w gabinetach dostojników niski stolik, za nim kanapkę i parę foteli. Gdy obaj już siedzieli, zapytał: – Czym dziś mogę panu służyć?

– Panie ministrze, otrzymałam polecenie osobiście wręczyć panu notę od mojego rządu. –

Kilmer wyjął z kieszeni marynarki kopertę i podał Shenowi.

Koperta nie była zaklejona. Shen wyjął dwa złożone arkusiki pięknego papieru, rozłożył

je i rozsiadł się wygodnie w fotelu, by przeczytać. Gdy skończył, w milczeniu spojrzał na Kilmera. Wyraz jego twarzy nic się nie zmienił.

– Nota wyraża bardzo osobliwe stanowisko, panie Kilmer – powiedział po kilku sekundach.

– Panie ministrze, mój rząd bardzo się niepokoi ostatnimi przemieszczeniami jednostek chińskiej armii.

– Poprzednia nota waszego rządu, dostarczona mi za pośrednictwem waszej ambasady, była

przykładem uwłaczającego nam mieszania się w nasze sprawy wewnętrzne. Obecnie grozicie nam wojną.

– Ameryka nikomu nie grozi, sir. Po prostu uświadamiamy każdemu, że teraz, skoro Federacja Rosyjska należy do NATO, każdy, kto wystąpi zbrojnie przeciwko Rosji, musi wiedzieć, iż pociągnie to za sobą wypełnienie przez Amerykę jej zobowiązań wynikających z podpisanego traktatu.

– I ponadto grozicie wyższym funkcjonariuszom naszego rządu, że jeśli coś złego przytrafi się waszym obywatelom w Chinach, to członkowie rządu poniosą konsekwencje. Za kogo wy nas bierzecie, panie Kilmer? – zapytał bardzo spokojnie Shen.

– Panie ministrze, my tylko zwracamy uwagę, że skoro Ameryka rozciąga opiekę prawną nad wszystkimi obcymi obywatelami odwiedzającymi nasz kraj, to spodziewa się tego samego ze strony ChRL. Na zasadzie wzajemności.

– Niby dlaczego mielibyśmy traktować amerykańskich obywateli inaczej, niż traktujemy własnych?

– Panie ministrze, my tylko prosimy o potwierdzenie zasady wzajemności.

– Dlaczego miałyby przestać działać ta zasada? Czy pan oskarża nas też o spiskowanie przeciwko naszemu sąsiadowi?

– Ostatnie wojskowe posunięcia ChRL wymagają wyjaśnień.

– Rozumiem... – Shen złożył obie kartki i położył je na stoliku. – Kiedy chcecie otrzymać odpowiedź?

– Kiedy tylko uzna pan to za stosowne, panie ministrze.

– Dobrze. Przedyskutuję sprawę z moimi kolegami w Biurze Politycznym i odpowiemy wam jak można najszybciej.

– Natychmiast przekażę tę dobrą wiadomość do Waszyngtonu. I nie będę zajmował panu więcej czasu, panie ministrze. Dziękuję bardzo za poświęcenie mi cennych minut. – Kilmer wstał i po raz drugi uściśnął dłoń ministra. Opuścił gabinet i poszedł prosto przed siebie, nie patrząc ani na lewo, ani na prawo. Minął salonik i sekretariat, korytarzem poszedł w lewo do wind. Korytarz ponownie wydał mu się nieskończenie długi. Odgłos jego kroków brzmiał

niemile w uszach, donośniej niż zwykle. Kilmer był na tyle długo w służbie dyplomatycznej, by wiedzieć, że reakcja Shena powinna być ostrzejsza. Tymczasem przyjął notę jak zaproszenie na nieoficjalną kolację w ambasadzie. Dziwne. To musiało coś znaczyć, ale co?

Prowadząc samochód, zaczął w głowie układać treść pisemnej informacji do Waszyngtonu, ale szybko doszedł do wniosku, że jego spotkanie z Shenem było czymś, co należy przekazać najpierw telefonicznie przez aparat STU.

– Naprawdę jest taki dobry, Carl? – spytał Adler ambasadora Hitcha, siedzącego w gabinecie sekretarza stanu.

– Bardzo zdolny chłopak. Fotograficzna pamięć. Talent, jakiego nie posiadałem, a szkoda.

Może otrzymał awans ciut za wcześnie, ale ma świetnie funkcjonujące szare komórki. Brak mu jedynie doświadczenia. Za jakieś trzy lata może być gotów do objęcia samodzielnej placówki. – Najprawdopodobniej ambasady w Lesotho. No cóż, każdy musi gdzieś zaczynać, pomyślał Adler.

– Jak według ciebie zareaguje Shen?

– To zależy. Jeśli Chińczycy przeprowadzają manewry w ramach zwykłego szkolenia, to może się nieco rozzłościć. Jeśli naprawdę szykują się do agresji, a myśmy złapali ich za rękę, to będzie udawał zdziwionego i urażonego. Jednakże najważniejsze jest pytanie, czy nota każe im się poważnie zastanowić, czy warto ryzykować.

– A co ty sądzisz? Przecież ich dobrze znasz.

– Pojęcia nie mam – przyznał niechętnie Hitch. – Scott, jestem tam już spory kawał

czasu, to prawda, ale muszę przyznać, że jeszcze ich w pełni nie rozgryzłem. Oni podejmują decyzje na podstawie przesłanek politycznych, których istoty my, Amerykanie, nie potrafimy w pełni zrozumieć.

– Prezydent Ryan nazwał ich kiedyś Klingonami – powiedział Adler.

– Tak daleko bym się nie posunął. – Hitch uśmiechnął się. – Ale coś w tym jest.

Zabrzączał interkom na biurku Adlera.

– William Kilmer z Pekinu na STU – zawiadomiła sekretarka. Sekretarz stanu podniósł słuchawkę aparatu.

– Mówi Scott Adler. Jest tu ze mną ambasador Hitch. Daje cię na głośnik.

– Sir, doręczyłem notę. Minister Shen nawet nie mrugnął powieką. Powiedział, że wkrótce się ze mną skomunikuje, ale nie określił dokładnie kiedy. Ma przedtem porozmawiać z kolegami w Politbiurze. Oprócz tego nie okazał żadnych emocji. Za pół godziny mogę przefaksować zapis mojej rozmowy z nim. Spotkanie trwało niespełna pięć minut.

Adler spojrzał na Hitcha, który kiwał głową. Nie wydawał się uradowany wiadomością.

– Powiedz mi, Bill, o jego zachowaniu. Co z niego wynika? – zapytał ambasador swego zastępcę.

– Zachowywał się tak, jakby zażył sporą dawkę środków uspokajających. Prawie żadnej fizycznej reakcji.

– A jest przecież człowiekiem nadpobudliwym – odparł Hitch. – Czasami nie potrafi usiedzieć spokojnie dziesięciu sekund. Twoje wnioski, Bill?

– Jestem głęboko zaniepokojony – odparł natychmiast Kilmer. – Myślę, że kroi się tu nam bardzo poważny problem.

– Dziękuję panu, panie Kilmer – powiedział sekretarz stanu. – Niech pan jak najszybciej przyśle raport. – Adler wyłączył STU i spojrzał na swojego gościa. – Niech to jasna cholera!

– Dziękuję ci, Scott – powiedział Ryan i odwiesił słuchawkę. Był teraz w Gabinetcie Owalnym i siedział w specjalnie dopasowanym dla siebie obrotowym fotelu. Jednak teraz siedzenie w nim nie sprawiało mu większej przyjemności.

– A więc?

– A więc poczekamy na to, co SORGE nam powie, jeśli się odezwie.

– SORGE? – spytał Weaver.

– Mamy bardzo dobre źródło informacji, które czasami dostarcza nam wiadomości o tym, co zamierza zrobić ich Biuro Polityczne – wyjaśnił Ed Foley profesorowi.

– Rozumiem. Więcej nie chcę wiedzieć. – Profesor Weaver znał zasady gry. – To ten SORGE dostarczył wam materiał, który mi pokazywaliście?

– Tak. I informacje, o których mowa, nie wychodzą poza ten gabinet.

– To musi być doskonałe źródło – stwierdził Weaver. – Czytałem ten materiał, jakbym czytał stenogram ich obrad. Cholernie dobrze poinformowane źródło. Ten wasz SORGE

wychwytuje dokładnie charaktery tych ludzi, ich osobowość. Na przykład Zhanga, najprzebieglejszego gracza w całej ekipie. Owinał sobie wokół palca premiera Xu.

– Adler poznał go podczas rozmów po zestrzeleniu Airbusa nad Tajpej – powiedział Ryan.

– No i jakie wyciągnął wnioski? – spytał Weaver.

– Bardzo wpływowy i bardzo nieprzyjemny facet – odparł prezydent. – Odegrał

zakulisową rolę podczas naszego konfliktu z Japonią, a później w czasie awantury ze Zjednoczoną Republiką Islamską w ubiegłym roku.

– Machiavelli?

– Coś w tym stylu. Jest bardziej teoretykiem niż pierwszoplanowym aktorem. Bardziej szarą eminencją. Czy nazwałbyś go patriotą, Ed? – spytał Ryan dyrektora CIA.

– Opracowaliśmy jego profil psychologiczny. – Foley wzruszył ramionami. – Po części socjopata, po części polityczny kombinator. Facet, który uwielbia rządzić, kocha władzę. Nie dogrzebaliśmy się żadnych słabości. Seksualnie aktywny. Wielu z członków Biura Politycznego to ludzie o dużych seksualnych apetytach. Może to jest ich jakaś kulturowa cecha, co, panie doktorze?

– Mao też był taki – przyznał Weaver. – Chińscy cesarze mieli całe zastępy konkubin.

– Pewno wszyscy ludzie byli tacy przed pojawieniem się telewizji – zażartował Arnie van Damm.

– Ja chyba jestem zbyt katolicki – stwierdził Ryan. – Na myśl o panu Mao wykorzystującym nieletnie dziewczęta jeży mi się włos na głowie.

– Te dziewczęta były zachwycone – zauważył Weaver. – Niektóre przyprowadzały do Mao swoje młodsze siostry, już po własnym seansie łóżkowym z Wielkim Przywódcą.

Chińczycy żyją w innej kulturze i kierują się innymi zasadami niż my.

– Tak, nieco innymi – zauważył Ryan, ojciec dwóch córek, z których jedna właśnie zaczęła umawiać się na randki. A co w Chinach myśleli ojcowie nieletnich córek? Czy czuli się zaszczyceni, że pozbawiał je dziewictwa sam wielki Mao? – Na tę myśl Ryana przeszył

dreszcz. – Panie doktorze, proszę o wnioski. Co zadecyduje Biuro Polityczne?

– Żeby iść dalej drogą, którą obrali – natychmiast odparł Weaver. Zdziwiła go reakcja prezydenta.

– Jasna cholera! – parsknął Ryan. – Czy nie ma już nikogo, kto wierzy, że zdrowy rozsądek musi wreszcie zwyciężyć? – Rozejrzał się dokoła i zobaczył pochylone głowy.

Wszyscy zaczęli nagle interesować się deseniem niebieskiego dywanu.

– Panie prezydencie – odezwał się spokojnym głosem Weaver. – Oni mniej boją się wojny niż alternatywy. Powtarzam: jeśli szybko nie wzbogacą kraju dzięki złożom ropy i kopalni złota, to grozi im ekonomiczna klęska, która może zniszczyć cały system polityczny.

A to przeraża ich bardziej, niż perspektywa utraty stu tysięcy żołnierzy podczas podbijania Syberii.

– Więc, żeby ich powstrzymać, trzeba zrzucić im na stolicę bombę atomową, która zabije już nie sto

tysięcy, ale dwa miliony. Niech to szlag – zaklął jeszcze raz Ryan.

– To nie byłyby dwa miliony, ale raczej pięć – wtrącił generał Moore. – Może nawet dziesięć. – Swoimi słowami zarobił na rozwścieżone spojrzenie Naczelnego Dowódcy Sił

Zbrojnych. – Tak jest, szefie, to byłoby skuteczne, ale cena jest zbyt wysoka – zakończył.

– Robby? – zwrócił się Ryan do wiceprezydenta Jacksona. Miał nadzieję, że usłyszy coś bardziej optymistycznego.

– Co ci mam powiedzieć, Jack? Mam nadzieję, że Chińczycy dojdą do wniosku, iż będzie ich to kosztowało więcej, niż założyli. Tak naprawdę sam w to nie wierzę.

– Czekają nas jeszcze jedno – wtrącił Arnie van Damm. – Powinniśmy odpowiednio przygotować nasze społeczeństwo. Jutro musisz, Jack, stanąć przed kamerami telewizyjnymi i wytłumaczyć wszystkim, co się stało i dlaczego.

– Wiecie co, moi drodzy? Bardzo mi się ta moja praca nie podoba – mruknął Ryan. –

Wiem, wiem, że zachowuję się dziecinnie, ale chwilami...

– Urząd prezydenta to nie zabawa, Jack – zauważył Arnie van Damm. – Do tej chwili spisywałeś się dzielnie, ale nie możesz stać za plecami przeciwników i podpowiadać im, jak mają grać. To, co się stało, co się dzieje i jeszcze może się stać, to nie twoja wina.

Zadzwonił prezydencki telefon i Ryan podniósł słuchawkę.

– Tak? Słucham? – Spojrzał na Foleya. – Do ciebie, Ed. – Oddał słuchawkę.

– Mówi Foley... Dobrze, doskonale! Dziękuję. – Odłożył słuchawkę. – Niebo się przejaśnia nad północno-wschodnimi Chinami. Pierwsze zdjęcia satelitarne będą za pół godziny.

– Powiedz mi, Mickey, jak szybko możemy wysłać na Syberię nowoczesne środki rozpoznania powietrznego? – spytał Jackson generała Moore'a.

– Musimy załadować je do C-17 i dostarczyć na syberyjskie lotnisko. Możemy to zrobić...

w trzydzieści sześć godzin od chwili otrzymania rozkazu.

– Właśnie ci go wydałem – oświadczył Ryan. – Co to za sprzęt?

– Bezzałogowe pojazdy latające Dark Star. Są prawie niewidoczne na tle nieba i długo mogą utrzymywać się w powietrzu. Startują i lądują jak normalne samoloty, tyle że są zdalnie kierowane.

Przekazują na bieżąco obraz terenu. Są nieocenionym sprzętem powietrznego rozpoznania nad obszarem operacyjnym. To najnowsza zabawka Sił Powietrznych.

Poszczególne maszyny noszą imiona gwiazd filmowych. – Moore opowiadał to wszystko z wielkim entuzjazmem. – Chłopcy z Armii nie będą już potrzebowali jednostek zwiadowczych... Mogę natychmiast wszystko puścić w ruch.

– Zrób to – rozkazał Ryan.

– Jest jeden problem. Musimy mieć gdzie wylądować. Jeśli Rosjanie nie zapewnią warunków, to ostatecznie możemy też operować z bazy Elmendorf na Alasce. – Moore podniósł słuchawkę i połączył się z Pentagonem.

Dla generała Penga zaczęły się bardzo pracowite dni. Na nagłówku rozkazu operacyjnego, jaki otrzymał, widniały ideogramy *Long Chun*, czyli WIOSENNY SMOK. Ten smok wydał

mu się bardzo podejrzany, ponieważ od tysięcy lat był symbolem władzy cesarskiej, a także pomyślności.

Generał miał pewne wątpliwości. Był wyższym oficerem, który otrzymał rozkaz rozpoczęcia wojny. Wolałby mieć więcej artylerii i wsparcia lotniczego. W chwili obecnej zapoznawał się z ocenami wywiadu i analizował mapy. Przez całe lata studiował rosyjskie umocnienia w pasie przygranicznym, a od czasu do czasu wysyłał na drugą stronę rzeki zwiadowców, by powęszyli wokół bunkrów, które od pięćdziesięciu lat strzegły południowej granicy Związku Radzieckiego, a obecnie Federacji Rosyjskiej. Rosjanie umieli budować umocnienia, mieli świetnych saperów i ich dzieło nawet teraz stanowiło poważną przeszkodę.

Plan natarcia był prosty. Najpierw artyleryjska nawała ogniowa, a pod jej osłoną desant piechoty na drugi brzeg Amuru. Jednostki przewiezione łodziami desantowymi powinny sobie poradzić z unieszkodliwieniem pierwszej linii obrony. Tuż za desantem mieli podążyć saperzy, przerzucając przez rzekę wiele mostów pontonowych, którymi natychmiast miały przejechać jednostki pancerne, by jak najszybciej osiągnąć podnóże pasma wzgórz, a po przeformowaniu się ruszyć na północ. Peng miał do dyspozycji śmigłowce, choć niedostateczną liczbę szturmowych, by sprostać ewentualnym zagrożeniom, jedyną rzeczą, której Peng bardzo się obawiał, były rosyjskie helikoptery szturmowe Mi-24. W zasadzie wolne i nieporęczne, okazywały się niebezpieczne przy mądrym ich wykorzystaniu.

Najlepsze informacje wywiadowcze Peng znalazł w przesłanych mu wyciągach z raportów obywateli chińskich żyjących nielegalnie, ale dostatnio w Rosji. Byli to kupcy, robotnicy, a zarazem agenci Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego. Chętnie widziałby więcej fotografii uzupełniających raporty, ale Chiny miały tylko jednego satelitę szpiegowskiego i to z fatalną aparaturą do robienia zdjęć. Zdjęcia, jakie udało się kupić od francuskiej firmy SPOT produkującej i wysyłającej na orbitę satelity komercyjne, były znacznie lepsze od tego, co dostarczał mu własny wywiad. Zdjęcia łatwo było kupić i otrzymać przez Internet, dlatego też koordynator wywiadu w sztabie Penga otrzymał

nieograniczone fundusze na ich zakup. Ze zdjęć, jakie ostatnio widział, wynikało, że najbliższa rosyjska jednostka zmechanizowana znajduje się w odległości około stu kilometrów na północ od granicy. To by potwierdzało raporty chińskich agentów, że w zasięgu artylerii, która miała utorować drogę desantom, znajdowały się tylko słabe jednostki.

Aż dziw brał, że Rosjanie nie skoncentrowali na granicy większych sił, ale być może nie mogli, ze względu na niedobory kadrowe. Peng otrzymał także informację, że generał

Bondarienko szkolił swych podwładnych intensywniej i skuteczniej niż jego poprzednik, ale to nie miało w tym przypadku większego znaczenia i nie budziło niepokoju. Chińczycy szkolili się od wielu lat i Iwanowi potrzeba będzie długiego czasu, by im dorównać.

Jedyny problem stanowiła głębokość planowanej operacji. Odległość do przebycia, przestrzeń do opanowania, jego armię i armię przeciwnika czekała długa droga.

Peng zdusił niedopałek, sześćdziesiątego papierosa wypalonego tego dnia i podniósł wzrok na swego oficera operacyjnego, który właśnie wszedł.

– Co nowego?

– Rozpoczynamy atak za trzy dni o trzeciej trzydzieści rano.

– Do tego czasu wszystko będzie zapięte na ostatni guzik?

– Tak jest, towarzyszu generale. I to na dwadzieścia cztery godziny przedtem.

– Świetnie. Proszę dopilnować, by wszyscy żołnierze byli dobrze nakarmieni. Przez następne parę tygodni nie będą mogli liczyć na regularne posiłki.

– Już wydałem odpowiednie rozkazy, towarzyszu generale – zameldował pułkownik.

– Od tej chwili całkowita cisza radiowa.

– Oczywiście, towarzyszu generale.

– Najmniejszego szeptu – powiedział ze zdziwieniem sierżant. – Nawet nie słyhać fali nośnej.

RC-135 był pierwszą maszyną amerykańskich Sił Powietrznych, która wystartowała w kierunku Syberii z bazy na wyspie Guam. Zatankowała w powietrzu nad Morzem Ochockim i weszła w rosyjską przestrzeń powietrzną nad portowym miastem Ajan. Teraz, po dwóch godzinach, znajdowała się na wschód od Skorowodino po rosyjskiej stronie granicy. RC-135

River Joint był zmodyfikowaną bezokienną wersją Boeinga 707, wyładowaną sprzętem

nasłuchowym, obsługiwanym przez doświadczonych techników. Stanowili oni jeden z dwóch zespołów Sił Powietrznych, którego członkowie mówili jako tako po chińsku.

– Sierzancie, co to znaczy, jeśli w terenie jest dużo żołnierzy, którzy nie rozmawiają przez radio? – spytał pułkownik dowodzący lotem. Pytanie było, oczywiście, teoretyczne.

– To jest tak samo, sir, jak kiedy pana dwulatek siedzi cichutko w swoim pokoju. Albo maże ołówkiem po ścianie, albo coś podobnego, żeby zarobić na klapsa. – Sierżant oparł się o wezglowie lotniczego fotela i dalej obserwował skanery przeczesujące chińskie częstotliwości wojskowe. Ale ekrany skanerów pozostawały puste, z wyjątkiem przytłumionych pasemek szumu w eterze. Może Chińczycy gwarzyli sobie, kiedy zajmowali stanowiska wyjściowe, ale teraz panowała zupełna cisza z wyjątkiem korespondencji na falach ultrakrótkich. Były to naziemne stacje radiowe, nadające przeważnie muzykę tak obcą dla ucha amerykańskiej załogi, jak muzyka country byłaby dla mieszkańców Pekinu. Dwaj członkowie załogi, prowadzący nasłuch cywilnych stacji radiowych, doszli po kilku godzinach do wniosku, że słowa miłosnych ballad chińskich były równie idiotyczne, jak teksty ich odpowiedników w Nashville. Tyle że ballad było mniej, a bardzo dużo pieśni patriotycznych.

Dokładnie to samo zaobserwowali analitycy w Fort Meade w stanie Maryland. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego miała cały zastęp satelitów szpiegowskich okrążających świat.

Między nimi znajdowały się dwa olbrzymie Rhyolite na orbitach geostacjonarnych nad równikiem. Wszystkie były obecnie dostrojone do chińskich łącz wojskowych i rządowych.

Rozmowy na wojskowych częstotliwościach FM całkowicie zamarły w ciągu minionych dwunastu godzin. Dla cywilnych i wojskowych analityków oznaczało to tylko jedno: milcząca armia to armia, która do czegoś się szykuje.

Personel Narodowego Biura Rozpoznania miał obecnie zadanie przygotowania specjalnego zestawu zdjęć, mogących służyć do sporządzenia oceny sytuacji, ponieważ ludzie wierzą bardziej fotografiom niż słowom. Komputer zestawiał zdjęcia z danymi z satelitów dozoru radarowego i okazało się – czemu nikt się nie dziwił – że poprzednio wypełniony ludźmi i sprzętem teren koncentracji potężnej armii jest obecnie pusty. Bez wątplenia jednostki przemieściły się na północ, jak wynikało z widocznych na zdjęciach głębokich kolein na drogach. Gdy jednostki znalazły się na pozycjach wyjściowych, natychmiast osłonięto pojazdy siatkami maskującymi, ale było to właściwie niepotrzebne, bo równie trudno jest ukryć setki pojazdów gaśnicowych jak pasmo górskie. Ponadto nie uczyniono najmniejszego wysiłku, by zamaskować setki ciężarówek, które nadal jechały na północ niewielkimi zwartymi kolumnami z prędkością około trzydziestu kilometrów na godzinę, zmierzając ku punktom zbornym na zapleczu sił głównych. Zdjęcia zostały przeniesione z ekranów na papier przez sześć wielkich drukarek specjalnie skonstruowanych dla Biura Rozpoznania i zawiezione przez sierżanta Sił Powietrznych do Białego Domu. Cywil, który z nim przyjechał, pozostał, natomiast sierżant wrócił do służbowego samochodu, dyskretnie pozostawiwszy na biurku

prezydenta jednego papierosa.

– Jesteś niemożliwy, Jack – skarcił Ryana wiceprezydent Jackson. – Wycyganasz papierosy od młodego niewinnego chłopaka...

– Cicho, Robby! – odparł z szelmowskim uśmiechem prezydent. – Sierżant był

zaszczycony, że go o to poprosiłem. – Ryan po papierosach kaszlał, ale nikotyna pomagała mu przetrwać te długie nocne godziny, podobnie jak kawa, której pił olbrzymie ilości. – Ty dbaj o swoje stresy, a moje zostaw mnie. Dobrze, co my tutaj mamy? – zapytał starszego analityka.

– Sir, tutaj mamy więcej czołgów, niż kiedykolwiek widziałem w całych Chinach. Moim zdaniem mszą się za góra trzy dni.

– A lotnictwo? – spytał Jackson.

– Tu. – Analityk palcem zakreślił kółko na jednej z fotografii. – Dobrym przykładem może być baza myśliwców w Jinad. Jeden dywizjon Su-27 oraz pułk J-7. Suchoj to dobry myśliwiec, podobny do wczesnej wersji naszych F-18. Ma te same parametry i może wykonywać takie same zadania. J-7 to dzienne myśliwce, pochodne MiG-a-21. Sześćdziesiąt cztery maszyny. Co najmniej cztery były w powietrzu, kiedy nasz satelita przelatywał nad bazą. Proszę zwrócić uwagę na cysterny. Kręci się przy nich obsługa. Wydaje nam się, że ta baza przed pięcioma dniami otrzymała rozkaz osiągnięcia stanu pełnej gotowości.

– Hmm, szykują się już od pięciu dni – mruknął Jackson. – I wygląda na to, że są gotowi.

– Tak jest, sir. Są prawie gotowi. Proszę spojrzeć na skrzydła maszyn. Wystają spod nich nosy rakiet pomalowane na białą.

– Czyli bojowe, nie ćwiczebne – zauważył Robby.

– Może nasza nota ostudzi ich zapał? – odezwał się Ryan z cieniem nadziei w głosie.

Prezydent po raz ostatni zaciągnął się papierosem i zdusił niedopałek. – Czy coś by to pomogło, gdybym osobiście zadzwonił do premiera Xu?

– Chce pan uczciwej odpowiedzi, panie prezydencie? – odezwał się zmęczonym głosem profesor Weaver. O czwartej rano po nieprzespanej nocy był w marnej formie.

– Inna nie przyniesie mi w tej chwili żadnego pożytku – odparł nieco sucho Ryan.

– Pańska ewentualna rozmowa będzie wyglądała pięknie w prasie i być może w historycznych opracowaniach naukowych, ale w najmniejszym stopniu nie wpłynie na ich proces podejmowania decyzji.

- Ale warto spróbować – przeciwstawił się opinii Weavera Foley. – Nic na tym nie stracimy.
 - Poczekaj do ósmej, Jack – zaproponował van Damm. – Nie byłoby dobrze, gdyby Xu zorientował się, że przesiedzieliśmy tu całą noc.
- Ryan spojrział na okna południowej ściany gabinetu. Zastłony nie były zaciągnięte i przypadkowi przechodnie mogli widzieć z bardzo daleka, że światła paliły się przez całą noc.
- A może one zawsze się palą? – pomyślał. Może Tajni Służba celowo ich nigdy nie gasi?
- Kiedy zaczniemy wysyłać nasze jednostki? – padło kolejne pytanie prezydenta.
 - Attaché lotniczy w Moskwie ma zadzwonić zaraz po skończeniu tury rozmów.
 - U nich noc jest dłuższa niż u nas – zauważył Ryan. – Nasz pułkownik pewno pada już na pysk.
 - Właśnie, dopiero pułkownik, więc jest dużo od nas młodszy – odezwał się Moore. –

Wytrzyma.

- Jeśli się zacznie, to jakie właściwie mamy plany? – zapytał van Damm.
- To będzie wojna nowej generacji. Szybka i bezwzględna – stwierdził Moore. – Świat jeszcze nie wie o nowych broniach, jakie udało nam się przetestować. W porównaniu z nimi wojna w Zatoce wyda się filmem puszczonej w zwolnionym tempie.

Rozdział 48

Pierwsze strzały

Podczas kiedy jedni narzekali na nocne czuwanie, Giennadij Josifowicz Bondarienko w ogóle zapomniał, co to sen. Jego faks był gorący od ilości przekazywanych z Moskwy instrukcji. Czytanie ich zajmowało mu masę czasu i nie zawsze treść sprawiała satysfakcję. W

Rosji nie nauczono się jeszcze dawania spokoju ludziom, którzy otrzymali odpowiedzialną robotę i starają się ją wykonać. W rezultacie szef łączności sztabu Bondarienki miał policzki czerwone ze złości, kiedy przyszedł z kolejną depeszą opatrzoną nagłówkiem PILNA.

- Słuchajcie, pułkowniku, potrzebne mi są informacje na temat ich wyposażenia, gdzie w tej chwili są i jakie zajęli pozycje wyjściowe. Ich cele strategiczne są w tej chwili dla mnie mniej istotne niż miejsca koncentracji.
- Spodziewam się tych konkretów lada chwila. Moskwa mi to obiecała. Będą to informacje z amerykańskich satelitów i...

– Niech to wszyscy diabli! Przypominam sobie czasy, kiedy mieliśmy własne satelity. A co z rozpoznaniem lotniczym?

– Amerykanie wysłali już samoloty zwiadowcze. Jutro od południa będą mogły podjąć misję dozoru powietrznego. Ale czy możemy wysłać je nad terytorium Chin? – spytał

pułkownik Tołkunow.

– A czy możemy tego nie zrobić? – odpowiedział pytaniem Bondarienko.

– Towarzyszu generale, wiąże się z tym poważny problem. Jeśli to zrobimy, dostarczymy Chińczykom wygodnego pretekstu. Od razu wykrzykną „agresja” i zaatakują.

– Kto to wymyślił?

– Moskwa.

Głowa Bondarienki opadła na leżące na stole mapy. Wziął głęboki oddech i na kilka cudownych kojących sekund zamknął oczy. Natychmiast zaczął marzyć o godzinie snu.

– Pretekst – powiedział wreszcie. – Wiecie, co wam powiem, Władimirze Konstantinowiczu? W 1941 roku Niemcy wysyłali samoloty zwiadowcze nad Białoruś.

Zapoznawali się z dyslokacją wojsk jeszcze przed napaścią na nas. Mieliśmy specjalną eskadrę, która była zdolna działać na ich pułapie i dowódca pułku lotniczego prosił o zezwolenie zajęcia się nimi. Natychmiast został odwołany ze stanowiska. Miał szczęście, że nie został rozstrzelany. Potem, nim Niemcy go zestrzelili, został asem i bohaterem Związku Radzieckiego. Bo widzisz, Stalin także bał się sprowokować Niemców.

– Towarzyszu pułkowniku.

Bondarienko i Tołkunow obrócili głowy. Na progu stał młodziutki podoficer z naręczem fotografii dużego formatu.

– Dawaj! – zawołał Tołkunow.

Chłopak pozbył się ciężaru, kładąc stos na mapach topograficznych, które od czterech godzin zajmowały cały stół. Generał i jego szef wywiadu zaczęli przeglądać fotografie. Ich jakość nie była najlepsza. Nie były to odbitki fotograficzne z drukarek o dobrej rozdzielczości, ale kopie, które w obecnej sytuacji musiały wystarczyć. Szef wywiadu pierwszy się zorientował, co ma przed oczami.

– Nadchodzą! – Tołkunow ciężko odetchnął. Sprawdził współrzędne i czas wypisany w dolnym prawy rogu pierwszej fotografii. – To jest pełna dywizja pancerna i znajduje się tu... –

Odszukał miejsce na mapie i wskazał palcem. – Jest dokładnie tam, gdzie tego oczekiwaliśmy. Koncentracja w pobliżu Harbinu. Nic dziwnego. Tam się zbiegają ich wszystkie linie kolejowe. Pierwszym celem będzie Biełogorsk.

Nie trzeba było być laureatem Nobla, by przewidzieć kierunek natarcia Chińczyków.

Bondarienko zupełnie dobrze potrafił odgadnąć myśli chińskiego dowódcy, choćby dlatego, że każdy odpowiednio wyszkolony żołnierz studiując mapę, dostrzeże układ i charakter terenu i wyciągnie właściwe wnioski. Teren płaski jest lepszy niż pagórki. Teren otwarty lepszy od zalesionego. Podłoże suche lepsze od mokradeł. W pasie przygranicznym teren był

pagórkowaty, ale kilka szerokich dolin pozwalało na szybkie posuwanie się kolumn zmechanizowanych. Głębiej teren był już płaski. Gdyby miało się dużo wojska, to można by każdą z dolin, jakie przeciwnik musi wykorzystać, zamienić w śmiertelną pułapkę. No tak, gdybym miał dość wojska, pomyślał Bondarienko, to Chińczycy by mi teraz nie zagrażali.

Niestety, kształt świata się zmienił na niekorzyść dowódcy Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego.

265. Dywizja Piechoty Zmotoryzowanej znajdowała się o sto kilometrów na północ od granicy. Żołnierze przechodzili intensywne, a właściwie gorączkowe szkolenie w strzelaniu, ponieważ to była w tej chwili bardzo opłacalna inwestycja. Oficerowie znajdowali się na swoich stanowiskach dowodzenia i odbywali ćwiczenia operacyjne na mapach, ponieważ od oficerów Bondarienko wymagał myślenia, a nie strzelania. Do nauki strzelania miał

sierżantów. Dobrą nowiną była wiadomość, że czołgistom bardzo podoba się strzelanie amunicją bojową i że mają coraz lepsze wyniki. Złą nowiną było to, że na każdą wyszkoloną załogę czołgu rosyjskiego Chińczycy ściągnęli pod granicę dwadzieścia załóg z dwudziestoma czołgami.

– To znaczy, że wiedzą, co robimy – powiedział Qian Kun. – Niedobrze.

– Co z tego, że ofiara wie, co zamierza napastnik, skoro napastnik ma pistolet, a ofiara nie? – zapytał w odpowiedzi Zhang Han San. – Co sądzicie, towarzyszu marszałku?

– Trudno jest ukryć tak wielkie ruchy wojsk – odparł marszałek Luo. – Bardzo trudno jest uzyskać taktyczne zaskoczenie. Ale za to dysponujemy zaskoczeniem strategicznym.

– To prawda – pośpieszył ze wsparciem Tan Deshi. Członkowie Biura Politycznego pilnie słuchali. – Rosjanie postawili w stan gotowości niektóre swoje jednostki, ale wszystkie są na zachodzie, o wiele dni drogi, i wszystkie będą musiały korzystać z jednej jedynej linii kolejowej, a nasze lotnictwo może tę drogę zamknąć. Prawda, Luo?

– Z łatwością – odparł minister obrony.

– No, a co z Amerykanami? – zapytał Fang Gan. – W tej nocy, którą właśnie otrzymaliśmy, napisali, że uważają Rosjan za sojuszników. Ileż to razy różni ludzie nie doceniali Amerykanów? Powiedz, Zhang. Ty sam popełniłeś w przeszłości ten błąd.

– Są obiektywne uwarunkowania, które mają zastosowanie nawet w wypadku Amerykanów – zapewnił zgromadzonych Luo.

– A za trzy lata będziemy im sprzedawali ropę i złoto – zapewnił z kolei Zhang. –

Amerykanie nie mają politycznej pamięci. Zawsze się dopasowują do zmieniającego się kształtu świata. W 1949 roku wykombinowali Traktat Północnoatlantycki, do którego przystąpili ich najwięksi wrogowie, Niemcy. Patrzcie, co zrobili z Japonią po zrzuceniu na nią dwóch bomb atomowych. Należy rozpatrzeć tylko jeden aspekt: chociaż niewielu Amerykanów znajdzie się na terenie objętym walkami, będą ryzykowali życiem tak jak wszyscy inni. Powinniśmy traktować amerykańskich jeńców i cywilów w specjalny sposób, bardzo łagodnie. Oni są niesłychanie czuli na tym punkcie. I powinniśmy też w rękawiczkach traktować rosyjską ludność.

– Towarzysze...! – zaczął Fang, mobilizując odwagę na ostatnią prezentację swoich poglądów. – Nadal mamy szansę na zatrzymanie całej maszyny. Marszałek Luo sam nam to powiedział przed paroma dniami. Póki nie padł pierwszy strzał, możemy się jeszcze wycofać.

Możemy potem powiedzieć, że to były wielkie manewry. Świat przyjmie takie wyjaśnienie z powodów, jakie towarzysz Zhang przed chwilą nam przedstawił. Ale raz rozpoczynając ofensywę, wypuścimy tygrysa z klatki. Rosjanie zawsze z determinacją bronią tego, co do nich należy. Przypomnijcie sobie, jak Hitler nie docenił Rosjan. Jak Iran niedawno, w zeszłym roku, nie docenił Amerykanów i jakie poniósł konsekwencje. Karą była też śmierć ich przywódcy. Czy jesteśmy absolutnie pewni, że przedsięwzięcie nam się uda? – zapytał. –

Absolutnie pewni? Nie wolno nam zapominać o narodzie.

– Fang, drogi towarzyszu, jak zwykle mówiłeś mądrze i wykazałeś wielką troskę o naród

– zaczął Zhang. – I wiem, że mówisz w imieniu narodu, w imieniu naszych obywateli, ale podobnie jak nie wolno nam nie doceniać przeciwnika, nie wolno nam nie doceniać nas samych. Już raz zmagaliśmy się z Amerykanami i ponieśli największą klęskę, jaką zna ich historia.

– Tak, owszem, zaskoczyliśmy ich, ale w ostatecznym rozrachunku straciliśmy milion ludzi. Zginął wówczas syn Mao. A dlaczego tak się stało? Bo w Korei przeceniliśmy własne możliwości.

– Tym razem nie przeceniamy! – zapewnił wszystkich marszałek Luo. – Nie tym razem.

Sprawimy Rosjanom takie samo lanie, jakie sprawiliśmy Amerykanom nad Jalu. Uderzymy zniecka i z olbrzymią siłą. Przebijemy się tam, gdzie oni są słabi. Tam, gdzie będą silni, otoczmy ich i odetniemy. W roku 1950 mieliśmy chłopską armię z lekkim uzbrojeniem.

Dziś... – Luo zawiesił głos. – Dziś mamy nowoczesną armię. Możemy robić rzeczy, o których wtedy Amerykanom nawet się nie śniło. Odniesiemy sukces! – zakończył z pełnym przekonaniem minister obrony.

– Czy możemy zakończyć dyskusję, towarzysze? – zapytał Zhang. – Czy też chcemy się kłócić i zagrozić politycznej oraz ekonomicznej przyszłości naszego państwa? Bo przecież o tę przyszłość

właśnie chodzi. Jeśli pozostaniemy w miejscu, odkładając karabiny, ryzykujemy narodową klęskę i kto wie, czy nie śmierć narodu. Kto z was chce złożyć broń?

Zgodnie z przewidywaniem nikt nie wstał, by podnieść rzuconą rękawicę. Nawet Qian milczał. Głosowanie było formalnością. Ministrowie powrócili do zacisza gabinetów. Zhang zatrzymał Tana Deshi przez parę minut, a potem wrócił do siebie. Po godzinie wpadł do gabinetu swego przyjaciela, Fanga Gana.

– Nie jesteś na mnie zły? – zdziwił się Fang.

– Nigdy nie obrażam się za słowa ostrzeżenia, drogi przyjacielu – odparł Zhang i usiadł w fotelu przed biurkiem gospodarza. Zwyciężył i mógł sobie pozwolić na wspaniałomyślność.

– A ja się nadal boję, Zhang – powiedział Fang. – W rzeczywistości to my nie doceniliśmy Amerykanów w 1950 roku i straciliśmy bardzo dużo żołnierzy.

– Mogliśmy zarówno wtedy, jak i dziś możemy na to sobie pozwolić. Ludzi nam nie brak

– odparł minister bez teki. – I Luo wreszcie poczuje się potrzebny. Ba, nawet niezbędny.

– Nie widzę potrzeby podsycania ambicji Luo – mruknął Fang, myśląc z obrzydzeniem o tym pajacu.

– Nawet pies bywa potrzebny – zauważył gość.

– A co będzie, Zhang, jeśli Rosjanie okażą się lepsi, niż sądzisz?

– Myślałem o tym. Za dwa dni w poważnym stopniu podważymy stabilność ich systemu.

Dokładnie w dniu natarcia.

– Co masz zamiar zrobić?

– Pamiętasz tę nieudaną próbę zamachu na Gołówkę?

– Pamiętam. Przed tym też przestrzegałem – przypomniał swemu gościowi Fang.

– I kto wie, czy nie miałeś wtedy racji – przyznał Zhang, aby ułagodzić gospodarza. – Ale Tan przygotował nowy plan i dysponuje środkami do jego realizacji. Najlepszym sposobem destabilizacji państwa będzie zabicie jego prezydenta.

– Chcesz zamordować prezydenta obcego państwa? – wykrzyknął Fang, zaskoczony śmiałością, propozycji. – A jeśli się nie uda?

– Tak czy inaczej, mamy rozpocząć wojnę z Rosją. Co mamy do stracenia? Nic. Można natomiast przez to wiele zyskać.

– A konsekwencje polityczne? – zapytał Fang.

– Jakie konsekwencje?

– Co będzie, jeśli oni postanowią zrobić to samo?

– Myślisz o próbie wyeliminowania Xu? – Wyraz twarzy Zhanga był odpowiedzią samą w sobie: Chiny tylko by zyskały na pozbyciu się tej miernoty. Ale nawet Zhang nie mógł

powiedzieć tego na głos, mimo że prowadzili szczerą rozmowę z zaciszu gabinetu. – Tan zapewnił mnie, że nasze fizyczne bezpieczeństwo jest zapewnione. W naszym kraju nie ma żadnych znaczących agentów obcych wywiadów.

– Myślę, że wszystkie państwa tak uważają. Wprawdzie udało nam się zorganizować dobrą siatkę w Ameryce, i za to naszemu dobremu towarzyszowi Tanowi należą się dzięki, ale zbytńia pewność siebie i arogancja często prowadzą do zguby, a zguba może nadejść, nim ofiara się zorientuje, że to już koniec. Powinniśmy o tym pamiętać.

Zhang zbagatelizował uwagę.

– Nie można się wszystkiego bać – odparł.

– Prawda, ale nie bać się niczego też jest błędem. – Fang postanowił poprawić wzajemne stosunki i zapytał: – Pewnie uważasz mnie za starą kobietę, która tylko zrzędzi?

Gość uśmiechnął się.

– Nie uważam cię za starą zrzędliwą kobietę. Nie, Fang. Jesteś towarzyszem o wieloletnim doświadczeniu, z wielkim autorytetem i jednym z najbardziej cenionych intelektualistów w naszym gronie. Dlatego właśnie dokooptowałem cię do Biura Politycznego.

Wprowadziłeś mnie, bo potrzebny ci był mój głos podczas głosowań, pomyślał Fang, ale nie powiedział tego. Żywił szacunek dla swojego starszego kolegi, choć nie był ślepy na jego wady.

– Jestem ci bardzo wdzięczny za to, co dla mnie zrobiłeś – powiedział.

– Za twój wkład powinni ci być wdzięczni obywatele. Ty zawsze tak dbasz o ich dobro.

– Zawsze trzeba pamiętać o chłopach i robotnikach. Przecież wszyscy im służymy. – Ten ideologiczny wtęret bardzo pasował do charakteru rozmowy.

– Powinieneś się trochę odprężyć – zauważył Zhang. – Masz tę Ming, pobaraszkuj z nią trochę. – Napięcie, jakie między nimi się zrodziło, teraz osłabło. Zhang właśnie w tym celu tu przyszedł.

– Chai robi to lepiej – odparł Fang.

– No to ją weź do łóżka. Kup jej jakiś jedwabny łaszek. Upij ją. One wszystkie bardzo to lubią.

– Może to i niezły pomysł – zgodził się Fang. – Będę lepiej spał.

– No to do dzieła! Wszyscy potrzebujemy trochę więcej snu. Najbliższe kilka tygodni będzie dla nas bardzo wyczerpującym okresem. Ale chyba mniej wyczerpującym, niż dla naszych przeciwników.

– Jest jeszcze jedna sprawa, Zhang. Sam powiedziałaś, że powinniśmy dobrze traktować jeńców. Jednej rzeczy Amerykanie szybko nam nie wybaczą. Okrucieństwa wobec bezsilnych. Obaj dobrze to wiemy.

– Amerykanie to stare baby.

– Być może, ale jeśli zamierzamy prowadzić z nimi w przyszłości interesy, nie należy zanadto urażać ich miłości własnej i deptać ich obyczajów.

Zhang z westchnieniem zaakceptował ten punkt widzenia i spojrział na zegarek. – Muszę już iść. Mam dziś kolację z Xu.

– Przekaż mu moje życzenia pomyślnych wiatrów w sterowaniu nawą państwową.

– Chętnie to uczynię. – Zhang wstał, skłonił się i wyszedł.

Fang, zanim wstał, przesiedział minutę w głębokiej zadumie, potem podszedł do drzwi, otworzył je i zawołał do Ming:

– Przyjdź do mnie. – Czekał przy drzwiach na sekretarkę, zerkając na Chai. Ich spojrzenia spotkały się, Chai puściła do niego oko i dodała leciutki kobiecy uśmiech. Tak, bardzo mu brakowało snu i Chai mu pomoże...

Gdy weszła Ming, Fang wrócił za biurko i zaczął dyktować: – Biuro Polityczne debatowało bardzo długo... – Zajął mu to dwadzieścia pięć minut, po czym zwolnił Ming, by przepisała notatki na komputerze. Następnie przywołał Chai i wydał jej polecenie. Gdy wyszła, przez godzinę jeszcze pracował, po czym opuścił gmach wraz z innymi pracownikami. Jego śladem poszła Chai. Razem wsiedli do limuzyny, pojechali do jego eleganckiego mieszkania i zabrali się do tego, po co tu razem przyjechali.

Ming spotkała kochankę w niedawno otwartej restauracji „Jaspisowy Rumak”. Kuchnia była tu zdecydowanie lepsza, niż gdziekolwiek indziej w Pekinie.

– Wyglądasz na bardzo zaniepokojoną – zauważył Nomuri.

– Jestem raczej zmęczona. W biurze mamy masę roboty – wyjaśniła. – Zbliżają się trudne dni.

– Ooo? Dlaczego trudne?

– Nie mogę powiedzieć – odparła. – Ale to chyba w żadnym stopniu nie wpłynie na twoje sprawy.

Nomuri w tym momencie zrozumiał, że jego agentka zrobiła ostatni krok. Już nie myślała o oprogramowaniu w jej biurowym komputerze. Nigdy nie poruszał z nią tego tematu. Lepiej, żeby wszystko działało się poniżej widnokregu. Lepiej, żeby nie myślała o tym, co robi. Po kolacji poszli do mieszkania Nomuriego i oficer CIA robił, co mógł, by dziewczyna miło wspominała te chwile. Częściowo udało mu się ją odprężyć, ale właściwie przez cały czas była nieco spięta i choć ciepło go żegnała, wyszła dość wcześnie, za kwadrans jedenasta.

Nomuri nalał sobie drinka i poszedł sprawdzić, czy komputer dobrze zarejestrował jej niemal codzienny przekaz informacji. Miał nadzieję otrzymać w przyszłym tygodniu oprogramowanie, które pozwoli mu na zwrotne komunikowanie się z nią przez internet, a jej umożliwi bezpośrednie przekazywanie materiałów na adres: patsbakery@brownienet.com.

Jeśli miałyby się stać coś bardzo złego w Pekinie, to NEC może go odwołać do Japonii. Nie chciałby jednak, by raporty Kanarka przestały docierać do Langley.

Do Langley trafił właśnie kolejny przekaz od agenta o kryptonimie Kanarek, wywołując wielkie poruszenie.

Ed Foley w tym momencie żałował, że Gołowko nie dostał w prezencie aparatu STU, ale to by wymagało przekazania Rosjanom całej aparatury. Amerykanie raczej nie lubią oddawać w cudze ręce swoich tajemnic z dziedziny łączności. Tak więc raport Kanarka został

odpowiednio zakodowany i wysłany bezpiecznym faksem do ambasady amerykańskiej w Moskwie, a następnie osobiście doręczony Gołowce przez urzędnika konsularnego, który nie miał nic wspólnego z CIA. Rzecz jasna, od tej pory Rosjanie będą pewni, że ów urzędnik jest szpiegiem. Przez cały czas ktoś będzie za nim chodził, uszczuplając tym samym personel kontrwywiadu. Biznes to biznes, nawet w nowej sytuacji ścisłego sojuszu.

Po przeczytaniu wiadomości Gołowko podskoczy pod sufit, pomyślał Foley.

John Clark otrzymał wiadomość przez bezpieczny telefon satelitarny.

– Że co? – zapytał Tęcza-6, który nadal znajdował się w swym samochodzie, niedaleko Placu Czerwonego.

– Nie udawaj, że nie słyszałeś – odparł Foley.

– Co teraz?

– Jesteś blisko ich ludzi od operacji specjalnych?

– Szkolimy ich.

– Mogą przyjść do ciebie po radę.

– Mogę powiedzieć o tym Dingowi?

– Tak – odparł Foley.

– To dobrze. Wiesz, to potwierdza Doktrynę Chaveza.

– A cóż to takiego?

– Ding lubi powtarzać, że stosunki międzynarodowe polegają głównie na tym, że jedno państwo pieprzy drugie.

Słuchający tego osiem tysięcy kilometrów na zachód dyrektor CIA roześmiał się i śmiech dotarł w ciągu paru sekund do Moskwy.

– No cóż, nasi chińscy przyjaciele ostro grają – odpowiedział Foley.

– Jak pewna jest ta informacja?

– Jak czek na milion dolarów. Możesz go śmiało zanieść do banku – zapewnił dyrektor swego agenta terenowego.

Musimy mieć doskonałe źródło informacji w Pekinie, pomyślał Clark.

– Dobrze, Ed. Jeśli któryś się do mnie zgłosi, to zaraz dam ci znać. Zakładam, że współpracuję z naszymi nowymi sojusznikami?

– Całkowicie – zapewnił go Foley. – Jesteśmy teraz sojusznikami. Nie oglądałeś CNN?

– Coś oglądałem, ale myślałem, że to kanał filmów fantastyczno-naukowych.

– Nie tylko ty tak myślałeś. Powodzenia, John.

– Cześć, Ed. – Clark wyłączył telefon, uruchomił zgaszony przed paroma minutami silnik i pojechał na spotkanie z Domingiem Chavezem.

Ding czekał w barze, który upatrzyli sobie ludzie z Tęczy. Spotykali się zawsze przy dużym jasnym w samym rogu sali za przepierzeniem. Narzekali na miejscowe piwo, ale cenili mocniejsze alkohole tubylców.

– Cześć, panie C. – powiedział Chavez na powitanie.

- Właśnie otrzymałem wiadomość od Eda...
- I co miał nowego do powiedzenia?
- Chińczycy zamierzają rozpocząć wojnę z naszymi gospodarzami. I to jest ta dobra wiadomość – dodał Clark.
- A jaka, do cholery, może być zła? – zapytał Chavez z niedowierzaniem w głosie.
- Ich Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego zamierza zlikwidować Eduarda Pietrowicza. Wystawili kontrakt na jego głowę.
- Czy oni zwariowali? – spytał Ding.

– Rozpoczynanie wojny na Syberii też nie jest bardzo racjonalnym postępowaniem. Ed powiedział nam o Gruszawoju, ponieważ sądzi, że Ruscy poproszą nas wkrótce o pomoc.

Podobno Pekin ma tu swojego agenta. Szkolimy ich ludzi, może więc nas zaproszą, żebyśmy przyjrżeli się ich planom.

W tym momencie pojawił się generał Kirilin w towarzystwie sierżanta Specnazu. Sierżant pozostał przy drzwiach. Rozpiął płaszcz i włożył rękę pod rozchyloną połę. Generał szybko dostrzegł Clarka i Chaveza i podszedł do nich.

- Nie mam numeru twojego telefonu komórkowego – powiedział do Clarka.
- Czym możemy panu służyć, generale? – spytał Tęcza-6.
- Chcę, żebyś ze mną pojechał. Musimy porozmawiać z przewodniczącym Gołowąką.

– Czy może pojechać też Domingo?

– Oczywiście – odparł Kirilin.

– Niedawno rozmawiałem z Waszyngtonem. Ile już wiecie? – zapytał Clark nowego sojusznika.

– Dużo, ale nie wszystko. I dlatego musimy porozmawiać z Gołowąką. – Kirilin wskazał drzwi, przy których sierżant odgrywał rolę wiernego dobermana.

– Coś się dzieje? – zapytał Eddie Price.

– Wszystko ci opowiem, kiedy wrócimy – obiecał Chavez.

Limuzynę, która na nich czekała, eskortował wóz z czterema ochroniarzami. Sierżant, który towarzyszył generałowi, był jednym z uczestników kursu prowadzonego przez Tęczę.

Rosjanie okazali się pojętnymi uczniami.

Kierowca prowadzący wóz sztabowy nie okazywał specjalnych względów innym pojazdom i nie przestrzegał nadto przepisów, więc dość szybko wjechał w bramę budynku oznaczonego numerem 2 przy placu Dzierżyńskiego. Na dole czekała już na nich otwarta winda.

Gdy znaleźli się w gabinecie Gołowki, ten powitał ich słowami: – Dzięki za szybkie przybycie. Zakładam, że rozmawiał pan z Langley? – spytał Clarka.

W odpowiedzi Clark pokazał satelitarny telefon komórkowy.

– I mieszczą się w nim wszystkie bajery deszyfrujące? – spytał zdumiony Gołowko.

– Postęp, panie przewodniczący! – odparł Clark. – Z tego, co zrozumiałem, te informacje należy traktować bardzo poważnie.

– O tak. Folejewa ma doskonałe źródło informacji w Pekinie. Zapoznałem się już z kilkoma materiałami z tego źródła. Dowiedziałem się z ostatniego, że zamach na moje życie też był organizowany w Pekinie. A teraz planują zamach na życie prezydenta Gruszawoja. Już go ostrzegłem. Zidentyfikowaliśmy ich agenta w Moskwie. Jest pod nieustannym nadzorem.

Aresztujemy go z chwilą, gdy otrzyma instrukcje. Nie znamy jednak jego kontaktów.

Zakładamy tylko, że są to byli członkowie Specnazu, których kupił. Oczywiście dziś są to kryminaliści, wykonujący specjalne zadania dla mafii.

Tak, to ma sens, pomyślał John. – Niektórzy ludzie zrobią wszystko dla pieniędzy, Sergieju Nikołajewiczu – powiedział. – W czym możemy pomóc?

– Foley wam to polecił? Miło z jego strony. Biorąc pod uwagę fakt, skąd otrzymaliśmy tę ważną informację, przyda się amerykański obserwator. Do zatrzymania podejrzanych wykorzystamy milicję, którą osłaniać będą ludzie generała Kirilina. Innymi słowy to będzie pańskie zadanie, skoro jest pan dowódcą Tęczy szkolącej ludzi generała.

Clark skinął głową. Zadanie nie było trudne.

– Dobry pomysł.

– Włos z głowy wam nie spadnie, towarzyszu przewodniczący – zapewnił Gołowkę Kirilin.

– I spodziewacie się chińskiej agresji?

– Wojna wybuchnie w ciągu tygodnia – odparł z pewnością siebie Gołowko.

– Chodzi o złoto i ropę? – spytał Chavez.

- Tak nam się wydaje.
- Takie jest życie w wielkim świecie – zauważył filozoficznie Ding.
- Ci barbarzyńcy jeszcze tego pożałują – zapewnił Kirilin.
- To jeszcze zobaczymy – powiedział Gołowko w formie ostrzeżenia. Znał materiały przesłane do Sztabu Generalnego przez Bondarienkę.
- Skoro jesteście członkami MATO, przyjdziemy wam chyba z pomocą – odezwał się Clark.
- Wasz prezydent Ryan to prawdziwy sojusznik – stwierdził Gołowko.
- Z tego wynika, że my z Tęczy też jesteśmy prawdziwymi sojusznikami – pomyślał na głos John.

Z kolei Chavez podzielił się swoimi myślami:

- Jeszcze nigdy nie brałem udziału w prawdziwej wojnie.

Teraz Chavez miał stopień majora. Przyszło mu do głowy, że mogą go powołać.

Przypomniał sobie, że na szczęście ma wykupione ubezpieczenie na życie.

- Wojna to nie zabawa, Domingo – powiedział Clark. Jestem już na to za stary, pomyślał.

Chińska ambasada była pod stałą obserwacją zespołu złożonego z funkcjonariuszy FSB.

Prawie wszyscy pracowali poprzednio w Drugim Zarządzie KGB. Zatrudnieni obecnie pod szyldem nowej agencji wykonywali te same funkcje, co ich odpowiednicy w departamencie wywiadu FBI, i wcale nie byli od nich gorsi. Ambasady pilnowało około dwudziestu osób. W

zespole byli zarówno mężczyźni, jak i kobiety, byli chudzi i tłuści, wyglądający dostatnio i na pół żebraczo, starzy i młodzi, ale nie za młodzi, gdyż sprawa była zbyt poważna, by powierzać ją mało doświadczonym funkcjonariuszom. Pojazdy, które im przydzielono, były różnych typów: śmieciarki, furgonetki, samochody osobowe i motocykle.

Kong Deshi wyszedł z ambasady o 19.40, skierował się do najbliższej stacji metra i ruchomymi schodami zjechał na dół. Wszystko przebiegało rutynowo. Niemal w tym samym czasie budynek ambasady opuścił pomniejszy urzędnik konsularny i poszedł w przeciwnym kierunku, ale ludzie FSB nie mieli polecenia go śledzić. Urzędnik minął dwa skrzyżowania i doszedł do drugiej latarni na bardzo ruchliwej ulicy. Mijając słup, wyjął z kieszeni kawałek białej taśmy samoprzylepnej i przydusił go otwartą dłonią do obudowy. Następnie wszedł do najbliższej restauracji i samotnie zjadł kolację, nie mając pojęcia o celu misji, jaką go obarczono. Był tylko „sygnalistą”, a nie etatowym pracownikiem wywiadu. Trzeci sekretarz ambasady Kong przejechał metrem określoną liczbę stacji i wysiadł, a za nim czterech śledzących go funkcjonariuszy. Oprócz tego na peronie

czekał na niego jeszcze jeden, a ponadto dwóch u szczytu ruchomych schodów prowadzących na ulicę. Kong kupił po drodze gazetę w kiosku ulicznym. Zatrzymał się dwa razy. Najpierw, żeby zapalić papierosa, a potem stanął i rozglądał się przez dobre kilka sekund jak ktoś, kto stracił orientację. W obu przypadkach chodziło mu o sprawdzenie, czy ktoś go śledzi. Jednakże śledzących było zbyt wielu i, jako wytrawni fachowcy, nie dali się zauważyć. Patrzyli pilnie, choć niezbyt ostentacyjnie, w innych kierunkach. Raz zidentyfikowany obcy agent już się nie wymknie.

Jest bezbronny i staje się bezradny jak noworodek w dżungli, chyba że śledzący go są zupełnymi idiotami. W tym przypadku wyszkoleni jeszcze w KGB funkcjonariusze z pewnością takimi nie byli. Jednej rzeczy tylko nie wiedzieli: nie znali tożsamości

„sygnalisty”, ale doświadczenie uczyło, że bardzo rzadko takowego można zidentyfikować.

Główny problem polegał na tym, że nigdy się nie wiedziało, jak szybko ma nastąpić przekazanie instrukcji czy też odebranie raportu ze skrzynki kontaktowej.

Kong Deshi też miał problem, gdyż wiedział, że skrzynka kontaktowa, raz zidentyfikowana, może być bez przeszkód obserwowana, równie łatwo jak pojedyncza chmurka na czystym niebie.

Kong wreszcie usiadł na wyznaczonej ławce, popełniając pierwszy błąd: rozwinął gazetę, tak jakby mógł cokolwiek przeczytać w zapadającym mroku. Pewno pomyślał, że bliskość latarni rozwieje podejrzenia przypadkowego przechodnia.

– Patrz! – powiedział jeden z obserwujących park oficerów FSB. Kong wykonał ruch prawą ręką. Nie było wątpliwości, że zostawił wiadomość w skrzynce. Po trzech minutach złożył gazetę, wstał i ruszył w tym samym kierunku, w jakim szedł poprzednio. Pozwolono mu oddalić się dość daleko, nim ruszono do akcji.

Ponownie była to furgonetka i ponownie czekał w niej ślusarz z dorobionym kluczem. W

furgonetce był też amerykański komputer, z kodem jednorazowego użytku i zaprogramowany dokładnie tak jak komputer Suworowa-Koniewa. Oficer dowodzący ekipą FSB pomyślał, że śledzony przez nich osobnik przypomina trochę tygrysa przedzierającego się przez dżunglę i nieświadomego, że skierowanych jest na niego dziesięć sztucerów. Tygrys jest silny i niebezpieczny, ale skazany na śmierć.

Pojemnik został dostarczony do furgonetki. Ślusarz otworzył go bez trudu. Zawartość została wyjęta, rozwinięta i sfotografowana, a następnie umieszczona z powrotem w pojemniku, który zamknięto i podczepiono do metalowej płytki pod ławką. W tym czasie doświadczona maszynistka wystukiwała na klawiaturze grupy przypadkowych liter zaszyfrowanego przekazu, a po upływie czterech minut na ekranach monitorów pojawił się odcyfrowany tekst:

– *Job twoju mat'* – wykrzyknął szef ekipy. – Chcą zamordować prezydenta Gruszawoja!

– Co takiego? – zapytał zdumiony młodszy oficer.

Szef ekipy obrócił laptopa w jego kierunku, by sam mógł przeczytać.

– To akt wojny – sapnął młody major, zapoznawszy się z tekstem zlecenia pozostawionego w skrzynce przez Konga.

– Na to wygląda, Grigorij – odparł pułkownik. Furgonetka ruszyła. Pułkownik musiał jak najszybciej przekazać materiał przełożonym.

Porucznik Prowałow był w domu, gdy otrzymał nagłe wezwanie. Przebierając się, ponarzekął trochę, co było rzeczą jak najbardziej naturalną w tej sytuacji, po czym udał się do siedziby FSB. Nie kochał specjalnie tej firmy, ale ją szanował. Gdyby on miał takie środki, jakie mają oni, dawno by już zlikwidował przestępczość w Moskwie. Niestety, oni nie dzielili się z nikim swoimi środkami i ponadto okazywali arogancję, zachowując się jakby byli ponad prawem, czyli tak, jak ich poprzednicy z KGB. Może tak powinno być? Sprawy, jakimi się zajmowali, nie były mniejszej wagi niż morderstwa. Zdrada była przestępstwem traktowanym w Rosji bardzo poważnie od wielu wieków.

Jeszcze przed wejściem do budynku Prowałow stwierdził, że wewnątrz panuje wielkie ożywienie, gdyż prawie wszystkie światła się paliły. Jefremowa zastał w jego gabinecie. Stał

przy biurku i czytał coś z trzymanej w ręku kartki.

– Dobry wieczór, Pawle Gieorgiewiczu! – przywitał go Prowałow.

– Macie, poruczniku! – Jefremow podał mu kartkę. – Nasz podopieczny choruje na przerost ambicji. To znaczy jego przełożonym przychodzą takie pomysły do głowy.

Porucznik milicji wziął dokument i szybko go przeczytał. Następnie zaczął czytać od początku. Powoli, z uwagą.

– Kiedy to się wydarzyło?

– Przed niespełną godziną. I co o tym myślisz?

– Powinniśmy go natychmiast aresztować. – Taka reakcja milicjanta była do przewidzenia.

– Pomyślałem, że to właśnie powiesz. Ale nie zrobimy tego, Poczekamy, aż się dowiemy, z kim się skontaktuje. Ale najpierw chcę się dowiedzieć, kogo o tym zawiadomi.

– A jeśli to zrobi przez telefon komórkowy albo z ulicznej budki?

– Ludzie od telefonów ustalą osobę czy osoby, do których dzwonił. Muszę wybrać tę drogę, ponieważ chcę wiedzieć, czy jego kontaktem nie jest przypadkiem ktoś wewnątrz jakiejś ważnej rządowej instytucji. Suworow miał rozliczne kontakty, kiedy był w KGB.

Musimy wyrwać wszystkie chwasty. Próba zamachu na Sergieja Nikołajewicza wykazała, że Chińczycy mają dobre dojścia. Winnych trzeba wysłać do dobrego obozu pracy. – Rosyjski system penitencjarny przewidywał trzy rodzaje obozów. Te z „łagodnym” reżimem były bardzo nieprzyjemne, tych ze „średnim” należało za wszelką cenę unikać. „Dobre” obozy były piekłem na ziemi. Przydawały się bardzo, gdy chodziło o to, aby od opornych wydobyć wiadomości o czymś, o czym za żadne skarby nie chcieli mówić i nie powiedzieliby w innych warunkach. Jefremow miał prawo decydować, kto na jaki reżim zasługuje. Suworow zasługiwał właściwie na rozstrzelanie, ale kto wie... Może będzie chciał wybrać coś gorszego, niż kulkę w łeb. Dobry obóz, na przykład.

– Czy ochrona prezydenta została zawiadomiona?

Jefremow skinął głową.

– Tak, ale sprawa nie jest tak prosta. Nie wiemy przecież, czy właśnie ktoś z ochrony nie jest zamieszany w spisek. W zeszłym roku to się prawie wydarzyło amerykańskiemu prezydentowi, pamiętasz? Musimy taką możliwość brać pod uwagę. Suworow, kiedy był

jeszcze w KGB, miał liczne kontakty z kolegami z Ósmego Zarządu. Sprawdziliśmy tych jego koleżków. Żaden z nich nie przeszedł do prezydenckiej ochrony.

– Jesteście tego absolutnie pewni? – spytał Prowałow.

– Trzy dni temu skończyliśmy dochodzenie. Szperanie w aktach nie było łatwe, ale mamy pełną listę tych, których Suworow znał albo z którymi kiedykolwiek się kontaktował, służbowo lub prywatnie. Część wyeliminowaliśmy, pozostało szesnaście osób, do których może zadzwonić. Ich telefony są na podsłuchu, a mieszkania obserwowane. – Ale nawet FSB

nie miała dostatecznej liczby ludzi, by pilnować zawsze i wszędzie wszystkich podejrzanych lub podejrzewanych, że mogą stać się takimi. A obecna sprawa była największa w całej krótkiej jeszcze historii FSB. Dawny KGB rzadko kiedy musiał do jednej operacji oddelegowywać aż tylu ludzi. Nawet do Olega Pieńkowskiego.

– Co Amalrikiem i Zimianinem?

– Z Zimianinem Suworow poznał się w Afganistanie. Amalrika mógł zwerbować właśnie Zimianin. Z szesnastu na naszej liście siedmiu jest rzeczywiście podejrzanych. Dawniej służyli w Specnazie. Trzej to oficerowie, pozostali podoficerowie. Byli ludźmi, którzy chętnie sprzedawali swoje talenty temu, kto dobrze zapłaci – stwierdził sucho Jefremow. – Macie coś do dodania, poruczniku Prowałow?

– Nie. Widzę, że spenetrowaliście wszystkie możliwe ścieżki.

– Dziękuję za komplement. Ponieważ to dotyczy także morderstwa, pójdziecie z nami, kiedy będziemy go aresztować.

– A Amerykanin, który nam pomagał?

– Też może w tym uczestniczyć – zgodził się łaskawie Jefremow. – Pokażemy mu, jak to się załatwia w Rosji.

Reilly wrócił do ambasady i teraz prowadził rozmowę z Waszyngtonem, korzystając z bezpiecznego telefonu STU.

– Święci Pańscy..! – wykrzyknął do słuchawki. – I wszyscy diabli także!

– Właśnie, jedni i drudzy bardzo by się teraz przydali Rosjanom – odparł dyrektor Murray. – Jak dobra jest ochrona ich prezydenta?

– Dość dobra. Może i nie gorsza od naszej. Nie wiem natomiast, jak dobry jest ich aparat dochodzeniowy. Ale fizyczna ochrona jest w porządku.

– Rosjanie już zostali ostrzeżeni i ich służby postawione w stan gotowości. Jestem pewien, że maksymalnie zwiększyli czujność. Kiedy mają zamiar zgarnąć tego Suworowa?

– Czekają, aż zrobi jakiś ruch. Są pewni, że Chińczycy wkrótce przekażą mu instrukcje, a on musi wtedy potelefonować tu i tam. I to będzie właśnie okazja do położenia na nim łapy.

Nie wcześniej.

– Racja – zgodził się Murray. – Chcemy być informowali na bieżąco, więc w odpowiedni sposób pogłaskaj tego swojego glinę.

– Tak jest, sir – odparł Reilly. – Czy w tym gadaniu o wojnie nie ma przesady?

– Chyba nie. Sytuacja jest bardzo poważna – stwierdził Murray. – Szykujemy pomoc, ale jeszcze nie wiemy, jak ma wyglądać. Prezydent ma nadal nadzieję, że wstąpienie Rosji do NATO przestraszy Chińczyków, ale nikt nie jest tego pewien. Nadzieje są niewielkie.

Robimy, co można, żeby się dowiedzieć, co kombinują Chińczycy. Trudno jest ich rozgryźć.

Oprócz tego wiem niewiele więcej.

To ostatnie stwierdzenie nieco zdziwiło Reilly’ego. Zawsze mu się wydawało, że Murray jest blisko prezydenta.

– Ja odbiorę – powiedział Alijew do oficera łączności.

- Ale to jest do natychmiastowej wiadomości dla...
- On potrzebuje snu. Nie dopuszczam do niego nikogo. – Oficer operacyjny odebrał depesze z rąk pułkownika i zaczął czytać. – To może poczekać... Tym zajmę się sam... Co jeszcze?
- Przecież depesza jest od prezydenta! – zgorszony szef łączności niemal to wykrzyczał.
- Prezydent Gruszawoj bardziej potrzebuje przytomnego generała, niż odpowiedzi na swoje pytania. Daj mi już spokój, Pasza. – Alijew też by się przespał, a w pokoju była kanapa, której poduszki bardzo do tego zachęcały.
- Co robi Tołkunow?
- Uzupełnia ocenę sytuacji.
- Czy sytuacja się polepsza? – spytał łącznościowiec.
- A jak uważasz?
- Ja sędzę, że się nie poprawia.
- Odpowiedzieliście bardzo mądrze, towarzyszu. Znasz miejsce, gdzie można kupić pałeczki? Wiesz, takie do jedzenia.
- Póki noszę pistolet, pałeczki nie będą mi potrzebne – odparł pułkownik łączności. Przy dwóch metrach wzrostu był za wysoki na czołgistę. – Nie zapomnij mu oddać depeszę, kiedy się obudzi.
- Ja też prześpię się parę godzin. Ale obudź mnie, a nie jego! – polecił Alijew koledze.
- *Da, da!*

Przeważnie byli to mężczyźni niewielkiego wzrostu. Przybywali grupkami w wagonach specjalnie doczepionych do pociągów regularnie kursujących po torach Kolei Transsyberyjskiej. Wsiadali na niewielkiej stacji rozrządowej w Niewierze, na wschód od Skorowodino. Na stacji czekali na nich oficerowie i kierowali do autobusów. Wyładowane autobusy wiozły ich drogą niemal przylegającą do torów, aż do tunelu kolejowego wywierconego przed laty we wzgórzach, u których podnóża płynęła rzeczka o nazwie Urkan.

Tuż obok wlotu do tunelu były wielkie wrota, które przygodnemu obserwatorowi sugerowały magazyny ze sprzętem kolejowym. I tak też było, ale na tym się nie kończyło. Za wrotami w głąb góry biegł drugi tunel z wieloma odnogami. Było to dzieło więźniów politycznych z pobliskich gułagów, będących częścią stalinowskiego imperium lat 30. W licznych pieczarach, wykutych przez zeków, znajdowało się obecnie trzysta czołgów T-55, zbudowanych w latach 60. i nigdy nie używanych. Prosto z fabryki trafiły one tutaj, aby mogły bronić *Matuszki Rossiji* właśnie w przypadku chińskiej

inwazji. Oprócz czołgów w pieczarach było jeszcze ponad dwieście transporterów opancerzonych BTR oraz masa innych pojazdów uzupełniających wyposażenie dywizji pancerniej. Baza pozostawała pod dozorem czterystu żołnierzy, którzy, podobnie jak poprzednie pokolenia poborowych, konserwowali sprzęt, sztuka po sztuce, zapuszczając wysokoprężne silniki w określonych odstępach czasu, smarowali to, co należało smarować, i pucowali metalowe powierzchnie, co było absolutnie konieczne, gdyż do pieczar przesączała się przez skały woda. Składowisko to, na wojskowych mapach oznaczone kryptonimem „Magazyn Niewierski”, było jednym z wielu rozlokowanych wzdłuż torów Kolei Transsyberyjskiej łączącej Moskwę do Władywostokiem.

Magazyny te, doskonale zamaskowane, z widocznymi, ale niewinnie wyglądającymi dojazdami były asami, jakie generał Bondarienko ukrywał w rękawie.

Powołani do czynnej służby rezerwiści mieli w większości poniżej czterdziestki, byli nieco zdezorientowani i bardziej niż nieco źli, że musieli opuścić rodziny. Jednak w większości doszli szybko do wniosku, że ojczyzna jest w potrzebie i że trzeba jej pomóc.

Dlatego też mniej więcej trzy czwarte powołanych stawiało się na wezwanie. Wielu rozpoznawało znajome twarze z czasów, kiedy odbywali służbę w Armii Radzieckiej. Każdy otrzymywał wydrukowaną instrukcję, w jakie konkretne miejsce ma się udać, do jakiej pieczary, i dość sprawnie zaczęły powstawać załogi czołgów i drużyny piechoty. Mundury, lekkie uzbrojenie i amunicję znajdowali w transporterach. Załogi czołgów składały się wyłącznie z mężczyzn niskich. Żaden nie przekraczał 167 centymetrów wzrostu, ponieważ wewnątrz czołgów nie pasowało do wielkoludów, a raczej wielkoludzi nie pasowali do skąpej przestrzeni.

Czołgiści powracający do sprzętu z czasów swojej młodości znali doskonale zalety i wady czołgów T-55. Silniki były toporne i przez pierwsze kilka godzin pracy wypluwały niemal kilogram metalowych opiłków do olejowych filtrów. Nowo przybyli byli jednak pewni, że z opiłkami uporali się przez minione lata ci, których zadaniem była konserwacja i okresowe uruchamianie silników. I rzeczywiście, czołgi okazały się być w lepszej formie od tych, z jakimi mieli do czynienia podczas służby czynnej. Dla wielu było to dziwne, ale bynajmniej nie zaskakujące, ponieważ w Armii Radzieckiej, w której służyli jako poborowi, działo się wiele rzeczy bez sensu, co w latach 70. i 80. w najmniejszym stopniu nie dziwiło ogółu obywateli.

Rezerwiści znaleźli pełne zbiorniki paliwa we wszystkich pojazdach, a ponadto beczki doczepione z tyłu. To nieco popsuło humory, bo kazało myśleć o przyszłości, kiedy wyjadą w teren i zaczną się prawdziwe działania. Seria z karabinu maszynowego mogła natychmiast przekształcić każdy czołg w słup ognia. Dlatego wszyscy marzyli o długiej drodze i o tym, by jak najszybciej opróżnić najpierw beczki i czym prędzej ich się pozbyć.

Miłe było to, że w kilka sekund po naciśnięciu guzika startera silniki zaskakiwały i słyszało się znajomy warkot. Pieczary stanowiły przychylnie schronienie dla tych starych, ale w zasadzie nie używanych maszyn. Wszystkie wyglądały tak, jakby dopiero co zeszły z taśmy produkcyjnej potężnej fabryki w Niżnym Tagile, przez dziesiątki lat będącej zbrojownią Armii Radzieckiej.

Jedno się zmieniło, co od razu wszyscy zauważyli: z pancerzy czołgów zniknęły czerwone gwiazdy, zastąpiły je wyraziste prostokąty w biało-niebiesko-czerwonych barwach nowej flagi Federacji

Rosyjskiej. Żołnierzom nie podobała się ta aż nadto widoczna ekspozycja, stanowiła bowiem doskonały cel dla przeciwnika.

– Piękna kobieta – stwierdził oficer FSB, wsiadając do samochodu. Pojechali do jeszcze jednej bardzo drogiej restauracji, gdzie inwigilowany zjadł kolację, a potem przeszedł do baru i po pięciu minutach skupił uwagę na kobiecie, która przyszła sama. Wyglądała bardzo elegancko w czarnej sukni. Teraz Suworow-Koniew jechał z nią najprawdopodobniej do swego mieszkania, nie zdając sobie sprawy, że śledzi go sześć pojazdów, a trzy z nich mają specjalne przełączniki świateł mijania na desce rozdzielczej, by móc rzucać różne snopy światła, zmieniając tym samym wygląd w lusterku samochodu śledzonego. Milicjant siedzący w drugim wozie uważał, że to bardzo chytne urządzenie.

Obserwowany nie śpieszył się, nie popisывał odwagą i nadmierną prędkością, ale oczarowywał dziewczynę swą światowością. Tak w każdym razie myśleli śledzący go oficerowie. Samochód niespodziewanie zwolnił przed jednym ze skrzyżowań z ulicą ze starymi latarniami z kutego żelaza, a potem w nią skręcił.

– Zamierza zaparkować – mruknął dowódca niewidzialnej eskorty. Zaklął i podniósł do ust mikrofon.
– Obiekt musiał zauważyć „flagę” pozostawioną przez „sygnalistę”.

Tak też było w istocie, ale nim Suworow-Koniew zaparkował, wysadził kobietę, która wydawała się bardzo rozczarowana. Włożył jej do dłoni parę banknotów, aby złagodzić rozczarowanie. Gdy pojechał dalej, jeden z śledzących zatrzymał się i zabrał kobietę na przesłuchanie. Pozostali pojechali za podejrzanym. Po pięciu minutach stało się to, czego oczekiwali: Suworow-Koniew zaparkował na skraju parku. Wysiadł, zamknął drzwiczki i ruszył w mroczną aleję. Przedtem jednak uważnie rozejrzał się dokoła, ale fakt, że pięć samochodów okrążało park, nie zwrócił jego uwagi.

Po stosunkowo krótkim czasie mężczyzna wrócił, nie osiągnąwszy drugiego krańca parku, i wsiadł do samochodu.

– Już po wszystkim! Odebrał wiadomość! – wykrzyknął podniecony szef grupy śledzącej.

Suworow-Koniew zrobił to niesłychanie zręcznie. Dwa wozy pojechały prosto do mieszkania podejrzanego, a trzy za nim.

– Powiedział, że poczuł się nagle bardzo źle. Dałam mu moją wizytówkę. On mi wręczył

pięćdziesiąt euro za sprawiony kłopot – zeznała oficerowi śledczemu. Była zadowolona z otrzymanej sumy. Pięćdziesiąt euro za pół godziny było uczciwą zapłatą.

– Coś jeszcze? Wyglądał na chorego?

– Powiedział, że rozbolał go żołądek. Pomyślałam, że może się wystraszył. Niektórzy mężczyźni tak czasami reagują. Ale ten nie wyglądał na takiego. To był bardzo wyrafinowany facet. Ja potrafię

ocenić mężczyzn – pochwaliła się.

– To już wszystko. Dziękujemy wam, Jeleno Michajłowna. Proszę nas zawiadomić, gdyby zadzwonił.

– Oczywiście. – To było bardzo łagodne przesłuchanie, co ją raczej zdziwiło. Dlatego też szczerze wszystko opowiedział, zastanawiając się równocześnie, w co też wdepnęła. Czy wpadła na jakiegoś kryminalistę? Na handlarza narkotyków? Jeśli do niej zadzwoni, zawiadomi milicję. Do diabła z tym facetem. W jej zawodzie życie i tak było ciężkie. Po co je bardziej komplikować?

– Pracuje na komputerze – poinformował elektronik, specjalista z centrali FSB. Odczytał

poszczególne uderzenia w klawisze dzięki ukrytemu w klawiaturze czujnikowi. Informacja pojawiała się nie tylko na monitorze Suworowa-Koniewa, ale cały tekst wgrywał się równocześnie na twardy dysk komputera FSB. – Patrzcie! Otwarty tekst. I wynika z niego, że otrzymał instrukcje.

Nastąpiła minuta ciszy, po czym podejrzany znów zaczął stukać w klawisze. Połączył się ze swoim serwerem i zaczął wysyłać pocztę elektroniczną. Wszystkie e-maile były wariantem wezwania, by adresat skontaktował się z nim, jak można najszybciej. Dla agentów było jasne, co zaczyna być grane. Suworow wysłał cztery e-maile, a jeden z nich zawierał sugestię, by adresat zawiadomił parę innych osób. Gdy skończył, wyłączył komputer.

Samolot rozpoznawczy Miasiszczew M-5 wystartował z Tazy przed świtem. Była to dwukadłubowa konstrukcja zdolna osiągnąć pułap powyżej dwudziestu tysięcy metrów i szybować tam z prędkością około 750 kilometrów na godzinę, robiąc niezłe zdjęcia kamerami o dużej rozdzielczości. Za sterami tego rosyjskiego odpowiednika U-2 siedział major lotnictwa wojskowego. Otrzymał ścisły rozkaz: nie podchodzić bliżej niż dziesięć kilometrów do chińskiej granicy, by nie prowokować wroga. Rozkaz ten, wydany przez polityków w Moskwie, trudny był do wykonania, ponieważ granice między państwami rzadko kiedy biegną w linii prostej. Major bardzo starannie zaprogramował autopilota i tylko kontrolował

wskazania przyrządów, podczas gdy system kamer wykonywał swoje zadanie.

Najważniejszym wskaźnikiem do pilnowania był detektor promieniowania radarowego. Na granicy było wiele stacji radiolokacyjnych, pracujących głównie na niskich i średnich częstotliwościach. Radary te miały ostrzegać o zbliżaniu się obcych samolotów. Nagle z południa pojawił się sygnał na paśmie K, co oznaczało, że rosyjską maszynę wykryła bateria rakiet ziemia-powietrze. To bardzo zainteresowało, ale i zaniepokoiło majora, bo chociaż pułap przekraczał dwadzieścia kilometrów, to nadal był z zasięgu rakiet przeciwlotniczych, co kiedyś na własnej skórze odczuł pewien Amerykanin nazwiskiem Gary Powers, kiedy przelatywał nad Swierdłowskiem. Myśliwiec mógł wymknąć się rakiecie, ale M-5 nie był

myśliwcem i miał nawet problem z omijaniem chmur w bezwietrzny dzień. Dlatego też pilot jednym

okiem patrzył na wskaźnik detektora, słysząc w słuchawkach nieprzyjemne popiskiwanie, a drugim obserwował ekran monitora. Wyglądało na to, że Chińczycy wiedzą, że coś jest w górze, ale zostawią go w spokoju. Właściwie to był tego pewien, gdyż na prawie czystym niebie zauważyłby dymny ogon, ślad odpalanej rakiety. Nie, nie widać było żadnego śladu informującego o bezpośrednim zagrożeniu. Jeśli by nastąpiło, miał dwa sposoby obrony: opancerzoną kabinę oraz modlitwę. Samolot nie był nawet wyposażony w system zakłócający. A szkoda, pomyślał major. Po co się jednak martwić. Nic mu przecież nie grozi.

Jest dziesięć kilometrów od granicy chińskiej przestrzeni powietrznej, bateria znajduje się też daleko od granicy i bez względu na typ chińskich rakiet przeciwlotniczych, miałyby zbyt daleką drogę do przebycia. Poza tym zawsze można zawrócić na północ i umykać, wyrzucając za siebie kilka kilogramów metalizowanej folii, by rakiecie dać zastępczy cel do ścigania. Zadaniem pilota było czterokrotne przeczesanie pogranicza, a to wymagało półtorej godziny. W zasadzie nudnych 90 minut. Po zakończeniu misji przeprogramował autopilota M-5 na stare lotnisko myśliwców pod Tazą.

Obsługa naziemna, wspierająca misję zwiadowczą, przysłana została z Moskwy. Gdy tylko M-5 wylądował, wylądowano z kamer kasety z filmem i przewieziono do polowego laboratorium w celu wywołania. Jeszcze wilgotne negatywy odwieziono do analityków, którzy szybko zidentyfikowali kilka typów czołgów. I to im wystarczyło.

Rozdział 49

Rozbrajanie

– Wiem, Oleg. Wiem, że Waszyngton otrzymał taką informację wywiadowczą i natychmiast zawiadomił o tym waszych – powiedział Reilly swemu przyjacielowi.

– Musicie być z tego bardzo dumni – stwierdził Prowałow.

– To nie nasi ludzie do tego się dogrzebali – odparł Reilly. Rosjanie czuliby się bardzo upokorzeni, gdyby to Amerykanie sami wyszperali tak ważną informację. Pewno i Amerykanie czuliby się upokorzeni, gdyby Rosjanie zawiadomili ich o próbie zgładzenia prezydenta USA. – No więc, co w związku z tym teraz zrobicie?

– Usiłujemy zlokalizować adresatów e-maili. Służba bezpieczeństwa z pewnością już ich zidentyfikowała.

– Kiedy ich aresztujecie?

– Gdy spotkają się z Suworowem. Mamy już właściwie wszystko co potrzeba, by ich zatrzymać.

Reilly nie był tego taki pewien. Ludzie, których Suworow zaprosił na spotkanie, mogli zawsze powiedzieć, że przyszli na zaproszenie, nie mając zielonego pojęcia o celu spotkania.

Żaden sąd nie mógł skazać kogoś za to, że ten ktoś przyjął zaproszenie od starego kumpla, Lepiej było poczekać, aż podejrzeni zrobią coś naprawdę brzydkiego, a potem jednego mocno przycisnąć, by został świadkiem koronnym przeciwko reszcie. Tak by zrobiono w Ameryce, gdzie są ławy przysięgłych i inne prawo.

– Co cię trapi, przyjacielu? – spytał Gołowko.

– Tak sobie myślę, towarzyszu przewodniczący, że Moskwa stała się nagle bardzo niebezpiecznym miejscem – odparł major Szelepin. – Niedobrze mi się robi, kiedy słyszę, że byli członkowie Specnazu spiskują przeciwko głowie państwa. Nie chodzi mi tylko o samo przestępstwo, ale o hańbę, jaką to nam przynosi. Ci ludzie byli moimi kolegami w wojsku. Ze mną się szkolili, by być strażnikami bezpieczeństwa państwa. – Młody oficer smutno pokiwał głową.

– No cóż, kiedy w tym budynku gościł jeszcze KGB, mieliśmy kilka podobnych przypadków. Jest to bardzo przykre, ale taki jest świat. Ludzie ulegają korupcji – usiłował

pocieszyć majora Gołowko. Nie dodał, że tym razem na szczęście to nie jemu grozi śmierć.

Nie była to w danej chwili godna pochwały myśl, ale ludzka natura odznaczała się i tą słabością. – Co teraz robi ochrona prezydenta? – spytał.

– Przypuszczam, że się poci. A jeśli Kong ma w Moskwie jeszcze innego agenta i zlecił mu równoległą akcję? Konga też powinniśmy przymknąć.

– Zrobimy to, kiedy nadejdzie właściwy czas. Zresztą w ciągu tygodnia tylko jeden raz przekazywał materiał, a my obserwujemy skrzynkę kontaktową... Tak, tak, wiem to doskonale

– dodał Gołowko, gdy zobaczył, że major chce zaprotestować. – Wiem, że Kong nie jest jedynym agentem

chińskiej

służby

bezpieczeństwa

w

ambasadzie,

ale

jest

najprawdopodobniej jedynym, któremu zlecono tak ważne i delikatne zadanie. Na całym świecie obowiązują podobne zasady bezpieczeństwa. Myślisz, że Chińczycy nie zdają sobie sprawy, że któryś z ich agentów może być przez nas przekupiony? Przy takiej operacji kręci się wiele kółek i nie wszystkie w jednym kierunku. Wiesz, czego mi teraz brak?

– Przypuszczam, że Drugiego Głównego Zarządu KGB. Wtedy można by lepiej koordynować całą operację.

Gołowko uśmiechnął się.

– Towarzyszu Szelepin, chwilowo należy dobrze wykonywać naszą pracę i liczyć na to, że inni wykonają swoją. I trzeba czekać, a czekanie nigdy nie jest rozrywką. – Po tej konstatacji obaj mężczyźni powrócili do wpatrywania się w aparaty telefoniczne na biurku.

Jedynym powodem, dla którego nie zwiększono liczby osób śledzących Suworowa, był

fakt, że zwyczajnie brakowało dla nich miejsca na ulicy. Suworow mógł w końcu zauważyć któregoś

z trzydziestu funkcjonariuszy zawsze i wszędzie mu towarzyszących. Tego dnia obudził się o zwykłej porze, umył się, na śniadanie zjadł talerz kaszy z mlekiem i wypił kubek kawy. O dziewiątej piętnaście opuścił dom i pojechał do śródmieścia w asyście niewidzialnej świty. Zaparkował wóz dwie przecznice od Parku Gorkiego i resztę drogi odbył pieszo.

To samo uczynili jeszcze czterej mężczyźni. Spotkali się przy kiosku i dokładnie o 9.45

poszli do pobliskiej kawiarni, niestety, dla ludzi z FSB, zatłoczonej. Nie było mowy, by któryś z nich mógł usiąść na tyle blisko, by cokolwiek słyszeć. Mogli tylko z daleka obserwować twarze. Mówił głównie Suworow-Koniew, a pozostali słuchali pilnie i potem zaczęli potakiwać głowami.

Jefremow trzymał się najdalej. Pełnił na tyle wysoką funkcję, że jego twarz mogła być znana. Tym razem musiał podesłać bliżej mało doświadczonych, najmłodszych funkcjonariuszy. Kazał im wyjąć z uszu minisłuchawki i wyłączyć radiotelefony. Żałował, że jego oficerowie nie potrafią czytać z ruchu ust, jak to zawsze robią agenci w filmach.

Paweł Georgiewicz Jefremow stał w obliczu dylematu. Co powinien teraz zrobić?

Aresztować ich wszystkich i ujawnić tym samym Chińczykom, że Rosjanie znają sprawę czy też kontynuować dozór i ryzykować, że zleceńobiorcy wykonają zlecenie? Rozwiązanie przyszło samo. Dostarczył go jeden z czterech mężczyzn przybyłych na wezwanie Suworowa, najstarszy z nich, około czterdziestki, weteran Specnazu z czasów wojny w Afganistanie, odznaczony Orderem Czerwonego Sztandaru. Nazywał się Igor Maksimow. Podniósł rękę i, pocierając palec wskazujący o kciuk, zadał pytanie. Otrzymałszy odpowiedź pokręcił głową, wstał i odszedł. Dwaj wyznaczeni funkcjonariusze natychmiast za nim poszli do najbliższej stacji metra. Pozostali przy stoliku mężczyźni kontynuowali rozmowę.

Jefremow kazał natychmiast aresztować Maksimowa. Zrobiono to, gdy wysiadł na odległej o pięć kilometrów stacji w pobliżu miejsca, gdzie mieszkał z żoną i synem. Nie opierał się zatrzymaniu. Nie miał też przy sobie żadnej broni. Łagodnie jak baranek poszedł z dwoma oficerami do siedziby FSB, gdzie Jefremow zaczął go przesłuchiwać.

– Wiemy, że nazywacie się Maksimow, Igor Iljicz. Spotkaliście się z waszym przyjacielem, Kliementijem Iwanowiczem, aby omówić uczestnictwo w poważnym przestępstwie. Chcemy usłyszeć waszą wersję tego, co wam zaproponowano.

– Towarzyszu, spotkaliśmy się w gronie starych przyjaciół, by wypić sobie kawkę i pogadać. Potem wyszedłem. O niczym konkretnym nie rozmawialiśmy. Naprawdę nie wiem, o czym mówicie.

– Rozumiem. A teraz powiedzcie mi, czy znacie dwóch byłych żołnierzy Specnazu, Amalrika i Zimianina?

– Słyszałem nazwiska, ale z nikim nie kojarzę.

– Pokażę wam ich fotografie. – Jefremow położył przed przesłuchiwanym fotografie otrzymane od

milicji z Sankt Petersburga. – Niemiły widok, co?

Maksimow nawet nie drgnął.

– Co im się przytrafiło? – spytał.

– Wykonali parę robótek dla twojego przyjaciela Suworowa, ale on był najwyraźniej niezadowolony z ich pracy, więc wysłał ich do kanału, żeby sobie popływali. Wiemy, Maksimow, że służyliście w Specnazie. Wiemy, że zarabiacie na życie wykonywaniem zleceń dla mafii, ale to nas w chwili obecnej nie obchodzi. My chcemy wiedzieć, o czym dokładnie była mowa w kawiarni. Powiesz nam to, bratku po dobroci albo zabawimy się inaczej. Wybór należy do ciebie. – Jefremow potrafił być bardzo twardy, a nawet brutalny wobec swoich

„gości”, jeśli zachodziła taka potrzeba. W tym wypadku nie zachodziła. Maksimowowi nie było obce stosowanie siły. Stosował ją wobec innych, ale wolał uniknąć, by ktokolwiek ją zastosował wobec jego własnej osoby.

– Co dostanę w zamian? – spytał wprost.

– Wolność za pełną współpracę. Opuściliście zebranie przed fazą końcową. I dlatego teraz tu jesteście. Zaczniecie mówić od razu, czy mamy was przez kilka godzin zmiękczać?

Maksimow nie był tchórzem. Specnaz nie przyjmował tchórzy. Był natomiast realistą i realizm mu podpowiadał, że nic nie zyska odmawiając współpracy.

– Zapytał mnie i trzech pozostałych, czy chcemy uczestniczyć w morderstwie. Zakładam, że to miałyby być trudna operacja, bo inaczej po co potrzebowałyby tylu ludzi. Każdemu z nas ofiarowywał dwadzieścia tysięcy euro. Doszedłem do wniosku, że mój czas jest wart dużo więcej.

– Kto miał być celem?

– Nie wiem. Nie powiedział, a ja nie pytałem.

– Dobrze zrobiliście, Maksimow. Bo widzicie, zamordowany miał być prezydent Gruszawoj... Widzę, że zrobiło to na was wrażenie – dodał Jefremow, spostrzegłszy przerażone spojrzenie rozmówcy.

– Przecież to zdrada stanu! – wymamrotał były sierżant Specnazu, usiłując słowom nadać barwę, która by wyraźnie dowodziła, że on nigdy czegoś podobnego by nie zrobił. Szybko się uczył, jak należy rozmawiać z oficerem FSB.

– Tak, to jest zdrada stanu – przyznał Jefremow. – A powiedzcie mi, czy dwadzieścia tysięcy euro to wystarczające honorarium za takie zlecenie?

– Tego nie wiem. Jeśli liczycie na to, że przyznam się do zabijania za pieniądze, to nic z tego,

towarzyszu.

Zabijałeś, zabijałeś, pomyślał Jefremow. A prawdopodobnie i teraz przystałbyś na propozycję Suworowa, gdyby cena była odpowiednio wysoka. W Rosji dwadzieścia tysięcy euro było poważną kwotą. Ale nie czas się nad tym zastanawiać. Jefremow miał ważniejsze sprawy na głowie.

– Ci pozostali trzej, którzy przyszli na spotkanie... Co o nich wiesz?

– Wszyscy to weterani Specnazu. Ilia Susłow i ja służyliśmy razem na wschód od Kandaharu. On jest doskonałym snajperem. Pozostałych znam tylko z widzenia.

Snajper! Snajperzy przydają się przy takich właśnie operacjach, pomyślał Jefremow.

Prezydent Gruszawoj często pokazuje się publicznie. Nawet na następny dzień przygotowywany był wiec, w którym miał uczestniczyć. Najwyższy czas zamknąć sprawę.

– Więc Suworow mówił o morderstwie na zlecenie?

– Tak.

– Dobrze. Teraz wszystko spisujemy, a wy podpiszecie. Mądrze postąpiliście, Maksimow, decydując się na współpracę.

Młodszy stopniem oficer wyprowadził Maksimowa. Jefremow podniósł słuchawkę telefonu.

– Aresztujcie wszystkich – powiedział po chwili dowódca grupy śledzącej Suworowa i innych.

– Spotkanie właśnie się skończyło – usłyszał w odpowiedzi. – Wszyscy są pod ścisłym nadzorem. Suworow wraca właśnie do swojego mieszkania. Jest z nim jeden z trójki.

– Aresztujcie wszystkich.

– Samopoczucie lepsze? – spytał pułkownik Alijew.

– Która godzina?

– Piętnasta czterdzieści, towarzyszu generale – odparł pułkownik. – Spaliście trzynaście godzin. Oto niektóre depesze z Moskwy.

– Pozwoliłeś mi spać tak długo? – warknął generał.

– Wojna jeszcze się nie zaczęła. Nasze przygotowania, w zakresie, w jakim to jest możliwe, postępują zgodnie z planem. Nie było sensu was budzić. Aha, otrzymaliśmy pierwszy zestaw zdjęć z

rekonesansu. Są niewiele lepsze od amerykańskich. Analitycy potwierdzili prognozy. Były złe i są złe. Mamy już wsparcie amerykańskiego samolotu szpiegowskiego, wyładowanego aparaturą nasłuchową, ale podobno Chińczycy zachowują ciszę w eterze, co nie jest żadną niespodzianką.

– Niech to wszyscy diabli, Andriej – odparł generał, przecierając obiema dłońmi nieogolone policzki.

– Przed sądem wojennym postawicie mnie, towarzyszu generale, dopiero po wypiciu kawy. Ja także trochę się przespałem. Wy macie sztab, towarzyszu generale, ja mam sztab, więc postanowiłem pozwolić im spokojnie pracować, podczas kiedy my spaliśmy –

oświadczył oficer operacyjny Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego, wcale nie skruszony.

– A co z „Magazynem Niewerskim”?

– Mamy już sto osiemdziesiąt sprawnych czołgów z załogami. Gorzej jest z piechotą i artylerzystami, ale rezerwiści podeszli do sprawy z dużym entuzjazmem. 256. DPZmot zaczyna po raz pierwszy przypominać prawdziwą jednostkę bojową. – Alijew podał

generałowi kubek kawy z mlekiem i cukrem, tak jak Bondarienko lubił. – Wypijcie, Giennadiju Josifowiczu. – Następnie wskazał na wielki talerz pełen kanapek z masłem i boczkiem.

– Jeśli przeżyjemy, to otrzymacie awans na generała, pułkownika – obiecał Bondarienko.

– Zawsze chciałem zostać generałem. Ale chcę też moim dzieciom dać uniwersyteckie wykształcenie. Wobec tego postarajmy się obaj przeżyć.

– Co z wojskami na granicy?

– Każdemu stanowisku ogniowemu przydzieliłem środki transportu. Wysłałem kilka BWP i rezerwistów z BTR-ami, żeby żołnierze mieli osłonę przed ogniem artyleryjskim, kiedy przyjdzie czas na wycofanie się. Na zdjęciach zrobionych przez M-5 widać sporo artylerii oraz góry amunicji. Na szczęście nasi żołnierze w pasie przygranicznym mają nad głowami grube czapy bunkrów. Poza tym wydaliśmy rozkazy, że załogi nie muszą prosić o zezwolenie na wycofanie się, jeśli sytuacja stanie się krytyczna. Prawo decyzji otrzymali dowódcy kompanii.

– Kiedy Chińczycy mogą ruszyć?

– Z wywiadu nie ma nic nowego. Nadal przemieszczają sprzęt oraz ludzi. Mogę tylko zgadywać, że zaczną nie wcześniej niż za dwadzieścia cztery godziny.

– No i? – spytał Ryan.

– Zwiad satelitarny wskazuje, że wciąż przestawiają pionki na szachownicy – odparł

Foley. – Większość figur jest już na swoich miejscach.

– Są wiadomości z Moskwy?

– Mają wkrótce aresztować głównego podejrzanego. Pewno też i jego chińskiego oficera prowadzącego w ambasadzie. Trochę go pomęczą, ale będą musieli zwolnić, bo przecież ma immunitet dyplomatyczny. – Ed Foley przypomniał sobie, jak w swoim czasie KGB

aresztował w Moskwie jego żonę. Nie było to dla niej przyjemne doświadczenie, a jeszcze mniej przyjemne dla niego. Ale nawet wtedy nie tknęli jej. Dobieranie się do ludzi podróżujących z paszportem dyplomatycznym jest ryzykowne i zdarza się rzadko, wbrew temu, co widzieli przed paroma tygodniami w telewizji. I prawdopodobnie Chińczycy bardzo żałowali tego incydentu, mimo raportów SORGE świadczących, że jest inaczej.

– Powinniśmy zacząć przemieszczać Siły Powietrzne – nalegał wiceprezydent Jackson.

– To mogłoby zostać uznane za prowokację – zauważył sekretarz stanu Adler. – Nie możemy im dawać argumentów do ręki.

– Ale Pierwszą Pancerną możemy przerzucić do Rosji, wyjaśniając, że chodzi o manewry z nowym członkiem NATO – odezwał się Tomcat. – Da nam to trochę czasu.

Ryan długo się zastanawiał, a potem spojrzał na przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów.

– Generale?

– To nam nie zaszkodzi. I nie będzie bardzo trudne. Rosjanie już wszystko uzgadniają z niemieckimi i polskimi kolejami.

– No to niech szybko uzgodnią i wysyłają dywizję – zdecydował prezydent.

– Tak jest, sir! – Generał Moore wstał i wyszedł, żeby wydać odpowiednie dyspozycje.

Ryan spojrzał na zegarek.

– Jestem umówiony z dziennikarzem... – powiedział.

– Baw się dobrze – życzył przyjacielowi Robby i wraz z innymi opuścił gabinet.

Żygańsk na zachodnim brzegu Leny był niegdyś siedzibą regionalnego dowództwa Wojsk Obrony Powietrznej Kraju. Lotnisko było większe od przeciętnego wojskowego, pasy startowe dłuższe, a liczne hangary, magazyny, koszary i inne budynki, obecnie puste, pozostawały w niezłym stanie technicznym. Siły zbrojne Federacji Rosyjskiej ich nie używały, ale zdecydowano pozostawić

wszystko ze szkieletową obsadą na wypadek, gdyby bazy potrzebowano w przyszłości. Była to szczęśliwa decyzja, gdyż owa przyszłość właśnie nadeszła, i Siły Powietrzne USA niemal natychmiast mogły się tam usadowiać. W pierwszym rzucie przybyły skokami przez Alaskę i biegun północny samoloty transportowe. Pierwsze z trzydziestu wielkich C-5 Galaxy wylądowały o dziesiątej rano czasu lokalnego, a teraz kołowały po betonie, kierowane przez własną obsługę naziemną, która przespała noc w obszernych kabinach pasażerskich we wnętrzach potężnych kadłubów. Pierwszym ładunkiem wytoczonym z ładowni tych powietrznych gigantów były bezpilotowe statki latające, czyli BSL, zwiadowcze Dark Star, podobne do bagietki, której ktoś dodał skrzydła komara-olbrzymia. Przygotowanie ich do lotu wymagało sześciu godzin. Obsługa natychmiast się tym zajęła, korzystając z polowych zestawów narzędziowych, przysłanych tym samym transportowcem.

Samoloty myśliwskie i szturmowe skierowano do Suntaru, znacznie bliżej chińskiej granicy. Cysterny powietrzne KC-135 i samoloty wsparcia, między innymi AWACS-y –

powietrzne punkty dowodzenia i kontroli obszaru E-3 Sentry, wylądowały na zachód od Suntaru, w Mimyj. W tych dwóch ostatnich bazach Amerykanie na każdym prawie szczelbu zastali swoich rosyjskich odpowiedników i natychmiast wszystkie sztaby rozpoczęły ścisłą współpracę. Amerykańskie cysterny powietrzne nie mogły zaopatrywać w paliwo samolotów rosyjskich, natomiast, ku powszechnej uldze, okazało się, że nie ma podobnego problemu z tankowaniem na ziemi. Amerykańskie samoloty mogły pobierać paliwo wprost z gigantycznych, przeważnie podziemnych – by je chronić przed ewentualnymi wybuchami nuklearnymi – zbiorników rosyjskich wyposażonych w instalację do tankowania identyczną jak na lotniskach NATO. Była to pamiątka z czasów zimnej wojny – Rosjanie tak zaprojektowali swoje samoloty bojowe, by na europejskich lotniskach bez problemu móc korzystać ze zdobyczego paliwa i bomb. Najważniejszym elementem wspólnego działania było wyznaczenie rosyjskich kontrolerów do AWACS-ów, tak by piloci rosyjskich myśliwców mogli być informowani i naprowadzani z amerykańskich samolotów dozoru radarowego. Niemal natychmiast niektóre E-3 wzniosły się w powietrze, by przeprowadzić próbę takiej współpracy. Wykorzystano przy tym amerykańskie myśliwce jako ćwiczebne cele do powietrznego przechwytywania. Szybko stwierdzono, że rosyjscy piloci myśliwscy doskonale znaleźli się w nowych warunkach działania.

Również niemal natychmiast stwierdzono, że amerykańskie samoloty nie będą mogły korzystać z rosyjskich bomb. Uniemożliwiały to odmienne charakterystyki aerodynamiczne bomb oraz stosowanie różniących się od rosyjskich elektronicznych systemów celowniczych, mimo że węzły podwieszeń oraz zamki bombowe pozwalały na wymienne używanie uzbrojenia. Skoro nie można było korzystać z rosyjskich bomb, trzeba było je przywieźć z Ameryki. Tylko że było to równie nieekonomiczne, jak wożenie samolotem żwiru do budowy drogi. Bomby zawsze przywożono do baz Sił Powietrznych okrętami, pociągami lub ciężarówkami, ale nigdy samolotem. Dlatego też B-1 i inne bombowce wysyłano do bazy Sił

Powietrznych Anderson na wyspie Guam, gdzie znajdowały się składy ciężkiej amunicji lotniczej, chociaż było to bardzo daleko od potencjalnych celów.

Kawaleria pancerna poszła na pierwszy ogień. Pod czujnym okiem podpułkownika Angela Giustiego czołgi M1A2 Abrams oraz bojowe wozy piechoty M3 Bradley wtaczały się kolejno na otwarte platformy niemieckich kolei. Załadowywano także cysterny z paliwem i ciężarówki. Załogi udały się do wagonów pasażerskich. Po niedługim czasie cały skład opuścił bocznice, udając się przez Polskę w stronę granicy Białorusi, gdzie miano sprzęt i ludzi przeładować na wagony o rosyjskim, szerszym rozstawie osi i ruszyć dalej na wschód.

Dziwne, że załadunkowi czołgów Giustiego nie towarzyszyła żadna ekipa telewizyjna. Sam Giusti był zdumiony. Na dłuższą metę nie ukryje się niespodziewanego przemieszczania jednostek, ale chwilowo bardzo to pomogło żołnierzom rozpoznania Pierwszej Pancерnej skoncentrować się na robocie. Dywizyjna brygada śmigłowców czekała w swojej bazie na samoloty Sił Powietrznych, którymi miano je przewieźć na Syberię. Jakiś geniusz zdecydował, że śmigłowce nie polecą same, do czego, zdaniem Giustiego, były absolutnie zdolne. Jednakże generał Diggs powiedział młodemu podpułkownikowi, żeby się nie martwił.

Od tej chwili Giusti martwił się tylko po cichu. Usiadł teraz na niewygodnej ławce w pierwszym wagonie i z oficerami ze sztabu studiował mapy dopiero co powielone przez dywizyjną komórkę kartograficzną. Mapy pokazywały teren, na którym być może przyjdzie im walczyć, bez trudu bowiem potrafili określić miejsce najprawdopodobniejszego uderzenia Chińczyków.

– I co zrobimy? – spytał Bob Holtzman.

– Zaczniemy od zgromadzenia sił mogących wesprzeć naszych sojuszników –

odpowiedział dziennikarzowi Ryan. – Już właściwie zaczęliśmy dyslokację tych sił. Mamy nadzieję, że ChRL to zauważy i raz jeszcze przemyśli celowość obranego kursu.

– Czy jesteśmy w kontakcie z Pekinem?

– Tak – odparł prezydent. – Charge d'affaires naszej ambasady w Pekinie, William Kilmer, wręczył chińskiemu MSZ notę naszego rządu. Oczekujemy teraz oficjalnej odpowiedzi.

– Czy chce mi pan powiedzieć, panie prezydencie, że pana zdaniem rozpocznie się prawdziwa wojna między Chinami a Rosją?

– Robimy wszystko, aby zapobiec wybuchowi wojny. I prosimy rząd chiński o przemyślenie swego stanowiska i wynikających z niego konsekwencji. Moim zdaniem w dzisiejszym świecie wojna już nie pełni roli ważnej czy jedynej opcji politycznej. Dawniej tak mogło być, ale dziś już nie. Wojna przynosi tylko śmierć i zniszczenia. Niczego nie rozwiązuje. Ginie dużo ludzi, żołnierzy i cywilów, a życie ludzkie jest zbyt wielkim dobrem, by je trwonić. Celem istnienia rządów jest służenie interesom i potrzebom obywateli. Mam nadzieję, że kierownictwo Chińskiej Republiki Ludowej wreszcie to zrozumie. – Ryan na chwilę zamilkł, by potem dodać: – Przed paroma dniami byłem w

Auschwitz. To przeżycie skłoniło mnie do przemyślenia wielu rzeczy. Niemal namacalnie odczuwałem tam honor przeszłości. Niemal słyszałem jęki, płacz i rozdzierające krzyki, czułem zapach śmierci, widziałem szeregi ludzkich szkieletów prowadzone pod lufami karabinów do miejsc, gdzie ich zabijano. Nagle Auschwitz przestał być dla mnie czarno-białym filmem...

– I nagle uświadomiłem sobie – ciągnął prezydent po chwili namysłu – że żaden rząd na świecie nie ma prawa uczestniczyć w wojnie z chęci zysku. Nie ma na to usprawiedliwienia.

Pospolici przestępcy napadają na sklepy monopolowe. I są państwa, które napadają na inne państwa, żeby im zrabować ropę, złoto albo ziemię. Hitler napadł na Polskę, by zapewnić Niemcom Lebensraum, ale przecież tam już mieszkali inni ludzie, którym ten bandyta postanowił ukraść ziemię. I do tego sprowadza się problem wojny. Nie jest to produkt mądrej polityki ani wielkiej, godnej pochwały wizji. Hitler był złodziejem, zanim jeszcze stał się mordercą. Nie, Stany Zjednoczone Ameryki nie będą stały bezczynnie i patrzyły, jak historia się powtarza. – Ryan przerwał i wypił łyk wody.

– Ale wielu ludzi uważa, że to amerykańska polityka wobec Chin doprowadziła do obecnej sytuacji. I że dyplomatyczne uznanie Tajwanu...

Ryan przerwał Holtzmanowi.

– Bob, nie chcę tego słyszeć. Rząd Republiki Chińskiej jest demokratycznie wybranym rządem. Ameryka popiera rządy demokratyczne. Chcesz wiedzieć, dlaczego? Ponieważ wolność i samostanowienie są naszymi hasłami. Ani ja, ani Ameryka nie mieliśmy nic wspólnego z mordami, popełnianymi na zimno, które oglądaliśmy w telewizji: śmierć nuncjusza apostolskiego, kardynała DiMilo, oraz zabójstwo chińskiego duchownego, Yu Fu Ana. Nie mieliśmy z tym absolutnie nic wspólnego. Cały cywilizowany świat wyraził swoje oburzenie z powodu tej zbrodni i zachowania władz ChRL. Chiny miały pełną szansę wyjaśnienia sprawy, przeprowadzenia dochodzenia i ukarania morderców, ale tego nie zrobiły i świat zareagował. Pekin sam doprowadził do obecnej sytuacji.

– Ale o co tu właściwie chodzi? Dlaczego Chińczycy koncentrują siły na rosyjskiej granicy?

– Po prostu chcą mieć to, co posiadają Rosjanie. Nowo odkryte złoża ropy i złoto.

Podobną motywacją kierował się Irak, gdy napadł na Kuwejt. Wtedy też chodziło o ropę. O

pieniądze, jakie daje ropa. Była to zbrojna napaść, taka sama jak napaść rzezimieszków na sklep jubilerski. Albo na emerytkę wracającą z zasiłkiem z biura pomocy społecznej. Uliczne rozboje zwalczamy z całą surowością prawa, natomiast kiedy dzieje się to na szczeblu państwa, jesteśmy dziwnie wyrozumiali. Ale z tym już koniec, Bob. Świat nie będzie tego dłużej znosił. Ameryka nie będzie stała bezczynnie i przyglądała się obrabowywaniu naszego sojusznika. Cynceron powiedział niegdyś, że Rzym stał się wielki nie tyle dzięki podbojom, co polityce udzielania pomocy przyjacielom. Narody zdobywają szacunek działaniem w imię czegoś, a nie przeciwko czemuś. Ameryka jest za demokracją, za samostanowieniem narodów, za wolnością. Powiedzieliśmy ChRL, że jeśli dojdzie do agresji, Ameryka stanie u boku Rosji przeciwko agresorowi. Wierzymy w świat,

w którym panuje pokój i porządek.

Dość zabijania! Czas z tym skończyć. I Ameryka musi tego dopilnować.

– Ameryka policjantem świata! – zaśmiał się Holtzman.

Prezydent natychmiast zaprzeczył ruchem głowy.

– Na pewno nie – zaprotestował. – Ale będziemy bronić sojuszników. Federacja Rosyjska jest teraz sojusznikiem. Staliśmy u boku Rosji, żeby pokonać Hitlera. Staniemy i teraz.

– I znowu wyślemy naszą młodzież na wojnę?

– Do wojny może nie dojść – odparł Ryan dziennikarzowi. – Jeszcze nie ma dziś wojny.

Ani Ameryka, ani Rosja jej nie rozpoczną. Sprawa pozostaje w rękach Chin. Państwu wcale nie jest tak bardzo trudno powiedzieć swojej armii, by odłożyła broń do magazynów, Tylko profesjonalny najemnik uwielbia wojnę. I to też nie każdy. Rezerwista, który widział już pole bitwy nie rwie się do walki. Powiem ci jedno, Bob: jeśli ChRL dopuści się agresji i z tego powodu życie choćby jednego obywatela amerykańskiego zostanie zagrożone, to ci, którzy spuścili psy ze smyczy, sami mogą stracić życie.

– Doktryna Ryana? – spytał Holtzman.

– Może pan to nazywać, jak pan chce. Jeśli wolno zabić jakiegoś żołnierza za to, że robi to, co mu kazał jego rząd, to chyba również wolno zabijać ludzi, wydających rozkazy.

Arnie van Damm, który siał w otwartych drzwiach, zaklął w duchu. Jack, nie powinieneś być tego powiedzieć, pomyślał.

– Dziękuję panu, panie prezydencie, za poświęcenie mi swojego czasu. – Holtzman wstał.

– Kiedy wygłosi pan orędzie do narodu?

– Jutro. Jeśli Bóg da, to będę mógł powiedzieć, że Chińska Republika Ludowa zrewidowała swoje stanowisko. Zamierzam zadzwonić do premiera Xu i osobiście apelować do niego o pokój.

– Życzę powodzenia, panie prezydencie.

– Jesteśmy gotowi – oznajmił marszałek Luo. – Rozpoczynamy operację tuż przed świtem.

– Co zrobili dotychczas Amerykanie?

– Podesłali Rosjanom jakieś samoloty, ale mnie ich samoloty nie obchodzą – odparł

minister obrony. – Mogą kłuć jak komar, ale wojskom lądowym nie potrafią zrobić wiele złego. Pierwszego dnia pokonamy dwadzieścia kilometrów. A następnego, i podczas dalszych dni, będziemy pokonywać po pięćdziesiąt kilometrów. Może i więcej. Wszystko zależy od tego, jaki opór będą stawiać Rosjanie. Rosyjskie lotnictwo to papierowy tygrys. Łatwo będzie je zniszczyć. Rosjanie zaczynają przemieszczać swoje jednostki pancerne na wschód od syberyjskiej magistrali, ale my zbombardujemy ich bazę przeładunkową w Cziecie.

– Jesteście pewni swego, towarzyszu marszałku? – zapytał Zhang.

– Za osiem dni położymy rękę na ich złocie. No i potem jeszcze dziesięć dni do złóż ropy

– wyjaśnił spokojnym głosem marszałek Luo.

– Więc jesteście spokojni?

– Absolutnie.

– Dziś ma zadzwonić do was prezydent USA – zawiadomił premiera minister spraw zagranicznych.

– I co mi powie? – zapytał Xu.

– Ma to być osobisty apel o pokój.

– Jeśli zaapeluje, to co mam mu odpowiedzieć?

– Niech odbierze osobisty sekretarz i powie, że premier uczestniczy w wiecu – poradził

Zhang. – Nie rozmawiaj z tym głupcem.

Shen nie do końca popierał obecną politykę państwa, niemniej teraz skinął głową.

Należało unikać osobistych konfrontacji na tym szczeblu, ponieważ Xu nie dałby sobie rady.

Ministerstwo Shena gorączkowo usiłowało zbudować profil psychologiczny amerykańskiego prezydenta, który okazał się zupełnie inny od swoich poprzedników. MSZ zupełnie nie wiedziało, jak z nim rozmawiać.

– A co z naszą odpowiedzią na ich notę? – zapytał Fang. – Wysłana?

– Nie udzieliliśmy Amerykanom żadnej oficjalnej odpowiedzi – odparł Shen.

– Bardzo mi zależy, żeby nie dać im pretekstu do nazwania nas kłamcami – powiedział

Fang. – Byłoby to bardzo niefortunne i zaciążyłoby na przyszłych stosunkach.

– Zanadto się wszystkim przejmujesz, Fang – skomentował Zhang z uśmiechem na ustach.

– Nie w tym przypadku. Fang ma rację – wsparł kolegę minister spraw zagranicznych. –

Państwa powinny móc wzajemnie ufać swoim oświadczeniom. Musimy pamiętać, towarzysze, że przyjdzie „powojenny czas”, kiedy to będziemy musieli przywrócić normalne stosunki z innymi państwami świata. Jeśli w oczach tego świata pozostaniemy wyrzutkami, to będziemy mieli poważne trudności.

– Jest w tym sens – zgodził się Xu, po raz pierwszy wyrażając własną opinię na jakiś temat. – Nie przyjmę telefonu z Waszyngtonu, ale nie pozwolę, by Amerykanie nazwali nas kłamcami.

– Jest jeszcze jedna sprawa – odezwał się Luo. – Rosjanie po swojej stronie granicy rozpoczęli zwiad lotniczy z bardzo wysokiego pułapu. Proponuję zestrzelić następny samolot, który pojawi się w pobliżu granicy. Będziemy mogli powiedzieć, że była to prowokacja, że rosyjski samolot wojskowy naruszył naszą przestrzeń powietrzną. Wyjdzie na to, że to Rosjanie zaczęli awanturę.

– Doskonały pomysł – zgodził się Zhang.

– No i? – spytał John.

– Jest w domu – odparł Kirilin. – Ekipa już czeka, by iść na górę i aresztować go. Masz ochotę przyjrzeć się?

– Oczywiście, że mam. – On i Chavez byli w policyjnych kombinezonach. Clark uważał

ten strój za nieco teatralny, ale Rosjanie się uparli w trosce o bezpieczeństwo swoich amerykańskich gości. – Jak to ma się odbyć?

– Mamy czterech ludzi w mieszkaniu obok. Ale nie oczekujemy specjalnych trudności –

powiedział Kirilin. – Proszę za mną.

– To łatwizna, John – odezwał się Chavez po hiszpańsku.

– Masz rację. Robią pokaz, żebyśmy mieli co opowiadać. I pochwalić sprawność ich działania. – Poszli do windy za Kirilinem i młodszym oficerem. Windą wjechali na właściwe piętro. Szybkie spojrzenie dookoła upewniło ich, że korytarz jest pusty. Bezszelestnie weszli do mieszkania zajętego przez FSB.

– Jesteśmy gotowi – zameldował generałowi major Specnazu. – Suworow siedzi w kuchni, roztrząsając sprawy z gościem. Zastanawiają się, jak zabić prezydenta Gruszawoja, kiedy jutro będzie jechał do parlamentu. Z karabinu wyborowego. Z odległości ośmiuset metrów.

– Wygląda na to, że dobrze ich szkoliliście – stwierdził Clark. Osiemset metrów było maksymalną granicą dla bardzo dobrego strzelca. Zwłaszcza, gdy celuje do człowieka w ruchu.

– Zaczynajcie, majorze! – rozkazał Kirilin.

Cała ekipa wyszła na korytarz. Pozostali także mieli na sobie czarne kombinezony z nomexu oraz broń, którą dostarczył im Clark i jego ludzie: pistolety maszynowe MP-10 oraz pistolety Beretta kalibru 0,45 cala i aparaty do łączności taktycznej. Amerykanie byli identycznie wyposażeni, ale nie mieli broni. Rosjanie byli gotowi. Czujni, zmobilizowani, ale nie spięci. Po prostu odpowiedni poziom napięcia.

Major poszedł pierwszy w kierunku drzwi mieszkania Suworowa. Pirotechnik wypełnił miejsce styku drzwi z framugą cienutkim wałkiem plastiku i odstąpił na bok, patrząc na dowódcę.

– Wal – szepnął major.

Nim Clark pojął sens tego krótkiego słowa, ogłuszył go huk wybuchu, który cisnął w głąb mieszkania solidne drzwi. Następnie major i porucznik wrzucili oślepiające i ogłuszające granaty, by zdezorientować każdego, kto mógłby czekać z bronią w ręku. Rosjanie wpadli do mieszkania parami, tak jak ich uczono, i to był jedyny odgłos oprócz rozpaczliwego krzyku z głębi korytarza. Zawodziła jedna z sąsiadek, której nikt nie poinformował o mających nastąpić wydarzeniach. John i Chavez pozostali na korytarzu, póki zza framugi nie pokazała się ręka, która wykonała gest zapraszający ich do środka.

Resztki drzwi wejściowych nadawały się tylko na podpałkę, Niebieska sofa była nadpalona, a leżący na ziemi dywan w strzępach po kontakcie z granatami ogłuszającymi.

Suworow i Stojkow znajdowali się w kuchni, będącej najwyraźniej sercem każdego rosyjskiego mieszkania. Dzięki temu nie odnieśli żadnych obrażeń, ale byli w stanie szoku, co zresztą nikogo nie mogło dziwić. Nie widać było żadnej broni, co zaskoczyło Rosjan, ale nie Clarka. Obaj spiskowcy leżeli na posadzce, wykręcone do tyłu ręce mieli skute kajdankami, a lufy pistoletów niemal dotykały ich głów.

– Witam, Kliementiju Iwanowiczu – odezwał się generał Kirilin. – Musimy pogadać.

Starszy z mężczyzn leżących na ziemi nie zareagował. Po pierwsze, nie miał większej po temu możliwości, a poza tym dobrze wiedział, że żadna rozmowa nie poprawi jego sytuacji.

Ze wszystkich obecnych Clark miał dla niego najwięcej współczucia. Organizowanie tajnej operacji jest zawsze trudne i wyczerpujące, a jej udaremnienie potrafi załamać najlepszego spiskowca. Johnowi nigdy to się nie przytrafiło, ale często myślał, co będzie, jeśli się przytrafi.

John uznał, że trzeba coś powiedzieć.

– Sprawnie przeprowadzona akcja, majorze. Może użyliście ciut za dużo materiału wybuchowego, ale my często też tak robimy na wszelki wypadek.

- Dziękuję, generale Clark. – Rosyjski major był uradowany pochwałą, ale usiłował tego nie okazywać w obecności podwładnych, którym chciał zawsze wydawać się bardzo pewny siebie.
- Co teraz z nimi zrobicie, Juriju Andriejewiczu? – zapytał John Clark.
- Będą przesłuchiwać. Są podejrzani o morderstwo, spisek i zdradę stanu. Przed pół godziną zwinęliśmy Konga i Chińczyk szybko zaczął się spowiadać – poinformował głośno generał Kirilin, oczywiście kłamiąc. Suworow może w to nie uwierzy, ale słysząc podobne oświadczenie zacznie rozmyślać. – Zabierzcie ich – rozkazał i mrugnął porozumiewawczo do Clarka.
- Ledwo wyprowadzono obu mężczyzn, gdy pojawił się oficer FSB, włączył komputer Suworowa i zaczął dokładnie sprawdzać jego zawartość.
- Kim pan jest? – spytał Clarka właśnie przybyły, nieznany mu cywil.
- John Clark – odparł i zapytał po rosyjsku: – A pan kim jest?
- Nazywam się Prowałow i jestem porucznikiem milicji. Prowadzę śledztwo.
- W sprawie tamtych zamordowanych?
- Właśnie.
- No to chyba przyłapano pańskiego podejrzanego.
- Tak, Suworow jest mordercą.
- Jeszcze gorzej – powiedział Chavez, włączając się do rozmowy.
- Nie ma gorszej rzeczy niż morderstwo – odparł Prowałow, jak przystało na prawdziwego gliniarza.
- Być może. – Chavez oceniał sytuację z bardziej praktycznego punktu widzenia. – Ale wszystko zależy od tego, czy potrzebny jest rachmistrz do liczenia trupów.

Rozdział 50

Burza i pioruny

– Złapali go – poinformował Ryana Murray. – Clark był obecny podczas akcji. Bardzo to ekumeniczne ze strony Ruskich.

– Chcą być naprawdę naszymi sojusznikami, a Tęcza jest jednostką NATO. Będzie śpiewał?

– Moim zdaniem zacznie śpiewać jak słowik – wyraził przypuszczenie dyrektor FBI. –

Odczytywanie podejrzanym ich praw jeszcze się nie przyjęło w Rosji. A ich techniki przesłuchań są, jakby tu powiedzieć, bardziej... energiczne od naszych. W każdym razie jest to coś, co można pokazać w telewizji, co zmobilizuje ludzi. No więc jak, szefie? Będzie wojna?

– Usiłujemy do niej nie dopuścić, Dan, ale... – Ryan rozłożył ręce.

– Rozumiem – odparł Murray i odwiesił słuchawkę, a Ryan spojrzął na zegarek i nacisnął guzik interkomu na aparacie telefonicznym.

– Czy możesz przyjść, Ellen?

Sekretarce zajęło to zwyczajowe pięć sekund.

– Słucham, panie prezydencie?

– Potrzebuję jednego. I czas na zadzwonienie do Pekinu. Sekretarka podała Ryanowi papierosa i wróciła do sekretariatu.

Ryan zobaczył, że na jednym z aparatów telefonicznych pojawiło się światełko. Zapalił

papierosa i czekał. Przygotował się do rozmowy z premierem Xu, obok którego z pewnością będzie siedział dobry tłumacz. Wiedział też, że Xu jest nadal w swoim gabinecie. Nie było trudno domyślić się, dlaczego. Przygotowywanie wojny światowej wymaga dużo czasu.

Minie jeszcze z pewnością pół minuty, nim po tamtej stronie zadzwoni telefon, potem Ellen Sumter będzie rozmawiała z telefonistką – Chińczycy zatrudniali telefonistki, a w siedzibie ich premiera nie było sekretarek-recepcjonistek, tak jak w Białym Domu – i wreszcie go połączą. Na to trzeba liczyć jeszcze pół minuty, no i w końcu Jack będzie mógł przedstawić swoje racje premierowi Xu. Przemyśl to jeszcze raz, kolego, bo inaczej może się stać coś bardzo złego. Złego dla naszego kraju i złego dla waszego. Mickey Moore obiecywał coś, co nazwał hiperwojną, a co mogło okazać się tragiczną wieścią dla drugiej strony. Światełko na aparacie paliło się, ale Ellen nie włączała brzęczyka sygnalizującego, by podniósł

słuchawkę... Dlaczego? Xu jest przecież w swoim gabinecie. Ambasada w Pekinie przez cały czas ma go na oku. Ryan nie wiedział, jak oni to robią, ale był pewien, że skoro informują, że Xu jest, to znaczy, że jest. Zresztą to nie była taka wielka sztuka. Wystarczyło, by ktoś z ambasady, pewno

pracownik Firmy, stał na rogu ulicy z telefonem komórkowym i sprawdzał

czy w gabinecie premiera pali się światło, składając od czasu do czasu meldunki do ambasady, która z kolei na bieżąco informowała Departamentu Stanu, skąd wiadomość docierała natychmiast do Białego Domu. Ostatnia informacja brzmiała, że Xu nie opuścił

gabinetu. Nagle światełko na aparacie zgasło, a z interkomu dobiegł głos Ellen:

– Panie prezydencie, oni mówią, że premiera nie ma.

– Naprawdę? Każ Departamentowi Stanu potwierdzić tę informację.

– Tak jest panie prezydencie... – Nastąpiło czterdzieści sekund ciszy. – Panie prezydencie, ambasada w Pekinie potwierdza, że premier Xu jest w swoim gabinecie.

– Ale jego ludzie twierdzą inaczej?

– Twierdzą, że go nie ma.

– A kiedy ma wrócić?

– Pytałam. Powiedzieli mi, że nie wiedzą.

– Jasna cholera! Daj mi sekretarza stanu.

– Słucham, Jack? – odezwał się po paru sekundach Adler.

– Xu nie chce ze mną gadać, Scott.

– Nic dziwnego. Politbiuro nie ufa mu na tyle, by mógł rozmawiać bez napisanego tekstu.

Zupełnie jak Arnie i ja, pomyślał Ryan z złością, ale i rozbawieniem.

– I co teraz robimy?

– Kanałami dyplomatycznymi nie możemy już zrobić nic. Wysłaliśmy ostrą notę i nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Twoje stanowisko w kwestii stosunków chińsko-rosyjskich jest jasne. Jeśli nie chcą z nami rozmawiać, to znaczy, że przestało im zależeć na stosunkach z nami.

– Jasna cholera!

– Też tak sędzę – odparł sekretarz stanu.

– Chcesz mi powiedzieć, że ich już nic nie powstrzyma?

– Właśnie to chciałem powiedzieć – odparł Adler. – Musimy powiedzieć naszym obywatelom, żeby wynosili się z Chin. Komunikaty mamy już przygotowane.

- Doskonale, puszczajcie je – zdecydował Ryan, czując nagłą pustkę w brzuchu. Zmienił słuchawkę i nacisnął guzik połączenia z sekretarzem obrony.
- Słucham – odezwał się Tony Bretano.
- Mówi Jack. Wygląda na to, że nie obejdzie się bez strzelaniny.
- Rozumiem, panie prezydencie. Natychmiast zawiadamiam Kolegium.

W ciągu zaledwie kilku minut alarmowe depesze zostały wysłane do wszystkich dowództw Sił Zbrojnych USA na całym świecie. Było ich wiele, ale w tym momencie najważniejszy wydawał się CINCPAC, admirał Bart Mancuso w Pearl Harbor na Hawajach.

Minęła właśnie trzecia nad ranem, kiedy zabrzączał STU tuż przy łóżku admirała.

- Mancuso... – odezwał się zaspanym głosem admirał.
- Tu oficer dyżurny, sir. Waszyngton informuje, że w każdej chwili można spodziewać się rozpoczęcia konfliktu zbrojnego między ChRL a Federacją Rosyjską.

Najprawdopodobniej w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Poleca się panu, sir, podjęcie wszelkich niezbędnych kroków. Depeszę sygnował sekretarz obrony, sir –

zameldował komandor podporucznik. Mancuso oparł już obie stopy na podłodze.

- Zbierz cały sztab. Będę w biurze za dziesięć minut.
- Tak jest, sir.

Kierowca w stopniu starszego bosmana czekał już przed domem. Gdy Mancuso wyszedł, zobaczył też czterech uzbrojonych żołnierzy piechoty morskiej. Najstarszy rangą zasalutował, a pozostali rozglądali się podejrzliwie, wypatrując zagrożenia, które z pewnością jeszcze nie istniało, ale mogło się pojawić.

Po kilku minutach Mancuso wszedł do siedziby Dowództwa Pacyfiku na szczycie pagórka, w budynku dominującym nad bazą Marynarki. Czekał już na niego generał Lahr.

– Jak tu dotarłeś tak szybko? – spytał Mancuso.

– Akurat przechodziłem obok, panie admirale – odparł szef wywiadu. Lahr wszedł za Mancuso do gabinetu.

– Mów co się dzieje.

– Prezydent usiłował porozumieć się telefonicznie z premierem Xu, ale ten nie chciał podnieść słuchawki. Niezbyt to dobry sygnał od naszych chińskich braci – stwierdził Lahr.

– Co robią ci nasi bracia? – spytał Mancuso, kiedy steward przyniósł kawę i wyszedł.

– Niewiele w strefie naszego bezpośredniego zainteresowania, ale blisko granicy rosyjskiej zgromadzili potężne siły. Praktycznie rzecz biorąc nad samym Amurem. – Lahr ustawił mapy na stojaku i zaczął wodzić palcem po plastikowej folii z zakreślonymi czerwoną kredką miejscami koncentracji chińskich wojsk, a po drugiej stronie rosyjskich, oznaczonych na niebiesko. Po raz pierwszy w życiu Mancuso widział mapę, na której rosyjskie siły oznaczono niebieskim kolorem. Niebieski w nomenklaturze wojskowej oznacza siły przyjazne, a czerwony wrogie. Był tak zaskoczony, że mu nawet do głowy nie przyszły słowa komentarza.

– Co robimy?

– Wysyłamy sporo samolotów na Syberię. Myśliwce są tu, w Suntarze. Baza samolotów rozpoznania w Żygańsku. – Lahr wskazał palcem. – Niedługo powinny znaleźć się w powietrzu Dark Star. Zobaczymy, co są warte. Po raz pierwszy ich używamy w prawdziwej wojnie. Siły Powietrzne pokładają w nich wielkie nadzieje. Mamy też w tej chwili satelity fotografujące dyslokację chińskich sił. Chińczycy dobrze ukryli ciężki sprzęt, ale radary Lacrosse przenikają przez siatki maskujące.

– To wszystko?

– Można jeszcze dodać, że Chińczycy skoncentrowali nad granicą ponad półmilionowe siły. Pięć armii. Każda składa się z jednej dywizji pancernej, dwóch zmechanizowanych i jednej piechoty zmotoryzowanej. Chińskie struktury dowodzenia są dalekie od doskonałości, jeśli idzie o koordynację działania sił lądowych i powietrznych. A ich lotnictwo nie jest bardzo dobre według naszych standardów, choć liczebnie jest większe od rosyjskiego. Jeśli idzie o zasoby ludzkie, Chińczycy mają olbrzymią przewagę. Rosjanie z kolei mają gigantyczne boisko do rozgrywania tego meczu, ale w zwarciu stawiałbym na Chińczyków.

– Jak jest na morzu?

– Większość okrętów stoi w portach. Mają bardzo mało jednostek na morzu, ale zdjęcia satelitarne wskazują, że wiele okrętów przygotowuje się do wypłynięcia. Oczekiwałbym ich rychłego pojawienia się, ale raczej blisko brzegów. Ich zadaniem będzie pilnowanie brzegu i demonstrowanie obecności.

Mancuso nie potrzebował pytać, jakie jednostki jego floty są na morzu. Miał teraz sześć okrętów podwodnych u wybrzeży chińskich oraz okręty nawodne kręcące się po Pacyfiku.

Jeśli Chińczycy zaczną, gorzko pożałują.

– Jakie mamy rozkazy?

– Chwilowo tylko działania obronne – odparł Lahr.

– Dobrze. A więc dla okrętów nawodnych odległość od chińskich brzegów minimum dwieście mil. Lotniskowce sto mil dalej. Okręty podwodne mogą trzymać się blisko i obserwować okręty chińskie, ale niech nie otwierają ognia, chyba że zostaną zaczepione. I żeby mi żadnego Chińczycy nie wykryli. Nie chcę, żeby zauważyli cokolwiek, co jest pomalowane na szaro.

– Dzień dobry, panie doktorze. – Starszy bosman sztabowy Leek podszedł natychmiast, gdy Gregory zjawił się pod pokładem. Od razu wskazał też wielki termos z kawą. Paliwem marynarzy była zawsze kawa, a nie wysokoprocentowe destylaty. W każdym razie dotyczyło to oficerów i podoficerów oraz wszystkich innych na służbie.

– Jak idzie remont? – spytał Gregory.

– Zakładają nam dzisiaj nową śrubę.

– A co nowego u nas? – spytał Gregory.

– Wszystko już zainstalowane i, co najważniejsze, działa. Przed dwudziestoma minutami założyli panel. Zgadza się, panie Olsen? – Leek zwrócił się do swego bezpośredniego zwierzchnika, młodego porucznika, który właśnie wynurzył się z mroku. – Panie poruczniku, to jest doktor Gregory z TWR.

– Witam! – Porucznik Olsen wyciągnął do Gregory'ego rękę.

– Kończył pan Dartmouth, tak? – spytał Gregory.

– Fizykę i matematykę. A pan?

– Najpierw West Point, potem matematykę w Stony Brook.

– West Point..? – zdziwił się Leek.

– Różnych rzeczy liznałem. – Gregory uśmiechnął się. – Nawet szkołę Rangersów. –

Zawsze miał ten problem: ludzie na niego patrzyli i myśleli, że mają do czynienia z układnym mięczakiem. Lubił ich zaskakiwać. – Mam też na koncie kurs spadochroniarski. Kiedy byłem młody i głupi, skoczyłem dziewiętnaście razy.

– I po tym wszystkim poszedł pan pewno do SDI? – spytał Olsen, nalewając sobie kawy.

– Tak. Przez kilka lat dawało mi to satysfakcję, a potem znudziły mi się „Wojny Gwiezdne”. Ale TWR mnie wynajęło, nim całkowicie się zniechęciłem. Kiedy był pan w Dartmouth, poruczniku, czy Bob Jastrow był jeszcze dziekanem?

– Tak. Zdaje się, że też miał coś wspólnego z SDI, prawda?

Gregory skinął głową.

– Bob to niegłupi facet.

– Czym się pan teraz zajmuje w TWR?

– W tej chwili kieruję programem dotyczącym rakiet przeciwlotniczych. To taka pochodna mojej pracy w SDI. Ale wypożyczają mnie często do innych zadań. Zajmuję się głównie oprogramowaniem.

– A teraz majstruje pan przy naszych SM-2?

– Tak. Przygotowałem udoskonalone oprogramowanie głowicy naprowadzającej.

Sen zrobił swoje, pomyślał Bondarienko. Trzynaście godzin! I nawet ani razu się nie obudził, żeby pójść do toalety. Musiał tego snu bardzo potrzebować. Alijew dobrze się przez ten czas spisywał. Zasłużył na generalskie gwiazdki.

Idąc na wieczorną naradę sztabu czuł się świetnie, póki nie zobaczył twarzy swoich oficerów.

– Coś nowego? – spytał, siadając.

– Nic – oświadczył pułkownik Tołkunow w imieniu zespołu wywiadu. – Fotografie z samolotów zwiadowczych dużo nie pokazują, ale wiemy, że oni tam są, nadal zachowując ciszę radiową. Musieli przeciągnąć wiele linii telefonicznych. Są indywidualne meldunki o ludziach z lornetkami na szczytach południowego pasma. Aha, to otrzymaliśmy z Moskwy...

Federalna Służba Bezpieczeństwa aresztowała niejakiego K. I. Suworowa, który jest podejrzany o

udział w spisku mającym na celu zamordowanie prezydenta Gruszawoja.

– Co? – wykrzyknął zdumiony Alijew.

– Tylko taka krótka wiadomość bez żadnych dodatkowych wyjaśnień – poinformował szef wywiadu. – Mowa jest o podejrzeniu, a więc nic pewnego. Nie wiadomo, kto stoi za tym Suworowem?

– To próba osłabienia kierownictwa kraju – stwierdził Bondarienko. – Akt wojny. –

Bondarienko postanowił po naradzie zadzwonić do Gołowki i dowiedzieć się czegoś więcej. –

Sztab operacyjny? – zadał kolejne pytanie.

– 265. DPZmot gotowa do akcji. Zauważyliśmy samolot dokonujący rozpoznania przygranicznego pasa w głębi naszego obszaru powietrznego. Załogi stałych stanowisk ogniowych na pierwszej linii obrony są w stanie najwyższego pogotowia, dywizja kadrowa za chwilę osiągnie pełne stany etatowe... – meldował Alijew.

– Jej nazwa kodowa? – przerwał Bondarienko.

– Bojarzy – odpowiedział zapytany. – Mamy już trzy pełne kompanie piechoty zmotoryzowanej, których pierwszym zadaniem będzie ewakuacja obrońców pierwszej linii, jeśli taka potrzeba zaistnieje. Reszta czeka w swoich koszarach lub prowadzi ćwiczenia. Cały dzień mieli ostre strzelanie.

– Jak im szło?

– Jak na rezerwistów nieźle – odparł Alijew, a Bondarienko nie spytał, co to właściwie znaczy, gdyż obawiał się odpowiedzi.

Po naradzie Bondarienko wrócił do swojej kwatery i wziął do ręki słuchawkę telefonu.

– Witam, generale! – usłyszał po pewnym czasie głos Gołowki. W Moskwie było jeszcze popołudnie. – Co tam u was?

– Pełne napięcia oczekiwanie, towarzyszu przewodniczący. Co mi możecie powiedzieć na temat zamachu na życie prezydenta?

– Dziś aresztowaliśmy człowieka o nazwisku Suworow. Właśnie jest przesłuchiwany.

Podejrzewamy, że był agentem chińskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego i jesteśmy

pewni, że spiskował w celu zabicia Eduarda Pietrowicza.

–

Dlaczego

nie otrzymaliśmy

pełniejszej

informacji? – zapytał dowódca

Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego.

– Nie otrzymaliście? – zdziwił się Gołowko.

– Nie – odparł Bondarienko.

– To musiało być jakieś przeoczenie. Bardzo was za to przepraszam. A teraz ja mam pytanie: jesteście gotowi?

– Wszystkie nasze jednostki są w stanie najwyższej gotowości, ale stosunek sił wypada na naszą niekorzyść.

– Potraficie ich zatrzymać?

– Jeśli nam przyślecie wsparcie, to być może tak. Jakiej mogę oczekiwać pomocy?

– Trzy dywizje piechoty zmechanizowanej przekraczają Ural. Jadą transportem kolejowym. Dodatkowe samoloty są w drodze. Amerykanie zaczynają przerzucać z Niemiec swoje jednostki. Jaki macie plan?

– Nie będę nawet próbował zatrzymać ich na granicy. Nic bym na tym nie zyskał, a straciłbym ludzi. Wpuszczę Chińczyków i pozwolę im ruszyć na północ. Będę ich nękał, jak można, a kiedy zajdą wystarczająco głęboko, utniemy łeb hydrze. To znaczy zrobię to, jeśli otrzymam wsparcie, którego potrzebuję.

– Pracujemy nad tym. Amerykanie bardzo nam pomagają. Jedna z ich dywizji pancernych już przejeżdża przez Polskę.

– Powiedzieliście „dywizja pancerna”?

– Pierwsza Dywizja Pancerna z Niemiec. Dowodzi nią Murzyn o nazwisku Diggs.

– Marion Diggs? Poznałem go w Kalifornii. Kiedy tu przybędzie?

– Za jakieś pięć dni. Ale przed nim dostaniecie trzy nasze dywizje. Czy to wystarczy?

– Nie wiem – odparł Bondarienko. – Nie wiem, ilu jest Chińczyków ani jak walczą.

Najbardziej martwi mnie ich lotnictwo. Jeśli zbombardują nasz główny węzeł kolejowy i stację rozrządową w Czicie, to rozładowanie czołgów może być bardzo utrudnione. –

Bondarienko przez chwilę milczał. – Jeśli jednak wszyscy szczęśliwie dojadą, to jesteśmy przygotowani do marszu na wschód, ale by powstrzymać Chińczyków, musimy nasze jednostki pchnąć w kierunku północno-wschodnim. To będzie prawdziwy wyścig o to, kto pierwszy dotrze w okolice kopalni złota. Chińczycy z pewnością wydziela z sił głównych jednostki, których zadaniem będzie stworzenie zapory na zachodniej flance i obrona korytarza, którym będą parli na północ. Przez cały czas prowadzę ostre szkolenie. Moi ludzie są coraz lepsi, ale potrzeba mi więcej czasu. Czy macie jakiś sposób politycznego opóźnienia działań Chińczyków?

– Oni przez cały czas udają, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego – odparł Gołowko. –

Amerykanie też usiłowali z nimi rozmawiać, ale bez skutku.

– A więc musi dojść do rozwiązania siłowego?

– Najprawdopodobniej. Wierzymy w ciebie, Giennadij. Otrzymasz wszelką możliwą pomoc.

– Rozumiem – odpowiedział Bondarienko, zastanawiając się, czy to mu wystarczy.

Generał Peng Xi-Wang kończył kolację, prawdopodobnie ostatni porządny posiłek w ciągu najbliższych kilku tygodni. Będzie mu brakowało długoziarnistego ryżu. Nie było go w połowych racjach. Generał nie miał pojęcia, dlaczego. Inny generał, który kierował wielkim imperium kwatermistrzostwa, nigdy nie był łaskaw mu tego wyjaśnić. Peng był pewien, że sam nigdy nie tknął jedzenia z tych okropnych racji. Pewno miał specjalistów od testowania żywności. Po kolacji Peng zapalił papierosa i pozwolił sobie na łyżeczek ryżowego wina.

Ostatni łyk przed czekającą go batalią. Skończywszy posiłek Peng wstał i włożył kurtkę mundurową.

Przed kwaterą czekali oficerowie sztabu. Gdy Peng wyszedł, stanęli na baczność i jednocześnie zaszalutowali. Z przodu stał oficer operacyjny, pułkownik Wa Cheng-Cong.

– Jesteśmy gotowi? – spytał Peng.

– Całkowicie gotowi, towarzyszu generale!

– No, to chodźmy zobaczyć. – Peng zaprowadził oficerów do wozu dowodzenia.

Wewnątrz ledwo starczyło miejsca dla kilku osób, a ciasnotę zwiększały rzędy radiostacji, podłączonych do czterometrowej wysokości anten na każdym z czterech rogów dachu. Ledwo też mieścił się składany stół na mapy, ale sześciuosobowy sztab musiał tam pracować nawet wtedy, gdy pojazd jechał. Za kierownicą i przy karabinie maszynowym siedzieli młodszy oficerowie, a nie szeregowi czy podoficerowie.

Wysokoprężny silnik z turbodoładowaniem zaskoczył natychmiast i pojazd ruszył w kierunku granicy. Pokrywa wjazdu była otwarta, by przewietrzyć wnętrze, gdyż wszyscy palili papierosy.

– Słyszysz? – spytał porucznik Walery Michajłowicz Komanow, wystawiając głowę z wjazdu czołgowej wieży. Była to wieża czołgu IS-3 zaprojektowanego pod koniec II wojny światowej. Wtedy najcięższy czołg na świecie budził lęk przeciwnika. Teraz osadzona w betonie wieża mogła się tylko obracać, a jej i tak już gruby pancierz został wzmocniony dodatkowymi 20 centymetrami pancernej stali. Obecnie, jako część stałego stanowiska ogniowego, wieża obracała się nieco wolniej niż niegdyś na czołgu, ale potężna 122-milimetrowa armata zachowała pełną sprawność. Pod wieżą, zamiast ciasnego wnętrza czołgu, znajdowała się spora komora, która pozwalała załodze na swobodne ruchy we wszystkich kierunkach. Obecny układ umożliwiał prawie dwukrotnie szybsze ładowanie i zwiększał celność, gdyż celowniki miały lepszą optykę. Porucznik Komanow był w zasadzie nadal czołgistą, a jego pluton dysponował dwunastoma czołgami zamiast trzema, ponieważ jego „czołgi” tkwiły w miejscu, przybierając postać stałych stanowisk ogniowych rozsianych na zboczu. Do ostatniej chwili pluton intensywnie się doszkalał na rozkaz nowego dowódcy Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego. Bardzo to odpowiadało Komanowowi i jego ludziom, ponieważ nie ma żołnierza na świecie, który by nie lubił strzelać, a im większy kaliber, tym większa przyjemność. Pociski kalibru 122 mm miały raczej niską prędkość wylotową, ale ich wielkość to kompensowała. Ostatnio żołnierze ćwiczyli strzelanie do starych czołgów T-55 i wszystkim odstrzelili wieże jednym strzałem.

Przez ostatnie dwa tygodnie Komanow kazał swoim żołnierzom biegać każdego ranka, co nie było specjalną przyjemnością dla ludzi przywykłych do siedzenia w betonowym bunkrze przez pełne dwa lata służby. Poza tym żołnierze czuli się bezpieczniej w podziemnych pomieszczeniach, chronionych czapą ze stali i betonu, osłoniętych zaroślami, które czyniły bunkry niewidocznymi z odległości większej niż pięćdziesiąt metrów. Pluton Komanowa znajdował się w głębi pasa umocnień pierwszej linii obrony, usadowiony na południowym zboczu Wzgórza 432, które wychodziło na widoczne pasmo gór rozciągających się wzdłuż doliny Amuru. Wzgórza najbliższe granicy były niższe od wzgórz, na których znajdowały się stanowiska plutonu Komarowa, ale stanowiska ogniowe znajdowały się tam także, choć fałszywe.

– To odgłos silników – potwierdził sierżant. – Cholernie ich dużo.

Komanow i podszedł do polowej centrali telefonicznej. Wykręcił numer punktu dowodzenia pułku, znajdującego się o dziesięć kilometrów dalej na północ.

– Tu Pięć Sześć – zameldował się. – Słyszemy warkot silników wysokoprężnych na południe od nas. Jest ich bardzo dużo.

– Widzicie coś? – spytał dowódca pułku.

– Nie, towarzyszu pułkowniku. Ale nie ma mowy o omyłce.

– Dziękuję. Informujcie o rozwoju wypadków.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku. – Komanow odłożył słuchawkę. Najbardziej wysuniętym stanowiskiem była placówka Pięć Dziewięć na południowym stoku wzgórza najbliższego rzeki. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

– Tu porucznik Komanow. Słyszycie coś albo widzicie?

– Nic nie widzimy, ale słyszymy silniki czołgów – odparł kapral Władimirow, który odebrał telefon.

– Informujcie mnie o wszystkim – polecił Komanow i rozejrzał się po wnętrzu bunkra.

Miał dwieście pocisków do armaty i kilka tysięcy sztuk amunicji do karabinów maszynowych

– sprzężonego z armatą DT kalibru 7,62 mm i zamontowanego na zewnątrz wieży DSzKM

kalibru 12,7 mm. Celowniczy obserwował teren przez optyczny celownik z lepszymi szklami, niż miał Komanow w oficerskiej lornetce. Stalowe wrota do tunelu ewakuacyjnego były otwarte. Za stumetrowej długości tunelem znajdowały się drugie wrota, a za nim placyk, gdzie pewno już stał czteroosiowy transporter opancerzony BTR-60, gotów, by ich stąd w razie potrzeby wywieźć. Ale ludzie nie sądzili, że może zajść taka potrzeba. Ich bunkier był

przecież nie do zdobycia. Nad głowami mieli prawie metrowej grubości płytę z betonu pokrytą metrem ziemi. Poza tym byli ukryci w gęstwinie krzaków. Nie można trafić w coś, czego się nie widzi. A Chińczycy mieli skośne małe oczka, przez które nie można dobrze widzieć.

– Widzę ruch na Ryzowych Wzgórzach – zameldował celowniczy. Tak nazywano pierwsze pasmo wzgórz za rzeką.

– Odsuń się – powiedział Komanow do żołnierza i zajął jego miejsce w wieży. Kazał

sobie podać hełmofon z laryngofonem. Był teraz w sieci dowodzenia i mógł wywoływać poszczególne stanowiska za naciśnięciem guzika. Skierował lornetkę na wzgórze po chińskiej stronie. Coś dostrzegł. Jakiś ruch, ale co to jest? Jakby trawy falujące na wietrze. To nie były jednak trawy. To byli żołnierze.

Przez ostatnie dziesięć lat oficerowie w przygranicznych bunkrach bezustannie domagali się noktowizorów. W najgorszym przypadku gogli ze wzmocnieniem obrazu. Takich, jakie mieli ludzie ze Specnazu i innych elitarnych formacji. Ale, jak zawsze, zabrakło pieniędzy.

– Tu Pięć Zero. Widać duży ruch. Wygląda na piechotę w sile pułku na północnym stoku Ryzowych Wzgórz.

– Ile mamy pocisków odłamkowych? – spytał celowniczego.

– Trzydzieści pięć.

To powinno wystarczyć. Mieli też piętnaście haubic ML-20 kalibru 152 mm w betonowych działobitniach dobrze ukrytych dziesięć kilometrów za pierwszą linią obrony.

Komanow spojrział na zegarek. Prawie trzecia trzydzieści. Za półtorej godziny zacznie świtać. Niebo było bezchmurne. Gdy podniósł głowę, zobaczył gwiazdy, jakich nigdy nie widzą mieszkańcy Moskwy. Syberyjskie niebo było czyste, nad głowami ludzi migotał ocean gwiezdnych światła. Ponownie przyłożył do oczu lornetkę. Tak, bez najmniejszej wątpliwości, widać ruch na stokach Ryzowych Wzgórz.

– Gotowi? – zapytał Peng.

– Czekamy na rozkaz, towarzyszu generale – odparł Wu.

Peng i oficerowie jego sztabu znajdowali się przed stanowiskami artylerii, aby móc lepiej obserwować skutki pierwszej salwy przygotowania ogniowego.

Dwadzieścia pięć tysięcy metrów nad głową Penga wisiała w powietrzu „Marilyn Monroe”. Każdy z BSL typu Dark Star nosił imię jakiejś gwiazdy filmowej. Tak je ochrzczili mechanicy, wybierając tylko płęć piękną. Na kadłubie szybującej w przestworzach „Marilyn Monroe” wiernie odtworzona została nawet rozkładówka z „Playboya” z 1953 roku, do której pozowała prawdziwa Marilyn. Jednakże to nie jej oczy spoglądały na ziemię z niebotycznej wysokości, ale obiektywy dające obraz o niespotykanej rozdzielczości. Antena w plastikowym nosie kadłuba przesyłała obrazy do satelity, który z kolei przekazywał materiał

na bieżąco różnym odbiorcom. Najbliższy był w Żygańsku, najodleglejszy w Fort Belvoir w Wirginii. Stąd właśnie za pośrednictwem światłowodu przekazywano zdjęcia w różne utajnione miejsca.

W odróżnieniu od innych systemów obserwacji wizualnej ten pokazywał aktualny obraz na żywo.

– Wygląda na to, że się szykują – powiedział sierżant sztabowy do swego bezpośredniego zwierzchnika, kapitana. I rzeczywiście, było widać, jak chińscy kanonierzy ładują działa.

Najpierw wsuwają do zamków pociski, a potem ładunki miotające.

– W sumie ile luf? – spytał kapitan.

- Od cholery, sir – odparł sierżant.
 - To i ja widzę. Może podacie mi liczbę?
 - Chyba ponad sześćset, ale to tylko w tym sektorze. Poza tym czterysta wyrzutni raketowych.
 - Widać aktywność lotnictwa?
 - Nie, sir. Chińczycy nie lubią latać w nocy. W każdym razie nie w celu zrzucania bomb.
 - Orzeł do Zebry! – starszy kontroler na pokładzie AWACS-a wzywał Żygańsk.
 - Zebra do Siódemki, słyszymy was pięć na pięć – odparł major dowodzący bazą na ziemi.
 - Mamy obcych, chyba trzydzieści dwie maszyny, lecą na północ, wystartowały z Sioingu. Najprawdopodobniej Su-27.
 - Pasuje – powiedział major swemu przełożonemu, dowódcy skrzydła. – W Sioingu stacjonuje 667. pułk. Najlepszy, jeśli idzie o sprzęt i liczbę godzin wylatanych przez pilotów.
 - Co możemy im wysłać na powitanie?
 - Rosjan z Nelkanu. Najbliższe amerykańskie samoloty są sporo dalej na północ, a poza tym...
 - A poza tym nie mamy jeszcze rozkazu, by wkraczać do akcji – dopowiedział pułkownik. – Dobrze, zawiadam Rosjan.
 - Orzeł Siedem do Czarnego Sokoła Dziesięć. Mamy chińskie myśliwce, odległość trzysta kilometrów, kurs jeden-dziewięć-sześć, prędkość siedemset na godzinę. Jest ich około trzydziestki, lecą jeszcze nad obszarem chińskim, ale zaraz go opuszczają.
 - Zrozumiałem – odparł rosyjski kapitan. – Podajcie mi namiar.
 - Przechwycenie w namiarze dwa-zero-zero – odparł całkiem znośnym rosyjskim kontroler. – Utrzymują tę samą prędkość i pułap dwunastu tysięcy metrów.
 - Zrozumiałem.
- Na pokładzie E-3B radary pokazywały, jak rosyjskie myśliwce Su-27 kierują się w stronę zbliżających się chińskich Su-27. Rosjanie powinni uzyskać kontakt radarowy za mniej więcej dziewięć minut.
- Sir, to nie wygląda dobrze – powiedział w Żygańsku inny major do generała.

– Wobec tego nadszedł czas, by uderzyć w dzwony – odparł dwugwiazdkowy generał Sił

Powietrznych i podniósł słuchawkę telefonu, który łączył go bezpośrednio z dowództwem Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego. Dotychczas nie było jeszcze czasu, by te lokalne linie zastąpić porządnym łączem.

– Towarzyszu generale, telefon z amerykańskiej bazy w Żygańsku – powiedział pułkownik Tołkunow.

– Bondarienko, słucham – powiedział generał do słuchawki.

– Tu generał Gus Wallace. Wysłaliśmy w powietrze pierwszego Dark Star. Poleciał w kierunku chińskiej granicy... – Odczytał współrzędne. – Widzimy artylerzystów przygotowujących się do wysłania wam dużej ilości prezentów.

– Dużej ilości, to znaczy ile? – zapytał Bondarienko.

– W sumie tysiąc dział gotowych do oddania pierwszej salwy. Mam nadzieję, że wasi ludzie są dobrze ukryci, bo za chwilę zawali im się na głowy cały świat.

– Co możecie zrobić, żeby nam pomóc? – zadał kolejne pytanie Bondarienko.

– Mam rozkaz nie podejmować żadnej akcji, póki oni nie zaczną strzelać – padła odpowiedź. – A kiedy zaczną, wtedy mogę wysłać myśliwce. Ale bomb prawie nie mamy. W

powietrzu jest w tej chwili AWACS. Właśnie naprowadza wasze myśliwce w rejonie Chulmanu. I chwilowo to wszystko, co mogę zrobić. Na C-130 leci do was terminal Dark Star z obsługą i od jutra będziecie mogli wszystko sami widzieć.

– Dziękuję, panie generale. – Bondarienko odłożył słuchawkę i spojrzał na swoich oficerów. – Lada moment się zacznie.

I zaczęło się. Porucznik Komanow zobaczył to pierwszy. Linia Ryzowych Wzgórz rozblęsnęła nagle jaskrawą poświatą. Po chwili na niebie pojawił się rój meteorów – pocisków artylerii raketowej.

– Ostrzał! – zawiadomił swych ludzi Komanow. Nim pociski eksplodowały, odczuł efekt ich wystrzelenia. Przez ziemię przemknęło echo odległego trzęsienia ziemi.

– Dajcie mi pułk! – rozkazał Komanow.

– Słucham, poruczniku – odezwał się głos w słuchawce.

– Jesteśmy pod ostrzałem artyleryjskim, towarzyszu pułkowniku! – zameldował. –

Zmasowany ogień artyleryjski od południa. Artyleria lufowa i raketowa w sile...

Eksplodowała pierwsza salwa. Wybuchy układały się blisko rzeki, sporo na południe od stanowiska Komanowa. Komanow słyszał już wielokrotnie huk wybuchających pocisków artyleryjskich i widział, co mogą zrobić lecące we wszystkie strony odłamki, ale to przerosło jego wyobrażenie.

– Towarzyszu pułkowniku! – wykrzyczał do mikrofonu. – Tu Pięć Sześć. Nie widzę jeszcze zbliżającego się wroga, ale oni ruszyli.

– Macie już namierzone cele? – zapytano z pułku.

– Jeszcze niczego nie widać. – Dowódcy poszczególnych stanowisk ogniowych mieli też pełnić funkcje wysuniętych obserwatorów artyleryjskich, przekazując do sztabu pułku koordynaty wykrytych celów. Ukryta dziesięć kilometrów za pierwszą linią obrony bateria haubic czekała na rozkaz rozpoczęcia wsparcia ogniowego.

Chińczycy wiedzieli jednak w jakiej okolicy rozlokowano stanowiska rosyjskich haubic i cały ten teren stał się celem dla ich artylerii raketowej.

Komanow zobaczył kolejne błyski i usłyszał wybuchy dziesięć kilometrów na północ. W

chwilę później niebo zajaśniało potężną łuną, a ziemia zadrżała od wybuchu. Pierwsza salwa rakiet trafiła w jedno ze stanowisk artyleryjskich, niszcząc skład amunicji. Pechowcy, pomyślał Komanow. Pierwsze ofiary wojny. A będzie ich dużo więcej... Może i on sam tu zginie. Ta ostatnia myśl pojawiła się jakby w oddali i wcale go nie przejęła. Wróg napadł na jego kraj. To już nie są przypuszczenia i domysły. Widział teraz wojnę na własne oczy, słyszał ją. Jego kraj został napadnięty! Ziemia, na której wyrósł, była ostrzeliwana. Jego dziadek bronił tej ziemi przed Niemcami. Dwaj bracia dziadka takie walczyli i obaj zginęli za ojczyznę, jeden na zachód od Kijowa, drugi pod Stalingradem. A teraz na jego kraj napadli ci skośnoocy bandyci.

– Odłamkowym ładuj! – rozkazał.

– Jest odłamkowym! – wykrzyknął ładowniczy. Wszyscy usłyszeli szczęk zatrząskiwanego zamka.

– Nie ma celu, towarzyszu poruczniku – zauważył celowniczy.

– Wkrótce się pojawi.

– Pięć Dziewięć, tu Pięć Sześć. Co widzicie?

– Zauważyliśmy właśnie ponton. Wyłania się zza drzew na południowym brzegu...

drugi... następny... O rany! Jest ich cała masa, chyba ze sto, a może i więcej.

– Pułk! Odezwiście się! Tu Pięć Sześć. Mam dla was namiar ogniowy... – wykrzykiwał do słuchawki Komanow.

Dziesięć kilometrów za pierwszą linią obrony kanonierzy trwali przy swoich działach, mimo spadających z góry pocisków i rakiet, które trafiły już trzy z piętnastu działobitni oraz jeden z magazynów amunicji. Najpierw załadowano pociski, potem ładunki miotające i podniesiono lufy pod odpowiednim kątem. Na rozkaz dowódcy baterii dwanaście haubic kalibru 152 mm rozpoczęło przeciwuderzenie ogniowe, słabiutkie w porównaniu z chińskim huraganem.

Rosyjscy artylerzyści nie wiedzieli o tym, że w odległości piętnastu kilometrów znajduje się radar artyleryjski. Radar na milimetrowych falach wykrywał pociski w locie, a komputer określał dokładne położenie działa, z którego pocisk został wystrzelony. Chińczycy wiedzieli, gdzie mniej więcej mogą być rozstawione rosyjskie działa. Zdradzały je także wystrzeliwane salwy, ale nadal nie znali dokładnego położenia poszczególnych działonów z powodu starannego maskowania. W tym przypadku maskowanie nie mogło pomóc. Komputerowe obliczenia zostały przekazane dowódcy baterii wyrzutni raketowych, które były podstawowym instrumentem do prowadzenia ognia kontrbaterijnego. Dowódca baterii wyznaczył po jednej wyrzutni Typ 83 na haubicę. Każda z wyrzutni zawierała cztery potężne rakiety kalibru 276 mm, pojedyncza zaś rakietka kryła w swoim wnętrzu osiemdziesiąt sztuk subamunicji. Pierwsza rakietka została wystrzelona w trzy minuty po pierwszej rosyjskiej salwie, która pozwoliła radarowi określić dokładnie położenie rosyjskich stanowisk. Rakietka potrzebowała dwóch minut na osiągnięcie celu z miejsca, skąd została wystrzelona, dziesięć kilometrów w głąbi terytorium chińskiego. Z pierwszych sześciu wystrzelonych rakiet pięć zniszczyło wyznaczone im cele. Potem otrzymano nowe namiary i wystrzelono następne.

Ogień artylerii rosyjskiej zamarł w niespełna pięć minut.

– Dlaczego nasi przestali strzelać? – zapytał Komanow. Dostrzegł zaledwie kilka wybuchów wśród Chińczyków wysiadających z pontonów na rosyjskim brzegu Amuru. Ale po paru minutach świst lecących na południe pocisków umilkł. – Pułk! Tu Pięć Sześć, dlaczego nasza artyleria zamilkła?

– Nasza bateria oberwała od Chińczyków. Nakazałem zmianę stanowisk – padła odpowiedź. – Jak wygląda wasza sytuacja?

– Pięć Zero został trafiony, ale niegroźnie. Chińczycy ostrzeliwiają głównie południowy stok pierwszego pasma wzgórz. – To było właśnie tam, gdzie znajdowały się fałszywe pozycje obronne. Betonowe przynęty spełniły swoją rolę. Tę linię „obrony” zbudowano wbrew obowiązującej rosyjskiej doktrynie, ponieważ ci, którzy to budowali, wiedzieli dobrze, że ewentualny przeciwnik potrafi czytać książki. Stanowisko Komarowa znajdowało się na zboczu, ale jednocześnie w siodle między dwoma wysokimi pagórkami. Tędy prawdopodobnie będą nacierać chińskie czołgi.

– Doskonale, poruczniku. Słuchajcie teraz: nie ujawniajcie swojej obecności. Dajcie im podejść blisko, nim otworzycie ogień. Bardzo blisko.

Komanow wiedział, że to oznacza mniej więcej sto metrów. Na taką ewentualność miał dwa karabiny maszynowe. Ale on chciałby uśmiercić kilka czołgów.

Dla lotnictwa myśliwskiego wojna się zaczęła, gdy pierwszy samolot chiński przeleciał nad Amurem. Cztery rosyjskie myśliwce patrolowały w pobliżu. To były także Su-27, zbudowane w tych samych zakładach, co chińskie. Tylko że chińscy piloci mieli na swoim koncie trzy razy więcej wylatanych godzin, niż obrońcy, których było ponadto bardzo mało.

Na jednego Rosjanina przypadało ośmiu Chińczyków.

Przewagę wyrównywało nieco wsparcie, jakie Rosjanie otrzymywali od amerykańskiego AWACS-a, samolotu E-3B Sentry, który ich naprowadzał na napastników.

– Sokół Dziesięć, tu Orzeł Siedem. Kurs dwa-siedem-zero. Chińczycy zbliżają się od siódmej.

– Rozumiem, Orzeł, dziękuję. Kurs dwa-siedem-zero. – Major dowodzący eskadrą ustawił cztery Su-27 w wachlarz i poprawił się w fotelu. Przez cały czas zerkał nerwowo za lewe ramię, gdzie w mroku krył się przeciwnik.

– Sokół Dziesięć, cele są teraz na waszej godzinie dziewiątej, odległość trzydzieści kilometrów. Zmieńcie kurs na jeden-osiem-zero.

– Jeden-osiem-zero – potwierdził major, kładąc samolot na lewym skrzydle. – Lis Dwa – zameldował. Rosjanin znał terminologię Sił Powietrznych i wiedział, że Lis Dwa oznacza naprowadzanie na podczerwień, co nie wymaga włączania radaru, dzięki czemu do ostatniej chwili nie informuje się przeciwnika o swojej obecności. Markiz Queensberry82 nie był nigdy pilotem myśliwskim i nie ustalał reguł gry.

– Dobry pomysł, Sokół – odparł kontroler i obracając się do swego szefa powiedział: – inteligentny chłopak.

– Tylko dzięki temu można przeżyć w tym biznesie – skomentował podpułkownik.

Młody porucznik siedzący przed swym ekranem pokiwał głową i ponownie wywołał

Sokoła Dziesięć: – Cele są piętnaście... nie, siedemnaście kilometrów na północ od was.

Wkrótce usłyszycie namiar.

– *Da, da!* Mam namiar! – zameldował pilot, gdy usłyszał pisk w słuchawkach. – Eskadra, przygotować się do odpalenia... Ognia! – Trzy z czterech Su-27 wystrzeliły po jednym pocisku. Czwarty pilot miał kłopoty z elektroniką. Ogniste smugi silników raketowych zakłóciły nocne widzenie, ale żaden z pilotów nie odwrócił głowy, zgodnie z tym co wpajano im w trakcie szkolenia. Patrzyli na pociski pędzące ku chińskim samolotom. Rakiety przebyły swoją drogę w dwadzieścia sekund. Okazało się, że dwie z nich były wycelowane w ten sam myśliwiec, który rozpadł się w podwójnej eksplozji. Drugi cel otrzymał jeden cios i zniknął z ekranów, ale wtedy wszystko bardzo się skomplikowało. Na rozkaz swego dowódcy Chińczycy podzielili się na dwie grupy, potem z dwóch zrobiły się cztery. Każda z ósmiosamolotowych formacji miała skrawek nieba do obrony.

Wszyscy włączyli radary i w ciągu następnych dwudziestu sekund piloci odpalili ponad czterdzieści naprowadzanych radarowo pocisków. Pociski tego typu musiały odbierać sygnał

naprowadzający z radaru pokładowego, a to oznaczało, że samolot, który odpalił raketę, nie mógł wyłączyć swego radaru ani wykonywać gwałtownych manewrów. Pozostawała tylko nadzieja, że własna rakietą dopadnie ofiary, a wtedy będzie można wyłączyć radar i rzucić się do ucieczki, nie czekając na taki sam pocisk odpalony przez przeciwnika.

– Niech to diabli! – zaklął młody porucznik, siedzący w wygodnym fotelu kontrolera na pokładzie E-3. Dwa następne ruchome punkty, oznaczające chińskie myśliwce, na chwilę rozbłysły, a potem zniknęły z ekranu. W chwilę później zniknął jeszcze jeden, ale w powietrzu znajdowało się zbyt wiele chińskich pocisków powietrze-powietrze. Jeden rosyjski Suchoj został trafiony przez trzy rakiety i natychmiast zniknął w obłoku ognia. Inny, trafiony w statecznik pionowy, odleciał chwiejnie do bazy. I tak, jak nagle wszystko się zaczęło, tak nagle się skończyło.

– Widać jakieś spadochrony? – spytał przez interkom starszy kontroler. Radary E-3 i to potrafiły wypatrzeć.

82 John Sholto Douglas Queensberry (1844-1900), szkocki arystokrata i działacz sportowy, wielbiciel boksu, przyczynił się do powstania (1867) przepisów określających zasady rozgrywek bokserskich - tzw. reguł markiza Queensberry'ego (przyp. tłum.)

– Trzej albo czterej zdążyli się katapultować. Nie wiem kto, póki nie przewinę taśmy.

Rosjanie nie mieli dość maszyn w powietrzu, by zaangażować się w prawdziwą walkę.

Może następnym razem, pomyślał pułkownik. Pełne możliwości AWACS-a, jako partnera myśliwców, nie zostały w pełni zademonstrowane. Ale wojna była jeszcze młoda, a kiedy się rozkręci, wielu Chińczyków otworzy oczy ze zdumienia.

Rozdział 51

Odwrót

Porucznik Walery Michajłowicz Komanow dowiedział się czegoś, czego nawet nie podejrzewał: najgorsza chwila podczas walki – w każdym razie najgorsza dla kogoś, kto znajduje się w zamkniętym pomieszczeniu, takim jak jego stanowisko – przychodzi wtedy, gdy wie się, że nieprzyjaciel nadciąga, a nie można do niego strzelać. Po przeciwnej stronie wzgórza musiało już się roić od żołnierzy chińskiej piechoty, a mająca wesprzeć Komanowa artyleria została unicestwiona w pierwszych minutach wojny. Porucznik dysponował

wprawdzie potężną armatą, ale mógł z niej strzelać tylko ogniem na wprost. Błędem okazało się wycofanie znad granicy piechoty, jej moździerze mogłyby teraz zasypać granatami ukrytych za grzbietem wzgórza Chińczyków. Komanow zaś mógł strzelać tylko do wroga, którego widział.

– Towarzyszu poruczniku, są – powiedział celowniczy. – Nieco na prawo od nas. Grupa żołnierzy piechoty wyłania się zza grzbietu. Odległość tysiąc pięćset metrów.

– Widzę ich – odparł Komanow. Na horyzoncie od wschodu pojawiło się pasemko światła. Wkrótce i tu będzie jasno, pomyślał. To ułatwi strzelanie. Ale ułatwi je obu stronom.

I w ciągu godziny jego stanowisko zostanie namierzone i ostrzelane. Wtedy na własnej skórze przekona się, jak dobry jest ich betonowo-stalowy pancerz.

– Pięć Sześć, tu Pięć Zero. Widzimy piechotę w sile jednej kompanii. Tysiąc sto metrów od nas na południe. Idą na północ w naszym kierunku.

– Zrozumiałem. Nie otwierajcie ognia, póki nie podejda na odległość dwustu metrów. –

Komanow podwoił odległość, nakazaną przez dowództwo pułku. Gdyby im tego nie zalecił, sami doszliby do wniosku, że sto metrów to zbyt blisko i niebezpiecznie. Człowiek zupełnie inaczej myśli, kiedy świszczą prawdziwe kule.

Jakby los chciał to zademonstrować, za ich plecami zaczęły wybuchać pociski.

– Widzą nas? – spytał celowniczy.

– Nie – odparł. – To jest ogień zaporowy, by wesprzeć piechotę.

– Są na fałszywym bunkrze Jeden Sześć! – wykrzyknął celowniczy. Komanow skierował

lornetkę we wskazanym kierunku.

Tak, Chińczycy tam byli. Gdy Komanow się przyglądał, jeden z Chińczyków położył na betonie jakiś

pakunek i wszyscy szybko się wycofali. Nastąpił wybuch, który zniszczył coś, co i tak do niczego nie służyło. Tyle że jakiś chiński porucznik będzie z siebie bardzo zadowolony, pomyślał Komanow. No cóż, za jakieś dwadzieścia minut załoga Pięc Sześć zmieni swój pogląd na wiele spraw. Najprzykrzejsze było to, że w tej chwili własna artyleria miałaby wspaniałe cele do likwidowania. Nawet te stare haubice kosiłyby Chińczyków jak najlepsza kosa. Komanow znowu zadzwonił do pułku, by przekazać najnowsze informacje.

– Poruczniku – zaczął zgnębionym głosem pułkownik – nasza artyleria została ostatecznie wyeliminowana. Nie będzie wsparcia. – Pułkownik odłożył słuchawkę.

Komanow podrapał się po głowie i spojrzał na swoją załogę.

– Mamy nie spodziewać się wsparcia artyleryjskiego – obwieścił.

– Cholera! – zaklął celowniczy.

– Sytuacja? – zapytał generał Peng ze swego punktu dowodzenia na szczycie jednego z Ryzowych Wzgórz.

– Zajęliśmy linię bunkrów, ale wszystkie były puste – zameldował pułkownik Wu. –

Dotychczas ostrzeliwała nas tylko ich artyleria ukryta za wzgórzami, ale całkowicie ją zdusiliśmy. Natarcie postępuje zgodnie z planem, towarzyszu generale. – I była to prawda.

Saperzy dotarli już na południowy brzeg Amuru i bez przeszkód zaczęli zsuwać z ciężarówek sekcje mostu pontonowego. Ponad sto czołgów Typ 90 podchodziło do rzeki, a czołgiści daremnie wypatrywali jakichś celów, które należałoby zniszczyć, by wesprzeć nacierającą piechotę. Pierwsza sekcja mostu z głośnym pluskiem uderzyła o powierzchnię wody. Jeszcze w powietrzu rozwarły się jej odcinki połączone zawiasami i na wodzie legł ośmiometrowej długości fragment mostu. Peng spojrzał na zegarek. Saperzy o pięć minut wyprzedzili harmonogram.

Pięć Zero jako pierwszy otworzył ogień z zamontowanego na wierzchu wieży karabinu maszynowego DSzKM kalibru 12,7 mm. Szczekliwy terkot rozszedł się na całą dolinę. Pięc Zero znajdował się trzy i pół tysiąca metrów na wschód. Dowódcą stanowiska był młody sierżant o nazwisku Iwanow. Zaczął strzelać za wcześnie, pomyślał Komanow. Tyraliera była odległa jeszcze o 400 metrów. Udało się, zobaczył ciała skoszone gradem kul.

Potem rozległ się ogłuszający huk – to wystrzeliła armata. Pocisk spadł na siodło, którego bronili, eksplodując wśród grupki Chińczyków.

– Towarzyszu poruczniku, możemy? – spytał Komanowa celowniczy.

– Jeszcze nie, sierżancie. Trochę cierpliwości. – Komanow skierował wzrok na wschód, by

zobaczyć, jak Chińczycy reagują na ostrzał. No tak, ich reakcja była do przewidzenia.

Dowodzący nimi porucznik kazał rzucić się na ziemię. Po chwili zaczęli przesuwać się w prawo. Aha... Jedna drużyna coś ustawiała... coś na trójnogu. Prawdopodobnie działo bezodrzutowe. Komanow mógłby obrócić armatę i jednym strzałem zlikwidować zagrożenie, ale nie chciał przedwcześnie zdradzać swego położenia.

– Pięć Zero, tu Pięć Sześć. Chińczycy ustawiają działo bezodrzutowe z waszej prawej, odległość osiemset metrów – Komanow ostrzegł swoich towarzyszy.

– Widzę – odparł sierżant. I miał wystarczająco wiele rozsądku, by na wskazany mu cel skierować tylko karabin maszynowy, a nie armatę. Po dwóch sekundach seria, pozostawiając w mroku zielony ślad pocisków smugowych, dopadła obsługę dział.

Komanow całą scenę oglądał przez lornetkę.

– Dobra robota, Iwanow – pochwalił sierżanta. – Uważaj, podchodzą do ciebie od lewej.

Pole ostrzału przed każdym z bunkrów było w swoim czasie wyrównane przez buldożery i to na odległość co najmniej osmiuset metrów.

– Już się nimi zajmujemy, towarzyszu poruczniku – odparł Iwanow i po chwili karabin maszynowy zaszczeakał ponownie. Ale tym razem mu odpowiedziano. Komanow widział

pociski smugowe odbijające się pod kątem od pancерnej wieży i lecące dalej ku niebu.

– Pułk? Tu Pięć Sześć. Pięć Zero jest atakowany przez piechotę oraz...

W tym momencie na namierzonego już Pięć Zero zaczęły spadać pociski ciężkiej artylerii. Komanow miał nadzieję, że Iwanow zdołał skryć się w wieży i zatrzasnąć za sobą pokrywę wjazdu. W wieży znajdował się sprzężony z armatą karabin maszynowy DT kalibru 7,62 mm. Komanow przekazał swemu sierżantowi obowiązek obserwowania, czy coś nie zagraża ich pozycji, a sam przyglądał się, jak Chińczycy atakują sierżanta Iwanowa. Chińska piechota podchodziła umiejętnie, wykorzystując każdy odcinek terenu dający choćby minimalną osłonę. Pocisków artyleryjskich spadło wokół bunkra tyle, że wszystkie obrastające go krzaki zniknęły wraz z metrową warstwą ziemi, odsłaniając betonową płytę sklepienia. Chińczycy strzelali także z broni maszynowej, a chociaż ich kule nie czyniły nikomu żadnej szkody, rozpraszały uwagę obrońców. Porucznik niepokoił się konsekwencjami ostrzału artyleryjskiego. Jedno bezpośrednie trafienie mogło narobić dużo szkody.

– Towarzyszu poruczniku, proszę popatrzeć – odezwał się sierżant. – Ci, którzy szli na nas, teraz skręcili na Iwanowa.

Komanow obrócił się. Nie potrzebował lornetki. Trzej żołnierze dźwigali coś ciężkiego.

Kiedy dotarli do płytkiego zagłębienia, blisko szczytu pagórka, zatrzymali się i zaczęli to coś składać. Jedna z części miała kształt tuby...

Oczywiście! Granatnik przeciwpancerny HJ-8, odpowiedziała mu pamięć, którą przez miesiące karmił informacjami otrzymywanymi podczas odpraw z oficerami wywiadu.

Żołnierze składający granatnik znajdowali się o tysiąc metrów od niego, trochę na lewo, jeśli patrzyło się w kierunku Amuru.

Komanow przeładował swój DSzKM, opuścił lufę i starannie wycelował. Oczywiście tamtych można by sprzątnąć jednym pociskiem z armaty, ale lepiej nie zdradzić pozycji.

Ściągnął spust. Pierwsza seria była o trzydzieści metrów za krótka, ale druga nie zawiodła i trzech żołnierze padli w drgawkach na ziemię. Strzelał dalej, chcąc być pewny, że i granatnik stał się bezużyteczny. Dopiero po paru sekundach uświadomił sobie, że używa pocisków smugowych i tym samym zdradził swoje stanowisko. Już po dwóch minutach na Pięć Sześć zaczął spadać grad pocisków artyleryjskich. Po pierwszym bardzo bliskim wybuchu Komanow zeskoczył w głąb wieży i zatrzasnął za sobą pokrywę wjazdu. Skoro nieprzyjaciel wie już, gdzie są, nie ma sensu się ukrywać.

– Sierzancie! – zawołał. – Ognia!

– Tak jest, towarzyszu poruczniku! – Po tych słowach sierżant oddał pierwszy strzał w kierunku chińskich żołnierzy, którzy w odległości ośmiuset metrów ustawili karabin maszynowy. Pocisk trafił w samo gniazdo, unicestwiając broń i ludzi. – Trzech Kitajców poszło do piekła! – Wieża zaczęła się obracać i sierżant rozpoczął polowanie na kolejny cel.

– Napotykamy na pewien opór – zameldował Wa generałowi. – Na południowym stoku znajdują się rosyjskie umocnienia. Zaczynamy je nękać ogniem artyleryjskim.

– Jakie mamy straty?

– Nikłe – stwierdził oficer operacyjny.

– Doskonale – odparł generał Peng, który całą uwagę poświęcał teraz rzece. Jego saperzy zbudowali już jedną trzecią pierwszego mostu.

– Ich saperzy są niezli – skomentował generał Gus Wallace, patrząc na obraz przekazywany przez „Marilyn Monroe”.

– Tak jest, sir. Ale nikt ich nie ostrzeliwuje – zauważył oficer sztabowy w stopniu majora, patrząc jak Chińczycy doczepiają kolejną sekcję mostu. – I ktoś ten most bardzo dobrze zaprojektował.

– Jak długo jeszcze zajmie im kładzenie mostu?

- W tym tempie może jeszcze z godzinę.
- Wróćmy nad pozycje ostrzeliwane przez Chińczyków – zdecydował Wallace.
- Sierzancie, skierujcie „Marilyn” nad to pasmo wzgórz – zlecił major podoficerowi, który kierował z ziemi bezpilotowym zwiadowcą.
- Ci długo nie pociągną – stwierdził po chwili major. – Chińczycy już otaczają bunkry.

Sto ciężkich dział waliło w umocnienia, których bronił pluton „czołgistów” Komanowa.

Bunkry, chociaż były niesłychanie solidnie zbudowane, całe dygotały, a powietrze w środku było gęste od betonowego pyłu. Kontakt z Iwanowem urwał się jakiś kwadrans temu, po bezpośrednim trafieniu w wieżę jego stanowiska. Dwa inne bunkry właśnie meldowały, że załoga opuszcza stanowiska. Jednak Komanow i jego ludzie nadal polowali na pojawiające się cele.

– Zaczyna być ciekawie, towarzyszu poruczniku – odezwał się sierżant. – Został nam ostatni odłamkowy.

Komanow nie miał wątpliwości, że nie poradzą sobie z nacierającymi. To, co mógł

zrobić, przypominało próbę zabijania much kolcem do kruszenia lodu. Obliczał, że zabili lub zranili około setki napastników. Gdzie podziwiają się te czołgi, które wymarzył sobie zniszczyć? Dobrze by to zrobił, fachowo. Ale żeby walczyć z piechotą, musiałyby mieć wsparcie artyleryjskie oraz własnych piechurów. Bez nich przypominał po prostu duży głaz na morskim brzegu. Głaz jest niezniszczalny, ale fale opływają go dokoła. Chińczycy właśnie to robili. Komanow przypomniał sobie, że wszystkie głazy na morskich brzegach są stare i wymęczone przez fale. Kruszeją i któregoś dnia fale je przewracają. Moja wojna trwa dopiero trzy godziny, może nawet mniej, pomyślał, a już jestem otoczony. Jeśli chcę przeżyć, trzeba opuścić to miejsce. Ta myśl go rozwścieczyła. Opuścić posterunek?! Uciec? Ale przypomniał

sobie, że otrzymał rozkaz, by to zrobić, jeśli stanowisko okaże się nie do utrzymania. A więc...

Wieża zajęczała jak pęknięty dzwon. Dostali!

– *Cziort pabieri!* – zaklął celowniczy. – Zniszczyli armatę!

Komanow wyjrzał przez jedną ze szczelin obserwacyjnych i mógł naocznie stwierdzić, że jest to, niestety, prawda.

Wystająca lufa była... wygięta. Czy to jest w ogóle możliwe? Może to załamanie światła?

Przecież lufy armatnie są czymś najbardziej wytrzymałym. Z tego działa wystrzelili w ostatniej

godzinie trzydzieści cztery pociski. Nie wystrzela już nigdy ani jednego więcej.

Wziął głęboki oddech, by zebrać myśli. No tak, nadszedł czas...

– Przygotować stanowisko do zniszczenia.

– Teraz? Już? – zapytał z niedowierzaniem sierżant.

– Teraz! – potwierdził Komanow. – Założyć ładunek wybuchowy!

Na tę okoliczność przewidziana była specjalna procedura. Założono ładunek wybuchowy pod stelażem na amunicję. Ze szpuli rozwinięto kabel elektryczny i odpowiednio go podłączono. Celowniczy, ignorował te przygotowania. Obrócił wieżę, by puścić serię do zbliżających się chińskich żołnierzy. A potem szybko powrócił do poprzedniej pozycji i puścił drugą do grupki żołnierzy, która wykorzystała jego poprzedni manewr, by opuścić skapę, ale skuteczne schronienie i podejść bliżej. Komanow rozejrzał się po bunkrze: prycza, na której spał. Stół, przy którym zawsze spożywali posiłki. W głębi umywalka i toaleta.

Bunkier stał się ich domem, zarazem miejscem pracy i odpoczynku, ale teraz musieli go pozostawić Chińczykom.

– Idziemy, sierżancie! – rozkazał celownicemu, który właśnie puścił ostatnią serię i ruszył w stronę tunelu ewakuacyjnego.

Komanow policzył wchodzących do tunelu i poszedł za nimi. Uświadomił sobie, że nie zawiadomił nikogo o opuszczeniu bunkra. Przez chwilę się wahał, ale potem uznał, że już nie ma na to czasu. Zawiadomi pułk przez radio z transportera.

Tunel był niski i wszyscy biegli zgięci w pół. Na szczęście paliły się w nim światła. Na końcu znajdowały się drzwi. Gdy otworzyli je, zostali powitani jeszcze głośniejszym hukiem padających pocisków.

– Ale się grzebiecie! – prychnął trzydziestokilkuletni sierżant, który już na nich czekał.

Wskazał im BTR-60, czekający z zapalonym silnikiem.

– Poczekajcie! – rozkazał Komanow. Wyjął zapalarkę i przykręcił do biegunów akumulatora końcówki kabla. Schował się za betonową ścianą ze stalowymi drzwiami, przez które wyszli, i przykręcił klucz zapalarki.

Z tunelu ewakuacyjnego buchnęła fala żaru, a po drugiej stronie wzgórze wyleciała w powietrze – ku zdumieniu chińskich żołnierzy – wieża czołgu IS-3. I to było wszystko, co Komanow mógł tu jeszcze zdziałać. Dołączył więc do swoich ludzi, którzy już siedzieli w transporterze. BTR-60 stał pod wiatą z grubej betonowej płyty, zamaskowanej warstwą ziemi porośniętej trawą. Gdy tylko Komanow wsiadł, transporter popędził w dół zbocza.

– Wycofują się – zawiadomił sierżant, pukając palcem w ekran przekazujący obraz z kamery „Marilyn Monroe”. – Wysadzili w powietrze wieżę. To już trzeci porzucony bunkier.

Nie mało jak na pół dnia.

– A ja się dziwię, że wytrwali tak długo – stwierdził generał Wallace.

– Rosjanie mają problem – stwierdził major.

– Kiedy będziemy mieli terminal w Chabarowsku? – spytał generał.

– Jeszcze przed lunchem, sir.

– Jak się wam czekało? – Komanow spytał sierżanta, który dowodził transporterem.

– Głównie się modliliśmy, żebyście szybko stchórzyli. Ostrzał jak cholera. Jeden pocisk trafił w sam środek wiaty. Myślałem, że narobię w portki ze strachu. I nic. Beton wytrzymał.

W hałasie, jaki panował, Komanow i sierżant musieli do siebie krzyczeć.

– Jak daleko do dowództwa pułku? – spytał Komanow.

– Jeszcze z dziesięć minut. Ilu załatwiliście?

– Może i dwustu – odparł Komanow. – Nie widziałem ani jednego czołgu.

– Pewno dopiero budują mosty. To zabiera sporo czasu. Widziałem wiele takich mostów, kiedy służyłem w 8. Armii Gwardii w Niemczech. Właściwie przez cały czas ćwiczyliśmy forsowanie rzek. Jacy są ci Kitajcy?

– Na pewno nie są tchórzami. Nacierają, chociaż obok padają ludzie. Wszyscy byli zdziwieni, kiedy BTR niespodziewanie się zatrzymał. – Co się znowu stało? – spytał sierżant kierowcę.

Kierowca bez słowa wskazał palcem. Po chwili ktoś otworzył drzwi i do środka wcisnęło się dziesięciu ludzi. Było teraz ciasniej niż w pudełku sardynek.

– Jesteśmy, towarzyszu poruczniku! – wykrzyknął Iwanów z Pięć Zero.

– Co się stało?

– Pocisk prosto w pokrywę wjazdu – wyjaśnił Iwanow, a bandaż na jego twarzy potwierdzały ciężkie chwile, jakie musiała przeżyć załoga Pięć Zero. Widać było, że jest obolały, ale i szczęśliwy,

że się z tego piekła wydostał. – Nasz BTR też oberwał. Pocisk rozerwał cały przód i zabił kierowcę.

Sierżant zapalił papierosa i uśmiechnął się do swojego dowódcy. Wóz pędził dalej jak szalony.

– Zaczęło się, Jack – zawiadomił sekretarz obrony Brentano. – Chciałbym wydać naszym pozwolenie uczestniczenia w akcji. Na początek niech włączą się myśliwce, które mamy już na miejscu.

AWACS-y stale patrolują i też wspomagają Rosjan. Odbyła się pierwsza bitwa powietrzna. Mamy też w powietrzu zwiadowczy Dark Star. Przekazuje obraz z obszaru, gdzie Chińczycy rozpoczęli natarcie i budują przeprawy. Chcesz mieć u siebie podgląd?

– Oczywiście – powiedział Ryan do słuchawki. – A jeśli chodzi o myśliwce, to spuść je ze smyczy. – Spojrzał na Robbyego.

Wiceprezydent skinął głową.

– Naturalnie, Jack. Za to im płacimy. Chłopcy będą szczęśliwi. – Piloci myśliwscy żyją, by mieć taką okazję, marzą o niej, póki nie zobaczą, czym to pachnie. Tylko że przeważnie już nic nie zobaczą, kiedy zbyt mocno powąchają.

– No dobra, chłopaki, lecimy na wojnę – obwieścił swoim pilotom pułkownik „Bronco”

Winters. W poprzednim roku stracił cztery maszyny nad Arabią Saudyjską. Brakowało mu jednego zwycięstwa, by zostać asem. Kiedy wracał do Colorado Springs, marzył o tym, by kiedyś tego piątego jeszcze dopaść. Teraz trafiała się okazja. Przez wszystkie lata swojej kariery lotniczej latał na myśliwcach F-15, ale miał nadzieję za rok czy dwa przesiąść się na F-22 Raptor. Wylatał 4.231 godzin na F-15, znał wszystkie możliwe sztuczki, jakie można na nim robić, i nie wyobrażał sobie lepszej maszyny do walki powietrznej. Więc teraz będzie stracał Chińczyków. No i dobrze! Nie znał się zupełnie na polityce i niewiele go ona obchodziła.

Przebywał obecnie w rosyjskiej bazie lotniczej, miejscu, którego w życiu nie spodziewał

się zobaczyć, chyba że przez wskaźnik celownika HUD. W Rosji był dopiero drugi dzień, co wystarczyło, by odmówić co najmniej dwudziestu propozycjom wypicia szklanki wódki.

Rosyjscy piloci wydawali się w porządku, może byli troszkę zbyt gorliwi, ale pełni przyjaźni dla amerykańskiego pułkownika, kiedy zobaczyli cztery symbole zwycięstw na kadłubie F-15C należącego do dowódcy 390. Dywizjonu Myśliwskiego. Winters zeskoczył na ziemię z rosyjskiego dżipa – oni to jakoś inaczej nazywali, ale nie zapamiętał – który zatrzymał się obok jego myśliwca. Szef obsługi już na niego czekał.

– Wszystko w porządku? – spytał Winters, stawiając stopę na pierwszym szczeblu drabinki.

– Tak jest – odparł szef obsługi, starszy sierżant Neil Nolan. – Spuść kilku żółtków na ziemię,

Bronco! – W dywizjonie panował zwyczaj, że kiedy pilot był w samolocie lub choćby go dotykał, wolno było zwracać się do niego tylko używając kryptonimu.

– Przywiozę ci ich skalpy, Nolan. – Pułkownik Winters usadowił się w kabinie. Starszy sierżant wspiał się za nim i pomógł zapiąć pasy, a potem zeskoczył na ziemię i odstawił drabinę.

Winters rozpoczął procedurę przedstartową. Najpierw wprowadził do komputera współrzędne lotniska. F-15C miał własny system nawigacji bezwładnościowej na wypadek, gdyby zawiódł satelitarny GPS (nie zawodził nigdy, ale procedura to procedura). Następnie pułkownik sprawdził wskazania przyrządów, które poinformowały, że jego F-15C ma zbiorniki pełne paliwa, nienaruszony zapas amunicji do działka, a na węzłach podwieszeń znajduje się przewidziany na dzisiejszy lot zestaw pocisków rakietowych. Były to cztery pociski AIM-120 AMRAAM z aktywnym naprowadzaniem radarowym oraz cztery naprowadzane na podczerwień pocziwe Sidewindery w najnowszej wersji MM-9X.

– Wieża, tu Bronco plus trzech, wszyscy gotowi do kołowania, koniec.

– Tu wieża, Bronco, możesz kołować. Wiatr z godziny dziesiątej. Powodzenia, pułkowniku!

– Dzięki, wieża. – Zwolnił hamulce i myśliwiec ruszył po pasie, popychany przez dwa potężne silniki Pratt & Whitney. Gromadka Rosjan, przeważnie z obsługi lotniska, ale sądząc z mundurów także paru pilotów, stała na trawie i przyglądała się odlotowi Amerykanów na pierwszą misję bojową. Doskonale, pomyślał Bronco, pokażemy im, jak to się robi w Ameryce. Cztery myśliwce kołowały parami do końca pasa startowego, potem zawróciły i pognały z rykiem przed siebie. Niezwłocznie po starcie cztery F-15C skierowały się na południe. Bronco przeszedł na częstotliwość AWACS-a o kryptonimie Orzeł Dwa.

– Orzeł Dwa, tu prowadzący Dzik.

– Prowadzący Dzik, tu Orzeł Dwa. Widzimy was na radarze. Lećcie na południe, kurs jeden-siedem-zero, pułap dziesięć tysięcy. Wydaje się nam, że będziecie dziś mieli trochę roboty.

– Bardzo mi to odpowiada. – Pułkownik Winters poprawił się w fotelu i kontynuował

wspinanie się na pułap dziesięciu tysięcy metrów. Systemy radarowe pozostawały wyłączone.

Nie miał też zamiaru prowadzić zbędnych rozmów, ponieważ ktoś mógł podsłuchiwać, a on nie chciał psuć Chińczykom niespodzianki. Za kilka minut będą już lecieli w obszarze kontrolowanym przez chińskie stacje radiolokacyjne.

Podpułkownik Giusti bez przerwy się kręcił, by znaleźć wygodniejszą pozycję, ale rosyjski wagon osobowy, w którym on i jago sztab jechali, nie był stworzony z myślą o wygodzie pasażerów. Nie ma

jednak sensu narzekać, bo jest, jak jest. Na zewnątrz panowały jeszcze ciemności. Znajdowali się teraz we wschodniej Polsce, z pewnością w krainie farmerów, ponieważ Polska stawała się powoli stanem Iowa Europy. Musi tu być wiele dużych hodowli świń do produkcji sławnych na cały świat polskich szynek. Wstał i wyszedł

na korytarz. Prawie wszyscy w wagonie spali albo usiłowali zasnąć. Dwaj rozsądni podoficerowie położyli się na podłodze między rzędami foteli i chrapali. Brudna podłoga nie wpłynie dobrze na wygląd mundurów, ale udali się przecież do strefy działań wojennych, gdzie schludność nie jest priorytetem. Giusti przeszedł do sąsiedniego wagonu, którym jechała reszta żołnierzy kompanii dowodzenia.

Szef kompanii siedział w jednym z pierwszych przedziałów i czytał jakiś kryminał.

– Dzień dobry, pułkowniku – starszy sierżant powitał swego przełożonego. – Przed nami jeszcze kawał drogi.

– Co najmniej jeszcze trzy albo i cztery dni.

– To gorsze niż latanie samolotem – odparł szef kompanii.

– Jak z wyżywieniem?

– Racje polowe. Czy ma pan jakieś wiadomości, panie pułkowniku, o tym, co dzieje się na świecie?

– Wiem tyle, że na Syberii zaczęło się... Chińczycy przekroczyli granicę, a Iwan usiłuje ich zatrzymać. Nie znam żadnych szczegółów. Kiedy będziemy przejeżdżali przez Moskwę, to wszystkiego się dowiemy. W Moskwie mamy być po południu. – W jakich nastrojach są ludzie? – spytał Giusti.

– W dobrych. Nie ma żadnych większych problemów. Nudzi ich tylko trochę ta długa jazda, chcieliby już siedzieć w swoich pudłach.

Giusti pokiwał głową i wrócił do swego wagonu. Może uda mu się na kilka godzin zdrzemnąć. Za oknem nie ma nic specjalnie ciekawego do oglądania.

Reszta

Pierwszej

Pancernej

jechała

pociągami,

które

znajdowały

się

na

wielusetkilometrowej trasie linii kolejowej biegnącej z Berlina na wschód. Na przykład Druga Brygada pułkownika Lisle'a dopiero co wyruszyła z Berlina. Polskę przemierzy więc w ciągu dnia. Wtedy można to i owo zobaczyć przez okna wagonów.

Chińczycy pojawili się po prawej ręce Wintersa, w odległości około pięćdziesięciu kilometrów. Parli na północ, poszukując rosyjskich samolotów. Oznaczało to, że chińscy piloci lada chwila mogą włączyć radary przeszukujące, a kiedy to zrobią, większość czasu będą poświęcali gapieniu się w ekrany, a nie rozglądaniu po niebie, i to mogło okazać się dla nich bardzo niebezpieczne. Gdy Winters znalazł się na południe od chińskich myśliwców, skręcił na zachód. Eskadra zeszła na pułap sześciu i pół tysiąca metrów, dużo poniżej Chińczyków, ponieważ piloci myśliwców mają zwyczaj patrzenia nad siebie i za siebie, ale rzadko za siebie i w dół, co wynikało z założenia, że wysoki pułap, podobnie jak prędkość, pomaga przeżyć. I przeważnie tak było...

Po trzech minutach znaleźli się dokładnie na południe od nieprzyjaciela i Winters zwiększył prędkość do maksimum – jednak bez włączania dopalacza. Eskadra podzieliła się na dwie pary. Winters poleciał ze swoim skrzydłowym w lewo i po chwili dostrzegł ciemne plamki na tle jaśniejącego niebieskiego nieba.

Bronco doszedł do wniosku, że jest już dostatecznie blisko, by zaatakować. W odległości czterystu metrów na prawo miał swego skrzydłowego, zdolnego młodego porucznika, który wykonywał swoje zadanie, czyli osłaniał prowadzącego.

– Orzeł do Dzika. Bandyci lecą prosto na nas! – zaalarmował zdenerwowanym głosem kontroler z pokładu AWACS-a.

– Długo tak nie polecą – uspokoił go pułkownik Winters. Chińczycy lecieli na północ pewni łatwej zdobyczy. W słuchawkach zabrzmiał piskliwy dźwięk informując pilota, że głowice Sidewinderów wykryły źródło ciepła, którym były rozpalone dysze silników Su-27.

Zacznie dwiema raketami.

– Lis Dwa, lis Dwa! Dwie rakiety poszły – zameldował Bronco. Rakiety popędziły do wyznaczonych im celów. Wintersowi brakowało tylko jednego zestrzelenia, by zostać asem...

...i po sześciu sekundach już miał pierwsze, a po dalszej półsekundzie drugie. Oba Su-27

trafione. Pierwszy pilot katapultował się, ale drugi nie zdążył.

– Miałeś pecha, żółtku – pomyślał głośno Winters. Piloci pozostałych dwóch Su-27 przez chwilę się

wahali, a potem rozdzielili się i pomknęli w przeciwnych kierunkach.

Winters włączył radar i poleciał za tym, który skierował się w lewo. Namierzył

przeciwnika. Świergot w słuchawkach poinformował Bronco, że Chińczyk jest w zasięgu naprowadzanego radarem pocisku AMRAAM.

– Lis Jeden, Lis Jeden. Odpalam AMRAAM-a do tego po prawej. – Gdy pocisk oddzielił

się od myśliwca, Bronco pobiegł za nim wzrokiem. AMRAAM był rakieta typu „wystrzel i zapomnij”. Nie potrzebował naprowadzania przez pilota, podobnie zresztą, jak nie potrzebował tego Sidewinder. AMRAAM błyskawicznie osiągnął dwukrotną prędkość dźwięku i łaskomie pożerał pięciokilometrową przestrzeń, jaka dzieliła go od ofiary. Nie minęło nawet dziesięć sekund, kiedy rakietę dogoniła Su-27 i wybuchła niespełna metr nad kadłubem.

Wspaniale, trzy trafienia w ciągu kilku minut! Poranek zapowiadał się znakomicie.

– Jak wygląda sytuacja?

– Obrońcy spisali się jak mogli najlepiej w danych warunkach – odparł pułkownik Alijew. – Większości załóg starych stanowisk ogniowych udało się ująć z życiem. W sumie zginęło mniej niż dwudziestu żołnierzy, a piętnastu jest rannych.

– Jak Chińczykom idzie forsowanie rzeki?

– Amerykanie informują, że przerzucili już sześć mostów pontonowych. Według naszych danych Amur sforsowały już trzy dywizje zmechanizowane.

– Nie masz jakichś dobrych wiadomości? – spytał Bondarienko.

– Nasze lotnictwo i Amerykanie stracili ponad trzydzieści chińskich samolotów, przy stracie tylko czterech naszych. W dwóch wypadkach nasi piloci uratowali się. Wzięliśmy do niewoli sześciu chińskich pilotów, którzy się katapultowali.

– Kiedy będziemy mogli mieć odpowiednie siły w powietrzu, by zacząć atakować ich czołowe jednostki na ziemi?

– Dziś po południu. Szturmowe Su-25 – odparł Alijew. – Ale czy nie...

– Ale czy nie co? – przerwał mu Bondarienko.

– Czy nie byłoby lepiej pozwolić im przez kilka dni iść przed siebie prawie bez przeszkód? – Była to odważna propozycja ze strony oficera operacyjnego. I jednocześnie bardzo rozsądna... Giennadij

Josifowicz prawie natychmiast zdał sobie z tego sprawę. Jeśli jedyną jego strategiczną opcją było zorganizowanie pułapki daleko na północy, to po co ryzykować skromnymi środkami już teraz, kiedy pułapka nie jest jeszcze zastawiona?

– Dobrze. Wyślij w powietrze tylko kilka szturmowców. Żadnej większej akcji. Możemy nadal nękać ich lotnictwo, ale ich siły lądowe... tak, chwilowo pozostawmy w spokoju. Niech staną się pewni siebie.

– Całkowicie się zgadzam, towarzyszu generale. Jest to gorzka pigułka do przełknięcia, ale ją przełknijemy.

Rozdział 52

Wielka bitwa

Wóz dowodzenia generała Penga wjechał do Rosji w bezpiecznej odległości za otwierającym natarcie pułkiem pancernym. Pierwszą myślą generała było użycie helikoptera, ale wyperswadowali mu to oficerowie ze sztabu, informując, że walki powietrzne wcale nie przebiegają tak pomyślnie, jak to z wielką pewnością siebie zapowiadali ci z lotnictwa.

Generał czuł się nieswojo, przekraczając rzekę w pancernym pudle po chybotliwym moście pontonowym. Siedzący obok oficer operacyjny relacjonował przebieg bitwy:

– Amerykanie rzucili do walki sporą liczbę myśliwców, a tuż za nimi wysłali samoloty kontroli przestrzeni powietrznej. Ich maszyny są doskonałe i trudne do zwalczania, ale nasi koledzy ze sztabu lotnictwa mówią, że mają na nie sposób... – Pułkownik Wa westchnął i dodał: – Uwierzę, kiedy zobaczę na własne oczy. – Po chwili ciągnął: – Ale jak dotąd, to jedyna zła wiadomość. Poza tym wszystko idzie dobrze. Wyprzedziliśmy harmonogram o kilka godzin. Opór jest słabszy, niż się tego spodziewaliśmy. Jeńcy są bardzo zawiedzeni brakiem wsparcia. Nie otrzymali żadnego.

– Naprawdę nie otrzymali wsparcia? – zdziwił się generał Peng. Wóz dowodzenia opuścił wąski most i potoczył się po rosyjskiej ziemi.

– Nie. Mamy dziesięciu jeńców. Za kilka minut ich zobaczymy. Mieli tunele ewakuacyjne i transportery opancerzone. Nie przewidywali długiego oporu. Moim zdaniem odwrót był zaplanowany – wyraził przypuszczenie pułkownik Wu. – Nie planowali obrony do ostatniego człowieka. Rosjanie po prostu nie mają serca do walki. Takie jest moje zdanie, towarzyszu generale.

Ta ostatnia informacja bardzo zainteresowała generała. Dobrze jest znać morale wroga.

– Ale czy byli i tacy, którzy walczyli do końca? – zapytał.

– Tylko w jednym bunkrze. To nas kosztowało trzydziestu ludzi. Wybiliśmy ich do nogi.

Chyba nie mieli wyboru, bo ich transporter uległ zniszczeniu – wyraził przypuszczenie pułkownik.

– Jakie są nasze straty? – spytał pułkownika.

– Około trzystu pięćdziesięciu zabitych, sześciuset dwudziestu rannych – odparł oficer operacyjny. – Straty w ludziach są mniejsze, niż przewidywaliśmy. Byłyby znacznie większe, gdyby Rosjanie stawiali opór do końca.

– Dlaczego tak szybko się wycofali? – spytał generał. – Domyślcie się?

Odpowiedział pułkownik Wu:

– W jednym z bunkrów znaleźliśmy rozkaz na piśmie. Upoważniał on dowódcę do odwrotu, gdyby uznał, że sytuacja jest beznadziejna. Ten rozkaz bardzo mnie zdziwił.

Sądziliśmy, że Rosjanie są twardzi i walczą do końca. Doświadczyli tego Niemcy. No, ale to było za czasów Stalina. Wówczas obowiązywała dyscyplina. I ceniona była odwaga. Wydaje mi się, że dziś te cnoty zniknęły.

– Ewakuacja odbyła się sprawnie. Tak mi się w każdym razie wydaje – myślał na głos Peng. – Gdyby było inaczej, wzięlibyśmy do niewoli znacznie więcej jeńców.

– Trudno było wziąć więcej jeńców, bo uciekali zbyt szybko – mruknął pułkownik Wu.

– Ten, kto walczy i szybko odrywa się od wroga, ma szansę na kontratak, pułkowniku – skarcił go generał.

– Tak jest, towarzyszy generale, ale ten, kto ucieka chwilowo przestaje stanowić zagrożenie – odparł pułkownik.

– No i? – zapytał Bondarienko porucznika. Młodziutki oficer miał za sobą trudne chwile, a stanie na baczność i meldowanie o przebiegu wydarzeń dowódcy Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego nie pomagało wyjść z szoku. – Uspokój się, chłopcze. Najważniejsze, że żyjesz.

– Utrzymalibyśmy pozycje, panie generale, gdybyśmy dostali jakieś wsparcie.

– Nie mieliśmy czym was wesprzeć. Mów dalej. – Generał palcem wskazał na mapę.

– Sforsowali Amur w tym miejscu, a potem zaatakowali nas przez przełęcz i następnie grzbiet. Sama piechota, nie widzieliśmy żadnych pojazdów. Mieli granatniki i działa bezodrzutowe. Nic specjalnego lub nieoczekiwanego, ale przez cały czas wspierał ich silny ogień artylerii. Na moją pozycję skierowany był ogień chyba całej baterii. Burzące kalibru 150 mm albo i więcej.

– Mówcie dalej, poruczniku. Co powiecie o chińskiej piechocie? – Bondarienko zachęcił rozmówcę.

– Na pewno nie są tchórzami, towarzyszu generale. Nie boją się ognia. Są dobrze wyszkoleni. Z mojego bunkra i z sąsiadującego z nami skosiliśmy co najmniej dwustu, a oni dalej szli. Są wyszkoleni i zgrani jak futbolowa drużyna. Bardzo dobrze kierowali ogniem artyleryjskim. Nie widzieliśmy ani jednego czołgu. Wypchnęli nas z pozycji, nim jeszcze ukończyli budowę mostów pontonowych. Piechota wydawała się dobrze przygotowana i wyszkolona. Nie zauważyłem żadnych objawów zawahania, ale, prawdę powiedziawszy, w ogóle nie zdążyłem wiele dostrzec – przyznał porucznik

– W chwili obecnej sytuacja rozwija się dla nich pomyślnie – stwierdził Bondarienko. –

Jednak jakość armii ocenić można najlepiej, gdy sytuacja staje się niepomyślna. – Czy to kiedykolwiek nastąpi? – zastanowił się generał. Potrząsnął głową. Jakimże on oddaje się myślom?! Jeśli jemu brak wiary, to skąd mają ją brać podwładni? – A twoi ludzie, Walery Michajłowiczu? Jak walczyli?

– Dobrze walczyliśmy, towarzyszu generale! – zapewnił generała porucznik Komanow. –

Zabiliśmy ich dwustu i zabilibyśmy jeszcze więcej, gdybyśmy mieli choć trochę wsparcia artyleryjskiego.

– I myślisz, że twoi ludzie jeszcze zechcą walczyć? – zapytał Alijew.

– Jasne, że tak! – wykrzyknął porucznik. – Te bydlaki napadły na naszą ojczyznę. Dajcie nam tylko odpowiednią broń, a wytłuczemy tych małych żółtych skurwysynów do ostatniego!

– Ukończyłeś szkołę pancerniaków?

– Tak jest, towarzyszu generale, z ósmą lokatą.

– Dajcie mu kompanię w Bojarach – polecił generał oficerowi operacyjnemu. – Mają niedobór oficerów.

Generał Marion Diggs przekroczył granicę Rosji trzecim pociągiem. Podróżował

trzydzieści minut za kawalerią pancerną Angela Giustiego. Rosjanie puszczali pociągi jak można najbliżej siebie, zachowując minimalne bezpieczeństwo. Na szczęście dysponowali w pełni zelektryfikowaną siecią, a co ważniejsze, system dobrze funkcjonował.

Wreszcie pociąg zatrzymał się. Pewno czeka na podniesienie semafora, pomyślał Diggs.

– Panie generale! Ktoś do pana – zameldował młody kapitan ze sztabu dywizji. Obok niego stał rosyjski oficer z dystynkcjami generała.

– Generał Diggs? – spytał Rosjanin.

– Tak. O co chodzi?

– Proszę za mną – odparł krótko Rosjanin i wyszedł na peron. Za nim ruszył Diggs.

– Jak wygląda sytuacja na wschodzie? – spytał Diggs.

– Pana i wybranych oficerów z pańskiego sztabu zamierzamy wysłać samolotem do Chabarowska – odparł poprawną angielszczyzną Rosjanin. – Zobacz pan na własne oczy.

Dobry pomysł, pomyślał Diggs.

– Ilu mogę zabrać ludzi? – spytał.

– Sześciu, poza panem.

Diggs skinął głową i gestem dłoni wezwał do siebie oficera, który zawiadomił go o wizycie rosyjskiego generała. – Ściągnijcie tu pułkowników Mastermana, Douglasa, Welcha, Turnera, podpułkownika Hursta i majora Garveya.

– Tak jest, sir! – Młodziutki kapitan zsalutował i pobiegł spełnić polecenie.

– Kiedy lecimy?

– Samolot czeka na pasie – odparł rosyjski generał.

Oczywiście maszyna ich produkcji, pomyślał Diggs. Jeszcze nigdy nie leciał rosyjskim samolotem. Czy jest bezpieczny? Zwłaszcza w strefie działań wojennych? No cóż, Armia nie płaci mu za przebywanie w bezpiecznych miejscach.

– Przepraszam, jak pan się nazywa?

– Walentin Nosenko. Jestem generałem ze Sztabu Generalnego.

– Jak wygląda sytuacja? Jest bardzo zła?

– Niezbyt dobra, panie generale. Naszym głównym problemem będzie dostarczenie wsparcia na obszar działań wojennych. Z drugiej strony Chińczycy muszą pokonać kilka rzek.

Trudności mają obie strony.

– Co się dzieje, szefie? – spytał Masterman.

– Lecimy na wschód właśnie po to, by zobaczyć, co się dzieje.

– W taki razie musimy mieć łączność z pociągiem. Idę po sprzęt. – Masterman szybko wrócił do wagonu i po chwili pojawił się z dwoma żołnierzami niosącymi satelitarne telefony.

Za nimi wyszedł podpułkownik Garvey, dywizyjny szef łączności i zwiadu elektronicznego.

Gdy wszyscy się już zgromadzili, Diggs przedstawił im rosyjskiego generała: – Panowie, to jest generał Nosenko ze Sztabu Generalnego. Zabierze nas na wycieczkę na Daleki Wschód.

– Proszę tędy, panowie. – Nosenko poprowadził amerykańskich oficerów do czterech czekających samochodów. Jazda na lotnisko wojskowe trwała dwadzieścia minut.

– Jakie są nastroje? – spytał Diggs Nosenkę.

– Myśli pan o cywilach? Zbyt wcześnie, by móc coś na ten temat powiedzieć. Przede wszystkim szok. No i wielki gniew. Gniew nie jest zły – oświadczył Nosenko. – Dodaje odwagi i rodzi determinację.

Jeśli Rosjanie mówią o gniewie i determinacji, to sytuacja musi być rzeczywiście zła, pomyślał Diggs, przyglądając się mijanym ulicom przedmieść Moskwy.

– Co przed nami wysyłacie na wschód? – zapytał.

– Dotychczas wysłaliśmy cztery dywizje piechoty zmechanizowanej. Nasze najlepiej przygotowane jednostki.

Na lotnisku czekał na nich Il-86, znany w NATO jako Comber, niemal dokładna kopia C-141. Ledwo zajęli miejsca w kabinie i zapięli pasy, samolot zaczął kołować.

– Aż tak się śpieszymy, Walentin? – zapytał Diggs.

– Po co zwlekać, panie generale? Toczy się wojna – przypomniał Nosenko.

– Rozumiem. Co więc wiemy?

Nosenko wyciągnął z mapnika złożoną mapę i rozpostarł ją na podłodze w chwili, gdy pilot odrywał maszynę od ziemi. Mapa przedstawiała pogranicze chińsko-rosyjskie z naniesionymi pozycjami obu stron. Amerykańscy oficerowie pochylili się nad nią.

– Jak szybko się posuwają? – zapytał Bondarienko.

– Mam na ich przedpolu naszą jednostkę rozpoznania – odparł pułkownik Tołkunow. –

Otrzymuję meldunki co piętnaście minut. Chiński zwiad dysponuje gąsienicowymi transporterami opancerzonymi Typ 503 z masą elektroniki i z minimum uzbrojenia. W

zasadzie nie są zanadto przedsiębiorczy, nie improwizują, nie odchodzą od planu. Posuwają się głównie półkilometrowymi skokami. Monitorujemy ich łączność radiową. Choć nadają otwartym tekstem, posługują się bardzo mylącą terminologią. Pracujemy nad tym.

– Jakie jest tempo natarcia?

– Ich siły główne dopiero się formują. Jeszcze nawet nie założyli bazy logistycznej. W

oparciu o to, co widziałem, wnoszę, że na płaskim otwartym terenie nie będą posuwać się dalej niż trzydzieści kilometrów dziennie.

– Jakie jednostki zidentyfikowaliśmy? – zapytał.

– Podstawę ich sił stanowi 34. Armia Uderzeniowa dowodzona przez generała Peng Xi-Wanga. Peng jest wysoko ceniony przez Pekin jako doświadczony dowódca. Prawie cała 34.

Armia przeprowiła się już przez Amur. W kolejce czekają 31., 29. i 43. Armia. W sumie szesnaście dywizji zmechanizowanych i liczne jednostki pomocnicze. Jednak naszym zdaniem następną armią, która przeprowi się przez Amur, będzie 65. Armia. Jest najlepiej do tego przygotowana. Wcześniej wymienione armie nie osiągnęły jeszcze pełnej gotowości. 65.

Armia składa się z czterech dywizji piechoty i brygady pancernej. Zadaniem tej armii może być, moim zdaniem, zabezpieczenie ich zachodniej flanki.

Tak, to miało sens. Na wschód od miejsca wtargnięcia Chińczyków Rosjanie nie mieli żadnych jednostek mogących stawić jakikolwiek opór. Klasyczna operacja z pewnością zakładała natarcie w kierunku południowoschodnim na Władywostok nad Pacyfikiem. Ale to uszczupliłoby siły prace w strategicznie ważnym kierunku. Z ruszeniem na wschód Chińczycy będą musieli poczekać co najmniej tydzień, a może nawet i kilka tygodni, wysyłając tam najwyżej lekkie jednostki osłonowe.

– Panie generale? – Usłyszał głos z obcym akcentem.

Bondarienko obrócił głowę. Zobaczył mężczyznę w amerykańskim kombinezonie lotniczym.

– Słucham.

– Major Dan Tucker. Właśnie przyleciałem z terminalem bezpilotowego systemu zwiadowczego Dark Star. Gdzie mam go ustawić?

– Pułkowniku Tołkunow? Majorze, pułkownik jest moim szefem wywiadu.

– Cześć, pułkowniku! – Tucker, zwyczajem oficerów Sił Powietrznych, zasalutował niedbale.

– Jak długo potrwa uruchomienie terminalu?

Amerykanin był wyraźnie zadowolony, że angielski Tołkunowa jest lepszy od jego rosyjskiego.

– Niespełna godzinę.

– Proszę za mną. – Pułkownik wyprowadził Tuckera na zewnątrz. – Dobre są te wasze kamery?

– Zapewniam pana, pułkowniku, że jak facet będzie siusiał, to uda się wam dokładnie zmierzyć długość członka.

Tołkunow pomyślał, że są to typowe amerykańskie przechwałki, chociaż, z drugiej strony... kto wie.

Kapitan Fiodor Iljicz Aleksandrow dowodził zwiadem 256. DPZmot. W zasadzie do wyznaczonego celu dywizja powinna mieć zwiad w sile batalionu, ale dysponowała tylko Aleksandrowem z jego ośmioma zwiadowczymi BRM. Była to ulepszona wersja bojowego wozu piechoty BWP. Lepsza skrzynia biegów, lepszy silnik i układ jezdny, a poza tym najnowszego typu radiostacje. Aleksandrow podlegał bezpośrednio dowódcy dywizji, a także pułkownikowi Tołkunowowi ze sztabu okręgu. Ten Tołkunow niesłuchanie troszczył się o osobiste bezpieczeństwo Aleksandrowa. Stale go pouczał, żeby starał się zbliżyć do nieprzyjaciela, ale nie podchodził zbyt blisko, by go nie zauważono, no i stanowczo zakazywał angażowania się w jakiegokolwiek potyczki. Przez ostatnie półtora dnia co dwie godziny Tołkunow przypominał Aleksandrowowi jego zadanie: przeżyć i pilnować Chińczyków. Nie wolno mu stracić nawet jednego włosa z chińskiej głowy. Ma trzymać się blisko i jeśli Chińczycy będą coś mówili przez sen, to ma spisać nazwiska pańienek, z którymi się właśnie zabawiają.

Kapitan Aleksandrow miał dwadzieścia osiem lat. Był diablo przystojny, atletycznie zbudowany, fascynowało go bieganie i swoim podkomendnym zawsze powtarzał, że ono jest najlepszym ćwiczeniem dla żołnierzy, zwłaszcza dywizyjnych zwiadowców. Każdy z jego ośmiu pojazdów obsługiwała załoga złożona z kierowcy, dowódcy obsługującego uzbrojenie i radiooperatora oraz trzech zwiadowców, których osobiście nauczył, jak pozostawać niewidzialnymi w terenie.

Podczas akcji zwiadowcy mniej więcej połowę czasu spędzali poza pojazdami, zwykle około kilometra przed swoimi chińskimi odpowiednikami. Kryli się za drzewami lub czołgali się wtopieni w teren, składając monosylabowe meldunki przez japońskie radia. Zwiadowcy nie brali ze sobą nic oprócz karabinków AKSU i dwóch zapasowych magazynków. Chodziło przecież o to, by mogli poruszać się bezszelestnie. Aleksandrow najchętniej wysyłałby ich w teren bez broni, by w patriotycznym porywie gniewu kogoś nie ustrzelili. Ale żaden żołnierz na świecie nie da wysłać się bez broni na pole walki. Aleksandrow poszedł na kompromis i zgodził się na karabinki, ale bez naboju wprowadzonego do komory. Kapitan przeważnie towarzyszył swoimi zwiadowcom, pozostawiając transporter między drzewami kilkaset metrów z tyłu.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin ludzie Aleksandrowa dobrze poznali swoich chińskich przeciwników, którzy także byli doskonale wyszkolonymi zwiadowcami.

Również przemieszczali się pojazdami gaśnicowymi i spędzali wiele godzin na pieszym rozpoznaniu, kryjąc się za drzewami ze wzrokiem skierowanym na północ i wypatrywali nieprzyjaciela. Rosjanie zaczęli nawet nadawać pseudonimy poszczególnym Chińczykom.

– Nadchodzi Ogrodnik – szepnął sierżant Bujkow. Ogrodnikiem nazwano chińskiego zwiadowcę, który idąc muskał palcami pnie drzew i gałęzie krzaków, jak uczeń przygotowujący wypracowanie na temat dendrologii. Był niski i szczupły, Rosjanom wydawał się dwunastoletnim chłopcem. Ale był też doświadczonym żołnierzem, trzymał broń w pogotowiu i często korzystał z lornetki. Sądząc po naramiennikach był porucznikiem.

Pewno dowodził plutonem, bo na jego gesty i słowa natychmiast reagowali pozostali. I szedł

zawsze pierwszy. Był wyraźnie świadomy swojej odpowiedzialności. Z tego wynika, że jego pierwszego trzeba będzie zabić, pomyślał Aleksandrow. BRM był uzbrojony w działko kalibru 30 mm i jednym strzałem mogli zlikwidować Ogrodnika. Sierżant Bujkow miał na to wielką ochotę, ale kapitan Aleksandrow surowo zakazał nawet myślenia o strzelaninie.

Bujkow bardzo żałował. Pochodził z tych okolic, wielokrotnie w przeszłości polował w tutejszych lasach, często towarzysząc ojcu, drwalowi. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie powiedzieć na głos:
– Powinniśmy go ukatrupić.

– Chcesz zdradzić Kitajcom naszą obecność? – skarcił sierżanta Aleksandrow.

– Oczywiście, że nie, kapitanie, ale z drugiej strony sezon łowiecki otworzyli oni...

– A ja go zamykam. W każdym razie dla nas. Poza tym on nie jest wilkiem, którego należy zabić dla przyjemności... Padnij!

Przylgnęli do ziemi. Ogrodnik patrzył w ich kierunku przez lornetkę. Nie powinien ich zobaczyć. Twarze mieli pobrudzone sadzą, hełmy pokryte maskującą tkaniną, mundury naszpikowane gałązkami.

– Wracamy do transportera. Wkrótce ruszą dalej.

Najtrudniejszą sprawą było nie pozostawiać śladów własnej obecności. Aleksandrow

„przedyskutował” wielokrotnie problem z kierowcami, zapowiadając, że zastrzeli tego, który pozostawi po sobie znaki w postaci połamanych drzew lub nawet gałęzi. (Wiedział, że tego nie zrobi, ale jego ludzie nie byli tego pewni).

Transportery miary tłumiki założone na rury wydechowe. Czasami konstruktorom rosyjskiego sprzętu wojskowego udawało się zrobić coś dobrze. BRM były tego przykładem.

Poza tym podczas wykonywania zadań takich, jak obecne, nigdy nie zapalano silników, póki nie usłyszano, że robią to Chińczycy. Aleksandrow wyjrzał zza drzewa i przez długą chwilę obserwował teren. Ogrodnik wymachiwał teką, najwidoczniej sygnalizując kierowcom, by podprowadzili pojazdy. Tak, Chińczycy przygotowywali się do kolejnego skoku, z tym że jedna drużyna pozostawała na miejscu jako osłona. Aleksandrow nie miał najmniejszego zamiaru atakować, ale tamci o tym przecież nie wiedzieli. Był nieco zaskoczony tym, że Chińczycy wciąż są tacy ostrożni i ściśle przestrzegają ustalonego rytuału. Spodziewał się, że po początkowych sukcesach staną się nieco mniej czujni. O tak, Chińczycy są lepiej wyszkoleni, niż przypuszczał. Regulaminów przestrzegają jak zaleceń katechizmu. No cóż, kapitan Aleksandrow też przestrzega regulaminów.

– Ruszamy? – spytał sierżant Bujkow.

– Jeszcze nie. Poczekamy i popatrzemy. Powinni zatrzymać się w przecince na tej przełęczy. Chcę sprawdzić, do jakiego stopnia są przewidywalni. – Niemniej wcisnął klawisz nadawania na obudowie mikrofonu i wyszeptał: – Uwaga, żółtki przygotowują się do kolejnego skoku.

W słuchawce usłyszał podwójne kliknięcie. Bardzo dobrze, chłopaki przestrzegają radiowej dyscypliny. Grupa chińskich pojazdów ostrożnie ruszyła przed siebie, utrzymując prędkość około dziesięciu kilometrów na godzinę. Pojechali przesieką. Aleksandrow był

zdziwiony, że nie próbują spenetrować głębiej lasu po obu stronach przesieki, zapuszczali się tylko na dwieście do trzystu metrów. Nagle odruchowo się schylił. Usłyszał nadlatujący helikopter. Była to chińska kopia francuskiego śmigłowca Gazelle. Na szczęście rosyjskie pojazdy stały w lesie, przykryte siatką maskującą. Maskowanie pojazdów było zawsze pierwszą czynnością po zatrzymaniu się w nowym miejscu. Żołnierze byli dobrze wyszkoleni i przestrzegali dyscypliny. A ten helikopter nad ich głowami był przekonującym argumentem, że pojazdy muszą być niewidoczne, a ich załogi nie mogą pozostawiać śladów, jeśli chcą przeżyć.

– Co on tu robi? – zapytał Bujkow.

– Jeśli się rozgląda, nie robi tego najlepiej – odparł Aleksandrow.

Chińczycy parli przed siebie przesieką powstałą przed laty, kiedy kierownictwo ZSRR

planowało budowę odnogi Kolei Transsyberyjskiej. Przesieka była miejscami szeroka na pięćset metrów i teren został częściowo zniwelowany. Ktoś przed laty wpadł na pomysł

zbudowania tu linii kolejowej, by móc eksploatować niezmiernie bogactwa Syberii.

Wycięto więc tysiące drzew, a potem projekt zarzucono. Przy ostrych syberyjskich zimach las nie odrósł, pojawiły się tylko małe krzaczki, które teraz padały ofiarą gąsienic. Jednakże dalej na północy trwały prace przy budowie szosy prowadzącej do nowo odkrytych złóż złota i jeszcze dalej do pól roponośnych na arktycznym wybrzeżu. Dlatego też na północy Chińczycy mogli spodziewać się już lepszej, bitej drogi, którą łatwo będą mogły poruszać się jednostki pancerne. Ponieważ droga na północy była stosunkowo wąska, Chińczycy – jeśli zechcą z niej skorzystać – będą musieli bardzo uważać na flanki.

Aleksandrow przypomniał sobie historię rzymskiej wyprawy na tereny Germanów.

Trzema legionami dowodził legat Quintilius Varus. Varus zapomniał o osłonie skrzydeł i utracił swoje wojsko pobity przez niejakiego Armeniusa. Czy Chińczycy dziś mogą popełnić podobny błąd? Chyba nie. Wszyscy pamiętają klęskę w Lesie Teutońskim. W każdej akademii wojskowej na świecie cytowany jest ten przykład. Quintilius Varus był dowódcą z klucza politycznego. Otrzymał dowództwo, ponieważ był protegowanym cezara Augusta, który go wprost uwielbiał, ale z pewnością nie za umiejętności dowódcze. Powyższą lekcję chyba lepiej pamiętają wojskowi niż politycy. A chińską armią dowodzą żołnierze, prawda?

– Widzę Lisa – obwieścił Bujkow. Lis był kolejnym zwiadowcą, najprawdopodobniej podwładnym Ogrodnika. Miał podobną do Ogrodnika posturę, ale interesował się bardziej okolicą niż roślinami. Raz po raz biegał tu i tam, stale czegoś wypatrując. I właśnie znowu zniknął między drzewami po wschodniej stronie i, jeśli zamierza przeszukać teren zgodnie z regulaminem, to pojawi się z powrotem dopiero za pięć do ośmiu minut.

– Chętnie bym zapalił – oświadczył Bujkow.

– Musicie z tym poczekać.

– Tak jest, towarzyszu kapitanie. Ale chyba się mogę napić? – zapytał pokornym tonem.

Oczywiście nie chodziło mu o wodę, ale płyn, który pali w przełyku.

– Oczywiście. Ja też łyknąłbym sobie chętnie, ale nie zabrałem wódki. Wy też pewno jej nie macie?

– Niestety nie, towarzyszu kapitanie. Mały łyeczek rozgrzałby człowieka w tym zimnym i wilgotnym lesie.

– I przy okazji stępiłby nasze zmysły, Borysie Jewgieniewiczu. A zmysły są nam potrzebne, chyba że chcecie przez resztę życia jeść ryż. Zakładając oczywiście, że Chińczycy zechcą nas wziąć do niewoli, w co bardzo wątpię. Oni nas nie lubią, sierżancie. I to nie są cywilizowani ludzie. Musicie o tym pamiętać.

– Czy kiedyś będziemy mogli zacząć do nich strzelać?

– W swoim czasie tak. To właśnie nam przypadnie zadanie wyeliminowania ich jednostek rozpoznania. Możesz być pewien, Borysie, że czekam na tę chwilę z niecierpliwością. –

Pomyślał, że też chętnie by zapalił i równie chętnie wypił z sierżantem kieliszek wódki. A w tej chwili wystarczyłaby mu ostatecznie pajda komiśniaku z margaryną, które czekały na nich w wozie trzysta metrów na północ.

Tym razem Lis pojawił się po sześciu minutach. Zdążył zerknąć do lasu po wschodniej stronie i pewno nasłuchiwał odgłosu silników wysokoprężnych, ale nie usłyszał nic oprócz świergotu ptaków. Zdaniem Bujkova ten zwiadowca był jednak chyba czujniejszy i bardziej świadomy swej odpowiedzialności niż Ogrodnik. To jego właśnie należałoby pierwszego wyeliminować...

Aleksandrow klepnął Bujkova po ramieniu.

– Nasza kolej – szepnął. – Wycofujemy się.

Poderwali się i ruszyli w kierunku transportera. Przez pierwsze sto metrów szli przygięci do ziemi, bezszelestnie. Potem usłyszeli zapuszczenie chińskich silników i wyprostowali się.

Po pięciu minutach jechali już wolno na północ. Aleksandrow posmarował margaryną kromkę chleba i jadł ją, popijając wodą. Po ujechaniu tysiąca metrów kazał zatrzymać wóz i włączył radiostację.

– Co za Ingrid? – zapytał Tołkunow.

– Ingrid Bergman – odpowiedział major Tucker. – Wszystkie nasze bezpilotowe systemy zwiadowcze Dark Star noszą imiona gwiazd filmowych. Ingrid Bergman była sławną aktorką i śliczną dziewczyną. To operatorzy nadawali te imiona. – Pasek na górnej krawędzi monitora informował, która „gwiazda” przekazuje w danym momencie obraz. „Marilyn Monroe” była chwilowo w Żygańsku na przeglądzie, a w kolejce do uaktywnienia czekała „Grace Kelly”.

Miało to nastąpić za kilkanaście godzin. Obecnie w powietrzu była „Ingrid”. Major Tucker włączył monitor, wyregulował obraz i obwieścił: – Oto ich straż przednia!

– Niech mnie pokręci! – wykrzyknął po angielsku Tołkunow, demonstrując znajomość amerykańskich kolokwializmów.

– Dobry obraz, no nie? – Tucker uśmiechnął się szeroko. – Raz dla ubawu wysłałem takie coś nad kolonię nudystów w Kalifornii. Jest tam taki prywatny ogrodzony park, gdzie ludzie przez cały czas chodzą nago. Mogliśmy bez trudu odróżniać prawdziwe blondynki od tlenionych. Mysz pozwala kierować obiektywem kamery i dokonywać zbliżeń. W tej chwili w Żygańsku mają ten sam obraz. Interesuje pana coś konkretnego?

– Chciałbym zobaczyć mosty na Amurze – odparł bez wahania Tołkunow.

Tucker podniósł do ust mikrofon.

– Tu major Tucker. Dajcie trzecią kamerę na przeprawę.

– Wykonuję – padło z głośnika nad monitorem.

Obraz natychmiast się zmienił, jakby ktoś przesuwiał oko kamery od lewej do prawej.

Gdy się ustabilizował, pole widzenia obejmowało teren szerokości około czterech kilometrów.

Widać było nitkę rzeki i z osiem mostów, do których zbliżały się kolumny drobnych punkcików.

– Przekażcie mi kontrolę nad trzecią kamerą – zażądał Tucker.

– Tak jest, sir.

– Dziękuję. – Tucker operował jednocześnie myszą i klawiaturą. Po chwili zobaczyli trzy czołgi jadące na północ z prędkością około dziesięciu kilometrów na godzinę. W rogu obrazu na monitorze umieszczona była róża wiatrów z niebieską strzałką wskazującą północ.

– Po co kolorowa strzałka na czarno-białym obrazie? – zdziwił się Tołkunow.

– Kolor nie kosztuje w tym wypadku drożej. Zaczynamy w tym systemie eksperymentować z kolorem, ponieważ przy nim można wyłapać niuanse, jakich nie zobaczy się na czarno-białym obrazie. Chwileczkę... – Zmarszczył brwi. – Patrzymy pod złym kątem.

Nie mogę odczytać znaków taktycznych na czołgach. – Wziął do ręki mikrofon. – Sierzancie, jaka

jednostka przekracza teraz trzeci most od zachodu?

– To chyba 302. Dywizja Pancerna, sir. Wchodzi w skład 29. Armii. 34. Armia już ukończyła przeprawę. Oceniamy, że z 302. przeprawił się już jeden pułk i posuwa się na północ. – Beznamiętny głos mówiącego przypominał spikera relacjonującego wyniki meczu baseballowego z poprzedniego dnia.

– Dziękuję, sierżancie.

– Chińczycy nie wykryją waszego ptaszka? – spytał Tołkunow.

– Ich radary go nie widzą. Zastosowaliśmy jeszcze dodatkową sztuczkę, która znana jest od czasów drugiej wojny światowej. Nazywano ją wtedy Pomysłem Yehudiego.

– Pomysłem Yehudiego?

– Od nazwiska pomysłodawcy. Polega na podświetleniu samolotu zwiadowczego.

– Co takiego?

– W ciągu dnia na niebie widać samolot, ponieważ jest ciemniejszy od tła. Ale wystarczy odpowiednio oświetlić spód samolotu, a przestaje być widoczny. Ilość emitowanego światła automatycznie regulują mikroprocesory połączone z czujnikami. Tak, nasze latające kamery są właściwie niewidzialne. Krążą na wysokości dwudziestu kilometrów, grubo powyżej pułapu, na którym tworzą się smugi kondensacyjne i w praktyce nie emitują ciepła. Nie dojrzy się ich nawet wtedy, gdy wie się, gdzie szukać. Mówiono mi, że jest też praktycznie niemożliwe namierzenie ich radarem rakiety powietrze-powietrze. Ładne zabawki, co?

– Od kiedy je macie?

– Pracuję z nimi od jakichś czterech lat.

– Słyszałem o Dark Star, ale nie zdawałem sobie sprawy z jego możliwości.

– Tak, to doskonała rzecz. Pozwala wiedzieć, co robi przeciwnik. Po raz pierwszy wykorzystaliśmy Dark Star w Jugosławii. Kiedy już nabraliśmy wprawy, reszta poszła jak z płotka. Ale Joe jest twardy...

– Joe?

– Joe Żółtek. – Tucker wskazał palcem obraz na monitorze. – Tak nazywamy Chińczyków. Dla Północnych Koreańczyków mieliśmy inne przezwisko. Luke Głupek. Ta ikona oznacza laserowy znacznik celu, którym można podświetlić dowolny obiekt. Myśliwiec po prostu odpala raketę z odległości, powiedzmy, trzydziestu kilometrów, a my naprowadzamy ją na wybrany cel. Z tego terminalu nie możemy tego zrobić, ale w Żygańsku mogą.

– Z odległości sześciuset kilometrów naprowadzacie na cel bomby?

– Oczywiście. Możemy to robić nawet z Waszyngtonu. Przecież to idzie przez satelitę.

– *Job twoju mat*’!

– Już niedługo piloci myśliwców pójną na emeryturę. Jeszcze rok, może dwa, i będziemy mieli elektroniczne systemy naprowadzające rakiety wystrzeliwane z odległości kilkuset kilometrów. Wygląda na to, że będę pierwszym naziemnym pilotem myśliwskim. Chyba rozejrzę się za białym jedwabnym szalikiem... No dobrze, co pan jeszcze chce zobaczyć, pułkowniku?

Il-86 wylądował na lotnisku wojskowym, na którym stało zaledwie kilka śmigłowców.

Pułkownik Mick Turner natychmiast to odnotował. Jako szef dywizyjnego wywiadu zwracał uwagę na każdy drobiazg. To, co dotychczas zaobserwował w Rosji, nie było budujące.

Podobnie jak generał Diggs, wstąpił do wojska, kiedy Związek Radziecki był głównym źródłem niepokoju dla Armii Stanów Zjednoczonych. Teraz zastanawiał się, ile z wywiadowczych analiz, które jako młody oficer wywiadu pomagał sporządzać, było wytworem wyobraźni. Albo też wielka potęga Rosjan rozpadła się szybciej niż jakiegokolwiek inne mocarstwo w historii. Armia Rosyjska nie była nawet cieniem Armii Radzieckiej.

Rosyjski niedźwiedź, którego tak bardzo bało się NATO, przestał najwyraźniej istnieć.

Groźny niedźwiedź bardzo by się przydał w obecnej sytuacji. Rosjanie, podobnie jak Amerykanie, nadal posiadali broń atomową – to jednak były zwykłe bomby lotnicze.

Chińczycy jako jedyni mieli międzykontynentalne rakiety balistyczne z głowicami atomowymi. I te rakiety były wycelowane w miasta. Rodziło się pytanie, czy Rosjanie byli gotowi poświęcić kilka miast i czterdzieści milionów ludzi, by ocalić kopalnię złota i kilka pól naftowych. Chyba nie, pomyślał Turner. Nikt rozsądny nie poszedłby na coś podobnego.

Jednocześnie Rosjanie nie mogli sobie pozwolić na przewlekłą wojnę, czyli na grę na wyczerpanie przeciwnika, który ma dziewięciokrotnie więcej mieszkańców i zdrowszą mimo wszystko gospodarkę. Nawet w tym ciężkim terenie to się nie uda. Jeśli Rosjanie zamierzają pobić Chińczyków, to muszą okazać spryt, szybkość działania i błyskotliwość manewru.

Tylko że na pierwszy rzut oka ich armia jest w stanie zapaści, a żołnierze nie są ani wystarczająco wyszkoleni, ani wyekwipowani, by móc prowadzić wojnę.

Tak, to będzie bardzo interesująca wojna, pomyślał Turner. Ale nie miał wielkiej ochoty w niej uczestniczyć. Stanowczo byłoby lepiej móc powalić obuchem głupiego niewielkiego wroga, niż atakować mądrego i potężnego. Może nie byłoby to chwalebne, ale bezpieczniejsze.

– Co cię trapi, Mitch? – zapytał Diggs, gdy wysiadali z samolotu.

– Uważam, że mogliśmy polecieć do jakiegoś miłszego miejsca niż to. Obawiam się, że mogą być kłopoty, sir.

– Mów dalej – powiedział generał.

– Przeciwna strona ma lepsze karty. Więcej wojska, i to dobrze wyszkolonego, lepsze uzbrojenie. Oczywiście nie zazdroszczę im pokonywania olbrzymich odległości w tym paskudnym terenie, ale również nie zazdroszczę Rosjanom obrony w takich warunkach naturalnych. Żeby wygrać, muszą prowadzić wojnę manewrową, wykazywać aktywność, ale jakoś nie widzę woli i zdolności do prowadzenia takiej gry.

– Ich dowódca, Bondarienko, jest całkiem dobry.

– Erwin Rommel też był dobry, ale Montgomery nakopał mu w tyłek.

Czekały na nich wozy sztabowe, by ich odwieźć na stanowisko dowodzenia. Niebo było prawie bezchmurne, ale znajdowali się zbyt blisko Chińczyków, by czyste niebo mogło sprawiać komukolwiek przyjemność.

Rozdział 53

Wielki niepokój

– No więc, co się tam dzieje? – spytał Ryan.

– Chińczycy są sto kilometrów w głębi terytorium rosyjskiego. Przeprowadzili przez rzekę osiem dywizji i prą na północ. – Generał Moore wyjaśniał prezydentowi sytuację, wodząc ołówkiem po mapie rozłożonej na stole konferencyjnym. – Bardzo szybko przerwali linię umocnień nadgranicznych. Nie spodziewałem się, by długo się utrzymała. Nasz system obserwacji Dark Star ujawnia, że Chińczycy uderzyli jednostkami piechoty wspieranej silnym ogniem artyleryjskim. Teraz przetrzucili już przez rzekę czołgi. Około ośmiuset. Dalszy tysiąc, czy coś koło tego, czeka na przetrzucenie.

– Aż tyle? – Ryan zagwizdał.

– No cóż, sir, kiedy się uderza na olbrzymie państwo, to nie robi się oszczędności na sprzęcie. Jedyna dobra wiadomość to ta, że przyłożyliśmy ich lotnictwu.

– AWACS-y i F-15? – spytał Jackson.

– Tak. Jeden z naszych pilotów podczas pierwszego starcia został asem. Pułkownik Winters.

– „Bronco” Winters. Słyszałem o nim – odezwał się Jackson. – Dobrze, co jeszcze?

– Jeśli idzie o Siły Powietrzne, to naszym największym problemem będzie dostarczenie bomb. Wysyłanie ich samolotami jest właściwie niemożliwe. Jeden C-5 może dostarczyć zaledwie połowę bomb dla dywizjonu F-15E. A poza tym C-5 mają jeszcze inne zadania do wykonania. Myślmy o przetransportowaniu pociągami bomb i rakiet do Czity, a potem samolotami do Suntaru. Ale chwilowo rosyjskie koleje wożą wyłącznie czołgi. I szybko to się nie zmieni. Usiłujemy toczyć wojnę, mając tylko jedną linię kolejową. Owszem, ma ona dwie pary torów, ale w dalszym ciągu jest to tylko jedna cholerna linia. Chłopcy od logistyki łykają bez przerwy środki na nadkwasotę.

– Jakie są możliwości rosyjskiego transportu powietrznego? – spytał Ryan.

– Federal Express ma większe – odparł generał Moore. – O wiele większe. Będziemy prosić pana, panie prezydencie, o zezwolenie na powołanie pilotów-rezerwistów.

– Wyrażam zgodę – odparł bez wahania Ryan.

– Jest jeszcze kilka pomniejszych spraw – powiedział Moore. Zamknął oczy. Zbliżała się północ i nikt ostatnio nie był nadto wyspany. – Znaleźliśmy się w stanie wojny z państwem, które posiada broń nuklearną i międzykontynentalne pociski raketowe. Musimy brać pod uwagę wszystkie możliwe scenariusze, nawet mało prawdopodobne. Możliwe, że wystrzelą na nas rakiety z głowicami nuklearnymi. Dlatego właśnie 1. Dywizjon Śmigłowcowy Piechoty Morskiej w bazie Andrews został postawiony na nogi. W ciągu siedmiu minut możemy ewakuować z Białego Domu pana i pana rodzinę. To dotyczy więc i pani, pani O’Day – powiedział Moore do Andrei.

Szefowa ochrony prezydenta skinęła głową.

– Wprowadziliśmy już w życie procedury – poinformowała. Od 1962 roku nikt w Tajnej Służbie z nich nie korzystał. Agentka specjalna Price O’Day nie wyglądała najlepiej.

– Co ci jest, Andrea? – spytał prezydent.

– Sprawy żołądkowe – odpowiedziała.

– Napij się piwa imbirowego – poradził prezydent.

– Doktor North powiedział mi, że mało co pomaga na tę konkretną dolegliwość. – Andrea była nieco zmieszana tym, że zwróciła na siebie uwagę mężczyzn. Zawsze żałowała, że nie jest chłopcem. Chłopcy nie zachodzili w ciążę.

– Jedź do domu i odpocznij – polecił prezydent.

– Kiedy ja, sir...

– Jedź do domu – powtórzył Ryan. – Jesteś kobietą i jesteś w ciąży. Nie możesz być przez cały czas agentką. Wyznacz kogoś na zastępstwo i zmykaj!

Agentka specjalna Price O'Day jeszcze tylko przez chwilę się wahała. Rozkaz to rozkaz.

Pomaszerowała do drzwi i wyszła. Natychmiast pojawił się inny agent.

– Kobieta *macho* – prychnął Ryan. – Do czego zmierza ten świat?

– Wygląda na to, że w głębi duszy jesteś męskim szowinistą, Jack – mruknął Jackson z uśmiechem.

– Tu mamy do czynienia z obiektywnymi okolicznościami. Andrea jest dziewczyną, obojętnie czy ma pistolet, czy nie. Cathy mówiła mi, że wszystko jest w normie. A mdłości nie trwają wiecznie, mimo że Andrei tak się może w tej chwili wydawać. Zmieniamy temat.

Co jeszcze, generale?

– Powietrzny Punkt Dowodzenia i Air Force jeden są w gotowości startu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeśli otrzymamy sygnał o wystrzeleniu rakiet, pan i wiceprezydent w ciągu siedmiu minut jesteście z rodzinami w śmigłowcach. Pięć minut lotu do bazy Andrews. A w trzy minuty później startuje Air Force Jeden. Pan wsiada do Powietrznego Punktu Dowodzenia. – Był to Boeing 747, nafaszerowany masą sprzętu łącznościowego.

– Miło wiedzieć – odparł Ryan. – A moja rodzina?

– W tych okolicznościach będzie zawsze śmigłowiec w pobliżu miejsca, gdzie znajduje się pańska żona i dzieci. Polecą tam, gdzie w danym momencie będzie najbezpieczniej.

Wszystko to są założenia teoretyczne – powiedział Moore – ale nie zaszkodzi, jeśli będzie pan wiedział o procedurach, panie prezydencie.

– Czy Rosjanie potrafią zatrzymać Chińczyków? – zapytał Ryan, pochylając się ponownie nad mapą.

– Tego nie wiemy. Rosjanie dysponują bronią nuklearną, ale nie sądzę, by zagrali tą kartą. Chińczycy mają kilkanaście międzykontynentalnych rakiet balistycznych CSS-4.

Dokładność trafienia oceniana jest na mniej więcej tysiąc metrów, ale to wystarczy, żeby trafić w miasto.

– Czy wiemy, gdzie są wycelowane? – spytał Jackson i Moore natychmiast skinął głową.

– Dwie są wycelowane w Waszyngton, pozostałe w Nowy Jork, Los Angeles, San Francisco i Chicago plus Moskwa i Petersburg, każda o mocy trzech do pięciu megaton.

– Można by je unieszkodliwić? – spytał Jackson.

– Przypuszczam, że moglibyśmy przygotować nalot myśliwców bombardujących lub bombowców na silosy i zrzucić kilkanaście PGM – powiedział Moore. – Tylko że najpierw musielibyśmy przewieźć

bomby do Suntam, a nawet stamtąd byłyby to długa droga dla naszych F-117.

– A B-2 z Guam? – spytał Jackson.

– Nie jestem pewien, czy mogą przenosić te bomby – odparł Moore. – Muszę sprawdzić.

– Jack, naprawdę musimy się nad tym poważnie zastanowić – nalegał Jackson.

– Zastanowimy się, Robby. Generale, niech ktoś to sprawdzi.

– Tak jest, sir.

– Giennadij Josifowicz! – wykrzyknął generał Diggs, wchodząc do pokoju sztabowego.

– Marion Iwanowicz! – Rosjanin podbiegł, uściskał Diggsowi dłoń, a potem całego uściskał i dodatkowo po rosyjsku obcałował.

– Do przodu! – krzyknął Rosjanin.

Diggs odczekał dokładnie dziesięć sekund i odpowiedział:

– Do tyłu!

Obaj roześmieli się. To był ich prywatny żart.

– Żółwi burdel dalej funkcjonuje?

– Kiedy ostatni raz tam zajrzałem, funkcjonował. – Diggs musiał wyjaśnić to pozostałym:

– W Fort Irwin zbieraliśmy wszystkie pustynne żółwie, żeby ich nie rozjechały gąsienice czołgów. Umieszczaliśmy żółwie w bezpiecznym miejscu. Przypuszczam, że są nadal w tym bezpiecznym miejscu, produkując małe żółwiątka, ale cholerne żółwie spółkują tak wolno, że chyba przy tym zasypiają.

– Wielokrotnie opowiadałem tę historię, Marion. – Rosjanin nagle spowaźniał. – Bardzo się cieszę, że przyjechałeś. Ucieszę się jeszcze bardziej, gdy zobaczę twoją dywizję.

– Sytuacja niedobra, co? – spytał Diggs.

– Niezbyt dobra. Chodź! – Podeszli do wielkiej mapy rozwieszanej na ścianie. – Oto ich pozycje przed trzydziestoma minutami.

– Jak śledzicie Chińczyków?

– Właśnie otrzymaliśmy terminal waszego systemu zwiadowczego Dark Star, mam też obrotnego kapitana-zwiadowcę, który obserwuje ich z ziemi.

– Posunęli się cholernie głęboko... – mruknął Diggs. Obok niego stanął Masterman.

Przedstawił go Rosjaninowi: – Pułkownik Masterman, mój G-3, poprzednio dowodził szwadronem czołgów 10. Dywizji Kawalerii Pancерnej.

– Ambitne żółtki – zauważył Masterman, nie odwracając oczu od mapy.

– Ich pierwszy cel jest tu – powiedział pułkownik Alijew, podnosząc wskaźnik. –

Kopalnia złota Fomina.

– Jak się chce coś ukraść, to może być i złoto – zauważył filozoficznie Duke Masterman.

– Czym możecie ich powstrzymać?

– Mamy tu 265. Dywizję Piechoty Zmotoryzowanej – odparł Alijew.

– W stanie gotowości bojowej?

– Niezupełnie. Ale ich doszkalamy, i w drodze są dalsze cztery dywizje piechoty.

Pierwsza z nich powinna dotrzeć do Czity jutro w południe. – Głos Alijewa brzmiał nieco zbyt optymistycznie, jak na zaistniałą sytuację. Przy Amerykanach Alijew nie chciał

okazywać słabości.

– Kawał drogi – zauważył Masterman i spojrzał na swego przełożonego, który z kolei zapytał Giennadija:

– I jak to planujecie?

– Cztery dywizje piechoty chcę rzucić na północ i razem z 265. DPZmot zatrzymać Chińczyków, o tu. Wtedy może wykorzystamy wasze jednostki, żeby ruszyły na wschód, o tędy, i odcięły Chińczykom odwrót.

Najwyraźniej to nie Chińczycy chorują na przerost ambicji, pomyśleli niemal jednocześnie Diggs i Masterman, Gdyby chcieli przetrzucić 1. Dywizję Piechoty z Fort Riley w Kansas do Fort Carson w Kolorado, to odległość byłaby podobna do proponowanej przez Rosjan, tyle że w płaskim terenie i bez zagrożeń ze strony nieprzyjaciela. Tutaj teren jest górzysty i operuje na nim nieprzyjaciel. To cholerna różnica, pomyśleli Amerykanie.

– Były już poważniejsze starcia?

Bondarienko potrząsnął głową.

– Nie. Trzymamy się z dala od nich. Chińczycy posuwają się nie napotyając na opór.

– Liczycie na to, że staną się mniej ostrożni? – spytał Masterman.

– *Da*. Może nawet staną się zbyt pewni siebie.

Amerykański pułkownik pokiwał głową. W tym, co powiedział Rosjanin, było dużo racji.

Wojna jest na równi grą psychologiczną, jak i fizycznym zwareciem.

– Jeśli wyładujemy się w Czicie, to nadal pozostanie nam długa droga do miejsca, gdzie chciałby pan nas widzieć, generale – zauważył Masterman.

– A paliwo? – spytał pułkownik Douglas.

– Tego jednego mamy pod dostatkiem – odpowiedział pułkownik Alijew, – Niebieskie punkty na mapie, to składy paliwa. Odpowiednik waszego oleju napędowego Numer Dwa.

– Ile tego macie? – padło kolejne pytanie Douglasa.

– W każdym składzie miliard dwieście pięćdziesiąt milionów litrów.

– O cholera! Aż tyle? – zdziwił się Amerykanin.

– Te magazyny paliwa zbudowano dla zaopatrzenia dużych jednostek w razie konfliktu granicznego. Powstały w czasach Nikity Chruszczowa. Wielkie zbiorniki ze stali i betonu.

Podziemne, dobrze ukryte.

– Muszą być bardzo dobrze ukryte, bo nigdy o nich nie słyszałem – obwieścił sucho Mitch Turner.

– A co, umknęły nawet waszym satelitom szpiegowskim? – Na twarzach Rosjan pojawił

się uśmiech satysfakcji. – Każdy skład jest obsługiwany przez dwudziestu techników. I jest dostateczna liczba pomp elektrycznych, żeby równocześnie mogła tankować kompania czołgów.

– Podoba mi się ich rozlokowanie – powiedział Masterman. – Co to za jednostka?

– Bojarzy. Dywizja kadrowa plus dopiero co powołani rezerwiści. Sprzęt magazynowany w podziemnych bunkrach. Niewielka dywizja, stary sprzęt. T-55 i ETR-60 prosto z fabryki.

Trzymamy tę jednostkę w tajemnicy, niech jeszcze trochę poćwiczą...

Amerykański G-3 podniósł brwi. Rosjanie wcale nie są głupi, pomyślał. Zalewa ich szarańcza, ale

mądrze kombinują. Bojarzy byli ulokowani w ciekawym miejscu, o ile potrafią z tego zrobić użytek... Ogólną koncepcję operacyjną mają niezłą... Teoretycznie. Tylko że trzeba ją będzie zrealizować. Czy Rosjanie to potrafią? Rosyjscy teoretycy wojskowi z pewnością nie byli gorsi od innych na świecie. Byli nawet tak dobrzy, że Stany Zjednoczone często kradły ich pomysły. Jednak pomysły to jedno, a ich realizacja drugie. Armia Stanów Zjednoczonych potrafiła na polu walki przekształcać teorie w praktykę, ale Rosjanie od czasów Afganistanu raczej nie.

– Jak wasi ludzie sobie z tym poradzą? – spytał Masterman.

– Rosyjski żołnierz potrafi walczyć!

– Hola, pułkowniku! Nie kwestionuję ich odwagi – powiedział Duke. – Pytałem o morale.

– Wczoraj rozmawiałem z jednym z moich młodych oficerów, porucznikiem Komanowem, dowódcą odcinka na pierwszej linii obrony – odpowiedział Bondarienko. –

Wprost kipiał, że nie zapewnił mi wsparcia artyleryjskiego, by mógł powstrzymać Chińczyków. Było mi wstyd – przyznał się generał swoim amerykańskim gościom. – Moi żołnierze mają wysokie morale. Nie są jednak wyszkoleni tak, jak powinni być. Jestem tu dopiero od kilku miesięcy i zmiany, jakie wprowadziłem, dopiero zaczynają dawać rezultaty.

Ale sami zobaczycie. Rosyjski żołnierz zawsze stawał na wysokości zadania. I dziś też tak będzie, jeśli my okażemy się tego warci.

Masterman nawet nie zerknął na swego przełożonego. Wiedział, że Diggs ma dobrą opinię o Bodnariencie. A Diggs jest doświadczonym oficerem i potrafi oceniać ludzi.

Niemniej Bondarienko przyznał przed chwilą, że jego żołnierze nie są tak wyszkoleni, jak powinni być. Optymistyczne w tym wszystkim było to, że na polu walki ludzie uczą się szybko żołnierskiego rzemiosła. Z drugiej strony, pole walki jest najbrutalniejszym darwinowskim środowiskiem na całej planecie. Jedni się czegoś uczą, inni giną, a Rosjanie nie mają dostatecznych rezerw ludzkich, by sobie moc pozwolić na zbyt wielkie straty. To nie 1941 rok i tym razem przeciwko najeźdźcy nie walczy cały naród.

– Chcecie nas szybko wyprawić w drogę po wyładowaniu w Czicie? – spytał Tony Welch, szef sztabu dywizji.

– Tak – odparł Alijew.

– Wobec tego powinienem od razu udać się tam i na miejscu sprawdzić warunki. Jak z paliwem dla naszych śmigłowców?

– Nasi lotnicy mają składy paliwa podobne do tych z olejni napędowym – wyjaśnił

Alijew. – Kiedy przybędą śmigłowce?

– Siły Powietrzne wciąż nad tym pracują. Brygada jest już w drodze. Najpierw Apache.

– Bardzo potrzebujemy waszych helikopterów zwiadowczych. Naszych mamy zaledwie kilka.

– Rozumiem – odparł Masterman.

– Duke – powiedział Diggs – połącz się z Siłami Powietrznymi i powiedz im, że na wczoraj potrzebujemy kilku zwiadowców.

– Muszę rozłożyć antenę radiostacji satelitarnej – oświadczył podpułkownik Garvey i ruszył do drzwi.

„Ingrid Bergman” zdążyła teraz na południe. Generał Wallace chciał mieć lepsze pojęcie o chińskich tyłach i informacje te właśnie otrzymywał. ChRL pod wieloma względami podobna była do Ameryki z przełomu XIX i XX wieku. Transport towarów odbywał się głównie koleją, żadnych dróg szybkiego ruchu. Chińska kolej była bardzo wydajna i sprawna przy przewozie dużych ilości towaru na średnie i duże odległości. System połączeń kolejowych miał wiele słabych punktów, były to stacje rozrządowe, mosty i tunele. Właśnie mostom oraz tunelom Wallace i jego ludzie pilnie się przyglądali, typując ewentualne cele.

Problemem były bomby, których mieli mało. Posiadany zapas wystarczał zaledwie na jedną misję ośmiu F-15E Strike Eagle. Wallace był sfrustrowany jak kawaler, który poszedł na bal i nie znalazł panien, z którymi mógłby tańczyć. Owszem, grała dobra orkiestra, podawano świetny poncz, ale nie było co robić. Załogi F-15 bynajmniej się tym nie martwiły. Piloci myśliwscy uważają się za rycerzy mających walczyć z innymi rycerzami. Woleli strącać samoloty wroga niż zrzucać bomby. Jednakże Wallace miał powody do zadowolenia. Jego podniebni rycerze zadawali potężne ciosy chińskiemu lotnictwu. Ponad siedemdziesiąt potwierdzonych zestrzeleń, bez utraty choćby jednego samolotu myśliwskiego. Przewagę zapewniały przede wszystkim AWACS-y E-3B Sentry, dzięki którym Chińczycy mieli takie szanse, jakby latali Fokkerami z I wojny światowej. Rosjanie szybko się nauczyli, jak wykorzystywać wsparcie E-3B.

Do chwili obecnej Wallace ograniczał się do działań defensywnych. Z powodzeniem bronił rosyjskiej przestrzeni powietrznej. Nie niszczył chińskich celów, nawet nie atakował

chińskich oddziałów na Syberii. Mimo sukcesów w postaci dużej liczby strąconych samolotów wroga, piloci Wallace’a nie zdziałali nic strategicznie istotnego. I między innymi z tego powodu Wallace połączył się przez satelitę ze Stanami.

– Nie mamy bomb, panie generale – poskarżył się.

– No cóż, twoi chłopcy spadli z listy priorytetów – odparł Moore. – Diggs awanturuje się o transportowce, żeby mu dostarczono brygadę śmigłowców tam, gdzie jej pilnie potrzebuje.

– Jeśli pan chce, szefie, żebyśmy pozabijali trochę Chińczyków, to musimy mieć bomby, Sprawa jest prosta. Mam nadzieję, że nie mówię tego zbyt szybko...

– Nie zapominaj się, Gus – uciał Moore.

– No cóż, sir, może w Waszyngtonie inaczej to wygląda, ale tu obarczają mnie obowiązkiem dokonywania nalotów. Albo umożliwicie mi to przysyłając bomby, albo odwołujcie rozkazy. Decyzja należy do pana, sir – zakończył rozmowę generał Wallace.

– Pracuję nad tym – zapewnił go przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów.

– Czy są dla mnie rozkazy? – spytał sekretarza obrony Mancuso.

– Jeszcze nie – odpowiedział Bretano.

– Mogę zapytać dlaczego, sir? Podobno jesteśmy w stanie wojny z Chinami. Tak twierdzi telewizja.

– Zastanawiamy się nad politycznymi aspektami – wyjaśnił Piorun.

– Że co? – CINCPAC nie wierzył własnym uszom.

– Słyszał pan.

– Z całym szacunkiem, sir, o polityce wiem tyle, że co kilka lat trzeba głosować, natomiast tutaj mam pod swoim dowództwem sporą liczbę jednostek pływających pomalowanych na szaro. Jednostki te, nie wiedzieć czemu, nazywane są okrętami wojennymi... – W głosie Mancuso słychać było rozgoryczenie.

– Admirale, gdy tylko prezydent zdecyduje, co należy zrobić, natychmiast pan się o tym dowie. Do tego czasu niech pan doprowadzi swoje siły do stanu pełnej gotowości. Na pewno Marynarka wejdzie do akcji. Nie jestem tylko pewien, kiedy.

– *Aye, aye*, sir. – Mancuso odwiesił słuchawkę i rozejrzał się po swoich podkomendnych.

– „Polityczne aspekty” – powiedział z ironią. – Nie sądziłem, że Ryan jest taki.

– Mam propozycję, sir – odezwał się generał Mike Lahr. – Zastąpmy słowo „polityczne”

słowem „psychologiczne”. Może sekretarz obrony użył niewłaściwego określenia. Może chodzi o to, żeby uderzyć wtedy, kiedy najbardziej zabol.

– Tak myślisz?

– Pamięta pan, kim jest wiceprezydent, admirale? Jednym z nas. A Ryan też nie jest mięczakiem.

– Z tego, co wiem, to rzeczywiście nie jest – odpowiedział CINCPAC, przypominając sobie swe pierwsze spotkanie z Ryanem i strzelaninę na pokładzie „Czerwonego Października”. Tak, Jack Ryan

zdecydowanie nie jest mięczakiem. – Więc co on w takim razie kombinuje?

– Chińczycy rozpoczęli wojnę. Na ziemi i w powietrzu. Na morzu nic się jednak nie dzieje. Może nawet nie oczekują, że coś mogłoby się dziać. Niemniej wysyłają okręty w morze, by ustanowić linię obrony. Jeśli dadzą nam rozkaz uderzyć na ich okręty, to w celu zaaplikowania Chińczykom kuracji psychologicznej. Zróbmy takie założenie i zgodnie z tym planujmy. I czekając na decyzję, ustawiamy nasze jednostki we właściwych miejscach.

– Słusznie. – Naczelny dowódca amerykańskich sił zbrojnych na Pacyfiku obrócił się do wielkiej mapy. Prawie cała Flota Pacyfiku znajdowała się na zachód od międzynarodowej linii zmiany daty. Chińczycy najprawdopodobniej nie mieli pojęcia, gdzie są okręty amerykańskie, natomiast Mancuso wiedział sporo o okrętach chińskich. Na przykład USS

„Tucson” czatował przy „406”, okręcie podwodnym klasy określanej na Zachodzie jako Xia, uzbrojonym w pociski z głowicami jądrowymi. Wywiad Marynarki nie znał nazwy własnej tej jednostki, ale ponieważ miała na kiosku wymalowaną liczbę 406, Mancuso tak o niej myślał. Wszystko to było dla admirała mało istotne. Ważne było, by zaplanować pierwszy strzał po otrzymaniu z Waszyngtonu rozkazu. To zadanie przypadnie USS „Tucson”, który pośle na dno chiński okręt podwodny z jego nuklearnym bagażem. „Tucson” ma na pokładzie raketotorpedy ASROC i wykona otrzymane zadanie, zakładając oczywiście, że prezydent Ryan nie okaże się jednak mięczakiem.

– No i co, marszałku Luo? – zapytał Zhang Han San.

– Wszystko idzie dobrze – odparł bez wahania Luo. – Sforsowaliśmy Amur praktycznie bez strat. W ciągu kilku godzin przełamaliśmy rosyjską obronę i teraz posuwamy się na północ.

– Jaki opór stawia nieprzyjaciel?

– Bardzo słaby, właściwie żaden. Zaczynamy się zastanawiać, czy Rosjanie w ogóle mają jakieś siły w tym sektorze. Wywiad sugeruje, że są tam dwie dywizje pancerne, ale jeśli tam są, to unikają kontaktu. Nasze jednostki posuwają się szybko, pokonując ponad trzydzieści kilometrów dziennie. Za siedem dni powinniśmy dotrzeć do kopalni złota.

– Czy w takim razie coś nie idzie po naszej myśli? – spytał Qian.

– Tylko w powietrzu. Amerykanie wysłali na Syberię swoje myśliwce, a, jak wszyscy wiemy, są bardzo dobrzy. Zadali pewne straty naszemu lotnictwu – przyznał minister obrony.

– Jak wielkie straty?

– Około stu maszyn. My straciliśmy dwadzieścia pięć ich myśliwców. Problem w tym, że Amerykanie są mistrzami w walkach powietrznych. Na szczęście ich samoloty nie mogą zrobić wiele, by przeszkodzić w posuwaniu się naszych czołgów, a ponadto lotnicy amerykańscy nie atakują celów na obszarze naszego kraju.

- Dlaczego tego nie robią, marszałku? – spytał Fang.
- Tego nie jesteśmy pewni – odparł Luo i jednocześnie zwrócił się do swego szefa wywiadu: – Tan?
- Nasze źródła milczą na ten temat. Ale moim zdaniem Amerykanie najprawdopodobniej podjęli decyzję polityczną. Powstrzymują się od ataków bezpośrednio na nas, ograniczając się do wspierania pro forma swojego rosyjskiego sojusznika. Doszli być może również do wniosku, że nie chcą ryzykować dużych strat, nieuniknionych, jeśli uwzględnimy sprawność naszej obrony przeciwlotniczej. Niemniej głównym powodem ograniczenia działalności są z pewnością względy polityczne...

Siedzący wokół stołu pokiwali głowami.

- Czy to oznacza, że działania przeciwko nam planują tak, aby jak najmniej nam zaszkodzić? – spytał minister spraw wewnętrznych. Byłoby to dla niego bardzo wygodne, gdyż to właśnie MSW zajmowało się problemami transportu.

- Pamiętajcie, co wam powiedziałem przedtem – wtrącił Zhang. – Gdy tylko przejmemy nowe terytoria, Amerykanie usiądą z nami do stołu. Interes to interes. Oni to już teraz przewidują. Nie ma wątpliwości, że muszą wspierać swoich rosyjskich przyjaciół, ale nie posuną się zbyt daleko. W tym wypadku Amerykanie spełniają rolę najemników. Kimże był

w końcu ten ich prezydent Ryan?

- Był szpiegiem CIA i wiemy, że bardzo dobrym i skutecznym – przypomniał Deshi.

- Nie – zaprzeczył Zhang. – Był maklerem, zanim wstąpił do CIA, a potem, gdy opuścił

CIA, znowu został maklerem. I kogóż to wziął do swego rządu? Winstona, niezmiernie bogatego kapitalistę, również handlarza akcjami i papierami wartościowymi. Mówię wam, że kluczem do zrozumienia tych ludzi są pieniądze. Oni chcą i umieją robić tylko interesy. Nie wyznają żadnej ideologii oprócz jednej: gromadzenia pieniędzy. Przy takim założeniu unika się sprawiania sobie śmiertelnych wrogów. I dlatego starają się nas zaledwie nie rozgniewać.

Zapewniam was, że dobrze znam tych ludzi.

- Być może – zgodził się Qian. – A jeśli mamy jedynie do czynienia z obiektywnymi okolicznościami, które uniemożliwiają im na razie bardziej agresywną akcję?

- Jakie obiektywne okoliczności przeszkadzają, na przykład, ich marynarce wojennej w podjęciu działań? Mają wielką silną flotę, która nic nie robi. Prawda, Luo?

- Dotychczas nic, ale jesteśmy czujni – powiedział marszałek. Marszałek był żołnierzem, nie marynarzem, mimo że siły morskie ChRL też mu podlegały. – Nasze patrole powietrzne przez cały

czas ich wypatrują, ale dotychczas niczego nie zauważyliśmy. Wiemy, że Floty Pacyfiku nie ma w portach, ale nie wiemy, gdzie jest.

– Amerykańska marynarka wojenna nie prowadzi żadnych działań, żadnych działań nie prowadzą też siły lądowe. Kąsa nas lekko ich lotnictwo, ale to tylko brzęczenie pszczół – tymi stawami Zhang zbył temat Amerykanów. Qian nie dał jednak za wygraną:

– W przeszłości bardzo wielu nie doceniło Ameryki, a także prezydenta Ryana i potem gorzko tego żałowało. Moim zdaniem, towarzysze, jesteśmy w bardzo trudnej i niebezpiecznej sytuacji. Może nam się uda, jeśli dobrze zrealizujemy nasz plan strategiczny, ale pamiętajcie, że nadmierna pewność siebie często prowadzi do zguby.

– Z drugiej strony, przecenianie przeciwnika powoduje, że nigdy niczego się nie osiągnie

– ripostował Zhang Han San. – W Długim Marszu nie uczestniczyli tchórze. – Rozejrzał się wokół stołu. Nikt nie miał zamiaru z nim polemizować.

– A więc kontynuujemy natarcie – oświadczył premier. Posiedzenie wkrótce się skończyło i ministrowie rozeszli się do swoich biur.

– Fang?

Minister obrócił się i zobaczył idącego ku sobie Qian Kuna.

– Tak, drogi przyjacielu?

– Powodem, dla którego Amerykanie nie podjęli bardziej zdecydowanych działań, jest fakt, że ich wojska są na końcu jedynej rosyjskiej linii kolejowej, która dowozi im zaopatrzenie. Na to potrzeba czasu. Nie zrzucają nam na głowę bomb prawdopodobnie dlatego, że ich po prostu jeszcze nie mają na miejscu. Skąd Zhang wygrzebał te bzdury na temat amerykańskiej ideologii?

– Zhang zna się na sprawach międzynarodowych – odparł Fang.

– Czyżby? Czy to nie właśnie on wpakował Japończyków w wojnę z Amerykanami? I po co? Żebyśmy mogli wraz z nimi zdobyć Syberię. Czy to nie on po cichu wspierał Iran w jego próbach podbicia Arabii Saudyjskiej? I po co? Abyśmy mogli wykorzystać muzułmanów jako młot, którym podporządkujemy sobie Rosję, żeby zająć Syberię. Zhang potrafi myśleć wyłącznie o Syberii. Chce przed śmiercią zobaczyć naszą flagę nad syberyjskimi przestrzeniami. Być może chciałby, by jego prochy były pogrzebane w złotej urnie, tak jak prochy cesarzy – syczał Qian. – To awanturnik, a tacy ludzie źle kończą i pociągają za sobą innych.

– Nie kończą źle ci, którym się udaje.

– Ilu się udało, a ilu skończyło pod murem? – odparował Qian. – Moim zdaniem Amerykanie zaatakują nas, gdy tylko zmobilizują dostateczne siły. Zhanga zaślepiła jego polityczna wizja. Nie dostrzega faktów, nie dostrzega rzeczywistości. Prowadzi nasz kraj ku przepaści.

– Czy Amerykanie są rzeczywiście tak silni i groźni?

– Jeśli jest inaczej, to po co Tan spędza tyle czasu na wykradaniu Amerykanom ich wynalazków? Nie pamiętasz, co Amerykanie zrobili Japończykom i Irańczykom? Luo przyznał właśnie, że Amerykanie dali w kość naszemu lotnictwu. A ile razy zapewniał nas przedtem, że mamy wspaniałe siły powietrzne? Ileż to pieniędzy wydaliśmy na te podobno cudowne myśliwce, które Amerykanie szlachtują jak świnie przeznaczone na ubój? Luo twierdzi, że straciliśmy dwadzieścia pięć maszyn amerykańskich. Najprawdopodobniej straciliśmy jedną lub dwie. A straciliśmy sto. Ale Zhang upiera się, że Amerykanie nie zamierzają rzucić nam wyzwania. Czyżby? Czy coś ich powstrzymało przed rozbiciem japońskiej maszyny wojσκowej i unicestwieniem sił zbrojnych Iranu? – Qian zamilkł, żeby wziąć głęboki oddech, a potem dokończył: – Boję się tego, w co wmanewrowali nas Zhang i Luo.

– Nawet gdybyś miał rację, nic nie możemy na to poradzić – ostrożnie skomentował minister.

– Racja. Ale ktoś musi wreszcie powiedzieć prawdę. Ktoś musi ostrzec przed grożącym nam niebezpieczeństwem, jeśli Chiny mają przetrwać tę poronioną wojnę.

– Może to i prawda. Jeszcze o tym porozmawiamy – obiecał Fang, zastanawiając się, ile z tego, co powiedział Qian, jest zwykłym panikowaniem, a ile nagą prawdą.

Fang znał Zhanga przez prawie całe swe dorosłe życie. Zhang był bardzo przebiegłym graczem na scenie politycznej i umiał manipulować ludźmi. Ale Qian pytał, czy te talenty przekładają się na właściwy odbiór rzeczywistości. I czy Zhang rozumie Amerykę i Amerykanów? A przede wszystkim ich prezydenta Ryana. Fang przyznawał, że nie zna odpowiedzi na te pytania. I że właściwie nie wie, czy Zhang ma rację, czy też nie. A powinien się tego dowiedzieć. Kto mu może pomóc? Może prawdę zna Tan z Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego? Może Shen z Ministerstwa Spraw Zagranicznych? Kto jeszcze mógłby wiedzieć? Z pewnością nie premier Xu. Xu potrafił tylko akceptować stanowisko wypracowane przez innych oraz powtarzać słowa wyszeptywane mu do ucha przez Zhanga.

Fang wracał do swego gabinetu pogrążony w myślach i usiłował uporządkować te kłębiące się myśli. Na szczęście znał sposób, jak się odprężyć.

Zacząło się w Memphis, w głównej siedzibie Federal Express. Niemal w jednym czasie napłynęły fakсы i e-maile zawiadamiające dyrekcję, że wielkie samoloty transportowe firmy zostają zarekwirowane, zgodnie z przepisami dotyczącymi pierwszej fazy mobilizacji cywilnej rezerwy Sił Powietrznych. W praktyce oznaczało to, że wszystkie wielkie transportowce zostają zarekwirowane wraz z załogami przez Siły Powietrzne. Ta decyzja rządowa nie została mile powitana przez dyrekcję Federal Express, ale nie była niespodzianką. Po dziesięciu minutach przysły konkretne polecenia, dokąd samoloty mają odlecieć, i po kilkadziesiąt minut jeden za drugim wystartowały. Załogi, w większości ludzie mający za sobą służbę w Siłach Powietrznych, zastanawiały się, jakie jest ich ostateczne przeznaczenie i dokąd polecą po wzięciu ładunku. Wszyscy byli pewni, że czeka ich wiele

niespodzianek.

Wyglądało na to, że przez jakiś czas Federal Express będzie musiał przewozić swoje ładunki samolotami wąskokadłubowymi, takimi jak Boeingi 727, z którymi firma zaistniała przed dwudziestoma laty. Dyspozytorzy byli świadomi, że czekają ich poważne kłopoty z obsługą klientów, ale na szczęście firma miała długoterminowe umowy z liniami lotniczymi i za ich pomocą po całej Ameryce nadal w terminie na miejsce przeznaczenia docierać będą dokumenty prawne i świeże homary.

– Dlaczego tak marnie to idzie? – spytał Ryan.

– Możemy zaspokoić codzienne zapotrzebowanie na bomby trzema dniami lotów transportowych, może dwoma, jeśli bardzo się wysilimy, ale to wszystko – wyjaśnił Moore. –

Bomby są bardzo ciężkie, przewożenie ich pochłania dużo paliwa. Generał Wallace ma piękną listę celów do obsłużenia, ale potrzebuje na to dużo bomb.

– Skąd mają być przewożone bomby?

– Spory ich zapas znajduje się w bazie Anderson na Guam – odparł Moore. – Podobnie jest w Elmendorf na Alasce i w Idaho. Są jeszcze składy w innych miejscach. A problem nie tyle jest konsekwencją czasu i odległości, co masy bomb. Rosyjska baza w Suntar, z której korzysta Wallace, jest dostatecznie duża dla jego potrzeb. Trzeba tylko dostarczyć mu bomby.

Musiałem dobrze się pogimnastykować, żeby uzyskać transport dla śmigłowców Diggsa.

Zajmie to pełne cztery dni lotów.

– A co z odpoczynkiem załóg? – zapytał Jackson.

– Że co? – Ryan zdziwiony podniósł głowę.

– W Siłach Powietrznych obowiązuje regulamin związkowy określający liczbę dozwolonych godzin latania w ciągu doby. W Marynarce nigdy takiego regulaminu nie było –

wyjaśnił Robby. – Na C-5 są prycze dla załogi. Pytając o odpoczynek załóg tylko żartowałem.

Było już bardzo późno. A raczej bardzo wcześnie, tuż przed świtem. Ostatnio w Białym Domu mało sypiano.

Ryan chętnie zapaliłby papierosa, ale Ellen Sumter była w domu i z pewnością spała, a nikt na nocnym dyżurze w Białym Domu nie palił. Powinien zwalczyć ten nałóg. Prezydent przetarł twarz dłońmi, a następnie spojrzął na ścienny zegar. Koniecznie musi trochę się przespać...

Rozdział 54

Próby

Spora część wojskowego życia polega na przestrzeganiu zasady Prawa Parkinsona głoszącej, iż robota zawsze puchnie, by w stu procentach wypełnić czas przewidziany na jej wykonanie. Pułkownik Dick Boyle przyleciał pierwszym C-5B Galaxy i samolot transportowy natychmiast po zatrzymaniu opuścił pas, aby wypłuć pierwszy z trzech śmigłowców Blackhawk. Niemal natychmiast obsługa techniczna odholowała śmigłowiec na wolne miejsce, by rozłożyć łopaty wirnika nośnego, umocować je we właściwej pozycji, zabezpieczyć i przygotować maszynę do lotu po przeprowadzeniu czynności kontrolnych.

Nim załogi uporały się z wszystkimi trzema śmigłowcami, C-5B został zatankowany i odleciał, aby na pasie zrobić miejsce dla następnego C-5B, tym razem ze śmigłowcami szturmowymi AH-64 Apache.

Pułkownik Boyle wszystkiemu się pilnie przyglądał i wszystko kontrolował, mimo iż wiedział, że jego ludzie wykonują swoją pracę jak można najlepiej, i równie dobrze by ją wykonywali, gdyby im nie sterczał nad głową.

Miał wielką ochotę polecieć tam, gdzie znajdował się Diggs i jego sztab, ale stłumił

pokusę, gdyż uważał, że jego obowiązkiem jest nadzorowanie pracy ludzi, których on osobiście wyszkolił, by pracowali bez nadzoru. Przez trzy godziny zmagał się z tym postanowieniem, aż wreszcie doszedł do logicznego wniosku, że powinien być raczej dowódcą niż nadzorcą niewolników, i odleciał do Chabarowska. Lot nie był trudny, a pułkownikowi odpowiadał niski pułap chmur, gdyż kręcić się tu mogły myśliwce, nie wszystkie przyjazne. System nawigacyjny GPS doprowadził go na właściwe miejsce, a właściwym miejscem okazało się betonowe lądowisko otoczone wianuszkami żołnierzy.

Żołnierze mieli na sobie „niewłaściwe” mundury i Boyle uświadomił sobie, że musi popracować nad nawykami z przeszłości. Jeden z rosyjskich żołnierzy zaprowadził Boyle’a do budynku, w którym mieściło się dowództwo.

– Cześć, Dick – powitał go Marion Diggs. – Witaj na Syberii.

– Dziękuję, sir. Jaką mamy sytuację?

– Interesującą – odparł generał. – To jest generał Bondarienko, dowódca całego obszaru operacyjnego. – Boyle ponownie zasalutował. – Giennadij, przedstawiam ci pułkownika Boyle’a, dowódcę moich śmigłowców. Świetny fachowiec.

– Kto ma przewagę w powietrzu, sir? – zapytał Boyle Diggsa.

– Jak do tej pory Siły Powietrzne dają sobie radę.

- A chińskie śmigłowce?
- Nie mają ich wiele – udzielił informacji stojący obok rosyjski oficer. – Jestem pułkownik Alijew, Andriej Pietrowicz. Oficer operacyjny. Zaobserwowaliśmy tylko kilka, głównie zwiadowcze.
- Żadnych powietrznych punktów dowodzenia?
- Żadnych – odpowiedział Alijew. – Ich oficerowie sztabowi wolą poruszać się w gąsienicowych wozach dowodzenia. Nie lubią śmigłowców.
- Jakie ma być moje zadanie? – spytał Boyle Diggsa.
- Przede wszystkim zawieź Tonny’ego Turnera do Czity. Tam jest stacja rozładunkowa, z której będziemy korzystali.
- Z Czity czołgi pojedą o własnych siłach? – spytał Boyle, patrząc na mapę.
- Tak to planujemy.
- Jak stoimy z paliwem?
- Obok lądowiska, na którym wylądowałeś, są podziemne składy paliwa.
- Jest tu więcej paliwa, niż będzie potrzeba – zapewnił Alijew. Boyle’owi przemknęło przez głowę, że to ryzykowna obietnica.
- A amunicja? – zapytał Boyle. – C5 dostarczyły najwyżej dwudniowy zapas. Sześć zestawów uzbrojenia dla moich Apache, zakładając trzy misje dziennie.
- Jaka wersja? – spytał Alijew.
- Z radarem Longbow. Gdzie są kwatery dla moich ludzi?
- Pańscy piloci będą spać w bunkrach przeciwlotniczych, a personel naziemny w barakach. – Boyle skinął głową. Wszędzie było tak samo. Typki, które odpowiadały za budownictwo wojskowe, popełniały zawsze ten błąd. Wydawało im się, że życie pilotów jest warte więcej niż obsługi naziemnej. W pewnym sensie tak było – do chwili, kiedy maszyna nie potrzebowała naprawy. Wówczas pilot był równie przydatny jak kawalerzysta bez konia.
- Odstawię Tony’ego do Czity, a potem wracam i dopilnuję, by moi ludzie dostali wszystko, co potrzeba. Chętnie bym wziął jakąś radiostację z zapasów Chucka Garveya.
- Oczywiście. Chuck jest na zewnątrz.
- Tak jest, sir. Tony, idziemy – zwrócił się do szefa sztabu.
- Sir, jak tylko zjawi się tu jakaś piechota, musimy zorganizować ochronę składów paliwa –

powiedział Masterman.

– Mogę wam zapewnić batalion – zgłosił się Alijew.

– To powinno wystarczyć – zgodził się Masterman. – Ile bezpiecznych radiostacji przywiózł Garvey?

– Chyba osiem. Dwie już są rozdysponowane – ostrzegł generał Diggs. – Dalsze jadą pociągiem. Idź i powiedz Boyle’owi, żeby nam tu przysłał dwa śmigłowce zwiadowcze.

– Masz wiadomość – powiedział syntetyczny głos.

– Świetnie. – Wicedyrektor CIA do spraw operacji odetchnęła z ulgą. Ściągnęła pocztę elektroniczną na twardy dysk i wydrukowała cały materiał, stosując zwykłą procedurę zabezpieczającą. Robiła to wszystko wolniej niż zwykle, gdyż czuła wielkie zmęczenie, a tym samym mogła łatwo popełnić omyłkę. Zawsze była szczególnie ostrożna w stanie wyczerpania. Nauczyła się tego, gdy została matką i zajmowała się niemowlakiem. Tak więc po czterech minutach, a nie po zwyczajowych dwóch, miała w ręku wydruk najnowszych informacji od agenta o kryptonimie Kanarek. Sześć stron małych ideogramów. Podniosła słuchawkę telefonu i nacisnęła klawisz z zakodowanym numerem doktora Searsa.

– Tak?

– Tu Pat Foley. Mamy materiał.

– Już idę, pani dyrektor.

Nim zjawił się Sears, zdążyła wypić filiżankę kawy. Już sam smak, zanim zadziałała kofeina, pomógł z większym optymizmem spojrzeć na nadchodzący dzień.

– Tak wcześnie w pracy? – zauważyła, gdy Sears przyszedł.

– Przespałem się w gabinecie. Uważam, że powinniśmy zmienić zestaw programów telewizji kablowej – mruknął, chcąc wprowadzić lżejszy nastrój. Widział jej podkrążone oczy i domyślił się, że także spędziła noc w Langley.

Pat Foley podała wydruki.

– Kawy?

– Tak, proszę.

Gdy podawała mu styropianowy kubek z kawą, nie oderwał oczu od trzymanej w ręku kartki.

– Dzisiejszy materiał jest ciekawy.

– Oo?

– Tak, nawet bardzo. Sprawozdanie Fanga z dyskusji w Politbiurze na temat przebiegu działań zbrojnych... usiłują zanalizować nasze zachowanie... no tak, tego się spodziewałem...

– Proszę nie mówić skrótami do siebie, ale do mnie – upomniała Searsa Pat Foley.

– Musi pani zapoznać z tym również George’a Weavera. Chińczycy uważają, że powstrzymujemy się z bezpośrednimi atakami z przyczyn politycznych. Myślą, że nie chcemy ich zbyt denerwować... – Sears upił duży łyk kawy. – Świetny materiał. Mówi nam o tym, co myśli ich kierownictwo polityczne, a to, co myśli, nie odzwierciedla rzeczywistości. –

Sears oderwał wzrok od wydruku i spojrzał na Pat Foley. – W jeszcze mniejszym stopniu rozumieją nas, niż my ich. W motywacjach prezydenta Ryana dostrzegają wyłącznie polityczną kalkulację. Tang powiada, że Ryan nie pozwala ich atakować, bo chce potem robić z Chinami interesy, Potem, to znaczy, gdy oni zajmą rosyjskie kopalnie złota i złoża ropy naftowej.

– Jest mowa o ich ofensywie?

– Marszałek Luo mówi, że wszystko postępuje zgodnie z planem, że są zaskoczeni brakiem oporu ze strony Rosjan, a także zdziwieni, że nie zbombardowaliśmy celów na terenie ich kraju.

– Nie zrobiliśmy tego, bo nie mamy jeszcze bomb. Dopiero co sama się o tym dowiedziałam. Przewozimy tam bomby, żeby mieć z czym latać nad Chiny.

– Naprawdę? Jeszcze o tym nie wiedzą. Myślą, że to nasza świadoma decyzja, żeby nie bombardować.

– Proszę mi przygotować pełne tłumaczenie. Kiedy pojawi się Weaver?

– Zwykle przychodzi o ósmej trzydzieści.

– Zajmijcie się tym, gdy tylko przyjdzie.

– Jasne. – Sears wstał i wyszedł.

– Zatrzymują się na noc? – zastanowił się na głos Aleksandrow.

– Tak wygląda, towarzyszu kapitanie – odparł Bujkow, który przez lornetkę wpatrywał

się w Chińczyków. Dwa pojazdy zwiadowcze stały obok siebie, co zdarzało się tylko wtedy, gdy szykowali się do noclegu. Aleksandrow i Bujkow bardzo się dziwili, że Chińczycy ograniczali swoje działania do godzin dziennych, ale dla Rosjan, którzy mieli ich obserwować, to była gratka.

Żołnierzom zawsze brakuje snu. Stres i wysiłek nieustannego pilnowania wrogów, którzy wdarli się do ich ojczyzny, widać było zarówno na twarzy kapitana jak i jego sierżanta.

Chińczycy stosowali przewidywalny schemat. Oba wozy dowodzenia stały razem, a pozostałe były rozstawione przed nimi. Tylko jeden, pozostawiony trzysta metrów z tyłu, zabezpieczał drogę odwrotu. Przy wozach Chińczycy ustawili małe naftowe kuchenki, na których gotowali prawdopodobnie ryż. Po kolacji chińscy żołnierze rozkładali się na kilka godzin snu. Potem wstawali, gotowali śniadanie i przed świtem ruszali przed siebie. Gdyby to nie byli wrogowie, ich przywiązanie do tego rytuału mogłoby nawet budzić podziw. Jednakże w obecnej sytuacji Bujkow chętnie podciągnąłby kilka BRM i ruszył na biwakujących, rozwalając ich na kawałki kilkoma seriami z działka. Ale Aleksandrow nigdy by na to nie pozwolił.

Kapitan i sierżant poszli na północ do ukrytego w gąszczu pojazdu, ale zostawili na miejscu trzech żołnierzy, by uważali na „gości”, jak zaczęli nazywać Chińczyków.

– Jak się czujecie, sierżancie? – spytał po cichu Bujkova.

– Przyda się trochę snu. – Bujkow obejrzał się za siebie. Oprócz drzew widać było teraz grzbiet pagórka między nim a Chińczykami. Zapalił papierosa i z rozkoszą zaciągnął się. –

Jest trudniej, niż się spodziewałem – wyznał.

– Naprawdę?

– Tak jest, towarzyszu kapitanie. Zawsze myślałem, że wrogów się po prostu zabija.

Podglądanie ich jest cholernie męczące.

– To prawda, Borysie Jewgieniewiczu, ale pamiętajcie, że jeśli dobrze wykonamy przydzieloną nam robotę, to nasza dywizja zabije ich więcej niż kilku. My jesteśmy oczami dywizji, a nie jej zębami.

– To wszystko prawda, towarzyszu kapitanie, ale zamiast zabić wilka, kręcimy o nim film.

– Ludzie, którzy kręcą dobre filmy o życiu zwierząt, otrzymują nagrody, sierżancie.

Dziwny jest ten mój kapitan, pomyślał Bujkow, zachowuje się bardziej jak nauczyciel niż oficer.

– Co mamy na kolację?

– Tuszonka i chleb, towarzyszu kapitanie. Jest nawet jeszcze margaryna. Ale nie ma wódki – dodał kwaśno sierżant.

– Kiedy wrócimy do domu, Borysie Jewgieniewiczu, pozwolę wam urznąć się w trupa – obiecał Aleksandrow.

– Jeśli dożyję tej chwili, towarzyszu kapitanie, to wypiję za wasze zdrowie. Komiśniak nie był najlepszy, ale wieprzowina ugotowana na naftowej kuchence owszem, znośna. W

każdym razie pies by się nią nie udławił. Gdy kończyli kolację, pojawił się sierżant Greczko.

Był dowódcą trzeciego BRM-a i niósł...

– Czy moje oczy dobrze widzą? – wykrzyknął Bujkow. – Juriju Andriejewiczu, jesteście prawdziwym Rosjaninem.

Sierżant niósł półlitrową butelkę najtańszej wódki z kapslem, który, raz zerwany, nie dał się z powrotem założyć.

– Kto to wymyślił? – spytał Aleksandrow.

– Towarzyszu kapitanie, noc jest zimna, a my jesteśmy rosyjskimi żołnierzami i musimy się odprężyć – powiedział Greczko. – To jedyna butelka w całej kompanii, przysięgam. I wystarczy po jednym łyżku dla każdego. Myślę, że to nam nie zaszkodzi? – zapytał Greczko z nadzieją w głosie.

– Niech będzie – zgodził się Aleksandrow i wyciągnął rękę z blaszonym kubkiem, do którego dostał najwyżej pięćdziesiąt gramów. Począł, aż wszyscy otrzymali swoje porcje.

Wypili jednocześnie i poczuli, że dobrze jest być rosyjskim żołnierzem w środku tajgi i bronić Matuszki Rossiji.

– Mamy paliwo tylko do jutra – przypomniał Greczko.

– Czterdzieści kilometrów na północ od spalonego tartaku będzie na nas czekała cysterna

– odparł Aleksandrow. – Będziemy tam podjeżdżali pojedynczo. Mam nadzieję, że nasi chińscy goście nie postanowią nagle zwiększyć tempa.

– To pewno ten pański kapitan Aleksandrow – powiedział major Tucker. – Jest tysiąc czterysta metrów od pojazdów zwiadowczych Chińczyków. To raczej blisko.

– Aleksandrow to dobry chłopak – pochwalił Alijew. – Właśnie złożył raport. Chińczycy jak zwykle okazali się przewidywalni. Gdzie są ich siły główne?

– Czterdzieści kilometrów z tyłu. Również zatrzymali się na noc. Porozpalali ogniska, jakby chcieli nas poinformować gdzie są. – Tucker operował myszą, żeby pokazać poszczególne obozowiska. Czołgi widać było jako błyszczące punkty, tym jaśniejsze, im cieplejsze były silniki.

– Wspaniałe jest to wasze urządzenie – pochwalił Alijew.

– Pod koniec lat siedemdziesiątych doszliśmy do wniosku, że musimy mieć możliwość widzenia w nocy, kiedy inni nie będą nic widzieć. Długo zajęło wypracowanie odpowiedniej technologii, ale, na Boga, opłaciło się. Teraz brak nam tylko Świnek.

– Czego?

– Zobacz pan, pułkowniku. Te ujęcia są z „Grace Kelly”, która ma laserowy znacznik celu podwieszony pod skrzydłem i obserwuje z wysokości dwudziestu tysięcy metrów. Obraz rejestrują kamery na podczerwień. – Kierowany przez Tuckera, niewidzialny z ziemi BSL, wędrował na południe, kontynuując katalogowanie chińskich jednostek posuwających się w głąb Syberii. Obecnie na Amurze było już szesnaście mostów i dodatkowo kilka na północy.

Najczulsze punkty znajdowały się wokół Harbinu, na południu, już na terytorium Chin: liczne mosty kolejowe aż do Bei’an – jednego z kluczowych węzłów kolejowych obsługujących dostawy dla Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Kamery „Grace Kelly” dostrzegały liczne pociągi, głównie z lokomotywami spalinowymi, choć zdarzały się i stare parowozy wyciągnięte z lamusa, aby móc wysłać na północ jak najwięcej amunicji i innego potrzebnego tam sprzętu. Bardzo interesujące były zbudowane ostatnio bocznice, na które cysterny dostarczały paliwo, najprawdopodobniej olej napędowy. Paliwo to było zlewane do rurociągu, który saperzy pośpiesznie przedłużali na północ. Pomysł musieli zapożyczyć z Ameryki.

Armie amerykańska i brytyjska coś podobnego zastosowały w 1944 roku w Normandii, budując wojskowy rurociąg. Ten chiński rurociąg to wspaniała cel, pomyślał Tucker. Olej napędowy to nie tylko pożywienie armii podczas wojny, to powietrze, jakim armia oddycha.

Wokół węzła kolejowego kręciło się wielu ludzi. Prawdopodobnie robotnicy naprawiający uszkodzone tory czy zwrotnice. Przy głównych mostach na Amurze widać było stanowiska rakiet i dział przeciwlotniczych. Chińczycy zdawali sobie sprawę, jak ważne są dla nich te mosty i postanowili dobrze ich bronić. Mieli pecha, bo te rakiety nic im nie pomogą, pomyślał Tucker i przeszedł do satelitarne telefonu, żeby omówić sprawy z ludźmi w Żygańsku, gdzie generał Wallace przygotowywał listę proponowanych celów. Dla Tuckera wszystko, co przed chwilą oglądał, było wspaniałą kolekcją celów do szybkiego unicestwienia. Do zwalczania celów punktowych nadawały się najlepiej pociski J-DAM, a do powierzchniowych właśnie J-SOW, zwane Świnkami. Będzie to potężny cios w szczękę Joego Żółtka, a Joe, tak jak wszystkie armie świata, ma najprawdopodobniej szklaną szczękę.

Trzeba tylko dobrze trafić.

Rosjanie nie mieli zielnego pojęcia, co to jest Federal Express i byli niezmiernie zdumieni, że jakakolwiek prywatna firma może posiadać tak olbrzymie samoloty jak Boeing 747F.

Z drugiej strony załogi tych samolotów, przeważnie dawny personel Marynarki lub Sił

Powietrznych, nigdy nie spodziewały się zobaczyć Syberii, chyba że przez okna strategicznego bombowca B-52H. Pasy startowe były niezbyt równe, ale na ziemi czekał tłum ludzi i kiedy podniósł się potężny nos transportowca, natychmiast podjechały wózki widłowe i zaczęto wyładowywać palety. Piloci nie opuścili kabiny. Podjechały cysterny. Szybko podłączono węże i rozpoczęto napełnianie potężnych zbiorników, by maszyna mogła wystartować zaraz po rozładowaniu. Kabina każdego 747F została wyposażona w składane łóżka dla pilotów zapasowych. Ci, którzy mieli spać w drodze powrotnej, nie dostali nawet powitalnego drinka i jedli podgrzane w kuchence mikrofalowej jedzenie z pudełek przygotowanych i wręczonych im przed odlotem w Elmendorf. W sumie rozładowanie stu ton bomb zajęło pięćdziesiąt siedem minut. Sto ton ledwo wystarczało dla dziesięciu F-15F

stojących na samym końcu drogi kołowania.

– Czy to prawda? – spytał Ryan.

– Tak jest, panie prezydencie – odparł doktor Weaver. – Mimo całego ich wyrafinowania Chińczycy potrafią być w myśleniu... wyspiarscy, prymitywni. W pewnym sensie to nasza wina, bo to my narzuciliśmy im pewien stereotyp myślenia o nas.

– No dobrze, ale ja mam ludzi, którzy mi doradzają. Kto doradza im? – spytał Jack.

– Oni mają dobrych doradców. Ich problem polega na tym, że Politbiuro nie zawsze chce słuchać.

– Znam ten problem. Ale czy to dobra wiadomość, czy zła?

– Potencjalnie jedno i drugie, ale pamiętajmy, że teraz my ich rozumiemy lepiej, niż oni nas – oświadczył zebranym Ed Foley. – To nam daje przewagę. Oczywiście, jeśli wykorzystamy dobrze nasze karty.

Ryan rozparł się w fotelu i przetaił oczy. Robby Jackson nie był w lepszej formie, chociaż przespał cztery godziny w sypialni Lincolna. Pokój został tak nazwany dlatego, że wisiał w nim portret szesnastego prezydenta USA. Dobra kawa z Jamajki pomagała wszystkim utrzymać się w stanie jakiejś takiej przytomności.

– Jestem zdumiony, że ich minister obrony ma tak ograniczone horyzonty – myślał na głos Robby, przeglądając raport SORGE. – Wysoko postawionym osobistościom płaci się za strategiczne myślenie. Człowiek powinien być podejrzliwy, kiedy operacja rozwija się zbyt dobrze. Ja od razu nabrałbym podejrzeń.

– Okay, Robby, byłeś oficerem operacyjnym po drugiej stronie rzeki, w Pentagonie.

Powiedz, co rekomendujesz – zażądał Jack.

– Przy poważniejszych operacjach podstawową zasadą jest wprowadzenie przeciwnika w błąd. Poprowadzenie go drogą, którą mu się wybrało. Druga możliwość to zakłócenie jego procesu decyzyjnego. Uniemożliwienie mu przeanalizowania danych, a więc i podjęcia właściwej decyzji. Myślę, że to właśnie możemy zrobić.

– Jak? – spytał Arnie van Damm.

– Wspólnym elementem wszystkich planów strategicznych, jakie w przeszłości przyniosły pełen sukces, jest pokazanie przeciwnikowi tego, czego on się spodziewa i co ma nadzieję zobaczyć. A kiedy już myśli, że złapał lwa za ogon, podcina mu się nogi jednym ciosem. – Robby rozparł się wygodnie i zatoczył spojrzeniem wokół stołu. – Najmądrzej jest pozwolić mu jeszcze kontynuować ten plan przez parę dni. Niech mu się wydaje, że wszystko idzie jak z płatka. W tym czasie mobilizuje się własne siły i kiedy się wreszcie uderza, to jest to cios sprawiający na przeciwniku wrażenie trzęsienia ziemi. Żadnego wcześniejszego ostrzeżenia, żadnego sygnału. Po prostu koniec świata. Mickey, co jest ich piętą achillesową?

– Jak zwykle zaopatrzenie – generał Moore miał gotową odpowiedź. – Dziennie muszą spalać około dziewięciuset ton oleju napędowego, by czołgi i inne pojazdy mogły posuwać się na północ. Pięć tysięcy saperów uwija się przy budowie rurociągu dostarczającego paliwo na front. Rozwalimy go. Trochę dowiozą cysternami, ale nie tyle, ile potrzeba.

– I możemy do tego wykorzystać Świnki – zaproponował wiceprezydent Jackson.

– To jedna z opcji – zgodził się Moore.

– Świnki? – zdziwił się Ryan.

– Od ośmiu lat pracujemy nad tym uzbrojeniem. Nad tym i paroma innymi niespodziankami. Przed paroma laty spędziłem z prototypem miesiąc w bazie China Lake. Te bomby przynoszą doskonałe rezultaty, pod warunkiem, że będziemy mieli ich dostateczną ilość.

– Generał Wallace ma to na samym początku listy świątecznych zakupów.

– Można też pomyśleć o kontekście politycznym – dodał Jackson.

– Ciekawe, właśnie o tym pomyślałem. Jak oni przedstawiają tę wojnę społeczeństwu? –

spytał Ryan.

– Twierdzą, że Rosjanie sprowokowali incydent graniczny – zaczął wyjaśniać profesor Weaver. – To samo, co w 1939 roku Hitler zrobił z Polską. Technika Wielkiego Kłamstwa.

Robili to już wcześniej. Jak każda dyktatura. To skuteczna metoda, jeśli kontroluje się to, co ludzie widzą i słyszą.

– Jaka jest najlepsza broń do walki z kłamstwem? – spytał Ryan.

– Oczywiście prawda – odpowiedział Arnie van Damm. – Tylko że oni kontrolują przepływ informacji. Więc jak możemy dotrzeć do nich z prawdą?

– Ed, jak docierają do nas dane SORGE?

– Przez Internet, oczywiście.

– Ilu Chińczyków może mieć komputery?

– Miliony. Liczba komputerów w Chinach skoczyła bardzo w ciągu minionych dwu lat.

Dlatego kradną oprogramowanie. Podczas negocjacji handlowych zrobiliśmy na ten temat sporo hałasu... Twój pomysł, Jack, zaczyna mi się podobać – dokończył Foley z uśmiechem.

– To może być niebezpieczne – ostrzegł Weaver.

– Doktorze Weaver, nie ma bezpiecznego sposobu prowadzenia wojny – odparł Ryan. –

To nie są negocjacje między przyjaciółmi. Generale Moore, niech pan wyda odpowiednie rozkazy.

– Tak jest, sir.

– Pytanie, czy to się uda...

– To tak jak w koszykówce, Jack – odezwał się Jackson. – Gra się po prostu po to, żeby sprawdzić kto jest lepszy.

Jako pierwsza do Czity przybyła 201. Dywizja. Pociągi z ludźmi i sprzętem wjechały na specjalnie zbudowane w tym celu bocznice. Platformy były zaprojektowane (i następnie wyprodukowane w dużych ilościach) do przewożenia gąsienicowych pojazdów wojskowych.

Każda z platform miała otwierane na zewnątrz klapy, które przy rozładunku spełniały rolę pomostu. Po nich czołgi mogły zjechać na betonową rampę, do której podprowadzano skład.

Zadanie niełatwe, gdyż platformy były tylko nieco szersze od rozstawu gąsienic. Ale kierowcy zostali dobrze wyszkoleni, choć mimo to wydawali oddech ulgi, gdy wreszcie zjechali na betonową płytę. Żandarmi kierowali ruchem, wskazując kierowcom drogę do ich punktów zbornych, gdzie znajdował się już dowódca 201. Dywizji i jego oficerowie sztabowi, a także dowódcy pułków otrzymujący rozkazy, mapy i informacje o stanie dróg na północnym wschodzie.

Dwieście Pierwsza, podobnie jak następne dywizje w drodze, 80., 34. i 94., wyposażone w najnowszy rosyjski sprzęt, znajdowały się w stanie pełnej gotowości. Ich zadaniem miało być szybkie przemieszczenie się na północ, skręcenie na wschód i zagrodzenie drogi nadciągającym

Chińczykom. Szykował się poważny wyścig. W tej części Rosji dróg było niewiele, a te, które były, nie miały utwardzonej nawierzchni, lecz luźno rzucony szuter, co nawet odpowiadało pancerniakom. Problem stanowiło paliwo, ponieważ przy drogach było bardzo niewiele stacji benzynowych, które w czasie pokoju zaopatrywały ciężarówki.

Dowódca 201. Dywizji kazał swoim oficerom rekwirować każdą cysterne, którą znajdą. Ale okazało się, że i to nie wystarczy. Kwatermistrze bardzo się martwili, ale ich zamartwianie się nie prowadziło do rozwiązania problemu. Byle tylko czołgi dotarły na miejsce, a potem, choćby bez kropli paliwa, będą mogły przynajmniej spełniać rolę stałych punktów ogniowych.

Jedyną, co ich ucieszyło, to niezłe rozwinięta sieć naziemnych linii telefonicznych, które pozwalały oficerom na komunikowanie się bez używania radia. Na całym obszarze obowiązywała absolutna cisza radiowa. Operujące nad nim jednostki lotnictwa, zarówno amerykańskiego, jak i rosyjskiego, otrzymały polecenie eliminowania każdego chińskiego samolotu zwiadowczego. Dotychczas to się udawało. Siedemnaście samolotów zwiadowczych zostało strąconych, nim doleciały do Czity.

To Paryż, o dziwo, potwierdził istnienie problemu, jaki Chińczycy mieli z rozpoznaniem.

SPOT, prywatna firma francuska, która użytkowała kilka satelitów komercyjnych, otrzymała liczne zamówienia na fotografie Syberii. Chociaż wiele z tych zamówień pochodziło od zachodnich firm i instytucji, głównie agencji prasowych, wszystkim odmówiono. Mimo że satelity SPOT nie były tak dobre, jak amerykańskie, potrafiły zidentyfikować ładunek pociągów na stacji w Czicie.

A ponieważ, paradoksalnie, w Moskwie nadal funkcjonowała ambasada ChRL, istniała też obawa, że chińskie Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego ma płatnych informatorów wśród rosyjskich obywateli. Osoby, co do których FSB miała jakiegokolwiek podejrzenia, zostały zatrzymane i przesłuchane.

Jednym z zatrzymanych był Kliement Iwanowicz Suworow.

– Służyłeś wrogowi Rosji – stwierdził Paweł Jefremow. – Zabijałeś na zlecenie obcego mocarstwa. Spiskowałeś, by zabić prezydenta naszego kraju. Wszystko o tobie wiemy. Od dłuższego czasu byłeś pod obserwacją. Mamy też to. – Jefremow pokazał fotokopię jednorazowego szyfru, znalezionej w skrzynce kontaktowej pod parkową ławką. – Albo zaczniesz mówić, albo cię rozstrzelamy. Twój wybór.

W filmie po takim oświadczeniu podejrzany powinien dumnie wypiąć pierś i odpowiedzieć: „I tak mnie zabijecie”, ale Suworow wcale nie miał ochoty umierać. Kochał

życie, tak jak każdy człowiek. I tak jak nie spodziewa się aresztowania zwykły kieszonkowiec, tak i Suworowowi do głowy nie przyszło, że może zostać złapany. Uważał, że jest na to zbyt inteligentny i przebiegły. Pewne wątpliwości zaczął mieć dopiero w celi.

Przyszłość Suworowa rysowała się raczej ponuro. W swoim czasie otrzymał w KGB

wyszkolenie i teraz dobrze wiedział, czego może oczekiwać, jeśli nie dostarczy przesłuchującym czegoś na tyle wartościowego, by warto było darować mu życie. W tym momencie dożywotni pobyt w obozie pracy o zaostrzonym reżimie wydawał się szczytem marzeń.

– Czy naprawdę aresztowaliście Konga?

– Tak ci tylko powiedzieliśmy. Po co mamy informować Chińczyków o tym, że poznaliśmy szczegóły ich operacji?

– W takim razie możecie wykorzystać mnie przeciwko nim.

– W jaki sposób? – spytał oficer śledczy.

– Mógłbym ich zawiadomić, że operacja, jaką proponują, ruszyła, ale że sytuacja na Syberii uniemożliwiła jej właściwe zrealizowanie w przewidzianym czasie.

– W jaki to sposób dostarczyłbyś Kongowi tę informację, skoro nie może opuścić ambasady, która jest otoczona przez milicję?

– Poczta elektroniczną. Możecie monitorować łączność przewodową, ale monitorowanie ich telefonów komórkowych jest trudniejsze. E-mail był przewidziany jako awaryjny sposób kontaktu.

– Czy nie zaniepokoi ich fakt, że się odgrywasz dopiero teraz.

– Mam proste wyjaśnienie. Mój człowiek ze Specnazu przestraszył się wybuchu wojny.

Podobnie ich ja.

– Więc jaką konkretnie masz propozycję?

– Powiem im, że mogę wykonać zadanie. Zażądam, żeby je potwierdzili jakimś specjalnym sygnałem. Na przykład takim, a nie innym zaciągnięciem stor w oknach.

– Czego oczekujesz w zamian?

– Darowania życia – odparł Suworow.

– Rozumiem. – Jefremow chętnie osobiście zastrzeliłby zdrajcę, ale kto wie, czy przystanie na jego propozycję nie okaże się korzystne. Trzeba to przekazać przełożonym.

Najgorsze w pilnowaniu nieprzyjaciela było to, że należało z góry przewidzieć, co ten zamierza zrobić. Aleksandrow wypił już poranną herbatę, sierżant Bujkow przy herbacie wypalił dwa papierosy, a teraz leżał wyciągnięty na mokrej od rosy ziemi i obserwował teren przez lornetkę.

Chińscy żołnierze spędzili noc poza pojazdami. Przez lornetkę wydawali się być nie dalej niż o sto metrów. Aleksandrow też przyglądał się Chińczykom i doszedł do wniosku, że nie są zbyt pomysłowi. Gdyby on rozstawiał wartowników, to wysunąłby ich o pół kilometra dalej. Jednakże zarówno lis, jak i Ogrodnik byli konserwatywni i pewni siebie, co stanowiło dość dziwną kombinację. Tego poranka schemat był jeszcze bardziej precyzyjny. Po szybkim śniadaniu żołnierze zdjęli z pojazdów siatki maskujące. Do obozowiska powrócili wartownicy z wysuniętych czujek i złożyli raport oficerom. Wreszcie wszyscy wsiedli do pojazdów. Pierwszy skok nie był zbyt wielki, jakieś pół kilometra.

– Ruszamy, sierżancie – rozkazał Aleksandrow i wraz z Bujkowem pobiegł do BRM-a, by rozpocząć kolejny dzień pilnowania chińskiej straży przedniej.

– Znowu ruszyli – powiedział major Tucker, który dopiero co wstał po trzech godzinach snu na cienkim materacu rozłożonym metr od terminalu Dark Star. Teraz w powietrzu była ponownie „Ingrid Bergman”, tak ustawiona, by jej kamery obejmowały zarówno zwiad, jak i siły główne Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. – Naprawdę przestrzegają regulaminu, co?

– Na to wygląda – zgodził się pułkownik Tołkunow.

– Wobec tego możemy przewidzieć, że dziś wieczorem znajdą się mniej więcej tu. –

Tucker zrobił znak na przezroczystym tworzywie pokrywającym mapę. – Co z kolei oznacza, że do kopalni złota dotrą pojutrze. Gdzie zamierzacie ich zatrzymać?

– To zależy od tego, jak szybko dotrze na miejsce 201. Dywizja. Główny problem stanowi tankowanie po drodze.

– My z kolei mamy problem z szybkim dostarczeniem potrzebnej liczby bomb lotniczych.

– Właśnie. Kiedy zaczniecie naloty na chińskie cele? – zapytał Tołkunow.

– To nie moja działka, pułkowniku, ale kiedy się zacznie, to będzie pan mógł oglądać transmisję na żywo.

Ryan znalazł po południu dwie godziny na drzemkę, podczas gdy Arnie van Damm zajął

się przewidzianymi na te godziny spotkaniami – szef kancelarii też potrzebował snu, ale, jak większość pracowników Białego Domu, stawiał potrzeby prezydenta przed swoimi. Teraz Jack wpatrywał się w ekran monitora, który przekazywał obrazy z „Ingrid Bergman”.

– Niewiarygodne – stwierdził. – Mógłbym podnieść słuchawkę i powiedzieć gościowi tam na dole, dokąd ma jechać ze swoim czołgiem.

– Unikałbym tego, sir – odezwał się natychmiast Mickey Moore. – W Wietnamie nazywało to się „podniebnym dowódcą plutonu”, kiedy oficerowie w śmigłowcach usiłowali kierować sierżantami na patrolu. Nie zawsze wychodziło to na zdrowie żołnierzom. Cud nowoczesnej telekomunikacji może stać się przekleństwem. Skutek bywa taki, że ludzie w niebezpiecznej sytuacji ignorują polecenia albo wyłączają radia do czasu, kiedy sami będą mieli coś do powiedzenia.

– Czy Chińczycy wiedzą, że ich obserwujemy?

– O ile nam wiadomo, nie. Gdyby wiedzieli, to już dawno spróbowaliby strącić Dark Star z nieba. Wiedzielibyśmy, gdyby tego próbowali. To nie takie łatwe. Dark Star są niemal niewidoczne na radarze i, jak mówią lotnicy, prawie niemożliwe do wypatrzenia gołym okiem czy nawet przez lornetkę.

– A poza tym niewiele myśliwców osiąga pułap dwudziestu tysięcy metrów, nie mówiąc już o walce na tej wysokości – zgodził się Robby. – Nawet Tomcat miałby z tym kłopot. –

Też wpatrywał się w ekran i myślał, że żaden oficer w historii wszystkich wojen nie miał

podobnej szansy obserwowania całego pola walki. Ba, byłby szczęśliwy, widząc choćby dwa procent tego, co teraz pokazywał ekran. Bardzo istotnym elementem wojny było poszukiwanie wroga, aby można go było zabić. Ten nowy wynalazek pozwalał wszystko obserwować jak na hollywoodzkim filmie. Gdyby Chińczycy wiedzieli, że są aktorami w filmie, dostaliby szału. System Dark Star miał wszelkie możliwe zabezpieczenia. Nadajniki laserowe były kierunkowe i ustawione na konkretne satelity. Nie promieniowały dookoła, tak jak anteny radiowe.

– Z czym mamy największy problem? – spytał Jack generała Moore’a.

– Zaopatrzenie, sir. Powiedziałem już dziś rano, że nasi spalają olbrzymie ilości oleju napędowego i uzupełnianie zapasów stanowi ich główne zadanie. Zresztą Rosjanie mają dokładnie ten sam problem. Usiłują wypchnąć dywizję pancerną na północ od chińskiego rozpoznania i zagrozić drogę siłom głównym gdzieś w okolicach Ałdanu, w pobliżu odkrytych złóż złota. Nie daję im więcej niż 50% szans, że im się to uda, nawet jeśli drogi okażą się przejezdne. Wysyłane na front rosyjskie dywizje należą do najlepiej wyszkolonych i wyekwipowanych. Zobaczymy.

– A nasi?

– Zaczynają przybywać do Czity jutro. Rosjanie chcą, by po rozładunku ruszyli w kierunku południowoschodnim. Według ich koncepcji operacyjnej nasi powinni wdrzeć się poza linie chińskie w pobliżu Amuru i odciąć Chińczykom drogi zaopatrzenia. W teorii to ma sens – podsumował Mickey Moore – a Rosjanie zapewniają, że nasi dostaną każdą ilość paliwa z podziemnych zbiorników.

Podglądanie

Generał Peng znajdował się teraz na czele pierwszej z posuwających się na północ dywizji. Wszystko szło jak mogło najlepiej, tak dobrze, że budziło w Pengu pewien niepokój.

Jakże to możliwe? – zapytywał siebie. Żadnego oporu? Rosjanie nie wystrzelili nawet jednej salwy. Czyżby w tym sektorze nie mieli żadnych sił? A gdzie są jednostki, które Rosjanie z pewnością ściągają z głębi kraju? Peng zażądał informacji i usłyszał, że lotnictwo wysłało kilkanaście samolotów zwiadowczych w poszukiwaniu wroga, ale bez rezultatu. Peng spodziewał się, że w tej fazie kampanii będzie musiał polegać głównie na sobie, ale nie przewidział, że wyłącznie na sobie. Pięćdziesięciokilometrowa wędrówka 302. Dywizji nie przyniosła wiele informacji. Zwiadowcy odkryli tylko ślady kilku gąsienic. Wysyłane przed czoło śmigłowce wracały z niczym. Powinny były coś zauważyć, ale nie zauważyły nic oprócz nielicznych cywilów, którzy na widok nisko lecących maszyn brali nogi za pas.

Tymczasem dywizja pokonała wzniesienie z przesieką, którą miała biec odnoga Kolei Transsyberyjskiej. Jedynym potencjalnym problemem operacyjnym było paliwo, ale chwilowo dwieście dziesięcotonowych cystern dowoziło wystarczającą ilość oleju napędowego z końcówki rurociągu, który saperzy przedłużali w tempie czterdziestu kilometrów dziennie, od węzła kolejowego za Amurem. Jak dotychczas budowa tego rurociągu była największym wyczynem rozpoczętej przez Chiny wojny. Saperzy kładli rury w przygotowanym wykopie, a następnie maskowali je i jednocześnie zabezpieczali przed ostrzałem metrową warstwą ziemi. Nie mogli tylko ukryć rozmieszczanych na trasie pomp, ale mieli dostateczną ilość części zapasowych, by w razie zniszczenia którejs z stacji natychmiast ją odbudować.

Właściwie nie było powodów do niepokoju. Niepokoiło tylko jedno: gdzie są Rosjanie?

To był istotny dylemat: albo wywiad źle pracował, albo nie było żadnych jednostek rosyjskich na trasie ich marszu lub – zakładając, że informacje wywiadu były prawdziwe –

Rosjanie po prostu umykają, nie dając Pengowi szansy na ich zniszczenie. Ale od kiedy to Rosjanie nie walczą w obronie swojej ziemi? Chińscy żołnierze na pewno by walczyli. Poza tym teoria ucieczki nie pasowała do reputacji Bondarienki. Sytuacja była bardzo niejasna.

Peng westchnął. Wojna często jest taka. Trudno dopatrzeć się sensu poczynań jednej czy drugiej strony, pomyślał. Na szczęście chwilowo posuwał się zgodnie z harmonogramem, a nawet nieco go wyprzedzał, a pierwszy strategiczny cel, kopalnia złota, znajdował się o trzy dni marszu. Peng jeszcze nigdy w życiu nie widział kopalni złota.

– Niech to szlag! To moja ziemia. Żaden Kitajec mnie z niej nie wyrzuci – powiedział

Paweł Pietrowicz.

– Chińczycy dotrą do nas za trzy, cztery dni, Pasza.

– No to co? Mieszkam tu od ponad pięćdziesięciu lat. Nie będę teraz stąd wyjeżdżał! –

warknął starzec. Dyrektor kopalni osobiście do niego przyszedł, żeby zabrać go do swojego samochodu i oczekiwał raczej podziękowań. Najwyraźniej nie znał jednak dobrze Fomina i jego uporu. – Pasza, nie możemy cię tu zostawić. Ta kopalnia jest ich celem. Idą tu, żeby ją zająć...

– No to będę jej bronił! Będę walczył. Zabijałem Niemców, zabijałem niedźwiedzie, zabijałem wilki. Teraz będę zabijał Chińczyków. Jestem starym mężczyzną, ale nie starą babą, towarzyszu...

– Chcesz walczyć?

– A niby dlaczego nie? – odparł Fomin. – To jest moja ziemia, znam każdy jej skrawek, znam każdą kryjówkę. Wiem, gdzie się schować i umiem strzelać. W przeszłości zabijałem już żołnierzy. – Wskazał palcem na ścianę. Wisiał na niej stary wojskowy karabin i dyrektor dostrzegł nacięcia na kolbie, oznaczające zabitych Niemców. – Umiem polować na niedźwiedzie i wilki. Potrafię polować i na ludzi.

– Jesteś za stary na żołnierkę. To robota dla młodych.

– Nie trzeba być siłaczem, żeby ściągnąć spust, towarzyszu, a ja doskonale znam te lasy. – Dla podkreślenia wagi swojej decyzji Fomin wstał i zdjął ze ściany stary karabin, pozostawiając wiszący obok austriacki sztucer. Dał jasno do zrozumienia, że walczył tą bronią w przeszłości i zamierza walczyć w przyszłości. Wzrok dyrektora mimo woli powędrował na ścianę, na której wisiały jeszcze noże myśliwskie i parę wilczych skór. Fomin wypiął pierś i spojrzał prosto w oczy swemu gościowi, któremu towarzyszyło paru urzędników z dyrekcji kopalni. – Jestem Rosjaninem. Będę bronił mojej ziemi! – oświadczył

twardo.

Dyrektor postanowił przekazać wojskowym informację o rozmowie z Fominem. Może oni go przekonają? Osobiście nie miał najmniejszej ochoty czekać na przybycie Chińczyków, więc się pożegnał i odjechał. Paweł Pietrowicz Fomin otworzył butelkę wódki i nalał sobie szklaneczkę. Potem zaczął czyścić broń, wspominając dawne czasy.

– Panie pułkowniku!

Welch obrócił się i zobaczył salutującego mu rosyjskiego majora.

– Słucham?

– Pierwszy pociąg z waszymi ludźmi przybędzie za cztery godziny i dwadzieścia minut.

Ustawimy go przy południowej rampie. Będzie czekało paliwo i przewodnicy.

– Doskonale.

– Gdyby pan chciał coś zjeść, to w budynku dworcowym jest kantyna. Zapraszam.

– Dziękuję. Chwilowo jeszcze nie. – Welch podszedł do stanowiska telefonu satelitarnego, by przekazać generałowi Diggsowi wiadomość z Czity.

– Więc chcemy im nieco pomieszać w łepetynach, Mickey? Tak? – spytał admirał Dave Seaton.

– Takie jest założenie – odpowiedział szefowi operacji morskich przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów.

– Może to i dobry pomysł. A co w tej chwili myślą?

– Zgodnie z informacjami z CIA, Chińczycy uważają, że wstrzymujemy się od poważniejszych ataków z powodów politycznych. Żeby ich nie zrazić...

– Chyba żartujesz? – odparł z niedowierzaniem Seaton.

– Chińczycy tak myślą – stwierdził Moore.

– To mi przypomina historię pewnego faceta, który miał asy na ósemkach – powiedział szef operacji morskich. Chodziło o ostatnie rozdanie pokerowe w życiu „Dzikiego Billa”

Hickoka w Deadwood w Południowej Dakocie. – Taką im sprawimy niespodziankę, że wywalą gały.

– Masz jakiś pomysł? – spytał Moore.

– Możemy mocno przetrzepać ich siły morskie. Bart Mancuso się tym zajmie. Czego najbardziej się boją? – Seaton wygodnie rozparł się w fotelu. – Myślę, że Mancuso najpierw będzie chciał załatwić ich nuklearny okręt podwodny z pociskami balistycznymi. Na ogonie siedzi mu „Tucson”, jakieś piętnaście mil morskich z tyłu.

– Tak daleko?

– Pod wodą to cholernie blisko. Do ochrony Chińczycy mają w pobliżu eskortujący myśliwski okręt podwodny. „Tucson” za jednym zamachem załatwi obie puszki. Pekin może się nawet od razu nie dowiedzieć o ich utracie, chyba że wypuszczą na powierzchnię boje z napisem JESTEŚMY MARTWI. Z jednostkami nawodnymi pójdzie znacznie łatwiej. To są cele głównie dla lotnictwa morskiego. No i damy chłopcom z niszczycieli wystrzelić kilka rakiet, żeby nie narzekali. Jeśli to ma być szok psychologiczny, to we wszystko uderzymy jednocześnie. To oznacza zaangażowanie z naszej strony dużej liczby jednostek. Powstaje tylko ryzyko, że operacja stanie się zbyt skomplikowana, bo

każdy będzie chciał wziąć w niej udział. Chcemy je podjąć?

– Ryan jest od strategii. Robby pomaga mu w taktyce.

– Robby jest pilotem myśliwskim. Lubi myśleć kategoriami Hollywood. Uwielbia „Top Gun”. Ale Tom Cruise jest wyższy od niego o pięć centymetrów – zażartował Seaton.

– Robby ma łeb do myślenia operacyjnego. Świetny był z niego J-3 – przypomniał admirałowi Moore.

– Tak, wiem, tylko że za bardzo lubi dramatyczne zagrania. – Przez sekundę Seaton patrzył w okno. – Wiesz, co ich może naprawdę zaskoczyć?

– Co takiego?

Seaton wyjaśnił założenia swojego pomysłu.

– Myślisz, że to się uda? – spytał Moore.

– Nie wiem, ale z drugiej strony pamiętaj, że nie mamy do czynienia z zawodowcami wojskowymi. Tu chodzi o polityków, Mickey. Przyzwyczajonych do rozwiązywania zagadnień teoretycznych, a nie kontaktu z rzeczywistością. Stworzymy im więc wymaginowany obraz rzeczywistości.

– Masz do tego wszystkie klocki? I w odpowiednich miejscach?

– Sprawdzę.

– To szaleństwo, Dave.

– A wysłanie Pierwszej Pancерnej do Rosji nie jest szaleństwem? – spytał szef operacji morskich.

– Panowie, jesteśmy na miejscu – obwieścił pułkownik Angelo Giusti.

– Chwała Panu – odezwał się ktoś. Po kilku sekundach pociąg zatrzymał się i wszyscy mogli wyjść na betonowy peron. Po pięciu minutach żołnierze kompanii dowodzenia, przeciągając się i narzekając, ruszyli do swoich pojazdów.

– Cześć, Angie! – Giusti usłyszał znajomy głos.

Obejrzał się i zobaczył pułkownika Welcha. Podszedł do niego i zaszalutował.

– Co tu się dzieje? – spytał po powitaniu.

– Na wschodzie nie idzie najlepiej, ale są też jasne strony.

– Na przykład?

– Mamy pod dostatkiem paliwa. Wybrałem się na zwiad śmigłowcem. Ruscy mają podziemne magazyny o pojemności tankowców.

– Dobrze wiedzieć. A co z moimi wiatrakami?

Welch wskazał palcem. Zaledwie sto metrów dalej stał śmigłowiec UH-58D Kiowa Warrior.

– Dzięki Bogu. A jakie są te złe wieści ze wschodu?

– Chińczycy mają już na Syberii cztery armie i nacierają na północ. Posuwają się bez najmniejszych przeszkód, ponieważ Ruscy unikają zwańca, póki nie zgromadzą większych sił.

– Ile dywizji liczą siły inwazyjne? Szesnaście?

– Coś koło tego.

– Moje zadanie? – spytał Giusti.

– Zabieraj manele i ruszaj na południowy wschód. Koncepcja jest następująca: Pierwsza Pancerna odetnie chińskie drogi zaopatrzenia na zapleczu sił inwazyjnych. Następnie Rosjanie będą usiłovali je zatrzymać, mniej więcej trzysta kilometrów na północny wschód stąd.

– Potrafią to zrobić? Cztery rosyjskie dywizje przeciwko szesnastu chińskim to trochę mało.

– Nie wiem – przyznał Welch. – Twoim zadaniem jest stworzenie przedniej straży dywizji. Masz zabezpieczyć pierwszy rosyjski podziemny magazyn paliwa. Zaczniemy od tego.

– Jakie wsparcie?

– Chwilowo Siły Powietrzne głównie odstraszą myśliwce chińskie. Tak potrwa jeszcze przez pewien czas. Na szczęście mamy zapas amunicji na cztery dni walki.

Giusti obrócił się, słysząc zapuszczenie pierwszego silnika. Była to rozpoznawcza wersja bojowego wozu piechoty Bradley M3A2. Wychylony z wieży sierżant wydawał się być zadowolony, że wreszcie coś się dzieje. Rosyjski oficer przejął obowiązki żandarma i regulował ruchem. Dał znak Bradleyowi, by ruszał na teren formowania jednostki. Pojazd odjechał. Przy sąsiednim peronie zatrzymał się następny pociąg. Tym razem z czołgami M1A2.

– Kiedy będziemy mieli tu już wszystko? – spytał Giusti.

– Rosjanie utrzymują, że za dziewięćdziesiąt minut – odparł Welch.

– Zobaczymy.

– Tak? – powiedział generał Peng, kiedy podszedł do niego oficer wywiadu.

– Rozpoznanie powietrzne wykryło koncentrację dużych formacji czołgów i transporterów opancerzonych sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód od nas. Posuwają się na północ i północny wschód.

– Ich łączna siła? – spytał generał.

– Nie jesteśmy pewni. Analiza zdjęć lotniczych jeszcze trwa. Ale w każdym razie jest to nie mniej niż pułk.

– Dokładnie gdzie?

– Tutaj, towarzyszu generale... – Oficer wywiadu rozwinął mapę i wskazał palcem.

– Ile samolotów rozpoznawczych kosztowały nas te zdjęcia? – zapytał generał Peng.

– Tym razem obeszło się bez strat, wszystkie J-8 wróciły do bazy, ale kosztowało to nas ponad trzydzieści Su-27 – odpowiedział oficer wywiadu.

– Aż tyle? – zdziwił się generał.

– Tak. Aby zapewnić bezpieczeństwo J-8, wysłaliśmy cały pułk myśliwców, który odciągnął Amerykanów, atakując ich powietrzne stanowisko dowodzenia. Rozegrała się wielka bitwa. Nie udało się nam co prawda zestrzelić ich AWACS-a, ale nasze samoloty rozpoznawcze wykonały postawione zadanie. Amerykanie też ponieśli straty, piloci Su-27

drogo sprzedali swoją skórę, towarzyszu generale.

– Rozumiem... – powiedział Peng, wracając do studiowania mapy. – Więc oni śpieszą się do miejsca, które sobie upatrzyli. Chcą nas zająć od flanki albo uprzędzić nas i zająć... –

Wpatrzony w mapę Peng głęboko się zastanawiał. – No tak, tego można było oczekiwać.

Jakie meldunki z frontu?

– Nasze jednostki rozpoznawcze meldują, że trafili na ślady gąsienic, ale dotychczas nie uzyskali kontaktu wzrokowego z nieprzyjacielem. Nikt też do nich nie strzelał. Widzieli tylko uciekających cywilów.

– Szybko! – poganiał Aleksandrow.

Nie wiadomo, jak kierowca i jego pomocnik dotarli ZIL-em-157 do tego miejsca. Jednak kapitana Aleksandrowa nie interesowało rozwiązanie tej zagadki. Ważne, że cysterna dotarła na czas. Pierwszy podjechał sierżant Greczko. Nabrał do pełna paliwa i dał znać przez radio reszcie kompanii, która po raz pierwszy straciła kontakt wzrokowy z Chińczykami i pędziła na północ, by też zatankować. Było rzeczą niebezpieczną pozostawienie Chińczyków samym sobie, ale gdyby tego nie zrobili, nie byłoby gwarancji, że wszyscy zdążą zatankować.

Sierżant Bujkow zadał wtedy istotne pytanie.

– A gdzie Chińczycy uzupełniają paliwo, towarzyszu kapitanie? Jeszcze nie widzieliśmy, by to robili...

– Rzeczywiście... – Aleksandrow podrapał się w głowę. – Ich zbiorniki powinny być puste, podobnie jak były niszce.

– Pierwszego dnia wieźli na pancierzach beczki z paliwem. Po ich opróżnieniu pozbyli się ich chyba wczoraj...

– Więc może mają jeszcze paliwo na dziś, może na pół dnia, a potem ktoś ich musi zaopatrzyć... ale kto to może być? I jak to robi? – zastanawiał się Aleksandrow. Spojrzał na ręczną pompę. Jej wydajność wynosiła około czterdziestu litrów na minutę. Greczko po napełnieniu zbiorników już odjechał na południe, by nawiązać, a raczej przywrócić kontakt z Chińczykami, którzy jeszcze nie ruszyli z miejsca. I pewno nie ruszą się jeszcze z pół

godziny, jeśli pozostaną przy codziennym rytuale. Jak do tej pory ani razu od niego nie odeszli.

– Skończyłem – zameldował kierowca Aleksandrowa. Oddał wąż i zakręcił wlew zbiornika.

– Greczko, gdzie jesteś? – spytał przez radio Aleksandrow.

– Cztery kilometry na południe od was, towarzyszu kapitanie. Chińczycy dalej czekają.

Ogrodnik rozmawia przez radio.

– Doskonale. Wiesz, co masz robić, kiedy wejdą do pojazdów. Bez odbioru. – Kapitan odłożył mikrofon i oparł się o wóz. No cóż, czekały ich znowu godziny rutynowej obserwacji.

Rozdział 56

Marsz ku niebezpieczeństwu

Podpułkownik Giusti wyruszył w swym HMMWV, który był inkarnacją sędziwego dżipa. Jechał tuż za rosyjskim UAZ-em-469. Rosyjski kierowca znał drogę. Śmigłowiec Kiowa Warrior, którego widział na stacji kolejowej, leciał teraz nad nimi, nieco z przodu, a jego pilot od czasu do czasu meldował, że nie widać niczego oprócz pustej drogi i nielicznych samochodów cywilnych, którym żandarmeria kazała czekać na poboczu. Tuż za Giustim jechał Bradley z biało-czerwonym proporcem 1. szwadronu 4. pułku Kawalerii Pancerniej. Jak na stosunkowo krótką historię amerykańskiej Armii 4. pułk miał długą i chwalebłą przeszłość. Pierwszy raz walczył 30 lipca 1857 roku przeciwko Czejenom nad rzeką Solomon. Kampania syberyjska pozwoli dodać jeszcze jedną bojową wstęgę do pułkowego sztandaru... a Giusti miał wielką nadzieję, że przeżyje, aby móc samemu ją przypiąć. Okolica przypominała mu Montanę – łagodne wzgórza porośnięte sosnami.

– Kasztanek Sześć do Szabli Sześć – zaskrzeczało radio.

– Tu Szabla Sześć – zgłosił się podpułkownik Giusti.

– Jestem w punkcie kontrolnym Denver. Droga przede mną wydaje się czysta. Nie ma ruchu, nie ma śladu obecności nieprzyjaciela. Udaję się na wschód do punktu kontrolnego Dallas.

– Odebrałem. – Giusti sprawdził mapę, by dokładnie umiejscowić śmigłowiec.

A więc trzydzieści kilometrów przed nimi było czysto i, zgodnie z tym co powiedział

kapitan lecący helikopterem rozpoznania, nie było się czym martwić. Więc gdzie to się zacznie? – zastanawiał się Giusti.

W miarę zbliżania się do potencjalnie niebezpiecznego obszaru, jego ludzie będą stawali się coraz ostrożniejsi, bo, chociaż doskonale wyszkoleni, nie byli niezwyciężeni i nieśmiertelni. Amerykanie walczyli przeciwko Chińczykom tylko raz, w Korei, przed prawie sześćdziesięcioma laty, i to doświadczenie nie było satysfakcjonujące dla żadnej ze stron.

Amerykę zaskoczył niespodziewany potężny atak, zmuszając do kompromitującego odwrotu nad rzeki Jalu. Natomiast gdy Amerykanie poważnie zabrali się do roboty, Chińczycy zapłacili milionem ofiar, ponieważ siła ognia była zawsze najlepszą odpowiedzią na przewagę liczebną atakujących, a w świadomości Amerykanów mocno utkwiała lekcja z wojny secesyjnej: zawsze lepiej jest wydawać krocie na najdroższy, ale skuteczny sprzęt do zabijania, niż na grzebanie własnych żołnierzy. Nie wszyscy podzielali tę amerykańską doktrynę wojenną, ale pasowała ona do amerykańskiej potęgi gospodarczej i troski o życie swoich obywateli.

– Myślę, że nadszedł czas, by ich troszkę szturchnąć – zauważył generał Wallace podczas rozmowy satelitarnej z Waszyngtonem.

– Co proponujesz? – zapytał Mickey Moore.

– Na początek wysłałbym F-16G na stacje radarowe. Mam już dość patrzenia, jak naprowadzają swoje myśliwce na moje samoloty. Następnie zająłbym się ich zaopatrzeniem.

Jeśli zostanie utrzymane tempo dostaw, to za dwanaście godzin będę miał dość bomb, żeby pokusić się na działania zaczepne. Najwyższy czas zacząć taniec.

– Muszę to skonsultować z prezydentem, Gus – odpowiedział przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów dowódcy Sił Powietrznych na Syberii.

– Dobrze, konsultuj, ale przy okazji powiedz, że wczoraj omal nie straciliśmy AWACS-a z trzydziestoosobową załogą, a ja nie jestem w nastroju do pisania takiej sterty listów kondolencyjnych do rodzin. Dotychczas mieliśmy szczęście. Wiesz, ile kosztowała Chińczyków nieudana próba strącenia AWACS-a? Pułk myśliwców! Mam już dosyć samej obrony. Chcę zniszczyć ich stacje radarowe.

– Słuchaj, Gus. Na najwyższym szczeblu operacje ofensywne postanowiono rozpocząć w zharmonizowany sposób dla maksymalnego efektu psychologicznego. Zniszczenie paru anten radarowych to za mało.

– Nie wiem, jak to wygląda znad Potomaku, ale tu robi się nerwowo. Chińczycy nacierają w szalonym tempie. Już niedługo Rosjanie będą musieli stawić im czoło. Byłoby lepiej, gdyby wówczas żółtkom brakowało paliwa i amunicji.

– Wszystko to wiem, ale my szukamy sposobu, by zadać cios, który wstrząśnie ich kierownictwem politycznym.

– Tylko że to nie chińskie kierownictwo polityczne maszeruje na północ, żeby nas zabijać, generale. Musimy zacząć zabijać żołnierzy i lotników.

– Rozumiem to, Gus. Przedstawię twoje stanowisko prezydentowi – obiecał Moore.

– Zrób to, okay? – Wallace przerwał połączenie. Co też ci politykierzy w Waszyngtonie sobie myślą, jeśli w ogóle myślą? Miał plan i był przekonany, że jest to logiczny plan. Jego Dark Star dostarczały mu wszelkich informacji, jakich potrzebował. Wiedział, jakie cele trzeba zniszczyć i miał dość bomb, w każdym razie na początek.

– Poświęcenie naszych pilotów nie poszło jednak na marne – powiedział marszałek Luo.

– Mamy zdjęcia. Przynajmniej wiemy, co robią Rosjanie.

– A co robią? – spytał Zhang.

– Przesuwają jedną albo dwie, najprawdopodobniej dwie dywizje z punktu zbornego w Czicie na północny wschód.

– Ale nadal nic nie stoi na drodze naszych jednostek?

Luo pokręcił głową.

– Nasz zwiad nic nie zauważył, z wyjątkiem śladów gąsienic. Muszę założyć, że gdzieś w tych lasach przed nami są Rosjanie, ale jeśli nawet tak jest, są to niewielkie oddziały, które robią wszystko, żeby ich nie wykryto. Wiemy, że Rosjanie powołali rezerwistów, ale jakoś się dotąd nie pokazali. Może rezerwiści nie stawili się na wezwanie? Podobno w Rosji morale jest bardzo niskie. Tak nam donoszą różne źródła. Jeńcy, których zgarnęliśmy na pograniczu, są bardzo zawiedzeni, że nie otrzymali żadnego wsparcia. Pewno dlatego tak słabo walczyli.

Z wyjątkiem kłopotów z amerykańskim lotnictwem, wojna rozwija się dla nas bardzo pomyślnie.

– I żadnych ataków na nasze terytorium? – chciał upewnić się Zhang.

Luo pokręcił głową.

– Nie. I nie mogę twierdzić, że to dlatego, iż nas się boją. Ich myśliwce są doskonałe, ale z tego, co wiem, to nawet nie rozpoczęli zwiadu powietrznego nad naszym terytorium, Może polegają tylko na satelitach. Z pewnością są dla nich doskonałym źródłem informacji.

– A kopalnia złota?

– Dotrzemy do niej za trzydzieści sześć godzin. I wówczas będziemy mogli zacząć korzystać z dróg, które Rosjanie pobudowali do pól naftowych. Z kopalni złota do pól naftowych jest pięć do siedmiu dni, w zależności od tego, jak uda nam się zorganizować zaopatrzenie.

– Wspaniale, Luo – skomentował Zhang. – Sytuacja jest lepsza, niż mogłem sobie wyobrażać.

– Chwilami jestem zły, że Rosjanie nie stawiają oporu. Załatwilibyśmy ich w jednej bitwie i byłoby po wszystkim. A tak jak jest... Moje linie zaopatrzenia wydłużają się niebezpiecznie. Już nawet myślałem o tym, żeby im kazać zwolnić i przez to osiągnąć większą zwartość jednostek, ale...

– Ale szybkość posuwania się działa na naszą korzyść – zauważył Zhang.

– Chyba tak – zgodził się minister obrony. – Jednak każdy dowódca woli mieć jednostki zgrupowane, a nie rozproszone w terenie. Po prostu na wypadek niespodziewanego kontaktu z nieprzyjacielem. A jeśli nieprzyjaciel ucieka, to nie należy mu dać szansy na przegrupowanie, tylko trzeba go ścigać. Mam zamiar dać wolną rękę generałowi Pengowi.

– Jakie siły mogą mu się przeciwstawić?

– Nie jesteśmy tego pewni. Prawdopodobnie pułk, ale nie mamy na to żadnych dowodów.

Natomiast z flanki mogą pojawić się ze dwa pułki. Jak dotąd się nie pojawiły, ale od zachodu cały czas prowadzimy rozpoznanie.

Bondarienko miał nadzieję, że któregoś dnia pozna ludzi, którzy stworzyli amerykański bezzałogowy samolot zwiadowczy Dark Star. W historii wojen jeszcze żaden dowódca nie miał podobnej wiedzy o terenie bitwy. Bez Dark Star musiałby wysłać do walki swoje skromne siły na ślepo, nie wiedząc, na co się natkną. Ale już nie teraz. Prawdopodobnie więcej wiedział o zbliżających się chińskich formacjach, niż ich własny dowódca.

A co najważniejsze, czołowy pułk 201. Dywizji w sile 95 czołgów T-80 znajdował się zaledwie o kilka kilometrów.

265. DPZmot czekała na wsparcie, a jej dowódca, Jurij Sziniawski rozpowiadał głośno, że już ma dosyć umykania. Zawodowy oficer był nieustannie klnącym i palącym cygara mężczyzną w wieku czterdziestu sześciu lat. Stał teraz w sztabie Bondarienki, pochylony nad mapą.

– Tu jest moja pozycja, Giennadiju Josifowiczu. – Palcem postulał w mapę. Było to dokładnie pięć kilometrów na północ od wzgórz zwanych Żłotymi Górami Fomina. – Czołgi Dwieście Pierwszej dajcie na moje prawe skrzydło. Kiedy zatrzymamy ich wysunięte oddziały, czołgi uderzą od zachodu.

– Zwiad informuje, że ich prowadząca dywizja jest trochę zbyt rozciągnięta – powiedział

Bondarienko.

Ten błąd popełniały wszystkie armie na świecie. Prawdziwie ostrymi zębami każdej formacji polowej jest artyleria, ale nawet samobieżna artyleria ma trudności z nadążaniem za czołgami i transporterami opancerzonymi. Amerykanie byli bardzo zdziwieni w Zatoce Perskiej, kiedy stwierdzili, że ich artyleria ledwo nadąża za czołgami, i to na płaskim terenie.

Chińska armia miała część artylerii samobieżnej, ale sporo też holowanej przez ciężarówki.

Ta ostatnia nie przemieszczała się tak łatwo w terenie, jak samobieżna.

Generał Diggs obserwował dyskusję między Bondarienką a Sziniawskim, lecz wiele nie rozumiał ze swoją tylko podstawową znajomością języka rosyjskiego. Sziniawski nie mówił

w ogóle po angielsku, co przeciągało proces decyzyjny.

– Rozciągnięci czy nie rozciągnięci, z artylerią czy bez, nadal będzie pan miał sporą siłę przeciwko sobie – powiedział do Sziniawskiego Diggs i czekał, aż tłumacz przełoży to na rosyjski.

– Jeśli nie uda się nam całkowicie ich zatrzymać, to przynajmniej rozkwasimy im nos –

padła odpowiedź po dłuższej chwili.

– W każdym razie niech pan nie straci mobilności – poradził Diggs. – Gdybym był

generałem Pengiem, to skręciłbym na wschód. I wtedy spróbowałbym podejść pana od lewej.

– Zobaczmy, czy Chińczycy zdolni są do takiego manewru – odpowiedział Bondarienko za swojego podwładnego. – Dotychczas pokazali tylko, że potrafią iść prosto przed siebie. A poza tym wydaje mi się, że poczuli się zbyt pewnie. Patrz, jak są rozciągnięci w terenie. Ich jednostki są zbyt daleko jedna od drugiej, by móc sobie udzielać nawzajem wsparcia. Myślę, że Jurij wybrał dobre miejsce.

– Zgadza się, że teren wybrał dobry, ale niech się go nie trzyma za wszelką cenę – ostrzegł Diggs.

Bondarienko przetłumaczył to swojemu podwładnemu, który odpowiedział, nie wyjmując cygara z ust.

– Jurij się z tym zgadza. To jest dobre miejsce do sprawienia komuś lania, ale nie spędzenia tam miodowego miesiąca. Kiedy wracasz do swojej kwatery? – spytał Bondarienko Diggsa.

– Mój śmigłowiec już tu leci. Myślę, że z Chińczykami spotkamy się za jakieś półtora dnia.

Diggs i Bondarienko przedyskutowali już w szczegółach amerykański plan natarcia.

Amerykańska 1. Dywizja Kawalerii Pancерnej miała przygotować się do wyruszenia w okolicach Biełogorska, zaopatrując się w paliwo w ostatnim wielkim rosyjskim magazynie, a następnie zaatakować chiński przyczółek nad Amurem. Wywiad informował, że znajduje się tam teraz chińska 65. Armia. Pośpiesznie robi też umocnienia, aby zabezpieczyć lewy skraj przyczółka, którym Chińczycy wdarli się na Syberię. Armia strzegąca przyczółka nie była wielka, niemniej stanowiła sporą siłę, jak na jedną dywizję amerykańską. Jednakże Chińczycy popełnili podstawowy błąd, wysyłając na północ wszystkie swoje zmechanizowane i opancerzone jednostki. To, co pozostawili 65. Armii, to była piechota, w najlepszym wypadku zmotoryzowana, ale na pojazdach kołowych, a nie gąsienicowych. W większości była to zwykła piechota, która mogła liczyć tylko na swoje nogi.

Tyle że tych piechurów jest cholernie dużo, pomyślał Diggs.

Nim się obrócił, by wyjść, generał Sziniawski wyjął z tylnej kieszeni piersiówkę.

– Wypijmy za powodzenie – wyjąkał łamaną angielszczyzną.

– Dlaczego nie? – odparł Diggs i pociągnął łyk. Trunek był całkiem niezły. – Jak załatwimy to, co mamy do załatwienia, znowu się napijemy – obiecał.

– *Da* – odparł Sziniawski. – Powodzenia, Diggs.

– Trzymaj się, Marion – powiedział Bondarienko. – I uważaj na siebie.

– Ty też, Giennadij. Masz już dosyć medali. Nie daj sobie odstrzelić tyłka, usiłując zarobić na jeszcze jeden.

– Masz racje, generałowie powinni umierać w łózkach – zgodził się Bondarienko. Diggs podszedł do UH-60. Pilotował pułkownik Boyle. Generał włożył kask ochronny i usiadł za pilotami na

rozkładanym siedzeniu.

– Jak nam idzie, sir? – spytał Boyle.

– Mamy plan, Dick. Pytanie czy nam wyjdzie.

– Jestem w nim przewidziany?

– Twoje Apache będą miały dużo roboty.

– Co za niespodzianka!

– Twoi ludzie są gotowi?

– Tak – odparł krótko Boyle.

– Okay, Mickey – powiedział Robby Jackson. – Rozumiem stanowisko Gusa, ale musimy myśleć globalnie.

Znajdowali się w Sali Sytuacyjnej Białego Domu, patrząc na przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów, który spoglądał na nich z ekranu telewizyjnego. Fizycznie przebywał w Pentagonie, w pomieszczeniu zwanym Czołgiem. Może dlatego trudno było dobrze zrozumieć, co on tam sobie mruczy, ale wyraz twarzy wystarczył, by wiedzieli, co sądzi o uwadze Jacksona...

– Generale... – zaczął Ryan. – Nasza koncepcja polega na mocnym potrząśnięciu ich kierownictwem politycznym. Aby to osiągnąć, trzeba jednocześnie uderzyć w wielu miejscach, w zbyt wielu, aby mogli sobie z tym poradzić.

– Zgadzam się w pełni z tą koncepcją, sir – odparł generał Moore – ale generał Wallace też ma rację i poruszył bardzo ważny aspekt zniszczenia ich systemu radarowego. Proszę pamiętać, że Chińczycy mają naprawdę potężne lotnictwo, choć nieźle się nim zaopiekowaliśmy.

– Mickey, gdybyś w Missisipi tak zaopiekował się dziewczyną, byłbyś oskarżony o gwałt

– zauważył wiceprezydent Jackson. – Kiedy ich piloci patrzą teraz na swoje samoloty, widzą trumny. Musieli zupełnie stracić pewność siebie i jakąkolwiek wiarę w powodzenie. A pilot bez wiary jest niczym. Wierz mi...

– Ale Gus...

– Gus zbyt martwi się o swoich ludzi i maszyny. Dobrze, niech wyśle kilka F-16

przeciwko ich radarom, ale niech nie marnuje Świnek, bo je potrzebujemy na siły lądowe.

Po raz pierwszy w życiu generał Mickey Moore żałował, że Ryan wybrał Jacksona na wiceprezydenta. Robby myślał bardziej jako polityk niż operacyjny dowódca. Mniej dbał o bezpieczeństwo amerykańskich jednostek niż o...

...niż o strategiczny cel, poprawił się w myślach Moore. I biorąc wszystko pod uwagę, nie było to całkowicie złe myślenie, prawda? Jackson był jeszcze niedawno dobrym strategiem.

Amerykańscy dowódcy już nie myśleli o swoich ludziach jak o mięsie armatnim. I bardzo dobrze, ale czasami trzeba było narazić ludzi na niebezpieczeństwo, no i wtedy niektórzy już nigdy nie wracali do domów. Za to im płacono, podobało się to czy nie. Jackson był pilotem myśliwskim lotnictwa Marynarki i nie utracił agresywnego stylu działania, pomimo swej nowej funkcji i odpowiedniej do niej płacy.

– Jaki mam przekazać rozkaz generałowi Wallace’owi, sir?

– Cholerny Cecil B. DeMille i jego studio filmowe – prychnął Mancuso.

– Nie miałbyś ochoty kazać rozstąpić się Morzu Czerwonemu? – spytał generał Lahr.

– Nie jestem bogiem – mruknął CINCPAC.

– Mamy do tego większość potrzebnych klocków – zauważył jego J-2.

– To jest polityczna operacja. A my kim jesteśmy? Cholerną grupą fokusową⁸³?

– Sir, będzie pan dalej narzekał, czy też zajmiemy się planowaniem?

Mancuso żałował, że nie ma sycylijskiej dubeltówki *lupara*, z pomocą której wywaliłby dziurę w ścianie lub w piersi Lahra. Był jednak oficerem i właśnie otrzymał rozkazy od swego naczelnego dowódcy.

– Już dobrze. Po prostu nie znoszę, jak ktoś planuje moje operacje.

– Poza tym dobrze pan zna tego kogoś.

– Mike, kiedyś, kiedy na rękawie miałem trzy paski i dowodziłem okrętem podwodnym, Ryan i ja pomogliśmy w kradzieży rosyjskiego okrętu podwodnego, a jeśli to komukolwiek powtórzysz, to każę chłopakowi z piechoty morskiej odstrzelić ci tyłek. Zatopić kilka ich okrętów, pięknie. Strącić kilka ich samolotów, równie pięknie. Ale „demonstrować obecność w zasięgu obserwacji wzrokowej nieprzyjaciela”?! Niech to jasna cholera!

- Cześć, Tony – odezwał się głos w słuchawce. Bretano rozpoznał go dopiero po sekundzie.
- Gdzie jesteś, Al? – zapytał sekretarz obrony.
- W Norfolk. Nie wiedziałeś, że jestem na USS „Gettysburg” i wprowadzam nowe oprogramowanie do ich wyrzutni przeciwlotniczych? Przecież to był twój pomysł, prawda?
- Chyba tak – odparł po namyśle Tony Bretano.
- Wygląda na to, że już od dawna wiedzieliście o chińskich planach.
- Prawdę powiedziawszy, to... – Sekretarz obrony na chwilę zamilkł. – Co masz na myśli?
- Mam na myśli to, że jeśli komuchy z Pekinu wypuszczą na nas międzykontynentalną rakietę balistyczną, to system Aegis powinien rzeczywiście uratować nam tyłki, pod warunkiem, że symulacje komputerowe sprawdzą się w rzeczywistości. Powinny, bo to ja napisałem prawie cały program – ciągnął Gregory.

Sekretarz Bretano nie miał ochoty przyznać się, iż tak naprawdę to nie pomyślał o ewentualności wystrzelenia przez Chińczyków międzykontynentalnych rakiet balistycznych.

A powinien był o tym pomyśleć. Płacono mu za to, by przewidywał takie rzeczy.

- W jakiej jesteście fazie?
- Jeżeli chodzi o elektronikę, jesteśmy gotowi, ale nie mamy jeszcze rakiet na pokładzie.

Są podobno składowane gdzieś w górze rzeki York. Kiedy je tu ściągną, będę mógł zainstalować program w głowicach naprowadzających. Jedyne rakiety, jakie mam na 83 *Grupa ludzi, wyselekcjonowana w celu zebrania reprezentatywnej opinii, zwłaszcza w badaniach marketingowych (przyp. red.)*

pokładzie i z którymi mogę się bawić, to te niebieskie, ćwiczebne. Dopiero teraz się tego dowiedziałem. Okręt jest teraz w pływającym suchym doku. Za kilka godzin mają nas spuścić do wody. – Dobrze, że nie mógł teraz widzieć wyrazu twarzy swego byłego szefa.

- Ufasz swoim systemom?
- No cóż, pełna próba z udziałem rakiet bojowych byłaby mile widziana, ale w zasadzie ufam. Myślę, że się uda, jeśli na początek wyślemy od razu trzy lub cztery rakiety.
- To dobrze. Dziękuję, Al.
- Przy okazji, jak nam idzie wojna? W telewizji widzę tylko, jak nasi lotnicy polują na kaczki po

pekińsku.

– Telewizja nie kłamie, ale nie mogę o tym mówić przez telefon. Jeszcze do ciebie zadzwonię, Al. Cześć.

– Do usłyszenia, sir.

Bretano nacisnął inny guzik na aparacie.

– Proszę ściągnąć tu admirała Seatona – powiedział do sekretarki.

Admirał zjawił się bardzo szybko.

– Słucham, panie sekretarzu – powiedział od wejścia szef operacji morskich.

– Admirale, w Norfolk jest mój były pracownik z TWR. Ja go tam wysłałem. Zleciłem mu wprowadzenie ulepszonych oprogramowania do systemu Aegis, żeby mógł naprowadzać przeciwrakiety na cele balistyczne.

– Coś na ten temat słyszałem – odparł Seaton. – Jak mu idzie?

– Powiedział, że jest gotów do próby generalnej. Niech pan mi powie, admirale, co możemy zrobić, jeśli Chińczycy wystrzelą rakiety CSS-4?

– Niewiele – przyznał Seaton.

– Może byśmy więc zacumowali kilka jednostek z Aegis w okolicach potencjalnych celów?

– System Aegis nie został stworzony z myślą o zestrzeliwaniu rakiet międzykontynentalnych, nie przeprowadziliśmy jeszcze testów i...

– Ale to byłoby lepsze, niż nic? – zapytał admirała sekretarz obrony.

– Z pewnością.

– No to do roboty.

– *Aye aye*, sir – odparł admirał, prostując się.

– Najpierw wyślijcie USS „Gettysburg” – rozkazał Bretano.

– Natychmiast wydam polecenia – odparł Dave Seaton.

Gregory doszedł do wniosku, że to najdziwniejszy widok, jaki zdarzyło mu się oglądać w życiu. „Gettysburg”, niezbyt wielki okręt, mniejszy niż statek pasażerski, którym z Candi odbyli minionej zimy rejs po Karaibach, ale niemniej okręt mogący żeglować po oceanach, znajdował się w...

windzie. Bo w końcu tym jest suchy pływający dok. Właśnie teraz spuszczano okręt na wodę, zatapiając komory doku, żeby sprawdzić, jak działa nowa śruba.

Marynarze i robotnicy, którzy pracowali w suchym doku, spoglądali z góry ze swoich żerdzi, no bo jak właściwie inaczej nazwać wąziutkie kładeczki na bocznych ścianach doku.

– Niesamowite, prawda, sir?

Gregory poczuł zapach gryzącego tytoniowego dymu.

To pewno starszy bosman sztabowy. Obejrzał się. Tak, to był Leek.

– Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem – przyznał Gregory.

– Niewielu to widzi oprócz tych, którzy obsługują dok. Miał pan okazję przespacerować się pod okrętem?

– Pod dziesięćmioma tysiącami ton stali?! Nie, nie miałem ochoty – odparł Gregory.

– Ten okręt to właściwie nic wielkiego, ale pod kadłubem jest kilka interesujących rzeczy

– kontynuował rozmowę Leek. – Na przykład obudowa sonaru dziobowego. Gdybym nie był radarowcem, to bym pewno został sonarzystą.

Gregory spojrział w dół. Na stalowym dnie doku pojawiła się woda.

– Bacność! – rozległa się komenda. Marynarze obrócili się i zasalutowali. Gregory obejrzał się i zobaczył Boba Blandy’ego, dowódcę USS „Gettysburg”. Gregory spotkał go tylko raz.

– Dzień dobry, doktorze Gregory.

– Witam pana, komandorze. Podali sobie ręce.

– Jak postępuje praca? – spytał Bob Blandy.

– Próby symulacyjne poszły dobrze. Chciałbym to teraz sprawdzić na prawdziwym celu.

– Przysłał nam pana sekretarz obrony, tak?

– Niezupełnie, ale sekretarz obrony dzwonił do mnie, żeby zapoznać się z technicznymi aspektami całego zagadnienia. Pracowałem dla niego, kiedy był prezesem TWR.

– Jest pan specjalistą od Wojen Gwiezdnych?

– I od obrony przeciwlotniczej. I innych rzeczy. Jestem ekspertem od problemów optyki stosowanej jeszcze od czasów SDI.

– Co to jest optyka stosowana? – spytał Blandy.

– Nazywaliśmy to gumowym lustrem. Stosuje się komputerowo kontrolowane siłowniki do uginania lustrzanych powierzchni w celu skompensowania dystorsji atmosferycznych.

Celem było kierowanie strumieniem energii... Ale nam nie wyszło. Gumowe lustro, owszem, funkcjonowało, ale z nieznanym nam powodem laserowy promień nie chciał zrobić tego, czego od niego oczekiwaliśmy. Nie osiągał potrzebnej energii, żeby unieszkodliwić raketę. –

Gregory ponownie spojrzął w głąb suchego doku. Pomyślał sobie, że bardzo długo trwa opuszczanie na wodę okrętu. No, ale musieli być cholernie ostrożni, żeby nie upuścić tak cennego przedmiotu. – Wówczas aktywnie w tym nie uczestniczyłem – kontynuował. – Ale trochę kibicowałem. Technicznie problem okazał się ponad siły. Waliliśmy łbami w ściany, aż znudziliśmy się pustym dźwiękiem.

– Znam się trochę na mechanice i elektryce, ale nie na wiązkach wysokoenergetycznych.

Co pan sądzi o naszym systemie Aegis?

– Radar *Cobra Dane* jest rewelacyjny. Nawet lepszy od tego, który Siły Powietrzne mają w Shemya na Aleutach. Gdybyście chcieli, możecie złapać odbicia nawet od Księżyca.

– Takich zasięgów nie praktykujemy – zauważył Blandy. – Bosman Leek dobrze się panem opiekuje?

– Kiedy opuści Marynarkę, to znajdziemy dla niego miejsce w TWR. Pracujemy tam nad nowym programem obrony przeciwlotniczej.

– A porucznik Olson? – spytał dowódca USS „Gettysburg”.

– Bardzo zdolny młody oficer. Niejedna firma chętnie by go zaangażowała. – Wadą Gregory’ego była nadmierna szczerłość, jeśli szczerłość można zaliczać do wad.

– Wolałbym, żeby mu pan tego nie mówił... – zaczął komandor, ale przerwał, bo podbiegł marynarz, zasalutował i podał kartkę na plastikowej podkładce.

– Depesza od dowódcy floty, sir.

Blandy pokwitował odbiór depeszy na kopii i w skupieniu, ze zmarszczonym czołem, przeczytał otrzymany tekst. Podniósł głowę i wpił wzrok w Gregoryego.

– Czy sekretarz obrony wie, co pan tu majstruje? – spytał.

– Tak, panie komandorze. Rozmawiałem z Tonym przed paroma minutami.

– I co pan mu, do cholery, powiedział?

– Nic takiego. – Gregory wzruszył ramionami. – Że nieźle nam idzie.

– Jak sprzęt? – zwrócił się do Leeka Blandy.

– Sto procent gotowości, panie komandorze. Szykuje się robota, sir?

– Na to wygląda. Wybacz mi pan, doktorze Gregory, muszę porozmawiać z oficerami.

Leek, wkrótce odpływamy. Jeśli jacyś ludzie są na łodzi, to ich ściągnij na pokład.

– Tak jest, sir.

Komandor odpowiedział na salut i odszedł szybkim krokiem.

– Co się dzieje? – zapytał Gregory Leeka.

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

– A co ze mną, bosmanie? Mam z wami płynąć?

– Chyba tak. Niech pan sobie kupi szczoteczkę do zębów. Są w okrętowej kantine.

Muszę dopilnować paru spraw, przepraszam.

Leek wyrzucił za burtę niedopałek papierosa i ruszył w ślad za komandorem. Gregory nie mógł zejść z okrętu, chyba że skoczyłby na dno wypełnianego wodą pływającego doku, ale to nie wyglądało na rozsądny wybór. Wzruszył ramionami i poszedł w kierunku kantyny, gdzie kupił szczoteczkę do zębów i parę innych drobiazgów.

Następne trzy godziny Bondarienko spędził z generałem Sziniawskim, omawiając drogi podejścia i plany ostrzału.

– Mają radary artyleryjskie, Jurij.

– Czy możemy spodziewać się pomocy ze strony Amerykanów?

– Pracuję nad tym. Dostałem wspaniałe materiały z ich bezzałogowych samolotów zwiadowczych Dark Star.

– Muszę znać dyslokację ich artylerii raketowej. Gdybyśmy się o tym dowiedzieli od Amerykanów, miałbym łatwiejsze zadanie.

– Tołkunow! – wykrzyknął Bondarienko wystarczająco głośno, by jego zastępca do spraw wywiadu natychmiast przybiegł.

– Melduję się, towarzyszu generale!

– Władimirze Konstantynowiczu, będziemy na nich czekali tutaj. – Bondarienko wskazał

czerwoną linię na mapie. – Chcę mieć ciągłe informacje na temat zbliżających się chińskich formacji, a zwłaszcza artylerii.

– Będę je miał. Pierwsze za dziesięć minut. – Pułkownik zniknął i pobiegł w kierunku terminalu Dark Star.

Bondarienko przez chwilę się zastanawiał, a potem skinął palcem na Sziniawskiego.

– Choć ze mną, Jurij, musisz to zobaczyć.

– Dzień dobry, panie generale – powitał Bondarienkę major Tucker. Zobaczył drugiego generała, skinął mu głową i zaprosił do środka.

– To jest generał Sziniawski – dokonał prezentacji Bondarienko. – Dowodzi 265.

DPZmot. Mech pan będzie łaskaw, majorze, pokazać mu pozycje Chińczyków. – Nie była to prośba, ale sformułowany bardzo grzecznie rozkaz.

– Już pokazuję. Proszę, mamy wszystko nagrane na taśmie... – Włączył magnetowid. –

Ich jednostki rozpoznania są... tutaj. A ich przednie formacje bojowe tutaj.

– *Cziort pabieri!* – zaklął Sziniawski. – Czysta magia!

– To nie magia, to... – Bondarienko przeszedł na angielski: – Jaka gwiazda teraz pracuje?

– „Grace Kelly”. Za jakąś godzinę zajdzie słońce i przejdziemy na podczerwień. Tutaj widać batalion czołgów, chyba T-90. Posuwają się zwartą formacją. Tankowali mniej więcej przed godziną, więc w zbiornikach mają paliwa na jakieś dwieście kilometrów, nim będą musieli ponownie się zatrzymać.

– A ich artyleria?

– Wlecze się z tyłu, z wyjątkiem baterii dział samobieżnych. – Tucker zrobił kilka ruchów myszą i na ekranie pojawił się inny obraz.

– Giennadiju Josifowiczu, z takimi informacjami nie może mi się nie udać – powiedział

dowódca dywizji. – Czy Chińczycy nie widzą waszego samolociku? – spytał z niedowierzaniem w głosie.

– Jest niewidoczny na radarach.

– *Mołodcy!*

– Sir, mam bezpośrednie łącze ze sztabem w Żygańsku. Skoro ma pan zamiar wydać im bitwę, czego potrzebowałby pan od nas? – spytał Tucker. – Mogę przekazać życzenia generałowi Wallace’owi.

– Mam trzydzieści szturmowców Su-25 i pięćdziesiąt bombowców Su-24. Czekają w pogotowiu. Oprócz tego dwieście śmigłowców Mi-24. – Ściągnięcie ich wszystkich trwało niezwykle długo, ale wreszcie się udało. Dotychczas nie pozwolił ani jednej maszynie pokazać się w pobliżu obszaru zajmowanego przez Chińczyków. Wszystkie czekały dwieście kilometrów na zachód, uzbrojone, z pełnymi zbiornikami, a ich załogi bez przerwy się doskonaliły, dokonując ćwiczebnych lotów i wprawiając się w strzelaniu ostrą amunicją. Dla wielu pilotów była to pierwsza w ich życiu ostra amunicja.

– Myślę, że nasi chińscy goście bardzo się zdziwią. – Tucker zagwizdał z podziwem. –

Gdzie wyście je schowali? Pojęcia nie miałem, generale, że macie je w okolicy.

– Mamy kilka kryjówek. Chcemy godnie powitać naszych gości. Kiedy nadejdzie czas – odpowiedział Giennadij Josifowicz młodemu oficerowi amerykańskiemu.

– Czego potrzebujecie od nas? – ponownie spytał Tucker.

– Zniszczcie ich linie zaopatrzenia. Może do tego celu wykorzystacie te wasze Świnki, o których rozmawiał pan z pułkownikiem Tołkunowem.

– Prawdopodobnie będziemy mogli to zrobić – odpowiedział major Tucker. – Zaraz połączę się z generałem Wallace’em.

– Więc spuszczają mnie ze smyczy? – spytał Wallace.

– Z chwilą, gdy dojdzie do kontaktu między Rosjanami i Chińczykami. – Następnie generał Moore podał przewidziane cele. – Większość z nich to jest właśnie to, w co chciałeś uderzyć, Gus – dokończył.

– Chyba tak – dość niechętnie przyznał dowódca Sił Powietrznych na Syberii. – A jeśli Rosjanie poproszą o pomoc?

– To im jej udzielisz. W granicach rozsądku.

– Tak jest, sir.

Podpułkownik Giusti wysiadł ze śmigłowca na lądowisku obok składu paliwa i poszedł w kierunku generała Diggsa.

– Rosjanie nie żartowali – mówił właśnie pułkownik Masterman. – To całe pieprzone jezioro. Miliard dwieście pięćdziesiąt milionów litrów. Wszystko olej napędowy Numer Dwa albo coś bardzo podobnego, tak że wtryski czołgów i Bradleyów nie zauważą nawet różnicy.

Główny dyspozytor składu, cywil, powiedział Amerykanom, że to paliwo czeka na nich od prawie czterdziestu lat, od kiedy Chruszczow posprzeczał się z przewodniczącym Mao i zaistniała groźba wojny

jednego

państwa

komunistycznego

z

drugim.

Rzecz

nieprawdopodobna stała się jak najbardziej możliwa. Ten skład był rezultatem albo głębokiego przemyślenia sytuacji albo urojeń i paranoicznego lęku. Tak czy inaczej, przydał

się teraz 1. Dywizji Kawalerii Pancерnej.

Urządzenia pompownicze mogłyby być lepsze, ale Rosjanie nie mieli najwidoczniej większego doświadczenia w budowaniu stacji benzynowych. Praktyczniejsze okazało się przepompowywanie paliwa do dywizyjnych przyczep z niewielkimi cysternami, a potem rozwożenie go do poszczególnych pojazdów.

– Okay, Mitch, co wiemy o nieprzyjacielu? – zapytał Diggs swego oficera wywiadu.

– Mamy Dark Star z kamerami właśnie wycelowanymi na nas i tak będzie przez najbliższe dziewięć godzin. Mamy naprzeciwko nas jedną chińską dywizję piechoty. Są o czterdzieści kilometrów w tamtym kierunku. Obsadzili linię tych wzgórz. Wspiera ich pułk czołgów.

– Artyleria?

– Lekka i średniego zasięgu. Żadnych dział samobieżnych. Właśnie ją odprzodkowują.

Mają radary artyleryjskie – ostrzegł pułkownik Turner. – Już poprosiłem generała Wallace’a o wyznaczenie na nasz odcinek kilku F-16 uzbrojonych w HARM-y. Będą mogli dostroić głowice naprowadzające do milimetrowego pasma, z którego korzystają chińskie radary.

– Niech to zrobią.

– Tak jest, sir.

– Duke, kiedy dojdzie do kontaktu? – Diggs spytał z kolei oficera operacyjnego.

– Jeśli zachowamy harmonogram, to około drugiej w nocy.

– Okay. Teraz odprawa dla dowódców brygad. Zaraz po północy zaczyna się zabawa. –

Nie wstydził się tego sformułowania. Był żołnierzem, za niewiele godzin miała rozpocząć się bitwa. W takich momentach myślenie humanitarne schodzi na plan dalszy.

Rozdział 57

Hiperwojna

Dla załogi USS „Tucson” był to raczej nudny okres. Okręt od szesnastu dni tkwił pod wodą w odległości ośmiu mil morskich od dwu chińskich jednostek. Pierwszą był „406”, okręt podwodny klasy Xia z raketami balistycznymi, drugą podwodny okręt myśliwski o napędzie atomowym o nazwie „Hai Long”. Jednak dla sonarzystów „Tucsona” „Hai Long”

był Sierrą-12, zaś „406” otrzymał kryptonim Sierra-11.

Śledzenie obu jednostek nie przedstawiało większych trudności – miały bardzo hałaśliwe reaktory, zwłaszcza pompy pierwotnego układu chłodzenia. Ten hałas oraz generatory pracujące z częstotliwością 60 herców były odpowiedzialne za dwie pary jaskrawych linii, pojawiających się na ekranie sonaru. Umiejscowienie obu jednostek było równie łatwe, jak zauważenie dwóch słoni na pustym parkingu marketu w samo południe bezchmurnego dnia.

Niemniej było to bardziej interesujące, niż śledzenie wielorybów na Północnym Pacyfiku, co, na rozkaz dowództwa, ostatnimi czasy robiły niektóre załogi, by ukontentować ekologów.

Ostatnio załoga okrętu podwodnego USS „Tucson” już się nie nudziła. Dwukrotnie w ciągu dnia okręt wynurzał się na peryskopową, a załoga, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, dowiedziała się, że na Syberii jednostki amerykańskie i chińskie zaczęły do siebie strzelać.

Załoga wyciągnęła z tego słuszny wniosek, że kto wie, czy „406” nie przyjdzie zniknąć. I że doprowadzenie do jego zniknięcia przypadnie USS „Tucson”. Nie byłaby to zabawa, ale za to im płacono. I przynajmniej mieliby jakieś pożyteczne zajęcie.

„406” miał na pokładzie rakiety balistyczne wystrzeliwane spod wody – dwanaście Ju Lang-1 CSS-N3, każda z jednomegatonową głowicą. Wywiad donosił, że zasięg tych rakiet –

Ju Lang znaczy tyle co „Wielka Fala” – wynosi niespełna trzy tysiące kilometrów, co było ponad dwa razy mniej, niż potrzeba na wyekspediowanie ich do Kalifornii, chociaż dosięgłyby Guam, także terytorium amerykańskiego. Nie było to jednak istotne. Istotne było to, że zarówno „406”, jak i „Hai Long” były okrętami wojennymi, należącymi do państwa, które znajdowało się w stanie wojny ze Stanami Zjednoczonymi.

Radiostacja na USS „Tucson” korzystała z anteny holowanej. Antena w tej pozycji potrafiła odebrać sygnał z potężnego systemu antenowego w Michigan, wykorzystującego skrajnie niskie częstotliwości. Ekolodzy narzekali, że promieniowanie anteny nadajnika dezorientuje migrujące na jesieni dzikie gęsi, ale jak dotąd myśliwi nie informowali, że wracają z polowania z lżejszymi torbami, więc mimo zażaleń radiostacja nadal funkcjonowała. Zbudowana pierwotnie do utrzymywania łączności z amerykańskimi okrętami strategicznymi, obecnie służyła łączności z jednostkami klasy Los Angeles, które nadal pozostawały w służbie.

Do: USS Tucson (SSN-770)

Od: Dowódca Floty Pacyfiku

- 1. Po otrzymaniu sygnału „PRZEP OPSPEC” przystąpicie do akcji i zniszczycie okręt strategiczny ChRL i każdy inny okręt ChRL z którym wejdziecie w kontakt.*
- 2. Zameldujecie o rezultatach akcji via SSIX.*
- 3. Po zakończeniu zleconej operacji prowadźcie dalsze operacje przeciwko jednostkom ChRL*
- 4. Nie prowadzić akcji powtarzam nie prowadzić akcji przeciwko żadnym jednostkom handlowym.*

Dowódca Floty Pacyfiku

Koniec wiadomości

– Najwyższy czas – powiedział komandor do pierwszego oficera.

– Ale nie wiem, kiedy przyślą hasło – zauważył zastępca.

– Myślę, że za jakieś dwie godziny – odparł komandor. – Podejźmy na dziewięć tysięcy metrów. Przygotuj ludzi, każ sprawdzić wszystkie systemy.

– Tak jest, sir.

– Kręci się tu jeszcze ktoś w pobliżu?

– Chińska fregata na północy. Około trzydziestu mil morskich od nas.

– Dobrze, kiedy załatwimy oba okręty podwodne, odpalimy Harpoona. A potem, jeśli zajdzie potrzeba, poprawimy z bliska.

– Tak jest. – Pierwszy oficer poszedł do Centrum Informacji Bojowej. Po drodze spojrzał

na zegarek. Na górze jest jeszcze ciemno. Dla ludzi w zanurzonej okręcie podwodnym nie robiło to żadnej różnicy, ale w nocy wszyscy czuli się jakoś bezpieczniejsi. Nawet pierwszy oficer.

Napięcie nieco wzrosło. Oddział rozpoznawczy Giustiego znajdował się trzydzieści kilometrów od przewidywanych pozycji chińskich. Czyli już w zasięgu artylerii wroga.

Pierwszym zadaniem było nawiązanie kontaktu bojowego i znalezienie luki między chińskimi jednostkami, którą dywizja mogłaby wykorzystać. Po przełamaniu obrony oddziały amerykańskie miały kontynuować natarcie na przyczółek nad Amurem. Podpułkownik Giusti układał sobie w głowie plan: najpierw zniszczą chińskie składy materiałów pędnych, a potem ruszą na północ, uderzając na Chińczyków od tyłu dwiema brygadami, pozostawiając trzecią jako zaporę w poprzek chińskich linii zaopatrzeniowych.

Wszyscy żołnierze Giustiego byli „uszminkowani”, jak to żartobliwie nazywano – mieli twarze pomalowane farbami maskującymi jasne miejsca na twarzy i rozjaśniającymi ciemne.

Rozpoznanie jechało Bradleyami, a kierowcy polegali jedynie na noktowizorach. Czasami załogi będą musiały opuszczać pojazdy i w związku z tym wszyscy sprawdzali stan gogli noktowizyjnych PVS-II. Każdy żołnierz miał trzy komplety baterii typu AA, które były równie ważne jak pełne zapasowe magazynki do ich karabinów M-16. W drodze większość ludzi jadła racje polowe i popijała je wodą, często dodając aspirynę lub Tylenol, aby pozbyć się pomniejszych dolegliwości i bólu, jaki mogły spowodować wstrząsy pojazdów w terenie.

Często spoglądali jeden na drugiego i opowiadali sobie dowcipy, żeby pozbyć się stresu wywołanego sytuacją. Sierżanci i młodszy oficerowie przypominali żołnierzom o ich wyszkoleniu.

Na radiową komendę Bradleye ruszyły, prowadząc czołgi Abrams w kierunku pozycji nieprzyjaciela. Początkowo prędkość wynosiła około dwudziestu kilometrów na godzinę.

Wszystkie szesnaście śmigłowców było w powietrzu. Zachowywały maksymalną ostrożność, ponieważ ich opancerzenie chroniło jedynie przed bronią strzelecką. Każdy pocisk z głowicą termolokacyjną zmiotłby je z nieba w okamgnieniu. Nieprzyjaciel miał także lekkie działka przeciwlotnicze, równie śmiertelne dla helikopterów, jak rakiety.

Śmigłowce Kiowa Warrior OH-58D były wyposażone w dobry system noktowizyjny i podczas szkolenia piloci nauczyli się mu ufać, ale długotrwałe szkolenie budzi fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Załogi wiedziały na szczęście, że na ziemi są ludzie uzbrojeni po zęby.

Terminal Dark Star znajdował się także w sztabie Pierwszej Pancerniej i był obsługiwany przez kapitana Sił Powietrznych. Diggs nie był zadowolony, że znajduje się na tyłach wraz ze swoim sztabem i że jest tu aż tak bezpieczny, ale zdawał sobie sprawę, że dowodzenie różni się od prowadzenia ludzi do natarcia. Nauczył się tego przed laty w Fort Leavenworth w Szkole Oficerów Sztabowych. W praktyce doświadczył tego w Arabii Saudyjskiej zaledwie przed rokiem. Mimo to czuł, że powinien być blisko swoich ludzi i dzielić z nimi wszystkie niebezpieczeństwa.

Rozum

mu

jednak

podpowiadał,

że

najlepszym

sposobem

zminimalizowania tych niebezpieczeństw jest właśnie jego obecność w sztabie i sprawne kierowanie operacją wraz z pułkownikiem Mastermanem.

– Kuchnie polowe? – spytał Masterman.

– Tak – odpowiedział kapitan Sił Powietrznych Frank Williams. – A te jaśniejsze to ogniska obozowe. Noc jest chłodna. Temperatura ziemi dziesięć stopni Celsjusza, powietrza siedem. Dobre kontrasty. Oni mają takie piecyki, jakich używaliśmy na obozach skautów. Od cholery tych żółtków.

– Jakaś przerwa w linii obrony?

– Tutaj jest ich mniej, między tymi dwoma wzgórzami, na których stacjonują dwie kompanie piechoty. Chyba należą do innych batalionów.

Przerwa między nimi wynosi nieco ponad kilometr, ale w dole płynie strumień.

– Bradleyom nie przeszkadza trochę wody – powiedział Diggs. – Duke, co o tym sądzisz?

– Dotychczas nie zauważyłem lepszego miejsca, żeby się wdrzeć. Dasz to do roboty Angelo?

Diggs chwilę się zastanawiał. Przydzielenie zadania Giustiemu oznaczało pozbycie się pancерnej osłony, a tym samym zaangażowanie co najmniej jednej brygady. No, ale generałowie byli właśnie od podejmowania podobnych decyzji. – Co jeszcze mamy?

– Tu jest chyba dowództwo pułku. Tak sędzę po namiotach i ciężarówkach.

Przypuszczam, że od tego miejsca rozpoczniemy ostrzał artyleryjski.

– Równocześnie z natarciem Giustiego – zaproponował Masterman. – Nie ma sensu zbyt wcześnie ich alarmować.

Generał Diggs przez długą chwilę zastanawiał się, a następnie podjął pierwszą ważną decyzję wieczoru.

– Zgoda. Powiedz Giustiemu, żeby nacierał na tę przerwę.

– Tak jest, sir. – Masterman oszczędził w kierunku radiostacji. Decyzje wydawane były w ostatniej chwili, co trochę kłóciło się z naukami z West Point, ale tak właśnie wyglądał świat prawdziwych operacji wojennych, a nie rozgrywanych na stole.

– Roger, chodź tu! – zawołał Diggs.

Pułkownik Roger Ardan, dowódca dywizyjnej artylerii, w sieci radiowej używał

kryptonimu Strzelec Sześć. Był to szczupły, wysoki mężczyzna, ale nie na tyle wysoki, by zostać dobrym koszykarzem.

– Tak jest, sir.

– Oto twoje pierwsze zadanie. Masz otworzyć drogę Angelo Giustiemu. Na tych wzgórzach są dwie kompanie piechoty, między nimi przerwa akurat dla Giustiego, a tu dowództwo pułku. – Diggs pokazywał wszystko na ekranie.

– A artyleria nieprzyjacielska?

– Trochę stodwudziestekdwójek tutaj, a tu chyba stopięćdziesiątkipiątki.

– Nie mają wyrzutni raketowych?

– Nie widać żadnych. Trochę to dziwne, ale naprawdę ich nie ma – powiedział kapitan Williams.

– Co z radarami? – zapytał Ardan.

– Może w tym miejscu. O, tu. Ale trudno powiedzieć, bo rozwiesili sieci maskujące. –

Williams wybrał ujęcie i powiększył je, operując myszą.

– Na wszelki wypadek wyślij tu kilka pocisków – powiedział Ardan. – Zaznaczcie je.

– Tak jest, sir. Dać panu wydruk celów?

– A jak myślisz, synu?

– Już się robi – powiedział Williams, nacisnął odpowiedni klawisz i po chwili ze stojącej obok drukarki wyskoczyły kolejno dwie kartki ze współrzędnymi celów obliczonymi co do ułamka stopnia.

– Proszę – podał kartki pułkownikowi.

– Jak myśmy dotąd radzili sobie bez GPS i tych naszych gwiazd filmowych? – pomyślał

głośno Ardan. – Doskonale, panie generale. Damy radę. Kiedy?

– Powiedzmy za trzydzieści minut.

– Będziemy gotowi – obiecał Strzelec. – Rozwalimy ich na tysiąc kawałeczków.

W skład 1. Dywizji Pancernej wchodziła wzmocniona brygada artylerii uzbrojona w haubice samobieżne Palladin kalibru 155 mm, i wieloprowadnicowe wyrzutnie raketowe MLRS, które zazwyczaj pozostawały w dyspozycji dowódcy dywizji. Na rozkaz zjechały z drogi, po czym zaczęły zajmować pozycje na północ i na południe od szutrowego szlaku.

Każdy działon dysponował odbiornikiem GPS, który pozwalał na określenie położenia z dokładnością poniżej trzech metrów. Przekaz z J-WS, wojskowego systemu przekazywania informacji taktycznych, podał im dokładne położenie przewidzianych do zniszczenia celów, a komputery określiły odległość i azymuty. Następnie z komputera dowiedzieli się, jaka w konkretnym przypadku potrzebna będzie amunicja. Działa załadowano i lufy skierowano na odległe cele. Kanonierzy spokojnie czekali na sygnał do odpalenia. O pełnej gotowości zawiadomiono przez radio dowództwo dywizji.

– Wszystko gotowe, sir – zameldował Diggswi pułkownik Ardan.

– Świetnie. Teraz zobaczymy, jak idzie Giustiemu.

– Ekran już pokazuje – zawiadomił Williams swego dowódcę. Kapitan czuł się jak widz na najwyższej trybunie podczas meczu baseballowego, z tą różnicą, że jedna z drużyn nie wiedziała o tym, że na boisku jest jeszcze druga drużyna. Nie miała też pojęcia, że obserwuje ją trener drugiej drużyny. – Pułkownik Giusti jest pięć kilometrów od pierwszej linii obrony –

powiedział.

– Duke, przekaż to Angelowi na IVIS.

– Zrobione – odparł po chwili Masterman i pomyślał, że szkoda, iż nie mogą Giustiemu przekazać całego obrazu z Dark Star.

Szabla Sześć był teraz w swoim Bradleyu, a nie w znacznie bezpieczniejszym czołgu Abrams. Giusti uważał, że z Bradleya więcej widzi i łatwiej mu ocenić sytuację.

– IVIS włączony – poinformował dowódca wozu. Giusti opuścił się na dół i rozejrzał się po wnętrzu, żeby zobaczyć, gdzie siedzi sierżant-dowódca. Projektant Bradleya najwyraźniej nie przewidział sytuacji, w której z pojazdu może zechcieć skorzystać wyższy oficer.

– Pierwsze stanowisko nieprzyjaciela jest tam, sir. Na godzinie jedenastej, za tym małym

wzniesieniem – poinformował sierżant, pukając w ekran.

– No, to powiedzmy im cześć.

– Tak jest, panie pułkowniku – odparł sierżant. – Charlie, ruszamy – polecił kierowcy. –

Do roboty, chłopaki. Rozglądać się, jesteśmy na terytorium Indian.

– Jak tam sprawy na północy? – spytał Diggs kapitana Williamsa.

– Zaraz zobaczymy... – Kapitan wyłączył „Marilyn Monroe” i przeszedł na odbiór z

„Grace Kelly”. – Już mam. Chińska przednia straż jest dwadzieścia kilometrów od Rosjan.

Ale chyba rozłożyli się już na noc. Wynika z tego, że jako pierwsi nawiążemy kontakt z Chińczykami.

– Co za różnica? – powiedział Diggs. – Wróćmy do panny Monroe.

– Tak jest, sir. – Williams nacisnął kilka klawiszy komputera i na ekran powrócił

poprzedni obraz przyczółka nad Amurem. – To przednia straż pańskiej kawalerii, trzy kilometry od chińskiego obozowiska.

Kamera najechała na chiński okop, w którym siedziało dwóch ludzi. Jeden, zgięty w pół, palił papierosa. Żar musiał odbierać obu nocne widzenie, co wyjaśniałoby, dlaczego jeszcze nic nie dostrzegli. Powinni przynajmniej coś usłyszeć... Bradleye nie posuwały się znowu aż tak cicho.

– Uwaga, chyba się obudzili – powiedział Williams. Na ekranie było widać głowę, która się uniosła i nagle obróciła. Druga głowa też się podniosła, w powietrze poszybował

niedopałek. Pojazd Giustiego zbliżał się od ich lewej strony i obie głowy patrzyły w tym kierunku.

– Możesz jeszcze bliżej najechać? – spytał Diggs.

– Zaraz zobaczę... – Po pięciu sekundach obie głowy bezimiennych chińskich żołnierzy wypełniły połowę ekranu. – Williams następnie podzielił obraz na pół. Jeden obraz pokazywał nadal głowy skazanych na unicestwienie żołnierzy, a drugi Bradleya, którego wieżyczka obracała się powoli w lewo... Już tylko tysiąc sto metrów...

Diggs zauważył dopiero teraz, że na dnie okopu, między nogami chińskich żołnierzy, stoi połowy telefon. W tym wykopie znajdował się najdalej wysunięty posterunek ostrzegawczy.

Zadaniem obu żołnierzy było natychmiastowe zawiadomienie przełożonych, gdyby zauważyli coś odbiegającego od normy. Najwidoczniej coś usłyszeli, ale nie byli pewni, co to takiego.

Najprawdopodobniej czekali, aż to coś zobaczą. Najwyraźniej Armia Ludowo-Wyzwoleńcza nie wyposaża żołnierzy w noktowizory, w każdym razie nie na tym szczeblu, pomyślał Diggs.

Była to ważna informacja.

– Dobrze, wystarczy, daj ogólniejszy plan – polecił Williamsowi.

– Tak jest, sir. – Williams powrócił do kadru, który pokazywał poprzednio: obie postacie i zbliżający się Bradley. Diggs był przekonany, że strzelec Giustiego już ich zobaczył. Było to teraz sprawą wyboru odpowiedniego momentu, by obu sprzątnąć. O oddaniu pierwszego strzału decyduje żołnierz na polu walki. I zdecydował.

Z lufy działka kalibru 25 mm trzykrotnie buchnęła jasność, która rozlała się na niemal cały ekran. Widać też było białe linie pocisków smugowych, biegnących w stronę okopu...

...w którym leżały teraz w strzępach dwa rozerwane trupy.

Diggs obrócił się do pułkownika Ardena.

– Strzelec Sześć, zaczynajcie – rozkazał.

– Ognia! – krzyknął Ardan do mikrofonu. Po kilku sekundach zatrzęsała się ziemia, a po dalszych kilku usłyszeli grzmot nadciągającej nawały. Ponad dziewięćdziesiąt pocisków pierwszej salwy wzbilo się łukiem w niebo.

Pułkownik Ardan zlecił ciągły ostrzał dowództwa chińskiego pułku, tuż za przesmykiem między dwoma wzgórzami. Do tego miejsca zdążyła amerykańska kawaleria pancerna pod dowództwem podpułkownika Giustiego. Formuła ciągłego ognia artyleryjskiego została wymyślona przez Amerykanów podczas drugiej wojny światowej. Zgodnie z nią wszystkie pociski wystrzelone przez różne działa przybyły na miejsce w jednym czasie, uniemożliwiając przeciwnikowi schronienie się.

W minionych latach wymagało to czasochłonnych obliczeń trajektorii każdego pocisku; obecnie wszystko obliczał komputer szybciej, niż człowiek był zdolny sformułować myśl.

Tym razem zadanie przypadło drugiej i szóstej baterii oraz ich haubicom kalibru 155 mm, uważanym za najprecyzyjniejsze z dział, jakimi dysponowała Armia Stanów Zjednoczonych.

Każde działo wystrzeliwało dwa pociski z zapalnikami uderzeniowymi oraz dziesięć z regulowanym momentem eksplozji. Pociski te miały w głowicy małe transponder radarowy, ustawiony na detonację w odległości około piętnastu metrów nad ziemią, przez co odłamki nie marnowały się w ziemi, lecz siały śmierć w promieniu kilkudziesięciu metrów.

Pociski z zapalnikami uderzeniowymi tworzyły kratery, niszcząc wszystko, co mogło znajdować się

w indywidualnym schronie czy okopie.

Kapitan Williams ustawił oko jednej z kamer „Marilyn Monroe” na sztab pułku.

Termowizyjne kamery wychwytywały nawet jasne ślady pędzących ciemną nocą rozgrzanych pocisków. Kamera powróciła na cel. Według oceny Diggsa wszystkie pociski trafiły w czasie krótszym od dwóch sekund. Rezultat był przerażający. Sześć namiotów całkowicie zniknęło, a zdające się promieniować na zielono postacie ludzkie upadły i przestały się poruszać.

Wokół nich leżały oderwane od nich zielonkawe fragmenty. Diggs jeszcze nigdy niczego podobnego nie widział.

– O rany! – wykrzyknął Williams. – Usmażeni w parę sekund.

Co za ludzie służą w Siłach Powietrznych? – pomyślał generał Diggs. A może to po prostu młodość?

Na ekranie obejmującym teraz nieco szerszy plan widać było także ludzi, jakimś cudem jeszcze się poruszających. To ci, którzy przeżyli pierwszą salwę. Zamiast jednak uciekać, bo przecież nigdy nie kończyło się na jednej salwie, pozostawali na swoich stanowiskach lub śpieszyli na pomoc rannym. Było to dowodem dużej odwagi, ale jednocześnie skazywało większość z nich na śmierć. Tych paru, którzy ostatecznie przeżyją, z pewnością należało do kategorii ludzi wygrywających główne losy na loterii. Jeśli, oczywiście, choć paru przeżyje podobne piekło. Druga salwa padła dwadzieścia osiem sekund po pierwszej, a trzecia –

zgodnie z zegarem umieszczonym w prawym górnym rogu ekranu – trzydzieści jeden sekund później.

– Panie, miej litość! – wyszeptał pułkownik Ardan. Jeszcze nigdy w swojej karierze wojskowej nie widział na żywo skutków własnego ognia. Dla artylerzysty rezultaty jego działań były do tej pory zawsze czymś abstrakcyjnym. Teraz po raz pierwszy zobaczył skutki rażenia pociskami artyleryjskimi.

– Koniec ostrzału tego celu – powiedział Diggs, co w żargonie czołgistów oznaczało:

„Wróg zabity, znajdź sobie inną ofiarę”. Przed rokiem, na piaskach Arabii Saudyjskiej, obserwował na ekranie komputera przebieg walki i czuł śmiertelne zimno wojny, ale to, co widział teraz, było stokroć gorsze. Teraz odnosił wrażenie, że ogląda hollywoodzki film z efektami specjalnymi. To nie była animacja komputerowa. Przed chwilą oglądał, jak cały sztab pułku piechoty, w sumie około czterdziestu ludzi, został unicestwiony w niespełna dziewięćdziesiąt sekund. A to były przecież istoty ludzkie, to byli żywi ludzie, czego ten młody kapitan Sił Powietrznych przy terminalu zdawał się nie pojmować. Dla niego to było coś w rodzaju komputerowej gry Nintendo. Diggsowi przyszło do głowy, że być może lepiej myśleć o wojnie w ten sposób.

Obie kompanie piechoty na północ i na południe od wąskiego przesmyku zostały zmiażdżone, każda przez inną baterię. Po zniszczeniu dowództwa pułku sytuacja nieco się skomplikowała dla dowódcy chińskiej dywizji. Ktoś tam w dowództwie mógł usłyszeć odgłos dział artyleryjskich, ktoś ze

zniszczonego dowództwa pułku mógł akurat telefonować.

Przerwanie łączności telefonicznej mogło kogoś zaniepokoić. Z drugiej strony psucie się polowych łączy telefonicznych było raczej regułą niż wyjątkiem. Chińczycy polegali jednak właśnie na telefonach, które w większym stopniu zabezpieczały przed podsłuchem niż radio, i pewniejszych – do czasu, aż ogień artyleryjski nie poszarpie kabli. Można więc było przypuścić, że właśnie ktoś szarpie za ramię śpiącego dowódcę dywizji.

– Kapitanie, czy wiemy, gdzie jest dowództwo ich dywizji?

– Chyba w tym miejscu, sir. Nie jestem tego zupełnie pewien, ale widzę skupienie ciężarówek.

– Niech pan mi pokaże na mapie.

– Tutaj, sir. – Młody kapitan wydawał się wniebowzięty, że uczestniczy w takim historycznym wydarzeniu. Diggs tylko pokiwał głową i przeniósł wzrok na ekran.

Dowództwo dywizji znajdowało się w zasięgu baterii MLRS.

– Strzelec, oto twój następny cel.

– Tak jest, sir. – Rozkazy do drugiej i szóstej baterii artylerii zostały bez zwłoki wydane.

Wyrzutnie raketowe MLRS znajdowały się już na stanowiskach ogniowych i tylko czekały na sygnał. Oficerowie znali cel i wiedzieli, że mieści się w zasięgu. W tym przypadku wynosił on czterdzieści trzy kilometry. Wszystkich obliczeń dokonywał komputer.

Kanonierzy ustawili broń na właściwy azymut, zablokowali system zawieszenia, by unieruchomić pojazd. Wystarczyło tylko nacisnąć czerwony guzik na rozkaz dowódcy baterii, a wszystkie dziewięć pojazdów zaczęło odpalać w jednosekundowych odstępach wszystkie dwanaście rakiet. Każda z nich zawierała 644 kapsuły z subamunicją o wielkości i sile rażenia granatu obronnego. Wszystkie sto osiem rakiet miało spaść na cel wielkości trzech boisk futbolowych. Skutki takiego uderzenia ogniowego Diggs mógł obejrzeć już po trzech minutach od chwili wydania rozkazu. Na wyznaczonym obszarze nastąpiły 69.552 wybuchy, gdy osobno eksplodowała każda z 644 kapsli, w każdej ze stu ośmiu wystrzelonych rakiet.

Zagłada dowództwa pułku była okropna, ale teraz wydawała się niczym w porównaniu ze skutkami ogniowego ostrzału sztabu dywizji. Chińska dywizja została pozbawiona dowodzenia.

Po kilku wstępnych strzałach podpułkownikowi Giustiemu zabrakło celów. Jedną kompanię wysłał na przełęcz, sam umieścił się na jej północnym skraju, nie ściągając na siebie żadnego ognia. Deszcz stali i wybuchy na wzgórzach po obu stronach przełęczy wyjaśniały po części, dlaczego tak się stało. Ktoś gdzieś wystrzelił flarę na spadochronie, ale nic z tego nie wynikło. Dwadzieścia minut po

pierwszej nawale ogniowej pojawiły się przednie siły pierwszej brygady. Giusti odczekał, aż zbliżą się na sto metrów, a następnie ruszył na wschód ku swojej kompanii zajmującej płyciutką dolinę.

Jak większość lotników, Dick Boyle miał uprawnienia do pilotowania różnych maszyn.

Do tej misji mógł sobie wybrać Apache, co dla pilota helikopterowego stanowiło zawsze wielką przyjemność. Został jednak przy swoim UH-60, aby móc lepiej obserwować akcję.

Miał wyznaczony cel, samodzielną brygadę czołgów, która pełniła rolę pancernej pięści dla chińskiej 65. Armii. Aby sprostać podobnemu zadaniu, Boyle wyznaczył dwadzieścia osiem z czterdziestu dwóch posiadanych AH-64D Apache. Jako wsparcie miał też dwanaście śmigłowców Kiowa Warrior i jeszcze jeden UH-60.

Chińska jednostka pancerna znajdowała się trzydzieści kilometrów na północny wschód od punktu sforsowania Amuru, dogodnie rozlokowana na płaskim terenie. Czołgi ustawione były w wielkim kręgu z lufami armat wycelowanymi we wszystkich kierunkach. Nie miało to najmniejszego znaczenia dla Boyle'a i jego załogi. Podobne ustawienie czołgów w

„obozowisko” miałoby prawdopodobnie sens przed czterdziestoma laty, ale nie dziś, nie w nocy, gdy w pobliżu czyhały śmigłowce Apache. Atak nastąpił od północy. Chiński pułkownik, który dla swoich czołgów wybrał takie miejsce, miał na względzie ewentualną potrzebę wsparcia każdej ze znajdujących się w terenie jednostek 65. Armii, ale osiągnął

tylko jedno: niebezpieczną koncentrację swoich czołgów w pięciusetmetrowym kręgu. Boyle mógł martwić się tylko raketami przeciwlotniczymi i być może ostrzałem artylerii, ale miał

przecież system Dark Star, informujący, gdzie co się znajduje. Wyznaczył też cztery Apache do szybkiej reakcji na każdą groźbę ostrzału.

Groźba taka w rzeczywistości istniała. Stwarzały ją dwie baterie raketowe. Jedna miała wyrzutnie DK-9, bardzo podobne do amerykańskich Chaparral, a każda z czterema raketami podobnymi

konstrukcyjnie

do

Sidewinderów

z

termolokacyjnymi

urządzeniami

naprowadzającymi. Wyrzutnie były zamontowane na gąsienicowych podwoziach. Rakiety miały

zasięg około dziesięciu kilometrów, ciut większy niż rakiety Hellfire. Druga bateria była uzbrojona w chińskie HQ-61A, które Boyle uznał za wersję rosyjskich SA-6. Tych rakiet było mniej, ale miały piętnastokilometrowy zasięg i zostały wyposażone w bardzo sprawny system naprowadzania radarowego, ale za to, według doniesień wywiadu, nie reagowały na cele lecące poniżej stu metrów. Boyle miał zamiar namierzyć obie baterie i jak najszybciej je unicestwić, jeśli oczywiście wytropi je śmigłowiec EH-60 przeznaczony do elektronicznego dozoru.

Chińscy żołnierze na ziemi też pewno mieli sporo ręcznych wyrzutni raketowych z głowicami naprowadzającymi na podczerwień, które były co najmniej klasy dawnych amerykańskich rakiet Redeye. Na szczęście Apache wyposażono w system chłodzenia gazów wylotowych, który podobno dawał sobie radę z głowicami naprowadzanymi na podczerwień.

Jednak ci, którzy pilotom przekazywali te informacje, nie polecili tej nocy. Nigdy nie latali.

Tej nocy nie tylko nad terytorium Syberii panował duży ruch w powietrzu. Dwadzieścia niewidzialnych dla radaru myśliwców F-117A skierowano do Żygańska. Od czasu przybycia pozostawały w ukryciu, oczekując na bomby oraz głowice naprowadzające, które ze zwykłych bomb czyniły bomby inteligentne, umiejące precyzyjnie trafić w wyznaczony punkt. F-117 przenosiły też broń przeznaczoną specjalnie dla nich: naprowadzane laserowo bomby przeciwbetonowe GBU-27. Na tę noc przewidziano dla nich dwadzieścia dwa cele, wszystkie znajdujące się w pobliżu miast Harbin i Befan lub w ich obrębie. Były to betonowe filary i przęsła mostów kolejowych.

ChRL była bardziej uzależniona od transportu kolejowego niż większość innych krajów, ponieważ znikoma liczba samochodów nie stwarzała konieczności budowy wielu dróg i ponieważ wydajność kolei odpowiadała ekonomicznemu modelowi, jaki sobie wymyślili polityczni przywódcy. Nie zignorowali jednak oczywistego faktu, że uzależnienie od jednego systemu przemieszczania ludzi i towarów stwarza groźbę wczesnego ataku na ten system.

Dlatego też każdy wrażliwy punkt sieci kolejowej został specjalnie zabezpieczony.

Korzystając z wielkiej ilości praktycznie darmowej siły roboczej, budowano zastępcze podwójne, a nawet potrójne mosty i wiadukty ze zbrojonego betonu. Z pewnością myślano, że osobne potrójne mostowe przeprawy na jednym odcinku rzeki czy innej przeszkodzie nie zostaną wszystkie od razu zniszczone do takiego stopnia, by nie można ich było szybko odbudować.

F-117 zatankowały w powietrzu, korzystając z latających cystern KC-135. Niezauważone przez radary rozmieszczone wzdłuż całej południowo-wschodniej granicy, poleciały dalej na południe. W pełni skomputeryzowane maszyny leciały na autopilotach. Nawet bomby zrzucił

autopilot, ponieważ od człowieka, nawet doskonale wyszkolonego, nie można było oczekiwać, by jednocześnie prowadził maszynę i naprowadzał laser, którego niewidoczny punkcik na ziemi służył za cel dla czujnika bomby. Nalot na sześć mostów na rzece Sunghua Jiang w Harbinie nastąpił niemal jednocześnie, zaledwie w ciągu jednej minuty. W każdym wypadku oba końce mostu zostały trafione. Operacja okazała się łatwiejsza, niż podczas testów fabrycznych, ponieważ powietrze było czyste i

zaskoczony nieprzyjaciel nie próbował

nawet zagłuszania elektronicznego. Pierwsze sześć bomb trafiło bezbłędnie z prędkością 1

macha, penetrując beton na siedem do dziesięciu metrów, zanim eksplodowały. Każda bomba zawierała dwieście pięćdziesiąt kilogramów tritonalu. Nie była to wielka ilość, ale w ciasnej przestrzeni wybitej w betonie dziury zyskiwała diabelską moc, rozbijając na kawałki setki ton betonu, i to bez wielkiego huku, jakiego można by w tych okolicznościach się spodziewać.

Druga formacja F-117 zrzuciła swoje bomby na północny brzeg i dokończyła robotę.

Chińskie straty w ludziach były minimalne: maszynista nie zdążył zatrzymać wyładowanego amunicją pociągu przed nieistniejącym już mostem.

Podobny wyczyn zastał powtórzony w Bei'an, gdzie pięć dalszych mostów runęło do rzeki Wayur He.

Podczas obu tych nalotów, które trwały łącznie zaledwie dwadzieścia jeden minut, droga zaopatrzenia chińskich sił inwazyjnych została na długi czas przerwana. Osiem F-117

nieuczestniczących w akcji – trzymane były w rezerwie na wypadek, gdyby niektóre bomby nie zniszczyły całkowicie wyznaczonych im celów – poleciały w kierunku węzła kolejowego nad Amurem, w którym z platform zjeżdżały czołgi. Paradoksalnie w tym przypadku cel nie został całkowicie zniszczony. A stało się tak dlatego, że bomby przeciwbetonowe wbiły się zbyt głęboko w ziemię. Jednakże kilkadziesiąt wagonów uległo zniszczeniu, a jeden skład doszczętnie spłonął. Tak czy inaczej, była to rutynowa misja dla F-117 i rutynowo się zakończyła. Próby wystrzelenia przeciwko amerykańskim samolotom rakiet ziemia-powietrze nie powiodły się ani w Harbinie, ani w Bei'an, ponieważ samoloty te nie pojawiły się na ekranach radarów.

Odbiornik korzystający z częstotliwości ELF84 otrzymał wiadomość PRZEP OPSPEC, czyli „przeprowadzić operację specjalną”. USS „Tucson” był teraz osiem tysięcy metrów za Sierrą-11 i ponad trzysta tysięcy od Sierry-12.

– Każdemu po jednej rybce. Mamy zamiar bojowy? – spytał dowódca.

– Pełna gotowość dla obu celów – odparł oficer uzbrojenia.

– Druga wyrzutnia gotowa.

– Zalać drugą wyrzutnię... Odpalenie!

Na odpowiedniej konsolce opadła naciśnięta dźwignia.

– Wyrzutnia druga, torpeda wystrzelona!

„Tucson” zadygotał, gdy nastąpiła eksplozja sprężonego powietrza, które wyrzuciło torpedę do morza.

- Wszystkie odczyty w normie, sir – zameldował sonarzysta.
- Bardzo dobrze. Zalać pierwszą wyrzutnię – rozkazał komandor.
- Wyrzutnia pierwsza zalana, sir! – zameldował oficer uzbrojenia.
- Odpalenie!
- Wyrzutnia pierwsza, torpeda wystrzelona – zameldował starszy bosman po przerzuceniu odpowiedniej dźwigni. Okręt doznał tego samego wstrząsu, co poprzednio.
- Wszystkie odczyty w normie – po raz wtóry zameldował sonar. Komandor zrobił pięć kroków do ekranu sonaru.
- Jest tutaj, panie komandorze. – Trzymanym w ręku złotym pisakiem sonarzysta wskazał na szklany ekran.

Pierwszy cel poruszał się na głębokości niespełna trzydziestu metrów. Prawdopodobnie nadawał do bazy przez radio, dość że, sądząc po obrotach śruby, płynął z prędkością jakichś pięciu węzłów. Wynikało z tego, że torpeda osiągnie cel w ciągu niespełna pięciu minut, a druga torpeda drugi cel po dalszej minucie. Trafienie drugiego celu było bardziej skomplikowane niż pierwszego. Nawet jeśli chińscy sonarzyści nie usłyszą zbliżającej się torpedy Mark-48 ADCAP, to nawet głuchy usłyszałby eksplozję czterystu kilogramów Torpexu i dokonałby odpowiedniego manewru, a w każdym razie próbowałby, a nie stawał na baczność i wykrzykiwał *Hail Mao!* Czy też odmawiał chińskie modlitwy. Komandor oparł się plecami o grodzie.

- Do wyrzutni drugiej załadować kolejny ADCAP, a do pierwszej Harpoona – rozkazał.
- *Aye aye*, sir – powiedział oficer uzbrojenia.
- Gdzie jest ta fregata? – spytał dowódca sonarzysty.
- Tutaj, sir. Klasy Luda, stara łajba na turbiny parowe, namiar dwa-jeden-sześć. Z obrotów śruby wynika, że płynie z prędkością około czternastu węzłów.
- Jaki czas na torpedę z dwójki? – spytał dowódca.
- Minuta dwadzieścia sekund do uderzenia, sir.

monitor sonaru. Jeśli Sierra-11 miała sonar, to sonarzysta będący na służbie niezbyt interesował się tym, co dzieje się pod wodą. Za chwilę to się zmieni.

– Odpalenie za trzydzieści sekund – polecił dowódca.

– Tak jest, sir!

Na ekranie sonaru torpeda biegła po prostej linii do okrętu „406”.

– Uaktywniam dwójkę – zameldował oficer uzbrojenia.

– Niech pan spojrzysz tutaj, sir – powiedział sonarzysta, wskazując inne miejsce na ekranie.

Na monitorze pojawiła się nowa linia, a po piętnastu sekundach...

– Sierra-11 przyspieszyła, sir! Obroty śruby wzrosły. Zmienia kurs na lewo... ale to nic nie da, sir. – Sonarzysta wiedział to z ekranu. Nie da się oszukać Mk-48.

– A co z Sierrą-12?

– Też usłyszał, sir. Zwiększa prędkość i... – Sonarzysta zerwał z głowy słuchawki. –

Cholera! Ale to boli! – Potrząsnął głową. – Trafienie w Sierra-11, sir.

Dowódca wziął zapasową parę słuchawek i wsunął wtyczkę do gniazda. Pod wodą nadal przetaczały się echa eksplozji. Odgłosy silników trafionego celu zamilkły, co potwierdzał

ekran sonaru, chociaż linia sześćdziesięciohercowa świadczyła, że generatory nadal pracują...

Jednak po chwili stanęły. Dowódca „Tucson” słyszał w słuchawkach i widział na ekranie ulatujące powietrze. Chińczycy próbowali szasować zbiorniki balastowe i podnieść okręt, ale bez silników...? Nie mają większych szans. Przeniósł wzrok na Sierrę-12. Ktoś znacznie przytomniejszy niż załoga „406” usiłował dokonać ciasnego skrętu na prawo, nie żałując mocy. Głośniejsza była praca okrętowych silników, dużo szybsze obroty śruby... I też szasował zbiorniki balastowe. Dlaczego?

– Jaki czas dla jedyńki? – spytał kapitan.

– Trzydzieści sekund według planu, teraz może trochę dłużej z powodu ich manewru.

Niewiele dłużej, pomyślał komandor. Na tej głębokości ADCAP płynął z prędkością przekraczającą sześćdziesiąt węzłów. Oficer uzbrojenia włączył głowicę automatycznego naprowadzania torpedy. Dobrze wyszkolona załoga natychmiast wystrzeliłaby własną torpedę, by odstraszyć przeciwnika i być może ocaleć, gdyby w wyniku manewru ta pierwsza torpeda nie trafiła. W dalszym ciągu nie była to równa gra, ale nic nie kosztowało spróbować, a poza tym miałyby się tę satysfakcję, że przy odrobinie szczęścia zabrałyby się przeciwnika do piekła. Ale Chińczycy nie wystrzelili torpedy, nie wypuścili nawet pozoratora. Tak, jednak zaspali... Nie wiedzieli, że toczy się wojna...? Po dwudziestu pięciu sekundach dowiedzieli się, gdy jeszcze jedna plama pojawiła się na ekranie

sonaru.

Dwie torpedy, dwa trafienia, pomyślał – komandor. Łatwizna. Wrócił do Centrum Informacji Bojowej i wziął do ręki mikrofon.

– Uwaga, mówi dowódca! Wysłaliśmy dwie rybki na dwa chińskie okręty podwodne.

Nikt już ich nigdy nie zobaczy. Dziękuję całej załodze. – Odłożył mikrofon i zwrócił się do oficera łączności: – Proszę przygotować depeszę do dowódcy floty: Cztery Zero Sześć zniszczona o dwudziestej drugiej pięćdziesiąt sześć Zulu wraz z eskortującą jednostką.

Przystępuję do zlikwidowania fregaty. Nadaj to, kiedy wypłyniemy na antenową.

– Tak jest, sir.

– Uwaga, sonar. Namiar bojowy na fregatę.

– Tak jest, sir – odparł szef sonarzystów.

W Waszyngtonie zbliżała się szósta wieczorem, a wszyscy bezpośrednio zainteresowani tkwili przed ekranami telewizyjnymi. Nie oglądali jednak programów stacji komercyjnych.

Obrazy z systemu Dark Star były przekazywane kodowymi łączami satelitarnymi, a następnie odkodowywane i rozsyłane wojskowymi światłowodami po całej stolicy, do upoważnionych osób i urzędów. Jedna z linii prowadziła oczywiście do Sali Sytuacyjnej Białego Domu.

– Boże drogi! – wykrzyknął Ryan. – To wygląda zupełnie jak jakaś cholerna gra komputerowa. Od jak dawna mamy takie możliwości obserwacyjne?

– To nowy system, Jack – odparł wiceprezydent. – I zgadzam się z tobą. To jest aż nieprzyzwoite. I straszne. Kiedy ja strącałem samoloty, to też je widziałem tylko na ekranie, ale byłem w kombinezonie ciśnieniowym i do pleców miałem przypiętego Tomcata. To tutaj przypomina podglądanie chłopaka i dziewczyny na filmach szkoleniowych...

– Słucham? Na filmach szkoleniowych?

– Tak na okrętach marynarze nazywają pornosy, Jack. Nie wiedziałeś o tym?

– Ludziom się będzie podobało – wtrącił Arnie van Damm. – Będzie się podobało przeciętnemu widzowi, zwłaszcza dzieciakom. Dla nich to będzie tak jak oglądanie filmu.

– Możliwe. Niemniej, Arnie, to jest film o zabijaniu. Na naszych oczach tracą życie prawdziwi ludzie. Wielu ludzi. Na przykład to dowództwo dywizji, które Diggs unicestwił

rakietami MLKS. Jezu miłosierny, to jak oglądanie efektów działania mściwego pogańskiego boga.

– Przechwyciliśmy korespondencję – poinformował Bondarienkę pułkownik Tołkunow, którego kilka zespołów elektronicznego nasłuchu pilnowało częstotliwości używanych przez Armię Ludowo-Wyzwoleńczą. Zwykle oficerowie chińscy rozmawiali kodowanymi zdaniami, trudnymi do odszyfrowania, zwłaszcza że codziennie używano innych słów na określenie tych samych osób, sytuacji czy jednostek i ich sprzętu. Zmieniano także kryptonimy.

Ale dyscyplina radiowa zniknęła, gdy stało się coś nieprzewidzianego. Wyżsi rangą oficerowie domagali się konkretnych informacji i to szybko. Bondarienko oglądał właśnie obrazy z „Grace Kelly” i nie odczuwał żadnej litości dla ofiar, natomiast żałował, że nie on zadaje te ciosy wrogowi.

– Trzeba przyznać, że Amerykanie mają doskonałą artylerię – zauważył pułkownik Tołkunow.

– Amerykanie zawsze mieli dobrą artylerię. Ale my też. I ten Peng dowie się o tym za kilka godzin – odpowiedział generał. – Jak myślisz, co teraz zrobi?

– To zależy od tego, czego się dowie – odparł Alijew. – Informacje, jakie do niego dotrą, będą z pewnością bardzo niepokojące.

– A co sądzisz o nalocie Amerykanów?

– Te F-117 są w istocie zdumiewające. Chiński system dostaw kolejowych został położony na łopatkę. Naszym gościom zabraknie wkrótce paliwa.

– Jaka szkoda – stwierdził Bondarienko. Tak, Amerykanie byli świetnymi wojownikami, a ich doktryna głębokiej penetracji lotniczej, której rosyjscy generałowie właściwie nie znali, przynosiła świetne rezultaty. – Ale Chińczycy wciąż mają u nas szesnaście dywizji, z którymi musimy sobie poradzić.

– Święta racja, towarzyszu generale – zgodził się Tołkunow.

– Sokół Dwa do prowadzącego. Widzę ślad rakiety ziemia-powietrze – zameldował pilot.

– Nad wzgórzem trzy kilometry od Koniczyny...

– Masz jeszcze coś? – zapytał prowadzący Sokoła, eskadry Apache’ów wydzielonej do zlikwidowania chińskiej obrony przeciwlotniczej.

– Słaby ogień artylerii przeciwlotniczej, głównie z dwudziestek piątek ustawionych wokół wyrzutni rakiet ziemia-powietrze. Proszę o zezwolenie na otwarcie ognia.

– Nie rozłączaj się – powiedział prowadzący. – Prowadzący Sokół wzywa Orła.

– Tu Orzeł – zgłosił się Boyle ze swojego Blackhawka.

– Widzimy gaśnicowe zestawy przeciwlotnicze. Prosimy o zezwolenie na rozpoczęcie akcji.

Boyle myślał gorączkowo. Jego Apache z trzech stron podchodziły do pierścienia czołgów.

– Zgoda udzielona – powiedział do mikrofonu.

– Tu prowadzący Sokół, odebrano. Sokół Trzy, zdejmij ich!

– Billy, do roboty – powiedział pilot do strzelca.

– Hellfire! – krzyknął strzelec siedzący z przodu i odpalił raketę. Przeciwpancerne pocisk o kilkunastocentymetrowej średnicy wyskoczył z prowadnicy i natychmiast popędził

ku wyznaczonemu przez laser punkcikowi. Strzelec przez okular noktowizora widział nawet członka załogi obsługującej wyrzutnię. Żołnierz biegł w stronę wyrzutni i pokazywał na helikopter. Krzyczał coś, starając się zwrócić czyjąś uwagę. Trwał wyścig między wystrzeloną raketą a ludzką reakcją. Rakietę musiała wygrać. Ktoś wreszcie zauważył

biegnącego, może sierżant, a może jego porucznik, który spojrzał we wskazywanym kierunku. Z pozycji jego głowy można było wnioskować, że z początku niczego nie dostrzegł.

Żołnierz, który wskazał mu raketę, machał teraz bezradnie rękami. Wreszcie patrzący coś dojrzał, ale było już za późno. Wystarczyło ledwo czasu, by paść na ziemię, a i to było bezcelowe. Hellfire uderzył w podstawę wyrzutni i eksplodował, zabijając wszystkich w promieniu dziesięciu metrów.

– Masz pecha, Joe – powiedział strzelec w śmigłowcu i wystrzelił drugą raketę w kierunku drugiej wyrzutni. Tym razem obsługę ostrzegł dźwięk i widać było, jak gorączkowo starają się uruchomić wyrzutnię. Zdążyli zająć miejsca za celownikami, kiedy eksplodował

Hellfire.

Przyszła kolej na działka przeciwlotnicze, sprzężone dwudziestki piątki i trzydziestki piątki. Chińczycy mieli sześć stanowisk ogniowych i mogli sprawić poważne kłopoty. Apache podszedł nisko i strzelec puścił długą serię ze swojej dwudziestki, rozbijając wszystkie stanowiska ogniowe nieprzyjaciela.

– Orzeł, tu Sokół Trzy, Koniczyna oczyszczona. Okrążamy ją, żeby jeszcze raz wszystko sprawdzić.

– Odebrałem. – Po chwili Boyle wysłał swoje Apache do ataku. Operacja nie miała nic wspólnego z zasadami fair play. To było tak, jakby na ring przeciwko sześciolatki wystawić zawodowego boksera. Apache krążyły wokół czołgów niczym Indianie w filmach hollywoodzkich wokół zбитych w gromadkę wozów osadników, przedzierających się przez Dziki Zachód. Załogi chińskich czołgów przeważnie spały na ziemi obok swoich pojazdów.

W niektórych czołgach ktoś wychylał głowę z wieży, pełniąc coś w rodzaju warty. Jeszcze inni pełnili prawdziwą wartę, patrolując okolice z karabinami Typ 68. Prawdopodobnie ich dowódcy zaniepokoił się wybuchami na wzgórzu za obozowiskiem i postanowili wystawić dodatkowe posterunki. W pewnej chwili między czołgami zaczęli biegać młodszy oficerowie, budząc żołnierzy i każąc im wsiadać do wozów. Z pewnością nie zdawali sobie sprawy, co konkretnie im grozi, ale uważali, że najbezpieczniej będzie we wnętrzu czołgu, z którego ponadto w razie potrzeby będą skutecznie się bronić. Nie mogli bardziej się mylić.

Apache zatańczyły wokół pancernego pierścienia, kolejno odskakując na bok, gdy załogi wystrzeliły już rakiety. Trzy z chińskich czołgów uruchomiły systemy termowizyjne, dostrzegły śmigłowce i załogi zaczęły do nich strzelać. Jednakże zasięg karabinów maszynowych wynosił dokładnie połowę zasięgu rakiet Hellfire. Natomiast rakiety Hellfire, z wyjątkiem dwóch, dotarły do celu, a ich potężne głowice zamieniły czołgi w fajerwerki.

Czołgowe wieże wylatywały w powietrze w słupach ognia i, przeważnie odwrócone o sto osiemdziesiąt stopni, spadały na resztki czołgu, do którego poprzednio należały. Pierścień tworzyło osiemdziesiąt sześć czołgów, co oznaczało wystrzelenie przez każdego śmigłowca trzech rakiet, z dwoma wyjątkami, kiedy trzeba było odpalić czwarty pocisk raketowy.

Zniszczenie całej brygady zajęło niespełna trzy minuty. Gdy nalot się skończył, pułkownik, dowódca chińskiej brygady, został z otwartymi ustami w punkcie dowodzenia, patrząc z przerażeniem na śmierć trzystu swych ludzi, których szkolił przez ponad rok. Pułkownik cudem przeżył także ostrzał punktu dowodzenia. Jakaś maszyna pojawiła się nagle prawie nad jego głową, powietrze przecięła długa seria z broni maszynowej i śmigłowiec odleciał, a pułkownik nie zdążył nawet wyciągnąć z kabury pistoletu.

– Orzeł, tu prowadzący Sokół, Koniczyna skoszona, wracamy do bazy.

Boyle pokręcił głową. – Dobra robota, kapitanie. Gratulacje.

– Dziękuję, sir. Bez odbioru. – Apache w zwartej formacji poleciały na północny zachód, by zatankować i uzupełnić amunicję w oczekiwaniu na następne zadanie.

Boyle spojrział w dół i dostrzegł kolumnę czołgów Pierwszej Brygady, która wdarła się za linie wroga i teraz zdążała na południowy wschód, w stronę chińskiego przyczółka na rosyjskim brzegu Amuru.

Grupa Lotniskowcowa 77, stacjonująca na wschód od Cieśniny Tajwańskiej, otrzymała rozkaz szybkiego przemieszczenia się na zachód. Szefowie operacji powietrznych dowiedzieli się, że jeden z amerykańskich okrętów podwodnych zatopił dwie podwodne jednostki chińskie, w tym jedną z rakietami balistycznymi. Byli bardzo z tego zadowoleni, podobnie jak i dowódca Grupy 77. Teraz przyszedł czas, by zająć się Marynarką Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Taka nazwa marynarki wojennej budziła dużą wesołość wśród amerykańskich oficerów. Pierwszymi maszynami, które poleciały za F-14D, pełniącymi funkcję bojowego patrolu powietrznego, czyli BARCAP, były EC-2

Hawkeye, radarowe samoloty powietrznego dowodzenia i kontroli obszaru. Ich zadaniem było wynajdywanie celów dla F-18A Hornet.

Operacja była bardzo złożona. W skład Grupy 77 wchodziły trzy okręty podwodne klasy Los Angeles, których zadaniem było oczyszczanie akwenu z chińskich jednostek podwodnych. Dowódca grupy lotniskowcowej poważnie się obawiał, że któryś z chińskich okrętów podwodnych o napędzie spalinowo-elektrycznym może zrobić dziurę w którymś z jego okrętów. Niszczenie takich celów nie należało jednak do lotnictwa Marynarki, chyba że Chińczycy byli na tyle głupi, by zostawić któryś zacumowany w porcie.

Prawdziwym problemem była identyfikacja potencjalnych celów. W rejonie pływało wiele statków handlowych. Lotnicy otrzymali rozkaz pozostawiania ich w spokoju, nawet gdyby płynęły pod banderą ChRL. Z drugiej strony wszystkie jednostki z włączonymi radarami przeciwlotniczymi stawały się celem. W innych przypadkach piloci musieli dobrze się przyjrzeć potencjalnemu celowi, nim mogli dotknąć przycisku uwalniającego pocisk.

Wszelkiego rodzaju amunicji mieli w bród, a jednostki pływające na powierzchni były łatwym celem dla rakiet i pięćsetkilogramowych bomb. Ogólnym celem była Flota Morza Południowego z główną bazą w Guangzhou (bardziej znanym na Zachodzie jako Kanton).

Baza w Kantonie była podatna na atak z powietrza, chociaż broniły jej baterie rakiet ziemia-powietrze i artyleria przeciwlotnicza.

Lecące przodem F-14 były naprowadzane na powietrzne cele przez Hawkeye. I tutaj też obowiązywały pewne zastrzeżenia, ponieważ w powietrzu znajdowały się też rejsowe samoloty pasażerskie i transportowe. Maszyny amerykańskie musiały zbliżyć się na odległość umożliwiającą rozpoznanie wizualne i ustalić tożsamość ewentualnych ofiar. Nie była to bezpieczna procedura, ale nie dało się jej uniknąć.

Piloci samolotów lotnictwa Marynarki nie wiedzieli, że Chińczycy znają elektroniczną charakterystykę radarów APD-138 na maszynach E-2C i w związku z tym są świadomi, że coś się do nich zbliża. Setka myśliciów chińskich wzbila się w powietrze i ustanowiła swój własny patrol powietrzny nad wschodnim wybrzeżem. Załogi Hawkeye'ów to zauważyły i wysłały ostrzeżenie do myśliciów amerykańskich. Scena na powietrzną batalię w mroku przed brzaskiem była gotowa.

Jeżeli ktoś się spodziewał efektownych walk kołowych, rodem z II wojny światowej, to srodze się zawiódł. Główną siłą uderzeniową stanowiły dwa dywizjony Tomcatów, w sumie dwadzieścia cztery maszyny. Każdy z samolotów miał cztery rakiety AIM-54C Phoenix oraz cztery AIM-9X Sidewinder. Rakiety Phoenix należały do starej generacji, niektóre miały nawet po piętnaście lat i w paru przypadkach zespoły napędowe na paliwo stałe zaczynały ujawniać drobne pęknięcia, ich teoretyczny zasięg wynosił około stu pięćdziesięciu kilometrów i dlatego dobrze je było mieć w powietrznym arsenale.

Załogi Hawkeye'ów otrzymały ścisły rozkaz dokładnego sprawdzania, z kim mają do czynienia. Jednakże szybko uzgodniono, że maszyny lecące w ciasnym szyku w żadnym przypadku nie mogą być Airbusami pełnymi żądnych wrażeń cywilów i Tomcaty otrzymały zezwolenie na odpalenie rakiet w

odległości stu pięćdziesięciu kilometrów od chińskiego brzegu. Pierwszą salwę stanowiło czterdzieści osiem rakiet. Z tej liczby sześć uległo samozniszczeniu w odległości pięciuset metrów od samolotu, co stanowiło bardzo niemiłą niespodziankę dla amerykańskich pilotów. Pozostałe czterdzieści dwie rakiety poszybowały w niebo na balistycznej paraboli, aż na wysokość trzydziestu tysięcy metrów, po czym zaczęły opadać z pięciokrotną prędkością dźwięku, przełączwszy się na milimetrowe pasmo dopplerowskich radarów naprowadzających na cel. Pod koniec swego lotu nie pozostawiały żadnego dymnego śladu, którego zawsze wypatrują piloci, ponieważ wypaliło się paliwo. Tak więc chińscy piloci, choć wiedzieli, że są namierzani, nie dostrzegali żadnego niebezpieczeństwa. Czterdzieści dwa Phoenixy znajdowały kolejno swoje cele, a jedynymi samolotami chińskimi, które ocalały, były te, których piloci dokonali gwałtownego uniku na widok pierwszej eksplozji. Czterdzieści osiem rakiet przyniosło w sumie trzydzieści dwa stracenia. Chińscy piloci, którzy ocaleli, byli roztrzęsieni, ale i wściekli. Niemal jednocześnie skręcili na wschód i włączyli swoje radary, poszukując potencjalnych celów dla swoich rakiet powietrze-powietrze. Znaleźli je, ale poza zasięgiem ich broni. Najstarszy stopniem oficer, który przeżył atak amerykański, wydał rozkaz dalszego lotu na wschód na dopalaczach i z odległości dziewięćdziesięciu kilometrów od wybranych celów wystrzelenie rakiet powietrze-powietrze PL-10, z radarowym naprowadzaniem. Rakiety PL-10 były kopiami włoskich pocisków raketowych Aspide, a te z kolei kopiami amerykańskiej rakiety AIM-7E Sparrow.

Aby rakiety PL-10 mogła dopaść swoją ofiarę, radar na pokładzie samolotu musiał

wskazywać przez cały czas cel. Amerykańscy piloci postanowili także lecieć w kierunku Chińczyków. Rozpoczęła się zabawa w to, kto stchórzy pierwszy. Trwał wyścig między samolotami i raketami, tyle że rakiety chińskie leciały z prędkością 4 machów, a Phoenixy pięciu.

Powietrzni kontrolerzy obszaru na Hawkeye'ach śledzili przebieg walki. Na radarowych ekranach widać było zarówno samoloty, jak i rakiety. Wszyscy wstrzymali oddech.

Phoenixy pierwsze znalazły swe cele i strąciły trzydzieści jeden chińskich myśliwców, wyłączając przy okazji większość pokładowych radarów ocalałych chińskich samolotów.

Większość z chińskich rakiet oślepla, ale nie wszystkie. Sześć chińskich myśliwców, które przetrwały drugą salwę Phoenixów, w dalszym ciągu podświetlały radarami cele dla trzydziestu dziewięciu rakiet PL-10. Celami tymi były cztery Tomcaty.

Namierzeni pokładowymi radarami amerykańscy piloci dostrzegli śmiertelną groźbę.

Włączyli dopalacze i pomknęli w dół, wystrzelując flary i obłoki pasków metalizowanej folii oraz włączyli na pełną moc radarowe zagłuszacze. Jeden myśliwiec umknął. Drugi zgubił większość ścigających go rakiet w chmurze pasków, gdzie rakiety wybuchły niczym sztuczne ognie, nie czyniąc nikomu szkody. Niestety, trzeci F-14 miał na ogonie dziewiętnaście rakiet i nie było sposobu, by się ich pozbyć. Jedna rakietka zbliżyła się na tyle, by głowica eksplodowała, a tuż za nią dołączyło dalsze dziewięć. Po chwili z maszyny i dwuosobowej załogi została chmura ognia. Pozostała jeszcze czwarta maszyna, z której oficer radarowy katapultował się, ale pilot nie zdążył...

Pozostałe Tomcaty dalej leciały w stronę nieprzyjaciela. Pozbyły się już wszystkich Phoenixów, ale zostały im Sidewindery. Śmierć kolegów jeszcze bardziej rozjuszyła pilotów.

W efekcie to chińscy piloci wzięli ogon pod siebie i pognali w kierunku brzegu, a za nimi pędziła chmara naprowadzanych na podczerwień rakiet.

Zacięta walka powietrzna otworzyła drogę nad port formacji uderzeniowej.

Baza w Kantonie składała się z dwunastu nabrzeży z przycumowanymi przy nich okrętami.

Jako pierwsze ofiarą Hornetów padły okręty podwodne. Były to przeważnie stare jednostki klasy Romeo, z napędem spalinowym. Stały przycumowane parami i Hornety załatwiły je pociskami raketowymi Skipper i SLAM. Skipper był pięćsetkilogramową bombą z bardzo prostym systemem naprowadzania i raketowym silnikiem. Okazały się idealne do tego zadania. Piloci Hornetów starali się jedną rakieta trafić dwa przycumowane burtami okręty. Udało się to w trzech wypadkach na pięć. SLAM był lotniczą wersją rakiety Harpoon i w tym przypadku został użyty do zniszczenia urządzeń portowych i magazynów. Na nagraniach wideo ciosy zadane bazie wyglądały imponująco. Inne samoloty niszczyły baterie wyrzutni raketowych oraz stanowiska artylerii przeciwlotniczej. Robiły to z bezpiecznej odległości, wysyłając w powietrze przeciwradarowe rakiet HARM, które odnajdywały i niszczyły namierzające je radary.

W sumie pierwszy od czasów Wietnamu amerykański atak na Dalekim Wschodzie okazał

się sukcesem. Zniszczono dwanaście okrętów i praktycznie zrównano z ziemią jedną z głównych chińskich baz marynarki wojennej.

Inne bazy zaatakowano raketami Tomahawk, wystrzeliwanymi głównie z okrętów nawodnych. Każda baza morska na siedmiuset pięćdziesięciokilometrowym odcinku brzegu doznała większego lub mniejszego uszczerbku. Pod koniec akcji liczba zatopionych okrętów wzrosła do szesnastu, a wszystko to stało się w ciągu niespełna godziny. Amerykańscy piloci powrócili na lotniskowce, rozlawszy sporo nieprzyjacielskiej krwi, ale i straciwszy też trochę własnej.

Rozdział 58

Konsekwencje

Dla marszałka Luo Conga była to trudna noc. Poprzedniego wieczoru położył się spać około dwudziestej trzeciej, zaabsorbowany myślami o problemach wojny, ale zadowolony, że natarcie postępuje według planu. Ledwo przyłożył głowę do poduszki i zamknął oczy, zadzwonił telefon.

Zaraz potem podjechała służbowa limuzyna, żeby go zawieźć do ministerstwa. Nie poszedł jednak do swojego gabinetu, ale skierował kroki do centrum łączności, gdzie zastał

spórą grupę oficerów sztabowych, zapoznających się z napływającymi fragmentarycznymi informacjami i usiłujących coś z tego wszystkiego wywnioskować. Pojawienie się ministra nikogo nie ucieszyło. Wprost przeciwnie – w rosnącym chaosie powiększyło ogólne napięcie.

Właściwie nic nie było jasne. 65. Armia jakby zniknęła z powierzchni ziemi. Jej dowódca wraz ze swoim sztabem wizytował jedną z dywizji i słuch o nim zaginął, mniej więcej od drugiej nad ranem. Z dowódcą wizytowanej dywizji też nie nawiązano łączności. Właściwie nie było w ogóle wiadomo, co się dzieje na rubieży natarcia 65. Armii. Marszałek Luo zarządził, by z bazy w Sunwu posłano tam helikopter. Potem nadeszły wiadomości z Harbinu i Bei'an o nalotach, które uszkodziły linie kolejowe. Wysłano pułkownika saperów, by na miejscu sprawdził, co się stało.

Kiedy Luo już myślał, że jako tako uporał się z problemami na Syberii, nadeszła wiadomość o zmasowanym nalocie na bazę marynarki w Guangzhou, a następnie na mniejsze bazy w Haikuo, Shantuo i Xiachuandao. Najbardziej niepokoiły wiadomości o dużych stratach w pułkach lotnictwa myśliwskiego, przeciwko którym wystąpiły amerykańskie samoloty. Wreszcie nadeszła najgorsza wiadomość w postaci zakodowanych sygnałów z boi alarmowych z jedyne go chińskiego nuklearnego okrętu podwodnego z raketami balistycznymi „406” oraz z myśliwskiego okrętu „Hai Long”. Marszałek Luo doszedł do wniosku, że praktycznie niemożliwe, by tyle nieszczęść wydarzyło się jednocześnie. A to jeszcze nie było wszystko. Stacje radarowe na pograniczu przestały nadsyłać dane i nie można się było skomunikować z nikim z obsługi przez radio czy telefon. Potem znowu otrzymano wiadomość z Syberii. Jedna z dywizji na lewym skrzydle obok przełęcz, dywizja, którą właśnie przed paroma godzinami wizytował dowódca 65. Armii – meldowała... Młody oficer łączności poprawił się:

– To znaczy meldował ktoś z jakiegoś batalionu, że nieznana formacja pancerna przerwała zachodnią linię obrony i zniknęła...

– Jak, do diabła, nieprzyjaciel może przerwać linię obrony i zniknąć? – zażądał

odpowiedzi marszałek Luo tonem, od którego młody kapitan zadygotał. – Kto przekazał tę wiadomość?

– Przedstawił się jako major 3. batalionu 745. pułku piechoty Gwardii – odparł oficer drżącym głosem.

– Kto sporządził raport sytuacyjny?

– Pułkownik Zao, oficer łącznościowy wywiadu 71. Armii, odpowiedzialnej za bezpieczeństwo sektora przygranicznego.

– Nie musicie mi mówić, kto jest odpowiedzialny za ten sektor! – ryknął marszałek, wyładowując się na bogu ducha winnym podwładnym.

– Towarzyszu marszałku... – odezwał się nowy głos. Był to generał Wei Dao-Ming, jeden z adiutantów ministra. Właśnie przyjechał z domu, jeszcze nie wypoczęty po wielu długich pracowitych dniach, ale mimo znużenia zdecydowany opanować sytuację. – Towarzyszu marszałku, proszę pozwolić moim ludziom zebrać i uporządkować otrzymane informacje, tak by stworzyć pełniejszy i bardziej zrozumiały obraz.

– Dobrze, Wei. – Luo wiedział, kiedy otrzymuje dobrą radę. Wei był zawodowym oficerem wywiadu, umiejącym sporządzać przejrzyste raporty. – Ale zrób to szybko – dodał.

– Oczywiście, towarzyszu ministrze – odparł Wei, specjalnie zmieniając „marszałka” na „ministra”, aby przypomnieć Luo, że jest w tej chwili raczej polityczną osobistością, niż oficerem, jakim był przez całe życie.

Luo przeszedł do salonu dla wyższych funkcjonariuszy ministerstwa. Tam czekała na niego świeżo zaparzona zielona herbata. Sięgnął do kieszeni kurtki mundurowej i wyjął

paczkę papierosów. Były to mocne papierosy bez filtra, które pomagały mu zawsze rozjaśniać umysł, kiedy był bardzo zmęczony. Kaszlał od nich, ale trudno. Po trzeciej filiżance herbaty pojawił się Wei z notatnikiem. Usiadł obok marszałka.

– No i? – spytał Luo.

– Obraz jest jeszcze nieco zamazany, ale postaram się przedstawić główne punkty i powiem, co o tym wszystkim myślę... – zaczął Wei.

– Dobrze, mów!

– Wiemy, że generał Oj, dowódca 65. Armii, oraz jego sztab zginęli. Wizytowali 191.

Dywizję Piechoty, nieco na północny zachód od przyczółka, którym weszliśmy na Syberię.

191. nie daje znaku życia. Podobnie jak 615. Samodzielna Brygada Czołgów należąca do 65.

Armii. Otrzymaliśmy sprzeczne informacje na temat powietrznego ataku na brygadę czołgów, nie ma nic konkretnego. 735. pułk piechoty Gwardii też zniknął z eteru. Przyczyna nieznana.

Nie ma z nim także łączności telefonicznej. Towarzysz marszałek zażądał, by helikopter z Sunwu udał się na zwiad. Helikopter poleci o świcie.

Wei na chwilę zamilkł i przejrzał notatki.

– Mamy jeszcze sporo innych informacji z przygranicznego sektora – ciągnął – ale nie mają większego sensu i nie pomagają nam w budowie obrazu tego, co zaszło. Nakazałem wywiadowi 71. Armii, by wysłano zwiad na drugi brzeg rzeki i jak najszybciej przekazano mi raport. Za jakieś trzy godziny będziemy już mieli pełniejsze informacje. Ale mamy i dobre wieści. Generał Peng Xi-Wang wciąż dowodzi 34. Armią Uderzeniową. Jutro około południa zajmie kopalnię złota. Jest jeszcze jedna sprawa. Otrzymaliśmy raporty od marynarki wojennej. Rozkazałem dowódcy Floty Morza Południowego, by osobiście zajął się wyjaśnieniem sytuacji. Dałem mu na to trzy godziny. Do tego czasu generał Peng wznowi ofensywę i, nim nadejdzie wieczór, nasz kraj stanie się dużo, dużo bogatszy – zakończył Wei, który dobrze wiedział, jak wprawić ministra w dobry humor. W nagrodę otrzymał mruknięcie i skinienie głową. – Towarzysz minister powinien teraz przespać się przez parę godzin, a my będziemy czuwać nad sytuacją – dodał generał.

– Dobry pomysł, Wei. – Luo wstał z krzesła, podszedł do kanapy i położył się. Wei otworzył drzwi, zgasił światło i wyszedł, zamykając drzwi za sobą. Do centrum łączności miał zaledwie parę kroków.

– Powiedźcie mi teraz, co się tu dzieje? – spytał, przyjmując papierosa od majora.

– Moim zdaniem, towarzyszu generale – odezwał się stojący obok pułkownik wywiadu –

Amerykanie właśnie pokazali swoją siłę. Za kilka godzin zrobią to Rosjanie.

– Co mówicie? I dlaczego teraz zrobią to Rosjanie?

– Gdzie jest ich lotnictwo? Gdzie są ich śmigłowce szturmowe? Nie wiemy. A dlaczego nie wiemy? Bo Amerykanie sprzątnęli z nieba nasze samoloty zwiadowcze. Oszukiwaliśmy się, że Rosjanie nie chcą walczyć. Hitler też tak kiedyś myślał. Książki mówią, że kilka lat później zmarł gwałtowną śmiercią. Wmawialiśmy sobie, że Amerykanie mocno na nas nie uderzą z powodów politycznych. Amerykanie nie mieli żadnych politycznych wahań ani oporów. Po prostu mobilizowali siły. A to wymaga czasu. A Rosjanie nie atakowali, ponieważ chcieli rozciągnąć maksymalnie nasze linie zaopatrzeniowe. A teraz ci cholerni Amerykanie właśnie je przecięli. Zarówno w Harbinie, jak i w Bei'an. Czołgi generała Penga znajdują się teraz trzysta kilometrów w głębi Rosji, mając zapas paliwa na dwieście kilometrów. A żadne paliwo z Chin do nich już nie dotrze. Zmobilizowaliśmy dwa tysiące czołgów, a ich załogi wkrótce staną się źle wyszkoloną piechotą. Oto, co się dzieje, towarzyszu Wei – zakończył pułkownik.

– Mnie może pan takie rzeczy opowiadać, pułkowniku, ale niech pan to powie w obecności ministra Luo, a pojutrze pańska żona będzie musiała zwrócić państwu pieniądze za nabój pistoletowy – ostrzegł ponuro Wei.

– Wiem o tym – odparł pułkownik Geng He-Ping. – A co stanie się z wami, towarzyszu Wei, kiedy zbierzecie informacje i przekonacie się, że miałem rację?

– Nie mamy na to żadnego wpływu – odparł fatalistycznie Wei. – Zajmijmy się poszczególnymi sprawami po kolei, pułkowniku Geng.

Następnie Wei wezwał do siebie grupę oficerów, każdemu przydzielił zadanie, po czym usiadł i zaczął się zastanawiać, czy to możliwe, by Geng miał w istocie tak dobre wyczucie sytuacji.

– Pułkowniku Geng.

– Słucham, towarzyszu generale.

– Co wiecie o Amerykanach?

– Jeszcze półtora roku temu byłem attaché wojskowym w naszej ambasadzie w Waszyngtonie. A podczas mojego pobytu w Stanach bardzo pilnie przyglądałem się ich siłom zbrojnym.

– Czy są zdolni do tego, o czym pan przed chwilą mi mówił?

– Towarzyszu generale, aby otrzymać pełną odpowiedź na to pytanie, powinien pan spytać Irańczyków i Irakijczyków. Nie wiem, jaki będzie następny krok Amerykanów.

Zrozumienie psychiki Amerykanów jest umiejętnością, jakiej nigdy nie posiadałem.

– Ruszyli – powiedział major Tucker, przeciągając się i ziewając. – Ich zwiad posuwa się naprzód. Wasi ludzie się wycofali. Dlaczego?

– Kazałem im zabrać towarzysza Fomina, nim Chińczycy go zabiją – wyjaśnił pułkownik Tołkunow amerykańskiemu majorowi. – Wygląda pan na bardzo zmęczonego.

– A jak mam wyglądać po trzydziestu sześciu godzinach na twardym krześle? – Mimo zmęczenia uważał minione godziny za najwspanialsze w swojej karierze wojskowej. Czuł się wreszcie dowartościowany, a bardzo tego potrzebował jako oficer Sił Powietrznych, który odpadł z wyższego kursu pilotażu i na zawsze został „bagażem” (w żargonie pilotów), a czwartej kategorii obywatelem w hierarchii Sił Powietrznych, nawet poniżej pilotów helikopterów. Tak, teraz zarabiał dobrze na swoją oficerską pensję i kto wie, czy dla swojej strony nie był wart więcej niż pułkownik Winters ze swoimi sztuczkami. Gdyby jednak ktokolwiek mu coś podobnego powiedział, wrzuciłby tylko ramionami i skromnie opuścił

wzrok na czubki butów. Skromnie! W tym przypadku nie miał zamiaru okazywać żadnej skromności, w każdym razie nie wobec siebie samego. Właśnie wykazał wartość niesprawzonego wynalazku. Tak jak podczas pierwszej wojny światowej Czerwony Baron wykazywał wartość trójpłatego Fokkera. Poza tym Siły Powietrzne nie były rodzajem wojsk, w których kultywowało się zasady skromności, a brak skrzydełek pilota kazał mu przez dziesięć lat służby właśnie to kultywować. Przyszła generacja Dark Star być może będzie miała podczepione rakiety, może nawet będzie zdolna do walki powietrznej i wtedy on, major Tucker, pokaże szoferakom na myśliwcach, kto ma największe w okolicy jaja. Do tego jednak czasu musi się zadowolić zbieraniem informacji, które

pomogły Iwanowi podbić oko Joemu Żółtkowi, zupełnie tak, jak to się robi w komputerowej grze Nintendo.

– Pańska pomoc okazała się dla nas bezcenna, majorze Tucker – pochwalił go stojący obok Tołkunow.

– Dziękuję, sir. Miło mi było troszkę pomóc – odparł, wybrawszy z kolekcji rozbijający chłopięcy uśmiech. Może powinienem teraz zapuścić sobie wąsy, pomyślał. Ale chwilowo odłożył na bok te rozważania i z suchej racji żywnościowej wyjął rozpuszczalną kawę, zalał

gorącą wodą dwie łyżeczki i zaczął sączyć cudowny płyn. Tylko kofeina pozwoliła mu przetrwać przez tyle godzin w krześle. Na szczęście większość pracy wykonywał komputer, a ekran pokazywał w tej chwili chińską jednostkę rozpoznawczą, kierującą się na północ.

– Niech mnie szlag! – Kapitan Aleksandrow wstrzymał oddech. W radiu słyszał o jakimś Fominie i jego wilczych skórach, ale nie oglądał telewizyjnego reportażu. Widok zrobił na Aleksandrowie oszałamiające wrażenie. Dotknął palcem wilczej skóry, spodziewając się sztywnego zimnego włosa, a tymczasem poczuł miękką jedwabistość.

– A wy kto? – Stary człowiek trzymał w dłoniach karabin, podejrzliwie przyglądając się intruzowi.

– Jestem kapitan Fiodor Iljicz Aleksandrow. A wy pewno jesteście Paweł Pietrowicz Fomin?

Fomin skinął głową i uśmiechnął się.

– Podobają się wam moje futerka, kapitanie?

– Wspaniałe. W życiu takich nie widziałem. Musimy też je zabrać.

– Zabrać? Dokąd? Nigdzie się nie wybieram – odparł Pasza.

– Towarzyszu Fomin, od generała Bondarienki otrzymałem rozkaz, aby was stąd zabrać. I ten rozkaz musi być wykonany, Pawle Pietrowiczu!

– Żaden Kitajec nie wyrzuci mnie z mojej ziemi! – ryknął Fomin.

– Oczywiście, że nie, towarzyszu Fomin. Ale żołnierze Armii Rosyjskiej nie mogą was tu zostawić na pewną śmierć. To pewno karabin, z którego zabijaliście Niemców?

– Tak, wielu ich zabiłem.

– No to chodźcie z nami, a może uda wam się ustrzelić kilku żółtków.

– A kim wy właściwie jesteście?

– Jestem dowódcą oddziału rozpoznawczego 265. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej. Od czterech dni bawimy się z Kitajcami w chowanego, no i teraz jesteśmy gotowi do prawdziwej walki. Moglibyście nam pomóc, Pawle Pietrowiczu. Macie doświadczenie i chętnie nauczylibyśmy się od was tego i owego. – Młody przystojny kapitan powiedział to wszystko tonem pełnym szacunku, uważając, że stary wiarus w pełni na to zasłużył.

– I naprawdę chociaż raz będę mógł strzelić do Kitajców? – spytał Fomin.

– Daję wam na to słowo honoru rosyjskiego oficera, towarzyszu! – Aleksandrow potwierdził te słowa energicznym skinieniem głowy.

– W takim razie idę z wami – zdecydował stary. Był już ubrany do drogi. Przerzucił przez ramię karabin i chlebak z amunicją. Było tam czterdzieści naboń. Na polowanie nigdy nie brał

więcej. Ruszyli do drzwi. – Pomóż mi z moimi skórkami, chłopcze!

Aleksandrow aż stęknął pod ich ciężarem. Wraz z Bujkowem upchnęli skóry na tyle BMR-a.

– A gdzie są Chińczycy? – zapytał Fomin.

– Jakies dziesięć kilometrów za nami. Od paru dni ich obserwujemy, tylko teraz musieliśmy odskoczyć...

– Dlaczego?

– Żeby tu przyjechać i ratować cię, stary głupcze – odparł sierżant Bujkow i roześmiał

się. – I żeby ocalić te piękne skóry. Są zbyt cenne, żeby nimi przykrywać ciało jakiejś chińskiej prostytutki.

– Tak sobie myślę, Pasza... – odezwał się Aleksandrow – że nadszedł czas przywitać po rosyjsku naszych chińskich gości...

– Kapitanie, niech pan patrzy! – zawołał kierowca.

Aleksandrow wychylił głowę przez właz i zobaczył na drodze starszego rangą oficera, który z daleka dawał znaki, by jak najszybciej do niego podjechać. Po minucie zatrzymali się obok niego.

– Kapitan Aleksandrow?

– Tak jest, towarzyszu generale. – Aleksandrow stał w pojeździe wychylony do pasa i salutował.

– Generał Sziniawski – przedstawił się oficer i niedbale dotknął dłonią daszka czapki. –

Dobrze się sprawiłeś, chłopcze. Złaż z wozu. Chcę z tobą pogadać. – Zaproszenie zabrzmiało ostro,

ale niegroźnie.

Aleksandrow tylko raz widział przelotnie swego dowódcę i to z dość daleka. Generał nie był potężnej postury, ale mimo to nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby spotkać go jako wroga w nocy w ciemnym zaułku. Żuł cygaro, które wygasło już przed kilkoma godzinami.

– A to kto? – spytał Sziniawski, widząc gramolącego się z wozu Fomina. Nagle twarz mu złagodniała. – To wy jesteście tym sławnym Paszą? – spytał.

– Melduje się starszy sierżant Fomin z Piątej Dywizji Gwardii! – Starzec z godnością zasalutował, a generał oddał mu służbiście salut.

– Z tego, co słyszałem, w swoim czasie zabiliście sporo Niemców – powiedział generał. –

Ilu?

– Policzcie sami, towarzyszu generale! – Fomin podał Sziniawskiemu Mosina.

– Niech mnie kule biją! – wykrzyknął generał, patrząc na szereg nacięć. – Ale wojna to sprawa dla młodych, Pawle Pietrowiczu. Zawiozę was w bezpieczne miejsce.

Fomin pokręcił głową. – Kapitan dał słowo honoru, że strzelę choć do jednego Kitajca.

Gdyby tego nie obiecał, nie opuściłbym mojego domu.

– Powiadasz, że dał ci słowo honoru? – Generał spojrzał na Aleksandrowa. – Dobrze, kapitanie, damy starszemu sierżantowi szansę oddania tego jednego strzału. – Sziniawski uniósł mapnik i wskazał punkt na mapie. – To może być dobre miejsce. Ale jak sobie strzelicie, nogi za pas – polecił Aleksandrowowi. – I natychmiast wracajcie do naszych.

Jedźcie tędy. – Generał wskazał drogę. – W nagrodę za wszystkie wasze wysiłki będziecie mogli widzieć, jak powitamy naszych gości.

– Za ich rozpoznaniem idą duże siły – poinformował generała Aleksandrow.

– Wiem o tym – odparł Sziniawski. – Przez ostatnie półtora dnia przyglądałem się im na ekranie telewizyjnym. Amerykanie przecięli im linie zaopatrzenia. Teraz nasza kolej.

Zatrzymamy ich. Zatrzymamy ich właśnie tu.

Aleksandrow spojrzał na mapę. Sziniawski wybrał niezłe miejsce, z rozległym polem ostrzału.

– Ile mam czasu? – spytał generała.

– Dwie godziny. Ich siły główne nadciągają. Macie załatwić ich zwiadowców.

– Tego możemy się chętnie podjąć – odparł Aleksandrow. Sziniawski odpowiedział uśmiechem.

Świt zastał Mariona Diggsa w przedziwnym miejscu.

Otoczenie przypominało mu bazę Fort Carson w stanie Kolorado, położoną wśród łagodnych zalesionych wzgórz. Tak, pełno jest tu lasów iglastych, ale jednocześnie wszystko wydaje się inne niż w Ameryce. Przede wszystkim brakowało dróg i oznak rozwiniętej cywilizacji. Może właśnie dlatego Chińczycy najechali na tę krainę? Słabe zaludnienie, brak infrastruktury, która zawsze towarzyszy dużej populacji. Te wszystkie cechy utrudniały obronę, a zarazem ułatwiały Chińczykom szybki marsz. Ta sytuacja specjalnie Diggsa nie martwiła. Przypominała mu doświadczenia z Zatoki Perskiej – cywile nie przeszkadzali w działaniach wojennych. No i bardzo dobrze.

Mieli do czynienia z prawdziwym mrowiem Chińczyków. Pierwsza Brygada Mike'a Francisco nieźle zdemolowała chiński przyczółek. Jego cztery bataliony tworzące brygadę były zwartymi jednostkami, przygotowanymi do walki. Bataliony piechoty i czołgów zostały zintegrowane i następnie podzielone na grupy uderzeniowe, posiadające zarówno czołgi jak i Bradleye. Takie jednostki były zdolne posuwać się szybko w terenie, kosząc nie gorzej niż nowoczesne żniwiarki podczas sierpniowych żniw w Kansas. Strzelano do wszystkiego, co było pomalowane na zielony kolor.

Abramsy posuwały się pagórkowatym terenem niczym dinozaury z Parku Jurajskiego. Ich wieże obracały się na lewo i na prawo, ale nie strzelano z armat. Prawdziwą pracę wykonywały karabiny maszynowe M-2 kalibru 12,7 mm, których pociski były w stanie zamienić każdą ciężarówkę w płonący wrak. Tu i ówdzie żołnierze chińscy stawiali opór, ale robili to tylko głupcy i nigdy przez dłuższy czas. Nawet ci, którzy byli uzbrojeni w ręczne wyrzutnie raketowe, rzadko mieli okazję z nich skorzystać. Kilka rakiet odpalanych z indywidualnych ziemnych schronów najwyżej zdrapało farbę ze stalowych pancerzy czołgów, a desperaci zapłacili życiem za swoją odwagę. Dowodzony przez ambitnego majora batalion piechoty powążył się na przeciwuderzenie, zmuszając załogę kilku czołgów i Bradleyów do zamknięcia włazów i odpowiedzenia ogniem. Pięć minut ognia ze stopięćdziesiątekpiątek i bezlitosny atak Bradleyów plujących ze swoich karabinów maszynowych i działek zrobiło swoje. Cały batalion jakby wyparował. Po dwudziestu minutach nie było śladu ani po nim, ani po jego ambitnym dowódcy.

Posuwająca się przed siebie Pierwsza Brygada rzadko kiedy napotykała nieuszkodzony chiński czołg. Wszędzie natomiast było widać ślady działalności Apache'ów, które bezlitośnie poszukiwały celów dla swoich rakiet Hellfire i likwidowały wrogie czołgi wraz z załogami, nim zdążyły pojawić się siły naziemne. W sumie była to perfekcyjna operacja wojskowa. Nie było to może po sportowemu, ale pole walki nie jest stadionem olimpijskim i nie ma tam żadnych sędziów, mogących narzucić reguły gry.

Jedyną niespodziankę sprawił chiński śmigłowiec, który nagle się pojawił i równie nagle został zmieciony z nieba dwiema raketami powietrze-powietrze wystrzelonymi przez dwa Apache. Szczątki śmigłowca spadły do Amuru w pobliżu mostów pontonowych, już pustych, ale jeszcze

niezniszczonych.

– Czego się dowiedziałeś, Wei? – spytał marszałek Luo, gdy wyszedł z pokoju, w którym uciął sobie parogodzinną drzemkę.

– Wciąż jest wiele niejasności, towarzyszu ministrze – odparł generał.

– Powiedz więc, co jest jasne – polecił Luo.

– Straciliśmy pewną liczbę okrętów. W tym nasz okręt podwodny z raketami balistycznymi. Straciliśmy także towarzyszący mu okręt eskorty. Przyczyna nieznana, ale z obu jednostek wypłynęły na powierzchnię boje ratunkowe i nadały automatycznie sygnał

alarmowy. Straciliśmy także pięć nawodnych okrętów Floty Morza Południowego. Poza tym samoloty amerykańskie dokonały nalotów na siedem baz morskich. Najprawdopodobniej były to myśliwce wielozadaniowe z lotniskowców. Amerykanie ostrzelali także raketami nasze wyrzutnie raketowe oraz urządzenia radarowe na południowowschodnim wybrzeżu. Udało nam się zestrzelić pewną liczbę amerykańskich samolotów, ale podczas bitwy powietrznej ponieśliśmy duże straty.

– Czy amerykańska marynarka prowadzi przeciwko nam jakieś działania?

– Z otrzymanych informacji wynika, że tak... – Generał Wei wyjątkowo ostrożnie dobierał słowa. – Z liczby zaangażowanych samolotów można wnosić, że w tym rejonie przebywają cztery amerykańskie lotniskowce.

– Jakie są ich intencje? – spytał minister.

– Niejasne. Poważnie uszkodzili nasze bazy i wątpię, by któryś z naszych okrętów nawodnych na Morzu Południowym ocalał. Nasza marynarka przeżyła ciężki dzień. Ale to nie stanowi wielkiego problemu – dokończył Wei.

– To był atak na naszą broń strategiczną. Musimy to głęboko przemyśleć. – Na chwilę marszałek zamilkł. – Co jeszcze?

– Generał Xi, dowódca 65. Armii, zaginął i należy uznać, że nie żyje, podobnie jak cały jego sztab. Wielokrotnie usiłowaliśmy nawiązać z nim kontakt, ale bez skutku. Minionej nocy zaatakowana została 191. Dywizja Piechoty. Zaatakowały ją zmechanizowane jednostki, których tożsamości nie zdołaliśmy ustalić. Dywizja poniosła poważne straty z powodu ostrzału artyleryjskiego i nalotów bombowych, jednak dwa pułki meldują, że utrzymały pozycję. Cała siła uderzenia poszła na 735. pułk piechoty Gwardii. Ale raporty są tylko fragmentaryczne... Najgorsze wiadomości nadeszły z Harbinu i Befan. Nieprzyjacielskie samoloty dokonały nalotu na wszystkie nasze mosty kolejowe w obu tych miastach. Ruch kolejowy na północ został przerwany. Usiłujemy teraz ustalić, jak szybko będzie można go przywrócić.

– Są jakieś dobre wiadomości? – spytał marszałek Luo.

– Tak jest, towarzyszu ministrze. Generał Peng i jego siły są gotowe wznowić natarcie.

Spodziewamy się, że około południa złoża złota znajdą się w naszych rękach – odparł Wei z uczuciem ulgi, że nie musiał opowiadać, co stało się z liniami zaopatrzenia armii Penga.

Posłaniec, który przynosi zbyt dużo złych wieści, może stracić głowę.

– Chcę porozmawiać z Pengiem – zażądał Luo.

– Linie telefoniczne są chwilowo przerwane, ale mamy z nim kontakt radiowy –

odpowiedział Wei.

– No to daj mi Penga do mikrofonu.

– O co chodzi, Wa? – spytał Peng. – Czy nie mogę nawet się wysikać w spokoju?

– Minister obrony chce z wami rozmawiać, jest na linii – wyjaśnił oficer operacyjny.

– Cudownie – mruknął pod nosem Peng, wracając do wozu dowodzenia i po drodze zapinając rozpiętkę. Pochylił głowę w niskim włązie, wszedł do środka i wziął do ręki mikrofon. – Mówi generał Peng.

– Tu marszałek Luo. Jak wygląda sytuacja? – przez zakłócenia w eterze z trudem przebił się głos Luo.

– Towarzyszu marszałku, za dziesięć minut wyruszamy. Jeszcze nie nawiązaliśmy kontaktu z nieprzyjacielem, a nasze rozpoznanie nie zauważyło na przedpolu żadnych znaczących sił wroga. Czy spłynęły do was informacje, które mogą się nam przydać?

– Mamy zdjęcia lotnicze rosyjskich jednostek pancernych na zachód od ciebie. Około jednej dywizji. Radzę, byś nie rozpraszał swoich sił. I dobrze pilnuj lewej flanki.

– Tak jest, towarzyszu marszałku, właśnie tak robimy – zapewnił Peng. Jedynym powodem, dla którego codziennie się zatrzymywał, była potrzeba podciągnięcia jednostek i utrzymywania pancерnej pięści w stałej gotowości. Tuż na zapleczu 34. Armii Uderzeniowej trzymał na wszelki wypadek 29. Armie. A nuż potrzebne będzie wsparcie? – Proponuję, by 43. Armia otrzymała zadanie ochrony flanki.

– Wydam odpowiednie rozkazy – odparł Luo. – Jak daleko się dziś posuniesz?

– Towarzyszu marszałku, obiecuję, że jeszcze dziś wieczorem wyśle wam ciężarówkę pełną złota. Mam tylko jedno pytanie: czy prawdziwe są doniesienia o przerwaniu naszych linii zaopatrzenia?

– Minionej nocy był nalot na mosty pod Harbinem i Bei'an. Ale wszystko naprawimy.

– Dziękuję, towarzyszu marszałku. Muszę teraz dopilnować ostatnich przygotowań.

– Powodzenia, Peng! Bez odbioru.

Generał odwiesił mikrofon. – Mówi, że wszystko naprawimy – mruknął pod nosem.

– Dlaczego nie? To są cholernie mocne mosty. Trzeba by bomby atomowej, żeby je zniszczyć – powiedział z pewnością siebie stojący obok pułkownik Wa Cheng-Gong.

– Są mocne, z tym się zgadzam. – Peng wstał i zapiał kurtkę mundurową, a potem sięgnął

po kubek porannej herbaty. – Powiedz rozpoznaniu, żeby się szykowało w drogę. Dziś pojedę z przednią strażą, Wa. Chcę na własne oczy zobaczyć tę kopalnię złota.

– To ryzykowne, towarzyszu generale.

– Dobry oficer prowadzi żołnierzy do boju. Chcę też zobaczyć, jak nasi żołnierze walczą.

O ile dojdzie do walki. Nasze rozpoznanie jeszcze niczego nie zauważyło.

– Racja, towarzyszu generale, ale...

– Ale co?

– Przeworny dowódca pozostawia prowadzenie żołnierzy porucznikom i kapitanom – zauważył Wa.

– Wa, czasami gadasz jak stara baba – skarcił pułkownika Peng.

– Świetnie – powiedział Jefremow. – Połknęli haczyk.

W Moskwie było już po północy i w budynku ambasady ChRL większość światel była wygaszona, ale nie wszystkie – trzy sąsiadujące z sobą okna były rozświetlone, a zasłony niezaciągnięte. Jefremow stał pochylony nad Suworowem, który niedawno wystukał na klawiaturze komputera wiadomość:

Mam wszystkie elementy na miejscu. Jeśli chcecie, bym rozpoczął operację, zostawcie światło w trzech sąsiadujących oknach i rozsuńcie firanki.

Jefremow miał nawet kamerę telewizyjną, by rejestrowała przebieg operacji aż do momentu, kiedy zdrajca Suworow naciśnie klawisz Enter, by wysłać list do swego chińskiego oficera prowadzącego. Kamera telewizyjna wraz z obsługą należała do stacji komercyjnej, Rosjanie bowiem mieli większe zaufanie nawet do częściowo niezależnych stacji niż do rządu.

Doskonale, mieli teraz niezaprzeczalny dowód, że rząd chiński spiskował, by zabić prezydenta Gruszawoja. Trzy odsłonięte okna należały do gabinetu ambasadora. Szef misji spał teraz smacznie w swoim łóżku. Sprawdzili to przed dziesięcioma minutami, usiłując się do niego dodzwonić.

– I co teraz zrobimy? – spytał towarzyszący Jefremowowi funkcjonariusz.

– Poinformujemy prezydenta, a potem najprawdopodobniej zawiadomimy media. I nie rozstrzelamy Suworowa. Mam nadzieję, że będzie mu się podobało życie w obozie pracy.

– A morderstwa, które popełnił?

– Zabił tylko alfonsa i dziwkę. Niewielka strata.

Porucznik Komanow nie miał powodów, by wspominać z radością minione cztery dni, ale spędził je pożytecznie, ucząc swoich ludzi sztuki celnego strzelania. Miał w oddziale wyłącznie rezerwistów, obecnie nazywanych Bojarami. W ciągu tych paru dni żołnierze wystrzelali więcej pocisków niż podczas długich miesięcy czynnej służby. Ale amunicji nie brakowało. Magazyny były pełne.

Oficerowie przydzieleni do nowej dywizji Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego, poinformowali swoich podkomendnych, że poprzedniego dnia przybyli Amerykanie i znajdują się na ich południowej flance, a dziś Bojarzy mają przesunąć się na północ od nich.

Tylko trzydzieści kilometrów dzieliło ich od najbardziej wysuniętych oddziałów chińskich.

Komanow i jego ludzie byli gotowi złożyć im wizytę. Ryknął wysokoprężny silnik pojazdu dowódcy, a do niego dołączył groźny chór dwustu silników. Bojarzy ruszyli na północny wschód łagodnie pagórkowatym terenem.

Peng w otoczeniu adiutantów i ochrony osobistej ruszył na czoło armii maszerującej na północ. Jechał wozem dowodzenia, któremu drogę otwierali żandarmi regulujący ruch.

Wkrótce Peng dotarł do dowództwa 302. Dywizji Pancерnej, „pancernej pięści” planowanego uderzenia. Dywizją dowodził generał major Ge Li, zgarbiony mężczyzna, z początkami brzuszka.

– Jesteś gotów, Ge? – spytał Peng. Generał nosił nazwisko pasujące do wykonywanego zadania. W mandaryńskim podstawowe znaczenie słowa ge to „dzida”.

– Jesteśmy gotowi – odparł czołgista. – Moje pułki tylko marzą, żeby zerwać się ze smyczy.

– Będziemy razem obserwowali? – spytał, a raczej zaproponował Peng.

– Tak jest! – Generał Ge wskoczył na swój czołg, wolał go od pojazdu sztabowego, mimo iż w czołgu miał gorsze radio, i ruszył przed siebie. Peng natychmiast kazał nawiązać stałą łączność z czołgiem generała.

– Jak daleko do linii frontu? – spytał przez, mikrofon.

– Trzy kilometry. Zwiad posuwa się dwa kilometry dalej.

– Prowadź, Ge – ponaglił Peng. – Chcę zobaczyć kopalnię złota.

Dobre miejsce, pomyślał Aleksandrow, rozglądając się dokoła. Chyba że nieprzyjaciel podciągnął artylerię wcześniej niż należało się spodziewać. Ale dotychczas Aleksandrow ani nie widział, ani nie słyszał artylerii. Stał teraz na dość stromym zboczu łagodnego po drugiej stronie pagórka. Słońce zaczęło rozjaśniać wschodni horyzont. Wreszcie można było coś zobaczyć, a to zawsze uszczęśliwia żołnierzy, zwłaszcza gdy ich zadaniem jest obserwowanie terenu. Pasza buchnął komuś płaszcz i podłożył go pod swój karabin. Stał w otwartym górnym włązie i patrzył przez celownik optyczny.

– Opowiedz, dziadku, jak to jest być snajperem podczas wojny – poprosił Aleksandrow Fomina, kiedy już usadowił się w wozie.

– Jak na polowaniu. Staralem się zabijać przede wszystkim oficerów – wyjaśniał Fomin.

– Zwykły żołnierz to zwykły żołnierz; nieprzyjaciel, to prawda, ale z pewnością nie miał

większej ochoty iść na wojnę niż ja. Oficerowie, to ludzie, którzy kierowali zabijaniem moich towarzyszy broni. I kiedy się takiego wyeliminowało, to sprawiało się Niemcom kłopot.

– Ilu zabiłeś oficerów?

– Osiemnastu poruczników i dwunastu kapitanów. Tylko trzech majorów, ale za to dziewięciu pułkowników. Tak, pozbawiłem dowodzenia dziewięć pułków. Oczywiście, mam też trochę ubitych sierżantów i załogi karabinów maszynowych, ale nie pamiętam ich tak dobrze, jak pułkowników. A tych dobrze pamiętam. Każdą twarz. Mam je tu, w głowie. –

Fomin poklepał się po skroni.

– A ciebie nikt nie próbował zabić?

– Artyleria próbowała. Snajper fatalnie wpływa na morale jednostki. Ludzie nie lubią, jak ktoś na

nich poluje z ukrycia. Niemcy nie mieli dobrych snajperów. No i dlatego spróbowali artylerii. To było straszne, ale dzięki temu dowiedziałem się, jak bardzo mnie się boją –

zakończył Paweł Pietrowicz z okrutnym uśmiechem na ustach.

– Tam! – Bujkow wskazał coś między drzewami po lewej stronie.

– Widzę – potwierdził Fomin, patrząc przez celownik.

Aleksandrow podniósł do oczu lornetkę i po chwili dostrzegł jakiś niewyraźny kształt.

Rozpoznał go: fragment pancerza chińskiego transportera. Od kilku już dni śledził takie właśnie wozy. Podniósł do ust mikrofon. – Tu Zielony Wilk Jeden. Kontakt z nieprzyjacielem. Jeden wóz opancerzony. Współrzędne dwa-osiem-pięć, dziewięć-zero-sześć.

Porusza się w kierunku północnym.

– Zrozumieliśmy – zaskrzeczało radio w odpowiedzi.

– Teraz musimy uzbroić się w cierpliwość – powiedział Fiodor Iljicz. Przeciągnął się, dotykając palcami siatki maskującej, którą kazał rozciągnąć nad wozem, gdy tylko przybyli na wzgórze. Dla każdego obserwującego to miejsce z odległości większej niż trzysta metrów, Aleksandrow i jego ludzie byli po prostu częścią zbrocza. Bujkow zapalił papierosa.

– Na polowaniu się nie pali – skrytykował Fomin. – Zwierzyna ma świetny węch.

– Ta zwierzyna ma małe żółte nosy – odparł Bujkow.

– Racja – zgodził się Fomin. – Poza tym stoimy pod wiatr.

– O matko! – mruknął major Tucker. – Jakie piękne zgromadzenie. – Transmisja pochodziła ponownie od „Grace Kelly”, która obserwowała przyszłe pole walki, tak jak Pallas Atena mogła obserwować to, co szykowało się wokół Troi. I obserwowała równie beznamiętnie. Teren był tu bardziej otwarty i korytarz, którym się posuwali, miał trzy kilometry szerokości, co pozwalało batalionowi czołgów rozwinąć się na maksymalną szerokość, tak że kompanie jechały jedna obok drugiej. Każdy pułk miał więc po trzy rzędy batalionów po trzydzieści pięć czołgów, przeplatanych bojowymi wozami piechoty i transporterami opancerzonymi. Za plecami Tuckera stali pułkownicy Alijew i Tołkunow, po rosyjsku rozmawiając przez telefony z dowództwem 265. DPZmot. W ciągu nocy przybyła wreszcie cała 201. Dywizja Pancerna oraz czołowe jednostki 80. i 44. Na miejscu były więc prawie trzy dywizje gotowe do powitania zbliżających się Chińczyków. Oprócz tego dysponowano wsparciem dywizyjnej artylerii. Tucker po raz pierwszy zobaczył też olbrzymią formację śmigłowców szturmowych, czatujących na ziemi trzydzieści kilometrów od miejsca przewidzianego kontaktu z nieprzyjacielem. Joe Żółtek jechał prosto w przygotowaną nań pułapkę.

Nagle przed kamerą „Grace Kelly” przemknął jakiś cień.

Były to cztery dywizjony uzbrojonych w Świnki myśliwców wielozadaniowych F-16C.

Poprzedniej nocy F-16 w wersji G wystąpiły w roli Łasic; przekroczyły Amur i zniszczyły stacje radarowe rakietami przeciwradarowymi HARM. I to właśnie pozbawiło stronę chińską informacji o przygotowywanej akcji. F-16C były naprowadzane przez dwa samoloty E-3B oraz osłaniane przez trzy dywizjony F-15C, na wypadek, gdyby pojawiły się jakieś myśliwce chińskie z pilotami chętnymi pożegnać się z życiem. Jednakże w ciągu minionych trzydziestu sześciu godzin nie zaobserwowano żadnej aktywności lotnictwa chińskiego. Lotnictwo chińskie przeprowadzało wyłącznie loty zwiadowcze nad swoimi własnymi bazami, prawdopodobnie po to, by zobaczyć, jak bardzo są one zniszczone amerykańskimi nalotami. Dzięki takiej sytuacji w powietrzu panowali Amerykanie i Rosjanie, a to była bardzo zła wiadomość dla Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

F-16 znajdowały się na pułapie dziewięciu tysięcy metrów, trzymając się na wschód od pola przyszłej bitwy. Znalazły się tu o kilka minut za wcześnie i dlatego krążyły, oczekując na hasło do natarcia. Ten niezwykle skomplikowany plan musiał opracować dyrygent orkiestry symfonicznej, pomyśleli piloci. Byle tylko nie złamał batuty.

– Zbliżają się – stwierdził Pasza z wystudiowaną nonszalancją.

– Odległość? – zapytał Aleksandrow celowniczego.

– Dwa tysiące sto metrów. W granicach naszego zasięgu – odparł Bujkow z wieżyczki. –

Widzę Lisa i Ogrodnika.

– Na chwilę zostaw ich w spokoju, Borysie Jewgieniewiczu.

– Tak jest, towarzyszu kapitanie. – Ten jeden raz Bujkow nie narzekał na zakaz strzelania.

– Jak daleko jeszcze mamy do naszego zwiadu? – spytał Peng.

– Dwa kilometry – odparł Ge przez radio. – To chyba nie jest dobry pomysł...

– Naprawdę robi się z ciebie stara baba, Ge.

– Towarzyszu generale, wypatrywanie wroga jest zadaniem poruczników. To nie robota dla generałów – tonem perswazji odparł dowódca dywizji.

– Dlaczego uważacie, że w pobliżu czai się nieprzyjaciel? – upierał się Peng.

– Jesteśmy w Rosji. Oni tu muszą gdzieś być.

- On ma rację, towarzyszu generale – poparł Ge pułkownik Wa Che-Gong.
- Bzdura. Ruszamy! Powiedźcie rozpoznaniu, żeby poczekał na nas. Dobry dowódca staje na czele natarcia.
- Niech to szlag! – mruknął do siebie siedzący w czołgu Ge. – Peng chce pokazać swoje *ji ji*. Jazda!
- rozkazał kierowcy w stopniu kapitana (całą załogę czołgu stanowili oficerowie).
- Pozwólmy cesarzowi pobawić się w zwiadowcę.

Typ 98 skoczył przed siebie, wyrzucając w powietrze dwie fontanny piasku. Generał Ge stał teraz przy otwartym głównym włączniku. Funkcję celowniczego pełnił major. Obowiązki swoje spełniał skrupulatnie, ponieważ w pewnym sensie życie dowódcy zależało od niego. A dobrze byłoby mieć żywego dowódcę w wypadku napotkania nieprzyjaciela.

- Dlaczego nie idą dalej? – zapytał Bujkow.

Chiński oddziałek zwiadowczy nagle zatrzymał się w odległości dziewięciuset metrów.

Stało się wszystko pięć pojazdów, a ich załogi wyszły na zewnątrz. Jedni się przeciągali, a pięciu od razu zapaliło papierosy.

- Muszą na coś czekać – pomyślał na głos kapitan Aleksandrow, po czym włączył radio.
- Tu Zielony Wilk, nieprzyjaciel zatrzymał się mniej więcej kilometr na południe od nas.
- Zauważyli was?
- Nie. Wyszli z pojazdów, siusiają i nic więcej. Są w naszym zasięgu, ale nie chcę strzelać, póki nie podjadą bliżej.

- Dobrze, nie śpiesz się.

– Zrozumiałem. Bez odbioru. – Odłożył mikrofon. – Może zrobili poranną przerwę? – rzucił głośno pytanie.

– Przez ostatnie cztery dni ani razu tego nie zrobili, towarzyszu kapitanie – przypomniał swemu dowódcy Bujkow.

- Wydają się zrelaksowani.

– Teraz mógłbym zabić każdego z nich – powiedział Fomin. – Tylko że to są wszystko szeregowi, z

wyjątkiem jednego...

– To jest nasz Lis. Porucznik. Lubi węszyć. Drugiego oficera nazywamy Ogrodnikiem.

Dokładnie ogląda drzewa – wyjaśnił Bujkow staremu żołnierzowi.

– Zabijanie poruczników to prawie to samo co zabijanie kaprali – stwierdził Fomin. – Jest ich za dużo.

– A to co? – spytał Bujkow. – Czołg! Nieprzyjacielski czołg zbliża się zza lewego stoku.

Odległość pięć tysięcy metrów.

– Widzę – potwierdził Aleksandrow. – Tylko jeden? Nie, za nim jedzie transporter opancerzony...

– To wóz dowodzenia! – wykrzyknął podniecony Bujkow. – Patrzcie na te wszystkie anteny na dachu!

Celownik działka Bujkowa dawał lepsze zbliżenie niż lornetka Aleksandrowa. Kapitan jeszcze przez minutę nie potrafił dostrzec anten. – To wóz dowodzenia – powiedział wreszcie.

– Ciekawe, kto też nim tu przyjechał?

– Tam są, towarzyszu generale! – wykrzyknął kierowca. – Jednostka zwiadowcza jest dwa kilometry przed nami.

– Doskonale – odparł Peng. Stał w otwartym górnym włazie wozu dowodzenia i obserwował teren przez lornetkę. Była to dobra lornetka japońska, Nikon. W czołgu o trzydzieści metrów na prawo jechał Ge, niczym dobry pies, który osłania swego pana: mandaryna lub cesarskiego dostojnika. Peng nie dostrzegł nic, co budziłoby niepokój. Dzień był słoneczny, po niebie na wysokości jakichś trzech tysięcy metrów wędrowały białe chmurki. Nie miał zamiaru martwić się amerykańskimi myśliwcami, choćby te znajdowały się na tym samym niebie. Poza tym nie słyszał, by amerykańskie myśliwce atakowały jakiegokolwiek cele na ziemi, oczywiście z wyjątkiem tych mostów koło Harbinu, którym i tak z pewnością nie mogły wyrządzić wielkiej szkody. Łatwiej było bombardowaniem zniszczyć górę, niż te mosty. Peng mocno trzymał się skraju włazu, gdyż na nierównym terenie pojazdem bardzo rzucało. Był to pojazd specjalnie przerobiony na użytek wyższych dowódców, ale nikomu nie przyszło do głowy, że wyższy dowódca może mieć ochotę, by z otwartego włazu patrzeć na pole walki, pomyślał ze złością Peng. Był dowódcą armii, a nie szeregowym, który mógł przez cały dzień objąć sobie głowę.

– Zatrzymaj się obok wozów zwiadowczych! – rozkazał kierowcy.

- Kto to, do cholery, jest? – zapytał Aleksandrow.
- Cztery wielkie anteny. Co najmniej dowódca dywizji – wysunął przypuszczenie Bujkow. – Moja trzydziestka może go załatwić.
- Nie. Dajmy szansę Paszy.
- Fomin tylko na to czekał. Oparł karabin o stalową krawędź błotnika i przycisnął kolbę do ramienia. Przeszkadzała mu tylko siatka maskująca, ale nie na tyle, by utrudnić trafienie.
- Ten ważniak przyjechał zobaczyć się z naszym Lisem? – spytał Bujkow.
- Na to wygląda – zgodził się kapitan.
- Towarzyszu generale! – wykrzyknął zdumiony młodzieńcy porucznik.
- Gdzie jest nieprzyjaciel, chłopcze? – spytał w odpowiedzi Peng.
- Nie pokazuje się. Znaleźliśmy jedynie ślady gąsienic. Ale od dwu godzin nie zauważyliśmy absolutnie nic.
- Absolutnie nic?
- Nic – powtórzył porucznik.
- To dobrze. A myślałem, że coś tu w okolicy jest. – Co powiedziawszy, Peng włożył nogę w skórzane strzemiono i wydzwignął się z wiązu na pancerz wozu dowodzenia.
- To generał! Patrzcie na jego czysty mundur! – wykrzyknął Bujkow i obrócił wieżyczkę, wycelowując działko w mężczyznę, który stał na pancerzu pojazdu w odległości ośmiuset metrów. Czyściutki, wyprasowany mundur. Tak jest we wszystkich armiach. Generałowie rzadko się brudzą.
- Pasza, zabiłeś kiedy nieprzyjacielskiego generała?
- Nie – odparł Pasza, przytulając kolbę do policzka.
- Wolałbym podjechać pod to wzgórze – powiedział porucznik generałowi. – Tam byłoby bezpieczniej, ale otrzymaliśmy rozkaz przez radio, by się zatrzymać.
- I słusznie. – Peng przyłożył do oczu japońską lornetkę i skierował ją na zbocze odległe o jakieś osiemset metrów. Nie ma tam nic, tylko jeden duży krzew...

Nagle coś błysnęło...

– Tak – powiedział Fomin z chwilą ściągnięcia spustu. Minie sekunda, nim pocisk...

Nawet nie usłyszeli strzału, gdyż zagłuszyły go silniki ich pojazdów, ale do pułkownika Wa dotarł głuchy dźwięk. Obrócił głowę i zdążył zobaczyć na twarzy generała Penga skurcz, raczej zdziwienia niż bólu. Peng jęknął, poczuwszy okropne uderzenie w samym środku piersi. Ręce opadły, pociągnięte dodatkowym ciężarem lornetki. Potem generał zgiął się w pół

i bezwładnie spadł do wnętrza pojazdu przez otwarty właz.

– Trafiony tam, gdzie trzeba – stwierdził Fomin. – Nie żyje. – O mało nie dodał, że warto by go obedrzeć ze skóry i wrzucić do złotodajnego strumienia, by „po raz ostatni się wykapał”. Starzec powstrzymał się jednak i pomyślał, że takie rzeczy można robić z wilkami, ale nie z ludźmi – nawet Chińczykami.

– Bujkow, załatw ich! – rozkazał Aleksandrow.

– Tak jest, towarzyszu kapitanie! – Działko przemówiło.

Nie słyszeli strzału, który zabił Penga, ale teraz nie mieli najmniejszej wątpliwości, że są ostrzeliwani. Dwa pojazdy natychmiast eksplodowały, ale pozostałe ruszyły i zaczęto z nich strzelać.

– Majorze! – zawołał do kierowcy czołgu generał Ge.

– Właśnie ładuję przeciwpancernym! – padła odpowiedź. Następnie oficer nacisnął

odpowiedni guzik automatu ładującego, ale jego mechanizm jest wolniejszy niż człowiek i potrzebował więcej czasu, żeby wepchnąć pocisk do zamka.

– Cofaj! – krzyknął Aleksandrow.

Diesel już pracował, wsteczny bieg był włączony. Kapral kierujący pojazdem docisnął

pedał i transporter skoczył do tyłu. Ruch był tak nagły, że Fomin omal nie wypadł na zewnątrz. Aleksandrow chwycił go za ramię i wciągnął do środka, przy okazji zdzierając sobie skórę z dłoni. – Jedź na północ! – polecił kierowcy.

- Rozwaliłem trzy pojazdy – pochwalił się Bujkow. W tym momencie coś przeleciało z rykiem nad ich głowami.
- Ten celowniczy w czołgu zna się na robocie – mruknął Aleksandrow. – Kapralu, zabierzcie nas stąd w cholerę!
- Tak jest, towarzyszu kapitanie.
- Zielony Wilk do dowództwa! – krzyknął Aleksandrow do mikrofonu.
- Słyszemy was, Wilk. Meldujcie.
- Zniszczyliśmy trzy nieprzyjacielskie pojazdy zwiadowcze i chyba trafiliśmy starszego oficera. To znaczy Pasza, sierżant Fomin, zabił, jak nam się wydaje, chińskiego generała.
- To był na pewno generał – odpowiedział z boku Bujkow. – Miał złote naramienniki. I jechał pojazdem dowodzenia z czterema antenami. Dużymi antenami. – Aleksandrow przez cały czas trzymał mikrofon przy ustach sierżanta.
- Odebrano. Co robicie teraz, Wilk?
- Spieprzamy stąd. Tu może zaroić się od Kitajców.
- Racja, Zielony Wilk. Wracajcie do dowództwa dywizji. Bez odbioru.
- Jurij Andriejewiczu! Za kilka minut czeka cię powitanie gości. Jaki masz plan?
- Najpierw spuszczę ze smyczy czołgi. Artyleria poczeka. Sprawimy im niespodziankę.
- Prawda, Giennadij? – spytał Sziniawski. – Jesteśmy gotowi.
- Zrozumiałem. Powodzenia, Jurij.
- A jak inni?
- Bojarzy w drodze, a Amerykanie mają za chwilę zaprezentować swoje Świnki. Jeśli uda ci się zatrzymać prowadzące chińskie jednostki, to nam uda się przetrzepać im tyłki.
- Jeśli o mnie chodzi, to możesz nie tylko przetrzepać im tyłki, ale i zerznąć ich córeczki, Giennadij.
- To byłoby *niekulturalno*, Jurij. Ich żony, tak, ale nie córki... Oglądamy was na ekranie...
- Zaraz uśmiechnę się do kamery – obiecał Sziniawski.

Krążące na wschód od sił chińskich myśliwce F-16 podlegały rozkazom generała Gusa Wallace'a, ale teraz całą operacją dowodził Rosjanin, generał Giennadij Bondarienko, a więc lotnictwo także teoretycznie mu podlegało. Z kolei Bondarienkę po zawłóściach sytuacyjnych oprowadzali major Tucker i „Grace Kelly”, bezzałogowy samolot zwiadowczy unoszący się nad przyszłym polem walki.

– Ruszyli, panie generale! – obwieścił Tucker, gdy chińskie jednostki wznowiły marsz na północ.

– No, to na nas czas. – Bondarienko spojrział na pułkownika Alijewa, który skinął głową.

Generał podniósł słuchawkę telefonu satelitarnego.

– Generał Wallace?

– Przy aparacie.

– Tu Bondarienko. Niech pan puszcza swoje samoloty.

– Zrozumiałem. – Wallace wziął do ręki inny mikrofon. – Orzeł Jeden, tu Jeździec.

Przystąpić do wykonania zadania.

– Potwierdzam, sir. Przystępuję do wykonania zadania. – Pułkownik w samolocie AWACS zmienił częstotliwość. – Cadillac, tu Orzeł Jeden. Wykonać zadanie.

– Odebrałem, Orzeł Jeden. Przystępuję do akcji.

F-16 krążyły ponad pojedynczymi chmurami. Detektory promieniowania radarowego mruczały, ostrzegając o emisjach radarów wyrzutni rakiet przeciwlotniczych gdzieś tam na ziemi, ale ponieważ maszyny latały tak wysoko, nie było bezpośredniego zagrożenia. Zresztą pokładowe urządzenia zagłuszające były włączone. Na dany rozkaz myśliwce wielozadaniowe zmieniły kurs, kierując się nad pole bitwy. GPS dokładnie ich informowały, gdzie w danym momencie się znajdują. Piloci wiedzieli także, gdzie znajdowały się ich cele.

Tak więc operacja przybrała charakter rutynowych ćwiczeń.

Świnki, czyli J-SOW, podwieszono się pod skrzydłami każdej z maszyn. Po cztery pociski na F-16C. Ponieważ w misji uczestniczyło czterdzieści osiem myśliwców, J-SOW

było w sumie 192. Pocisk typu J-SOW był pojemnikiem czterometrowej długości, o średnicy około siedemdziesięciu centymetrów, wypełnionym dwudziestoma bombami BLU-108. Piloci nacisnęli guziki, które zwalniały pociski i, po pozbyciu się wszystkich czterech, zawrócili do bazy, pozostawiając resztę maszynom. Nagrania z Dark Star poinformują ich później o rezultatach.

Świnki automatycznie wysunęły skrzydła, dzięki którym pojemniki samodzielnie kontynuowały lot nad wskazany obszar. Każdy J-SOW był wyposażony w komputer pokładowy, który określał parametry lotu nad cel, kierując się informacjami otrzymywanymi z odbiornika GPS. Komputery pilotowały pociski do chwili osiągnięcia przez nie pułapu tysiąca pięciuset metrów nad zaplanowanym obszarem. Następnie komputer wydał polecenie zrzutu BLU-108.

Był to teren zajmowany przez trzy dywizje 29. Armii, które składały się z prawie tysiąca czołgów, trzystu transporterów opancerzonych i ponad stu dział samobieżnych. W sumie 1.400 celów dla blisko czterech tysięcy opadających na ziemię bomb o wielkiej sile rażenia.

BLU-108 również były naprowadzane na cel. Każda z dwudziestu uwolnionych przez Świnę bomb miała własne naprowadzanie termolokacyjne, wychwytyjące bezbłędnie ciepło emitowane przez czołgi, transportery, działa samobieżne lub zwykłe ciężarówki. Na ziemi czekało mnóstwo celów.

Nikt nie zauważył spadającego gradu bomb. Były małe, nie większe od wron, spadały bardzo szybko, a ponadto były pomalowane na biało, co pozwalało im wtopić się w jasność porannego nieba. Każda z nich została wyposażona w prosty mechanizm sterowniczy i już na wysokości siedmiuset metrów nad ziemią zaczynały funkcjonować czujniki promieniowania podczerwonego. To oznaczało początek polowania na konkretny cel. Ich prędkość opadania była tak duża, że najmniejsze nawet odchylenie sterów, reagujących na polecenia z mikroprocesora, wystarczało, by skierować bombę na cel, czyli nadal spadały prawie pionowo.

BLU-108 wybuchały grupowo, niemal jednocześnie. Każda bomba zawierała około trzech czwartych kilograma specjalnie ukształtowanego materiału wybuchowego. Wyzwolona energia najpierw topiła metalową wkładkę kumulacyjną, a później zmieniała ją w rozgrzany do temperatury 3.000°C pocisk. Proces ten nazywano kumulacyjnym formowaniem pocisku –

bomba sama „produkowała” pocisk uderzający w pancerz z trzykrotną prędkością dźwięku.

Pancerz czołgu jest zawsze najcieńszy z góry, ale w tym przypadku nie zrobiłoby różnicy, gdyby był nawet pięć razy grubszy. Z dziewięciuset dwudziestu jeden czołgów trafionych zostało siedemset sześćdziesiąt dwa. Trzy dywizje pancerne przestały praktycznie istnieć.

Równie mało szczęścia miały transportery opancerzone, a najbardziej pechowe okazały się ciężarówki wiozące amunicję i materiały pędne.

Wystarczyło niespełna dziewięćdziesiąt sekund, by przekształcić 29. Armie w olbrzymie złomowisko i setki stosów pogrzebowych.

– Dobry Boże! – wykrzyknął Ryan. – Czy to dzieje się naprawdę? – Prezydent obserwował na ekranie przekaz z „Grace Kelly”.

– To śmierć na żywo, Jack. Ale wiesz co? Kiedy do mnie przyszli z tym projektem JSOW,

pomyślałem, że to jest coś z marnej powieści fantastyczno-naukowej. Potem zrobili mi pokaz w bazie China Lake i doszedłem do wniosku, że to chyba koniec wojny, jaką znaleźliśmy do tej pory. Wystarczy wysłać stado F-16, a potem na pole walki ciężarówkę z plastikowymi workami na trupy oraz paru duchownych, żeby się pomodlili. Prawda, Mickey?

– Świnki są niesamowite – zgodził się generał Moore. Potrząsnął głową i, patrząc na ekran, powiedział: – Cholera, dokładnie tak, jak na testach.

– No, dobrze, i co dalej? – spytał Ryan.

„Dalej” odbywało się na morzu niedaleko Kantonu. Dwa krążowniki wyposażone w system przeciwlotniczy Aegis, „Mobile Bay” i „Princeton”, oraz niszczyciele „Fletcher”,

„Fife” i „John Young” wypłynęły z porannej mgły i ustawiły się burtami do brzegu. Brzeg był

w tym miejscu piaszczysty. Całkiem ładna plaża, a za nią właściwie nic, oprócz stanowiska baterii obrony wybrzeża, przed paroma godzinami zaatakowanego przez myśliwce wielozadaniowe. Aby dokończyć dzieła okręty obróciły armaty na sterburtę i ostrzelały brzeg pięciocalowymi pociskami. Huk dział można było słyszeć bardzo daleko, podobnie jak i gwizd przelatujących pocisków, a następnie ogłuszające detonacje. Jedna z nich zniszczyła wyrzutnię raketową, której pilotom F-18 nie udało się trafić minionej nocy. Ludzie mieszkający w pobliżu dostrzegli na morzu szare sylwetki amerykańskich okrętów. Wielu zadzwoniło do władz, by o tym powiadomić, ale ponieważ dzwoniли cywile, niezbyt dobrze wiedzieli, co właściwie zobaczyli.

Wkrótce po dziewiątej rano w Pekinie, w trybie nadzwyczajnym zebrało się Biuro Polityczne. Niektórzy z obecnych spokojnie przespali całą noc i dopiero podczas śniadania dowiedzieli się przez telefon o niepokojących wydarzeniach.

Lepiej poinformowani prawie wcale nie spali i, chociaż wydawali się bardziej rozbudzeni niż ci pierwsi, nie byli weselsi.

– Powiedz nam, Luo, co się właściwie dzieje? – spytał minister spraw wewnętrznych, Tong Jie.

– Minionej nocy wróg przeprowadził kontratak. Tego, oczywiście, można było się spodziewać – odparł Luo najbardziej spokojnym i opanowanym głosem, na jaki pozwalały okoliczności.

– Jak poważny to był kontratak? – nalegał Tong.

– Najpoważniejsze było uszkodzenie kilku mostów kolejowych pod Harbinem i Beian.

Ich reperacja jest w toku.

– Mam nadzieję. Bo usunięcie zniszczeń potrwa kilka miesięcy – wtrącił Qian Kun.

– Kto opowiada takie bzdury? – zapytał ostro Luo.

– Ja, marszałku. Nadzorowałem budowę dwóch z tych mostów. Dziś rano zadzwoniłem do dyrektora okręgu kolejowego w Harbinie. Wszystkie sześć mostów zostało całkowicie zniszczonych. Miesiąc zajmie samo usuwanie gruzów. Przyznam się, że jestem zaskoczony.

Mosty były niesłychanie solidnie zbudowane, ale dyrektor powiedział, że żadnego z nich nie uda się odbudować.

– Kim jest defetysta, który wam to naopowiadał? – zagrzmiął Luo.

– Długoletnim lojalnym członkiem partii i bardzo kompetentnym inżynierem, któremu nikt nie będzie groził w mojej obecności – odpalił Qian. – W tym budynku jest miejsce na wiele rzeczy, ale nie ma miejsca na kłamstwa!

– Uspokój się, Qian – zabrał głos Zhang Han Sen. – Nie ma tu też miejsca na podobny język, Luo, jak naprawdę przedstawia się sytuacja?

– Ściągam moich saperów i wysyłam ich na miejsce, by ocenili stopień uszkodzenia mostów i rozpoczęli ich naprawę. Jestem pewien, że wkrótce będziemy mogli przywrócić ruch na liniach zaopatrujących syberyjską armię. Może tego nie wiecie, ale nasi saperzy są też wysoko wykwalifikowanymi specjalistami.

– Luo – ponownie zabrał głos Qian – twoi magicy od mostów może i potrafią zbudować przeprawę dla czołgów i ciężarówek, ale nie dla lokomotyw ważących dwieście ton i ciągnących składy o masie czterech tysięcy ton. Ale dość o mostach. Powiedz nam, co jeszcze poszło nie tak, jeśli idzie o naszą syberyjską wyprawę.

– Byłoby głupotą sądzić, że druga strona po prostu podkuli ogon i ucieknie, żeby wyzionąć ducha – zaczął Luo. – Oczywiście, że się odgryzają. Ale my mamy na Syberii potężne siły, wielokrotnie większe od nich. I rozbijemy wroga w puch. Nim to posiedzenie się skończy, złotodajne tereny będą w naszych rękach – obiecał minister obrony.

Nie wszyscy z obecnych w to uwierzyli.

– Co jeszcze się stało? – nalegał Qian.

– Amerykańska marynarka zaatakowała ubiegłej nocy i zatopiła kilka jednostek naszej Floty Morza Południowego.

– Konkretnie jakich jednostek?

– No cóż, nie możemy nawiązać łączności z naszym podwodnym okrętem z pociskami balistycznymi i...

– Zatopili naszą jedyną jednostkę strategiczną? – zapytał premier Xu. – Jak to mogło się stać? Czy znajdowała się w zatoce?

– Nie – przyznał Luo. – Była na pełnym morzu osłaniana przez inny okręt podwodny.

Ten drugi prawdopodobnie też straciliśmy.

– Wspaniale! – wykrzyknął Tong Jie. – Amerykanie likwidują nasz strategiczny arsenał!

Ten okręt to połowa naszego nuklearnego środka odstraszania. I to miała być ta bezpieczniejsza połowa. Co tu się dzieje, Luo? Co się stało?

Pochylony w fotelu Fang Gan zauważył, że Zhang jest dziwnie cichy, jakby ogłuszony biegiem wydarzeń. Normalnie rzuciłby się w obronę marszałka Luo, ale teraz, z wyjątkiem jednej uspokajającej uwagi na początku, zachowuje milczenie, pozostawiając ministra obrony na pastwę pytań i zarzutów. Cóż to może znaczyć?

– Co powiemy ludziom? – zapytał Fang, usiłując sprowadzić dyskusję na istotne tematy.

– Ludzie uwierzą w to, co im powiemy – oświadczył Luo.

Wszyscy nerwowo przytaknęli temu argumentowi. W końcu to oni kontrolowali media.

Pekińskie biuro CNN zostało zamknięte przez władze, podobnie jak przedstawicielstwa wszystkich innych zachodnich serwisów informacyjnych. Dotyczyło to również Hongkongu, który dotychczas nie doświadczał restrykcji, jakie obowiązywały w reszcie kraju. Ale temat, którego nikt nie poruszył, a który wszystkich bardzo absorbował, to matki. Każdy żołnierz miał matkę i ojca, którzy się dowiedzą, że stało się coś złego, kiedy od syna przestaną przychodzić listy. Wtedy wyjdzie sztydło z worka. Nawet w społeczeństwie tak ściśle kontrolowanym, jak to ma miejsce w ChRL, nie można ukryć całej prawdy. Poza tym zaczną krążyć plotki, które, chociaż niosą często nieprawdę, mogą okazać się gorsze w skutkach niż złe, ale prawdziwe wiadomości. Ludzie uwierzą w prawdę inną niż ta, którą ich poprzednio karmiono, jeśli ta nowa prawda będzie bardziej sensowna, niż ta Oficjalna Prawda zatwierdzona przez rząd w Pekinie.

Jakże często na tej sali obawiano się prawdy, pomyślał Fang, i po raz pierwszy w życiu zaczął się zastanawiać, dlaczego tak musiało być. Jeśli prawda jest czymś, czego należy się bać, to czy to nie oznacza, że oni tutaj postępują źle? Robią coś złego? Ale to chyba niemożliwe! Przecież zbudowali najlepszy model ustrojowy dla tej rzeczywistości, w jakiej żyją! Czyż to nie jest najcenniejszy podarunek pozostawiony dla obywateli przez Mao? Jeśli to jest jednak prawda, to dlaczego obawiali się, że ludzie zorientują się, co właściwie się dzieje? Czy to możliwe, że członkowie Politbiura radzą sobie z prawdą, natomiast społeczeństwo by nie potrafiło? Idąc dalej za tą myślą: jeśli oni się boją, że Prawda dotrze do chłopów, to czy to nie oznacza, że Prawda może być zabójcza dla ludzi na tej sali? A jeśli, z drugiej strony, Prawda jest zabójcza dla chłopów i robotników, to kto nie ma racji?

Fang zdał sobie nagle sprawę, jak niebezpieczne są myśli, które go nawiedziły.

– Powiedz nam, Luo, jakie to wszystko ma znaczenie – zażądał minister spraw wewnętrznych. – W sytuacji, kiedy Amerykanie zniszczyli połowę naszego potencjału strategicznego. Zrobili to świadomie? Jeśli tak, to w jakim celu?

– Okrętu nie zatapia się przypadkowo – odparł Luo. – Tak, atak na nasz okręt strategiczny był świadomy.

– Tak więc Amerykanie celowo usunęli jedyną broń, którą moglibyśmy ich zaatakować?

Dlaczego? Czy to nie było posunięcie bardziej polityczne niż wojskowe?

Minister obrony skinął głową.

– Owszem, można to tak postrzegać – odparł.

– Czy możemy się w takim razie spodziewać, że Amerykanie bezpośrednio nas zaatakują? Do tej chwili atakowali tylko mosty, ale co z rządem i gospodarką? Czy mogą uderzyć bezpośrednio w nas? – dopytywał się Tong.

– To byłoby z ich strony nierozsądne. Mamy rakiety międzykontynentalne, wycelowane bezpośrednio w ich główne miasta. Oni o tym wiedzą. Ponieważ niedawno sami dobrowolnie pozbyli się swych rakiet międzykontynentalnych, nie mogą odpowiedzieć uderzeniom odwetowym. Mają co prawda bomby atomowe, ale przenoszone na bombowcach i na samolotach wielozadaniowych. Nie mają możliwości zadania nam takiego ciosu, jaki zadać możemy my. Im i Rosjanom.

– Skąd możemy być pewni, że nie mają rakiet międzykontynentalnych? – spytał Tong, najbardziej dociekliwy ze wszystkich.

– Jeśli takowe mają, to ukryli je przed wszystkimi – odpowiedział Tan Deshi. – Nie, nie mają rakiet.

– I to nam daje przewagę, prawda? – zauważył Zong z diabelskim uśmiechem.

USS „Gettysburg” stał przycumowany do nabrzeża bazy Marynarki na rzece York.

Niegdyś na wyspie były składowane nuklearne głowice do rakiet Trident i chyba jeszcze pewna liczba tych głowic czekała na rozmontowanie, ponieważ wartę pełnili żołnierze piechoty morskiej, a tylko piechota morska miała prawo strzec nuklearnego arsenału Marynarki. Ciężarówki, które kolejno opuszczały magazyny, wiozły długie kontenery zawierające rakiety przeciwlotnicze SM-2ER Block IVD. Ciężarówki zatrzymywały się przy burcie i olbrzymi żuraw przenosił kontenery na przedni pokład okrętu, gdzie uwijali się barczyści marynarze, opuszczając je do luku, w którym znajdowały się pionowe silosy dziobowej wyrzutni raketowej. Umieszczenie jednej rakiety trwało około

czterech minut, co zaobserwował Gregory stojący w pobliżu dowódcy okrętu, przemierzającego nerwowo mostek. Gregory wiedział, dlaczego komandor jest niespokojny. Otrzymał rozkaz przyplłynięcia swym krążownikiem do Waszyngtonu. Rozkaz był uzupełniony słowami „bez zwłoki”, co w Marynarce wywiera takie samo wrażenie, jak telefon do męża o drugiej nad ranem ze szpitala położniczego, w którym przebywa żona. Wreszcie opuszczono dziesiąty kontener i żuraw odjechał od burty okrętu.

– Panie Richardson – zwrócił się komandor do oficera wachtowego.

– Słucham, sir! – odpowiedział porucznik

– Odbijamy.

Marynarze oddali sześciocalowe cumy i pomocniczy silnik zaczął odpychać dziesięć tysięcy ton stali od nabrzeża. Dowódcy musiało rzeczywiście bardzo się śpieszyć, bo ledwo burta znalazła się o pięć metrów od nabrzeża, a już zagrały główne silniki. Gregory poczuł

pod nogami dygot pokładu okrętu, który zmierzał w kierunku zatoki Chesapeake.

– Doktorze Gregory! – Komandor Blandy wychylił głowę zza drzwi mostku.

– Słucham, panie komandorze.

– Czy zechce pan zejść pod pokład i wprowadzić swój program do głowic?

– Oczywiście. – Gregory znał drogę i po trzech minutach siedział już przy terminalu komputerowym, który miał mu umożliwić wykonanie zadania.

– Cześć, doktorze! – powiedział starszy bosman sztabowy Leek, zajmując miejsce obok Gregory’ego.

– Już jest pan gotów? Mam panu pomagać.

– Dobrze, może pan się przyglądać. – Najprzykrzejsze dla Gregory’ego było to, że oprogramowanie systemu naprowadzania pocisków było równie przyjazne dla użytkownika jak piła łańcuchowa. Ale, jak to określił Leek przed tygodniem, system ten w 1975 roku był

szczytem nowoczesności, w czasach kiedy Apple II z 64 kilobajtami RAM był szczytem postępu. Teraz ręczny zegarek miał więcej mocy obliczeniowej. Oprogramowanie każdej rakiety musiało być poprawione osobno, a każde takie unowocześnianie składało się z siedmiu etapów.

– Zaraz – zaprotestował Gregory. – Coś tu się nie zgadza.

– Doktorze, załadowaliśmy sześć zestawów Block IV. Pozostałe dwa to standardowe SM-2ER Block IIC o naprowadzaniu radarowym. Co ja mogę zrobić? Komandor Blandy jest raczej konserwatystą.

– Więc mogę usprawnić tylko sześć?

– Niech pan przerobi wszystkie, panie doktorze. System w Block-111 po prostu zignoruje zmiany, jakie pan wprowadził do kodu termolokacji. Mikroprocesory w naszych ptaszkach poradzą sobie z dodatkowym kodem. Prawda, panie Olson?

– Prawda, bosmanie – odparł stojący za plecami Gregory’ego porucznik Olson. – SM-2 to nadal nowoczesna technologia, chociaż system komputerowy jest przestarzały.

Wyprodukowanie w nowej technologii głowic naprowadzających do tych szarych rupieci kosztowałoby prawdopodobnie więcej niż kupno nowego Gatewaya. Majątek trzeba by wydać, by usprawnić cały system, a nie wiadomo, czy byłby lepszy. Ale w tej sprawie musi pan porozmawiać z komisją kwatermistrzowską Marynarki.

– Tam właśnie siedzą ci geniusze, którzy odmawiają instalacji stabilizatorów na krążownikach. Uważają, że to zdrowo od czasu do czasu porzygać się za burtę.

– Liczyportki – prychnął Leek. – Pełno ich w Marynarce. W każdym razie na lądzie.

Okręt mocno się przechylił na sterburtę.

– Komandorowi bardzo się śpieszy – zauważył Gregory.

Krążownik raketowy dokonał pełnego skrętu przy dużej prędkości.

– Dowództwo Floty Atlantyku powiedziało, że to pomysł sekretarza obrony – poinformował gościa porucznik Olson. – Sprawa musi być cholernie ważna.

– Myślę, że to jest pochopne posunięcie – powiedział Fang.

– Dlaczego? – zapytał Luo.

– Czy zatankowanie paliwa do rakiet jest konieczne? Czy nie zostanie to odebrane jako prowokacja?

– Myślę, że to tylko problem techniczny – powiedział Qian. – O ile dobrze pamiętam, paliwo może pozostać w zbiornikach około dwunastu godzin, prawda?

Technokrata zaskoczył tym pytaniem ministra obrony. Luo nie umiał udzielić odpowiedzi.

– Muszę skonsultować to z szefostwem wojsk raketowych – przyznał.

– Proszę więc nie tankować paliwa, póki nie będziemy mieli okazji ponownie tego omówić – zalecił Qian.

- Oczywiście, że do tego czasu nie podejmę żadnych kroków – obiecał potulnie Luo.
- Pozostaje do rozstrzygnięcia pytanie, co powiemy ludziom na temat wydarzeń na Syberii?
- Ludzie uwierzą we wszystko, co im powiemy – powtórzył swoje poprzednie twierdzenie Luo.
- Towarzysze – odezwał się uroczyście Qian. – Nie możemy ukryć wschodu słońca.

Podobnie nie uda się nam ukryć załamania całego systemu transportu kolejowego. Nie uda się nam ukryć wielkiej liczby ofiar. Każdy żołnierz ma rodziców i kiedy wielu obywateli zorientuje się, że utracili synów, zaczną chórem narzekać. Musimy stawić czoło faktom.

Musimy to zrobić tu, na tej sali. Musimy powiedzieć ludziom, że toczy się okrutna wielka wojna i że wielu żołnierzy zginęło. Mówienie, że zwyciężymy, kiedy możemy przegrać, jest dla nas wszystkich niebezpieczne.

- Myślisz, że mogliby się zbuntować? – spytał Tong Jie.
- Tego nie mówię, ale obawiam się wzrostu niezadowolenia. W naszym wspólnym interesie jest temu zapobiec, mam rację? – spytał Qian.
- A niby jak mogłyby dotrzeć do publicznej wiadomości niekorzystne dla nas informacje? – nie rezygnował Luo.

– Często bywa, że wymykają się spod kontroli. Oczywiście możemy się na to przygotować i łagodzić owe niedobre wieści. Albo też możemy starać się je ukryć. W

pierwszym przypadku czeka nas po prostu głębokie zakłopotanie rządu. W drugim, jeśli się nie uda ukryć złych wieści, bardzo poważna sytuacja.

– Telewizja pokaże to, co będziemy chcieli, żeby pokazała, i ludzie niczego innego nie zobaczą. Poza tym właśnie teraz generał Peng zmierza do zwycięskiego finału.

– Jak się nazywają?

– Ta to „Grace Kelly”, a pozostałe dwie to „Marilyn Monroe” i... zapomniałem –

przyznał się generał Moore. – Tak czy inaczej, wszystkie nasze Dark Star noszą imiona gwiazd filmowych.

– Jak przekazują obraz?

– Bezpośrednio do satelity telekomunikacyjnego. Oczywiście, przekaz jest zakodowany.

My odbieramy obraz w Fort Belvoir i stamtąd rozsyłamy, dokąd potrzeba.

– Możemy więc to wysłać dokąd chcemy?

– Tak jest, panie prezydencie.

– Dobrze, Ed, a teraz mi powiedz, co chińskie kierownictwo mówi społeczeństwu?

– Zaczęli od tego, że to Rosjanie wdarli się na obszar ChRL. I że musieli odeprzeć napastników. Teraz mówią, że Rosjanie biorą w skórę.

– Co nie jest prawdą i stanie się całkowitą nieprawdą, gdy zostaną przez Rosjan za chwilę zatrzymani. Ten Bondarienko przepięknie to rozegrał. Chińczycy poszli zbyt szybko i zaszli zbyt daleko. Mają rozciągnięte linie zaopatrzenia, a wczoraj je kompletnie przecięliśmy. Lada moment wpadną w pułapkę. Nie uważa pan, generale?

– Zgadzam się z tym w pełni. Chińczycy nie mają pojęcia, co mają przed sobą i co ich czeka. W Akademii uczymy, że wojnę wygrywa ten, kto jest lepiej poinformowany. Rosjanie wiedzą wszystko. Chińczycy nie. Na Boga, informacje z Dark Star przeszły nasze oczekiwania.

– To piękna zabawka – zgodził się Jackson. – To tak jakby pojechać do Las Vegas i iść do kasyna z możliwością podglądania kart rozdawanych przez krupiera. Nie można przegrać.

– Wiecie, dlaczego przegraliśmy w Wietnamie? – Prezydent pochylił się konfidencjonalnie nad biurkiem. – Mówię o jednym z powodów naszej porażki. Otóż chodzi o wizerunek tej wojny, jaki kreowały media w Ameryce. Jak zareagowałiby Chińczycy, gdyby na swoich ekranach telewizyjnych zobaczyli wojnę podobnie przedstawianą, ale na żywo?

– Na przykład bitwę, która się szykuje? Byliby wstrząśnięci – stwierdził Ed Foley. – Ale jak... Już rozumiem! Cholera jasna, Jack Mówisz serio?

– To wykonalne? – spytał Ryan.

– Od strony technicznej? Dziecinna sprawa. Moim jedynym zastrzeżeniem mogłoby być to, że im mniej ludzi wie o naszym cudeńku, tym lepiej. Dark Star powinien być pielęgnowany i chroniony, podobnie jak nasze satelity zwiadowcze. Takiego wynalazku nie wyklada się na stragan.

– Niby dlaczego? Lada chwila jakiś uniwersytet wyskoczy z podobną optyką – odezwał się prezydent.

– Z optyką może, bo to nic specjalnie nowego. Pozostają jednak inne elementy, między innymi system termowizji, ale mimo to...

– Ed, założmy, że wywołalibyście szok, który oznaczałby koniec wojny. Ile ocalałoby istnień

ludzkich?

– Sporo – przyznał Foley. – Tysiące, a kto wie, czy nie dziesiątki tysięcy.

– W tym wielu Amerykanów?

– Tak, Jack, ocalałoby również wielu Amerykanów.

– I mówisz, że z technicznego punktu widzenia to nic trudnego wpuścić im obraz na monitory komputerów?

– Dziecinna zabawa.

– No to każ się dzieciom bawić, Ed! Od razu.

– Tak jest, panie prezydencie.

Rozdział 59

Utrata kontroli

Po śmierci generała Penga dowództwo 34. Armii Uderzeniowej spoczęło w rękach generała Ge Li. Zgodnie z jego pierwszym rozkazem, wycofano się ze wzgórza znajdującego się pod ostrzałem. Zwłoki Penga sprowadzono transporterem opancerzonym. Przede wszystkim Ge musiał zorientować się co się stało. Pomści śmierć swojego dowódcy później.

Powrót do sztabu zajął mu dwadzieścia minut. Musiał dostać się do radiostacji, ponieważ z niewiadomych przyczyn telefony polowe odmówiły posłuszeństwa.

– Połączcie mnie z marszałkiem Luo – powiedział operatorowi, który połączył się z Pekinem za pośrednictwem kilku stacji przekaźnikowych. Po uzyskaniu połączenia dowiedział się, że musi poczekać jeszcze dziesięć minut, ponieważ minister jest na posiedzeniu Politbiura. Wreszcie w słuchawce odezwał się znajomy głos.

– Luo, słucham.

– Melduje się generał Ge Li, dowódca 302. Dywizji Pancерnej. Generał Peng Xi-Wang nie żyje.

– Co się stało?

– Udał się na linię frontu wraz z oddziałem zwiadowców i został zastrzelony przez snajpera. Wygląda na to, że oddział wpadł w przygotowaną przez Rosjan zasadzkę.

– Rozumiem. Jak przedstawia się sytuacja? – zapytał minister.

– 34. Uderzeniowa naciera... a właściwie nacierała. Kazałem zatrzymać natarcie, żeby zreorganizować sztab. Oczekuję na instrukcje, towarzyszu ministrze.

– Macie kontynuować natarcie i zająć kopalnię złota. Po jej zabezpieczeniu, skierujcie natarcie na północ w stronę pól roponośnych.

– Tak jest, towarzyszu marszałku. Muszę jednak donieść, że 29. Armia, która znajduje się na naszym bezpośrednim zapleczu, godzinę temu została zaatakowana przez nieprzyjaciela i poniosła poważne straty.

– Jak poważne?

– Raporty są bardzo ogólnikowe, ale nie wygląda to dobrze.

– Jakiego rodzaju był to atak?

– Z powietrza. Jak już powiedziałem, brak dokładnych danych.

W słuchawce przez kilka sekund panowało milczenie, – Kontynuujcie natarcie. Na zapleczu 29. jest 43. Armia. Ona zapewni wam wsparcie. Musicie tylko uważać na lewą flankę.

– Mój zwiad donosi o obecności rosyjskich oddziałów na zachód od moich pozycji – powiedział Ge. – Muszę przerzucić dywizje zmechanizowane na lewe skrzydło, ale...

– Ale co? – zapytał Luo.

– Towarzyszu marszałku, nie mam żadnych danych wywiadowczych o tym co jest przed naszą rubieżą rozwinięcia ataku. Bez tych informacji nie mogę nacierać.

– Jeśli błyskawicznie przełamiecie obronę wroga, nie będą wam potrzebne żadne informacje. Rosjanie nie mają na Syberii odwodów – warknął Luo. – Macie nacierać!

Zrozumiano?

– Tak jest, towarzyszu marszałku. – Ge w takiej sytuacji nie pozostało nic więcej do powiedzenia.

– Meldujcie o postępach natarcia.

– Tak jest.

Głos w słuchawce został zastąpiony przez szum zakłóceń.

– Chyba słyszeliście, pułkowniku – zwrócił się Ge do pułkownika Wa Cheng-Conga, którego właśnie odziedziczył jako szefa sztabu po zabitym generale. – Jaka jest wasza opinia?

– Musimy nacierać.

Ge skinął głową. – Wydajcie odpowiednie rozkazy.

Wędrówka rozkazów drogą służbową na szczeble batalionu zajęła około czterech minut.

Po kolejnych dwóch minutach jednostki ruszyły do natarcia.

Nie potrzebujemy teraz informacji od zwiadu, pomyślał pułkownik Wa. Za łańcuchem wzgórz, na których Peng zginął w tak głupi sposób, nie było żadnych jednostek pancernych.

Wa z gniewem pokręcił głową. Przecież go ostrzegałem. Ostrzegał go też Ge. Generał zawsze może spotkać śmierć na polu bitwy. Ale zginąć od kuli snajpera, to gorzej niż głupota. Jeden pocisk zniszczył trzydzieści lat gromadzenia wiedzy wojskowej!

– Ruszają do natarcia – powiedział major Tucker, widząc kłęby błękitnych spalin, wydobywających się z rur wydechowych czołgów i transporterów opancerzonych. – Są jakieś sześć kilometrów od

waszej pierwszej linii czołgów.

– Szkoda, że nie możemy podrzucić jednego z tych terminali Sziniawskiemu – powiedział

Bondarienko.

– Nie mamy ich zbyt wiele – przyznał Tucker. – Sun Micro Systems jest w stanie wyprodukować zaledwie kilka sztuk miesięcznie.

– Dzwonił generał Ge Li – powiedział Luo do pozostałych członków Politbiura. –

Generał Peng został zabity przez snajpera.

– Jak do tego doszło? – zapytał premier Xu.

– Peng wybrał się na pierwszą linię, tak jak powinien robić dobry dowódca, i jakiś rosyjski snajper miał szczęście – wyjaśnił minister obrony. W tym momencie do sali wszedł

jeden z jego adiutantów i podał marszałkowi kartkę. Luo przeczytał uważnie jej treść. – Ta wiadomość jest potwierdzona?

– Tak jest, towarzyszu marszałku. Osobiście odebrałem potwierdzenie meldunku. Okręty są wciąż w zasięgu wzroku z lądu.

– Jakie okręty? O co chodzi? – zapytał Xu. Jak na niego było to nietypowe zachowanie.

Zazwyczaj pozwalał, by inni członkowie Politbiura wypowiadali się jako pierwsi i wygłaszał swoją opinię jako ostatni.

– Towarzysze – oświadczył Luo. – Amerykańskie okręty ostrzeliwiają nasze wybrzeże w okolicach Guangszou.

– Ostrzeliwiają? – z niedowierzaniem zapytał Xu.

– Tak wynika z raportu.

– Dlaczego mieliby to robić?

– Prawdopodobnie chcą zniszczyć nasze umocnienia brzegowe i...

– Czy nie tak postępuje się podczas przygotowań do desantu? – przerwał mu minister spraw zagranicznych Shen.

– To oczywiście możliwe – odparł Luo. – Ale...

– Desant? – zapytał Xu. – Bezpośredni atak na naszą ziemię?

– Do tego nie dojdzie – zapewnił Luo. – Amerykanie nie dysponują odpowiednią ilością środków do przeprowadzenia inwazji. Nie mają do tego wystarczającej liczby wojsk...

– A jeśli otrzymają pomoc od Tajwanu? Jakimi siłami dysponują ci bandyci? – zapytał

Tong Jie.

– Owszem, mają jednostki lądowe – przyznał Luo. – Ale dysponujemy wystarczającymi siłami i środkami, by...

– Tydzień temu powiedzieliście nam, że dysponujemy wystarczającymi siłami i środkami, by pokonać Rosjan, nawet gdyby otrzymali pomoc z Ameryki – zauważył Qian. –

Jaką bajeczkę teraz nam opowiecie?

– Bajeczkę?! – ryknął marszałek. – Podaję wam tylko fakty!

– Ale czego nam nie podałeś, Luo? – zapytał szorstko Qian. – Nie jesteśmy wieśniakami, żeby nam mówić w co mamy wierzyć.

– Rosjanie stawiają opór. A nawet kontratakują. Te fakty wam podałem i mówiłem, że takiego obrotu sprawy należy się spodziewać. Toczmy z Rosjanami wojnę. A wojna to nie włamanie do opuszczonego domu. To zbrojny konflikt pomiędzy dwoma mocarstwami. I zwyciężymy w tym konflikcie, ponieważ mamy więcej wojsk i są one lepiej wyszkolone.

Zmiotliśmy ich obronę i nacieramy na północ. Rosjanie nie mają odwagi wydać nam walnej bitwy! Zmiażdżymy ich. Oczywiście, będą stawiać opór, ale i tak ich zwyciężymy!

– Czy są jakieś informacje, którymi z nami się nie podzieliłeś? – zapytał minister spraw wewnętrznych Tong.

– Mianowałem generała Ge dowódcą 34. Armii Uderzeniowej. Zameldował mi właśnie, że 29. Armia została zaatakowana przez samoloty nieprzyjaciela. Na razie brak dokładnych danych, prawdopodobnie nieprzyjaciel uszkodził systemy łączności, ale wiadomo, że atak z powietrza nie może w poważnym stopniu zaszkodzić jednostce tej wielkości.

– I co teraz? – zapytał premier.

– Proponuję przerwę w obradach, by marszałek Luo mógł zorientować się w sytuacji na froncie – zaproponował Zhang Han Sen. – Wznowimy obrady, powiedzmy, o szesnastej.

Propozycja została przyjęta. Wszyscy członkowie Politbiura chcieli przemyśleć otrzymane informacje.

Poranne spotkanie członków Politbiura zakończyło się bez zwyczajowych uprzejmości i pogaduszek. Na zewnątrz sali Qian zaciągnął Fanga do kąta.

– Dzieje się coś złego. Czuję to.

– Co masz na myśli?

– Fang, nie mam pojęcia jakiej broni użyli Amerykanie, ale moi ludzie zapewniali mnie, że zniszczenie mostów kolejowych nie będzie takie łatwe. Co więcej, naloty zostały przeprowadzone w ściśle określonej kolejności. Amerykanie – bo to musieli być Amerykanie

– praktycznie odcięli nasze dostawy na front. Taką akcję przeprowadza się jedynie wtedy, gdy planuje się zmasowany atak. A na domiar złego dowódca naszych wojsk ginie zabity przez przypadkową kulę snajpera. I ja mam uwierzyć w taki przypadek? Fang, Luo prowadzi nas prosto do katastrofy.

– Więcej dowiemy się po południu – powiedział Fang. Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę swego gabinetu. Już po chwili dyktował sekretarce kolejny rozdział dziennika. Po raz pierwszy pomyślał, że coraz bardziej zaczyna on przypominać testament.

Ming była zaniepokojona zachowaniem Fanga. Mimo zaawansowanego wieku, zawsze był optymistycznie nastawiony do życia. Zawsze zachowywał się jak dżentelmen w starszym wieku, nawet jeżeli akurat wciągał jedną ze swoich sekretarek do łóżka. To był jeden z powodów, dla których jego personel darzył go szacunkiem – w końcu dbał o tych, którzy zaspokajali jego potrzeby. Jednak teraz dyktował jej monotonnym głosem, z zamkniętymi oczami opierając głowę o zagłówek fotela. Dyktowanie zajęło mu pół godziny, po czym Ming przeszła do swojego biurka i wprowadziła zapis do komputera. Kiedy skończyła, nadeszła akurat pora posiłku, na który wybrała się razem z Chai.

– Co się z nim dzieje? – zapytała Chai Ming.

– Poranne zebranie Politbiura nie poszło najlepiej. Fang martwi się sytuacją na froncie.

– Przecież w telewizji pokazują, że wszystko idzie dobrze.

– Wygląda na to, że pojawiły się jakieś komplikacje. Amerykanie zniszczyli mosty kolejowe w Harbinie i Bei'an.

– Rozumiem. – Chai nabrała pałeczkami kolejną porcję ryżu. – Jak przyjął to Fang?

– Widać, że jest zdenerwowany. Może powinien się trochę rozerwać wieczorem?

– Nie ma sprawy. Chętnie się nim zajmę. Też przydałoby mi się nowe krzesło – dodała z chichotem.

Posiłek przeciągnął się nieco dłużej niż zwykle. Ming bez pośpiechu wróciła do biura, starając się wyczuć nastrój ludzi na ulicy. Nie dostrzegła niczego niezwykłego.

Po powrocie do biura zobaczyła, że komputer włączył wygaszacz monitora. Mimo że ekran był ciemny, nagle uruchomił się napęd twardego dysku.

Mary Pat Foley wciąż była w swoim gabinecie, chociaż minęła już północ. Co mniej więcej piętnaście minut sprawdzała pocztę elektroniczną, mając nadzieję na wiadomość od SORGE.

– Masz wiadomość – oznajmił syntetyczny głos.

– Tak! – wykrzyknęła z podnieceniem, otwierając dokument. Podniosła słuchawkę. –

Dawajcie tu Searsa.

Przez chwilę wpatrywała się w ekran. Wiadomość wyszła z Pekinu wczesnym popołudniem miejscowego czasu. Ciekawe dlaczego? W jej branży wszelkie odstępstwa od procedury mogły skończyć się tragicznie. W tym przypadku dla Skowronka.

– Pracujesz w nadgodzinach? – zapytał w progu Sears.

– A kto nie? – odparła Mary Pat. Podała mu jeszcze ciepły wydruk. – Czytaj.

– Posiedzenie Politbiura, dla odmiany przed południem – powiedział Sears, przebiegając wzrokiem wydruk. – Atmosfera nie była zbyt przyjemna. Qian urządził prawdziwą awanturę... Aha, po zebraniu wziął na stronę Fanga i wyraził poważne obawy... Umówili się na kolejne spotkanie po południu... O, cholera!

– Co?

– Omawiali propozycję podniesienia stanu gotowości ich rakiet międzykontynentalnych...

Chwileczkę... Jeszcze niczego konkretnego nie ustalili. Nie wiedzieli ile dokładnie czasu rakiety mogą stać w silosach z zatankowanym paliwem. Po południu mieli uzyskać dokładne dane od wojskowych... Wygląda na to, że są wstrząśnięci zatonięciem ich strategicznego okrętu podwodnego...

– Sprządź notatkę. Wyślemy ją jako krytyczną – oznajmiła zastępczyni dyrektora CIA.

„Krytyczna” jest określeniem oznaczającym w nomenklaturze rządu Stanów Zjednoczonych najwyższy priorytet wiadomości. Depesze z takim nagłówkiem muszą znaleźć się w rękach prezydenta w ciągu piętnastu minut od ich otrzymania. Co oznaczało, że Joshua Sears musiał błyskawicznie sporządzić swój raport i przepisać go najszybciej jak umiał – a to mogło doprowadzić do pomyłek w tłumaczeniu.

Ryan spał nie dłużej niż pół godziny, kiedy zadzwonił telefon przy jego łóżku.

– Tak?

– Panie prezydencie – odezwał się jakiś bezosobowy głos w słuchawce – mamy dla pana krytyczną.

– W porządku. Dajcie ją na górę. – Jack podźwignął się z łóżka i postawił stopy na dywaniku. Zanim został prezydentem, nie zdarzało mu się poruszać po domu w szlafroku.

Tak jak miliony innych ludzi na świecie, paradował po domu w piżamie, jednak nie w Białym Domu. W Białym Domu zawsze pod ręką miał niebieski szlafrok – podarunek od podchorążych, kiedy jeszcze wykładał historię w Akademii Marynarki. Na lewym rękawie szlafroka widniały dystynkcje admirała: jeden szeroki pasek i cztery węższe. Po założeniu skórzanych pantofli wyszedł na korytarz piętro nad sypialnią. Ludzie z Tajnej Służby już na niego czekali.

– Krytyczna zaraz będzie – zameldował Joe Hilton.

Ryan, który wciąż nie mógł przyzwycząć się do tego, że ostatnio sypia przeciętnie pięć godzin na dobę, odczuwał pokusę, żeby komuś dołożyć – obojętnie komu.

Oczywiście nie mógł tego zrobić ludziom, którzy jedynie wypełniali swoje obowiązki i spali równie mało i nieregularnie jak on.

Przed drzwiami windy stanął agent specjalny Charlie Malone. Wziął plastikową teczkę od posłańca i szybkim krokiem podszedł do Ryana.

– No, dobra – mruknął Jack, rozwiązując tasiemki teczki. Po przeczytaniu pierwszych trzech linijek poczuł, że opuszcza go senność. – Niech to szlag!

– Coś nie w porządku? – zapytał Hilton.

– Telefon – warknął Ryan.

– Tędy, sir – powiedział Hilton, prowadząc prezydenta do pokoju Tajnej Służby. Ryan podniósł słuchawkę i rzucił: – Dajcie mi Mary Pat w Langley. – Po dziesięciu sekundach powiedział: – MP, tu Jack. Co się dzieje?

– Wiemy tylko to co jest w depeszy. Na Politbiurze mówili o tankowaniu ich rakiet międzykontynentalnych. Przynajmniej dwie z nich są wycelowane w Waszyngton.

– Świetnie. Co teraz?

– Kazałam ludziom od KH-11, żeby przyjrzel się dokładnie ich silosom raketowym.

Mają dwa kompleksy wyrzutni. Ten który nas interesuje, jest w Xuanhua. Czterdzieści stopni,

trzydzieści osiem minut szerokości północnej, sto piętnaście stopni, sześć minut długości wschodniej. Kompleks składa się z dwunastu silosów z raketami CSS-4. To nowy typ, który zastąpił te wystrzeliwane z tuneli lub jaskiń wykutych w zboczach gór. Kompleks ma powierzchnię dziesięć na dziesięć kilometrów. Silosy są oddalone od siebie, więc nie wchodzi w rachubę pojedyncze uderzenie nuklearne – mówiąc te słowa, MP mimowolnie podniosła wzrok ku niebu.

– Jak poważnie to wygląda?

W słuchawce odezwał się nowy głos. – Jack, tu Ed. Musimy sytuację potraktować bardzo poważnie. Bombardowanie chińskiego wybrzeża pewnie ich cholernie wkurzyło. Ci kretyni mogli pomyśleć, że naprawdę szykujemy się do inwazji.

– Jakim cudem? Przecież nie mamy sprzętu desantowego. Muszą o tym wiedzieć.

– Jack, Chińczycy potrafią myśleć w bardzo wyspiarski sposób. Ich logika nie zawsze jest podobna do naszej.

– Po prostu rewelacja. No, dobra, przyjeżdżajcie tu i zabierzcie ze sobą najlepszego fachowca od Chin.

– Zaraz będziemy – odparł dyrektor CIA.

Ryan odłożył słuchawkę i spojrzał na Joe Hiltona. – Obudźcie wszystkich. Możliwe, że Chińczycy chcą nam się dobrać do tyłka.

Żegluga Potomakiem nie należała do łatwych zadań nawigacyjnych. Komandor Blandy nie chciał czekać na pilota, który miał poprowadzić ich w górę rzeki – oficerowie Marynarki z reguły są niesłuchanie czuli na punkcie dowodzenia ich okrętami – tak więc atmosfera na mostku nie przypominała rejsu po Karaibach. W większości miejsc rzeka nie przekraczała czterystu metrów szerokości, a krążownik raketowy w końcu to nie łódka wiosłowa. W

pewnym momencie znaleźli się w odległości zaledwie dziesięciu metrów od błotnistego brzegu. Radar okrętu oczywiście pracował na wszystkich pasmach – nie dlatego, że były akurat potrzebne przy nawigacji rzecznej, raczej dlatego, że mechanizm czterech skrzynkowych anten był mało odporny na częste wyłączenia. Podobnie jak większość urządzeń elektronicznych, systemy te „wolały” pracować, niż pozostawać w stanie gotowości.

Przy ich wyłączeniu i włączaniu z reguły dochodziło do przepięć i drobnych awarii.

Gigantyczna energia w paśmie radarowym wyprawiała niezwykle harce z odbiorem telewizyjnym w promieniu kilku kilometrów, ale nic na to nie można było poradzić, a poza tym w środku nocy i tak mało kto zauważyłby USS „Gettysburg” podczas jego podróży w górę rzeki. Po dwóch godzinach krążownik zatrzymał się w pobliżu mostu Woodrowa Wilsona, by poczekać na zamknięcie ruchu na obwodnicy Beltway. Oczywiście nie obyło się bez pyskówek między policją a wściekłymi kierowcami, ale o tej porze nie było ich tak znowu wielu, chociaż kilku z nich gniewnie nacisnęło na

klaksony, kiedy majestatyczna sylwetka „Gettysburga” przepływała obok podniesionego przęsła mostu. To pewnie nowojorczyki, pomyślał komandor Blandy. Ci faceci nie potrafią za kółkiem zapanować nad emocjami. Po wpłynięciu na rzekę Anacostia i pokonaniu mostu Johna Philipa Sousy, USS

„Gettysburg” ostrożnie zacumował przy nabrzeżu, tuż obok niszczyciela-muzeum z czasów drugiej wojny światowej, USS „Berry”.

Ludzie na nabrzeżu, którzy odbierali cumy, w większości byli cywilami. Do czego to doszło, pomyślał, kręcąc głową, komandor.

– Maszyny stop – wydał wreszcie komendę i odetchnął głęboko z ulgą.

– Panie komandorze? – zapytał doktor Gregory.

– Tak?

– O co w tym wszystkim chodzi?

– To chyba oczywiste – odparł Blandy. – Prowadzimy wojnę z Chinami. Oni mają rakiety międzykontynentalne i wygląda na to, że sekretarz obrony woli mieć możliwość zestrzelenia ich, jeżeli jakaś zbłądzi nad Waszyngton. Inny nasz okręt z systemem Aegis płynie do Nowego Jorku i założę się, że Flota Pacyfiku wyśle swoje jednostki do Los Angeles i San Francisco. Prawdopodobnie też do Seattle. Ma pan swoją wersję oprogramowania?

– Oczywiście.

– Za kilka minut podłączą nam linię telefoniczną z lądu. Byłoby niezłe, gdyby przesłał je pan pocztą elektroniczną innym zainteresowanym.

– Jasne. – Doktor Gregory pokiwał głową. Naprawdę powinien sam na to wpaść.

– Tu Czerwony Wilk Cztery. Mam kontakt wzrokowy ze zwiadowcami Chińczyków –

powiedział przez radio dowódca pułku. – Jakies dziesięć kilometrów na południe od nas.

– Zrozumiałem – odparł Sziniawski. Chińczycy byli dokładnie tam gdzie spodziewali się ich Bondarienko i jego amerykańscy pomocnicy. Świetnie. W punkcie dowodzenia było jeszcze dwóch generałów, dowódców 80. Dywizji Piechoty i 201. Dywizji Zmechanizowanej.

Spodziewano się też przybycia dowódcy 34. Dywizji. 94. Dywizja była w trakcie przegrupowania, by zaatakować Chińczyków trzydzieści kilometrów na południe.

Sziniawski wyjął z ust niedopałek cygara i wyrzucił go na trawę. Wyjął z kieszeni bluzy mundurowej następne i zapalił je. Cygara pochodziły z Kuby i, jako takie, nie mogły być złe.

Dowódca artylerii stał po drugiej stronie stołu z rozłożoną mapą. Kilka metrów obok żołnierze wykopali dwa schrony, na wypadek gdyby Chińczycy przeprowadzili ostrzał

artyleryjski. Zgodnie z regułami sztuki wojskowej centrum łączności ulokowane zostało ponad kilometr na północ – Chińczycy z pewnością w pierwszej kolejności zaatakowałyby to miejsce. W sztabie oprócz czterech oficerów było tylko trzech sierżantów i dwóch szeregowych.

– A więc, towarzysze, sami pchają nam się w łapy, co? – powiedział do swoich podwładnych.

Sziniawski służył w wojsku przez dwadzieścia sześć lat. Jego ojciec nie był oficerem, co wśród zawodowych wojskowych należało do rzadkości. Ojciec był wykładowcą na Wydziale Geologii Uniwersytetu Łomonosowa. Po obejrzeniu pierwszego w swoim życiu filmu wojennego, a w ZSRR produkowano je setkami, Sziniawski junior zdecydował, że zwiąże swoją przyszłość z żołnierką. Przeszedł przez wszystkie szczeble wyszkolenia wojskowego, a jego osobistym hobby stała się historia wojskowości. Zaraz tu się rozegra druga bitwa na Łuku Kurskim, obiecał sobie w duchu, przypominając sobie starcie z czasów II wojny światowej, podczas którego Rokossowski i Watutin rozwiali marzenia Hitlera o przejęciu inicjatywy na froncie wschodnim. Od tego miejsca rozpoczął się marsz na Zachód, który rosyjscy żołnierze zakończyli przed Bramą Brandenburską w Berlinie. Wtedy Rosjanie nie mieli sobie równych, jeżeli chodzi o wojska lądowe.

I dzisiaj historia się powtórzy, pomyślał Sziniawski. Chociaż oddałby wszystko, żeby stanąć teraz ramię w ramię ze swoimi żołnierzami, wiedział, że będzie przez całą bitwę ślęczyć nad tą cholerną mapą. W końcu nie był już kapitanem.

– Czerwony Wilk, otworzysz ogień, kiedy przeciwnik zbliży się na odległość ośmiuset metrów.

– Tak jest, osiemset metrów, towarzyszu generale – potwierdził odebranie rozkazu dowódca pułku czołgów. – Wyraźnie widzę przeciwnika.

– Melduj.

– Oddział w sile batalionu, w większości Typ 90, kilka Typ 98, ale niezbyt wiele.

Kilkanaście pojazdów opancerzonych na gąsienicach. Nie widzę żadnych pojazdów obserwacji artyleryjskiej. Co wiemy o ich artylerii?

– Właśnie ją podciągają, ale w ciągu najbliższych minut nie będą w stanie otworzyć ognia. Obserwujemy ich bez przerwy – zapewnił go Sziniawski.

– Są teraz dwa kilometry od nas.

– Czekaście.

– Tak jest, towarzyszu dowódco.

– Nienawidzę czekania – powiedział do skupionych wokół siebie oficerów Sziniawski.

Pokiwali zgodnie głowami. Sziniawskiego ominęła brudna wojna w Afganistanie; służył

wtedy w 2. Armii Pancerniej Gwardii w NRD, przygotowując się do walki z NATO, do czego na szczęście nie doszło. Dziś weźmie udział w pierwszej prawdziwej bitwie.

– Okay, co możemy zrobić, jeżeli odpalą rakiety? – zapytał Ryan.

– Jeżeli rakiety opuszczą silosy, trzeba cholernie szybko spieprzać do schronu – odparł sekretarz obrony Bretano.

– To dobra rada, jeżeli chodzi o nas. Prezydent i reszta rządu wsiądą w samoloty i polecą w bezpieczne miejsce. A co z ludźmi, którzy mieszkają w Waszyngtonie i Nowym Jorku, i w innych narażonych na atak miastach? – zapytał prezydent.

– Poleciałem zacumować krążowniki rakietowe z systemem Aegis w miastach na wybrzeżu, które są najbardziej prawdopodobnymi celami dla Chińczyków – odparł Piorun. –

Jeden z moich ludzi właśnie instaluje udoskonalone oprogramowanie w systemach antyrakietowych na krążownikach. Po testach na symulatorach, facet twierdzi, że uzyskał sto procent zestrzeleń rakiet balistycznych. Ale, oczywiście, nie przeprowadziliśmy prób poligonowych. Lepsze to jednak niż nic.

– Gdzie są te okręty?

– Jeden z nich jest już przy nabrzeżu. USS „Gettysburg”. Trzy inne płyną właśnie do Nowego Jorku, Los Angeles i San Francisco. Obstawiliśmy też Seattle, chociaż według naszych danych nie będzie ono celem ataku. W ciągu godziny wszystkie powinny już mieć udoskonalone oprogramowanie.

– Dobrze, to już coś. Czy możemy unieszkodliwić chińskie rakiety, zanim zostaną wstrzelone? – zapytał Ryan.

– Rok temu Chińczycy wzmocnili osłony swoich silosów. Na zbrojonym betonie postawili stalowe pokrywy w kształcie stożków, zupełnie jak te ich kapelusze.

Prawdopodobnie wytrzymają bezpośrednie trafienie większości bomb, ale nie GBU-27, których użyliśmy do zniszczenia mostów kolejowych...

– O ile nam jeszcze jakieś zostały. Lepiej zapytaj Gusa Wallace’a – wtrącił wiceprezydent.

– Co masz na myśli? – zapytał Bretano.

- Nigdy nie mieliśmy ich za wiele, a wczorajszej nocy Siły Powietrzne musiały zrzucić co najmniej czterdzieści.
- Sprawdź – obiecał sekretarz obrony.
- A jeśli ich już nie mamy? – zapytał Jack.
- To albo wyskrobiemy coś w magazynach, i to cholernie szybko, albo musimy wymyślić coś innego – odparł Tomcat.
- Na przykład, Robby?
- Wyślijmy komandosów i wysadźmy to kurestwo w powietrze – zaproponował były pilot myśliwski.
- Osobiście nie miałbym na to ochoty – zauważył Mickey Moore.
- To lepsze niż patrzenie, jak nad Kapitołem wybucha pięciomegatonowa wodorówka – powiedział Jack. – Najpierw sprawdzimy czy są te bomby. To trochę za daleko dla F-117, ale możemy podesłać im tankowce, oczywiście z osłoną myśliwców. To trzeba dobrze zaplanować, ale robiliśmy już takie numery. Jeżeli Gus nie ma tych cholernych GBU-27, podesłemy mu je, zakładając, że są jakieś w magazynach. Pamiętajcie, że magazyny sił zbrojnych to nie róg obfitości.
- Generale – zwrócił się do Moore’a Ryan – niech pan zadzwoni do generała Wallace’a i dowie się co ma na stanie.
- Tak jest, sir. – Moore poderwał się z krzesła i wyszedł z Sali Sytuacyjnej.
- Patrzcie – powiedział Ed Foley, pokazując na monitor telewizyjny. – Zaczęło się.

Linia lasu na szerokości dwóch kilometrów zmieniła się w ścianę ognia. Większość załóg czołgów pierwszego rzutu nie zdążyła nawet zareagować. Z trzydziestu czołgów po pierwszej salwie ocalały jedynie trzy. Trochę lepiej powiodło się transporterom opancerzonym.

- Kontynuować ogień, pułkowniku – powiedział do swojego dowódcy artylerii Sziniawski.

Rozkaz natychmiast został przekazany do baterii i po chwili ziemia zatrzęsała się pod stopami.

Widok na monitorze komputera zapierał dech w piersiach. Chińczycy wpakowali się prosto w pułapkę i otrzymali miazdzący cios.

Major Tucker wziął głęboki oddech, widząc jak w ciągu sekundy ginie kilkuset ludzi.

– Niech pan pokaże znowu artylerię – polecił Bondarienko.

– Tak jest, sir.

Tucker zmienił ogniskową kamery i pokazał z wysokiego pułapu pozycje chińskiej artylerii. W większości była artyleria ciągniona; Chińczykom brakowało dział samobieżnych.

Wokół ciągników i dział zaczęły rozrywać się rosyjskie pociski. Kanonierzy zaczęli gorączkowo zdejmować pokrowce z luf, rozkładać łoża i wbijać w ziemię lemieszce.

To był wyścig ze Śmiercią, a Ona miała kilka minut przewagi. Tucker przyglądał się jak obsługa haubicy 122 mm stara się ustawić działo w pozycji do otwarcia ognia. Właśnie jeden z artylerzystów wprowadzał do zamka pocisk, a jego kolega gorączkowo kręcił pokrętłem mechanizmu podniesieniowego, kiedy w bezpośredniej bliskości wybuchły trzy pociski.

Ciężka haubica o masie dziesięciu ton podskoczyła do góry niczym zabawka. Operując zoomem, Tucker przybliżył obraz wijącego się na ziemi artylerzysty.

– Wojna to parszywa sprawa, co? – powiedział Bondarienko.

Tucker w milczeniu skinął głową. Kiedy widziało się na polu walki wybuchający czołg, można było sobie wmówić, że to tylko maszyna. Nawet jeśli wiedziało się, że wewnątrz jest trzy albo czteroosobowa załoga, nie widziało się jej. Podobnie jak pilot myśliwca, który nigdy nie zabija innego pilota, a jedynie zestrzeliwuje samolot, Tucker wolał myśleć, że zagłada przytrafia się raczej maszynom niż ludziom. Jednak ten biedak wijący się na ziemi nie był

maszyną. Zmienił ogniskową, ukazując widok z wysokości kilometra.

– Lepiej by dla nich było, gdyby zostali w swoim kraju, co? – spytał retorycznie Rosjanin.

– Jezu, co za rzeź – powiedział Ryan. Zdarzało mu się w życiu widzieć z bliska śmierć, osobiście też strzelał do ludzi, którzy chcieli go zabić, ale przez to widok na ekranie nie stawał się przyjemniejszy. Odwrócił się do dyrektora CIA.

– Czy to idzie w świat, Ed?

– Powinno – odparł Foley.

I poszło. Pod adresem URL85 <http://www.darkstarfeed.cia.gov/siberiabattle/realtime.ram>.

Nie trzeba było tego reklamować. Niektórzy surferzy internetowi weszli na stronę już po kilku minutach. W ciągu trzech minut liczba odwiedzin wzrosła z 0 do 10.

Potem wieść rozniosła się po sieci lotem błyskawicy. Program monitorujący URL

przesyłał do siedziby CIA w Langley miejsca na świecie, w których kolejne osoby wchodziły na stronę. Jako pierwsze państwo azjatyckie, co nikogo nie zdziwiło, pojawiła się Japonia.

Przekaz oprócz obrazu zawierał również dźwięk, a komentarze oficerów Sił Powietrznych, którzy dzieli się swoimi (często bardzo obrazowymi) opiniami odnośnie wydarzeń na polu walki, nadawały transmisji dodatkowej atrakcji. O ile można myśleć w takich kategoriach o oglądaniu śmierci na żywo, uświadomił sobie Ryan.

– Ten przekaz nie jest przeznaczony dla widzów poniżej trzydziestki – powiedział generał

Moore, wracając do Sali Sytuacyjnej.

– Co z bombami? – zapytał bez zwłoki Jackson.

– Gus ma tylko dwie – odparł Moore. – Najbliższe wciąż są w zakładach Lockheed-Martin w Sunnyvale. Nie przeszły jeszcze procedury kontroli jakości.

– A więc wracamy do planu B – powiedział Robby.

– Pozostaje nam operacja specjalna, chyba że, panie prezydencie, skłonny pan będzie zatwierdzić użycie pocisków manewrujących.

– Z jakimi głowicami? – zapytał Jack, znając z góry odpowiedź.

– Na Guam mamy dwadzieścia osiem pocisków manewrujących z głowicami W-80. Są małe, o masie około stu pięćdziesięciu kilogramów i mocy stu pięćdziesięciu lub stu siedemdziesięciu pięciu kiloton.

– Masz na myśli broń atomową?

Generał Moore odetchnął głęboko zanim odpowiedział: – Tak, panie prezydencie.

– Mamy tylko takie możliwości, jeżeli chodzi o unieszkodliwienie chińskich rakiet? – Nie musiał dodawać, że o ile nie będzie musiał, nie zatwierdzi ataku jądrowego.

– Możemy spróbować z konwencjonalnymi bombami inteligentnymi – GBU-10 lub GBU-15. Gus ma ich pod dostatkiem, ale nie bardzo nadają się do niszczenia bunkrów.

Oslony silosów mogą wytrzymać trafienie. Z drugiej strony, chińskie CSS-4 są raczej delikatnej konstrukcji, i wstrząs towarzyszący wybuchowi mógłby uszkodzić ich system nawigacyjny... ale nie możemy być tego pewni.

- Wolałbym, żeby rakiety nie opuściły silosów.
- Jack, nikt tego nie chce – powiedział wiceprezydent. – Mickey, przygotuj jakiś plan.

Potrzebujemy czegoś co załatwi te rakiety i potrzebujemy tego na wczoraj.

- Zadzwoń do Dowództwa Sił Specjalnych. O, cholera, oni są w Tampa, na Florydzie.
- Czy Rosjanie mają jakieś siły specjalne? – zapytał Jack.
- Jasne, nazywają je Specnazem.

85 Uniform Resource Locator - jednolity lokator zasobów (przyp. tłum.)

- A niektóre z tych chińskich rakiet wycelowane są w Rosję?
 - Bez wątpienia, panie prezydencie – odparł przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów.
 - W takim razie powinni dorzucić się do puli – powiedział Jack, sięgając po słuchawkę telefonu. – Proszę mnie połączyć z Siergiejem Gołowką w Moskwie – wydał polecenie telefoniście.
 - Amerykański prezydent do pana – powiedział sekretarz.
 - Iwan Emmetowicz! – wykrzyknął z entuzjazmem Gołowko. – Wieści z Syberii są bardzo pomyślne.
 - Wiem, Siergiej. Właśnie oglądam to na żywo. Też chciałbyś?
 - A mogę?
 - Masz komputer z modemem?
 - Bez tego cholerstwa chyba już nie można żyć – odpowiedział Rosjanin.
- Ryan podał mu adres strony internetowej. – Załoguj się. Dajemy na żywo przekaz z naszych bezzałogowych samolotów zwiadowczych Dark Star prosto do Internetu.
- Dlaczego to robicie? – natychmiast zapytał Gołowko.
 - Ponieważ dwie minuty temu liczba obywateli ChRL, którzy to oglądają, przekroczyła liczbę tysiąca sześciuset pięćdziesięciu i szybko rośnie.
 - Taki atak polityczny? Chcesz zdestabilizować ich rząd?

- Doszliśmy do wniosku, że nie zaszkodzi naszym interesom, jeżeli obywatele Chin dowiedzą się co się dzieje.
- Potęga wolnej prasy. Muszę się tym zająć. Bardzo sprytne posunięcie, Iwanie Emmetowiczu.
- Ale nie dlatego dzwonię.
- O co chodzi, *tawariszcz priezident*? – zapytał poważnym tonem przewodniczący SWR.

Ryan nie potrafił zbyt dobrze ukrywać emocji.

– Siergiej, przez nasz wywiad zdobyliśmy coś w rodzaju stenogramu rozmów podczas obrad ich Politbiura. Przesyłam ci go faksem. Nie będę się rozłączać.

Gołowko nie był zdziwiony, widząc jak z jego osobistego faksu wysuwa się wstęga papieru. On miał bezpośredni numer telefonu Ryana, a Jack jego. W ten nieszkodliwy sposób służby wywiadowcze demonstrowały swoją jakość. Pierwsza strona zawierała angielski przekład, a w ślad za nią pojawiły się chińskie ideogramy.

– Siergiej, wysłałem ci też oryginał, na wypadek gdyby twoi tłumacze byli lepsi niż moi –

powiedział prezydent, rzucając przepraszające spojrzenie doktorowi Searsowi. Analityk CIA machnął niedbale ręką. – Chińczycy mają dwanaście rakiet balistycznych CSS-4. Połowa z nich wymierzona jest w nas, połowa w was. Musimy je unieszkodliwić. Ludzie z ich Politbiura mogą nie do końca myśleć racjonalnie, sądząc z ostatnich wypadków.

– A w dodatku pańskie ostrzeliwanie ich wybrzeża mogło popchnąć ich nad skraj przepaści, panie prezydencie – dodał Rosjanin. – Zgadzam się, to poważna sprawa. Dlaczego nie zbombardujecie silosów swoimi cudownymi bombami zrzuconymi z cudownych niewidzialnych samolotów?

– Ponieważ skończyły nam się te bomby, Siergiej.

– *Paniatna* – powiedział szef wywiadu Rosji.

– Moi ludzie myślą o przeprowadzeniu operacji specjalnej.

– Muszę skonsultować to z moimi ludźmi. Niech mi pan da dwadzieścia minut, panie prezydencie.

– Okay, wiesz gdzie mnie znaleźć. – Ryan nacisnął klawisz aparatu telefonicznego i spojrzał z odrazą na ekspres do kawy. – Jeszcze jedna filiżanka tego gówna i nie zasnę do końca życia.

Jedyny powód dla którego pozostał przy życiu – nie miał co do tego wątpliwości – był

ten, że pojechał do dowództwa 34. Armii. Jego dywizja pancerna poniosła ciężkie straty, a jeden z batalionów został unicestwiony w pierwszych minutach bitwy. Artyleria dywizyjna została zniszczona co najmniej w pięćdziesięciu procentach przez zmasowany ostrzał Rosjan, a natarcie 34. Armii należało do przeszłości. Teraz jego zadaniem było takie wykorzystanie dwóch dywizji zmechanizowanych, by ustanowić linię obrony i odpowiedzieć nawałą ogniową, co pozwoliłoby odzyskać inicjatywę taktyczną. Ale za każdym razem, kiedy wydawał rozkaz dyslokacji jakiegoś oddziału, właśnie ta jednostka dostawała się pod ostrzał.

Odnosił wrażenie, że Rosjanie czytają w jego myślach.

– Wa, wycofaj to co zostało z 302. na poranną pozycję! – rozkazał.

– Ale marszałek Luo nie...

– Jeżeli marszałek ma ochotę odebrać mi dowodzenie, może to zrobić. Ale teraz nie ma go tu, prawda? Wykonać rozkaz! – warknął.

– Tak jest, towarzyszu generale.

– Gdybyśmy mieli w czterdziestym pierwszym taką zabawkę, Niemcy nie doszliby nawet do Mińska – powiedział Bondarienko.

– Miło jest wiedzieć co robi druga strona, co?

– Czuję się jak Zeus na Olimpie. Kto to wymyślił?

– Kilku gości od Northropa zaczęło o tym myśleć, kiedy konstruowali samolot eksperymentalny *Tacit Rainbow*. Wyglądał jak skrzyżowanie łopaty do śniegu i bagietki, miał

załogę i nie sprawował się najlepiej. Wtedy narodził się pomysł BSL, czyli bezzałogowego statku latającego.

– Kimkolwiek są, chciałbym każdemu postawić po butelce dobrej wódki – powiedział rosyjski generał. – To cudencko ocaliło wielu moich żołnierzy.

I pomogło zgładzić wielu Chińczyków, dodał w myślach Tucker. Ale w końcu na tym polega wojna.

– Mamy w powietrzu jakąś zabawkę?

– Tak, sir. „Grace Kelly” wisi nad Pierwszą Pancerną.

– Pokaż...

Tucker za pomocą myszy zmniejszył na monitorze jedno okno i otworzył inne. Zobaczyli dwie jednostki, każda w sile brygady, które posuwały się na północ i niszczyły każdy chiński pojazd, który udało im się wypatrzeć. Pole bitwy, o ile można było użyć takiego określenia, zasnute było dymem z płonących ciężarówek i transporterów opancerzonych. Majorowi przypomniały się płonące pola naftowe w Kuwejcie w 1991 roku. Zrobił zbliżenie. Okazało się, że większość zniszczeń została dokonana przez Bradleye. Wyglądało na to, że cele nie były godne strzału z Abramsa.

– Co to za formacja? – zapytał Tucker.

– To Bojarzy – odparł Bondarienko.

Amerykański major z fascynacją przyglądał się jak dwadzieścia wiekowych czołgów T-55 tyralierą naciera na wycofujące się pojazdy chińskie.

– Przeciwpancernym ładuj! – rozkazał porucznik Komanow. – Cel na wprost. Celownik dwa tysiące metrów!

– Widzę cel – powiedział sekundę później celowniczy.

– Ognia!

Celowniczy nacisnął guzik. Stary czołg zakołysał się od siły odrzutu. Dowódca czołgu i celowniczy w napięciu obserwowali płaski łuk zatoczony przez pocisk.

– Niech to szlag, za wysoko. Przeciwpancernym ładuj!

– Teraz go załatwię – obiecał celowniczy, kalibrując celownik optyczny. Ten żółty sukinsyn nawet nie zauważył, że do niego strzelamy...

– Ognia!

Kolejny wstrząs odrzutu i...

– Trafiony! Dobra robota, Wania!

Trzecia kompania świetnie sobie radziła. Teraz procentował czas spędzony na poligonie, pomyślał Komanow.

– Co to jest? – zapytał marszałek Luo.

– Proszę podejść i zobaczyć, towarzyszu marszałku – odparł młody podpułkownik.

– Co to jest? – powtórzył minister obrony ChRL. – *Cao ni ma* – wyszeptał i nagle wrzasnął z całych

sił: – Co to, u diabła, jest?!

– Towarzyszu marszałku, to strona internetowa. Pokazuje na żywo przekaz z frontu syberyjskiego – wyjąkał przerażony oficer. – Pokazuje Rosjan walczących z naszą 34. Armią Uderzeniową...

– I?

– Wygląda na to, że Rosjanie masakrują naszych – dokończył podpułkownik.

– Chwileczkę... Jak...? Jak to możliwe? – zapytał Luo.

– Towarzyszu marszałku, ten napis na górnym pasku informuje, że obraz pochodzi z bezzałogowego samolotu zwiadowczego o nazwie Dark Star. Wygląda na to, że Amerykanie wykorzystują ten samolot do internetowej transmisji na żywo, jako broń propagandową.

– Mów dalej.

Podpułkownik był specjalistą od wywiadu. – To tłumaczy dlaczego z taką łatwością rozbili naszą armię, towarzyszu marszałku. Mogą widzieć wszystko co robimy, zanim jeszcze ruszymy z miejsca jednostki. Na pewno też podsłuchują naszą sieć łączności dowodzenia, a może mają nawet podsłuch w sztabach. Nie ma przed nimi obrony – podsumował

podpułkownik.

– Ty młodociany defetysto! – wrzasnął marszałek.

– Może istnieje jakiś sposób, by zniwelować przewagę, którą naszym wrogom daje ten system wywiadowczy, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Tego rodzaju systemy potrafią widzieć w ciemnościach równie dobrze jak w świetle dziennym. Rozumiecie, towarzyszu marszałku? Oni nas przez cały czas obserwują. Nie ma mowy o zaskoczeniu... Proszę tu spojrzeć – powiedział, wskazując róg ekranu. – Jedna z dywizji 34. Armii przesuwa się na wschód. Są tutaj – wskazał mapę na stole – a nieprzyjaciel jest tutaj. Jeżeli naszym jednostkom udałoby się dostać niezauważenie w to miejsce, mogliby zaatakować Rosjan z flanki. Jednak ten manewr musi zająć dwie godziny. Rosjanom do zmiany frontu i stworzenia obrony wystarczy godzina. Na tym polega przewaga, którą daje ten system zwiadowczy –

dodał.

– To robota Amerykanów?

– Bez wątplenia. Ten przekaz idzie na sieć z siedziby CIA w Langley.

– I dzięki temu Rosjanie przeprowadzili taki miażdżący kontratak?

– Nie widzę innej możliwości.

– Dlaczego Amerykanie udostępniają całemu światu takie informacje? – zastanawiał się na głos Luo. W jego mentalności wybór informacji prezentowanych publicznie musiał być poddany starannej selekcji i opatrzony komentarzem, tak by szara masa wyciągnęła odpowiednie wnioski.

– Towarzyszu marszałku, trudno teraz będzie powiedzieć w naszej telewizji, że odnosimy sukcesy na froncie, kiedy każdy może to zobaczyć w Internecie.

Marszałka na moment zamurowało. – Więc to może obejrzeć każdy?

– Każdy kto ma komputer i dostęp do linii telefonicznej – odpowiedział młody podpułkownik.

Luo pośpiesznym krokiem wymaszerował z sali.

– Dziwne, że mnie nie zastrzelił – powiedział podpułkownik.

– Wciąż może to zrobić – odparł jego bezpośredni zwierzchnik w stopniu pułkownika. –

Ale chyba był zbyt przestraszony tym co od ciebie usłyszał, by o tym pomyśleć.

– Dlaczego to nim tak wstrząsnęło?

– Ty młody głupcze, nie rozumiesz? Teraz nie może już ukryć prawdy nawet przed Politbiurem.

– Cześć, Jurij – powiedział Clark.

Moskwa była zupełnie inna podczas wojny. Jeszcze nigdy nie widział ludzi na ulicach w takim nastroju. Nie spotykało się roześmianych twarzy – inna sprawa, że nikt nie wybierał się do Rosji, by oglądać roześmianych ludzi, tak jak nikt nie wybierał się do Anglii na degustację kawy

–

ale

dawało

się

wyczuć

jeszcze

coś

innego:

poczucie

krzywdy,

wściekłość...determinację? Telewizja nie nadawała marszów bojowych, a i komentarze dziennikarzy były stonowane – w końcu nowe media starały się zachowywać profesjonalnie.

Oczywiście, nie brakowało głosów tych, którzy uważali, że za czasów ZSRR Chiny nie odważyłyby się zaatakować *Matuszki Rossiji*. Powszechne były też opinie, że nie było się co śpieszyć do tego NATO, skoro żaden z członków paktu nie śpieszył z pomocą nowemu sojusznikowi.

– Zapowiedzieliśmy szefom telewizji, że jeżeli ktoś piśnie o amerykańskiej dywizji na Syberii, zostanie rozstrzelany w swoim gabinecie. Oczywiście, uwierzyli nam – dodał z uśmiechem generał Kirilin. To była nowość, jeżeli chodzi o generała. W ciągu ostatniego tygodnia nie uśmiechnął się ani razu.

– Na froncie lepiej? – zapytał Chavez.

– Bondarienko zatrzymał ich tuż przed kopalnią złota. Chińczycy nawet jej nie zobaczyli.

Ale jest inny problem – dodał poważnym tonem.

– Co takiego, Jurij? – zapytał Clark.

– Obawiamy się, że mogą wystrzelić swoje międzykontynentalne rakiety balistyczne z głowicami atomowymi.

– Jasna cholera – zaklął Chavez. – Jak poważne jest zagrożenie?

– Informacja pochodzi od waszego prezydenta. Właśnie teraz Gołowko rozmawia z prezydentem Gruszawojem.

– I co? Jak chcecie ich załatwić? Bomby inteligentne? – zapytał John.

– Nie, Waszyngton poprosił nas, byśmy przeprowadzili operację przy użyciu sił specjalnych – odparł Kirilin.

Clark przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa. – Co?! – Sięgnął do kieszeni, wyjął

telefon satelitarny i skierował się w stronę drzwi. – Przepraszam na chwilę, generale. E.T.

chce zadzwonić do domu.

- Możesz to powtórzyć, Ed? – usłyszał w słuchawce Foley.
- Słyszałeś doskonale. Skończyły się bomby, które mogą załatwić silosy z raketami.
- Kurwa mać! – zaklął oficer CIA, stojąc na parkingu przed kasynem oficerskim Armii Rosyjskiej. System szyfrujący jego telefonu nie potrafił odebrać emocjonalnego zabarwienia ostatniej kwestii. – Tylko mi nie mów, że Tęcza jest oddziałem szturmowym NATO, a ponieważ Rosja weszła do NATO, będziemy musieli lecieć do pieprzonych Chin, żeby bawić się w fajerwerki.
- Wybór należy do ciebie, John. Wiem, że nie możesz osobiście brać w tym udziału.

Walka to sprawa dla młodych, a ty masz kilku świetnych chłopaków.

- Ed, naprawdę spodziewałeś się, że wyślę moich ludzi na taką robotę i zostanę w domu, żeby cerować skarpetki? – zapytał Clark.
- Już powiedziałem, wybór należy do ciebie. Ty jesteś dowódcą Tęczy.
- Jak mamy się do tego zabrać? Skaczemy ze spadochronami?
- Śmigłowce.
- Rosyjskie wiatraki? Nie, dziękuję.
- Nasze śmigłowce, John. Pierwsza Pancerna ma ich pod dostatkiem.

– Co mam zrobić?! – z niedowierzaniem spytał Dick Boyle.

– Nie udawaj, że nie słyszałeś.

– A co z paliwem?

– Punk tankowania jest tutaj – powiedział pułkownik Masterman, pokazując punkt na świeżo ściągniętym z satelity zdjęciu. – To wzgórze na zachód od miejscowości Chicheng. W

okolicy nikt nie mieszka.

– Świetne miejsce, z małym wyjątkiem. Trasa lotu przebiega w odległości piętnastu kilometrów od bazy myśliwców.

– Dwa dywizjony F-117 rozwalą ją na godzinę przed twoim startem. Przynajmniej przez trzy dni ich pasy startowe będą przypominały powierzchnię Księżyca.

– Dick – wtrącił się do rozmowy Diggs – nie wiem na czym dokładnie polega problem, ale Waszyngton jest naprawdę zaniepokojony możliwością, że Joe Żółtek wystrzeli na Amerykę i Rosję

swoje rakiety międzykontynentalne. Ponieważ Gus Wallace nie ma już odpowiednich bomb, pozostaje operacja specjalna. To strategiczny cel, Dick. Dasz radę?

Pułkownik Boyle spojrział na mapę, szacując odległości. – Będziemy musieli zamontować wysięgniki dla dodatkowych zbiorników paliwa i zatankować do pełna, ale przy tym ładunku nie powinno to stanowić problemu... Tak, powinniśmy tam dolecieć. Oczywiście, w drodze powrotnej będziemy musieli uzupełnić paliwo.

– Czy możesz wykorzystać inne twoje śmigłowce do transportu paliwa na powrót?

Boyle skinął głową. – Tak.

– Jeżeli to się okaże konieczne, Rosjanie mogą wysadzić w dowolnym punkcie trasy oddział Specnazu z paliwem. Ta część Chin jest praktycznie niezamieszkała.

– Jaka jest obrona obiektu?

– Obok silosów są koszary. Według naszych danych będzie tam około stu żołnierzy, mniej więcej drużyna na silos. Czy Apache tam doleca?

– Jeśli zabiorą tylko amunicję do działka i niekierowane pociski raketowe kalibru 70

mm, to tak.

– Za godzinę czekam na plan misji – powiedział generał Diggs. To nie był do końca rozkaz. Gdyby Boyle powiedział, że misja nie ma szans powodzenia, Diggs nie mógłby go zmusić, jednak wiedział, że pułkownik nie pozwoli, by na jego miejsce zgłosił się jakiś napalony młodzik, który uważa, że jest nieśmiertelny.

Dokończenie krwawych zniw przypadło w udziale śmigłowcom szturmowym Mi-24.

Śmigłowce te nazywano latającymi czołgami, nie tylko ze względu na solidne opancerzenie, ale i na taktykę, którą stosowali Rosjanie przy ich wykorzystaniu. Zmasakrowanie batalionu czołgów zajęło Rosjanom jedynie dwadzieścia minut, tyle czasu trzeba było, by wystrzelić trzysta rakiet AT-6 Spiral. Straty własne wyniosły jedynie dwie maszyny.

Słońce już zachodziło. Niedobitki 34. Armii Uderzeniowej wycofywały się na południe.

W siedzibie dowództwa generał Sziniawski rozlał trzecią kolejkę wódki Stolicznaja. Jego 265. DPZmot zatrzymała i odrzuciła o kilkanaście kilometrów ponaddwukrotnie większe siły, przy stratach własnych nie przekraczających trzystu zabitych. Ekipy telewizyjne wreszcie otrzymały pozwolenie na nadanie pełnej informacji o sytuacji na froncie i teraz właśnie generał udzielał trzeciego już wywiadu. Przy każdej okazji podkreślał, że sukces jego dywizji w znacznym stopniu Rosjanie zawdzięczają wiedzy, opanowaniu i wierze w swoich żołnierzy jego przełożonego, generała Giennadija Josifowicza Bondarienki.

– Dziękuję wam, Juriju Andriejewiczu. Awans was nie ominie – powiedział Bondarienko w stronę ekranu telewizyjnego. Potem odwrócił się do swoich sztabowców. – Andrieju Pietrowiczu, jakie plany na jutro?

– Myślę, że 265. DPZmot powinna kontynuować natarcie na południe. My będziemy młotem, a Diggs kowadłem. Chińczycy wciąż mają nietkniętą 43. Armieję na południu.

Pojutrze zabierzemy się do niej na poważnie, ale wpierw zmusimy ich, by przyjęli bitwę w miejscu dla nas najdogodniejszym.

Bondarienko skinął głową. – Pokaż mi zarys planu, ale najpierw muszę się trochę przespać.

– Tak jest, towarzyszu generale.

Rozdział 60

Rakiety

Z tymi samymi ludźmi ze Specnazu ćwiczili od ponad miesiąca. Niemal wszyscy w ładowni samolotu transportowego byli oficerami, którzy w tej elitarnej formacji wykonywali zadania sierżantów, ale taka już była specyfika Rosji. Na szczęście wszyscy posługiwali się znośnym angielskim. Spośród członków Tęczy jedynie Chavez i Clark mówili biegle po rosyjsku.

Mapy i zdjęcia satelitarne pochodziły z SWR i CIA, te ostatnie przesłane do ambasady USA w Moskwie i stąd via łącza wojskowe na pokład samolotu. Lecieli samolotem pasażerskim Aerofłotu, wypełnionym setką żołnierzy w pełnym oporządzeniu.

– Proponuję podzielić się według narodowości – powiedział Kirilin. – *Dżon*, ty i twoja Tęcza weźmiecie się za te silosy. Pozostałymi obiektami zajmiemy się my.

– W porządku, Jurij. Kiedy startujemy?

– Tuż przed wschodem słońca. Wasze helikoptery muszą mieć niezły zasięg, jeżeli wystarczy im jedno dodatkowe tankowanie w drodze powrotnej.

– To akurat będzie przyjemna część tej operacji.

– Jeżeli pominąć lotnisko w Anshan – zauważył Kirilin. – Miniemy je w odległości piętnastu kilometrów.

– Tym zajmą się nasze Siły Powietrzne, a konkretnie niewidzialne dla radaru myśliwce z inteligentnymi bombami do niszczenia pasów startowych.

– Niezły pomysł – powiedział Kirilin.

– Mnie też się podoba – dodał Chavez. – No, panie C, wygląda na to, że znowu stanę się żołnierzem. Od dawna się tym nie zajmowałem.

– Tak, to będzie prawdziwa przyjemność – powiedział sarkastycznie Clark. Nie ma to jak wycieczka śmigłowcem w głąb wrogiego terytorium na spotkanie uzbrojonych ludzi. Mogło być gorzej. Przynajmniej będą tam tuż przed świtem, kiedy wartownicy nie są tak czujni, może nawet śpią, jeżeli ich dowódca nie jest jakimś cholernym służbistą. Ciekawe jaka dyscyplina panuje w Armii Ludowo-Wyzwoleńczej? – zastanowił się. Prawdopodobnie nie ma co liczyć na śpiących wartowników – komunistyczny system nie zachęca do lekceważenia przełożonych.

– W jaki sposób mamy załatwić te rakiety? – zapytał Ding.

–

Do

dostarczania

ciekłego

materiału

pędnego

używa

się

dwóch

dziesięciocentymetrowych rur, które prowadzą do silosu ze zbiorników oddalonych o sześćset metrów. Na początek zniszczymy te rury – powiedział Kirilin. – Potem będziemy musieli znaleźć jakiś sposób, żeby dostać się do silosów z raketami. Żeby je załatwić wystarczy jeden granat obronny. Rakiety międzykontynentalne to delikatne urządzenia – dodał generał

Specnazu.

– A jeżeli zdetonujemy przypadkiem głowice? – zapytał Ding.

Kirilin roześmiał się. – To niemożliwe, Domingo Stiepanowiczu. Procedura zabezpieczająca głowice nuklearne jest bardzo przemyślana. Muszą wytrzymać impuls elektromagnetyczny, falę cieplną i uderzeniową bliskiego wybuchu atomowego – na tym w końcu opierała się doktryna odstraszenia.

Mam nadzieję, że się nie mylisz, kolego, pomyślał Chavez.

– Wygląda na to, że orientujesz się w zabezpieczeniach takich obiektów, Jurij –

powiedział Clark.

– Specnaz został stworzony właśnie w tym celu: unieszkodliwiania wyrzutni z pociskami jądrowymi.

Chavez spojrział na dowodzony przez niego Drugi Zespół. Jego członkowie nie wyglądali na spiętych, ale dobrzy żołnierze nigdy nie pozwalają sobie na zdradzanie się z emocjami.

Spośród nich jedynie Ettore Falcone nie był zawodowym żołnierzem, a oficerem karabinierów, formacji pośredniej między policją a wojskiem. Ding podszedł do niego.

– No, Ptaszysko, wszystko w porządku?

– Ta misja nie będzie spacerkiem, co?

– Niewykluczone. Nigdy się tego nie wie, zanim się nie skończy.

Włoch wzruszył ramionami. – Podczas nalotów na meliny mafiosi, z reguły trzeba kopniakiem

otworzyć drzwi. Zazwyczaj w środku siedzi kilku facetów, którzy piją vino tinto i grają w karty, ale czasami spotyka się gości z *machinapistoli*. Jednak przekonać się o tym można dopiero po wyważeniu drzwi.

– W ilu takich akcjach brałeś udział?

– W ośmiu – odparł Falcone. – Zawsze jako pierwszy wpadałem do środka, bo byłem najlepszym strzelcem w oddziale. Mieliśmy w brygadzie dobrych ludzi, a w Tęczy też nie ma słabeuszy. Wszystko powinno pójść dobrze, Domingo. Oczywiście, jestem trochę spięty, ale poradzę sobie. Zobaczysz. – Chavez poklepał go po ramieniu i podszedł do starszego sierżanta Price’a.

– Cześć, Eddie.

– Znamy już jakieś szczegóły?

– Kończą opracowywać plan. Wygląda na to, że najwięcej roboty będzie miał Paddy z wysadzaniem tego złomu.

– Connolly jest najlepszym pirotechnikiem jakiego znam – powiedział Price. – Ale nie mów mu tego. Już i tak sodowa uderzyła mu do głowy.

– Jak oceniasz Falcone?

– Ettore? – Sierżant pokręcił głową. – Byłbym cholernie zdziwiony, gdyby zrobił coś głupiego. To świetny facet, po prostu robot z pistoletem.

– Okay, teraz posłuchaj. Przydzielili nam dwa silosy, te najbardziej wysunięte na północny wschód. Teren jest równy, a do silosu prowadzą dwie rury o średnicy dziesięciu centymetrów. Paddy wysadzi je, a potem spróbujemy rozwalić pokrywy silosów lub dostać się do wnętrza przez stalowe drzwi dla obsługi. Wtedy wystarczy wrzucić granat do środka i spieprzamy.

– Zwykły skład drużyn?

Chavez skinął głową. – Zabierasz Paddyego, Louisa, Hanka i Dietera. Pozostali ze mną ubezpieczają.

Podszedł do nich Paddy Connolly.

– Gdzie są kombinezony chemiczne?

– Słucham? – zdziwił się Chavez.

– Ding, jeżeli mamy rozwalać rurociąg z paliwem raketowym, musimy mieć kombinezony chemiczne. Nie chciałbyś zaczerpnąć oparów tego świństwa, uwierz mi. Kwas azotowy, trójtlenek azotu, hydrazyna – naprawdę diabelski koktajl. A jeśli okaże się, że rakiety są zatankowane i któraś wyleci w powietrze, lepiej żebyś nie był zbyt blisko, a już na pewno nie z wiatrem. Chmura oparów

paliwa raketowego niczym nie różni się od waszej komory gazowej, a na pewno jest mniej przyjemna.

– Pogadam o tym z Johnem – powiedział Ding i ruszył do kabiny pilotów.

– Cholera – zaklął Ed Foley, trzymając słuchawkę telefonu satelitarnego przy uchu. –

Nikt o tym nie pomyślał. Okay, John. Zadzwoń do Armii. Długo będziecie jeszcze w powietrzu?

– Lądujemy za półtorej godziny.

– A jak u ciebie, wszystko w porządku?

– Jasne, Ed. Nigdy nie czułem się lepiej.

Ku swojemu zdziwieniu, Foley wychwycił w głosie Clarka nutkę zdenerwowania. Przez ponad dwadzieścia lat Clark był agentem terenowym Firmy, który słynął ze stalowych nerwów. Ale już stuknęła mu pięćdziesiątka. Zmienił się, czy może zaczął sobie zdawać sprawę z faktu, że nie jest nieśmiertelny? Chyba każdemu w pewnym wieku trafiają się takie myśli. – Oddzwonię. – Podniósł słuchawkę innego telefonu. – Połączcie mnie z generałem Moore'em.

– Słucham pana, dyrektorze – odezwał się po chwili przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów. – Co mogę dla pana zrobić?

– Nasi ludzie od operacji specjalnej twierdzą, że potrzeba im będzie kombinezonów chemicznych.

– Chłopaki z Dowództwa Operacji Specjalnych wpadli na to przed godziną. Pierwsza Pancerna ma takie kombinezony. Będą na nich czekały na lotnisku.

– Dzięki, Mickey.

– Jak zabezpieczone są te silosy?

– Rury dostarczające paliwo raketowe biegną na powierzchni. Z ich wysadzeniem nie powinno być kłopotów. Każdy z silosów jest wyposażony w drzwi dla obsługi, też łatwizna.

Więszym problemem jest ochrona obiektu, spodziewamy się przynajmniej batalionu piechoty. Czekamy, aż nad obiektem przeleci KH-11, żeby uzyskać pewność.

– Wiem, że Diggs wysyła Apache razem z waszymi ludźmi. To powinno wystarczyć –

uspokoił dyrektora CIA Moore. – A co z bunkrem dowodzenia?

– Jest usytuowany w środku obiektu. Wygląda solidnie i zbudowano go kilka pięter pod ziemią. Mamy zdjęcia radarowe, więc orientujemy się w układzie pomieszczeń. – Foley miał

na myśli radary penetrujące, umieszczone na satelicie KH-14 Lacrosse. Kilka lat temu NASA opublikowała zdjęcia radarowe pokazujące podziemne dopływy Nilu, uchodzące do Morza Śródziemnego w okolicach Aleksandrii. Oczywiście nie zbudowanego tego satelity z myślą o hydrologach. Ich zadaniem było dokładne obejrzenie rosyjskich silosów raketowych, o których Rosjanie sądzili, że są dobrze ukryte. – Mickey, co sądzisz o tej operacji?

– Szkoda, że nie mamy odpowiednich bomb – przyznał uczciwie generał Moore.

Obrady Politbiura przeciągnęły się do pierwszej w nocy.

– A więc, marszałku Luo – powiedział Qian – wypadki wczorajszego dnia nie były dla nas pomyślne. Jak wygląda sytuacja? Proszę powiedzieć prawdę. – Spośród członków Politbiura, ostatnimi dniami najbardziej aktywny był właśnie Qian. Jako jedyny publicznie wyrażał w tym skostniałym gremium to, o czym większość z nich tylko myślała. W

zależności od tego, która z frakcji zwycięży, Qian stanie się liderem opozycji lub kozłem ofiarnym. Wyglądało jednak na to, że Qian na to nie zważa, co zaskarbiło mu szacunek Fang Gana.

– Wczoraj doszło do walnej bitwy pomiędzy naszą 34. Armią Uderzeniową a Rosjanami.

Jak na razie wynik jest nierozstrzygnięty. Wykonujemy właśnie manewr, żeby zachować inicjatywę taktyczną – odparł minister obrony.

Ponownie jako jedyny zabrał głos minister finansów. – Innymi słowy, była bitwa, a my ją przegraliśmy.

– Tego nie powiedziałem – odparł gniewnie Luo.

– Ale to prawda, co?

– Powiedziałem prawdę, Qian!

– Towarzyszu marszałku – perswadującym głosem odezwał się minister finansów –

darujcie mi mój sceptycyzm. Przecież wiecie, że większość z tego co powiedzieliście w tej sali, okazała się nie do końca prawdziwa. Oczywiście, nie winię was za to. Być może zostaliście wprowadzeni w błąd przez któregoś ze swoich podwładnych. Któż z nas nie zna tego bólu? Ale teraz nadszedł czas na chłodną analizę faktów. By stała się ona możliwa, musimy znać fakty, zwłaszcza jeżeli mogą się one okazać niebezpieczne dla naszego państwa.

A więc, towarzyszu marszałku, jak wygląda sytuacja na Syberii?

– Uległa ostatnio pewnej zmianie – przyznał Luo. – Nie w tym kierunku, jak byśmy sobie życzyli, ale

w żadnym wypadku nie można mówić o klęsce. – Wszyscy zebrani zauważyli, że marszałek bardzo starannie dobiera słowa.

Czyli kompletna klęska, przetłumaczyli sobie natychmiast zebrani. W każdym społeczeństwie znajomość terminologii pozwala na błyskawiczne zrozumienie prawdziwej treści przekazu. W ChRL sukcesy były zawsze rozdmuchiwane do gigantycznych rozmiarów, a porażki zbywane lekceważącym machnięciem ręki. Co nie oznaczało, że sprawcy nieszczęścia (z reguły na niskim szczeblu) nie mieli przed sobą trudnych chwil.

– Towarzysze, wciąż dysponujemy znacznymi siłami – powiedział zebrany Zhang. –

Spośród wszystkich mocarstw świata, tylko my dysponujemy wciąż międzykontynentalnymi raketami z głowicami atomowymi i nikt nie ośmieli się nam grozić.

– Towarzysze, dwa dni temu Amerykanie całkowicie zniszczyli mosty kolejowe, o których inżynierowie sądzili, że są nie do draśnięcia. W jakim stopniu bezpieczne są nasze silosy z raketami międzykontynentalnymi, skoro Amerykanie dysponują niewidzialnymi samolotami i czarodziejską bronią? – zapytał Qian. – Sądzę, że nadszedł czas, by Shang wystosował do Amerykanów i Rosjan ofertę zakończenia walk.

– Chcesz się poddać? – zapytał wściekłym tonem Zhang. – Nigdy!

Operacja internetowa rozpoczęła się, mimo że członkowie Politbiura wciąż nie mieli o tym pojęcia. W całym Chinach, a zwłaszcza w Pekinie, internauci logowali się do sieci. Z

reguły byli to młodzi ludzie, przede wszystkim studenci.

Strona

CIA

o

adresie

<http://www.darkstarfeed.cia.gov/siberiabattle/realtime.ram> przyciągnęła powszechną uwagę. CNN, Fox i europejski Sky News natychmiast zaczęły nadawać przekaz na cały świat, gorączkowo ściągając do studia ekspertów od spraw militarnych. CIA z kolei skorzystała z przekazów CNN i umieściła na swojej stronie wywiady z chińskimi jeńcami. Okazali się raczej gadatliwi – normalna reakcja u kogoś, kto właśnie cudem ocalał. Nikt z widzów w Chinach nie mógł mieć wątpliwości, że opowieści jeńców o klęsce są prawdziwe.

Pierwsze grupki zaczęły zbierać się w akademikach. W chmurach dymu papierosowego rozpętały się namiętne dyskusje, jakże charakterystyczne dla studentów, z reguły łączących idealizm z pasją. O północy grupki zaczęły się łączyć i, co też było naturalne, wyłonili się pierwsi przywódcy. Skoro

wybrano ich przywódcami, postanowili coś zrobić ze swoimi grupami i wpadli na pomysł, żeby wyjść przed akademiki. Nie minęło kilka minut, a już uformowały się zaczątki organizacji, która ogarnęła ponad tysiąc pięćset osób. Studenci na całym świecie łatwo wpadają w zapał, i w przypadku ChRL nie było inaczej. Niektórzy z wiecujących chcieli wypaść dobrze w oczach studentek – kolejna uniwersalna cecha charakterystyczna dla studentów – ale głównym motywem ich działania był gniew z powodu tego co stało się z chińskimi żołnierzami i ich krajem w ogóle. Kłamliwa propaganda w telewizji i radiu tylko dolewała oliwy do ognia. Transmisja na żywo w Internecie rozwiewała wszelkie wątpliwości kto tu kłamie.

Cel marszu był oczywisty: Tiananmen, czyli Plac Niebiańskiego Spokoju. Zamiarom przywódców studenckich sprzyjała pora. Milicja w Pekinie, jak wszystkie policje na świecie, pracuje przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, czyli na trzy zmiany, z których najskąpiej obsadzona jest zmiana od 11 wieczorem do 7 rano. Ponieważ o tej porze większość obywateli śpi, liczba przestępstw wyraźnie maleje. Z reguły też milicjanci przydzieleni do nocnej służby nie cieszą się popularnością u swoich przełożonych, ponieważ nikt przy zdrowych zmysłach nie pragnie żyć jak wampir – śpiąc w dzień i polując w nocy.

Dwóch milicjantów, pełniących służbę na Tiananmen, z początku nie zwróciło uwagi na pojawiających się studentów, ich obowiązki sprowadzały się do kierowania ruchem samochodów i tłumaczenia turystom (z reguły o tej porze mocno wstawionym) w jaki sposób mogą wrócić do swoich hoteli. Jedyne niebezpieczeństwo, jakie groziło milicjantom na służbie, ograniczało się do niespodziewanego błysku flesza, kiedy wdzięczni za pomoc, lecz niestety pijani turyści, postanowili niespodziewanie zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie.

Jednak nadciągający tłum w niczym nie przypominał zamorskich turystów i pierwszą reakcją milicjantów był całkowity brak reakcji. Obecność tak wielu młodych ludzi na placu była oczywiście czymś niezwykłym, ale w końcu jak na razie nie robili niczego niezgodnego z prawem, prawda? Początkowo nawet nie złożyli raportu swojemu przełożonemu, ponieważ kapitan dowodzący komisariatem był kompletnym kretynem, który i tak nie wiedziałby co robić.

– A jeśli zaatakują nasze środki przenoszenia broni atomowej? – zapytał minister spraw wewnętrznych Tong Jie.

– Już to zrobili – przypomniał mu Zhang. – Zatopili nasz okręt podwodny z raketami balistycznymi. Jeżeli zaatakują nasze silosy z raketami balistycznymi, oznaczać to będzie, że zaatakują cały nasz kraj, a nie tylko siły zbrojne. To będzie klasyczny akt wojny, prawda Shen?

Minister spraw zagranicznych w milczeniu skinął głową.

– Jak wygląda obrona obiektu? – zapytał Tan Deshi.

– Stanowiska rakiet balistycznych leżą daleko od granic. Każda znajduje się w solidnie zbudowanym

betonowym silosie – wyjaśnił Luo. – Ostatnio dodatkowo zabezpieczyliśmy je stalowymi pokrywami, które wytrzymają nawet bezpośrednie trafienie bomb. Wokół obiektu rozmieszczone są też wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych. Ewentualnym napastnikom możemy przeciwstawić kilka kompanii żołnierzy z Dowództwa Wojsk Raketowych. Jeżeli dojdzie do próby ataku na silosy z raketami, powinniśmy je wystrzelić. Wszelki atak na nasze siły strategiczne będzie atakiem na podstawy bezpieczeństwa Chin. To nasz jedyny as w rękawie. Nawet Amerykanie boją się naszych rakiet – dodał Luo.

– I słusznie – powiedział Zhang. – Uważam, że nadszedł właściwy moment, by przypomnieć Amerykanom, że jako jedyni na świecie wciąż mamy międzykontynentalne rakiety z głowicami atomowymi i że nie zawahamy się ich użyć w razie konieczności.

– Chcesz grozić Amerykanom użyciem broni atomowej? – zapytał Fang. – Czy to rozsądne? Z pewnością wiedzą o naszych raketach. Groźby pod adresem supermocarstwa mogą okazać się przykre w skutkach.

– Amerykanie muszą sobie uświadomić, że są granice, których nie wolno im przekroczyć

– upierał się Zhang. – Mogą nas zranić, to prawda, ale my mamy rakiety, przed którymi nie mogą się obronić. Poza tym ich sentymentalne przywiązywanie wagi do życia ludzkiego pracuje na naszą korzyść. Nadszedł czas, by Stany Zjednoczone zaczęły traktować nas jak równorzędnego partnera.

– Uważam, towarzyszu – powiedział Fang – że nic dobrego z tego nie wyniknie. Jeżeli ktoś mierzy do ciebie z pistoletu, nierozsądnie jest mu grozić.

– Fang, jesteśmy przyjaciółmi od wielu lat, ale teraz muszę ci powiedzieć, że głęboko się mylisz. To my trzymamy wycelowany pistolet. Amerykanie szanują jedynie siłę popartą determinacją. Nasz pokaz siły da im do myślenia. Luo, czy rakiety są gotowe do wystrzelenia?

Minister obrony pokręcił głową. – Wczoraj nie podjęliśmy decyzji. Zatankowanie ich zajmie dwie godziny. Z pełnymi zbiornikami mogą stać bez ryzyka czterdzieści osiem godzin.

Potem trzeba wypompować paliwo i przeprowadzić przegląd – co zajmuje około czterech godzin – i zatankować je ponownie. Możemy przez cały czas trzymać w stanie gotowości do startu połowę rakiet.

– Towarzysze, myślę, że w interesie kraju jest utrzymywanie rakiet w stanie gotowości – powiedział.

– Nie! – sprzeciwił się Fang. – Amerykanie odbiorą to jako niebezpieczną prowokację, a prowokowanie ich to szaleństwo!

– Poza tym – ciągnął Zhang – Shen powinien przypomnieć Amerykanom, że my mamy rakiety, a oni nie.

– Nie mają rakiet, to prawda, ale mogą wykorzystać inne środki przenoszenia broni atomowej – odparł Fang. – Jeżeli przygotujemy rakiety do wystrzelenia, rozpocznie się wojna.

– Nie sądzę, Fang – odparł Zhang. – Nie zaryzykują śmierci milionów swoich obywateli.

Brak im odwagi, by podnieść stawkę w grze.

– Grze? Stawiamy istnienie naszego narodu w grze? Zhang, ty oszalałeś. – Jestem członkiem partii przez całe moje dorosłe życie – odezwał się Qian. – Nigdy nie miałem wątpliwości, że naszym obowiązkiem jest budowanie nowoczesnych Chin, a nie ich niszczenie. Spójrzmy na nasze dzieło. Chiny stały się rozbójnikiem! I to w dodatku rozbójnikiem złapanym przez policjanta! Groźenie Amerykanom w takiej sytuacji jest oznaką słabości, a nie siły.

– Jeżeli mamy przetrwać jako naród, jeżeli mamy przetrwać jako przywódcy Chin –

warknął Zhang – musimy uświadomić Amerykanom, że nie mogą nas naciskać. Towarzysze, powiedzmy to wprost: tu chodzi o nasze życie. Nie sugeruję, żebyśmy wystrzelili rakiety na Amerykę. Proponuję, żebyśmy pokazali Amerykanom naszą determinację. Proponuję zatankować rakiety i utrzymywać je w stanie gotowości.

– Nie wolno nam tego zrobić! – sprzeciwił się Fang. – Możemy doprowadzić do wojny nuklearnej!

– Jeżeli tego nie zrobimy, nasz los jest przesądzony – wtrącił się Tan Deshi. – Przykro mi, Fang, ale Zhang ma rację.

– Proponuję głosowanie – powiedział Zhang.

Nagle Fang uświadomił sobie, że zebranie Politbiura obrało kurs w stronę zagłady.

Wiedział też, że jako jedyny zdaje sobie z tego sprawę. Późno w nocy zebranie zostało zakończone, a członkowie Biura Politycznego rozjechali się do domów. Żaden z nich nie przejeżdżał w okolicach placu Tiananmen.

Na betonowym lądowisku stało dwadzieścia pięć UH-60A Blackhawk i piętnaście Apache. Wszystkie śmigłowce miały do boków doczepione krótkie wysięgniki. Blackhawki wykorzystywały je do przenoszenia dodatkowych zbiorników z paliwem, a Apache miały podwieszane zbiorniki i rakiety. Załogi stały obok maszyn, pochylając się nad mapami.

Clark miał na sobie czarny kombinezon nindży, natomiast Kirilin włożył łaciaty uniform rosyjskich spadochroniarzy.

– Dzień dobry, jestem Dick Boyle – przedstawił się nowo przybyłym pułkownik dowodzący grupą śmigłowców.

– John Clark z Tęczy, a to jest generał Kirilin ze Specnazu – dokończył prezentacji Clark.

– Będę waszym szoferem, panowie. Obiekt leży w odległości tysiąca stu kilometrów.

Dolecimy tam z paliwem, które zabierzemy ze sobą, ale w drodze powrotnej będziemy musieli je uzupełnić. Zrobimy to w tym miejscu. – Boyle wskazał punkt na mapie nawigacyjnej. – To wierzchołek wzgórza na zachód od małego miasta o nazwie Chicheng.

Dwa C-130 zrzucą na spadochronach pojemniki z paliwem. Przez cały czas będziemy mieli eskortę F-15, a radary po drodze zniszczą wcześniej F-16. Eskadra ośmiu F-117 zbombarduje lotnisko wojskowe w Anshan. Nie spodziewam się więc kłopotów ze strony lotnictwa chińskiego. Według informacji wywiadu, silosów z raketami broni oddział piechoty w sile wzmocnionego batalionu, który stacjonuje w tych barakach. – Boyle pokazał zdjęcie satelitarne z zaznaczonymi budynkami koszar. – Pięć moich Apache ostrzela je raketami.

Pozostałe będą osłaniały was. Jak daleko od silosów chcecie wylądować?

– Najlepiej na osłonach wyrzutni – powiedział Clark, spoglądając na Kirilina.

– Zgadzam się. Im bliżej tym lepiej – pokiwał głową generał.

– Nie ma sprawy. Śmigłowce z desantem mają na burtach numery, odpowiadające poszczególnym silosom. Lecę jako prowadzący formacji, więc do mnie należy Jedyńka.

– Czyli lecę z tobą – powiedział Clark.

– Ilu ludzi?

– Oprócz mnie dziesięciu.

– Okay, wasze kombinezony chemiczne są w transportowcu. Ubierajcie się i lecimy.

Latryna jest w tym zagajniku. Lepiej jak każdy się wysika, zanim wsiądziemy do wiatraków.

Start za piętnaście minut.

Clark ruszył w stronę latryny. Rosjanin towarzyszył mu. Obaj wiedzieli, że zadbanie o pusty pęcherz przed misją jest równie ważne jak zabranie zapasowych magazynków.

– Byłeś kiedyś w Chinach, John?

– Nie. Raz spędziłem urlop na Tajwanie. Przeleciałem panienkę, urąbałem się w trupa i kazałem sobie zrobić tatuaż.

– W tym przypadku nie spodziewałbym się podobnych atrakcji. Wiesz, że obaj jesteśmy za starzy na taką akcję?

– Wiem – odparł Clark, zapinając rozporek. – Ale nie zostałbyś na tyłach, co?

- Dowódca musi być ze swoimi ludźmi, Iwanie Timofiejewiczu.
- Święta racja, Jurij. Powodzenia.
- Nie pozwolę żółtkom wystrzelić rakiet na nasze kraje – obiecał Kirilin. – Dopóki żyję.
- Wiesz co, Jurij? Nadawałbyś się do trzeciego SOG.
- A co to takiego?
- Kiedy wrócimy, opowiem ci przy kieliszku.

Specnazowcy i ludzie z Tęczy ubierali się w kombinezony obok swoich śmigłowców.

Amerykańskie hełmy z kewlaru mieściły się bez problemów pod kapturami kombinezonów, trzeba jedynie było w innych miejscach podczepić anteny do łączności taktycznej.

Kiedy już wszyscy znaleźli się we wnętrzach maszyn, Blackhawki uniosły się w górę.

Clark zajął miejsce w kabinie pilotów i podłączył się do interkomu.

– Kim tak naprawdę pan jest? – zapytał Boyle.

– Mogę ci powiedzieć, ale potem będę musiał cię zabić. Jestem z CIA, a przedtem służyłem w Marynarce.

– SEAL?

– Zgadza się. Dwa lata temu powstała nasza grupa antyterrorystyczna o nazwie Tęcza i ja zostałem jej dowódcą.

– To wy załatwiliście tych gnojków w hiszpańskim parku rozrywki?

– Tak.

– Mieliście wsparcie UH-60. Kto był pilotem?

– Dan Malloy. Kiedy jest w powietrzu zwracają się do niego Niedźwiedź. Znasz go?

– Piechota morska, tak?

– Tak.

– Nie spotkaliśmy się nigdy, ale trochę o nim słyszałem. Teraz służy chyba w Dystrykcie.

– Kiedy odszedł z Tęczy, dostał przydział do dywizjonu VMH-1.

– Wozi prezydenta?

– Zgadza się.

– Wszyscy marines to dekonwnicy – zauważył Boyle.

– Od jak dawna to robisz? – zapytał John.

– Chodzi o śmigłowce? Od osiemnastu lat. Wylatałem cztery tysiące godzin. Urodziłem się w Hueyu i dorosłem w Blackhawkach. Mam też papiery na Apache.

– Co sądzisz o naszej misji?

– Kawał czasu w powietrzu.

Clark miał nadzieję, że do tego ograniczą się niedogodności związane z operacją. Obolały tyłek nie jest najgorszą rzeczą na świecie.

– Szkoda, że nie ma innego sposobu, Robby – powiedział podczas lunchu Ryan.

Wydawało mu się to cholernie nie w porządku, że on tu sobie zajada w Białym Domu cheesburgery z najlepszym przyjacielem, podczas gdy inni – włączając w to dwóch osobiście znanych mu ludzi – biorą udział w bardzo niebezpiecznej misji.

– O ile chcesz poczekać dwa dni, aż Lockheed-Martin dostarczy odpowiednie bomby, dorzucisz dzień na lot na Syberię i dodatkowe dwanaście godzin na nalot. Może trochę dłużej.

F-117 latają tylko w nocy, pamiętasz? – zauważył wiceprezydent.

– Widzę, że znosisz to o wiele lepiej niż ja.

– Jack, mnie się też to nie podoba, okay? Ale po dwudziestu latach spędzonych na lotniskowcach, uczysz się jakoś znosić myśl, że twoi kumple właśnie ryzykują życiem. A jeśli nie potrafisz się nauczyć, oddajesz dowódcy skrzydła swoją odznakę pilota. A teraz dokończ tego hamburgera. Potrzeba ci sił, by myśleć. Co u Andrei?

Pytanie wywołało uśmiech na twarzy prezydenta. – Rzygała dziś przez cały ranek.

Musiała nawet skorzystać z mojej łazienki. Mało nie umarła ze wstydu.

– W końcu wybrała sobie męski zawód – zauważył Robby. – Ciężko być jednym z chłopaków, kiedy nie ma się ptaszka. Ale Andrea jest twarda, muszę jej to przyznać.

– Cathy mówi, że mdłości przejdą, ale dzieje się to chyba za wolno, jak na gust Andrei. –

Jack podniósł wzrok i zobaczył stojącą na progu Andreę. Była jak zawsze czujna, w każdej chwili gotowa bronić swojego prezydenta. – Co u twojego taty?

– Jedna z telewizji zaproponowała mu i Gerry’emu Pattersonowi głoszenie Słowa Bożego w niedzielne poranki przed kamerami. Jeszcze nie udzielił odpowiedzi. Pieniądze zawsze przydadzą się parafii.

– Razem wywierają wrażenie.

– Tak. Gerry jest niezły – jak na białego. Ale tata boi się, że to wszystko zmierza za bardzo w stronę Hollywood, a wiesz co sądzi o showbiznesie. Kiedy widzi mnie z butelką piwa, ma ochotę przylać mi paskiem.

– Powiedz mu, że Jezus był kiedyś barmanem. I, o ile sobie przypominam, to był pierwszy publiczny cud.

– Sięgnąłem po ten argument, ale odpowiedział, że nie jestem Jezusem.

– To nie jest nawet takie złe – pochwalił komandora Al Gregory, który został przed godziną zaproszony na lunch do kajuty dowódcy USS „Gettysburg”.

– Musimy mieć jakieś przyjemności, skoro na okrętach Marynarki nie ma kobiet i alkoholu – odparł komandor Blandy. – Jak rakiety?

– Oprogramowanie zostało już załadowane do komputera pokładowego i wysłałem ulepszoną wersję e-mailem do pozostałych jednostek z systemem Aegis.

– Tak naprawdę to co pan usprawnił?

– Głównie oprogramowanie głowicy naprowadzającej. Skróciłem liczbę pętli programu i poprawiłem skuteczność systemu detonującego, by pocisk eksplodował bliżej rakiety. To powinno wyeliminować problemy jakie miały w dziewięćdziesiątym pierwszym rakiety Patriot ze Scudami. Przydałby się lepszy laser, żeby zwiększyć zasięg czujnika, ale nie będzie źle. Tak przynajmniej wynika z symulacji komputerowych.

– Mam nadzieję, że nie będziemy musieli sprawdzić pańskich ulepszeń w praktyce.

– O tak, panie komandorze. Międzykontynentalny pocisk z głowicą atomową eksplodujący nad miastem to paskudna sprawa.

– Amen.

Było ich teraz już pięć tysięcy i wciąż nadciągali następni. Większość zdawała się mieć telefony komórkowe, a niektórzy nawet laptopy, przez które dzięki komórkom mogli łączyć się z internetem. Przywódcy tłumu – woleli myśleć o sobie jak o przywódcach demonstracji –

wysyłali gorączkowo maile do innych ośrodków akademickich w stolicy Chin. Pierwsze powstanie studentów na placu Tiananmen wykorzystywało fakсы, jednak dzielące oba wydarzenia lata przyniosły prawdziwy skok technologiczny. Byli wystarczająco dorośli i wykształceni, by wiedzieć co w ich kraju wymaga zmiany, ale brakowało im doświadczenia, by wiedzieć, że zmiany są w tym społeczeństwie bardzo źle widziane. Nie zdawali sobie też sprawy z tego, jak niebezpieczna to kombinacja.

Ten nalot dla F-117 był bułką z masłem. Bombowce nadleciały nad cel w odstępach trzydziestosekundowych, zrzucając po dwie bomby kasetowe Mark-84 z dołączonym systemem naprowadzania Paveway-II. Każda z bomb o masie tysiąca kilogramów zawierała sto osiemdziesiąt sztuk subamunicji M-905. Detonatory ustawione były na eksplozję w trzy dziesiąte sekundy po uderzeniu w powierzchnię betonowego pasa startowego, tak, by zdążyły zagłębić się na około półtora metra. Każda z M-905 pozostawiła po sobie krater o średnicy sześciu metrów i głębokości trzech. W ciągu czterech minut eskadra ośmiu bombowców zrzuciła wszystkie szesnaście bomb kasetowych. Baza samolotów myśliwskich Anshan została wyłączona z użytku i miała w takim stanie pozostać jeszcze przez przynajmniej tydzień. F-117 uformowały się w cztery pary i w takim szyku wróciły do bazy w Żygańsku.

– Cel w zasięgu wzroku – powiedział przez interkom Boyle i przełączył się na radio. –

Nóż Sześć do reszty. Zgłosić się.

– Dwa.

– Trzy.

– Cztery.

– Pięć.

– Sześć.

– Siedem.

– Osiem.

– Dziewięć.

- Dziesięć.
- Koczis, zgłoś się.
- Zgłasza się prowadzący Koczis z piątką, widzimy cel.
- Zgłasza się prowadzący Kruk z piątką. Widzimy cel.
- Nóż Sześć do wszystkich, wchodzimy do akcji.

Wszyscy członkowie Tęczy i żołnierze Specnazu poczuli gwałtowny przyływ adrenaliny.

Jako pierwsza do akcji weszła eskadra Koczis, kierując się w stronę koszar. Przed wejściem do budynku ustawiono posterunek, doskonale widoczny w kamerach termowizyjnych śmigłowców szturmowych Apache. Operatorzy uzbrojenia wyraźnie widzieli sylwetki dwóch wartowników, którzy wyglądali na najbardziej znudzonych ludzi na świecie.

Głowy żołnierzy odwróciły się w stronę źródła tajemniczego dźwięku, przypominającego przytłumione klaskanie w dłonie. Czterołopatowe wirniki nośne Apache zostały tak zaprojektowane, by maksymalnie wytłumić hałas, jednak z odległości pięciuset metrów słyszało się już charakterystyczny łopot.

Było jednak za późno na jakąkolwiek reakcję. Spod węzłów uzbrojenia wyskoczyły ze świstem pociski Hydra. Przez pierwsze trzysta metrów leciały tuż nad ziemią, żeby nie zdradzać swojej pozycji, dopiero dwieście metrów przed celem wzbily się na wysokość pięciu metrów. Pierwsza salwa czterech pocisków rozniosła na strzępy posterunek wraz z dwoma wartownikami. Pozostałe piętnaście pocisków raketowych kalibru 70 mm bez trudu przebiło drewniane ściany budynku koszarowego i eksplodowało, zabijając wszystkich wewnątrz.

Apache pozostawały w zawisie, czekając na ewentualny ostrzał z ziemi. Prowadzący eskadry Koczis zatoczył łuk wokół płonących zgliszczy i pilot dostrzegł dwóch żołnierzy strzelających na oślep w niebo ze swoich Kałasznikowów. Operator uzbrojenia przestawił

selektor na działko kalibru 20 mm i po chwili w powietrze pofrunęły strzępy ciał. Apache obleciały cały teren wokół koszar, ale nikt z załóg śmigłowców nie zauważył oznak życia.

- Tu prowadzący Koczis do Czwórki i Piątki. Dołączcie do Kruka, nie ma tu dla was roboty.

Eskadra Kruk, również składająca się z pięciu Apache'ów, leciała tuż przed Blackhawkami. Obok każdego silosu z raketami stał mały dwuosobowy posterunek.

Wystarczyło kilka sekund, by ogień z działek roztrzaskał drewniane konstrukcje wartowni wraz z żywą zawartością. Następnie Apache wzniosły się na wyższy pułap i zaczęły wolno krążyć nad

silosami, wypatrując oznak życia. Żadnych nie dostrzeżono.

Pułkownik Dick Boyle zawiesił swojego Blackhawka metr nad ziemią, dziesięć metrów od silosu numer jeden, przykrytego stalową pokrywą w kształcie chińskiego kapelusza.

Ośrodek dowodzenia bazy mieścił się dziesięć metrów pod ziemią, a całą przestrzeń nad nim wypełniał zbrojony beton. Konstruktorzy zapewniali, że przetrzyma nawet uderzenie taktycznej bomby atomowej zdetonowanej w odległości stu metrów. Dziesięcioosobową obsługą ośrodka dowodził generał Xun Qing-Nian. Trzy godziny temu osobiście nadzorował

tankowanie paliwa do rakiet CSS4, co wydarzyło się po raz pierwszy w jego karierze wojskowego.

Jak każdy chiński oficer, był bardzo zdyscyplinowany. Miał też świadomość, że jego pieczy powierzono jedyną strategiczną broń Chińskiej Republiki Ludowej. Teraz właśnie wpatrywał się w osłupieniu w ekran monitora, na którym widać było w świetle reflektorów amerykańskie śmigłowce.

– Zgaście te światła! – krzyknął Chavez.

Wystarczyła jedna seria z MP-10, by teren wokół silosów pogrążył się ponownie w ciemnościach.

– Ogłosić alarm! – wrzasnął generał Xun. – Połączcie mnie z Pekinem – zażądał po chwili, przypomniawszy sobie kolejne punkty procedury alarmowej.

Paddy Connolly przyklęknął obok rurociągu łączącego zbiorniki paliwa z silosem numer jeden. Założenie dwóch ładunków z plastycznego materiału wybuchowego wraz z detonatorami zajęło mu dziesięć sekund. W tym czasie osłaniali go Eddie Proce i Hank Patterson.

– Wszyscy na ziemię! Założyć maski! – krzyknął Paddy, chowając się za betonowym blokiem. Obie rury zniknęły w obłoku płomieni, który zaraz zgasł. Z postrzępionych końców nie wydobywały się opary paliwa raketowego, co było dobrą wiadomością.

– Wygląda na to, że nie tankują rakiet – zauważył Eddie Proce. Wszyscy trzej komandosi Tęczy pobiegli w stronę metalowych drzwi, prowadzących do wnętrza silosu.

– Ed, jesteśmy na ziemi – powiedział do telefonu satelitarnego Clark, łącząc się z Langley. – Rozwaliliśmy koszary, brak oporu ze strony przeciwnika. Wysadzamy właśnie rurociągi do silosów. Wkrótce się zgłoszę.

– Co?! – W Pekinie słońce zdążyło już wstać. Dla marszałka Lou, który właśnie został

obudzony po zaledwie kilku godzinach snu, po dniu, który był najgorszym w jego życiu od czasów rewolucji kulturalnej, wiadomość wydawała się niewiarygodna. – Powtórzcie!

– Mówi generał Xun Qing-Nian z bazy raketowej Xuanhua. Zostaliśmy zaatakowani.

Teren bazy opanowały nieznane siły. Próbują zniszczyć nasze rakiety. Proszę o instrukcje.

– Odeprzycie atak!

– W koszarach nie odpowiada telefon, a przez kamery telewizji wewnętrznej widziałem, że cały budynek płonie. Towarzyszu ministrze, co mam robić?

– Czy rakiety są gotowe do startu?

– Tak.

Luo rozejrzał się po swojej sypialni, ale nie było tu nikogo, kto mógłby udzielić mu rady.

Wiedział jedynie, że ktoś próbuje wyrwać spod jego kontroli jedyną broń strategiczną, która została ChRL.

– Wystrzelić rakiety – powiedział do słuchawki.

– Proszę o powtórzenie rozkazu – powiedział generał Xun.

– Wystrzelić rakiety! – ryknął marszałek. – Natychmiast!

– Tak jest, towarzyszu ministrze.

– Niech to szlag! – zaklął Connolly. – Co za cholerne drzwi! – Pierwsza eksplozja jedynie osmaliała farbę na metalowych drzwiach. Paddy wyjął z plecaka dwa ładunki kumulacyjne i założył je na górnych i dolnych zawiasach. – Tym razem się uda – obiecał i zaczął odwijać lont.

Po chwili rozległ się przeraźliwy huk. Kiedy członkowie Tęczy wyszli zza rogu, zobaczyli, że drzwi wraz z futryną wpadły do wnętrza silosu. Connolly zajrzał do środka i natychmiast obrócił się na pięcie.

– W nogi! Spieprzamy stąd!

Price i Patterson nie potrzebowali zachęty. Connolly dogonił ich po kilku sekundach, nakładając w biegu maskę i kaptur. Zatrzymali się dopiero po stu metrach.

– Ta cholerna rakieta jest zatankowana. Drzwi przedziurawiły górny zbiornik paliwa.

Cholerstwo w każdej chwili może eksplodować!

– Kurwa mać! Tęcza Sześć, tu Price, rakiety są zatankowane, powtarzam, rakiety są zatankowane!
Uciekajcie od silosów!

Pokrywa silosu numer osiem wyskoczyła w górę i w bok, a spod niej trysnęły strumienie ognia i dymu. Z drzwi silosu numer jeden wystrzelił płomienisty jęzor.

Rozbłysk na monitorze kamery termowizyjnej był niemożliwy do przeoczenia. Satelita przelatujący nad równikiem przesunął obiektyw kamery, zwabiony nagłą eksplozją ciepła, i przekazał sygnał do Sunnyvale w Kalifornii. Stamtąd powędrował do ośrodka NORAD, Dowództwa Obrony Powietrznej Ameryki Północnej, umieszczonego we wnętrzu góry Cheyenne w stanie Kolorado.

– Wystrzelenie! Prawdopodobne wystrzelenie rakiety w Xuanhua!

– Co się dzieje? – zapytał dowódca NORAD.

– Mamy rozbłysk na podczerwieni – cholera, dwa rozbłyski w Xuanhua – odpowiedziała kapitan Sił Powietrznych. – Matko Boska, jeszcze jeden.

– Spokojnie, pani kapitan – powiedział czterogwiazdkowy generał. – Nie ma się czym przejmować. To nasi z sił specjalnych wysadzają chińskie silosy.

Podwładni generała Xuna na komendę przekręcili klucz kontrolne. Generał nigdy nie spodziewał się, że przyjdzie mu uczestniczyć w procedurze odpalania międzykontynentalnych rakiet balistycznych. Oczywiście, miał za sobą setki ćwiczeń, ale tym razem wszystko działo się naprawdę. Ktoś chciał zniszczyć jego rakiety – a on otrzymał wyraźne rozkazy. Niczym automat przekręcił w prawo swój klucz.

Specnazowcom szło nieźle. Już cztery rakiety zostały unieszkodliwione. Jednemu z zespołów rosyjskich udało się wysadzić drzwi przy użyciu jednego ładunku wybuchowego.

Generał Kirilin wysłał do wnętrza żołnierza, który doskonale znał (jak wszyscy ludzie ze Specnazu, w końcu do tego byli szkoleni) czułe miejsca wszystkich rakiet na świecie –

począwszy od przeciwlotniczych, a na balistycznych skończywszy. Jedna krótka seria rozbiła moduł sterowania. Naprawa rakiety potrwałaby co najmniej tydzień, ale żeby w ogóle jej zapobiec, żołnierz umocował do korpusu rakiety minę i ustawił czasowy detonator na piętnaście minut. – Gotowe! – krzyknął.

– Zbierać się! – krzyknął Kirilin. Generał biegł jako ostatni w stronę punktu zbornego.

Był pewien, że od czasów Szkoły Spadochroniarskiej w Riazaniu nie biegał tak szybko.

Nagle jego uwagę przyciągnął gejzer ognia na północy. Równocześnie ze zdumieniem uświadomił sobie, że odsuwają się pokrywy trzech silosów. Najbliższy był zaledwie o trzysta metrów od niego. Zobaczył jak jeden z jego ludzi podbiega do otwartego silosu i wrzuca do środka jakiś przedmiot.

Trzy sekundy później z silosu wyłonił się wulkan ognia, który pochłoniął specnazowca.

Ale stało się jeszcze coś gorszego: z otworów wokół silosów numer pięć i siedem wystrzeliły fontanny biało-żółtego płomienia, a po dwóch sekundach w powietrze majestatycznie dźwignął się czarny kształt rakiety balistycznej.

– O, kurwa – wyszeptał pilot Apache’a Kruk Dwa. Wisiał w powietrzu jakiś kilometr na zachód. Bez namysłu przesunął do przodu dźwignię zespoloną, zwiększył skok wirnika i poleciał w stronę startującej rakiety.

– Mam ją – zameldował operator uzbrojenia. Przerzucił selektor na działko i ściągnął

spust. Pociski smugowe pomknęły w stronę rakiety niczym promień laserowy. Pierwsza seria chybiła, ale druga przestębnowała górną część rakiety. Eksplozja zakołysała śmigłowcem.

Pilotowi cudem udało się zapanować nad maszyną. Ognista kula, w którą zamieniła się rakietka, runęła w prawo i spadła na silos numer dziewięć, zabijając w ułamku sekundy przydzielony do niego zespół Specnazu.

Ostatnia rakietka wzbiła się w powietrze, zanim zespół mający ją unieszkodliwić zdołał

wysadzić drzwi. Jeden ze specnazowców próbował strzelić do wznoszącego się kolosa, ale płomienie silnika startowego w ciągu sekundy zmieniły go w popiół. Jeden z Apache’ów starał się powtórzyć wyczyn Kruka Dwa, jednak CSS4 zbyt szybko wspinała się w górę.

– O, kurwa – usłyszał w słuchawce łączności taktycznej Clark. To był głos Dinga. John nacisnął klawisz telefonu satelitarnego.

– Jak wam idzie? – zgłosił się natychmiast Ed Foley.

– Jedna wystartowała.

– Co?!

– Załatwiliśmy wszystkie poza jedną. Leci na północ. Przykro mi, Ed. Próbowaliśmy.

Zebranie myśli zajęło Foleyowi kilka sekund. – Dzięki, John. Wygląda na to, że mamy kłopot.

– Kolejny rozbłysk w podczerwieni – powiedziała kapitan.

Dowódca NORAD

nie wyglądał

na

zaniepokojonego.

W

końcu

podczas

unieszkodliwiania rakiet balistycznych można spodziewać się eksplozji. Na razie wszystko, według tego co przekazywał satelita, działo się na ziemi.

– To już ostatnia – oznajmił.

– Panie generale, ona się rusza. To odpalenie.

– Jest pani pewna?

– Niech pan spojrzy. Źródło ciepła przesuwa się na północ – powiedziała podekscytowanym głosem.

– Mamy start rakiety. O Boże!...

– O, cholera – sapnął generał. Wziął głęboki oddech, podniósł słuchawkę telefonu i wcisnął klawisz Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych USA. Dyżurnym oficerem był generał

piechoty morskiej o nazwisku Sullivan. Nie przypominał sobie, kiedy po raz ostatni dzwoniło do niego z NORAD.

– Naczelne Dowództwo, generał Sullivan – powiedział do słuchawki.

– Mówi dowódca NORAD. Mamy potwierdzony start rakiety balistycznej z bazy Xuanhua w Chinach. Powtarzam, potwierdzony start rakiety w Chinach. Leci na północny wschód w stronę Ameryki.

– O, kurwa – jęknął marine i nacisnął na konsolce klawisz z napisem BIAŁY DOM.

Ryan zasiadał do rodzinnej kolacji. Co za niezwykle wieczór, pomyślał. Żadnych przemówień, żadnych koktajli, żadnych konferencji prasowych. Ostatnio...

– Powtórz – szepnęła Andrea Price-O’Day do mikrofonu ukrytego w mankiecie żakietu. –

Co?

Do jadalni wpadł agent Tajnej Służby. – Ewakuacja! – krzyknął.

– Słucham? – zapytał Jack w osłupieniu.

– Panie prezydencie, musimy zabrać pana i pańską rodzinę z Białego Domu. Piechota morska wysłała już śmigłowce.

– Co się dzieje?

– NORAD zameldował o rakiecie balistycznej, lecącej w stronę Ameryki.

– Chiny? – zapytał prezydent.

– Nie mam dokładnych informacji. Musimy iść – powiedziała z naciskiem Andrea. Ryan odwrócił się do zamarłej w przerażeniu Cathy. – Musimy się zbierać, kochanie. Natychmiast.

– Ale... Co się dzieje?

Jack wziął ją za rękaw i pociągnął w stronę drzwi. Korytarz był pełen najwyraźniej podenerwowanych agentów. Trenton Kelly trzymał na rękach Kyle Daniela. Pozostali agenci przydzieleni do poszczególnych dzieci Ryanów stali obok swoich podopiecznych. Kiedy otworzyły się drzwi windy, jasne było, że wszyscy się w niej nie zmieszczą. Ryanowie weszli do środka, a wraz z nimi tylko Andrea. Pozostali agenci pobiegli na parter po marmurowych schodach.

– Andrea, dokąd lecimy?

– Pan do Powietrznego Ośrodka Dowodzenia. Wiceprezydent Jackson będzie już na nas czekał na pokładzie. Pańska rodzina poleci na Air Force Jeden.

W bazie Sił Powietrznych Andrews piloci 1. Dywizjonu Śmigłowcowego pędzili co sił do swoich Hueyów. Każda załoga wiedziała do kogo została przydzielona. Ich zadaniem była ewakuacja członków rządu z Waszyngtonu i przewiezienie ich w bezpieczne miejsce.

Śmigłowce wystartowały w ciągu trzech minut i poleciały z maksymalną prędkością w wyznaczone miejsca.

Gigantyczny radar *Cobra Dane*, ustawiony na wzgórzu jednej z wysp Aleutów, przeczesywał obszar powietrzny na zachodzie i północy. Co jakiś czas wykrywał przelatujące satelity, które z reguły poruszały się po niższych orbitach niż międzykontynentalne rakiety balistyczne. Wykrycie chińskiej CSS-4 nie zabrało wiele czasu.

– Jaki kurs? – zapytał oficer dyżurny siedzącego przed konsolą sierżanta Sił

Powietrznych.

– Według symulacji komputerowej z pewnością Wschodnie Wybrzeże. Za kilka minut dowiemy się więcej. Na razie wiem, że gdzieś między Buffalo a Atlantą. – Informacja została natychmiast przekazana do NORAD i Pentagonu.

Cała struktura sił zbrojnych USA została postawiona w stan najwyższej gotowości.

Dotyczyło to również USS „Gettysburg”, przycumowanego do nabrzeża bazy Marynarki w Waszyngtonie.

– Panie Gibson, proszę ogłosić alarm bojowy – powiedział komandor Blandy do pierwszego oficera.

Na całym statku system nagłaśniający przekazał rozkaz dowódcy: – Obsadzić wszystkie stanowiska bojowe!

Al Gregory był w Centrum Informacji Bojowej, przeprowadzając kolejny test oprogramowania. – Co się dzieje? – zwrócił się do bosmana Leeka.

Bosman pokręcił głową. – Wygląda na to, że to nie ćwiczenia. – Obsadzić stanowiska bojowe, kiedy cumujemy przy nabrzeżu w pieprzonym Waszyngtonie? – przemknęło mu przez głowę. – Dobra, chłopaki. Włączać wszystkie systemy! – rozkazał swoim ludziom.

Łopaty wirnika nośnego prezydenckiego śmigłowca już się obracały, kiedy Ryanowie wyszli w eskorcie agentów Tajnej Służby na Południowy Trawnik Białego Domu.

– Jack, lecimy razem? – zapytała Cathy.

– Nie, muszę lecieć Powietrznym Punktem Dowodzenia. Takie są procedury. Zobaczymy się za kilka godzin. – Pocałował ją, przytulił dzieci i odprowadził je do śmigłowca. Sikorsky wzbił się w powietrze, zanim pasażerowie zdążyli zapiąć pasy bezpieczeństwa.

Trzydzieści sekund później wylądował na trawniku inny helikopter piechoty morskiej; tym razem za sterami siedział Dan Malloy. Drzwi w prawej burcie VH-60 otworzyły się.

Ryan, z nie odstępującą go na krok Andrea Price-O'Day, pośpiesznie wszedł do śmigłowca i zapiał pasy. Z rykiem turbin VH-60 wystartował.

– A co z resztą personelu Białego Domu? – zapytał Jack.

– Pod Wschodnim Skrzydłem jest schron dla kilkunastu osób – odparła.

– Jezu, a co z innymi?

– Panie prezydencie, moim zadaniem jest ochrona pańskiego życia, a nie personelu Białego Domu – powiedziała z bezradnym wzruszeniem ramion.

Agentka specjalna Andrea Price-O'Day pobladła nagle i Jack w ostatniej chwili zdążył

podać jej torebkę, którą wszystkie linie lotnicze umieszczają w oparciach foteli. Jednak ta, ku zdumieniu Ryana, miała wydrukowaną pieczęć prezydenta USA. Przelatywali teraz nad Mall i w dole wyraźnie widać było tłumy ludzi spacerujące po ulicach.

Właśnie zostawiłeś w Białym Domu około setki ludzi, którzy dbali o ciebie, którzy ochraniali cię, sprząтали po tobie, gotowali ci obiady i ślali łóżko. Może dwudziestu zmieści się w schronie pod Wschodnim Skrzydłem... A co z resztą? Kto zabierze ich w bezpieczne miejsce?

Przelatywali nad rzeką, po prawej stronie Jack dostrzegł dwa podłużne szare kształty.

Jeden z nich rozpoznał od razu – niszczyciel-muzeum z czasów drugiej wojny światowej, ale ten drugi...? Racja, przecież mówił o tym Tony Bretano!

Ryan rozpiął pasy, pochylił się nad pułkownikiem Malloyem i klepnął go w ramię. Głowa pilota odwróciła się do tyłu.

– Tak, panie prezydencie?

– Widzisz ten krążownik przy nabrzeżu?

– Oczywiście, sir.

– Ląduj na jego pokładzie.

– Panie prezydencie, ale...

– Ląduj, to rozkaz! – wrzasnął Ryan.

– *Aye aye*, sir – powiedział Malloy, jak przystało na dobrego marine.

Prezydencki Blackhawk zatoczył łuk w stronę rzeki Anacostia i zawisł nad pokładem śmigłowcowym krążownika USS „Gettysburg”. – Co pan robi, panie prezydencie? – zapytała Andrea.

– Wsiadam tu, ty lecisz do Powietrznego Punktu Dowodzenia.

– Nie! – krzyknęła. – Zostaję z panem!

– Nie tym razem. Musisz urodzić dziecko. Jeżeli nam się nie uda, mam nadzieję, że wyrosnie na takich ludzi jak ty i Pat. – Ryan odsunął na bok drzwi i wyskoczył na pokład.

Andrea ruszyła w jego ślady. – Sierzancie! – krzyknął Ryan. – Nie wolno jej opuścić śmigłowca!

– Nie! – wrzasnęła Andrea.

– *Aye aye, sir* – powiedział sierżant piechoty morskiej i wciągnął wierzgającą agentkę specjalną Tajnej Służby do wnętrza VH-60.

Ryan pochylił się i pobiegł w stronę nadbudówki krążownika, czując jak strumień powietrza z wirnika nośnego przygina go do pokładu.

– Co tu się, kurwa, dzie...? Jezu, pan prezydent – wyjąkał młody bosmanmat, rozpoznając Ryana.

– Gdzie jest dowódca?

– W Centrum Informacji Bojowej, sir.

– Prowadź!

Podoficer poprowadził Ryana przez labirynt korytarzy i schodni, by po kilkudziesięciu sekundach otworzyć drzwi do pomieszczenia oświetlonego jedynie przyciemnionymi czerwonymi żarówkami. Ryan bez ceregieli wszedł do środka, nie anonsując swojego przybycia. Był w końcu prezydentem USA i naczelnym dowódcą sił zbrojnych, więc okręt i tak w praktyce należał do niego. Przez chwilę dostosowywał wzrok do nowych warunków, a po chwili odwrócił się do bosmanmata, który go tu przyprowadził.

– Dzięki, chłopcze. Możesz wracać na swój posterunek.

– Tak jest, sir.

No dobrze, co teraz? Dostrzegł dwa wielkie monitory radarowe, przed którymi siedzieli operatorzy. Ruszył w ich stronę, ale po kilku krokach wpadł na aluminiowe krzeselko, na którym siedział podoficer Marynarki. Z odpiętej kieszeni na piersi wystawała mu paczka papierosów. Ryan postanowił skorzystać ze swoich uprawnień naczelnego dowódcy i wyjął

bez pytania papierosa wraz z zapalniczką, wetkniętą do pudełka. Zapalił papierosa i skinieniem głowy podziękował marynarzowi.

– Jezu, to pan? – wyszeptał bosman.

– Nie do końca. Dzięki za papierosa. – Po dwóch krokach znalazł się obok oficera ze srebrnymi orłami komandora na kołnierzyku, który siedział obok operatora radaru. To na pewno dowódca USS „Gettysburg”. Zaciągnął się z lubością dymem i wydmuchnął go w stronę sufitu.

– Co tu się dzieje?! Kto pali w Centrum?

– Dobry wieczór, komandorze – odparł Ryan. – Z tego co wiem, w stronę Waszyngtonu leci rakietka z głowicą termojądrową. Czy możemy na jakiś czas zawiesić regulamin?

Zdumiony komandor Blandy odwrócił się. Na widok Ryana otworzył usta tak szeroko, że zmieściłaby się w nich przydziałowa popielniczka Marynarki. – Jak...? Kto...?

– Komandorze, postanowiłem osobiście wziąć udział w tej operacji. Oficer wyprężył się na baczność. – Jestem komandor Blandy, sir.

– Jack Ryan. – Prezydent uścisnął rękę Blandy’ego. – Jak wygląda sytuacja?

– Panie prezydencie, wszystko co wiemy to to, że balistyczna leci na Wschodnie Wybrzeże. Okręt jest w stanie gotowości bojowej. NORAD informuje nas na bieżąco.

Cathy i dzieci w ciągu kilku sekund po wylądowaniu śmigłowca znaleźli się we wnętrzu Air Force Jeden, który natychmiast zaczął kołowanie. Pierwsza Rodzina została przypięta pasami bezpieczeństwa do foteli przez agentów Tajnej Służby i personel Sił Powietrznych.

Trzydzieści sekund później obok E-4B, który pełnił rolę Powietrznego Punktu Dowodzenia, wylądował śmigłowiec Jacksona.

– Gdzie jest Jack? – zapytał wiceprezydent Andreę. Agentka specjalna wyglądała tak, jakby przed chwilą poroniła.

– Prezydent kazał pilotowi wysadzić się na pokładzie krążownika, który cumuje przy nabrzeżu obok bazy Marynarki na Anacostia.

– Słucham?

– Słyszał mnie pan dobrze, sir.

– Natychmiast mnie z nim połączcie! – rozkazał Jackson.

Ryan poczuł, że serce nie bije mu już tak mocno. Nie musiał się już nigdzie śpieszyć, znajdował się w otoczeniu ludzi, którzy wiedzieli co robią i nie wyglądali na zbyt zdenerwowanych. No, może z

wyjątkiem dowódcy, ale taka już była rola dowódców, odpowiadających za okręt o wartości miliarda dolarów.

– Coś nowego? – zapytał prezydent.

– Balistyczna leci w naszą stronę, ale nie mamy jej jeszcze na naszym radarze.

– Możecie ją zestrzelić?

– Mamy taką nadzieję, sir – odparł komandor i odwrócił głowę. – Jest tu doktor Gregory?

– Słucham, panie komandorze – odparł w półmroku czyjś głos. – Jezu! – powiedział, gdy podszedł bliżej.

– Tak naprawdę mam na imię Jack. Ja pana znam – powiedział ze zdziwieniem Ryan. –

Major... major...

– Gregory, sir. Dosłużyłem się podpułkownika, zanim odszedłem do cywila. Sekretarz Bretano zatrudnił mnie w celu udoskonalenia oprogramowania systemu Aegis – wyjaśnił

naukowiec. – Zaraz przekonamy się, ile jest warta moja robota.

– Mamy kontakt radarowy – zameldował operator radaru w stopniu bosmana. – Obiekt w niamiarze trzy-cztery-dziewięć. Odległość tysiąc pięćset kilometrów, prędkość... tak to nasza rakietka. Prędkość dwadzieścia dwa tysiące kilometrów na godzinę. Rany boskie.

– Zostały nam cztery i pół minuty – powiedział Gregory.

– Oblicza pan w pamięci? – zapytał Ryan.

– Pracuję w tej branży od ukończenia West Point.

Ryan po raz ostatni zaciągnął się papierosem i rozejrzał się za...

– Tutaj, panie prezydencie – powiedział podoficer z popielniczką, która w cudowny sposób znalazła się w Centrum Informacji Bojowej. – Jeszcze jednego?

– Dlaczego nie? – odparł prezydent. – Dzięki.

– Panie komandorze – zwrócił się do swojego dowódcy starszy bosman sztabowy Leek –

Może zawiesi pan zakaz palenia w Centrum?

– Jeżeli komandor tego nie zrobi, ja mam odpowiednie uprawnienia – powiedział Ryan.

- Załoga, wolno palić – powiedział Leek z wyraźną satysfakcją w głosie. Komandor z niechęcią zatoczył wzrokiem po pomieszczeniu, ale nic nie powiedział.
- Panie komandorze, połączenie radiowe do prezydenta, sir.
- Gdzie mogę odebrać? – zapytał Jack.
- Tutaj, sir – powiedział młody chłopak, podając Ryanowi słuchawkę i naciskając klawisz na konsoli.
- Tu Ryan.
- Jack, tu Robby.
- Moja rodzina wystartowała?
- Tak, Jack. Możesz mi powiedzieć, co tam robisz, do cholery?
- Musiałem zostać. Nie mogłem zwać.
- Jack, jeżeli ta balistyczna eksploduje...
- To dostaniesz awans, Robby. Słuchaj, jesteś moim najlepszym przyjacielem. Jeżeli mi się nie uda, zaopiekuj się Cathy i dziećmi, dobrze?
- Nie musiałeś tego mówić.
- Za trzy minuty dowiemy się wszystkiego. Zadzwoń potem, okay?
- Zrozumiałem – odparł były pilot Tomcata.
- Co pan wie o tej głowicy, doktorze Gregory? – Ryan zwrócił się do programisty.
- To prawdopodobnie odpowiednik naszej starej W-51. Około pięciu megaton. Załatwi cały Waszyngton i wszystko w promieniu piętnastu kilometrów. W Baltimore wylecą tylko szyby.
- A co z nami?
- Żadnych szans. Zakładam, że żyroskop głowicy ustawiony jest w środek trójkąta wyznaczonego przez Biały Dom, Kapitol i Pentagon. Może ocaleje stępka naszego okrętu, ale tylko dlatego, że jest pod wodą. Nikt z ludzi nie ma szans. Może kilku szczęśliwców w dolnych stacjach metra. Ale kula ognista i tak wyssie całe powietrze z dołu. – Wzruszył ramionami. – Nigdy nie testowaliśmy takich rzeczy.
- Jakie mamy szanse na niewybuch?

– Pakistańczycy mieli kilka niewybuchów. Naszym ludziom też zdarzyło się to raz czy dwa, ze względu na zanieczyszczenie helem ładunku wtórnego. Z tego samego powodu doszło jedynie do eksplozji pierwotnego ładunku w Denver...

– Pamiętam.

– Teraz głowica jest nad Buffalo. Wraca do atmosfery – powiedział Gregory, patrząc na monitor. – To ją trochę spowolni.

– Czy w mieście obrona cywilna ogłosiła alarm? – zapytał Ryan.

– Syreny wyją od pięciu minut. Alarm przekazuje też radio i CNN – odparł jeden z podoficerów.

– Ludzie wpadną w panikę – mruknął Ryan, zaciągając się dymem.

A może nie? Większość i tak nie ma pojęcia co oznacza wycie syren, a reszta nie uwierzy w to co nadaje radio, pomyślał Gregory.

– Systemy włączone? – zapytał Blandy.

– Tak jest, panie komandorze – odpowiedział oficer uzbrojenia. – Wyrzutnia dziobowa ustawiona w natarciu. Kolejność odpaleń ustawiona. Jako pierwsze lecą Block IV.

Komandor pochylił się nad konsolą i przekręcił klucz. – System Aegis włączony na auto.

– Odwrócił się w stronę Ryana i powiedział: – To oznacza, że od tej pory za wszystko odpowiada komputer.

– Cel w odległości pięciuset kilometrów – zameldował mat.

Są tacy opanowani, pomyślał Ryan. Może nie wierzą, że to się dzieje naprawdę... Ja też nie mogę w to uwierzyć... Zaciągnął się głęboko i obserwował jak migający punkcik na ekranie wędruje w stronę Waszyngtonu.

– Rakiety powinny już startować – powiedział oficer uzbrojenia. W tym samym momencie „Gettysburgiem” wstrząsnął odrzut pierwszej rakiety przeciwlotniczej systemu Aegis.

– Pierwsza poszła! – zameldował marynarz po prawej.

– Moje oprogramowanie zakłada przechwycenie balistycznej w odległości trzystu kilometrów – wyjaśnił Gregory. – Do spotkania powinno dojść nad słabo zaludnionym terenem gór Allegheny.

– Mam obraz! – zameldował ktoś. Z radarem przechwytyjącym współpracowała kamera telewizyjna o dziesięciokrotnym powiększeniu. Nadlatująca rakiet balistyczna wyglądała z tej odległości jak mglisty biały punkt ciągnący za sobą rozjarzony ogon. Przypomina meteor, uświadomił sobie Ryan. I w istocie nim była.

– Przechwycenie za cztery, trzy, dwa...

Na ekranie pojawiła się plamka wybuchu głowicy rakiety przeciwlotniczej, ale tuż za balistyczną.

– Druga poszła!

Głowica przelatywała teraz nad Harrisburgiem w stanie Pensylwania z prędkością

„zredukowaną” do dwudziestu tysięcy kilometrów na godzinę.

Pod nogami poczuli drgnięcie pokładu towarzyszące wystrzeleniu trzeciej i czwartej rakiety. Komputer sterujący uzbrojeniem będzie wysyłał rakiety, dopóki nie zobaczy eksplodującego celu. Nikt w Centrum Informacji Bojowej nie miał mu tego za złe.

– Zostały nam już tylko dwie Block IV – powiedział oficer uzbrojenia.

– Przechodzimy na Block III – rozkazał Blandy.

– O, cholera! – zaklął Gregory.

W jego stronę odwróciły się niemal wszystkie głowy.

– O co chodzi? – zapytał komandor.

– Głowice termolokacyjne są ustawione na trafienie w najcieplejszy punkt celu, a on jest większy od głowicy.

– Że co? – zapytał Ryan, czując jak żołądek zmienia mu się w lodową kulę.

– Block IV zachowuje się jak w przypadku zwalczania pocisków typu Scud, których najcieplejszym miejscem jest silnik raketowy. W przypadku raket międzykontynentalnych na cel spada tylko głowica z ładunkiem atomowym. W kontakcie z atmosferą wytraca ona prędkość, czemu towarzyszy wydzielanie ogromnej ilości ciepła. Rozgrzewa się nie tylko głowica, ale także smuga powietrza za nią. To ten ogon, który widzimy. – Gregory wskazał na ekran. – Całość jest tak gorąca, że dla systemów termolokacyjnych Block IV stanowi jeden

„najcieplejszy punkt celu”.

– I co z tego wynika? – zapytał ktoś z tyłu.

– To, że SM-2 naprowadza się na środek tego punktu, czyli że eksploduje tuż za głowicą.

Niech to szlag!

– Piąta poszła... Szósta poszła – obwieścił głos po prawej.

Głowica była teraz nad Frederick w stanie Maryland, lecąc z prędkością osiemnastu tysięcy kilometrów na godzinę...

Dwie rakiety przeciwlotnicze eksplodowały zaledwie kilka metrów za balistyczną, ale równie dobrze mogły to zrobić kilometr dalej – tempo w jakim rozprężały się gazy powstałe w wyniku spalania się materiału wybuchowego głowicy SM-2ER było o wiele mniejsze niż prędkość, z jaką poruszał się cel. Odłamki nie miały najmniejszej szansy na jego dogonienie.

– Poszła siódma!

– Ta jest naprowadzana radarem – powiedział Blandy, zaciskając palce na krawędzi konsoli.

– Optymalny pułap przechwycenia to trzy tysiące metrów. Z reguły zapalniki głowicy termojądrowej, nastawione na wybuch powietrzny, włączają się dwa tysiące metrów nad ziemią – powiedział Gregory.

Ryan zastanawiał się dlaczego jest taki spokojny. Śmierć wielokrotnie wyciągała już po niego rękę. Zamach na Mall w Londynie, strzelanina w jego domu, „Czerwony Październik”, jakieś bezimienne wzgórza w Kolumbii... Któregoś dnia go dotknie. Może to dziś?

– Dziewiąta poszła! Dziesiąta poszła! Skończyły się rakiety – powiedział bosman przy konsoli uzbrojenia. – To by było na tyle, chłopaki.

Chińska rakiet balistyczna przeleciała nad obwodnicą Beltway, błyszcząc na wieczornym niebie jak meteor. Kilku spacerowiczów zauważyło ją, pokazując sobie palcami.

Jeżeli będą się jej przyglądać aż do eksplozji, umrą jako niewidomi...

– Ósma chybiła! O włos!

– Mamy jeszcze dwie w powietrzu – powiedział oficer uzbrojenia. Pnąca się w górę rakiet przeciwlotnicza SM-2 kierowała się poleceniami głowicy naprowadzającej na echo radarowe. Wiązka odbitych promieni przyciągała raketę, będącą w istocie robotem-kamikadze wielkości samochodu osobowego, jak płomień świecy ćmę. Leciła z prędkością trzech tysięcy kilometrów na godzinę, polując na cel lecący z sześciokrotnie większą prędkością. Pięć kilometrów... kilometr... dwieście metrów... pięćdziesiąt...

Na monitorze telewizyjnym meteor zmienił się w snop fajerwerków, które zaczęły opadać na Waszyngton.

– Tak! – ryknął zgodny chór w Centrum Informacji Bojowej.

– Trzeba wysłać ludzi, żeby pozbierali szczątki balistycznej. Lepiej, żeby dzieciaki nie bawiły się kawałkami plutonu – powiedział po chwili Gregory, opierając się o grodz. –

Cholernie mało brakowało. Jak mogłem się tak idiotycznie pomylić?

– Niech pan tak się nie przejmuj, doktorze – pocieszył go starszy bosman sztabowy Leek. – Pańskie oprogramowanie poprawiło przy okazji czas reakcji naprowadzanych radarem pocisków. Ma pan u mnie piwo.

Rozdział 61

Rewolucja

Po wydaniu rozkazu odpalenia rakiet, minister Lou nie bardzo wiedział co robić dalej. Z

pewnością nie położy się ponownie spać. Ameryka mogła poczynić kroki odwetowe i w przebłysku racjonalnego myślenia Luo doszedł do wniosku, że może warto wyjechać na jakiś czas z Pekinu. Wstał z łóżka, poszedł do łazienki i ochlapał zimną wodą twarz, jednak w dalszym ciągu czuł pustkę w głowie. Co robić? Jedyne nazwisko jakie przychodziło mu do głowy to Zhang. Polecił, by połączono go z domem starszego ministra bez teki.

– Co zrobiłeś?! – zapytał z przerażeniem w głosie Zhang.

– Ktoś – nie wiemy czy Amerykanie czy Rosjanie – zaatakował naszą bazę z silosami w Xuanhua. Oczywiście rozkazałem wystrzelić rakiety balistyczne – odparł Lou. – Mówiliśmy o takiej możliwości na ostatnim zebraniu Politbiura, prawda?

– Tak, Luo. Rozmawialiśmy o takiej możliwości. Ale ty wystrzeliłeś rakiety bez konsultacji z Biurem Politycznym!

– Jaki miałem wybór, Zhang? – zapytał marszałek. – Gdybym zwlekał z decyzją, nie zostałyby nam żadne rakiety do wystrzelenia.

– Rozumiem – powiedział po chwili milczenia Zhang. – Co teraz się dzieje?

– Jedna rakietka wystartowała. Ta wycelowana w Waszyngton. Nie miałem wyboru, Zhang. Nie mogłem pozwolić, by nas rozbili.

Zhang miał ochotę zwymyślać od ostatnich kretynów marszałka, ale nie miało to już większego sensu. Co się stało to się nie odstanie. – Zwołam posiedzenie Politbiura.

Natychmiast przyjeżdżaj. Czy Amerykanie mogą poczynić jakieś szybkie kroki odwetowe?

– Nie mają rakiet balistycznych. A przygotowanie ataku przy użyciu bombowców zajmie kilka godzin – odparł Luo tonem, który sugerował, że to dobra wiadomość.

Zhang poczuł nagle zimno w żołądku, jakby napił się ciekłego helu. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Świat wydawał się taki sam jak przed minutą – a przecież można by się spodziewać nieco bardziej dramatycznej scenerii: przecinających ciemne niebo błyskawic, może nawet trzęsienia ziemi. Ale za oknem wstawał zwykły poranek.

Włączył CNN. Angielski Zhanga nie był wystarczająco dobry, by zrozumieć słowa wypowiedziane z nerwowym pośpiechem przez czarnoskórego reportera, stojące na tle panoramy Waszyngtonu.

Kamera pokazywała go z mikrofonem w dłoni, za jego plecami wznosił się Kapitol. Co jakiś czas Murzyn bezwiednie zerkał w górę, przerażonym bez wątpienia spojrzeniem.

A więc wie, na co się zanosi, pomyślał Zhang. Uświadomił sobie, że prawdopodobnie zobaczy zagładę stolicy USA za pośrednictwem amerykańskiej stacji telewizyjnej. Była w tym jakaś ironia losu.

– Patrzcie! – powiedział reporter i kamera uniosła się do góry, pokazując smugi dymu wznoszące się w niebo.

Co to może być? – zastanowił się Zhang. Na niebie pojawiały się kolejne smugi, a reporter wyglądał na coraz bardziej przerażonego.

Ciekawe czy będzie widać jak ten czarnuch zmienia się w popiół? Nie, raczej nie.

Przecież kamera i nadajnik też zostaną unicestwione w eksplozji nuklearnej. Prawdopodobnie zobaczy tylko błysk i po chwili czarny obraz zostanie zastąpiony przez wnętrze studia CNN w Atlancie...

Kolejne smugi dymu. Racja, to na pewno rakiety przeciwlotnicze... Czy mogą zestrzelić rakietę balistyczną? Raczej nie. Spojrzał na zegarek. Wskazówka sekundnika zdawała się stać w miejscu...

Dwie kolejne smugi wzbily się w niebo... Obiektyw kamery odprowadził je niemal do zenitu... Co to? Obiekt przypominał meteoryt i zdawał się tkwić nieruchomo na niebie... Nie, poruszał się, chyba że to drgnęła ręka kamerzysty... Tak, na pewno ruszał się, a smugi dymu zdawały się kierować w jego stronę, ale rozwijały się zbyt wolno... A więc, żegnaj, Waszyngtonie.

Nagle niebo rozjarzyło się, niczym podczas pokazu fajerwerków. W dół poleciały kaskady błyszczących punktów. Co się stało?

Wszystko wyjaśniło się sześćdziesiąt sekund później. Waszyngton nie został wymazany z mapy. Szkoda, pomyślał Zhang. Zwłaszcza, że trzeba będzie ponieść konsekwencje...

– Dobry Boże – wyszeptał Ryan. Nie mógł do końca zorientować się w emocjach, które go opanowały. Pierwszym skojarzeniem, jakie przyszło mu do głowy, to wypadek samochodowy. Tuż po nim pojawia się poczucie nierzeczywistości (Jak mi się to mogło przydarzyć?), zastąpione po chwili przez strach (Przecież mogłem zginąć!) i zakończone prawdziwym szokiem, kiedy uczestnik wypadku nie może opanować dygotu rąk. Jack przypomniał sobie, że kiedyś Winston Churchill powiedział, że najbardziej uskrzydlającym uczuciem jest przeżycie ostrzału w okopie. Jeżeli nie była to anegdota, Churchill miał w żyłach lodowatą wodę zamiast krwi.

– Całe szczęście, że leciała do nas tylko jedna – powiedział komandor Blandy.

– Racja. Nie mamy już rakiet – dodał starszy bosman sztabowy Leek, zapalając kolejnego papierosa. Najwyraźniej amnestia prezydencka dla palaczy wciąż obowiązywała.

– Komandorze – odezwał się Jack, kiedy wreszcie opanował drzenie ust – każdy członek załogi tego okrętu na mocy dekretu prezydenta otrzymuje awans. To jedynie na początek.

Gdzie jest jakieś radio? Muszę się połączyć z Powietrznym Punktem Dowodzenia.

– Oczywiście, panie prezydencie. – Marynarz podał Jackowi słuchawkę.

– Robby?

– Jack?

– Wciąż jesteś tylko wiceprezydentem – oznajmił Miecznik Tomcatowi.

– Przynajmniej na jakiś czas. Chryste, Jack, co ty chciałeś zrobić?

– Nie jestem pewien. Wydawało mi się, że to niezły pomysł. – Ryan usiadł na przysuniętym mu przez marynarza krześle. Dłonie drżały mu tak mocno, że pomagał sobie, przytrzymując słuchawkę policzkiem do ramienia.

– Ściągamy teraz do Waszyngtonu Zespół do spraw Zagrożeń Nuklearnych z Rocky Mountain, żeby pozbierali szczątki głowicy. Departament Obrony już koordynuje działania z policją Dystryktu. Jezu, Jack, było blisko, prawda?

– Nie będę się spierał. Co teraz?

– Chodzi ci o to, co zrobimy z Chinami? Instynkt mówi mi, żeby załadować do komór bombowych B-2 na Guam kilka B-61 i zrzucić je na Pekin, ale to by chyba była zbyt gwałtowna reakcja.

– Powinienem coś chyba powiedzieć Amerykanom, ale na razie nic nie przychodzi mi do głowy. Kiedy wracasz do Białego Domu?

– Do Andrews możemy wrócić dopiero po czterech godzinach. To samo tyczy się Cathy i dzieciaków.

– Zaraz do nich zadzwonię. Okay, Robby, zobaczymy się za kilka godzin. W tym czasie mam zamiar wypić parę drinków.

– To zrozumiałe, Jack. Cześć.

Ryan oddał słuchawkę Blandyemu. – Komandorze?

– Tak, panie prezydencie?

– Zapraszam pana wraz z całą załogą USS „Gettysburg” do Białego Domu na kilka drinków na mój

koszt. Chyba nam się to wszystkim przyda.

– Nie widzę przeszkód, sir.

– Bosmanie? – zwrócił się do podoficera Ryan.

– Niech pan się częstuje, panie prezydencie – powiedział z uśmiechem podoficer i podał Jackowi pudełko z włożoną do wnętrza zapalniczką. – Mam w szafce jeszcze kilka paczek.

W tym momencie do Centrum Informacji Bojowej weszło energicznym krokiem dwóch cywilów – Hilton i Malone z nocnej zmiany Tajnej Służby.

– Jaki cudem tak szybko tu dotarliście? – zapytał Ryan.

– Zadzwoiła do nas Andrea. Sir, czy zdarzyło się to co myślimy, że się zdarzyło?

– Tak i wasz prezydent potrzebuje miękkiego fotela oraz butelki.

– Na nabrzeżu czeka samochód, sir.

– Komandorze, niech pan zorganizuje jakieś autobusy i zaraz przyjeżdża z załogą do Białego Domu. Jeżeli będzie pan musiał zostawić okręt bez załogi, proszę zadzwonić do koszar piechoty morskiej na rogu Ósmej i Ulicy I, i powiedzieć im, że prezydent polecił

marines popilnować przez noc okrętu.

– *Aye aye*, sir. Zaraz ruszamy.

Zanim przyjedziecie, mogę być już pijany, pomyślał Jack.

Na nabrzeżu na prezydenta i jego ochronę czekał czarny opancerzony Chevrolet Suburban. Już po kilku minutach Jack znalazł się w opustoszałej Sali Sytuacyjnej. Procedura ewakuacyjna Białego Domu spowodowała, że wszyscy członkowie rządu znajdowali się na pokładach przynajmniej dwudziestu śmigłowców i samolotów, udających się w przewidziane procedurą bezpieczne miejsca. Większość z nich wróci do Waszyngtonu dopiero za kilka godzin.

Podstawowym pytaniem było: „Co, u diabła, teraz robić?”. Ryan nie miał pojęcia.

Zadzwoił telefon.

– Prezydent Ryan, słucham.

– Panie prezydencie, tu generał Dan Liggett z Centrum Dowodzenia Sił Strategicznych w Omaha. Wygląda na to, sir, że w ostatniej chwili wymknął się pan śmierci.

- Można tak powiedzieć, generale.
- Czy ma pan dla nas jakieś rozkazy, sir?
- Na przykład jakie?
- Sir, jedną z opcji jest dokonanie odwetowego uderzenia nuklearnego i...
- Rozumiem – przerwał mu Jack. – Skoro Chińczykom nie udało się spuścić nam na głowy atomówki, powinniśmy pokazać im jak to się robi?
- Panie prezydencie, moim zadaniem jest prezentowanie opcji, a nie doradzanie – odparł Liggett.
- Generale, czy wie pan, gdzie znajdowałem się podczas ostatniej godziny?
- Tak, panie prezydencie. To wymagało odwagi.
- Na razie, generale, cieszę się życiem. Jeżeli chodzi o strategię, pomyślę o tym za jakąś godzinę lub dwie. Tak więc, na razie, nie robimy niczego. Czy to jasne?
- Tak jest, panie prezydencie.
- Zadzwońię do pana za kilka godzin.
- Jack? – odezwał się znajomy głos od drzwi.
- Arnie? Dobrze, że wpadłeś. Nienawidzę pić sam. Powiedz kamerdynerowi, żeby przyniósł butelkę Midletona. I niech weźmie też dla siebie szklanę.
- To prawda, że podczas ataku byłeś na pokładzie krążownika?
- Tak.
- Dlaczego?
- Nie mogłem zwiać, Arnie. Nie mogłem schować się w bezpiecznym miejscu i patrzeć na śmierć milionów ludzi.

Van Damm odwrócił się w stronę korytarza i zamówił butelkę whisky u kogoś, kogo Jack nie widział.
– Właśnie siadaliśmy do kolacji w moim domu w Georgetown, kiedy CNN

nadała komunikat o zagrożeniu atakiem nuklearnym. Doszedłem do wniosku, że równie dobrze mogę przyjechać do Białego Domu.

W drzwiach pojawił się kamerdyner ze srebrną tacą, na której stała butelką irlandzkiej whisky i szklanki wypełnione lodem.

– Charlie, sobie też nalej – powiedział prezydent.

– Panie prezydencie, nie powinienem...

– Dziś zmieniłem nieco regulamin Białego Domu, panie Pemberton. Jeżeli wypije pan zbyt wiele, by prowadzić samochód, Tajna Służba odwiezie pana do domu. Czy kiedykolwiek powiedziałem ci, jaki z ciebie równy gość? Moje dzieciaki cię uwielbiają.

Charles Pemberton pochodził z rodziny, która od trzech pokoleń służyła kolejnym prezydentom. Nalał whisky do szklaneczek i podał je prezydentowi oraz szefowi kancelarii z precyzją neurochirurga.

– Siadaj, Charlie. Chciałbym ci zadać pytanie.

– Słucham, panie prezydencie.

– Gdzie byłeś podczas ataku? Co robiłeś, kiedy w stronę Białego Domu leciała głowica termojądrowa?

– Doszedłem do wniosku, że nie pójdę do schronu pod Wschodnim Skrzydłem, nawet nie wszystkie kobiety by się tam zmieściły. Wsiadłem do windy i pojechałem na dach, żeby popatrzeć co się stanie.

– Arnie, siedzimy z naprawdę dzielnym człowiekiem – powiedział Jack i zsalutował

kamerdynerowi szklanką.

– A pan gdzie był, panie prezydencie? – zapytał Pemberton. Jeszcze godzinę temu nie odważyłby się zadać prezydentowi innego pytania, niż to, gdzie Ryan zamierza dziś zjeść kolację.

– Byłem na okręcie, który zestrzelił tę rakietę. To mi przypomniało, Arnie, tego Gregory’ego, fizyka, którego Tony Bretano zatrudnił do udoskonalenia systemu przeciwlotniczego Aegis. Mieszkańcy Waszyngtonu powinni postawić mu pomnik.

– Na pewno nie okazemy się niewdzięcznikami, panie prezydencie. – Van Damm zdecydowanym ruchem przechylił głowę wraz ze szklanką do tyłu.

Politbiuro zebrało się w trybie nadzwyczajnym.

– Kto wydał rozkaz odpalenia rakiet balistycznych? – zapytał roztrzęsionym głosem minister spraw zagranicznych Shen.

– Ja – odparł marszałek Luo. – Jakie miałem inne wyjście? Generał Xun zameldował, że jego baza została zaatakowana. Amerykanie i prawdopodobnie Rosjanie chcieli przejąć naszą broń strategiczną. Wczoraj rozmawialiśmy o takiej możliwości, prawda?

– Owszem – przyznał minister Qian. – Ale podjąć taką decyzję samodzielnie? Bez naszej zgody? To było skrajnie nieodpowiedzialne posunięcie, towarzyszu Luo.

– Co się stało z raketami? – wtrącił się Fang.

– Jedyna raketa, która zdołała wystartować, wycelowana była w Waszyngton.

Najwyraźniej zawiódł detonator, albo została zestrzelona przez Amerykanów. Przykro mi, ale stolica USA nie została zniszczona.

– Powiedziałaś „przykro mi”?! – wrzasnął Fang. – Ty kretynie! Gdyby ci się udało, Chiny stanęłyby przed widmem zagłady!

Mniej więcej w tym samym czasie w Waszyngtonie, funkcjonariusz CIA średniego szczebla wpadł na pewien pomysł. Skoro ChRL nie pozwalała swoim obywatelom na oglądanie niezależnych od rządu stacji telewizyjnych, CIA pozostał tylko Internet jako środek przekazu.

– Dlaczego nie wysłać im też CNN? – zapytał swojego przełożonego i uzyskał

natychmiastową zgodę. Wprawdzie z punktu widzenia ochrony własności intelektualnej i praw autorskich decyzja nie była legalna, ale w takiej nadzwyczajnej sytuacji nad biurokratyczną ostrożnością górę wziął zdrowy rozsądek. W końcu CNN może im wystawić później rachunek.

Tak

więc,

w

godzinę

i

dwadzieścia

minut

potem

<http://www.darkstarfeed.cia.gov/sibieriabattle/realtime.ram> zaczęła pokazywać nadlatującą nad Waszyngton chińską raketę balistyczną.

Wiadomość o tym, że Chiny omal nie doprowadziły do wojny nuklearnej oszołomiła i rozwścieczyła studentów wiecujących na Tiananmen. Na placu w tym momencie przebywało ich około dziesięciu tysięcy; wielu z nich miało ze sobą laptopy podłączone do telefonów komórkowych, łączących ich z Internetem. Przywódcy demonstracji gorączkowo zaczęli naradzać się ze sobą. Wiedzieli, że coś należy zrobić, ale nie mieli pojęcia co. Zdawali sobie sprawę z faktu, że być może spotka ich wkrótce odwetowe uderzenie ze strony USA.

Widoczne w Internecie studio CNN w Atlancie wypełniali licznie zgromadzeni komentatorzy i eksperci. Wielu z nich przychyliło się do opinii, że Ameryka powinna odpowiedzieć na niesprowokowany atak w „odpowiedni sposób”. Nikt nie miał wątpliwości o jaki „sposób” chodzi.

Studenci w Pekinie nie bali się właściwie o własne życie, ale o los tysiąca trzystu milionów ich rodaków, których – przez szaleństwo członków Biura Politycznego – być może czekała zagłada. Budynek rządu znajdował się niedaleko od placu, i tłum z groźnym pomrukiem ruszył w tę stronę.

O tej porze na placu Niebiańskiego Spokoju pojawiło się nieco więcej milicjantów. Ci z nocnej zmiany przekazali swoim zmiennikom, że studenci zachowują się spokojnie i, według ich wiedzy, demonstracja ma na celu wyrażenie poparcia dzielnym żołnierzom chińskim, którzy walczą na północy.

Natomiast milicjanci, ochraniający gmach rządu, nie spodziewali się zobaczyć zdyscyplinowanej kolumny młodych ludzi maszerujących w ich stronę. Dowódca ochrony w stopniu kapitana wyszedł przed szereg swoich podwładnych i rozkazującym tonem kazał

wszystkim zatrzymać się, i zażądał rozmowy z przywódcą pochodu, o którym nie został

uprzedzony. Ku swojemu niebotycznemu zdumieniu został bezceremonialnie odsunięty na bok przez dwudziestodwuletniego studenta politechniki.

W ChRL szacunek, a może raczej lęk wobec przedstawicieli prawa, był tak silny, że w obliczu nieposłuszeństwa milicjanci tracili zdolność racjonalnego myślenia. Ochronę budynku stanowiło czterdziestu uzbrojonych milicjantów, z czego w holu wejściowym porządku pilnowało zaledwie czterech. Na widok wbiegających po schodach studentów wyciągnęli broń boczną, ale tylko jeden z nich zaczął strzelać, raniąc trzech studentów, zanim został

skopany do nieprzytomności przez napastników. Pozostała trójka rzuciła się do ucieczki w stronę wartowni. Zanim do niej dotarli, studenci zaczęli wbiegać na pierwsze piętro szerokimi marmurowymi schodami.

Sala, w której odbywały się posiedzenia Biura Politycznego, była oczywiście dźwiękoszczelna, z obawy przed podsłuchem. Ale ten środek ostrożności miał obosieczne działanie – ludzie wewnątrz sali nie słyszeli niczego co dzieje się na korytarzu, pięćdziesiąt metrów od drzwi wejściowych.

Ochrona budynku rządu, która zdążyła już wybiec z wartowni, podzieliła się na dwie grupy. Jedna z nich zablokowała drogę studentom przy schodach prowadzących na pierwsze piętro, druga natomiast wbiegła boczną klatką schodową i stanęła pod drzwiami sali, w której obradowało Politbiuro.

Dowodzący oddziałem na parterze porucznik stanął w obliczu zbitego tłumu studentów i, chociaż jego ludzie byli uzbrojeni w Kałasznikowy, zawahał się przed wydaniem rozkazu otwarcia ognia, ponieważ studentów było o wiele więcej niż jego ludzie mieli naboju. Ta chwila wahania kosztowała go utratę inicjatywy. Po kilku sekundach jego ludzie zostali otoczeni przez studentów, którzy zaczęli z nimi pertraktować o oddaniu broni.

Inaczej sytuacja przedstawiała się na pierwszym piętrze. Dowodzący drugim oddziałem policyjnym major nie wahał się nawet przez sekundę i, na jego komendę, dwadzieścia pocisków salwy ostrzegawczej przedziurawiło ozdobiony stiukami sufit. Jednak studenci nie dali się zastraszyć. Część z nich otworzyła drzwi do sali obrad i wpadła do wnętrza.

Nagle pojawienie się kilkunastu młodych ludzi w dostojnym wnętrzu przykuło z miejsca uwagę członków Biura Politycznego.

– Co to ma znaczyć? – krzyknął Zhang Han Sen. – Kim jesteście?

– A ty kim jesteś? – zapytał wściekłym tonem student politechniki. – Tym szaleńcem, który rozpętał wojnę atomową?

– Nie ma żadnej wojny atomowej! Kto wam nagadał takich bzdur? – zapytał marszałek Luo. Szamerowany złotem mundur natychmiast zdradził studentom jego tożsamość.

– A więc to ty wysyłasz naszych żołnierzy na śmierć w Rosji?!

W sali pojawiali się kolejni studenci. Było ich teraz tak wielu, że ochrona bała się strzelać w obawie o życie członków władz.

– Stańcie obok nich! Nie będą do nich strzelać! – krzyknął student politechniki.

– Powiedz mi, młody człowieku – zapytał Fang stojącego najbliżej studenta – skąd dowiedzieliście się o tym wszystkim?

– Oczywiście z Internetu – odparł student. Fang pokiwał głową. – Prawdy nie da się ukryć.

– A więc to prawda, dziadku?

– Obawiam się, że tak, chłopcze – powiedział Fang i wstał z krzesła. – Proszę wszystkich o spokój – powiedział. – Towarzyszu majorze, wiecie kim jestem?

– Tak, towarzyszu ministrze, ale...

– To świetnie. Przede wszystkim każcie swoim ludziom opuścić broń. Nie potrzeba tu nam ofiar. I tak zbyt wielu ludzi już zginęło.

Dowódca ochrony rozejrzał się po sali. Pozostali członkowie Biura Politycznego wydawali się

zbytńio zszokowani, by cokolwiek powiedzieć. Po chwili namysłu odwrócił się do swoich podwładnych i machnięciem ręki kazał im opuścić broń.

– Bardzo dobrze. A teraz, towarzysze – powiedział, tym razem zwracając się do swoich kolegów – uważam, że nadszedł czas na pewne zmiany. Po pierwsze, minister spraw zagranicznych Shen powinien skontaktować się ze swoim odpowiednikiem w Stanach Zjednoczonych i oświadczyć, że wystrzelenie rakiety balistycznej było tragiczną pomyłką i przyjmujemy na siebie odpowiedzialność za ten incydent. Po drugie, żądam natychmiastowego aresztowania premiera Xu, ministra obrony Lou i ministra Zhanga. To na nich spada odpowiedzialność za tę awanturniczą wyprawę na Syberię, która postawiła w konsekwencji nasz kraj przed widmem zagłady. Towarzysze, czy ktoś jest odmiennego zdania?

Nikt nie oponował; nawet Tan i minister spraw wewnętrznych skinęli głowami.

– Shen, powiadomisz Rosjan i Amerykanów, że składamy broń, a winni agresji zostaną przykładnie ukarani. Wszyscy się zgadzają?

Zgadzali się.

– Chyba powinniśmy podziękować niebiosom, że mamy szansę zakończyć to szaleństwo.

Chciałbym teraz porozmawiać z moimi młodymi przyjaciółmi o problemach, które ich tu sprowadziły. Towarzyszu majorze, odprowadźcie aresztowanych do wartowni i dobrze ich zamknijcie. Qian, zostaniesz ze mną, by porozmawiać ze studentami?

– Z przyjemnością, towarzyszu Fang – odparł minister finansów.

– A więc, młody człowieku – zwrócił się Fang do studenta, który wyglądał na przywódcę.

– O czym chciałbyś porozmawiać?

Dopiero podczas tankowania Blackhawków policzono straty. Okazało się, że podczas ataku na bazę Xuanhua zginęło dwudziestu ośmiu członków Specnazu. Clark nie po raz pierwszy widział żołnierzy ginących w akcji, ale w miarę upływu lat poczucie nieodwracalnej straty nie malało. Kiedy zamknął oczy, widział za każdym razem startującą raketę balistyczną. Kierowała się na północ, a więc w grę nie wchodziła Rosja. Niczego więcej nie wiedział, ponieważ podczas akcji upadł tak nieszczęśliwie, że złamał antenę swojego telefonu satelitarnego. Miał świadomość porażki. Zawiódł ludzi, którzy mu zaufali. Kiedy wreszcie śmigłowiec wylądował, Clark dostrzegł idącego w ich stronę uśmiechniętego generała Diggsa.

– Marynarka zestrzeliła raketę nad Waszyngtonem – oznajmił zamiast powitania.

Clark poczuł jak uginają się pod nim kolana. Westchnienie ulgi słyhać było chyba w całej bazie.

– Generał Moore przekazał, że balistyczną zestrzelił krążownik, chyba „Gettysburg”, który cumował przy nabrzeżu w samym środku Waszyngtonu. Mieliśmy szczęście, panie Clark.

John przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu. Przez ostatnie pięć godzin widział

nad amerykańskim miastem gigantyczną chmurę w kształcie grzyba z napisem POZDROWIENIA OD JOHNA CLARKA.

– Co jest, John? – zapytał Chavez, który właśnie do nich podszedł. Diggs przekazał mu wiadomość.

– Marynarka? Pieprzona Marynarka? Niech mnie szlag, po raz pierwszy na coś się przydali.

Jack Ryan był na niezłym rauszu, a jeżeli media dowiedzą się o tym, to do diabła z nimi.

Członkowie rządu już wrócili do Waszyngtonu, ale pierwsze spotkanie Jack wyznaczył

dopiero na jutro. To da trochę czasu, by zastanowić się co robić. Najbardziej oczywistą odpowiedzią na chiński atak (a przynajmniej tak uważały gadające głowy w telewizji) było rozwiązanie, o którym Jack nawet nie chciał myśleć. Musi istnieć jakieś inne wyjście niż zamienienie Pekinu w dymiące zgliszcza. Nigdy nie wyda rozkazu do ataku nuklearnego, chociaż w aktualnym stanie umysłu i emocji nie odżegnywał się od myśli o operacji specjalnej, wymierzonej w Biuro Polityczne. W ciągu ostatnich dni przelano wiele krwi, i na tym się nie skończy. Pomyśleć, że wszystko zaczęło się od śmierci włoskiego kardynała i chińskiego kaznodziei, zastrzelonych przez ogłupiałego milicjanta.

Chyba naleję sobie jeszcze jednego, pomyślał.

Podobno z każdej sytuacji płynie jakaś nauka. Ale czego w tym przypadku się nauczył?

Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki nie miał najmniejszego pojęcia. Wydarzenia następowały zbyt szybko po sobie. Jedyne czego teraz pragnął, to znaleźć się z rodziną.

Zadzwonił telefon. Arnie podniósł słuchawkę. – Jack? To Scott Adler.

Ryan wziął słuchawkę. – Cześć, Scott. Co się dzieje?

– Zadzwonił przed chwilą Bill Kilmer z naszej ambasady w Pekinie. Z ambasady właśnie wyszedł minister spraw zagranicznych Shen. Bardzo przeproszał w imieniu rządu z ten koszmarny wypadek z wystrzeleniem rakiety. Bardzo się też cieszą, że głowica termojądrowa nie eksplodowała.

– Cholernie miło z ich strony – powiedział Jack.

– Ktokolwiek wydał rozkaz wystrzelenia rakiet, został aresztowany. Shen zadeklarował

natychmiastowe zawieszenie broni i wycofanie wszystkich chińskich wojsk z terenu Syberii.

Wspomniał też o reparacjach wojennych. Poddają się na całej linii, Jack.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Wygląda na to, że w Pekinie doszło do zamieszek. Z naszych doniesień wynika, że kilku członków rządu zostało aresztowanych. Na razie rządzi krajem minister bez teki Fang Gan. Podobno to jeden z nielicznych rozsądnych facetów w ich kierownictwie. Jeżeli Rosjanie się zgodzą, Jack, uważam, że powinniśmy zaakceptować ich propozycję.

– Zgadzam się – powiedział bez namysłu Ryan. – Co dalej?

– Chciałbym porozmawiać z Rosjanami o szczegółach porozumienia. Wygląda na to, że trzymamy wszystkie karty.

– I to już wszystko?

– Na to wygląda.

– Dobra, pogadaj z Rosjanami – powiedział Jack i odstawił szklanę na stolik. Może to ostatnia wojna na świecie? – pomyślał.

Poranek był piękny. Generał Bondarienko pomyślał, że dzień też zapowiadał się niezłe, zwłaszcza po tym jak do jego kwatery wbiegł pułkownik Tołkunow, trzymając kartkę papieru faksowego.

– Przechwyciliśmy to z rozgłośni chińskich. Chińczycy rozkazują swoim siłom wycofywanie się z naszego terytorium.

– Naprawdę? A dlaczego uważają, że im na to pozwolimy? – zapytał Bondarienko.

– To tylko początek, towarzyszu generale. Takich rzeczy nie zapowiada się bez kontaktów dyplomatycznych z Moskwą. Chyba mamy koniec wojny. Wygraliśmy, towarzyszu generale.

Giennadij Josifowicz przeciągnął się. Miła była świadomość, że jest dowódcą zwycięskiej armii, a przeciwnik się poddaje. – Dobrze. Połącz mnie z Moskwą.

Oczywiście, nie obyło się bez drobnych incydentów. Jeszcze przez kilka godzin dochodziło do sporadycznej wymiany ognia między mniejszymi oddziałami, do których nie dotarły rozkazy, jednak o zachodzie słońca wszelkie oznaki walk ustały. W całej Rosji rozdzwoniły się dzwony w cerkwiach.

Gołowko przyglądał się przez okno jak Rosjanie tańczą na ulicach. Rosja znów czuła się światowym mocarstwem, a to zawsze wywierało pozytywny wpływ na nastroje społeczne. Za kilka lat Rosja zacznie czerpać korzyści z nowo odkrytych bogactw naturalnych i... może odwróci się zła karta. Może nowe stulecie zacznie się dobrze, po fatalnym poprzednim?

Wiadomości o zakończeniu wojny rozeszły się po całych Chinach dopiero o zmroku.

Towarzyszyły im informacje o zmianach w składzie rządu. Tymczasowym premierem został Fang Gan. Społeczeństwo niewiele wiedziało o byłym ministrze bez teki, ale Fang w telewizji wyglądał na doświadczonego starszego mężczyznę, a taka kombinacja w Chinach zawsze była przychylnie odbierana. Wiadomo było, że kraj czekają zmiany, ale, jak zawsze w Państwie Środka, rozłożą się one na długie lata.

Dla pewnej osoby w Pekinie zmiany oznaczały, że jej praca stanie się o wiele bardziej odpowiedzialna i zyska na znaczeniu. Ming doszła do wniosku, że pora na kolację ze swoim cudzoziemskim kochankiem. Nad kieliszkami wina i włoskim spaghetti kochankowie omawiali wydarzenia tego dnia, by po godzinie pójść do mieszkania mężczyzny i poprobować na deser japońskiej kielbasy.

KONIEC